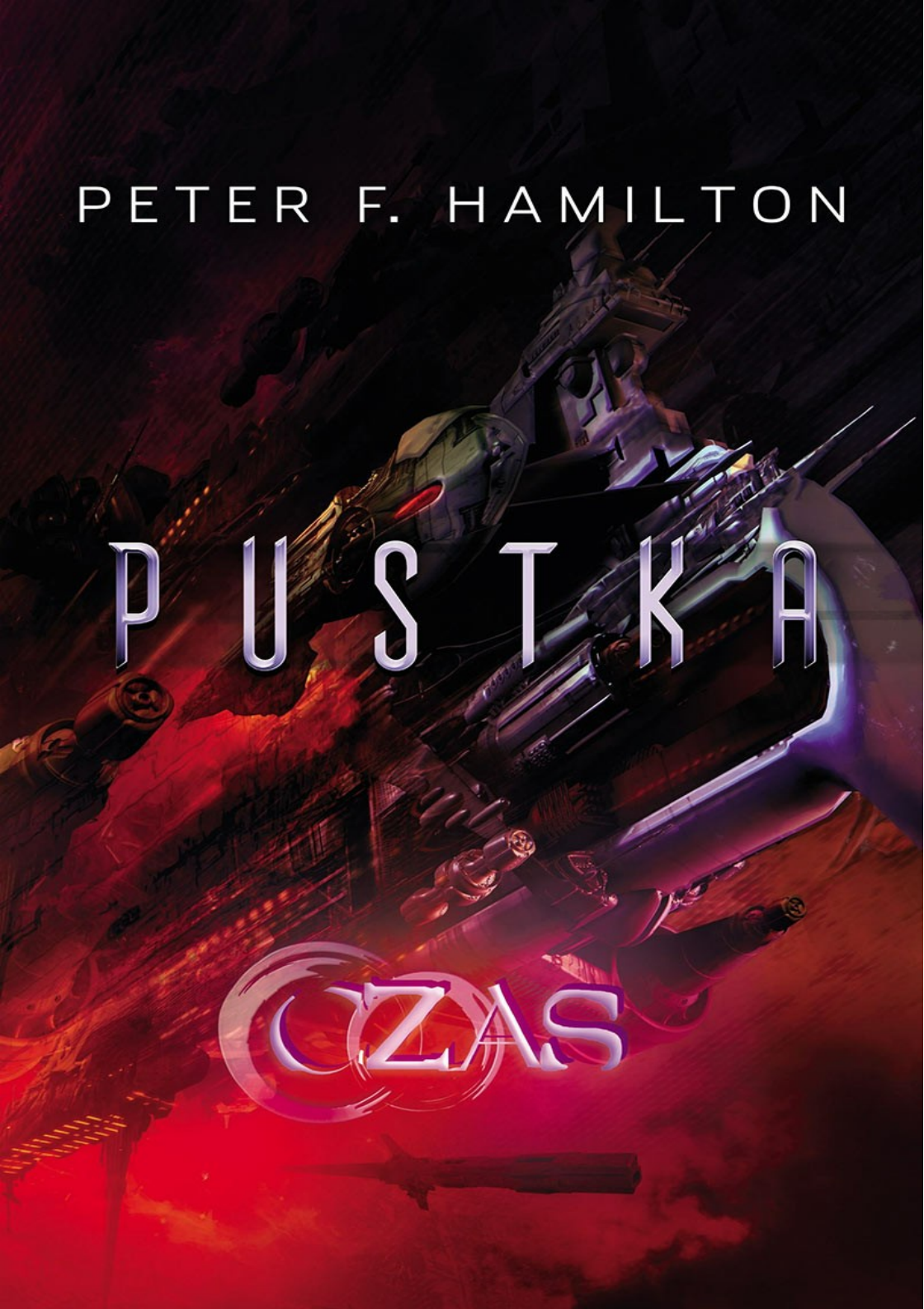


PETER F. HAMILTON

PUSTKA

COZAS



**Peter F. Hamilton**

**PUSTKA: CZAS**

**Część druga trylogii „Pustka”**

**Przełożyli Grażyna Grygiel i Piotr Staniewski**

**Wydawnictwo MAG  
Warszawa 2018**

Tytuł oryginału:  
*The Temporal Void*

Copyright © 2008 by Peter F. Hamilton  
Copyright for the Polish translation © 2012  
by Wydawnictwo MAG

Redakcja:  
Paweł Matuszek

Korekta:  
Urszula Okrzeja

Ilustracja na okładce:  
Tomasz Maroński

Opracowanie graficzne okładki:  
Piotr Chyliński

Projekt typograficzny, skład i łamanie:  
Tomek Laisar Fruń

ISBN 978-83-66065-45-1

Wydanie III

Wydawca: Wydawnictwo MAG  
ul. Krypska 21 m. 63,  
04-082 Warszawa  
tel./fax 228 132519  
[www.mag.com.pl](http://www.mag.com.pl)

# 1

To dość dziwne, ale z dnia zagłady Stacji Centurion Justine Burnelli zapamiętała na zawsze właśnie dęby. Kiedy wraz z innymi pędziła ku drzwiom schronu, zerknęła przez ramię. Gęstą, szmaragdową trawę zaśmiecwały żałosne resztki przyjęcia - rozgniecione, wdeptane w ziemię kanapki i rozbite kieliszki; kolosalne, niesłabnące fale grawitacyjne przelewające się przez stację wstrząsały stosami talerzy. Widoczne zwykle nad głową słabe światło mgławic wokół jądra galaktyki rozmazało się teraz w pastelowe smugi. Efekt spowodowany częściowo nieprzezroczystymi awaryjnymi polami siłowymi kopuły. Justine czuła, jak jej ciężar znowu maleje. Pracownicy stacji usiłowali złapać przyczepność na podświetlonej pomarańczowej ścieżce. Panicznie tłoczyli się wokół Justine, krzycząc z przerażenia. Wtem pod kopułą rozległ się echem głośny trzask niczym uderzenie pioruna: to konar dwustuletniego dębu pękł tuż przy pniu. Po chwili się złamał. Wir liści wzleciał jak chmara spłoszonych motyli. Majestatyczne, drzewo osiadło, w pniu otwierały się szpary. Dąb skręcił się i zaczął opadać na sąsiedni. Elegancka platforma małego nadrzewnego domku, na której jeszcze przed minutą grała orkiestra, rozpękała się i połamana. Justine, zanim odwróciła wzrok, zdążyła zauważyć parę rudych wiewiórek czmychających z korony przewróconych gigantów.

Plastmetalowe drzwi schronu skurczyły się za nią. Justine znalazła się w oazie spokoju. Miała przed sobą dziwaczny widok: potargani ludzie w wizytowych strojach ciężko dyszeli. Na ich twarzach malował się niepokój. Dyrektor Trachtenberg rozglądał się wokół szalonym wzrokiem.

- Nic pani nie jest? - zapytał.

Skinęła tylko głową. Bała się, że głos ją zawiedzie.

Stację omiotła następna fala grawitacji. Justine znowu poczuła, że waży mniej. Z sieci stacji, przez swego u-adiunkta, wyciągnęła

czujnikowe obrazy nieba w górze. DF-y raielów nadal przyśpieszały przez układ, zmierzając na nowe pozycje. Sprawdziła - dziwaczne fale grawitacyjne wywoływane przez kule nie uszkodziły „Silverbirda”. Statkowy smartkor poinformował ją, że statek utrzymuje pozycję tuż nad zapyłonym polem lawowym - lądowiskiem stacji.

- Właśnie konferowałem z naszymi obcymi kolegami - oznajmił dyrektor Trachtenberg. Uśmiechnął się krzywo. - W każdym razie z tymi, którzy z nami rozmawiają. I wszyscy się zgadzamy, że zmiany ciążenia przewyższają wszelkie parametry przewidziane przez projektantów naszych systemów bezpieczeństwa. Z żalem nakazuję natychmiastową ewakuację.

- Nie możesz tego robić - narzekał Graffal Ehasz. - Jesteśmy tu właśnie po to, by badać coś takiego. Na Ozziego, człowiku, to będzie wysyp danych. Wyjątkowa okazja zdobycia informacji! Nie możemy stąd czmychnąć z powodu ograniczeń bezpieczeństwa, narzuconych przez jakiś komitet gdzieś tam we Wspólnocie.

- Rozumiem twoją troskę - odparł spokojnie Trachtenberg. - Jeśli sytuacja się zmieni, wrócimy. Ale teraz, proszę, wsiądźcie do wyznaczonych statków.

Większość personelu przyjęła to z ulgą. Ehasz i grupka konserwatywnych naukowców promieniowała urazą. Kiedy Justine otworzyła umysł na lokalną gajaszferę, wyraźnie widziała zderzenie emocji. Ale Ehasz stanowczo był w mniejszości.

Trachtenberg nachylił się ku Justine i cicho spytał:

- Czy pani statek poradzi sobie z tym wszystkim?

- O, tak - zapewniła go.

- Bardzo dobrze. Niech pani łaskawie odleci razem z nami.

- Oczywiście.

Przez swe łącze ze smartkorem Justine widziała, jak z zapyłonej lawowej równiny wydostają się - niczym bańki gazu - tytanowe, czarne kule. To schrony bezpieczeństwa przebijały powierzchnię. Poszybowały gładko ku oczekującym statkom. Procedury ewakuacyjne najwidoczniej działały. Nerwy Justine znacznie się uspokoiły. Poprosiła, by smartkor „Silverbirda” nawiązał wątlým

przełącznikiem komunikacyjnym floty połączenie aż do Wspólnoty, oddalonej o trzydzieści tysięcy lat świetlnych.

- Tato?

- Więc nic ci się nie stało - odezwał się Gore Burnelli. - Chwała Bogu.

Przez wąziutkie pasmo przenoszenia przeniknęło bardzo słabe wrażenie uśmiechu. Na jego wargach lśniło ciepłe karaibskie światło słoneczne. To pocieszenie nieoczekiwanie wstrząsnęło emocjami Justine. Poczowała napięcie w przetyku, oczy wypełniły jej się łzami, a policzki zaczerwieniły.

Niech cholera weźmie to głupie ciało, wściekała się na te słabości. Ale uśmiechnęła się niewyraźnie, ignorując to, że ludzie dziwnie na nią patrzą.

- Taa, ze mną wszystko w porządku.

- Dobrze, więc jeszcze jedno: monitorowałem przełącznik komunikacyjny floty na Stacji Centurion. Twój nowy przyjaciel Trachtenberg właśnie wywołał Kleryka Konserwatora, by go zawiadomić o fazie ekspansji. Zrobił to zanim raczył powiadomić flotę, co się dzieje.

Justine poczuła dumę z siebie, że nie zerknęła w stronę Trachtenberga. Dobra, może to stare ciało mimo wszystko nie jest aż tak bezużyteczne.

- Naprawdę? To ciekawe.

- Będzie jeszcze ciekawsze. Mniej więcej pięć godzin temu Drugi Śniący powiedział swemu kumplowi, Władcy Niebios, że nie ma zamiaru prowadzić nikogo w Pustkę. A zaraz potem zaczęła się ta ekspansja. Nie znam twojej opinii, ale tutaj wszyscy sądzą, że nie jest to zbieg okoliczności.

- Drugi Śniący to spowodował?

- Nienaumyślnie. A przynajmniej szczerze wierzę, że nienaumyślnie. Chyba to sprawa przyczyn i skutków. Władcy Niebios istnieją, by przewozić dusze do Serca Pustki, a ktoś im mówi, że obetnie się im nowe źródło dostawy. Ćpunów na ogół irytują takie rzeczy i stają się wtedy irracjonalni.

- Władcy Niebios to nie ćpuny.

- Nie traktuj wszystkiego tak dosłownie. Używam przenośni, alegorii, podobnego gówna. Chodzi o to, że oni wiedzą, że tu jesteśmy i czekamy, aż nas poprowadzą, a jeśli do nich nie przychodzimy...

- Przychodzą do nas - dokończyła szeptem.

- Na to wygląda.

- Ale nic żywego przez barierę się nie przedostanie.

- Pierwszy statek się przedostał. Jakoś.

- Czy Drugi Śniący coś powiedział?

- Ani słówka, nawet nie powiedział „och, przepraszam”. Zarozumiały gnojek. Myślałem, że jestem arogancki, ale w porównaniu z tym... Boże!

- Cóż, w końcu będzie musiał coś zrobić.

- Tutaj też się wszyscy z tym zgadzają. Chodzi o to, że Żywy Sen coraz bardziej go osacza. Jeśli położą na nim łapy, będą poważne kłopoty. Nasza przyjaciółka Ilanthe się o to postara.

Justine podłączyła się do danych nadchodzących ze stacji i obserwowała z troską, jak przepływające fale grawitacyjne coraz bardziej nadwerężają sprzęt podtrzymujący procesy życiowe.

- Nie będzie to znacznie gorsze od tego, co się tu dzieje, tato.

- Cholera, przykro mi, kochanie. Uda ci się cało stamtąd wydostać?

- Wiesz, że nie musisz się o mnie martwić. Poczekaj chwilę, dotarliśmy do statków.

Zewnętrzne drzwi śluzy rozsunęły się. Ludzie włączali swe indywidualne pola siłowe. Niektórzy pobierali również z szafek schronu skafandry ciśnieniowe, zapewniając sobie dodatkowe bezpieczeństwo. Justine wiedziała, że może polegać na swojej biononice w każdej, choćby najbardziej groźnej sytuacji stworzonej przez tę nienazwaną planetę. Indywidualne pole siłowe wokół niej wzmocniło się. Zsunęła szpilki i przeszła za innymi przez potrójną zasłonę ciśnieniową. Zeszła po dziesięciu aluminiowych schodach i stała na polu lawowym bosa, w absolutnie niedorzecznej czarnej koktajlowej sukience. Odczuwała jednak podeszwami wstrząsy, które przebijały się przez poduszeczki ochronne pola siłowego. Wokół niej trzepotał

argonowy wietrzyk, wznoszący krótkotrwałe, niskie wiry pyłu, sięgające najwyżej do kolan.

Schron zatrzymał się sto metrów za przysadzistym budynkiem mieszczącym główną służę bazy. Z obu stron Justine, kilka metrów nad ziemią, zawisły na inprawie dwa z pięciu statków floty. Kołysały się lekko, kompensując zdradliwe zmiany ciężenia. Justine obeszła pośpiesznie jeden z nich i zobaczyła „Silverbirda” czekającego dwadzieścia metrów za nimi. Stanowił miły widok. Fioletowy, oszczędny w formie, unosił się nad lawą bez wysiłku, znacznie stabilniej od statków floty. Uśmiechnęła się z ulgą i pomknęła pod pojazd. Powietrzna śluza w podstawie kadłuba wydeła się do wewnątrz, tworząc ciemny tunel, prowadzący do serca statku. Smartkor już kasował ciężenie, by wciągnąć ją do środka, ale Justine nagle zauważyła ruch na horyzoncie. Coś nieprawdopodobnego.

- Stop - poleciła.

Zawisła kilka centymetrów nad lawą. Wszczypty siatkówkowe zbliżyły obraz. Był to jeździec, silfen. Elfopodobny humanoid odziany w gruby, kobaltowoniebieski płaszcz, bajkowo wyszyty klejnotami, połyskującymi w drgającym pastelowym świetle gwiazd. Na szczycie wysokiego, szpiczastego kapelusza trzepotała prosta złota wstążka. W urękawicznionej dłoni silfen dzierżył długą, fosforyzującą włócznię - wzniosł ją jakby w pozdrowieniu. Rzeczywiście, mogło to być pozdrowienie, gdyż pochylał się na siodle, unosząc się w strzemionach. Obecność silfena tutaj zadziwiła, a jego wierzchowiec wprawił Justine w całkowite osłupienie. Stworzenie najbardziej przypominało ziemskiego nosorożca, lecz osiągało niemal wielkość słonia i machało zamasyżście dwoma płaskimi ogonami. Pokrywało je jasnofioletowe długie futro. Cztery krzywe rogi wyrastające z boku głowy wyglądały na diabelnie ostre. Justine, która kiedyś jeździła na lwichsercach, wyhodowanych na Far Away przez starych Barsoomowców, wiedziała, że ta przerażająca bestia to prawdziwy zwierzęcy wojownik. Na sam jego widok jej starodawne ciało zalała powódź hormonów niepokoju.



Silfena po prostu nie powinno tutaj być. Justine nie wiedziała, że któryś z silfeńskich szlaków prowadzi do tej odległej, opustoszałej planety. I silfen potrzebował tlenu do oddychania, a przypuszczała, że jego groźny królewski wierzchowiec również go potrzebuje. Tutejsza rzadka, nasycona promieniowaniem, argonowa atmosfera była zabójcza dla żywych istot. Po chwili Justine uśmiechnęła się na myśl o swojej głupiej, lekceważącej uwadze. Kimże była, by tak twierdzić, kiedy sama stała wystawiona na dziwaczne emisje energetyczne gwiazd Ściany, odziana jedynie w skandalicznie krótką sukienkę koktajlową?

Więc zobaczenie tu silfena było jednak możliwe. Mógł również korzystać z jakiejś technicznej ochrony przed wrogim środowiskiem.

- Ale... dlaczego? - wyszeptwała.

- Silfeni żyją, by doznawać wrażeń - wyjaśnił jej Gore, również zafascynowany obecnością obcego. - Spójrz prawdzie w oczy, moja dziewczyno, mało co dostarcza większych doznań od obserwacji końca walącej się wokół ciebie galaktyki.

Zapomniała, że zostawiła otwarte połączenie.

- To bardzo krótkie doznanie - odparła kwaśno. - I na czym to on jedzie?

- Któż to wie? Pamiętam, jak Ozzie wspominał, że silfeni, których spotkał na zimowej planecie, jeździli na polowania na dziwacznych stworzeniach.

- Dziwacznych, a nie przerażających.

- Czy to ma znaczenie? Wybrał chyba jak najgroźniejszego wierzchowca, by uczcić to wydarzenie. Przecież, mimo wszystko, twój statek to największy macho w tej części galaktyki.

- Statek - macho?

Rozmowa sprawiła, że przysł urok spotkania z dziwnym obcym. Skinęła silfenowi głową w formalnym pozdrowieniu. Pochylił w odpowiedzi włócznie i ponownie opadł na siodło.

„Silverbird” wciągnął ją do małej, komfortowej kabiny. Kiedy znalazła się w środku, wysunął z pokładu głęboki fotel o fantazyjnie wygiętych liniach. Justine z ulgą na niego opadła. Pojazd zaprojektowany przez ZAN gwarantował największy

stopień bezpieczeństwa dostępny człowiekowi. Czujniki statku pokazywały, jak ostatni członkowie stacyjnego personelu śpieszą ku śluzom okrętów floty. Dalsza dwójka silfenów dołączyła do pierwszego obserwatora. Justine zgadzała się z ojcem, że silfeni mogli tu przybyć jedynie z jakiegoś doniosłego powodu. Swoją obecnością tylko wzmacniali wrażenie, jakie na Justine wywierał potworny widok na zewnątrz.

- Lećmy - poleciła smartkorowi.

„Silverbird” wzniósł się ze Stacji Centurion wcześniej od innych statków. Kiedy pozostałe wystartowały, utworzyły stado dziwnie zróżnicowane: opływowe okręty floty Wspólnoty obok niezgrabnych statków ticothów. Połyskujące fioletowe kule ethoxów tańczyły zwinnie wokół wielkich zbiorników sulinów. Eleganckie, ptasie konstrukcje forleenów wznosiły się i pikowały, odwoząc ich jak najdalej od niebezpieczeństwa. W innych okolicznościach chętnie podróżowałyby takim statkiem dla przyjemności. Mimo szalejącego wokół zniszczenia, prawie wszystkie odlatujące gatunki wykonały szybkie skanowanie w kierunku metalowego sześcianu kandrów. Dlatego nikt nie był specjalnie zaskoczony, kiedy cała ta bryła po prostu uniosła się z ziemi i, płynnie przyśpieszając, poszybowała w dal od walących się konstrukcji stacji obserwacyjnych.

Justine przepełniła śmieszna duma z faktu, że żaden ze statków nie osiągał takich przyśpieszeń jak „Silverbird”. Statek z ultranapędem już po kilku sekundach osiągnął wysokość pięciuset kilometrów. Zatrzymał się tam i prowadził obserwacje ostatnich minut Stacji Centurion. Następna fala grawitacji wstrząsnęła masą statku tak mocno, że pokładowy generator grawitacji ledwo ją zniwelował. Justine poczuła, jak przez kabinę przebiega lekki dreszcz. Nienazwana planeta uciekała za kadłubem po krzywej, a jej pradawna struktura uparcie opierała się najgorszym skutkom fal grawitacyjnych, przenikających skalną skorupę. Justine obserwowała, jak na planecie pierwsza poddała się wieża ethoxów. Kołysała się z boku na bok, aż wychylenia stały się zbyt wielkie i systemy bezpieczeństwa nie mogły ich skompensować. Wieża zawaliła się z powolnym

wdziękiem i rozbiła na nieustępliwej lawie. Ze szczelin w zbiornikach sulinów wylewały się wielkie kaskady wody, niosąc przed sobą pianę gruzów. Lecące krople szybko zestalały się w gradowe igły, po chwili ponownie wchłonięte przez ciemną wodę. W końcu, co było nieuniknione, zimno zwyciężyło, tworząc jezioro pomiętego lodu trzykilometrowej średnicy. Z kopuł ludzi i forleenów wydobywały się proporce cienkich szarych obłoków, szybko rozpraszające się w słabych podmuchach argonu.

W zadziwiająco krótkim czasie konstrukcje zostały zgniecione i dołączyły do większej enklawy ruin, znaczącej miejsce, gdzie setki obcych gatunków spędziły tysiąclecia na obserwacji straszliwej i zagadkowej Pustki w centrum galaktyki. Justine przerzuciła uwagę na pokaleczone niebo powyżej. Ogromne burze jonowe, jak gdyby czuły, co się dzieje za gwiazdami Ściany, kłębiły się z rzadko obserwowaną gniewną poświatą, jaśniejszą, niż Justine widziała kiedykolwiek podczas swego krótkiego pobytu na stacji.

„Silverbird” śledził kule DF raielów - wielkie jak gazowe giganty - kiedy te kontynuowały swój lot przez system gwiazdny. Fale grawitacyjne wypływały z nich z zadziwiającą siłą, zniekształcając orbity ciał w głównych pierścieniach planetoid. Parę małych księżyców przy okazji również zmieniło nachylenia osi. Wszystkie DF-y kierowały się ku małej pomarańczowej gwiazdzie, którą nigdy nienazwana planeta ze Stacją Centurion obiegała po orbicie. Kiedy statek obserwował gwiazdę, jej fotosfera zaczynała ciemnieć.

- Cholera jasna - zaskowyczała Justine. DF-y musiały pobierać moc bezpośrednio z gwiazdy. Zastanawiała się, jak tę moc wykorzystają. Efekt fascynował. Prawie zapomniała o swym niepokoju. Kiedy zaczął się alarm, przez kilka minut naprawdę myślała, że właśnie na Stacji Centurion w końcu umrze jej ciało.

Jakby odczytując jej myśl, Lehr Trachtenberg otworzył kanał komunikacyjny do wszystkich ludzkich statków.

- Proszę podać swój status. Czy ze wszystkimi wszystko w porządku?

- Nic mi nie jest - wysłała w odpowiedzi do „Dalfroda”, na którym przebywał Trachtenberg z całym wyższym personelem.

Dyrektor upewnił się, że jego ludzie są bezpieczni, a potem wymienił wiadomości ze statkami obcych, które wyleciały z atmosfery planety.

Wszyscy potwierdzili, że nikt nie doznał żadnych obrażeń, choć zagadkowy sześcian kandrów nie odpowiadał na żadne wiadomości, więc mogli tylko domniemywać, że wszystko z nimi w porządku.

- Natychmiast powracamy do Wspólnoty - ogłosił Trachtenberg.

- Z ustaleń naszych systemów obserwacyjnych wynika, że możemy swobodnie wyprzedzić granicę Pustki. Rozszerza się ona z szybkością trzech do czterech lat świetnych na godzinę. Daje nam to ogromny margines bezpieczeństwa.

- Czy dane nadchodzą w dalszym ciągu? - spytała Justine.

- Niektóre. Teraz są nieregularne, w Ścianie dzieje się mnóstwo, nie wszystko rozumiemy. Odbieramy zakłócenia, chyba z systemów obronnych raielów, ale dopóki nasze czujniki nie zostaną oślepione, możemy prowadzić ograniczone obserwacje. W jak największym stopniu staramy się wykorzystać Ośrodek Badawczy floty, tam, w domu.

- Rozumiem.

Justine patrzyła, jak inne statki osiągną jej wysokość. Dziwnie ją irytowały. Sama siebie irytowała również. Z pewnością można było robić coś jeszcze, a nie tylko po prostu uciekać? Miało to posmak tchórzostwa: ciemni wieśniacy kulą się przed burzą z błyskawicami, skomlą o gniewie bogów, i szukają ofiary, by ich przebłagać. Tysiące lat temu skończyliśmy przecież z tymi nonsensami. A jednak mimo całego naszego oświecenia znów jesteśmy dokładnie tam: chronimy się przed napaścią w naszej miłej, suchej jaskini. Statki przyśpieszały obok niej i rozpraszały się - dążyły ku własnym gwiazdom macierzystym. Forlene pierwsi weszli w szybkość nadświatlną - wlecieli w wormhole, które natychmiast się zamknęły, a ostatnie pożegnanie ich dowódcy zawisło w eterze.

Kabina „Silverbirda” znowu się zakotłosała. Sto trzydzieści milionów kilometrów dalej DF-y mknęły ku niskiej orbicie wokół ciemniejącej gwiazdy. Kiedy statek znów drgnął, determinacja Justine stała się silniejsza. To nie powinno przebiegać w ten sposób.

- Tato?

- Nadal tu jestem.

- Co raielowie powiedzieli o ekspansji?

- Same pierdoły. Pamiętaj, że „Wysoki Anioł” to łódź ratunkowa, natomiast wszystkie ich systemy obronne są skoncentrowane tam, gdzie właśnie przebywasz. W każdym razie, nie możemy mieć im za złe, że nic nam nie mówią. W tej chwili wszystkie rozumne gatunki w galaktyce są na nas wściekłe z powodu Pielgrzymki. I któżby mógł mieć im to za złe? Ja sam jestem na nas wkurzony.

- Wiem, dlatego lecę do środka - powiedziała, sama zdumiona nagłością tej decyzji.

- Robisz... co takiego?

- Lecę w Pustkę. - Już przy tych słowach instruowała smartkor, określała trasę. Szybko. Zanim się spietram.

- Nic podobnego, córeczko.

„Silverbird” gładko opadł w hiperprzestrzeń i kierował się ku gwiazdom Ściany z szybkością pięćdziesięciu lat świetlnych na godzinę.

- Powiedz mu - powiedziała do ojca. - Powiedz Drugiemu Śniącemu. Zmusz go, by poprosił Władcę Niebios o wpuszczenie mnie. Kiedy dostanę się do środka, kiedy porozmawiam bezpośrednio z Władcą Niebios, spróbuję mu wyjaśnić sytuację, szkodę, którą wyrządza ich granica.

- Natychmiast, kurwa, zabierz tu swoją dupę!

- Tato. Nie. To nasza szansa dyplomatycznego rozwiązania. Raielowie próbowali rozwiązań siłowych przez milion lat. Nie zadziało.

- Wracaj. Nie możesz tam wlecieć. Ta rzecz zabija całą pieprzoną galaktykę. Twój statek...

- Ludzie mogą się dostać do środka, wiemy już o tym. W jakiś sposób możemy to zrobić. A jeśli Drugi Śniący mi pomoże, mam naprawdę niezłą szansę.

- To szaleństwo.

- Muszę to zrobić, tato. Ktoś musi się na to zdobyć. Musimy spróbować metody ludzkiej. Jesteśmy teraz częścią galaktyki, wielką jej częścią. Mamy prawo. - Podniecała się, a krew łomotała jej w uszach. - Mam zamiar ponieść pochodnię w imieniu nas wszystkich. Jeśli mi się nie uda, wtedy... spróbujemy czegoś innego. To także ludzkie postępowanie.

- Justine.

Przez trzydzieści tysięcy lat świetlnych wyczuwała jego cierpienie. Ułamek sekundy cierpiała razem z nim.

- Tato, jeśli ktokolwiek może dotrzeć do Drugiego Śniącego, jeśli ktokolwiek może przemówić mu do rozsądku, to właśnie ty, właśnie ten Gore Burnelli. Śniący nie musi robić nic więcej, niż tylko powiedzieć Władcy Niebios, że jestem tutaj. Poproś go. Błagaj go. Ofiaruj mu skarby. Bez względu na cenę. Możesz to zrobić. Proszę, tatusiu.

- Cholera, dlaczego zawsze jesteś tak drańsko trudna?

- Jestem twoją córką.

Zaśmiała się gorzko.

- Oczywiście, że poproszę. I, do diabła, zrobię znacznie więcej. Jeśli nie będzie błagał na kolanach tego Władcy Niebios, to unicestwienie podczas galaktycznej ekspansji uzna za najlepsze, co mu się może przytrafić.

- Przestań straszyć ludzi - napomniała go natychmiast Justine.

- Dobra, dobra.

- Spróbuję jak najdłużej trzymać otwarty kanał przekątnikowy do Stacji Centurion. Systemy floty są mocne i powinny jeszcze chwilę przetrwać.

- Dobra, idę znaleźć małego palanta odpowiedzialnego za ten megapieprznik.

- Dzięki, tato.

- Szczęśliwej podróży.

\*\*\*

O trzeciej nad ranem Chris Turner wyszedł ze stołówki dla personelu na wschodniej stronie doków w Colwyn City. Skrzywił się, gdy deszcz opryskał mu twarz. Miał nadzieje, że gdy wypadnie mu przerwa w pracy, nietypowy o tej porze roku front atmosferyczny się rozproszy. Ale nie, ciężkie chmury ani myślały ustępować. Półorganiczna bluza Turnera owinęła mu gardło kołnierzem. Pośpiesznie wrócił do magazynu części.

Tej nocy Chris nie widział w dokach jakiegoś szczególnego ruchu. Inne noce jednak niewiele się pod tym względem różniły. Na nocną zmianę zatrudniano niewielu ludzi. Boty wyłączano dla przeglądu i napraw, właśnie dlatego wybrał sobie ten paskudny czas pracy - niepopularny, lecz dobrze płatny. Barki transoceaniczne cumowały przy nadbrzeżu, a ich załogi spały lub bawiły się w miejskich klubach. Składy były zamknięte.

W mieście również niewiele się działo. Deszcz przeszkadzał w zwykłym o tej porze nocnym życiu. Kapsuły i pojazdy naziemne dawno już przetransportowały do domu ostatnich hulaków - optymistów. Chris ledwo widział ogromny most wiszący nad Cairns. Jego światła tworzyły w deszczu zamglone plamy. Zwykle coś by się poruszało na jego części przejezdnej, a po szynie prowadzącej ślizgałyby się taksówki. Ale nie tej nocy. Zadrzał. Taki widok miasta rzeczywiście miał w sobie coś niepokojącego. Aby przeciwdziałać poczuciu izolacji, sięgnął do gajaszki po jakieś emocjonalne pocieszenie, czerpane z wiecznie tam wirujących myśli. Zwykle ożywione tło prześlizgiwało się obok niego niczym hałaśliwe widmo. Myśli, które nawoływały żałobnie i namiętnie, emocje, które intrygowały, mimo że omijały te najsmutniejsze.

Wiedza, że inni ludzie są wciąż żywi i nie śpią, dodała mu nieco otuchy. Chris przyśpieszył kroku. Następne osiem botów ogólnego przeznaczenia oczekiwało na remont przed świtem. Choć do stanowisk obsługi technicznej w warsztatach podłączono firmowy smartkor, to Chris będzie się musiał napocić, by zdążyć. Znowu się zastanawiał, czy dodatkowe pieniądze za pracę na nocnej zmianie są naprawdę warte

ponoszonych kosztów. Przyjaciele widywali go tylko w weekendy, a i wtedy nie stanowił atrakcyjnego towarzystwa, bo przysypiał, nawykły sypiać w dzień.

Szedł przy długim szeregu lądowisk, rozpryskując butami kałuże, zebrane na rozległej betonowej płycie. Łagodne zielonkawe fale odbijały poświatę z osadzonych na wysokich słupach kul latarni. Wielkie krople rozbryzgiwały się hałaśliwie na ciemnych kadłubach zaparkowanych statków gwiazdnych.

Przed nim, około dziesięć metrów nad śliskim betonem, rozbłysła niebiesko-fioletowa gwiazdka. Chris otworzył usta ze zdziwienia. Cała obsługa statków kosmicznych, nawet ludzie wykonujący tak marginalne prace jak on, znała charakterystyczne oznaki promieniowania Czerenkowa.

- Coś tu nie gra - powiedział osłupiały.

Gwiazda zniknęła, a powietrze, gdzie się znajdowała, zafalowało. Chris nagle miał przed sobą idealny, stykający się z gruntem czarny krąg. Czerń znowu się zmieniła, rozbłysła szarym fioletem, a potem cofnęła się z zawrotną szybkością. Instynktownie wyciągnął ręce przed siebie. Łapał równowagę, był pewny, że przewraca się w przód. Kiedy ją odzyskał, spoglądał w głąb nieskończonego tunelu. Jego materia, świecąca łagodnym światłem, rozbłysła nieznośnie, kiedy wydostało się z niego światło słoneczne i osłepiające. To nie świeciło słońce Viotii. Była to zupełnie inna gwiazda.

Światło na chwilę przygasło, a z otworu wychynęła wielka kapsuła. Chris czmychnął na bok. Widział, że wormhol obniżył się tak, że jego dolna ćwiartka znajdowała się pod poziomem gruntu. Utworzyło to szeroką płaską dróżkę, po której ze swego świata maszerował długi szereg opancerzonych postaci. Nad nimi wślizgiwały się kapsuły. Buty uderzały wilgotny beton w stałym rytmie, ich odgłos rozlegał się echem wśród wysokich murów budynków w doku. To niesamowicie brutalny dźwięk, pomyślał Chris. Po stronie Viotii znajdowało się już przeszło stu żołnierzy. Żołnierzy? Ale jak inaczej mógł ich nazwać?

W końcu zaczął ogarniać całą tę nieprawdopodobną sytuację. Jego u-adiunkt nadawał wezwania alarmowe do rodziny,



znajomych, kolegów z pracy, biur firmy, policji, burmistrza, rządu... Jego umysł wypuścił potężny skowyt szoku w gajasferę, co spowodowało natychmiastową reakcję zaskoczenia u lokalnych abonentów, którzy natychmiast zainteresowali się jego wizją.

- Hej, ty tam! - zadudnił wzmocniony głos z pierwszego szeregu maszerujących postaci.

W powietrzu musiało teraz znajdować się już ze trzydzieści kapsuł, które natychmiast ruszyły nad miasto, a z tunelu wylaniały się wciąż nowe. Wormhol widziany pod tym kątem jawił się Chrisowi jako wąskie okno wychodzące na rozległe pole po drugiej stronie. Ciepłe popołudniowe słońce miło oświetlało rzędy opancerzonych postaci, tysiące postaci - dziesiątki tysięcy. Większość stała w cieniu rzucanym przez armadę kapsuł regravowych zawieszonych w powietrzu nad nimi.

Chris Turner odwrócił się i zaczął biec.

- Stój! - rozlegał się czyjś srogi głos. - Jesteśmy legalną policją Viotii, uznaną przez waszego premiera. Natychmiast się zatrzymaj, bo poniesiesz konsekwencje.

Chris biegł dalej. To nie może się dziać. To jest Wspólnota. Bezpieczna i wygodna. Ludzie z bronią nie dokonują inwazji z innych planet, nawet w takich niespokojnych czasach jak te. To się nie dzieje!

- Ostatnie ostrzeżenie. Stój.

Rodzina zaczęła odpowiadać na jego rozpaczliwe wezwania. Ci, z którymi połączył się przez gajasferę, reagowali takim samym przerażeniem jak on. A potem uderzył go impuls janglowy i Chris, już nieprzytomny, zwałił się na mokry beton.

\*\*\*

„Rewanż Elvina” znajdował się tylko o godzinę lotu od Viotii, kiedy gówno uderzyło w wentylator. Mniej więcej jednocześnie u-adiunkci zaczęli podawać wiadomości, które przedostały się do unisfery i wszyscy na pokładzie ucichli. Ze zdziwieniem odbierali obrazy, na których opancerzona, paramilitarna policja i jej kapsuły wspierające wylewają się z wormholu w dokach Colwyn

City. W starannie wyreżyserowanej sekwencji posunięć politycznych biuro Kleryka Konserwatora na Ellezelinie wydało formalne publiczne zaproszenie dla Viotii, by przyłączyła się do Strefy Wolnego Handlu. Zaraz po tym nastąpiło wystąpienie premiera Viotii, przyjmującego to zaproszenie w imieniu planety. Chwilę później wormhol został otwarty.

Tak więc Oscara Monroe zupełnie nie zdziwiło, że po paru minutach wywołała go Paula.

- Wiedzieliśmy, że planują aneksję - oznajmiła. - Decydującym bodźcem musi być Drugi Śniący.

- To by się zgadzało - zgodził się Oscar. - Wszyscy robią w majtki ze strachu z powodu fazy pożerania. Jeśli zdołamy go dopaść, sam chciałbym wbić głupiemu sukinsynowi do głowy nieco rozsądku.

- Sądzę, że pożeranie zaskoczyło Żywy Sen w takim samym stopniu, jak wszystkich innych. Sen po prostu stanowił dla nich potwierdzenie miejsca pobytu Drugiego Śniącego. Działają na tej podstawie.

Oscar przejrzał obrazy przekazane przez reporterów zebranych na skraju doków.

- Więc możemy bezpiecznie przyjąć, że znajduje się w Colwyn City.

- Owszem, ale oni nie wiedzą, gdzie dokładnie. Gdyby wiedzieli, ich stali agenci po prostu przeprowadziliby tajną operację porwania. To wskazuje na desperację Ethana. Nasze źródła na planecie podają, że zamyka on cały ruch z miasta i do miasta. Naziemny, powietrzny i kosmiczny.

- Zaciska pętlę.

- Właśnie.

- To wcale nie ułatwia naszej misji. Będziemy musieli przeniknąć przez blokadę.

- Nie komplikuj spraw. Sugeruję, byś po prostu poleciał prosto do doków.

- Kpisz sobie ze mnie, co?

- Wcale nie. Każ smartkorowi zademonstrować sobie funkcję maskowania. Nie wierzę, by Żywy Sen miał na Viotii cokolwiek, co pozwoliłoby cię wykryć w deszczową noc.

- O, cholera. W porządku.

Połączenie zakończyło się. Odwrócił się do współtowarzyszy, by wyjaśnić sytuację.

- Mogę wpuścić trochę oprogramowania, które ułatwi nasze podejście - powiedział Liatris McPeierl. - Ich sieć już wykłbiała z doków. Monitoruję jej rozwój przez unisferę, ale mogę się włamać do węzłów połączeń. To dopuści mnie do ich czujników i ogni sterujących.

- Doki będą dobrą pozycją - zauważył Tomansio. - To ustawia nas dokładnie w sercu ich operacji. Obojętne, jak gęsta jest ich sieć, jak potężne są ich smartkory, kiedy się zacznie, na dole będzie chaos. To da nam wspaniałą okazję.

- W porządku - oznajmił Oscar. - Jesteście, chłopcy i dziewczęta, ekspertami. Powiedzcie mi, którzy chcecie podchodzić.

\*\*\*

Czterdzieści minut później „Rewanż Elvina” wynurzył się w przestrzeni rzeczywistej, tyśiąc kilometrów nad Colwyn City. Był już w pełni zamaskowany, zdolny do omiñcia najnowocześniejszych czujników klasy wojskowej. Wspaniałą przypadek nadmiaru środków. Cywilne detektory kosmiczne Viotii z trudnościami zlokalizowałyby statek na orbicie geosynchronicznej, gdyby nawet włączył radiolatarnię. Jak dotychczas siły Ellezelinu wlewające się do doków nie ustanowiły żadnego nadzoru czujnikowego nad atmosferą. Były skupione na ruchu kapsuł w mieście i zatrzymywaniu wszystkich próbujących wyjechać z miasta. Nikt nie szukał statków wlatujących do tego obszaru. Komercyjne gwiazdoloty, przybyłe po rozpoczęciu aneksji, pozostawały na orbicie. Oczekiwały na rozwój wydarzeń i na wyraźne rozkazy właścicieli.

Zgodnie z zaleceniami Tomansia, Oscar sprowadził statek prosto w dół, nad ujście rzeki, parę kilometrów za miastem. Nadal padało, ciężkie chmury ciągnęły nad wezbraną rzeką.

Wokół kadłuba jajowatego statku drżało zniekształcenie optyczne wysokiej intensywności, sprawiając, że w kilku smugach ponurego światła przedzierającego się przez chmury, statek wyglądał jak jakaś wyjątkowa gęsta łąta mżawki. Czujniki elektroniczne po prostu traciły ostrość, skanery masy nie mogły znaleźć tam nic cięższego od powietrza. Nawet wyższe funkcje Elewata - gdyby jakiś tam działał - miałyby wielkie trudności w znalezieniu czegokolwiek. W pełnym świetle dnia być może ktoś by coś zauważył. Ale nie tej ponurej cieniejszej nocy.

Oscar zszedł do trzech metrów ponad błotniste wody i prowadził statek w górę rzeki. Posługiwał się jedynie czujnikami biernymi. Kilka wielkich kapsuł pomocniczych sił Ellezelinu przemknęło nad nimi, starając się przechwycić uciekających obywateli. „Rewanż Elvina” pozostawał niewidzialny. Mimo to, Oscar wstrzymał oddech i głupio wpatrywał się w sufit kabiny, kiedy kapsuły przelatywały mu nad głową. Wspomniał filmy wojenne, które oglądał w swym pierwszym życiu, filmy już wtedy starodawne, które przedstawiały ciche przebiegi w łodziach podwodnych. Tutaj zasady były podobne. Kusiło go nawet, by zejść statkiem pod wodę i tak posuwać się dalej. To pogłębiłoby podobieństwa. Tomansio odwiódł go od tego pomysłu, wskazując, że hałas i przesunięcia wody, które nastąpiłyby w chwili ich zanurzania, prawdopodobnie zdradziłyby obecność statku.

Dryfowali więc nad opustoszałymi nadbrzeżami jak duchy przez mgłę. Według informacji, którą Liatris wydobył z sieci najeźdźców, wokół doków ustawiono kilka oddziałów paramilitarnych, wspartych dziesięcioma uzbrojonymi kapsułami, zabezpieczającymi ich bezpośrednio tyły. Nikt nie obserwował długiego frontu rzecznoego.

Beckia McKratz przeniknęła do oryginalnej komercyjnej sieci doków. Zręcznie manipulowała węzłami sieci, stosując oprogramowanie, które otwierało kanały bez wzbudzania podejrzeń monitorów zarządu. Jeszcze zanim dotarli do lądu, wzięła pod całkowitą kontrolę gigantyczny magazyn cargo należący do firmy importowej Bootel & Leicester. Kiedy

przelatywali nad wielkim dokiem remontowym dla barek, położonym tuż przed tym magazynem, otworzyła jedne z poliplastikowych drzwi i statek wślizgnął się w ciemną, zamkniętą przestrzeń, ociekając zimnym deszczem na enzymatycznie wiązany beton podłogi. Drzwi cicho zamknęły się za nimi, a z kadłuba pojazdu wypęczkowało pięć zaokrąglonych nóg cokołowych. Oscar wylądował nimi przy wysokim stosie zielonych i czerwonych skrzyń z cargo, zawierających koparki pozaplanetarnego pochodzenia.

- Na dole, bezpieczni - oznajmił Oscar, wzdychając z ulgą.  
- To my jesteśmy bezpieczni - powiedział radośnie Tomansio. - Nie jestem zbyt pewny co do bezpieczeństwa wszystkich innych.

\*\*\*

„Pokuta Melanii” wypadła z hiperprzestrzeni cztery tysiące kilometrów nad Sholapurem. Troblum spojrzął na kontynent w dole, wsuwający się z wolna w świt. W jasnym blasku nowego dnia rysował się szeroki monsun formujący się tuż przy subtropikalnym wybrzeżu. Tam, wśród kamienistego krajobrazu, przycupnęło miasto-państwo Ikeo. Troblum z zainteresowaniem obserwował pogodę. Na Sholapurze nieczęsto występowały monsuny, ale te, które się już pojawiały, były na ogół bardzo gwałtowne. Monsun dotrze do lądu przed upływem dwóch godzin.

Na fotelu naprzeciw niego, w kabinie statku, rozłożyło się z uśmiechem zadowolenia solido Catriony Saleeb. Dziewczyna pogładziła dłonią swe czarne loki - leniwy gest, który zawsze uważał za zmysłowy.

- Ta burza może nam pomóc - stwierdziła chropawym głosem.

Solido Trishy Mariny Halgarth przebyło niewielką przestrzeń kabiny i podeszło do Catriony. Trisha miała na sobie obcisłe skórzane czarne džinsy i śnieżnobiały T-shirt, który uwydatniał jej przyjemne, wysportowane ciało. Zielone OC-tatauaże w kształcie skrzydeł motyla zatrzepotały wolno na jej policzkach, kiedy wciskała się na poduszki obok Catriony. Obie dziewczyny oplotły się wygodnie ramionami. Trisha zgięła palce u nóg.

- Tak myślisz? - zapytała Catriony.

- Przejście przez Ikeo zajmie jej kilka godzin. Zakłóci to pracę czujników, bez względu na to, jak są wyrafinowane. Nad większością rezydencji będą pola siłowe, co w znacznym stopniu zablokuje skanowanie kątowe. To zadziała na naszą korzyść, prawda, kochany Troblumie?

- Niewykluczone - przyznał. Właściwie wolałby mieć opinię Isabelli Halgarth na temat sytuacji, ale stracił program jej I-rozumnej osobowości przy opuszczaniu stacji Progresywistów. Wykorzystał ją w projektorze, by przekonać czujniki, że jego statek nadal biernie stoi w doku. Isabella, ogólnie rzecz biorąc, spoglądała na świat w sposób bardziej chytry i pokretny od pozostałych dziewcząt, co sprawiało, że nadawałaby się idealnie do analizy możliwego przebiegu zdarzeń.

- Nie wtedy, kiedy podchodzisz do lądowania podczas burzy - odparła Tricia. - Nawet przy użyciu ingrawu trudno będzie utrzymać stateczność przy wiejących wiatrach. Później lepiej zostawić ingraw włączony. Łatwiej będzie startować, gdybyś musiał odlatywać w pośpiechu.

Troblum znowu wywołał obrazy z zewnętrznych czujników. Wielka burza. Nawet z tej wysokości widział rozświetlane błyskawicami ciemne chmury. Na żądanie Trobluma smartkor nałożył na obraz wzorce czujników, strzegących Ikeo od nieproszonych gości. „Odkupienie Melanii” mogło prześlizgnąć się niezauważone. Prawdopodobnie. Ale byłaby to bitwa elektroniczna w zwarciu. I Tricia miała rację, burza wytworzy środowisko trudne dla pilotażu. Przeprowadził pasywne skanowanie, szukając orbitujących statków, ale ani nic nie przylatywało, ani nie wylatywało. Na orbicie krążyła tylko gromadka satelitów geosynchronicznych.

- Zaktywizuj zespół pełnego maskowania i sprowadź nas na dół - polecił smartkorowi. Potem wyciągnął plan miasta i wyznaczył dolinkę, siedem kilometrów od domu Stubsy'ego Floraca, tuż za oficjalną granicą posiadłości.

\*\*\*

Schodząc przez najniższe warstwy chmur, Troblum pocił się z niepokoju. Potem wylecieli z zimnej pary, a skalisty teren znajdował się jedynie dwa kilometry pod nimi. W bladym świetle przedświtu, w przejrzystym powietrzu, szybko opadający statek wtapiał się doskonale w szare, zachmurzone niebo. Wylądowali przy kilku wysokich odpowiednikach palm, które już zaczynały się zginać pod naporem narastającego wichru.

Na wizytę u Stubsy'ego Floraca Troblum wybrał jednocześnie bieliznę z pancernego materiału, którą mógł nosić pod togaturem. Potem szybko sprawdził bionikę wytwarzającą indywidualne pole siłowe i upewnił się, że działa. Pancierz połączony z polem ochronnym mógł zatrzymać mnóstwo broni, ale Troblum nie żywił złudzeń co do ich ostatecznej wartości, gdyby przyskrzypił go w pełni zmodyfikowany agent Progresywistów. Przez chwilę rozważał zabranie ze sobą jakiejś broni. W szafkach miał schowane dwa pistolety żelowe. Oba wymagały załadowania. Ale nie miał doświadczenia w bezpośrednich starciach fizycznych. Jego bionika, przymuszona, mogła wytworzyć przyzwoity impuls dystorsyjny, a poza tym Stubsy'emu nie podobałoby się, gdyby wnosił taki sprzęt do jego domu. Wystarczająco niezręczna była niezapowiedziana wizyta i prośba o wyświadczenie dodatkowej przysługi. Zostawił więc pistolety w szafkach i wszedł do służy.

W środkowej ładowni znajdował się jeden skuter regrawowy. Kiedy pojazd wyleciał ze statku i zawisł parę centymetrów nad gęstą niebieskawą trawą, Troblum obdarzył go podejrzliwym spojrzeniem. Nie używał pojazdu od dziesięcioleci. Wyglądał teraz na nieprzyjemnie mały i kiedy próbował przerzucić nogę nad siodółkiem, skuter alarmująco kołysał się pod jego ciężarem. Troblum dopiero po trzech próbach zdołał usiąść okrakiem na skuterze. Krzywił się - bolał go naciągnięty mięsień tuż nad biodrem. Bionika zabrała się do roboty, wyszukując i naprawiając komórki w nadwerężonym ciele. Przezroczysta osłona z biplastiku odwinęła się z przodu skutera i utworzyła opływową półkulę, chroniącą jeźdźca przed strumieniem zaśmigłowym. Osłona musiała jednak bardzo rozszerzyć się na

boki, by objąć Trobluma. Skierował swój mały pojazd do wspaniałej wili Stubsy'ego, tuż przy wylocie doliny. Utrzymał szybkość na rozsądnym poziomie pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, trzy metry nad gruntem.

Kiedy leciał, jego u-adiunkt zanalizował kosmoporty, których sieci dołączono do rzadkiej cybersfery planety. Sporządził listę statków obecnie przebywających na planecie - żadnego nie zarejestrowano na Ziemi. Troblum przyjął, że lista jest raczej niekompletna, ale z drugiej strony był pewien, że Paula Myo nie chciałaby przyciągać do siebie uwagi, a ziemskie rejestracje przyciągnęłyby taką uwagę niewątpliwie. Nie było też żadnych statków pasujących do profilu agenta Progresywiwistów. Jeśli ktoś tutaj po niego przyleciał, nie występował otwarcie.

Skuter dotarł do linii szczyptych srebrnych słupów, znaczących granicę posiadłości Stubsy'ego. Funkcje polowe zameldowały mu, że kiedy zwalniał, namierzyło go kilka czujników. Wywołał kod Stubsy'ego. Zanim handlarz odpowiedział, upłynęło niepokojąco wiele czasu.

- Troblum, człowieku, czy tam na zewnątrz to ty?

- Oczywiście, że ja. Wpuść mnie, proszę.

- Nie wiedziałem, że jesteś na Sholapurze. Nie wylądowałeś w kosmoporcie Ikeo.

- Uprzedzałem cię, że nasza ostatnia transakcja będzie wymagać dyskrecji.

- Taa. Taa, owszem.

Troblum obrzucił srebrne słupy niespokojnym spojrzeniem. Tu, na zewnątrz, czuł się bardzo samotny i odsłonięty.

- Czy wpuścisz mnie wreszcie?

- Słusznie. Taa. Jasne. Zawiadomiłem o tobie systemy obronne. Wchodź.

Wierzchołki dwóch słupów przed nim zzieleniały. Troblum wprowadził między nie skuter i z niepokojem przeleciał nad granicą posiadłości. Kiedy nic się nie stało, odetchnął z ulgą.

Za wielką białą willą, przez stałowozielone morze zbliżała się kurtyna gęstego deszczu. Troblum zatrzymał się przed wysokimi szklanymi drzwiami i spojrzał na małą zatoczkę u podnóża



długiego zbocza. Nigdzie nie widział zakotwiczonego poduszkowca Stubsy'ego.

Stubsy otworzył drzwi i z nerwowym uśmiechem patrzył na Trobluma.

- Cześć, olbrzymie, jak leci?

- Bez zmian - odparł Troblum. Omiótł wzrokiem Stubsy'ego, który stał z boku drzwi, uniemożliwiając sprawdzenie wzrokiem wielkiego holu za sobą. Mężczyzna włożył swój zwykły drogi i pozbawiony gustu strój: zbyt ciasne złote spodnie sportowe i rozchylną aż do talii koszulę z jaskrawym, kwiatowym, pomarańczowo-czarnym wzorem. Na wymizerowanej, jakby wymęczonej przez króla wszystkich kaców twarzy widniały podkrążone oczy i zarost co najmniej dwudniowy. Stubsy miał rumianą, gorącą i spoconą skórę.

- Przyjechałem po swoją kolekcję.

- Taa. powiedział Stubsy, drapiąc się w szyję. - Ta. Taa. Właśnie. Przyjechałeś.

Gdzieś z domu dobiegł odgłos bosych stóp kogoś biegnącego po kafelkach.

Troblum musiał skonsultować swój program interakcji towarzyskich.

- Czy mógłbym dostać ją teraz, jeśli jesteś tak miły? - przeczytał ze skryptu w swojej egzowizji.

- W porządku - odparł niechętnie Stubsy. Otworzył drzwi na oścież i usunął się z przejścia.

Otwarta przestrzeń pośrodku domu wyglądała dokładnie tak jak poprzednio - woda z wodospadów spływała szybko z bulgotem po gładkich do basenu. Zielone i żółte rośliny kwitnące, dwa razy wyższe od Trobluma, falowały w podmuchach wiatru, już przelewających się przez niski dach. Nikt nie pływał. W patio przebywały trzy towarzyski Stubsy'ego - kobiety-wojowniczkami o atletycznej budowie ciała. Jedna leżała na ogrodowym fotelu, a pozostałe dwie stały nieruchomo przy barze. Dyskretne skanowanie połowe Trobluma poinformowało go, że modyfikacje bojowe kobiet pozostają nieaktywne.

Przez niebo przetoczył się grzmot. Na ten dźwięk wszystkie trzy towarzyszki Stubsy'ego spojrzały w górę.

- Czy włączysz pole siłowe? - spytał Stubsy'ego Troblum, sadowiąc się na leżaku. Krzesło i materia zatrzeszczały pod jego ciężarem. Wybrał leżak obok towarzyszki w szmaragdowym bikini. Kobieta ścisnęła poręcz leżaka, jakby broniła się przed skutkami odwróconej grawitacji. - Ta burza z góry wyglądała na sporą.

- Pole siłowe - opowiedział Stubsy. - Taa. Świetny pomysł, chłopie. Eh, taa, możemy to zrobić, pewnie.

- Czy moja kolekcja dotarła nieuszkodzona?

- Stubsy kiwnął głową i przysiadł na leżaku obok towarzyszki w zielonym bikini.

- Taa - rzekł. - Jest tutaj. Przywieźliśmy ją z frachtowca, tak jak uzgodniliśmy. Kapitan był bardzo dociekliwy, wiesz. Musiałem mu dosypać trochę grosza. Mam to wszystko na dole. Chłopie, nie oczekiwałem tyle baracha, wiesz.

- Kolekcjonuję od dłuższego czasu. I to nie barachało. - Troblum zerknął w górę, kiedy nad willą włączyło się pole siłowe. Odgłos wiatru ucichł zupełnie. - Chciałbym, by załadowano to dzisiaj na mój statek.

- Gdzie masz statek, chłopie?

- Niedaleko - odparł Troblum. Nie miał ochoty niczego zdradzać, póki nie ureguluje należności i kolekcja nie będzie przygotowana do przenosin. - Czy masz kapsułę cargo?

- Jasne, jasne.

- Chciałbym od ciebie coś jeszcze, jeśli nie masz nic przeciw temu. Zapłacę, oczywiście, za kłopot.

Stubsy wciągnął głośno powietrze, jakby miał trudności z oddychaniem.

- O co chodzi, chłopie?

- Chciałbym spotkać się tu z kimś na osobności. Z kimś, kogo normalnie nie przyjmowałbyś u siebie w domu. Będziesz musiał to załatwić z systemem obrony miasta.

- Spotkać z kim?

- Możesz o niej myśleć jako o funkcjonariuszce policji.

- Policja? - Stubsy wykrzywił usta w uśmiechu. - Ho, ho. No cóż... Do diaska, wszyscy i tak zginiemy w otoczcze Pustki, prawda?

- Niewykluczone - odparł Troblum. Nie wiedział jeszcze, co myśleć o fazie ekspansji. Jeżeli naprawdę nie da się jej zatrzymać, to ucieczka do świata kolonialnego nie miałyby zupełnie sensu. Musiałyby polecieć aż do innej galaktyki, tak jak rzekomo zrobił to Nigel Sheldon. Dla „Odkupienia Melanii” byłoby to olbrzymie wyzwanie. Na szczęście, sprzęt, który zabrał ze stacji Progresywistów, powinien umożliwić taki lot. Musiałyby tylko złożyć miriady komponentów i zmusić je do działania. - Więc mogę ją wywołać i zaaranżować spotkanie?

Stubsy zaśmiał się i zmrużył oczy.

- Jasne.

- Dziękuję - odparł Troblum. Wykorzystał bezpieczne połączenie, które utrzymywał ze swoim statkiem i wywołał wydział bezpieczeństwa ZAN:Władze.

- Tak, Troblumie - powiedział ZAN:Władze. - Bądź łaskaw połączyć mnie z Paulą Myo.

- Jak sobie życzysz. Paula Myo zgłosiła się na linii.

- Czy jesteś gotów się spotkać?

- Mówiłem ci, żebyś nie maskowała statku. - Nie maskowałam.

- Więc gdzie jesteś? - Blisko Sholapuru.

- W porządku. Jestem w Ikeo City, willa Floraca. Załatwiłem z nim, ich obrona miasta cię przepuści. Kiedy do mnie dotrzesz?

- Mogę tam być za parę godzin.

- Doskonale, będę czekał. - Troblum zakończył połączenie. Spojrzał na Stubsy'ego, który się nie poruszył. - Będzie tu za dwie godziny.

Niezupełnie tak się wyraziła, przyznała pedantyczna część jego mózgu. Paula nigdy by nie skłamała, ale w jej sposobie formułowania myśli było wiele niejednoznaczności.

- Dobra - powiedział Stubsy.

- Czy mogę zobaczyć kolekcję?

- Jasne, chłopie. Jest na dole.

Stubsy poprowadził go z powrotem do willi. Trzy towarzyszki pozostały przy basenie. Ich oczy śledziły idącego za Stubsym Trobluma niczym czujniki namierzające cel.

Otworzyły się łukowate drzwi na wiodące w dół betonowe schody. Stubsy zatrzymał się na ich szczycie, kiedy włączyły się paski fotopolimeru. Nie bardzo miał ochotę schodzić.

- Tam na dole? - spytał Troblum.

- Tak - szepnął Stubsy.

Troblum zauważył, że handlarz znowu się poci. Cokolwiek brał ubiegłej nocy, jego ciało dotychczas nie poradziło sobie ze skutkami używek.

Stubsy zaczął schodzić. Troblum był tuż za nim. Śpieszył się upewnić, że jego cenna kolekcja pamiątek z wojny Gwiazdokrażcy pozostaje nieuszkodzona. Wszystkie obiekty znajdowały się w osobnych skrzynkach z polem stabilizującym, ale przy przewozie na Sholapur musiał polegać na wynajętych przewoźnikach komercyjnych. I nie nadzorował tego transportu - tylko w ten sposób mógł uniknąć zwrócenia uwagi Mariusa. Tak wiele rzeczy mogło się nie udać.

Na dole schodów znajdowało się szerokie przejście, wycięte w nagiej skale. Co kilka metrów odgałęziały się od niego mniejsze korytarze. Po obu ich stronach ciągnęły się rzędy plastmetalowych drzwi. Podziemia Stubsy'ego przewyższały rozmiarami willę na górze.

„Co takiego tu trzymasz?” - chciał zapytać Troblum. Ale jego program interakcji towarzyskich poinformował go, że Stubsy'ego zdenerwuje takie pytanie.

Stubsy skręcił w jedno z bocznych przejść. Plastmetalowe drzwi otworzyły się przed nim. W pomieszczeniu za nimi włączyły się światła. Troblum wszedł do dużej okrągłej komnaty, wypełnionej niskimi stołami. Jego kolekcja była tu i czekała na niego. Wszystkie bezcenne skrzynki, każda w migoczącej ochronnej osłonie. Uświadomił sobie, że wciśnięcie tego wszystkiego w „Odkupienie Melanii” będzie trudne, niektóre większe obiekty będą musiały zostać odrzucone. Jego u-adiunkt wykonał szybkie sprawdzenie inwentarza na podstawie listów przewozowych

skrzynek. Rzucano nimi - Troblumowi nie bardzo się to podobało - ale skrzynki przechowały swą zawartość idealnie. Z uśmiechem przebiegł dłonią po małym układzie procesorowym z foksorową obudową - droga jednostka należała do samej Mellanie Rescorai, była podarunkiem jej kochanka Mortona przed jego procesem. Troblum niewyraźnie rozróżniał zarys pamiętki pod migotaniem pola.

- Dziękuję - powiedział Troblum. - Wiem, że nie musiałeś tego robić. Kiedy podniósł wzrok na Stubsy'ego Floraca, zobaczył minę, którą jego program analizujący kontekst emocjonalny zinterpretował jako gniew i pogardę.

Węzły willi, przekazujące jego bezpieczne połączenie do „Odkupienia Melanii”, zdechły.

- Dzięki temu czuję się jak w domu - powiedziała Kotka.

Ciało Trobluma doznało wstrząsu, zupełnie w taki sam sposób, jakby to był fizyczny ból. Kolana niemal się poddały, musiał kurczowo uchwycić się stołu. Kotka wyszła zza ogromnej skrzyni zawierającej tępy nos bojowego aerobota z Wessex. Jej szczupłe ciało okrywał prosty biały kostium, emitujący mglistą poświatę - wyglądała jak jakiś historyczny święty. Kostium spowijały ciemne, z wolna falujące wstęgi - dziesięć z nich tworzyło wokół twarzy kobiety dziwaczną klatkę. Troblum wiedział, że kostium stanowi rodzaj pancerza. Czuł strach tak mocny, że omal się nie rozpląkał, ale musiał przyznać, że Kotka wygląda znakomicie.

- Troblum, kochanie - powiedziała radośnie, jakby dopiero teraz go zauważyła. - Jak miło cię znowu widzieć. Zabawa z tobą jest świetna. Rozegraliśmy naprawdę wspaniałą grę. Przynajmniej tak mi się wydawało.

- Grę? - odparł słabym głosem. Natychmiast włączyło się jego zespolone pole siłowe, choć wiedział, że przeciwko tej kobiecie będzie ono bezużyteczne.

Kotka postąpiła ku niemu kilka kroków. Troblum zatoczył się wstecz niemal w panice. Nawet teraz nie mógł się powstrzymać od podziwiania jej ruchów. Naprawdę były kocie.

- Ależ tak, kochanie - powiedziała Kotka. - To zabawne, że się w tym nie połapałeś. Marius miał rację, prawda? Nie masz kontaktu

z ludźmi na poziomie emocjonalnym. Wmaszerowałeś tutaj, zupełnie nie zwracając uwagi na kochanego starego Stubsy'ego i jego niegrzeczną gromadkę. Czy nie widziałeś ich twarzy, Troblum? Spójrz na nich teraz.

Troblum spojrział błędnym wzrokiem na Stubsy'ego. Twarz handlarza była sztywną maską, zęby miał zaciśnięte tak mocno, że drżały mu wargi. Dwie z jego towarzyszek pojawiły się w drzwiach komnaty, wysokie i potężne. Troblum rozpoznał je ze swojej poprzedniej wizyty: Somonie w fioletowej krótkiej sukience, Alcinda w błyszczącym czarnym bikini, z tak napiętymi mięśniami, że jego materiał niemal pękał.

Kotka gwizdnęła szyderczo.

- Czyż nie są zachwycające? I udają nieprzyjemne, co jest świetną zabawą. - Pochyliła głowę ku Troblumowi. - Nadal nie łapiesz, prawda? Fantastyczne. Zapuść program rozpoznawania kontekstu emocjonalnego, kochanie. On cię poinformuje, że oni wszyscy są bardzo, ale to bardzo wkurzeni. Byli tacy, kiedy wszedłeś przez frontowe drzwi i, niestety, nadal są wściekli. I to wszystko z powodu mnie, małej staruszczyki.

- W porządku - odparł Troblum. - Masz słuszność. Nie załapałem tego. Gratulacje.

- Wiem o tym. - Kotka wydeła mocno wargi. - Ja i Stubsy założyliśmy się o coś. Myślałam, że zdasz sobie z tego sprawę, zanim jeszcze dojdiesz do basenu. Stubsy twierdził, że nastąpi to natychmiast, jak przyjedziesz i go zobaczysz. Oboje przegraliśmy. To twoja wina.

- Jak mnie znalazłaś? - spytał Troblum.

Tak naprawdę nie miał żadnych taktycznych programów, które mógłby uruchomić, żadnego sprytnego pomysłu, jak uciec z podziemnej komnaty z jednymi drzwiami i bez żadnej łączności. Ale z drugiej strony był całkiem pewien, że nawet najlepszy program taktyczny poinformowałby go, że zaraz zginie. Niestety, we własnym mózgu zmagazynował już wiedzę o mnóstwie wyjątkowo nieprzyjemnych sposobów, w jaki Kotka uśmiercała swych wrogów (i przyjaciół). Wiedział o tym nawet przedtem,

zanim otworzył plik z informacjami o kobiecie. Jeśli tylko uda mu się spowodować, by nadal mówiła... Zerknął znowu ku drzwiom.

- O, Boże! - Radosny śmiech Kotki zabrzmiał w komnacie, kiedy zauważyła jego mało subtelny ruch. - Kochany Troblumie, czyżbyś chciał zwiać? Wiesz co, dam ci pięciominutowe fory. Czy myślisz, że zdołasz wcześniej dojść na swych tłustych nogach do schodów? Czy też będziesz musiał usiąść i odetchnąć?

- Pieprz się.

- Troblum! Jakie to wspaniale niegrzeczne!

Taka uwaga w ustach kogoś innego byłaby śmieszna. Usłyszana z jej ust jeszcze bardziej go przeraziła.

- Jak mnie znalazłaś? - powtórzył.

Kotka zatrzepotała powiekami.

- To było trudne. Jesteś mistrzem kamuflażu. Pomyślmy: czy to możliwe, że wskazały mi to nielegalne wpłaty twych przyjaciół Progresywistów na twój rachunek w świecie Zewnętrznym, co dość łatwo doprowadza do Stubsy'ego? A może to, że wywołałeś ZAN:Władze i poprosiłeś moją starą, kochaną kumpelkę Paulę Myo, by się tu z tobą spotkała? Hm, co to było? Moja pamięć nie jest już taka jak dawniej.

- Och.

Troblum nieczęsto czuł się głupio, ale sposób w jaki to powiedziała, uświadomił mu, jakim był idiotą. Podejrzewał, że unisfera może być podsłuchiwana przez jakąś frakcję, a jednak nie przedsięwziął żadnych środków ostrożności. A jeśli chodzi o pieniądze, każdy haker - półgłówek, mógł je wysledzić.

- Gdzie masz statek? - spytała Kotka.

Troblum pokręcił głową.

- Nie.

Smartkor dostał pewne bardzo szczegółowe instrukcje na wypadek przerwania bezpiecznego połączenia. W jego egzowizji pracował stoper. Był to słaby promyk nadziei, choć Troblum podejrzewał, że statek, w który Progresywiści wyposażyli Kotkę, spaliłby na niebie „Odkupienie Melanii” jednym strzałem. Dalszy przykład złego planowania. Zostawała tylko jedna szansa.

- Troblumie - powiedziała takim tonem, jakby besztła dziecko.  
- Chciałabym wiedzieć, gdzie jest twój statek, i chcę dostać kody sterujące. I chyba właśnie ty wiesz najlepiej ze wszystkich, że naprawdę nie powinieneś mnie irytować.

- Wiem. Po co ci statek?

- Och, daj spokój, wiesz po co, kochanie. Marius może być lekko zirytowany, że wobec swoich panów wyszedł na kompletnego durnia, ale to mnie raczej nie motywuje, prawda, panie ekspercie od Kotki?

- Paula. Chcesz złapać Paulę.

Klasnęła w dłonie.

- Ona i ja spędzimy razem mnóstwo czasu. Widzisz, mam własne plany. Wielkie plany na temat naszej wspólnej przyszłości. I potrzebuję Pauli nienaruszonej. W tym właśnie mi pomożesz, przekonasz ją, że wszystko tutaj idzie jak po maśle.

- To bezcelowe. Nikt już nie ma przyszłości. Galaktyka jest zjadana żywcem. Wszyscy umrzemy w ciągu kilku lat.

Przez twarz Kotki przebiegł błysk irytacji. Przez długą chwilę patrzyła na Trobluma.

- Chcę, by wkroczyła tutaj, spodziewając się, że cię tu zastanie. Raczej bez podejrzeń, choć to paranoidalna suka. Tak więc... statek. Natychmiast.

- Nie.

- Co robię z ludźmi, których nie lubię?

Wzruszył ramionami; nie chciał myśleć o szczegółach, które tak pracowicie przez dziesięciolecia wyciągał z różnych raportów policyjnych.

- Pomożesz mi - oznajmiła. - Nie zmuszaj mnie, żebym ci groziła. Jestem cierpliwa tylko dlatego, że wiem, że rozumiesz konsekwencje swej głupoty. Więc zadaj sobie pytanie: dlaczego Stubsy i jego przyjaciółki tak chętnie współpracują?

Troblum odwrócił się do handlarza. Nie rozważał tego wcześniej. Następną pomyłką, pomyślał.

- Po prostu jej pomóż - powiedział Stubsy rwącym się głosem.

- Oszukiwałam - powiedziała Kotka i przyłożyła palec do ust. - Zła ze mnie dama. Wykorzystałam małą wtyczkę. - Uśmiechnęła



się szeroko do towarzyszek, które, zaciskając zęby, patrzyły na nią z wściekłością. - I dość trudno było ją włożyć, prawda, dziewczęta? Wiesz, naprawdę musiałam je przytrzymywać, żeby to zrobić, nie obyło się bez dziewczęcych pisków i szamotaniny. A teraz popatrz na nie: wykonują rozkazy i są szczęśliwe.

Troblum pomyślał, że może zwymiotować. Jego biononika ciężko pracowała, by kontrolować gruczoły dokrewne. I wreszcie nie potrzebował żadnych programów, by zinterpretować wyrazy twarzy zarówno Somonie, jak i Alcindy - ich strach i wstręt. Somonie wyciekła z prawego oka łza.

- Dziewczyny przytrzymają cię teraz dla mnie, Troblumie - powiedziała Kotka. - Nawet ich głupiutkie modyfikacje zbrojeniowe mogą sobie poradzić z twoim żalnym polem siłowym. Kultura Eleatów - powiedziała, kręcąc głową. - Jak wpadliście na taką nazwę? Czyżby kompensacja braku pewności siebie? I myślisz, że to ja mam jakieś wady psychiczne.

Obie towarzyszki ruszyły ku Troblumowi. Poleciał wyłączenie się wszystkim polom na wszystkich skrzynkach, jak również wyłączył własne pole siłowe. Kotka zareagowała natychmiast. Znikła wewnątrz srebrzystej poświaty, jakby została zapakowana w omyty księżycem jedwab.

- Stop - powiedział Troblum dziewczętom.

Zawahały się, spoglądając na żarzący się kształt Kotki, czekając na instrukcje.

- Troblumie? - Z ochronnej aury dobiegł go łagodny głos Kotki. - Co robisz? Nie masz teraz żadnej ochrony.

- Pamiętasz to? - zapytał i wskazał na szary jajowaty przedmiot na stole przy drzwiach.

- Nie - odparła Kotka.

- Był na Ables ND-47, na którym wjechałaś w Boongate - wyjaśnił Troblum. Wolałyby się nie pocić tak bardzo i nie drzeć. - Ktoś go zachował i wziął ze sobą na nowy świat swej planety. Nigdy nie dowiedziałem się po co. Może myślał, że da mu to przewagę nad swymi bliźnimi osadnikami. Ale rząd to skonfiskował i obiekt zagubił się wśród archiwów wojennych na kilkaset lat. Potem znalazło to jedno z muzeów i...

- Troblum! - Gniewny głos Kotki rozległ się w komnacie niczym trzask bicza.

- Tak, przepraszam. To dozownik porażacza strefowego - objaśnił łagodnie Troblum. - I naprawdę miałem szczęście. Kiedy go kupiłem, muzeum trzymało go w polu stabilizującym, tak że jest nadal funkcjonalny i aktywny. To rzecz staromodna, ale wątpię, by w takiej zamkniętej przestrzeni ktoś miał jakieś szanse, nawet w polu siłowym takim jak twoje. Jak ci się wydaje?

- Grozisz mi, kochanie? - spytała Kotka po chwili milczenia.

- Trzymam go na przełączniku podwójnej aktywacji - oznajmił Troblum. - Mogę go odpalić, jeśli uznam, że masz zamiar mnie skrzywdzić. Albo, jeśli będziesz dla mnie zbyt szybka i mnie wyeliminujesz, obiekt odpali również.

- Och, wsadźcie mi w dupę nóż siłowy - jęknął Stubsy. Nogi mu zwiotczały, osunął się na podłogę. - Nie zniosę tego dłużej. - Zakrył dłońmi głowę i załkał. - Po prostu zrób to, do cholery, chłopie. Skończ z tym, na miłość jeba. Zabij nas.

- Nie robi tego - skomentowała Kotka. - Nie jest odpowiednim typem. Jeśli odpalisz tę rzecz, tłuściochu, zginiemy wszyscy, nie tylko ja. Jeśli zrobisz, jak mówię, i pomożesz mi złapać Paulę, mogę nawet zapomnieć o tym małym występku. Dalej, Alcindo - rozkazała.

Troblum wysłał rozkaz do tablicy sterującej dozownika. Metalowa powierzchnia obiektu zafalowała, otwierając pięćdziesiąt małych portali.

- Nie. - Alcinda zdołała wykonać krok ku niemu. Teraz znów się zatrzymała.

- Zrób to - powiedziała Kotka.

- Oni nie rozumieją - rzekł Troblum. - To nie wkład pomaga ci ich kontrolować. Oni mają nadzieję. Ja jej nie mam. Ja wiem, jakie to głupie. Znam cię. Jesteś prawdopodobnie jedną z niewielu osób, które rzeczywiście rozumiem. Właśnie dlatego wyłączyłem swoje pole siłowe. Tak że nie ma szans, bym przeżył eksplozję. Wiem, że masz zamiar mnie zabić, bez względu na to, co zrobię. I obydwójce wiemy, że nie zostaną ponownie ożywiony, nawet jeśli galaktyka przeżyje. Dla mnie to będzie prawdziwy koniec. Nie po

prostu utrata ciała, ale prawdziwa śmierć. Więc równie dobrze mogę wyświadczyć rasie ludzkiej przysługę i zabrać cię ze sobą.

- A co ze Stubsym i dziewczętami? - zapytała Kotka.

- Zrób to, pieprzony sukinsynu! - wrzasnęła Stubsy.

- Tak - warknęła Alcinda. - Weź nas...

Jej ciało zeszytywniało, plecy wygięły się konwulsyjnie. Kręgosłup przegiął się tak mocno, że Troblum pomyślał, że grozi złamaniem. Dłonie zacisnęła na głowie, eleganckie paznokcie wydrapywały długie krwawe pasma na czaszce, kiedy chciała z niej wyrwać źródło bólu. Wrzasnęła, a nogi załamały się pod jej ciężarem.

- Nie zaciemniajmy tej kwestii kiepskimi radami postronnych - powiedziała Kotka. - Nadal myślisz, że się z tego wywiniesz? W przeciwnym razie od razu odpaliłbyś porażacz. O co ci chodzi?

- Nie wiem - oznajmił Troblum. - Nie mam programu taktycznego. To nie ma logicznego rozwiązania. Po prostu czekam, aż zrobisz coś przerażającego, wtedy to odpalę. Umrzemy razem.

Gapił się na Alcindę, która bezradnie wiała się na podłodze. Futrzaste grzyby wyłaniały się z jej oczu, ust i uszu. Rozkwitały z jej pępka. Zaczęły rozlewać się szeroko, puchnąc.

Kotka zaśmiała się.

- Och, kochanie, jesteś uroczy. Jestem jedyną osobą, którą rozumiesz, i z tego właśnie powodu chcesz się zabić. A może byś wyszedł przez drzwi i pognął do statku, a ja poczekam na Paulę?

Troblum jak urzeczony patrzył na Alcindę, która zaczęła trząść się w ataku konwulsji. Miała teraz głowę częściowo pokrytą futrzastymi naroślami, inne wysuwały się spod majteczek. Na koniuszku każdego kudłatego pasma połyskiwała mała kropelka przezroczystej cieczy. Konwulsje wzmożyły się. Troblum poważnie rozważał, czyby nie zabić dziewczyny impulsem dystorsyjnym, jeśli jego biononika zdoła taki impuls wygenerować.

- Nigdy nie dotarłbym do schodów - powiedział, rozpaczliwie próbując się skupić na słowach Kotki. Śmierć dla Alcindy byłaby wybawieniem, a ona z całą pewnością składauje pamięć w

bezpiecznym magazynie i jej ubezpieczenie obejmuje ożywienie.  
- Inne towarzyszkis Stubsy'ego by to zagwarantowały.

Kotka wykonała nieznaczny gest dłonią. Alcinda przestała drżeć, jej ciało bezwładnie opadło na kamienną podłogę.

- Widzisz. Jeśli tylko tym się niepokoisz, dziewcząt można się z łatwością pozbyć.

Troblum pomyślał, że sam opadnie na podłogę. Przerazona Somonie wpatrywała się w ciało Alcindy. Szare futro nadal rosnęło. Troblum nigdy wcześniej nie widział, jak ktoś umiera, a już z pewnością nie w taki straszny sposób.

- Nie rób tego - wydyszał.

- Czemu? Myślałam, że i tak masz zamiar nas zabić.

Troblum pogodził się z myślą, że zginie. W pewien sposób dobrze się składało, że uczyni to, jednocześnie eliminując najbardziej przerażającego człowieka, jaki istniał kiedykolwiek.

Węzły willi nagle się włączyły, przekazując krótką, zaszyfrowaną wiadomość, której nie mógł odcyfrować. Spróbował z nich skorzystać, by połączyć się znowu ze swym statkiem, ale nie chciały autoryzować jego u-adiunkta.

- Jest tutaj - warknęła uszczęśliwiona Kotka. - Czy dlatego starałeś się tak zyskać na czasie, kochanie? Myślałam, że ma przylecieć za dwie godziny.

- Przykro mi - odparł Troblum. Nie mógł powstrzymać szerokiego uśmiechu.

- Nie pozwolę, by cię ocaliła, kochanie. - Kotka uniosła ramię, wyrzuszając poświatę.

- Możesz odejść - powiedział szybko Troblum.

- Co takiego?

- Idź. Stocz swoją bitwę. Jeśli ktoś może cię pokonać, to będzie Paula. Poczekał tu na dole. Jeśli chcesz, zostaw tu Somonie, by mnie pilnowała. Nie mogę wysłać żadnej ostrzegawczej wiadomości do Pauli. Jeśli wygrasz, odpalę porażacz. Jeśli przegrasz, nie będziesz przecieżyć panią sytuacji.

- Sprytny chłopak - powiedziała Kotka z podziwem. - Zgadza się. Stubsy, wstawaj. Teraz, kiedy Troblum się nie bawi, będziesz musiał robić za przynętę.

- Nie! - zawył Stubsy. Jego ciało szarpnęło się i wstał z trudem, tak szybko, jakby podłoga rozżarzyła się nagle do białości.

- Zrób to do cholery, ty wszechmocny gówniarzu! - zawołał Stubsy do Trobluma. - Zabij nas wszystkich. Zabij ją!

Stubsy gwałtownie zamilkł. Z kącika zaciśniętych ust wypływał mu powoli strumyczek krwi.

- Somonie, zostajesz tutaj - poleciła Kotka i wyszła z komory. Stubsy Florac pokuśtykał za nią, rzucając ostatnie zrozpaczone spojrzenie na Trobluma. Drzwi z plastmetalowej zamknęły się jak żrenica, obramowując stojącą w nich Somonie ciemnym kręgiem.

- Przepraszam - powiedział do niej Troblum.

Nic nie odpowiedziała, choć widział, jak bezgłośnie porusza ustami.

Kotka musi zdalnie nią kierować, odgadł. A więc nie miał wiele czasu. Potem zauważył, w jaki sposób wzrok dziewczyny wciąż wędruje tam i z powrotem od niego do ciała Alcindy. Ohydny szary porost całkowicie pokrył trupa - teraz zaczął rozprzestrzeniać się po podłodze, wypuszczając kosmate liście, rozplývające się jak ciecz.

Troblum znów aktywował swoje indywidualne pole siłowe i pośpieszył przez komorę do najdłuższej skrzynki w kolekcji. Był pewien, że na zewnątrz coś huknęło, może kilka razy, ale drzwi skutecznie go oddzielały i nie chciał wyłączać znowu swego pola siłowego. Paula musiała przybyć do samej willi. Do podniesienia wydłużonego cylindra z kołyskowych zamocowań musiał wykorzystać swoje wzmocnienie bioniczne. Broń okazała się niewiarygodnie ciężka, ale z drugiej strony projektanci starych okrętów klasy Moskwa nie musieli martwić się o masę. Ledwo zdołał postawić go pionowo, czując się jak prehistoryczny rycerz wznoszący lancę. Kraniec cylindra znajdował się zaledwie kilka centymetrów od sufitu komory - kołysał się, gdy Troblum usiłował go ustabilizować. Nie miał gwarancji, że starożytne elementy nie rozsypią się po włączeniu broni. Nie miał też pewności, czy jego indywidualne pole siłowe wytrzyma awaryjny wybuch albo pomyślnie wyładowanie. Ale Kotka wyeliminowała z

jego życia niepewność, teraz igrał z logiką i ze śmiertelnymi skutkami swych działań.

Spojrzał prosto na Somonie, która zatrzepotała prawą powieką. Po raz drugi w tym dniu Troblum nie potrzebował programu, który interpretuje ludzkie emocje. Skinął jej głową i odpalił laser neutronowy statek-statek.

\*\*\*

Dla Pauli odkrycie, kto jest sprzymierzeńcem Trobluma na Sholapurze, nie przedstawiało żadnej trudności. Tajne przekazy pieniężne Trobluma były przedmiotem księgowości śledczej prowadzonej przez departament Ministerstwa Skarbu Senatu Wspólnoty od chwili, kiedy Justine zameldowała o jego dziwnym, pustym hangarze w kosmoporcie na Daroce. Skarbowka szybko odkryła, że na konta Stubsy'ego Floraca przez lata wpłynęły wielkie pieniądze, i Bezpieczeństwo ZAN miało grubą teczkę na temat działalności handlarza. Florac - osobnik raczej dokuczliwy niż groźny - przewoził różne obiekty na terenie Wspólnoty. Bezprawnie. Większość tych obiektów zasadniczo była nieszkodliwa, jak pamiątki wojenne Trobluma, jednak dostarczał również broń rozmaitym grupom agitatorów. O ile ZAN się orientowała, Florac nie był związany z żadną frakcją ani z jej agentami. Wbrew swoim wyobrażeniom Stubsy był bardzo małą płótką w porównaniu z prawdziwymi politycznymi czy gospodarczymi wywrotowcami działającymi na obrzeżach społeczeństwa Wspólnoty.

Wobec tego Paula przyleciała swym statkiem „Alexis Denken” na dzień przed umówionym spotkaniem. Zeszła przez atmosferę w nocy, w trybie maskowania, i zapadła pod wodę trzydzieści kilka kilometrów od willi Floraca. Kiedy zbliżyła się do brzegu, zainteresowało ją znalezisko: wrak łodzi - poduszkowca wysokiej mocy, spoczywający na piasku niedaleko uroczych białych plaż Floraca. Autonomiczne czujniki zbadały wrak i pokazały, że łódź została pocięta impulsem dystorsyjnym. Paula odgadła, że nie jest jedyną osobą, pragnącą się spotkać z nieuchwytnym Troblumem. Dla jakiejś frakcji przechwycenie

rozmów z bezpieczeństwem ZAN:Władz byłoby trudne, ale mieściło się w granicach możliwości. A Troblum obiecał ujawnić coś, co uważał za ważną informację związaną z Progresywistami. Ilanthe z pewnością wysłałaby kogoś, by go przechwycił. Możliwe, że nawet samego Mariusa. Paula z radością by go zaaresztowała, choć prawdopodobnie uruchomiłby samozniszczenie, zanim poddałby się tak upokarzającej procedurze.

Pięć dron z czujnikami wychyńło z morza i zajęło pozycję w różnych wysoko położonych punktach wokół rezydencji. A Paula czekała. Z wyściełanej niszy składowania wysunął się fortepian. Miał trzysta lat, został zrobiony z jodrzewa, migotał w przyćmionym oświetleniu kabiny łagodnym czerwono-brązowym światłem. Instrument wykonał ręcznie w warsztacie na Lothian artysta-Elewat, który przez sto pięćdziesiąt lat doskonalił swe rzemiosło i przewyższał kunsztem nawet legendarnych ziemskich wytwórców fortepianów. Paula zamówiła instrument u mistrza, a jego bogaty dźwięk był wart dziewięćdziesięciu lat czekania.

Usiadła na wyściełanym aksamitem stołku, wyciągnęła nuty i kolejny raz spróbowała zagrać „Dla Elizy”. Kłopot polegał na tym, że nie miała czasu na ćwiczenia. Wykorzystanie programu muzycznego połączonego z funkcjami sprawności manualnej byłoby bardzo łatwe. Ale Paula chciała zagrać ten utwór właściwie. Ten piękny fortepian zasługiwał na taki poziom szacunku i oddania. Używać dłoni prowadzonych programem to jak odtwarzać nagranie.

Zaciekawione miejscowe ryby, które węszyły wokół niezwykłego jaja spoczywającego na piaszczystym dnie, poddano starodawnej melodii, powtarzanej kilkadziesiąt razy, przerywanej i rozpoczynanej od nowa z niestrudzoną determinacją.

Dzień później, grając już ze znacznie większą pewnością siebie, Paula musiała przyznać, że statek Trobluma jest wyjątkowo dobrze zamaskowany. Została zaskoczona wielką postacią w sfatygowanym togaturze wyjeżdżającą na małym skuterze z lasu

na krańcach posiadłości Floraca. Żaden z jej czujników nie uchwycił „Pokuty Melanii”, kiedy ta schodziła z orbity. Palce Pauli zawisły nieruchomo nad klawiszami ze sztucznie wyhodowanej kości słoniowej, jakby w oczekiwaniu, co się stanie.

Skuter zatrzymał się tuż przed słupami znaczącymi granicę posiadłości. Zakołysał się dziwnie, a Troblum otworzył połączenie z Florakiem. Potem systemy strzegące posiadłości rozbroiły się i Troblum niepewnie poleciał ku willi.

Wkrótce po tym, jak wpuszczono go do środka, willę przykryto polem siłowym. Nadeszło czoło monsunu.

Troblum wywołał departament bezpieczeństwa ZAN:Władz, które przekazało wywołanie Pauli. Jej drony czujnikowe nie mogły zbliżyć się dostatecznie do willi, by dać wyraźny obraz jej rozmówcy, stojącego przy basenie, ale z pewnością podczas rozmowy widziała linię egzotycznych żółtych i zielonych roślin kwitnących, które osłaniały otwartą stronę podwórza z basenem. Nie kłamała. Z pewnością byłaby w willi w ciągu dwóch godzin.

Paula poleciła smartkorowi wciągnięcie fortepianu z powrotem w niszę, włożyła pancierz, aktywowała trzy z bojowych robotów zmagazynowanych w przedniej ładowni i wyszła przez służę. Szybko przeleciała po niskiej krzywej na szczyt klifu nad białą plażą i wylądowała obok jednego ze srebrnych słupów na granicy posiadłości. Trzy roboty bojowe, trudne do wykrycia w ulewie, unosiły się opiekuńczo nad jej głową. Wciąż błyskały wylądowania atmosferyczne. Czujniki ją zlokalizowały, a smartkor willi zażądał, by się przedstawiła.

- Oczekujecie mnie. Jestem Paula Myo, przedstawicielka ZAN z wizytą oficjalną. Teraz mnie wpuście.

Żadna odpowiedź nie nadchodziła. Słupy graniczne pozostały aktywne, wykorzystwała więc laser protonowy, by unieszkodliwić osiem stojących najbliżej. Skafander przeniósł ją ku willi, utrzymując wysokość pięciu metrów nad ziemią. Przed nią pole siłowe twardniało. Krążyła, aż doleciała do otwartego końca trójbocznego budynku. Woda falowała po polu siłowym, rozmazując obserwowane obrazy. Paula zobaczyła jednak trzy



kobiety w bikini o budowie ciała Amazonek, śpieszące wokół basenu i zajmujące pozycje za głazami wodospadu. Mały plik wywiadowczy o Floracu wspominał o jego ulubionym typie ochroniarzy.

- Och, dajcie spokój - powiedziała cicho. Nie miały nawet pancerzy. Głupie amatorki.

Ustawily się w szyku standardowym, broniąc dostępu do willi. Paula zgadywała, że właśnie tam kuli się ze strachu ich szef razem z Troblumem.

Dwa z robotów bojowych zrzuciły chmurę pochłaniaczy energii na szczyt kopuły pola siłowego willi. Niewielkie czarne kule ślizgały się i zjeżdżały po krzywej. Jaskrawe płomienie energii smagały wokół wszystkich punktów kontaktowych i pochłaniacze zwalniały, tak jakby kopuła z jakichś przyczyn stała się lepka. Pioruny błyskały z obłoków nad głową, przyciągnięte przez krzepki strumień jonów, musujący spod każdego pochłaniacza, i uderzały w pole siłowe. Mrok otaczający pochłaniacze zaczynał się rozszerzać i powoli zapadać w pole siłowe, które obecnie, niebezpiecznie naciągnięte, migotało szkarłatem.

Gorąca, parująca woda zaczęła przesączać się przez pole siłowe i obryzgiwać teren basenu. Pole ochronne willi świeciło jak czerwony karzeł, zjadany przez czarnego raka. Pełne polowe skanowanie Pauli wypalało drogę przez słabnącą kopułę. Dostrzegała w Amazonkach kilka modyfikacji obronnych, nabierających mocy. Ani śladu Trobluma.

- Gdzie jesteś? - powiedziała cicho.

Jeszcze jeden silnie zmodyfikowany człowiek poruszał się powoli w willi. Trudny do namierzenia, kiedy znękanе pole siłowe nadal uparcie funkcjonowało. Funkcje polowe Pauli ciągle nie mogły zlokalizować Trobluma, musiał być głębiej, możliwe, że pod ziemią.

Piorun znów smagnał. Roboty bojowe dodały do uderzenia trzy ciosy laserów protonowych. To było już za dużo. Pole siłowe zapadło się w niszczyielskiej dźwiękowej fali uderzeniowej, która porwała na strzępy rośliny nad basenem i wysłała w mokre

niebo kaskadę nadpalonych liści. Okna rozleciały się, rozrzucając po posadzce długie kawałki szkła.

Kiedy ulewa nasyciła willę, Paula spikowała na teren basenu. Kobiety - Amazonki przywitały ją salwą laserów rentgenowskich i impulsów dystorsyjnych. Pociski z pistoletów żelowych były nieszkodliwie po polu siłowym jej pancerza. Zaintrygowało ją to. Przecież Stubsy - czy ten, kto rozwalił poduszkiwiec - musiał mieć jakieś silniejsze bronie?

- Natychmiast dezaktywujcie wasze modyfikacje - poleciła Paula.

Roboty bojowe pomknęły przez ulewę ku kobietom. Dwie z nich, wycofując się do willi, otworzyły ogień do ciężkich robotów. Paula pchnęła impuls dystorsyjny w jeden z głązów wodospadu, tuż po tym, jak dziewczyna w jaskrawozielonym bikini porzuciła go i czmychnęła przez zrujnowane drzwi patio. Głąz rozprysnął się na tysiące kawałków, które wbiły się w mury willi.

- Stójcie! - wrzasnęła.

Ale kobiety rozpiierzchły się po długim holu. Znów utworzyły szyk obronny.

- Troblum, wyłaż. Na litość boską, przecież zaprosiłeś mnie tutaj.

Następna kanonada wystrzałów energetycznych zabębniła po jej polu siłowym. Oślepiające fioletowe sieci ładunków elektrycznych wyrwały się z rykiem z miejsc uderzeń, zamieniając w parę spływający po Pauli deszcz. Westchnęła: trudno będzie zneutralizować te głupie kobiety bez czynienia im krzywdy. Jej funkcje polowe omiały willę. Zmodyfikowana osoba, którą dostrzegła wcześniej, skradała się przy tylnej ścianie pomieszczenia ochranianego przez kobiety. Paula nadal nie mogła zlokalizować Trobluma.

- Dość tego - zdecydowała.

Regraw pancerza uniósł ją z ziemi, przenosił w przód. Wystrzeliła impuls dystorsyjny. Rozwalając ścianę przed sobą i pół dachu powyżej, otworzyła hol. Kaskada gruzów spadała razem z deszczem. Kobiety natychmiast zanurkowały pod osłony, reorganizując wzorzec ogniowy.

Drony czujnikowe spoza willi zameldowały, że przez potoki deszczu coś zbliża się do willi. Wielki statek, lecący bardzo nisko, tą samą drogą, którą skuter Trobluma wynurzył się z lasu. Jego kosmolot. Paula zwolniła nagle; nie знаła możliwości statku. Z podłogi holu przed nią wytrysnęły żółte i fioletowe płatki energii egzotycznej. Osiem, zawijających się w górę, jak szczęki jakiegoś brutalnego drapieznika. Przemknęły zaledwie metr od jej pancerza, zderzając się ze sobą, by uformować szeroką kolumnę. Kolumna zaczęła się skręcać, płatki znowu oddzieliły się od niej, wyciągnęły się do Pauli, wydłużały się szybko.

Regraw skafandra Pauli pchnął ją gwałtownie, odepchnął w tył. W szoku łapała powietrze. Razem z trzema przeciwniczkami wyzwoliła potoki energii ku podstawie tego przejawu energii egzotycznej. Próbowały zniszczyć generator. Koniuszek energii egzotycznej pogłaskał przód pola siłowego pancerza Pauli. W jej egzowizji wykwitły dziwaczne symbole ostrzegawcze.

Ziemia eksplodowała ku górze.

Paulę wyrzuciło wysoko w powietrze ponad willę. Wirowała bezradnie. Przez sekundę sądziła, że przebiła generator energii egzotycznej. Ale żółte widma nadal skakały wokół, jak płomienie w huraganie. Trwały jeszcze sekundę i zgasły.

Paula ustabilizowała swój koziołkujący lot na pięćdziesięciu metrach nad willą. Kiedy jej czujniki omiotły scenę poniżej, zobaczyła ogromny krater i zupełnie zrujnowany bok budynku. Miał szerokość dwudziestu metrów, zbocza stanowiła gołą, tłącą się ziemia. W dnie ział otwór, prowadzący do jakichś podziemnych pomieszczeń. Wszędzie leżały pogięte metalowe szczątki.

- Przyleć tu natychmiast - rozkazała Paula „Alexisowi Denkenowi”. Trzem robotom bojowym poleciła zaatakowanie punktu o współrzędnych generatora energii egzotycznej.

Zabójcza salwa impulsów dystorsyjnych i laserów protonowych smagnęła w dół, oświetlając zburzoną willę, żarzącą się aureolą o wiele jaśniejszą od blasku błyskawic na niebie.

Teraz Paula opadała szybko, pragnąc uniknąć wszelkich kontaktów z energią egzotyczną. Dotychczas miała szczęście, ale

ten generator był w stanie ją schwytać, całą, razem ze skafandrem. Ktoś wdrapywał się po wewnętrznych zboczach krateru. Skanowanie polowe wykazało, że to duża osoba. Elewat, którego indywidualne pole siłowe ledwo działało.

- Troblum - nadała.

Potknął się i zatrzymał na górze krateru. Kołysał głową jak pijany.

„Alexis Denken” wychynął na powierzchnię i ostro przyśpieszał. Dziesięć robotów bojowych wystrzeliło z jego przedniej ładowni, by dodać swoją osłonę ochronną. I jeszcze jeden statek nagle mknął ku willi z dziewięciokrotną szybkością dźwięku, pędząc wokół otaczających pagórków w kakofonii gwałconego powietrza.

Paula wylądowała na łące błotnistej gleby, która jeszcze przed kilkoma minutami była przyjemną rabatą kwiatową. Pierwszy kosmolot dotarł do krateru. Z boku wyglądał jak klasyczny stożek rakiety z ośmiu radialnymi, skierowanymi naprzód płetwami ogonowymi. Dziób zanurkował ku Troblumowi, śluzą otwierała się źrenicowato.

- Stop - nakazała mu Paula.

Wtem funkcje polowe ukazały jej inną postać wychodzącą spod ziemi do ruin willi Floraca. Ta żarzyła się na biało i żadne polowe skanowanie nie było w stanie jej zbadać. Paula instynktownie zignorowała Trobluma. Wiedziała, że teraz grozi jej prawdziwe niebezpieczeństwo. Stała naprzeciw postaci - oddzielały ją od niej parujące resztki basenu.

„Alexis Denken” nadleciał z hukiem przez monsun, w otoczeniu swych robotów bojowych. Zatrzymał się za Paulą, unosząc się parę metrów nad gruntem, i rozciągnął swe pole siłowe, okrywając ją. Siła ognia, wystarczająca do zamiany miasta średniej wielkości w parę, skoncentrowała się na błyskającej postaci stojącej spokojnie pośród strzaskanych murów.

Troblum zniknął w śluzie swego statku, a sam pojazd obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni i dziobem wskazywał burzowe chmury. Wtedy przybył trzeci kosmolot. Paula spodziewała się, że otworzy on ogień do statku Trobluma. Ale zamiast tego statek

zajął pozycję za białą postacią, lustrzane odbicie Pauli i „Alexisa Denkena”. Statek Trobluma pomknął w górę z przyśpieszeniem dwudziestu pięciu g. „Alexis Denken” zameldował, że w statku-intruzie są uruchamiane liczne, systemy obronne.

- Marius, czy to ty? - spytała Paula.

Biała postać na coś wskazała. W jakiś sposób Stubsy Florac przeżył rzeź. Pełzł po zniszczonej drewnianej podłodze, krew ciekła mu z kilkudziesięciu ran szarpanych.

- Do diabła - syknęła Paula.

Jeśli zajmie się porachunkami ze swym przeciwnikiem, nie da się przewidzieć ich wyniku. ZAN dobrze ją wyposażyla, ale przedstawiciel frakcji, z którym najwidoczniej miała do czynienia, również dysponował potężnym arsenałem. Jeśli wygra, nigdy się nie dowie, kto tak bezczelnie rzucił wyzwanie jej, a za jej pośrednictwem ZAN. Po pokonaniu nie zostanie żadnego śladu z wyjątkiem rozpraszającej się chmurki jonów. I ktokolwiek wygra, będzie to oznaczało stratę ciała dla Stubsy'ego Floraca, a prawdopodobnie i jego śmierć. W ruinach willi mogą się nawet ukrywać inni ocaleli - zatrudniał kilka tych głupich Amazonek jako ochroniarzy. Paula przez stulecia odrzuciła wiele swych cech, ale jej pewność co do tego, co jest złe, a co dobre, pozostała bezwzględna. Ona, Paula Myo, nie miała prawa wystawiać cywili na niebezpieczeństwo, nawet cywili tak odrażających jak Florac. Jej rola we wszechświecie polegała na pilnowaniu przestrzegania prawa. I choć w tej chwili Florac jej zawadzał, nie mogła ryzykować, że stanie mu się krzywda.

W każdym razie Florac był cennym świadkiem. Lepiej, żeby to ZAN radziła sobie z przeciwnikiem takim jak frakcja. Potyczka Pauli z przedstawicielem frakcji niczego nie załatwiła.

Stała bez ruchu, patrząc na zimną, świetlistą postać po drugiej stronie basenu. Skanowała połowo lśniące pole siłowe, ale nie zauważyła w nim żadnej usterki. Jedna rzecz była pewna - to nie Marius - postać była za niska.

Biała postać została wciągnięta w swój kosmolot. Uniosła dłoń w szyderczym pozdrowieniu. Głupie zakołysanie pośladkami, a potem śluza zamknęła się, odcinając lśniącą zorzę. Kosmolot

gładko wszedł w chmury burzowe, utworzył na niebie ciemny zawijas i zniknął w stratosferze. Paula wykorzystała czujniki „Alexisa Denkena”, by śledzić go jak najdłużej. Kiedy kosmolot opuścił jonosferę, włączył się efekt maskujący. Została drobna sygnatura kwantowa - smartkor wykrywał, jak przyśpieszała nad równikiem. Potem statek prawdopodobnie wszedł w hiperprzestrzeń. Najczulsze czujniki ZAN złowiły drobne zakłócenie wśród pól kwantowych, co wskazywało na ultranapęd. Potem nie było już nic.

Paula zacisnęła wargi i zagwizdała długą pojedynczą nutę. Roboty bojowe, unoszące się nad willą, ukazały jej Stubsy'ego Floraca wijącego się z bólu na zniszczonej drewnianej podłodze. Pośpieszyła ku niemu i zdążyła zobaczyć dziwne szare narośla wylewające się mu z uszu i z nosa.

Jej u-adiunkt otworzył połączenie bezpośrednio do skupisk makrokomórkowych Stubsy'ego.

- Florac? Czy to odbierasz?

Z oczu mężczyzny zaczęła wylewać się futrzasta szara substancja.

- Kto to był, Florac? Czy wiesz, kto to zrobił?

W odpowiedzi otrzymała tylko napływ białego szumu w łączu.

- W porządku, zabieram cię do komory medycznej. Mój statek ma ją najlepszą we Wspólnocie. Będziesz zdrow.

Podniosła go i wleciała prosto w śluzę, polecając smartkorowi, by zainicjował procedury odkażające pierwszego stopnia. Naprawdę nie podobał jej się widok grzybiastej masy.

- Trzymaj się, Florac, wyzdrowiejesz. Zostajesz ze mną, rozumiesz?

Dostanie się do kabiny zabrało jej tylko kilka sekund, ale kiedy opuściła mężczyznę do komory medycznej - pudła wielkości trumny - miał już konwulsje. Połyskująca stalowo plastmetalowa pokrywa płynn timer zamknęła się nad rannym.

Skanowanie wykryło, że szara substancja zaatakowała całe ciało chorego, zjadając i niszcząc wszystkie organy. Owinęła się wokół nerwów, nie uszkadzając ich, lecz je obejmując. Paula obserwowała odczyty ze wstrętem i przerażeniem. Intruz

pakował ciągły strumień impulsów do wszystkich włókien nerwowych w ciele Floraca. Paprociowate liście w jego mózgu stymulowały wybrane drogi neuronowe, by zagwarantować, że jego świadomość pozostaje nienaruszona.

Nie pozostało wystarczająco dużo oryginalnego ciała, by komora medyczna mogła je podtrzymać. Paula patrzyła, jak Florac umiera w największych bólach, jakie może przetransportować ludzki system nerwowy.

- Wydostań jego komórkę pamięci - poleciła komorze medycznej.

Ale nawet to okazało się niemożliwe. Szare liście wyzarły komórkę pamięci, rozłamały ją na części. Jeszcze raz przejrzała komunikaty komory ze wzrastającym niepokojem. Szara masa wyglądała na jakiegoś bionicznego wirusa, zdolnego niszczyć zarówno składniki organiczne, jak i nieorganiczne. Wirus już przenikał do instrumentów i manipulatorów, które dotykały ciała Floraca, przekształcał je w siebie, wgryzał się w osłonę komory medycznej.

- Cholera! - warknęła.

„Alexis Denken” wystrzelił z atmosfery na wysokość pięciu tysięcy kilometrów, a potem wyrzucił całą komorę medyczną. Koziołkując, oddalała się od kosmolotu; odbite słońce jasno pobłyskiwało na jej powierzchniach metalowych i plastikowych. Paula kilka razy omiotła komorę potężnym laserem promieni gamma, zapewniając, że wszystkie molekuly wirusa się rozlecą, a potem dokończyła dzieła pojedynczym impulsem dystorsyjnym. Rozpalony do białości żużel, który pozostał po komorze medycznej, rozpadł się iskrzącym się, spienionym rojem.

Kilka czujników na powierzchni planety namierzyło „Alexisa Denkena”. Smartkor otrzymał żądania identyfikacji od wszystkich miast na planecie. Paula po prostu je zignorowała i poleciała znowu w dół ku willi.

Monsun nadal moczył gruz, nad którymi krążyły roboty bojowe. Na popękanych płytach gulgotały długie strumyczki, napęczniałe śmieciem i pylistym błotem. Paula ostrożnie podchodziła do krateru, a buty jej pancerza, rozbryzgiwały wodę.

Porozrywana ziemia była lekko radioaktywna. Roboty szpiegowskie zanurkowały, by przeskanować resztki podziemnej komory. Między zwałami zwęglonego plastiku i pogiętego metalu znalazły spalone ciało. Wydawało się, że to jeszcze jedna ochroniarka Floraca. A potem roboty znalazły sygnaturę szarej substancji. Jej pasemko przyczepiło się do kawałka połamanej skały. Krańce pasemka falowały, kiedy próbowały znaleźć miejsce do wzrostu.

- Niech to cholera! - zakląła Paula.

Nie można było nic zrobić. Zawezwwała na dół dwa roboty bojowe i zaczęła systematyczną sterylizację tego miejsca laserami gamma. Wywołała ZAN.

- To wszystko tu na dole wydaje się trochę zwariowane - przyznała.

- Progresywiści wydają się zdesperowani, by uciszyć Trobluma.

- Nie. Tutaj wydarzyło się coś innego. - Paula stała w pozostałościach holu i polowym skanerem badała połamane fragmenty generatora materii egzotycznej. Nie zostało z niego dużo i była dość pewna, że nie tylko jej ogień jest za to odpowiedzialny. W pewnym momencie walk uległ samozniszczeniu. - Ktokolwiek tutaj był, mógł wyeliminować Trobluma w tej samej sekundzie, w której się pojawił. Nie zrobił tego. Chciał go wykorzystać jako przynętę dla mnie. System materii egzotycznej miał mnie uwięzić. To wyjątkowo wyrafinowana pułapka. Ktoś zadał sobie wiele trudu. Miałam szczęście, że statek Trobluma przybył w tamtym momencie. Jeszcze sekunda i zostałabym pochłonięta.

- Przez te wszystkie lata zyskałaś sobie wielu wrogów.

- Tak, ale ten ma poparcie frakcji. Miał statek z ultranapędem, w zasadzie równorzędny z „Alexisem Denkenem”, miał tego wstrętnego wirusa i wiedział, że przylecę tu na spotkanie z Troblumem. Logicznie rzecz biorąc, musi być sprzymierzony z Progresywiściami, a jednak nie wyeliminował Trobluma. Do kogo zwróciliby się Progresywiści w takiej sprawie i kto by w decydującej chwili Trobluma jednak nie załatwił? To nielogiczne. Z pewnością ta osoba nie cofnęłaby się przed zabijaniem kogoś z



powodu dylematów moralnych. I z pewnością przeznaczono dla mnie jakiś wariant izby tortur. - Gdy to mówiła, w jej mózgu zaczęło narastać naprawdę przykre uczucie. Wspomniała ten śmieszny ruch bioder, który wykonała biała postać, gdy wchodziła do statku. Z pewnością istniała pewna osoba, do której to wszystko pasowało... ale to przecież niemożliwe. Ona z pewnością przebywała w zawieszeniu, cały czas od dziewięciuset lat. Oczywiście, jeśli ktoś byłby zdolny ją stamtąd wydobyć, byłaby to jakaś frakcja... - Nie śmieliby - szepnęła. Ale Progresywiści stawali się coraz bardziej arogancy. I planowali swoje ruchy od dziesięcioleci.

- Co zamierzasz teraz zrobić? - spytała ZAN.

Paula, przy świetle kolejnej błyskawicy, rozejrzała się po zalanym deszczem terenie.

- Chcę, by dokładnie zbadano to miejsce. Szanse są małe, ale jeśli jest tu coś, co nam powie, gdzie zbudowano klatkę z materii egzotycznej i kto ją zbudował, chciałabym o tym wiedzieć.

- Natychmiast wysyłam zespół.

- Dzięki. Mam zamiar zainteresować się Troblumem nieco bliżej. Muszę się dowiedzieć, dokąd się udał. Nic więcej nie mogę zrobić, dopóki Oscar nie dorwie dla nas Drugiego Śniącego.

- Jak sobie życzysz.

Paula spojrzała na wzburzone obłoki. Żałowała, że nie widzi gwiazd.

- Czy coś się zmieniło, jeśli chodzi o fazę pożerania?

- Jeszcze nie.

- Czy zdołasz ją przetrwać?

- Nie wiem. A co ty zrobisz?

- W ostateczności? Jeśli nie można będzie jej zatrzymać? Nie jestem pewna. „Wysoki Anioł” zabierze mnie do innej galaktyki, jeśli zechcę. Ale w chwili obecnej musimy zrobić wszystko, by nasz kochany gatunek nie pogarszał sytuacji.

\*\*\*

Araminta nie spała przez całą noc. Jakżeby mogła spać?  
„Nie”, powiedziała.

„Nie" dla Władcy Niebios. „Nie" do istoty, która oferowała się, że poprowadzi część ludzkości ku czemuś, co ci ludzie uważają za swoją nirwanę.

Nie. Tak powiedziałam ponieważ: jestem Drugim Śniącym.

To ja. Ja!

Och, Ozzie, proszę, pomóż mi. To po prostu nie może się dziać.

Ja, powtarzała w kółko w myślach. Jak to mogę być ja? Z powodu jakiegoś odległego przodka, o którym nigdy nie słyszałam, aż do przedwczoraj, z powodu tej Mellanie i jej przyjaźni z silfenami. I to wszystko, wszystkie te niewiadome sprzed wieków przybyły, by wywrzeć na nią nacisk, zabrały jej przeznaczenie, jej samookreślenie. Los ją wybrał.

Mnie!

A teraz miliony, miliardy wyznawców Żywego Snu u niej szukałyby pomocy, by się połączyć z Władcą Niebios. A ona powiedziała „nie".

Władca Niebios był zaskoczony. Nawet zszokowany. Kiedy wycofywała swój umysł z kontaktu, czuła, jak trwa jeszcze to zranione zdumienie. Ta odpowiedź nie pasowała do rzeczywistości. Mogła równie dobrze powiedzieć „nie" grawitacji - miałyby to taki sam sens.

To, co zrobiła, przerażało ją. Ale to reakcja instynktowna. Nie chciała być Drugim Śniącym. Tylko parę godzin przed kontaktem, po dniach rachunków sumienia i samopoznania, zdecydowała o swej przyszłości. Miała zamiar zostać panią Bovey. Miała zamiar dostać dla siebie więcej ciał i stać się wielokrotną. I mieszkaliby tutaj, w tym wspaniałym domu, albo w innym, który by zbudowała, a który byłby równie rozkoszny. I połowa ich ciał byłaby przez cały czas razem w łóżku. Dałaby mu szczęście takie, jakie on dał jej. A przyszłość byłaby jasna, piękna i pełna obietnic. Mogłyby się pojawić dzieci. Jaki rodzaj dzieci mają wieloosoby? Czy on ich pragnie? Nigdy jeszcze nie rozmawiali na takie tematy. Tyle na nią czekało w nadchodzących latach, tyle odkryć. Tak wiele radości.

Oczywiście, że powiedziała „nie". Cóż innego mogła powiedzieć?

Nie będę w tym brała udziału. To nie jestem ja.

Miliardy pragnęły, żeby wzięła w tym udział. Zamierzały nalegać.

Ale oni nigdy się nie dowiedzą, kim jestem. Nigdy już nie będę rozmawiała z Władcą Niebios.

Taką właśnie decyzję podjęła, kiedy na niebie poza sypialnią zagościł świt. Była koszmarnie zmęczona, cała się trzęsła. Ślady łez na policzkach - płakała cicho podczas samotnych godzin, a łagodny deszcz bębnił o szyby. Ale teraz wiedziała, czego chce. Pozostanie niewzruszona.

Kilkunastoletni pan Bovey, blondyn, leżał obok niej na wielkim łożu na plecach. Lekko się chmurzył, usta mu drgały, kiedy zmagał się z nieprzyjemnym snem.

Nie tak nieprzyjemnym jak mój, powiedziała mu w myślach. On również nigdy się nie dowie, to brzemię byłoby zbyt ciężkie. To się skończy. W końcu zniosę to i z tego wyjdę.

Araminta pochyliła się i pocałowała młodzieńcze ciało. Z początku łagodnie. W czoło. W policzek. W usta.

Poruszył się. Grymas na twarzy się wygładził. Uśmiechnęła się na ten widok i pocałowała go w szyję. Dłońmi pieściła mu elastyczne mięśnie torsu, a z jej spacji pamięci włączył się program mieszający. Pędzące myśli uspokoiły się, oddychała powoli i ostrożnie, zgodnie ze swymi wewnętrznymi głębokimi rytmemi, aż osiągnęła pożądane panowanie nad sobą. Teraz mogła się w pełni skoncentrować na leżącym obok ciele.

Przez następną godzinę nic nie zakłócało jej spokoju, żadne zewnętrzne myśli ani wątpliwości. Tak dobrze było zapomnieć o Władcach Niebios, Drugich Śniących i Żywym Śnie, i zastąpić ich dobrym, brudnym, ludzkim seksem.

\*\*\*

- Wybacz, że ci to mówię, zwłaszcza tego ranka, ale nie wyglądasz dobrze - powiedział pan Bovey.

Araminta, która w końcu wyszła z wielkiej wanny, niechętnie kiwnęła głową. To taki luksus po prostu leniuchować w pachnącej olejkami wodzie. Nie ma porównania z minutowym

sporowym prysznicem, wziętym w wyrwanej wolnej chwili. Jej biedne ciało zasługiwało na ten luksus.

- To twoja wina - przekomarzała się.

Nie powiedziała tego z odpowiednim naciskiem. Jej myśli z pewnością przyplywu podryfowały znowu ku rewelacjom zeszłej nocy. Młody Celt wręczył jej ogromny ręcznik.

- Czy wszystko w porządku? Nie rozmyślałaś się?

- Na Ozziego, nie. To jedyna dobra decyzja, jaką podjęłam. Prawdopodobnie jedyna w życiu.

Uśmiechnął się z dumą, ale nie mógł całkiem ukryć swego zatroskania.

- Wyglądało na to, że... czymś się trapisz. Niepokoję się.

Zaczęła wycierać nogi.

- To był pracowity tydzień. Czuję się dobrze, po prostu źle spałam, to wszystko. Kiedy dotrę do domu, wezmę coś na zwiększenie wigoru.

- Do domu?

- Muszę skończyć remont. Obydwoje wiemy, że potrzebuję pieniędzy.

- Słusznie.

Podrapał się w głowę z wyrazem zakłopotania. Araminta nie była przyzwyczajona do takiego zachowania. Kiedy prowadzili poważne rozmowy, pan Bovey zawsze wołał wykorzystywać swoje ciało w średnim wieku, czarnoskóre, to, z którym spotkała się na pierwszej z nim randce, niemal przypominające jej ojca. Nigdy się nie dowiedziała, czy robi to rozmyślnie.

- Posłuchaj - powiedział. - Nie cierpię przekazywać złych wieści, ale najwyraźniej rano nie zajrzałaś do unisfery.

Sam jego ton sprawił, że serce w niej zamarło. Zeszłej nocy, przed pójściem spać, kazała swemu u-adiunktowi zawiesić wszelkie kontakty z unisferą. Teraz ponownie się podłączył i wyciągał priorytetowe wiadomości.

- Ozzie drogi - wydyszała.

Było tam wszystko. Inwazja sił Ellezelinu przez doki. Siły paramilitarne przemierzają miasto. Wielkie kapsuły patrolują niebo, zatrzymują wszelki ruch cywilny.

Czym prędzej podeszła do okna i zobaczyła kilka kapsuł unoszących się nieruchomo nad rzeką Cairns - podstępne ciemne jaja na tle mrocznych chmur skąpanych w świetle świtu. Włączone pole siłowe ochrony pogodowej Colwyn przykrywało całe miasto. Najeźdźcy nie interesowali się burzami - pilnowali, by z miasta nie wydostała się żadna kapsuła.

I - co było znacznie gorsze - wiadomość dyrektora Trachtenberga ze Stacji Centurion: Pustka zaczęła się rozprzestrzeniać. Faza pożerania, tak nazywali to komentatorzy. I równie jasno stwierdzali, że to wina Drugiego Śniącego, który odrzucił Władcę Niebios. „Nie ma zbiegów okoliczności” - to zdanie odbijało się echem w jej mózgu. Wszyscy je powtarzali.

- Nie mogę tu zostać - jęknęła Araminta.

- Nie mówisz chyba poważnie? Na zewnątrz jest niebezpiecznie. Cenzurują wiadomości, ale jednak wiadomo, że nasi obywatele nie lekceważą tego. Już było kilka potyczek, a jeszcze jest przed śniadaniem.

Przybyli tu po mnie, uświadomiła sobie. Cały świat najechany, zgwałcony z mego powodu. Ozzie, wybac mi.

- Po prostu pójdę bezpośrednio do domu - powtórzyła. - Muszę się dostać do mieszkań. To wszystko, co mam, przecież to rozumiesz, prawda?

Czuła się podle, że tak mówi, był to emocjonalny terror, ale chciała tylko oddalić się od niego. To było absolutnie złe, to była osoba, którą planowała poślubić, powinna ufać onym. Po prostu nie mogła ryzykować, wierząc mu w sprawie aż tak istotnej. Zgodził się poślubić dziewczynę, która walczy o sukces jako przedsiębiorca budowlany, a nie jakąś chodzącą katastrofę galaktyczną.

- Rozumiem - powiedział, z ogromną niechęcią. - Ale oni zamknęli ruch kapsułowy. Połowa ze mnie utknęła w mieście.

Araminta zaczęła naciągać ubrania. Cała szafka w łazience należała do niej, więc przynajmniej mogła ubrać się praktycznie, w ciemne dżinsy i niebieski sweter.

- Mój trycykl stoi w garażu. Zostawiłam go tu parę tygodni temu. Jej u-adiunkt pośpiesznie sprawdzał ograniczenia podróży

w Colwyn City. W sieci zarządu transportem znajdował się pełny zakaz ruchu nieoficjalnych pojazdów latających. Zakaz zaopatrzone w certyfikat biura burmistrza i Federalnej Agencji Transportowej na Viotii. Jednakże pojazdy naziemne mogły w obrębie miasta w dalszym ciągu funkcjonować. Radzono jednak, by obywatele wykorzystywali je tylko do podróży niezbędnych. Było wiele odnośników do oficjalnych rządowych biuletynów Viotii, o przyłączeniu się do Strefy Wolnego Handlu na poziomie planet centralnych i o tym, jak po krótkim okresie przejściowym wszystko wróci do normy i rozpocznie się faza silnego wzrostu gospodarczego, co przyniesie gwałtowny wzrost jakości życia zwykłych obywateli. Przez chwilę Araminta wspominała Likana i jego wielkie plany związane ze Strefą Wolnego Handlu, ale natychmiast odrzuciła te myśli.

- Wyślę paru ze mnie - zaproponował pan Bovey. - Mogę sprawdzić dla ciebie to miejsce.

- Nie mam zamiaru rozpoczynać naszego wspólnego życia od uzależniania się od ciebie - oznajmiła, nienawidząc się za te słowa.

Miał nieszczęśliwą minę.

- W porządku. Na Ozziego, ale jesteś uparta.

- Myśl o tym jako o wytrwałości i jak to działa na twoją korzyść w łóżku.

- Niech Ozzie wspomaga paramilitarnych, którzy wejdą ci w drogę. - Jego współczujący uśmiech nie był do końca szczery. - Nie sądzę, by jakiś ja mógł ci towarzyszyć?

- Masz pojazd naziemny? - zapytała.

- Nie.

- Jesteś naprawdę słodki. Nadal chcesz mnie poślubić?

- Tak.

- Nawet jak mnie będzie wiele?

- Po prostu uważaj na siebie.

Cała drużyna onych zebrała się, by pomachać jej na pożegnanie, gdy pakowała się do trycykla. Nieco ją zdziwiło, że akumulator zachował ładunek. Kiedy nonszalancko pomachała im ręką, wszystkie jego znajome twarze miały ten sam żalobny wyraz.

Potem wyruszyła po wąskiej żwirowej ścieżce, która przecinała tereny posiadłości, prowadząc do szosy na zewnątrz. Kiedy mijala ostatniego z onych, w pewnym momencie pomyślała, że się złamie, pogna z powrotem i wyzna wszystko. Przeczucie łączyło się z przerażeniem, że nigdy już go nie zobaczy, że bez względu na swoją determinację, nie poradzi sobie z tym wszystkim, że to ją przerasta.

Jeśli tak jest, nie mogę go w to wciągać.

Tak więc stabilnie utrzymywała kurs trycykla. Przejeżdżała przez ogród, nadal połykający wilgocią po nocnym deszczu. Stara żelazna brama na końcu ścieżki skrzybiała, gdy siłowniki otwierały ją przed trycyklem. A potem znalazła się na zewnątrz, na pustej szosie obsadzonej wysokimi drzewami lakfolowymi, o czerwonozielonych liściach, które świergotały w łagodnym powiewie pod kopułą pola siłowego miasta.

Najgorszy na trasie był przejazd na północny brzeg po długim moście wiszącym. Czuła się okropnie nieosłonięta przed wielkimi kapsułami w powietrzu po obu stronach mostu. Widok miasta bez zwykłego ruchu, bez kapsuł pomykających wokół, wydawał się dziwny, jakby metropolię w jakiś sposób zraniono. Ludzie na moście chyba dzielali to uczucie. Wiele osób postanowiło pójść do pracy piechotą, okazując obywatelskie nieposłuszeństwo upartym przestrzeganiem codziennej rutyny. Taksówki publiczne nadal brzęczały na centralnych szynach, zapchane ludźmi dojeżdżającymi do pracy. I nie wiedziała, że tyle osób rzeczywiście posiada trycikle gondolowe; od lat nie wyciągano ich z garaży.

Kiedy dotarła na szczyt mostu, pozwoliła sobie na krótkie zanurzenie w lokalnej gajasferze i odebrała wojownicze emocje od swych bliźnich-rezydentów, determinację i gniew, które promieniowały i wspierały się wzajemnie. Ta wspólnota napawała optymizmem. Araminta nie pozwoliła jednak, by jej własne uczucia wyciekły na zewnątrz. Doskonale zdawała sobie sprawę z istnienia takich ludzi jak Danał, którzy kopali w gniazdach konfluencyjnych, w poszukiwaniu najmniejszego śladu jej myśli, jej tożsamości. I co za ironia losu: jeden z polujących na

nią myśliwych kupuje od niej mieszkanie, rzeczywiście żyje tuż obok swej zwierzyny i żadne z nich o tym nie wie. Zastanawiała się, czy byłby zdolny wyczuć w niej poczucie winy.

Przed sobą widziała kapsuły unoszące się nad dalekim końcem mostu. Zgromadziło się tam kilkudziesięciu paramilitarnych w skafandrach. Sprawdzali wszystkich przechodzących. Już chciała zawrócić, ale wtedy ściągnęłyby na siebie uwagę. A oni obserwowali cały most, czekając, czy ktoś tak nie zareaguje, była tego pewna. Gnała więc naprzód, zastanawiając się, co zrobiłaby jej przodkini Mellanie: ona, która zostawiła w spadku tyle kłopotów zakłócających spokojne życie Araminty. Czy była jakimś twardym agentem rządowym, bohaterką wojenną? Jak została przyjacielem silfenów? Araminta obiecała sobie solennie, że kiedy wróci do mieszkań, natychmiast sprawdzi całą informację o kobiecie, która to wszystko spowodowała.

Paramilitarni stali w rzędach. Przez piersi przewiesili długie karabiny, a wszyscy przechodzący mostem musieli przejść lub przejechać obok nich. Węzły unisfery przesłuchiwały u-adiunktów. Araminta wysłała swój certyfikat tożsamości i zerknęła nerwowo na zwałiste figury, zastanawiając się, jak wyglądają ich twarze. Nic nie dzielili z gajaszferą, co było dziwne, gdyż wszyscy związani z Żywym Snem z pewnością mieli gajafesjy. Czy się denerwowali? Musieli wiedzieć, że cała planeta ich nienawidzi.

Smartkor, który Żywy Sen wykorzystywał do testowania i identyfikacji Drugiego Śniącego, nie wydawał się nadmiernie zaniepokojony Aramintą. Żaden z paramilitarnych nie okazał jej zainteresowania, kiedy trycykl przetoczył się koło nich. Po drugiej stronie drogi gromadziła się akurat grupa lokalnych młodziaków. W wilgotnym powietrzu niosły się krzyki kierowane do paramilitarnych. Boty budowlane rozmaitych marek człapały i toczyły się ku ciemnym szeregom, wywijając groźnie warczącymi narzędziami i nadając łotrowskie programy, które blokowały i zniekształcały węzły cybersfery.

Gdy wjechała już sto metrów w Gathano Avenue za mostem, oddział paramilitarnych nareszcie przedsięwziął kroki



przeciwko szyderstwom i wojowniczym botom. Krzyki stały się bardziej gniewne i głośniejsze. Zagłuszał je od czasu do czasu nieprzyjemny, wysoki dźwięk „hamm” pochodzący z broni energetycznej skierowanej na boty. Araminta zwiększyła szybkość, a nad jej głową przemknęły dwie kapsuły, śpieszące, by wspomóc kolegów. Ostatnią rzeczą, na jaką mogła sobie teraz pozwolić, było zaarrestowanie jej.

Kiedy po czterdziestu minutach dotarła do swych mieszkań w dzielnicy Bodant, zaniepokoiło ją to, że tyle ludzi kłębi się w pobliskim parku. Araminta wiedziała, że ma uprzedzenia, ale większość z tych ludzi wyglądała jak członkowie gangów - wiadomości w unisferze zawsze twierdziły, że mają one swoją warownię w sąsiedniej dzielnicy Helie. Kiedy odebrała ich emisje do gajASFery, znalazła tam nastrój mrocznego niezadowolenia, który wirował w tłumie i przerażał bardziej niż gniew dojeżdżających do pracy. Niezadowolenie ukierunkowane. Przemoc była tuż - tuż.

Skierowała trycykl do podziemnego garażu, dziękując w duchu za jego podwójne zabezpieczenie, a potem wsiadła do windy i pojechała na górę. Kiedy dojechała na czwarte piętro, modliła się, by Danala i Mareble nie było w domu albo by przynajmniej nie słyszeli, jak idzie przez westybul. Czy dobrze wykonała izolację dźwiękową? Wyznawcy Żywego Snu wprowadzili się dopiero dwa dni temu, oświadczając, że nie mogą dłużej czekać na oficjalne oddanie mieszkania, więc został jej nawał prac wykończeniowych, zanim pełna cena zostanie przelana na jej konto.

Ale dziś mam inne sprawy na głowie!

Drzwi używanego przez nią mieszkania zamknęły się za nią, a ona oparła się o nie plecami, jakby wzmacniając uroczy staromodny mosiężny zamek. Dyszała z sykiem, płacząc. Powoli ześlizgnęła się po drzwiach na podłogę.

Mogę po prostu tu zostać. Nie potrzebuję wychodzić. Mogę kazać, by pompowano tu ciecz odżywczą do jednostki kulinarnej. Mogę pracować i wykańczać ostatnie dwa mieszkania. Zanim skończę, cała sprawa się rozwieje.

Z wyjątkiem fazy ekspansji Pustki. Ale raielowie będą z tym walczyć, o tym właśnie mówią spektakle w unisferze.

Wiedziała, że to żałosne samooszukiwanie.

Jakieś trzydzieści minut później zadzwoniła Cressida. Sam widok ikony wywołania niesłychanie podniósł Aramintę na duchu. Jeśli ktokolwiek wie, co robić w takiej sytuacji, to będzie to Cressida. A może, być może, powie kuzynce, że jest Drugim Śniącym.

- Kochanie, co słyszeć? Gdzie jesteś?

- Wszystko w porządku, dziękuję. Jestem w mieszkaniach.

- Och. Myślałam, że jesteś z panem Boveyem.

- Byłam. Wróciłam do domu dziś rano.

- Sama przemierzyłaś miasto?

- Tak. Nie było z tym żadnych kłopotów. Wykorzystałam swój trycykl.

- Dobry Ozzie, to było głupie, kochanie. Nie rób więcej takich rzeczy, rozumiesz? Mówię poważnie. Życie tutaj zaraz zrobi się bardzo nieprzyjemne. Rozmawiałam ze znajomymi z biura burmistrza i z biur rządu. Te sukinsyny z Żywego Snu nie mają zamiaru wracać do domu. Nasza głównomózga premierka po królewsku wydymała Viotię.

- Tak, wiem o tym - odparła słabo Araminta.

- A najgorsze miejsce pobytu w tej chwili to Colwyn City. Wydaje im się, że ten durny Drugi Śniący tutaj mieszka. I w żaden sposób nie ucieknie. Najeżdżając nas, złamali chyba wszystkie, co do jednego, artykuły Konstytucji Wspólnoty i teraz się nie zatrzymają. Czy wiesz, kogo przysłali, by nadzorował poszukiwania?

- Nie.

- Cóż, nie powtarzaj nikomu, ale sam Kleryk Phelim przeszedł przez wormhol, by objąć dowodzenie.

- Kto to taki?

- Och, kochanie, nadążaj za sytuacją. To jest szef sztabu Ethana, sam egzekutor. Więszego dupka nie spotkasz, nawet uwzględniając twego starego kumpla Likana.

- Och, dobry Ozzie. - Araminta podciągnęła kolana pod podbródek i ciasno objęła nogi.

- Przepraszam, kochanie, nie chciałam cię nadmiernie niepokoić. Z nami oczywiście nic się nie stanie. I właśnie dlatego dzwonię. Istnieje sposób, by się stąd wynieść, jeśli cię to interesuje.

- Jak się wynieść? Włączyli kopułę pogodową, nikt nie może się wydostać.

- Ha, ona powstrzymuje tylko kapsuły. Mimo wszystko to cholerstwo jest tam tylko po to, by chronić nas przed chmurami i wiatrem, a nie odpiierać Imperium Ocisenów czy granicę Pustki. Tak naprawdę istnieje wielka luka, w każdym razie dobre dwadzieścia metrów, między dolną krawędzią kopuły i ziemią, by pozwolić na przepływ powietrza. Bez niej podusilibyśmy się wszyscy w ciągu tygodnia.

- Więc można się przedostać?

- Możemy po prostu wyjść pieszo, póki żołnierze tego nie zablokują. A nawet wtedy są do dyspozycji rozmaite tunele, jeśli znasz właściwych ludzi. Mój u-adiunkt wyśle ci pliki. W każdym razie chodzi o to: kilku moich znajomych i ja wynajmujemy kosmolot. Wylatujemy stąd, nie tylko z Colwyn, ale i z Viotii. Jest na nim dla ciebie miejsce, jeśli tego chcesz. Trzymam je jako rezerwację grupową dla rodziny.

- Hm... ale pan Bovey?

- Kochanie, potrzebowałabyś pięciu statków, by go wywieźć. Patrz na sprawy realistycznie. I bądź rozsądna. W czasach takich jak te musisz myśleć o własnej dupie.

- Ale oni nie wypuszczają nikogo z miasta, nie mówiąc już o planecie.

- Zostaw to nam. Wszyscy, którzy sądzą, że Żywy Sen to jakiś rodzaj nieodpartej siły, zapominają o prawnikach. Wynajęliśmy statek kosmiczny, który należy do cudzoziemców i ma pełen status dyplomatyczny. Jeśli Phelim spróbuje to ograniczać, spojrzysz wprost w działą dystorsyjne floty Wspólnoty. Zobaczymy, komu pierwszemu drgnie powieka.

- Rozumiem.

- Więc wchodzisz w to czy nie?

- Ja... Nie wiem.

- Jest pewna sprawa, kochanie, którą muszę poruszyć. To nie będzie tanie. Jak stoisz ze sprzedażą mieszkań?

- Och. Nie najlepiej. Nadal nie mam depozytów na dwa ostatnie i nie dokończyłam pozostałych. Teraz nikt nic nie kupi.

- Tak, to problem. Nie znalazłaś nabywcy, frajera, tak jak ci wtedy mówiłam? Trudno. Nie powinnaś lekceważyć rynku, kiedy dochodzi do robienia różnych rzeczy dla zysku. Poczekajmy dzień, a na połowie światów Zewnętrznych pojawią się grupy przedsiębiorców, oferujących obywatelom Viotii gotówkę za ich własności i firmy. Będzie to znacznie poniżej wczorajszych cen rynkowych, ale oni myślą długookresowo. Kiedy Żywy Sen dopadnie Drugiego Śniącego, sprawy zaczną się stabilizować. Jeszcze dwadzieścia lat i wszystko wróci do normy, a ta własność będzie warta pięć razy więcej.

- Jeśli sądzisz, że sytuacja się unormuje, czemu wyjeżdżasz?

- Normalna jak na hagiokratyczne planety ze Strefy Wolnego Handlu, kochanie. Na której nie mam zamiaru spędzać reszty życia, wielkie dzięki. Chcę miłej demokracji liberalno-rynkowej, a wraz z nią wszelkich okazji do nieporozumień i konfliktów. Gdzie mamy kłótnie, znajdziesz nas, prawników, oferujących pomoc. A pomoc oznacza masę pieniędzy. A propos: już przeniosłam moje konta gotówkowe na inne planety.

- Już?

- Jasne, kochanie. Banki bardzo chętnie mnie powitały. Nie ja pierwsza. Poza planetę wypływa dostatecznie dużo pieniędzy, by zgotować naszej ukochanej pani premier gospodarczy koszmar już dziś przed obiadem, o jutrze nie wspominając. Jedyna rzecz, o którą jeszcze się musi martwić, to o to, jak bolesna będzie utrata ciała, kiedy jej elektorat, uprzednio lojalny, dostanie ją w swoje łapy. Więc chcesz, żebym sprawdziła, czy uda mi się zbyć w twoim imieniu te mieszkania? Mam kilka kwaziinteligentnych programów finansowych, którym mogę powierzyć ten problem.

- Hm, tak. Tak mi się wydaje.

- Doskonale, więc zarezerwuję dla ciebie bilet.

- Tak. Zrób to - powiedziała Araminta bez namysłu. Nie chciała wyjeżdżać, ale Cressidę trzeba było jakoś ugłaskać, a każda inna reakcja byłaby podejrzana. Och, Ozzie, jak mało czasu mi zabrało zostanie paranoiczną intrygantką.

- Nie martw się - powiedziała Cressida. - Za dziesięć dni będziemy sączyć koktajle na tarasie basenu w La Cinal na Etinnie. To będzie zabawa, nowy start.

Rozmowa skończyła się, a Araminta, lekko oszołomiona, patrzyła na wykończony w połowie, pozbawiony ścianek działowych salon. Nie mogła uwierzyć, że ktoś może równie łatwo porzucić całe swoje dotychczasowe życie, nawet Cressida. Ale z drugiej strony, to była właśnie Cressida, szybciej myśląca i sprytniejsza od innych. Ona prawdopodobnie przeszła te wszystkie etapy - szoku, gniewu, oceny sytuacji, obliczeń i działania - w pierwszej godzinie po wydarzeniach. Araminta nadal brnęła przez pierwszy etap. Z pewnością nigdy nie rozważała, jak będzie wyglądało życie na Viotii, kiedy sprawy się ułożą. I oczywiście Cressida miała rację, będą od tej pory już zawsze częścią Strefy Wolnego Handlu. Chyba żeby interweniowali senat, flota, albo żeby mieszkańcy Viotii zorganizowali powstanie.

Albo jeśli Pustka nas pożre.

Bez względu na przyszłe rezultaty, Cressida miała rację co do jednego. Araminta nie mogła po prostu tu czekać i mieć nadzieję, że jej nie złapią. Zaczęła się zastanawiać nad politycznymi i gospodarczymi kosztami najazdu na planetę. Kleryk Konserwator Ethan i jego pomagier Phelim nie zrobiliby czegoś takiego, a potem po prostu siedzieli beczynnienie i mieli nadzieję, że wpadną na Drugiego Śniącego. Mieliby plan. I to dobry.

Araminta zmusiła się do powstania na nogi. Nie wiedziała, co zrobi, ale nierobienie niczego nie wchodziło w rachubę.

\*\*\*

Trwało to dwie godziny plus pobyt w komorze medycznej statku, ale Troblum w końcu przestał się trząść. Kiedy wyszedł z komory, z trudem poczłapał parę metrów do swego wielkiego

fotela. Zapadł się w tapicerkę, obawiając się nawrotu drżenia. Medyczny odczyt w egzowizji pokazywał mu, jak wiele leków krąży w jego krwiobiegu w tej właśnie chwili, pracując łącznie z jego bioniką, by zdławić zwierzęce reakcje ciała. Był przerażony.

Był też dość zaskoczony, że nadal żyje. Wszystko, co pamiętał ze strzału z lasera neutronowego, to oślepiający błysk i hałas tak wielki, że raczej odczuł go kośćmi niż uszami. Jego bionika nadal naprawiała siatkówki oczu i uszy środkowe. To, że dotarł do śluzy statku, było rodzajem cudu - smartkor musiał dawać mu instrukcje, informując, jak ma poruszać każdą kończyną.

Ale był żywy i niemal bez szwanku. Smartkor wykorzystał czujniki, by śledzić kosmolot Kotki. Widział, jak odlatuje z willi, a potem znika. Jej systemy maskujące były równie dobre jak systemy Trobluma, jeśli nie lepsze. Nie czekał, by sprawdzić, jaki dobry jest statek Pauli, po prostu zamaskowany wystartował i wszedł w hipernapęd. Teraz siedział w zawieszeniu transwymiarowym, dziesięć lat świetlnych od Sholapur.

- Miałeś szczęście - zauważyła Catriona Saleeb.

- Wiem.

Spojrzał na jedyny ocalały obiekt z kolekcji. Układ procesorowy Mellanie Rescorai leżał na pomoście tam, gdzie go upuścił. Foksorowy futerał miał poczerwiałe rogi, jego zarys wyraźnie rysował się na dłoni. Zamknął oczy i odwrócił głowę, chciał być pewien, że kiedy otworzy oczy, będzie patrzył na sufit. Wszystko przepadło. Cała kolekcja. Zniszczona własnoręcznie. Wszystkie unikatowe, ważne obiekty. Tak jakby osłabiono samą historię.

- Drugi raz ci się nie uda - powiedziała Trisha Halgarth, nawijając na palec wskazujący pasmo włosów Catriony, kiedy ta umościła się przy przyjaciółce. - Jestem zaskoczona, że Kotka cię nie wykończyła.

- Ja nie - odparła Catriona. - Ona będzie cię ścigać. Ma zamiar cię złapać. A wtedy umrzesz. To prawdopodobnie zajmie kilka lat.

- Zamknij się! - ryknął. - Zamknij się. Wesprzyj mnie.

- W porządku - powiedziała Catriona. Przytuliła Trishę. - Nie jesteś bezpieczny, dopóki w okolicy kręci się Kotka.

- A Paula jej nie odstrzeliła - powiedziała Trisha, nieco zaintrygowanym tonem. - Więc pozostają ci tylko dwie opcje.

- Dwie? - zapytał.

- Sam poleć za nią i skończ robotę.

- Nie! To żadna opcja. Tylko Paula może to zrobić. Ona jest nadal jedyną osobą, której mogę ufać. Nie mogę uwierzyć, że ZAN jest taka niewiarygodna. To musi mieć źródło w wadach unisfery, którą jakaś frakcja może manipulować.

- Przemysł to - odparła poważnie Catriona. - Kotka jest sprzymierzona z Progresywiastami. Dali jej wszystko, czego chciała, statek, broń, towarzystwo. I w jakiś sposób dowiedziała się, gdzie będziesz. Nie możesz ufać ZAN, już nie. Ja z pewnością nie ufam - dodała wyniośle.

- To musi być unisfera - powiedział, bardziej do siebie niż do dziewcząt. - Przejęli moją wiadomość.

- Co tylko pogarsza twoją pozycję - odparła Trisha. - To pozostawia opcję numer dwa. Uciekaj! Uciekaj daleko i szybko. Musimy dotrzeć do innej galaktyki. „Odkupienie Melanii” może to zrobić. Będziesz tam bezpieczny.

- A jeśli Żywy Sen ma słuszość i Pustka pracuje dla nich? - zapytał. - A jeśli Kotka dostanie się do wnętrza? A jeśli zdoła ją manipulować, tak jak to robił Stąpający po Wodzie?

Dziewczyny spojrzały po sobie. Obie wyduły usta.

- Co sobie myślisz? - spytała Catriona.

- Powinienem ich ostrzec - odparł Troblum. - Przynajmniej Paulę. Ona rozumie, jak to jest z Kotką. Paula wie, że trzeba ją zatrzymać. Paula nie zrezygnuje.

- Więc zadzwoń do niej, a potem zwiewaj - doradziła Catriona.

Troblum nic nie mógł na to poradzić, jego wzrok padł znowu na układ procesorowy Mellanie.

- Przez nią moja kolekcja przepadła. Taka szkoda. - Samo myślenie o tym groziło ponownym szokiem fizycznym. Medyczne odczyty powróciły ku bursztynowym poziomom alarmowym. - To było wszystko, co kiedykolwiek posiadałem - łkał Troblum. Zaczął związać się w ciasny kłębek, ściśnięty brzuch przelewał mu się po udach. - Zgromadzenie tego wszystkiego zajęło mi wieki.

Obiekty były ze mną bezpieczne, byłem ich strażnikiem. - Łkał tak bardzo, że słowa stały się niemal niezrozumiałe. - Były takie drogie, takie cenne. Pomogły ukształtować nas w to, czym jesteśmy, były częścią naszej ewolucji. Czemu nikt nigdy nie rozumiał, jakie te artefakty są ważne?

- Troblum - zanuciła Trisha. - Biedny Troblum.

- Są inne obiekty - zauważyła Catriona. - Pamiętasz, odwiedzałeś Smithsonian i naprawdę pozwolili ci dotknąć „Charybdy”. Kustosz była aż do tego stopnia pod wrażeniem twojej pracy konserwatorskiej. Wiedziała, że jesteście równi. Widzisz, tak wiele nadal pozostało. I to spuścizna na zawsze.

- Nie, jeśli Kotka nadal żyje - powiedział. Sięgnął ręką, by wytrzeć z oczu wilgoć. - Jest niszczyicielem. Jest śmiercią. Jest pustką: Pustka to ona.

- Dzwon do Pauli - powiedziała Trisha. - Zrób to.

- Muszę wiedzieć - szepnął. - Muszę wiedzieć, że jesteśmy bezpieczni. Że jest martwa na dobre. Nie mogę żyć, myśląc, że mogłaby pojawić się za mną. Że wzięłaby mnie i... I...

Catriona westchnęła.

- Nigdy nie można tego przewidzieć.

- Owszem, można.

Wypchnął się z fotela i poszedł na tył kabiny. Otworzyły się małe drzwi, przecisnął się przez nie. Równie mała schodnia poprowadziła go do prawej środkowej ładowni. Za mało miejsca, by stać, musiał przykucnąć i przygarbić ramiona. Bez względu na to, jak się wykręcał, jego znoszony togatur zawsze ocierał się o skradzione cargo. Niewielka przestrzeń była zapchana maszyną, ułożoną przypadkowo na stosie, niczym skarb cybernetycznego smoka. Tysiąc trzysta siedemdziesiąt dwa elementy, przypomniał sobie Troblum. Nachmurzył się i podniósł pierwszy z nich. Rozmaitość zasilania hiperpoła, pokrzywiony kawałek jakiejś substancji, która wydawała się na przemian kryształem i metalem. Wiedział, czemu służy każdy składnik, ale stopy nie miały struktury. Wszystko zostało pchnięte przypadkowo, kiedy jego zarekwirowane boty łupiły replikację stacji Progresywiwistów. Musiał więc tylko to wszystko złożyć,



zaczynając od jednostek centralnych, i powoli, w odpowiednim porządku, stworzyć nową maszynę, a następnie zintegrować ją z istniejącym hipernapędem statku. Dostanie wtedy w pełni funkcjonalny statek z ultranapędem, całkowicie zdolny do rejsu do Andromedy, a nawet dalej.

- Możesz to zrobić? - spytała Catriona. Wsadziła głowę przez luk, na twarzy miała wyraz powątpiewania.

- To będzie działać - odpowiedział Troblum. - Teoretycznie. Pod stołem nawet nie widział jednostek centralnych.

- Potem co?

- Będziemy mieli konkretną drogę ucieczki. Ale nadal zamierzam skontaktować się z Paulą.

- Przez unisferę?

- Nie. Przerażają mnie możliwości Progresywistów. To oni napuścili na mnie Kotkę. Następnym razem to będzie Marius czy ktoś inny, którego nie będą rozpraszały stare pretensje.

- Więc jak się z nią skontaktujesz?

Troblum podniósł węglowo czarny dwudziestościan, próbując go zaklasyfikować.

- Pozostał jeszcze jeden człowiek, któremu bezgranicznie wierzę. Jest związany z Paulą, a przynajmniej był wtedy, podczas wojny. Powiem mu, co wiem o Progresywistach. Będzie mógł przekazać wiadomość Pauli. Może kiedy ZAN dowie się o roju, zatrzyma Progresywistów. Wtedy Kotka będzie sama. I wtedy Paula zdoła ją wykończyć.

- Kto to jest? - spytała Catriona. - Komu ufasz?

- Oscarowi Męczennikowi.

## Ósmy sen Iniga

Edearda obudziła cudowna, delikatna pieszczota palców. Przyjemne wrażenie harmonizowało z ciepłym sprężystego materaca, dotykiem świeżej bawełnianej pościeli i nikłym zapachem perfum Jessile. Oczy miał jeszcze zamknięte, uśmiechnął się i westchnął, witając z zachwytem nadchodzący dzień. Na policzku wylądował mu pocałunek. Dziewczyna trąciła go nosem w ucho. Edeard uśmiechnął się szerzej, gdy zaborcza dłoń przesunęła się za pępek i dalej, w dół.

- To się nazywa stanąć na powitanie świtu - szepnęła Jessile, lubieżnie chichocząc.

Druga dziewczyna też chichotała.

Otworzył nagle oczy. Napłynęły wspomnienia. I oto ich potwierdzenie - Kristiana leżała przy nim z drugiej strony i pożądliwie obserwowała ich oboje. Skąpy, biały peniuar nie zakrywał jej pełnego ciała, choć był zawiązany z przodu na koronkowe kokardki - pamiętał, z jaką przyjemnością je rozwiązywał.

Wydobył z siebie tylko słabe „haaaa”.

- Najpierw ja - domagała się Jessile i ostrymi ząbkami chwyciła jego ucho.

Kristiana nadąsała się z przyganą.

- Nie zapominaj o mnie, Stąpający po Wodzie.

Edeard nie mógł odpowiedzieć - Jessile zamykała mu usta pocałunkiem. Gdy wpełzła na niego, objął ją. Wspomnienia ubiegłej nocy nabrały tekstury, przypominał sobie rozkosz kobiety, dokładnie pamiętał, jak to wywołać. Tak poruszał dłońmi, że dziewczyna drżała bezbronne, a potem... po prostu użył trzeciej ręki.

Przez ostatnie trzy tygodnie, gdy w Makkathranie nastała jesień, nauczył się, jak wykorzystać w sypialni swoje zdolności telekinetyczne. Jeszcze jeden aspekt, gdzie poczciwy Ashwell

pozostawał daleko w tyle za wyrafinowanym, dekadencjnym miastem. Ale sporo dziewcząt chętnie uczyło go najskrytszych intymnych tajników tej mrocznej sztuki. Piękne, swawolne szlachcianki nie mogły się oprzeć jego sławie i sile. Z wielką lubością demonstrowały mu swoje niecznie nabyte umiejętności, a on z tego korzystał. I nigdy nie miał pewności, kto tu kogo właściwie deprawuje.

\*\*\*

- Nigdy przedtem nie widziałam schodów w basenie - powiedziała Kristiana, zanurzając się w pokrytej pianą wodzie. - W rezydencji pradziadka zawiesili okropne drewniane drabiny. Schodki są znacznie lepsze. - Usiadła obok Edearda na podwodnej ławeczce i pogłaskała go po twarzy.

- W mieszkaniach konstabli baseny często mają takie schody - odparł Edeard, pewien, że dziewczyna raczej tego nie sprawdzi.

- To niesprawiedliwe, że wy macie coś takiego, a my nie. - Jessile wyduła wargi.

Ślicznie przy tym wygląda, pomyślał Edeard. Dzięki temu mogła dostać prawie wszystko, co chciała.

Odprężył się w ich towarzystwie, co świadczyło o tym, jak bardzo jego życie zmieniło się od wydarzeń na Stawie Birmingham. Czasami wieczorem w teatrze walczone o to, która ma z nim pójść do łóżka - szanowane dziewczyny również. Nigdy się nie zastanawiał nad tym, jak popularność wpłynie na jego życie. Surowe wychowanie w Ashwell odcisnęło na nim jednak swoje piętno i był pewien, że taki stan długo nie potrwa. Ale na razie...

Na jego polecenie gemałpa przyniosła na brzeg basenu dwie gąbki i butelkę płynu do kąpieli.

- Namydlicie mi plecy? - Pochylił się.

Dziewczęta wzięły po gąbce. Miały przysłonięte umysły, ale dla Edearda było jasne, że nie chodzi im o mycie, gdy powolnie nacierały mu plecy.

- Co robisz dziś wieczór? - spytała Jessile.

- Chyba będę świętował.

Kończył się proces Arminela i werdykt wydawał się formalnością. Edeard szczerze w to wierzył, ale przecież poprzednio też tak myślał. Znów ten stary, dobry optymizm rodem z Ashwell. Proces był wielkim wydarzeniem w Makkathranie, zwłaszcza ostatnie cztery dni, gdy prawnicy obu stron przedstawiali swoje racje. Na galerię dla publiczności udało się dostać tylko arystokracji miejskiej, a inni musieli się zadowolić obrazem i dźwiękiem z oficjalnego sądowego nagrania.

- A ty?

- Eustace, mój narzeczony, wraca dziś z patrolu - odparła. - Jest porucznikiem milicji. Strzeże naszych granic - dodała z dużą dozą ironii.

- Ach, tak. - Edeard dostrzegł na jej lewej ręce wąską, srebrną opaskę w formie splecionych winorośli, w które wstawiono pojedynczy diament.

Dziewczyna odwróciła się i spojrzała mu w twarz.

- Ale to ci nie przeszkadza, prawda? Jesteś przecież Stąpającym po Wodzie.

- Nie, nie przeszkadza mi. - Zastanawiał się, jakie z nich będzie małżeństwo. I chyba ta myśl wydostała się zza ekranowania.

- Jestem trzecią córką - wyjaśniła Jessile z miłym uśmiechem. - Pobieramy się, bo po dwudziestu trzech latach opuszczę w końcu dom rodzinny, a mój narzeczony dostanie posag na nasze utrzymanie. Biedak jest piątym synem drugiego syna rodziny Norretów, a to mu daje spory kawałek niczego. Tato obiecał mi posiadłość w prowincji Walton. Jest tam podobno ładny, duży dom.

- Dlatego wychodzisz za mąż?

- Oczywiście. - Gąbka zatrzymała się na karku Edearda. - Wiem, że będzie mi brakowało Makkathranu, ale chyba przyzwyczaję się do życia na wsi. Będę wpadała do miasta kilka razy do roku.

- A miłość? - spytał.

Dziewczęta zaśmiały się, a zza ich ekranowanych umysłów wydostał się tęskny podziw.

- Jesteś taki uroczy - powiedziała Jessile. - Łatwo to wyczuwam. Wszyscy potrafimy to wyczuć. Jesteś strasznie fascynujący. Czy to prawda, że kiedy Pytia spotkała się z tobą po raz pierwszy, powiedziała, że będziesz burmistrzem?

- Co takiego? Nie! Niczego podobnego nie mówiła. - Usiłował sobie przypomnieć tamtą rozmowę.

- Chciałabym, żebyś poznał moją przyjaciółkę Ranalee - rzekła Kristiana. - Jest z rodziny Gilmornów, to ród kupców. Okropnie bogaci. Jest drugą córką i ma doskonałe szanse matrymonialne. Powiedziała mi w zaufaniu, że z radością by cię poznała.

- Uch, no dobrze.

Kristiana stanęła przed nim i wolno odgarnęła długie mokre włosy.

- Do tego jest ładna. I młoda, gdyby cię to interesowało. Przedstawię was sobie i dziś moglibyśmy razem świętować.

Edeardowi zabrakło tchu.

\*\*\*

Przed mieszkaniem Edearda czekał Boyd. Miał na sobie długi, obramowany futrem płaszcz narzucony na mundur galowy. Z zachmurzonego nieba kapał deszcz ze śniegiem i moczył mu włosy. Boyd już zaczynał coś mówić, gdy nagle zamilkł, widząc wyłaniające się za Edeardem Kristianę i Jessile, owinięte w długie wełniane zawoje, zgodnie z najnowszą modą. Zakryły swoje wykwintne suknie wieczorowe, w których były w teatrze.

- Panie - powiedział Edeard uprzejmie.

Uśmiechnęły się z fałszywą skromnością i pozwoliły mu się pocałować w policzki.

- Nie zapomnij - rzekła Kristiana. - Dziś wieczór. Ja i Ranalee.

Boyd patrzył z podziwem na dziewczyny idące szybko do schodów. Splecione ramionami, nachyliły ku sobie głowy, chichotały i dość głośno szeptały.

- Teatr Alrado w dzielnicy Zeldy - dotarła do niego dalmowa Kristiany.

- Przyjdę. - Edeard uśmiechnął się promiennie.

- Aż dwie! - wykrzyknął Boyd, gdy na schodach rozbrzmiewały ich kroki.

Edeard zdawał sobie sprawę, że ma teraz na twarzy chełpliwy uśmiech. No i co z tego?

- O, Pani! Jak ty to robisz. Usuń się, Macsenie, nowy król wstępuje na tron.

- A Saria? - odparował Edeard. - Wczoraj w nocy to twoja piąta?

- Dokładniej mówiąc: dziewiąta. - Teraz Boyd uśmiechał się grzesznie. - Jest z Matranów, no, wiesz, szósta córka następnego Mistrza Dzielnicy.

- To znakomicie! - powiedział Edeard. Ciągle niezbyt dobrze się orientował w makkathrańskiej arystokracji, choć ostatnio spotkał dużo jej młodych przedstawicielek.

- Wygadała się, że przyjęłaby oświadczyzny. Wyobrażasz sobie? Ja, syn piekarza, wżeniony w Matranów!

- Czy to takie niezwykle?

- Och, ty wieśniaku! - Boyd klepnął Edearda po ramieniu. Edeard zastanawiał się, co przyjaciel miałyby do powiedzenia na temat drugiej córki Gilmornów? Od samego początku uważał za niezdrową tę obsesję na punkcie pochodzenia i pieniędzy. Tu, w mieście, te kryteria miały jakieś nadzwyczajne znaczenie. Ale z drugiej strony, Ranalee mogła być bardzo miłą osobą.

Tylko w jeden sposób można się o tym przekonać.

Przeszli po niskim moście nad kanałem Zewnętrzny Kręgu do dzielnicy Majate.

Proces Arminela toczył się w największej, centralnej sali Sądów Sprawiedliwości. W ścianach wielkiego zewnętrznego holu głębokie, sklepienie łukowe wejścia prowadziły do gabinetów sędziów i sekretarzy. Gdy Edeard z Boydem przybyli na miejsce, zastali tam czekający już tłum osób w eleganckich szatach. Idąc z przyjacielem do grupy konstabli, otaczających kapitana Ronarka, Edeard z szacunkiem odwzajemniał spojrzenia kierowane w jego stronę. Rozpoznał kilku członków Wysokiej Rady: Imilana, Wielkiego Mistrza Gildii Chemików; Dalceena, Mistrza Dzielnicy Fiacre; Julana, Mistrza Dzielnicy Haxpen i oczywiście Finitana -

wydawało się, że przynajmniej on jest autentycznie serdeczny, gdy przesłał Edeardowi szelmowski uśmiech.

- Najwyższy czas - powiedziała Kanseen. - Właśnie mamy wchodzić. - Ledwo wyczuwalna podejrzliwość przesączyła się z jej osłoniętego umysłu.

Edeard przypuszczał, że to celowe, gdyż zwykle utrzymywała silne ekranowanie. Nigdy nie wyrażała swojego niezadowolenia z powodu jego miłosnych podbojów, ale wiedział, że ją to niepokoi. Zresztą, ona też na pewno otrzymywała wiele zaproszeń od synów arystokracji, choć to ją najprawdopodobniej irytowało.

- Nie zaczęliby bez niego - żartował Macsen.

- Już zeznawałem - odparł Edeard poważnie. - W zasadzie nie jestem tu potrzebny.

Skrzywiła się.

- A jednak twoje ego zwyciężyło: musiałeś przybyć na rozprawę - zauważyła z niewinną miną. - Jakież mamy szczęście.

- Wiecie coś o Dinlayu? - spytał Edeard, ignorując drwiny Macsena. Był nieco rozczarowany, że w Sądach nie ma kolegi z drużyny. Gdy parę dni temu odwiedzili Dinlaya, lekarze stwierdzili, że wkrótce wyjdzie ze szpitala, bo rana po kuli dobrze się goiła. Ale przez następny miesiąc będzie mógł pełnić tylko lekką służbę.

- Raczej trudno się go tu spodziewać zaraz po wyjściu ze szpitala - stwierdził kapitan Ronark. - Prawdopodobnie zaczniesz od jutra.

- Tak jest, proszę pana - powiedział Macsen.

- Zaczyna się - rzekł sierżant Chae.

Z pobliskiego łuku wyłonił się Mistrz Solarin z Gildii Prawników. Jak zawsze towarzyszyły mu gemałpy. Gdy przegrali poprzedni proces przeciw Arminelowi, Edeard poprosił kapitana Ronarka, żeby mogli zatrzymać ich dawnego doradcę prawnego jako oskarżyciela pomocniczego. Ku jego zdziwieniu kapitan się zgodził. Tym razem wszyscy w mieście wiedzieli, że banda Arminela bezwzględnie zostanie uznana za winną. Ale Edeard czuł się spokojniejszy, gdy oskarżycielem był Solarin. Stary prawnik wiedział przynajmniej, jak zreferować sprawę, i nie

dawał się złapać w proceduralne pułapki, zastawione przez obronę.

- Wszyscy czekacie na mnie? - spytał Mistrz Solarin wesoło. - Jakże mi to pochlebia. A więc ruszajmy na ostatni bój.

W wielkich drzwiach, prowadzących do centralnej sali, ukazał się sekretarz sądowy i zapowiedział donośnie:

- Sprawa Makkathran przeciw Arminelowi, Gustape, Falorowi, Harrii Omasisowi. Strony wzywa się na rozprawę.

Mistrz Solarin z męczącą powolnością wkraczał do sali, a za nim inni, jak wymagała tradycja.

Znowu mistrz Cherix został zaangażowany jako pełnomocnik pozwanego Aramiela. Wszedł za konstablami, w towarzystwie dwóch młodszych prawników; tak ważny proces najwyraźniej nie robił na nim widocznego wrażenia.

- Szkoda, że nie mogę sobie na niego pozwolić - szepnął Boyd do Edearda i Kanseen, gdy szli do ławek. - Gdyby mnie kiedykolwiek aresztowano, poproszę, żeby go wyznaczono na obrońcę.

- Chciałeś powiedzieć „kiedy mnie aresztują” - sugerowała pogodnie Kanseen.

Edeard uśmiechnął się. Tak, Boyd miał rację. Nawet w tym tak oczywistym procesie Cherix bronił nienagannie. Wskazał na wszystkie elementy: prowokację ze strony Edearda, niechęć między nim a Arminelem, rosnące napięcie, strach panujący tego dnia. Robił wszystko, żeby złagodzić końcowy wyrok.

- Potrzebny jest aż tak dobry obrońca - stwierdził Chae, gdy usadowili się w ławach. - To sprawa polityczna. Proces musi wyglądać na uczciwy.

Sala się wypełniła i sekretarz poprosił o ciszę. Weszli trzej sędziowie.

Dzień przed procesem Solarin powiedział, że rolę głównego sędziego przejmie sam burmistrz Owain. To rzadki przypadek, żeby burmistrz zasiadał w sądzie, choć jego biuro przewodniczyło władzy sądowniczej. Edeard nie był jednak zdziwiony. Polityka. Znowu polityka. Miasto domagało się ukarania członków gangu. A na wiosnę zapowiedziano wybory,



więc Owain miał doskonałe usprawiedliwienie, by uczestniczyć w tego rodzaju procesie.

Owain i dwaj towarzyszący mu sędziowie wezwali obie strony do wygłoszenia mów końcowych.

Edeard słuchał ich z rosnącym podnieceniem. Z napięciem. Sprawa była z góry przesądzona, wynikało to jasno z nieustępliwej mowy Solarina, który profesjonalnie obalał wszelkie argumenty obrony na temat okoliczności łagodzących. A jednak Edeard prawie współczuł Arminelowi: biedaczek sprowadzony na złą drogę bez własnej winy, straszne dzieciństwo, porzucony przez rodziców, zszedł na drogę przestępstwa, ponieważ miasto wykazało obojętność...

Czy na pewno nie dadzą się na to nabrać? Patrzył na twarze sędziów - mieli obojętne miny, a umysły doskonale ekranowane.

Po wysłuchaniu wniosków końcowych Owain zarządził przerwę, żeby sędziowie mogli wydać wyrok. Edeard z kolegami znów przeszedł do holu. Robili wszystko, żeby ich uczucia nie przedostały się do otoczenia.

Podszedł do nich Wielki Mistrz Finitan.

- Wątpicie w ostateczny wyrok? - spytał cicho. - Wyglądacie markotnie.

- Nie, proszę pana - odparł Edeard. - Ale Cherix jest naprawdę dobry.

- Musi być dobry. Wysoka Rada nie może sobie pozwolić na oskarżenia o stronnictwo.

- Polityka.

- Stajesz się prawdziwym obywatelem Makkathranu.

- Staram się, proszę pana.

- Widzę. - Finitan odciągnął go od pozostałych konstabli. - A więc zastanów się nad następującą sprawą: oferta, jaka zostanie ci przedłożona po zakończeniu procesu, nie dotyczy twoich zdolności, ale ma cię poddać testowi.

- Nie rozumiem, proszę pana.

- Jeśli się zgodzisz, okażesz, że rozumiesz politykę miasta, i udowodnisz, że postępujesz według takich samych reguł jak reszta z nas. Jeśli odmówisz, jeśli stwierdzisz, że nie jesteś

godzien albo zechcesz okazać swoją pokorę przed Panią, zademonstrujesz, że jesteś niebezpiecznym idealistą.

- Tak, proszę pana - odparł Edeard bezbarwnym głosem. Zupełnie nie wiedział, o czym mówi Wielki Mistrz.

- Tak czy tak, masz moje błogosławieństwo. Ale to musi być twój własny wybór. Ja prosiłbym cię tylko, żebyś się zastanowił, czego możesz dokonać z zewnątrz, kiedy zajrzysz do wnętrza. Zastanów się nad tym.

- Dobrze, proszę pana.

Finitan poklepał Edearda po ramieniu i podszedł do grupy Mistrzów Wielkiej Rady.

- O co chodziło? - spytał Macsen.

- Nie mam pojęcia.

\*\*\*

Narada zabrała sędziom trzy godziny. Wznowiono postępowanie. Arminel i jego oskarżeni kumple musieli wstać, by wysłuchać sentencji.

Zarzut wymuszenia: wszystkich pięciu uznano za winnych.

Zarzut zmywy: winni.

Zarzut usiłowania morderstwa dwóch konstabli - o co oskarżano tylko Arminela: winny.

Cały czas Arminel zachowywał kamienną twarz i spokojny umysł. Edeard oczekiwał, że gangster przynajmniej spojrzy na niego, ale ten ani drgnął.

Potem Owain włożył na głowę kwadrat szkarłatnego drojedwabiu. Wtedy Edeard dostrzegł napięcie u Arminela.

Gustape, Falor, Harri i Omasis - skazani na dwadzieścia lat w kopalni Trampello. Wyprowadzono ich do boksów. Arminel stał teraz sam przed trzema sędziami.

- Twoje winy są szczególne - oznajmił Owain. - Podczas pełnienia funkcji w Wysokiej Radzie nie spotkałem się chyba z taką nikkzemnością. Ponadto, stale odmawiałeś współpracy z konstablami i nie wyjawiałeś nazwisk członków swojej organizacji przestępczej. Może w ten sposób zasłużyłeś na ich wdzięczność, ale z mojej strony nie licz na pobłażanie. Na Querencii nigdy nie

mieliśmy kary śmierci. Dziękuj za to Pani, która w swej mądrości uznała, że każda dusza ludzka może być odkupiona. Ja jednak nie widzę żadnych szans na twoje zbawienie. Podsumowując: nie mam innego wyjścia, muszę cię skazać na więzienie w kopalniach Trampello na resztę życia. Niechaj Pani, bo nikt inny tego nie robi, błogosławi twą duszę, gdy będzie wstępować w promienne niebiosy. - Uderzył młotkiem. - Zamykam posiedzenie sądu.

\*\*\*

Widzowie wychodzili z głównej sali. Edeard i jego koledzy nadal siedzieli w ławach lekko oszołomieni.

- A to dopiero! - dziwił się Macsen.

- Dożywocie - rzekł Boyd.

- To wręcz niesłychane - wtórowała im Kanseen.

Mistrz Solarin odwrócił się do konstabli.

- Chyba ostatni wyrok dożywocia wydano czterdzieści dwa lata temu w procesie Rozpruwacza ze Złotego Parku. Odrażające indywidualium. Was jeszcze wtedy nie było. Z tego powodu możecie się uważać za szczęściarzy.

- To dopiero! - powtórzył Macsen.

- Gratulacje, młody człowieku. - Mistrz Solarin wyciągnął dłoń do Edearda.

- Dziękuję, proszę pana. - Edeard łagodnie uściśnął mu dłoń. - To pana zasługa.

- Nie miałem tu wiele do roboty dzięki twoim nadzwyczajnym zdolnościom. Życzę ci powodzenia w przyszłych przedsięwzięciach. To dla mnie przywilej, że występowałem jako twój doradca sądowy. Ale, jak mówi stare powiedzenie, uczeń przerósł mistrza.

- O, nie, proszę pana. Mam nadzieję, że odbędzie się jeszcze wiele procesów.

- Nie wątpię. I chyba nie tylko ja. Widzicie tego dżentelmena? - Stary prawnik wskazał sękatym palcem, który drżał ledwo dostrzegalnie.

Spojrzeli w tamtą stronę: przejściem między ławkami szedł mężczyzna w ekstrawaganckiej granatowej marynarce i szarej

koszuli z drojedwabiu. Dobiegał prawdopodobnie swojej pierwszej setki, ale nadal wyglądał krzepko i zdrowo. Na kołnierzu opadały mu gęste brązowe włosy z kilkoma tylko pasmami siwizny. Na każdym palcu miał gruby złoty pierścień, wokół szyi złoty łańcuch. Lekko otyła twarz świadczyła o wielu latach dostatniego życia. A jednak mężczyzna sprawiał wrażenie silnego fizycznie. Spod szerokiego czoła obserwował ich jasnozielonymi oczami. Wskutek jakiegoś dawnego wypadku lub bójki jego żuchwa domykała się niesymetrycznie, co nadawało twarzy koślawy wyraz. Ogólnie można by go wziąć za dobrze prosperującego, pewnego siebie kupca. Jakby na potwierdzenie, miał u boku dwie piękne dziewczyny luksusowo ubrane i obwieszane biżuterią. Są kilka lat młodsze od Kristiany, pomyślał Edeard ze współczuciem. Wtedy napotkał wzrok mężczyzny. Było to spojrzenie tak przenikliwe jak spojrzenie Pytii, którą poznał wiele miesięcy temu. Od razu instynktownie zrozumiał, że między nimi dwoma panuje wrogość. Przez chwilę również ze spokojem patrzył mu w twarz.

- Kto to? - spytał cicho.

- Kapitan Ivarl - odparł Solarin z najwyższym niesmakiem.

- Ma statek? - Edeard czuł się nieco urażony, słysząc lekceważące pomruki kolegów.

- Nie, nie ma statku, choć twierdzi, że kiedyś dowodził statkiem handlowym - wyjaśnił Chae. - Ivarl jest właścicielem Domu Błękitnych Płatków.

Edeard słyszał o tym przybytku. Burdel w dzielnicy Myco, przy porcie Makkathranu.

Kapitan Ronark stanął obok Edearda.

- Jeśli gangi miejskie mają jakiegoś przywódcę, to jest nim Ivarl - stwierdził kapitan. - Lubi się nazywać panem przestępczego bractwa. Prawdopodobnie to on wysłał Arminela, żeby zorganizował na ciebie zasadzkę.

- Aha. - Edeard uśmiechnął się uprzejmie i skinął draniowi głową. Ivarl odpowiedział mu podobnym gestem. Okutą złotem laseczką skierował w stronę Edearda. Mistrz Cherix szepnął

Ivarlowi coś do ucha. Ten uśmiechnął się cierpko i podszedł do konstabli.

- Wzorowy proces. Gratuluje. - Mówił chropawym głosem. Obrażenia sprzed lat, które wykrzywiły mu zuchwę, musiały dokonać głębszych szkód, pomyślał Edeard.

- Dziękuję - odparł Edeard z pewną dozą ironii.

- Miasto będzie się miało znacznie lepiej bez tych ludzi - ciągnął Ivarl. - Nędzna hołota, niczego nie wnosi do naszego życia. Pan natomiast, konstablu Edeardzie, jest osobą wyjątkową.

- Staram się, jak mogę. - Edeard dostrzegł, że jedna z dziewcząt Ivarla i Macsen wymieniają znaczące uśmiechy. Poczł skrepowanie. Miał ochotę walnąć przyjaciela.

- Jak my wszyscy - odparł Ivarl. - Każdy w jakiś sposób przyczynia się do ożywienia naszego pięknego miasta. Mając to na uwadze, zapraszam pana i pańskich przyjaciół do korzystania z gościnności mojego domu.

Edeard zdawał sobie sprawę, że wszyscy czekają na jego odpowiedź. A więc przed tym ostrzegwał mnie Finitan. Udowodniłem gangom, że nie wszyscy konstable są łatwymi przeciwnikami i że potrafię się oprzeć przemocy, więc chcą się przekonać, w jakim stopniu przemówię do mnie inne argumenty. Polityka!

Pozwolił, by z jego umysłu przesączyły się stare, głęboko osobiste obrazy: dogasające ruiny Ashwell i walające się na pogorzelsku zwłoki.

- Nie byłem jeszcze w pana dzielnicy - powiedział. - Ale wkrótce zamierzam się tam wybrać.

Ivarl zacisnął pulchne wargi z wyrazem rozczarowania. Wzruszył ramionami w wyszukany sposób.

- Młody człowieku, bardzo się cieszę, że pana tam spotkam. - Odwrócił się i odszedł. Po obu stronach miał zaborczo uczezione dziewczyny.

Dopiero wtedy Edeard zauważył spojrzenia kolegów,

- Co takiego?

Kapitan Ronark uśmiechnął się.

- Brawo, człowieku! Wiedziałem, że nie zdradzisz swoich ideałów. Chae uśmiechnął się z podziwem do Edearda i odszedł z kapitanem.

- Gdzie było to miejsce? - spytał Boyd z niepokojem.

- Wiś, w której dorastałem - odparł Edeard.

- O, Pani, sam widok mnie przeraził.

- Chciałem wywrzeć nacisk. Chciałem, żeby Ivarl naprawdę zrozumiał.

- Spokojna głowa, na pewno do niego dotarło.

- A jednak szkoda - powiedział Macsen smętnie. - Widziałeś tę blondynkę?

- Ty wieśniaku! - syknęła Kanseen.

- Hej! Też jestem zdolny do bolesnych, szlachetnych poświęceń. Trzeba przestrzegać pewnych standardów, jeśli się chce należeć do drużyny Stąpającego po Wodzie.

- Nie nazywajcie mnie tak - poprosił Edeard znużonym głosem.

- Za późno - rzekł Boyd. - O wiele za późno.

\*\*\*

Po południu dotarli na posterunek konstabli w Jeavons. W jadalni zajęli ten stół co zwykle i gemałpy przyniosły im talerze z kanapkami i kubki herbaty. Ostatnio poprawiło się tu jedzenie. Miejscowi sklepikarze zaopatrywali konstabli w lepsze produkty po rozsądnych cenach. Okazywali wdzięczność za to, że w dzielnicy spadła aktywność gangów.

Edeard doceniał ten gest, ale poczuł na swych barkach ciężar odpowiedzialności.

Teraz zobaczyłem prawdziwego wroga. Nawet jeśli Arminel zniknął, to Ivarl może wysłać na ulice dziesięciu podobnych. Stu.

Myśl była trzeźwiąca po euforii związanej z wygranym procesem. W zasadzie Edeard niczego nie zmienił. Tylko stał się sławny.

A w końcu jakie to ma dla ludzi znaczenie?

- Wynik, co? - spytał Boyd. Wziął kanapkę: bułeczkę z szynką, serem i ostrym pomidorowym chutneyem. Ugryzł ją ze smakiem.

Inni konstable z posterunku podchodzili do stołu, wylewnie gratulowali im wygranej, wyrażali podziw dla Edearda. Czuł się tym zakłopotany.

- Rzeczywiście, to wynik. - Kanseen wybrała sobie coś z pozostałych kanapek. - Ale to dopiero jedna sprawa pomyślnie zakończona.

- Studzisz nasz entuzjazm, pod tym względem można na ciebie liczyć - rzekł Macsen.

- Ona ma rację - odparł Edeard. - Trzeba zrobić znacznie więcej, żeby gangom zaczęło to naprawdę doskwierać.

- Aaa tam. Ivarl na tyle się wystraszył Stąpającego po Wodzie, że wypelzł spod swojej skały, by zobaczyć go osobiście - powiedział Boyd.

- Bardzo was proszę, nie nazywajcie mnie tak.

- Byłem pewien, że Arminel dostanie przynajmniej trzydzieści, czterdzieści lat - rzekł Macsen. - Ale dożywocie? Ile on ma? Ze trzydziestkę. Czyli przynajmniej sto pięćdziesiąt lat w Trampello. To nie pawilon na Iguru. Sto pięćdziesiąt lat! Owainowi musi naprawdę zależeć na reelekcji.

- Nie jest mi go żal - stwierdził Edeard. - Chciał mnie zabić.

- Bo Ivarl mu kazał - powiedziała Kanseen.

- Tak sądzisz?

- Wykluczone, żeby przygotował taką zasadzkę bez czyjejś znacznej pomocy. Musiał mieć pozwolenie. Ivarl musiał wyrazić zgodę.

- O, Pani - szepnął Macsen zaniepokojony. - Spójrz!

Dalwzrok Edearda pokazał mu kapitana Ronarka, który prowadził do sali Głównego Konstabla Walsfola. Konstable zamilkli, wstawali, ławki szurały po podłodze. Nawet geszypansy znieruchomiały.

Główny Konstabl Walsfol podszedł prosto do Edearda. Miał na sobie mundur wyjściowy - nienaganną czarną bluzę ze złotymi guzikami i szkarłatnymi epoletami z diamentową spinką. Edeard został mu krótko przedstawiony dzień po aresztowaniu Arminela i wtedy rzeczywiście był pod wrażeniem. Główny Konstabl miał ponad sto lat i po jego sposobie bycia było widać, że wywalczył

sobie to najwyższe stanowisko w policji. Mówił otwarcie, bez obaw, gdyż swoją pozycję osiągnął dzięki poparciu posterunków.

Walsfol zasalutował. Edeard też pośpiesznie zasalutował.

- Wspaniały dzień, konstablu. - Walsfol mówił szybko, wyraźnie, z arystokratycznym akcentem. - Dzięki tobie posterunek może się czuć dumny.

- Dziękuję, proszę pana.

Walsfol wyjął z kieszeni epolety - miały jedną srebrną gwiazdę.

- Za odwagę i akcję na Stawie Birmingham proponuję ci awans na kaprała.

Może to kwestia wyobraźni, ale Edeard był pewien, że słowo „proponuję” wypowiedziano z naciskiem. Poczł wielką ulgę: to właśnie musiał być test, o którym mówił Finitan, a nie tamta prymitywna próba przekupstwa ze strony Ivarla. Odpowiedział:

- Tak, proszę pana, dziękuję. To dla mnie zaszczyt.

Kapitan Ronark zainicjował oklaski, gdy Główny Konstabl przypinał Edeardowi epolety.

Oczywiście Finitan nie mówił o Ivarlu, napominał się Edeard, Wysoka Rada chce wiedzieć, czy zamierzam wspierać jej władzę. O, Pani! Czyżby uważali, że im zagrażam?

Na koniec Walsfol znów zasalutował.

\*\*\*

- Kapral Stąpający po Wodzie. - Roześmiany Macsen wznioł szklanę z piwem.

Edeard z rezygnacją wysłuchiwał kpin na swój temat. Wszyscy przenieśli się do Orła Olovana, by uczcić wydarzenie kilkoma drinkami. Zajęli mały boks na piętrze i nikt im w zasadzie nie przeszkadzał.

- Ciekawe, jakimi kadrami będziesz dowodził - zastanawiała się Kanseen. - Zwykle kaprale mają trzy drużyny.

- Proszę, nie łącz nas z tymi Droalami - powiedział Boyd. - Wciskają kit, i wszyscy wiedzą, że Vilby bierze łapówki.

- Ja tego nie wiedziałem - stwierdził Edeard.

- Jak to, ty, który masz takie super zdolności psychiczne? - ironizował Macsen.



Edeard wykonał w stronę Macsena ruch dłonią typowy dla Obrona. Wraz z tym gestem napłynęły smutne wspomnienia i Edeardowi zwilgotniały oczy. Obrona miałaby teraz dwadzieścia trzy lata...

- Musisz to przemyśleć, Edeardzie - powiedziała Kanseen. - Po awansie wszyscy będą teraz obserwować twoje postępowanie. Masz szansę zebrać drużynę konstabli, ludzi, na których możesz polegać.

- Tak, tak. - Edeard nie miał ochoty myśleć o odpowiedzialności związanej z nowym stanowiskiem. Ale cały czas się niepokoił, jaki powinien być jego następny krok. I gangi, i konstable chcieli się przekonać, do czego jest zdolny: czy okaże się jedynie silnym wieśniakiem, zadowolonym, że dziewczęta z miasta okazują mu zainteresowanie, czy też stanie w obronie prawa i przyczyni się do zmian.

Pałac Sadowy prawdopodobnie też chce to wiedzieć.

- Przypuszczam, że będę musiał wziąć was wszystkich. - Powiedział to, świetnie udając ogromną niechęć.

Teraz Boyd wykonał gest.

- Nawet Dinlaya? - spytał Macsen tak cicho, że tylko Edeard go usłyszał.

- Tak - odparł Edeard cichą, ukierunkowaną dalmową. - Nawet Dinlaya.

Macsen patrzył ponuro w szklankę piwa.

- I co zamierzasz zrobić z tą swoją drużyną? - spytała Kanseen. - To przecież tylko piętnastu ludzi.

- Dwa miesiące temu była nas zaledwie piątka - rzekł Edeard cicho. - Uważam, że możemy zrobić coś pożytecznego. O ile Ronark nam pozwoli. Mimo wszystko obowiązują nas procedury.

- Ale bez takiego kopa na początku - zauważył Boyd z nietypową dla siebie powagą. - Ty, Stąpający po Wodzie, masz impet i renomę. Masz szansę, żeby jakoś to wykorzystać.

- Najdroższa Pani, dajcie mu piwa i słuchajcie, jak oto wyrasta nam Polityk - jęknął Edeard.

- Znam Makkathran - stwierdził Boyd stanowczo. - Tu jest dla ciebie szansa. - Objął ramionami Kanseen i Macsena. - A my,

trójka miejscowych przewodników, zrobimy wszystko, żebyś jej nie zmarnował.

- Wasza trójka. - Edeard przewrócił oczyma. - Wspaniale. Jak mogłoby się nie udać?!

- Trzymamy się razem - zauważył Macsen. - Tak było i będzie, bez względu na okoliczności.

- Bez względu na okoliczności! - I na potwierdzenie wypili. Boyd pchnął po stole swoją pustą szklankę.

- Teraz, jak dostaniesz kaprałską pensję, możesz nam chyba postawić kolejkę?

- Wybaczcie. - Edeard wstał i zapiął bluzę. - Mam umówione spotkanie w teatrze Alrado, w dzielnicy Zeldy, a to długi spacer.

- Spotkanie? - dopytywał się Macsen z ciekawością.

- Ktoś z Gildii Urzędników ma mi pomóc przy podatkach.

Gdy opuszczał boks, żegnał go drwiący śmiech, a gdy ruszył po niewygodnych krętych schodach, słyszał okrzyk Kanseen:

- Nie! Ja już stawiałam ostatnią kolejkę.

\*\*\*

Na zewnątrz było zimno. Chodniki pokrywała warstwa szronu, a płatki śniegu unosiły się na tle jaskrawych pomarańczowych świateł padających z budynków. Edeard szedł po uliczce Albie w stronę Kanału Lotnego. Mijali go ludzie okutani w grube płaszcze. Wypuścił mgiełkę sekluzijną, chroniącą przed ciekawym dalwzrokiem - tak postępowali wszyscy mieszkańcy Makkathranu, gdy udawali się gdzieś w sprawach osobistych. Dawało to efekt podobny do lekkiego ukrycia się.

Zbliżał się do żelaznego mostu prowadzącego do dzielnicy Haxpen, gdy dalwzrokiem po raz trzeci omiótł postać, która śledziła go od pewnego czasu, nie szanując oczywistego życzenia Edearda, by pozostawiono go w spokoju. Skoncentrował się na tej osobie i rozpoznał ją.

- Salrana! - zawołał.

Biegła ku niemu. Jej myśli promieniały łobuzerską radością. Przekonał się, że teraz dorównuje mu wzrostem. Jej długie do

ziemi, ciemnoszare poncho łopotało, duży kaptur naciągnęła na twarz.

- Jesteś taki powolny. - Zachichotała. - Śledzę cię od wyjścia z tawerny. Gdybym była zabójcą, już dawno byś nie żył. - Zsunęła kaptur do tyłu, uwalniając kasztanowe włosy, i pocałowała Edearda mocno. - Ledwo cię poznałam z tą długą fryzurą. Pasuje ci ta miejska moda.

Uśmiechnął się, cały czas czując bliskość jej ciała. Przyglądał się jej twarzy: ostro zarysowane kości policzkowe, duże, piękne, brązowe, figlarne oczy. Wyglądała zachwycająco i właśnie dlatego próbował jej unikać. Dalrozmawiali każdego dnia, ale Edeard nie spotykał się z nią, pod pretekstem, że jest zajęty procesem. Teraz, gdy tak stał na ulicy w mroku i chłodzie, czuł się skrępowany, przypominając sobie igraszki z dziewczętami w ostatnich tygodniach. Spędzić z nią teraz miły wieczór? To byłaby dla niego tortura.

„O co chodzi?” - pytał siebie. „Jest piękna i pragnie mnie, a ja bym bardzo chciał mieć ją w łóżku i w życiu. Tworzylibyśmy idealną parę. Z pozostałych osób tylko Kanseen jest mi bliska, ale to zupełnie co innego”.

Wahał się z głupiego poczucia obowiązku. Przynajmniej tak to sobie tłumaczył. Żywił do niej uczucia opiekuńcze. Teraz już całkowicie zbyteczne. Nie byli dwojgiem samotnych ludzi wobec całego świata. Może bał się zmienić ten stan rzeczy? Tyle się przecież wydarzyło, a ona była dla niego stałym elementem w bardzo niestabilnym życiu. I nie znosiła, by jej o tym mówiono. Młoda, pełna życia, pragnęła nieco przyjemności. Zaslugiwała na szczęście. Razem byłiby szczęśliwi...

- Jeju, ale się ucieszyłeś na mój widok! - szydziła.

- Wybacz. - Uśmiechnął się i zepchnął emocje poniżej poziomu percepcji dalwzroku. - To cudowne, że cię widzę, ale przypominałem sobie, co mam dziś wieczór do zrobienia.

- Naprawdę? - spytała. Wzięła go pod ramię i ruszyli żelaznym mostem. - Biedactwo. To okropne, że musiałeś zabawiać w łóżku i Kristianę, i Ranalee.

Staął jak wryty.

- Na Panią, skąd się o tym dowiedziałas?

Zachichotała, zadowolona, że wytrąciła go z równowagi.

- Och, Edeardzie, całe miasto wie, kto dziś usidlił Stąpającego po Wodzie. Kristiana przechwalała się tym w knajpach. Wiesz przecież, że to miasto uwielbia plotki.

- Wiem. - Był załamany. A ponieważ i tak już nic się nie dało zrobić, spytał tylko: - Czy ludzie rzeczywiście mówią o moim życiu miłosnym?

- Mówią. Śpiewają. Piszą książki. Chyba nawet planują wystawić sztukę podczas noworocznego bankietu w Złotym Parku.

- Daj spokój.

Przyparła go do balustrady i znów pocałowała. Skórę miała ciepłą i jedwabistą. Pachniała intensywnie.

- Czy drugi akt będzie nasz? I trzeci, i czwarty?

Edeard omal jej nie odepchnął. Zmusił się do uśmiechu, odwrócił się i oparł o barierkę. Objął Salranę ramieniem. Jej umysł rozbłysnął zachwytem i Edeard czuł się tym odurzony.

- Naprawdę postępowałem aż tak głupio? - spytał.

- Że mnie odrzuciłeś. A w pozostałych sprawach jesteś jak każdy syn z Wielkich Rodzin, gdy ukończy piętnaście lat. Całe miasto należy do ciebie. Różnica między tobą a nimi jest taka, że ty na to zasłużyłeś. Ludzie chcą wiedzieć, co się dalej wydarzy. Czy sprawa Arminela to tylko czysty przypadek, czy też staniesz się prawdziwym Stąpającym po Wodzie.

Westchnął.

- Nie cierpię tego przezwiska.

- Mam nadzieję... Edeardzie, mam nadzieję, że sprostasz oczekiwaniom. Czy wiesz, że od czasu Stawu Birmingham coraz więcej ludzi uczestniczy w obrzędach religijnych? Wtedy wykazałeś się poczuciem obowiązku, honorem i odwagą. To bardzo rzadkie przymioty u nas w mieście. Ludzie się przekonali, czego brakowało im w życiu. To było wspaniałe.

Wpatrywał się w ciemną wodę, pokrytą warstewką skruszonego lodu. Na drugim brzegu, gdzie gnieździły się filszcury, zauważył drobne fale. Z Wysokiego Stawu na Wielkim

Kanale Głównym sunęła w tamtą stronę para gondoli; łodzie miały na dziobie zawieszone lampy, a gondolierzy cicho śpiewali.

- Nie wiem, co mam teraz zrobić - wyznał. - Nie, nieprawda. Wiem, co powinienem zrobić. Ale jeśli tak uczynię i wykorzystam swoje zdolności przeciwko gangom, to nie będzie drogi odwrotu. Teraz mogę nic nie robić i całe to zamieszanie ucichnie. Ale...

Objęła go w szczególny sposób; nigdy wcześniej żaden jej gest nie wywołał w nim uczucia podobnej zażyłości.

- Nie możesz tego zrobić - szepnęła. - Wiesz, że nie możesz.

- Tak, wiem. Dziękuję.

- Przekazuję tylko nauki Pani. Temu poświęciłam swoje życie.

- Jesteś taka dobra, Salrano.

Odchyliła się zalotnie.

- Nie chcę być dobra. Nie z tobą. A dziewczęta z możnych rodzin twierdzą, że jesteś dobrym kochankiem.

Co za upokorzenie! Edeard aż zadrżał. Czyżby cały Makkathran o tym mówił? Ale z drugiej strony...

- Chyba nie zamierzasz wierzyć we wszystko, co słyszysz?

- Doprawdy?

- No, dobrze. Przyznaję, że jest w tym odrobina prawdy.

- Och, posłuchaj sam siebie! - Klepnęła go po ramieniu, a potem przyciągnęła do siebie i znów pocałowała.

Czuł się tak, jak wtedy na dnie studni. Wiedział, że nie powinien, ale w zasadzie, dlaczego nie? Niech przynajmniej teraz kieruje mną serce, a nie umysł.

Mijała ich dwójka osób - dalwzrokiem łagodnie oglądali parę obejmującą się żarliwie. Odwrócili głowy.

- To on - szepnęła kobieta. - Stąpający po Wodzie.

- A to nowicjuszka kościoła Pani!

Do kilku znajomych skierowano dalmową:

- Nigdy byś się nie domyślił...

Edeard i Salrana odsunęli się od siebie ze znaczącym uśmiechem, jak dwoje skarconych uczniów. Poprawili ubrania i pochyłym mostem przeszli do Haxpen.

- Będę miał gorszą reputację od Dybala - stwierdził Edeard.

- Dobrze jako kamuflaż. Gangi nie poznają się na twojej wartości, jeśli potraktują cię tylko jako niecnego podrywacza.

- Właśnie! - Zaśmiał się. - Straszna cena. Chodźmy. Odprowadzę cię do Domu Millical. To prawie po drodze.

- Nie, wcale nie.

- Ależ tak. Spróbuję czegoś dokonać. Ty i Lady macie rację. Żle by było nie spróbować.

- Już dziś wieczór?

- Tak. Doskonały termin. Nikt się nie spodziewa, że już dziś przeprowadzę jakąś akcję jako konstabl.

- Ja na pewno bym się tego nie spodziewała.

- Wiem. Naprawdę powinniśmy porozmawiać.

- Rozmawialiśmy przez trzy lata, Edeardzie.

- Tak - odparł. Strasznie go kusiło. Jak zawsze. Może sprawa Ivarla mogłaby poczekać jeden dzień.

- Przyznaję, nie jestem fair. - O!

- Matka przełożona powiedziała mi wczoraj, że na zimę przydzielono mnie do szpitala Pani w Ufford.

- Gdzie to?

- Stolica prowincji Tralsher, na południe od Igruru.

- Co takiego?! Nie!

- Właśnie tak. Opieka nad chorymi to część naszego szkolenia.

- Ale przecież w Makkathranie też są szpitale.

- Kościół myśli inaczej. Chce, żebyśmy poznali życie za kryształowymi murami.

- Żadna Matka przełożona nie zna tak dobrze życia poza miastem jak ty - irytował się.

- Gdybym im to powiedziała, wcale by mi to nie pomogło.

- Mógłbym poprosić Mistrza Finitana, żeby porozmawiał z twoją Matką przełożoną.

Salrana zaśmiała się cicho.

- Doprawdy? To by zadziało. „Mój przyjaciel chce mieć nowicjuszkę jako kochankę, więc proszę zmienić tradycyjny tryb szkolenia, żeby mu to umożliwić”.

- Och, nie. Jeśli tak się postawi sprawę, to raczej się nie uda.

- I masz rację.

- Ale nie byłabyś moją kochanką.
- Nie! Pokręcił głową.
- Nigdy. Bylibyśmy partnerami. Równoprawnymi kochankami.
- Och, Edeardzie. - Patrzyła na niego i w oczach stanęły jej łzy. - Powtórz to. Obiecuj, że kiedy wrócę, będziemy kochankami. Edeard ujął jej dłonie.
- Obiecuję. Biorę Panią na świadka.

\*\*\*

Przy Wysokim Stawie Edeard przeszedł przez wysoki most, ten o jezdni z kryształu. Tego wieczoru przezroczystość nie miała znaczenia i Edeard czuł się tak, jakby szedł po połyskliwej czarnej substancji pomazanej breją. Dotarł na puste ulice Eyrie, którymi szybko pognął do dzielnicy Zeldy. Nie planował, że dotrze aż tak daleko, ale jeśli wszyscy wiedzieli, że spotyka się tu z dziewczętami, musiał przynajmniej udawać, że tam zmierza. W razie, gdyby go obserwowano. Ciągle czuł przerażenie na myśl, że miasto wie o jego podbojach miłosnych, choć przyznawał, że sam jest temu winien. Dziwne, że żaden z jego przyjaciół o tym nie wspomniał. Czyżby zakładali, że on wie? Na tym polegał problem osoby, która nie dorastała w mieście: wszyscy uważali za oczywiste, że jest obeznany z panującymi tu stosunkami.

Za Kanałem Zagajnikowym zabudowa przechodziła w labirynt skromnych domów, sklepów i warsztatów rzemieślniczych. Edeard celowo wybierał bardzo wąskie ulice. W zaułku Polteral znalazł się zupełnie sam. Było to zygzakowate przejście na tyłach budynków, tak wąskie, że mieścił się tam tylko jeden człowiek. Gdzieniedzie w ścianach widniały wnęki, umożliwiające minięcie się dwóch osób; miały dziwny kształt, wybrzuszały się do wewnątrz kilkadziesiąt centymetrów nad ziemią i Edeard zastanawiał się, jak wyglądali pierwotni mieszkańcy miasta. Nocą nikt tędy nie chodził, grube ściany nie pozwalały na użycie dalwzroku, a dalmowa była skutecznie zablokowana. Gdyby kogoś tu napadły bandziory, aż do rana nikt by tego nie zauważył. Edeard wysłał przed siebie dalwzrok, sprawdzając, czy we wnękach nikt się nie kryje. W połowie drogi zatrzymał się

pod nawisem muru i cały okutał się niewidką. Gdy się upewnił, że nikt go nie śledzi, poprosił senny umysł Makkathranu o ponowne pozwolenie przejścia. Teraz było to dla niego łatwiejsze po tamtym pierwszym razie na tyłach sklepów na ulicy Sonral; potem trenował w odizolowanych miejscach takich jak to. W mieście było ich wiele.

Chodnik pod jego stopami zmienił się, wytworzył podprogowy wir barwnych symboli. Stopy Edearda zanurzyły się, jakby zatoneły we mgle. Jakaś siła opuściła go łagodnie do szczeliny odwadniającej pod domem. Jak zawsze, czuł się tak, jakby gwałtownie spadał z dużej wysokości.

Szedł kilka minut, aż dotarł do ujścia szczeliny w murze dużego tunelu, który biegł bezpośrednio pod Wielkim Kanałem Głównym. Edeard ostrożnie postawił nogi na małych stopniach - prosił miasto, żeby stworzyło mu takie schodki w dół muru. Mimo to, łatwo mógł się poślizgnąć, gdyż woda cały czas chlupotała mu pod nogami. Podczas poprzednich wypraw przekonał się, że system kanałów na Makkathranie jest zdublowany w ukrytym podziemnym świecie. Na sklepieniu głównego tunelu jarzyło się słabe pomarańczowe światło, w którym Edeard widział strumień, dziś głębszy niż zwykle. Czyli znacznie więcej wody skapywało z trotuarów do odwadniaczy. W murze był występ, po nim Edeard mógł iść tuż przy brzegu strumienia, ale na skrzyżowaniach musiał brodzić przez rozległe kałuże. Lodowato zimna woda wlewała mu się do butów.

Nie po raz pierwszy zastanawiał się, czy mógłby tu na dół ściągnąć małą łódkę. W końcu zdecydował się na użycie trzeciej ręki, którą odgarniał wodę. Przekonał się, że trik Stąpającego po Wodzie, czyli stabilizowanie powierzchni strumienia, jest zbyt wyczerpujący i nie da się go stosować przez dłuższy czas.

W końcu skręcił z tunelu biegnącego pod Kanałem Wysokiego Ogonu. Przeszedł paręset metrów i wdrapał się do innego odpływu. Nie znał zbyt dobrze dzielnicy Myco, ale dalwzrokiem dość łatwo potrafił teraz przejrzeć materię miasta. W umyśle tkankę miejską widział tak, jakby była zbudowana z matowego szkła. Zatrzymał się pod ustronnym zakamarkiem małego placu.



Miasto wyniosło go w górę, w gęstniejący śnieg. Wynurzył się i znów okutał się niewidką.

Przez plac przeszła para marynarzy w tradycyjnych krótkich pelerynach koloru fuksji. W ogóle go nie widzieli. Uśmiechnął się, gdy go minęli, i poszedł w przeciwną stronę.

Front trzypiętrowego Domu Błękitnych Płatków wychodził na Kanał Wysokiego Ogona. Po drugiej stronie kanału stały magazyny portowe. W ozdobionej ślimacznicami fasadzie widniały owalne okna, otoczone fryzami przypominającymi onyksowe palmety. Z dachu mansardy wystawało kilka półsferycznych okien. Niczym oczy giganta, wpatrywały się w mgławice nieba Querencii. Edeard spojrzął w okna, zaintrygowany sączącym się stamtąd słabym, fioletowym światłem. Już dawno nie widział takiej barwy, bo w nocy na Makkathranie panowała wszędzie pomarańczowa poświata.

Trzy wejścia na parterze, z ciężkimi drzwiami z drewna, były otwarte. Na ulicę wylewały się dźwięki fortepianu, towarzyszące im wybuchy śmiechu i głośne rozmowy. W drzwiach stali portierzy w czarnych marynarkach przypominających bluzy konstabli. Edeard wstrzymał oddech i prześlizgnął się obok mężczyzn. Cały czas obserwował, czy przypadkiem go nie wyczuwają. Jeden z nich nachmurzył się i rozejrzał wokół, jakby dostrzegł jakieś widmowe zakłócenia, ale nie podniósł alarmu.

Połowę parteru zajmował bar. Pośrodku stał fortepian, na którym ktoś wygrywał wesołe rytmy. Za długim błyszczącym kontuarem elegancko ubrani kelnerzy mieszali koktajle, roznoszone potem przez wypielęgnowane gemałpy. Przy stolikach stały skórzane fotele o wysokich oparciach, a klienci z drinkami w dłoniach, rozparci wygodnie, czekali, aż podejdzie do nich burdelmama. Spod ścian dwa duże czarne żelazne piece węglowe emanowały miłym ciepłem. Tę wysoką na dwie kondygnacje salę otaczała w górze drewniana galeria. Znad jej barierki wychylały się dziewczęta w dziwnie sztywnych kręconych fryzurach i krótkich, jaskrawych sukienkach. Uśmiechały się do mężczyzn w dole, nawiązywały kontakt

wzrokowy i przesyłały im w powietrzu pocałunki z frywolną dalmową.

Edeard obserwował gości, którzy korzystali z szerokich, drewnianych schodów. Widział nie tylko marynarzy. Sądząc po ubraniach, byli tu też członkowie gildii i arystokracji. Zauważył nawet kilku oficerów milicji w niebiesko-szkarłatnych mundurach. Ale żadnych konstabli.

Prawdopodobnie nie stać ich na to, pomyślał.

Czekał, starając się zrozumieć, jakie panują tu zwyczaje. Badał otoczenie dalwzrokiem. Burdelmama chodziła od stolika do stolika i gawędziła z klientami. Krótko rozmawiano o dziewczętach, czasami ktoś domagał się swojej ulubienicy, niektórzy wybierali kurtyzany z galerii. Zapłatę przyjmowano dyskretnie, stałym klientom doliczano ją do rachunku. Gdy któryś z mężczyzn dopił drinka, szedł na górę, gdzie witała go wybrana dziewczyna.

Edeard stał przez kilka minut u stóp schodów, potem ruszył za członkiem Cechu Cieśli. Wybranka podbiegła i objęła mężczyznę na powitanie, potem oboje zniknęli w bocznym korytarzu. Edeard mijał inne dziewczyny, zaskoczony bardzo silnym zapachem perfum. Obawiał się nawet, że nie zdoła się powstrzymać od kichnięcia. Potem przedostał się przez zwieńczone łukiem przejście zasłonięte kotarą. Rzecz niełatwa: należało zamaskować falowanie grubego, czerwonego aksamitu.

Po drugiej stronie zobaczył skromny korytarz prowadzący na schody, którymi dotarł na drugie piętro. Odgadł, jaki jest rozkład pokoi, gdzie w grupach przebywało ponad trzydzieści osób. Dość łatwo dostrzegł Ivarla. Edeard nie zamierzał działać pośpiesznie i nierozważnie.

Nie przejmował się drzwiami - otwarcie ich w sposób niezauważony nie byłoby możliwe. Poprosił więc miasto, żeby zmieniło fragment ściany, i jak duch przeniknął na drugą stronę, do długiego pokoju przy końcu budynku, gdzie brylował szef mafii. Cztery owalne wielkie okna wychodziły na wschód, na morze Lyot. Dziś wieczór zasłonięto je grubymi kotarami. Z kąta

pokoju zielony kafłowy piec buchał żarem i Edeard żałował, że ma na sobie płaszcz. Inni ubrali się łyżej.

Ivarl w rozpiętej szarej koszuli prezentował pierś pokrytą gęstym owłosieniem. Zdjął buty i postawił je przy miękkiej skórzanej kanapie, na której był rozparty. Towarzyszyło mu siedmiu innych mężczyzn, elegancko ubranych; tworzyło to iluzję, że ludzie ci należą do którejś z wielkich rodzin lub do kupiectwa. Edeard nie mógł pozbyć się tego wrażenia - jakby kryminaliści stworzyli gildię i korzystali z dobrodziejstw legalnej przedsiębiorczości. Gdy po raz pierwszy usłyszał o gangach, sądził, że należą do nich nędznie ubrani ponuracy, którzy spotykają się potajemnie w ciemnych, podziemnych pomieszczeniach, ale przecież nie w takich przybytkach.

Pod ścianą stał stół, na nim złote i srebrne półmiski z równie wykwintnymi potrawami, jakie serwowano w restauracji Lillylight. Do tego wina z posiadłości, o których Edeard nigdy nie słyszał.

Trzy dziewczęta chodziły wśród gości i napełniały winem kryształowe kielichy. Miały na sobie prześwitujące spódniczki i zamszowe szpilki. Nic więcej. Edeard przyglądał się temu z lekkim poczuciem winy, jakby zakradł się komuś do sypialni.

Pani, jaki głupi ze mnie kmiotek! A co dziewczyny miałyby nosić w takim miejscu?

Potem naprawdę im się przyjrzał: dwie z nich widział dziś rano w sądzie, a trzecia...

Z krtani wyrwał mu się cichy jęk przerażenia. Na szczęście, mężczyźni tego nie słyszeli, pochłonięci głośną rozmową. To Nanitte, tancerka, którą Macsen sprowadził do swojego mieszkania w noc przed zasadzką przy Stawie Birmingham. To dopiero było straszne! Edeard wcześniej nie zdawał sobie sprawy z tego, że Ivarl działa z takim rozmachem. Ten salon pasował do szefa gangu, który był inteligentny, bogaty, miał dyskretne wpływy, sięgające znacznie dalej, niż Edeard sobie wyobrażał.

Przychodząc tu, miał nadzieję, że podsłucha rozmowy, które obciążą gangsterów. Przekonał się, że Ivarla nie uda się

wyeliminować w kilku dobrze zaplanowanych aresztach i kilku nalotach. Jeśli zamierzał go aresztować i zlikwidować gangi, musiał postępować w sposób znacznie bardziej wyrafinowany. Musiał poznać metody Ivarla, jego interesy i przyjaciół. Edeard coraz wyraźniej widział, że gangster nigdy by nie osiągnął swojej pozycji bez pomocy establishmentu.

Jedna sprawa na raz.

Uszczelnił swoją niewidkę i zaczął podsłuchiwać.

\*\*\*

Po Nowym Roku przez cały dzień padało. Wielkie miękkie płatki śniegu leciały z szarego nieba, tłumiąc odgłosy miasta. Edeard wykapał się wcześniej rano, potem zjadł porządne śniadanie: jajecznicę, bekon z rusztu, kilka plasterków kaszanki podsmażonej z grzybami. Edeard miał pewność, że dziś nie może liczyć na lunch. Ubrał się, starannie opiął grubą drojedwabną kamizelką, a pod spodnie włożył ochraniacze, również z drojedwabiu. Podczas rajdu na gangsterów spodziewał się zacieklego oporu i wiedział, że wielu z nich ma pistolety.

Wyszedł na pomost i dopił herbatę. Patrzył na basen na owalnym dziedzińcu. Płatki śniegu tonęły w spokojnej wodzie, z której unosiły się smugi pary wodnej. Woda nie zamarzała, ale nie była na tyle ciepła, by dzieci mogły w niej pływać. Edeard zastanawiał się nawet, czyby nie zwiększyć temperatury wody, jak to zrobił we własnym mieszkaniu, ale znów obawiał się, że jego talenty przyciągną uwagę.

Na pomost weszli Boyd i Dinlay, z twarzami zaczerwienionymi od mrozu. Dinlay jak zwykle nienagannie ubrany: przepisowy płaszcz do kolan w dokładnie tym samym kolorze co bluza, nawet srebrne guziki miały ten sam rozmiar i kształt. Boyd wybrał skórzany, brązowy ocieplany płaszcz. Edeardowi tak się on kiedyś spodobał, że poszedł do sklepu w dzielnicy Cobara i sprawił sobie identyczny.

- Wszystko w porządku? - spytał Dinlay z niepokojem. Od powrotu do służby dwa miesiące temu bardzo się starał pokazać

kolegom, co potrafi. Prawdę mówiąc, zbyt się starał. Wszyscy zgrzytali zębami i czekali, aż mu to szaleństwo przejdzie.

Edeard modlił się do Pani, żeby dzięki tej akcji Dinlay znów poczuł się pełnoprawnym członkiem drużyny. Edeard musiał w tym celu zrobić tylko jeszcze jedną sztuczkę.

- Żadnych ruchów. Georły obserwowały ulicę przez całą noc. Trukal i Harawold nadal są w środku. Lian ze swoją dziewczyną w Sampalok.

- Alvarl?

- Tam gdzie zawsze - odparł Edeard.

To dziwne, ale Ivarl prawie w ogóle nie wychodzi z Domu Błękitnych Płatków, jednak gdy chce się z jakąś osobą widzieć, ta natychmiast do niego biegnie. Nie wszyscy Wielcy Mistrzowie Rady cieszyli się takim respektem. Dla Edearda miało to pewną zaletę: znacznie łatwiej mu było obserwować przeciwnika, a obecnie znał Dom Błękitnych Płatków lepiej od innych budynków w Makkathranie, jeśli nie liczyć posterunku w Jeavons.

Przez ostatnie dwa tygodnie podsłuchiwał gangsterów, planujących napad w dzielnicy Vaji: imponujące, brawurowe włamanie na podwórze Gildii Chemików w przeddzień Nowego Roku i kradzież platynowych sztabek. W drobiazgowo przygotowania zaangażowali dwudziestu członków gangu i cztery gondole. Znali plany dyżurów strażników, przekupili dwóch członków Gildii - żeby pozostawili niektóre drzwi otwarte - a dziewczęta miały się zatroszczyć o to, by niektórzy mężczyźni nie dotarli na swoje stanowiska. Gangsterzy upozorowali nawet bójkę w tawernie, co miało przyciągnąć konstabli z posterunku w Vaji. Czy mogło być coś bardziej naturalnego od pijackiej burdy w wigilię Nowego Roku?

Gdy Edeard poznał te plany, zaczęły się prawdziwe podchody. Powiedział swoim podwładnym, że ma informatora w otoczeniu Ivarla i że gang organizuje napad rabunkowy. Nie minął dzień, gdy informacja dotarła do szefa gangu i Edeard z radością obserwował niesnaski i podejrzenia wśród zaufanych pomocników gangstera. Potem Edeard przekonał Ronarka, że

należy pozwolić na przeprowadzenie napadu; zapewnił, że jego „informator” zdradził mu miejsce, w którym zostaną ukryte sztabki platyny. Tam konstable powinni uderzyć, gdy gangsterzy nabędą pewności, że już nic im nie grozi. Może uda się zwabić do kryjówek przywódców gangu, gdy zaczną przekazywać platynę chciwym paserom i nieuczciwym jubilerom.

Ivarl wezwał Trukala i Liana i zakomunikował im zmianę planów - tylko ich trzech miało o tym wiedzieć. Edeard omal nie wybuchnął śmiechem, słysząc, jak knują kontrpodstęp. Oszustwo i kontrpodstęp - miał mętlik w głowie, ale w końcu nie chodziło już o kradzież. Tylko o niego i o Ivarla. Obserwując Ivarla, a samemu będąc w niewidce, mógł się przekonać, że jego przeciwnik też o tym wie.

Z mieszkania Edearda wyszli Kanseen i Macsen. Byli podekscytowani.

- Nie macie kaca? - spytał Edeard.

- Nie po ostatniej nocy - odparł Macsen. - Muszę dawać przykład reszcie oddziału. O dziewiątej wieczór byłem w łóżku z kubkiem gorącej czekolady. - Mrugnął do Boyda. - Alisool wie, jak robić naprawdę dobrą czekoladę.

Kanseen pokręcił głową.

- O, Pani, chroń nas przed twoim ego.

- Idziemy - rzekł Edeard.

\*\*\*

Dotarli na posterunek w Jearons. W małym holu czekały już dwie pozostałe drużyny podległe Edeardowi. Wszyscy emanowali niecierpliwością.

Droal i Urarl, dowódcy drużyn, zaszalutowali, a Edeard sumiennie im odpowiedział. Starał się nie zwracać uwagi na Vilby'ego.

- Wszystko w porządku? - spytał Urarl, parę lat starszy od Edearda syn kowala z dzielnicy Cobara. Formalnie rzecz biorąc, to on powinien otrzymać awans, ale nigdy nie okazał niechęci Edeardowi za to, że awansowano go przed nim.

- Nie ruszyli się - zapewnił Edeard wszystkich zgromadzonych. - Zespół Chae obserwował ich przez całą noc. Sztabki czekają na nas. Zidentyfikowaliśmy siedemnastu gangsterów zaangażowanych w rabunek. Sądy będą dziś po południu bardzo zajęte.

Kapitan Ronark wprowadził trzy inne drużyny do małego holu.

- Gotowi do akcji? - spytał.

- Tak, proszę pana - odparł Edeard.

- Tu są wasze pozwolenia na broń - oznajmił dowódca posterunku, wręczając kawałek pergaminu z oficjalną pieczęcią. - Przed chwilą dalrozmawiałem z dowódcami posterunków w Neph i Bellis. Przygotowali parę drużyn, które mogą pomóc w aresztowaniach. To dobre posunięcie. Nie chciałbym się nad nich wywyższać.

- Dziękuję, proszę pana. - Edeard spojrzał na wchodzącego energicznie konstabla - stażystę Felaxa.

Chłopak miał zaledwie siedemnaście lat. Wraz z dwudziestką innych dołączył do policji tuż po wydarzeniach na Stawie Birmingham. Chae narzekał, że to koszmar, szkolić tylu bezwartościowych niezgułów. Oczywiście, prywatnie bardzo to lubił.

- Wszystkie nakazy aresztowania podpisane, proszę pana - oznajmił Falax. - Sędzia Salby życzy powodzenia.

Edeard nawet nie spojrzał na nakazy, włożył je od razu do kieszeni.

- Możesz dziś z nami zostać, będziemy potrzebować gońców.

- Dziękuję, proszę pana - powiedział Felax, pełen uwielbienia.

- Proszę o uwagę. - Edeard wszedł na ławkę. - Sztabki skradzione z Gildii Chemików złożono pod domem na ulicy Whitemire w Sampalok. Pilnuje ich pięciu lub sześciu gangsterów, ale przypuszczamy, że dziś rano przyjdzie ich więcej, gdy zaczną przekazywać platynę paserom z miasta. Nie chcą ryzykować i trzymać wszystkich sztabek w jednym miejscu. Musimy wkroczyć dokładnie wtedy, gdy kurierzy przyjadą, ale zanim opuszczą kryjówkę. W ten sposób aresztujemy wiele osób. Kiedy odzyskamy sztabki, aresztujemy wszystkich zamieszanych

w przestępstwo. Ale podkreślam: potrzebujemy sztabek jako dowodu. Nauczyła mnie tego pierwsza rozprawa przed sądem w sprawie Arminela. Wzbudziło to lekką wesołość.

- Nasze wsparcie to trzy georły i dziesięć gepsów z tego posterunku, a na dodatek kilka drużyn z Bellis i Neph. Wiemy, że niektórzy gangsterzy są uzbrojeni, dlatego wydano nam pistolety, ale, proszę, używajcie ich tylko w ostateczności. Nie chcę żadnych ofiar. Ta wielka operacja stanie się głośnym noworocznym przesłaniem od konstabli do gangów: że to ich ostatni rok w Makkathranie.

Macsen i Dinlay zaczęli klaskać i gwizdać.

\*\*\*

- To będzie totalny chaos - powiedział Macsen, gdy płynęli gondolą po Wielkim Kanale Głównym. Za nimi sunęły cztery inne gondole z pozostałymi drużynami.

- Dlaczego tak sądzisz? - spytał Dinlay z irytacją. - Edeard to wszystko zorganizował i dobrze się spisał.

- Co ty? A na kogo spada odpowiedzialność? Oddziały z Bellis i Neph zechcą sobie przypisać całą zasługę, a nimi dowodzą sierżanci. Z całym szacunkiem, Edeardzie, ale zbyt wielu konstablów bierze w tym udział. Drużyny nie przywykły działać w tak dużych grupach.

- Wiem - odparł Edeard. Usiadł wygodnie w gondoli i zadowolony uśmiechał się do nieba.

Śnieg ustał, chmury się przerzedzały. Mocne palce zimowego słońca dźgały w pokryte śniegiem domy. Po świętach noworocznych ludzie wracali do pracy, pełni świetlistej nadziei. Edeard bardzo to lubił.

- Co ty tam knujesz? - spytała Kanseen podejrzliwie.

- W rzeczywistości jest znacznie gorzej, niż mówi Macsen - odparł. Spojrzał na gondoliera, który udawał brak zainteresowania ich rozmową, i pochylił się do przyjaciół. - Gang wie, że do nich idziemy.

- Jak to? - spytał Boyd.



- Mój informator mi powiedział. - Faktycznie, było to prostsze. Przez trzy noce każdego tygodnia Vilby odwiedzał prywatny pokój w tawernie Czarny Koń, gdzie czekała na niego Nanitte.

- Na Pani, kto jest twoim informatorem? - dopytywał się Macsen. - Wszystko, co w ostatnich tygodniach zrobiliśmy, opiera się na tym, co nam powiedzieli... co ty powiedziałaś.

- Nie mogę wam zdradzić. - Edeard nie miał jeszcze odwagi wyjawić wszystkiego Macsenowi. A Macsen prawdopodobnie nawet nie pamiętał Nanitte

Macsen mruknął i rozparł się wygodniej.

- Więc co robimy? - spytał Dinlay.

- Wykorzystamy przeciwko nim ich własną arogancję.

Oddziały z Bellis i Neph czekały na moście przy Średnim Stawie. Gondola Edearda przybiła do nabrzeża; Edeard zszedł, by porozmawiać z dwoma dowodzącymi sierżantami. Wyraźnie wyczuwało się ich wielki zapach. Edeard widział, że nie zastosują się do uprzejmego polecenia, by koordynowali z nim swoje działania. Skończy się na wyścigach: kto pierwszy dokona aresztowań. Wyjął mapę i pokazał im, gdzie stoi podejrzany dom na ulicy Whitemire. Zdecydowali się na manewr kleszczowy: oddziały z Bellis i Neph pójną parkiem Pholas, a Edeard poprowadzi swoich ludzi przez Myco, więc podejną do kryjówki z przeciwnych stron. Nawet jeśli gangsterzy coś wyczują, i tak będą w pułapce.

Gondola Edearda płynęła dalej Wielkim Kanałem Głównym, mijając Bellis po jednej stronie, a Sampalok po drugiej - dzielnice o tak różnym charakterze. Walcowate budynki Bellis miały dachy w kształcie skręconych iglic i pękate, ozdobne balkoniki, które jakby wypączkowały z murów.

Sampalok zabudowano dużymi kamienicami podobnymi do domu, w jakim mieszkał Edeard, tylko że tu budowle były dwa razy większe, a mieszkania mniejsze. Rodziny żyły w ciasnocie. Śmieci zalegały na szerokich ulicach. Najwyraźniej gemałpy ze służb oczyszczania nie radziły sobie. Wyglądało to gorzej niż kiedyś w Ashwell. Dobry punkt startowy, pomyślał Edeard.

Polepszyć warunki życia, wzbudzić w ludziach większe oczekiwania. Więc dlaczego Mistrz Dzielniczy nic tu nie robi?

Mieszkańcy, przygnębiający jak ich otoczenie, stali nad kanałem i patrzyli ponuro na gondole z konstablami. Pluli w wodę i robili obsceniczne gesty. Niektórzy szturchali mały statek trzecią dłonią. Dzieciaki szydziły, widząc mundury.

- Gnojki - zrzędził Boyd.

- Trzeba im tylko pokazać inny sposób życia - stwierdził Edeard.

- Za późno - odparł Macsen. - Tylko takie życie znają. Tego się nie zmieni.

Edeard wpatrywał się w solidne, acz nijakie domy i zastanawiał się, jak to polepszyć, jak nadać temu nową formę i nowe funkcje.

- Nie bądź taki pewien - szepnął.

Kanseen spojrzała na niego z zaciekawieniem, ale nic nie powiedziała.

Wysiedli przy Pierwszym Stawie i poszli do Myco. Edeard wreszcie zobaczył te okolice w świetle dziennym. Wyglądały inaczej niż zaniedbana sąsiednia dzielnicza. Tutaj mieszkały głównie rodziny rybaków i budowniczych statków, wyraźnie czuło się wpływy Gildii. Ludzie mieli tu znacznie większe poczucie wspólnoty, jak z dumą stwierdził Macsen.

- Wiadomość dla ciebie. - Chae skierował dalmowę do Edearda. Szli ulicą Maley, niedaleko Domu Błękitnych Płatków.

- Co takiego?

- Nie uwierzysz, kto przyszedł przed chwilą i ogląda sztabki.

- Kto?

- Kapitan Ivarl we własnej osobie.

Członkowie drużyny, którzy szli blisko Edearda, uśmiechali się, niecierpliwie czekając na informacje.

- Wszystko się zgadza - odparł Edeard.

- O, Pani, mamy go - powiedział Boyd do kolegów i podniósł kciuk gestem „dobra nasza”.

- Co masz na myśli? - spytał Chae.

- Przyszedł, żeby triumfować - powiedział Edeard. Dalwzrokiem zobaczył, że oddziały z Bellis i Neph idą szybko przez park

Pholas. Zgodnie z planem już przechodzili przez most nad Kanałem Szlaku Handlowego do Sampalok. Teraz byli bliżej kryjówki niż grupa Edearda. Dotrą tam co najmniej dziesięć minut wcześniej.

- Co o tym myślisz? - spytała Kanseen.

Edeard zatrzymał oddziały i skinął na Felaxa. Młodemu konstablowi wręczył kopertę.

- Idź prosto do domu na ulicę Whitemire i przekaz to sierżantom z tamtych oddziałów.

Chłopak zasalutował.

- Tak jest, Stąpający po Wodzie.

- I to migiem - powiedział Edeard. Jednemu georłowi kazał obserwować chłopaka, gdy ten ruszył biegiem.

- Co się dzieje? - dopytywał się Macsen.

- Drobną zmianą planu - oznajmił Edeard. - Proszę za mną. Skręcił w aleję Campden, obsadzoną kwitnącymi w zimie drzewami jakral, których purchawkowate, błękitne kwiaty właśnie pączkowały. Z gałęzi pokrytych skorupą śniegu kapąła woda. Za plecami Edearda szeptano i porozumiewano się dalmową, ale on to ignorował. Teraz oddalali się od Sampalok - aleja prowadziła prosto do Kanału Wysokiego Ogona, ograniczającego dzielnicę portową.

- Dinlay, weź oddział Urarla i rozdzielcie się przy następnej uliczce. - Edeard trzymał mapę w ten sposób, by tylko przyjaciel mógł ją widzieć. - Chodzi nam o ten budynek. Podejdziecie do niego z tej strony. - Pokazał palcem. - Pilnujcie, żeby nikt stamtąd nie wyszedł, obserwujcie okna i dach.

- Co tam jest w środku? - spytał Dinlay.

Edeard nachylił się ku niemu. Ustami niemal dotykał jego ucha.

- Sztabki.

Zamiany dokonano w środku nocy z dużą precyzją. Gondole obładowane platyną, płynące z Gildii Chemików w bezpieczne miejsce na Sampalok, przepływały pod kilkoma mostami na Kanale Różanej Drogi, między innymi pod szerokim kamienno-żelaznym mostem przy końcu Królewskiego Bulwaru Abada, prowadzącego do dzielnicy Nighthouse. Operacja wymagała

precyzyjnego planowania i Ivarl tak to zorganizował, żeby z naprzeciwka, dokładnie w tym samym momencie, podpłynęła inna gondola. Przez kilka sekund georły nie widziały bezpośrednio żadnej gondoli. Solidny most utrudniał obserwację dalwzrokiem, zwłaszcza że gondole były otoczone mgiełką sekluzijną. Między gondolami wymieniono identyczne skrzynki.

Edeard podziwiał sprawność całej akcji. Ivarl nie wziął jednak pod uwagę tego, że Edeard zna wszystkie szczegóły i wykorzystał gekota, pływającego leniwie pod mostem. Wielki mistrz Finitan chętnie pomógł: wypożyczył mu piętnaście genistarów i Edeard umieścił kilka pod każdym mostem. Gdy miał potwierdzenie, że dokonano zamiany skrzynek, z łatwością mógł śledzić nowe gondole płynące długą trasą wokół Myco, gdzie skrzynki wyładowano na pochylni. Ludzie Ivarla zanieśli je potem do magazynu rybaka.

- Ojejku! - rozległa się szydercza dalmowa Chaego. - Kapitan Ivarl jest czymś bardzo zdenerwowany.

Doskonały wzrok Chaego pokazywał, jak szef gangu, z czerwoną twarzą, niemal wybiega z domu w Sampalok. Za nim biegło kilku jego zaniepokojonych pomocników.

Edeard uśmiechnął się, patrząc w stronę magazynu, który stał dwadzieścia metrów dalej. Za wielkimi otwartymi drzwiami widniało mroczne pomieszczenie wypełnione beczkami. Przed budynkiem grupka kobiet i rybaków naprawiała sieci. Wewnątrz sieci wisały w wielkich zwojach i schły.

- Zamknąć szczelnie - rozkazał Edeard swoim oddziałom.

Ludzie pracujący przy sieciach spojrzeli przestraszeni. Georły pikowały nisko, obserwując uważnie pochylnie prowadzące do magazynu. Gepsy warczały ostrzegawczo.

- Proszę pozostać na swoich miejscach - ogłosił Edeard. - Mam nakaz przeszukania obiektu.

Dinlay z dwoma konstablami zablokowali rybaka, który próbował uciec.

- Kanseen, idź z Macsenem i Droalem do środka i rozejrzyjcie się. Może trzeba będzie sprawdzić piwnice.

- Ty przebiegła bestio - mamrotała Kanseen, gdy z uśmiechem wchodziła do magazynu.

Wtedy Edeard dostrzegł dalwzrokiem postać biegnącą po pochylni z drugiej strony magazynu. Skoczył z brzegu kanału, usztywniając powierzchnię wody tuż przed lądowaniem. Woda utrzymała jego ciężar i tylko pod stopami pojawiło się płytkie wgniecenie, gdy biegł do pochylni. Ludzie po drugiej stronie szerokiego kanału pochylili się i patrzyli, wskazując Edearda palcami. Zgotowano mu owację. Dzieci wzywały na widowisko swoich kolegów.

- Chodźcie, patrzcie! To Stąpający po Wodzie! Znów chodził! Edeard dotarł do końca pochylni. Tam Lian próbował zepchnąć małą łódkę do wody.

- Nie odpływaj - poprosił go Edeard. - Dopiero zaczynamy.

Lian prowadził nerwową dalrozmowę. Jedną dłoń włożył do kieszeni, w której miał pistolet.

Edeard spojrział na niego ostrzegawczo.

- Pamiętasz? Arminelowi nie wyszło to na dobre.

Lian spojrział na niego wściekłym wzrokiem, ale cofnął się od łódki i podniósł ręce. Droal zaszedł go od tyłu po pochylni, odebrał mu broń, a potem zakuł go w kajdanki.

- Co się dzieje? - pytał sierżant z posterunku Bellis.

Edeard obserwował ich dalwzrokiem, jak dochodzą do domu w Sampalok.

- Widzieliśmy wcześniej dalwzrokiem, że przenosili skradziony towar - wyjaśnił Edeard obojętnym mentalnym tonem. Równocześnie sprawdzał łódkę. - Nie miałem czasu, żeby wam o tym powiedzieć. Wybaczcie. Goniec przyniesie wam list. Są tam nazwiska wszystkich zamieszanych w kradzież w Gildii Chemików. Większość z nich mieszka w pobliżu kryjówki. Czy moglibyście ich zaaresztować? - Edeard miał świadomość bezlitosnego humoru, emanującego z umysłu Chaego, gdy sierżant z Bellis wyrwał Felaxowi kopertę.

- Oh, Pani! - krzyknęła Kanseen. - Edeard, musisz to zobaczyć.

- Już tam idę - odparł.

Piwnica pod magazynem była jedną z tajnych przechowalni Ivarla. Parę dni temu Edeard tylko pobieżnie obejrzał tamto miejsce dalwzrokiem, bo nie chciał zwracać na siebie uwagi. Zauważył wtedy skrzynie, butelki i worki ułożone w stertę w trzech sklepionych piwnicach. Dużo tego było.

Macsen i Urarl otwierali kolejne skrzynie, w których znaleźli zadziwiającą kolekcję luksusowych sreber stołowych. W mniejszych pudełkach była biżuteria. W workach leżały bele drojedwabiu. Torby herbaty i przypraw pochodzących z prowincji oddalonych wiele mil od wybrzeża. Pod sklepieniem piwnicy piętrzyły się butelki mocnego wina.

- Z tydzień zajmie nam inwentaryzacja tego wszystkiego - powiedział Urarl, zaskoczony. Otworzyli dopiero kilka skrzynek.

- Zaraz przybędzie pomoc - zapewnił go Edeard.

Cudownym zbiegiem okoliczności Ronark przybył w tym samym momencie co Ivarl. Kapitan z Jeavons prowadził trzy gondole z rachmistrzami z Gildii Urzędników. Powolnie płynęli za Edeardem po Wielkim Kanale Głównym. Przycumowali do pochylni w tej samej chwili, w której z alei Campden wybiegł Ivarl, bez tchu i bardzo, bardzo wściekły.

- Zapomniałem, że mieszkasz w tej okolicy. - Edeard uśmiechnął się do szefa gangu. - Jak to miło, że znów cię widzę.

Ivarl spojrział na niego wściekle, a potem na obojętnego kapitana Ronarka. Wzniósł zakończoną złotem laskę. Zawahał się.

- Czy coś możemy dla ciebie zrobić? - spytał Edeard, gdy Dinlay i Kanseen wynosili z magazynu pierwsze skrzynie ze sztabkami.

Ivarl, z oczami szaleńca, patrzył na skrzynie z cenną zawartością.

- Może chciałbyś coś stąd wziąć? - spytał Edeard. - Oczywiście, w takim wypadku musielibyśmy zobaczyć pokwitowanie. W tych piwnicach przechowuje się dużo rzeczy. To dziwne, ale portowi inspektorzy nie mają w dokumentach informacji o wyładunku tego na Makkathranie i w efekcie nie zapłacono cła. Jestem pewien, że wkrótce rachmistrze oszacują, ile się należy. Do tego

czasu towar zostanie przechowany w miejskich składach. Może ktoś się po niego zgłosi i zapłaci podatek.

Na twarzy Ivarla pojawił się cwaniacki uśmieszek.

- Jesteś dobry, Stąpający po Wodzie.

- Robię, co do mnie należy.

- Ale musisz być dobry cały czas. A łut szczęścia potrafi się odwrócić.

- Tak. Jestem pewien, że Tanamim przyzna ci rację. - Dwie noce temu Edeard słyszał, jak Ivarl daje instrukcje Harawoldowi, który miał okrutnie ukarać Tanamina za to, że ten nie wydusił wystarczająco wiele pieniędzy ze swojej działki w dzielnicy Fiacre.

Ivarl nie potrafił ukryć w swoim umyśle zaskoczenia. Gdy przestłonił swoje emocje, patrzył na Edearda z ostrożnością charakterystyczną dla osaczonego szybkolisa.

- Tak. Bardzo dobry, teraz to rozumiem. Na pewno nie zechcesz przyjąć mojej gościnności? Razem moglibyśmy wiele dokonać.

- Niewiele się da dokonać z głębin kopalni w Trampello.

- Rozumiem. Szkoda.

- Czy coś jeszcze?

- Nie. Dziś nie.

## 2

W południe w różnych miejscach Colwyn City wybuchały niepokoje i paramilitarne kapsuły Ellezelinu pędziły tam z włączonymi syrenami, zalewając miasto nieprzerwaną, zniekształconą efektem Dopplera kakofonią. Laserowe wachlarze, szkarłatne i niebieskie, często omiatały ściany mieszkania Araminty. Światło wpadało przez otwarte drzwi balkonowe - to kolejna kapsuła, wydając pozbawione harmonii dźwięki, przelatowała nad parkiem. Gdy oślepiające światło kolejny raz rozbłysło w aneksie kuchennym salonu, Araminta się skrzywiła. Parzyła w imbryku herbatę, a jednostka kulinarna usiłowała wytworzyć składniki prostej kanapki z kurczakiem. Termiczne sygnały błędu znów zamigotały na ekranie. Zakłęta i kopnęła postument głupiej jednostki. Może to światło lasera zakłócało wewnętrzne systemy urządzenia?

Westchnęła i potrząsnęła głową zirytowana swoją głupią hipotezą. Najgorzej tak siedzieć i nic nie robić. Jednak nie, najgorsze, że nie wiadomo, co robić.

Następna kapsuła piszcziała w górze. Araminta postawiła z łomotem imbryk i wściekła podeszła do wyjścia na balkon. Kiedy tam doszła, kapsuła już zniknęła za budynkiem, przypuszczalnie nękając ludzi w parku, który zmienił się już w spory ósrodek sprzeciwu. Chciała również trzasnąć drzwiami, ale szyby były płynnopostaciowe, musiała więc zadowolić się widokiem szkła powoli zwierającego się jak zasłony. Gdy ściana stała się znowu jedną szybą, dźwięk syren znacznie ścisł - tak jak powinien, gdyż dodała ścianom drogą, dźwiękoszczelną warstwę. Wyjście na balkon zostawiła otwarte na cały dzień, by mieć wrażenie jakiejś łączności z miastem. Wrażenie dość głupie, ale jednocześnie dodające otuchy. W gruncie rzeczy nic nie robiła, unikała tylko myśli o tym, co się wydarzyło. A już z pewnością nie wykonywała żadnych prac w mieszkaniu.



Jej u-adiunkt wyciągał z unisfery stały strumień wiadomości - wszystkie związane z ekspansją Pustki. Zawierały bardzo mało faktów i bardzo dużo spekulacji i oskarżeń. Ale u-adiunkt uruchomił odpowiedni filtr i dostarczał tylko podstawowych faktów. Zmieniło się niewiele. Zespół obserwacyjny ewakuował się ze Stacji Centurion. Wszystkie stacje przekazywały obrazy walącej się bazy. Bardziej interesujące były sfery DF, wchodzące na orbitę wokół gwiazdy. Komentatorzy wiadomości usilnie spekulowali, do czego właściwie zdolne są te sfery. Anominowie użyli sfer do zamknięcia Pary Dysona i wtedy je najwidoczniej skopiowali. Teraz wszyscy mieli nadzieję, że raielowie dysponują bardziej agresywnymi środkami od prostych - choć stosowanych na gigantyczną skalę - pól siłowych.

Mimo utraty Stacji Centurion liczne systemy czujnikowe wśród gwiazd Ściany i bezpośrednio przed Ścianą nadal działały i przez węzła przekaźniki floty przekazywały swoje dane do Wspólnoty. Granica Pustki nadal się rozszerzała, jej powierzchnia falowała i rozdymała się, by połączyć grupy gwiazd, już ku niej przyciągane. Wielu uważało, że ta żarłoczność jest celowa. Te rozważania doprowadzały bezpośrednio znowu do Drugiego Śniącego i do Władcy Niebios.

Kiedy drzwi balkonowe szczęknęły przy zamknięciu, Araminta opadła na kolana na gołej betonowej podłodze. Przez cały ranek wstrzymywała łzy, teraz napłynęły jej do oczu. To za dużo. Od nikogo nie można oczekiwać, że poradzi sobie z tym wszystkim. Nie mogę narażać na niebezpieczeństwo całej galaktyki. Nie mogę.

Jej u-adiunkt zameldował, że nowy plik wstrzelony w unisferę przeszedł przez wszystkie węzły bez żadnych ograniczeń ze strony programów zarządzających i uzyskał nieograniczony dostęp do wszystkich adresów interfejsowych. To była transmisja na żywo z adresu, którego nie rozpoznawała, ale węzeł tego adresu znajdował się na Ziemi.

- Tylko ZAN może uzyskać taki poziom zasięgu - poinformował ją u-adiunkt.

- Otwórz ten plik - poleciła. Jeśli ZAN chciał przemawiać do wszystkich, musiały to być jakieś słowa pocieszenia.

Gore Burnelli stał na skalistym klifie, zwrócony plecami do czystego tropikalnego morza. Miał na sobie prostą, białą koszulę, włosy blond targał mu wietrzyk. Był przystojnym dwudziestolatkiem, miał szare oczy i opaloną skórę koloru ciemnego złota. Patrzył na Aramintę, sprawiając, że z jakiegoś nieokreślonego powodu czuła się winna.

- Wątpię, czy ktoś tam w Wielkiej Wspólnocie mnie pamięta - powiedział. - Ale kiedyś byłem jednym z tych bogaczy, którzy pomogli utworzyć pierwszą Wspólnotę. Jeśli sprawdzicie dane o mnie, zobaczycie, że przeżyłem przelotną chwilę sławy w wojnie Gwiazdokrażcy. Mam nadzieję, że to, co zrobiłem, uprawnia mnie do chwili waszego czasu tu i teraz. Nie chodzi tu jednak o mnie. Mówię tylko do jednej osoby: do Drugiego Śniącego. Rozumiem, że nie zdawałeś sobie sprawy, kiedy rozmawiałeś z Władcą Niebios, że rozpocznie on fazę pożerania. Nie winię cię za to. Nie potępiam. I, odmiennie od wszystkich innych, z pewnością nie próbuję cię dopaść. Przy okazji, proszę, miej na uwadze, że to nie tylko Żywy Sen na ciebie poluje. Poszukują cię również inni agenci, reprezentujący różne frakcje polityczne, zarówno tutaj w ZAN, jak i gdzie indziej.

- Dobry Ozzie - załkała Araminta. Teraz jej łzy lały się potokiem.

- Wszyscy proszą cię o wiele rzeczy - kontynuował Gore. - Przypuszczam, że jesteś przestraszony i niepewny. Przypuszczam również, że pragniesz się nie pokazywać. Z pewnością wszystko, co robiłeś do tej pory, na to wskazuje. Doceniam to. Starasz się pogodzić z tym, czym jesteś, i nikt nie może ci w tym pomóc. Musisz podjąć mnóstwo decyzji i nie zazdrościsz ci ich podejmowania. Jeśli chcesz skontaktować się ze mną, pomogę ci w każdy możliwy dla mnie sposób, to się rozumiem samo przez się. Ale nie dlatego to wszystko mówię. Jest pewna rzecz, która nie wymaga podejmowania decyzji: fazę pożerania trzeba zatrzymać. O ile wiemy, jesteś jedyną osobą, która w tej chwili może to zrobić. Mówię o tym, ponieważ ktoś inny próbuje pomóc w tej sprawie. - Gore wciągnął powietrze i

wyprostował się, starając się być dzielnym. - Moja córka, Justine, była na Stacji Centurion, kiedy rozpoczęło się pożeranie. Nie poleciała z powrotem do domu, tak jak wszyscy inni. Wbrew moim życzeniom, błaganiom i nadziejom, skierowała swój statek bezpośrednio ku Pustce. To jeden z tajnych statków z ultranapędem, o których może słyszałeś. Bardzo szybki. Co oznacza, że za dzień czy dwa doleci ona do granicy Pustki. Justine nie jest do mnie podobna, jest urocza i miła. To wielka optymistka, ma wszystkie cechy, z których nasz gatunek może być dumny. Przez stulecia zajmowała się dyplomacją. Leci sama ku Pustce, w nadziei, że zdoła porozmawiać z Władcą Niebios. Wierzy, że rozsądek zwycięży. Ale najpierw musi dostać się do wewnątrz. Ludziom się to już raz udało. Inigo i Stąpający po Wodzie nam to pokazali. Apeluję do ciebie, Drugi Śniący, byś jeden, ostatni raz skontaktował się z Władcą Niebios i poprosił go o wpuszczenie Justine do wewnątrz. To wszystko, poproś go o tę jedną rzecz, o nic więcej. Nie musisz mu mówić o fazie pożerania ani o Pielgrzymce. Po prostu daj mojej córce szansę, by spróbowała negocjować z tym, co tam uchodzi za władzę. Justine, bez względu na wszystko, ma zamiar wlecieć w granicę. Próbowałem ją powstrzymać, ale ona wierzy w ludzkość, wierzy że trzeba złożyć naszą naturę na tym obcym ołtarzu i dać jej szansę. Wierzy w nas. Mam nadzieję, usilnie cię o to proszę, byś zrobił, co możesz, by dać jej tę szansę. Nie pozwól mojej córce umrzeć na próżno, błagam cię o to. Jeśli jest coś, czego potrzebujesz albo chcesz, skontaktuj się ze mną absolutnie bezpiecznym kanałem, pod kodem tego pliku. Proszę. Po raz ostatni pomóż zatrzymać to, co się tam dzieje. Nie pozostało już wiele czasu. Pomóż jej. Tylko ty możesz to zrobić.

Kiedy wiadomość się skończyła, Araminta położyła dłonie na głowie. Chciała tylko zwinąć się w kłębek i całkowicie opuścić ten wszechświat.

- Nie ma za co dziękować, do cholery - powiedziała prześladowającemu ją wspomnieniu Gore'a. Poczuła, jak kiełkuje w niej maleńkie zwątpienie. Może ta Justine zdoła coś zrobić. Może to wszystko zależy nie tylko ode mnie.

Pozostawało tylko zagadnienie, jak skontaktować się z Władcą Niebios i uniknąć wyśledzenia przez Żywy Sen i wszystkich innych. Tak, to pestka dla kogoś, kto nie może nawet zmusić jednostki kulinarnej do zrobienia kanapki.

\*\*\*

Pośród pustyni z wysuszonego błota stał dom, igloo ze spieczonego piasku. Jego drewniane drzwi pomalowano przed laty na ciemnozielono. Ostre słońce i pyliste wiatry starły kolor do gołego drewna, choć jakieś plamki zieleni przetrwały w szczelinach między dębowymi deskami.

Znał te drzwi. Znał je dobrze. Wiedział, co się za nimi znajduje.

Słońce wisiało na szczycie szafirowego nieba świata, wywabiając z pustyni wszelkie kolory. Zawsze tak było.

Zsiadł z ogromnego lwieserca tuż przed igloo, a wokół niego powiewały proste białe szaty. Głęboki kaptur chronił mu twarz przed przenikliwymi promieniami słońca. Przejście kilku kroków do drzwi trwało nie wiadomo dlaczego całą wieczność. Kończyny walczyły z nieznaną siłą, która opierała się każdemu ruchowi. Wciąż się dopytywał, czy chce to zrobić, gdyż uświadomił sobie, że siła, z którą walczy, to strach. Strach przed tym, co czekało na niego po drugiej stronie drzwi. Jednakże ciągnął to, ponieważ w tej sprawie, jak zawsze, nie miał wyboru, woli ani niezależności. Po tym wysiłku drżał z wyczerpania, ale w końcu miał drzwi przed sobą. Uniósł dłoń, położył ją na ciepłym drewnie, poczuł znajome, wygładzone piaskiem słoje. Pchnął.

Drzwi otworzyły się i wylała się z nich ciemność, zakazając światło słoneczne. Otoczyła go niczym mgłą, a jego groza gwałtownie wzrosła. Lecz drzwi zostały otwarte. Nic już go nie oddzielało od osoby mieszkającej w tym domu. Coś poruszało się w cieniach, jakaś obecność, która sięgała na zewnątrz.

- Ty i twój ojciec, obaj mieliście odwagę, by wreszcie dokonać prawidłowego wyboru - powiedział ktoś do niego. - Nie chodzi o to, że moje zdanie mogłoby mieć jakieś znaczenie. Ale cieszę się. Wnioskuje, że tę drugą szansę zawdzięczam tobie.

- Mój ojciec? - Szarpnął się naprzód...

...pełzacz znowu szarpnął, kiedy przednie gąsienice zjechały z kolejnej lodowej grani i klinowaty dziób pojazdu ostro przechylił się w dół. Aaron wstrząsnął się, a prawdziwy świat wyrwał go na powrót z domu wariatów. Aaron wbił łokcie w podłokietniki i patrzył przed siebie przez szczelinową szybę przednią. Na zewnątrz panował głęboki mrok, północ pod obłokami, które wypiętrzały się na pięć kilometrów we wrzeszczące niebo huraganu. Promienie reflektorów skrzepły od gęstego, pędzącego śniegu. Na skrawku ziemi, który oświetlały, było widać kamienne głązy wielkie jak pół pełzacza. Regularne wybuchy błyskawic ukazywały złośliwe głązy o ostrych krawędziach - ich pole rozciągało się bez końca we wszystkie strony. Przez ostatnią godzinę znajdowali coraz mniej wąskich szczelin między głazami. To była topografia koszmaru. Posuwali się naprzód żałośnie wolno, a trudności narastały.

Sprawdził bezwładnościowy system nawigacyjny pojazdu. W ciągu ostatnich dwóch godzin pełzacz przebył siedem i ćwierć kilometra, a bardzo niewiele z tej odległości po prostej linii w przód. Ponad dobę temu nieznany kosmolot wystrzelił w Hanko m-rzapie Hawkinga. Aaron zaczynał żałować, że nie zna matematyki na tyle, by dokładnie wyliczyć, ile czasu zajmie broni przetrwanie od środka całej planety. Jednak, nawet znając dokładnie chwilę, kiedy kontynenty implodują, Aaron w żaden sposób nie zdołałby przyśpieszyć pełzacza. Jego wcześniejsza zgrubna ocena - trzy dni - wydawała się dość realistyczna.

Sieć pełzacza spowolniła gąsienice, co Aaron z początku odebrał jako zmianę w ciągłej wibracji w kabinie. Na zapytanie, dlaczego, sieć wyświetliła mu obraz radaru. W gruncie z przodu ziała rozpadlina, pionowy przeszło dziesięciometrowy spadek.

- O, Pani! - wykrzyknął Inigo, kiedy przestudiował ten obraz. Słabe fiołkowe światło z dwóch pasków polimeru na dachu kabiny rzucało mu na twarz delikatne cienie. - Wycinanie przez to drogi na dół zajmie nam pół godziny.

- To ty jesteś ekspertem - powiedział kwaśno Aaron.

Inigo się uśmiechnął.

- Z pewnością.

Złapał dźwignię kontroli ręcznej, wycofał pojazd, a potem aktywował przednie ostrza energetyczne. Wysunęły się przed dziób i zaczęły wirować. Pełzacz znów przesunął się do przodu, a wirujące ostrza dotknęły lodu. Szeroki wachlarz brudnych lodowych granulek wystrzelił w górę, w zamieć. Zgrzyt ostrzy rezonował w kabinie, a cały pojazd trząsał się, kiedy wykopywały sobie tor. Inigo sterował nimi ostrożnie, zakręcając, by jechać równolegle do rozpadliny, wciąż w dół. Wachlarz zredukował widoczność do zera. Inigo polegał na czujnikach pojazdu i na obrazach dostarczanych mu przez własne pola. Aaron uznał, że zaginiony meszajz dysponował jakimiś wyrafinowanymi programami filtrującymi - jego własne skanowanie poza obrębem pojazdu wykazywało niewiele. Lód, przez który jechali, ukazywał się jako gruba, jednolita substancja, nadziewana kamieniami i glebą, niczym mgiełka zakłóceń. A jednak Inigo umiał rozróżnić strukturę, wiedział, kiedy się wycofywać, a kiedy przyspieszać.

Dźwięk ostrzy irytował Aarona. Ich ton stale się zmieniał, kiedy uderzały w glebę, a potem znowu w lód. Gdy natrafiły na jakąś skałę, zgrzytanie stało się tak nieprzyjemne, że chciał w coś walnąć pięścią. Kiedy zerknął w tył, Corrie-Lyn przyciskała dłonie do uszu i obnażała zęby w grymasie przerażenia. Inigo poprawił dźwignię - odeszli po krzywej od gęściejszych warstw. Kamienie i lodowy żwir sypnęły na boki, spadając po długich łukach w rozpadlinę. Inigo wprowadził ich znowu w lód, wyrzynając szerszą ścieżkę.

Tak więc obniżali się w serii ryczących uderzeń i szarpnięć, budując swą własną rampę. W końcu, po przeszło trzech kwadransach, dotarli do dna rozpadliny. Ostrza wycofały się. Aaron patrzył ponuro na pole lodowych głazów, które ukazało się w świetle reflektorów. Głazy były większe niż te na szczycie rozpadliny i leżały ciasniej.

- Cholera - warknął - Nigdy się przez to nie przedostaniemy. Jak daleko to sięga?

Jeśli w ciągu najbliższych paru godzin nie przedrą się przez te głazy, nie zdążą na statek przed implozją.

- Nie mam pojęcia - odparł niewzruszony Inigo. - Nie mamy map topograficznych.

Sterował pełzaczem po dnie rozpadliny, szukając przejazdu.

- Musisz mieć jakieś mapy!

- Nie mam aktualnych. Mam mapy sprzed tysiąca lat, a lód powierzchniowy się przesuwają. Powoli, trzeba to przyznać, ale co mniej więcej sto lat wprowadza istotne zmiany w topografii.

- Cholera! - Aaron w końcu w coś uderzył. Walił pięścią w ścianę kabiny. - Musimy poruszać się szybciej niż teraz.

- Wiem.

Corrie-Lyn wstała z fotela i objęła Iniga za szyję. Przyćmione oświetlenie kabiny nadało jej pięknym rysom głęboki zmysłowy wyraz.

- Robisz, co możesz, ignoruj go.

Aaron warczał z frustracji i znowu uderzył w ścianę. Tam, w obozie Olhava, Inigo w końcu przyznał, że ma ukryty prywatny statek, na wypadek sytuacji awaryjnych. Euforia Aarona z powodu znalezienia drogi ucieczki szybko ochłodziła, kiedy pełzacz wyruszył w drogę. Według Iniga statek był bezpieczny w tunelowej jaskini siedemset kilometrów na południowy wschód od obozu. Aaron założył, że dotrą tam, mając w zapasie jeszcze parę dni. A potem wjechali prosto w pole lodowych gładów.

- Zawsze torujemy drogi przez takie rzeczy - powiedział mu Inigo, kiedy Corrie-Lyn tała z uwielbieniem policzkiem jego policzek. - Właśnie dlatego jestem tak dobry w operowaniu ostrzami.

- Musisz być jeszcze lepszy, bo umrzemy - odparł bez ogródek Aaron. Inigo błysnął mu uśmiechem, a potem skierował pełzacza w małą szczelinę. Ostre jak brzytwa odłamki lodu skrzypiały i pękały na pancerzu pojazdu, kiedy wydrapywali sobie drogę. Aaron krzywił się, przekonany, że znowu się gdzieś zaklinują. Zrobili to raz przed kilkoma godzinami. Razem z Inigiem musieli wychodzić na zewnątrz i używać pól bionicznych, by uwolnić pojazd. To było miłe uczucie, stosować funkcje obronne, nawet nastawione na minimum działania. Osiągał przez to coś konkretnego.

Jedyną korzyścią z podróży był fakt, że, odkąd wyruszyli, Corrie-Lyn nie tknęła ani kropli alkoholu.

- Masz pojęcie, kto był w tym kosmolocie? - spytał Inigo.

- Nie. Nie zdawałem sobie nawet sprawy, że ktoś nas śledzi, co jest niepokojące. Aby śledzić „Sprytnego Kombinatora”, trzeba było mieć coś równie dobrego, jeśli nie lepszego. Taki sprzęt bardzo trudno dostać, więc były to albo ZAN, albo jakaś frakcja. Ale ZAN nie zastosowałby m-rząpi. Jestem również zaskoczony, że zrobiła to jakaś frakcja.

- Nie ma już honoru wśród złodziei, co?

- Ani krzty - zgodził się. - Wykorzystanie m-rząpi z pewnością ma posmak desperacji.

- Spójrz w lustro - powiedziała Corrie-Lyn. - Zabicie tych wszystkich ludzi bez przyczyny ani ostrzeżenia było podłe i bezlitosne. Pilot musiałby być dokładnie taki jak ty.

- W tym wszechświecie istnieją ludzie znacznie ode mnie gorsi.

- W to akurat nie wierzę.

Ale to prawda. Uśmiechnął się w duchu.

- Więc miałeś mnie zmusić, żebym się udał... dokąd? - spytał Inigo.

- Będę wiedział, kiedy znajdziemy się bezpiecznie na statku.

- Naprawdę? To... interesujące.

- To niemoralne - skomentowała Corrie-Lyn.

- Tak naprawdę to prosty i niezawodny środek bezpieczeństwa - odparł Aaron. - Jeśli nie wiem, nikt mnie nie zmusi do wyjawienia tego.

- Ale ty wiesz - sprzeciwiła się Corrie-Lyn - to jest zagrzebane gdzieś w twojej podświadomości.

- Owszem, ale nie mogę tego wydostać, dopóki okoliczności nie ułożą się właściwie.

- Takie wtrącanie się w twoją psychikę uszkodziło ją.

- Często ci to mówiłem i będę się cieszył, jeśli ci to znów wiele razy powtórzę: lubię być tym, czym jestem.

- Och, Pani, cóż to znowu! - wykrzyknął Inigo, kiedy sieć pełzacza zatrzymała go ponownie. Spojrzył na ekran radaru - jego koncentryczne pomarańczowe pasma kręciły się wokół, jak



przyśpieszone tellurium. - To dziwne. - Zmrużył szare oczy, zerkając przez przednią szybę. Reflektory ukazywały białą plamę śniegu, ale żadnych gładów. Błyskawice zamieniały czarną noc w ołowiany smog. Przed nimi nie rysowały się żadne rozróżnialne kształty.

Skanowanie polowe Aarona wykryło, że lód przed gąsienicami pełzacza się wygładził. A potem pole kończyło się następną rozpadliną o ostrych brzegach. Nie mógł złapać nic dalej.

- Tam nie ma nic.

- Sądzę, że na tym właśnie polega problem.

Obaj mężczyźni włożyli skafandry, żeby rozejrzeć się w sytuacji. Inigo oznajmił, że nie chce podejżdzać pełzaczem zbyt blisko do rozpadliny, zanim się zorientują, z czym mają do czynienia. Aaron wzruszył ramionami i zgodził się z tym. Nie lubił skafandra - jego biononika mogła dostarczyć dobrej ochrony przeciwko obrzydliwemu środowisku Hanko - ale skafander dodawał dodatkową warstwę ochronną, co, jak podpowiadał mu instynkt, było właściwą rzeczą w sytuacji z tak wieloma niewiadomymi.

Obydwaj trzymali się blisko snopów reflektorów, wychylali się pod wiatr. Kiedy przesunęli się bliżej krawędzi, polowe skanowanie Aarona nadal nie mogło wykryć nic dalej.

- Gdzie, do diabła, podział się grunt? - zapytywał. Wewnętrzny skaner sondował lód pod stopami. Było tam kilka centymetrów sypkiego śniegu, a potem, aż do granic zasięgu skanera, czysty lód. Wydawało się, że są na szczycie jakiejś gigantycznej, zamrożonej fali.

- To musi być jakiś głęboki żleb - odparł Inigo. Jeśli panuje odpowiednie ciśnienie, lód może tworzyć szczeliny, a nie wyrzucać fałdy.

- Wspaniale.

- Powinna zaraz się zamknąć. Nigdy nie widziałem lodowej szczeliny dłuższej niż pięćset metrów. Sprawdź w tamtym kierunku. I nie zbliżaj się zanadto do krawędzi.

- Dobrze.

Aaron rozpoczął marsz równolegle do krawędzi. Utrzymawał stale odległość trzech czy czterech metrów do brzegu rozpadliny. Wkrótce doszedł od płaskiego trójkątnego występu, sterczącego z brzegu nad przepaścią. Wszedł nań ostrożnie, czując lekkie zawroty głowy. Jeśli miał mieć skądś przyzwoity widok na żleb w dole, to właśnie stąd.

Zwiększył do maksimum zasięg swego bionicznego skanowania, omiatając polem gęsty kłęb śniegu. Nawet przy pełnej rozdzielczości nie mógł wykryć drugiej strony nieregularnej szczeliny. Nie było też żadnych oznak dna. Stał na skraju ogromnej przepaści. Włączył się mu instynkt, odpalił złe przecucia. Wspomniał coś, co Nerina powiedział w obozie.

- Hej, czy my... - Skanowanie ukazało mu, jak włączają się funkcje polowe Iniga, przeformatowują prądy energii. Jego własna bionika natychmiast zareagowała, wzmacniając indywidualne pole siłowe, osłaniając przed wszelkimi szkodami, jakie mogły u niego spowodować przestarzałe systemy Iniga. Po ścieżkach nerwowych krążyły przyśpieszacze, gotowe natychmiast wprowadzić w czyn jego reakcję. Programy taktyczne wzniosły się z grup makrokomórkowych, złąły się bez wysiłku z jego myślami, analizowały sytuację. Wtedy właśnie zdał sobie sprawę, jak bardzo wszystko spieprzył, ufając Inigowi.

- Cholera!

Inigo odpalił największy impuls dystorsyjny, jaki mogła wyprodukować jego bionika. Uderzył on w lód, parę metrów od stóp Aarona. Przez chwilę cały występ jarzył się jadeitowym światłem. Kiedy światło zgasło, niewiarygodnie szybko pojawiło się pojedyncze gigantyczne pęknięcie, odłupujące występ od brzegu Lodowca Azjatyckiego.

Aaron patrzył w szoku na rozłamany lód. Programy taktyczne pośpieszyły, by wygenerować właściwą reakcję...

- Przykro mi - powiedział po prostu Inigo. Myśli wyciekające z jego gajafejsu dowodziły, że rzeczywiście było mu przykro. - Ale czasami, by zrobić coś dobrego...

Cały występ czysto się odłupał. Przyśpieszonemu systemowi nerwowemu Aarona wydało się, że odłupany fragment wisi tam

przez straszliwą wieczność. A potem ciężenie pociągnęło ogromny kawał lodu w dół, razem ze stojącym na nim Aaronem. Bryła zaczęła się kołysać, a jej krawędzie ocierały się o ścianę klifu. Jego pole siłowe zrekonfigurowało się, wyciągnęło w dwa opuszczone lekko w dół płatki kwiatowe - w skrzydła, na których mógłby odszybować od klifu. Niezbyt dobre rozwiązanie w środku śnieżnej zawiei, ale najlepsze z możliwych. I właśnie wtedy rozległa katarakta lawiny, spuszczone strzałem Iniga, grzmotnęła w odłamany kawałek, pochłaniając go i Aarona razem z nim.

Śnieżna masa długo spadała z półtorakilometrowego klifu na dno żlebu.

\*\*\*

„Silverbird” mknął jak strzała przez Zatokę - rozległą przestrzeń zrujnowanych gwiazd i postrzępionych burz jonowych, leżącą między gęstą aureolą starych gromad kulistych, zawierających gwiazdy Ściany, a granicą samej Pustki. Justine odbierała bezpośrednio obrazy z hiperradaru i ze skanera kwantowego. Do ich odbioru otoczyła się szkarłatno-turkusową mgiełką, odzwierciedlającą strukturę masy rzeczywistego wszechświata. Drobnie punkty szmaragdowego światła błyszczały wśród przesuwających się kosmicznych oceanów, wskazując Justine supermasywne gwiazdy, które zachowały swą integralność w czasie długiej podróży po spirali w zapomnienie. Przed nią, w odległości mniejszej niż sto lat świetlnych, zimno świeciła pętla - orbitujące pasmo przeładowanej materii, o szerokości dziesięciu lat świetlnych. Pętla emitowała rozpościerający się na całą galaktykę płomień promieni rentgenowskich. Za nią znajdowała się straszliwa czarna powierzchnia granicy - otoczki Pustki. Justine patrzyła, jak zmienia się geometria otoczki, dziwiąc się, że jej falowanie jest podobne do falowania oceanu, ze szczytami i dolinami. Fale załamywały się chaotycznie, poruszane niezrozumiałymi, wewnętrznymi siłami burzowymi. Dość często widziała, jak fala wzbiera i dosięga wyciągniętego wachlarza dezintegrującej

gwiazdy, nadal odległej o miesiące świetlne. Niezwykle ciężenie wsysało materię w dół, w horyzont zdarzeń, z ostatnim niszczącym płomieniem ultratwardego promieniowania, w rodzaju tego, które zasilalo pętle przez miliard lat. Nawet ten syreni śpiew wkrótce się skończy. Przy obecnej szybkości rozszerzania Pustka pochłonie pętlę w przyszłym tygodniu. Potem między granicą i resztą galaktyki pozostaną tylko Ściana i DF-y raielów.

Justine poczuła, jak znowu drży jej ciało. Skalę działających na zewnątrz sił jej umysł ogarniał z trudnością. Poczuła się bardzo mała i samotna.

- Tato?

- Nadal tu jestem, kochanie. Przekażnik trzyma. Wielkie brawa dla starych techników floty, którzy go składali.

- Pięć minut temu pozostawiliśmy za sobą ostatnie znane systemy czujnikowe. Połączenie może wkrótce się przerwać.

- Oczywiście, mój aniele. Tak właśnie miało być.

- Taa, jasne.

- Patrzę na statystyki dostępu do unisfery. Przeszło połowa ludzkości patrzy ci w tej chwili przez ramię.

- Cześć, połowo ludzkości - powiedziała szorstko.

- Świetnie ci idzie. A ja siedzę w głębokim gównie u ZAN, gdyż publicznie przyznałem, że istnieje taka rzecz jak ultranapęd.

- Ha! Zawsze pakujesz się w kłopoty.

- To prawda. Beze mnie prawnicy by uschli i wymarli. Myślą o mnie jako o swoim Mesjaszu. Pamiętasz, jak złapano nas, kiedy naszą florydzką rezydencję obsadzaliśmy obcymi pnączami?

- Do diabła, tak. Komisarze Środowiskowi UFN wściekli się na nas jak cholera.

- Niektóre nasze banki na Światach Zewnętrznych nadal spłacają tę grzywnę.

Justine zaśmiała się i gwałtownie wciągnęła powietrze. Desperacko pragnęła wydostać się ze swego starodawnego ciała z całym jego głupim strachem o biochemicznym pochodzeniu. Wszyscy mogliby pomyśleć, że jest naprawdę przestraszona.

- Czy są jakieś oznaki, że Drugi Śniący odebrał twój apel?

- Jeszcze nie. Spodziewam się, że rozmówi się z Władcą Niebios już wkrótce. Bo będzie miał ze mną do czynienia, jeśli nie weźmie dupy w troki. Prawda, Drugi Śniący?

- Ależ tato - powiedziała z naganą.

- Taa, taa.

- Myślę, że prześlizgnę się wokół pętli. To promieniowanie jest wystarczająco silne, by przekroić pola siłowe „Silverbirda” jak bibułkę. Możesz wierzyć liczbom, które dostają.

- W hiperprzestrzeni będziesz dość bezpieczna.

- Wiem, ale...

- Rób tak, by ci było jak najwygodniej, aniołku.

Justine poinstruowała smartkor, by poleciał na galaktyczne południe pętli.

- To dziwne. - Jej czujniki odbierały sztuczną sygnaturę przeszło czterdzieści lat świetlnych za nią. Skupiła się na jej źródle, które smartkor wyświecił jako dwa bursztynowe kręgi. - Tato, czy to widzisz?

- Tak - odpowiedział Gore po chwili.

- Cokolwiek to jest, porusza się z szybkością nadświatłą.

- Widzę.

- Nie wiedziałam, że ktoś inny sobie lata w tej części galaktyki. - Dane w tabelach przepłynęły przez jej egzowizję. - Boże, ale są masywni. - Przyszła jej do głowy szalona myśl. - Czy sądzisz, że to Władcy Niebios? - spytała podekscytowana.

- Nie, kochanie, nie sądzę. Są na to za duzi. I to kurs przechwytyjący.

- Och. - Jej nastrój szybko się pogorszył. - Raielowie. I są też szybcy. Szybsi niż „Silverbird”. Odrobinę. - Jeśli dosięgnie granicy przed nimi, to ledwo, ledwo. - Nie sądzę, że są tu, by eskortować mnie w bezpieczne miejsce.

- Natychmiast łączę się z Qatuxem. On to załatwi.

- W porządku, tato.

Zewnętrzna wizualizacja czujnikowa przez mikrosekundy migiała bielą, jakby przemknął przez nią piorun. Kiedy obraz się przejaśnił, na miejscu statków raielów znajdowała się złowieszcza prześwitująca, lawendowa skorupa, rozszerzająca

się gwałtownie. Drugorzędne strumienie danych pokazały Justine, że anomalia miała centrum w punkcie masy o rozmiarach ziemskiego księżyca, który dążył ku Pustce w swojej dziesięciomilionoletniej podróży ku zagładzie. Kiedyś miała. Teraz zniknęła, zamieniona bezpośrednio w egzotyczną energię, płynącą obecnie przez hiperprzestrzeń.

- O, kurwa! - krzyknęła Justine.

„Silverbird” wzmacniał swoje wszystkie, co do jednego, systemy obronne.

Hiperprzestrzenna fala uderzeniowa walnęła w mały hiperstatek z siłą zabłąkanego dinozaura. Justine wrzasnęła, kiedy została wyrzucona z fotela i ciśnięta o przednią ściankę działową. Sygnały ostrzegawcze wrzeszczały. Mnogość schematów w egzowizji zabarwiła się na bursztynowo i czerwono.

\*\*\*

Zgromadzeni w parku przeciwnicy inwazji wstrzymali oddech, kiedy „Silverbirdem” zatrzęsło, a potem z ulgą wydali długie „aach”. Araminta mimowolnie przyłączyła się do tej reakcji. Cieszyła się, że Justine przeżyła trzecią falę uderzeniową, wysłaną przez ścigające ją statki raielów, i obecnie wstawiała znowu z podłogi kabiny. Odgłosy ulgi rozbrzmiewały w całym Colwyn City i dalej. O wiele dalej.

Wślizgnęła się do środka apartamentowca przez wejście do podziemnego garażu. Drzwi nadal były otwarte na dwa metry - za wąsko dla kapsuły, ale wystarczało, by wyprowadzić trycykl. Kiedy wychodziła, dezaktywizowała mechanizm - otworzyła kasetę sterowania i odłączyła przewody. Teraz włączyła kolorowe kable na powrót do gniazd. Drzwi zasunęły się za nią, a ona pośpieszyła przez niemal pustą betonową jaskinię do wind.

- Wszystko u ciebie w porządku? - zapytał Gore.

- Sukinsyny! - odparła Justine drżącym głosem. - Przecież już i tak jest wystarczająco trudno.

Araminta opadła przy zimnej metalowej ścianie windy; czuła się jak Justine, sądząc po jej wyglądzie. Jeździła w kółko na

trycyklu przez godzinę, a potem zaparkowała go na parkingu publicznym przy centrum handlowym Tala. Teraz nic nie wskazywało na to, że jest znowu w apartamentowcu. Lepszej przykrywki nie zdołałaby wymyślić. Spacer powrotny do dzielnicy Bodant zajął czterdzieści minut; w tym czasie okręty raielów zaczęły wysadzać małe księżyce i próbowały zatrzymać Justine. Araminta była chyba jedyną osobą na ulicach Colwyn City i w jakiś sposób rzuciła się w oczy.

- Doskonale ci idzie - zapewnił Gore córkę. - Doskonale.

Araminta wykorzystała swój stary kod nadrzędny do otworzenia drzwi apartamentu Danala. Ani jego, ani Mareble nie było w domu. Prawdopodobnie wyszli na miasto, na imprezę z armią okupanta, pomyślała z urazą. Kiedy Araminta przekazała im mieszkanie, wykończyła je właśnie w stanie surowym. Od tamtego czasu Mareble umieściła w nim kilka podstawowych sprzętów. Araminta spojrzała na kuchenkę ze złością, krytycznie. Wielka metalowa rzecz wyglądała śmiesznie, prymitywnie. Znalazienie kuchenki zajęło panu Boveyowi dużo czasu, a jej instalowanie okazało się koszmarem.

W egzowizji Araminty Justine siadała znowu w swym fotelu, który ochronnie owinał się wokół niej.

- Główne systemy funkcjonują. Jednostki napędowe mają obniżoną wydajność. Te wybuchy energii nadwerężają mnóstwo elementów. Oni starają się mnie osłabić.

Araminta ukradkiem podeszła do okna balkonowego i zerknęła na park. Nad drogą wokół niego wisiało kilka kapsuł Ellezelinu. Żadna się nie poruszała. Tak jak wszyscy inni, ludzie w kapsule byli zafascynowani pościgiem, odbywającym się trzydzieści tysięcy lat świetlnych stąd. W dole tłum wpatrywał się w niebo na gwiazdy zamazane kopułą pogodową. Araminta z satysfakcją skinęła głową.

- Znowu strzelają! - krzyknęła Justine. - Jezu!

„Silverbird” się zatrząsł. Araminta zazgrzytała zębami, drżąc z niecierpliwości. Dalsze sekcje statku raportowały przeciążenie. Szybkość zmaląa, kiedy napęd rekonfigurował swe funkcje sterowania energią w otoczeniu niepełnosprawnych

komponentów. Justine zmieniła kurs, pomknęła ku pętli po najkrótszej drodze do bariery. Oba statki raielów bezbłędnie poszły za nią. Zmniejszyły dzielącą ich przestrzeń.

Araminta wyciągnęła wielką poduchę koloru nieba z gniazdowego stosu i przeniosła ją na środek salonu. Z irytacją skonstatowała, że hebanowo polakierowany parkiet znowu został wycyklinowany do gołego drewna. Czy Mareble nie rozumiała, jak trudno położyć lakier? Ileż pracy włożono w czyszczenie małych drewnianych klocków!

Siadła na podusze i skrzyżowała nogi, odganiając takie negatywne myśli.

- Dobra taktyka, kochanie - powiedział Gore. - W pętli nie ma wielu planet.

Araminta pobrała ze spacji pamięci program Likana, czując, że w końcu podjęła decyzję. Wykorzystanie tego mieszkania było ryzykowne, ale nie była pewna, jak sprawny jest Żywy Sen w śledzeniu ludzi przez gajaserę. Danał, kiedy się wprowadzał, wyznał jej, że pomaga w poszukiwaniach Drugiego Śniącego i że gniazda konfluencyjne jakoś zmieniono, by to ułatwić. Więc z pewnością nie chciałyby być u siebie, kiedy to robiła, na wypadek, gdyby byli oni na tyle skrupulatni, by dokładnie ustalać położenie. I mogą pomyśleć, że mieszkanie Danała to jakiś fałszywy odczyt. Nie wiedziała, dokąd jeszcze mogłaby pójść. Chyba tylko do domu pana Boveya, ale wówczas wystawiłaby go jako członka organizacji paramilitarnej, a tego nie chciała.

Mroczne widma uczuć, kryjących się w jej podświadomości, wytrysnęły na zewnątrz. Pozwoliła, by jej uwaga przepływała przez miriady podświadomych dotąd myśli. Dryfowała. Czuła zadowolenie, nie tylko pod wpływem programu.

Większość myśli mogła zignorować. Niektóre intrygowały. Jedna miała sygnaturę, którą znała, związaną z mrocznym tonem, który niemal sprawił, że się wycofała. Ale Araminta się skoncentrowała.

- Panie - błagał Ethan - wysłuchaj nas, proszę.

Wołał z całej swojej mentalnej siły, wzmocnionej w niezliczonych gniazdach konfluencji. Swój apel kierował na



zewnątrz, w nieskończoność. „Źle robi”, dumiała ze swego wyniosłego, olimpijskiego dystansu. „Władca Niebios nie jest poza nami, jest w nas”.

Podryfowała dalej, na luzie.

- Jeśli ich nie odwołacie, osobiście rozerwę twój pieprzony arkowy statek molekuła po molekuła, z wami wszystkimi w środku! - wrzeszczał Gore. - Myślicie, że Pustka to Rzecz Zła? No, jak? Wierzycie w to? Mówię wam: w porównaniu ze mną to mamusia z wyciągniętym do was cycuszkiem do ssania.

Araminta nie mogła powstrzymać się od uśmiechu.

No, takiego ojca chciałabym mieć.

W parku ludzie wiwatowali. Krzyk przeniesiony na setki planet. Gajaserfa wypełniona determinacją i poparciem, czystymi emocjami miliardów, rozbuchująca poczucie jedności, niemal ekstazy. Dalej, Gore, pohukiwała ludzkość. Araminta dodała swoje błogosławieństwo, szept zagubiony w mnogości.

- Nie mogę nic zrobić - protestował Qatux. - To raielowie - wojownicy. To już nie nasz gatunek.

- Znajdź jakiś sposób, do cholery!

Araminta wzniosła się od tego zamętu, podryfowała ku włóknu znajomej, spokojnej myśli. Otworzyła się w pozdrowieniu. Mgławice Pustki wyłoniły się z mroku i spektakularnie zaczęły migotać wokół niej. Połowa kosmosu stała się kleksem akwamaryny, z kilkoma przeświecającymi odległymi gwiazdami. Rozpoznała je jako Morze Odyńa, gdzie Władca Niebios pływał między dwoma szkarłatnymi występami - długimi na lata świetlne kolcami wirujących gazów, rozpuchłymi do pąków tak wielkich, że mieściły gromadę kulistą. I tutaj myśli o tym, co było kiedyś, stapiały się z myślami bardziej celowymi. Świadomość przepleciona z tą przestrzenią, nie rozumna, lecz znająca cel.

„Silverbird” wychynął z pętli i pomknął ku ostatecznej, nieustępliwej barierze. Wszędzie wokół niej popsute gwiazdy deszczyły do wewnątrz, zrzucając żarzące się łuski planet, które kiedyś zrodziły, tak jakby stanowiły one zawadę podczas ostatecznego, burzliwego lotu ku zagładzie.

- O Boże, znowu to mamy - jęknęła Justine. Dziesięć lat świetlnych za nią implodował gazowy gigant. Nadświetlne dystorsje kwantowe wytrysnęły z punktu, w którym zniknął.

„Silverbird” wypadł z hiperprzestrzeni i leciał swobodnie w czasoprzestrzeni, której żaden człowiek by nie rozpoznał. Był to mroczny wszechświat wewnątrz gwiazd Ściany. Grube warkocze pyłu i gazu zasłaniały światło jądra galaktyki za kosmolotem. W przodzie, gdy słońca zatapiały się w horyzoncie zdarzeń, kilka fotonów zdołało uciec pelerynie makrogravitacji. Jaskrawa cynobrowa wstęga błyskała przez kosmos - zawijas chmur jonowych rozwścieczonych zabójczymi wyładowaniami pętli - oświetlała kadłub jakby spojrzeniem szatana. Ostrzeżenia przed promieniowaniem zawyły w panice, kiedy pole siłowe zaczęło się zapadać. Kadłub pokrył się bąblami.

- Jeden z nas przybywa - powiedziała Araminta. - Widzisz?

Przechodząca obok fala uderzeniowa dystorsji w normalnej przestrzeni była niemal niezauważalna. Martwe wstęgi atomów były przez chwilę poruszone niespokojną siłą przeciekającą przez szczeliny kwantowe.

„Silverbird” wszedł na powrót do hiperprzestrzeni, tłąc się od wybuchów radiacji.

- To ty! - wykrzyknął Ethan.

W tonie Władcy Niebios pobrzmiwało zainteresowanie.

- Nadal cię szukam. Jądro tęskni do bólu.

- Wiem. Musisz to zatrzymać. Proszę cię, przyjmij naszego wysłannika. Zbliży się do ciebie.

- Gdzie? Czuję, że jesteś tak daleko.

- Tak, jestem. Ona jest teraz blisko ciebie. Poczuj ją. Krwawi emocjami, jak my wszyscy. Poprowadź ją, jak powinienes. Otwórz swoje granice.

- Serce cię powita.

Dwa okręty raielów dościgały „Silverbirda”. Displej czujników Justine pokazywał kolejną masę rozmiarów gazowego giganta oddalonego zaledwie o pięć lat świetlnych. Jeśli namierzyli tę masę, to będzie koniec. Ultranapełd „Silverbirda” usiłował utrzymać przyśpieszenie.

- Pośpiesz się, proszę - błagała Araminta.
- Władca Niebios, wycofując się, promieniował satysfakcją.
- Dziękuję ci - powiedział Gore. - Kimkolwiek jesteś.

\*\*\*

Justine opadła znowu na fotel. Umysł miała w pełni otwarty na gajaserę, pozwalając wylewać się wszystkim emocjom. Nadzieje. Lęki. Wszystko, czym była.

\*\*\*

Przed „Silverbirdem” granica pustki się zmieniła. Rozeszła się na niej rozległa okrągła fala, tworząc krater o przekroju dziesięciu lat świetlnych. Z jego centrum wzniósł się ku statkowi gładki stożek czystej czerni.

Justine patrzyła zaskoczona na obrazy w egzowizji. Ścisnęła mocno poręcze fotela, skórę miała śliską od potu.

- Mimo wszystko...

Z tyłu za nią okręty raielów zwolniły, pozwalając „Silverbirdowi” pognać naprzód.

...nie jestem pewna...

Przy wysokości piętnastu lat świetlnych stożek przestał się rozszerzać.

...czy to jest taki...

Jego wierzchołek otworzył się jak kwiat, płatki nieskończonej nocy odchyliły się wstecz. Niespotykane światło mgławic oświetliło Zatokę.

...dobry...

„Silverbird” przeszedł przez próg w Pustkę.

...pomysł.

Stożek się zamknął. Zapadł się na powrót w spokojną obecnie granicę. Połączenie komunikacyjne do przekaźnika floty skończyło się. Oba statki raielów wykonały ostry skręt i skierowały się z powrotem ku Ścianie.

\*\*\*

- Proszę cię, mów do nas - wzywał Ethan. - Władca Niebios namaścił cię jako naszego Drugiego Śniącego. Oczekujemy cię. Potrzebujemy cię.

Nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

\*\*\*

Araminta wyslizgnęła się z apartamentu Danala i na palcach przeszła przez westybul do swojego mieszkania. Na zewnątrz jaskrawe światło świtu omywało kopułę pogodową. Tłum wiwatował ekstatycznie. To było miłe uczucie.

- Cóż, co by tu nie mówić, ocalałam wszechświat. - Araminta lekkomyślnie uśmiechnęła się na to śmieszne stwierdzenie, a potem ziewnęła. Tak naprawdę bycie bohaterem okazało się dość wyczerpujące. Zapadła w wielki stary fotel o dziwnie guzłowatej tapicerce. Tylko pięć minut odpoczynku.

\*\*\*

Cheriton McOnna nie lubił odzieży „w duchu odgrywanej postaci”, którą Beckia wytworzyła dla niego w replikatorze pokładowym „Rewanżu Elvina”. Naprawdę nie lubił. Nie przeszkadzał mu jej dotyk, bawełniana koszula, podbita wełną kamizelka z mosiężnymi guzikami i spodnie, które wyglądały jak zamszowe, ale były o wiele delikatniejsze. Nie, chodziło o kolory i styl, o obszyty koronką przód koszuli, jej szarozielony kolor, który nadawał jej wygląd raczej poplamionej niż ufarbowanej, i na dziwny ciasny krój czarnych spodni. Po prostu odmówił noszenia filcowego kapelusza z krzykliwymi zielonymi i niebieskimi piórami. Jednakże z niechęcią zgodził się go nosić, gdy Beckia się wściekła. Rozwścieczenie Beckii nie było wskazane.

Oczywiście miała rację. Natychmiast gdy wszedł do budynku gniazda konfluencji w alei Daryad w centrum miasta, zlał się z ellezelińską siłą roboczą. Budynek - stary ceglany sześcian z ciemnymi, łukowo sklepionymi oknami - miał silną ochronę. Trzy gniazda konfluencji Colwyn były priorytetem dla sił okupacyjnych. Ale Liatris McPeierl zrobił dobrą robotę,

wprowadzając kompletną legendę dla Cheritona, z jego DNA włącznie. Kiedy Cheriton wmaszerował na marmurową posadzkę przestronnego lobby, kazano mu położyć dłoń na postumencie czujnikowym, a trzech uzbrojonych i opancerzonych strażników czujnie mu się przyglądało. Nowa sieć budynku uznała go za uprawnionego i strażnicy gestem polecili mu, by wszedł. Obdarzył ich radosnym uśmiechem wzmocnionym ukontentowaną emanacją do gajASFery.

Samo gniazdo znajdowało się w sterylnym pomieszczeniu na czwartym piętrze i zajmowało połowę podłogi. Zameldował się na służbie Mistrzowi Snu Yenrolowi w biurze nadzorcy, które od komnaty gniazda dzieliło szklane przepierzenie. Normalnie biuro zajmowano tylko kilka godzin dziennie, kiedy nadzorca lub jego asystent przeprowadzali sześciogodzinną ocenę, by zagwarantować niezakłóconą pracę gniazda. Obecnie było tu siedmiu techników, wszyscy rozpychali się, zakładając panele nowego hardware'u, a po drugiej stronie szyby dodatkowi technicy spajali świeże klastry bioneuralne z pierwotnym gniazdem.

- Jaką masz specjalizację? - spytał Yenrol. Był jednocześnie wzburzony i zaintrygowany. Późny przydział Cheritona i naciski, by wykonać zadanie, sprawiały, że był bardzo nerwowy.

- Definiowanie wzorców - odparł Cheriton zgodnie z prawdą. - Programy, które napisałem, pozwolą wyizolować myśli Drugiego Śniącego w gajASFerze. Powinno to nam dać mocniejsze źródło do śledzenia.

- Dobrze - powiedział Yenrol. - W porządku, wspaniale. Rozpocznij instalację programów. - Zanim Cheriton zdążył odpowiedzieć, Yenrol odwrócił się z powrotem do na wpół ukończonej jednostki sprzętowej.

- Więc w porządku - wymamrotał Cheriton, utrzymując w swej emisji do gajASFery równy wpływ zapału i entuzjazmu. Znalazł siedzisko przy wolnej konsoli i skinął głową mężczyźnie na sąsiednim siedzeniu.

- Witaj w oku - powiedział nowy kolega. - Jestem Danal.

- Cieszę się, że tu jestem - oznajmił Cheriton. - Co masz na myśli, mówiąc „w oku”?

- Cyklonu.

Cheriton się uśmiechnął.

- Tu panuje cisza?

- Właśnie!

Danal, jak się okazało, przebywał na Viotii już od jakiegoś czasu. On i Mareble przylecieli tu, bo chcieli być jak najbliżej Drugiego Śniącego.

- Chcieliśmy być tu, gdy się odsłoni - przyznał Danal. Od kiedy tu przybyłem, podwyższam czułość sieci, w nadziei, że nasi Mistrzowie Snu zdołają go zlokalizować. - Obdarzył Yenrola pełnym winy spojrzeniem, tłumiąc na chwilę swoją emisję do gajASFery. - Nie oczekiwałem tego.

- Wiem, co masz na myśli - przyznał Cheriton, uosobienie współczucia. - Modliłem się do Pani, żeby na Kleryka Konserwatora wybrano Ethana, ale nie przypuszczałem, że nasza obecność tutaj okaże się niezbędna.

Danal wzruszył ramionami i wrócił do pracy. Cheriton nadal ładował upichcone przez siebie programy. Wykonywały funkcje rozpoznawcze, ale na odwrót, tak, by gniazdo, jeśli otrzyma jakieś myśli pochodzące od Drugiego Śniącego, wytworzyło łagodną ślepą plamkę. Zanim programy kogokolwiek poinformują o tych myślach, najpierw poinformują Cheritona.

Gorączkowa praca zespołu modyfikacyjnego zatrzymała się, gdy szalony lot Justine zalał informacjami wszechświat.

- Jest tak blisko - zapowiedział z nabożną czcią Danal, kiedy czujniki „Silverbirda” odkryły sfalowaną powierzchnię Pustki. Potem wszyscy skrzywili się, kiedy raielowie przemienili drugi księżyc w nadświatłne trzęsienie ziemi.

- Jak oni to robią? - zapytał cicho Cheriton, zafascynowany zastosowanym poziomem niezwykle wyrafinowanej przemocy.

- Kogo to obchodzi? - odparł Danal. - Pustka może oprzeć się ich diabelstwu. Opierała się mu przez milion lat. Tylko to się liczy.

Cheriton uniósł brwi. Niewpuszczanie do gajASFery odrazy do tej bigoterii wymagało mnóstwa samokontroli.

- Miejmy nadzieję, że statek Justine również to wytrzyma.
  - Ona nie jest wierząca. Jest stworzeniem ZAN.
  - Jest człowiekiem - odparł Cheriton. - Oznacza to, że powinna być zdolna dostać się do środka. Jakoś.
  - Ach. O tym nie pomyślałem.
  - Proszę, pracujcie. - Yenrol błagał zespół modyfikujący. - Jeśli Drugi Śniący ma zamiar się ukazać, nastąpi to dziś.
- Danal przesłał Cheritonowi uśmiech winowajcy.

\*\*\*

Oscar nie spodziewał się, że sprawy potoczą się aż tak szybko. A powinien był się spodziewać. Jeśli wojna Gwiazdokrażcy nauczyła go czegokolwiek, to faktu, że wydarzenia rządzą ludźmi, a nie odwrotnie.

Siedzi więc w sekcji pasażerskiej ellezelińskiej kapsuły policyjnej, unoszącej się nad Cairns. Jest zapakowany w sztywny paramilitarny pancerny skafander. Beckia siedzi obok niego na ławce, a Tomansio na przodzie w fotelu pilota. Kapsuły zaprojektowano do przewożenia piętnastu ludzi. Jednak pierwotni pasażerowie kapsuły odpoczywali obecnie w narkotycznej śpiączce, tam w magazynie firmy Bootel & Leicester, więc przynajmniej miał miejsce, by się przeciągnąć. Podobnie jak reszta Wspólnoty, obserwowali szalony rajd Justine przez Zatokę.

- Zespół powitalny właśnie przeszedł w stan aktywności - zameldował Liatrix. Pozostał na „Rewanżu Elvina”, by monitorować siły okupacyjne i zapewniać wsparcie unisferowe. - Wszyscy są zdania, że Drugi Śniący zainterweniuje na rzecz Justine.

- Nie zrobił tego po apelu Gore'a - zauważył Oscar.
  - Raielowie powinni nadać całej sprawie pewien stopień pilności - powiedziała Beckia. - Zgadzam się z Żywym Snem. Jeśli to ma się zdarzyć, zdarzy się dzisiaj.
- Oscar wzruszył ramionami, co w pancerzu nie wypadło dobrze.
- Czy znałeś Gore'a i Justine? - zapytał Tomansio.

- Wydaje mi się, że spotkałem ją raz. Była jakimś starszym oficerem na „Wysokim Aniele”. Wszyscy próbowali ją poderwać.

- Z tobą włącznie - przekomarzała się Beckia.

- Nie, ja nastawiłem się na tych, których ona odrzucała. Odrzucenie zawsze uwrażliwia na propozycję szybkiego seansu taniego, niezobowiązującego seksu.

- Ozzie, ale jesteś okropny.

- Jakieś wieści od Cheritona? - spytał Tomansio.

- Nic, od kiedy zgłosił się po raz ostatni - zameldował Liatris. - Nikt nie kwestionował jego przydziału do personelu Yenrola. Zainstalował swoje programy w gnieździe.

- Czy nosi kapelusz? - zapytała niewinnie Beckia.

Oscar nie mógł powstrzymać uśmiechu, który wypełził mu na usta. To była niezła kłótnia.

- Dowiem się następnym razem - obiecał Liatris.

- Co dla nas masz o zespole powitalnym? - spytał Tomansio.

- Wszyscy głęboko oddani wyznawcy Żywego Snu. Phelim raczej nie był skłonny werbować do tej pracy ludzi z ulicy. Wszyscy są oddelegowani z biura ochrony rządu na Makkathranie 2.

- Prywatni ochroniarze Ethana - oznajmił Tomansio.

- Jakie mają modyfikacje?

- Bardzo ciężką broń i zostali przyspieszeni do przynajmniej naszych standardów. Ale nie sądzę, by mieli biononikę - nie ma o tym żadnego zapisu w plikach, które znajdują.

- Dobra, dzięki. Kop dalej, chcę wiedzieć o nich wszystko, do czego się dogrzebałeś.

- Już się robi. Przesyłam pliki.

U-adiunkt Oscara zawiadomił go, że otrzymał zaszyfrowane pliki. Kiedy je przejrzał, nie mógł się powstrzymać od zaczerpnięcia głębokiego oddechu. Zespół powitalny, który zebrał Radca Phelim, by przechwycić Drugiego Śniącego, miał niesamowitą siłę ognia - Oscar uważał dotychczas, że to wyłączny przywilej Rycerzy Strażników. Składał się też z ekstremalnie żarliwych wyznawców. By wypełnić zadanie,



Phelim dał oddziałowi absolutną władzę nad wszystkimi siłami inwazyjnymi.

- Musimy działać szybko - powiedział.

- Tak będziemy działać - zgodził się Tomansio. - Nie chciałbym być przyłapany przez tę grupę na gorącym uczynku.

- Założę się, że mają bionikę - powiedziała Beckia. - Jako usprawiedliwienie, stwierdzą, że to pomoże w spełnieniu Snu. Ten rodzaj ludzi zawsze tak mówi.

- Nie wiedziałem, że Żywy Sen nie aprobeuje bioniki - powiedział Oscar.

- Och, tak. Choć nie tak bardzo jak w Protektoracie. Bionika niezupełnie jest bluźnierstwem, po prostu nie ma dla niej miejsca w Pustce. Większość ludzi uważa, że ona i tak nie będzie tam działać.

- Dlaczego?

- Ponieważ na Querencii nigdy nie działały urządzenia techniczne. Najbardziej wyrafinowane urządzenie, z jakim kiedykolwiek zetknął się Stąpający po Wodzie, to karabin maszynowy. A on jest czysto mechaniczny. Nie było elektryczności ani genetyki, ani bioniki. Biorąc pod uwagę, jacy ludzie tam wylądowali, ich statek powinien mieć dostęp do najbardziej rozwiniętej techniki i bazy danych, jakich mogła dostarczyć Wspólnota. To nie do pomyślenia, żeby ich nowe społeczeństwo nie mogło nawet wytworzyć jakiejś prostej baterii. Z pewnością znali chemię, medycynę, nawet astronomię. Coś im przeszkodziło w pójściu drogą elektromechaniczną.

- Wewnętrzna struktura Pustki. - Oscar się zadumał.

- Właśnie. Struktura, która pozwala stosować siły mentalne, musi również blokować elektryczność.

- To śmieszne. Nie można zatrzymać płynącego prądu. Z tego wynika, że cały poziom reakcji atomowych musiałby zniknąć. Nie istniałyby gwiazdy.

- Ścieżki silfenów brużdżą w ludzkiej, opartej na sprzęcie, technice - zauważył Tomansio.

- To bezpośrednie zakłócenie generowane przez ich ścieżki.

- Mówię tylko, że w Pustce jest coś nieprzyjemnego dla elektroniki.

- Oryginalny statek kolonizacyjny ocalał i wylądował na Querencji.

- A Żywy Sen nadal dyskutuje, czy wylądował, czy się rozbił - rzuciła Beckia. - Zakłócenia elektroniki mogą nadchodzić bezpośrednio z samego Serca, jakby jakiś suzeren chciał zapewnić, że cywilizacja nie podniesie się powyżej pewnego poziomu.

- Czemu, do diabła, ktoś miałby zadawać sobie tyle trudu, tworząc Pustkę tylko po to, by trzymać gatunki rozumne jako domowe zwierzęta?

- Nie mam pojęcia - odparła. - Pierwotne byty to obcy, pamiętaj o tym. Oni myślą inaczej.

Oscar machnął ręką i się poddał.

- W porządku, tak więc dzięki teorii, że pierwotne byty to dozorczy w zoo, zespół powitalny prawdopodobnie nie będzie miał biononiki.

- Mniej więcej o to chodzi, owszem - zgodził się Tomansio.

- Wszystko jedno - podsumowała Beckia. - Nie chcemy z nimi konfrontacji, jeśli zdołamy jej uniknąć.

- Właśnie.

- Liatris, czy mógłbyś załatwić nam przydział do wsparcia zespołu powitalnego? - poprosił Tomansio.

- Pomyślałem o tym znacznie wcześniej niż wy. Wasz przydział powinien nadejść za parę minut.

- Dziękuję.

Kiedy okręty raielów unicestwiły gazowego giganta, Oscar ostro wciągnął powietrze.

- Jezu Chryste, dajcie biednej dziewczynie odpocząć. „Silverbird” wypadł z powrotem do rzeczywistej przestrzeni. Oscar się skrzywił, kiedy promieniowanie biło po polach siłowych. Pamięcią wrócił ponownie do bitwy o Hanko, gdzie dowodził „Dublinem”. Istniało mnóstwo podobieństw. Statki Góry Światła Poranku wykorzystywały wybuchy energii egzotycznej, by walić w „Dublina”. I pół miliona kilometrów nad

powierzchnią ich pole siłowe ledwo wytrzymało promieniowanie gwiazdy. A to wszystko było niczym w porównaniu z piekłem, które obecnie musiał znosić „Silverbird”. Z umysłu Oscara mimowolnie wylał się do gajASFery zryw poparcia, tak jakby sama modlitwa mogła coś zdziałać.

Justine powróciła do hiperprzestrzeni.

- Dobra taktyka - powiedział Oscar z aprobatą. Inną częścią umysłu rozważał fakt, że „Rewanż Elvina” był statkiem tego samego typu co „Silverbird”. Moglibyśmy tam być i robić to samo.

- Przygotujcie się - powiedział Cheriton przez ultrabezpieczne połączenie. - Drugi Śniący kontaktuje się z Władcą Niebios.

- Gdzie on jest? - warknął Tomansio. - Proszę, włączcie pancerze. Oscar, robisz dokładnie to, co ci mówiliśmy, jasne?

- Tak. - Ledwo zdołał powstrzymać się od dodania „jest”.

- Nie mam jeszcze jego położenia - odparł Cheriton. - Moje programy fałszują dla nas dane gniazda.

Oscar otworzył szeroko umysł na gajASFerę.

- ...teraz blisko ciebie. Poczuj ją - błagał Drugi Śniący.

- I mamy - powiedział Cheriton. - Pierwszy namiar to dzielnica Bodant.

- W drogę - polecił Tomansio i obrócił kapsułę o sto osiemdziesiąt stopni nad mroczną rzeką. Przez przednią część przezroczystego kadłuba do kapsuły zaświeciło poranne słońce Viotii.

- Ach, cholera, pozostałe gniazda skupiają się na źródle - zameldował Cheriton. - Myślałem, że zajmie im to więcej czasu.

Tomansio zwiększył szybkość.

- Ozzie! Ile mamy czasu?

Trzydzieści tysięcy lat świetlnych dalej Pustka zaczynała się rozciągać ku „Silverbirdowi”.

- Jeśli to popieprzy technikę, czy Justine nic się w środku nie stanie? - spytał Oscar.

- Skoncentrujmy się na robocie, którą nam dałeś - powiedziała Beckia z przyganą. Włączała swój pancerz. Przyłbica hełmu zafalowała i się uszczelniła.

- Jest niedaleko obrzeży parku - poinformował Cheriton. - Mistrzowie Snu uzyskują jakieś bardzo precyzyjne współrzędne. Cholera, są dobrzy. Przykro mi chłopaki, nie zdążycie. Zespół powitalny otrzymał jego położenie.

- Gówno - skomentował Tomansio, zmniejszając szybkość. - Będzie wyglądało podejrzenie, jeśli przybędziemy parę sekund przed nimi, a to cała nasza przewaga czasowa.

- Jaki jest plan B? - zapytał Oscar.

- Wyrwać go zespołowi powitalnemu, ale to będzie trudne. To wszystko dzieje się zbyt szybko. Chciałem, byśmy się należycie wcielili w siły okupacyjne, zanim przejdziemy do tego etapu.

- Wyłączyć wormhol - powiedziała Beckia. - Możemy wykorzystać „Rewanż Elvina” do przechwycenia zespołu powitalnego w przestrzeni kosmicznej, kiedy będą przewozić Drugiego Śniącego z powrotem na Ellezelin.

- To dałoby nam więcej szans - powiedział Oscar. - Ten okręt jest o niebo lepszy niż wszystko, czym będzie dysponował „Żywy Sen”.

- Tego nie wiemy - odparł Tomansio. - A utłuczenie wormholu wymagałoby wielkiej zaciekłości.

- Mógłbym na to pójść - upierał się Liatris.

- Wtedy dokładnie by wiedzieli, co się stało i dlaczego - odparł Tomansio. - Wygląda na to, że będziemy musieli przenieść operację na sam Ellezelin. Och, oto mamy rozkazy przemieszczenia z zespołu powitalnego. To apartamentowiec.

- Coś tutaj nie gra - powiedział Cheriton. - Jeden z moich nowych kolegów, Danal, dostał ataku. On mieszka właśnie w tym apartamentowcu. O ile możemy to określić, Drugi Śniący jest właśnie w jego własnym mieszkaniu.

- Aha, może jednak wszyscy po prostu nie doceniają Drugiego Śniącego - rzekł Tomansio. - Zuch z niego.

- I działa korzystnie dla nas - zgodziła się Beckia.

- Ma zamiar szybko się stamtąd wynieść - powiedział Oscar. Patrzył na plan Colwyn w egzowizji.

Dziewięć krążowników zmierzało do Parku Bodant. Pięć z nich miało rozkazy naziemnego zabezpieczenia granicy strefy Dwa

zapewniały osłonę z powietrza. Reszta, w tym również ich pojazd, miała wspomagać zespół powitalny wewnątrz.

Oscar spojrział w dół, kiedy przelatywali nad jasnymi aluminiowymi gmachami mariny, a potem nad parkiem. Na trawnikach przebywały tysiące ludzi, wiwatujących i podskakujących z radości, że ich nocne czuwanie zostało nagrodzone. Powstała autentyczna piknikowa atmosfera i nacisk, jaki wywierała na gajaserę, odurzał.

Kapsuła z zespołem powitalnym zaryczała nad głowami, przeszła w poddźwięki i ostro hamowała. Wysoko w górze szklane słupowe narożniki apartamentowca - celu pobłyskiwały fioletową i niebieską opalizacją, naiwnie sygnalizując jego położenie. Kapsuła zespołu powitalnego okrążyła go, ciągnąc za sobą cienki ślad pary. Szczęśliwi ludzie w parku na dole spoglądali na to chamskie wtargnięcie. Niesmak i uraza pojawiły się w gajaserze jak martwicze plamy słoneczne w zdrowej pod innymi względami koronie.

- Och, pięknie. - Oscar chrząknął, widząc, jak świętujących obywateli ogarnia coraz większe oburzenie i niezadowolenie. - To pomoże.

- Mają to gdzieś - odparł Tomansio. - Ta cała planeta nie ma dla nich znaczenia. Interesuje ich tylko znalezienie Drugiego Śniącego.

- Ciekaw jestem, jak wygląda - powiedział Oscar, kiedy zwolnili i zawisnęli nad pasem dobrze utrzymanych ogrodów przed apartamentowcem.

- To neurotyk - odparła Beckia. - Na pewno.

- Sprytny i przestraszony - dodał Tomansio. - Co sprawia, że jest niebezpieczny dla Żywego Snu.

Pozostałe kapsuły wyznaczone do wspierania zespołu powitalnego przybyły na miejsce.

- Mówi major Honilar - ogłosił dowódca zespołu. - Oddział ograniczający strefę. Natychmiast się ustawcie. Nikt nie może wyjść ani wejść. Każdego, kto spróbuje przekroczyć waszą linię, częstujcie impulsem janglowym. Zespół wspomagający areszt, odetnijcie parter i wyłączcie windy. Wykorzystajcie klatkę

schodową do odizolowania każdego piętra. A teraz posłuchajcie: nie można w ogóle używać zabójczych broni. Tam jest Drugi Śniący i nie wolno mu zrobić krzywdy. Jeśli napotkacie jakiś problem, na przykład, jeśli użyje pola siłowego lub spróbuje się przedrzeć, zawołajcie nas. To my będziemy mieli z nim do czynienia. Trzymajcie swe brudne łapy z dala od niego.

- Tak jest - odpowiedział Tomansio i skierował kapsułę w dół do ogrodu. Kapsuła zespołu powitalnego usadawiała się na dachu obok złotej kryształowej kopuły, mieszczącej centrum odnowy biologicznej.

- Co robimy? - zapytał Oscar, kiedy drzwi rozsunęły się i wyszedł na skraj krzaków fuksji. Butami wgniatał w glinę białe i szkarłatne kwiaty.

- Dokładnie to, co nam kazano - wyjaśnił Tomansio. - I pamiętajcie, nie wykorzystujcie swoich bionicznych funkcji polowych. Wiem, że są lepsze od tego, co macie w tych pancernych skafandrach, ale zespół powitalny je wykryje.

- Dobra.

Dołączyli do reszty zespołu realizującego aresztowanie, kiedy tamci wmaszerowywali do holu parteru. Za nimi oddział izolujący teren działań odpychał grupy gniewnych obywateli, którzy przybyli do parku.

- Przed chwilą aresztowali Danalę - zawiadomił ich Cheriton. - Dwóch funkcjonariuszy biura ochrony rządu właśnie go wywleka. Nie jest szczęśliwy.

- To musiała być rozmyślna dywersja - powiedział Tomansio.

- Taa, ale czyja? - spytała Beckia. - Drugiego Śniącego, czy jakiejś paczki takiej jak my?

Hol zastawiały skrzynki wypełnione śmieciami oraz sprzęt budowlany. Jaskrawe tymczasowe światło na metalowej ramie rzucało ostre cienie.

- Zespół powitalny przejął sterowanie siecią apartamentowca - zameldował Cheriton. - Poczekajcie, oceniam wyniki otrzymane z ich przeglądaczy.

Tomansio wprowadził Beckię i Oscara na betonową klatkę schodową. Dalsze śmiecie zostały niedbale zmiecione z górnych

pięter i utworzyły w piwnicy u stóp schodów kupę zapyłonych gruzów. Dwoje paramilitarnych zeszło na dół zbadać garaż.

- Według sieci, w rezydencji przebywa obecnie trzydziestu ludzi - zameldował Cheriton. - To całe cholerne miejsce jest remontowane. Czwarte piętro ma tylko cztery osoby zameldowane w dwóch mieszkaniach. Danal, Mareble i jeszcze jedna para małżeńska. Ktoś o nazwisku Araminta odnawia pozostałe trzy mieszkania na tym poziomie. Właśnie ją wygrzebujemy.

Oscar pośpieszył w górę betonowych schodów. Długi szereg paramilitarnych w skafandrach bardzo hałasował, kiedy wchodzili z nim na górę. Przekazane instrukcje od Honilara przydłajały po sześciu na każde piętro. Oscar był pod wrażeniem skuteczności Liatrissa, kiedy jemu, Tomansioowi i Beckii dano czwarte piętro.

Wynurzyli się w holu i zobaczyli, że wszystkie drzwi mieszkań są wyłamane, a dwójka z zespołu powitalnego pełni wartę w pełnych militarnych skafandrach opancerzonych. Oscar widział przez drzwi wewnątrz mieszkania numer trzy, w którym przerażeni lokatorzy stali obok siebie pośrodku wielkiego salonu. Mężczyzna i kobieta: on w szortach, ona w długiej nocnej koszuli. Unieśli w górę ręce, kiedy drugi członek zespołu powitalnego celował w nich wielkim pistoletem. Kobieta trzęsła się i płakała, a jej partner próbował być rozsądny. Jego drżące mięśnie nóg zdradzały więcej niż jakakolwiek emisja do gajaszfery.

Major wyszedł z mieszkania Danala.

- Nie ma go, ani śladu. Nie mógł wydostać się z budynku, nie miał na to czasu. Chcę, by zaaresztowano wszystkich mieszkańców wszystkich pięter i zabrano ich do naszej kwatery głównej. Przeszukajcie i przeskanujcie mieszkania. Upewnijcie się, że macie rzeczywiście wszystkich. - Odwrócił się i znowu wszedł do mieszkania Danala.

- Podzielmy się na pary - polecił Tomansio. - Każda para weźmie mieszkanie.

Oscar towarzyszył Tomansiovi, kiedy weszli do mieszkania numer cztery. Przeskanował otoczenie czujnikami swego skafandra, brzydząc się ich powolnością i ograniczeniami w porównaniu z biononiką.

„Jesteś rozpieszczony”, powiedział sobie.

Skafander nie wykrył żadnych sygnatur cieplnych o rozmiarach ciała. Mieszkanie było w połowie remontu. Kilka nieaktywnych botów stało rzędem w salonie. Nowe kable i rury ułożono przy jednej ze ścian. Złomowane instalacje rzucono na stos przy drzwiach. Pudła i skrzynie z nadrukiem MATERIAŁY BUDOWLANE BOVEY'S MACROSTORE czekały na rozpakowanie. Trochę mebli zostawiono. Stolik kawowy, obecnie bardzo porysowany, z kilkoma kubkami na blacie, czekającymi na umycie. Stara kanapa z dobranym do niej fotelem o dziwnie guzowatej tapicerce.

Jego u-adiunkt wyświetlał raporty innych oddziałów, które zajmowały się spędzaniem lokatorów na pozostałych piętrach. Jak dotychczas ich tożsamości zgadzały się z plikami.

- Tu, w środku - powiedział Tomansio, wykorzystując ich bezpieczne łącze. Stał w drzwiach sypialni. Łóżko to był goły materac ze zmiętym śpiworem na wierzchu. Przy ścianie leżały cztery walizki. Jedna była otwarta, ujawniała kolekcję damskich ubrań. Na małej toaletce leżały przybory do stylizacji włosów i pudełka na łuski kosmetyczne.

- Nie jest wymieniona jako mieszkaniec - powiedział Oscar.

- To zależy, jaką listę przeglądasz. Liatris, przeprowadź kwerendę na temat Araminty. Czy sprzedała to mieszkanie?

- Już sprawdzam.

Kiedy Tomansio sprawdzał pozostałe dwie sypialnie, Oscar wszedł do głównej łazienki. Podłogę zerwano do gołego betonu, tak samo jak ściany. Całkiem nowy prostopadłościan kąpielowy z rzeźbionego kamienia stał pośrodku. W połowie ściany, za wanną z betonu wystawał pieńek oryginalnej rury z zimną wodą, z jego zaworu skapywały krople do plastikowego wiadra poniżej. Stara miska klozetowa nadal pozostawała podłączona. Wielki zbiornik na gorącą wodę stał w rogu, już obudowany



podporami ekranu, czekającymi właśnie na zgromadzone obok deski wykończeniowe. Wokół podstawy zbiornika rozciągał się labirynt rur. Komponenty pryszniczki sporowej leżały gotowe do zamontowania.

- Nic - zakomunikował Tomansiowi.

- Inne sypialnie są puste.

Oscar znalazł go za barem kuchenki w salonie. Stara jednostka kulinarna została usunięta i postawiona na podłodze, choć rury zasilające składnikiem pokarmowym były nadal podłączone. Czajnik i piec mikrofalowy stały na podrapanej marmurowej powierzchni roboczej. Skanowanie termiczne wykazało, że temperatura czajnika była wyższa niż temperatura otoczenia.

- Tego miejsca ostatnio używano - powiedział cicho.

- Musimy z nią pomówić - powiedział Tomansio. - Jeśli ktokolwiek może nam powiedzieć, kto wchodził do tych mieszkań, to właśnie ona.

- To nie powinno być zbyt trudne - powiedział Oscar. - Wiemy, kto to jest. Liatris znajdzie ją z łatwością.

- Taa. - Tomansio omiół otoczenie czujnikami. - Weźcie coś z jej sypialni, tak byśmy mogli przeprowadzić weryfikację DNA, że ona tu mieszka. Potem wracajmy i pomóżmy zaganiać resztę podejrzanych.

- Biedne sukinsyny. - Oscar wziął małą szczoteczkę aplikatora. - Jak sądzisz, co Honilar z nimi zrobi?

- Dobre pytanie. Jak udowodnisz, że nie jesteś Drugim Śniącym? Nie ma na to fizycznych dowodów. Przypuszczam, że jeśli nie wydobędzie przyznania się, wykorzysta czytanie pamięci.

Oscar zadrżał.

- Drugi Śniący nie pokocha ich za to. Potrzebują go, by im pomógł dostać się do Pustki.

- Oscarze, spójrz prawdzie w oczy, przy dzisiejszych technikach medycznych możesz każdego zmusić do robienia po prostu wszystkiego, co zechcesz.

- Technikach medycznych?

- Te metody były początkowo technikami medycznymi.

- Przypuszczam, że wiecie, jak to robić?

- Owszem, wszyscy przeszliśmy szkolenie w tej dziedzinie.  
Mimo ciężkiego pancernego skafandra z jego idealną izolacją cieplną, Oscar nagle poczuł chłód.

\*\*\*

Paula rzadko odczuwała ukłucie *déjà vu* tak silne jak teraz, gdy otworzyły się witrażowe drzwi i wkroczyła do holu wejściowego. A przecież nie była nigdy wcześniej w tym starym budynku. Przeszła obok pustego biurka portiera i spojrzała na windę ze szklaną klatką. To ten wiekowy wystrój wszystkiego dookoła wywoływał dziwaczne wrażenie, które drażniło zakamarki jej umysłu. Według plików z Rady Miejskiej Daroki, wnętrze było doskonale autentyczne, dokładnie takie jak podczas wojny Gwiazdokrażcy. Nie zamierzała zaprzeczać - żyła w tamtych czasach i czuła, że wystrój jest prawidłowy.

Winda zabrała ją na piąte piętro, do penthouse'u Trobluma. Podczas podróży z portu kosmicznego Paula przeglądała stary plik porucznika Rennego Kampasy z epoki Dyrektoratu na temat jej jedynej poprzedniej wizyty. ZAN musiała go poszukać w głębokich warstwach pamięci. Do pliku dołączono komentarz, że Troblum poprosił o dostęp do tego samego pliku sto lat temu, razem z powiązanymi sprawozdaniami z analizy sceny przestępstwa.

Paula musiała przyznać, kiedy weszła do ogromnego holu bez ścianek działowych, że Troblum doskonale odtworzył wnętrza z epoki. Balkon dawał wspaniały widok na rzekę Caspe, z resztą Daroki w tle.

Ustalenie, że w mieszkaniu nie ma nic użytecznego, nie zajęło jej wiele czasu. Wszystkie pliki osobiste Trobluma zostały usunięte z sieci budynku. Jedynym mało znaczącym wyjątkiem były sypialnie, w których, z niewyjaśnionych przyczyn, stały szafy pełne dziewczęcych ubrań. Własne ubrania Trobluma - trzy starawe togatury i jego nieprzyjemna bielizna - zostały wepchnięte do szuflad komody w głównej sypialni. Przez chwilę Paula zastanawiała się, czy ubrania należą do dziewczyny Trobluma. Wyciągnęła najmodniejszą skórzaną minispódniczkę i

ze zdziwieniem uniosła brwi. Może to nietolerancja, ale co dziewczyna z figurą nadającą się do noszenia takich rzeczy mogła widzieć w Troblumie? Potem zauważyła metkę, jakiej nie widziała od przeszło siedmiuset lat. A więc spódniczka również pochodziła z epoki wojny Gwiazdokrażcy. Gwizdnęła z podziwu: nawet dziewczęcą garderobę Troblum odtworzył najlepiej jak tylko się dało.

To się nazywa prawdziwa obsesja.

Paula rozpoczęła marsz przez inne mieszkania w starodawnej zmienionej w apartamentowiec fabryce, a jej u-adiunkt podłączył się do sieci budynku, by zanalizować pozostałe tam pliki. Na trzecim piętrze uwagę Pauli przyciągnęło największe mieszkanie. Wszystkie inne były dość wiernymi reprodukcjami, ale to zostało zmodyfikowane powtórnie. Wszystkie ścianki działowe usunięto. Powstała w ten sposób komora odizolowana od zewnętrznej atmosfery przez błonę podtrzymującą i filtry powietrza klasy szpitalnej. Przez całą długość biegnęły rzędy ciężkich stołów laboratoryjnych, każdy wyposażony w serię węzłów danych i gniazdka wysokiego napięcia. Widziała zarysy, gdzie na stołach znajdowały się kiedyś obiekty. Musiały leżeć tutaj przez dziesięciolecia, by coś się odcisnęło na powierzchni z nierdzewnej stali. Podsieć tego mieszkania również została starannie wymazana.

- Zażądano trzech kapsuł kurierskich, by zabrać obiekty z tego budynku, mniej więcej w czasie zniknięcia Trobluma - zameldował jej u-adiunkt.

- Jakie obiekty?

- Nie wiadomo. Były przechowywane w pudłach stabilizujących.

- Ach - powiedziała Paula. - Założę się, że to była kolekcja, najprawdopodobniej pamiątki po wojnie Gwiazdokrażcy. Stubsy Florac często zdobywał relikty historyczne dla klientów. Dokąd zabrano skrzynki?

- Kapsuły odbyły trzy różne podróże do miejskiego kosmoportu i zabrały je różne statki handlowe zarejestrowane w Światach Zewnętrznych. Nie ma zapisów o ich ostatecznym celu podróży.

- Przesłano je do Floraca. - Wiedziała o tym. Dlatego Troblum tam poleciał, by zabrać kolekcję. I przywiązywał do niej wielką wagę. To może oznaczać jedynie to, że planował całkowite opuszczenie Wspólnoty. Otworzyła połączenie z ZAN. - Nie zdawałam sobie sprawy, że Troblum był tak bardzo przestraszony.

- Marius tak na ludzi działa.

- Tak. Ale tu chodziło o coś jeszcze. Wspomnij, co nam powiedział, kiedy nawiązaliśmy kontakt po raz pierwszy. Że ma coś, co zrozumiem, i że jego obsesją jest wojna Gwiazdokrąży. Czas, który znam.

- To raczej nie zawęza poszukiwań.

- Coś innego je zawęza - zauważyła Paula. Tak naprawdę widziała tylko jakąś postać wsiadającą do statku wśród ruin Willi Floraca. Osobę drobnej budowy. To zakołysanie biodrami, szyderstwo, ta pogarda w stylu „cóż mnie to może obchodzić”. Żaden z dzisiejszych agentów i reprezentantów nie wykazuje takiej postawy, nawet Rycerze Strażnicy. Oni wszyscy są dumni ze swego nieugiętego profesjonalizmu. - Mam co do tego złe przeczucie.

- Co za przeczucie?

- Muszę odbyć jeszcze jedną, ostatnią podróż. Powiem później.

- Nie możesz powiedzieć mi teraz?

- Wierz mi czy nie, będę się czuła głupio, jeśli się mylę. Pomyślisz, że mam obsesję. Muszę to wiedzieć dla siebie.

- Jakie to intrygujące. Jak sobie życzysz.

- Czy robisz postępy w grzebaniu się dla mnie w życiorysie Trobluma?

- Tak. Pod wieloma względami to osoba dziwna, zwłaszcza jak na Elewata. Mam dla ciebie jego dość kompletne curriculum. Ma ono kilka podejrzanych luk, a on nawet odbył misję naukową dla floty.

- Rzeczywiście. - U-adiunkt Pauli odebrał plik. Przejrzała w egzowizji listę zawartości. Jeden z ostatnio dodanych punktów przyciągnął jej uwagę. - Prezentacja dla floty na temat anominów

i generatorów bariery w Parze Dysona? I był tam sam Kazimir. Chciałabym prosić o streszczenie tego wystąpienia.

- Oczywiście.
- Dzięki. Przejrzę je podczas powrotu na Ziemię.
- Przylatujesz tutaj?
- Tak, potwierdzenie tego mojego małego problemu zajmie tylko chwilę. Będę tam za godzinę.

\*\*\*

Major Honilar zgarnął trzydzieści siedem osób z apartamentowca i wysłał je do sztabu bezpieczeństwa, który zainstalowano w dokach Colwyn. Kordon wokół budynku utrzymano, nawet w obliczu wzrastającej wrogości tłumu w parku. Kiedy kapsuły transportowe odleciały z nieszczęsnymi lokatorami, pięciu paramilitarnych z oddziału pomocniczego omiotło po raz ostatni teren czujnikami. Nie znaleźli nic. Kiedy skończyli, odjechali, przeniesieni do bardziej pilnych obowiązków. Siły okupacyjne miały coraz więcej roboty, kiedy coraz więcej mieszkańców Viotii dołączyło do fizycznych protestów przeciwko ich obecności.

Półtorej godziny po tym, jak ostatnia postać w skafandrze wyniosła się, ciężko stąpając, z mieszkania na czwartym piętrze, w łazience rozległ się przytłumiony dźwięk narzędzia z autonomicznym napędem. Trzy śruby mocujące pokrywę zbiornika na gorącą wodę kolejno odkręciły się i spadły na podłogę. Półkoliste wieko zbiornika odchyliło się odrobinę. W szczelinie ukazały się palce i odepchnęły grubą pianę izolacji termicznej. Pokrywa zbiornika odsunęła się na bok. Z głośnym brzdękiem spadła na podłogę.

- Ozzie drogi! - jęknęła Araminta.

Wydźwignięcie się na nogi zajęło jej długą chwilę. W cylindrze ledwie się zmieściła w okropnej, skulonej pozycji. Kiedy w końcu swobodnie rozciągnęła kończyny, wszystkie ją bolały. Skurcz zaatakował mięśnie, wyciskając łyzy z jej oczu. Kiedy w końcu wyprostowała grzbiet, niemal łkała. Pięć minut stała w miejscu i

czekała, aż ból ustąpi. Dopiero potem wygramoliła się ze zbiornika, wykorzystując podpory ekranu jako drabinę.

Jedynym dochodzącym dźwiękiem były okrzyki tłumu na zewnątrz, wyśmiewającego i szydzącego z paramilitarnych w kordonie. Araminta ostrożnie zerknęła do salonu. Nikt się w nim nie kręcił. Jej klastry wielokomórkowe nie wykrywały żadnych indywidualnych przekazów danych. Odizolowała się od unisfery i wiedziała, że gdyby się ponownie podłączyła, zostałaby wykryta. Przeszła przez salon. Główne drzwi stały rozwarte na oścież, drogi zamek wyłamano. Patrzyła na to z gniewną miną. O ile mogła się zorientować, całe czwarte piętro było bezлюдne. Zamknęła drzwi i podparła je skrzynią instalacji kuchennych.

- Więc dobrze - powiedziała i usiadła na starym fotelu. Znowu wstała i podeszła do czajnika. Już chciała go włączyć, kiedy przyszło jej do głowy, że jakiś przemyślny programik wykryje zużycie prądu. Pięć minut później wyciągnęła baterię z bota i podłączyła do czajnika.

Usiadła na powrót w fotelu z kubkiem cudownie gorącej herbaty i kilkoma czekoladowymi biszkoptami, które zawsze trzymała pod ręką.

I co teraz?

## Dziewiąty sen Iniga

Prawie miesiąc Edeard nie odwiedzał Domu Błękitnych Płatków. Teraz, gdy proces sądowy powoli zmierzał do końca, Edeard stał przed domem w morskiej bryzie wiejącej wzdłuż Kanału Wysokiego Ogona. Po zimie nadchodziła wiosna. Wyczarowała upragnione ciepło na całym Morzu Lyot. Lekka mżawka omiotła jego niewidkę i zmoczyła mu twarz. Edeard patrzył na budynek o podłużnych owalnych oknach i cały czas miał niejasne wrażenie niepokoju. Mężczyźni wchodzili i wychodzili, jak zawsze. Portierzy niczym muskularne posągi pilnowali trzech wysokich drzwi. Nawet muzyka fortepianowa, niosąca się ulicą, brzmiała przyjemnie znajomo.

Edeard pchnął swój dalwzrok przez lite ściany, ale nie odkrył nic szczególnego. W barze widział podeksytowanych klientów, barmani mieszały drinki, a gemałpy je roznosiły. Burdelmama przechodziła między gośćmi, na galerii dziewczęta stroiły minki, trzepotały rzęsami i słały fałszywe, tęskne spojrzenia. Na drugim piętrze Ivarl był w swoim gabinecie. Jak zwykle jego umysł był płataniną stłumionych myśli. Miał towarzystwo kilku osób, które z szacunkiem oczekiwały na jego polecenia.

Wszystko było doskonale normalne.

Więc co jest nie tak?

Pewnego dnia musi się wreszcie rozeznać w tych swoich wrażeniach, które go od czasu do czasu nawiedzały. Tym razem nie były tak niepokojące jak tego wieczoru, gdy zaatakowano Ashwell. Muszę po prostu zachować czujność, i tyle, pomyślał.

Po schodach wchodzili dwaj żeglarze. Nie zorientowali się, że za nimi idzie cień, a swoje zdenerwowanie przypisywali dociekliwym spojrzeniom portierów. Ci gestem dłoni przepuścili ich do środka. Tuż za nimi Edeard przekroczył próg.

Wystrój nieco się zmienił. Ivarl kupił wielkie kule z barwnego szkła, na których spletały się zakrętasy w kolorze bursztynu i

akwamaryny. Każda miała ponad pół metra średnicy. Dziesięć kul stało na rzeźbionych postumentach pod ścianami baru. Edeard spojrział na nie z lekką dezaprobatą i przesunął się głębiej do sali.

Głośno zaszczekał pies.

Edeard zamarł. Nie zdawał sobie sprawy, że jest tam zwierzę, którego umysł przypominał umysł gemałpy. Beagle'a przypięto na łańcuchu przy drzwiach do wielkiego żelaznego zawiasu. Gdy Edeard, chcąc go uspokoić, dostawał się do jego umysłu, portier zatrzasnął drzwi. Wielkie, metalowe, grube na trzy cale sworznie zaskoczyły i zamknęły drzwi na dobre.

- O, cholera! - szepnął Edeard.

Ludzie zaczęli krzyżeć. Kilku klientów wpadło w panikę: biegali w koło, szukając drogi wyjścia. Edeard musiał się spłaszyc przy barze, gdy obok przemknął oficer milicji, pytając, co się dzieje. Grupa umundurowanych portierów zebrała się u stóp schodów. Trzymali w pogotowiu rewolwery.

- Panowie, proszę o uwagę! - zawołał Ivarl. - Cisza!

Zapadła cisza. Edeard rozejrzał się po sali. Na galerii stał Ivarl z dłońmi opartymi o balustradę. Spoglądał w dół, a jego niesymetryczne usta wykrzywił brutalny uśmieszek. Edeardowi omal nie wyrwał się okrzyk przerażenia. Obok Ivarla stał Tannarl i z charakterystycznym uśmieszkiem wyższości patrzył na zwrócone w górę twarze. Edeard spotkał ojca Ranalee tylko raz na wspomniałym balu, który rodzina Gilmorn wydała w swojej posiadłości. Gdy wymienili wtedy uściski, Edeard zrozumiał, skąd u Ranalee taka wyniosłość.

O, Pani, ale ze mnie idiota.

- Chciałbym przywitać nowego gościa w tym domu - oznajmił Ivarl głośno i z wyższością. Trzymał w dłoniach skarpetki, które Edeard rozpoznał - zostawił je w tamtym domku na Iguru i właśnie te skarpetki musiał wywąchać beagle. - Teraz cały bar jest twój... Stąpający po Wodzie.

Skonsternowani klienci rozglądali się, szukając wzrokiem Edearda.



- Wszyscy inni mają teraz prawo do darmowej nocy z moimi dziewczętami. Proszę, przechodźcie na górę. Szybciej, panowie, dziękuję.

Klienci niepewnie szli po schodach. Tannarl wyciągnął wielki pistolet i sprawdzał go od niechcenia. Na galerii pojawiło się kilku przybocznych Ivarla, również uzbrojonych. Edeard w żaden sposób nie mógłby wejść na piętro niezauważony, gdyż portierzy u stóp schodów stali w ciasnej grupie i trzecimi rękami utworzyli zapórę. Dokładnie sprawdzali każdego klienta, zanim go przepuścili na górę.

Edeard sondował dalwzrokiem podłogę, ale bezpośrednio pod domem nie wykrył żadnego tunelu. Z łatwością mógłby przeniknąć przez ścianę, tyle że najpierw musiałby do niej dotrzeć. Tu, przy barze, czuł się izolowany i nie miał pewności, do jakiego stopnia potrafi kontrolować umysł beagle'a.

Spojrzał na pistolety ponad balustradą galerii. Mógł się obronić kosztem niewidki. Nie mógł się zdecydować: gdy znaczną strzelać, czy bezpieczniej będzie stanąć pod galerią, czy przejść przez salę?

Ostatni klient pobiegł na piętro.

- Wiem, że tu jesteś! - krzyknął Ivarl.

Tannarl celował pistoletem w dół, w stronę baru. Strzelił. Hałas odbił się echem grzmotów. Edeard skulił się, gdy pocisk trafił w wysokie oparcie krzesła, odłupując spory kawał drewna. Edeard nigdy przedtem nie widział tak mocnej kuli.

Ivarl się zaśmiał. Celował z góry. Edeard przemknął na bok i przykucnął za kontuarem. Na bar spadł grad pocisków. W powietrze poleciały drzazgi drewna i kępy kłaków z tapicerki. Gangsterzy dobrze się bawili, strzelając do pozostawionych na stole szklanek.

Ivarl uniósł dłoń i ogień ustał.

- Gotów jesteś się przywitać, młody przyjacielu?

Edeard spojrzał na podłogę pokrytą odłamkami. Kłaki z tapicerki nadal wirowały w powietrzu. Nie mógłby przejść, nie poruszając jakiegoś przedmiotu. Od razu by go zauważyli.

Ivarl zaczął przeładowywać pistolet, wkładał do lufy bardzo długie pociski.

- Mówiłeś, że pochodzisz ze wsi, gdzieś z dalekiego zachodu - mówił obojętnym głosem. - Więc prawdopodobnie nie wiesz wszystkiego o naszym mieście. Nieznane są ci te codzienne osobliwości, które my tutaj traktujemy jako coś oczywistego. Na przykład, czy wiedziałeś, że po pożarze mury domów same się naprawiają? Po miesiącu nie ma już żadnych śladów.

Edeard spojrział na tył baru. Mógłby przemknąć na zaplecze, nie powodując zbytniego poruszenia.

Jeden z drewnianych podestów zaczynał się przechylać, pchnięty trzecią ręką. Zupełnie się przewrócił, kolorowa kula rozbiła się i na podłogę wylał się płyn. Edeard spojrział na to przestraszony. Nie wiedział, że w kulach coś jest. Wtedy zorientował się, że to olej jamolarowy; używano go w latarniach na Querencii wszędzie, z wyjątkiem Makkathranu, gdzie latarnie nie były potrzebne. Pozostałe kule też pchnięto i całą podłogę zalał olej. Edeard z coraz większym niepokojem obserwował, jak kałuża płynie ku niemu. Sytuacja robiła się poważna. Nie był pewien, czy jego ochrona da sobie radę z ogniem i kulami. Olej już podpływał do pobliskiego pieca.

Ivarl załadował pistolet i zatrzasnął zamek.

- Wychodź, wychodź ze swojej kryjówki.

Edeard spojrział w górę, ponad głową szefa gangu. W sklepionym suficie widniały świetliki w kształcie szerokich rozet, których końce opadały aż do ścian wąskimi spiralami. Emanowały jasnopomarańczowym światłem w jego najsilniejszej wersji. Edeard kazał im, by zgasły i pozostały niezapalone. Bar pogrążył się w ciemnościach, tylko od migoczących ogników w piecu węglowym rozchodziły się nikłe wachlarze poświaty. Edeard wyprostował się i zaczął biec do drzwi.

Z tyłu za nim i w górze rozbłysło bladossrebrne światło, ujawniając rozbryzgi jego stóp na oleju.

- Co to?

Edeard odwrócił się i zobaczył Ivarla i Tannarla w jaśniejszej aureoli.

- Nie jesteś taki wyjątkowy, Stąpający po Wodzie - szydził Ivarl.  
- Nie potrafisz nawet chodzić po ogniu. - Wyrzucił ramię w przód.  
Poświata pojaśniała wzdłuż całej jego ręki, potem z czubków palców posypała się kaskada iskierek i spadała z galerii jak fosforyzująca mgiełka.

Edeard porzucił swoją niewidkę. Olej się zapalił.

Ze śliskiej podłogi wystrzeliły płomienie. Wściekły podmuch cisnął Edearda o fortepian. Osłona, jaką Edeard otoczył swoje ciało, ledwo wytrzymała uderzenie, ale złagodziła cios. Wstrzymał oddech, gdy płomienie wznosiły się wokół niego aż ponad głowę.

Ogień lizał już drewniane barierki i dziewczęta na galerii piszczały. W powietrzu kłębił się gęsty dym.

- Widzę cię! - krzyknął Ivarl triumfalnie i zaczął strzelać.

Edeard rzucił się na podłogę, rozgarniając cienką falę płonącego oleju, który skwierczał mu na osłonie zaledwie parę centymetrów od ubrania i twarzy. Udało mu się odeprzeć największy żar, ale czuł się tak, jakby go zanurzono w kwasie. Skórzany płaszcz tlił się. Edeard nadal bał się zaczerpnąć powietrza. Pociski waliły w podłogę i wokół latały ostre jak nóż drzazgi. Dziewczęta czmychały z wrzaskiem w korytarze, a przerażeni klienci odpychali je i sami próbowali pośpiesznie się wydostać w bezpieczne miejsce. Ivarl i jego porucznicy stali twardo na miejscu, własne osłony chroniły ich przed płomieniami. Strzelali jak maniacy.

Napastnicy zdołali spenetrować ogień dalwzrokiem i kule trafiały teraz w plecy Edearda; czuł ich uderzenia jakby ktoś uderzał go młotkiem. Straszny ból przenosił się kręgosłupem i eksplodował w mózgu. Edeard nie mógł już dłużej utrzymać osłony. Rozpaczliwie potrzebował powietrza.

Myśli mocno skierował na podłogę, szukał ucieczki. Pomocy! I podłoga w cudowny sposób się zmieniła. Edeard zaczął spadać. Pod nim niczego nie było. Kula trafiła go w tył głowy, w osłonę. Krzyknął i stracił świadomość.

\*\*\*

Ocknął się, czując ciągły okropny, pulsujący ból. Zwymiotował, jeszcze zanim odzyskał pełną świadomość. Potem po prostu leżał, mając nadzieję, że ból ustąpi. Ręce i policzki miał poparzone ogniem, który przedostał się przez osłonę. Na plecach czuł siniaki. Jasne światło go raziło i spod powiek wydobywały się lepkie łzy.

Powoli odwrócił się i usiadł, krzywiąc się przy każdym ruchu. Wokół panowała kompletna cisza. Udało mu się skoncentrować. Nie rozumiał tego, co widział.

Leżał na podłodze obszernego tunelu. Nie tak szerokiego jak tunele odwzorowujące kanały Makkathranu, ale o idealnie okrągłym przekroju. Po dnie nie ciekła woda. Ściany były gładkie jak szkło. I chyba zrobiono je ze szkła, choć Edeard nie potrafił tego stwierdzić z całą pewnością, ponieważ jarzyły się bardzo intensywnym światłem, od którego bolały go oczy. Światłem prawdziwie białym, a nie typowo makkathrańskim, pomarańczowym. Ta biel miała w sobie domieszkę fioleto i dlatego oczy cały czas łzawiły. Na wysklepieniu ściany widniała linia szkarłatnych punktów świecących intensywnie - biegingy w obu kierunkach daleko, jak sięgał wzrok. Właśnie na tym polegał problem: Edeard nie widział końca tunelu ani w jednym, ani w drugim kierunku.

Niezgrabnie wstał i palcami ostrożnie macał kark. Krzywił się z bólu. Skórzany płaszcz był zniszczony, stwardniał i kruszył się, odpadały od niego strzępy, jakby ktoś go ciął nożem. Buty też były w złym stanie: podeszwy z drojedwabnej gumy poczerniały i zmiękły. Edeard zdjął płaszcz i poklepał drojedwabną kamizelkę, którą miał pod spodem. W tkaninie widniało kilka wgnieceń po uderzeniu. Kamizelka prawdopodobnie uratowała mu życie. Dotknął guza na potylicy i syknął z bólu.

- Dziękuję - powiedział głośno do miasta i powoli znów opadł niżej.

Musiał odpocząć. Dalwzrokiem potrafił sięgnąć najwyżej dziesięć centymetrów w głąb ściany tunelu. Prawdopodobnie znajdował się w jednym z bardzo głębokich tuneli, leżących znacznie poniżej zwykłych tuneli kanałowych, z których

zazwyczaj korzystał. Jeśli tak, to teraz był naprawdę sam jak nigdy przedtem. Nikt nie dotarł tu na dół od czasu, gdy zbudowano miasto, a Edeard nadal nie wiedział, czyje to dzieło. Z pewnością te istoty zrobiły to bardzo dobrze, ale zupełnie nie pojmował, dlaczego miałyby budować tak oświetlony tunel. Zresztą, dlaczego w ogóle miałyby budować to miasto?

Usiłował się rozluźnić, choć niełatwo mu to przyszło. Nie docierało tu zwykłe gaworzenie miejskiej dalmowy, na którą nigdy nie zwracał szczególnej uwagi, ale wrażenie izolacji przygnębiało. Był również wściekły sam na siebie za to, co się stało w Domu Błękitnych Płatków. Oczywiście, Ivarl i tak by się wszystkiego domyślił. Technika niewidki nie stanowiła tajemnicy, na pewno znali ją Mistrzowie i sporo innych osób. Ale umiejętność, którą zademonstrował Ivarl - ta poświata otaczająca i jego, i Tannarla, te iskry - o czymś takim Edeard nigdy przedtem nie słyszał. A jednak nie był całkiem zaskoczony. Po ostatniej nocy, którą spędził z Ranalee.

Jak wszystkie córki Wielkich Rodzin, Ranalee była śliczna. Miała opadające do połowy pleców kruczoczarne włosy, które szcnotkowała każdego dnia - a w zasadzie robiły to pokojówki. Twarz miała pociągłą, oczy wąskie i uroczy nosek. Bardzo miłe cechy, choć zestawione razem sprawiały wrażenie chłodu. Miał wrażenie, że to odwieczny rys makkathrańskiej arystokracji: im bogatsza i bardziej wpływowa rodzina, tym mniej radości gościło w jej życiu. Ranalee okazała się jednak diabelnie cudowna w łóżku; przez parę ostatnich tygodni uciekała się do bardzo podniecających manewrów, by odsunąć Kristianę. Zdecydowana, zaborcza, i tym bardziej namiętna.

Edeard nie oponował, gdy oznajmiła, że weekend spędzą w należącym do rodziny domku na Iguru. Zazdrośni Macsen i Boyd życzyli mu powodzenia. Potem zastanawiał się, czy nie były to życzenia prorocze.

Domek był dziełem sztuki. Zbudowany z rzeźbionych bali, ozdobiony z wyśmienitym gustem, jaki można było dostać tylko za pieniądze Gilmornów. Podobała mu się ta przytulna budowla; to kontrast z nieludzką architekturą miasta. „Prawie nikogo” ze

sobą nie wzięli - tak określiła Ranalee pięciu służących, którzy mieli zaspokajać jej kaprysy. W nocy odprawiła wszystkich do służbówek.

- Poza zasięgiem ich dalwzroku, bo nie będziemy w stanie utrzymywać naszej niewidki - wyjaśniła zmysłowo.

Zaprowadziła go do głównej sypialni z olbrzymim, tradycyjnym łóżkiem, które miało normalną ramę i sprężynowy materac z pierza. Od pobytu w Plax nie spałem na czymś takim, uświadomił sobie, czule wspominając Franlee. Ranalee kazała na siebie czekać - wkładała wykwinną bieliznę od najznamienitszych projektantów. Nigdy przedtem tak wielkich pieniędzy nie wydano w tak niesłychanie sensowny sposób, pomyślał Edeard. Wino i ten widok. To go niesamowicie podnieciło. Ranalee bezwzględnie wykorzystała swoją seksualność. Słodziutka Franlee byłaby zbulwersowana jej zachowaniem.

- Podoba mi się, że jesteś tak otwarty - powiedziała Ranalee, gdy leżeli obok siebie w pachnącej lawendą pościeli.

Edeard odkrył, że Ranalee nie należy do kobiet, które lubiły się przytulać po. Z kątów pokoju sączyło się łagodne żółte światło kandelabrow i Edeard widział, jak dziewczyna patrzy na haftowany baldachim nieobecny wzrokiem. Jej twarz wyrażała satysfakcję.

- Na każdym poziomie - dodała.

- Tak - odparł, niezbyt pewien, co miała na myśli.

- Mam dla ciebie propozycję. Na pewno Kristiana i inne dziewczyny już ci to mówiły, ale ja mam lepsze od nich kontakty i możliwości. A poza tym nie byłbyś całkowicie zależny od pieniędzy Gilmornów. Przypuszczam, że dla osoby takiej jak ty to bardzo ważne.

- Hm, co to za propozycja? - Edeard ciągle wspominał ostatnie godziny. Nigdy przedtem nie miał tak intensywnych doznań. Partnerka domagała się od niego pełnego oddania i sama też tak reagowała. Upojna radość całkowicie nim zafascynowała, pragnął, by trwała wiecznie.

Ranalee odwróciła głowę i spojrzała na niego przenikliwie.

- Poślubię cię i załatwię cenne kontakty z tymi wszystkimi zdesperowanymi trzecimi i czwartymi córkami.

- Poślubisz? - wyrwało mu się. Znali się zaledwie od paru tygodni.

- Tak, jestem drugą córką, rozumiesz.

- Noo, tak. To mi bardzo pochlebia, Ranalee, ale nie jestem pewien, noo... czego chcę.

- Najwyższy czas, żebyś poważnie zaczął o tym myśleć. Masz teraz dużą wartość i powinieneś ją skapitalizować.

Czyżby Edeard się przesłyszał?

- Skapitalizować?

- Spójrz prawdzie w oczy: choć jesteś osobą bardzo popularną i interesującą, nigdy nie zostaniesz burmistrzem.

- Dlaczego nie? - Był oburzony.

Ranalee zaśmiała się.

- Bo nie jesteś jednym z nas. Nie należysz do Wielkiej Rodziny.

- Przecież burmistrza wybiera miasto.

- Droga Pani, chyba żartujesz.

- Mogę awansować na stanowisko Głównego Konstabla, a jako członek Wysokiej Rady będę mógł wysunąć swoją kandydaturę.

- Z poparciem naszej rodziny mógłbyś prawdopodobnie zająć aż tak daleko. Ale kiedy to Główny Konstabl został burmistrzem?

- Nie wiem - przyznał.

- Nigdy.

- O!

- Więc nie bądź naiwny. Chodzi mi o przyszłość.

- Jasne. - Zabolalo go to: kpiono z niego, że nie jest w stanie osiągnąć wszystkiego dzięki swoim zaletom. - Na czym polega propozycja?

- Powiedziała ci. Będę twoim portierem.

- Co?... Nic z tego nie rozumiem.

Odwróciła się na bok i dotknęła go między nogami.

- Wykorzystaj swój potencjał. Rodziny naprawdę sobie to cenią. Dokładniej mówiąc, to... - Palce o długich paznokciach zamknęły się na bardzo wrażliwym miejscu.

- Potencjał?

- O, Pani, ale z ciebie ignorant. Nawet sobie z tego nie zdajesz sprawy. Jak sądzisz, w jaki sposób rodziny zdobyły obecną pozycję?

- Miały szczęście. Znalazły się w odpowiednim miejscu we właściwym momencie historii. Częściowo to zasługa ciężkiej pracy, dotyczy to zwłaszcza twojej rodziny. Twój przodek podjął wielkie ryzyko, wyruszył statkami szukać nowych rynków.

- Brednie. Chodzi o rasowość.

- Właśnie.

- Wątpisz w to? Rodziny najbardziej cenią sobie silne zdolności paranormalne. Używamy ich, żeby zachować swoją pozycję. Dalwzrok, żeby wiedzieć, co planują nasi rywale za mgłą niewidki; trzecia ręka na tyle silna, żebyśmy się mogli obronić. I inne drobne użyteczne talenty. Te cechy cenimy sobie najbardziej u partnera. Każdy ród to pielęgnuje. A teraz ty wychodzisz z dziczy i wkraczasz do miasta. Prosty wiejski chłopak, a siłę masz większą od dziesięciu synów rodziny razem wziętych. Chcemy cię, Stąpający po Wodzie. Chcemy tego, co tu jest. - Mocniej zacisnęła palce.

Poczuł na mosznie ostre paznokcie. Znieruchomiał. Dziewczyna doprowadziła go na granicę bólu. Oblizwał wargi.

- Tak, teraz rozumiem.

- Zuch. Więc ślub - rzekła z uśmiechem i przeciągnęła się zalotnie. Mruczący głos rozbrzmiewał echem w czaszce Edearda.

- Bierz to wspaniałe ciało, kiedy tylko zapragniesz, i tak, jak zapragniesz. Przekonałeś się już, jakie to fantastyczne. Oferuję wszystko, o czym marzą mężczyźni. Prawda? - Drażniła się z nim, rzucała mu wyzwanie.

- Tak. - Nie potrafił skłamać. Ten chropawy głos podniecał go przez całą noc. Przemawiał bezpośrednio do zwierzęcia, które tkwiło w nim gdzieś głęboko, i budził bezwstydne żądze. To ona podsuwała mu sugestywne, ekstatyczne myśli o tym, jak niegrzecznie mogą być ich ciała. Płonął podnieceniem, wyobrażając sobie, że przez resztę życia mogłaby tak wyglądać



każda noc. Dla tej wizji gotów był walczyć ze wszystkimi bandytami na Querencii.

- Oddam ci się - obiecała potulnie. - Będziesz miał ze mną mnóstwo ślicznych dziewczynek. Będą biegały po pałacu i pływały się w luksusie. Dadzą ci masę szczęścia, a ty oczyścisz miasto z mętów i awansujesz na Głównego Konstabla. I to z dnia na dzień - kusiała.

- A nocą?

Jej uśmiech złagodniał. Nieco poluźniła uścisk. Ustami niemal przywarła mu do ucha.

- Sprowadzę ci do łóżka mnóstwo młodszych córek. - Ręka Ranalee pełzła po twardym członku. Edeard uśmiechał się błogo: dzięki swej męskości osiągnie tyle satysfakcji. - Każda będzie pragnęła mieć z tobą córkę. Zapłacą ci za twoje spełnienie. I to wielokrotnie.

- Tak - jęknął.

- Piękne dziewczyny. Młode. Dziewczęta jak Kristiana wydane za mąż za miernoty z klasy kupców lub z milicji.... naszych kuzynów ze wsi. Będą miały córki, które poślubią kolejne pokolenie pierwszych synów. Każda rodzina będzie je witała z entuzjazmem. - Wessała policzki, robiąc zamyśloną, a równocześnie figlarną minę. - Może uda mi się wynegocjować jakiś procent od posagu, jako część twojej zapłaty za rozplód.

Edearda nagle zaczął nękać obraz pani Florrel i musiało się to niechcący wydostać na zewnątrz. Ranalee się zaśmiała.

- Ona! Tak, dlatego cieszyła się takim wzięciem. Ma fantastycznie silne zdolności paranormalne. Pochodzę od niej w czwartym pokoleniu. I nie zapominaj o Rahu.

- Rah!

- A jak sądzisz, dlaczego wszystkie Wielkie Rodziny twierdzą, że od niego pochodzą? My od niego pochodzimy. Trzecia ręka tak silna, że może się przebić przez kryształowe mury miasta. Każdy by tak chciał!

- Nie wiedziałem o tym - powiedział łagodnie. Wszystko układało się w bardzo logiczną całość, kiedy mu to odpowiednio przedstawiono.

- Za trzy pokolenia twoi potomkowie będą rządzić Makkathranem. To niecałe sto lat. A wtedy, Stąpający po Wodzie, staniesz się królem pod każdym względem, choć nie będziesz się tak nazywał. Pomyśl tylko, co możesz osiągnąć, mając taką władzę.

- Złamię ich - oznajmił pełen zapału teraz, gdy otworzyła mu oczy na tyle nowych możliwości. - Zniszczę gangi. Miasto odzyska to, co straciło od czasu Rah. Władcy Niebios powrócą i wyprowadzą nas na Morze Odyna.

- Podążę z tobą.

- Tak, razem!

- Tak jak tej nocy, zawsze będę z tobą. Ślubuję działać dla dobra sprawy. Twoja przyjemność nigdy się nie skończy. - Uniosła się nad nim. W łagodnym blasku świec jej twarz płonęła triumfem. - Teraz świętuj nasz związek.

Umysł Edearda zupełnie nie potrafił się skoncentrować, gdy ciało uległo jej żądaniom. Zatracił się między ekstazą a szaleństwem.

- Dziś w nocy dasz mi naszą pierwszą córkę - rzekła Ranalee.

Edeard się zaśmiał.

- Miejmy nadzieję, że to córka. - Z oczu płynęły mu łzy radości.

- Tak. Wszystkie będą córkami. Każda dziewczyna wie, jak.

- Jak?

- Jak pozbyć się kłopotu. Muszą być dziewczynki.

- Ale chłopcy...

- Żadnych chłopców. Są bezwartościowi. Rodziny uznają pierworództwo, z wyjątkiem wyrzutków takich jak Culveritowie. Więc twoje córki mogą poślubić kogoś bezpośrednio z głównej linii rodziny.

- Co takiego? - Myśli kłębiły mu się w głowie, gdy przerażenie zatruwało przyjemność fizyczną. - Co?

- Embriony nie są ludźmi - nuciła. - Przynajmniej na etapie, gdy płeć właśnie staje się określona. To dla mnie żaden dyskomfort. Nie myśl o tym więcej.

- Co takiego? Nie!

- Odpnęź się, mój piękny, silny Stąpający po Wodzie. Rób to, co robisz najlepiej.

- Nie! - krzyknął Edeard. Czuł się przyduszony, ledwo łapał powietrze w tym potoku grozy. - Nie, nie, nie. - Pchnął. Z całej siły. Pchnął trzecią ręką. Odepchnął się od tej niegodziwości.

Ranalee była zszokowana. Odleciała w bok. Edeard mocno dyszał, usiłował strząsnąć miazmaty ze swoich myśli. Jakby otrząsał się z sennego koszmaru. Serce jęczało mu w piersiach. Rozglądał się gorączkowo wokół - zobaczył Ranalee rozciągniętą na dywanie w nogach łóżka. Wyglądała niebezpiecznie: miała potargane włosy i warczała, gdy, wstając, patrzyła prosto na Edearda.

- Co się stało? - dyszał, ciągle pełen strachu. Ledwo potrafił opanować popęd, by przewrócić Ranalee na łóżko i wziąć ją. I panować nad Makkadiranem przez swoją progeniturę.

- Uwalniam cię - warknęła.

Jej głos rozbrzmiewał wewnątrz jego głowy. Edeard jęknął - tak intensywny był to dźwięk. Zakrył uszy dłońią.

- Pokażę ci twoje prawdziwe pragnienia. Idź za mną. Wyzwól się.

- Przestań - błagał. Zwinął się w kłębek, starał się pokonać swoją własną zdradę, z pragnieniem, by w przyszłość podążać za Ranalee.

- Zahamowania - to nie dla ludzi naszego pokroju. We krwi masz siłę, podobnie jak ja. Tylko pomyśl, co możemy razem osiągnąć. Uwierz w nas! - wrzasnęła.

Rozkaz wydano z taką siłą, że Edeard omal nie spadł z materaca. Umysł miał jasny i ostry. W końcu zdał sobie sprawę, że toczy bój nie z głosem Ranalee. Ona w jakiś sposób przemawiała bezpośrednio w jego umyśle. Podstępna, sugestywna dalmowa zniekształciła jego własne myśli, zmusiła do posłuszeństwa wobec jej woli; Edeard czuł się tak, jakby był tylko genistarem, któremu każą sprzątnąć obornik. Zacisnął zęby i skoncentrował się: wydał rozkaz trzeciej ręce, żeby zacisnęła się wokół niego, opancerzyła go i odparła dalmowę.

- Słuchaj mnie! - domagała się Ranalee.

Widział, że jej usta nadal się poruszają, a głos przygasa. Edeardowi udało się zjednoczyć wszystkie poznane triki osłaniania emocji, co wzmocnił telekinezą. Przysiadł w kucki na materacu; nic nie słyszał, nic nie czuł. Był odizolowany.

Ranalee patrzyła na niego wściekle. Gdy nerwy mu się uspokoiły, również spojrział na nią z wściekłością. Ręce mu się trzęsły, tak był zszokowany i przerażony.

- Ty - nabrał powietrza - próbowałaś... chciałaś... o, słodka Pani.  
- Pomyślał o tym, czego przed chwilą udało mu się uniknąć, i znów po krzyżu przebiegł mu dreszcz.

Ranalee patrzyła na niego z pogardą. Coś powiedziała.

Edeard ostrożnie przepuścił jej głos przez zasłonę stworzoną przez trzecią rękę, Ale nie jej dalmowę. Na Panią, tylko nie to! To kompletnie zablokował.

- Co?

- Ty głupi, żałosny kmiaciu.

- Suka - parsknął.

Jej pogarda osiągnęła apogeum.

- Uważasz, że to nie ty? Uważasz, że jesteś szlachetny i uprzejmy? Wiesz, jak działa dominacja? Szarpie prawdziwe struny serca. A ja jestem mistrzem melodii namiętności. Rozgrywam mężczyzn, są takimi prostakami. Potrafię poznać, co się w nich czai. Wszyscy jesteście sterowani przez własne ego i żądze, prawdziwe cechy płynące we krwi. Oferowałam ci tylko to, co było w tobie. Dałam ci szansę, by z ziarenka wykiełkowała twoja prawdziwa natura.

- Ja nie jestem taki.

- Ile dziewcząt z arystokracji wzięłaś do łóżka? Bardzo szybko temu uległaś. Ile miesięcy ty i twoi żałośni koledzy knuliście w jakiejś podłej tawernie, jak zlikwidować gangi i otworzyć ci drogę do stanowiska Głównego Konstabla? Ja ci właśnie to proponuję. Nie tak, jak to jest w twoich naiwnych mrzonkach. Ja mogę dać ci to naprawdę. Dorośnij, Stąpający po Wodzie. Twoje domniemane zalety same nie przywiodą cię do władzy, bo w końcu przecież władzy pożądasz. Władzy, by ukształtować miasto zgodnie ze swoją wizją. Mam chyba rację?

- Tak - wymamrotał. - Miasto uczciwe. Gdzie ludzi nie płodzi się dla korzyści i zysku.

- Czasami trzeba zrobić coś złego, żeby zrobić coś dobrego.

Patrzył na nią zdumiony.

- A więc i ty słyszałeś to porzekadło? Wiesz, kto to powiedział? Sam Rah, gdy zdobywał mury Makkathranu. Wiedział, że tylko wewnątrz miasta ludzie znajdą azyl przed chaosem, wylewającym się ze statków, które nas tu przywiozły. Więc dał nam miasto. Wziął miasto i w ten sposób dał nam porządek i stabilność, które przetrwały dwa tysiące lat.

- Nie. - Edeard pokręcił głową. - Ja nie... dzieci nie powinno się rodzić z tego powodu. Powinny być kochane dla samych siebie.

- Będą kochane. A nasze dodatkowo będą przeznaczone do wielkości.

- To nie jest w porządku.

- Doprawdy? A gdybyś poślubił tylko jedną dziewczynę, słodką istotę, która będzie cię bardzo kochała, jak to bywa w waszych zapyziałych wsiach? Co czeka dzieci Stąpającego po Wodzie, jak sądzisz? Ja. Tak. Ja i wszyscy inni tacy jak ja. Im mniej dzieci będziesz miał, tym będą cenniejsze. Chłopców uwiodą córki arystokracji, a nasi pierwsi synowie wezmą sobie za żony dziewczęta i będą się z nimi afiszować. Będzie z tego wspianiała rozrywka. I tak zyskamy siłę twojej krwi.

- Nie, w ten sposób nie zyskacie.

Odrzuciła głowę do tyłu z prawdziwie arystokratyczną pogardą.

- Mógłbyś wiele osiągnąć, Stąpający po Wodzie. Jeśli Makkathran ma być przekształcony zgodnie z twoją wizją, to musiałyby się niesamowicie zmienić. Ja się temu nie sprzeciwiam, bo ja będę w awangardzie zmian. Ale radykalne zmiany muszą wyjść od wewnątrz. Teraz wiesz, jak do tego doprowadzić: twoja krew musi się rozprzestrzenić, a wraz z nią twoja wola.

- Mogę dokonać zmian ze swojej obecnej pozycji.

- Nie - odparła ostro. - Zmiana narzucona przez outsidera to groźba zewnętrzna, to połączy cały Makkathran. Rodziny, również zwykli ludzie, nawet gangsterzy zjednoczą się, żeby cię pokonać.

- Tamci chcą mojego zwycięstwa. Chcą, żebym zlikwidował gangi i korupcję, żeby nastąpiła prosperity.

- Zniszczyć gangi, tylko na tym im zależy. Nie uda ci się tego dokonać bez pomocy ze strony panującego systemu. Gangi są zbyt mocno wplecione w tkankę miasta, niełatwo je wykorzenić. Rady i Gildie nie pomogą ci, jeśli w pełni ich nie poprzysz. Nie masz wyboru. Twoja podświadomość zdaje sobie z tego sprawę. Dziś w nocy widziałam każdą twoją nawet najśłabszą myśl.

- A więc za twoim pośrednictwem jest najłatwiej?

Ranalee przebiegła lubieżnym wzrokiem po jego nagim ciele.

- Ujawniłeś żądze... nie tylko władzy. W końcu wszyscy mężczyźni są tacy sami. Dało mi to dużo przyjemności, tak jak i tobie.

- Nie chcę grać z tobą w tę grę.

- Idiota - westchnęła z odrazą i wyciągnęła rękę. Trzecią ręką wyłowiła z szafy długi szlafrok, który ku niej poszybował. - W takim razie nie będziemy mieli dzieci, które odziedziczą po tobie inteligencję.

Edeard zszedł z łóżka. Był nieznośnie znużony. Czuł również niesmak w stosunku do samego siebie, ponieważ wiedział, że autentyczne było to, czego doświadczył w nocy: podstępna siła Ranalee rozpętała w nim to, co miał w głębi.

- Może jest już za późno - szdyziła. Znalazł swoją bieliznę.

- Co masz na myśli? Poklepała się po brzuchu.

- Jestem w odpowiedniej fazie cyklu, a ty odpowiednio się postarałeś. Będę bardzo dobrą matką. Zachowam je, nawet gdyby to był chłopiec. Minie dziesięć lat i będzie mógł się rozmnażać. Będzie twoim rywalem. - Uśmiechnęła się, żeby go jeszcze bardziej zranić.

Edeardowi załomotało serce. W torbie podróżnej miał fiolkę z sokiem vinaku. Tak się śpieszył z Ranalee do sypialni, że nie zażył specyfiku. Nie dała mu czasu. Ukartowała to, teraz miał pewność.

Głupiec! Ona ma rację, jesteś tylko zacofanym kmiotkiem!

Ranalee zauważyła jego niepokój i roześmiała się.

Edeard złapał ją trzecią ręką i wrzucił na baldachim nad łóżkiem. Oczy wyszły jej na wierzch, gdy przekonała się, że nie

może oddychać. Pod baldachimem Edeard niespiesznie wkładał koszulę, nie patrząc w górę.

- Ja nie mam twojej umiejętności zabijania nienarodzonych - powiedział spokojnie. - Więc będę cię musiał wyeliminować, żeby mieć pewność, że on się nigdy nie narodzi i nie będzie żył tak, jak ty mu to zaplanowałaś. Albo ona. - Lekko zwolnił uścisk i Ranalee zaczerpnęła łyk bezcennego powietrza.

- Jesteś za słaby - syknęła z furją.

- Czasami musisz zrobić coś złego, żeby zrobić coś dobrego. - Puścił ją.

Ciężko upadła na wielkie łóżko i odbiła się od materaca. Rozejrzała się i zobaczyła nachylonego nad nią Edearda. Wzdrygnęła się, widząc wyraz jego twarzy i barwę jego myśli.

- Nigdy nie powinnaś tak beztrwosko mówić o śmierci i zabijaniu. Nie tym z nas, którzy zabijali i będą jeszcze zabijać.

- Umrzesz w samotności, a twoje marzenia spalą na panewce - odparła wyzywająco.

- Jeśli będziesz w ciąży, masz mnie powiadomić, a ja sam wychowam dziecko. - Włożył buty i odszedł w noc, zostawiając torbę, a w niej skarpetki.

Wracał pieszo do Makkathranu. Czuł się podle. Za towarzystwo miał tylko samego siebie i musiał zmierzyć się z cechami swojej osobowości, które niezbyt lubił. Od nowa, wielokrotnie zastanawiał się nad propozycją Ranalee. A jeśli rzeczywiście miała rację, że niemożliwe jest zniszczenie gangów z Makkathranu? O, Pani, czy o takiej propozycji wspominał Finitan? Niemożliwe. Niemożliwe.

Jakże mu teraz brakowało mądrości Akeema. Chciałby zadać staremu mistrzowi jedno ostatnie pytanie. Wyobraził sobie jego łagodną starą twarz, wyobraził sobie, że mistrz kręci głową w charakterystyczny sposób wyrażający konsternację z powodu nagminnych wybryków nowicjuszy, jakby mówił: znasz już odpowiedź.

Zaczęło świtać i Edeard ubłagał farmera, jadącego wozem na rynek, by go podwiózł. Wtedy podjął postanowienie: zmierzy się

z Ivarlem i gangami na swoich własnych warunkach. W ten sposób odniósł zwycięstwo nad mroczną naturą swej duszy.

Teraz, gdy patrzył w jasno oświetlony, zdawałoby się bezkresny tunel pod miastem, wiedział, że czeka go inna, długa i samotna wędrówka do domu.

- Naprawdę muszę zdobyć pomoc, żeby załatwić tych drani - postanowił znużony.

Ani tunel, ani miasto mu nie odpowiedziały. Wzruszył ramionami i wstał. Nie było to tak bolesne jak ostatnim razem. Spojrzał w jedną stronę, potem w drugą. Absolutnie żadnej różnicy. W obu kierunkach tunel ciągnął się w nieskończoność. I teraz do Edearda dotarła cisza. Głęboka jak wówczas, gdy zakrył się trzecią ręką, chroniąc się przed głosem Ranalee.

„Talenty”, powiedziała, „drobne użyteczne talenty”. Liczba mnoga. Ivarl i Tannarl potrafili wygenerować płynne światło - Edeard nigdy przedtem o czymś takim nie słyszał. I pomyśleć tylko, że kiedy prowadził Arminela przed oblicze sprawiedliwości, uważał się za niezwykłego. Ciekawe, ile jeszcze podłych niespodzianek czai się wśród rodzin arystokracji? - pomyślał.

Sondował wokół dalwzrokiem, próbując się zorientować, gdzie jest. Tunel leżał bardzo głęboko. Edeard zbadał strukturę sufitu. Szukał jakiejś wskazówki. Z której strony tu wpadł? Makkathran znów sam się zmodyfikował, żeby go tu przepuścić, ale Edeard nie mógł odkryć żadnej rysy w jednolitej warstwie. Skoncentrował się. Miał wrażenie, że coś dostrzega. Cofającym się dalwzrokiem odnalazł obraz samego siebie tkwiącego w miejskiej tkance. Spadał, szaleńczo machał rękoma, a za jego płaszczem ciągnął się dym. Edeard przyglądał się uważnie temu obrazowi, i obraz przesunął się powoli. Gdy spojrział wyżej, miał wrażenie, że obraz się unosi, sunąc za punktem ogniskowania się jego wzroku. Gdy zmieniał perspektywę, obraz robił to samo. Pamięć. Miasto mnie pamięta. Sprawilo mu to przyjemność.

Prześledził trasę do miejsca, gdzie obraz spadł z dachu tunelu. Rozbawił go widok własnej osoby, lądującej płasko na podłodze. Nie dowiedział się jednak, jaką drogą ma iść. Zlokalizował



natomiast w górze Dom Błękitnych Płatków. Dotarł do spokojnych myśli miasta i rzutował obraz ulicy Transal w Jeavons, gdzie zawsze wykorzystywał nieużywaną piwnicę, gdy chciał zejść do tuneli kanałowych. Czy pamiętasz, jak się tam dostać? - spytał.

Nie było żadnych obrazów, ale tego częściowo się spodziewał. Potem rozpaczliwie próbował znaleźć oparcie dla stóp, ponieważ tunel zaczął się przechylać. Podłoga przesuwiała się ze straszną prędkością i Edeard upadł na plecy. Ześlizgiwał się po gładkiej powierzchni, nabierał prędkości, bo zwiększało się nachylenie stoku. Teraz miało już ponad czterdzieści pięć stopni i rosło. Przed oczami migąła mu nieskończona linia czerwonych świateł. Instynktownie wiedział, co się za chwilę stanie, choć było to w najwyższym stopniu nieprawdopodobne. Jak to możliwe, że tunel się przechyla?

Żadnej odpowiedzi. Jedynym dźwiękiem był krzyk Edearda, który teraz leciał pionowym szybem.

Przestał wrzeszczeć, bo zaparło mu dech, bo choć zawsze spadał do tuneli kanałów, to nigdy wcześniej z aż taką prędkością. Może jeśli zamknie oczy...

Pośpiesznie otworzył oczy. To było zbyt intensywne. Musiał skoordynować to, co widział, z tym, co odczuwało jego ciało. Czerwone światła stanowiły teraz rozmazaną jednolitą smugę. Doświadczał georlej wolności! Odnoga tunelu tylko śmignęła Edeardowi przed oczami. Przerażony, gwałtownie odetchnął. Zanim się zorientował, dokąd ta odnoga prowadzi, już mijał następną. Zaśmiał się niepewnie. To niesamowite! Jeszcze nikt nigdy tak nie podróżował. Tej nocy został królem miasta, a Honious niech weźmie Ranalee, Ivarla i całą tę bandę. Bo to oni na prawdę nic nie wiedzą.

Tylko raz Edeard przeżył autentycznie straszną chwilę: ta nieznaną, prowadząca go siła wykręciła mu ciało w taki sposób, by nie ocierał się o ściany, i na jednym z rozwidleń gwałtownie wyrzuciła w tunel boczny. Ale teraz niczym się nie przejmował: gdyby miasto chciało, żeby umarł, już dawno dołączyłby do Akeema w Morzu Odyna.

Przekręcił się i dość długo jechał na pośladkach. Wreszcie tunel wrócił do poziomu i narowista podróż się skończyła. Spojrzał w górę - jego dalwzrok przepłynął przez lity sufit, który zmienił się w niesamowity, a teraz jakże znajomy sposób, i Edeard spadł w górę. Otoczyła go ciemność i minutę później wyskoczył w chłodne powietrze i słabe pomarańczowe światło tunelu pod Kanałem Marmurowym.

Natychmiast ogarnęło go przygnębienie. Wracał na ulice miasta i znów niezwykle wyraźnie widział swoją porażkę. Nie mógł nikomu nic powiedzieć, nie mógł się do nikogo zwrócić. Gorzej: nie wiedział, jaki powinien być jego następny krok.

Może powinienem po prostu dać sobie spokój. Wyjechać do Ufford i razem z Salraną żyć sobie szczęśliwie na wsi, tam, gdzie jest nasze miejsce.

Kusząca perspektywa. Ale jeśli nie przeciwstawi się gangom, ludziom takim jak Ranalee i jej rodzina, to nic się nigdy nie zmieni. I w końcu degrengolada miasta pociągnie za sobą upadek wsi. Jego dzieci będą miały problem, i to znacznie poważniejszy.

Westchnął i ruszył do domu.

\*\*\*

Następny dzień spędził w swoim mieszkaniu. Dalrozmawiał z Dinlayem na posterunku, powiedział mu, że jest przeziębiony. Był to ósmy dzień procesu Liana, ale Edeard już wcześniej występował jako świadek. Oskarżyciel go nie potrzebował. Dinlay życzył mu powrotu do zdrowia.

Jedną z gemałp Edeard wysłał do lekarza po kojące maści. Posmarował sobie poparzoną skórę. Potem usprawiedliwił się przed Jessile: niech nie przychodzi do niego dziś wieczór, bo nie chce jej zarazić. Bardzo mu współczuła i przez swojego domowego kucharza przesłała mu rosół z kury i inne smakołyki.

Edeard chciał odpocząć parę dni i przemyśleć następne posunięcia. Bardzo potrzebował rozmowy z Wielkim Mistrzem Finitanem. Potem, drugiego dnia, w porze obiadowej dalrozmawiał z Kanseen.

\*\*\*

Dzielnica Cobara zawsze mu się podobała. W odróżnieniu od pozostałych rejonów miasta, nie poprowadzono w niej ulic, lecz wzniesiono setkę trzypiętrowych wież, a każda ich kondygnacja mogła pomieścić mieszkanie jednorodzinne. Ale dopiero tam w górze architektura wspinała się na szczyty: między wieżami rozpięto szerokie mosty; większość wież podpierała co najmniej trzy takie mosty, one zaś tworzyły podwieszoną wielokątną strukturę. Trójkąty, kwadraty, pięciokąty, sześciokąty. Nad łagodnymi łukami mostów wyrastała prawdziwa dzielnica mieszkaniowa, w samym jej centrum mosty tworzyły dwunastokąt słynnej Fontanny Rafaela, mieszczący Gildie Artystów, Botaników i Kartografów. Fontanna tryskała z wielkiego basenu pośrodku dwunastokąta, a spieniona woda na szczycie sięgała ponad łukowe kryształowe dachy.

Edeard minął bijące wściekle strumienie wody. Trzecią ręką opędzał się od kłujących, zimnych rozbryzgów. Szczelnie owinał się w obramowaną futrem pelerynę, czarną uszankę naciągnął na głowę i rdzawym szalikiem zasłonił usta. Ludzie nie mogli go rozpoznać przez mgiełkę niewidki, ale Edeard wiedział, że po łożnianym niebie georzeł podąża w ślad za nim.

Za fontanną skręcił w lewo. Zmierzał do wieży Millagal o murach w czerwono - niebieskie pasy, pokrytych siecią bezlistnych gałęzi gurkwina. Zespoły gemałp czyściły z ostatniej śniegowej brei plac, biegnący przez całą dzielnicę, w gęstym cieniu domów. W zimie Cobara miała w sobie coś z miasta podziemnego, bo poprzez skomplikowaną płataninę budynków na dół docierały tylko bladawe snopy światła. Latem plac był pełen ludzi, straganów, artystów ulicznych i bawiących się dzieci. Dziś wszyscy kulili się przy domowych piecach, narzekając, że wiosna przychodzi tak późno.

Edeard, ciągle w ponurym nastroju, cieszył się, że widzi tu niewielu przechodniów. Zatrzymał się u podstawy wieży Yolon i wszedł przez szeroką, zwieńczoną łukiem bramę. W niezadaszonym szybie poprowadzono masywne, spiralne schody. Chrząknął niezadowolony na ich widok: zakrzywione

stopnie zupełnie nie pasowały do ludzkich stóp. Wspinając się na górę - a łydki go bolały - postanowił, że pewnego dnia zmieni kształt wszystkich cholernych schodów w tym mieście. I pal sześć ostrożność, nic go nie obchodzi, że ludzie się o tym dowiedzą.

Krużganki trzech mostów rozchodziły się promieniście ze szczytu schodów. Edeard wszedł na Kimvulę i od razu poprawił mu się humor na widok panującej tu na górze krzątaniny. Krużganek był stosunkowo wąski w porównaniu z wysokimi murami po obu stronach - pięć poziomów łuków i okien wykuszowych. A jednak znaleziono miejsce na stragany. Przechodząc obok stoisk, Edeard odwinął szalik, bo wewnątrz krużganka było ciepło, zimowe słońce przeświecało przez kryształowy dach i miało domieszkę różu. Ludzie stali wokół straganów i targowali się z kupcami. Bardzo suche powietrze pachniało przyprawami. Ktoś prażył miodówki.

W jednej trzeciej krużganku Edeard skręcił w wąski korytarz, prowadzący do kolejnych spiralnych schodów. Sapiąc, wszedł mozolnie trzy piętra wyżej. Korytarz na tym poziomie oświetlało pomarańczowe światło miasta, promieniujące z kół umieszczonych nad każdymi drzwiami. Znalazł czerwone drzwi o skrzydełkowych zawiasach pomalowanych na fioletowo i zapukał uprzejmie, choć przecież za ścianą wyczuwał obecność umysłów.

Drzwi otworzył Dybal. Stary muzyk wyraźnie był nie w sosie. Choć włożył jaskrawą koszulę, a włosy uczesał w nienaganne warkoczyki, to zupełnie nie tryskał humorem.

- Dziękuję, że przyszedłeś - powiedział. Zwężonymi oczyma przyglądał się plamistej, różowej twarzy Edearda. - Dobrze się czujesz? Wyglądasz jak poparzony.

- Nic mi nie jest. Miałem tylko wypadek.

- To dziwne. W tym tygodniu po raz drugi słyszę o wypadku. Dwie noce temu w Domu Błękitnych Płatków wybuchł pożar. Nie powinienes się tam pojawiać, Edeardzie. Przez ten przybytek wielu biednych chłopców popadło w ruinę.

- Dzięki za ostrzeżenie.

Edearda zaproszono do salonu z oknem wykuszowym, z którego rozciągał się widok na pięciokątną przestrzeń. Poniżej rosły wielkie orzechogruchy w rynnach schodzących łukami z placu. Pozbawione liści gałęzie białeły w cieniu budowli.

Reszta drużyny już tam była. Boyd i Dinlay z zatroskanymi minami stali przy żelaznym piecu węglowym. Kanseen krzątała się przy samowarze. Swoje myśli ekranowała, jak zawsze. Macsen klęczał na podłodze przy fotelu, w którym siedziała Bijulee, obejmując nogi matki. Widać było, że matka płakała przed chwilą, ale teraz wycierała chusteczką twarz i próbowała się dzielnie uśmiechnąć.

Edeard z niepokojem dostrzegł siniak ciemniejący pod okiem Bijulee.

- Znałaś ich? - spytał. Opanowała go nagła wściekłość. Spojrzała czule na Edearda. Choć posiniaczona, nadal była piękna.

- Nie. Prosiłam ich, żeby cię nie wzywali. Nie chcę cię martwić.

- Mamo, to się stało z naszej winy - powiedział Macsen.

- Nie - stwierdziła stanowczo.

- Co oni ci zrobili? - Edeard widział, jak Macsen zaciska pięści.

- Nic. - Bijulee uśmiechnęła się do Kanseen, która podała jej kubek gorącej herbaty. - Dziękuję. To jakieś bandziory.

- Czterech - warknął Macsen. - Czterech bandziorów. - Spojrzał znacząco na Edearda.

- Powiedzieli mi, że akcja ma swoje konsekwencje. I że Macsen musi się pilnować. - Pogłaskała syna po głowie. - Powiedzieli, że masz sobie znaleźć inną pracę. Potem... - Wskazała swoje oko. - Nigdy nie przypuszczałam, że mi się to przydarzy. Mnie, osobie obytej w mieście?! Pani, jakaż byłam naiwna!

- Dranie! - warknął Macsen.

- Tchórze - stwierdził Dinlay.

- To wiedzieliśmy zawsze - zauważyła Kanseen.

- Pamiętasz, jak wyglądali? Możesz ich opisać? - spytał Edeard.

- Raczej nie. Pamięć mam zamazaną. Może jutro, kiedy się uspokoję.

- Rozumiem. Tak ci współczuję. Co ten Ivarl sobie myśli? Co chciał przez to osiągnąć? Proces potrwa jeszcze parę dni. Lian i

reszta dostaną długie wyroki w Trampello. Do czego chciał mnie zmusić?

- To nie twoja wina.

Macsen zacisnął zęby. Patrzył na matkę z troską i miłością.

- Czy ktoś to widział?

- Nie. Pobili mnie przed południem na rynku w Bellis. Były tam setki ludzi, ale nikt nic nie pamięta. Wszyscy najpierw zajmują się swoimi sprawami, a potem dopiero śpieszą na pomoc.

- Bardzo ci współczuję - powtórzył Edeard. Czuł bezsilność. - Zrobię wszystko, żeby się to nie powtórzyło.

Dybal uśmiechnął się do niego smętnie.

- Wiem o tym. Dobry z ciebie chłopak. Dziękuję. Doceniam to, co zrobiłeś. Ludzie potrzebują nadziei, zwłaszcza teraz. Szkoda, że działasz samotnie. A to duże miasto.

Drużyna szykowała się do wyjścia. Edearda zaniepokoiła otwarta wrogość Macsena. Z nich wszystkich to on był zwykle tym najbardziej trzeźwo myślącym.

- Czy mógłbym zamienić z tobą kilka słów? - spytał Dybala. Muzyk zaprosił go do pokoiku, w którym trzymał kilkanaście gitar i perkusję. Na biurku piętrzyły się kartki z nutami. Normalnie Edearda fascynowałyby te wszystkie instrumenty, ale teraz tylko westchnął niepewnie.

- Wiem, że to nie jest najbardziej odpowiedni czas. Dybal zdjął swoje niebieskie okulary i przetarł je rękawem.

- Pomogę ci, jak tylko będę mógł. Wiesz o tym, chłopcze. Jesteś ważny. Nie tylko dlatego, że jesteś przyjacielem Macsena.

- Dziękuję ci. Eee...

- Przekonasz się, że niewiele rzeczy potrafi mnie przestraszyć, jeśli to ci w czymś pomoże.

- Dobrze. Zastanawiam się, czy wiesz coś o dominowaniu dalmową. Dybal uniósł brew.

- Stara śpiewka zniewolonego żądzą? Lepiej, żebyś nie zadawał się z taką zołą, nawet gdyby była najpiękniejsza na świecie. Uwierz mi, to się na tobie odbije. A tak przy okazji, słyszałem, że wszystkie matki i córki w mieście tłoczą się w kolejce, żeby cię zaciągnąć do łóżka.

- Nie chcę już tego. I chcę, żeby przestano to wykorzystywać przeciwko mnie.

- Aha, rozumiem. Niektóre dziewczyny z arystokracji nie przyjmowały „nie” do wiadomości, co?

- Niestety, nie zawsze było to tak przyjemne.

Dybal bliżej przyjrzał się jego twarzy.

- Przykro mi to słyszeć. Najważniejsze, żebyś ściśle ekranował swój umysł. A to wielka szkoda, bo mam wrażenie, że zawsze jesteś bardziej otwarty niż my, urodzeni w mieście. Dzięki temu jesteś sympatyczny.

- Właśnie.

- Ta technika wykorzystuje nasze słabości. Nasze myśli zawsze muszą być częściowo ukryte. Zwykła przyzwoitość na ogół wystarcza do stłumienia tego rodzaju myśli, ale jeśli tylko zostaną pobudzone, trudno je z powrotem odsunąć.

- Wiem - przyznał Edeard żalonym tonem. Dybal chwycił go za ramię.

- Nie martw się. Posłuchaj, to nie hańba mieć takie myśli, wszyscy je miewamy. Jeśli jakaś mała jędza złamała twoją obronę i pewnej nocy potrafiła je rozpaścić, to otrzymałeś cenną naukę. A ponieważ tak bardzo cię to niepokoi, to znak, że te myśli nie są częścią twojej naturalnej osobowości. Nie wiem jak dla ciebie, ale dla mnie to dobry znak. Pokładam w tobie wiarę, że jesteś dość silny i przetrwasz kryzys sumienia. Ale na wszelki wypadek masz tu dar rozpoznania, powinien cię ostrzec, gdyby ktoś znowu próbował swoich sztuczek.

Edeard zanalizował napływ myśli, skierowany ku niemu przez Dybala. Zapamiętał tę technikę.

- Dziękuję.

- A teraz wracaj na ulice i skop dupę Ivarlowi i jego koleśiom.

\*\*\*

Drużyna wracała przez cztery dzielnice do Jeavons. Prawie wcale się do siebie nie odzywali. Edeard wiedział, że na posterunku dojdzie do scysji. Bez dwóch zdań, Macsen na pewno rozpocznie kłótnię. Sprawa Bijulee przelała czarę goryczy. A więc

Edeard musi coś zrobić. Coraz bardziej wyrzucał sobie, że nie miał dość zaufania do przyjaciół i nie powiedział im całej prawdy o tym, co odkrył. Jeśli w ciągu kilku następnych godzin wypadki się źle potoczą, to wszystkie jego dokonania pójdą na marne.

W małej salce zastali jeszcze kilku innych konstabli - ci od razu przeskanowali stłumione emocje drużyny i pośpiesznie wyszli, hałaśliwie zamykając za sobą grube drewniane drzwi. Edeard zmarszczył czoło - u kogoś adrenalina za bardzo napędzała trzecią rękę.

Odpiął przy szyi guzik płaszcza i usiadł na ławce na zwykłym miejscu w samym końcu sali.

- Moja matka! - wrzasnął Macsen.

- Taa.

- Co taa? Tylko tyle masz do powiedzenia.

- Myślałeś, że Ivarl nie będzie na nas naciskał?

- Naciskał? Pani, do cholery, moją matkę potraktowali jak worek do bicia. Moją matkę!

- W ten sposób próbują się do mnie dobrać - stwierdził Edeard ze spokojem. Ręka sama powędrowała mu do policzka i zaczęła skubać delikatne ciało. - Jesteście moimi jedynymi przyjaciółmi, tylko przez was można mnie zranić. Ivarl na pewno to wrednie wykorzysta.

- Tak - powiedziała Kanseen z takim smutkiem, że Edeard spojrział na nią pytająco. Wzruszyła ramionami. - W ubiegłym tygodniu dręczono moją siostrę. Wtedy była w ciąży z Diumem.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?! - krzyknął Edeard z wymówką w głosie.

- To prawdopodobnie kwestia zaufania - zauważył Macsen zjadliwie.

- Ależ!... - Edeard rozpostarł ramiona. - W imię Pani!

- Sądziliśmy, że jesteśmy razem. Edeardzie, przecież byliśmy z tobą przy Stawie Birmingham. Czy to dla ciebie nic nie znaczy?

- To dla mnie wszystko! - krzyknął. Był tak zrozpaczony, że nie potrafił się opanować.



Wszyscy się aż cofnęli, widząc, jak buchają z niego wątpliwości i rozterki. Zebrał się, zacisnął zęby, oparł dłonie na starym drewnianym stole. Patrzyli na niego zszokowani.

- Wybaczcie.

- Edeardzie, w imię Pani, co się dzieje? - spytał go Boyd błagalnie. - Co się stało z twoją twarzą? I dlaczego już z nami nie rozmawiasz?

- Nie ufał nam w sprawie magazynu w Myco, to dlaczego miałyby nam ufać w innych sprawach? - powiedział szorstko Macsen.

- Ale z ciebie dupek! - skarciła go Kanseen.

- Ufam wam - zapewnił ich Edeard i nawet dla niego zabrzmiało to jak oklepny frazes. - Poparzyłem się, kiedy podkradłem się do Domu Błękitnych Płatków. To wszystko. Wygląda to strasznie, ale nie jest tak źle.

- Sam tam poszedłeś? - Kanseen wyraźnie się to nie podobało. - Tak. Śledziłem Ivarla.

- To niebezpieczne - stwierdził Boyd. - Nie powinienesz robić tego na własną rękę.

Macsen prychnął pogardliwie.

- To Stąpający po Wodzie... wszystko może zrobić. Nie potrzebuje naszego wsparcia.

Edeard westchnął. Nie był przygotowany na taką reakcję.

- Rajd na magazyn był naszą najbardziej otwartą operacją. Ivarl zorganizował zasadzkę, chciał z nas... ze mnie zrobić pośmiewisko. Zniszczyć moją wiarygodność. Musiałem wam podrzucić zmyłkowe informacje, bo w akcję było zaangażowanych ponad stu konstabli, a nawet połowy z nich nie znaliśmy. Gdyby wszyscy znali prawdę, nigdy by się to nie udało.

- Nie jesteśmy „wszyscy” - warknął Macsen. - Jesteśmy twoimi przyjaciółmi, twoją drużyną. Tak mi się przynajmniej wydawało.

- Wyluzuj - powiedział Dinlay. - Zastosował rozsądną procedurę.

- No, spodziewałem się, że weźmiesz jego stronę.

- O co ci chodzi?

- Dajcie spokój - powiedział Edeard. - Skończmy z tym. Ivarl by się tylko z nas nabijał.

- Więc jego zdanie się dla ciebie liczy, a moje... co? - spytał Macsen. - Szkoda gadać. - To nie...

- Nie denerwuj się - przerwała mu Kanseen. - Jest po prostu wściekły.

- Serio? - prychnął Macsen. - A jak myślisz, dlaczego? Jestem członkiem tej cholernejszej drużyny, tego tak zwanego zespołu. Pokładałem w tobie wiarę, Edeardzie. Wiare. I to akurat ja! A jak ty to traktujesz? Wykorzystujesz nas jak cholera do wywindowania swojej pozycji. Stąpający po Wodzie znów ratuje sytuację. Wcisnąć kity.

- Nikogo nie wykorzystałem. Wszyscy braliśmy udział w tym nalocie. Dzięki mnie odegraliśmy istotną rolę. Czy wiedzieliście, że jest planowany napad? Wiedzieliście, gdzie ukryją platynę? Wiedzieliście, gdzie dokonają podmiany?

- Więc według ciebie... co? Nie jestem zbyt wiele wart, bo nie potrafię tak dobrze szpiegować jak ty? I nikt z nas, bo o to w tym wszystkim chodzi? Nawet Dinlay się wkurzył, że nas tak wysiadałeś.

- Wcale nie. - Dinlay zareagował tak szybko, że Edeard nawet nie spojrzał na twarz przyjaciela.

- Jeśli zależy ci tylko na bandzie konstabli, którzy wykonują twoje polecenia, to w porządku - rzekł Macsen. - Na tym posterunku są dziesiątki takich. Ale jeśli chcesz pracować ze mną, to zejdź ze swojej wieży i znów zacznij mieć do nas zaufanie.

- Pieprz się! - odparł Edeard. - Nie masz pojęcia, z czym walczymy. Zielonego pojęcia. Ja was chronię.

- Niepotrzebna mi twoja ochrona, chłopaku ze wsi. Nigdy nie będziesz wiedział tyle o gangach, co ja. Wychowałem się w Makkathranie.

- Wychowałam się w Makkathranie - powiedziała Kanseen. - Dinlay również. I Boyd. Ty prowadziłeś sielskie życie na Iguru.

- Co takiego? - Macsen zbliżył twarz do Kanseen.

- Dajcie spokój, i to już - uciszył ich Edeard. - Nie włączyłem was do niektórych akcji, bo naprawdę się bałem.

Przestali się kłócić i patrzyli po sobie zaskoczeni. Edeard oparł łokcie na stole i ukrył twarz w dłoniach. Był bardzo zdenerwowany, aż się obawiał, że mu popłyną łzy.

- Mam tylko was. Nie chcę się z wami rozstać. Nie chodzi tylko o to, że na was polegam. Chodzi o coś ważnego, nie tylko o to, żeby dopieprzyć Ivarlowi. Mamy nadzieje i plany. Nie mógłbym tego znieść, gdyby to się załamało. Znow bym został z niczym. Już wolę śmierć.

Kanseen usiadła przy nim na ławce, a reszta zespołu emanowała niepokojem.

- O co chodzi, Edeardzie? - Objęła go ramieniem. - Na początku wszyscy ufaliśmy sobie. Nic się w zasadzie nie zmieniło. Powiedz nam.

Edeard uniósł głowę i spojrzał prosto na Macsena - chciał, żeby przyjaciel widział cały jego ból.

- Chcesz tego?

- Tak. - Macsen był teraz autentycznie zaniepokojony.

- Serio? - Tak!

- Wszyscy chcecie?

Boyd i Dinlay skinęli głowami. Kanseen objęła go mocniej.

- Oczywiście.

- Dobrze. Ale przysięgnijcie na Panią, że nie zabijecie posłańca.

- Co ty? Przecież jesteśmy dorośli - rzekł Macsen.

- Nie, tak naprawdę nie jesteśmy dorośli - stwierdził Edeard.

- Jesteś bardzo przygnębiony - zauważył Boyd z nerwowym uśmiechem. - Co chcesz nam powiedzieć?

- O tym, z jakim przeciwnikiem musimy się zmierzyć. O sile gangów. Chcę, żebyście to zrozumieli.

- Przecież wiemy - rzekł Dinlay pełen współczucia. - W ostatnią środę próbowali nawet zastraszyć moją siostrę Carnę. O, Pani, nieprędko poważą się na to po raz drugi!

- Carnę? - spytał Macsen. - Jest...

- Moją dużą siostrą. - Dinlay uśmiechnął się zadowolony. - Bardzo dużą.

Edeard przechylił głowę w stronę Boyda.

- Taa - przyznał Boyd ponuro. - Isoix miała więcej kłopotów.

- A więc co to za wielka tajemnica? - dopytywał się Macsen.
- Pokażę wam. - Edeard mówił powoli. - W ciągu kilku najbliższych dni. Kiedy dokładnie, nie jestem pewien, ale bądźcie gotowi. Kiedy was wezwę, macie iść do Kanału Lotnego na końcu ulicy Golard.
- Czyli w pobliżu Czarnego Konia? - spytał Macsen.
- Tak, ale tam nie wchodźcie, na litość Pani. I macie się upewnić, że nikt was nie śledzi.
- Nic łatwiejszego.
- Przeciwnie, nie jest to takie jasne. Ivarl używa georłów do śledzenia nas wszystkich, ale ja się nimi zajmę. Będzie wtedy noc, więc trochę nam to pomoże.
- Co takiego on robi? - Umysł Kanseen zdradził przez chwilę prawdziwy niepokój.
- Obserwuje nas - odparł Edeard. - Przez ostatni miesiąc. Zakłócałem jego georły, ale nie udaje mi się chronić was wszystkich przez cały czas.
- Cholera.
- Edeard wstał i ze smutkiem spojrzął na Macsena.
- Przykro mi z tego powodu.
- Wiem. - Macsen wyciągnął rękę.
- Edeard uściśnął ją z wahaniem, cały czas pełen lęku o to, co ma się wydarzyć.
- Pamiętaj, że posłaniec to tylko posłaniec.
- Rozumiem.

\*\*\*

Następnego dnia Edeard poszedł do sądu na mowy końcowe oskarżenia i obrony. Zaintrygowało go to, że Ivarl nawet się tam nie pofatygował, nie chciał słyszeć osobiście, jak sąd uznaje winę Liana, nie przyszedł również następnego dnia, gdy Liana skazywano na dwadzieścia pięć lat. Gdy sędziowie opuścili salę, konstable z posterunku Jeavons skupili się wokół Edearda, by mu pogratulować. Potem zrobili przejście dla Wielkiego Mistrza Sparbila z Gildii Chemików, który pilnie obserwował proces.

- Dziękuję ci, młody człowieku. - Sparbil przyjrzał się twarzy Edearda, na której widział gojące się rany. - Strata tego surowca oznaczałaby znaczny finansowy uszczerbek dla naszej Gildii. Jestem twoim dłużnikiem.

- Zrobiłem tylko to, co do mnie należało, proszę pana - odparł Edeard.

- Jestem tego pewien. Mimo to, masz naszą wdzięczność. Jeśli kiedyś moglibyśmy się przydać, proszę się do nas zwrócić.

- Dziękuję, proszę pana.

- Finitan miał rację, że jesteś cenny dla miasta. Wielka szkoda, że Bise, Mistrz Dzielnicy, nie podziela tej opinii, ale nie martw się, zostanie w Radzie przegłosowany.

- Bise? - Edeard znał to nazwisko. Bise był Mistrzem Dzielnicy Sampalok. Edeard nigdy go osobiście nie spotkał w Domu Błękitnych Płatków, ale wiedział, że Mistrz prowadzi rozległe interesy z organizacją Ivarla.

- Wielka polityka, niestety. - Sparbil się uśmiechnął. - Oczywiście nie ma w tym nic wielkiego. Nasza grupka w Radzie całkowicie cię popiera. Niestety, nasi przeciwnicy mają inne poglądy. Ale w Radzie już tak jest. Gdyby oni opowiedzieli się po twojej stronie, wtedy ja byłbym przeciwko tobie. Tak samo z pogodą: oni głosują za słońcem, ja za deszczem.

- No, rozumiem.

- Radzę ci, przez dwieście lat nie wysuwaj swojej kandydatury na Głównego Konstabla. Dzięki temu zdołasz pozostać w mieście, gdzie ciągle będziesz mógł czegoś dokonać.

- Tak, proszę pana. - Edeard skłonił się oficjalnie Wielkiemu Mistrzowi i gdy ten odchodził, patrzył za nim nachmurzony. Czyżby Wielka Rada zajmowała stanowisko na jego temat?

- Pójdziemy wieczorem na drinka? - spytał Chae. - Dzisiejsze zwycięstwo jest chyba ważniejsze niż to w procesie Armieła. Dowodzi, że nie ustępujesz przed gangami. Trzeba to odpowiednio uczcić.

- Nie, dziękuję. Mam randkę.

- O! Powodzenia! Ciesz się, póki możesz, pókiś młody. Z wiekiem stają się zgorzkniałe.

- Kto?
- Kobiety. Wszystkie.

\*\*\*

- Czy w tym mieście wszyscy są cynikami? - spytał Edeard tego wieczoru.

Jessile wyjęła butelkę piwa z wiklinowego kosza, który ze sobą przyniosła.

- Kto jest cynikiem?

- Wszyscy. Tak mi się wydaje. Albo może mam paranoję. Uśmiechnęła się.

- Prawdopodobnie masz.

- Dzięki. - Edeard wziął butelkę i zwałił się na starą, ciężką kanapę. Czuł się wyczerpany, choć dziś nic nie robił, tylko siedział w sądzie. Zwycięstwo powinno mu dodać animuszu, tymczasem wywołało nowe pytania i wątpliwości. Tęsknił za czasami sprzed wydarzeń na Stawie Birmingham. Bardzo tęsknił. Życie było wtedy znacznie prostsze.

- Oprzyj stopy na stołku, zdejmę ci buty.

Odchylił się do tyłu, oparł nogi. Jak przyjemnie, że Jessile była przy nim! Po ostatniej nocy z Ranalee prawie sobie przysiągł, że koniec z arystokratycznymi dziewczętami. Ale pamiętał, że Jessile jest bardzo miła. Niemal przeciwieństwo Ranalee. Nie stawiała wymagań. Gorąca w łóżku. I dyskretna. Przynajmniej obecnie. To zaleta, pomyślał. Bardzo mu zależało na odbudowie swojej godności na forum publicznym po tych miesiącach nieumiarkowania, które nastąpiły po wydarzeniach przy Stawie Birmingham.

Jej narzeczonego nie było w mieście przez trzy dni, a potem znów go wysłano, czym się bardzo niepokoiła. Nie ustalili nawet daty ślubu. Więc tymczasem chętnie - i dość skrycie - spotykała się z Edeardem.

W zasadzie dwoje samotnych ludzi, pomyślał. Prawie każdego dnia wypatrywał przez okno pogodniejszego nieba, które mogłoby zwiastować powrót Salrany.

Z poczuciem winy spojrzął na list oparty w jednej z wnęk. List przyszedł wczoraj. Salrana napisała go przed trzema tygodniami. Aż tyle trwała podróż listu z prowincji Tralsher do Makkathranu. Salrana wyjaśniała, że chyba będzie musiała zostać tam jeszcze parę tygodni. Matki bardzo potrzebują pomocy i nie może ich zawieść. W Ufford mnóstwo ludzi zwraca się do Kościoła o wsparcie.

- Liana skazano na dwadzieścia pięć lat - powiedział Edeard, gdy usiedli do kolacji. Jego gemałpy zajmowały się przygotowaniem dań, zapakowanych do koszy przez kucharzy Jessile u niej w domu. - Pozostali dostali trzy do jedenastu lat.

- To dobrze - stwierdziła.

- Naprawdę? A zauważyłaś, żeby przestępczość spadła?

- Chyba wspominałeś coś o cynizmie...

- Wybacz.

- Zostanie tam jeszcze co najmniej sześć tygodni.

- Kto? Ach tak, jasne.

- Dziś rano dostałam list. Zostają w prowincji Reutte, żeby pomóc miastu Eriach... chyba.

- Tak, to po zachodniej stronie Pasma Ulfsen.

- Znasz to miasto?

- Tak, przejeżdżałem tamtędy.

- Mają tam teraz problemy z bandytami.

Edeard podniósł wzrok znad szparagów i tarty z kafishem.

- Jakie kłopoty?

- Napady na wsie, rozboje na drogach. Milicja wypchnęła ich z posiadłości wokół Tetuan, a oni znowu pojawili się nagle kilka mil dalej.

- Często tak robią. Nie wystarczy ich postraszyć, bo po pewnym czasie po prostu wrócą. Żeby się ich pozbyć, trzeba ich cały czas spychać, aż nie będą mieli dokąd uciec ani gdzie się skryć. A potem trzeba zadać decydujący cios... to się może udać - dodał po chwili.

- Co?

- Nic, to tylko taki pomysł.

- Nie ma nawet pewności, że Eustace wróci po akcji w Eriach. No bo bandyci mogą się pojawić gdzie indziej. - Jessile obracała na palcu srebrny pierścionek w formie stylizowanej winorośli i bezwiednie gładziła diament.

Edeard nakrył dłonią jej rękę i delikatnie ją uściskał.

- Wróci.

- Dziękuję. Wiem.

- Czy wspomniał, że mają karabiny?

- Karabiny? Nie, nic na ten temat nie mówił. A mogą mieć karabiny? Mogliby go zastrzelić!

- Niektórzy bandyci mają broń. Ale nieliczni - skłamał od razu i pozwolił jej, by wyczuła w jego myślach spokojną pewność. - Udało im się zdobyć na farmach jakieś stare pistolety. A pistolety mają bardzo mały zasięg.

- Och, nie strasz mnie. - Uśmiechnęła się do niego nerwowo.

- Wybacz. Żaden bandyta przy zdrowych zmysłach nie będzie wchodził w konflikt z konną milicją. Eustace jest bezpieczny. W lecie się pobierzecie.

- To straszne, że musiał wyjechać. Czysta polityka. Burmistrz Owain posyła milicję, bo chce wyglądać na silnego i jednocześnie łaskawego. Mój tata tak twierdzi. I mogę się założyć, że kupcy z Gildii Owaina krążą wokół milicji i sprzedają broń tamtejszym ludziom.

- Widzisz, wszyscy są cyniczni. Uśmiechnęła się do niego.

- Chyba tak.

- Niewykluczone, że Owain wysłał milicję dla zysków politycznych, ale to okazało się korzystne. Reutte potrzebowało pomocy. Tamtejsi szeryfowie nie dawali sobie rady. Ostatnio sporo rodzin rolników przybyło do miasta. Mówili mi, że zostali siłą wypchnięci ze swojej ziemi.

- Wiem.

- On wróci.

- Dziękuję, Edeardzie. Jesteś miłym człowiekiem.

Po kolacji czytali książkę, którą przyniosła Jessile. „Podróż Kadrila”. O legendarnym kapitanie, który odkrył drogę handlową na południe, przez Cieśniny Gathsawal. Edeardowi podobały się



opowieści o życiu na morzu, o walkach z piratami, choć przypuszczał, że autor trochę je ubarwił. Ogień w kominku syczał i trzaskał, a oni po kolei czytali na głos, sącząc czerwone wino. Edeard czuł, że się odpręża. Chciał, żeby tak wyglądało jego życie. Wygrywać procesy sądowe, oczyścić ulice z gangów, a potem do domu. Nie do apartamentu, ale do prawdziwego domu, gdzie czeka... może Salrana. Widział nawet odpowiednie domy w Cobarze i Igadi, teraz puste. Przecież kiedyś będzie potrzebny pokój dla dzieci. Jego dzieci nie będą żyły w mieście, gdzie panoszą się przestępczość i rozpasane możne rodziny. Dzieci będą się mogły bezpiecznie bawić na ulicach i w parkach. To da się osiągnąć - od kolacji cały czas się nad tym zastanawiał i teraz ta myśl leniwie przekształciła się w pewność.

- Wyglądasz na znacznie szczęśliwszego - powiedziała cicho Jessile. Zamknęła książkę i oparła się o niego.

- Twój głos potrafi ukoić. Potarła nosem o jego policzek.

- Mój głos?

- Tak.

- Szkoda, że nie masz tu fortepianu. Jestem dość dobrą pianistką. Muzyka przyniosłaby dodatkowe ukojenie.

Rozbawiło go to gderanie. Dziewczyna na pewno nie miała pojęcia, ile zarabia konstabl. Na fortepian musiałby pracować wiele miesięcy.

- Nie udałoby się go wnieść na górę.

- Nieważne. - Pocałowała go. Jej gęste włosy połaskotały go po twarzy i szyi. - Kupiłam dziś nową satynową halkę. Niestety, jest dość skąpa. Chciałbyś mnie w niej zobaczyć? Przymierzyłabym...

- Tak.

- Powiedz: proszę.

- Proszę - rzekł chropawym głosem. Wstała i uśmiechnęła się do niego.

- Wrócę za minutę. - Wzięła kosz i zniknęła w łazience.

Edeard głęboko odetchnął, by odzyskać równowagę. Promieniał, myśląc o tym, co go czeka. Stoczył się z kanapy i rozkazał, by światła się przyćmiły - I wtedy zdał sobie sprawę, że Vilby idzie przez most do Silvarum.

- O, Pani, nie! - jęknął.
- Co się stało?! - zawołała Jessile.
- Eee... bardzo mi przykro, ale...

\*\*\*

Czekali na niego tam, gdzie im kazał, skupieni pod wystającym murem na ulicy Golard, na chodniku metrowej szerokości. Było ciemno i tylko zza falistego gzymsu murów dwa domy dalej dochodziło tu trochę światła.

- Saria wściekła się na mnie - mówił Boyd. - Jej cioteczna babka wydawała doroczny bal, zaprosiła połowę rodzin skoligaconych z Mistrzem Dzielnicy. - Boyd miał na sobie wspaniałą wiśniową surdut i białą koszulę z koronkowym żabotem. Na wysokich do kolan butach połyskiwały srebrne sprzączki.

- Najwyraźniej robisz postępy towarzyskie - zauważyła Kanseen. Zmarszczyła czoło, wypatrując czegoś na ulicy.

- Nie wiedziałem, że tak nagle nas wezwie.

- Naprawdę się niepokoił - zauważył Macsen. - W ogóle nie poznałem naszego wspaniałego Stąpającego po Wodzie.

- Tylko pogorszyłeś sprawy, kiedy wczoraj tak krzyczałeś na Edearda - stwierdził Dinlay. - Te twoje oskarżenia...

- Posłuchaj. - Macsen machał uniesionym palcem tuż przed twarzą Dinlaya. - Mam do tego prawo. To moją matkę zaatakowano. I to jego wina.

- Nie.

- A właśnie, że tak. Skoro twierdzi, że wie tak dużo, to powinien nas ostrzec. Gdybym wiedział, co się święci, mógłbym powstrzymać tych zbirów i nie zaatakowaliby mojej matki.

- Nie powiedzieliśmy mu, co się nam przytrafiło. Wszyscy jesteśmy winni - oznajmiła Kanseen.

- Nie ufa nam. Nawet nie ruszył dupska, żeby nam powiedzieć o georłach. Traktuje nas jak wabiki, i tyle.

Edeard porzucił swoją niewidkę i pojawił się tuż obok Macsena.

- Nie, wcale was tak nie traktuję.

- Pani! - Macsen aż podskoczył zszokowany.

- Na Honiousa, skąd wychynałeś? - pytał Dinlay.

- Cały czas tu byłem.

- Słyszałeś... - Na wąskiej twarzy Dinlaya pojawił się ognisty rumieniec.

- Rozumiecie teraz? To nie zabawa. Chcę zmienić miasto. I potrzebna mi jest wasza pomoc.

- I wydaje ci się, że zrobisz to w taki sposób, co? - spytał Macsen.

- Jeśli parę obelg wypowiedzianych w złości mogłoby rozwalić naszą drużynę, to nigdy niczego byśmy nie osiągnęli. Bylibyśmy tylko grupą dzieciaków, których nic szczególnego nie trzyma. Mam nadzieję, że jest inaczej. Nie będę udawał, że nie mam słabości, wygłupiłem się, latając za dziewczynami. Jestem zbyt przerażony, żeby powiedzieć wam wszystko, co wiem o Ivarlu. Nie wiedziałem, jak przeprowadzić rajd na magazyn, więc zastosowałem się do sugestii Ronarka. I w zasadzie nie jestem pewien, dokąd mamy stąd iść, choć mam pewien pomysł. - Wzruszył ramionami. - Tak to wygląda.

Macsen spojrział na kolegów. Z jego ekranowanego umysłu wyzierało niezadowolenie.

- W porządku, dość uczciwie postawiłeś sprawę. Pieprzyć świetne pomysły. Ale chętnie zobaczę, co chcesz nam pokazać.

- Ja też - rzekła Kanseen.

- Jasne - rzucił Dinlay.

Boyd zachichotał ledwo słyszalnie.

- Wchodzę w to.

- Dziękuję wam - powiedział Edeard.

- Kiedy w końcu nauczymy się triku maskowania? - spytał Boyd podekscytowany. - Zawsze myślałem, że to miejska legenda.

- Och, nauczycie się - obiecał Edeard. - Będzie wam to potrzebne. Gotowi?

- Taaa! - krzyknęli chórem.

Pół godziny trenowali na ulicy, po czym Edeard zaprowadził ich do tawerny Czarny Koń. Nie potrafili się jeszcze maskować idealnie. Boyd tracił czasami koncentrację, dalwzrok u Macsena nie był tak dobry, jak on sam zawsze twierdził, a to oznaczało, że nie potrafił naprawdę skutecznie połączyć tej umiejętności z trzecią ręką. Kanseen i Dinlay natomiast okazali się zaskakująco

zdolni. Wprawdzie Boydowi i Macsenowi zdarzały się potknięcia - wtedy znikąd pojawiały się ich postacie jak duchy - ale poza tym przy zwykłym oglądzie cały zespół pozostawał niewidoczny. Gdy chcieli się zorientować, gdzie akurat ktoś z nich stoi, używali słabej ukierunkowanej dalmowy; to mieli już przećwiczone setki razy. Edeard przyćmił światła z tawerny i powstały długie, głębokie cienie. Przemykali się między cieniami i dla nikogo niewidoczni dotarli do pomieszczeń na zapleczu. Gdy wchodzili na piętro do prywatnych pokoi, Edeard coraz bardziej się denerwował. Na razie Macsen współdziałał, ale jak zareaguje na...? Bez Macsena zespół poważnie się osłabi, a Edeard potrzebował ich wszystkich, w pełnej dyspozycji, jeśli miał liczyć na zwycięstwo nad gangami.

- Gotowi? - spytał Edeard, gdy dotarli do drzwi.

- Tak - szepnął Dinlay.

Wtedy Edeard usłyszał metaliczne kliknięcie - ktoś odbezpieczył pistolet.

- Czy ktoś z was ma broń?

- Tak - rzekł Boyd.

- No, w zasadzie wszyscy mamy broń - powiedział Dinlay pojednawczo. - Myśleliśmy, że przeprowadzimy nalot na kryjówkę gangsterów.

- Och, Pani, nie, to nie nalot. To w ogóle nie jest niebezpieczne. My tylko musimy nakryć ich na gorącym uczynku. Więc, proszę, schowajcie pistolety.

W pozornie pustym korytarzu ktoś gderał, potem rozległy się jakieś niezborne dźwięki.

- Gotowi? - spytał ponownie Edeard. Uświadomił sobie, że nie da się działać jak jedna drużyna, gdy ludzie się wzajemnie nie widzą. - Naprzód!

Wszyscy równocześnie pozbyli się niewidek. Edeard trzecią ręką rozwalił zamek i pchnął drzwi. Drużyna wparowała do środka.

Zobaczyli twarz Vilby'ego: maskę zaskoczenia i strachu. Uniósł głowę z poduszek i patrzył na nich. Tylko taki ruch mógł wykonać, bo ręce miał we własnych kajdankach,

przymocowanych do dziwnych metalowych obręczy tkwiących w ścianie nad łóżkiem. Na jego piersi siedziała okrakiem Nanitte, trzymając w dłoni słoik miodu. Odwróciła się, i zszokowana, cicho jęknęła, a gdy wśród intruzów rozpoznała Macsena, autentycznie się zaniepokoiła - widać to było po jej twarzy.

- O, w dupę Pani!

Nanitte skierowała dalmową komunikat na drugi kraniec miasta. Bardzo zwięzły: „Zaskoczyli nas z Vilbym. W ogóle nie wyczułam, że się zbliżają. Byli niewidzialni, jak cholera”.

Edeard to słyszał i jego wyraz twarzy stanowił załącznik do jej przekazu. Nikt jej nie odpowiedział.

- Nie wracaj na posterunek - powiedział Edeard Vilby'emu. - I do jutra wieczór ty z rodziną musicie się wyprowadzić z kamienicy. Tylko konstable mogą tam mieszkać.

- Ale...

Edeard trzecią ręką chwycił mężczyznę za tors. Spod zaciśniętej pięści wyciekał miód.

- Milcz - warknął ostrzegawczo. Vilby osunął się pokonany. Kanseen dostrzegła lepką masę pokrywającą jego genitalia i uniosła brwi.

- No, wielkie dzięki, Vilby. Już nigdy nie będę mogła zjeść bezy.

- Wiesz, powinieneś dłużej trzymać je w piecu. Dobre bezy nie powinny być w środku takie maziste - szydził Boyd.

- To prawda? - zainteresował się Dinlay, gdy wychodzili.

- Oczywiście. Wie o tym każdy choć trochę rozgarnięty piekarz. Macsen nie odezwał się ani słowem. Gapił się na Nanitte, a ona patrzyła na niego i nawet nie drgnęła jej powieka.

- Daj spokój. - Kanseen położyła mu dłoń na ramieniu i zaczęła go łagodnie wypychać z pokoju.

Edeard rzucił Vilby'emu drwiące spojrzenie i wyszedł, zamykając drzwi za sobą.

\*\*\*

W Orle Olovana siedli w narożnym boksie. Kelnerka była zaskoczona, widząc ich w ponurym nastroju. Edeard dał jej

mosiężną ćwierćpensówkę napiwku i trzecią ręką zgarnął z jej tacy szklanki z piwem. Postawił piwo przed Macsenem.

- Bardzo mi przykro - powiedział ostrożnie.

Macsen pokręcił głową, objął szklankę i tępo wpatrywał się w ciemnobursztynowy płyn.

- To wojna o to, kto wie najwięcej - stwierdził Edeard.

- O, Pani! - burknęła Kanseen. - Chyba teraz do nas dotarło, Edeardzie. - Pociągnęła długi łyk. - Czy któryś z moich...?

- Nie.

- Na szczęście. Dla nich. Bo wyrwałabym im jaja i wepchnęła tam, gdzie słońce nie dochodzi.

- A... a Saria? - spytał Boyd.

- Miła dziewczyna. Nie masz się co martwić.

- Więc tylko ja, tak? - spytał z goryczą Macsen, cały czas wpatrzony w swoje piwo. Od wyjścia z Czarnego Konia ani razu nie popatrzył na Dinlaya.

- Nie tylko. - Edeard rzucił Dinlayowi zakłopotane spojrzenie. - Chiaran.

- Niemożliwe! - krzyknął ten przerażony. - Ona jest przecież konstblem.

Boyd powoli odwrócił głowę i zaintrygowany skierował wzrok na Dinlaya.

- Kim jest Chiaran?

- Jej ojciec ma długi u jednego z poruczników Ivarla w Fiacre. Chiaran pomaga spłacić dług.

- Nie uwierzę.

- Nie powiedziałeś mi nigdy o Chiaran - stwierdził Boyd i na jego twarzy pojawił się uśmiech. - Ty przebiegły, stary draniu.

- Wybacz - rzekł Edeard.

- O, Pani!

- No, ale ty na pewno uniknąłeś wpadki, co? - Macsen nie unosił wzroku.

- Przeciwnie. - Edeard zaczerpnął tchu. - Chyba wszyscy pamiętacie Ranalee.

Kanseen aż rozlała piwo.

- Co takiego? Edeard nieco się skulił.

- Rodzina Gilmorn ma silne powiązania z Ivarlem. To część systemu funkcjonowania portu... odkryłem to po fakcie. Niestety, za późno. Myślę że tą drogą Ivarl dowiedział się, że wiem o Vilbym. - Nie mógł się zdobyć na to, by im powiedzieć wszystko o tamtej nocy.

- Zaraz, czy on wie, że ty wiesz?

- Tak.

- Ale... Niech to jasna... - Kanseen znów pociągnęła łyk ze szklanki.

- A więc jeśli on wiedział, że ty wiedziałeś... nie pojmuję. - Boyd nachmurzył się. - Dlaczego nie zrezygnował z napadu na Gildię Chemików, jeśli obaj wiedzieliście, co się dzieje?

- Mówiłem już: to wojna o to, kto więcej wie. I jak to potem wykorzystać.

W końcu Macsen podniósł wzrok i popatrzył na Boyda.

- Dotarło? To jedna wielka zaszracona walka między Ivarlem a Edeardem. Kto kogo przechwytrzy.

- I dlatego musicie wszystko do końca zrozumieć - stwierdził Edeard stanowczo.

- Teraz rozumiem - odparł Macsen z goryczą. Spojrzał Dinlawowi prosto w twarz. - To ja, idiota, cię postrzeliłem. Ja!

- Wcale nie. - Dinlaw zarechotał nerwowo.

- Powiedziałem jej. Kiedy ustaliliśmy, że będziemy obserwować ulicę Boltan, zdradziłem jej, że prowadzimy tajną operację.

- Kiedy o tym mówiliśmy? - spytał Edeard.

- Tego dnia złapaliśmy Arminela w magazynie - przypomniała mu Kanseen.

- Aa, tak.

- Arminel to wykorzystał - powiedział Macsen. - Żeby zorganizować zasadzkę przy Stawie Birmingham.

- Nie mamy pewności - zauważył Edeard. - Dziś próbowałem wam pokazać, jak przebiegłym i dobrym organizatorem jest Ivarl. A jego organizacja jest rozległa, obejmuje całe miasto.

- Przekonałeś nas - przyznała Kanseen. - Byliśmy naiwni. Ale koniec z tym.

- Wybacz mi - zwrócił się Macsen do Dinlawa.

- Nie strzeliłeś do mnie.
- To była moja wina.
- Nie. Wszyscy znacie Arminela, wiecie, jaki on jest. Gdyby nas wtedy nie zaatakowali, zrobiliby to innego dnia. Nie wysyła się na przespīgi kogoś takiego jak Nanitte, jeśli się nie planuje prawdziwej akcji, by nas zlikwidować.
- I Chiaran - dodał Dinlay z żalną miną.
- I Chiaran - przyznał Edeard. - To znaczy, że ciągle chce nas dopaść, a od akcji w magazynie jeszcze bardziej mu na tym zależy. Szykuje się paskudny czas.
- Była taka piękna. - Dinlay zdjął okulary i dokładnie wytarł soczewki.
- Ale wszyscy jesteśmy czyści, prawda, Stąpający po Wodzie? - spytał Boyd ostrożnie. - Przynajmniej to nam powiedz. Powiedz, że żadne z nas nie jest w bandzie Ivarla.
- Wszyscy jesteśmy czyści - zapewnił ich Edeard.
- Nanitte - jęknął Macsen i skulił się na ławie. - A inne? Czy więcej dziewcząt należało do Ivarla?
- Edeard uśmiechnął się.
- Nie mam czasu na uaktualnianie listy.
- Chyba również twojej własnej - zauważyła Kanseen z łobuzerską miną.
- Mojej również.
- Pani, to wspaniałe - odparła cicho. - Teraz musimy ubiegać się o twoją zgodę na naszych kochanków. Tak jakbym znów mieszkała w domu i potrzebowała aprobaty matki.
- A jakie miała kryteria? - spytał Boyd.
- O, tobie na pewno by nie pozwoliła przekroczyć progu domu. Edeard wybuchnął śmiechem.
- Nie jest aż tak źle.
- Kanseen spojrzała mu prosto w oczy.
- Przeciwnie, jest.
- Nie musicie mi mówić, z kim spędzacie noc. Nie będę teraz używał dalwzroku. Ale...
- Mamy wykazywać paranoiczną podejrzliwość?



- Powiedziałbym: ostrożność. Jeśli chcecie, żebym dla was sprawdził nowo poznaną osobę, zrobię to.

- Paranoja działa - powiedział Boyd. - W przeciwieństwie do was, ja oczywiście wybrałem bardzo dobrze.

- W ogóle nie miałaś wyboru - stwierdziła Kanseen. - To Saria cię wybrała. Ona za ciebie podejmuje wszystkie decyzje.

- Wcale nie! Sam jestem swoim panem.

Kanseen szarpnęła go za rękaw wspaniałego surduta.

- Sam to wybrałaś? A może przynajmniej za to zapłaciłaś?

Wybuchnęli śmiechem, a Boyd się zaczerwienił.

- Więc co teraz robimy? - spytał Dinlay.

- A nie chodzi mu o „my” - zauważyła Macsen. - Mam rację?

- Tak, no... - jękał się Dinlay. - O Chiaran.

- Pozbądź się jej - powiedział Macsen ostro. - Nie jest twoją dziewczyną, tylko dziwką Ivarla. Zastosuj dalmowę, to będzie przyjemne i obraźliwe. W zasadzie chętnie cię wyręcę.

- Naprawdę?

- Czy chciałbyś ją najpierw wykorzystać? - spytał Macsen Edearda.

- Nie. To kuszące, ale jeśli to zrobimy, zniżymy się do jego metod.

- Nie uda się tego załatwić w sposób fair - ostrzegła Kanseen.

- Wiem. - Uśmiechnął się do całej drużyny. Do swoich przyjaciół.

- Ale damy radę.

- Więc właściwie, co my wiemy? - spytał Boyd.

- Myślałem o tym - odparł Edeard. - Najwięcej dochodów Ivarla pochodzi z reketu. Ma gangi we wszystkich okręgach, zastrasza właścicieli sklepów i kramarzy. Chcę ich wykurzyć. Najpierw wykurzę ich z Jeavons, potem zmuszę do wycofania się z całego miasta, aż zamknę ich w Sampalok.

- A potem co? - spytała Kanseen. - I jak ich zmusisz do wycofania się? Zastraszysz? To się odegrają.

- Nie znam szczegółów. Musimy się poradzić Wielkiego Mistrza Finitana, jak wszystko zaplanować, oraz poradzić się w kwestii związanej z tym polityki. Na pewno potrzebne nam będzie wsparcie Wielkiej Rady, może nawet uchwalenie nowego prawa.

- No dobrze, nawet jeśli uzyskamy poparcie w Radzie i wszyscy kapitanowie posterunków będą z nami współdziałali oraz zagra setka innych dupereli, jak my ich znajdziemy? Wymuszaniem haraczy zajmują się na pewno setki gangsterów. Mamy wszyscy węszyć w Domu Błękitnych Płatków?

Edeard uśmiechnął się do nich przebiegle, wyjął z bluzy gruby notes i położył go na blacie, między szklankami piwa.

- Ach, chodzi ci na pewno o tę listę. Spisałem wszystkie osoby, które podsłuchiwałem.

\*\*\*

- Szeroki sojusz przeciwko gangsterce. Dobry pomysł. - Wielki Mistrz Finitan odwrócił się na swoim krześle o wysokim oparciu i patrzył przez okno gabinetu.

Edeard i jego koledzy siedzieli na mniejszych krzesłach przed dużym biurkiem i starali się nie zwracać uwagi na wspaniały widok, rozciągający się z wysoko położonego biura.

- Czy uważa pan, że Rada to poprze? - spytał Edeard. Gdyby nie to, że geszympany podały im herbatę i ciasteczka, Edeard mógłby sobie wyobrazić, że siedzi w klasie młodszych uczniów i słucha wykładu Wielkiego Mistrza.

- Gdybyś poszedł do poszczególnych Mistrzów i Przedstawicieli i poprosił ich o pomoc w walce z gangami, każdy by ci spojrział prosto w oczy i zapewnił o pełnym i niezłomnym poparciu. Oczywiście, z wyjątkiem Bisego. Prywatnie wam powiem, że w Radzie żaden nowy przepis, skazujący na wygnanie podejrzanych członków gangu, nie wejdzie nawet pod obrady, nie mówiąc o głosowaniu.

- Dlaczego nie? - spytał Dinlay.

- Koszty. Udowodnienie, że ktoś jest członkiem gangu, to bardzo czasochłonne dla sądu, a jeszcze więcej czasu pochłonie obrona adwokatowi, co nie jest tanie. I co byś im konkretnie zarzucił? Jeśli potrafisz dowieść, że należą do gangu, to potrafisz dowieść przestępstwa. Za to zostaną skazani na roboty w kopalni. Nie, musisz znaleźć jakiś inny sposób.

Edeard jęknął. A wydawało mu się już, że ma taki dobry plan. Finitan odwrócił się ku nim.

- Nie poddawaj się, Edeardzie. Jesteś przecież Stąpającym po Wodzie. Wszyscy spodziewamy się po tobie wielkich rzeczy. - Uśmiechnął się zagadkowo. - Czegoś więcej niż zakradania się nocą do burdeli.

Edeard zaczerwienił się.

- Więć co pan radzi? Jak się ich pozbyć? - spytała Kanseen.

- Jeśli chcecie osiągnąć skutek, musicie zrobić tak, żeby wszyscy odnieśli korzyści. Najważniejsze to mieć wsparcie. Im szersze wsparcie, tym większe szanse sukcesu.

- Ale przecież Rada na pewno od lat próbowała się pozbyć gangów. Dlaczego jej się nie udało? - dziwił się Edeard.

- Powtarzam do znudzenia: koszty. Nie tylko finansowe. Zwróć uwagę, jak porucznicy Ivarla kontrolują dokerów. Rodziny kupieckie mają ciche porozumienie z Ivarlem, płacą mu za to, że trzyma dokerów w ryzach. Gdyby usunąć ten nacisk, dokerzy zażądaliby przyzwoitej płacy. I Słusznie. To przecież sztuka sterować zespołami gemałp, które zajmują się załadunkiem i rozładunkiem statków. Więć dostaną więcej pieniędzy, które port ściągnie od armatorów, kupców i właścicieli sklepów. Te koszty zostaną z kolei przerzucone na klientów. Wzrastają ceny wszystkich towarów, przypuszczalnie niewiele, ale to wywołuje niekontrolowaną reakcję, wręcz destabilizację. Po co zmieniać równowagę sił, skoro wszystko dobrze działa? A dokerzy to zaledwie czubek góry lodowej. Zmieniłoby się tyle rzeczy.

Edeard znów sobie przypomniał, co mówiła Ranalee. „Zmiany zewnętrzne to rewolucja”.

- Gangi są złe - stwierdził z naciskiem. - Prawo musi zwyciężyć.

- Racja. Ale sam się przekonałeś, jak mocno są osadzone w mieście.

- Musi być jakiś sposób.

- Zastanów się, jak uzyskać szerokie poparcie - poradził Finitan.

- Wtedy ruszysz do przodu.

- Potrzebuję poparcia Rady.

- W końcu tak. Ale musisz zacząć z drugiej strony. Na ulicach, gdzie gangi stale dają się we znaki. Co tam się działo, nim wyruszyłeś na krucjatę? Nie chodzi mi o bezużytecznych i bogatych z mojej sfery, ale o ludzi bezpośrednio narażonych na przemoc ze strony gangów. Ludzi, którzy zwątpili w konstabli i przestali się do nich zwracać o pomoc.

- Tworzyli stowarzyszenia sąsiedzkie - wyjaśnił Boyd.

- Ruch samoobrony. Rada krzywo na to patrzyła, zwłaszcza że takie organizacje obchodziły prawo.

Edeard próbował zrozumieć aluzje Finitana.

- Wspieramy stowarzyszenia sąsiedzkie?

- Nie. Kapitanowie posterunków się na to nie zgadzają, bo stowarzyszenia po prostu podcinają ich władzę oraz władzę sądów.

- I co? - Był zdezorientowany.

- Nie możesz ich wspierać, ale po służbie nikt ci nie zabroni pójść z nimi na piwo. Jasne?

- No i możemy rozmawiać o tym, kto od kupców wymusza pieniądze, jak ci ludzie wyglądają i gdzie mieszkają - powiedział Macsen.

- Rzeczywiście.

- A obywatele mają prawo wezwać pomoc, gdy gang zgłosi się po pieniądze - rzekła Kanseen.

- Chętniej będą współpracować, jeśli będą mieli pewność, że na ich wezwanie ruszy oddział konstabli - przyznał Finitan.

- A gdy się okaże, że na tym poziomie współpraca działa... - zaczął Edeard.

- ...sprawa uzyska poparcie - dokończył Finitan. - Wśród osób, które niełatwo dają się skaptować wskutek targów politycznych. Na Reprezentantów Dzielnic będzie wywierana coraz większa presja, żeby kontynuować i rozszerzyć kampanię.

- Wracamy do początkowego problemu - zauważył Edeard. - Aresztowanie gangsterów i doprowadzenie ich przed sąd. Procesy trwają wiele tygodni i kosztują fortunę. Nie mówiąc o tym, że jesteśmy uwięzieni, bo całe dni siedzimy beczynnym, czekając, aż sąd wezwie nas na świadków. Gdy usuniemy jednego

z nich, na jego miejsce Ivarl pośle dziesięciu nowych. Muszę wypchnąć z Jeavons całą ich kupę.

Finitan patrzył na jajo genistara leżące na biurku.

- Potrzebujecie drogi prawnej. Byliście u prawnika?

\*\*\*

- To satysfakcja mieć konstytucję, która panuje nieprzerwanie od dwóch tysięcy lat - oświadczył mistrz Solarin. Siedział za biurkiem, z którego niczym wieże Eyrie wyrastały stosy folderów. Edeard ledwo go widział, tak się wysoko piętrzyły. - Można znaleźć przepis prawny na każdą okoliczność. Politycy uwielbiają tworzyć przepisy. Dzięki temu obywatele widzą, jak ciężko politycy pracują dla ich dobra. - Zakasłał i z brązowej papierowej torebki wyjął landrynkę.

- A więc to da się przeprowadzić? - spytał Dinlay z przejęciem. Edeard zabrał go ze sobą, a Macsena i Kanseen wysłał na spotkanie z Setersisem. Nie chodziło o to, że nie ufał Dinlawowi, ale Macsen lepiej się nadawał do rozmowy z szefem związku kramarzy w Silvarum. Boyd oczywiście był z Isoixem - omawiali problemy z izbą handlu w Jeavons.

- Co za niecierpliwość - mruknął mistrz Solarin z dezaprobatą.

Jedna z jego gemałp przyniosła opasy, oprawiony w skórę tom i delikatnie położyła go na dużym kwadracie bibuły przed sędziwym prawnikiem.

Wprowadzony przez stażystę do kancelarii Edeard myślał, że cały gabinet zbudowano z książek. Od podłogi do sufitu wszystkie pięć ścian obstawiono półkami, na których stały tysiące tomów prawniczych. Może kiedyś było tu okno, ale już dawno zostało zablokowane książkami. Z sufitu zwisały trzy tępe stalaktyty świecące pomarańczowo - to światło dawało książkom brudnoszary odcień.

Mistrz Solarin otworzył tom. Pośliniwszy koniuszek palca, odwracał strony. To wszystko trwało tak niesamowicie długo. Edeard rwał się do pomocy. Specjalnie nie odwracał wzroku ku Dinlawowi.

- Aaa, jest - oznajmił mistrz Solarin radośnie. - Pamiętałem to.

- Tak, proszę pana? - spytał Edeard.
- Chyba znalazłem to, czego szukacie.

Edeard pochylił się ku niemu. Otwarta strona książki poszarzała przez dziesięciolecia, ale czarny atrament był nadal wyraźny.

- Właśnie to mamy? - Mistrz Solarin wodził drżącym palcem po linijce tekstu i czytał bezgłośnie.

- Co jest tam napisane? - spytał Dinlay błagalnie. Edeard rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie.

- Konstabl Dinlay, piszą tu, że dziewięćset trzydzieści dwa lata temu Wysoka Rada wydała rozporządzenie o banicji z dzielnic. Edykt pozwala na to, by Mistrz Dzielnicy albo Reprezentant Dzielnicy zabronili prawa wstępu wszystkim osobom uznanym za szkodliwe dla nienaruszalności danego miejsca. Zgodnie z prawem wydanie takiego zakazu uzyskuje moc, jeśli jest podpisane przez Mistrza Dzielnicy lub Reprezentanta Dzielnicy z ich własnego upoważnienia, i nie wymaga to nadzoru sędziego ani magistratu. - Uniósł wzrok znad książki. - Przypuszczam, że taki przepis został zaproponowany w Radzie przez Mistrza Dzielnicy Cobara, który chciał uniemożliwić konkury zakochanemu w jego córce zalotnikowi. Jeśli pamiętasz lekcje historii, konstabl Dinlay, tych dwoje młodych kochanków to Henaly i Gistella.

- Naprawdę? - Dinlay uśmiechnął się błogo i odwrócił do Edearda. - Uciekli statkiem Oxmaine, założyli Przystań Miłości i zaprowadzili tam winnice. W tej prowincji nadal wytwarza się część najlepszych win na Querencji.

- Wspaniale. - Edeard miał ochotę trzasnąć Dinlaya trzecią ręką, ale powstrzymał ten odruch. - Więc możemy wykorzystać to prawo i zabronić członkom gangu wchodzenia do Jeavons i Silverum i nie musimy mieć sądowego dowodu, że są gangsterami?

- Z dowolnego powodu, dowolnej osobie, tylko jej nazwisko musi być na nakazie podpisanym przez Mistrza Dzielnicy albo Reprez...

- Tak! Reprezentanta Dzielnicy. Jak ich skłonić do podpisania?

- Na Panią! Czy moje wykłady poszły zupełnie na marne?
- Składasz do nich petycję - stwierdził Dinlay z dumą.
- Właśnie, konstablu Dinlay. Rad jestem, że nie wszystkie moje słowa trafiły w próżnię. Zgodnie ze starożytnym kodeksem, jako mieszkańcowi Makkathranu przysługuje ci prawo wnoszenia wniosku. Takiego, żeby Mistrz Dzielnicy albo... - Solarin zrobił pauzę dla większego efektu - Reprezentant Dzielnicy domagali się od dowódcy posterunku z tej dzielnicy wyegzekwowania prawa, które zostało naruszone według opinii wnioskodawcy. Ponieważ uważa się, że konstable są zobowiązani do takiej pomocy, jak to wynika z formalnych przepisów o konstablach, ustanowionych sześćset dwadzieścia dwa lata temu, to starsze prawo do wniosku wyszło z użycia. Ale nigdy nie zostało wycofane.
- Czyli według pana możemy wykorzystać tę lukę prawną, żeby zmusić Mistrza Dzielnicy do podpisania nakazu? - spytał Edeard.
- Mistrz Solarin nachmurzył się i na jego starej twarzy pojawiły się dodatkowe zmarszczki.
- Nigdy nie będziesz prawnikiem, konstablu Edeardzie, i ten błogosławiony fakt moja Gildia niewątpliwie przyjmie z największą ulgą. Nie ma czegoś takiego jak luka prawna. Prawnicy doradzają tylko swoim klientom jak stosować prawo i korzystać z precedensów.
- Dziękuję, proszę pana. - Edeard wstał z krzesła.
- Jedno ostrzeżenie, młody przyjacielu.
- Tak, proszę pana?
- Możesz wystosować do nich wnioski o egzekwowanie prawa, ale nie możesz ich zmusić, by podjęli stosowną akcję. Żeby uzyskać podpis, potrzebujesz ich współpracy.

\*\*\*

To był pokaźny wniosek. Edeard musiał osobiście uczestniczyć w spotkaniach stowarzyszeń sąsiedzkich, przekonywał właścicieli straganów i sklepów, szynkarzy i kupców i dziesiątki innych handlowców, że warto spróbować jego pomysłu. Miał skromną bazę polityczną - Setersisa, Ronarka, Finitana - oraz

własną reputację, ale zaczynał zdobywać coraz większe poparcie. Tydzień po rozmowie z Solarinem udało mu się uzyskać to, że izby handlu w Jeavons i Silvarum jednocześnie złożyły formalne żądanie spotkania z dzielnicowymi Mistrzami i Reprezentantami.

Zebranie odbyło się w bibliotece rezydencji mistrza Volograła. Poprzednio Edeard tylko dwa razy spotkał Mistrza Jeavons w oficjalnych okolicznościach. Prowadzili wtedy towarzyską rozmowę, próbując siebie nawzajem wysondować. Volograł był sprzymierzeńcem Finitana w Wielkiej Radzie i to dodawało Edeardowi otuchy.

Volograł i trzech inni Mistrzowie stali za długim stołem i słuchali, jak przewodniczący izb handlu przedstawiają oficjalne żądanie.

- Czy to może być skuteczne? - zwrócił się Volograł do Edearda.

- Według mnie, tak - odparł Edeard. - W naszej dzielnicy znamy mniej więcej siedmiu z dziesięciu reketierów. Już mamy na nich nakazy. Jeśli gangi wyślą nowych ludzi do zbierania pieniędzy, od razu będziemy wiedzieć, kim są, i dodamy ich do listy.

- Ale żeby ich nie wpuścić... - Volograł wyraźnie się niepokoił.

- Razem jest piętnaście brygad w dwóch dzielnicach. Od teraz w każdej będzie dwóch konstabli na służbie do egzekwowania banicji. Potrzebna nam jest tylko podstawa prawna.

- A platformy cumownicze? Wszystkich przecież nie możecie pilnować.

- Wyznamy trzy stałe patrole: będą wybierały platformy na chybił trafił. Poza tym, nasze georły cały czas będą prowadziły zwiad. Sąd może dość znaczną grzywną ukarać każdego gondoliera, który narusza rozporządzenia władz lokalnych. Dla przykładu kilka pierwszych wykroczeń ukarze się surowo, choćby konfiskatą łodzi. I ludzie przestaną tak ochoczo pomagać gangom.

- Już sobie wyobrażam, jak na to zareaguje Gildia Gondolierów - burknął Deveron, Reprezentant Silvarum.

- Stąpający po Wodzie stara się nam pomóc - stwierdził spokojnie Sesteris. - Ja chętnie będę z nim współpracował.

Deveron spojrział na niego, ale się nie odezwał.



- Dobrze, jestem skłonny wstępnie zaaprobować waszą petycję. Podpiszę nakazy. Ale ostrzegam cię, Stąpający po Wodzie, że za trzy tygodnie, po Festiwalu Pani Przewodniczki, przyjrzą się, jak wygląda sytuacja. Jeśli stwierdzą, że wymuszenia się nie zmniejszają albo że nie zwalczasz skutecznie gangów, cofnę nakazy. Rozumiesz?

- Tak, proszę pana. Dziękuję.

- Przyniosłeś nakazy?

Edeard skinął w głąb sali na Felaxa i pozostałych trzech konstabli - stażystów. Podeszli; każdy z nich niósł gruby plik papierów.

- Wielka Pani, nie wiedziałem, że mam wykluczyć połowę miasta - gderał Vologral, widząc aż tyle nakazów.

- Na początek siedemdziesiąt trzy osoby - rzekł Edeard.

- Panowie... - Vologral zwrócił się do Mistrzów - ...miejmy nadzieję, że od tego podpisywania nie ścierną nam ręce. - Usiadł za długim stołem.

- A co się stanie z resztą miasta? - spytał Deveron. - Czy to nie jest zwykłe spychanie problemu?

- Poczekają na rozwój sytuacji - powiedział Setersis. - Jeśli metoda zadziała, szybko do nas dołączą. Przyzwoici ludzie mają już wszystkiego dosyć.

Vologral podpisał pierwszy nakaz.

- Założmy, że wam się uda. Wygonicie gangi ze wszystkich dzielnic poza Sampalok... bo doskonale wiem, że Bise za skarby nie podpisze nakazów. Co potem?

- Uważam, proszę pana, że wtedy wszystko będzie zależało od Wielkiej Rady.

- Ha! - Sięgając po kolejny papier, Vologral uśmiechnął się do Edearda z szelmowskim uznaniem. - Wcale nie jesteś takim wieśniakiem, co?

\*\*\*

Akcja zaczęła się następnego ranka. Ronark zmienił grafik drużyny - wydarzenie historyczne samo w sobie. Przydzielił po pięciu konstabli do każdej brygady udającej się do Jeavons z

Drupe, Tycho i Majate. Kapitan posterunku w Silvarum też przydzielił ludzi brygadam do Haxpen i Padua.

O świcie konstable zajęli swoje pozycje. Wiadomości o banicji rozeszły się z prędkością światła. Jak wszystkie nowiny w Makkathranie. Zwłaszcza te dotyczące Stąpającego po Wodzie. Ludzie zainteresowani rozwojem sytuacji tłumnie wyszli z domów i wiwatowali na widok konstabli. Proponowali im kanapki, gorącą herbatę i kawę. Potem spokojnie czekali na ruch gangów.

W południe ośmiu mężczyzn kroczyło Złotym Parkiem. Młodzi, bezwzględni, wiedzieli, jak prowadzić walkę, i mieli silną trzecią rękę. Gdy dochodzili do południowych granic dzielnicy, przy Stawie Birmingham, już pięć georłów orbitowało nad ich głowami - i tylko dwa należały do konstabli.

- Przyływ nostalgicznych wspomnień - zaintonował Macsen, gdy drużyna Edearda biegła ulicą Macoun.

- Nostalgia to uczucie radosne, nie to co teraz - burknęła Kanseen. Edeard był skłonny przyznać jej rację. Pędem mijali piekarnię Isoixa.

- Dobrze się czujesz? - szepnął dalmową do Dinlaya.

- Pani, tak. - Umysł Dinlaya rozpał się w oczekiwaniu wydarzeń. Cały ranek chodzili po dzielnicy różnymi trasami i wiedzieli, że w pewnym momencie dojdzie do ostatecznej rozgrywki. Edeard powinien odczuwać najwyższe podniecenie, ale wcześniej dostał list od Salrany: znów odroczenie powrotu.

Z ulicy Macoun wybiegł na szeroką aleję obsadzoną płaczącymi hasfolami; drzewa witały ciepłą aurę i z okółkowych pędów wypuszczały mnóstwo liści w niebiesko-żółte paski. Prosto przed sobą miał wysoki łuk niebiesko-srebrnego mostu nad Wielkim Kanałem Głównym, za którym był Złoty Park. Tuż przed mostem stał Sierżant Chae. Spojrzał nonszalancko na zdyszanaą drużynę.

- Obrażono mnie - oznajmił wyniośle. - Nie ma pan do mnie zaufania?

- Chodzi o procedury, sierżancie - wydyszał Macsen. - Jesteśmy tu w charakterze grupy wzmacniającej.

- Ale ja was jeszcze nie wzywałem. Edeard wskazał most.

- Proszę bardzo, sierzancie.

- Dziękuję. - Chae spojrział na gęstniejący tłum. - Nostalgiczne wspomnienia, co? - Odwrócił się i wprowadził na most drużynę czterech konstabli.

- Czy ktoś z nich ma broń? - spytał Boyd.

- Nie wyczuwam żadnej broni - stwierdziła Kanseen. - A ty, Edeardzie?

- Nie. Niczego. Ivarl będzie chciał, żeby to wyglądało na zgromadzenie zwykłych obywateli. A my mamy być złymi chłopcami.

- Hej, Stąpający po Wodzie! - zawołał bezczelnie jakiś chłopiec. - Znów chcesz to zrobić?

- Nie dzisiaj.

- No, daj spokój. Pobiegnij po stawie. Przedtem tego nie widziałem. Osiem osób dotarło na drugą stronę mostu. Chae i jego ludzie stali na szczycie z założonymi rękami. Czekali cierpliwie.

- Dziś jest inny dzień - powiedział Edeard głośno. Teraz gapie patrzyli to na niego, to na gangsterów, maszerujących przez Żłoty Park. - Dziś przepędzimy gangi z waszych ulic, z waszego życia. Gangsterzy wkroczyli na most.

- Ty! - ryknął Chae. - Znamy cię, Pocklan, znamy twoich koleżków. Ani kroku dalej.

Ósemka ludzi nadal szła przed siebie.

- Mam dokument, podpisany przez Mistrza Dzielnicy Jeavons. Macie zakaz przebywania w tej dzielnicy.

- Nie zrobiłem nic złego! - krzyknął Pocklan. - Jestem wolnym człowiekiem. Mogę poruszać się po całym mieście, gdzie mi się podoba. Takie jest prawo.

- Stój i w tył zwrot. Wracaj, draniu, skąd przyszedłeś. Boyd stuknął Edearda łokciem.

- Zobacz, kogo tu mamy - warknął.

Edeard spojrział przed siebie: na czele tłumu stał Mistrz Cherix. Obserwował ich z napięciem.

- Wiemy, że w sądzie próbowali unieważnić nakaz - poinformował Dinlay.

- Oby tylko nie sprowadziło się to do kłótni prawników - jęknęła Kanseen.

- Chcę odwiedzić matkę. Mieszka w Jeavons i ma przed sobą tylko kilka dni życia - zwrócił się do milczącego, zahipnotyzowanego tłumu. - Odmówicie mi tego prawa?

- Co za brednie - mruknął Dinlay.

- Wynoś się! - Chae energicznie dźgał palcem w dół. - Natychmiast.

- Sierzancie - odezwał się Mistrz Cherix. Jego głos, choć niezbyt donośny, dobitnie wyrażał poczucie władzy.

Chae odwrócił się. Na twarzy miał wyraz najwyższego niesmaku, wzmocniony przez ostre myśli, które wydostały się spoza ekranowania.

- Tak, proszę pana?

- Jestem prawnym doradcą tego szacownego dżentelmena. Czy mógłbym zobaczyć ten tak zwany nakaz banicji?

- Jest na posterunku.

- Zatem, póki tego nie okażecie, nie przedstawicie mojemu klientowi, do czego ma on prawo, może swobodnie poruszać się po wszystkich dzielnicach miasta. Tak samo inni, równie niewinni koledzy, których się też o nic nie oskarża.

- Dobrze. - Chae dobitnie wskazywał palcem na Pocklana. - Poczekaj tu. Poślę gońca.

- Nie, sierzancie - zaprotestował Cherix. - Nie może pan zatrzymać mojego klienta bez żadnej przyczyny. To pana odpowiedzialność: dostarczyć nakaz. Póki nie zostanie on odczytany mojemu klientowi, ma on prawo chodzić, gdzie chce.

- Nie mogę latać po całej dzielnicy za nim i jego kumplami.

- To nie jest problem mojego klienta - oznajmił Mistrz Cherix życzliwym tonem.

- Odsuń się - rzekł Pocklan do Chaego z nieprzyjemnym uśmiechem.

- Mistrzu - Edeard wystąpił przed kolegów.

- Kapralu Edeard, miło, że pana widzę. Mam nadzieję, że pomoże pan w tej niefortunnej sprawie. Pański kolega zamierzał postąpić wbrew prawu. Zwracam się do pana, żeby jako konstabl

dopilnował pan równego i sprawiedliwego przestrzegania prawa.

- Z największą przyjemnością. Mistrz Cherix skinął na Pocklana.

- Przejdź teraz przez most, drogi przyjacielu. Jesteś całkowicie bezpieczny, skoro sam Stąpający po Wodzie zabezpiecza twoje gwarantowane prawa.

- Czy chodziło panu o ten nakaz? - spytał Edeard niewinnym głosem. Wyjął z kieszeni bluzy pergaminowy zwój i pokazał go Cherixowi.

Usłużny uśmiezek powoli zniknął z twarzy Mistrza.

- Ale ten nakaz wymienia...

- Pana. - Edeard uśmiechnął się. - Właśnie. Więc zgodnie z prawem muszę jak najszybciej wyprowadzić pana z Jeavons. - Sięgnął trzecią ręką.

Mistrz Cherix stracił kontakt z gruntem i krzyknął zdezorientowany, a potem darł się w panice, bo unosił się coraz wyżej. Ludzie w alei wstrzymali dech, widząc odlatującego z mostu prawnika, który stale nabierał wysokości.

- Opuść mnie! - wrzeszczał głosem i dalmową. Wzniósł się już ponad budynki za aleją, ponad białe metalowe słupy wzdłuż Złotego Parku. Coraz wyżej. Obserwujące scenę georły musiały ostro skręcić, by nie doszło do kolizji.

- Słyszeliście coś? - spytał Edeard.

- Kazał ci, żebyś go opuścił - powiedziała Kanseen z całą powagą.

- A, w porządku. - Pozwolił mu opaść.

Cherix spadał z nieba z nieartykułowanym okrzykiem strachu. Z olbrzymim pluskiem wylądował pośrodku Stawu Birmingham. Tłum wiwatował.

Chae zwrócił się do Pocklana: - O czym to mówiliśmy...?

Pocklan spojrzał wściekle na sierżanta, potem przez ramię na Edearda. Odwrócił się i poprowadził kumpli z powrotem do Złotego Parku. Macsen objął Edearda i mocno go uściśnął.

- Jak ci się wydaje, dlaczego ludzie, których nie lubisz, zawsze łądują na mokro w Stawie Birmingham?

- Nostalgia.

\*\*\*

Edeard nie mógł się doczekać Festiwalu Pani Przewodniczki, o którym tak entuzjastycznie opowiadali jego przyjaciele i dziewczyny. Po pierwsze, festiwal zapowiadał nadejście lata, a dla Edearda lato mogłoby trwać cały rok. Najważniejsze jednak było to, że czczono wtedy pamięć ludzi, którzy odeszli w minionym roku. Każdy, kto stracił jakąś osobę, robił małą łódkę z kolorowych kwiatów - zabronione było tylko stosowanie barwy białej. To zadanie należało głównie do dzieci, które tworzyły misterne łodzie nawet metrowej długości. Każda łódź reprezentowała duszę zmarłej osoby.

W południe, w kościele Pani w Eyrie, Pytia odprawiała nabożeństwo żałobne. Potem wszystkie łodzie kwiatowe spuszczano na wody kanałów. Gondolierzy okryci białym kwieciami prowadzili je do portu, śpiewając hymny żałobne. Gondole reprezentowały Władców Niebios - Pani obiecała, że znów wrócą na Querencię, by poprowadzić ludzkie dusze w przyjazne objęcia Morza Odyna. Gondole dopływały tylko do portu, a łodzie kwiatowe dalej dryfowały na falach.

A wieczorem miało być wielkie imprezowanie. Bezchmurny ranek obiecywał pogodny dzień. Edeard drzemał niespokojnie. Główny konstabl Walsfol wdzierał mu się brutalnie do umysłu swoją dalmową.

- Co, proszę pana? - Edeard półprzytomnie wychodził z dziwnego snu. Nie zdawał sobie sprawy, że konstabl ma tak silną dalmowę. Oczywiście, to zrozumiałe: dzięki romansowi z Ranalee jaśniej widział kwestie hierarchii w mieście.

- Chcę, żebyś stawiał się w rodzinnej rezydencji Culveritów w Haxpen - polecił mu Walsfol. - Idź tam natychmiast.

- Dobrze, proszę pana - odparł Edeard sennym głosem. - A po co?

- Spotkamy się tam na miejscu i wyjaśnię ci sytuację. I zabierz resztę drużyny.

Edeard przecierał oczy. Poszedł spać dopiero po północy. Wczoraj wieczorem stowarzyszenie sąsiedzkie ulicy Lillylight

dostrzegło gondolę, którą trzej nieznani gangsterzy płynęli kanałem Wiktorii. Edeard wraz z paroma konstablami z posterunku Silvarum przechwycili gondolę, cumującą przy pomoście na kanale Lotnym. Kazali gangsterom odpłynąć. Nie napotkali oporu, ale Edeard cały czas obserwował gondolę, gdy wracała Wielkim Kanałem Głównym.

I tak każdego dnia. Musieli być w stałej gotowości, ponieważ gangi ciągle usiłowały się przedrzeć do Jeavons i Silvarum. Wzywano ich do sklepów i innych firm, gdy nowym gangsterom udało się przedostać do dzielnicy. Dwa dni zmarnowali w sądzie. Zarzut: kwalifikowana napaść psychiczna. Ale na szczęście mistrz Cherix, który wniósł oskarżenie, nie mógł się równać z mistrzem Solarinem.

Edeard jęknął i wysunął nogi spod ciepłej kołdry. Jessile przesunęła się na materacu.

- Co takiego? - wymamrotała.

- Muszę iść - odparł łagodnie i pocałował ją w czoło. Znów jęknęła i mocniej się skuliła.

- Nie będzie mnie tu wieczorem, muszę być z rodziną na przyjęciu. Zobaczymy się jutro.

- Dobrze.

Jessile znów spała. Edeard kazał gemałpie przynieść świeże ubranie. Wkładając je, przywoływał swoją drużynę. Poczucie, że nie tylko on jest gnębiony, sprawiało mu satysfakcję.

Przy drzwiach włożył buty. Smętnie spojrzał na swoją skromną łódkę kwiatową: w trzydziestocentymetrowym stelażu z kartonu tkwiło kilkanaście czerwonych i żółtych róż. Przyjaciele stwierdzili, że to dobra łódka i że wszyscy budowali dokładnie takie same. Edeard uważał, że to spóźniony hołd dla Akeema i innych mieszkańców Ashwell.

Spotkał się z Boydem i Kanseen na podjeździe kamienicy. Wcześniej wyciągnięci z łóżek, mieli podły nastrój. Edeard nie spojrzał na Kanseen. Nie była sama tej nocy.

- Czekamy na Dinlaya? - spytał Boyd, gdy wchodzili po schodach.

- Dołączy do nas już na miejscu.

Na twarzy Boyda pojawił się szeroki uśmiech.

- Czyli był z kimś w nocy?

- Nie twoja sprawa - odparł Edeard odrobinę zbyt ostro. Teraz naprawdę nie mógł patrzeć na Kanseen.

- Domyślcie się, o co chodzi? - spytała.

- Nie. Ale skoro sam Walsfol wezwał nas do domu Culveritów, na pewno sprawa nie jest banalna.

- Julian jest Mistrzem Dzielnicy Haxpen - powiedział Boyd. - Chyba należy do niezdecydowanych.

- Tak mi się wydaje. - Edeard potarł dłonią czoło. Już stracił orientację, którzy mistrzowie im sprzyjają. Lojalność była płynna. Ostatnio przestał śledzić rozgrywki w Wysokiej Radzie i tylko modlił się o to, żeby Finitan uzyskał przewagę.

Boyd otworzył wielką bramę z kutego żelaza. Macsen czekał na zewnątrz przed posesją. Na powitanie uniósł rękę.

- Dinlay nie przebolała jeszcze sprawy Chiaran - powiedział Boyd wesołym tonem.

- Te metody Ivarla dały nam łupnia - rzekł Edeard. Wyszli na ulicę. - Nie mówmy o tym i już chodźmy, dobrze?

Boyd otwierał usta, wyraźnie zamierzał dodać jakiś złośliwy komentarz, gdy z drugiej strony pustej ulicy dobiegło wołanie kobiety:

- Stąpający po Wodzie!

Siedziała przed wejściem do warsztatu krawieckiego naprzeciw kamienicy. Edeard wyczuł jej obecność dalwzrokiem, gdy schodzili ze schodów, ale kobieta nie miała przy sobie broni. Towarzyszyła jej trójka dzieci - rzecz trochę niezwykła o tej porze dnia - nie był to jednak powód do niepokoju. Edeard pomyślał poprzednio, że kobieta po prostu przybyła wcześniej o świcie na festiwal. Teraz szła przez ulicę, ciągnąc za sobą nieszczęsne zaspane dzieciaki. Najstarszy syn mógł mieć najwyżej pięć lat, a najmłodsza dziewczynka ledwo umiała chodzić.

- Stąpający po Wodzie, gdzie ja się podzieję? - spytała zaczepnie.

- No, powiedz, gdzie?



- O co chodzi? - Edeard nic nie rozumiał. Macsen szedł szybko w ich stronę.

- Jak wyżywię dzieci? Spytaj go, Dannil, no, spytaj wielkiego Stąpającego po Wodzie, kto ci da śniadanie. - Wypchnęła średnie dziecko, chłopca w podartym zielonym swetrze i zniszczonych szarych spodniach. Spojrzał na Edearda i wargę zaczęła mu drżeć. Wybuchnął płaczem.

- Chcę do tatusia!

- O co chodzi? - spytał znów Edeard.

- O mojego męża, Eddisa - warknęła kobieta. - Wygnałeś go. Wyrzuciłeś z jego własnego domu. Mieszkamy na ulicy Fonscale. Przychodźcie, dranie, i mówcie mu, że ma się wynosić z Silvarum. A mieszał tu od siedmiu lat. Nie może wrócić. Nie może wrócić do mojego domu, gdzie moja rodzina żyje od trzech wieków. Co to za prawo? Powiedz mi, gdzie mam się podziać. Jak wykarmię dzieci bez ojca? Co? Odpowiadaj, ty wsioku!

Edeard patrzył na nią zszokowany, w mózgu miał pustkę. Boyd jęknął i przewrócił oczyma, wzywając Panią.

- Ale gównu! - mruknął. Kanseen nie uległa.

- A przedtem jak was żywił? - spytała. - Jaką pracę wykonywał twój mąż?

- Przepadnij w Honious, podła dziwko. Zrujnowaliście nam życie.

- Jaką miał pracę?

- Jest dobrym człowiekiem. Przynosił nam jedzenie. Kochał swoje dzieci.

- Może kochał pani dzieci, ale robił krzywdę dzieciom innych ludzi - stwierdziła Kanseen. - Groził im, bił, wymuszał od rodziców ciężko zapracowane pieniądze.

- Nigdy tego nie robił. - Zakryła uszy najstarszego syna. - To kłamstwa. Mówisz same kłamstwa. Wszyscy zgnijecie w Honious. Eddis pracował w rzeźni na Crompton. Brudna praca, ciężka, żaden genistar tego nie potrafi.

- Dobrze wiesz, co robił - warknęła Kanseen. - Jeśli za nim tęsknisz, to go szukaj w nowym domu. Ale zapamiętaj sobie:

oczyszcimy miasto z takich typów jak on. W tym roku ich zlikwidujemy.

Kobieta splunęła na Kanseen, ale ta pacnęła plwocinę trzecią ręką. Teraz cała trójka dzieci płakała.

- Przekaż Eddisowi coś ode mnie - rzekł Edeard. - Jeśli zostawi gang, jeśli znajdzie sobie uczciwe zajęcie, a takich prac nie brakuje, może spokojnie wrócić na ulicę Fonscale. Osobiście unieważnię nakaz. Tylko musi zrobić, o co proszę.

- Wal się! - Odciągnęła dzieci. - Nic nie wiesz o życiu. Ivarl jeszcze zatańczy na twoich prochach. I żaden Władca Niebios nie zbawi twojej duszy.

Gdy odchodziła, tupiąc, Macsen dotknął róna kapelusza.

- Dziękuję, szanowna pani, zawsze z przyjemnością służymy obywatelom - powiedział, lecz niezbyt głośno.

- Dobrze się czujesz? - spytała Kanseen Edearda.

- Tak. - Niepewnie skinął głową. - Chyba tak. O, Pani, ile rodzin zostało w ten sposób rozdzielonych?

- Myślisz poważnie? - Kanseen była sceptyczna. - A rodziny, które są ofiarami Eddisa? Ludzie, którym powinienes pomagać? Isoix i jego dzieci? Nie zasługują na współczucie?

- Tak, wybacz. - Edeard spuścił głowę. - Nie przypuszczałem, że to takie trudne.

- Głowa go góry. - Boyd otoczył Edearda ramieniem. - Może już być tylko gorzej.

Edeard chciał zaprotestować, ale dostrzegł kpiącą minę Boyda i blade się uśmiechnął.

- O wiele gorzej.

- Znacznie, znacznie gorzej - prorokował Macsen.

- Chodźmy. Zobaczmy, jaką udrękę ma dla nas Walsfol.

Ruszyli. Edeard ganił się w duchu za to, że nie przewidział pułapki. Zdziwiło go tylko to, że taka sytuacja nie zdarzyła się już wcześniej. Do początkowej porcji nakazów udało im się dodać kolejne pięćdziesiąt, ale piętnaście unieważniono. W kilku wypadkach z powodu autentycznej pomyłki tożsamości, ale zdarzało się też, że ludzie ze stowarzyszeń sąsiedzkich próbowali przy okazji załatwić stare urazy; niektórzy kupcy usiłowali

wyeliminować konkurencję, skazując rywali na banicję. Każdy przypadek nadużycia wymagał starannego przeglądu i wyjaśnienia. Zajmowało to konstablom wiele czasu, choć mniej niż procesy sądowe - takim argumentem Edeard usiłował przekonać gderających Mistrzów i kapitanów posterunków.

Mimo kłopotów, nadużyć, prób prawnego kwestionowania, mimo to, że reketierzy cały czas usiłowali się przedostać do dzielnic, Edeard uznał swój pomysł za sukces. I nie był w tym odosobniony. Gangsterom nie udawały się wymuszenia w Jeavons i Silvarum i tylko dwaj kupcy zostali napadnięci przed przybyciem konstabli. Pozostałe dzielnice Makkathranu z uwagą obserwowały wyniki akcji. Pod narastającą presją Mistrzowie Haxpen, Lillylight, Drupe, Ilongo i Paduy wystawiali nakazy i prosili o wsparcie z posterunków. Za parę dni nakazy mogą być podpisane. Jutro upływał ostatni dzień trzytygodniowego okresu próbnego, wyznaczonego przez Volograla. Ostatnie słowo nie należało do Mistrza Dzielnicy i Reprezentantów. Te czasy już minęły. Wysoka Rada miała się zebrać na debatę o tym, jak banicje spowodowały „zaburzenia” w życiu miasta.

Finitan przewodził blokowi radnych, którzy uznali akcję za korzystną. Jeśli przegrają, nakazy zostaną wycofane. Finitan powiedział Edeardowi, że Bise przygotowuje ustawę uchylającą poprzednie prawo; Bise ma rzekomo spore milczące poparcie, bo nikt nie ma pewności, dokąd cała akcja doprowadzi. Czy Stąpający po Wodzie zamierza zmienić Sampalok w odcięty od reszty miasta, zamknięty obóz kryminalistów? A w ogóle, to w jaki sposób taki młody, niedoświadczony konstabl stanął na czele kampanii? Mistrzowie nerwowo obserwowali polityczną rolę Edearda. Naciskali na Finitana, by przedstawił im akceptowalną koncepcję zakończenia kampanii.

Edeard nie potrafił jej przedstawić. Kiedyś miał nadzieję, że Wysoka Rada podejmie rozwiązanie ostateczne. Najlepiej, żeby uchwaliła całkowitą banicję. Nie miał jednak pewności, w jaki sposób powinno się to osiągnąć ani dokąd przegnać gangsterów. Chciał tylko nadać bieg sprawie, dać ludziom nadzieję. Dopiero teraz ujawniły się prawdziwe skutki operacji.

Ale nawet on się uśmieł, gdy po kąpeli Cherixa w Stawie Birmingham Mistrz Bise ostentacyjnie podpisał akt zakazujący Edeardowi przebywania w Sampalok. Mniej zabawne było pełne godności oświadczenie Pytii, że ona nigdy nikomu nie zabroni odwiedzin kościoła Pani w Eyrie. Owain również oznajmił, że nie wyda żadnych nakazów dotyczących Anemone i Majate, gdyż każdy obywatel powinien móc dotrzeć do siedziby rządu - a to prawo ustanowił sam Rah. No i jeszcze protesty Gildii Gondolierów, bo ich branża ponosi straty... a w Makkathranie nigdy przedtem nie było strajku gondolierów. Trwał tylko jeden dzień, ale wywołał szok. Gondolierzy grozili, że znów zastrajkują, jeśli jutrzejsze głosowanie w Wysokiej Radzie nie przebiegnie po ich myśli. Gildia Dokerów obiecała gondolierom swoje wsparcie.

Na szczęście, Edeard miał duże poparcie kupców i handlowców. Zachęcali go do działania. Również zwykli ludzie byli mu wdzięczni - jeśli sądzić po ich reakcji na obecność konstabli pełniących służbę na mostach.

Edeard bardzo by chciał mieć już za sobą jutrzejsze posiedzenie Rady, bez względu na wynik. Strasznie go dołowało to oczekiwanie.

Dinlay czekał na nich przed głównym wejściem do rezydencji Culveritów. Pierwsze promienie słońca dotarły już do szczytu dziesięciopiętrowego zigguratu i odbijały się w olbrzymich podkowiastych oknach. Wielką żelazną bramę otworzyło pięciu strażników w mundurach z insygniami rodu; byli uzbrojeni w pistolety. Drużyna weszła na obszerny dziedziniec.

Kolumny były obrośnięte pnącymi topazowymi różami, a wysokie granitowe posągi Mistrzów i Mistrzyń z rodu Culveritów patrzyły surowo. Powitał ich koniuszy i zaprosił do domu. Edeard westchnął, widząc spiralne schody.

- Rodzina mieszka chyba na ostatnim piętrze - powiedział cicho do Boyda.

- Rodzina Mistrza, oczywiście, tak.

Na szczycie znajdował się otoczony ogrodem dom większy od posterunku konstabli w Jeavons. Była to tradycyjna rezydencja

Mistrza Dzielnicy: niższe piętra zajmowali liczni krewni, obsługa domu i pracownicy administrujący majątkami Mistrza.

Wchodząc na górę, Edeard wyraźnie wyczuwał nastroje mieszkańców: wściekłość, głównie u mężczyzn, oraz strach i smutek.

- Coś złego się tu stało - powiedział cicho. Macsen, również zaniepokojony, skinął głową.

Na szczycie, w ogrodzie wychodzącym na Wielki Kanał Główny, czekali na nich Walsfol i Julan. Nawet o tak wczesnej porze Naczelnny Konstabl nosił nieskazitelną bluzę; złote guziki błyszcząły w słońcu. Julan natomiast włożył pomięty szlafrok na nocną koszulę. Należał do nielicznych arystokratów, którzy nie ukrywali swojego wieku. Miał sto pięćdziesiąt trzy lata, pochyłe ramiona i rzadkie siwe włosy. Zapadnięte, czerwono podkrążone oczy wyrażały skrajną rozpacz.

Po drodze koledzy przekazali Edeardowi plotki na temat Culveritów, którzy w ostatnich czasach stali się tematem rozlicznych spekulacji. Mistrz Julan bardzo późno się ożenił; nic niezwykłego w jego warstwie. Małżeństwo uważano za naprawdę romantyczne. Arystokrata zakochał się od pierwszego wejrzenia w kobiecie o sto osiem lat młodszej i był jej bardzo oddany aż do przedwczesnej tragicznej śmierci żony sześć lat temu. Ich pierwszym dzieckiem była dziewczynka, Kristabel, drugim - przy porodzie którego matka zmarła - również dziewczynka. Wywołało to powszechne zgorszenie. Nie doczekali się syna - dziedzica, rzecz w mieście bezprecedensowa. W legalnie zarejestrowanych dokumentach rodziny Culveritów istniał jednak zapis, że jeśli nie ma synów, to prawo do objęcia dzielnicy Haxpen przechodzi na córkę. Młodszy brat Julana, Lorin, był tym mocno rozczarowany. W dwutysięcznej historii Makkathranu tylko dwa razy kobieta odziedziczyła dzielnicę.

Część rodziny odseparowała się od Julana. Tymczasem starsza córka, Kristabel, stała się najbardziej pożądaną partią w mieście. Wszyscy młodzi szlachcice bardzo chcieli ją poznać. Potencjalni zalotnicy oblegali wszystkie miejsca, gdzie się pojawiała.

- Na Panią, zapewniam cię, jest też wyjątkowo piękną istotą. - Macsen westchnął.

- Mamy tu problem - oznajmił Walsfol, gdy tylko wpuszczono na taras drużynę Edearda. - Na pewno całe miasto będzie o tym wiedziało jeszcze przed śniadaniem. Porwano Mirnathę.

Edeard zerknął na Dinlaya.

- To młodsza córka - przekazał mu Dinlay kierunkową dalmową.

- Składam wyrazy szczerego współczucia, proszę pana. Jeśli mógłbym w czymś pomóc, naturalnie jestem gotów.

Cierpienie Julana nieco już osłabło; rzucił Edeardowi ostre, oceniające spojrzenie.

- Może pan zacząć od wyjaśnienia tego... - Trzymał w ręce małą karteczkę.

Edeard spojrział na niego pytająco i odwołał się do Walsfola. Naczelnny Konstabl łagodnie wyjął kartkę z rąk Julana i podał ją Edeardowi.

- Georzeł dostarczył to niecałą godzinę temu. Edeard przeczytał treść ze ściśniętym sercem.

Mirnatha to słodka dziewczynka. Wróci żywa i słodka, jeśli zapłacisz osiem tysięcy złotych gwinei. Jeśli zgadzasz się na naszą cenę, dziś w południe pomachaj żółto-zieloną flagą z Pałacu Sadowego.

Monety ma nam dostarczyć osobiście Stąpający po Wodzie. Pójdzie do tawerny Jacoba Halla w Owestorn o północy. Tam otrzyma dalsze instrukcje. Jeśli ktoś z nim będzie albo jeśli spróbuje odbić dziewczynę przed przekazaniem okupu, twoja córka zostanie zabita.

- O, Pani, nie - jęknął Edeard.

- Nie mogę ci rozkazać, żebyś dostarczył pieniądze - oznajmił Walsfol.

- Nie musi pan, proszę pana. Oczywiście podejmę się tego. A... czy ma pan pieniądze? - spytał Julana. Za taką sumę można by kupić prowincję Rulan i jeszcze by zostało na flotę najszybszych statków kupieckich.

- Tak, znajdzie się.

- Gdzie jest Owestorn?

- To wieś na Iguru - wyjaśnił Dinlay. - Jakież dwie godziny jazdy od Bramy Południowej.

Daleko; nie można liczyć na pomoc i nawet moja dalmowa nie ma takiego zasięgu, pomyślał Edeard.

- Wiadomość dotarła po zniknięciu Mirnathy. Czy jest dowód na to, że pochodzi od tych, którzy ją przetrzymują? - spytał ostrożnie.

Julen podniósł dłoń. W zaciśniętych palcach miał niebieską wstążkę z długim pasmem złotawych włosów.

- To było dołączone.

- Rozumiem.

Po policzkach starca popłynęły łzy.

- Wstążka pochodzi z jej koszuli nocnej. Wiem, bo pocałowałem córkę na dobranoc. Co wieczór ją całuję. Jest tak cudowna... - Bezradnie łkał.

Walsfol podszedł do niego bliżej, by go pocieszyć.

- Przyjacielu, odzyskamy ją, możesz być pewien. Dołożymy wszelkich starań. Konstable nie spoczną, póki córka nie znajdzie się znów w twoich ramionach.

- To przecież jeszcze dziecko - lamentował Julian. - Sześćioletnie. Kto mógł coś takiego zrobić? Dlaczego? - Patrzył na Edearda szalonym wzrokiem. - Dlaczego to zrobili? Jaka jest w tym twoja rola? Dlaczego ty? Dlaczego ja nie mogę iść? To moje dziecko.

- Nie wiem, proszę pana. - Wylewano na niego tyle bólu, że czuł się zawstydzony.

- A właśnie, że wiesz - dobiegł go słaby głos.

Edeard zidentyfikował dalwzrokiem mówiącą: właśnie wprowadzano ją do ogrodu. Edeard nie chciał się jednak odwrócić.

- To twoja wina - powiedziała z naciskiem pani Florrel. - Wyłącznie twoja. Spowodowałeś to swoją głupią krucjatą przeciwko gangom. Dlaczego nie zostawisz spraw w spokoju? Nikomu to nie przeszkadzało. Miasto doskonale funkcjonowało, zanim ty się pojawiłeś.

Edeard wziął głęboki oddech. Próbował ekranować wzbierającą w nim złość. Pani Florrel jak zwykle miała na sobie staromodną czarną sukienkę. Na głowę włożyła wysoki kapelusz z wystającym fioletowym owocem. Podtrzymywana przez wykwintnie ubranego mężczyznę, szła powoli w stronę Edearda.

- To Lorin, młodszy brat Julana - szepnął Macsen.

Pani Florrel stanęła tuż przed Edeardem. Skuliła ramiona, jakby w bólu, ale udało jej się przykuć go bezlitosnym spojrzeniem. - I co powiesz?

- Pani Florrel.

- Co masz do powiedzenia?

- Uwolnię dziewczynkę i policzę się ze sprawcami.

- Nie. Wręczysz im tylko pieniądze, jak ci powiedziano. Nic więcej. Nie chcę, żebyś pogorszył sytuację przez swoją cholerną głupotę. Od teraz milicja zajmuje się tą sprawą. Potrzebny nam uczciwy dżentelmen z dobrej rodziny. A nie błazen ze wsi.

Edeard zacisnął zęby.

Boyd położył mu dłoń na ramieniu. Uśmiechnął się uprzejmie.

- Będziemy pod każdym względem współpracować, pani Florrel. Spojrzała na niego zwężonymi oczyma.

- Ja cię znam. Saria zapalała do ciebie sympatią.

- Tak, proszę pani.

- Ha. - Odprawiła go machnięciem dłoni. - Mój drogi chłopcze. - Przeszła do Julana z otwartymi współczująco ramionami. - Jak się trzymasz? To takie, takie straszne.

- Ona... ona wróci - wyjąkał Julian.

- Zrobimy wszystko, żeby wróciła - powiedział Lorin wylewnie.

- Co było między nami, teraz nie ma znaczenia. Chcę ci okazać pomoc w tym trudnym okresie.

Julan skinął głową.

- Dziękuję - szepnął.

- Chodź, usiądź, drogi Julanie - poprosiła go pani Florrel. - Rodzina ma nieść pociechę. Tego ci potrzeba. Już nie jesteś sam, nie jesteś otoczony przez głupców. Idź, przynieś mu herbaty - zwróciła się władczo do Walsfola. - Mój drogi, czy masz dość



pieniędzy na okup? Jeśli nie, pomogę ci. Musimy tylko sprowadzić ją do domu, do kochającej rodziny.

Walsfol skinął z respektem Julianowi głową i wyszedł z ogrodu, dając znak drużynie, by szła za nim.

- Co teraz? - spytał Edeard.

- Z niechęcią przyznaję, że pani Florrel ma rację pod pewnym względem - rzekł Walsfol. - Chodzi o ciebie.

- Tak, proszę pana - odparł Edeard.

- Na razie tu zostań, na wypadek, gdyby porywacze się skontaktowali. I na Panią, schodź jej z drogi. - Zirytowany wskazał na ogród za łukowym wejściem. - Zbiorę kapitanów posterunków. Ktoś tam z nich musi wiedzieć, gdzie jest to biedne dziecko. Ktoś powie.

Edeard rozejrzał się po wspaniałym salonie wypełnionym bajecznymi dziełami sztuki i połączanymi meblami.

- Jak oni się tu dostali? - spytał ze zdziwieniem. - A potem jak stąd wyszli, niosąc Mirnathę? W imię Pani, przecież w tym budynku są setki ludzi, a to jest dziesiąte piętro.

- Trafne pytanie - przyznał Walsfol ściszym głosem. - Kapitan straży domowej nazywa się Homelt. Porozmawiaj z nim. Porywacze musieli mieć jakąś pomoc od wewnątrz. Rozejrzyj się po pokoju dziewczynki. Musi być jakaś wskazówka, jakiś dowód, który pomoże znaleźć porywacza.

- Myśli pan, że ona ciągle żyje?

Walsfol zerknął z miną winowajcy w stronę ogrodu.

- Bardzo rzadko porywacze zwracają swoje ofiary. To skłania rodziny do płacenia okupu, w nadziei, że ich drodzy krewni będą wyjątkiem.

- Więc może ona nadal żyje?

- Tak. Możliwe. Musimy działać z nadzieją, że Mirnatha zostanie bezpiecznie przekazana w zamian za pieniądze.

Edeard nie słyszał w jego tonie otuchy. Homelt czekał na nich w głównym korytarzu. Pięćdziesięciolatek był krępy, ale w dobrej formie. Mocnej samokontroli wymagało od niego opanowanie wściekłości i rozpacz. Powiedział, że dwadzieścia lat spędził w policji na posterunku w Bellis.

- Byłem dobrym konstabłem - stwierdził. - Nie to, co inni, którzy zaciągają się dla zarobku. Dobrze wykonywałem obowiązki i zasłużyłem na to stanowisko.

- Więc w jaki sposób ją porwano? - spytał Edeard.

Przez chwilę wydawało się, że Homelt może go uderzyć. Stał bez ruchu i długo nabierał powietrza.

- Nie wiem. Na Panią, uczciwie mówię. To był środek nocy. Wszystkie bramy są zamknięte i dobrze strzeżone. Dodatkowo strażnicy patrolują wewnątrz w różnych miejscach, to tu, to tam. Zawsze ktoś jest na schodach. Po prostu nie rozumiem.

- A nowi strażnicy?

- Do wczoraj wydawało mi się, że każdemu z nich mogę ufać. Dziś już nie jestem tego pewien. Nie przyjmujemy byle kogo. Osoba musi być znana i mieć poparcie. I podobnie jak wy, dość dobrze się orientujemy, kto współpracuje z gangami.

- W takim razie powiedz, co się stało.

- Piastunka dziecka prawie od razu podniosła alarm. Po pierwsze, podwoiliśmy strażę przy bramie, potem przeszukaliśmy całą rezydencję, każde pomieszczenie, przysięgam. Nie tylko dalwzrokiem: wszędzie byliśmy fizycznie. Potem ten cholerny georzeł wylądował w ogrodzie na dziesiątym piętrze. Mistrz... załamał się, nigdy go nie widziałem w takim stanie. Była naprawdę urocza. Zupełnie nie jak dziecko arystokracji, nie stroiła fochów, jak to one często mają w zwyczaju.

- Czy mógłbym zobaczyć pokój? - poprosił Edeard.

- Co o tym myślisz? - spytał go Dinlay, gdy Homelt prowadził ich korytarzami.

Przygnębieni służący stali ze zwieszonymi głowami. Edeard nie wyczuwał u nich absolutnie żadnego poczucia winy, wszystkich paraliżowało przerażenie. W pokoiku przylegającym do pomieszczeń rodziny trzy piastunki płakały otwarcie. Nawet gemały były przygaszone, osaczone emocjami panującymi w całym domu.

- To samo, co ty - odparł Edeard. - Ktoś, kto potrafi być niewidzialny. Nie ma innej możliwości.

- Gangsterzy to potrafią? - spytała Kanseen z niepokojem.  
- Szeregowi, z jakimi mamy do czynienia na ulicach, nie potrafią, ale przekonałem się na własnej skórze, że Ivarl posiada znaczne siły parapsychiczne.

Pokój Mirnathy przypominał rozmiarami mieszkanie Edearda. Ściany obwieszono różowymi tkaninami, na których hasały kolorowe wróżki, nikasprity i ptaki. Na podłodze stały dwa duże domki dla lalek, a ich kunsztownie ubrane mieszkanki walały się po całym pomieszczeniu. W szafach wisiało pełno uroczych sukieneczek.

Edeard stał na różowym dywanie, rozglądając się wokół, i czuł ukłucia w sercu. Wąchał powietrze.

- Czujesz to? Coś cierpkiego? - W pobliżu łóżka z pretensjonalnym, koronkowym baldachimem zapach się nasilił.

- Chloroform - stwierdził Homelt. - Uciszyli ją w ten sposób.

- Co to takiego chloroform? - spytał Edeard.

Koledzy spojrzeli na niego w szczególny sposób. Miał już tego dość.

- To substancja chemiczna - wyjaśnił Dinlay. - Kiedy się ją wdycha, człowiek zasypia. Prawie wszyscy porywacze to stosują: nasączają tym chusteczkę i trzymają przy twarzy ofiary.

- Użyli substancji chemicznej w stosunku do sześciolatniej dziewczynki?

- Tak. - Homelt dziwnie spojrział na Edearda.

Ten po raz ostatni rozejrzał się po pokoju, a potem pchnął szklane drzwi, prowadzące na porośnięty trawnikiem taras. Przy srebrnoszarej barierce stały donice z ozdobnie przyciętymi cisami. Edeard oparł dłonie na balustradzie i spojrział w dół na opadającą spiralę tarasów. Teraz, gdy wiosna była już w pełni, rośliny pyszniły się barwami kwiatów, witających ciepłe, słoneczne dni. Ogród Mirnathy wychodził na wschód. Po lewej stronie Edeard widział Wielki Kanał Główny, który idealnie prostą linią biegł do dalekiego morza Lyot. Coraz więcej ludzi pojawiało się nad brzegami kanału; zajmowali sobie miejsca na festiwalowe imprezy. Edeard rozszerzył swój dalwzrok za Staw Leśny i Średni aż do Stawu Pierwszego na południowym krańcu

Myco. Tam był Dom Błękitnych Płatków, którego wewnątrz imponująco odbudowano po pożarze.

Ivarl stał przed owalnym oknem swojego gabinetu i rozciągał dalszyrok ku Edeardowi. Przez sekundę Edeard znalazł się znów w swoim pokoju w Gildii Jajoformerów w Ashwell, przeszukiwał wieże wiejskich bram, by się upewnić, czy nie ma tam strażników - a szef bandytów go obserwował.

- Nigdy bym nie uwierzył, że się do tego zniżyłeś - przekazał przeciwnikowi lodowatym tonem. - Na litość Pani, ona ma sześć lat. Sześć!

- Żal mi dziewczynki, ale to nie ja - odparł Ivarl.

- Nie potrafisz przekonująco kłamać.

- Twoja działalność niepokoi niektórych bardzo ważnych ludzi. A ten numer, wtedy gdy zniknąłeś w ogniu... nawet ja byłem pod wrażeniem. Zaczynają rozumieć, czym jesteś i do czego jesteś zdolny. Mam wrażenie, że nawet ty sam nie rozpoznałeś jeszcze całego swojego potencjału. Choć i tak przestraszyło ich już to, co pokazałeś do tej pory. Nie pozwól ci się w pełni rozwinąć. O to chodzi w dzisiejszej sprawie, a nie o dziewczynkę. Ona jest tylko środkiem do celu, ale chyba już się zorientowałeś, prawda?

- Gdzie ona jest?

- Nie wiem. I nie wiem, kto może wiedzieć. Jeśli chcesz ją dostać, musisz dostarczyć okup.

- Żyje?

- Tak przypuszczam. Muszą cię wywabić daleko z miasta, żebyś był sam, bez szansy pomocy. Jeśli umrze, stracą swoją przewagę, nie będą mogli tobą manipulować. To uwaga od kogoś, kto ma znacznie więcej doświadczenia w takich sprawach.

- Kto? Kto to zrobił?

- Daj spokój, Stąpający po Wodzie.

- Uznaję, że ty jesteś odpowiedzialny.

- Zbyt trudno ci zaakceptować prawdę? To twoja wojna i powinieneś być przewidzieć wszystkie skutki, zanim ją rozpocząłeś. Już za późno na to, by udawać oburzenie, gdy sprawy obróciły się przeciwko tobie. A teraz nie możesz się już wycofać. Tylko ty jesteś w stanie ją uratować.

- Będziesz negocjował w moim imieniu? Pójdę do nich w Owestorn, jeśli ją puszczą.

- Ależ jesteś naiwnie szlachetny! Droga Pani, eh, ta młodość i cnoty młodości! Miasto będzie skazane na zagładę, jeśli kiedyś zasiądziesz w fotelu burmistrza przy Radzie.

- Porozmawiasz z nimi?

- Nie chcą męczennika. Twoja śmierć im nie wystarczy. Ważne, w jaki sposób umrzesz.

- Ona ma dopiero sześć lat!

- Nie ma już z kim rozmawiać; moi najdawniejsi i najdrożsi przyjaciele już mnie nie słuchają. Staranniej powinieneś wybierać swoich przeciwników. Jestem dla swoich ludzi tym, kim ty jesteś dla konstabli, sklepikarzy i kupców. A ja przegrywam walkę. I nie chodzi tylko o pieniądze, które przez ciebie straciłem, chodzi również o władzę. I właśnie jej strata będzie zabójcza.

- Jeśli ona umrze, przysięgam, że ty też umrzesz.

- Chyba nie sądzisz, że obaj dożyjemy jutra. - Ivarl pokręcił głową, uniósł rękę na pożegnanie i wycofał się do swojego gabinetu.

Edeard warknął sfrustrowany i uderzył dłonią w balustradę.

- To ty jesteś Stąpającym po Wodzie?

- Co? - Odwrócił się i zobaczył Kristabel. Stała pod pergolą, oplecioną grubą szmaragdową winoroślą.

Pierwsze wrażenie, którego zawsze się wstydził: burza potarganych włosów i pajęcze nogi. Równie wstydził się myśli: „Nie jest tak ładna, jak twierdził Macsen”.

Kristabel była wysoka, miała pociągłą twarz, która teraz wydawała się niewiarygodnie melancholijna. Smukłe ciało było luźno owinięte białą bawełnianą koszulą nocną. Dziewczyna płakała. We włosach, złocisto-brązowych jak u siostry, widniały jaśniejsze pasemka. Gdy przeczesywała je dłońmi, tworzyły się sznurkowate kosmyki, które sterczały na wszystkie strony.

Edeard przypomniał sobie o dobrych manierach i skłonił się.

- Tak, pani, to ja.

- Pani! - Uśmiechnęła się, ale uśmiech wyglądał jak grymas, gdy próbowała opanować łzy. - Jestem panią niczego. Nasza rodzina to wielkie przekleństwo, kpina. Jak Pani mogła do tego dopuścić?

- Proszę nie tracić nadziei. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby siostra wróciła.

- Wszystko, co w twojej mocy. A co mianowicie? - Skrzywiła się.

- Wybacz - To moja siostra. Tak bardzo ją kochałam. Dlaczego mnie nie porwali? Dlaczego?

- Nie wiem. - Edeard miał ochotę objąć ją ramionami, pocieszyć. Była od niego jakiś rok młodsza. Jej ból, wypływający z nieekranowanego umysłu, był poniżający.

- Jeśli będziesz z nimi rozmawiał... zaproponuj, żeby te potwory wzięły mnie. Chcę pójść zamiast siostry. Mogą ze mną zrobić, co im się podoba. Jest mi wszystko jedno. Pragnę tylko, żeby Mirnatha wróciła do domu. Powiedz im to. Niech zrozumieją. Jestem przecież bardziej wartościowa, jestem pierwszą córką. Będę Mistrzynią tej dzielnicy.

- Pani Kristabel, pani rolę jest wspieranie z całych sił ojca. - Starał się mówić z przekonaniem. - Sprowadzę pani siostrę.

- To tylko słowa. Obietnice. Tysiąc razy słyszałam podobne z ust Mistrzów. Nic nie są warte.

- Proszę dać mi szansę. Nie jestem Mistrzem. Proszę nie tracić nadziei.

Udręczona, załamała rękę.

- Naprawdę myślisz, że jest nadzieja?

- Zawsze - odparł poważnie.

- Chcesz dostarczyć okup?

- Tak, jeśli to konieczne.

- Podśluchałam naszych ochroniarzy. Mówią, że to pułapka.

- Racja.

- Nawet nie znasz Mirnathy.

- Nie muszę jej znać.

- Jesteś rzeczywiście dobrym człowiekiem. Czy dlatego gangi cię tak nienawidzą?

- Tak sądzę.

Wyprostowała się, wygładziła koszulę i spojrzała na niego badawczo.

- Czy naprawdę odtrąciłeś Ranalee?

Znów się skłonił.

- Tak, pani.

- Nie nazywaj mnie tak. - Uśmiechnęła się i podskoczyła do niego. Poczul jej wargi na policzku. Zaskoczony, nie zdążył się cofnąć.

- Niech Pani cię błogosławi, Stąpający po Wodzie. - Odwróciła się i pobiegła w dół ogrodu.

Wrócił do pokoju Mirnathy. W głowie miał całkowity zamęt.

- Co ci jest? - spytał Dinlay.

- Po co oni to robią? - Edeard rozglądał się po pokoju. Nigdy wcześniej nie widział tyle różu w jednym miejscu.

- Żeby cię wykiwać - powiedział Boyd.

- To było pytanie retoryczne. Chcą mnie wyciągnąć do Owestorn, bo myślą, że będę tam bezbronny i zdołają mnie zabić.

- Ja też bym tak zrobił - stwierdził Macsen, ignorując zirytowane i wściekłe spojrzenie Kanseen. - Zbiorą tam małą armię. Nawet jeśli przyczaimy się w odległości dziesięciu minut, będzie po wszystkim, gdy dotrzemy na miejsce. A na dokładkę nas też wykończą.

- Ale w ten sposób staniemy się męczennikami, jak on powiedział. To doda siły naszej sprawie. Może nawet tyle siły, żeby wygrać jutrzejsze głosowanie.

- Kto powiedział? - dopytywał się Dinlay.

- Więc to nie jest zbyt dobry pomysł - przyznał Macsen. - I Mirnathy nie puszcza do domu.

- W ten sposób wina spadnie na ciebie - zauważył Boyd. - Żaden naoczny świadek nie przeżyje, więc tak to zaaranżują, żeby wszystko wskazywało na twoją lekkomyślność. Miasto uzna, że jesteś odpowiedzialny za śmierć dziecka: przecież miałeś pieniądze na okup. W ich mniemaniu żaden przestępca nie ryzykowałby straty wielkiego okupu, zwłaszcza gdy porwanie zostało tak świetnie zorganizowane.

- I nakazy banicji zostaną zlikwidowane. Wraz z nami - podsumował Edeard. - Sprytne.

- Więc co robimy? - spytała Kanseen.

Edeard spojrział na kunsztowne drewniane łożeczko w kształcie łabędzia, i wyobraził sobie dziecko śpiące pod liliową kołderką.

- Znajdziemy ją.

- Dobrze by było. Wiadomość o porwaniu już się rozchodzi po mieście. Ludzie są oburzeni, to się czuje. Wszyscy jej będą szukać. Dziś traktują to jako podwójne świętokradztwo. Gangi nie mogą liczyć na poparcie. - Macsen analizował sytuację. - Dobrze ją ukryli, o ile w ogóle jeszcze żyje.

- Żyje. - Edeard podszedł powoli do łożeczka. - Jest im potrzebna do północy. W ten sposób mają nade mną kontrolę.

- Złapmy Ivarla. - Dinlay ekscytował się własnym pomysłem. - Pokonajmy ogień ogniem. Nie spodziewają się tego. Muszą go wymienić za Mirnathę.

Macsen spojrział na niego zaskoczony.

- No, nie spodziewałem się, że usłyszę coś takiego od ciebie. Jestem pod wrażeniem. To ma zalety: całkowite zaskoczenie. Co ty na to, Edeardzie?

- Nie. Zresztą, Ivarl nie ma z tym nic wspólnego.

- Skąd wiesz?

- Właśnie mi o tym powiedział. - Edeard przesunął dłonią po baldachimie nad łożeczkiem, próbując sobie wyobrazić Mirnathę.

- Powiedział ci...

Wszyscy spojrzeli po sobie znacząco.

- Tak. Bądźcie tak mili i popilnujcie drzwi, zatrzymajcie każdego, kto by chciał tu wejść. Przez chwilę muszę być sam.

- W porządku - powiedział Macsen pojednawczo. - A mógłbyś nam powiedzieć, dlaczego?

- Chcę przywołać wspomnienia - wyjaśnił Edeard.

Zachowali się poprawnie: nie spierali się z nim. Był pewien, że mają wątpliwości, ale wyszli, stanęli przy drzwiach i rozmawiali.

Edeard przywarł do ściany obok łożeczka i zapuścił dalwzrok w twardą strukturę budowli.



- Chcę wiedzieć - powiedział do niej. - Muszę zobaczyć, co pamiętasz. Na samym progu percepcji, dostrojone do uśpionych myśli miasta, migotały obrazy jak wspomnienia snu. Po pokoju dziecięcym chodzą ludzie, on z kolegami. Dalsze wspomnienia: Julian krzyczy w szale, Kristabel płacze jak na pogrzebie. Dalej: ochroniarze i piastunki biegną nerwowo. A wcześniej: wchodzi piastunka i widzi, że nie ma Mirnathy. I jeszcze wcześniej: dziewczynka pogrążona w błogim śnie, uroczo przytula pluszowego misia.

Edeard wolniej przeglądał strumień obrazów, teraz coraz późniejszych. Po północy, w półmroku pokoju zmaterializowała się jakaś postać. Mężczyzna w ciemnej pelerynie, pozbył się swojej niewidki i stanął przy łóżeczku. Edeard go nie znał, ale rysy wydały mu się jakby znajome. Gdyby go pytano, powiedziałaby, że porywacz jest być może spokrewniony z Tannarlem, jednym z licznych kuzynów Ranalee. Miał na sobie kosztowny płaszcz i drogie buty. Nie był szeregowym gangsterem. Wyjął z kieszeni szmatkę i nalał na nią trochę płynu z małej brązowej buteleczki. Mocno przycisnął szmatkę do twarzy Mirnathy. Przez krótką chwilę dziewczynka się wyrывała. Edeard zacisnął pięści, chciał zabić porywacza, ale wcześniej sprawić, by cierpiał.

Mężczyzna podniósł nieprzytomną Mirnathę. Pluszowy miś spadł na podłogę. Niewidka mężczyzny objęła również dziecko. Sekundę później drzwi otworzyły się i zamknęły jakby samoistnie.

Edeard wielokrotnie zanurzał się we wspomnienia budynku, ale struktura nie mogła widzieć okrytego niewidką porywacza. Edeard wstrzymał na chwilę obraz, gdy porywacz unosi dziecko z łóżka - widział to tak wyraźnie, jakby stał tuż obok nich.

Dom musi go pamiętać w jakiś inny sposób, pomyślał. Nie miał jednak zbyt dużej nadziei. Wraz z kolegami przez wiele tygodni prowadził eksperymenty, by się przekonać, czy niewidka ma jakieś słabe punkty, czy da się coś spoza niej wyczuć. Dotychczas niczego takiego nie znaleźli. Ostatni dar Akeema nie miał najwyraźniej żadnych wad.

Teraz gorączkowo się zastanawiał, co mogłoby zdradzić obecność porywacza. Pies podjął jego zapach wtedy w Domu Błękitnych Płatków, ale miasto nie miało zmysłu powonienia. Może ruch powietrza, gdy mężczyzna schodził po schodach? Nie zachowała się pamięć o czymś tak ulotnym.

Spojrzał na bladą, nieprzytomną Mirnatę, w chwili gdy poniósł ją porywacz. Jej głowa zwisała bezwładnie, włosy falowały lekko. Mężczyzna lekko się skrzywił, unosząc ciężar dziecka.

- Ciężar! - zakrzyknął Edeard uradowany swoim odkryciem.

Miał rację. Podłoga pamiętała ciężar każdego kroku. Teraz Edeard przesiewał wielki zasób wspomnień, zmagazynowany w strukturze budynku, koncentrując się wyłącznie na wrażeniach ciężaru. Zwizualizował korytarz i biały pas podłogi z niebieskimi wgnieceniami pod ścianą, tam gdzie stały kosztowne antyczne stoły i krzesła. Ciemny ołowiany odcisk pojawił się za drzwiami pokoju dzieciennego, a kolejne prowadziły korytarzem do głównej klatki schodowej. Kidnaper szedł w dół...

\*\*\*

Gdy Edeard wyszedł z pokoju z niestosownym uśmiechem na twarzy, koledzy spojrzeli na niego z ciekawością.

- Na Honious, co tam robiłeś? - spytał Dinlay. - Nie mogliśmy się opędzić od rodziny. A Julian mówi, że okup jest przygotowany. Na Pałacu Sadowym wywieszono flagę. Milicja siodła konie, żeby cię eskortować za miasto. Potrzebna ci będzie para gekoni do przeniesienia tego całego złota.

Edeard spojrzał w kryształowy sufit korytarza. Słońce świeciło niemal prosto w dach. Na zewnątrz przycichł zwykły gwar dalmowy. Mieszkańców rozwścieczyło to porwanie, ich strach i nienawiść przybrały formę ponurego niezadowolenia. Nie takiego dnia oczekiwali podczas Festiwalu Pani Przewodniczki.

Edeard nie zdawał sobie sprawy z tego, że tak długo zajęło mu krążenie w pamięci budynku. Nieważne. Okup też nieważny.

- Wiem, gdzie ona jest - oznajmił.

- Gdzie? - chciał wiedzieć Dinlay.

- Nie. Jak? - pytał Macsen.

Edeard spojrział im prosto w oczy.

- Miasto zapamiętało.

- Miasto zapamiętało?

- Tak.

Macsen spojrział na Kanseen z powątpiewaniem.

- No, no.

- Dziewczynka jest pod wędzarnią ryb na Layne Street w Fiacre. Rodzina zajmuje dwa poziomy piwnicy na wędzarnię, ale pod tym jest jeszcze jeden poziom. Cztery pomieszczenia. Oni je przejęli.

- Oni?

- Jest ich dziesięciu, może więcej. Nawet ja nie mogę stąd tak dokładnie tego dalszobaczyć. Boyd klasnął w dłonie.

- Genialne. Mamy ją.

- Niezupełnie. Przecież aż dziesięciu ludzi nie musi pilnować sześćdziesięciu dziewczynki, żeby nie uciekła z podziemnego więzienia. I wiedzą, że potrafimy stworzyć niewidki.

- Zabijają ją. - W głosie Dinlaya wyczuwało się brak nadziei. - Jest ich zbyt wielu. Nie dadzą się zaskoczyć.

- Chyba masz rację - stwierdził Edeard.

- Więc co robimy? - spytała Kanseen. Edeard uśmiechnął się.

- Zaskoczmy ich. - Dalmową skomunikował się z Ronarkiem na posterunku i poprosił, żeby im przyniesiono jakąś broń.

- Jesteś pewien, że ona jeszcze żyje? - spytał Macsen.

- Tak, żyje. - Edeard uśmiechnął się.

- Wreszcie dobra wiadomość. Ludzie nie są zbyt szczęśliwi. Dziś miał być festiwal. Teraz już wszyscy wiedzą o porwaniu, a po mieście chodzą agitatorzy i oskarżają ciebie, Edeardzie.

- Urocze.

- Pytia chce zacząć nabożeństwo Pani Przewodniczki od błagania o uwolnienie Mirnathy - poinformował Dinlay. - W południe. Za dziesięć minut. Chcesz z nią rozmawiać, zanim zaczniesz?

- Pani, nie. Nie odzyskaliśmy jeszcze Mirnathy.

Kanseen pokręciła głową: właśnie przerwała próby sięgnięcia tam dalszozrokiem.

- Ledwo stąd widzę tę wędzarnię. Nie potrafię stwierdzić, co jest w piwnicach.

- Oni tam są - zapewnił ją Edeard.

- Jaki mamy plan? - spytał Dinlay. - Możemy otoczyć budynek. Kiedy wszyscy się dowiedzą, że Mirnatha tam jest, gangsterzy nic nie będą mogli zrobić. Będą musieli ją wypuścić.

- Daj spokój. - Edeard prowadził ich korytarzem po śladach kidnapera. - Mieliby ją wypuścić tylko dlatego, że miastu się nie podoba ich czyn? Ci faceci zostali wybrani, ponieważ będą walczyć do końca. Już ich złamaliśmy, to ludzie tacy jak Eddis, którzy nie mają nic do stracenia. Wcale nie chodzi im o dziewczynkę. Chodzi o jutrzejsze głosowanie. Żeby uzyskać korzystny dla siebie wynik.

Dotarli do głównej klatki schodowej i wtedy w drzwiach salonu pojawiła się pani Florrel.

- Dokąd to? - warknęła do Edearda. - Co, uciekacie? Dobrze, szerokiej drogi.

- Przeciwnie, zamierzamy ją tu przyprowadzić - odparował Dinlay.

Edeard się skrzywił.

- Co takiego? - Aż się trzęsła z oburzenia.

Edeard odchrząknął i spokojnie spojrzał na swego nieustępliwego wroga.

- Chyba wiemy, gdzie ona jest. Zamierzam wypełnić swój obowiązek i sprowadzić ją do domu. Przecież wszystkim nam na tym zależy, prawda?

- Nie rób tego. Jeśli wiesz, gdzie ona jest, natychmiast poinformuj Burmistrza. Regiment milicji sprowadzi moją biedną kochaną Mirnathę. Wiedzą, jak postępować z tymi, którzy ośmielają się zaatakować moich potomków.

- Z całym szacunkiem, proszę pani, ale nie wiedzą. Ja sprowadzę ją nietkniętą. Daję słowo. - Edeard odwrócił się ku szczytowi kręconych schodów.

- Wróc tu, młody człowieku - spokojnie nalegała pani Florrel.

Edeard nie mógł uwierzyć. Dzięki darowi rozpoznawania, przekazanemu przez Dybala, umysłem postrzegał dalmowę pani

Forrel, którą próbowała się wcisnąć do jego świadomości; kojącym przymusem sugerowała, by do niej powrócił. Próbowała go zdominować.

Pogardliwie uniósł brwi, ekranując umysł.

- Niegrzeczna! - powiedział i pogroził jej palcem. Zbladła, teatralnym gestem położyła sobie dłoń na szyi. Uśmiechnięty Edeard szedł w dół po schodach.

- Założę się, że w ogóle nie wyjdziemy z tego domu - żartował Macsen, gdy dotarli do dziewiątego piętra.

- Na zewnątrz? To zbyt ambitne zadanie - wtórował mu Boyd. - Nie powinniśmy dotrzeć na parter.

- Czy wiesz, kto ją porwał? - spytała Kanseen.

- Nie. - Edeard przekazał im obraz kidnapera. - Poznajecie?

- To jeden z Gilmornów - stwierdził Macsen. - Albo ktoś spłodzony przez Gilmorna. Zwróćcie uwagę na ten nos.

- Może trzeba powiedzieć Julianowi, że znaleźliśmy córkę? - zasugerował Dinlay. - Powinien chyba wiedzieć? Jeśli mamy ją narazić na niebezpieczeństwo, do niego należy ostateczna decyzja.

- Nie powiem mu, co mogę zrobić - rzekł Edeard kategorycznie.

- Nie wiem, w stosunku do kogo zachowuje lojalność.

- Trudno przyjąć, że stoi po ich stronie - powiedział Boyd.

- Dziś na pewno nie. Ale spójrzmy prawdzie w oczy: nie wiemy, kim w istocie są porywacze.

Drużyna doszła na drugie piętro, gdy do Edearda dotarła dalmowa Wielkiego Mistrza Finitana. Przekaz telepatyczny był doskonały: Edeard miał wrażenie, że mistrz stoi na schodach tuż obok i szepcze mu do ucha.

- Edeardzie, co zrobiłeś mojej najmniej lubianej ciotce?

- A co jej rzekomo zrobiłem?

- Najłagodniej to ujmując, oskarża cię o arogancję i niekompetencję. Mam cię odwieść od planu uwolnienia Mirnathy. Najwyraźniej ciotka uważa, że mam na ciebie wpływ.

- Zamierza mnie pan odwieść?

- Oczywiście, że nie. Wiesz, gdzie jest to biedactwo?

- Chyba tak.

- Edeardzie, nie chciałbym być nieprzyjemny dla nieszczęsnej Mirnathy, ale rozumiesz, o co toczy się gra?

- Jutrzejsze głosowanie.

- Jest jeszcze jedna taktyka, którą mogę zastosować w Radzie. Przedtem się wahałem, bo wszystko wskazywało na to, że możemy wygrać zwykłym głosowaniem.

- Jaka taktyka?

- Plebiscyt. Uzbiera się dość głosów. Wielu Mistrzów jest zaniepokojonych. Widzą, jakie postępy zrobiłeś w Jeavons i Silvarum, i czują presję społeczną, byś kontynuował kampanię. Śmierć Mirnathy dałaby im asumpt do głosowania przeciw nakazom banicji. Jeśli do jutrzejszego posiedzenia Rady utrzyma się sytuacja niepewności, to mistrzowie skorzystają z szansy, żeby odwlec decyzję i zwalić winę na innych.

Edeard przystanął.

- Chodzi panu o to, żebym nic nie robił?

- Do Owestorn jest daleko. Mógłbyś sprawić, żeby informacje długo stamtąd docierały.

- Proszę pana, nie mogę tego zrobić. Bardzo mi zależy na wypchnięciu gangów, ale nie mogę bawić się w politykę, gdy chodzi o życie sześciolatniego dzieciaka. Wiem, gdzie ona jest, i wiem, co należy zrobić, żeby rodzina ją odzyskała. Teraz tylko to się liczy.

- Oczywiście. Pod każdym względem masz moje poparcie. Niech Pani będzie dziś z tobą.

- Dziękuję, proszę pana.

Schodzili już z ostatniego półpiętra, gdy z góry dobiegł ich głos Julana, rozbrzmiewający echem w klatce schodowej.

- Zatrzymajcie się! Zabraniam. Nie działajcie w pośpiechu. Mam okup. Stąpający po Wodzie, wracaj! Flaga wisi nad Pałacem Sadowym, jak kazali. - Błagał również dalmową. - Obiecałeś. Że ją uwolnisz.

Edeard spojrział wysoko w górę. Mistrz wychylał się przez poręcz.

- Przeprowadzę ją do pana. Proszę mi ufać.

- Nie, nie. Nie może dojść do walki. Zapłać okup. Tylko w ten sposób wróci cała i zdrowa.

- Daję panu słowo, że jej nie narażę. Jeśli za jej uwolnienie trzeba będzie dać okup, przekażę go w pana imieniu.

- Zaraz. Ty wiesz, gdzie ona jest?

- Nie jestem pewien.

- Ciotka mówi, że wiesz. Posłuchaj, idę z tobą.

- O, Pani! - jęknął Edeard.

- Dotrzemy tam, zanim on zejdzie ze schodów - przynaglał go Boyd.

- Nie, to się nie uda. - Macsen zgrzytał zębami.

Edeard spojrział w dół: u stóp schodów stali Homelt i kilku ochroniarzy.

- Czy nikomu nie zależy na życiu dziewczynki? - warknął Edeard.

- Nam zależy - zapewniła go Kanseen.

- To naprzód! - krzyknął i ruszył biegiem.

- Otrzymałem rozkazy - oznajmił Homelt, gdy drużyna zatrzymała się przed nim. Oparł dłoń na kaburze.

- Jakie mianowicie? - spytał Edeard.

- Żeby was nie wypuścić. Nie tylko mistrz Julan wydał polecenie. Dziś może mógłbym to zignorować, ale Lorin go poparł, a on ma na niego swoje sposoby. Nie wspominam o pani Florrel. - Dowódca straży spojrział w górę. Na ósmym piętrze zebrało się kilka osób, powstało zamieszanie, jakby chciały koniecznie zejść na dół.

- W porządku, nie wypuszczaj nas - powiedział Edeard. Homelt spojrział na niego z ulgą.

- Poczekasz tu na Mistrza?

- Niezupełnie. - Edeard nachylił się ku niemu. - Ona żyje, wiem, gdzie jest.

- Pójdę z tobą - rzekł Homelt cicho.

- Nie. Taka pomoc nie jest jej potrzebna. Wiadomości się rozniosły. Trzeba działać szybko. Wiem, że ją zabiją, i wiesz, dlaczego.

Homelt był wyraźnie zdruzgotany.

- Co mam robić?

- Zaprowadź nas do najgłębszej piwnicy. Tej na północno-zachodnim rogu domu. I potrzebne nam będą twoje pistolety. Nie ma czasu, pośpiesz się, człowieku.

Homelt widział, że Julian jest już na szóstym piętrze.

- Szybko.

Drewniane drzwi do piwnicy tak już poczerniały ze starości, że słoje stały się niewidoczne. Gwoździe trzymające zawiasy na oryginalnym łukowym otworze powinny być znów głębiej wbite. Materia miasta wypchnęła je na pół długości.

Homelt odciągnął zasuwę i drzwi się zakołysały. W małym pomieszczeniu, pokrytym warstwą kurzu i pobrudzonym odchodami filszczurów, stały beczki i stopy skrzyń.

- Nie rozumiem. - Kapitan straży zajrzał do mrocznej komory. - Co tu takiego jest?

- My - odparł Edeard. - Zamknij nas tu. W ten sposób wypełnisz rozkaz co do joty.

- A co z Mirnathą?

- Zaufaj mi.

Przez chwilę Edeard bał się, że Homelt się wycofa i zaprowadzi ich na górę, żeby Julen i Lorin wyjaśnili sprawę, ale po chwili wahania - jego umysł emanował wielką niepewnością - Homelt wpuścił ich do piwnicy, każdemu wręczył pistolet i zamknął drzwi.

- Nie mnie prostemu to krytykować... - zaczął Macsen, gdy zatrzasnęła się zasuwka - ale ja też nic nie rozumiem.

- Jeśli mamy uratować Mirnathę, nie możemy brać jeńców - rzekł Edeard poważnym tonem. Uniósł pistolet i dalwzrokiem zbadał jego mechanizm. - Słuchacie mnie?

- Słuchamy. Ale, na Honious, może byś nas w końcu oświecił, co się dzieje. Chyba już wyjaśniliśmy sobie kwestię zaufania.

Edeard uśmiechnął się szeroko.

- Wasze zaufanie zostanie poddane największej próbie. Pojedynczo idźcie za mną krok w krok. Będziecie mieć wrażenie, że spadacie, ale obiecuję, że nie spadniecie. Jeśli tego nie zdołacie zrobić, wcale nie będę was źle oceniał.



Poprosił okrąg na podłodze, żeby go przepuścił. Podłoga w tym miejscu zmieniła się. Edeard tam wszedł i przez czerń wpadł do tunelu Wielkiego Kanału Głównego. Wylądował na występie nad wodą, od razu przesunął się i czekał.

Najpierw przybył Boyd - cały czas wrzeszczał zszokowany, póki stopami nie dotknął występu.

- A niech to! - ryknął z ekscytacją napędzaną strachem.

Edeard chwycił go za ramiona i odsunął, bo właśnie lądowała Kanseen, młóćąc wściekle rękoma. Z jej gardła wydobywało się ciche skomlenie. Rozejrzała się zaskoczona.

- To niesamowite. To... nie miałam pojęcia, że coś takiego istnieje.

Edeard zdołał ją w porę odciągnąć, by zrobić miejsce dla Dinlaya. Ten wypadł z sufitu tunelu z dzikim okrzykiem. Mocno zaciskał powieki.

Edeard patrzył na przyjaciół i nie mógł powstrzymać uśmiechu. Rzadko miał dostęp do ich niezabezpieczonych umysłów, ale teraz byli zbyt zaskoczeni i roztrzęsieni, by osłonić swoje emocje.

- No i... Wy, urodzeni w tym mieście, którzy znacie je jak własną kieszeń, nic mi nie powiedzieliście o tych tunelach.

- Ty draniu - żartował Macsen. - Co to takiego?

- To tunel pod Wielkim Głównym Kanałem. Każdy kanał ma taki tunel.

- Ale jak...? - Dinlay zmrużył oczy, patrząc na sklepienie tunelu, badał go dalwzrokiem, próbował wyczuć miejsce, z którego wyskoczył.

- Jestem Stąpający po Wodzie. Miejcie to na uwadze.

- A tak serio: jak się tu dostaliśmy? - W głosie Kanseen dało się słyszeć irytację.

- Nie jestem pewien, jak dokładnie. Poprosiłem miasto i ono mnie przepuściło.

- Ty. Tak po prostu. Poprosiłeś. Miasto.

- No, taaa. - Swoim tonem Edeard jakby się trochę usprawiedliwiał.

- Po dzisiejszym dniu musisz nam baaardzo dużo wyjaśnić. Edeard otrzeźwiał.

- W takim razie miejmy już ten dzisiejszy dzień za sobą.

Oni też trzeźwieli. Prowadził ich tunelem w stronę Stawu Leśnego.

- Wędzarnia ryb mieści się jedną przecznicę przed Różowym Kanałem.

- A więc masz jakiś plan? - spytał Macsen.

- Tak. Tak jak tu na dół przyszliśmy, tym samym sposobem stąd wyjdziemy. Nasza piątka wślizgnie się do piwnic w pobliżu miejsca, gdzie przetrzymują Mirnathę.

- Powiedziałeś, że jest pilnowana przez dziesięciu facetów.

- Co najmniej. Obawiam się, że porywacz też tam jest. Potrafi być niewidoczny, więc o wszystkim przekonamy się na miejscu. Gdy tylko zobaczą, że ktoś próbuje Mirnathę uwolnić, zabiją ją. Więc jeśli w końcu zginie, nie ma znaczenia, jak sprytnie ją znalazłem i jak sprawnie się tam przedostaniemy.

- A po co tam w ogóle iść? Poproś miasto, żeby ją tu wyrzuciło - zasugerowała Kanseen.

- Po pierwsze, jest przykuta do ściany. Musimy zerwać łańcuchy, a stąd, z dołu, nawet ja tego nie potrafię zrobić. Po drugie, bezpośrednio pod tamtą piwnicą nie ma tunelu ani nawet studzienki kanalizacyjnej. Musimy przejść do sąsiedniej piwnicy.

- Cholera - wymamrotał Boyd.

- Wyjdziemy niewidzialni - powiedział Edeard. - Jeśli uda mi się przedostać do piwnicy, gdzie trzymają Mirnathę, będę w stanie trzecią ręką ochronić ją od kul. A wy macie chronić moje tyły.

Brodzili w płytkim zbiorniku, powielającym Staw Leśny. Edeard widział dalwzrokiem ludzi zbierających się po obu brzegach kanału. Dzieci czekały niecierpliwie, kiedy będą mogły zwodować swoje łodzie kwiatowe. Dorośli ciągle kipieli gniewem z powodu porwania Mirnathy.

- Ilu jest w jej piwnicy? - spytała Kanseen.

- Wyczuwam dwóch. - Nadal nie miał pewności, czy jest tam również porywacz. W piwnicy stało mnóstwo starych skrzyń, parę małych ławek i walało się sporo kawałków drewna. Edeard nie potrafił stwierdzić, czy nie siedzi na nich ktoś w niewidce. Na pewno w ostatniej pamięci podłogi piwnicy nie było zapisu, czy

ostatnio ktoś na niej stał. Dużo czasu zajęłoby Edeardowi przefiltrowanie pamięci z całego dnia.

- W jaki sposób zamierzasz się do niej dostać?

- Na siłę. Gdy wszyscy się tam znajdziemy, pobiegnę do drzwi. Rozwalę je i znajdę się przed Mirnathą, żeby ją zasłonić. Będę tam stał, a wy zlikwidujecie bandziorów.

- A jeśli coś pójdzie źle?

- To wszyscy umrzemy i Makkathran będzie musiał postarać się o innych ludzi do kampanii przeciw gangom.

- Będzie z ciebie straszny Główny Konstabl. - Kanseen uśmiechnęła się do niego z dezaprobatą. - Wysocy Radni powinni być łagodni i subtelni.

- Możesz mnie tego nauczyć. Będziesz miała na to sto lat.

- Nie - odparła. - Awansujesz znacznie szybciej.

Edeard prowadził ich tunelem pod Różowym Kanałem, potem szczeliną drenażową, aż znaleźli się pod piwnicą sąsiadującą bezpośrednio z więzieniem dziewczynki.

- Wyczuwam ją - stwierdziła Kanseen, podekscytowana. - Biedactwo, jest przerażona.

- Gotowi? - spytał Edeard. Przytaknęli.

- Chyba potrafię tak to zrobić, żebyśmy wszyscy razem przeniknęli na górę. Pamiętajcie, macie być niewidzialni, póki tamci mnie nie zobaczą. Wtedy ich zlikwidujcie. I na litość Pani, nie krzyczcie. My nie spadamy, to tylko nam się tak wydaje.

- Zaraz. Ma się wrażenie, że się spada, kiedy człowiek przemieszcza się do góry? - spytał Boyd.

- Tak. I nie. Nie wiem dlaczego.

- Ruszamy. Do zobaczenia na górze. - Macsen odbezpieczył pistolet.

- Dobrze. - Edeard zrobił się niewidzialny i poczekał, aż koledzy znikną mu z widoku. Wtedy kazał miastu przenieść wszystkich w górę.

W piwnicy, do której przeniknął, ledwo mógł stanąć wyprostowany. W ciemnych ścianach tego podłużnego pomieszczenia znajdowały się wąskie nisze, a wypłaszczony sufit miał żebrowane sklepienie. Pod ścianą piętrzyły się stare sieci

rybackie i skrzynie na tishkraby. Jedno wejście otwierało się na kręcone schody, prowadzące do położonych wyżej komór wędzarni. Porywacze siedzieli przy dwóch drewnianych stołach przed drzwiami i coś jedli. Nie było tam ani piwa, ani wina, tylko woda. Ten, kto to wszystko zorganizował, wiedział, co robi. Mężczyźni utrzymywali bezwzględna dyscyplinę. Wiadomo było, że bez skrupułów użyją pistoletów, które leżały przed nimi na stole. Edeard stał między nimi i obawiał się o swoją drużynę.

Jeden z gangsterów rozejrzał się i zmarszczył czoło.

- Słyszalesz coś?

Edeard ruszył do półotwartych drzwi. Przecisnął się przez szczelinę, wstrzymał oddech. Porywacze wzięli ze stołu pistolety. Silną dalmową porozumiewali się z kumplami na górze.

Edeard spojrział w niski korytarz. W powietrzu wisi ciężki zapach ryb i dymu z drzewa dębowego. Prosto przed sobą widział wejście do piwnicy, gdzie więziono dziewczynkę. Drzwi, wykonane z trzycalowych teowych desek, wisały na solidnych zawiasach tkwiących w murze. Ciężkie rygle z obu stron były zasunięte. Edeard przydał mocy trzeciej ręce, odbił się od ściany z całą siłą i skoczył.

Niewidka spadła z niego, gdy był w połowie korytarza. Rozwalił drzwi trzecią ręką - prawie nie stawiały oporu, jakby były ze szkła.

Strażnicy dostrzegli go dalwzrokiem. Usłyszał krzyk:

- Co jest?!

Przeleciał przez drzwi i troskliwie otoczył trzecią ręką oniemiałe dziecko.

Z tyłu dobiegły go trzy strzały z pistoletu, okropnie głośne w ograniczonej podziemnej komorze. Dalwzrokiem zobaczył Kanseen - pojawiła się za jednym z porywaczy, siedzącym przy stole. Właśnie wstawał, gdy przystawiła mu pistolet do potylicy. Nacisnęła spust i twarz mężczyzny eksplodowała w rozbryzgach krwi. Kanseen zniknęła. Dinlay strzelał do innego kidnapera, którego mózg płonął złością i strachem. Wykończył drania. Macsen pojawił się z drugiej strony piwnicy.

Pistolet Edearda odwrócił się, namierzał jednego z gangsterów pilnujących Mirnathy, gdy ten rzucił się przez piwnicę, i choć celowanie nie było precyzyjne, Edeard strzelił cztery razy. Wokół rozlegały się kolejne strzały. Krzyki i wycia dalmowy tworzyły w tle harmider. Mężczyzna, którego Edeard postrzelił, zacharczał i zszokowany patrzył, jak na jego bluzie rośnie plama krwi. Dwie kule trafiły w Edearda - odrzuciły go w bok. Jedna kula ugodziła jego trzecią rękę tuż nad głową Mirnathy. Zatoczył się na nią i objął ją. Drżała i cienkim głosikiem cały czas piszcząca. Kolejny strzał, oddany przez strażnika, który nie był ranny, trafił Edearda w szyję. Wyciągnął trzecią rękę, która przebiła się przez osłonę mężczyzny, i wdarł mu się w mózg. Czaszka pękła, krew wyciekła uszami. Mężczyzna upadł na podłogę.

Kolejna kula trzasnęła Edearda. Przesunął swój dalwzrok - zobaczył pod ścianą osuwającego się w kałuży krwi rannego strażnika z pistoletem w dłoni. Trzecią ręką Edeard wyrwał mu pistolet ze słabnących palców. Obrócił broń o sto osiemdziesiąt stopni. Nacisnął spust.

Padły trzy strzały na zewnątrz i krzyki ustały.

- Edeard?! - zawołał Macsen.

- Żyję! Tutaj.

- Nic ci nie jest?

- Czekaj! - Umocnił swoją ochronę fizyczną wokół dziecka. Była teraz twarda jak skała. Mirnatha zemdłała.

Instynktownie czuł, że coś się nie zgadza. Gdy pierwszy strażnik zginął, drugi strzelał. Dwa strzały dosięgły Edearda, a trzeci był przeznaczony dla Mirnathy. Nie mogły pochodzić z tego samego pistoletu.

Drużyna koziołkowała z piwnicy po przeciwnej stronie.

- Czekajcie! - rozkazał ponownie. - Nie wchodźcie.

- Co się dzieje? - pytał Boyd.

Edeard powinien skakać ze szczęścia, że wszyscy jego przyjaciele żyją. Przeskanował pokój we wszystkich kierunkach, wypatrując choćby najmniejszego niepokojącego sygnału. Podłoga niczego nie ujawniała. Nie stała na niej żadna ludzka

stopa. Trzecią ręką roztrzaskał ławkę strażników. Nic. Zmiażdżył drugą ławkę i wszystkie krzesła.

- Pani!

Podniósł długą drewnianą szczapę i kłutł nią powietrze. Kanseen i Dinlay, przyczajeni w połowie korytarza, z pistoletami w pogotowiu, mieli na twarzach wyraz skrajnego zdumienia, gdy dalwzrokiem obserwowali, co on wyprawia. Zaimprovizowanym sztyletem trzykrotnie zatoczył koło, ale na nic się nie natknął. Wściekle dziabął przy murach na wysokości pasa, trafiał we wszystkie nisze. Znów na próżno.

- Dobry jesteś - rzucił.

Dalwzrokiem badał podłogi i ściany, próbując wytropić ulotne wrażenie nacisku ludzkiego ciała. Przeglądał każde miejsce. Wtem w końcu odkrył kidnapera.

- Bardzo sprytnie - stwierdził z uznaniem.

Odwrócił się, nadal trzymając Mirnatę wewnątrz swojej ochrony telekinetycznej. Wycelował pistolet w sufit przy drzwiach i wystrzelił dwa pozostałe w magazynku pociski.

Gdy kule dosięgły celu, niewidka zgasła: kidnaper przywarł do zebra sklepienia niczym człowiek - pająk. Spadł bezwładnie na podłogę z głuchym trzaskiem. To ten właśnie człowiek wprowadził Mirnatę z pokoju.

Edeard podszedł do niego.

- Ona ma zaledwie sześć lat, a ty się nią posłużyłeś - powiedział ze wstrętem.

Krew wyciekała z rozchylonych ust mężczyzny. Udało mu się szyderczo uśmiechnąć.

- Gnij w Honiousie - powiedział słabą dalmową.

Potem jego myśli zmatowiały. Edeard skoncentrował swój dalwzrok na tych ostatnich przebłyskach emocji, szukał choćby najmniejszej oznaki żalu. Jakiegoś wyjaśnienia, dlaczego ktoś może być tak bezwzględny.

Porywacz westchnął po raz ostatni i z ust wypłynęło mu więcej krwi. Edeard wyczuwał jego myśli, słabe kosmyki oryginalnej siły i wzorca. Ciało umierało, ale myśli nadal istniały. I zaczęły się poruszać.

Zszokowany Edeard aż się zakrztusił. Cofnął się o krok, gdy dusza porywacza z wdziękiem oddzieliła się od ciała. Widmowa jednostka unosiła się nad zmarłym przez kilka chwil, a potem wleciała pod sufit i Edeard stracił ją z dalwzroku.

- Czuliście to? - spytał, zdumiony.

- Edeardzie, czy to bezpieczne? - niepokoiliła się Kanseen.

- No, chyba tak. To była przecież jego dusza.

- Dusza? - Kanseen ostrożnie przeszła przez roztrzaskane drzwi, ale gdy zobaczyła Mirnatę, dusza natychmiast przestała ją interesować.

- Czyja dusza? - Macsen szedł tuż za Kanseen.

Edeard nie mógł oderwać oczu od miejsca na suficie, gdzie dusza uleciała.

- Kidnapera.

- Jesteś postrzelony?

- Nie.

Mirnatha pojękiwała.

- Nie pozwólcie, żeby to oglądała - powiedział Edeard. Pomieszczenie pokrywała krzepnąca krew. I leżały w nim zwłoki. W piwnicy u podstawy schodów było jeszcze gorzej. - Nic wam się nie stało?

- O, nareszcie raczyłeś zapytać? - zażartował Boyd.

- Chyba zwymiotuję. - Bluza Dinlaya była cała we krwi.

Edeard rozerwał trzecią ręką żelazne kajdany na nadgarstkach dziewczynki. Kanseen zamrugała na widok tego nonszalanckiego popisu siły.

- Ty ją wynieś. - Z troską, delikatnie, gładziła dziecko po głowie. Dłoń i rękaw miała poplamione krwią tętniczą.

- Ale...

- To twoje zwycięstwo - nalegała Kanseen.

Edeard skinął głową.

- Dziękuję. Wszystkim dziękuję.

Na twarzy Boyda pojawił się szeroki uśmiech.

- Na Panią! Uwolniliśmy ją! Udało się!

Czuli niepewną jeszcze ulgę i z uśmiechem patrzyli, jak Edeard bierze dziecko w ramiona i wynosi je z piwnicy. Na szczycie

schodów gromadził się tłum. Pracownicy i członkowie rodziny z zatroskanymi minami i dociekliwym dalwzrokiem. Obawa zmieniła się w konsternację, gdy zobaczyli, że to sam Stąpający po Wodzie wynurza się z dołu. Cofnęli się szybko.

- Nie ma co się ukrywać - stwierdził Boyd, gdy wyszli z zakładu przed front budynku. - Zgłoszą się lokalni konstable. No, chyba że najpierw złożą ci wizytę ochroniarze rodziny Culveritów.

Edeard wyszedł na dwór i zmrużył oczy od blasku. Miał wrażenie, że chyba już tydzień nie był na słońcu, a przecież zaledwie godzinę temu Homelt zaprowadził ich do piwnicy domu. Zebrał się w sobie i ruszył ulicą Layne.

Mirnatha poruszyła się, gdy skręcali w aleję Arnolda, w stronę Różowego Kanału. Zaczęła się nerwowo rozglądać.

- Dobrze już, dobrze - uspokajał ją Edeard. - Idziemy do domu, do twojej rodziny, do taty i siostry, którzy bardzo się o ciebie martwią.

Patrzyła na niego szeroko rozwartymi oczyma.

- Ty jesteś Stąpający po Wodzie.

- Tak.

- Zabrali... - Rozpłakała się. - Ciemno było w pokoju. Nic nie mogłam dalszobaczyć. Strasznie było... ja... ja...

- Już po wszystkim. Zobacz, jaki piękny dzień. Wrócimy do domu i zdążysz na pokaz łodzi kwiatowych. Przytuliła się do niego.

- Co się stało z tymi złymi ludźmi?

- Już ich więcej nie zobaczysz, zapewniam cię.

Wzdłuż brzegów kanału stali ludzie w kilku szeregach. Czekali na zakończenie nabożeństwa w wielkim kościele Pani. Podeksycytowane dzieci trzymały mocno swoje łodzie kwiatowe, rodzice prosili, by nie wodować ich przedwcześnie, zanim Pytia skończy nabożeństwo. Edeard uśmiechnął się, bo w końcu zobaczył mnóstwo łodzi gotowych do startu. Były zachwycająco piękne. I te sklecone przez maluchy urocze papierowe łódeczki z paroma stokrotkami, i wystawne statki z tęczą kwiatów, prezentowane przez dumnych nastolatków o rozradowanych teraz twarzach.



Szedł przez tłum. Ludzie odwracali się ku niemu, początkowo zaskoczeni, potem zszokowani, gdy widzieli jego drużynę w pokrwawionych mundurach, zmęczoną, lecz w dobrych nastrojach. Sam Stąpający po Wodzie niósł dziecko, które uśmiechało się do niego z nieśmiałym uwielbieniem. Tłum milkł. Rozstępował się, dając mu drogę do pomostu cumowniczego przy końcu alei.

Rozległy się oklaski. Pełne zdumienia szepty przeszły w triumfalną dalmowę i głośnie wiwaty.

- To Stąpający po Wodzie.
- Uratowali dziewczynkę.
- Mirnatha żyje.
- Na Panią, ale tu krwi!
- Cała drużyna brała udział.
- Udało im się!

Przy pomoście przycumowano trzy gondole ustrojone girlandami śnieżnobiałych kwiatów. Edeard wszedł na pierwszą z nich - gondolier zdjął kapelusz i trzymał go przy piersi, wpatrując się w Mirnathę.

- Zawieź nas do jej domu - poprosił Edeard.
- Ale festiwal...

- Nabożeństwo Pytii jeszcze się nie skończyło. Nie uważasz, że Mirnatha powinna wrócić do domu?

- Oczywiście, proszę pana. - Wszedł na swoją łódź.

Tłum tuż nad kanałem gęstniał. Wiwaty przypomniały Edeardowi dzień przy Stawie Birmingham.

- Zobaczmy, jak szybko potrafisz płynąć - powiedział do gondoliera, gdy odbili od brzegu.

Nie musieli daleko płynąć: najpierw Staw Leśny, potem Wielki Kanał Główny do Wysokiego Stawu, do prywatnego pomostu rezydencji Culveritów. Mirnatha siedziała na dziobie i rozglądała się na wszystkie strony, niezwykle szczęśliwa, a fale wiwatów odprowadzały ją do domu.

- Czy sądzisz, że w ogóle obchodzi ich jutrzejsze głosowanie? - Macsen machał dłonią do rozentuzjzmowanych gapiów na nabrzeżu.

Niektórzy unosili swoje łódki kwiatowe i machali nimi, serdecznie pozdrawiając dziewczynkę. Cały kanał falował jaskrawymi barwami.

- Nie będzie miało większego sensu - odparł Boyd.

- Chłopcy, czy moglibyście po prostu cieszyć się chwilą? - skarciła ich Kanseen. - Dajcie spokój, przecież tym razem też dostajemy pochwały.

- Zbiera mi się na wymioty - powiedział Dinlay, wycierając zaschniętą krew z munduru.

- Ani mi się waź! - ofuknęła go.

Mirnatha trzymała Edearda za rękę. Wolną dłonią wskazywała na pomost przy rezydencji.

- Widzę tatusia. - Zapiszczała. - I Krissy. Są tam. - Machała energicznie i komunikowała się dalmową ze wszystkich sił.

- A pani Florrel nie wyszła - zauważył Boyd z satysfakcją. Gondolier gładko przybił do pomostu. Julian pochwyił córkę z łodzi, mocno ją objął. Nie mógł się powstrzymać od płaczu. Kristabel też ją ścisnęła. Mirnatha zaczęła bardzo szybko opowiadać, co jej się przydarzyło. Ostatnie „Hurra!” rozległo się wzdłuż Wielkiego Kanału Głównego. Edeard z kolegami wyszli na pomost. Homelt stanął przed nimi.

- Dziękuję. - Skinął głową. - Choć Pani jedna wie, jak wycięliście ten numer. Z tej piwnicy na pewno nie ma wyjścia.

Edeard uśmiechnął się do niego znacząco. Julian wziął go mocno za ramiona i przyciągnął do siebie.

- Dziękuję ci z głębi serca. Moje dziecko, moje dziecko całe i zdrowe.

- Przepraszam, że pana nie zabrałem. Ale mam dobrą drużynę i najlepiej pracuje nam się we własnym zespole.

Julan cały czas szlochał. Mocno objął córkę.

- Rozumiem. Moja wina. Dziękuję wam wszystkim. Miałaś rację, a ja się myliłem. Wybacz, szalałem z niepokoju...

- Nie ma mowy o winie, proszę pana. Najważniejsze, że córeczka jest w domu.

- Tak, tak. - Podniósł ją, a ona, chichocząc, pocałowała ojca. - Mów, czego chcesz, a dopilnuję, by spełniono twoje życzenie. Choć i tak nic nie jest w stanie wyrazić mojej wdzięczności.

Macsen już otwierał usta, ale Kanseen szturchnęła go w żebra trzecią ręką. Musiało go zboleć, ale nic nie powiedział.

- Spełniamy tylko nasz obowiązek, proszę pana - oznajmił Edeard.

- Bzdury. Swoje wyrazy wdzięczności zacznę od zaproszenia was na rodzinne przyjęcie dziś wieczorem.

- To bardzo uprzejmie z pańskiej strony - pośpieszył z odpowiedzią Boyd, zanim Edeard zdążył odmówić. - To dla nas zaszczyt.

- Dziękuję ci, Stąpający po Wodzie. - Mirnatha wychyliła się z ojcowskich objęć i niezręcznie pocałowała Edearda.

- Szczerze ci dziękujemy. - Kristabel stanęła tuż przed Edeardem, gdy ojciec ruszył w górę schodami prowadzącymi z pomostu do domu.

Nie wiedział, co odpowiedzieć, więc tylko nieznacznie wzruszył ramionami. Dziewczyna nadal miała na sobie cienką białą koszulę nocną, ale ramiona owinęła szarozielonym wełnianym szalem.

Koledzy przysunęli się do nich bliżej.

- Dotrzymałeś słowa.

- Ee... tak. To błahostka... Położyła mu palec na wargach.

- Nie. To największe twoje dokonanie. Nic dziwnego, że gangi i mistrzowie tak się ciebie obawiają. Ufam ci, Stąpający po Wodzie.

- Pani. - Kompletnie spartolił formalny ukłon, wyszedł mu z tego nerwowo skurcz.

Kristabel zachowała spokój, jakby ukłon zrobił na niej wrażenie. Wręcz olśnił.

- Ach tak, „pani” - cytowała żartobliwie. - Zatem, jako przyszła Pani Haxpen, domagam się od ciebie pierwszego tańca na dzisiejszym przyjęciu. I ostatniego. I chyba wszystkich pomiędzy.

- Och. - Edeard pobladł. Był podłym tancerzem. - Z największą przyjemnością.

Kristabel przesłała uśmiech całej drużynie.

- Cały mój dom jest dziś do waszej dyspozycji, proszę bardzo. W następnych dniach również. W górnym ogrodzie jest najlepsze w całym mieście miejsce do obserwacji łódek płynących do morza. Musicie się wykąpać i odświeżyć. Każę, żeby służba znalazła wam ubrania stosowne na przyjęcie.

Edeard obserwował, jak szła po schodach do bajecznej budowli w kształcie zigguratu. Rąbek koszuli trzepotał wokół jej kolan. Nie mogę patrzeć na jej nogi, nie wolno mi. Tuż nad jego lewym ramieniem ukazała się głowa Kanseen.

- Wiesz, że nie możesz spać ze wszystkimi dziewczętami w tym mieście - powiedziała cicho.

Edeard patrzył na nogi Kristabel. Szczupłe i kształtne.

- Wiem - odparł smętnie.

Kanseen żartobliwie pocałowała go w ucho.

- Ale mogło ci się przytrafić coś znacznie gorszego niż Kristabel.

### 3

Tak czarną noc mogli wytworzyć jedynie grube burzowe chmury na Hanko. Wiatr wył wokół lodowych głazów, tworząc dziwną, antagonistyczną harmonikę. Nad głową nieregularne widły błyskawic zmieniały ponury krajobraz w monochromatyczny szkic.

Nagła mandarynkowa flara, dokładnie na brzegu Lodowca Azjatyckiego, utworzyła niesamowitą ognistą aureolę wokół wierzchołka gigantycznej skały. Światło zaraz zniknęło. Lód zadrżał. Po chwili sprej mandarynkowego światła trysnął znowu. Tym razem jaśniej. Większe fragmenty lodu trzęsły się i podskakiwały pod wpływem drgań powietrza.

Nastąpiła przerwa wypełniona przez wieczny wrzask zamieci.

Światło pojawiło się znowu. Tym razem lodowe odłamki wyrwały się z wierzchołka skały, i powirowały w głąb półtorakilometrowej przepaści. Ręka w grubej szarej rękawicy wypęzła na wierzch i poklepała powierzchnię. Drapała, szukając mocnego uchwytu.

Aaron wciągnął się i wytoczył na grzbiet lodowca. Po chwili stanął na nogach. Omiótł otaczający teren swą bionomiczną indywidualną funkcją skanowania, szukając śladów pełzacza. Szlak pełzacza rysował się dość wyraźnie - pojazd wycofywał się po swojej trasie przez pole głazów.

Aaron rozpoczął pogoń za pojazdem.

Był bardzo, ale to bardzo wściekły.

\*\*\*

W kawiarni Clippsby w alei Daryad podawali dokładnie taki rodzaj kawy, jaki Oscar uwielbiał. Kawę mocną jak diabli, bagietki z bekonem, migdałowe croissanty z dużym kubkiem syropu agalowego. Choć ich trójka miała na sobie mundury ellezelińskiej policji, właściciel obsługiwał ich dość gorliwie.

Pozostałymi klientami byli jedynie ellezelińscy żołnierze na późnym śniadaniu między kolejnymi alarmami. Ten poranek powinien być tak odmienny. Nikt w mieście nie kładł się do późna w nocy, wszyscy obserwowali heroiczny rajd Justine w kierunku Pustki. Unisfera i gajasfera były oczarowane pojawieniem się Drugiego Śniącego, miliony oddawały się obecnie z lubością szerzeniu pogłosek i spekulacjom. A jednak tutaj, w Colwyn, atmosfera zachwytu została zszargana przez wypad zespołu powitalnego. W parku obok apartamentowca przebywało mnóstwo ludzi. Zareagowali dość przewidywalnie na bezczelny akt, szydząc z paramilitarnych w kordonie. Sytuacja groziła wybuchem prawdziwych zamieszek. W rezultacie miasto wydawało się nawet bardziej sparaliżowane niż wczoraj. Niewielu obywateli poszło do pracy. Albo bali się, że zostaną wplątani w zamieszki, albo szli dołączyć do tłumu w Bodant i innych gorących miejscach, gdzie mogli mieć szczęście i wymierzyć niezłego kopniaka jakiemuś żalosnemu obcemu żołnierzowi. W każdym razie w centrum miasta lokali otwarto niewiele.

Oscar przyjął od kelnerki kolejną dolewkę kawy z uśmiechem wdzięczności. Właściciel kawiarni może nakłaniał ją, by obsłużyła gościa, ale z pewnością nie musiała się uśmiechać, gdy mu nalewała.

- Więc co teraz? - spytał Tomansio, kiedy kobieta odeszła i wokół ich stołu zamigotała tarcza prywatności.

- Jak zawsze, kluczem do wszystkiego jest informacja - odparł Tomansio, starając się nie krzywić na widok stosu jedzenia przed Oscarem. Dla siebie zamówił wędzonego grusleta, kanpkę z twarogiem i zieloną herbatę. - Wiemy bez żadnych wątpliwości, że Drugi Śniący był w tamtym apartamentowcu. Co oznacza, że albo zespół powitalny go ma i major Honilar na pewno to ustali w ciągu najbliższych sześciu godzin, albo uciekł, zanim tam dotarliśmy.

- Zjawiliśmy się tam szybko - powiedziała Beckie. - Raczej by się nie dostał niezauważony.

- Chłop jest sprytny - zauważył Tomansio. - Wykorzystanie apartamentu Danała było świetną zmyłą.

- Ale jak mógł się wydostać? - spytał Oscar. - Zauważyliby każdą kapsułę startującą z apartamentowca.

- Maskowanie? - zasugerowała Beckia. Zmarszczyła nos, nieusatysfakcjonowana. - Ale jeśli miał zamaskowaną kapsułę, czemu łączył się z gajaserą z mieszkania Danała? To bez sensu.

- Jedyną praktyczną drogą ucieczki byłby jakiś tunel nienaniesiony na miejskie plany - powiedział Tomansio. - A mieszkania są odnawiane przez cały tłum różnych przedsiębiorców. To dałoby mu szerokie pole do takiego działania.

- Przy założeniu, że wiedział, że skorzysta z takiego tunelu - zauważył Oscar. - A skąd miałyby wiedzieć, że Ethan ma zamiar zaanektować całą planetę i zalać miasto paramilitarnymi?

- Znajomości w Żywym Śnie - stwierdziła Beckia zakłopotanym tonem. Pokręciła głową. - To też nie ma sensu. Jeśli masz znajomości tego rodzaju, po co zwiewać w ten sposób?

- Chyba nie sądzisz, że to Inigo? - zasugerował Oscar. Tomansio wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby.

- Wykluczam to z niechęcią, ale to po prostu nie jego styl załatwiania spraw. Inigo nie musiałby się wymykać. Przed wszystkim nie miałyby trudności z powstrzymaniem szalonej Pielgrzymki Ethana.

- Nie takiej znowu szalonej - powiedziała cicho Beckia. - I nie tak łatwej do zatrzymania. Już nie. Cała Wielka Wspólnota właśnie obserwowała, jak statek Justine przechodzi przez barierę. Drugi Śniący rzeczywiście może zabrać Pielgrzymkę do Pustki. To fenomenalnie podbudowuje wiarygodność Żywego Snu.

- A także gwarantuje przywództwo Ethana - powiedział Tomansio. - Gdyby nawet Inigo teraz się pojawił, mógłby nie mieć władzy, by ją odwołać.

- Nie byłby to pierwszy przypadek, gdy religia przerosła swego mesjasza - zauważył Oscar.

- Rzeczywiście nie pierwszy. Tak więc... pozostaliśmy z tym samym problemem, co wszyscy inni: znalezienie tego wyjątkowo nieuchwytnego Drugiego Śniącego.

- Nie wierzę w tajne tunele - oznajmił Oscar. Wypił nieco kawy, ciesząc się, że gorzka ciecz przepala mu drogę przez gardło. Nie spał już od dłuższego czasu. - Było w tym coś, co nie pasuje.

- Czy mógłbyś omówić to szerzej?

- Niestety, nie mogę. Po prostu nie jestem przekonany, że Drugi Śniący to jakiś rodzaj superspytnego tajnego agenta. Przede wszystkim Żywy Sen musiał go wykrywać, a teraz obcuje z Władcą Niebios, co jest czymś, czego Inigo nigdy nie zdołał zrobić. Nie sprawia wrażenia osoby, która zdaje sobie sprawę ze skutków swych działań.

- Zdołał nam uciec - zauważył rozsądnie Tomansio. - To wymaga talentu i pomysłowości.

- Rzeczywiście? Bez obrazy, ale śpieszyliśmy się, oddział powitalny również.

- Oddział powitalny spędził miesiące, szkoląc się do tego. Oscar spojrział nieszczęśliwy na dno swego kubka.

- No, nie wiem. Po prostu nie łąpię, jaki on ma plan długofalowy. Wszystko, co zrobił, mówi mi, że reaguje on na wydarzenia, a nie, że je kontroluje. Mamy tutaj normalnego faceta, złapanego w wielkie wydarzenia i starającego się jak najlepiej utrzymać na wodzie.

- Może otrzymuje pomoc od jakiejś frakcji - wysunęła przypuszczenie Beckia.

- Moje źródło powiada, że nie - odparł Oscar. - Ale nie możemy tego wykluczyć.

- Dobra, dosyć - powiedział Tomansio. - Nasza dyskusja jest bezcelowa. Kiedy go znajdziemy, będziemy mogli zapytać. Tymczasem mamy tutaj do wykonania supertajną operację. - Otworzył bezpieczne połączenie do Liatrisa. - Czy znalazłeś już dla mnie Aramintę?

- Nie. Przykro mi, szefie. Odłączyła swego u-adiunkta od unisfery. Nie ma się czemu dziwić po rajdzie na apartamentowiec. Załadowałem programy monitorujące do



wszystkich węzłów w mieście. Czekają tylko, kiedy znowu się połączy. To ciekawe, tak samo zrobiło trochę innych osób. Obserwuję również stan jej konta, ale dopóki nie wynurzy się z epoki kamiennej, jest dla mnie niewidzialna.

- Dobra, co z jej historią. Czy coś mogłoby dać nam jakąś wskazówkę? Jej chłopak? Dziewczyna? Ktoś do kogo mogłaby się zwrócić?

- To interesująca dziewczyna. Ostatnio rozwiedziona.

- Położenie męża?

- Na Oaktier i migruje do wnętrza.

- Ozzie! Dobra, daj mi coś w mieście, nawet jeśli to tylko jej fryzjer.

- Nie ma stałego fryzjera.

- Liatris!

- Nie panikuj, mam dla ciebie trochę bryłek złota. I uwierz mi, wymagało to sporo sprawdzania odnośników we wzorcach jej danych.

- Dawaj.

- Jej kuzynka, która załatwiła rozwód, to Cressida, wpływowy wspólnik w najlepszej firmie prawniczej w mieście - osoba wyjątkowo tutaj dobrze ustosunkowana. I, przy okazji, ona i cała grupa jej przyjaciół za chwilę zrobi z Ethana frajera. Wyobraź sobie, wynajęli statek pasażerski od Dunbavand Lines, statek z pełnym statusem dyplomatycznym, by się stąd ewakuować.

- Naprawdę? - Umysł Tomansia wpuścił wybuch figlarnej rozkoszy do gajaszery.

- To istotne? - spytał Oscar.

- Rodzina Dunbavand jest jedną z głównych sił politycznych na Far Away. Niech Bóg ma w swej opiece Żyjący Sen, jeśli spróbują zakłócić rozkład lotów ich statku. Zapomnij o sprzeczkach dyplomatów w Senacie. Pierwszy patriarcha Dunbavandów był bohaterem wojny Gwiazdokrażcy, co sprawia, że jego potomków cechuje wielki upór pewnego typu. Oni naprawdę rozważaliby posłanie okrętu wojennego na Viotię, by wymusił ich prawo wolnego przejazdu. Chytra dama, ta Cressida.

- Jeden z biletów zarezerwowała dla Araminty - poinformował Liatris. - Próbuje również znaleźć konsorcjum inwestycyjne spoza planety, by wykupiło przedsięwzięcie budowlane Araminty.

- Więc obserwujemy Cressidę.

- Już to robię. Mam więcej przegładczy i monitorów wokół niej niż Żywy Sen wyznawców.

- Doskonale. Do czasu kiedy Araminta skontaktuje się z Cressidą, skoncentrujemy się na naszym oryginalnym celu, surfując po fali danych zespołu powitalnego. Czy jest coś od Cheritona?

- Nie. Poszedł z Mareble do doków, by spróbować wydostać Danala ze szponów majora Honilara. Kiedy to zrobi, będziemy mieli bardzo silnego sprzymierzeńca wśród techników gniazd konfluencyjnych.

Może to brak snu albo ta naprawdę mocna kawa spowodowały odrętwienie jego synapsów, ale Oscar wnioski z tej dyskusji rozważał bardzo powoli. Czemu ona się ukrywa? Oddział powitalny był przerażający, to pewne, ale to nie byłby dla niej powód, chyba żeby była w apartamentowcu. A jeśli tam była...

- Araminta spędziła także weekend z Likanem - powiedział Liatris.

- Naprawdę? - spytał Tomansio.

- Nie jestem pewien, czy to ważne. Likan zwykle przerabia dwie, trzy kobiety tygodniowo, nie licząc swego haremu, a Araminta zdaje się działa w tej dziedzinie od czasu rozwodu.

- Kiedyś pracowałem dla Nigela Sheldona - powiedział Oscar. - Spotkałem go nawet parę razy, kiedy razem z Wilsonem budowaliśmy flotę. Byłby zgorszony tą nową ideologią, która przywłaszczyła sobie jego nazwisko.

- I co to ma wspólnego z naszą sprawą? - spytał zirytowany Tomansio.

Oscar, skruszony, wzruszył ramionami.

- Przepraszam. Tylko myślałem.

- Czy spotyka się z kimś szczególnym? - spytał Tomansio Liatrisa.

- Jeszcze nikogo nie znalazłem. Prowadzę analizę ruchu jej kapsuły, ale muszę to robić powoli i dyskretnie. Wykryłem trzy podobne śledztwa, i to nie licząc działań Żywego Snu, który teraz jest nią zainteresowany oficjalnie. Ale lokalna policja znalazła jej trycykl. Zaparkowano go przy centrum handlowym Tala wczoraj po południu. To jej ostatnie potwierdzone miejsce pobytu. Honilar kazał, by zapisy ze wszystkich miejskich czujników przepchnięto przez filtry rozpoznawania wizualnego, by dowiedzieć się, dokąd poszła. To zajmie im resztę dnia.

- Dzięki, Liatrix.

- Ona z pewnością będzie mogła nam coś powiedzieć - wtrąciła Beckia. - Musiała być bardzo przestraszona, skoro zniknęła w ten sposób. To chyba major Honilar tak działa na ludzi.

- Zgadza się z tym.

Oscar uśmiechnął się do obojga. Beckia powiedziała to, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, ale trzeba było kogoś o jego przeszłości, by mieć takie właśnie skojarzenie. Jeśli ktoś we Wspólnocie wiedział wszystko o znikaniu i o pozostawianiu znikniętym, to Oscar Monroe. Więc jako jedyna motywacja pozostawała...

Tomansio zauważył jego uśmiech i się nachmurzył.

- Co takiego?

- Nie łąpicie? - Oscar był sobą zachwycony. No i co, stary piernik ciągle ma jaja.

- Co łąpiemy? - spytała Beckia.

- Spędziłem dziesięciolecia w kłamstwie, ukrywając swoją rzeczywistą tożsamość przed każdym, kogo znałem, kochałem i z kim pracowałem. Tak naprawdę jest to o wiele łatwiejsze, niż się wydaje. Więc chyba trzeba kogoś takiego, by rozpoznał swego.

Kwadratowa szczęka Tomansia opadła.

- Och, wielki Ozzie... myślisz, że...?

- Myślę, że to bardzo prawdopodobne.

Beckia nachyliła się i spojrzała na Oscara ze zdumieniem. - Ona jest Drugim Śniącym?

- Dajcie mi lepszego kandydata.

- Cholera jasna.

- Dojście do tego nie zajmie Honilarowi wiele czasu.
- A wtedy ona znajdzie się w głębokim gównie - powiedział szybko Tomansio. - Żadna tutejsza dziewczyna nie jest w stanie wyprzedzać akcji zespołu powitalnego.
- Dotychczas doskonale sobie radziła - zaprotestował Oscar.
- Na szczęście można jechać do czasu, ale ona zużyła już swój przydział szczęścia. Musimy udzielić jej pomocy. Liatris, zacznij wprowadzać fałszywe dane dla naszego pocziwego majora.
- Daj mi dziesięć minut, przegonię go po całym mieście.
- Była tam, prawda? - powiedziała Beckie ze wzrastającym podziwem. - Jakoś. W mieszkaniu, kiedy jej szukaliśmy.
- Jeśli nie spędziła ostatniego miesiąca na kopaniu tunelu, to owszem - przytaknął Oscar. Tomansio spojrzał na niego w specyficzny sposób.
- Apartamentowiec nadal otacza kordon.
- Chodźmy.

Ich pożyczona kapsuła czekała zaparkowana na placyku na zewnątrz. Oscar biegiem minął kelnerkę, czując się tylko umiarkowanie winien, że nie zostawił jej napiwku.

\*\*\*

Araminta musiała wypić dwa kubki herbaty i zjeść pół paczki biszkoptów, zanim zdobyła się na tyle odwagi, by przesunąć skrzynię na bok i uchylić nieco drzwi. W westybule nie było nikogo. O ile mogła się zorientować, z wnętrza budynku nie dochodziły żadne dźwięki. Na zewnątrz sytuacja przedstawiała się odmiennie. Rozlegały się tam głośnie gniewne okrzyki. Dobiegały głuche odgłosy, kiedy kawały kamienia i betonu łądowały wokół paramilitarnych. Cały czas tłuczono szkło. Oddalony dźwięk kapsuł cichł i nabrzmiewał. Araminta włożyła pas z narzędziami, wciągnęła gruby polar, by go zakryć, i skierowała się ku klatce schodowej. Kordon wspomagała tarcza wzmacniająca szerokie drzwi garażowe, które brzęczały, dołączone do źródła wysokiego napięcia. W przyćmionym świetle panującym na podjeździe Araminta dostrzegła mętne iskrzenie powierzchni drzwi. Wyjść nie było łatwo, wyrwanie się

na zewnątrz wymagałoby sporo materiałów wybuchowych o podwyższonej skuteczności. Odwróciła się i ruszyła na drugą stronę garażu, gdzie znajdowała się strefa użytkowa usług komunalnych. W pierwszym pokoju panował mrok. Nadal nie chcąc wykorzystywać elektryczności z sieci, wyciągnęła z pasa latarkę i poszła między dwoma rzędami wielkich pojemników. W przeciwnym krańcu pokoju znajdowały się małe drzwi do pomieszczenia utylizacji odpadów. Była tutaj wcześniej jedynie parę razy, by sprawdzić, czy podłączenie jej nowych jednostek jest kompletne.

Zwalista, wyglądająca dość prymitywnie maszyna wypełniała większość przestrzeni - wielkie metalowe kule z mnóstwem rur wijących się między nimi. Araminta przepchnęła się między parą cystern do oczyszczania wody. Ściana boczna za nimi była gołą powierzchnią wzmacnianego, związanego enzymatycznie betonu. Teraz, dokładnie nad głową, Araminta miała prostokątną dziurę, przez którą sześć rur zasilających wychodziło na zewnątrz, by dołączyć się do miejskiej sieci wodociągowej. Luka między górną rurą a betonem wynosiła około pół metra. Dziewczyna wgramoliła się na jedną z cystern oczyszczacza, krzywiąc się za każdym razem, gdy przez pomyłkę chwyciła za rurę gorącą. W ten sposób znalazła się na jednym poziomie z dziurą. Oddalony koniec dziury przykrywała metalowa siatka. Przylegały do niej trawa i gleba.

Zgrzytając zębami z determinacji, zrzuciła gruby polar i wcisnęła głowę i ramiona w dziurę. Musiała się jeszcze wyciągnąć, by odkręcić kluczem elektrycznym śruby zaciskowe siatki. Były zaśniedziałe od długiego nieużywania i bała się, że narobi hałasu kluczem elektrycznym, ale po kilku minutach przeklinania i usuwania potu z oczu zdołała obluźować siatkę. Potem następne pięć minut odgarniała trawę i glebę. Zrzuciła pas z narzędziami i dopiero wtedy mogła się wygramolić z niewygodnej, klaustrofobicznej luki.

Araminta wypelzła na wąski pas trawy między ścianą apartamentowca a drewnianym płotem. Bluzkę miała porwaną, skórę podrapaną i krwawiącą, spodnie na kolanach zabłocone,

włosy potargane. Była rozgrzana, zaczerwieniona i spocona. Patrzyła z gniewem za siebie na mały otwór. Nie mogłam aż tak przytyć!

Hałas znacznie się wzmógł. Słowa z głośników cały czas wzywały tłum do wycofania się. Przez pasmo nieba nad jej głową prześlizgnęła się jakaś kapsuła. Araminta szybko wyciągnęła z dziury swój pas z narzędziami i zaczęła pracować śrubokrętem przy sztachetach płotu. Kiedy obluzowała trzy z nich, mogła prześlizgnąć się przez trójkątny otwór na prawie identyczny pas ziemi po drugiej stronie. Sąsiedni budynek składał się ze sklepów i biur. połowa z nich była wolna i dostępna za niski czynsz. Araminta przekradła się wzdłuż ściany budynku na placyk z pojemnikami na śmiecie. Furtka za pojemnikami wychodziła na wąską uliczkę wyłożoną betonem, teraz już bardzo popękany. Na murku ktoś zostawił starą kurtkę. Wciągnęła ją na swą podartą bluzkę i przewiesiła pas z narzędziami przez ramię. Potem zaczerpnęła powietrza i wolnym krokiem wyszła na uliczkę.

Dwaj ellezelińscy paramilitarni w zbrojach pełnili służbę w kordonie przed tylną bramą apartamentowca. Araminta zignorowała ich i poszła uliczką. W każdej sekundzie spodziewała się, że ją zatrzymają, ale nie zrobili tego. Po dwudziestu metrach ostro skręciła w lewo w inną uliczkę, znikając z widoku. A potem po prostu szła dalej.

\*\*\*

Minęła wieczność, a on kroczył przez białą dżunglę. Drzewa z przezroczystego kryształu piętrzyły się nad nim, załamywały łagodne migotanie czystego słonecznego światła, wypuszczały długie białe liście. Poszycie było gęste, płożące się liany i krzaki zwały się w gęstą plataninę srebrzystych odcieni, którą niepodobna było sforsować. Białe chmury mknęły nad głową. Mdłe mgły utkały długie pasma okręcające się wokół lśniących pni, redukując widoczność. Białe ptaki przelatywały szybko w pobliżu, trójkąty ich piór trzepotały szybko. Białe gryzonie

czmychały wokół jego obutych stóp. Buty miał pokryte białym błotem z parującej gliny.

- Wiem, że to trudne - rozległ się głos za drzewami. - Ale musisz wybierać.

Tęsknił za kolorem. Nawet za mrokiem. Ale dżungla oferowała najwyżej słabe cienie. Kształty zaczynały stapiać się i rozmywać. Traciły spójność. Gorejący wszechświat go wchłaniał. Kiedy uniósł dłonie, trudno było je zobaczyć. Białe na białym. Samo patrzenie na nie przyprawiało o zawrót głowy.

- Możesz się zagubić. Stracić, co jest. Stracić to, czego dokonałeś. Twoje życie nigdy nie zaistniało. Czasami żałuję, że nie mogę oferować tego sobie.

A potem wróg zaczął się zbliżać. Widział ich wszędzie wokół - błysk ruchu szybko mknący przez poszycie. Czekali na niego. Wiedział o tym. To zasadzka.

Ryknął ku nim wyzwanie. Jego biononika wypuściła straszliwy impuls energii. Bryły poszycia zdeintegrowały się w kinetycznych wirach. Ostre fragmenty liści i kamienia tłukły go i rzucały z boku na bok. Obraz zredukowany, ale nadal zupełnie biały: z przodu, po bokach, z góry, w dole. Biel. Biel. Biel.

Przez ten krajobraz skradał się wróg - złośliwy, zdeterminowany, zabójczy. Porażał ich ogniem. Widział, jak płoną - potężny biały płomień palił ich, pchał w niebo strumienie białego dymu.

W dławiącą jednorodną biel wysyłał serię strzałów. Zaczynała go ścisnąć. Jego wyładowania energetyczne, choć bardzo gwałtowne, nie mogły tego przeniknąć.

- Pomóż mi! - krzyknął. - Zabierz mnie od tego. Wybieram. Wybieram! Pamiętam, że wybrałem. Chciałem się nie wydarzyć.

Nie potrafił już określić, gdzie jest góra. Koziółkował przez biel. Własne krzyki brzmiały mu głośno w uszach, kiedy biel uderzała w przyłbicę skafandra i ześlizgiwała się z niej. Potem uderzył w coś, co zatrzymało ten szaleńczy bieg, tak nagle, że wybiło mu to dech z piersi. I w końcu pojawił się inny kolor - kiedy nabierał rozpaczliwie tchu, w polu widzenia tańczyły mu czerwone iskry

bólu. Zamknął oczy, zaciskając powieki, a potem otworzył je z mruganiem.

Odłamki szarobiałej skały leżały, skwiercząc na lodzie, i powoli zapadały się w tworzone przez siebie kałuże.

- Cholera - jęknął Aaron.

Zmusił się do powstania na czworaki, a potem powoli i z wysiłkiem stanął na nogi. Biała sadz musiała go dostać i dostarczyła podstępnego ujścia demonom kłębiącym się wokół jego podświadomości.

Co, do diabła, mam w środku? Czego próbowałem się pozbyć i w końcu odrzuciłem?

Pokręcił głową, przeprowadził kompletne sprawdzenie swego stanu systemami bionicznymi. Przejrzał również programy w klastrach wielokomórkowych. Do hełmu wpłynęło chłodniejsze powietrze, pozwalając na zaczerpnięcie kilku orzeźwiających oddechów. Rozejrzał się wkoło i zobaczył, że pole gładów lodowych zostało za nim. Wiatr przycichł, jedynie kilka śniegowych podmuchów podskakiwało w powietrzu. Para buchała z kilku kraterów, gdzie strzały energetyczne stopiły lód. Za sobą na horyzoncie widział ząbkowane krystaliczne głązy. Egzowizja nałożyła mu plan trasy na pole widzenia, rysując ją prostymi, żarzącymi się pomarańczowo liniami. Na polu z gładami trasę pełzacza śledziło się łatwo, gdyż pojazd ocierał się o głązy, pozostawiając na gruncie pokruszone odłamki lodu. Rozpoznawalne były też miejsca, gdzie Inigo poszerzał luki między bryłami lodu, by przez nie przejechać. Teraz, kiedy byli na otwartej przestrzeni na szczycie lodowca, śledzić drogę pełzacza było trudno.

Aaron opuścił truchtem teren, który zdewastował, krążąc w kółko. Nie było tu w ogóle żadnych śladów pełzacza. Płytki śniegowy pył cały czas się przesuwiał, zupełnie zacierając najmniejszy ślad gąsienic. Kiedy stał i obserwował, jego własne ślady zniknęły prawie natychmiast po tym, jak je zostawiał. Nie pozostawała żadna rezydualna sygnatura cieplna. Od czasu, gdy Inigo i Corrie-Lyn wyjechali z pola z gładami, upłynęło co



najmniej sześć godzin. Na tym zamrażającym świecie ich ślady w podcierwieni znikłyby po dwudziestu minutach.

Nie dysponował zupełnie żadnym sposobem na określenie, którądy pojechali.

- Pieprzyć to.

Nie pozostał mu żaden wybór. Jego bezwładnościowy system kierowania wyznaczył trasę z powrotem do Jajaani przez obóz Olhava, jedyną trasę, co do której był pewien, że nie ma na niej lodowych klifów ani innych przeszkód. Zdawał sobie sprawę, że nie dotrze tam przed implozją planety. Ale wszelkie ewentualne akcje ratownicze działałyby na tym terenie, gdzie lądowały kosmoloty. Pozostało mu tylko tyle. Położyć się i czekać na koniec, to nie było w jego stylu. Kimkolwiek jest.

Znowu zaczął biec. Jego bionioniczne prądy energii zrekonfigurowały się i nadawały w wieczną burzę wezwanie pomocy.

\*\*\*

Niebieskie widmo lokalnej gwiazdy świeciło jaskrawo na kadłub „Odkupienia Melanii”, kiedy statek wypadł z hiperprzestrzeni pięćset kilometrów nad Orakum. Troblum odczytał zewnętrzne czujniki i zobaczył planetę zasadniczo taką samą jak każdy zasiedlony przez ludzi świat w Wielkiej Wspólnocie. Niebieskie oceany spowite w puszyste białe chmury, brązowe masy lądów z meszkiem zieleni. Elektromagnetyczne emisje planety były znacznie niższe niż światów Centralnych, co odzwierciedlało względnie małą populację Awangardów i Naturalnych. Typ świata, gdzie można prowadzić doskonale spokojne życie. Troblum wiedział co nieco o Oscarze Monroe, więc nie zdziwił się, że stary bohater wojenny właśnie tu się osiedlił.

Polecił smartkorowi statku, by wszedł w atmosferę w pełnym trybie maskującym. Mięśnie go bolały, bo ostatnie kilka godzin spędził w przykucniętej pozycji. Nawet teraz, kiedy w końcu poczynił pewne postępy w katalogowaniu i układaniu składników w oddzielne stopy, jego prawa środkowa ładownia

nadal była bardzo zapchana. Zaczął się niepokoić o proces montażu, który będzie wymagał przyzwoitej powierzchni roboczej. Ale do tego etapu było jeszcze daleko.

Kiedy „Odkupienie Melanii” przeszło przez jonosferę, wrócił do kabiny i wziął szybki sporowy prysznic. Zreperowane przez moduł medyczny obrażenia, których doznał w willi Floraca, pozostawały nadal podrażnione.

- Powinieneś je posmarować jakimś kremem - powiedziała mu Catriona. Piękna dziewczyna przechyliła głowę z wyrazem głębokiej troski, a jej kręcone włosy podskakiwały.

- To nie ma znaczenia - warknął w odpowiedzi.

- Dla nas ma - zagruchała Trisha.

Troblum włożył swój sfatygowany niebieski togatur. W obliczu dwóch dziewcząt jakoś dziwnie troszczył się o swą godność. To, że widziały go nagiego, dziwacznie go niepokoiło. Tam, w apartamencie w Arevalo, nigdy go tak nie widywały, rutyna codziennych czynności była idealnie stabilna. Czuł się z nią wygodnie. Ale tutaj, w kabinie kosmolotu, nie było wiele miejsca na odosobnienie, a projektory mogły rzutować obrazy niemal wszędzie.

- Dzięki - powiedział, mając nadzieję, że zamknie im to usta. Nie chciał łądować ograniczeń do programu teraz, kiedy tak idealnie skonstruował ich osobowości. - Czuję się doskonale.

Ostatni szew togaturu zamknął się. Troblum bez skrzywienia przyjął pozycję wyprostowaną.

- O co go poprosisz? - spytała Tricia, kiedy kosmolot opadł przez chmury.

Czujniki już wybrały, daleko pod kadłubem, biały krąg domu osadzony na nieregularnej posiadłości na obrzeżach rozległej prerii miejscowych roślin.

- Zabiorę mu jedynie pięć minut, to wszystko. Potem sprawa będzie załatwiona.

Kiedy zeszedł poniżej pięciuset metrów, Troblum wyłączył tryb maskowania. Statek wylądował na wielkiej łacie poziomej trawy, gdzie w cieniu wysokich czerwono-brązowych drzew parkowały już dwie kapsuły. Troblum zszedł po schodach śluzy.

W powietrzu czuł słaby zapach obcych pyłków. Dwie postacie śpieszyły w dół spiralnych schodów, owiniętych wokół centralnego słupa domu. Troblum, chociaż normalnie nienawidził wsi, musiał przyznać, że wyniesiony dom w tej bukolicznej oprawie wygląda bajkowo.

Jego u-adiunkt zameldował o pingach skierowanych do niego przez idących ku niemu mężczyzn. Odpowiedział dość grzecznie swoim świadectwem identyfikacyjnym, modląc się, żeby nie wysyłali do unisfery zbyt wielu pytań na jego temat. Progredywiści czekali na każdą wskazówkę, choć gdyby nawet potwierdzili jego miejsce pobytu, powinien być tutaj względnie zabezpieczony przed działalnością Mariusa.

- Jestem Dushiku - przedstawił się pierwszy mężczyzna. - Możemy panu pomóc?

- Czy to naprawdę kosmolot? - spytał drugi. Był młodszy, z pewnością żył po raz pierwszy, wszystko w nim, a nie tylko jego reprezentacja w gajasferze, promieniowało zapałem i ujmującą naiwnością. - Wygląda fantastycznie.

- Dziękuję.

- A te skrzydła?

- Promienniki ciepła.

- Och.

- Wystarczy, Jesaral - napomniał go Dushiku.

- Przepraszam.

- Jeśli mogę, chciałbym rozmawiać z Oscarem - powiedział Troblum. Nastawienie przybyłych natychmiast się zmieniło. Dushiku zatrzymał swe emisje do gajasfery, rysy twarzy mu stwardniały. Jesaral wydał usta i pozwolił, by z umysłu wylała mu się fala zdenerwowania i niepokoju.

- Oscara nie ma - powiedział sztywno Dushiku.

- Czy powiedziałem coś niewłaściwego?

- Nie - odparł Jesaral, krzywiąc usta. - Tylko to, że Oscar w tej chwili nie jest tu popularny. Opuścił nas w pośpiechu kilka dni temu. Widocznie nie znaczymy dla niego tyle, ile on dla nas. Zawsze dobrze o tym wiedzieć, prawda? Biedna stara Anja nadal wypłakuje sobie oczy.

Ramię Dushiku objęło ramiona młodszego mężczyzny w pocieszającym uścisku.

- W porządku, on wróci.

- Komu na tym zależy? - rzucił Jesaral z nagłą pogardą.

- Czy wiecie, kiedy wróci? - spytał Troblum.

- Nie. - Dushiku spojrział na niego ostro. - Czy pan go zna?

- Mamy wspólnego przyjaciela. To raczej ważne, bym się z nim skontaktował.

- Jego u-adiunkt blokuje nasze wywołania - rzekł Jesaral. - Ale niech to pana nie zniechęca, może będzie pan miał większe szczęście.

- Spróbuję tego, dzięki.

- Naprawdę - spytał Dushiku. - Dlaczego nie zrobił pan tego, zamiast tu przylatywać?

Program towarzyski Trobluma zameldował, że Dushiku staje się wzburzony i ciekawy. I że powinien powiedzieć coś uspokajającego. Nie zasugerował, co.

- To skomplikowane. Dokąd się udał?

- Jej się spytaj - powiedział Jesaral z przesadnie gniewnym spojrzeniem.

- Kogo?

- Tę Paulę Myo. Była ostatnią z jego tak zwanych „starych znajomych”, która tu się zjawiała niezapowiedziana. Nie wiedziałem, że jest was aż tak wielu.

Troblum stał nieruchomo, patrząc na obecnie czujnych mężczyzn.

To nadzwyczajny zbieg okoliczności. Naprawdę nadzwyczajny. Czemu Paula miałyby odwiedzać Oscara? I co on teraz robi? Czy możliwe, że pracują razem? Nie wiedziałem go w willi Floraca.

- Czy pan ją zna? - spytał Dushiku.

- Wiem, kto to jest. Muszę już lecieć. - Troblum odwrócił się i poszedł ku rampie śluzy.

- Hej!

- Przepraszam, że was niepokoiłem.

- Czego, do diabła, pan od niego chciał?

- Nic. Zupełnie nic.

- Ludzie, kim wy, we wszechświecie Ozzięgo, jesteście?

Mając rampę pod stopami, Troblum poczuł się znacznie bezpieczniej. Już nakazywał smartkorowi uruchomienie silnika.

- Oddajcie go nam! - ryknął Jesaral. - Chcę z powrotem Oscara. Chcę swojego Oscara. Ty sukinsynu.

Śluza zamknęła się. „Odkupienie Melanii” natychmiast wystartowało, mocno przyśpieszając, niemal dochodząc do szybkości dźwięku. Troblum wiedział, że był śmieszny. Kochankowie Oscara nie przedstawiali nawet najmniejszego zagrożenia. A jednak chciał jak najszybciej od nich uciec. Kiedy dotarli do poziomego chmur, efekt maskujący owinął kadłub statku w płamę refrakcyjną. Troblum sprawdził, ale żadne czujniki nie sondowały nieba, polując na niego.

- Ale byli przerażający - powiedziała z pogardą Tricia. Tuliły się do siebie z Catrioną na długiej kanapie kabiny.

- Gorszi niż Kotka.

- Masz szczęście, że uszedłeś stamtąd z życiem. - Zamknijcie się - warknął Troblum.

Dziewczyny wydeły usta, obmacywały się i głaskały jak kocięta. Troblum zignorował je i opadł w wielki fotel. Nieoczekiwana wiadomość nadal go szokowała. Paula Myo odwiedziła Oscara! To ostatnia rzecz, jakiej się spodziewał. Chrząknął z podziwem. To było to. Oczywiście, nikt by się nie spodziewał, że tych dwoje będzie współpracowało. A więc, co on dla niej robi?

Kosmolot osiągnął wysokość czterystu kilometrów. Troblum poleciał mu przejść w nadświatłą i odleciał na dziesięć lat świetlnych od Orakum. Kod unisferowy Oscara tkwił w kłastrze jego pamięci. Ogromnie kusił. Ale od Sholapuru po prostu nie ufał unisferze. Wiedza, że Oscar i Paula kontaktowali się, z pewnością dawała mu jakąś korzyść. Nie wiedział tylko jaką.

Catriona uniosła głowę i obdarzyła go czułym spojrzeniem.

- Więc dokąd lecimy?

- Nigdzie - powiedział, podjąwszy decyzję. - Mam zamiar zainstalować ultranapęd. Po czym zrobię wszystko, by ostrzec Paulę i ZAN. Przynajmniej będę mógł potem uciec, jeśli wszystko pójdzie niedobrze.

\*\*\*

Paula od dziesięcioleci nie była w Paryżu. Od ery pierwszej Wspólnoty miasto znacznie się zmniejszyło. ZAN, tak jak wszędzie we Wspólnocie, była tu bezlitosna, usuwając budynki, które uznała za nieistotne. Resztkowa narodowa nostalgia odgrywała niewielką rolę w jej pragmatycznej analizie. Jednakże prawdziwe zabytki pozostały. Oczywiście wieża Eiffla. Łuk Triumfalny. Notre Dame. Plac Zgody. Większość oryginalnych budynków nad Sekwaną.

Paula teleportowała się do miasta ze Stacji Sky Pier nad Bordeaux. Zmaterializowała się na zewnątrz starodawnego pięciopiętrowego budynku, gdzie spędziła tyle wieków, pracując przed czasami ZAN i kultury Elewatów. Przy drzwiach oryginalna mosiężna tabliczka nadal połyskiwała na tle szarego kamiennego muru.

#### WSPÓLNOTA MIĘDZYUKŁADOWA

#### WYDZIAŁ PRZESTĘPSTW POWAŻNYCH

Paula uśmiechnęła się melancholijnie - i weszła do marmurowego holu. Tak wiele wspomnień nawiedzało to miejsce. Wtopione w konstrukcję, ożywiały się wszędzie, gdziekolwiek spojrzała. Obrazy i dźwięki silniejsze, niż kiedykolwiek mogła wyprodukować gajaserfa, i znacznie bardziej znaczące. Wszyscy koledzy, z którymi pracowała przez wieki, sprawy, które rozwiązali, bitwy z niezliczonymi szefami, nominatami politycznymi i prawnikami. Wszystko to rozbrzmiewało echem dookoła, witało ją znowu.

Przy drzwiach windy czekał na nią ZAN-droid - imitacja człowieka o pozbawionej wyrazu złotobrązowej twarzy. Miał na sobie prosty niebiesko-zielony mundur, jednakowy u wszystkich z jego rodzaju. Były ich w mieście dziesiątki tysięcy; wykonywały konieczne funkcje konserwatorskie przy bezcennych starodawnych budowlach. Same generatory stabilizujące nie utrzymałyby tkanki miejskiej w sytuacji, gdy nadal wykorzystywało ją niemal osiemdziesiąt tysięcy ludzi.

- Witamy z powrotem, śledcza Myo - powiedział, kiedy otworzyły się drzwi windy. Głos miał równie bezpłciowy jak ciało.

- Dzięki. - Paula położyła dłoń na podkładce bezpieczeństwa, pozwalając systemowi kierowniczemu potwierdzić jej DNA. Jej uadiunkt musiał następnie przejść dalszą długą procedurę autoryzacyjną, zanim winda zjechała na dół.

Przebyli przynajmniej dwa pola siłowe po drodze do podziemnej komory. Było tam także pole zakłócające energii egzotycznej, które uniemożliwiało komukolwiek teleportację do wewnątrz lub utworzenie wormhola w pomieszczeniach.

Winda otworzyła się na długi hol. Przypominało to Pauli urządzenia recepcyjne ZAN, gdzie tysiące ostatnio załadowanych ciał czekały, by zobaczyć, czy ich umysły dostosują się do rozszerzenia i wolności wewnątrz samego ZAN. Tylko tutaj zamiast żarzących się fioletowych kul na podłodze spoczywały długie rzędy ciemnych sarkofagów.

- Tędy - powiedział ZAN-droid z uprzejmym gestem.

Paula poszła z nim, odgłos jej kroków odbijał się echem w komorze.

- Ilu tu zmagazynowano? - spytała.

- Obecnie dostarczamy zawieszenia tysiąc osiemset czterdziestu trzem ludziom.

Ciekawe, ilu z nich jest pogrzebanych tu za jej sprawą. Chyba spory procent.

- Większość nadal musi odbyć kilkaset lat swego wyroku - oznajmił ZAN-droid. Kilka wyjątkowych przypadków pozostanie tutaj znacznie dłużej. Kilku ma pozostać nawet dłużej, niż wynosi okres dotychczasowego istnienia miasta.

- Tak - powiedziała Paula, kiedy zatrzymali się przed jedną z masywnych skrzyń zawieszenia. A to jeden z tych przypadków. - Chcę ją zobaczyć, proszę.

- Może pani wykorzystać skanowanie polowe. Nie przeszkodzi to w pracy systemom zawieszającym, są one bardzo niezawodne.

- Proszę to otworzyć.

- Jak pani sobie życzy.

Plastmetalowa pokrywa pudła zawieszenia rozstąpiła się. Paula spojrzała na ciało w środku. Leżała tam Kotka. Ciało owinięto srebrzystymi niciami, które stosowano w długoterminowym zawieszeniu. Nici zapewniały, że komórki pozostaną nienaruszone w ciągu niemrawych stuleci, kiedy Kotka będzie spoczywała na cienkim pograniczu życia i śmierci.

- Wszyscy pozdrawiają Schrodingera - powiedziała cicho Paula.

Jej skanowanie połowe omiotło Kotkę, potwierdzając małe blizny i ślady oparzeń, nabyte w ostatniej wściekłej wymianie ognia, w wyniku której została ujęta. Szpital wyleczył ją na proces. W tamtym czasie kilku starszych członków Dyrektoriatu i nawet samo biuro prezydenta zapytywali, czemu Paula pozwoliła jej przeżyć. Typy polityczne, dla których rządy prawa były irytującą wytyczną, którą można bezkarnie naginać i łamać.

Paula skinęła głową usatysfakcjonowana. To z pewnością była jej stara przeciwniczka. Przynajmniej ta oryginalna. Nie żeby oryginalność była nadal wiele warta.

- Ilu ludzi ją odwiedzało?

ZAN-droida nie zaprojektowano, by się dziwił, ale jakoś zdołał przepasać to wrażenie. - Pani inspekcja trzysta osiemdziesiąt lat temu była jedyną, Śledcza.

- Dziękuję - odpowiedziała ZAN-droidowi.

Owiedziła ją w czasie, kiedy pewna grupa polityczna na Far Away chwaliła się, że zdołała wyciągnąć swego idola z czyścica. Oczywiście wcale tego nie zrobili, to była po prostu słowna licytacja, by zyskać większe wpływy polityczne.

Pokrywa wróciła na miejsce, zamykając Kotkę w miejscu, gdzie miała pozostać jeszcze przez następne cztery tysiące lat.

\*\*\*

- Czy jesteś teraz usatysfakcjonowana? - zapytał ZAN:Władze, kiedy Paula wynurzyła się w łagodne paryskie światło dnia.

- Nie, nie całkiem.

- Włamanie się do podziemi Dyrektoriatu nie jest możliwe.



- Tak, wiem. Ale istnieje kilka innych możliwości. Wskreszenie jej to coś, nad czym w ciągu ubiegłych stuleci wiele rozmyślałam. Tam na zewnątrz nadal jest wielu fanatyków.

- Rycerze Strażnicy tak naprawdę nie chcą, by żyła i sobie spacerowała. To politycznie wygodne mieć przywódcę, który powróci w dalekiej przyszłości. Daje im mnóstwo swobody ruchów.

- Ach, kiedyś to już wcześniej słyszałam.

- To twoja dziwna słabość, Paulo.

- Wszyscy mamy prawo do jakichś słabości.

- Więc nadal wierzysz, że na Sholapurze to była ona?

- Sądzę, że istnieje duża możliwość, że napotkałam jej pełną sklonowaną wersję.

- Jej DNA jest prawdopodobnie łatwe do uzyskania. Ale gdzie dostaliby kopię jej pamięci? Wiemy, że nigdy nie miała bezpiecznej kryjówki, zbyt się martwiła, że Dyrektoriat uzyskałby do niej dostęp.

- To jej słabość - powiedziała bez ogródek Paula. - Jednakże istnieje jedna znana mi kopia. Sprawdzę to.

- Nie chcę krytykować, ale są inne sprawy, które wymagają uwagi. Dość pilne. Jeśli chwila wytchnienia, którą uzyskaliśmy dzięki Justine, ma mieć jakąkolwiek wartość, muszę wiedzieć, co planują Progresywiści.

- Czy próbujesz grać na moim poczuciu winy, bym ganiała Mariusa i jego kumpli?

- Muszę grać na poczuciu winy?

- Jeśli Progresywiści w jakiejś formie sprowadzili tu Kotkę, najwyraźniej chcą ją wykorzystać do jakiejś brudnej, wątpliwej roboty. Ale, jak przypuszczam, odkrywają, że niełatwo nią sterować. Jej osobiste cele zawsze mają pierwszeństwo. Mogę to wykorzystać, by ją złapać. Kiedy znajdzie się w areszcie, będzie ją można dogłębnie przepaść.

- Interesujące zastosowanie logiki.

- Niemniej jednak logiczne.

- Przy założeniu, że nie mylisz się co do Sholapuru.

- Zdaje się, że dla ciebie najbardziej użyteczny jest mój instynkt. Cecha osobowości, której jeszcze nie nabyłeś.

- Słusznie.

- Dziękuję. Jednak masz słuszność co do śledzenia innych tropów. Kiedy leciałam tutaj, przejrzałam plik Trobluma. Prezentacja, którą wykonał przed Kazimirem, jest bardzo interesująca.

- Tak. Uważałam ją za dobrze uzasadnioną i bardzo wiarygodną.

- Mam co innego na myśli. Sugeruje ona, że Troblum ma bardzo obszerną wiedzę o samej Mrocznej Fortecy.

- Flota utrzymuje skuteczne siły wokół Pary Dysona, nie będzie mógł uzyskać dostępu do żadnej z fortec.

- Będzie mógł, jeśli był członkiem zespołu naukowego floty. Nie ma wielu ludzi, zwłaszcza Elewatów, którzy mają jego kwalifikacje w fizyce. Proszę, przejrzyj cały personel floty, który po wojnie Gwiazdokrażcy odbywał służbę przy Parze Dysona.

Nie nastąpiła nawet chwila namysłu.

- To był doskonały przykład dedukcji. Mam plik.

Paula przejrzała go. Tożsamość została zapisana jako niejaki Kent Vernon, fizyk z Salto. Egzozobraz pokazał jej twarz podobną do Trobluma, lecz o hebanowej skórze.

- Znacznie przyciemnił swą pigmentację, jednak twarz jest stanowczo rozpoznawalna. Och, oczywiście, to nazwisko. Jest potomkiem Marka Vernona. - Uśmiechnęła się na wspomnienie Marka, człowieka naprawdę niezaradnego, ale z gruntu porządnego. - I Mark ożenił się z Liz, która była Afroamerykanką. Bardzo zgrabne - skomentowała - choć pozbawione wyobraźni. Jestem zdziwiona, że jego kontroler-Progresywista na to pozwolił.

- Odbył sześciomiesięczną służbę podrózną na statku Wydziału Badawczego floty, „Poix”, pięćdziesiąt sześć lat temu - zameldowała ZAN. - Ta misja badawcza koncentrowała się na dwu wewnętrznych kratowych sferach. Zrobili postępy w mapowaniu połączonych z nimi funkcji kwantowych. Ale projekt floty trwa nadal. Wciąż nie całkiem rozumiemy mechanizmy stojące za Mroczną Fortecą.

- Nawet ty nie rozumiesz?

- Nawet ja.

- I zgodnie z tym plikiem „Kent Vernon” później załadował się do ciebie - powiedziała Paula po przeskanowaniu egzoobrazu. - To kończy wszystkie wątki, jeśli chodzi na przykład o niewygodne zewnętrzne śledztwo. Zobaczmy więc, jakie możemy tu znaleźć prawdziwe fakty. - Jej u-adiunkt wywołał zapisy z apartamentu Trobluma i z usług komunalnych Daroki. Te z okresu sprzed pięćdziesięciu sześciu lat były już głęboko zarchiwizowane, ale, mając swój poziom dostępu, wkrótce je uzyskała. - Spójrz na zużycie energii - powiedziała.

- Przez dziesięć lat nominalne. Z tego wniosek, że nie było tam Trobluma. Cokolwiek robił, zabrało mu to dekadę poza Arevalo.

- Jaki rodzaj urządzenia buduje się przez dziesięć lat?

- To właśnie Troblum chciał ci powiedzieć.

- Dlaczego po prostu tego nie ujawnił? - spytała zirytowana.

- To prawdziwy paranoik. Zrozumiałe, jeśli się weźmie pod uwagę tajne projekty, z jakimi był związany, i to pod nadzorem Mariusa. Paranoja, która została w pełni usprawiedliwiona wypadkami na Sholapurze. Teraz prawdopodobnie całkowicie opuścił Wspólnotę. Jego statek wydaje się zdolny do takiej podróży, nawet bez ultranapędu.

- Ja bym z pewnością chciała wyjechać, więc chętnie w to wierzę - przyznała Paula. - Niestety, myślenie życzeniowe to w tej chwili luksus. Proszę, wylistuj wszystkich, którzy służyli razem z Troblumem, pogrzeb w ich historii. Zaczynj od kapitana.

- Kapitanem „Poixa” był Donald Chatfield. Elewat, obecnie rezydent na Ganthii.

- W porządku, przyznaję, że to bardziej istotne niż trop, który mam do Kotki. Polecę i porozmawiam z Chatfieldem.

- Jak sobie życzysz.

- I naprawdę się nie domyślasz, co takiego mogli zbudować Progresywiści?

- Nie. Według Gore'a chcą mnie zduplikować i stopić tę replikę z Pustką, by zainicjować postfizyczną ewolucję. Systemy do

zainicjalizowania drugiej takiej jak ja byłyby złożone, ale nie wymagałyby żadnego elementu z techniki Mrocznej Fortecy.

- Czy to stopienie zadziała?

- Któż to wie?

- Bardzo dobrze. Zgłoszę się, jak będę coś miała.

Paula aktywowała swoją polową funkcję interfejsową, wyznaczając jej współrzędne wyjścia. Ziemska T-sfera natychmiast przetranslowała ją na powrót do Sky Pier. Kiedy szła przez centrum recepcyjne do terminalu stacji, jej u-adiunkt powiadomił ją, że wywołuje ją Kazimir.

- Złe wiadomości - oznajmił.

Serce Pauli lekko zatrzepotało. W galaktyce nie zostało wielu ludzi, którzy nie byli jej obojętni, ale Justine była jednym z nich.

- Justine?

- Nie. Nie mam dalszych informacji o matce, co, jeśli chodzi o mnie, jest dobrą wiadomością... Ale mam kontakt z „Lindauem”.

- Nie znam tego statku.

- To statek zwiadowczy floty, który skierowałem na Hanko, by dla ciebie monitorował tę całą sytuację z Aaronem.

- I co?

- Nie mają najlepszych czujników we flocie, ale z planetą dzieje się coś niedobrego.

- Niedobrego w jakim sensie?

- Jej grawitacja. Chyba ktoś wystrzelił w planetę m-rzapie Hawkinga.

- O, Jezu. Nie! Czemu mieliby to robić? To i tak jest martwa planeta.

- Baza projektu Odzyskiwania w Jajaani przestała nadawać. „Lindau” nadal odbiera kilka powierzchniowych boi projektu, więc wszystko wskazuje na to, że celem była sama baza.

- Ale m-rzapie? To potworna nadwyżka środków bojowych. Wiemy, że te statki miały ultranapęd, na pewno były wyposażone w wystarczająco potężną broń, by zlikwidować niebronioną bazę cywilną.

- Nie znam przyczyny. Po prostu melduję o wynikach. Oczywiście nie ma ani śladu po obu statkach z ultranapędem.

- Oczywiście. - Jednakże... - Ach! Tak?

- „Lindau” odebrał także bardzo mocny sygnał o pomoc z powierzchni. To standardowa emisja bioniczna. Nikt w spisie członków zespołu Odzyskiwania nie był Elewatem.

- Więc to jest albo Aaron, albo sam Inigo.

- Tak. Co pozostawia mi raczej bolesną decyzję. Planeta, z m-rzapiem wyjadającym jej jądro, nie przetrwa wiele dłużej. „Lindau” ocenia, że upłynie najwyżej kilka godzin, zanim skorupa planety zacznie się przystosowywać do nadchodzącej implozji. Wtedy już nie będzie na planecie ocalałych. Więc czy mają wylądować w Jajaani i zobaczyć, czy ktoś nie ocalał?

- Nie - odpowiedziała natychmiast. - Muszą odzyskać tego, kto wysłał ten sygnał bioniką.

- To jedna osoba.

- Jeśli m-rzapie uderzyło w Jajaani, nie będzie tam nic do uratowania, nawet ciała, a z pewnością żadne bezpieczne - magazyny pamięci. Wszyscy pracujący w projektach Odzyskiwania wiedzą, że to ryzykowne, i wszyscy mają kopie pamięci i próbki DNA na swoich światach macierzystych. Będą powtórnie ożywieni. Jeżeli istnieje najmniejsza szansa, że ocalałym jest Inigo, albo ten człowiek może nam powiedzieć, gdzie Inigo się znajduje, wtedy musisz ratować jego.

- Sam myślałem mniej więcej tak samo, ale to zawsze satysfakcja uzyskać twoją aprobatę. Porozmawiam z kapitanem i będę cię na bieżąco informował.

- Kazimirze... - Tak?

- Ostrzeż ich, by byli ekstremalnie ostrożni. Jeśli to właśnie Aaron jest tam na powierzchni, nie można przewidzieć, co zrobi.

- Wiem. Podkreślę potrzebę ostrożności.

Paula wciągnęła powietrze i patrzyła w dół, przez przezroczystą sekcję kadłuba centrum recepcyjnego Sky Pier. Pod stacją, w leniwym świetle słońca, rozciągnęło się Bordeaux, zielone i piękne. Paula odwiedziła miasto kilka razy, kiedy winnice wciąż produkowały swoje renomowane wino, a pozostali tam obywatele uparcie opierali się technicznemu wsparciu dostarczanemu przez Wspólnotę. Coś w tej okolicy i jej

kulturze sprawiało, że czuła się tam wygodnie i miło, coś zaspakajało tę głęboką ludzką tęsknotę za prostym życiem, podstawę, której twórcy Pauli nigdy nie usunęli z jej psychiki. Zastanawiała się, jak ludzie z tej okolicy, którzy już dawno odeszli, zareagowaliby na dzisiejsze życie i na związane z nim dziwaczne problemy. Podejrzewała, że nie wywarłoby ono na nich pozytywnego wrażenia.

Kiedy znowu spoglądała na ten rejon, częściowo pragnęła po prostu teleportować się w dół i osiedlić w jednym z pozostałych tam domów. Odciąć łączność, zdezaktywizować biononikę. Zostawić daleko Kazimira, Aarona, Mariusa, Kotkę i całą resztę. Przypuszczalnie na Ziemi mieszkało kilka prymitywnych grup, żyjących tak jak ich przodkowie dwa tysiące lat temu. ZAN stale temu zaprzeczała, ale pogłoski uparcie trwały.

Ale nie tym razem, zdecydowała. Poszła więc do terminalu, w którym żarzyło się światło Czerenkova z wormholu prowadzącego do Orleanu. Stamtąd inny wormhol łączył bezpośrednio z Arevalo. Kiedy wróci do kosmoportu w Daroce, „Alexis Denken” zostanie ponownie wyposażony, a nowa komora medyczna wmontowana. Statek będzie gotów, by wieźć ją dalej. Znowu.

\*\*\*

Araminta odwiedziła ten dom ponad rok temu. W tamtym czasie patrzyła na mały, funkcjonalny budynek z suchego koralu okiem przedsiębiorcy budowlanego, widząc tylko koszty i przychody. Ignorowała rodzinę, która ją wtedy zaprosiła i poczęstowała miłym niedzielnym obiadem. Teraz, kiedy otworzyły się drzwi i ukazała się twarz Tandry, Araminta nie mogła się powstrzymać i wybuchnęła płaczem. Życie nie było takie złe, kiedy pracowała jako kelnerka u Nika. Naprawdę nie było źle: Araminta stanowiła część większej zbiorowej rodziny, plotkowała z Tandrą i innymi kelnerkami i trzymali się razem między szyciami, a wieczorami wychodzili czasem na miasto w wielkiej grupie i dobrze się bawili, nawet kiedy nie miała grosza przy duszy. Potem tych ludzi zignorowała i pozostawiła za sobą,

kiedy dotarły do niej pieniądze Larila. Teraz Tandra natychmiast okazała troskę zbłąkanej znajomej, która niezapowiedziana pojawiła się na jej progu, i Araminta poczuła się jeszcze bardziej głupio.

- No, no - zanuciła Tandra i uściśnięła ją jak matka. - Wszystko w porządku.

Martyn, jej mąż, przyjął ją serdecznie. Uprzątnął kanapę w salonie z dziecięcych zabawek. Wręczyli owocowe koktajle mleczne bliźniakom Mixalowi i Freddy'emu, żeby ich uciszyć, a Araminta wycierała nos w papierowe chusteczki i usiłowała opanować łkanie.

- Przepraszam - zawodziła. - Nie powinnam była przychodzić. Nie mam dokąd iść. - A w tle umysłu czuła niepokój, że sam jej pobyt tutaj wystawia rodzinę Tandry na niebezpieczeństwo.

- Jesteś tu witana bardzo serdecznie, wiesz o tym - powiedziała dawna przyjaciółka. - Pobiłaś się z kimś? Rzuciłaś go? - Patrzyła podejrzliwie na poszarpane ubranie Araminty.

- Nie. Nic takiego. W parku przed moim mieszkaniem jest cała banda ludzi. Są bardzo wściekli. Żołnierze najeżdźcy też tam są. Przestraszyłam się.

- Te sukinsyny - warknął Martyn.

Tandra rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie, jej wzrok przeniósł się znacząco na bliźniaki, które bacznie wszystko obserwowały znad oparcia krzesła, na którym obaj siedzieli.

- Tak, to nieprzyjemni ludzie, którzy się źle zachowują - powiedziała z rodzicielską poprawnością. - Jednakże prawo weźmie górę, a oni zostaną wypędzeni z naszego świata.

Martyn przewrócił oczami.

- Tak. Tak będzie.

- A póki tu są, możesz spać na kanapie - zaproponowała Tandra.

- Tylko jedną noc - obiecała Araminta. - To wszystko. Muszę znowu wziąć się w garść.

- Nie masz chłopaka? - zapytał Martyn.

- W tej chwili nie - zełgała Araminta.

Martyn nic nie powiedział, ale jego dyskretny uśmiezek wywołał u Araminty nową falę poczucia winy. Nie śmiała kopać w gajasferze, by poznać stan jego emocji.

- Zostaniemy tu w domu przez resztę popołudnia - powiedziała Tandra. - Bliźniaki nie pójdą do szkoły. To dla nich gratka, prawda?

- Tak! - zawołali chłopcy z radością. Martyn wyglądał przez okno.

- Jak się tutaj dostałaś?

- Pieszko.

- Skąd?

- Z Bodant.

- To całe kilometry!

- Nie pozwalają latać kapsułom, a mój trycykl jest w naprawie. Tandra i Martyn spojrzeli po sobie.

- Siedź tutaj i odpoczywaj - poleciła Tandra. - Upiorę te ubrania. Martyn, przynieś herbaty.

- Już idę.

- Dziękuję - powiedziała potulnie Araminta. Tandra poczekała, aż Martyn zniknie w kuchni.

- Czy chcesz mi jeszcze coś powiedzieć? Araminta pokręciła głową.

- Naprawdę pójde sobie jutro rano. Już mam pomysł, co robić. Jest ktoś, z kim muszę porozmawiać. Zadzwońię do niego jutro. Kiedy tylko obmyślę, jak to zrobić.

- W porządku. Pójde i wykombinuję ci jakiś szlafrok. Martyn dostałby ataku serca, gdybyś chodziła tu sobie w bieliźnie. - Poklepała swoje nogi. - Jest przyzwyczajony do kobiet noszących bieliznę o kilka rozmiarów większą, a nie do młódek takich jak ty.

Araminta uśmiechnęła się.

- Tęskniłam za tobą.

- Nie wątpię. Kiedy tam bawiłaś się każdej nocy, założe się, że cały czas o mnie myślałaś. - Rzuciła bliźniakom krytyczne spojrzenie. - Zaklinałam się, że przez całe to życie nie będę mieć żadnych dzieci, że to życie będzie dla mnie, ale co, do diabła... Dziewczyna nie ma szans z Bogiem Miłości takim jak Marty.



Araminta zaczęła się śmiać. Potem przerwała, rzucając pełne winy spojrzenie w stronę łukowego przejścia do kuchni.

- Tak lepiej - stwierdziła Tandra. - Masz najwspanialszy uśmiech na świecie, dlatego właśnie reszta z nas upierała się, by na twoich zmianach składać napiwki do puli. - Przechodząc, potargała dzieci. Spojrzały na nią z uwielbieniem. - Po prostu kocham bezsenne noce, troski, utratę figury i brak seksu. To wyrabia charakter.

- Mam zamiar kiedyś przekonać się o tym osobiście.

- Na pewno się przekonasz. A wstęp do tego zaczyna się dzisiaj.

- Podniosła głos o parę poziomów. - Wiecie co, ciotka Araminta zrobi wam dziś kolację. Potem wykąpie was obu i umyje wam głowy.

- Tak! - zawołały bliźnięta z entuzjazmem.

- Nadal chcesz tu zostać?

- Och, tak - odparła Araminta.

Ten dom, Tandra, bliźniaki: wydawało się to oazą przyzwoitości wśród szalejącego na zewnątrz obłądu. Bardzo chciała sobie przypomnieć, na czym polega normalność. Wtedy może zdołam obmyślić, jak mam sama wrócić do tego stanu.

\*\*\*

Siedemset lat temu Wilson Kime oficjalnie przekazał władzę nad flotą Wspólnoty Kazimirowi. Wtedy Wilson pełnił rolę Naczelnego Dowódcy po raz piąty. Przez ostatni rok sprawował zasadniczo jedynie funkcje ceremonialne, zanim załadowano go do ZAN. W ten sposób żegnał się ostatecznie z bytem fizycznym. Po formalnym przekazaniu władzy, zorganizowanym dla prezydenta, starszych senatorów i reporterów unisfery, obaj wjechali do biura admirała na ostatnim piętrze trzydziestopiętrowego wieżowca Pentagonu II. Kiedy stali i patrzyli na miły park pod kopułą Babuyan Atoli, Wilson dał Kazimirowi dwie rady.

- Nigdy się nie poddawaj naciskom politycznym - powiedział. - Sam byłem prezydentem, więc znam zalety wojskowych, którzy stają na baczność i mówią „tak jest” na każdą mroczną instrukcję,

którą im wydajesz. Opieraj się im. Trzymaj się spraw zasadniczych. Jak zadeklarował senat w bardziej honorowych czasach, pełnimy dwie role: chronimy rasę ludzką we wszystkich jej formach przed obcymi agresorami i prowadzimy pokojowe, naukowe badania galaktyki. To wszystko. Nie pozwól, by organ kierowniczy to rozmył. Ludność musi pokładać w nas wiarę.

- Mogę utrzymywać tę linię - zapewnił go Kazimir.

- I po drugie, zmieniaj co chcesz w tym cholernym gabinecie. Zawsze go nie cierpiełem. Nigdy nie miałem czasu zmienić mu wystroju, więc teraz każda główniana molekula stanowi tradycję, ponieważ tak właśnie było, kiedy zwyciężyliśmy Górę Światła Poranku. Wszyscy inni admirałowie, począwszy od Rafaela, tylko przedłużali sytuację i to akceptowali. Chcę, byś dał faszystowskiemu ochroniarzom zabytków dobrego kopniaka i wstawił tu własne meble.

Kazimir uśmiechnął się na tę dziwną obsesję mężczyzny. Uścisnęli sobie dłonie. - Zrobisz to - obiecał.

Na razie trzymał się tamtych wytycznych podczas kilku wyjątkowo trudnych wydarzeń politycznych. Druga obietnica nie została, ściśle mówiąc, złamana. Tak jak Wilson, po prostu nie znalazł jeszcze wolnej chwili na zmianę mebli.

Dziś, kiedy wyglądał przez okno gabinetu, nadal widział krągły habitat, który również w czasie ostatnich siedmiuset lat niewiele się zmienił. Pentagon II nadal pozostawał ten sam (czego nie można było powiedzieć o oryginale na Ziemi - ZAN zdecydowała, że nie jest dostatecznie znaczący, by go utrzymywać). Kilka budynków zmieniło kształt. „Wysoki Anioł” przystosowywał swój materiał z rosnącego kamienia do wszystkich nowych ludzkich wymagań. Najbardziej zmienił się teren żywego parku. Od kiedy Kazimir przejął dowództwo, średni poziom koron drzew podniósł się o przeszło pięćdziesiąt metrów. Pod ochronną kopułą statku-arki raielów organiczne środowisko było idealne. Drzewa rozmaitych gatunków rozwijały się w sposób, w jaki nigdy by nie zdołały się rozwinąć na planecie ze zmiennymi porami roku, wiatrami, pożarami, trzęsieniami ziemi, chorobami, pasożytami i stworzeniami obgryzającymi korę. Nie

było tu również przyczyn, by umierały, więc wciąż rosły, hołubione przez idealny klimat. Była tam nawet ze dwudziestka drzew - potworów, które osiągnęły tę samą wysokość co Pentagon II. „Wysoki Anioł” wspomagał teraz ich osmozę, osłabiając wokół nich pole grawitacyjne, pozwalając, by soki odżywcze bez przeszkód docierały do najwyższych gałęzi. Taki las nie mógłby egzystować na żadnej planecie, co tylko dodawało mu powabu.

Gdy Kazimir spoglądał w górę, widział szczupły brązowy sierp Icalanise. Zdawało się, że Nowa Burza pączkuje z Wielkiego Północnego pasa chmur. Obserwował, jak burza wielkości księżycy wzrasta już przez dwa stulecia, absorbując wszystkie mniejsze burze, z którymi się zderzała, i tworząc największy ze wszystkich cyklonowych zawijasów na gazowym gigancie. Ludzkie kosmoloty trzepotały wokół orbitalnego klastra stacji i fabryk mikro-g, na podobieństwo ławicy metalowych ryb. Większość stanowiły statki floty, było też kilka komercyjnych frachtowców i statków pasażerskich. „Wysoki Anioł” stanowił nadal największy port floty w Wielkiej Wspólnocie. Jego rezydenci byli z tego bardzo dumni i dostarczali flocie nieproporcjonalnie wielu - w stosunku do liczby ludności - oficerów.

Kazimir zebrał myśli i powrócił do wielkiego białego biurka. Starodawne umeblowanie z tragowego drewna naprawdę było okropne z punktu widzenia estetyki, a szpitalne żarzenie ścian i sufitu jeszcze pogarszało ten efekt. Ale kiedy zapadał się w tapicerkę, przyznawał, że czuje się wygodnie.

- Zwołaj Radę Egzo-Protectoratu - polecił swemu u-adiunktowi.

W naturalnej wizji Kazimira biuro rozpląnęło się, pozostawiając go w perceptualnej sali konferencyjnej o białym i pomarańczowym umeblowaniu (niewiele lepsze meble niż moje, pomyślał ze smutkiem). Okna pomieszczenia wychodziły na wzburzoną aurę równin millaviańskich.

Gore i Ilanthe pojawili się jako pierwsi. Siedzieli obok siebie. Przedstawicielka Frakcji Progresywiistów od czasu ostatniego zebrania zmieniła swój wygląd: jej włosy, teraz ciemne, spadały

do talii w jednym końskim ogonie, owiniętym czerwonymi, skórzanymi paseczkami. Miała na sobie stylową czarną suknię w poziome plisy. Uprzejmie kiwnęła głową Gore'owi, ubranemu w idealnie skrojony smoking.

- Jakież wiadomości od Justine? - spytała Ilanthe.

Wzrok Gore'a przełączył się na chwilę na krzesło, gdzie na ostatnim zebraniu Rady siedziała Justine.

- Nic. Chyba powinniśmy czekać i zobaczyć, czy Drugi Śniący raczy nam cokolwiek wyjawić.

Przybył Crispin Goldreich. Stary senator obdarzył spojrzeniem krzesło Justine.

- Gore. Kazimir - przywitał ich formalnie. - Wyrazy współczucia dla was obydwu.

- Taa, dzięki - odparł Gore.

- Wolę uważać, że jest korzystnie ułożona, by udzielać nam dalszej pomocy - oznajmił Kazimir. - Przecież osiągnęła coś niezwykłego.

- Tak - odpowiedział zmieszany Crispin.

Członek frakcji Kustoszy, Creewan, zmaterializował się na krześle po lewej Kazimira i uklonił się formalnie admirałowi. Nie skończył jeszcze ruchu, kiedy przybył reprezentant frakcji Darwinistów, John Thelwell, zajmując miejsce po przeciwnej stronie stołu. Zawsze wydawało się, że obydwaj pojawiają się jednocześnie. Kazimir zastanawiał się leniwie, czy nie wchodzi tu w grę jakiś rodzaj przymierza. Ale w jaki sposób tak odmienne frakcje mogły znaleźć płaszczyznę porozumienia, pozostawało zagadką.

- Nie masz zamiaru aktywować osobowości Justine z ZAN? - spytał John Thelwell z pewnym zaskoczeniem.

- Czemu? - spytał Gore. - Jej rzeczywista osoba nadal żyje. Duplikacja jest nadal naszym największym tabu, prawda? Czy też może nawróciłeś się na tę zboczoną filozofię zwielokrotniania?

Thelwell wyrzucił dłonie w górę.

- Dobrze. Jeżeli właśnie w ten sposób chcesz to rozgrywać.

- Jeśli jesteście gotowi - powiedział Kazimir - mam dostępne bezpieczne połączenie do „Yeniseya”.

- Doskonale - odparł Gore. - Spójrzmy i przekonajmy się, z czym przylatują Ociseni.

\*\*\*

Kapitan Lucian był dumny ze swojej małej załogi. Przez dziewięć dni „Yenisey” leciał za największą flotą okrętów wojennych, jaką kiedykolwiek zgromadzili Ociseni. Jeśli raporty wywiadu o statkach klasy Gwiazdobójca były poprawne, to nawet Góra Światła Poranku nie dysponowała taką wrażą mocą ognia przeciw Wspólnocie. Zgodnie z oczekiwaniami, napięcie na pokładzie wzrastało, kiedy zbliżali się do floty. Mimo to, uznawał, że załoga radzi sobie nadzwyczaj dobrze. Ta misja nie była czymś, czego oczekiwali, ani do czego ich szkolono. Jednakże wszyscy dojrzeli do tego zadania. Toi, oficer systemowy, naprawdę cieszyła się na szansę konfrontacji z Ocisenami.

- Przez pięćset lat nie nauczyli się niczego - mówiła. - Oni szczerze wierzą, że jesteśmy paczką dekadentckich zwierząt, którym się poszczęściło w dziedzinie techniki. Jesteśmy klasycznym nieruchomym obiektem na ich drodze, a oni tylko walą w nas tym, co uchodzi u nich za głowę. Nie próbują się ani uczyć, ani adaptować.

- Ta flota jest dowodem, że próbują rozumowo obejść problem - nie zgadzał się Kylee, pierwszy oficer. - Zobaczyli, co im potrzebne, by nas pokonać, i wyruszyli, by to dostać. To adaptacja.

- Wyruszyli, by to ukraść - odparła Toi.

- Negocjowanie sojuszy to nie kradzież.

- Nie wierzę, że mogliby to zrobić. Znaleźli pozostałości po kimś postfizycznym i w zakresie uzbrojenia podciągnęli się na całkiem nowy poziom.

- Nawet to jest oznaką sporych zdolności adaptacyjnych. Sprzeczka trwała nieprzerwanie. Każdy z ich czwórki miał zupełnie różne zdanie od innych. Nie przeszkadzało to im jednak w wykonywaniu zadań. Choć Luciana nieco martwił Gieovan, drugi oficer taktyczny, dla którego rozwiązanie całego problemu z Ocisenami było nieprzyjemnie prymitywne. Po załadowaniu,

natychmiast przyłączy się do Progresywiwistów, myślał Lucien, jeśli nie do Izolacjonistów lub bardziej radykalnych Darwinistów. Przez chwilę niepokoił się wizją konfrontacji z flotą, kiedy dłoń Gieovana spoczywa na spuście ich potężnego arsenału. Ale żaden z nich nigdy nie pozwolił sobie, by osobiste poglądy wpływały na jego profesjonalizm. Lucian był przekonany, że wykonają zadanie powierzone im przez admirała Kazimira.

Przez osiemnaście godzin lecieli obok floty Ocisenów w trybie maskującym i nadzorowali okręty obcych. Ku ogromnej uldze Luciana, wszystkie były ociseńskie.

- Chyba że mają maskowanie - zauważył Kylee po pierwszej godzinie.

- Nie można zamaskować ciągłego napędu wormholowego - sprzeciwił się Gieovan. - W najlepszym razie można tylko minimalizować emisję hipernapędu i stłumić efekt zniekształcający. Nigdy nie zdołasz się zamaskować przed baterią czujników najwyższej klasy. Techniki wykrywania i ukrywania nieprzerwanie ścigają się o pierwszeństwo.

- Ale nic nie wykrywamy? - zapytał Lucien.

- Nie, kapitanie - odparł Gieovan. - Możemy oczywiście wykorzystać aktywniejsze skanowanie, ale to nas wyda.

- Nie utrudniajmy tego. Nadal monitorujcie ich łączność. Musimy zidentyfikować statek dowodzenia.

Hierarchia w ociseńskiej flocie była oczywiście repliką ich struktury imperialnej, gdzie gniazdo imperatora miało władzę absolutną. Indywidualnym kapitanom pozostawało bardzo mało swobody. Struktura łączności to odzwierciedlała - jeden statek wysyłał rozkazy do wszystkich pozostałych. Nie było międzystatkowych pogwarek.

Kiedy już zidentyfikowali statek dowodzący, Lucian wywołał admirała Kazimira i otrzymał upoważnienie do jego przejęcia.

- Wytraćcie go z szybkości nadświetlnej - powiedział Kazimir - i przekażcie nasze ostrzeżenie. Muszą zawrócić, albo wszystkie statki zostaną unieruchomione.

- Nie jestem przekonany, czy zdołamy tego dokonać - odparł Lucien. - „Yenisey” ma cios jak cholera, ale tam jest ponad dwa i

pół tysiąca statków, w tym dziewięćset Gwiazdobójców. Jeśli tylko dwadzieścia z nich połączy siły, przebiją się przez nasze tarcze.

- Lucianie, nigdy bym się nie zgodził na unieruchomienie okrętów w głębokim kosmosie, zwłaszcza gdy są tak daleko za granicami Imperium. Oni po prostu nie mają statków ani zasobów, by zorganizować wykonalną operację ratowniczą. Załogi by szczyły. Nie chciałbym mieć tego na sumieniu albo zwalić to na sumienie kogoś z moich oficerów. Nie, dzisiaj to po prostu przypomnienie o naszej przewadze technicznej. Podejrzewam, że będzie trzeba je powtarzać kilka razy, zanim zdadzą sobie sprawę, że fizycznie nie są w stanie osiągnąć swego celu.

- Zrozumiałem, proszę pana - odpowiedział Lucian z pewną ulgą. Cała czwórka usadowiła się w fotelach w kabinie głównej i stopiła ze smartkorem. Dawało to im perceptualny punkt widzenia na przodzie kadłuba. „Yenisey” ciągnął się za nimi. Główny kadłub był grubym walcem, długim na osiemdziesiąt metrów, ze stożkową partią dziobową. W środkowej części statku wyrastały radialnie trzy płetwy, każda podpierająca pękatą gondolę broni, zakrzywiającą się ku ostremu punktowi na przodzie. Wokół unosiła się fosforyzująca, niebieska reprezentacja hiperprzestrzeni, jakby byli jakimś jachtem, żeglującym po oceanie.

Lucianowi dostarczono zmysłów, które wykrywały wady w niebieskości, konstelacje ciemnych drzazg, otoczonych zieloną mgiełką energii egzotycznej: okręty Ocisenów. Sterował „Yeniseyem”, aż statek zatrzymał się kilometr od statku dowodzącego.

- Czy jesteśmy gotowi? - zapytał cicho.

- Tak jest - odpowiedział Kylee.

- Wspaniale. Gieovan, od tej chwili kierujesz ogniem. Cały czas skanuj, szukając jakiegokolwiek nietypowej aktywności - po prostu na wszelki wypadek. Toi, chcę totalnej dostępności systemów, status wysoki.

Przeskanował statek Ocisenów. Pojazd miał dwieście pięćdziesiąt metrów długości, gruby, jajowaty kształt z cienkimi krawędziami, przypominającymi zakrzywione skrzydła. Kadłub kostropaty, usiany nieregularnymi bryłami, jakby podczas lotu oblepiły go pąkle. Choć skanowanie nie dawało barw, wiedział, że jest koloru matowometalicznego, popstrzony futrzastymi zielonymi łętami. Od kiedy Ociseni rozwinęli swoją semiorganiczną technikę wytłoczek, wszystkie ich kosmoloty tak wyglądały.

- Wyciągnij go - polecił Kylee'owi.

Manipulatory energetyczne „Yeniseya” wytworzyły szalenie fluktuujące formy falowe, które przecięły egzotyczną energię płynnie omywającą Gwiazdobójcę. Niestabilności natychmiast zaczęły pełgać wokół jego wormholu. Kylee zanalizował skutki modyfikacji, które stosował napęd okrętowy, próbując odzyskać kontrolę, a potem po prostu zdominował je czystą mocą, dostępną systemom „Yeniseya”. Kiedy pseudomateria wormhola załamała się, reszta floty skokowo oddaliła się od nich. W ciągu sekundy zniknęła w niebieskości.

Czasoprzestrzeń skonsolidowała się, zatapiając niebieskość nieskończoną czernią. Gwiazdy świeciły z niezachwianą intensywnością. Osiemset metrów od nich okręt Ocisenów rozpoczął pracochłonne koziołkowanie. Kiedy niepowstrzymane impulsy energii wystrzeliły ze zniszczonego napędu, ochronne pola siłowe statku niebezpiecznie zamigotały.

- Uwaga, ociseński statek - nadał Lucian. - Tu statek floty Wielkiej wspólnoty, „Yenisey”. Niniejszym rozkazuję wam zawrócić flotę i powrócić do....

- O, cholera - wykrztusił Gieovan.

Gładki, kulisty kosmolot pojawił się znikąd kilometr przed Gwiazdobójcą. „Yenisey” nie mógł nawet dokonać dokładnego skanowania sygnatury kwantowej, by określić typ stosowanego przez statek napędu.

- Admirale! - zawołał Lucian. - Nie możemy...

Nieznany statek strzelił.



\*\*\*

- Co to, kurwa, było! - ryknął Gore, kiedy bezpieczne połączenie nagle zniknęło.

Przejrzenie danych połączenia transwymiarowego zajęło Kazimirowi aż sekundę - tak był zdziwiony. Jego sztab taktyczny opracował kilka scenariuszy, większość z nich brała pod uwagę Ocisenów wykorzystujących technikę wojenną, którą dostali od gatunków bardziej zaawansowanych. Tego, co zaszło, nie rozważał nikt w najśmielszych hipotezach.

- Zupełnie nie rozpoznaję takiej konstrukcji - oznajmiła Ilanthe.

- Czy mamy jakieś kuliste statki w rejestrach wywiadu floty?

- Istnieją pewne gatunki wykorzystujące kule - odpowiedział wolno Kazimir, kiedy jego u-adiunkt dostarczał mu najbardziej tajnych danych. - Ale nie mamy na listach niczego, co tak szybko unieruchomiłoby kosmolot klasy Rzeka.

- Unieruchomiłoby? - warknął Gore. - Co to takiego, nowa, politycznie poprawna forma na „rozwalenie w drobny mak”?

- Dotychczas wiemy tylko, że zawiódł kanał transwymiarowy „Yeniseya”... - zaczął Kazimir.

- Daj spokój!

- Obawiam się, że muszę zgodzić się z Gore'em - powiedziała Ilanthe. - To nie był strzał ostrzegawczy. „Yenisey” to okręt, najlepszy jaki mamy, i przeznaczony do operowania na długich dystansach. Ostatnia rzecz, która się psuje, to łączność. Mimo wszystko, mieliśmy kontakt z Justine, dopóki nie połknęła jej Pustka.

- Mój sztab przeprowadzi pełną analizę - oznajmił Kazimir. - Powinno to pomóc w określeniu natury ataku.

- Chcesz powiedzieć: „broni” - wtrącił Crispin. - Zgadzam się tu z Gore'em, admirale, nie możesz się ukrywać za językiem. Wszyscy tu zebrani dawno przeszli tę fazę.

- Macie rację. - Kazimir, wiedział, że mają słuszność. „Yenisey” z całą załogą był stracony. To było bolesne, nie stracił żadnego statku przez sześćset lat, od czasu ostatniej fali ekspansji Ocisenów. Oczywiście, załoga zostanie ożywiona, ale nadal musiał znieść fakt, że wysłał ich tam, we wrogie środowisko,

żałośnie źle wyekwipowanych. To typowy błąd dowodzenia: rozmieszczenie ludzi na podstawie złych informacji, na skutek nacisków politycznych. Cud retrospektywy.

- Zważywszy na tę katastrofę, proponuję, by wysłać naszą flotę odstraszącą i przechwycić statki Imperium Ocisenów - oznajmiła Ilanthe. - Nie wydaje mi się, byśmy mieli jakiś wybór. Śledząc strategię „Yeniseya”, widzimy bardzo konkretną i wiarygodną groźbę dla całej Wspólnoty. Kto wie, do czego jest zdolny ten nieznany statek?

- Nadal są daleko - odparł Kazimir. - Możemy wykorzystać ten odstęp, żeby wykryć, jaki jest ich pełny potencjał.

- Zabawiasz się w Boga, manipulując naszą przyszłością - odparł Creewan. - Ja, na przykład, nie będę tego tolerował.

Kazimir rzucił mu miazdzące spojrzenie.

- Nie wydaje mi się, by jeden nieznany okręt groził likwidacją naszej cywilizacji.

- Nie wiesz, czy jest tylko jeden - odparła Ilanthe. - Nie wiesz, czy jest to ich najlepsza broń, czy ichni odpowiednik łuku i strzały. Kazimir, co się z tobą dzieje? Dano ci zadanie obrony naszego całego gatunku. Czy zechciałbyś, z łaski swojej, działać tak, jakby ci na tym zależało?

- Zależy mi bardzo. Nadal twierdzę, że potrzebujemy danych wywiadowczych na temat sprzymierzeńca, którego znaleźli sobie Ociseni. Proponuję, byśmy wysłali jeszcze przynajmniej jeden zwiad i dowiedzieli się tego, co możemy, o poziomie zagrożenia. Mamy czas, i jestem niechętny do sformułowania końcowej odpowiedzi bez większej ilości danych.

Ilanthe spojrzała po zebranych.

- Będę to popierać pod warunkiem, że co najmniej zmobilizujesz flotę odstraszącą. Jeśli następne przechwycenie zostanie udaremnione, wtedy przeciw Ocisenom trzeba wystawić tę flotę.

- Popieram również - odezwał się Gore. Pozostali trzej również wyrazili zgodę.

- Wyślę tam cztery statki klasy Capital - oznajmił Kazimir. - Dotrą na miejsce w ciągu pięciu dni.

- Nie znam statków klasy Capital - stwierdził John Thelwell. - Czy stanowią część naszej floty odstraszającej?

- Nie. Są o stopień niżej. Ale jestem przekonany, że nadadzą się w tej sytuacji, przynajmniej póki nie dowiemy się czegoś więcej o sprzymierzeńcach Ocisenów.

Gore i Kazimir pozostali w rzeczywistości perceptualnej po odłączeniu się innych. Za oknem meteoryty lodowe spadały w niemej wspaniałości, włączając na mrocznym niebie rozległe elektronowe pajęczyny.

- Wiesz, mimo swoich wpływów w ZAN nigdy nie udało mi się uzyskać nawet najmniejszej aluzji tyczącej floty odstraszającej - powiedział Gore.

- Mam nadzieję, że nie - odparł Kazimir. - To nasza ostateczna obrona. Jej natura nie powinna podlegać dyskusji, bez względu na intencję takich działań. Wystarczy, że ją mamy.

- Zrozum, chodzi o to, że gdzieś tam, na bardzo podstawowym poziomie jestem staromodnym chłopakiem, zakorzenionym w fizyczności i nie ufającym politykom. Nie cierpię myśli, że cała perspektywa naszego przeżycia jest oparta na blefie pokerowym wielkim jak kosmos. - Złota twarz Gore'a zwróciła się w stronę Kazimira. - Czy rzeczywiście mamy flotę odstraszającą, synu? To coś realnego?

- To realne, dziadku. A jeżeli sprzymierzeńcy Ocisenów okażą się silniejsi od naszej klasy Capital, osobiście powiodę ją do bitwy przeciwko flocie Imperium.

- W porządku. Wybacz staruszkowi jego dziwactwa.

- Oczywiście.

- Więc co robimy w sprawie twojej matki?

- Czekamy, aż się z nami skontaktuje.

- Myślisz, że to zrobi?

- Myślę, że do tej pory jest już burmistrznią Makkathranu.

- Taa. - Gore chrząknął. - Prawdopodobnie masz rację. Ale jak się o tym dowiemy?

- Zapytamy Drugiego Śniącego.

\*\*\*

Aaron miał dobry czas. Już przebiegł z powrotem całą drogę do obozu Olhava. Teraz tylko prosty jogging przez dziewięćset kilometrów po popękany, zmarzniętym radioaktywnym gruncie martwej planety i będzie znowu w Jajaani. Którą uderzenie na pewno zredukowało do rozłamanego geologicznego koszmaru, gdzie garstka ocalałych z oddalonych obozów organizuje może jałowe akcje ratownicze. A jednak to była jego jedyna szansa. Nie chodziło o to, że oszukanie śmierci miało dla niego jakiegokolwiek znaczenie. To był jedyny możliwy sposób uratowania jego misji. Nadal wściekał się na siebie, że okazał aż taką łatwowierność. Inigo musiał go rozgrywać od momentu, kiedy wszedł do komory wykopalisk. Wypuszczał słabe myśli i potulne emocje do gajASFery, usypiając jego czujność do poziomu zaufania.

Głupiec. Nigdy bym do tego nie dopuścił, gdybym normalnie myślał.

Ale obecnie było już za późno na czynienie sobie wyrzutów. Jeśli z tego wyjdzie, będzie musiał obserwować własne motywacje i reakcje, upewniać się, że nie uległy dalszej degradacji pod wpływem ataku niewiadomych w jego podświadomości.

Kraj, przez który biegł, był starą, falistą wulkaniczną równiną, odartą z roślinności i skutą grubą warstwą lodu - pozostałość po potopie, który spływał z gór na południe podczas ostatniego skokowego wzrostu temperatury, zanim gwałtownie spadła w dół. Dziwne odłamki kamienia wystawały przez mętną szarą skorupę, wyrwane ze skalnego podłoża przez finalny zalew wody. Cząstki lodu nieprzerwanie wirowały, tworząc zawieję niejednorodną jak letnia poranna mgła. Gęstsze obłoki krążyły pod osłoną skalnych występów i kiedy przez nie biegł, bębniły mocno na skafandrze.

Klastrami wielokomórkowymi nadal wychwytywał linię boi wiodącą z powrotem do Jajaani. Nie było żadnych wiadomości innych niż jego własne wezwanie pomocy. Boje po prostu stały, słabym żarzeniem wirtualnego światła znaczyły opuszczony świat. Następna była osiem kilometrów przed nim.

U-adiunkt Aarona zameldował, że ktoś omiata go promieniem komunikacyjnym. Aaron pokręcił głową z niedowierzaniem, przez chwilę podejrzewał, że to następna próba jego podświadomości, by go załamać. Egzowizja zaczęła ukazywać solidne dane. Źródło sygnału znajdowało się bezpośrednio nad głową i wykorzystywało ten sam kanał alarmowy, co jego własne wołanie o pomoc.

- Tu statek zwiadowczy floty, „Lindau”. Czy nas odbierasz?

Aaron stanął jak wryty i uniósł głowę ku okropnemu kłębowisku szarych chmur.

- Halo?

Promień sygnałowy natychmiast się wzmocnił i zogniskował.

- Ozzie przekłety, kim, do diabła, jesteś?

- Cyrial - powiedział, wybierając przypadkowo nazwisko jednego z personelu Odzyskiwania, z którym przeprowadzali wywiad w Jajaani.

- Cóż, Cyrialu, to najszcześniejszy dzień w twoich życiach. Pozostań na miejscu, schodzimy, by cię zabrać.

- Czy znaleźliście kogoś jeszcze?

- Nie, przykro mi, jesteś pierwszy.

Aaron stał i czekał, kiedy statek zwiadowczy przedarł się przez chmury w wybuchu gwałtownych błyskawic. Jednostki ingrawu natężyły się przeciw wiatrowi, obniżając statek metr po metrze. Statek był szerokim cylindrem, długim na trzydzieści osiem metrów, jego wszechstronne klasterki czujnikowe wycofały się w kłocowate płetwy wokół części środkowej. Dwa pierścienie rozpraszaczy termicznych z tyłu kadłuba żarzyły się rubinowo, co wskazywało, jak wiele energii wykorzystuje, by utrzymać stabilność w tej wściekłej atmosferze. Śnieg walił w pole siłowe, wyrzucając niebieskie iskry.

Podpory z plastmetaluminium wybrzuszyły się z przodu i z tyłu. Statek zatrzymał się dziesięć metrów przed Aaronem.

- Nigdy nie uwierzycie, jacy piękni jesteście w moich oczach - powiedział Aaron swym wybawcom.

- Zdajemy sobie z tego sprawę. - Śluz rozszerzyła się i wyślizgnęła się z niej krótka rampa. - Przepraszamy za to, ale

powiedziano nam, byśmy przedsięwzięli środki ostrożności. Nikt nie wie, kto zaatakował bazę projektu Odzyskiwania. Musimy trzymać cię w izolacji, kiedy będziemy cię skanować i potwierdzać twoją tożsamość.

- Człowieku, możesz zamieszkać ze wszystkimi córkami, które kiedyś spłodziłem, tyle mnie to obchodzi. Nawet dam ci ich kody unisferowe. A są ładniutkie.

Aaron włączył na pełną moc wszystkie wszczepy uzbrojenia, którymi dysponował, ustawił prądy swej energii biononicznej na ekstremalną walkę i pomaszerował w górę rampy.

## Justine

Moment bezpośrednio po tym, jak Justine uświadomiła sobie, że nadal żyje, był najspokojniejszą chwilą w jej całym życiu. Jako pięciolatka wyobrażała sobie biblijne niebo właśnie tak. Brakowało jedynie aniołów. Kiedy potwierdziła, że rzeczywiście nie jest martwa, sprawdziła otoczenie, a uczucie nadzwyczajnego spokoju skurczyło się i przycichło, jakby zranione jej pragmatyzmem. Słyszała bicie własnego serca. Oddychała. Egzozobrazy pokazywały, że inne funkcje jej ciała są nominalne, łącznie z klastrami makrokomórkowymi i biononiką. Oświetlenie kabiny pozostawało włączone. Pole grawitacyjne pozostawało niezmiennie.

- Status? - zapytała smartkor „Silverbirda”.

- Podtrzymywanie życia działa. Systemy drugorzędne działają na optymalnym poziomie postawaryjnym. Hipernapęd nie działa.

- Jakie ma uszkodzenia?

Smartkor nie odpowiedział od razu, co przyprawiło ją o zimny dreszcz. Jeśli diagnoza awarii trwała tak długo, uszkodzenia musiały być znaczące. Wstała i przeszła do niszy kuchennej. Ból siniaków na rękach i plecach - pozostałość po uderzeniach o ściany i sprzęt - spowodował, że wciągnęła powietrze.

- Stan kwantowy tego miejsca nie odpowiada parametrom zewnętrznego wszechświata.

- Łał. - Justine patrzyła na część przepierzenia, znajdującą się najbliższej smartkoru.

Cóż, wiedzieliśmy, że wewnątrz Pustki jest inaczej.

- Dobra, proszę pokaż mi, gdzie jest to „tutaj”.

Jej egzowizja owinęła ją w widok zebrany przez czujniki kadłuba. Justine odetchnęła głęboko, kiedy żarzące się mgławice Pustki zamigotały wszędzie wokół niej.

Kiedy patrzyła, widziała ruch wśród niektórych odległych łat luminescencji - dokładnie tak, jak to widział Stąpający po

Wodzie, gdy spoglądał na nie z dołu, z Querencii. Gwiazdy błyskały przez egzotyczne, postrzępione welony odległe o lata świetlne.

Chwileczkę... odległe? W każdym kierunku?

- Gdzie jest granica Pustki?

- Nie wiadomo - odpowiedział smartkor.

- Ale przeszliśmy przez nią niecałą minutę temu.

- Tak.

O, cholera.

- A obiekty pobliskie? Czy coś wyczuwasz? Na przykład, Władcę Niebios?

- Nie ma odbić radarowych bliższych niż pięć milionów kilometrów. Brak pobrania wizualnego jakiegokolwiek dużej masy. Hiperradar nie działa. Nie zarejestrowano żadnego lokalnego pola grawitacyjnego.

- Do diabła.

Wyrzucił mnie w środku niczego.

Justine opadła na fotel, nie wiedząc, co robić ani co odczuwać. Potem wspomniała jeden z cudów Pustki. Ciekawe. Uśmiechnęła się niepewnie i spojrzała na kieliszek chłodzonego białego wina, który właśnie wyprodukowała dla niej jednostka kulinarna. Zamknęła oczy i spróbowała pozwolić umysłowi odnaleźć ten kieliszek. Dziwne cienie przebiegły przez mrok, znacznie bardziej mdłe niż to, co kiedykolwiek postrzegąła przez gajaserę. Justine gwałtownie otworzyła oczy. Dalwzrok!

- Więc dobrze, teraz gotujemy. - Uśmiechnęła się znacząco do kieliszka wina i wyobraziła sobie, jak sięga po niego, podnosi go w górę.

Powierzchnia bladej białej cieczy zadrżała, wywołując malutką falkę. A potem podstawa kieliszka odrobinę się przechyliła.

- Tak! - Justine się zaśmiała.

Po następnych dziesięciu minutach zobaczyła, jak kieliszek przesuwa się o parę centymetrów.

Dobra, niezupełnie siła Stąpającego po Wodzie, ale dopiero co się tutaj dostałam. I to istnieje naprawdę. Wszystkie, co do jednego, sny Iniga są prawdziwe. Rany Boskie.



- Zaczynij katalogować konstelacje - poleciła smartkorowi. - Zobacz, czy znajdziesz jakąś, która pasuje do tych widzianych z Querencji. I również zlokalizuj najbliższą gwiazdę.

Kiedy smartkor rozpoczął pracę, rozebrała się i poszła wziąć długi prysznic. Prawdziwy, z wodą i żelazem - nie jakiś nowoczesny sporowy śmieć. Wydawało się, że lot przez Zatokę trwa wieczność - wyszła z tego zestresowana, obolała i wyczerpana. Niewielkie połączenie transwymiarowe z ojcem pokazało poparcie i zachętę znacznej części jej gatunku, co w tamtych chwilach podnosiło ją na duchu. Teraz pozostałość tej emocji spadła na nią jako straszna odpowiedzialność. Była ambasadorem całego wszechświata w całym innym wszechświecie. To wszystko stawało się nieco zbyt wielkim obciążeniem dla jej biednego, starego, biologicznego mózgu. Nie radził sobie z tym.

Po prysznicu zjadła przyzwoitego łososia en croute i ziemniaki jersey z masłem miętowym, wszystko podlane szampanem. Kiedy skończyła malinową bezę Pavlova, smartkor nadal nie rozpoznawał żadnych mgławic. Położyła się na łóżku, które wyciągnęła dla niej kabina. Minutę później spała.

\*\*\*

Obudziła się po dziesięciu godzinach. Wypoczęta i od razu niecierpliwa. Smartkor nadal nie mógł znaleźć rozpoznawalnej mgławicy, nawet gdy zastosował drobiazgową, trójwymiarową projekcję tych, które zdołał zmapować. Bez względu na to, pod jakim kątem je badał, po prostu nie pasowały. Możliwe, że wynurzyła się bardzo daleko od Querencji. Lub też wewnątrz Pustki upłynęło tak wiele czasu, że mgławice po prostu zmieniły się nie do rozpoznania. Żadna z tych opcji nie była dobra.

Najbliższa gwiazda znajdowała się od niej o trzy lata świetlne. Między „Silverbirdem” a tą gwiazdą nie było żadnych wykrywalnych punktów masy.

Justine zjadła lekki lunch i powiedziała sobie, że to nigdy nie miało być łatwe. Może Władcy Niebios żeglowali ku niej na swój

bajkowo pogodny sposób. Przecież wszyscy byli stworzeniami wolniejszymi od światła.

Tego popołudnia wtarła w siniaki lecznicze balsamy i kazała wynurzyć się sali gimnastycznej; odbyła w niej godzinny trening. Poszła spać przy cicho grającej w tle muzyce, czując mocną irytację w stosunku do Władców Niebios. I może odrobinę klaustrofobii. Może zresztą to była agorafobia? Czy całkowita samotność we wszechświecie budzi poczucie ograniczających więzi, czy nieskończenie rozszerzających się horyzontów i związanego z tym osamotnienia?

Drugiego ranka zjadła lekkie śniadanie złożone z jajek i grzanek. Kubek (lekki plastikowy) zawierający świeżo wyciśnięty sok pomarańczowy podryfował z jednostki kulinarnej przez kabinę i spoczął w jej otwartej (fizycznej) dłoni.

- Tak!

Bandyci i Ranalee, strzeżcie się! W mieście jest nowa, cholernie zła dziewczyna.

Dwa dni później wszystkie mgławice zostały gruntownie zanalizowane. Justine musiała stawić czoło prostemu faktowi: była całkowicie zagubiona.

Zrobiła przegląd możliwości statku. Bezpośredni konwerter masy mógł dostarczać jej energii niemal w nieskończoność. Jej mały replikator siódmego poziomu mógł wyprodukować większość komponentów statku. Kilka botów na pokładzie było w stanie wykonywać naprawy wysokiego poziomu. I, co najlepsze lub najgorsze ze wszystkiego, jej komora medyczna mogła trzymać ją w stazie przez ponad wiek, bez poważnego uszkodzenia jej obecnego ciała. Mogła także wyhodować jej klon i załadować w niego jej zmagazynowane wspomnienia, jeśli sytuacja zrobi się ekstremalna.

Podsumowując, był to dość gówniany sposób skracania sobie nieśmiertelności.

Jednakże jej smartkor zameldował o paru niepokojących nieregularnościach - nie wszystko funkcjonowało idealnie przez cały czas. W logach niektórych systemów zobaczyła niewyjaśnione usterki. Nie było ich nigdy, gdy zarządzała

przeгляд w czasie rzeczywistym, a analiza nigdy nie podawała przyczyn, czemu w ogóle zachodziły. Jediną prawidlowoscia bylo to, ze im bardziej system byl wyrafinowany, tym bardziej podatny na te dziwna dolegliwosc.

Dala sobie jeszcze dzien na podjecie decyzji, czy tez raczej na przygotowanie sie psychicznie do tego, co musi zrobic. Statki, ktore przywiozly przodkow Stapajacego po Wodzie na Querencie, spadly z nieba lub sie rozbiły. Legendy nigdy nie mowily o tym jasno. Jednakze z cala pewnoscia statki pozniej juz nie latały.

Coś w pustce bylo wrogie technice - przypuszczalnie inna kwantowa struktura lezaca pod tym, co tu uchodzilo za czasoprzestrzen. Chociaz cala idea supremacji umyslu, podtrzymywana przez Pustke, wprawiala ja w zaklopotanie, posiadanie umyslu jako krola otwieralo pewne niepokojaace mozliwosci. Calkiem mozliwe, ze to kolektywne Serce zyczy sobie, by „Silverbird” sie zepsul.

Ufala, ze „Silverbird” jest na kazdym poziomie znacznie mocniejszy od starych statkow kolonialnych, ktore jakoś zabrnely tutaj wieki temu. Pierwsze polecenie wydal smartkorowi. Mial przeprowadzic wielostronna analize struktury kwantowej i na jej podstawie okreslic wszelkie wyobrazalne rekonfiguracje, ktore spowodowalyby ponowne dzialanie napedu nadswietlnego. Po drugie, wykorzystala male, pokladowe gniazdo konfluencji, by wzmocnic wlasne myśli, kiedy ukladala wiadomosc z pozdrowieniami dla Wladcow Niebios i prosila ich, by ja znalezi i do niej przylecieli. Wiadomosc ta miala byc bez przerwy powtarzana.

Nastepnie ingraw zaczal przyspieszac male kosmolot do prędkosci siedmiu dziesiatych c w kierunku najblizszej gwiazdy. Z ta prędkoscia podroz powinna zajac nieco ponad cztery lata. Pola silowe przy tej prędkosci poradza sobie ze zderzeniami z oblokami pylowymi.

Justine polecila smartkorowi, by ja ozywial w regularnych odstepach czasu lub w przypadku naglej potrzeby. Przejrzala po raz ostatni obrazy z czujnikow. Na zewnatrz nic sie nie zmienilo.

Skonstatowawszy to, weszła do komory medycznej i rozpoczęła proces zawieszania życia.

## Dziesiąty sen Iniga

Teatr Poilus, znajdujący się w połowie uliczki Doulon w dzielnicy Cobara, na zewnątrz nie miał żadnego szyldu. Mieścił się w piwnicach pod sklepem z zabawkami, na którego wystawie tłoczyły się kolorowe drewniane lalki i kukiełki. Wejście prowadziło przez wąskie drzwi w niszy między sklepem a sąsiednią garbarnią. Na zewnątrz stali dwaj portierzy w długich ciemnych płaszczach. Dla rozgrzewki przestępowali z nogi na nogę.

Edeard i Kristabel dotarli na miejsce, gdy zegar na placu Renen wybijał właśnie kwadrans po pierwszej. Edeard zsunął z głowy kaptur i portier spłoszył się, ale zaraz się uśmiechnął.

- Zapowiadano, że ma pan przyjść - powiedziała. - Witamy w Poilus, Stąpający po Wodzie. Witamy panią.

Otworzono im drzwi, za którymi ukazały się kręcone schody prowadzące do piwnicy, skąd dobiegały odgłosy głośnych rozmów i dźwięki gitary. Owiało ich ciepłe powietrze.

- Zaraz zacznie - poinformował portier.

Edeard poprowadził Kristabel na dół. Im niżej schodzili, tym było cieplej. Edeard wyczuwał podekscytowanie w umyśle towarzyski. Uśmiechnęła się do niego nieśmiało. W obszernej, sklepionej sali teatru w bocznych niszach urządzono bary. Oliwne lampy w żelaznych klatkach uzupełniały oświetlenie z małego pasa na suficie. Edeard spojrzał podejrzliwie na szklane kule. W końcu piwnicy stała drewniana scena. Gitarzysta próbował się przebić przez hałas rozmów gości stłoczonych na parkiecie.

Kristabel zdjęła płaszcz, odsłaniając niebieską, jedwabną suknię wyszywaną perłami. Goście przyglądali się jej z zainteresowaniem. Edeard zrzucił pelerynę - pod spodem miał czarno-szkarłatną marynarkę ze srebrnego brokatu oraz

śnieżnobiałą koszulę z kryzą. Przesyłano mu zaskoczone spojrzenia.

- Patrzcie, patrzcie, nasi eleganci! - zawołał Macsen.

Kristabel uśmiechnęła się i objęła Macsena. Pojawił się Dinlay; uniósł swój kieliszek na powitanie Edearda. Pozdrowił ich roześmiany Boyd. Saria uściskała Kristabel. Lekko wstawiona Kanseen pocałowała Edearda z całego serca.

- Dlaczego się spóźniliście? - spytał Dinlay. Obejmował w talii postawną dziewczynę o ognistych włosach długich do pasa.

Edeard powstrzymywał się od komentarza: Dinlay lubił podrywać dziewczęta swoich gabarytów.

- Przyjęcie było miłe. - Edeard nie chciał narzekać. Kristabel wybuchła śmiechem i pogładziła go po policzku.

- Biedactwo, dzielnie się trzymał - wyjaśniła konstablom. - Podczas obiadu wszyscy znajomi tatusia koniecznie musieli z nim porozmawiać, a to starzy nudziarze. Potem wszystkie córki chciały z Edeardem tańczyć.

- Cena sławy, jak powiadają. - Edeard bezradnie wzruszył ramionami.

- Nie przejmuj się, to chwilowe - zapewnił go Macsen. - Za dziesięć lat pamięć o tobie wyblaknie, staniesz się jednym z wielu pytań w noworocznej zgadywance.

Edeard pocałował Kristabel.

- Widzisz, mój trening lojalności przynosi jednak rezultaty.

Objęła go gestem prostym i naturalnym. Uśmiechali się do siebie szczęśliwi, swobodni. Edeard wiedział, że to już wkrótce, i nastrój wyczekiwania zalał mu serce kojącym ciepłem. Z dziewczynami, z którymi sypiał, było inaczej. Wtedy był obiektem swoistego współzawodnictwa. Nawet swoboda i pociecha, jaką znajdował u Jessile, to nie było to. Z Kristabel stworzą idealną parę.

- O, już jest! - zawołał Dinlay.

Na scenę wszedł powoli Dybal. Powitano go owacjami. Pojawiła się również reszta zespołu: trzej perkusiści, saksofonista, pianista i dwóch gitarzystów. Może sprawiły to opary oleju jamolarowego albo dobre wino, które Edeard wypił do obiadu,

ale wydało mu się, że Dybal i cały zespół promienieją jaskrawymi barwami. Artyści mieli na sobie ubrania naprawdę szokujące i Edeard przyłączył się do entuzjastycznych owacji.

Głośnie piosenki o szybkim rytmie były całkowitym przeciwieństwem utworów wykonywanych podczas dzisiejszego przyjęcia. Teksty mówiły o miłości i rozstaniach, zdradzie i korupcji. Kpiły i szydziły z Rady. Wściekłe. Smutne. Dzięki ekspresyjnej muzyce słowa trafiały do umysłów. Edeard i Kristabel tańczyli jak szaleni. Pili. Parę razy Edeard zaciągnął się nawet fajką z kestrikiem, która krążyła wśród gości. Kristabel również spróbowała i jej umysł zaczął emanować niecną rozkoszą.

Dybal grał ponad godzinę. Edeard był cały spocony. Gdy artysta dawał drugi bis, po ścianach sali ściekała skondensowana para.

- Fantastyczne. - Kristabel objęła Edearda. - Aż trudno uwierzyć, że Rada ciągle jest przy władzy. Niech żyje rewolucja! - Wyrzuciła pięść w górę.

Dotknęli się nosami.

- Mówisz o swoim ojcu.

- A co to kogo obchodzi! - Zrobiła piruet. - Dziękuję, że mnie tu przyprowadziłeś.

- Już dawno chciałem posłuchać Dybala.

- Dlaczego nie wybrałeś się wcześniej?

Wzruszył ramionami. Widzowie rozchodzili się, wracali na górę zmęczeni i szczęśliwi.

- Nie chciałem przychodzić sam - wyjaśnił. Jej uśmiech wart był tej uczciwej odpowiedzi.

\*\*\*

Wyszli na zewnątrz. Przyjaciele z drużyny żegnali się, każdy szedł w swoją stronę. O tej późnej godzinie na ulicach było niewiele ludzi. Edeard zapiął pelerynę. Otoczył Kristabel ramieniem. Przytuliła się do niego, umysłem przekazywała mu pełne zadowolenie. Ruszyli spacerem w stronę stawu na końcu Kanału Ogrodowego. Mgławice malowały nocne niebo bladymi barwami. Może to pozostałości kestriku, ale Edeardowi

wydawało się, że dostrzega w mgławicach lśniąca iskierkę. Zwłaszcza dziś Honious był inkrustowany wewnętrznym migotaniem.

- Jak często to robisz? - spytała Kristabel.

- Co?

- Patrzysz na mgławice.

- Czyżbym patrzył? Chyba się zastanawiałem, co o nich rzeczywiście wiemy.

- Potrafię nazwać większość z nich.

- Ach, tak. Ale to nie jest wiedza o nich. Czym są? Wierzysz w to, że to miejsce przeznaczenia naszych dusz, które będą się wśród nich unosiły?

- Pani mówi, że taki los nas spotka, jeśli w życiu nie będziemy wierni sobie.

- Właśnie - odparł gderliwie, wspominając te strasznie długie niedzielne poranki, gdy jako mały chłopiec musiał słuchać na tyłach kościoła w Ashwell, jak matka Lorellan monotonicznie czyta pisma Pani.

A kto określa, co to jest „wierny sobie”?

Kristabel mocniej się do niego przytuliła, poddając się dziwnym wątpliwościom rozsianym w jego myślach.

Jej prywatną gondolę przycumowano do pomostu na skraju stawu. Na stelażu małej płóciennej kabiny kiwała się lampa. Wewnątrz nie było zbyt wiele miejsca. Usiedli we dwójkę na ciasnej ławeczce. Kristabel okryła im obojgu nogi futrzanym pledem. Gdy gondolier płynął Kanałem Ogrodowym, zaczęli się całować. Zanurzył dłonie w jej bujnych włosach, smakował usta, policzki, kark, wracał do ust. Jęczała podniecona, umysł emanował zachwytem. Nawet ich myśli się jednoczyły.

W końcu oderwała się od niego, obdarzając go najczulszym uśmiechem.

- Co takiego? - spytał. Nie mógł przecież opacznie zrozumieć jej uczuć. Chyba żadna ze znanych mu dziewcząt nie była tak otwarta jak ona.

- Jestem na to gotowa - szepnęła zmysłowo.

- Wiem, że ty też.



- Och, tak. - Tylko...

- Chodzi o twojego ojca?

- Nie, tato cię aprobeuje. Nie jest takim tradycjonalistą, jak się wydaje. Na twarzy Edearda pojawiło się niedowierzanie, którego nie potrafił powstrzymać.

- Wiem.

- Chyba oboje czujemy, że to nie będzie przelotna znajomość.

- Tak. - W jej słowach wyczuwał coś, co poskrobało go w podświadomość, ale zaraz to od siebie odsunął.

- Więc chcę, żeby to się odbyło jak należy.

- I tak będzie.

Pocałowała go lekko.

- Jest już późno. Balowaliśmy dzisiaj, a ty jutro o siódmej masz patrol. To nie są sprzyjające okoliczności.

- Zgoda. I co?

- Wiem, że masz złe doświadczenie z Ranalee... ale moja rodzina ma domek na plaży poza miastem, naprawdę miły. Chciałabym, żebyśmy tam pojechali. Tylko ty i ja. Na tydzień.

Nadzwyczajnie reagował, czując jej przytulone ciało. Tęskny szept i szczerze pożądanie w jej umyśle działały na niego z równą mocą, jak potajemne ognie, które rozpałała w nim dominująca Ranalee.

- Tak - wydyszał chrapliwie.

- Zgadzasz się?

- Tak. - Gardło miał tak ściśnięte, że ledwo mógł mówić. - Chciałbym.

- Nie chcę cię zmuszać do całego tygodnia ze mną. Jeśli wolisz, pójdziemy teraz do twojego mieszkania.

- Nie. Domek nad morzem to cudowny pomysł.

- Naprawdę? - Przywarła do niego policzkiem. - Dziękuję, że dajesz nam tę szansę.

Gondola skręciła w Kanał Lotny i płynęła w stronę Wysokiego Stawu. Edeard przytulił się do Kristabel, zaglądał jej w oczy i umysł, zachwycony tym, co tam widział: pragnienie, pożądanie fizyczne, podniecenie, oczekiwanie. Uwielbienie. Lustrzane

odbicie tego, co sam czuł w swoim umyśle. Ta otwartość była... cudowna.

Na pomoście przed zigguratem czekał na nich Homelt. Uśmiechem powitał wysiadającą z gondoli Kristabel.

- Dzień dobry pani. Miło spędziła pani czas?

- Tak, dziękuję, bardzo miło. - Powitała go ciepłym uśmiechem. Homelt spojrział na Edearda, który usilnie próbował zachować obojętną twarz, ale poniósł porażkę. Skinął tylko głową.

- Czy ojciec już śpi?

- Tak, proszę pani, poszedł do łóżka kilka godzin temu. Teraz tylko ja i strażnicy czuwamy.

- Rozumiem. Dobranoc, Stąpający po Wodzie.

- Dobranoc, pani.

Homelt spojrział na nich zaskoczony, potem poprowadził dziewczynę do domu po drewnianych schodach.

- Możesz być gotowy na wtorek w następnym tygodniu? - spytała Edearda dalmową.

Edeard nawet nie myślał o tym, że ma nawał pracy i że musiałyby zmienić grafik służby. A w kolejny wtorek zapowiedziano uroczystość z okazji promocji - tego nie mógł opuścić. Plan będzie napięty.

- Będę gotowy. Bez względu na wszystko.

Po raz ostatni spojrział na nią, gdy stała na szczycie schodów i czarodziejsko się uśmiechała. Macsen miał rację, że jest piękna.

Gondolier przewiózł go na drugą stronę Kanału Lotnego. Stamtąd Edeard mógł przejść przez Silvarum do domu w Jeavons. Na moście nad Kanałem Przybycia zastał na straży dwóch bardzo znudzonych i zaspanych konstabli. Obaj byli bardzo zaskoczeni, że o tej porze nad ranem widzą tu Edearda. Przystanął na chwilę, żeby z nimi porozmawiać. Finitan wbijał mu do głowy, że tak należy postępować, tego wymaga polityka, przy każdej okazji trzeba dbać o ludzką życzliwość i poparcie, bo nigdy się nie wie, kiedy to nam będzie potrzebne.

Edeard już się przekonał, że w Makkathranie nie można lekceważyć polityki. Na żadnym poziomie. Dzięki sprytnej grze Finitana udało się wykorzystać porwanie Mirnathy do uzyskania

w Radzie korzystnego wyniku. I właśnie polityka przekonała Gildię Gondolierów, że należy zrezygnować ze strajku, bo ludzie uznaliby go za wyraz poparcia dla kidnaperów. Obecnie miasto mu sprzyjało. Wiedział, że to się zmieni, że przeciwnicy ekspulsji podejmą kolejne próby podkopania Rady. Prawdopodobnie nie ustaną w wysiłkach. Edeard musiał zachować czujność. I bardzo się starał.

Ale w tych dniach jego umysł zaprzętała niemal wyłącznie Kristabel. Myślał o niej, gdy powinien koncentrować się na układaniu grafików albo na rozmowach z Mistrzami Dzielnic, lub na tropieniu szefów gangów. Myślał o niej, gdy się budził. Gdy szedł na patrol. Wspominał jej śmiech, zapach, proste rozmowy. A po dniu pracy wypełniała mu cały świat.

A teraz nareszcie mieli zostać kochankami w najprawdziwszym sensie.

Dotarł do swojego mieszkania i poszedł spać - brakowało kilku godzin do świtu, gdy miał poprowadzić patrol przez Jeavons wokół Tycho. Zamiast zasnąć, cały czas kombinował, jak zmienić harmonogram dyżurów, żeby mógł wyjechać w następnym tygodniu. I jak Kristabel przytulała się do niego w gondoli. Jej uśmiech. Obietnicę. Drużynie trudno będzie go zastąpić, ale co go to teraz obchodziło. Makkathran może się zapaść. On i Kristabel zostaną kochankami. Nigdy nie był tak szczęśliwy.

\*\*\*

Pod jednym względem Kristabel i Ranalee, córki Wielkich Rodzin, były do siebie podobne: określenie „tylko my dwoje” miało dla nich specyficzne znaczenie. Trzeba przyznać, że Kristabel wzięła ze sobą tylko trzy służące, nie pięć, ale wóz jadący za ich kareta był wypełniony kuframi i koszami z jedzeniem. Do tego oczywiście grupa stangretów i woźniców, a każdy z nich z własnym pomocnikiem. Ponadto przewodnicy gewilków, przydzieleni przez Homelta.

Edeard nie miałby nic przeciwko temu, gdyby w ogóle dało się wyruszyć w drogę. Najpierw jednak Kristabel musiała się pożegnać ze swoimi przyjaciółkami (Edeard uznał je za

chichotki). Biedna Mirnatha rozpacziała, że siostra i Stąpający po Wodzie teraz ją opuszczają, jakby wyjeżdżali na zawsze. Obiecali jej prezenty i łakocie. Edeard musiał uścisnąć dłoń ojcu i przysiąc, że nic się nie stanie ukochanej córce. To wszystko beznamiętnie obserwował Lorin z balkonu na górze.

Edeard przybył do domu Culveritów tuż po śniadaniu. Miał tylko jedną torbę. Kareta wyruszyła ze stajni w Tycho dopiero przed południem. Kristabel usiadła sztywno na wyściełanej ławce naprzeciw Edearda. Włosy miała upięte na kształt szerokiego beretu, z boku zwisały małe loczki. Siedząc spokojnie, zachowywała się władczo - Ranalee zawsze próbowała ten efekt osiągnąć, ale nigdy jej się nie udawało.

- Jesteś bardzo niecierpliwy - rzekła wyniośle. - Musiałam skrócić pożegnanie, to było prawie niegrzeczne. Czy jest jakiś powód tego pośpiechu?

Ledwo potrafił zachować spokój.

- Nie, proszę pani.

- Naprawdę? Dziś wieczór z radością zbadam granice twojej niecierpliwości.

- Nawet twoje okrucieństwo, pani, sprawi mi radość.

Kristabel jeszcze przez sekundę udawało się utrzymać powagę, ale wreszcie wybuchnęła śmiechem.

- O, Pani, myślałam, że nigdy nas nie puszcza! - Rzuciła mu się w objęcia i przez resztę drogi jechali przytuleni.

Południowa droga z miasta była w równie dobrym stanie jak wszystkie drogi na Iguru. Dwa razy mijali patrole milicji, które ostatnio zwiększono, gdyż zdarzało się coraz więcej napadów na podróżnych. Edeard podejrzewał, że to skutek jego kampanii wypierania gangsterów z dzielnic: niektórzy po prostu opuszczali miasto. Poza tym, podróż przebiegła bez incydentów. Wysokie palmy wzdłuż drogi przetrwały zimę i teraz zrzucały szkarłatne, pierzaste liście, robiąc miejsce dla nowych szmaragdowych przyrostów. Po obu stronach traktu przygotowywano pola do nowego okresu wegetacyjnego: duże zespoły gemałp pracowały przy winoroślach, cytrusach i w sadach, a gekonie ciągnęły ciężkie pługi. Ta pora roku zawsze poprawiała Edeardowi

nastrój, przypominała mu o beztroskim okresie w dzieciństwie. Z nastaniem wiosny wszystkim polepszały się humory.

Nie wiedział, czego ma się spodziewać na miejscu. Pawilonu przypominającego domek rodziny Ranalee? Zaczynał przypuszczać, że to może być jednak coś innego, gdy Kristabel otworzyła okna karety i spojrzała na niego z łobuzerską miną. Nie jechali już przez pola. Krajobraz składał się z piaszczystych pagórków porośniętych wysoką trawą; w miejscach osłoniętych od wiatru widniały kępy suchych, przygiętych przez wiatr drzew. Droga wiała się ku niewielkiej zatoce z cypelkami ciemnych skał. Wzdłuż drogi szemrał strumyk. Wtedy Edeard zobaczył budowlę na tle białej plaży, tuż za piaszczystą skarpią.

- O, moja Pani. - Westchnął zachwycony.

- Zawsze lubiłam to miejsce. - Kristabel, pełna radosnego podniecenia, ścisnęła mu dłoń.

Dom był półżyjącą rzeźbą. Na okręgu rośło pięć starych murdębów, przycinanych i prowadzonych przez wiele dziesięcioleci. Pierwsze konary wyrastały trzy metry nad gruntem, gdzie splatały się, tworząc pomost, który wzmocniono solidnymi deskami. Powstała równa podłoga. Ale Edearda naprawdę zafascynowały ściany. Ponad podłogą pnie drzew rozgałęziały się, potem znowu się rozgałęziały, i znowu. Ogrodnicy uformowali z nich wysokie łuki, które przygięli na szczycie - tam posplatane tworzyły dach chroniący domek przed letnim słońcem. Cień był konieczny, gdyż przestrzeń między łukami ścian wypełniało szkło. Cały domek był otoczony wąskim otwartym tarasem.

Kareta zatrzymała się i Kristabel poprowadziła Edearda kręconymi, drewnianymi schodami do drzwi. Tam czekał już na nich leciwy gospodarz i strażnik domu, który skłonił się głęboko i powitał Kristabel jak członka własnej rodziny.

Edeard ze zdziwieniem i zachwytem przyjrzał się dokładniej grubym kolumnom: pączki zielonych liści zaczynały się otwierać między zmarszczkami szarej kory; każdej jesieni krępe gałązki starannie przycinano. Za miesiąc będzie się miało wrażenie, że

dom jest zbudowany z oprawionych w ołów tafli szkła, osadzonych wśród bujnego zielonego listowia.

- Zachwycające - powiedział. - Nie wiedziałem, że ludzie potrafią stworzyć coś takiego. - Nie mógłby sobie wyobrazić takiej konstrukcji w Ashwell ani w miasteczkach, które mijają w drodze do Makkathranu.

- Dwieście osiemdziesiąt lat uprawy - oznajmił z dumą strażnik. - Mój prapradziadek zasadził te drzewa i moja rodzina cały czas pielęgnuje je dla Culveritów. Mój syn to przejmie, kiedy mnie zabraknie.

- Dwieście osiemdziesiąt lat uprawy - powtórzył Edeard. Był pod wrażeniem.

- Makkathran nas rozleniwia - powiedziała Kristabel. - Tyle nam dostarcza. A przecież możemy sami starać się o różne rzeczy.

Wnętrze domu dzieliła na siedem pomieszczeń antyczna, drewniana boazeria. Centralny pokój, osłonięty płataniną konarów, był sypialnią z olbrzymim okrągłym łóżkiem pośrodku. Pomysłowy układ bloków i sznurków pozwalał otwierać i zamykać szczelne żaluzje w oknach i w dachu. W salonie stał na grubej kamiennej płycie wysoki kosiak. Ogień już trząsał, a dym uchodził przez żelazny, stożkowy komin.

Edeard i Kristabel usiedli na długiej kanapie i wpatrywali się w morze. Edeard żałował, że to tak wczesna pora roku, woda jest za zimna i nie można popływać. Widzieli duży dwumasztowy statek handlowy płynący powoli do południowych portów. Służący i gemałpy rozpakowali bagaże, a gospodarz rozpałił pod piecem w kuchni, by przygotować herbatę. Kristabel splótła palce z palcami Edearda.

- Nie martw się. Wszyscy mieszkają w domkach za skarpą. Poza zasięgiem dalwzroku. Nie chciałabym ich dziś szokować. Niektórzy z nich od dziesiątków lat są przy rodzinie.

Edeard uśmiechnął się, pamiętając, że Ranalee mówiła mniej więcej to samo. Znowu spojrzął na morze.

Przez przypadek, morze wyrzuciło ciało Ivarla zaledwie kilka kilometrów od tego domu plażowego. Edeard doskonale pamiętał tamten ranek. Tydzień po Festiwalu Przewodniczki

otrzymał wiadomość od strażnika wybrzeża z prośbą o identyfikację ciała. Edeard pożyczył ziemskiego konia ze stajni milicji i wyjechał z miasta przez bramę południową.

Morze i skały nie obeszły się łaskawie z Ivarlem. Edeard nigdy przedtem nie widział, co woda potrafi zrobić z martwym ciałem. Zaskoczyły go opuchlizna oraz ziemisty kolor skóry. Ale bez wątpienia to był król gangsterów.

- Nigdy czegoś podobnego nie widziałem - rzekł stary strażnik wybrzeża.

Dalwzrokiem Edeard zbadał sznury ciągle pętające nadgarstki i kostki Ivarla. Było coś odrażająco eleganckiego w idealnie zawiązanym sznurze i skomplikowanych węzłach. Nie pasowało to do ohydy tej śmierci.

Edeard doliczył się dziewięciu głębokich ran kłutych i wtedy zrezygnował z dalszego liczenia. Ivarlowi nie pozwolono umrzeć szybko i w spokoju.

Zabójstwo przeciwnika zaniepokoiło go znacznie bardziej niż porwanie Mirnathy. Choćby dlatego, że stanowiło dowód na to, że w mieście powstaje jakaś organizacja, której natury nie rozumie. Przeprowadził dochodzenie wśród najbliższych pomocników Ivarla, ale nie udało się ustalić, kto zabił szefa. A dusza Ivarla? Czy uleciała z ciała w taki sam sposób, jak to wyczuwał wtedy w piwnicy, gdy umarł porywacz Mirnathy? Dusze - fakt, że są czymś rzeczywistym, bardzo go niepokoił, nawet nie chciał tego przyznać na poziomie świadomości.

Tej nocy Kristabel przepędziła wszystkie jego wątpliwości i niepokoje.

Może służący przebywali poza zasięgiem dalwzroku, ale Edeard był pewien, że budziły ich jego ekstatyczne krzyki.

\*\*\*

Rano włożyli proste, białe płaszcze kąpielowe i zjedli śniadanie na małym tarasie. Ciepły wiatr targał bujnymi włosami Kristabel. Skończyła jeść cząstki granfruta i wezwała pokojówkę, by ją uczesała i ułożyła fryzurę. Tymczasem Edeard usiadł wygodnie i kazał geszympanom posprzątać ze stołu. Patrzył na morze.

Między skalistymi ramionami zatoki widział trzy płynące żaglowce. Zazdrościł żeglarzom wolności.

- Chciałbym kiedyś popłynąć - oznajmił. - Kiedy gangi zostaną zlikwidowane, a bandyci znikną w dziczy, wynajmiemy statek i popłyniemy dookoła świata.

- Nikt nigdy nie znalazł drogi przez pola lodowe na południu.

- Więc popłyniemy na północ.

- Przez atole Morza Augusta? Rify ciągną się tam na setki mil. Całe morze to zdradliwy labirynt. Jeśli statek podpłynie zbyt blisko rafy, zostanie rozpruty.

- Wtedy użyjemy silnej trzeciej ręki, żeby rozłupać rafę. Albo dalwzroku i georłów, żeby nas wyprowadziły z labiryntu. Uważam, że przedtem nikt nie podjął prawdziwej próby. Nie wiemy, co jest na tym świecie oprócz bandytów. A jeśli jakieś inne statki spadły tu na inny kontynent albo wyspę? A jeśli przechowują tam wiedzę, dzięki której te statki zbudowano?

- Do tego czasu prawdopodobnie już by nas znaleźli - odparła. Pokojówka wpinała jej we włosy spinki wysadzone klejnotami.

- Och, tak. Ale przecież to byłaby wielka frajda zbadać wszystko należycie.

- Też tak sędzę, ale nigdy nie miałam czasu zastanawiać się nad takimi sprawami.

- Nie uwierzę, że w Makkathranie nikt nie podjął próby. Rodziny mają tyle pieniędzy, że można by zbudować najwspanialsze statki. A przecież jest tylu nudzących się synów rodzin. - Czy żaden z nich nie spojrział poza horyzont?

- Wielu to robi, ale wypatrują tylko dziewcząt z dużym posagiem. Edeardzie, nikt już nie myśli w tych kategoriach. Ostatnią osobą, która wyruszyła w taką podróż, był kapitan Allard. Ponad tysiąc lat temu. Był drugim synem rodziny Havane. Zbudował statek, o jakim mówiłeś: „Majestatyczna Maria”. Makkathran nigdy przedtem ani później nie widział podobnego statku. Prawdziwy galeon, ponad sześćdziesiąt metrów długości, trzy maszty. Popłynęło na nim osiemdziesięciu ludzi, wszyscy byli doświadczonymi żeglarzami. Mieli najlepsze wyposażenie, jakie mogły wyprodukować gildie na Makkathranie. Nigdy nie



wrócili. Żona Allarda dożyła ponad dwustu lat. Każdego dnia chodziła do portu i pytała nowo przybyłych marynarzy, czy widzieli jej męża. Mówiono o niej „czuwająca wdowa”. Jej dusza jakoby nawiedza port po dziś dzień.

Edeard znów spojrzał tęsknie na morze.

- W młodości nie poznałem historii, prawdziwej historii. Uczono mnie tylko, kto zbudował jaką farmę czy centrum Gildii i kiedy rodziny przybyły na prowincję. O, Pani, to było takie nudne.

- Biedactwo. - Ujęła go za rękę. - A gdzie nauczyłeś się żeglować?

- Nie umiem żeglować. - Zaczerwienił się. Kristabel wybuchła śmiechem.

- Nie potrafisz żeglować, a chcesz opłynąć świat? Och, Edeardzie, właśnie dlatego cię tak kocham. Masz takie szalone wizje. Mówisz o nich tak, jakby wszystkie mogły się zrealizować.

Uśmiechnął się nieśmiało.

- Najpierw muszę się rozprawić z gangami. Potem będę miał czas nauczyć się żeglowania.

- Uważaj na piratów. - Podejrzliwie patrzyła na statki. - Nasi kapitanowie donoszą, że jest coraz więcej napadów. Na razie nie na duże żaglowce, ale te małe zaczynają znikać.

- Przynajmniej nikt mnie za to nie wini.

- Czemu mieliby cię winić?

- Rozbójnicy na drodze to przeważnie członkowie gangów wyparci z miasta po nakazach ekspulsji. Trudno ich złapać.

- Niech się nimi zajmują szeryfowie i milicja. Najwyższy czas, żeby inni ludzie pomagali w tępieniu przestępczości, a oni tylko oglądają się na Makkathran, żebyśmy wszystko za nich zrobili. To jedna z rzeczy, która powinna się zmienić.

Edeard popatrzył na nią z dumą.

- Wielka Rada nie wie, co ją czeka, kiedy do niej dołączysz.

- I jeszcze jedno. Dlaczego rodziny trzymają się zasady męskiej primogenitury? W obecnych czasach! Czy uważają, że ja się nie nadaję?

- Głupcy - skwitował to szybko.

- Ty masz swoje ambicje, a ja mam swoje - rzekła skromnie.

- Przyjdzie czas, że odniesiemy sukces.

- Na Panią, mówisz jak Finitan. Musimy coś zrobić, żebyś przestał o tym myśleć. - Wstała i wyciągnęła do niego rękę. - Chodź.

Dał się poprowadzić na plażę. Piasek przyjemnie przesuwiał się pod jego bosymi stopami.

- Zaznaczam, że nie będę cię prosiła o tamto. Sądzę, że masz już dość ludzi, którzy cię o to nagabują.

- O co?

Wskazała na niskie fale omywające brzeg.

- Żebyś po tym przeszedł.

- Och. Dziękuję.

Szli w stronę morza. Kristabel w marszu rozwiązała pasek i płaszcz swobodnie zsunął się z jej ramion. Widok szczupłego ciała w świetle dziennym był bardzo podniecający.

- Czy nie jest trochę za zimno na pływanie? - spytał cicho. Spojrzała na niego dziwnie.

- Nie tutaj. Woda wokół miasta jest zawsze o kilka stopni cieplejsza niż reszta morza w tym rejonie. To dzięki ciepłu sącącemu się przez podłoże skalne. Woda jest bogata w składniki pokarmowe. Dlatego w Makkathranie i wioskach przybrzeżnych jest tak dużo poławiaczy owoców morza.

- I oczywiście wszyscy o tym wiedzą - powiedział z wzrastającym rozdrażnieniem.

- Owszem. - Oparła dłonie na biodrach. Może tym gestem chciała wyrazić drwinę, ale udało jej się tylko osiągnąć to, że wyglądała jeszcze bardziej seksownie w powiewającym wokół ciała płaszczu. - Bo co?

- Chciałbym pewnego dnia zostawić ciebie i swoich kolegów pośrodku prowincji Rulan. Wtedy ja mógłbym się z was nabijać, gdy będziecie zbierać trujące jagody, wpadniecie do jamy drakkena, nie uda wam się rozpalić ogniska, a palce wam się poskleją, gdy spróbujecie zbierać grzyby gache. Choć raz. Żebyście wszyscy się przekonali, jak to jest.

Kristabel uniosła głowę i wessała policzki.

- Przyszedłeś do miasta i chcesz tu żyć. - Nie zamierzam nigdy przynosić się na wieś.

- Naprawdę? - Zrobił krok w jej stronę.

- To straszne miejsce. Brak kultury, brzydkie zapachy. - Stała nieugięta, gdy Edeard patrzył na nią z oburzeniem. Potem odwróciła się i chichocząc, pobiegła do wody. Edeard cisnął na piasek swój płaszcz i pomknął za nią.

Kristabel miała rację - woda nie była tak chłodna, jak się obawiał. Ale nie była również tak ciepła, żeby pływanie sprawiało prawdziwą radość. Dopłynął do dziewczyny i złapał ją. Ze śmiechem baraszkowali wśród fal.

\*\*\*

- Jest okazja, żebyś mnie nauczył rozpalać ognisko. - Kristabel szczękała zębami.

Gdy wyszli z morza, Edeard dał jej swój płaszcz, ale i to jej nie ogrzało. Jego ciało pokryła gęsia skórka. Szli po plaży w stronę skarpy.

- Dobrze - odparł z godnością.

Wyciągnął trzecią rękę i zebrał połamane gałązki i kawałki drewna wyrzuconego na brzeg. Kristabel wesoło klaskała, widząc, jak chrust wiruje w powietrzu i ląduje na stosie w małym wgłębieniu u podnóża skarpy.

- Teraz potrzebne są suche liście w samym środku - wyjaśniał, a trzecią ręką zbierał kruche, zbrązowiałe liście goleńców. - Bardzo użyteczne są igły trisosny, łatwo się zajmują. - Przykucnął przy stosie i sprawdził, czy podpałka jest dobrze ułożona.

Kristabel uknęła obok niego, umysł zaekranowała, ale twarz miała śmiertelnie poważną.

- Teraz potrzebuję krzemienia. - Z piasku wyskoczyły dwa zgrabne kamyki i poszybowały do Edearda. - Musisz je potrzeć i trzecią ręką skoncentrować iskry w jedno miejsce. Równocześnie robisz mały wir powietrza. Nie za duży, żeby nie zdmuchnął ognia. Cały wic polega na właściwej sile podmuchu. - Odwrócił się i złapał kamienie cielesnymi rękoma. Z tyłu za nim pojawiło

się osobliwe, srebrzyste migotanie. - Co? - Znów się odwrócił i zobaczył, że podpałka płonie jasno.

- Ohoho! - zawołała z podziwem Kristabel. - To robi wrażenie, Stąpający po Wodzie. Dziewczyna wie, że w głuszy nie zabraknie jej niczego u boku myśliwego - zbieracza.

- Jak ty...?

W jej oczach i umyśle pojawił się diaboliczny blask. Uniósła dłoń. Chłodne, białe płomienie błyskały wzdłuż jej palców, docierając do spodu stosu chrustu.

Mimo chłodu Edeard spłonął rumieńcem.

Kristabel się roześmiała.

- Tak łatwo cię sprowokować. Naprawdę. - Ledwo mogła wydobyć z siebie słowa.

- Bez wątpienia.

- Edeard, kochanie, wybacz. - Pogładziła go po policzku. I znów niemal pokładała się ze śmiechu.

Choć rozdrażniony, nie mógł się na nią gniewać. Uśmiechnął się smętnie.

- Ale ten trik jest bezużyteczny przy grzybach gache.

Wspięła mu się na uda i objęła go rękoma. Uśmiechem mogła konkurować ze słońcem w południe.

- Jeśli kiedyś zaatakuje mnie armia grzybów gache, przyrzekam na Panią, że będę robiła wszystko, co mi każesz. I nigdy już nie będę się z ciebie śmiała.

- Zgoda. Teraz powiedz mi, jak zapaliłaś ognisko.

- Nie powinnam tego zdradzać. Rodziny chcą to zachować w tajemnicy.

- Potraktuj to jako początek rewolucji.

Pocałowała go.

- Dobrze. - Jej umysł przekazał mu tę technikę.

Zanalizował ją i doszedł do wniosku, że to jest w istocie dość proste. Należało ścisnąć strumień powietrza i równocześnie wprowadzić go w szybki ruch wirowy, tworząc silny ładunek elektryczny.

- Łatwe! - Uniósł rękę i telekinezą poruszył wokół niej powietrze. Pojawił się oślepiający błysk, który spłynął aż do

stosu chrustu. Wokół gałązek wybuchła z hukiem kula ognia. W powietrzu zawirowało kilka zapalonych gałązek, ciągnąc za sobą dymne ogony. Edeard i Kristabel uchyłili się przed nimi.

- Na Panią, Edeardzie! - Kristabel aż otworzyła usta ze zdziwienia.

Ognisko płonęło. Kristabel znów wybuchnęła śmiechem.

- No, tak lepiej. Zaczynam się rozgrzewać - powiedział, gdy płomienie wystrzeliły jeszcze wyżej.

Kristabel ciągle trzymała Edearda za szyję. Teraz wygięła się do tyłu i pociągnęła go w dół, na siebie.

- Ja też.

Edeard spojrział na domek z miną winowajcy.

- Zawsze słyszałem, że seks na plaży jest najlepszy - powiedział z lubieżnym uśmiechem. Trzecią ręką odpiął pasek jej płaszcza.

Przekonał się, że legenda jest prawdziwa: seks na plaży był niesamowity.

\*\*\*

Zapadła noc. Wrócili do domku do łóżka. Świece zaskwierczały i w końcu zgasty, Edeard leżał po ciemku w łóżku i obserwował sunące po niebie, migoczące mgławice. Sen nie nadchodził.

- Jak daleko one są? Kristabel zerknęła na sufit.

- Ciągle obserwujesz mgławice? Nie wiem. Daleko, bardzo daleko.

- Czy nasze dusze docierają tam bez przewodnictwa Władców Niebios?

- Nie pamiętam dokładnie, co na ten temat mówi nauka Pani. Myślę, że kiedy opuszczają stare ciało, jest im trudno. Unoszą się jakoś w przestrzeni.

- Są zagubione. Dlatego potrzebujemy Władców Niebios.

- Tak. - Mocniej się w niego wtuliła. - Wiesz więcej ode mnie. Musisz być bardzo pobożny.

- Wcale nie. Prawie nic z tego nie pamiętam. Ale skąd Pani wie to wszystko?

- Ponieważ powiedziały jej Pierwotne Byty albo Władcy Niebios powiedzieli jej, co mówiły Pierwotne Byty. Nie wiem, jak to było.

Ale Pierwotne Byty wiedziały to z pewnością, to właśnie one stworzyły wszechświat.

- Tę Pustkę. Statki, które nas tu przywiozły, pochodziły z zewnątrz.

- Na pewno pochodziły skądinąd.

- Jeśli spadły tu z drugiej strony nieba, to musiały przelatywać przez mgławice.

- Tak sądzę.

- Zatem dokładnie by wiedziały, jak wyglądają mgławice. Dlaczego tam nie zostały, w Morzu Odyna? Pani mówi, że to droga do Serca, gdzie dusze żyją wiecznie w jedności i szczęściu.

- Statki spadały. One nie mogły się tam zatrzymać.

- Spadły na Querencię. Kiedy są na niebie, to lecą. Ludzie wewnątrz sterują ich lotem, tak jak kapitanowie wytyczają kurs swoich statków handlowych.

Kristabel podparła się na łokciach. Widział tylko ciemny zarys jej ciała. Miękkie włosy muskały jego tors.

- Dlaczego zadajesz te wszystkie pytania?

- My mamy dusze. Wyczuwam je. Kiedy zastrzeliłem porywacza Mirnathy, dalwzrokiem widziałem, jak jego dusza zrywa się do lotu.

- W drogę do Honiousa - warknęła.

- Nie, jeśli po prostu dryfuje sobie w niebie.

- Edeardzie, czy ty sobie ze mnie kpisz? - spytała niepewnie.

- Nie! - zarzekał się. - Nigdy w życiu. Nie rozumiem tylko, dlaczego Władcy Niebios nas opuścili. Co mamy zrobić, żeby wrócili?

- Pani mówi, że musimy być wierni samym sobie. - Większość ludzi postępuje inaczej. Znam wielu, którzy byli wierni sobie. Przyzwoici, uczciwi ludzie. Ale umarli. Czy ich dusze są zgubione?

Czy Akeem samotnie krąży gdzieś po niebie? A Melzar? A Obron?

Z jakiegoś powodu - nie wnikał w to głębiej - nagle pomyślał o Salranie. Pracowała sumiennie w szpitalu w Ufford, czekając na dzień powrotu do Makkathranu... i do niego. Poświęciła swoje życie Pani, była przyzwoita.

Znacznie bardziej ode mnie. Czy jej dusza zniknie w Pustce? Bardzo źle poczuł się z tymi myślami z kilku powodów. Naprawdę powinienem do niej napisać, wyjaśnić, że znalazłem nową dziewczynę, Kristabel. Ale ja sam nie chciałbym dowiedzieć się o takich sprawach z listu. O, Pani!

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Jeśli szukasz odpowiedzi na takie pytania, musisz zwrócić się do Matki. Jeśli chcesz, mogą zorganizować ci spotkanie z Pytią. Jesteśmy spokrewnione, choć daleko.

- Nie. Wybacz. Błądzą dziś myślami, to wszystko. - Próbował odegnąć wspomnienia o Salranie.

Po jej powrocie załatwię to w sposób honorowy.

Poczuł łaskotanie włosów. Kristabel gładziła go palcami po policzku.

- Myślałam, że zdołałam cię uspokoić.

- Tak. Jestem wyczerpany. Umysł mam oszołomiony, dlatego mówię głupstwa.

- Chciałbyś się znów kochać?

Uśmiechnął się, patrząc w mrok, tam gdzie powinna być jej twarz. - Teraz nie mam nawet siły się ruszyć.

- Lepiej zregeneruj się do jutra.

- Spróbuję zasnąć, obiecuję. Na jutro wieczór będę dla ciebie gotowy.

- Na rano - rzekła ostro.

- Tak, pani.

Gdy obudził się o świcie, przekonał się, że Kristabel nie żartowała.

\*\*\*

W ciągu dnia spacerowali wzdłuż wybrzeża, do sąsiednich zatoczek. Czasami pływali, potem rozgrzewali się miłością wśród wydm. Kristabel wyraźnie podniecał fakt, że ktoś z obsługi domu mógłby ich nakryć. Edeardowi nietrudno było spełnić jej życzenia.

Czwartego popołudnia wracali ze spaceru do domku. Obserwowali pola i zarośla za wąskim pasem dzikiego terenu,

biegnącego wzdłuż wybrzeża. Linie brzegową, niemal do samego miasta, stanowiły skaliste zatoki. Nad większymi z nich leżały wsie, gdzie zaadaptowano klify na porty statków rybackich; przy mniejszych arystokracja makkathrańska budowała swoje pozamiejskie posiadłości, pawilony i domki, gdzie młodsza generacja mogła spędzać leniwe lato.

Dalej na południe, w obniżeniu terenu powstało słonowodne bagno; potem teren się podnosił przy granicy z Iguru. Dalej wyrastały Góry Bruneau, odgradzające suche południowe równiny. Miasta i tereny rolnicze przywarły do wybrzeża, które zakręcało na wschód do Charyau, najbardziej na południe wysuniętego miasta Querencii, tuż za równikiem.

- Mówią, że tam przez cały rok musisz nosić długie ubrania - powiedziała Kristabel.

Stali na szczycie pagórka i patrzyli na południe. Na horyzoncie, ledwo widoczne rysowały się ośnieżone szczyty pasma Bruneau.

- Słońce jest tak silne, że pali ci skórę, zwłaszcza gdy nie jesteś do tego przyzwyczajony.

- Czy opowiadają tam o ludach, które wraz z nami zamieszkują ten świat? - spytał Edeard. - Może ktoś widział dziwne statki daleko w morzu?

- Nie. Nasze statki cały czas z nimi handlują, a ich szkunery regularnie wpływają do portu w Makkathranie. Gdyby istniały takie opowieści, dotarłyby do nas. - Przechyliła głowę. - Tak bardzo cię interesuje to, co leży poza naszym zasięgiem. Dlaczego?

- Jestem ciekawy świata, i tyle. - Nie chciał się przyznać, że głównie zależy mu na odkryciu, gdzie są produkowane szybkostrzelne pistolety. - Czy nie zastanawia cię to, że nie mamy nawet kompletnych map Querencii? Statki, które przywiozły Raha i Panią, musiały przed wylądowaniem widzieć, jak wygląda cała planeta. Dlaczego żadna mapa nie przetrwała?

- A ty znowu swoje. Mówisz rozsądnie, ale nikt inny nie wyłapuje takich związków logicznych.

- Jest aż tak źle?



- Nie, ale to cię wyróżnia. Bardzo bym chciała pojąć, dlaczego rozumiesz w ten sposób.

- Taki już jestem.

A w snach widzę różne rzeczy.

- Żałuję, że nie mogę poznać twoich rodziców. Wybacz, jeśli to zabrzmiało egoistycznie, ale to musieli być szczególnie ludzie. Masz o nich jakieś wspomnienia?

- Bardzo nikłe. - Westchnął. - Akeem powiedział mi, że moja mama przybyła do Ashwell z innej prowincji. Mówił, że była piękna i mądra. Wszyscy mężczyźni starali się o jej rękę, ale ona wybrała mojego ojca. Był we wsi zaledwie od dwudziestu lat, więc raczej nie uznawano go za miejscowego. Miał farmę poza wsią. Dużą, przynajmniej tak mi się wtedy wydawało. Pamiętam meble: były wytworne w porównaniu z umeblowaniem w innych domach. Nie wiem, dlaczego. Na pewno mieliśmy dochody takie jak na innych farmach. Akeem mówił, że ojciec nie angażował się w sprawy Ashwell. Raczej nie mam do niego o to pretensji.

- Nie chcę poruszać tematów, które są dla ciebie bolesne.

- Nic takiego. Rodzice umarli dawno temu, a ja lata temu zakończyłem żałobę. Nienawidzę bandytów, którzy ich zabili. Akeem stał się moim prawdziwym ojcem. To szczęście, że go znałem.

Kristabel wzięła go pod rękę i zeszli z pagórka.

- Wszędzie są bandyci. Czyhający na to, co inni zdobyli ciężką pracą. Gangi są takie same.

- Wiem. Wścieka mnie to, że w ogóle istnieją. A jeszcze bardziej, że ludzie akceptują ich istnienie.

- Uważam, że nasi gangsterzy są sprytniejsi od tamtych bandytów. Udało im się zakorzenić w naszym życiu.

- Znów to przeciwstawienie miasto - wieś.

- Prawie. Choć i tu, i tu są tak samo brutalni i pełni nienawiści. To ludzie złamani. Dlatego tak postępują.

- Twierdzisz, że powinniśmy im współczuć?

- Nie wiem, co powinniśmy. - Pogłaskała go po twarzy, patrząc na niego ze zrozumieniem. - Ale chyba rozumiesz, że wszyscy oczekują, że to ty znajdziesz odpowiedź.

- Nie znam rozwiązania. To zadanie Wielkiej Rady.

- Jeśli nie pojawi się żadne rozwiązanie, będą winić ciebie. Nie słyszysz ich głosów: on to rozpętał, przyszedł do Mistrza Dzielnicy z tym pomysłem; wyrzucił gangsterów z niektórych dzielnic i wypchnął ich do innych dzielnic, więc dlaczego mają one cierpieć za innych. Co zrobisz, żeby zlikwidować zagrożenie, które się przez ciebie uwypukliło i przeciw któremu wszcząłeś wojnę?

- O, Pani! - jęknął.

- Musisz coś wymyślić, Edeardzie, jakieś wyjście z sytuacji.

- Nie ma wyjścia.

- Jest przynajmniej jedno i ty je znasz: banicja na zawsze poza kryształowe mury. Wyrzucić ich z całego miasta.

- Nigdy do tego nie dojdzie. Mistrz Bise nie pozwoli na to w Sampalok.

- Do Honious z Bisem. Masz za sobą olbrzymie, rosnące polityczne poparcie. Wydalenia z dzielnic dały rezultaty. Musisz to kontynuować. Jeśli się teraz zawahasz, stracisz rozpęd.

- Całkowita banicja? Mówisz serio? - Przypomniał sobie, jak w dzień porwania złorzeczyła mu żona Eddisa. - Dokąd wszyscy pójdą?

- Rozumiem, jak cię to niepokoi, ale uważam, że niepotrzebnie. Tym razem wyobraźnia cię zawodzi. Wyobrażasz sobie całe dzielnice miasta wysiedlane pod groźbą pistoletu. Tymczasem tu chodzi najwyżej o kilkuset złoczyńców. Pamiętam ten wieczór, gdy ojciec podpisywał nakazy dla dzielnicy Haxpen. Podałeś mu wtedy czterysta osiemnaście nazwisk. To wszyscy członkowie gangów, jakich udało ci się ustalić. W porównaniu z całą ludnością stanowią małą część, nawet nie są mniejszością. Pozbyć się szefów gangów i ich pomocników, a reszta sama szcześnie. Z powrotem włączą się do społeczeństwa. Nie będą cię kochać, ale przynajmniej przestaną sprawiać takie kłopoty jak obecnie.

- Też tak sędzę. Ale dokąd pójdą szefowie? To spychanie naszych kłopotów na innych ludzi.

- Posłuchaj - powiedziała z naciskiem. Wyciągnęła ręce przed siebie i obróciła się, obejmując tym gestem cały krajobraz. - Przekonam tatę, żeby ci pożyczył nasz największy statek, i będziesz mógł ich zawieźć na najdalszy atol, do jakiego pływa nasza flota. Albo kupimy pięćdziesiąt wozów i zawieziemy ich w karawanie w głąsę za Rulan. Niech tam wybudują sobie domy i produkują własną żywność. Edeardzie, nie jesteś za nich odpowiedzialny, gdy już zostaną wygnani. Jesteś konstabłem miasta - przed twoim przybyciem to stanowisko traktowano z najwyższą pogardą. Sprawiliś, że znów czujemy się bezpieczni, dałeś nam nadzieję. Nie poddawaj się teraz. Makkathran nie może sobie pozwolić na to, byś miał wątpliwości.

Patrzył na nią z podziwem.

- Co takiego? - Czowała się niezręcznie.

- Jesteś niesamowita. Nie mogę uwierzyć, że w ogóle zwracasz uwagę na kogoś takiego jak ja.

- Ale zwracam uwagę. - Spuściła wzrok.

- Makkathran ma szczęście, że ma ciebie.

- Nie będę pionkiem w rękach rodziny, tymczasową figurą między tatą a swoim pierwszym synem, kimś, kto mechanicznie głosuje za wszystkimi decyzjami burmistrza. Ja to zmienię - stwierdziła stanowczo.

- Wiem, że zmienisz.

\*\*\*

Edeard pragnął, żeby ich ostatnia noc w domku trwała wiecznie. Gdy świece zgasły, znów leżał na łóżku i patrzył w górę, a jego myśli powoli się konkretyzowały. W ciągu tego tygodnia Kristabel powiedziała mu rzeczy, z których wcześniej nie zdawał sobie sprawy. Leżała teraz przy nim z ręką na jego piersi, z głową wtuloną w obojczyk, z nogą przerzuconą przez jego nogę. To było jej miejsce. Na wieczność.

- Kocham cię - powiedział z zachwytem.

\*\*\*

Bał się powrotu do Makkathranu. Część jego mózgu tworzyła piękną fantazję: oboje na zawsze zostają w plażowym domku. Nie chodziło tylko o jedność fizyczną, choć Kristabel oferowała wszystko, co w jego wyobraźni mogła dawać kochanka. Nie chciał, żeby cokolwiek zakłóciło ten doskonały wspólny tydzień.

- Ja też nie chcę wyjeżdżać - oznajmiła przy śniadaniu ostatniego dnia.

- Musimy tu chyba wrócić.

- Wrócimy, nie dąsaj się.

- Nie dąsam się... przepraszam.

- Wiem. Widzę przecież, że nie chcesz wracać.

- Dzięki.

- Mam dla ciebie prezent. - Poleciała gemałpie, by przyniosła jedną ze skrzyń.

Edeard nie zwrócił na nią uwagi wśród innego bagażu. Jak na osobę, która większość czasu była albo naga, albo ubrana tylko w delikatny jedwab i koronki, zabrała ze sobą sporo garderoby. Teraz pochylił się zainteresowany, gdy otworzyła skrzynię i wyjęła stamtąd bluzę munduru.

- To odpowiedni dla ciebie mundur. Nie mogłabym znieść, gdybyś wyglądał przeciętnie na ceremonii. W tym szczególnym dniu.

Edeard wziął od niej bluzę, podziwiał krój i autentycznie czarny materiał. Była to standardowa bluza konstabla, ale jednocześnie o wiele bardziej stylowa. Kristabel wyjęła ze skrzyni pasujące do tego spodnie, białą koszulę, pas, krawat.

- Bardzo ci dziękuję - powiedział i zaraz posmutniał. - Nie mam nic dla ciebie.

Spojrzała na niego dziwnie, jakby powiedział coś przykrego.

- Bo nie masz pieniędzy. I to dobrze, ponieważ nie tego szukam w mężczyźnie.

- Jesteś wspaniała. - Pocałował ją.

- Mamy mało czasu. Musimy być w mieście przed południem. Przymierz mundur.

- Możemy zaoszczędzić kilka minut - zaproponował pełen nadziei. Palcem wskazała drzwi sypialni.

- Idź i przymierz.

Wykonał polecenie. Mundur leżał idealnie. Edeard mimowolnie się uśmiechnął, patrząc na swoje odbicie w lustrze. Wyglądał wspaniale. Kristabel stanęła w drzwiach.

- O, Pani! - powiedziała chropawym głosem. - Naprawdę mężczyzna w mundurze to jest coś.

- Krawiec doskonale pobrał miarę. Szpiegował mnie? Uniosła brwi.

- Dokładnie znam twój rozmiar - mruknęła. - Chodź, musimy już jechać.

\*\*\*

Może to dziwne, ale gdy dotarli do miasta, Edeard się ucieszył. Hałaśliwy gwar myśli i dalmowy, wydobywający się z ludzkich umysłów, dodawał otuchy. Kojąco działał swojski widok budynków, ulic i kanałów. Gdy szli ze stajni, nikt nie zwrócił na nich uwagi, choć nawet nie starali się okryć mgiełką sekluzijną.

Jestem w domu, pomyślał, gdy płynął gondolą po Wielkim Kanale Centralnym do Pałacu Sadowego.

W Sali Malfit czekali na niego koledzy z drużyny. Powitali go serdecznie.

- Popatrzcie tylko! - Macsen podszczypywał wspaniały mundur Edearda. Spojrzał na Kristabel, która zaczęła rozmawiać z Kanseen. - Chcesz nam coś ogłosić?

Edeard zmarszczył czoło.

- Nie. Cudownie się bawiliśmy. I z pewnością nie zamierzam opowiadać wam wszystkich szczegółów.

Macsen i Boyd pokręcili głowami.

- Jednak to ciągle chłopak ze wsi - powiedział Macsen ze smutkiem.

- Co?

- Mamy dla ciebie wiadomość! - oznajmił Dinlay z dumą.

- Co? - powtórzył Edeard w niemym osłupieniu.

- Po ceremonii - drażniła się z nim Kanseen. - Żeby to wyjaśnić, potrzeba czasu.

- Chodźmy, zajmijmy miejsca, póki są - rzekł Macsen.

Na uroczystości promocyjnej Edearda krzesła zajmowały mniej niż jedną piątą sali. Dzisiaj natomiast członkowie rodzin, którzy przyszedli obserwować promocję swoich synów i córek, musieli stać pod ścianami.

Jak poprzednio, burmistrz Owain pojawił się na szczycie wielkich schodów w otoczeniu Mistrzów Dzielnic i Mistrzów Gildii. Gdy zeszli na dół, na wielkim suficie pojawiły się siostrzane planety Querencji unoszące się w cudnym brzasku strzępiastych, złotawych chmur.

Owain wystąpił z krótkim przemówieniem na zaimprovizowanym podium. Edeard, który siedział z tyłu sali, spojrzał na Mistrzów, stojących w szeregu za burmistrzem. Słuchali z uwagą, jakby oceniali nastrój widowni. Ich napięcie kontrastowało z podnieceniem i zadowoleniem nowych konstabli i ich rodzin. Edeard dostrzegł Bisego, którego długa twarz zastygła w wyrazie niechęci. Patrzył prosto na Edearda. Ten przez sekundę był skonsternowany nienawiścią, jaką widział i wyczuwał, ale szybko się opanował i odpowiedział na wrogość chłodną obojętnością.

Rozległy się głośnie brawa, gdy pierwszy stażysta wszedł na podium i Owain przypiął mu epolety. Edeard przez całą długą ceremonię klaskał uprzejmie. Z autentycznym entuzjazmem bił brawo, gdy epolety otrzymywali stażyści z posterunku w Jeavons. Młody Felax tryskał dumą; schodząc z podium, uniósł wysoko małe brązowe guziki, by rodzice mogli je zobaczyć.

Edeard i Dinlay wymienili uśmiechy.

- Och, Pani, czy myśmy też tacy byli? - jęknął Dinlay.

- Nie wiem. Ja byłem zbyt skoncentrowany na tym, żeby nie potknąć się na schodach.

Chae pochylił się ku nim z rzędu z tyłu.

- Obaj byliście żenujący - stwierdził.

Edeard wiedział, że powinien wziąć udział w przyjęciu, które planowano po ceremonii. Kilka miesięcy temu taka perspektywa napełniłaby go przerażeniem. Teraz, po tylu doświadczeniach, które miał za sobą, niczym się nie przejmował. Ponadto cały czas towarzyszyła mu Kristabel; uśmiechnięta, robiła na ludziach

znacznie większe wrażenie niż on. Wziął kieliszek wina od geszympana, podziękował za kanapki, przywołał na twarz najlepszy ze swych uśmiechów, zaekranował umysł i zaczął rozmawiać z rodzicami: zapewniał, jakie wspaniałe są ich dzieci, nowo mianowane na konstabli, i jak się cieszy, że będą mu pomagać; owszem, uważa, że gangi zostaną w końcu pokonane; ale nie, nie może podać terminu, to sprawa poufna; owszem, muszą zakończyć kampanię ekspulsji; i proszę wywierać nacisk na swoich Mistrzów Dzielnic i Reprezentantów, żeby poparli nakazy.

- Dzielimy się na grupy polityczne - szepnęła mu do ucha Kristabel, gdy przyjęcie toczyło się już około godziny. - To typowo makkathrańskie.

Edeard przeskanował gości dalwzrokiem. Miała rację. Na czarnej podłodze Sali Malfit utworzyły się trzy grupy Mistrzów. Jedna pod przywództwem Finitana, całego w uśmiechach i pełnego entuzjazmu - wokół niego skupili się Mistrzowie, którzy poparli kampanię ekspulsji. Najbardziej donośnie perorował Julian; trudno było w nim poznać załamane go człowieka z dnia Festiwalu Przewodniczki. Swoim entuzjazmem zarażał rodziców, którym wylewnie gratulował. Nie przywykli rozmawiać z Mistrzami Dzielnic, a już na pewno nie z takimi elokwentnymi i sympatycznymi.

- Twój ojciec to utalentowany polityk - stwierdził Edeard.

- Spróbuj to powiedzieć w taki sposób, jakby to było coś pozytywnego. - Trzecią ręką uszczypnęła go mocno w pośladek.

Edeard miał ochotę ją szturchnąć, ale się opanował. Finitan nawiązał z nim kontakt wzrokowy i uśmiechnął się z uznaniem do Kristabel, potem odwrócił się do prezesa stowarzyszenia garncarzy z dzielnicy Fiacre - jego trzecia córka dostała dziś epolety. W tej grupie było ośmiu innych Mistrzów Dzielnic - z Jeavons, Silvarum, Zeldy, Drupe, Tosseli, Lillylight, Ilongo i Padua. Finitan mógł również liczyć na Mistrzów Vaji, Cobary i Myco, o których poparcie wytrwale zabiegał.

Największą grupę, skupioną w centrum sali, stanowili niezdecydowani. A to ciągle większość dzielnic.

No i ci, którzy utworzyli oddział wokół Owaina. Najbardziej tradycyjne rodziny z Bisem w centrum. Oni również ściskali dłonie i rozmawiali z nowymi konstablami. Edeard z pewnym niepokojem dostrzegł wśród nich Pytię. Przecież chyba rozumiała, że należało przedłużyć kampanię ekspulsji? Potem przypomniał sobie, że łagodnie sprzeciwiła się, by komukolwiek zabraniać wejścia do Eyrie. Z sensownym uzasadnieniem: ludziom nie można odmówić wstępu do kościoła Pani.

- Ten podział jest niedobry - powiedział do Kristabel, gdy goście zaczęli wychodzić z przyjęcia. - Makkathran potrzebuje jedności, jeśli mamy pokonać gangi.

- Całkowicie się zgadzam. - Poprowadziła go do Finitana i swojego ojca.

- Witajcie. - Julian objął córkę i uściśnął dłoń Edeardowi. Zamilkł na chwilę, jakby czegoś oczekiwał.

Finitan również jakby na coś czekał. Edeard nie wiedział, co ma powiedzieć.

- A więc dobrze - odezwał się Finitan. - To równie dobry moment jak każdy inny. Edeardzie, podczas twojego wyjazdu naciskałem na pozostałych Mistrzów Dzielnic i Reprezentantów, żeby przyłączyli się do planów banicji. Niestety, z nikłym skutkiem. Również burmistrz górnolotnie argumentował przeciwko.

- Ale dlaczego?

- Ponieważ, jak słusznie twierdził, nie przedstawiliśmy ostatecznej odpowiedzi na pytanie, co zrobić z tymi ludźmi.

- Ja mam propozycję - oznajmił Edeard. Po tylu rozmowach z Kristabel czuł się pewnie.

- Naprawdę? - spytał Finitan.

- Tak, proszę pana. Jedyne co możemy zrobić. Całkowite wygnanie.

- Ach, to odważne stwierdzenie, młody Edeardzie.

- Zwrócono mi uwagę... - zmieszany uśmiechnął się do Kristabel - że, choć projekt brzmi drastycznie, to rzeczywista grupa ludzi, której trzeba się pozbyć, jest malutka w porównaniu z całą ludnością miasta.



Finitan i Julan wymienili spojrzenia.

- Zatem to ułatwia sprawę - rzekł Finitan. - Jasne, że Owain zamierza doprowadzić do kolejnego zwania w Radzie, a taktyka odwlekania działa na jego korzyść. Musimy przejąć od niego inicjatywę, a propozycja wygnania to idealny projekt, który pobudzi ludzi do działania i do wsparcia naszej grupy.

Edeard spojrział na przybocznych Owaina.

- Nie rozumiem. Podejrzewam, że w Radzie to by tylko pogorszyło sytuację.

- Pogorszy - przyznał Finitan z uśmiechem. - A my możemy zyskać na tym podziale.

- Aha. - Kristabel skinęła głową ze zrozumieniem. - Jasne.

- Co jasne? - spytał Edeard.

- Zamierzam zgłosić swoją kandydaturę na burmistrza - rzekł Finitan. - Wygnanie gangów będzie moją obietnicą wyborczą dla ludzi w Makkathranie.

\*\*\*

- Co powiedział? - spytał Boyd, gdy po uroczystości drużyna wracała na posterunek.

- Zamierza startować w wyborach na burmistrza - powiedział Edeard. Ciągłe był zaskoczony tą wieścią, ale czuł też wzrastające podniecenie. Gdyby Finitan był u władzy, tyle rzeczy mogłoby się zmienić. - Dziś wieczór jest przyjęcie w Błękitnej Wieży, więc będzie mógł to ogłosić publicznie.

- Nie Finitan, ty dupku - burknął Macsen. - Mistrz Julan?

- Julan? Nic na ten temat nie mówił. Ale z jego poparciem Finitan ma realne szanse.

- Dobrze, nieważne. Co powiedziałeś? - spytała Kanseen.

- Powiedziałem, że poprę go pod każdym względem. Spojrzeli na siebie zdziwieni. Edeard wyczuwał, że ich umysły się przed nim zamykają, ale odrobinę wcześniej przesączyła się z nich irytacja i rozczarowanie. Przypuszczał, że podczas jego urlopu dostali w kość bardziej, niż to wcześniej prognozował.

- No dobrze, przynajmniej my mieliśmy kupę zajęć - powiedział Dinlay, gdy wchodzili przez główną bramę posterunku. -

Niestety, gangi również. W czwartek gondolierzy wyciągnęli kolejne ciało z kanału. To drugi syn kupca bławatnego z dzielnicy Igadi.

- O, Pani! - jęknął Edeard. - Nie potrzebowali dużo czasu, żeby odzyskać tupet.

Weszli do małej sali. Dinlay zamknął drzwi trzecią ręką. Kanseen usiadła przy stole, nogi oparła na ławce. Macsen polecił geszympanowskiemu, żeby przyniósł im wodę do picia.

- Na przyjęciu podali tanie wino - narzekał, pijąc ze szklanego kufła.

Dinlay wyciągnął ławkę i usiadł naprzeciwko Edearda. Jego twarz wyrażała wielkie zadowolenie. Boyd usiadł obok niego i usiłował nie okazywać rozbawienia postawą kolegów.

- A czym się gangom naraził drugi syn? - spytał Edeard.

- Niczym. Gangi zastosowały stary wariant wymuszania - wyjaśnił Dinlay.

- Sprytny. - Macsen dopijał drugi kufel wody.

- Już się nie zajmują drobiazgami, sklepikami i kramami - wyjaśnił Dinlay. - Uderzyli klasę wyżej, w drobnych kupców. I nie proszą o pieniądze. Chcą udziałów w biznesie.

- To droga do legalizacji - stwierdziła Kanseen.

- Masz skład handlowy pełen towaru, ktoś przychodzi i pyta, czy może kupić udziały w twoim przedsiębiorstwie, wtedy jest to legalne. Ale rzecz w tym, że oni chcą odłożyć płatność za tę część udziałów.

- Zwykle mówią, że należność pokryją ze zwiększonych zysków - wyjaśnił Boyd. - Na razie nie ma w tym przestępstwa. Na pewno nie da się zrobić doniesienia do policji czy sądu.

- Tylko że ty wiesz, kto cię nachodzi i czego żąda - ciągnął Dinlay. - Bardzo jasno dają ci to do zrozumienia. Jeśli się nie zgodzisz, ktoś z twojej rodziny ucierpi.

- Albo nawet może zostać zamordowany - wtrącił Macsen. - Jak syn kupca bławatnego. To przypadek skrajny, ale o takich się dowiadujemy.

- Więc nie wiemy, na ile jest to powszechne? - spytał Edeard.

- Nie, ale wszyscy narzekają na rosnące ceny. I nie widzą przyczyn. Nie brakuje towarów, w porcie jest tłoczno od statków handlowych, a magazyny w mieście są pełne.

- Niższa i średnia warstwa kupców nie stworzyła stowarzyszeń samoobrony jak właściciele sklepów i kramarze - powiedziała Kanseen. - Konkurencja handlowa prawie wyklucza wszelką współpracę.

- Ale mają osobistych ochroniarzy - zauważył Edeard.

- Nie mają - rzekł Dinlay. - Oczywiście, patriarcha bierze ze sobą paru oprychów, kiedy wybiera się do swoich klientów po większe raty albo musi zapłacić kapitanowi statku, ale nie ma tu mowy o małych armiach, jakie służą u Wielkich Rodzin. Kupcy mają duże rodziny pozostające zupełnie bez ochrony. A oni stanowią istotny element makkathrańskiej gospodarki.

- Rozumiem. - Edeard miał wcześniej nadzieję, że po powrocie z urlopu trochę sobie odetchnie. Pomylił się. - W takim razie musimy zidentyfikować, kto...

- Nie musimy - przerwał mu Dinlay wesoło.

- Nie musimy?

- Już to zrobiono.

- Aha. - Teraz wcześniejsze zachowanie kolegów stało się dla niego zrozumiałe. Spojrzał na ich zadowolone miny. - Więc czego ode mnie chcecie?

- Potrzebne jest wsparcie brutalnej siły podczas aresztowania - powiedział Macsen niewinnym tonem.

Edeard się zaśmiał.

- Mówcie.

- Najpierw zła wiadomość: Dom Błękitnych Płatków ma nowego właściciela - rzekł Boyd.

- Kto taki?

Boyd spojrzał szelmowsko na Dinlaya, jakby prosząc o pozwolenie.

- Buate.

- Nigdy o nim nie słyszałem.

- Nikt o nim nie słyszał - stwierdził Boyd. - Okazuje się, że to brat przyrodni Ivarla.

- No, nieźle.

- Chcesz teraz złą wiadomość? - spytał Macsen. Edeard piorunował go wzrokiem.

- Plotkują, że Buate ma wspólnika. - No i...

- To Ranalee.

Edeard ukrył twarz w dłoniach i zachichotał cicho. Powinienem się tego spodziewać, gdy tamtej nocy zobaczyłem, jak Ivarl i Tannarl zjednoczyli siły.

- Edeardzie, co z tobą? - dopytywała się Kanseen.

- W zasadzie to dobra wiadomość - powiedział.

- Naprawdę?

- W końcu mamy powiązanie między gangami a Wielką Rodziną. Potrafimy udowodnić, że jest współniczką?

- Akt notarialny leży w miejskich archiwach. - Dinlay zdjął okulary, by przetrzeć soczewki. - Wynajem ma status uprzywilejowany, chyba że zostanie popełnione przestępstwo na terenie obiektu lub przez właściciela. W sądzie niższej instancji możemy złożyć wniosek o wgląd do aktu. Ale dowiemy się jedynie, kto ma prawo do samego budynku, a, jak wiemy, Buate to rodzina i niczego nowego tam nie będzie. A statut korporacji zarządzającej biznesem Błękitnych Płatków powinien być w Gildii Urzędników Podatkowych. Choć najprawdopodobniej ten rodzaj działalności oznacza, że umowa z Ranalee nie jest nigdzie formalnie spisana.

- Więc to tylko pogłoska?

- Tak. - Dinlay wzruszył ramionami.

- I to właśnie zdołaliście odkryć, gdy byłem nieobecny?

- Jak mówi mój za - chwilę - ojciec, każdy jest krytykiem - rzekł Macsen z udawanym przerażeniem. - Nie, prowadziliśmy trudną pracę obserwacyjną w niebezpiecznych warunkach za niską płacę i skąpe podziękowania ze strony naszego kaprała i kapitana naszego posterunku.

- Na miłość Pani! Powiecie mi, o co w tym chodzi?

- Śledziliśmy kilku gangsterów z list ekspulsyjnych i mieliśmy rację. Jeden z nich należał do grupy wymuszającej haracze. -

Dinlay wyszczerzył zęby. - Powiedzieli kupcowi Charyau z Neph, że chcą jedną trzecią jego firmy. On importuje sól gąbkę.

- A cóż to takiego? - spytał Edeard. - I przysięgam na Panią, że jeśli któreś z was spojrzy teraz na mnie z politowaniem, to zanurzę was głową w Stawie Birmingham i będę trzymał aż do skutku.

Boyd już otwierał usta, żeby wyjaśnić, ale zmarszczył czoło i odwrócił się ku Macsenowi. Ten wydał wargi i spojrzał pytająco na Kanseen.

- Mnie nie pytajcie, nigdy o czymś takim nie słyszałam.

- To musi być coś cennego - spekulował Dinlay. - Charyau ma dużą rodzinę, wszyscy się wytwornie ubierają i imprezują w całym mieście. Poza tym ma dwie kochanki, które obsypuje biżuterią.

- Przyjął ich warunki?

- Nie - odparł Boyd. - Pani dała mu kręgosłup i zamiłowanie do pompacyjnej fanfaronady. Odmówił.

- Więc śledziliśmy wymuszaczy do ich siedziby w Sampalok.

- Poszliście do Sampalok? - spytał Edeard zdumiony.

- Mówiłem: to trudne i niebezpieczne - oznajmił Macsen wyniośle. - Dlatego wiemy, że zamierzają dać wciry Rapsailowi, pierworodnemu Charyau. To ma być pierwsze ostrzeżenie. Zrobią to dziś wieczór.

- Gdzie? - Edeard już był pełen zapału.

\*\*\*

Ulica Riorn wiała się w północnym rogu Abadu, łączyła Kanał Różanej Drogi z Wielkim Kanałem Głównym. Budynki, które przy niej stały, były wysokie i okazałe, ale jeden z nich przechylał się nad ulicę i szerokie pasma zdziczałego gurzuch zwiślały z okapów jak żywe zasłony. Sąsiedni dom mieścił Zuchwałego Pułkownika - restaurację i teatr o dobrej renomie, gdzie bogatsi dżentelmeni miejskiej arystokracji zebrali się na miły wieczór we własnym towarzystwie.

Na sześciokątnych stołach przykrytych wykrochmalonymi białymi obrusami stały dobre, drogie potrawy; piwnica była

zaopatrzona w wykwintny zestaw win z całej Querencji. Salon oferował głębokie fotele i kanapy, a tancerki na scenie zadziwiająco zgrabnie i elegancko wykonywały swój program przy dźwiękach znakomitego zespołu teatralnego. Przy błyszczących drewnianych drzwiach stało pięciu postawnych portierów, mocnych siłą fizyczną i telekinetyczną. Już sam ich widok zniechęcał wszystkich, którzy zrobili to głupstwo i urodzili się w sferach żyjących poniżej pewnego poziomu.

Po drugiej nad ranem jeden z portierów skłonił się Rapsailowi, który niepewnym krokiem zszedł po trzech schodkach na chodnik. Silny deszcz smagał ulicę i przyćmił pomarańczowe światło padające z murów budynków. Rapsail szczelniej okrył skórzanym płaszczem swoją długą szkarłatno - niebieską marynarkę. Pijackim głosem rzucił „dobranoc” portierowi i skierował się niepewnym krokiem w stronę Wielkiego Kanału Głównego.

Alkohol osłabił jego dalwzrok i widzenie optyczne. Rapsail nie miał świadomości, że w cieniach i w zaułkach ulicy czai się pięciu mężczyzn. Nie zauważył, jak wyłonili się ze swoich kryjówek i ruszyli tuż za nim. Dopiero gdy go otaczali, spojrzał na nich zamglonymi oczyma.

- No, no, panowie, witam - bełkotał skonsternowany.

Wokół jego kostek zacisnęła się trzecia ręka. Przez moment szedł spowolnionym krokiem, potem spojrzał na swoje unieruchomione nogi, na lśniące skórzane buty z modnymi kłamrami z brązu i srebra. Nie rozumiał, dlaczego stopy nie są mu posłuszne, nie niosą go jak najdalej od tego miejsca.

- No, no, panowie, dosyć!

Jeden z napastników zaśmiał się. Otoczyły go ciemne zjawy w kapturach, o twarzach przesłoniętych mgiełkami sekluzijnymi. Deszcz padał ciężko na ich sztormiaki i spływał szybkimi strumykami.

- Czego chcecie? - Instynkt samozachowawczy zaczął przedzierać się do jego nasączonego alkoholem mózgu. Próbował dalkrzyku, ale to wymagało zbyt dużej koncentracji.

Czyjaś ręka ściągnęła mu z głowy kaptur.

- Ostrzegam was, mam w mieście przyjaciół. Wpływowych.  
- To wiadomość dla twojego ojca - powiedział Medath, szef napastników.

- Jaka wiadomość? - Rapsail miał już zupełnie mokrą głowę.  
- On zrozumie.

Pierwszy cios trafił go w pulchny brzuch. Rapsail skulił się i padł na kolana. Na jego policzkach łyzy bólu mieszały się z deszczówką.

- Słodka Pani, nie! Mam pieniądze. Proszę.

- Nie zależy nam na twoich pieniądzach - wyjaśnił mu Medath. - Chodzi o twoje dziedzictwo.

Dwaj napastnicy wyjęli spod płaszców pałki ze skórzanymi uchwytnymi, dwaj inni przytrzymali Rapsaila w zgiętej pozycji.

- Poza tym nie będziesz ich potrzebował - przekonywał go Medath. - Na co kaleka może wydawać pieniądze?

Rapsail szlochał żałośnie.

- Uszkodzić go. I to poważnie - rozkazał Medath.

W górę uniosły się dwie pałki ociekające wodą. Wznosiły się coraz wyżej, wyrwały się z rąk oprawców, zawirowały i wzleciały w mrok. Obaj mężczyźni stęknęli zaskoczeni. Medath błyskawicznie przykucnął, w jego dłoniach pojawiły się długie noże. Dalwzrokiem przeskanował ulicę, zajrzał we wszystkie bramy i zakamarki, umacniając równocześnie swoją telekinetyczną tarczę. Jeden ze zbirów już kopał w głowę Rapsaila, ale but został odepchnięty i mężczyzna plasnął twarzą na chodnik.

- Pomocy! - wołał przez krew lejącą mu z ust i nosa.

Nagle zamarł przerażony - ktoś go brutalnie ciągnął po chodniku. Zbir sunął w zastraszającym tempie. Bez skutku próbował zaczepić się palcami o mokrą powierzchnię. Zniknął za rogiem i wtedy umilkł.

- Wielka Pani! - jęknął inny bandzior i rzucił się do ucieczki. Jego stopy oderwały się od podłoża, a całe ciało poszybowało i walnęło w mur domu. Ogłuszony, osunął się na ulicę.

Pozostali trzej zbili się w grupę. Medath trzymał noże w pozycji obronnej, jego dwaj kumple wyciągnęli pistolety. Uliczka

rozbrzmiała głośnym śmiechem. Jeden z napastników nie wytrzymał i strzelił w gęsty cień. Kula zatrzymała się zaledwie metr od lufy i zawisała w powietrzu. Krople deszczu opływały ją gładko.

- Stąpający po Wodzie! - wykrztusił Medath.

- Dobry wieczór. - Edeard wystąpił naprzód, jego ciało stało się widoczne pośród drżących cieni i ściany wody. Stał na środku ulicy. Krople deszczu rozprasały się nad jego głową i elegancki nowy mundur pozostawał idealnie suchy.

Za nim Kanseen i Dinlay wynurzyli się z nicości.

- Jesteś aresztowany - oznajmił Edeard. Wyciągnął rękę i dwa pistolety zostały wyrwane z dłoni napastników. - Zakuj go w kajdanki - polecił Dinlawowi. Zwrócił się do Kanseen: - Zabierz mu noże.

Medath obserwował dziewczynę. Zręcznie obrócił noże i skierował rękojeści w jej stronę. Edeard podszedł do bandziora, który walnął o mur, i schylił się nad pojękującym cicho mężczyzną.

- Ja je wezmę. - Kanseen wyciągnęła rękę po noże.

Pojawiła się szansa dla Medatha: energicznym ruchem nadgarstka rzucił w nią nożem i jednocześnie trzecią ręką z całej siły pchnął Edearda.

- Na nich! - ryknął do swoich dwóch współników.

Kanseen, zasłaniając się przed nożami, potknęła się i upadła. Dinlay mocował się z jednym zbirem, a Edeard ruszył na pomoc, szybko unieruchomił drugiego zdecydowanym chwytem telekinetycznym. Dwaj napastnicy zostali unieszkodliwieni i skuci, a w tym czasie Medathowi udało się uciec. Edeard śledził go dalwzrokiem - oprych biegł przez żelazny most przy Średnim Stawie.

Macsen i Boyd pozbyli się sekluzji. Boyd przewiesił sobie przez plecy nieprzytomnego zbira. Macsen podbiegł do Kanseen i pomógł jej wstać.

- To było upokarzające - powiedziała, otrzepując z wody spodnie munduru.



- On też tak uważa - odparł Edeard. Dalwzrokiem widział, jak Medath już za mostem zmierza do parku Pholas.

- Jak na takiego osiłka, potrafi biec bardzo szybko. - Boyd był rozbawiony.

Edeard zwrócił się do zakutego mężczyzny:

- Sentanie, wyciągnij ręce.

- Zna pan moje nazwisko?

- Oczywiście. Wiem, gdzie mieszkasz, co jadłeś na obiad, znam twoją dziewczynę, troje twoich dzieci, które znalazły sobie uczciwą pracę. Teraz ręce przed siebie.

- Co mi zrobicie?

Trzecią ręką Edeard podniósł jego ramiona do góry. Użył sporej siły i mężczyzna aż się skulił.

- Proszę - błagał. - Skończę z tym. Przysięgam na Panią.

- Nie, nie skończysz - powiedział Edeard. Wsunął klucz do kajdanek i otworzył je. Sentan patrzył na niego przerażony.

- Nie jesteś aresztowany - oznajmił mu Edeard. - Żaden z was.

- Stąpający po Wodzie, proszę, nie. Nie zabijaj mnie.

- Zamknij się. Dość czasu już zmarnowałem w sądach z takimi jak ty. Dlatego zrobicie co każę: opuścicie miasto.

- Ja... co takiego? - wydyszał Sentan.

- Ty i twoi kumple macie opuścić Makkathran. Dziś w nocy. Natychmiast. Moja drużyna odprowadzi was do Południowej Bramy. Przejdziecie na drugą stronę i nigdy tu nie wróćcie.

- Dokąd mamy pójść?

Edeard pochylił się i z odległości paru centymetrów spojrzął na Sentana.

- A co zrobiły twoje ofiary? Kiedy ich pobiłeś, połamałeś im kości, poraniłeś, aż krew ciekła na podłogę, a wszystko to obserwowały ich dzieci, póki krzyczących z bólu rodziców nie odwieziono do szpitala. Musiały jakoś dalej żyć. Teraz mnie rozumiesz?

- Tak.

- Jeśli wrócisz, jeśli znów postawisz stopę w tym mieście, ja się o tym dowiem. Wierzysz mi? Czy mi wierzysz?

- Tak. Tak, proszę pana.

- To idź.

Sentan zwiesił głowę, pokonany. Edeard podszedł do Rapsaila, który ciągle klęczał na chodniku. Wyglądał żałośnie: spodnie miał mokre, włosy przylepione do czaszki, płaszcz rozchełstany.

- Dziękuję - szlochał. - Dziękuję ci, Stąpający po Wodzie.

- Wstawaj! - Edeard nie czuł dla niego współczucia.

Dinlay i Macsen ustawili zastraszonych oprychów i prowadzili ich ulicą w podróż poza miasto.

Rapsail z trudem dźwignął się na nogi i stanął chwiejnie w strugach deszczu. Edeard próbował się uspokoić. Przysięgał, że będzie bronić zwykłych mieszkańców Makkathranu, ale przez ludzi takich jak Rapsail trudno mu było wykrzesać emocjonalne zrozumienie dla tej warstwy obywateli.

- Zostałeś dziś napadnięty nie bez powodu - rzekł Edeard chłodno. - Twój ojciec nie zwrócił się do nas, do mnie, gdy kumple Medatha przedstawili mu ultimatum. Jeśli nie wiem, co gangi kombinują, nie mogę was przed nimi chronić. Dziś miałeś szczęście. I masz dług wdzięczności u mojej drużyny.

- Oczywiście - powiedział Rapsail. - Ojciec sownie was wynagrodzi za wasze usługi. Jesteśmy honorowymi dżentelmenami.

- Nie potrzebujemy pieniędzy - wycedził przez zęby Edeard. Rapsail szybko trzeźwiał. Mimo pijackiego zamroczenia potrafił wyczuć wściekłość Edearda.

- Oczywiście, przepraszam z całego serca, Stąpający po Wodzie. Więc czego chcecie?

- Informacji. Nie tylko twoją rodzinę odwiedzili szantażyści. Jutro, kiedy wytrzeźwiejesz, przyjdę do ciebie i twojego ojca i omówimy sytuację: co konstable mogą zrobić, żeby gangi odczepiły się od kupców.

- Tak, tak, oczywiście. Edeard skinął na Kanseen.

- Odprowadź go do domu w jednym kawałku. Powiedz ojcu, że odwiedzę go jutro rano.

- Dostaję dziś niezłe zadania, co? Edeard się uśmiechnął.

- Dobrze się spisałaś, wiem, że to nie było dla ciebie łatwe. Dziękuję.

- Ho, ho! - Nie mogła jednak zapobiec wyciekowi małego błysku wdzięczności. - Idziemy, proszę pana. - Chwyliła Rapsaila pod ramiona.

- A niech to, kobieta konstabl!

- Tak, proszę pana.

- I do tego strasznie ładna.

Edeard i Boyd wstrzymali oddech i skrzywili się. Kanseen jednak oszczędziła Rapsaila.

- Edeardzie, pójde z tobą - powiedział Boyd, gdy niedobra para odeszła w mrok. - Zgódź się.

- Dam sobie z tym radę.

- Ostatnim razem omal cię nie zabili.

- Wtedy nie chciałem robić awantury. Ale chyba wszyscy wiemy, że te czasy mamy już za sobą.

Boyd spojrzał na niego sceptycznie.

- W porządku.

- Chciałbym, żebyś wrócił do Zuchwałego Pułkownika. Ktoś stamtąd dalmówi bezpośrednio do zbirów. Daj właścicielowi jasno do zrozumienia, że ma u mnie przerąbane. Od teraz musi ze mną w pełni współpracować. I zorientuj się, czy możesz również namówić do współpracy informatora reketierów.

- Na Panią, czy to wszystko?

- Mamy różne zdolności i dzięki temu jesteśmy dobrzy jako drużyna.

- Jasne, ale bądź ostrożny.

- Zamierzam się tylko przedstawić, to wszystko.

- A jeśli Ranalee tam będzie?

- Chyba Pani nie jest dla nas aż tak okrutna.

Od tamtego nocnego pożaru Edeard trzymał się z dala od dzielnicy Myco. Wiedział, że jest fizycznie zdolny ochronić się przed wszystkim, co Ivarl i jego pomocnicy mogą mu zgotować. Brakowało mu tylko motywacji. W konfrontacji z Ivarlem - czy z jego następcą - nie tracił zimnej krwi. Tylko że potrzebował czasu na odzyskanie pewności siebie. Porwanie Mirnathy, potem rozmowy z Kristabel - to mu pomogło.

Prześlizgnął się gładko i cicho przez zmienioną przez miasto podłogę do salonu Domu Błękitnych Płatków. Zobaczył, że prawie nikogo tam nie ma. Drzwi były zamknięte na klucz. Na kanapie chrapali dwaj pijacy, przykryci kocami przez troskliwą obsługę. Na zapleczu zastał trzy gemałpy oraz paru zmęczonych kelnerów - kończono zmywanie kieliszków. Ogień w żelaznych piecykach przygasł do przytulnego migotania.

Rozejrzał się uważnie. Meble przypominały te, które widział poprzednio, tylko oczywiście były nowe. Nawet fortepian wyglądał tak samo. Tym razem nie postawiono kul wypełnionych oliwą, w ogóle żadnego pojemnika tego rodzaju. Beagle'a też nie było.

Edeard porzucił niewidkę i wszedł po schodach na galerię. W kilku pokojach dziewczęta nadal przebywały z klientami. Madame i dwaj portierzy siedzieli w małym saloniku i jedli mocno spóźnioną kolację, czekając, aż dziewczęta skończą.

Dziwnie się czuł, wędrując po korytarzach i schodach jako osoba widzialna. Przedtem zawsze się tu prześlizgiwał niczym nerwowy gość. Gdy zbliżył się do długiego pokoju na drugim piętrze, gdzie zwykle brylował Ivarl, drzwi się przed nim otworzyły, pchnięte czyjąś trzecią ręką. Wszedł do środka.

- Zastanawiałem się, kiedy złożysz mi wizytę powiedział Buate.

Nie ulegało wątpliwości, że on i Ivarl mieli wspólnego rodzica - ojca, jak przypuszczał Edeard. Buate miał takie samo szerokie czoło i dziwne zielone oczy. Ale, o ile mocne ciało Ivarla zaczynało puchnąć, to Buate pozostawał szczupły i muskularny, jakby spędził życie na ciężkiej pracy fizycznej. Był młodszy od przyrodniego brata, miał nie więcej niż siedemdziesiątkę. Czarne, bujne włosy starannie uczesał w loki zakrywające kołnierz, zgodnie z aktualną modą panującą wśród Wielkich Rodzin z północnych dzielnic. Równie modna była kosztowna, wyszywana złotą nicią skórzana kamizelka; rozpięta na piersiach ukazywała szkarłatną koszulę. Biżuterię miał bardziej dyskretną niż Ivarl parę złotych obrączek na palcach i kolczyk z diamentem. Bardzo dużym diamentem, jak zauważył Edeard.

Buate siedział za biurkiem. Patrzył na gościa z arystokratyczną pogardą. Ivarl zawsze utrzymywał ład w swoim gabinecie a teraz, przeciwnie, wszędzie walały się papiery i zwoje dokumentów. I jakby w kontrze do tych różnic, Nanitte, jak poprzednio, siedziała na szerokiej pluszowej kanapie obok biurka. Na muślinowej bluzce miała dziwny wąski gorset ze skórzanych pasków, bardzo obcisły i najwyraźniej bardzo niewygodny. Spojrzała obojętnie na Edearda; umysł doskonale zaekranowała.

Edeard zamknął drzwi trzecią ręką.

- To będzie tylko jedna wizyta odparł. Celowo nie zwracał uwagi na Nanitte. Czyżby miała siniak na policzku? Nie miał pewności, bo światło było zbyt słabe. Tego rodzaju wizyta...

Buate podniósł z blatu srebrny sztylet i bawił się nim od niechcenia.

- A konkretnie jakiego rodzaju, Stąpający po Wodzie?

- Przyjacielska.

- Doprawdy? A jakiego rodzaju przyjaźń miałyby nas łączyć?

- Krótka.

Buate wybuchnął śmiechem.

- Teraz rozumiem, dlaczego mój drogi brat tak lubił mieć cię za adwersarza.

- Chyba nie widziałem cię na pogrzebie, nie przypominam sobie.

- Miałem sprawy na prowincji. Wróciłem do Makkathranu, gdy usłyszałem tę smutną wiadomość.

- Wiesz, kto go zabił?

- Myślałem, że utonął.

- Nie. Od dawna nie żył, gdy wpadł do wody. To mógł być skutek tortur.

- Okropne. Ufam, że intensywnie szukacie przestępców, którzy to zrobili.

- Między innymi z tego powodu tu jestem.

- Ach. Bardzo ciekawe.

- Czy słyszałeś, że Wielki Mistrz Finitan zgłosił swoją kandydaturę na burmistrza?

- Dziś wieczór mówiono o tym w izbie.

- W kampanii skupi się na kwestii banicji.

- Tak, słyszałem o tym. Obawiam się, że nie może liczyć na mój głos. Wielu moich przyjaciół ucierpiałooby wskutek takiej polityki.

- Dlatego musisz ich wyprowadzić.

- Co proszę? - Nonszalanckie rozbawienie Buate'a zgasło w jednej chwili.

- Chcę, żebyś natychmiast opuścił miasto. Zabierz ze sobą kolegów, współników biznesowych i pomocników. W ten sposób będziesz mógł zabrać większość swoich pieniędzy i na wygnaniu urządzisz sobie dostatnie życie.

- Normalnie wyśmiałbym tak nedorzeczną propozycję. Ale widzę, że mówisz poważnie.

- W ciągu najbliższych miesięcy wielu ludzi dozna krzywdy. Będą przypadki śmierci. Możesz tego uniknąć. Potraktuj to jako apel do twojej lepszej części natury.

- Uważasz, że jest we mnie coś takiego?

- Myślę, że jesteś bystrzejszy od swego zmarłego brata. Był nadętym zbirzem i używał bezmyślnej siły w małych sprawach. Ale teraz ty nastałeś i widzę, że wiele się zmienia. Gangi wybierają sobie jako cel kupców i większe firmy. Próbujesz ściślej włączyć się w gospodarkę miasta i unikać zarzutów prawnych. To wymaga bardziej metodycznego umysłu. - Trzecią ręką zwichrzył stos papierów na biurku i rozrzucił je po gabinecie.

Nanitte zaczęła zbierać kartki, które upadły na jej kanapę.

- Umysłu osoby doceniającej pracę papierkową.

Buate odłożył sztylet i z niesmakiem obserwował róż dokumentów.

- Proszę, nie rób tego.

Edeard posłał zamieć świstków pod sufit.

- Bystry, prawniczy umysł. A ja przestałem lubić prawników.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Nie kupuję firm i nie mam na to ochoty. Dom Błękitnych Płatków przynosi przyzwoite dochody.

Edeard usłyszał głośnie kroki, dobiegające z zewnętrznego korytarza. Przechylił głowę i spojrzał pytająco na Buate'a.

- Szefie! - usłyszeli męski głos.

Drzwi rozwarły się gwałtownie. Wpadł Medath. Był zdyszany, ze sztormiaka woda ściekała na wypolerowaną podłogę.

- Szefie! Szefie! Był tam Stąpający po Wodzie, złapał nas z Rapsailem i... hrhr... - Ze strachu Medath omal nie padł do tyłu. Złapał się za serce, oczy wytrzeszczył, trząsł się, łapiąc powietrze.

Buate aż kipiał z wściekłości. Piorunował wzrokiem swojego sługusa. Edeard uśmiechał się z zadowoleniem.

- Cza-cza-cza, czas, wybrać właściwy czas to najważniejsze w naszym działaniu, nie sądzisz?

- Nie możesz tu być! - krzyczał Medath. - Byłeś tam, daleko. - Drżącym palcem pokazywał miasto. - Biegłem... szefie?

- Zamknij się!!!

Z twarzy Edearda zniknął uśmiech.

- Opuść miasto. Zabierz ze sobą tego durnia i innych jemu podobnych. W konfrontacji ze mną nie masz szans zwyciężyć.

Buate wstał z krzesła i oparł się dłońmi o blat biurka.

- Nic nie rozumiesz. Wracaj na wieś, chłopcze, bo ty i wszyscy, których kochasz, doznacie krzywdy. Miasto nie jest dla ciebie.

Patrzyli sobie w oczy, a Medath dyszał głośno.

- Makkathran już jest mój - oznajmił Edeard. - Nie zdajesz sobie sprawy, do czego jestem zdolny. - Odwrócił się i ruszył do drzwi.

- Jesteś tak słaby jak mój brat - warknął za nim Buate. - Następnym razem to nie Mirnatha zostanie porwana.

- Edeard zrobił w tył zwrot, wyrzucając rękę przed siebie. Buate został wyrwany zza biurka i ciśnięty na ścianę między owalnymi oknami. Wił się bezsilnie dwa metry nad podłogą. Wokół niego skwierczały robale oślepiających wyładowań elektrycznych, dźgały w jego ubranie. Wył przerażony, a dymki unosiły się z jego ciała w miejscach uderzenia małych błyskawic.

- Gdyby coś jej się stało, gdyby coś stało się moim przyjaciołom, skończysz jak twój brat. Ale, w porównaniu z twoją śmiercią, jego śmierć będzie jak rozkosz. Nagle wycofał trzecią rękę.

Buate upadł plecami na podłogę. Nieludzko jęknął z bólu.

- Przebywasz w złym towarzystwie - powiedział Edeard do Nanitte i zamknął za sobą drzwi.

\*\*\*

Obudził się sam w swoim mieszkaniu. Geszympany uwijały się, przygotowując śniadanie, a on schodził do basenu. W domku na plaży kąpali się razem z Kristabel, nacierali sobie plecy, i było to bardzo przyjemne, ale brakowało mu tego luksusu, jaki oferował basen z idealną temperaturą. Najpierw pomyślał, że to może skutek melancholii, ale zdał sobie sprawę, że chciałby się budzić tu, u siebie, z Kristabel u boku.

Żuł mieszankę orzechów i owoców przygotowaną przez geszympany. Zastanawiał się, czy dalpogadać z Kristabel. Bardzo chciałby się dowiedzieć, kiedy mogą się znowu spotkać. Wczoraj miał tak strasznie dużo zajęć. Był pewien, że Kristabel będzie się go spodziewała w domu Culveritów, że tam spędzi z nią noc, choć znacznie wygodniej byłoby im w jego apartamencie, gdzie miał zmodyfikowane łóżko i stworzył inne proste udogodnienia. Nagle szklanka z sokiem z jabłek i owoców mango zawisła w pół drogi do jego ust. Wszystkie arystokratyczne dziewczęta, z którymi się spotykał, łądowały w końcu w jego mieszkaniu nie licząc sporadycznych nocy w gospodach czy tego upiornego weekendu z Ranalee. Ani razu nie zaprosiły go do własnych sypialni w rodzinnych rezydencjach.

Czy Boyd kiedyś spędził noc w domu Sarii? Nie pamiętam. O, Pani, szkoda, że nie rozumiem lepiej tych wszystkich zwyczajów.

W Wielkich Rodzinach formalne normy mogą być dość oficjalne. Spytam Kanseen, ona mi wyjaśni.

Postanowił nie dalrozmawiać z Kristabel. Oczywiście, jeśli ona zechce do niego...

Macsen czekał przy wejściu do kamienicy.

- Jak poszło w nocy? - spytał.
- Niezbyt dobrze. Buate nie zgodził się opuścić Makkathranu.
- Tego się spodziewałem.
- Ja też to wcześniej przewidywałem. Ale musiałem dać mu wybór. Macsen się uśmiechnął.



- Ach, to twoje sumienie... kiedyś nas wykończy.
  - Niewykluczone. Żałuj, że nie widziałeś twarzy Medatha. Obrazek wart nawet dziesięć razy większego ryzyka. A wam jak poszło?
  - Sentan i reszta powlekli się południową drogą. Niezły to był widok. Staliśmy przy bramie ponad godzinę i posłaliśmy za nimi georły obserwacyjne, ale nie wrócili.
  - Czterech się pozbyliśmy, zostały jeszcze cztery setki.
  - Nie możemy ich wydalac czwórkami. Poza tym, rozwikłanie tej intrygi zabrało nam pięć dni ciężkiej pracy.
  - Wiem. Musimy wytrwać, aż Finitan zostanie wybrany.
  - Rzeczywiście w to wierzysz?
  - Musi - odparł Edeard poważnie. - Większość ludzi chce, żeby wyparto gangi. Owain nie ma szans.
  - Skąd to wiesz? Może zaproponuje konkurencyjną politykę, która zyska jeszcze większą popularność.
  - Gdyby chciał być popularny, natychmiast by wdrożył procesy banicji i przestał torpedować naszą kampanię ekspulsji gangsterów.
  - Politycy w naszym mieście są znacznie sprytniejsi i bardziej przebiegli, niż uważasz. Przekonasz się.
- Edeard mu nie wierzył, miał pewność, że Finitan wygra. Dotarli do Kanału Przybycia i, idąc wzdłuż niego, dotarli do pierwszego pomostu cumowniczego, by wezwać gondolę.
- Przynajmniej zobaczymy Rapsaila na kacu - powiedział Macsen.

\*\*\*

Spotkanie z Rapsailem i Charyau przebiegło w sztywnej atmosferze. Charyau miotał się między wdzięcznością dla konstabli a wściekłością na siebie i Rapsaila. Temu to się naprawdę oberwało! Próźniak. Pasożyt. Zero. Ale Edeard potrafił już przekonywać najbardziej opornych obywateli, zwłaszcza tych wpływowych - albo uważających się za wpływowych.

Potrafił manipulować emocjami Charyau nie jego furią na samego siebie, ale gniewem i strachem wobec gangów, które

omal mu nie odebrały dorobku całego życia. Zresztą, manipulacja nie musiała być bardzo silna. Pod wpływem przykrych doświadczeń, Charyau doznał niemal żarliwego nawrócenia. Przysiągł na życie Pani, że w Neph powstanie pierwsze stowarzyszenie kupców; zamierzał przekonać swoich przyjaciół i konkurentów; powoła się na dawne przysługi, związki towarzyskie, nawet długi. Obiecywał, obiecywał. Kupcy z Neph razem przeciwstawią się gangom i ich nowej podstępnej strategii. Wszystko, czego się dowie, bezzwłocznie zostanie przekazane konstablom przez Rapsaila.

\*\*\*

Edeard wszedł do małej sali posterunku w Jeavons w nadzwyczaj dobrym nastroju. Kilku konstabli-stażystów dostarczyło nazwisk gangsterów, którzy - zgodnie z wnioskiem kapitanów posterunków - powinni być umieszczeni na liście banicyjnej. Edeard przekazał listę Urarlowi do sprawdzenia. Standardowa procedura: należało się upewnić, czy nazwiska są autentyczne. Niektórzy handlarze i właściciele sklepów też wytypowali kilka osób. Edeard wysłał gońców do lokalnych posterunków, prosząc o wdrożenie obserwacji nowych podejrzanych. Gildia Prawników musiała sporządzić trzy nowe nakazy, każdy w dziewięciu kopiach, które szły do łaskawego podpisu do Mistrzów Dzielnic i Reprezentantów.

- Powinniśmy mieć jeden nakaz obejmujący wszystkie dzielnice - narzekał Boyd.

- Tak będzie, jak Finitan zostanie wybrany obiecał Edeard. Po wczorajszej wizycie u Buate'a wpadł mi do głowy pewien pomysł. Jeśli gangi chcą mieć udziały w legalnych firmach, to wiąże się z tym mnóstwo papierkowej roboty. Macsenie, jak można spowodować, żeby Gildia Urzędników Podatkowych zbadała, czy podejrzany nie oszukuje na podatkach?

- Trzeba przydzielić inspektora do sprawy.

- Dinlay, mógłbyś się tym zająć?

Dinlay uśmiechnął się.

- Z przyjemnością.

- Porozmawiaj również z kapitanem posterunku w Myco. Inspektor wysłany do biura Buate'a musi mieć eskortę konstabla. Nie chcę, żeby go próbowano zastraszyć.

- Załatwię to.

- Buate będzie bardzo poirytowany powiedział Edeard z satysfakcją w głosie.

- Jeśli jest tak bystry jak ty, to ma księgowych, którzy potrafią stawić czoło inspektorowi podatkowemu - zauważył Macsen.

- Tak, ale to go będzie kosztowało sporo czasu i pieniędzy. Chcę zaatakować na tyłu frontach, na ilu się da.

Edeard wrócił do swoich papierów, piętrzących się na paru ławach. Prawdę mówiąc, kartek i zwojów było więcej niż w gabinecie Buate'a. Nie zdawał sobie wcześniej sprawy, jak urzędnicza będzie to walka. A najbardziej pragnąłby wyjść na miasto i po prostu aresztować przestępców.

- Czy dziś da się namierzyć jakieś sprawy gangsterów? - spytał z nadzieją w głosie.

- Ze stowarzyszenia straganiarzy w Ilongo dochodzi interesująca rozmowa - rzekł Macsen. - Zamierzam śledzić to po południu.

- Dobrze.

Edeard zastanawiał się, czy Kristabel je teraz lunch. Jeśli tak, to na pewno je w ogrodzie na dziesiątym piętrze. Przy długim stole z białą markizą trzepoczącą nad głowami zebrali się znajomi i rodzina, rozmawiają, żartują, a w tle widać Makkathran, piją wino, jedzą smaczne dania; potem popołudnie na zakupach lub w spa, gdzie przygotowują się do wieczornych imprez.

Ze świeżego stosu wziął dokument raport z posterunku w Lillylight. Donoszono, że gangsterzy z nakazami ekspulsji próbują przedostać się do dzielnicy i grożą swoim wcześniejszym ofiarom; stosują coraz bardziej wyrafinowane sposoby: zastraszają strażników na mostach, przebierają się...

Drużyna poszła na lunch. Edeard podniósł wzrok znad papierów i zobaczył, że w sali zostali tylko on i Kanseen. Patrzyła na niego zatroskanym wzrokiem, i to go zaniepokoiło.

- Chcesz o tym porozmawiać? - spytała.

- Noo, posłuchaj, prosiłem cię o przyblokowanie Medatha, ponieważ on był przekonany, że da sobie z tobą radę. A wiedziałem, że sobie nie da.

Zrobiła pełną wyrzutu minę.

- Mówię o twoim wyjeździe z Kristabel.

- A konkretnie? - Teraz zdał sobie sprawę, że nieprzypadkowo są tu sam na sam.

- Edeard, proszę, my dwoje... Uśmiechnęła się do niego ze współczuciem. W pewnym sensie jestem ci bliższa niż inni. Ciągłe tak sobie myślę, że szkoda, że ty i ja nie... ale cóż, teraz...

- Wiem. I życzę wam wszystkiego najlepszego. On potrzebuje osoby takiej jak ty. Tworzycie dobraną parę. Nikomu o tym nie wspomniałem.

- Edeardzie! Tu nie chodzi o mnie. Jako przyjaciel chcę cię spytać, czy nie potrzebujesz pomocy. Dlaczego wam nie wyszło? Bądź szczerzy, nie brakuje ci doświadczenia w łóżku, chyba nie o to chodzi? W ostatnim miesiącu przewinęło się sporo dziewcząt...

- Ja... Wiedział, że się czerwieni. Tak, Kanseen jest przyjaciółką, dobrą przyjaciółką, zwłaszcza po... nieważne. Inni, owszem. Takie tam rozmowy między facetami. Bez wchodzenia w szczegóły. Było w porządku. Dziękuję - odparł sztywno. - Wszystko.

Kanseen wpatrywała się w niego, jakby próbowała rozwiązać trudną zagadkę. Prawie tak, jakby była na niego zła. Nagle na jej twarzy pojawiło się zdumienie, potem popłoch.

- O, nie! Nie! - Zakryła dłonią usta, jakby błagając, by wyjaśnił coś więcej.

- O co chodzi? - spytał z niepokojem.

- Edeardzie. - Stała tuż przed nim i ujęła jego rękę. - Rozumiesz chyba, co znaczył ten ostatni tydzień?

- Tak. Skoro musisz wiedzieć, spędziłem najwspanialszy okres w życiu. Cud, że w ogóle wróciłem do Makkathranu. Jesteś teraz zadowolona?

- Tydzień i jeden dzień - oznajmiła, jakby to miał być rodzaj testu.

- Jaki dzień?

- O, Pani, naprawdę nie wiesz?

- Eee...

Mocniej go ścisnęła.

- Edeardzie, makkathrańska dziewczyna z dobrego domu, zwłaszcza o takiej pozycji jak Kristabel, zaprasza mężczyznę na tydzień poza miasto w jednym celu: żeby oboje się przekonali, czy pasują do siebie w łóżku. Jeśli ma się z kimś spędzić razem następne dwieście lat, naprawdę lepiej wszystko wiedzieć wcześniej.

- Dwieście lat? - Nogi zaczęły mu drżeć. Uczucie przerażenia pełzło po jego ciele, podobnie jak wtedy w Ashwell, gdy po przebudzeniu zobaczył bandytów. - Jakie dwieście lat?

- Małżeństwa! Ty głupku. Och, Edeardzie. - Kanseen była zażenowana. Puściła jego ręce i zakryła dłońmi czoło. - Jeśli podczas tego tygodnia - wszystko było w porządku pod tym względem, oczekuje się, że poprosisz ojca o jej rękę w dniu powrotu. Taki jest zwyczaj. Tydzień i jeden dzień.

- O, Pani, nie wierzę, że to się dzieje.

- Ale wszystko było w porządku? Po prostu nie wiedziałeś.

- Kristabel myśli, że my się pobierzemy? - Usiadł ciężko.

- Oczekiwała, że się oświadczysz. Wszyscy tego oczekiwali. Martwiliśmy się, że coś źle wypadło.

- O, Pani. Zaraz! Kto jeszcze o tym wie? - Bo to Makkathran i wszystko jest publiczne.

Kanseen miała teraz naprawdę zmartwioną minę.

- No, kilka osób spekulowało, po czyjej stronie leży problem.

- Kilka osób? - Doskonale wiedział, co to znaczy. Całe cholerne miasto o tym mówi.

- Musi mnie nienawidzić szepnął przerażony. Nie zniósłbym tego, gdyby Kristabel była na mnie zła.

- Zaraz... może lepiej ja pójde do Haxpen i wyjaśnię...

- Nie! - Skierował dalwzrok do zigguratu Culveritów. Bez trudu odnalazł Kristabel w okazałej sypialni. Leżała skulona na łóżku; jej umysł emanował przygaszonym migotaniem czystego nieszczęścia. W pobliżu siedziała mała Mirnatha - milczała smutna, współczując ukochanej siostrze. Na korytarzach służący wąłęsal się ponurzy, zaniepokojeni. Julian siedział w jednym z

saloników, usiłował promieniować opanowaniem, ale na zewnątrz przesączała się obawa o córkę.

- O, Pani, Pani! - jęczał Edeard. Nie mógł w to uwierzyć. - Ale idiota ze mnie.

- Nie wiedziałeś - pocieszała go Kanseen.

Potrząsnął głową, ze swej świadomości usunął bieżące sprawy posterunku.

- Kristabel? - pytał łagodną dalmową.

Tam, na łóżku, dziewczyna skuliła się bardziej i ściślej zaekranowała myśli.

- Kristabel, proszę, wybacz.

Bez rezultatu. Była na niego zupełnie zamknięta.

- Niech to! Walnął pięścią w ławę, podświadomie przydając temu ruchowi całą swoją siłę telekinetyczną. Stare drewno rozłupało się z trzaskiem. Ława pękła na dwie części, jezioro kartek zalało podłogę. Edeard wstał. - Idę się z nią spotkać.

- Nie jestem pewna, czy to dobry...

- Popełniłem błąd. - Niemal krzyczał. - Wyprostuję to. Muszę.

- Edeardzie.

Zaskoczył go jej łagodny głos. Objęła Edearda i pocałowała go w czoło.

- Niech Pani ześle ci powodzenie, Stąpający po Wodzie. Zastługujesz na to.

- Dzięki rzekł zawstydzony. - A czy istnieją jeszcze jakieś inne zwyczaje, o których powinienem wiedzieć? Zanim... no, wiesz...

- To tylko zwyczaj, nie prawo. Idź ją odzyskać.

\*\*\*

Wypadł z posterunku i od razu dostrzegł dwa georty. Obserwowały go, gdy szedł nad Kanałem Przybycia do Silvarum. Kogoś bardzo interesowały jego kroki. Przynajmniej jeden z geortów pochodził z ptaszarni zigguratu - Edeard go rozpoznał. Wybiegł dalwzrokiem naprzód. Homelt stał przed bramą główną, dowodził kilkoma ochroniarzami rodziny. Uzbrojeni strażnicy - i to akurat w ciągu dnia. Brama była zamknięta na klucz. Inne

wejścia do domu również. To Lorin wszystkim dyrygował, przechadzał się po głównym podwórzu, wydawał rozkazy.

- Ty gówienko! - wymamrotał Edeard.

Lorin nawet nie próbował ukrywać, że zaplombował cały ziggurat.

Na moście między Silvarum a Haxpenem konstable trzymający straż zasalutowali Edeardowi z szacunkiem. Odpowiedział im w biegu. Dalmową szeptał do kilku gemałp w domu Culveritów, poruszając w nich dawno uspięne, miłosne myśli - teraz niećnie skierował je na szczególny obiekt. Po podwórku za główną bramą rozbiegło się pięć małp z niepohamowanym afektem do Lorina.

Przechodnie na pobliskich ulicach słyszeli szczególne chutliwe piski i równocześnie krzyki Lorina pełne oburzenia i przestachu. Małpy zdzierały z niego ubranie, a on wysyłał komunikaty przerażenia. Nadbiegli służący i ochroniarze, powodując jeszcze większe zamieszanie. Dobre kilka minut uspokajano gemałpy i wreszcie je odciągnięto. Nawet Homelt, zakłopotany, patrzył, jak nowi, niepożądani zalotnicy Lorina są zwabiani z powrotem do swoich legowisk. Rozejrzał się uważnie po podwórku, potem zamknął wielką, główną bramę, usiłując stłumić uśmiech.

Służący podał Lorinowi nowy płaszcz, by zakrył podarte rękawy. Lorin odzyskiwał godność. Dalwzrokiem znów sięgnął poza mury - bez rezultatu. Georły krążyły teraz daremnie nad Stawem Birmingham.

- Gdzie jest Stąpający po Wodzie? - spytał. Nikt nie potrafił mu odpowiedzieć.

\*\*\*

Edeard nie wszedł do zigguratu w wielkim stylu, jak sobie wymarzył. Bez problemu prześlizgnął się przez mury na parterze, ale potem, na dziesiąte piętro musiał się wspinać po tych cholernych makkathrańskich schodach. A bardzo mu się śpieszyło. Bał się, że każda sekunda opóźnienia działa na jego niekorzyść.

Gdy w końcu przeniknął przez ścianę do sypialni Kristabel, z wysiłku brakło mu tchu. Kristabel siedziała skulona na łóżku, z

głową w dłoniach. Zwieszona włosy zakrywały jej kolana. Szerokie szklane drzwi do ogrodu były otwarte. Przy obrośniętej winoroślą barierce stała Mirnatha i, wychylając się, patrzyła na zachodnie działki. Edeard zlikwidował swoją niewidkę i zamknął szklane drzwi.

Mirnatha odwróciła się przestraszona, dziecięce usta otworzyły się, ale wyraz przestachu zniknął, gdy zobaczyła, że to Edeard zmaterializował się w pokoju. Teraz patrzyła na niego z czystym oburzeniem. Ujęła się dłońmi pod boki i piorunowała go wzrokiem, znieważała spojrzeniem.

- Wszystko w porządku powiedziała do niej Kristabel chrapliwą, nierówną dalmową. Pospaceruj po ogrodzie, zrób to dla mnie, proszę.

Dziewczynka rzuciła Edeardowi ostatnie gniewne spojrzenie i odeszła. Edeard padł przed Kristabel na kolana, splótł dłonie jakby do modlitwy.

- Tak mi przykro - powiedział. - Proszę, wyjdź za mnie. Nie wiedziałem wcześniej.

Kristabel odsunęła dłonią włosy z twarzy. Oczy miała czerwone i zapuchnięte, policzki natomiast chorobliwie białe.

- Wyjść za ciebie?

- Proszę?

Jej wzrok wyrażał niezrozumienie.

- Nie wiedziałeś?

- O tym zwyczaju: tydzień i jeden dzień. Nie miałem pojęcia. Przysięgam. Błagam, uwierz mi, nie śmiałybym cię zawieść w żadnej sprawie, a już na pewno nie w tej. Kocham cię.

- Nie wiedziałeś? - W głosie pobrzmiwała nadzieja.

- Nie. Na wszystkie świętości Pani, nie wiedziałem.

- Po policzkach dziewczyny znów popłynęły łzy, ale kąciki ust uniosły się w uśmiechu.

- Nie wiedziałeś? - To było niemal jak lament. Edeard schylił głowę.

- Grzyby gache błagał.

Kristabel wybuchnęła śmiechem, który zaraz przeszedł w łkanie. Klepnęła go po głowie i po chwili się obejmowali.



- Myślałam... - Szlochała. - Myślałam, że ty... nie wiem, co myślałam. Nie rozumiałam. Przez tydzień... wszystko, co razem robiliśmy... nie wiedziałem dlaczego.

- Sza. Przytulił ją mocniej. Już dobrze. To był głupi błąd. Wyłącznie moja wina. Przez resztę życia wynagrodzę ci to. Obiecuję. W tej sekundzie idę do twojego ojca prosić o zgodę. Wiem, że mam tylko jeden dzień. Oczywiście... - głośno przełknął ślinę - ...o ile mnie chcesz.

- Nie - odparła.

- Jak to? - Był dotknięty.

- Tak poprawiła się szybko. Wybacz, tak, oczywiście chcę za ciebie wyjść. Zobacz, w jakim jestem stanie na samą myśl, że mogło być inaczej. Ja tylko nie chcę, żebyś szedł do ojca.

- Dlaczego?

- Bo przemawiają przez ciebie wyrzuty sumienia.

- Ależ nie. Chcę cię poślubić. Nie mogę uwierzyć, że ty też naprawdę tego chcesz, ale jeśli uważasz, że znów się głupio zachowam, to ja...

- Posłuchaj. - Ujęła jego rozbiegane dłonie, siłą je uspokoiła. - Spójrz na mnie.

Spojrzał. Jej twarz, choć zapłakana, była czarująco piękna.

- Kiedy cię prosiłam o tydzień ze mną, wiedziałam, o co proszę. Dałam ci wybór... tak wtedy uważałam... tradycyjny tydzień i jeden dzień... albo żebyśmy pozostali okazjonalnymi kochankami bez zobowiązań. Zdecydowałeś się na tydzień, co samo w sobie wiele mi o tobie mówi. Że mnie szanujesz i nie chodzi ci o szybki numer. Ale ty nie wiedziałeś, co się za tym kryło, co to znaczyło. Nie myślałeś wtedy o małżeństwie. Podobnie jest teraz. Nie przemyślałeś tego gruntownie. Wierz mi, że ja przemyślałam i wiem, czego chcę. Ale ty, Edeardzie, wiedziałeś od... jak dawna?

- Kanseen przed chwilą mi to wyjaśniła.

- Zatem od godziny.

- Nie, krócej! Od razu tu przyszedłem, przysięgam.

- Zatem od pół godziny. Edeardzie, nie podejmuje się życiowych decyzji w pół godziny. Oświadczasz mi się z powodu wielkiego nieporozumienia. Bardzo to szlachetnie, że nie chcesz mnie

martwić. Przez to jesteś jeszcze bardziej zachwycający, co nie znaczy, że to jest z twojej strony właściwa decyzja.

- Całkowicie się mylisz. Chcę cię poślubić. Z całego serca.

- Jasne. Czy Kanseen ci wyjaśniła, dlaczego mamy ten zwyczaj?

- Żeby się przekonać, czy para pasuje do siebie fizycznie. - Odchrząknął z zakłopotaniem. - Według mnie zdaliśmy ten egzamin, prawda?

- Zdaliśmy, i to celująco. Ale czy Kanseen ci powiedziała, dlaczego trzeba się najpierw przekonać?

- Ponieważ, jeśli się pobierzemy, spędzimy ze sobą wiele lat, może nawet wieki. I wszystko musi być jak należy.

- Tak, ale nawet to nie daje gwarancji. Zwłaszcza gdy ktoś bierze ślub w tak młodym wieku jak my. Sto lat to dla miłości bardzo długo, tym bardziej dwieście. Rozumiesz teraz? Ja o tym pomyślałam już przy naszym pierwszym spotkaniu i wiedziałam, że powinnam cię poprosić. Ale ty o tym nie pomyślałeś. I gdyby nie obecny impuls... Edeardzie, chcę, żebyś miał jasne wyobrażenie, o co prosisz. Domagam się tego od ciebie.

- Och. - Usiadł na piętach. - Oczywiście - odparł sztywno.

Uśmiechnięta, patrzyła na niego z bliska.

- Ale to nie znaczy, że przez kolejny tydzień masz kalkulować, jak długo należy odczekać, żeby sprawić wrażenie, że wszystko gruntownie przemyślałeś. Jasne?

- Tak. Edeard czuł, jak na policzki występuje mu rumieniec.

- O, Pani! Jakże będzie wyglądać życie z tobą? - Pocałowała go w nos.

- Postaram się, żeby ci było jak najtrudniej.

- To uczciwe postawienie sprawy. - Przyciągnął ją do siebie i teraz mógł ją należycie pocałować.

Długo siedzieli objęci. Gdy się rozłączyli, Edeard dostrzegł dalwzrokiem, że niezwykle wzburzony Lorin pogania Homelta i czterech uzbrojonych strażników na czwarte piętro. Choć byli w dobrej formie, pokonywali stopnie z trudnością.

- Twój wuj idzie do nas - powiedział cicho Edeard.

- I Mirnatha wróciła - dodała Kristabel.

- Edeard odwrócił się i zobaczył, że dziewczynka zagłąda do pokoju z twarzą przylepioną do szyby. Potem dalwzrokiem zobaczył Julana, idącego głównym korytarzem.

- O, Pani - jęknął.

- Ja pogadam z tatą postanowiła i dalmową porozumiała się z ojcem.

Edeard otworzył szklane drzwi.

- Jest ci przykro? spytała Mirnatha.

- Bardzo zapewnił ją. Twoja siostra i ja zdecydowaliśmy się.

- Wiedziałam, że się zdecydujesz.

- Szkoda, że tego nie wiedziałem.

Przechyliła głowę i dokładnie mu się przyglądała. Czuł się zakłopotany, ale w końcu zrozumiał powiedzenie „stara malutka”.

- Gdybym była starsza, wzięłabym cię za męża - oznajmiła Mirnatha.

- Eee... to dobrze.

Kristabel pocałowała siostrę w czubek głowy.

- Zrób jeszcze rundkę po ogrodzie.

- Krissy!

- Idź natychmiast.

Mirnatha spojrzała na nią ponuro i wybiegła w podskokach. Kristabel odprowadziła ją uśmiechem.

- Już mi żal jej przyszłego męża.

- A co z ojcem? - spytał Edeard.

- Chwilowo udobruchany. Oboje musimy z nim porozmawiać. On zrozumie. Jak nikt inny. Podeszła do wysokiego lustra. - O, słodka Pani, jak ja wyglądam!

- Bajecznie.

- To dalekie od prawdy, ale miło, że mnie wspierasz. - Dalmową wezwała pokojówkę. - Muszę się przygotować, żebym znów mogła się pokazać ludziom. Trochę to potrwa. - Zabrała się do rozczesywania potarganych włosów.

- Dobrze. Rozejrzał się po pokoju. O ile Mirnatha lubiła róż, to Kristabel lubiła koronkowe ozdoby. Było to nieco irytujące.

- Możesz poczekać, jeśli chcesz.

- Owszem, poczekam.

- Ale nie tu.

- Aha, rozumiem.

Znalazła na toaletce spinki do włosów.

- Ale powiedz mi...

- Tak?

- Co się stało biednemu wujowi Lorinowi, tam, na podwórku?

- Nie mam pojęcia odparł tonem niewiniątka i pośpiesznie zamknął za sobą drzwi.

\*\*\*

Kapitan Larose czekał przed wejściem na posterunek w Jeavons. Miał nas sobie galowy niebiesko-szkarłatny mundur z mieczem i pistoletem u białego skórzanego pasa. Widok kapitana wyprostowanego jak struna przywołał u Edearda wspomnienia pierwszego kontaktu z oficerem milicji na drodze do Makkathranu. Larose okazywał taką samą arystokratyczną arogancję jak tamten dowódca patrolu. Towarzyszyło mu sześciu żołnierzy.

- Stąpający po Wodzie. - Larose podszedł do Edearda.

- Kapitanie?

- Burmistrz Owain prosi, by pan go odwiedził. Edeard nie miał pojęcia, co o tym sądzić.

- Rozumiem.

- Doskonale. Larose zwrócił się do swoich żołnierzy: - Chłopcy, ustaw się w szeregu.

- Po co ta eskorta? - spytał Edeard. Kapitan uśmiechnął się niewyraźnie.

- Burmistrz bardzo sobie ceni znamiona władzy. Mówi, że to przypomina ludziom, jaki jest porządek rzeczy.

- Aha.

- Dla mnie ta cała pompa i ceremonie są strasznie upierdliwe. Moi ordynansi pół nocy szykowali mi mundur.

Edeard już chciał spojrzeć na swoją bluzę. Mimo że miał nowy mundur od Kristabel, nadal nosił ubranie, które sobie kupił podczas stażu. Nosiło wyraźne oznaki zużycia.

- Dokąd idziemy? - spytał, gdy ruszyli ulicą Chates w stronę Kanału Braterstwa. Myślał, że idą do Sadowego Pałacu.

- Do stajni milicji - wyjaśnił Larose. - Regimenty z Pholas i Zeldy wyjeżdżają dziś do prowincji Talence i burmistrz tradycyjnie żegna oddziały.

- Nie wiedziałem o tym.

- Ostatnio coraz częściej to się zdarza. Ja też prawdopodobnie zostanę wysłany. - Spojrzał smętnie na Edearda. Nie tego się spodziewałem, zaciągając się do milicji. Ale służba nie drużba.

- Właśnie - przyznał pośpiesznie Edeard.

- Jest pan dobry. Inspiruje pan ostatnio wielu ludzi. Najwyższy czas, żeby przywołać gangi do porządku. Tak już dłużej być nie może.

Edeard był nieco zaskoczony. Przypuszczał wcześniej, że Larose nie jest jego zwolennikiem. Spotkał tylu aroganckich, ograniczonych synów arystokracji, że pakował ich do jednego worka i wszystkimi gardził. Jednakże, choć kapitan zadzierał nosa, wydawało się, że ma świadomość, co się dzieje na świecie.

Drewniane stajnie w Tycho stały pośrodku rozległych błoni. Panował tam wielki ruch. W jednym końcu padoku jeźdźcy formowali szyk. Edeard musiał przyznać, że widok jest porywający: dwustu oficerów i żołnierzy na koniach, w paradnych mundurach; wyraziste fioletowo-zielone insygnia pułku; misterny pióropusz na hełmie pułkownika, który siedział na czarnym jak noc ziemskim koniu, a po każdej stronie towarzyszył mu zadbany gewilk.

W drugim końcu stajni Edeard widział dalwzrokiem gemałpy i ordynansów, czyniących przygotowania do wyjazdu. Stało tam prawie czterdzieści wozów, pośpiesznie ładowano ostatnie pudła i paki przy dźwiękach przekleństw kwatermistrzów. Broń i amunicję umieszczono na dwóch mniejszych, przykrytych już wozach, których strzegło pięciu żołnierzy, każdy ze sforą gewilków. Stadka żywego inwentarza pilnowały gepsy; z klatek dobiegały wrzaski kur i gęsi. To wszystko wydawało się znacznie bardziej skomplikowaną operacją niż przygotowanie samych żołnierzy.

W końcu stajni, na drewnianym podium stał burmistrz Owain w otoczeniu gromady doradców i trzech innych Mistrzów. Miał na sobie kasztanowo-szafirowe szaty obramowane olśniewająco białym futrem. Kaptur leżał mu na plecach. Jak zawsze umysł Owaina był doskonale zaekranowany, a twarz wyrażała zainteresowanie widokiem, który miał przed sobą.

- Już niedługo - szepnął Larose do Edearda, gdy stanęli u stóp schodów na podium.

Trębacz dał znak do ustawienia formacji i konie posłusznie stanęły w szyku przed podium. Dziesięć georłów usiadło na dachu stajni. Pułkownik salutował z siodła.

- Życzę wam powodzenia w tej wyprawie przemówił burmistrz do regimentu. - Jestem pewien, że przywrócie porządek w prowincji Talence. Może bandyci z łatwością wymykają się lokalnym farmerom i szeryfom, ale szybko rozumieją, że sprawy mają się zupełnie inaczej, gdy trzeba uciekać i ukrywać się przed niezłomnymi żołnierzami regimentu. Z dumą myślę o waszym wyjeździe, wiem, że nasze miasto jest symbolem nadziei dla ludzi z całej Querencji i że w chwili największej potrzeby zwracają się do nas. Wiem, że na milicji można polegać, że wykona zadanie z honorem.

Na znak pułkownika oddziały trzykrotnie wzniosły okrzyk wiwatu na cześć burmistrza. Ten odwzajemnił się oklaskami. Potem trębacz dał znak do wymarszu i regiment ruszył w stronę bramy miejskiej, ku czekającej go misji. Georły wzleciały i poszybowały ku kryształowym murom.

Owain, z doskonale opanowanym wyrazem twarzy, czekał, póki ostatni żołnierz nie odjedzie. Dopiero gdy wozy zaczęły się przetaczać, odwrócił się i zszedł z podium.

- Panie burmistrzu. - Edeard skłonił się z szacunkiem, gdy Owain był na dole.

- Stąpający po Wodzie, dziękuję, że przyszedłeś. Mam nadzieję, że nie sprawiło ci to dużego kłopotu.

- Nie, proszę pana.

Owain naprawdę się uśmiechnął.

- O, i uprzejmy, i skuteczny. Kiedy w końcu zostaniesz głównym konstabłem?

- Nie sędzę, żeby Walsfol miał się czego obawiać, panie burmistrzu.

- Zobaczymy. Proszę, chodź ze mną. - Skinął dłonią doradcom, którzy oddalili się dyskretnie.

Za nimi stanęli kapitan Larose i żołnierze. Owain wybrał wąską drogę w kierunku kanału Zewnętrznego Kręgu wokół Majate. Na błoniach już prawie nikogo nie było.

- Żałuję, że nasze wzajemne stosunki tak niedobrze się zaczęły. Moja wina. W końcu jesteś protegowanym Finitana.

- On popiera banicje, panie burmistrzu.

- Tak. Ja również.

- Tego nie wiedziałem, panie burmistrzu.

- Ciągłe uprzejmy, nawet w obliczu prowokacji. Jesteś zbyt miły, Stąpający po Wodzie. Uważasz mnie za przeciwnika swoich mądrych nakazów banicji oraz za oczywistego wroga Finitana i jego koncepcji.

- Takie można by odnieść wrażenie, panie burmistrzu.

- Z pewnością można. Ale to dlatego, że jesteś młody i... wybaczone, proszę... na razie potrafisz sobie tylko wyobrazić krótkotrwałe korzyści. Czy rzeczywiście myślisz, czy uczciwie wierzysz, że nie chcę wypędzić przestępców z naszego miasta?

- Nie.

- Właśnie. Dziękuję ci za tę uprzejmość. Tak naprawdę podoba mi się pomysł nakazów banicji. Należy ci pogratulować, że je wdrożyłeś, i to wbrew tak silnej opozycji politycznej.

- O ile rozumiem makkathrańską politykę, to każda strategia, której jakaś grupa się sprzeciwia, zawsze znajdzie poparcie innej grupy.

Owain się uśmiechnął.

- A to prowadzi nas do spraw bieżących. Co myślisz o regimencie?

Edeard zerknął do tyłu na stajnie. Z drewnianego budynku wyjeżdżały ostatnie wozy. Beczały zaganiane zwierzęta.

- Myślę, że bandyci znajdują się w poważnych tarapatach.

Georły, należące do posterunku w Jeavons, krążyły leniwie nad miastem. Pokazywały Edeardowi pięć nowych wozów należących do Gildii Broni. Stały na poboczu i czekały. Wiedział, że pojedą za regimentem aż do prowincji Talence. Tam wystraszeni farmerzy i wieśniacy kupią pistolety, dzięki czemu Gildia Owaina dodatkowo się wzbogaci, dokładnie tak jak mówiła Jessile. Miał świadomość, że to nie przestępstwo, ale przecież to nie było w porządku.

- Tak - przyznał Owain. - Tylko zastanówmy się, dlaczego oni tam są.

- Są wszędzie.

- Rzeczywiście. Bandyci i gangi to wyraz słabości naszego społeczeństwa. Temu właśnie się sprzeciwiam.

- Obawiam się, że nie rozumiem, panie burmistrzu.

- Jeśli wypędzisz szefów gangów z miasta, to gdzie pójda?

- Poza granice najdalszej prowincji albo na odległą wyspę. O to mi chodziło.

- Naturalnie. To się wydaje humanitarne. Niczego innego bym się nie spodziewał po człowieku z zasadami, takim jak ty. Ze skruczą przyznaję, że wszyscy słuchamy plotek na twój temat, Stąpający po Wodzie. Nigdy jednak nie słyszałem, żeby ktoś cię oskarżał o nieprawość, i za to dziękuję Pani. Ale czy zastanawiałaś się nad tym, co się stanie rok, dziesięć lat po ich wygnaniu? Rozżaleni, będą chcieli wrócić. I jeśli nie wrócą do miasta, na pewno przyłączą się do bandytów.

- Zatem jaka jest pańska propozycja? Chyba o tym teraz rozmawiamy.

- Istotnie. Moja propozycja, jak to określiłeś, polega na tym, żeby nie traktować gangów i bandytów oddzielnie. Żyjemy w jednym świecie. Musimy się stać jednym narodem. Rozwiązywać nasze problemy jednomyślnie. Milicja na prowincji, konstable tu, w mieście. Kiedy zgarniemy wszystkich łotrów, możemy ich gdzieś wysłać na wieczność. Podoba mi się pomysł odległej wyspy; dzięki temu na pewno zdołamy ich opanować.

- Więc jaka jest różnica między panem a Finitanem?



- Finitan myśli tylko o mieście, o rozwiązaniach na krótką metę. Chyba mi nie powiesz, że nie martwiłeś się o los ludzi po wdrożeniu banicji.

- Zastanawiałem się, panie burmistrzu - przyznał Edeard. - Chyba pogorszyła się sytuacja w Iguru. Są rozboje na drodze. Dlatego zależało mi na radykalnej banicji.

- Ale czy widzisz, że nie możemy traktować tych problemów oddzielnie?

- Tak, rozumiem, że obu trzeba stawić czoło.

- Cieszę się, że to słyszę. Niestety, łatwa część to sprawy miasta. Pokazałeś nam, jak się do tego zabrać. Nikt nie wątpi, że ostatecznie odniesiesz sukces. Nawet biedny stary Buate.

- Wystarczyłaby mi kapitulacja Bisego.

Owain się zaśmiał.

- Nie martw się. We właściwym czasie osobiście dopilnuję, żeby Mistrz Bise podpisał nakazy wydalenia z Sampalok.

- W jaki sposób, panie burmistrzu?

- To prosta polityka. Mistrz Bise uważa, że, popierając mnie, zyska większe wpływy. W Radzie warto pobudzać takie poparcie. Ostatecznie Bise zaakceptuje nieuniknione i jego nikczemni sojusznicy zostaną przegnani z naszych ulic.

- Tę wiadomość... przyjmuję z ulgą.

- Tak też sądziłem. Więc, choć nie proszę cię o przesunięcie poparcia... Finitan to twój patron, a nie chciałbym promować nielojalności... to czy przynajmniej akceptujesz niektóre moje cele?

- Tak, panie burmistrzu, akceptuję.

- Dziękuję.

- Dlaczego nie może pan osiągnąć konsensu z Mistrzem Finitanem?

- To niefortunne, ale od dawna jesteśmy przeciwnikami. Żaden z nas nie ufa drugiemu. I muszę powiedzieć, że będę prowadził długą i nieustępliwą walkę o utrzymanie swojego urzędu, bez względu na to, czy prywatnie się zgadzamy, czy nie zgadzamy. Taka jest natura człowieka - zwłaszcza takich niedoskonałych

osobników jak my, wiekowi, konserwatywni Mistrzowie. Czy uważasz za prawdopodobne to, żeby Finitan się wycofał?

- Nie.

- Właśnie. Chciałem ci przedstawić swoje cele, bo bez względu na to, kto zwycięży w wyborach, to ty będziesz walczył z gangami na ulicach.

- Dziękuję, panie burmistrzu.

- Przyznaję, że fakt, iż będziesz pracował dla miasta, stanowi dla mnie znaczną ulgę. Konstable dokonali rzeczy graniczących z cudem od dnia twojego spaceru po wodzie. A spektakularne uwolnienie Mirnathy było nadzwyczajnym wyczynem. Przyznaję, że tamtego dnia wiwatowałem wraz z tłumami nad Wielkim Kanałem. Proszę Panią, by równie łaskawie dała zwycięstwo milicji. Oni mają znacznie trudniejsze zadanie, które do tego grzęźnie w polityce.

- Jak to? - spytał Edeard. Dotarli już prawie do Kanału Zewnętrzznego Okręgu i Edeard widział most z brązu i jadeitu, wybudowany na zlecenie samego Raha.

- Wieś chciałaby czerpać korzyści z miasta bez ponoszenia kosztów - rzekł Owain. Od lata zeszłego roku pięć razy wysyłałem nasze regimenty na pomoc zdesperowanym gubernatorom. I jaką za to dostaliśmy zapłatę? Tylko zwrot podstawowych wydatków, i to niechętnie. Z jakim skutkiem? Regimenty musiały w końcu wrócić do domu i zostawić terytoria znów na pastwę bandytów. To bez sensu, to gest, który nic nie daje na dłuższą metę. Jeśli mamy osiągnąć stabilność i ukrócić straszną przestępczość, to za obronę prowincje muszą płacić podatki Makkathranowi. Milicję trzeba rozmieścić na stałe, w strategicznych punktach na całych obszarach wiejskich. Takie przedsięwzięcie będzie wymagać nadzwyczajnej organizacji, żadnej prowincji nie można faworyzować. Wszystkie koszty a będą znaczne należy równo rozłożyć. Zasady prawa mają wszystkich jednakowo obowiązywać, bez uprzedzeń. Zarówno Mistrz w swojej rezydencji, jak i farmer na zagrodzie mają być odpowiedzialni przed tą samą władzą.

- Jeden naród - rzekł Edeard.

- Właśnie. Obecnie miasto i prowincje są bardzo luźno powiązane. I spójrz, dokąd to nas zaprowadziło. Na skraj anarchii. Żeby stawić czoło nowemu zagrożeniu, musimy zjednoczyć siły cywilizacji, wzmocnić granice, wprowadzić naszą sprawiedliwość. Można tego dokonać tylko w narodzie, w którym panuje równość.

Razem przeszli przez most. Edeardowi myśli kłębiły się w głowie, gdy próbował analizować idee burmistrza. Znaleźli się w cieniu rozległego kompleksu budynków parlamentu i Owain stanął naprzeciw Edearda.

- Mam nadzieję, Stąpający po Wodzie, że już nie uznajesz mnie za swojego wroga.

- W zasadzie nigdy pana nie uznawałem za wroga, panie burmistrzu.

- To mnie cieszy. Może pewnego dnia, gdy twoje pokolenie obejmie wysokie urzędy, zlikwidujecie głupią, próżną i małostkową politykę, która tak nas nęka obecnie. Życzę ci powodzenia w tym dziele. - Skinął głową i odszedł w stronę wieżowca mieszczącego Gildię Urzędników.

Jego świta postępowała za nim. Kapitan Larose minął Edearda z porozumiewawczym uśmiechem.

- O, Pani westchnął Edeard. Powoli ruszył wokół budynku parlamentu, w stronę mostu, z powrotem do Jeavons.

Bez względu na to, kto zwycięży, dostanę wsparcie w walce z gangami.

Niezależnie od tego, co usłyszał od burmistrza, miał nadzieję, że to jednak będzie Finitan. Ale pomysł kolonii karnej na wyspie przemawiał do wyobraźni.

\*\*\*

Nigdy by się nie spodziewał, że kto jak kto, ale to Nanitte będzie na niego czekać przed kamienicą. Wracał wieczorem do siebie i właśnie akurat ją zastał na ulicy.

- Mogę z tobą porozmawiać? - spytała, gdy dotarł do wejścia domu.

Edeard rozejrzał się dalwzrokiem. Nie szukał znanych sobie osób (sytuacja nie spodobałaby się przede wszystkim Macsenowi), ale chciał się zorientować, kogo Buate wysłał na czaty.

- Masz minutę - rzekł, gdy nie znalazł nic podejrzanego.

- Nie tutaj, to zbyt ważna sprawa. - Głos jej się łamał, zniknęła cała charakterystyczna pewność siebie.

Edeard dobrze jej się przyjrzał. Pod ciemnoniebieskim płaszczem miała wydekoltowaną zielono-białą sukienkę. Włosy ułożyła w długie fale. Teraz, w słońcu, widział, że ma na twarzy mocny makijaż, który jednak nie maskował siniaków. Wargę też miała niedawno rozciętą.

- W porządku - powiedział Edeard niechętnie. - Pięć minut. Nanitte z ciekawością rozejrzała się po apartamencie. Przesunęła ręką po chłodnej niszy, palcami dotknęła dzbanka na mleko i owoców.

- Tu wszystko tak inaczej wygląda, tak jak mówiono. Podeszła do łóżka i ręką przetestowała sprężystość gąbczastej materii.

- Kto mówił?

- Dziewczyny, z którymi rozmawiałam. Z polecenia Ivarla, oczywiście. Ze mną rozmawiały swobodnie, nie to co z nim.

- Jasne - burknął.

- Miał obsesję na twoim punkcie.

- A jego brat? Przygarbiła się.

- Nienawidzę go.

- Uderzył cię. Edeard wskazał jej twarz.

- Tak, ale nie tylko to.

- Odejdź od niego. Zaśmiała się gorzko.

- Mówisz to z kamienną twarzą. Naprawdę jesteś z innego świata.

- Prawdopodobnie.

- Chcę od niego odejść - powiedziała. - Tamtej nocy mówiłeś mi różne rzeczy. Czy to wszystko się ziści?

- Tak. Nawet jeśli Owain zostanie wybrany. Rozmawiałem z nim dzisiaj.

- Wyrzucą mnie z miasta.

- To zależy, jak głęboko w tym siedzisz.
- Dziwiłam się, że jeszcze nie umieściłeś mnie w swoich wykazach.
- Na razie koncentrujemy się na osobach używających przemocy.
- Poza miastem nie będzie dla mnie życia. Takiego jak tu. Dziwka na wygnaniu.
- Dlaczego tu przysłaś, Nanitte? Co chciałaś mi powiedzieć?
- On zamierza kupić broń. Dużo broni.
- Od kogo? Uśmiechnęła się do niego.
- Gdybym opuściła miasto teraz, z własnej woli, to być może pojechałabym do jakiegoś dużego miasta za Równinami Iguru, tam, gdzie nikt nie wie, kim ani czym jestem. Mogłabym kupić sobie mały domek, trochę pola. I potem znalazłabym męża, miłego prowincjusza. Potrafiłabym sprawić, by mnie kochał. Dziwki stają się najlepszymi żonami, wiedziałeś o tym? Nie jestem pewna, czy zajmowałabym się domem, urodziła mu dzieci, ale bylibyśmy szczęśliwi i całe obecne życie byłoby poza mną.
- Chciałbym, żeby Buate myślał w ten sposób.
- O, nie, nie chciałbyś. Ty to lubisz. To całe twoje życie. Musisz widzieć, jak ponosi porażkę, chcesz wyzwolić Makkathran od gangów. Potrzebujesz to definitywnie zakończyć. Nie wystarczy ci, że ich wypędzisz, bo potem mogliby przenikać do miasta przez kolejne lata. Stąpający po Wodzie żąda ostatecznego rozwiązania. Nie wiem, czy osiągniesz, ale wiem jedno: nie chcę być wtedy w mieście. Z was dwóch chyba bardziej boję się ciebie.
- To bardzo miła ocena mojej osoby. Szkoda, że niezbyt trafna. Nanitte zajrzała przez łukowe drzwi do łazienki. Uniosła brwi ze zdziwienia, widząc idealnie płaskie stopnie prowadzące do basenu.
- Nie tylko Matki potrafią przewidywać przyszłość.
- Dlaczego mi nie powiesz, co wiesz na temat tej broni? Sam cię odprowadzę do bramy miasta. On w żadnym wypadku nie będzie cię mógł zatrzymać.
- A jak zdobędę domek i kawałek pola?

- Myślałem... Chyba masz pieniądze?

- Kiedyś byłam tancerką. Dawno temu. Tak naprawdę zawsze chciałam być tylko tancerką. Pewnego dnia Ivarl poszedł na moje przedstawienie. I to był mój koniec. Oczywiście znał właściciela teatru, a ja byłam wtedy młoda i głupia. Tak głupia, że uwierzyłam obietnicom Ivarla. Przez pewien czas z nim byłam, ale szybko zdałam sobie sprawę, że stałam się częścią jego życia, że nie ma odwrotu i żaden teatr mnie nie zaangażuje, jeśli Ivarl nie rozkaże właścicielowi. Poddałam się.

- Współczuję ci.

- Tak to już bywa. Nie jestem szeregową dziewczyną pracującą w Domu Błękitnych Płatków. Jestem jego. Czy wiesz, co to znaczy być czyjąś własnością? Być czymś mniej niż jakiś genistar?

- Nie będę protekcyjny i nie potwierdzę.

- Dziękuję. Teraz rozumiesz. Jeśli chcesz, żebym powiedziała, kiedy i gdzie planują dostawę broni, musisz mi zapłacić. Wszyscy mężczyźni tak robią: płacą mi za to, co mam.

- Muszę zapytać kapitana posterunku albo Finitana.

Stała przed nim, pewna siebie jak Mistrz.

- Nie masz aż tyle czasu. Potrzebuję pieniędzy. Dziś. Do rana chcę wyjechać.

- Załatwienie takich spraw trochę trwa i są ku temu powody.

- Opowiedziałam ci o swoim marzeniu, nic więcej. Oboje wiemy, że wszędzie mogę przeżyć. Czy chciałbyś, żebym nadal robiła to, co dotychczas? Myślałam, że uratujesz nas wszystkich, Stąpający po Wodzie.

- Nie mam aż tylu monet.

- Kristabel ma.

- Nie mogę jej o to prosić.

- Dlaczego nie? A tak nawiasem mówiąc, dlaczego nie jesteście zaręczeni? Cały Makkathran chciałby to wiedzieć. Powiedz mi. Ja przecież wyjeżdżam.

- Przestań.

Nanitte zrzuciła płaszcz, podeszła do łóżka, pochyliła się i pogłaskała pościel.

- Jeśli rzeczywiście jej chcesz, mogę ci pokazać, jak sprawić, żeby doskonale udał się wasz następny tydzień plus jeden dzień.

- Odejdź od łóżka!

- Jestem dobra. Jak myślisz, kto rozbudził w Ranalee jej fizyczność?

Edeard już miał chwycić ją trzecią ręką, ale powstrzymał złość. Nanitte się wyprostowała.

- Widzisz, jaka jestem? Jaka jestem podła? To przez nich. Teraz nie mogę wrócić, kiedy już z tobą rozmawiałam. Widziałeś, co zrobili z Ivarlem, a on nic im nie zrobił, w przeciwieństwie do mnie. Więc zadaj sobie pytanie: jak bardzo ci zależy na tym, żeby ich dopaść? Czy naprawdę tak bardzo, że poprosisz Kristabel o pieniądze, jakie ona wydaje na nowe buty, które mają pasować do nowej sukni? A może pozwolisz, żeby okazja wymknęła ci się z rąk, bo stało się to dla ciebie sprawą zbyt osobistą?

- Nie jest osobista.

- Dobrze. W takim razie poczekam tu, a ty pójdziesz po moje pieniądze.

\*\*\*

- Nie możemy jej ufać - rzekł Macsen, gdy następnego rana omawiali sprawę w małej sali posterunku.

- Dlaczego nie?

Edeard usiłował mówić rozsądnie.

Czuł się okropnie, zwracając się do Kristabel o pieniądze. Ona potraktowała to lekko, twierdziła, że bardzo chce pomóc, ale nawet jej wyrozumiałość nie ułatwiła mu sprawy.

Przyniósł mieszek do swojego domu. Nanitte policzyła monety i nie mogła ukryć zaskoczenia, ile tego jest.

- Powinnam była to zrobić już dawno temu.

- Teraz mów o pistoletach.

I powiedziała: o tym, jak Buate wyprosił ją z gabinetu, gdy miał spotkanie z człowiekiem, którego nigdy przedtem nie widziała; mówił z obcym akcentem, nie pochodził z żadnej dzielnicy miasta. Buate rozmawiał z nim o pistoletach do zabijania konstabli; żeby wyrównać rachunki.

- Bo to Nanitte. - Macsen nie rozumiał, dlaczego to nie wystarczy.

- Czuję, że mówiła prawdę na temat pistoletów - upierał się Edeard.

- Bardziej bym się przejmował całą resztą.- wtrącił Boyd. - Wybacz, Edeardzie, ale nie masz najlepszej intuicji w sprawach uczciwości. Zawsze szukasz w ludziach dobrych cech.

Edeard spojrział zdziwiony na postawnego kolegę.

- No a w jakiej sprawie mogła kłamać? W najgorszym wypadku próbowała zrobić ze mnie durnia i uciekła z mnóstwem pieniędzy. Czy dlatego możemy mieć kłopoty w związku z przerzutem tej broni?

- Jakiego sformułowania użyła? - spytał Dinlay. - Ach, tak: pistolety do zabijania konstabli.

Edeard podrapał się po czaszce - wolałby, żeby takie określenie nie istniało.

- Tak - potwierdził. - Czy to może znaczyć, że chodzi o pistolety powtarzalne? Nanitte twierdziła, że gość mówił z obcym akcentem.

Częściowo jednak chciał, żeby to była prawda. Wreszcie mógłby udowodnić, że zagłady Ashwell dokonał nieznany klan, pochodzący z innej części świata.

- Ale jeśli to autentyczna informacja - dodał natychmiast - to musimy zapobiec przekazaniu broni, nim trafi do ulicznych gangów. Gdyby gangsterzy ją dostali, mielibyśmy tu krwawą łaźnię.

- Racja - przyznał niechętnie Macsen.

- Wiedzą, że potrafimy być niewidoczni - powiedział Boyd. - Zauważyłem znacznie więcej psów w Sampalok, gdy zajmowaliśmy się sprawą Charyau. Obecnie większość gangsterów ma psy.

- Potrafię nas ochronić przed kulami, prawie zawsze rzekł Edeard. - I wiecie, że możemy umknąć w sposób, jaki im się nawet nie śni.

Spojrzeli po sobie.



- Jasne. Ale jeśli te pistolety choć trochę przypominają to, o czym opowiada Nanitte, to będzie nam potrzebne solidne wsparcie.

- Pogadam z Chaem i Ronarkiem - obiecał Edeard.

\*\*\*

Dwie noce później pięć oddziałów konstabli patrolowało dzielnice Padua i Zelda. Edeard wolałby mieć do nich większe zaufanie. Powinno to wyglądać jak zwykły, przypadkowy obchód zgodnie z kaprysem kaprali i sierżantów. Ale nieufny obserwator musiałby to uznać za niezwykle podejrzane.

A może mam paranoję? Nieważne. Edeard z drużyną, wszyscy w niewidkach, schowali się na dole krzywej wieży w Eyrie, niedaleko głównego kościoła Pani. Przerzut miał się odbyć w pobliskiej wieży. Edeard nie czuł się zbyt pewnie w tym miejscu, mimo talentu do niewidek.

Ludzie zmierzający do wielkiej świątyni na wieczorne nabożeństwo przechodzili obok pokręconych wież. Edeard musiał przyznać, że to dobra przykrywka dla przerzutu broni, tym bardziej że Pytia odmówiła wykonania nakazów ekspulsji na terenie Eyrie.

- To już trzeci raz - szepnęła Kanseen ukierunkowaną dalmową. Przekazała mu obraz georta pikującego cicho przy wieży.

Wtem ptak wpadł przez wysokie, wygięte wejście i szybko okrążył olbrzymią pustą przestrzeń wewnątrz.

Wieża wybrana na miejsce przerzutu należała do jednych z najwyższych w Eyrie. Monstrualna, poskręcana iglica, której wystające pionowe żebra zmieniały barwę od dymnej przy podstawie, przez subtelnie ametystową, do posępnie karminowej na szczycie, gdzie osiem strzelistych szpiców zawijało się wokół krawędzi skośnej platformy. Otwarte pomieszczenie u podstawy miało trzy wejścia - a większość wież tylko jedno. Kilka długich stalaktytów i stalagmitów z fioletoworóżowego kryształu zagracało przestrzeń, a w centrum znajdował się szeroki, gładki szyb biegnący od czarnej podłogi do sklepienia siedemnaście

metrów w górze. Pojedynczy wąski otwór prowadził do spiralnych schodów, wijących się wokół całej wysokości wieży.

- Posłuchaj tylko! Boyd wyczuł, że na zewnątrz ktoś powoli obchodzi wieżę, trzymając na smyczy ziemskiego psa, który obwąchuje grunt.

- Czy to nie Paral? - spytał Macsen. - On ma nakaz wydalenia.

Człowiek z psem odszedł w stronę mostu do Fiacre. Kilku konstabli po cywilnemu ruszyło za nim spacerkiem.

Słońce nurkowało za horyzont i pomarańczowe światło zaczęło się przesączać przez szczeliny w murach wieży, mających strukturę kory drzewa. Przez komorę znów przemknął georzeł.

Edeard skupił dalwzrok na gondoli, która cumowała przy pobliskim pomoście. Na łód wysiadło czterech mężczyzn w silnych niewidkach. Nieśli duże, okute żelazem, drewniane skrzynie. W ich wnętrzu Edeard widział dalwzrokiem zarys litych metalowych kształtów. Druga gondola przybiła do brzegu i mężczyźni wynieśli z niej mniejsze skrzynie.

- Amunicja szepnął Edeard.

Zamknięto szerokie drzwi kościoła zaczynało się wieczorne nabożeństwo. Jasnopomarańczowe światło padało przez dach kopuły, przez setki okien w trzech skrzydłach katedry. Chór zaintonował łagodną pieśń. Kilkunastu ludzi, którzy nadal chodzili wokół okolicznych budowli, zaczęło zmierzać do wysokiej wieży.

- No, nieźle - jęknął Dinlay.

Zobaczyli, jak w snop pomarańczowego światła, padającego z wież, wstępuje Medath z hardą miną.

Edeard uśmiechnął się pod niewidką.

- Umrze ze strachu, gdy się pojawimy.

Mężczyźni z gondoli wchodzili do wieży, natykając się na grupę Medatha.

- Jest ich piętnastu - powiedział Macsen.

Edeard usiłował dokładniej rozpoznać kształty wewnątrz skrzyń. To na pewno pistolety, ale nie aż tak skomplikowane, jak karabiny użyte w Ashwell. Pani niech będą dzięki! I wtedy sobie przypomniał, że już je gdzieś widział.

- Z takich samych strzelał do mnie Ivarl i jego ludzie w noc pożaru. Miały kule bardzo dużego kalibru, ale potrafię je odeprzeć.

- Czyli należy zapobiec otwarciu skrzyń rzekł Boyd.

- Ruszamy. Edeard wychynął z ukrycia i szedł do wieży, przywołując równocześnie Chaego. - Wchodzimy teraz. Jest ich piętnastu, ale mają obserwatorów.

- Już namierzyłem trzech odpowiedział Chae. Idziemy.

Plan akcji był dość prosty: Dinlay i Boyd mieli obstarwić jedno wejście do wieży, Kanseen i Macsen drugie, a Edeard wkroczył przez trzecie.

- Nadchodzą.

Edeard zamilkł. Zmarszczył czoło, słysząc wyraźną dalmowę. Nie potrafił określić, skąd dochodziła: z pewnością to nikt z jego drużyny. Z odległości widział umysły gangsterów - emanowały niepokojem. Dalwzrokiem przeczesywali otoczenie.

Wkroczył na próg, nasłuchiwał cichych zaniepokojonych głosów odbijających się echem od stalaktytów i osobliwych szczelin w ścianach komory. Grupy skupiły się w pobliżu centralnego szybu, a wartownicy na czatach zajęli pozycje przy wejściach.

- Gotowi - ogłosiła Kanseen dalmową.

Wartownik, ten najbliżej Edearda, okręcił się i skierował dalwzrok na wejście blokowane przez Kanseen.

Edeard wszedł do wieży i zrzucił niewidkę. Utwardził tarczę wokół swego ciała.

Wartownik rozdziawił usta z przerażenia.

- Stąpający po Wodzie! - krzyknął głosem i umysłem.

Edeard w biegu wyciągnął trzecią rękę i wyszarpnął gangsterom dwie skrzynie z pistoletami. Próbowali je odzyskać, ale brakowało im siły.

Medath i jego kumple wyciągnęli swoje pistolety. Oczywiście, Medath miał już własną, długolufową broń. Edeard warknął zaskoczony. Dwaj gangsterzy zaczęli strzelać. Edeard postawił skrzynie przed wieżą i zajął się własną obroną. Mężczyźni biegli do dwóch otwartych wejść. Pierwszy z nich dotarł do wejścia

obstawionego przez Kanseen i Macsena - gdy się nagle przed nim pojawili, wrzasnął z przerażenia. Kanseen trzecią ręką trafiła go w skroń, powalając w jednej chwili. Zniknęła. W puste miejsce, gdzie była przed chwilą, trafiły kule. Edeard odchylił cały rój pocisków. A potem rozpoczęła się gonitwa wokół stalagmitów.

- Przestańcie! - ryknął Edeard. Głos odbijał się echem w sali. - Wiemy, kim jesteście. Otacza was kilka drużyn konstabli. W okolicy latają nasze georły. Nie możecie uciec.

Posłano w niego salwę. Potrząsnął głową skonsternowany. Dinlay, częściowo tylko widoczny, gonił dwóch mężczyzn. Ktoś upadł jak długi - inercja wzmocniona telekinezą sprawiła, że uderzył głową w stalagmit. Edeard chwycił dwóch gangsterów i zderzył ich ze sobą. Osunęli się bezwładnie na podłogę. Dwóch kolejnych straciło grunt pod nogami; dziko wrzeszczeli.

- Stańcie tu!

Była to ta sama dalmowa co wcześniej, przedzierała się wyraźnie przez krzyki i umysłową paplaninę. Edeard rozglądał się na wszystkie strony, usiłował zobaczyć, kto to mówi. Dalwzrokiem zauważył Medatha, który biegł do otworu w centralnej kolumnie.

Czterech gangsterów stanęło razem, ręce podnieśli wysoko, pistolety rzucili sobie pod nogi. Boyd ukazał się bezpośrednio przed nimi z wycelowaną bronią. W sali rozległy się dalsze strzały. I wycie z bólu, zagłuszające inne odgłosy. Macsen zrzucił niewidkę i pojawił się za mężczyzną, który zaciskał dłoń na krwawiącym ramieniu. Macsen odsunął pistolet od rany.

- Następnym razem strzelę w głowę - oznajmił głośno. Przestań, jesteś aresztowany. I znów zniknął.

Edeard podbiegł do centralnej kolumny. Po drodze chwycił trzecią ręką trzech gangsterów; od razu przestali walczyć. Rzucił ich i upadli obok Dinlaya. Odgłosy kroków dobiegały z wejścia w kolumnie. Edeard zajrzał do środka i zobaczył prowadzące w górę spiralne schody.

- Daj spokój, nigdzie nie dojdiesz! - krzyknął za Medathem.

Ale kto mu powiedział, że ma tam iść? Czy oni rzeczywiście potrafią nas zobaczyć przez nasze niewidki? Warknął wściekle i

ruszył schodami. Zaraz się poślizgnął na niewygodnych stopniach i mocno stłukł sobie kolano. Ból wzniecił chmurę czerwonych iskier w jego polu widzenia. Kroki Medatha cichły, gdy Edeard wstawał na nogi.

- Jeśli tego chcesz, to będziesz miał - mruknął i podjął wspinaczkę.

- Edeardzie?! - rozległo się wołanie Kanseen.

- Medath idzie na górę. Dopadnę go. Wy zostańcie na dole. Ściany kolumny były niewiarygodnie grube i ograniczały Edeardowi dalwidzenie. Ledwo rozpoznawał drużyny konstabli pędzących do wieży. W sali na dole jego koledzy otoczyli pokonanych gangsterów. W górze widział przesuwające się migotanie: to umysł Medatha.

Szli i szli. W sklepieniu było widać pomarańczowe pasemko, słabe, lecz wystarczające do oświetlenia okropnie wyprofilowanych, krętych schodów. Edeard musiał wręcz podciągać się na kolejny stopień, podskakiwać. Nie rozumiał, jak Medath potrafi utrzymać takie tempo. Serce waliło Edeardowi głośno, płuca go paliły, pot ściekał po plecach i nogach. W dwóch trzecich wysokości naprawdę musiał zwolnić, co go dodatkowo rozzłościło. Medath znacznie go wyprzedzał.

Na ostatnim odcinku spirali Edeard już włókł się spacerkiem. Powietrze wtłaczał do płuc mocnym ruchem klatki piersiowej. Włosy oblepiały mu czoło. Trudno było mu się skoncentrować, a jednak zdołał sięgnąć dalwzrokiem na owalną platformę na szczycie. Z jej krawędzi dźgało niebo osiem iglic, których lekko wygięte końce wznosiły się paręnaście metrów nad powierzchnią platformy.

Medath już tam dotarł: stał ze trzy metry przed centralnym stożkiem, skąd wychodziła klatka schodowa. Wycelował pistolet, czekając, aż Edeard wychynie z luku.

- O, Pani! - sapnął Edeard z niepokojem. Napędzającą go do tej pory wściekłość osłabiało zmęczenie.

Powinienem być poczekać na dole i wziąć go głodem. W końcu by zszedł.

Pokonał ostatnie stopnie.

Z Medathem bez trudu sobie poradzę. Ale on przecież się tego spodziewa. A ja ciągle nie wiem, kto do niego dalmówi. Ani gdzie jest ten osobnik.

Ogarnęło go uczucie trwogi. Rosło w siłę, tak że znów musiał przystanąć. Coś go bardzo zaniepokoiło, choć nie wiedział, co. Ostrożnie wykonał kolejny krok i starannie obejrzał platformę. Zamarł. Nie tylko Medath był na górze. Podłoga czuła ciężar czterech dodatkowych par stóp, ale Edeard nie wykrył niczego dalwzrokiem.

- Nanitte - prychnął.

Co za gówno! Macsen nigdy by do tego nie dopuścił.

Tuż przed wyjściem przywdział niewidkę i poprosił miasto, by go przepuściło przez mur. Wynurzył się na platformie prawie dwa metry od luku. I od razu zaskoczył go wiatr. W dole panował przecież idealny spokój, a tu wiatr pchał mocno i Edeard musiał się pochylić. Jego czterej wrogowie w niewidkach stali razem przy jednej z iglic. Edeard niczego nie widział w bladej poświacie mgławicy, migoczącej na makkathrańskim niebie.

Jak najciszej ruszył w ich stronę. W odległości paru metrów minął Medatha, który ciągle wpatrywał się w schody, bez sensu celując z długolufowego pistoletu. Wyglądało to komicznie. Edeard zorientował się w tym momencie, że podłoga platformy jest nachylona w stronę zewnętrznej krawędzi. Doznał lekkiego zawrotu głowy i nogi mu zadrżały. Opanował to i skradał się dalej.

Stopy zaczynały się przesuwac. Najpierw dwaj wrogowie cofnęli się o krok, potem wszyscy ustawili się bliżej iglicy. Edeard cały czas podążał z nimi.

Dzieliło go od nich pięć metrów, gdy coś go uderzyło z kolosalną siłą z lewej strony, tuż pod żebrami. Krzyknął nie tylko z bólu, również z zaskoczenia. Nie mógł złapać tchu i jego niewidka osłabła. Medath się odwrócił. Drugi cios powalił Edearda na podłogę.

- Zastrzel go - padł rozkaz dalmową. Jakim cudem oni mnie widzą?

Medath strzelił. Kula niemal przebiła się przez tarczę Edearda. Silny cios telekinetyczny zepchnął go po pochyłej podłodze. Mignęły mu straszne wspomnienia wydarzeń nad Stawem Birmingham wtedy Arminel też go pchnął. O, Pani, pomocy!

- Jeszcze raz!

Trafił go pocisk i drugi cios telekinetyczny. Edearda przerzuciło za krawędź platformy. Rozpaczliwie machał rękoma, ale wyciągnięte palce nie mogły się o nic zaczepić.

- Potrafisz latać, Stąpający po Wodzie?

Edeard spadał z krzykiem. Instynktownie próbował chwycić się wieży trzecią ręką, czuł nawet, jak siła zakleszcza się w koropodobnej strukturze muru, ale to nie powstrzymało spadania.

Powietrze wyło wokół niego. Wystrzelił myśli do uspionego rozumu miasta. Pomóż mi! Kierował błaganie do powolnego, gigantycznego umysłu.

Bezskutecznie. Spadał. Spadał.

Kristabel!

Na progu percepcji odebrał jej szalony krzyk. Skierował do niej ostatnią myśl: kocham cię. Dobrze, że jej to powiedział. Łatwiej mu będzie umierać. Spadał.

Z dołu dotarły do niego fontanny trwogi z umysłów konstabli, którzy biegali wokół wieży. Spadał.

Za sekundę.

Przygotował się na straszny ból tuż przed śmiercią.

Spadał.

- Jak ty, skubańcu, to robisz? - spytał go Chae oszołomionym tonem. Coś uderzyło Edearda w pośladki. To był miejski bruk.

- Co? - Edeard chrząknął. Spojrzał w górę i zobaczył nad sobą wianuszek niesamowicie zdziwionych twarzy. Z niedowierzaniem poklepał bruk. Był na dole. Nic mu się nie stało.

- Spadłem... - wyrwało mu się. Jasne, zawsze miał wrażenie spadania, gdy miasto opuszczało go do swoich tuneli. Teraz musiało być podobnie.

Powstrzymał wybuch niemal histerycznego śmiechu. Z oczu pociekły mu łzy, gdy dał o sobie znać szok.

Ktoś rozsunął gapiących się na niego konstabli. Natychmiast w wolnym miejscu pojawili się Kanseen z Boydem.

- Edeardzie! - piszczała. - O, Pani! Co się stało?

- Pułapka - wyjaśnił słabym głosem. Wskazał na ciemną sylwetkę wieży, zaskoczony, jak wiele wysiłku wymagało zwykłe podniesienie ręki.

- Medath? - spytała zdziwiona.

Skinął głową. Z trudem oddychał, całe ciało go mrowiło, a teraz dostał dreszczy. Dalwzrokiem zarejestrował impuls zwierzęcego strachu, który szybko narastał.

- Co się dzieje? - wychrypiał.

- Edeardzie? - Głos Boyda brzmiał słabiutko. Nachmurzony Chae rozglądał się dokoła.

Edeard nie miał sił zadać zwykłego pytania, więc zadał je dalmową:

- Czujecie to?

- Co takiego? - spytała Kanseen.

Wtem Chae rozesłał proste ostrzeżenie:

- Uciekać! Pchnął Kanseen trzecią ręką i równocześnie spróbował odskoczyć do tyłu.

Edeard zobaczył to. Bezpośrednio nad sobą. Czarna ludzka sylwetka na tle zielonej poświaty mgławicy Ku. Resztką siły telekinetycznej odczytał się trochę z drogi spadającego ciała.

Pół metra od niego Medath walnął o bruk. Rozległ się okropny trzask miażdżonych kości. Chae nie zdążył całkowicie się usunąć.

Pustym wzrokiem Edeard patrzył na leżącą obok bezkształtną masę. Z otwartych ust Chaego kapłała krew. Spojrzenie sierżanta bardzo powoli przeniosło się na Edearda.

Gdzieś z daleka dobiegło zawołanie to była chyba Kanseen.

- Sierżancie? - spytał Edeard. Ten odpowiedział mu dalmową:

- O, na Panią. Przez chwilę to naprawdę boli.

- Nie, nie!

Chae rzeził. Edeard próbował dotrzeć do jego umysłu, dalwzrokiem śledził słabnące myśli. Znikały, oddzielały się od ciała. Edeard widział kształt ducha wznoszącego się nad zmarłego Chaego.



- Sierzancie?! - zawołał zrozpaczony.  
- O, moja Pani - odparł duch.  
- Sierzancie!  
- Edeardzie? - Klęczący przy nim Dinlay krzyczał przerażony.  
- Widzisz go? - szepnęła Edeard.  
- Edeardzie, jesteś w szoku. Staraj się skupić na mnie.  
- To nie szok. - Edeard przekazał przyjacielom obraz ze swojej percepcji.

Wszyscy jednocześnie nabrali powietrza, gdy zobaczyli łagodny uśmiech ducha.

- Czuję to, Edeardzie wyjaśnił Chae. Wzrok wzniosł do góry, wypatrując nieba. Jak cudownie. Mówią do mnie. Mgławice śpiewają. Słyszysz je?

- Nie - załkał Edeard. - Nie słyszę.

Z głównego kościoła nadciągnęła grupka Matek, by się przekonać, co to za poruszenie. Ucichły, gdy Edeard przekazał im obraz. Sama Pytia stanęła przy zmarłym - miała pogodną minę. Wyciągnęła rękę, próbując dotknąć ducha.

- Chcę już odejść - powiedział Chae do oczarowanych świadków. - Muszę. Nic tu po mnie.

- Tam się zagubisz - odrzekł Edeard. - Zostań z nami, zostań, aż wrócą Władcy Niebios, by nas poprowadzić.

- Pieśni! Co za pieśni! Czekają nas niesamowite powitanie.

- Proszę, zaczekaj.

Chae uśmiechnął się do niego. Jakby przekazywał błogosławieństwo.

- Nie martw się o mnie. Podążam za pieśniami.

- Niech Pani doprowadzi cię bezpiecznie do Serca - rzekła Pytia.

- Dziękuję, kochana Matko odparł Chae. Wyciągnął rękę ku niebu, jakby to był obiekt fizyczny, który można trzymać jak swoją własność. Duch zaczął migotać. Spojrzał w dół i jego fantomowa twarz się zachmurzyła. Kim jesteś? Potem zaskakująco szybko wzniosł się ku mgławicom.

Edeard zaszlochał i padł do tyłu. Zagarnęła go ciemność.

\*\*\*

Świadomość wróciła z powolnym przyływem ciepła. Czuł zadowolenie, że leży właśnie tutaj. Oczy miał zamknięte; umysł odpoczywał. Oddychał regularnie. W zasadzie nie był głodny. Przykryto go lekkim prześcieradłem. Czego można chcieć więcej?

- Kristabel. - Wiedział, że ona tu jest. Nie używał dalwzroku, po prostu wiedział.

- Obudziłeś się. - Poglaskała go po twarzy palcami.

Otworzył oczy i zobaczył jej uśmiech. Najcudowniejszy widok na świecie.

- Nigdy już nie rób takich rzeczy - zgaśniła go.

- Nie będę. Pocałowała go.

- Martwiliśmy się o ciebie powiedziała.

- Domyślam się. Rozejrzał się wkoło. Znajdował się we wspaniałym, wysokim pokoju o ścianach obwieszonych kilimami i obrazami olejnymi. Znajome szklane drzwi w drewnianej ramie wychodziły na taras z ogrodem. Do pokoju wpadało jasne słońce.

- Już południe?

- Hm. Spadłeś dwa dni temu.

- Och!

- Nasza lekarka stwierdziła, że byłeś wyczerpany i zszokowany. Dała ci coś na sen, żebyś się zregenerował.

Edeard przejechał językiem po jamie ustnej i poczuł nieprzyjemny posmak. Kristabel podała mu szklanekę wody.

- Dziękuję.

Ostrożnie uniósł się do pozycji siedzącej. Kristabel podsunęła mu poduszki pod plecy.

- Cały Makkathran o tobie mówi. Znowu. - Szelmowsko się uśmiechnęła.

Lekko wzruszył ramionami.

- Kiedy mnie przywołałeś, myślałam, że umierasz. - Oczy napełniły jej się łzami.

- Wybacz. - Przyciągnął ją do siebie.

- A teraz potrafisz latać.

- Nie potrafię, taka jest prawda. To coś zupełnie innego. Miasto mi pomaga.

- Miasto? Makkathran?

- Tak. Wyczuwał niedowierzanie w jej umyśle. - Spróbuję to wyjaśnić. To dość skomplikowane. Chyba powinienem to wszystkim wyjaśnić. Sam nie wiem.

Położyła mu dłoń na piersi.

- Nie śpiesz się. Musisz bardzo wiele rzeczy wyjaśnić bardzo wielu ludziom. Ale trzeba przemyśleć, co im dokładnie powiesz, a teraz jesteś w takim stanie, że lepiej nie podejmować żadnych decyzji.

- Zgoda. - Wiedział, że Kristabel ma rację.

- Zobaczyłeś duszę biednego sierżanta Chaego. Jeśli ci się wydawało, że wcześniej byłeś sławny, nie uwierzysz, jak sławny jesteś teraz.

- Myślałem, że to zwidy.

- Dzięki temu, co przekazałeś Pytii, ona osobiście mogła rozmawiać z odchodzącą duszą. Trudno o bardziej wiarygodnego świadka. Czeką, żeby porozmawiać z tobą o „błogosławionym przez Panią związku ze światem duchowym”, jak to określiła. Mamy ją natychmiast powiadomić, gdy wrócisz do zdrowia - powiedziała Kristabel znacząco.

Edeard, odruchowo, szczerzej okrył się prześcieradłem. Na sobie miał tylko workową koszulę nocną.

Kto go przebrał?

Kristabel spojrzała na niego wyniośle.

- Poleciłam swoim pokojówkom, żeby cię przygotowały do łóżka.

- Co takiego?

Zaczęła chichotać.

- Opiekowały się tobą nowicjuszek i nasza lekarka.

- Aha. - Wcale mu nie ulżyło. - Nowicjuszek?!

- Dziękuję Pani, że ciągle jesteś moim poczciwym Edeardem. Objęła go.

- A moi koledzy?

- Są przed domem. Bardzo się niecierpliwią. Personel ma z nimi sporo kłopotu. Wszyscy są cali i zdrowi. Uprzedzę twoje pytanie: gangsterów aresztowano, czekają na proces w celach pod

budynkiem Parlamentu. Odzyskano ich pistolety „zabijające konstabli”. Nigdy byś się nie domyślił, skąd ta broń pochodzi.

- Skąd?

- Z Gildii Broni.

- Nie żartuj.

- Nie żartuję. Najwyraźniej Gildia trzyma to w sejfach, na wypadek, gdyby zaatakowano miasto. Konstrukcja broni pochodzi sprzed wieków. Owain się wściekł. Zarządził śledztwo, jak broń wydostała się z magazynów. Nikt o niej nie wiedział, z wyjątkiem najwyższej hierarchii Gildii.

- W Radzie to będzie okoliczność druzgocząca dla Owaina.

- Tak sądzę. Tata był naprawdę zadowolony, gdy mi to przekazywał.

- Dziękuję - powiedział Edeard cicho. Spojrzała na niego.

- Za co?

- Za to, że tu jesteś.

- Nie ma za co, Stąpający po Wodzie. Znów go pocałowała i objęła zmysłowo. Czuł w tym obietnicę. Zawołał ich. Wiem, że chcesz się z nimi widzieć. Nie ma obaw, lekarka już im powiedziała, żeby nie byli za długo i nie stresowali cię.

Przyszli całą grupą. Kanseen była wyraźnie zaniepokojona, ale gdy zobaczyła, że Edeard siedzi na łóżku, rozkleiła się. Boyd był zdenerwowany, wręcz nieśmiały, a Dinlay podekscytowany jak nastolatek; przyniósł kosz kandyzowanych owoców. Macsen natomiast wkroczył z szerokim uśmiechem.

- Nanitte. - Zacierał dłonie z satysfakcją, a potem palcem dźgał w stronę Edearda. - A nie mówiłem?

Kiedy młodszy Kleryk eskortował Mariusa po smoliście czarnej podłodze, w wielkiej Sali Malfit przebywało niewielu ludzi. Obrzucali ślizgającego się bez wysiłku Elewata nieufnymi spojrzeniami. To nic osobistego, po prostu nie cieszył ich widok niewiernych w tym świętym miejscu.

Marius wszedł do Sali Liliala, gdzie na suficie igrały nieustanne burze. Kiedy szedł pod szczytem kopuły, błyskawice połączyły łukiem kłębiące się chmury i wypaliły w oparach wąskie szczeliny, odsłaniając bezbarwne Bliźniaki Marsa. Po drugiej stronie holu łukowe drzwi poprowadziły ich do ciągu komnat burmistrza. Ethan czekał w owalnym sanktuarium. Zostało odrestaurowane do swego oryginalnego stanu - taki wystrój dał mu Stąpający po Wodzie, gdy był burmistrzem. Murdębowe krzesła i biurko wypolerowane naturalnym woskiem rozciąły delikatny zapach lawendy. Trzy wysokie rzymskie okna łazienne na ścianie za biurkiem dawały siedzącemu przy biurku wspaniały widok na Kanał Zewnętrzny Kręgu i na zachodni róg Złotego Parku z leniwymi zielonymi falami traw Niskiej Fosi, wypełniających przestrzeń do kryształowego muru.

- Dziękuję za przybycie - rzekł uprzejmie Kleryk Konserwator.

Siedział za biurkiem w naciągniętym na głowę kapturze. Mimo że luźne fałdy materii zakrywały mu bok głowy, było widać przylegające do skóry półorganiczne moduły.

Marius skłonił się z szacunkiem.

- Dziękuję, że zgodził się pan mnie przyjąć, Konserwatorze.

Dłoń Ethana zatrzepotała - odprawił Kleryka asystenta.

- Ufam, że prawie pan wyzdrowiał powiedział Marius, kiedy stanął przed jego biurkiem. Powietrze w kilwaterze Elewata napełniały smużaste cienie z połyskującego togaturu.

- Niemal. - Ethan uśmiechnął się słabo. Uniósł dłoń, wskazując gruzelki. Zostały tylko trzy, a moi doktorzy powiadają, że zostaną

zdjęte do końca tygodnia. To zadziwiające, jak zdolności regeneracyjne ludzkiego ciała mogą zostać wzmocnione przez dobre nowiny.

- Dobre nowiny?

Ethan zawahał się, zastanawiając się, czy reprezentant nie kpi sobie z niego.

- Że człowiek dostał się do Pustki z pomocą Drugiego Śniącego.

- By wynegocjować odrzucenie waszej Pielgrzymki.

- Wątpię, czy jakiś reprezentant ZAN zrozumie najbardziej podstawową zasadę Pustki. Ona istnieje, by przyjmować życie, by wnieść nas na najwyższy szczyt, do jakiego mogą aspirować nasze biedne dusze.

- W rzeczy samej - powiedział Marius z rozmyślną ironią. Ethan zrozumiał sugestię i uśmiechnął się z godnością.

- Z całym szacunkiem, ale raczej nie uważam, by był pan podobny do Justine Burnelli. Z tego, co widziałem, pozostaje pan silnie zakorzeniony w fizycznych aspektach naszego wszechświata.

- Przyjmuję to w duchu, w jakim, jak wierzę, zostało to wyrażone.

- Dziękuję.

Ethan zapadł się w fotel i patrzył ciekawie na reprezentanta. Na początku swojej kampanii o stanowisko Konserwatora ostrożnie się odnosił do propozycji pomocy ze strony tego człowieka. Jak wszyscy poprzedni kandydaci na wysoki urząd, wykorzystał swego bliskiego współpracownika do nawiązania próbnych kontaktów. Phelim powrócił uskrzydłony rysującymi się możliwościami. Ethan zgodził się słuchać. Z politycznego punktu widzenia, pomoc proponowana przez Mariusa była subtelna i nieoceniona. Pozwoliła Ethanowi zbudować przymierza w Radzie i wśród Kleryków Sadowego Pałacu, popchnęła go na pozycję, dzięki której mógł się wysunąć na kandydata, z dużą dozą pewności, że wygra. Wśród innych rzeczy była tam propozycja dostarczenia ultranapędów do statków pielgrzymki, dar, który niemal gwarantował sukces. I wszystko to dostarczono za darmo, ponieważ „cele” frakcji Mariusa uzupełniały się

nawzajem z celami Żywego Snu. I przez cały ten czas Marius nigdy nie napomknął, jakie właściwie były te cele. Ethan wiedział, że wkrótce to nastąpi. Poznanie możliwej ceny będzie rzeczą interesującą.

- Jednakże czy sama Pustka nie zademonstrowała zasadniczego człowieczeństwa Justine, kiedy zareagowała na jej myśli? - Marius zadał to pytanie, jakby chodziło o jakieś łatwe do pominięcia dziwactwo.

- Jeden niewielki sen odparł Ethan. Szybkie spojrzenie na jej kłopotliwe położenie. Z pewnością nie znalazła Serca ani nawet Władcy Niebios. Tak jak jej zapał, by dotrzeć do tamtej gwiazdy, dowodzi, że troszczy się ona tylko o fizyczność.

- A jednak zademonstrowała zdolności mentalne dostępne Stąpającemu po Wodzie.

- Zupełnie nie ma jego siły.

- Była rozbudzona tylko przez kilka dni w skali czasu Pustki, i wydaje się, że wygodnie się aklimatyzuje.

- To także służy wzmocnieniu naszej doktryny. Pustka stanie się naszym zbawieniem. Drugi Śniący poprowadzi nas ku naszemu przeznaczeniu, tak jak zawsze zamierzał Śniący Inigo.

- Chyba wiemy obydwaj, że to nie Drugi Śniący dostarczył nam tego ostatniego spojrzenia z wnętrza Pustki.

- Owszem - przyznał Ethan.

- Czy Żywy Sen wie, kto odebrał wizję i myśli Justine?

- Nie.

Marius uśmiechnął się, co jego okrągłej twarzy z cienkim nosem nadało nieprzyjemny wyraz.

- Jeszcze jeden Śniący, Konserwatorze? Stają się chyba coraz bardziej powszedni.

- Trzech Śniących na dwieście siedemdziesiąt lat trudno nazwać „powszednimi”. Ale dwaj pojawili się tak blisko siebie właśnie teraz. To znaczące. Wydarzenia osiągają punkt kulminacyjny, zgodnie z wizją Śniącego Inigo.

- Oczywiście. Raduję się, że Drugi Śniący udowodnił, że wejście do Pustki jest fizycznie możliwe. To musi być inspirujące dla pańskiego ruchu.

- Owszem.

- I nie muszę podkreślać, jak ważny jest dla was Drugi Śniący. Jak bliscy jesteście pozyskania go?

Ethan się uśmiechnął. Patrzył w tę ledwie ludzką twarz o spokojnych zielonych oczach i pozbawionych humoru myślach.

- Tak naprawdę to „jej”.

- Doprawdy?

- Tak. Wierzymy, że zidentyfikowaliśmy możliwą kandydatkę. Ponieważ nasz zespół powitalny na Viotii zna teraz jej tożsamość, jest niemożliwe, by umykała nam przez jakiś znaczący czas.

- Gratulacje, konserwatorze. Taka bliskość celu musi być źródłem satysfakcji.

- Rzeczywiście jest.

- Jak postępy z konstrukcją statków dla Pielgrzymki?

- Znowu dobry los jest dla nas łaskawy. Konstrukcja idzie zgodnie z planem. Czy chciałby pan, żebym zorganizował dla pana wycieczkę?

- Niestety, czas goni. Na różne sposoby.

- Co pan ma na myśli?

- Nie jest to jeszcze wiedza powszechna, ale Wspólnota wysłała okręt klasy Rzeka, by przechwycił flotę Imperium Ocisenów. Mieli unieruchomić statek dowódczy i przekazać ostrzeżenie.

- Mieli?

- Statek floty został zniszczony. Wygląda na to, że Ociseni są silniejsi, niż to oceniał admirał Kazimir.

- Słodka Pani!

- Jeśli nie zostaną zatrzymani, zjawią się tutaj, zanim skończycie budować statki. Nie będzie Pielgrzymki.

- Podstawowym uzasadnieniem istnienia ZAN było zapewnienie Wspólnocie, po wojnie Gwiazdokrażcy, niezwyciężonej obrony przed obcą agresją. Miała gwarantować absolutną przewagę techniczną.

- Niech się pan zbyt nie denerwuje. To był, mimo wszystko, tylko jeden okręt. Silniejsza flota powinna wystarczyć do powstrzymania floty Ocisenów. Nawet my zgadzamy się z tą prognozą.



- Ale nie ma gwarancji.
  - W życiu nigdy ich nie ma.
  - Są w Pustce powiedział Ethan refleksywnie. Niestety, nie możemy szybciej budować statków.
  - Wiem. Wszyscy zależymy od ZAN.
  - Zdążymy, jeśli Pani pozwoli.
  - Właśnie. Mówiąc o rzeczach weselszych, teraz, kiedy jesteśmy tak bliscy sukcesu, moi sponsorzy mają prośbę.
  - Ach. Ethan poszerzył uśmiech. Niemal się z tego cieszył. Czy będzie to nedorzeczne heretyckie żądanie, czy jakieś proste wymaganie, które w następstwie wylotu Pielgrzymki spowoduje lawinę polityczną?
  - Czy przyjmie warunek bez zastrzeżeń, czy będzie walczył z nim do ostatniego tchu?
  - Chcielibyśmy wysłać z wami kilku obserwatorów.
  - Obserwatorów? To sugeruje, że będą się trzymać na uboczu, a szczerze wątpię, czy będzie to możliwe w Pustce.
  - Niemniej jednak bylibyśmy wdzięczni, jeśli wzięlibyście ich ze sobą.
  - Witamy każdego, kto sięga po Pustkę, niezależnie od jego początkowej motywacji. Ilu ich będzie?
  - Dwóch lub trzech na każdym statku. Nie chcemy być dla was brzemieniem.
  - Rozumiem. - Choć tak naprawdę Ethan nie rozumiał. Wiedział, że to musi być sprawa wielkiej wagi dla frakcji reprezentowanej przez Mariusa, a jednak nawet on został zaskoczony, jak bardzo rozsądna jest ta prośba. - Dopilnuję, by zarezerwowano wystarczającą liczbę kolumn zawieszenia życia.
  - Oni nie będą podróżowali w zawieszeniu.
  - Czy są po temu jakieś powody?
  - Oni sobie tego nie życzą.
- Ethan rozważał to, zastanawiając się, czy jest to sprawa, w której powinien wykazać stanowczość. Oczywiście, nie mógł wysunąć przeciw temu żadnych rozsądnych argumentów. Tylko instynkt.
- Czy w jakiś sposób będą oni wrodzy naszej Pielgrzymce?

- Niech pan mi wybaczy, ale ich zupełnie nie obchodzi wasza doktryna. Są to tylko uczeni, którzy chcieliby badać Pustkę.

- A jeśli odmówię?

Ton Mariusa stał się rozbawiony.

- Próbuje pan ustalić, czy będę kierował się honorem, kiedy postawi mnie pan w niewygodnej sytuacji.

- Będzie pan?

- Bardziej niż inni ułatwiłem panu osiągnięcie pańskiej obecnej pozycji. Podarunek silników ultranapędu jest wyjątkowo szczodry, nawet według standardów Elewatów. A kiedy pan go przyjmował, wiedział pan, że w zamian poprosimy o małą grzeczność.

- Wiedziałem. I wie pan, że pozwolę pana kolegom podróżować z nami. Próbuję tylko zrozumieć motywację, sprawdzić, jak bardzo tego chcecie.

- Rzeczywiście, bardzo chcemy. Pustka jest wspaniałą zagadką naukową. Moi sponsorzy uważają, że powinna być rozwiązana.

- Czemu ktoś miałby chcieć „rozwiązać” coś, czego w każdej chwili można stać się częścią?

- To jest większe niż my.

- I podzieli się sobą z wami.

- Na swoich warunkach. Zaakceptowanie tego nie leży w naszej naturze.

- W mojej leży.

- Czy teraz mam przejść do gróźb?

- Proszę przejść - odparł gładko Ethan.

- Nawet jeśli macie ultranapęd, raielowie będą stanowić problem. Jasne jest, że ta uprzednio nieznaną kasta wojowników nie pozwoli wam się zbliżyć do granicy Pustki. Przepuścić jednego człowieka w małym stateczku to jedno, ale statki Pielgrzymki z milionami śniących, pełnych nadziei? Albo zawróćcie, albo zginiecie. Raielowie dysponują fenomenalnymi zasobami. Podejrzewam, że nawet cała flota Wspólnoty, eskortując was, miałaby problemy, a Władze dość jasno się wyraziły, że tego nie zrobią.

- To ostatnia przeszkoda - przyznał Ethan.

Jedna z ujemnych stron triumfu Justine, szokująca w swych rozmiarach. Zawsze wiedział, że raielowie sprzeciwiają się Pielgrzymce, ale nikt się nie spodziewał, że mają takie okręty ani że są równie zdecydowani, by zapobiec wejściu w Pustkę. Komentatorzy z unisfery bardzo chętnie podkreślali ten punkt przez kilka ostatnich godzin. Pielgrzymka do Pewnej Śmierci tak nazywały ją co mniej ciekawe typy dziennikarskie.

- Jako uzupełnienie ultranapędu możemy wyposażyć wasze statki w pola siłowe, których raielowie nie zdołają przebić - oznajmił Marius.

- Trudno mi uwierzyć w to stwierdzenie.

- Niemniej, dysponujemy takimi systemami.

- Twoi pasażerowie.

- Tak.

- Drogi Pani są tajemnicze. Ale... Chciałaby, by waszym uczonym zapewniono okazję, by osiągnęli swe przeznaczenie wraz z nami wszystkimi.

Marius przechylił głowę.

- Jestem przekonany, że chciałaby tego.

- Każę przygotować dla was kabiny.

- Dziękuję. - Marius uklonił się i bez wysiłku obrócił. Posuwał się ku drzwiom. Kiedy do nich dotarł, zatrzymał się. - Och, tak - powiedział nadal odwrócony od Ethana. - I będzie nam potrzebna ładownia na sprzęt na każdym statku.

- Sprzęt?

- Oczywiście. Do badania Pustki będą potrzebowali instrumentów. Prześlę szczegóły do pańskiego biura.

Drzwi otworzyły się i Marius prześlizgnął się przez nie w wirze cichych cieni.

\*\*\*

Balsamiczny morski wietrzyk wiał w Żłotym Parku, poruszając długimi gałęziami wiśni posadzonych na obrzeżu wielkiego placu. Z bezchmurnego nieba lał się żar. Dostawcy - w bawełnianej koszuli i grubych dżinsach robiło się nieprzyjemnie gorąco, a nie chciał wykorzystywać do ochłody swych funkcji

biononicznych, w obawie, że przyciągnie do siebie uwagę. Inigo miał wybrać to miejsce na budowę Makkathranu 2, ponieważ klimat tutaj prawie się nie różnił od oryginalnego klimatu na Querencii. Tak więc, z powodu tej pogoni za doskonałością, Dostawca musiał się zadowolić śmiesznym skórzanym kapeluszem o szerokim rondzie, ponieważ właśnie to nosili krajowcy tam, w prawdziwym Makkathranie, przypuszczalnie chroniąc swoje mózgi, by nie usmażyły się w letnim słońcu. Dzięki kapeluszowi, przynajmniej nie różnił się od reszty tłumu na placu.

Złoty Park zapełniał się teraz każdego dnia. Zwykły tłum znacznie się zwiększył, kiedy Drugi Śniący odrzucił Władcę Niebios, gdyż wierni poszukiwali przywództwa swego nowego Kleryka Konserwatora, i od tamtego dnia zbierali się tu gromadnie, by być świadkami monumentalnych wydarzeń gdzie indziej w Galaktyce. Dostawca doceniał to, ten rodzaj dobrego samopoczucia, jaki daje tylko zanurzenie się w mnogości, która dzieli z tobą wierzenia i emocje. Najbardziej ludzka potrzeba należenia do grupy, wzmocniona przez gajasferę.

W bardzo małym zakresie sam to odczuwał tęsknotę, by znaleźć się z powrotem w domu, bawić się z dziewczynkami, kiedy na Londyn opada noc. Pora kąpieli. Bajki na dobranoc. Niespieszny posiłek z Lizzie.

Nie chciał być tutaj. To takie proste. Frakcja zapewniała go, że nigdy nie będzie brał udziału w aktywnych operacjach, takich jak obserwacje tego rodzaju. Nie umawiał się na nic więcej niż na dostarczanie podstawowych elementów sprzętu ludziom, którzy je wykorzystywali. Nie dało się uniknąć tego, że z czasem, z upływem lat, dał się namówić na wykonywanie zadań, które były czymś więcej niż zaledwie dostawą. Ale coś takiego...

Znowu miał oko na Mariusa. Robił to już wcześniej bez protestów, choć Marius zawsze przyprawiał go o gęsią skórę. To nie był żaden nonsens emocjonalny Elewaci byli na nie niewrażliwi. Chodziło po prostu o to, że jego oponent był o wiele większym profesjonalistą od niego. Rozwój wydarzeń nie pomagał mu w odzyskaniu równowagi: lot Justine w głąb Pustki,

zniszczenie „Yeniseya”, inwazja na Viotię. Nie mógł sobie wyobrazić, jaki efekt wywrze to w końcu na społeczeństwo Wspólnoty. On po prostu wiedział, że w obliczu takiej niepewności powinien być w domu, zajmować się rodziną. Zamiast tego włączył się, bacząc, by wpuszczać do gajasfery to samo uczucie zadziwienia i trwogi, co wszyscy inni. Miał na sobie średniowieczne ubranie i - ogólnie mówiąc - wtapiał się w tłum. Przez ciżbę widział Kanał Zewnętrznego Kręgu, z kilkoma statecznie płynącymi gondolami, a na ich tle Pałac Sadowy z dachem przypominającym łączące się fale.

Cały czas obserwował most z drutu i drewna, wiodący do głównego wejścia pałacu. Przez ten most niecałą godzinę temu przeszedł Marius. Zdalne czujniki rozmieszczone wokół kanału obserwowały dla niego inne mosty. Infiltracja systemów wewnątrz Pałacu była trudna. Żywy Sen stosował kilka ekstremalnie wyrafinowanych osłon i systemów przeciw intruzom, choć pewna liczba zamaskowanych mikrobotów powoli przedzierała się do wnętrza. Nawet jeśli zdołają przebyć wielkie hole i dostaną się do ciągu komnat burmistrza, będą tam za późno.

Pole bioniczne Dostawcy wykryło znajomą bioniczną sygnaturę dziesięć metrów dalej. Westchnął z rezygnacją, obrócił się i zobaczył, jak Marius stoi i czeka. Obdarzano go mnóstwem potępiających spojrzeń, kiedy ciemny, nienaturalnie falujący togatur odbijał jaskrawe słońce. Ale jego nieustępliwe zachowanie wystarczało, by nikt nie śmiał go zaczepić.

- Mam cię powiedział Marius. Dostawca skinał głową.
- Tak. Gratulacje.
- Napijesz się czegoś?
- Czemu nie.

Marius szedł, szybując przez Złoty Park i przez imbirowy piaskowcowy most, do Ysidoro. Dostawca zmrużył oczy, kiedy oglądał okrągły trzypiętrowy budynek z nieprawdopodobnym sześciokątnym wzorem rustyki na ścianach. Wysokie lancetowate okna nadawały budowli wygląd wieży jakiegoś starodawnego ludzkiego zamku.

- Czy to ten, w którym...? - zaczął.

- Tak - powiedział Marius.

Weszli do knajpy i udało im się znaleźć spokojny stół przy jednym z okien. Kelnerka przyjęła zamówienie. Szybko wróciła z gorącą czekoladą pomarańczową z gęstą pianką z ptasiego mleczka dla Dostawcy i herbatą miętową dla Mariusa. Kiedy odeszła, utkali razem swoje tarcze ochronne, tworząc prawie niewidzialną, a jednak bezpieczną bańkę wokół stolika.

- Gra się zmienia - powiedział Marius.

- Gra jest ta sama, tylko stawki wzrosły odparł Dostawca.

- Można tak stwierdzić. Nie lubię cię, ponieważ symbolizujesz to, co usiłujemy zostawić za sobą. Ale cię szanuję: grasz według zasad. Są ludzie w naszym fachu, którzy już tego nie robią.

- My nie zniszczyliśmy Hanko.

- Hanko?

- Proszę! Jeden z was wystrzelił w nią m-rzapię Hawkinga.

- Naprawdę?

- Tak.

- Jesteś tego pewien?

- Nie rób tego. Nie zapraszaj mnie na drinka i nie odgrywaj procedury przekabacania na waszą stronę. Wybrałem swą frakcję powodowany przekonaniem, dokładnie jak ty.

Marius uniósł filiżankę w pozdrowieniu.

- Przepraszam. Chcę powiedzieć, że obydwaj zbliżamy się do końca naszej użyteczności dla naszych macierzystych frakcji.

- Nie. Jeśli to my utrzymamy sprawę w rękach, obydwaj będziemy trwać dalej w naszym obecnym kształcie. Tylko wtedy, jeśli uda się wam odegrać wasz specyficzny Armagedon, wszystko się zmieni.

- Nie masz pojęcia, co robimy.

- Fuzja to nie jest ładna koncepcja. Zakłada wyniesienie do stałej boskości. Sam ten konflikt tutaj, przy tym stole, wystarczy, by przekonać mnie, że nie powinno się do tego dopuścić. A obaj wiemy, że istnieją frakcje o wiele bardziej radykalne niż my.

- Przepraszam ponownie. Masz wszystkie odpowiedzi.

- Oczywiście możecie wybrać przejście do nas. To niewątpliwie oznaczałoby koniec twojej frakcji. Problem byłby dla wszystkich rozwiązany.

- Nie sądzę.

- Musiałem spytać.

- Wiem.

Dostawca spróbował sączyć czekoladę przez kozuch na wpół stopionej pianki żelowej.

- Więc co teraz?

- Jak mówiłem, gra się zmienia. Wchodzimy w ostatnie stadia operacji, którą planowaliśmy przez stulecia. Teraz to już nie jest gra. Proszę cię, nie myśl, że będziemy tolerować jakies ingerencje.

- Mimo instytucjonalnej głupoty i wielu ludzkich niemiłych stron, wierzę w naszą rasę. Podziwiam naszą różnorodność, nasz upór. Dynamika konfliktów jest jedną z naszych najwspanialszych cech.

- Proszę cię, nie wygłaszaj mi mowy: „Jesteśmy najwspanialsii, kiedy jesteśmy przyparci do muru”.

- Nie mogę, ponieważ wy chcecie wyeliminować nasz konflikt, nasze różnice, przebudować nas na swoje podobieństwo. Nie pozwolę, by się to wydarzyło. Moja frakcja na to nie pozwoli.

- I o to mi chodzi. Już nie macie tego luksusu wyboru, zabrano go wam przed dziesięcioleciami, kiedy odnieśliśmy sukces. Dzisiejsza sytuacja jest tylko wynikiem naszych działań.

- To niemożliwe, byście wierzyli, że macie moralne prawo do wyniesienia wszystkich do statusu postfizycznego, czy tego chcą, czy nie.

- Nie zabierzemy wszystkich.

- Więc zaprzestańcie prób manipulowania wszystkimi.

- Wydajesz się zdeterminowany do pozostawiania w przeszłości.

Czy to wpływ żony?

Dostawca postawił filiżankę z czekoladą na stole. Tylko to mógł zrobić, by jej nie rozbić na kawałki, tak mocno ją ścisnął.

- Uważaj.

- Mamy prawo ewoluować.

- Macie. Nie macie prawa ewoluować reszty z nas ani rujnować tego, co zbudowaliśmy dotychczas.

- Rzeczywiście, ZAN:Władze wiele dla was zrobiły. To najbardziej konserwatywna frakcja ze wszystkich.

- Umożliwiły twoje istnienie.

- Właśnie. A teraz, jak zniedołężniały rodzic, zazdrosny o naszą młodość i wizję, stara się nas powstrzymać.

- On ani nie wspiera, ani nie powstrzymuje waszych ambicji, jest jak zawsze, neutralny. My, z drugiej strony, nie jesteśmy. Znajdźcie sposób robienia tego, co chcecie, bez szkodenia innym, bez narażania galaktyki na niebezpieczeństwo.

- Nie robimy nic z tych rzeczy. Nie możecie powstrzymać naszego wyniesienia w coś wspaniałego i wielkiego. Nie próbujcie. To właśnie wam mówię. Doszliśmy do końca żmudnej rutyny, ty i ja. Następnym razem, kiedy się spotkamy, nie będzie to siedzenie w knajpie nad przyjacielskim drinkiem.

- Jeśli tak ma być, to tak będzie.

Dostawca patrzył, jak Marius obdarza go smutnym uśmiechem, a potem wypływa z lokalu. Dopiero wtedy z drzeniem wypuścił powietrze.

- Och, drogi Ozzie - szepnął. Nie mogę już tego więcej robić.

\*\*\*

Burza wzmagąca się stale od trzech godzin. Nieprzerwana chmura miniaturowych lodowych sztyletów mknęła poziomo nad gruntem i waliła w pełzacza z prędkością bliską stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Hałas był zdumiewający, jakby przepychali się naprzód przez szklaną dzungłę.

Tak jak przedtem, ziemia przesunęła się bez ostrzeżenia, powodując, że pełzacz gwałtownie się zakołysał. Corrie-Lyn mocniej chwyciła za poręcz fotela. Było to piąte minitrzęsienie w ciągu godziny. A oni zbliżali się do siebie coraz bardziej.

- Przepraszam - powiedziała Corrie-Lyn.

Siedziała obok Iniga, a on usiłował prowadzić pełzacza przez pagórkowaty kraj, zakuty w swój kształt wieczną marzłocią. Wiatr wymiatał metodycznie cały sypki śnieg, zebrany w



wydmach i szczelinach. Śnieg twardniał, wznosił się w powietrze i dołączał do atmosferycznego kłębowiska. Przez wąską przednią szybę nie widzieli już nic, nawet potężne reflektory dawały co najwyżej mętną poświatę w bezlitosnej zawiei. Czujniki pełzacza mogły tylko zeskanować śmieszne piętnaście do dwudziestu metrów naprzód. Bioniczne skanowanie Iniga jedynie uzupełniało tę wizję.

- Nie ma czego żałować - powiedział Inigo.

Ujął jej dłoń. Corrie-Lyn pochyliła się ku niemu.

- Gdyby nie przybył, nic z tego by się nie wydarzyło. Zespół odzyskujący nadal byłby żywy. Ty mógłbyś nadal ratować ludzi.

- Wszechświat tak nie działa. Znaleźliby mnie tak czy inaczej. Cieszę się, że to byłaś ty.

- Ja cię zabiłam. Po jej piegowatych policzkach płynęły łzy. Inigo zatrzymał pełzacza i objął ją ramionami.

- To tylko strach, który czujesz. Nie możesz nikogo winić, a siebie już najmniej ze wszystkich.

- Jak możesz być tak spokojny?

- Wszystko, co widziałem, co pokazał mi Edeard, daje mi nadzieję. Nadzieja nie umiera dlatego, że stracono życie, nawet życie miliona. Rasa ludzka trwa. Podejmowaliśmy życie na nowo już wcześniej, wiele razy, podejmiemy je znowu.

- Tak głupi jak zawsze burknęła, ocierając łzy.

Ujął jej dłoń uniósł do twarzy, a potem powoli zlizął wilgoć z jej palców.

- To moja Corrie-Lyn. Przytuliła się do niego.

- Nadal myślę, że to moja wina. Nie powinnam pozwolić, by ten psychopata mnie do tego namówił.

- Z tego, co mi opowiedziałaś, wnioskuję, że nie miałaś wielkiego wyboru.

- Mogłam być śmielsza. Mogłam zrzucić go ze skały, tak jak ty to zrobiłeś.

- Cóż, w końcu niewielka różnica, prawda?

- Wolę nie spędzać z nim swoich ostatnich chwil, dziękuję.

- Nie jesteśmy jeszcze martwi. Inigo puścił ją i znowu odwrócił się do konsoli. Jeszcze tylko dwieście kilometrów do mojego kosmolotu.

- Naprawdę go masz?

- Mam go naprawdę. Spryciarz ten Aaron, że się tego domyślił. Pełzacz znowu szarpnął do przodu. Corrie-Lyn wstała i stanęła za Inigiem. Dłonią masowała mu ramiona.

- Ile przejechaliśmy?

- W ciągu ubiegłych siedemnastu godzin około osiemdziesięciu kilometrów. - Wskazał głową szybę przednią. - Tam, na zewnątrz, jest coraz gorzej. Chyba trzęsienia to początek implozji. Nic dziwnego, że atmosfera wariuje.

- Nie uda nam się, prawda?

- Nie.

Pochyliła się i uszczypnęła go w ucho.

- Hej, jesteś mesjaszem. Powinieneś inspirować swą trzódkę.

- Czy trzódce wystarczą rzeczy pewne?

- Myślałam, że prawdy niepodważalne nie istnieją.

- Widzę, że będzie z ciebie trudny konwertyta.

Pełzacz zatrząsł się konwulsyjnie, kiedy krajobraz na zewnątrz się wybrzuszył. Corrie-Lyn zacisnęła mocniej chwyt, by nie rzuciło jej na metalowy pokład.

- Pani! - warknął Inigo.

Portal ukazujący obraz z czujników pokazywał szczelinę w gruncie biegnącą niemal równoległe do pełzacza, w niektórych miejscach szeroką na przeszło dwa metry. Przed trzęsieniem jej tam nie było.

Inigo zwiększył prędkość gąsienic. Kołyszając się, odjechali od szczeliny.

- Dlaczego nas porzuciłeś? - zapytała Corrie-Lyn.

- To dość proste - odpowiedział. - Byłem zmęczony. Zmęczony oczekiwaniami. Zmęczony Radą. Zmęczony pochlebstwami.

- I mną?

- Nie, tobą nigdy. Nie zostałam tam tak długo, gdyby nie ty.

- Nie wierzę ci.

Inigo się zaśmiał.

- Jeśli nie jesteś czymś niepodważalnym, niewątpliwie jesteś stałą. Dlaczego mi nie wierzysz?

- Ponieważ cię znam, albo znałam wtedy. Wierzyłeś w sny, w życie, jakie ukazał nam Stąpający po Wodzie, życie, które moglibyśmy pędzić w Pustce. Nigdy się nie męczyłeś, co to, to nie. Nie, gdy byłeś naszym Śniącym. Co się stało?

- Może nie powinienem był wyjeżdżać. Pani, zobacz, co się stało, z powodu mojego wyjazdu. Ethan jako Konserwator! Istniały przyczyny, wiesz, dla których nigdy nie został wyniesiony do Rady. Dlaczego konklawe na niego głosowało? O czym myśleliście?

- O zmianie - warknęła. - O Pielgrzymce. Drugi Śniący ją umożliwił, albo przynajmniej sprawił, że można było w nią wierzyć. Ale to nie ma nic do rzeczy, tak jest dzisiaj, a nie siedemdziesiąt lat temu. Czemu, Inigo? Czy nie jesteś mi przynajmniej winien odpowiedzi na to pytanie?

- Był sen - szepnął.

Jego umysł wypuścił do gajafery powódź smutku, tak silną, że Corrie-Lyn zadrżała z przerażenia.

- Ostatni sen? - wydyszała. - Czy jest rzeczywisty?

- Nie tak, jak o nim mówiono.

- Ale Stąpający po Wodzie umarł. To było jego zwycięstwo, w końcu przeżył wszystkie życia. Władcy Niebios prowadzili jego duszę do Morza Odyńa. Byłam tam, warknęła. - Przeżyłam ten sen, sen, który nam dałeś. Leżałam na stosie pogrzebowym na szczycie największej wieży w Eyrie i patrzyłam, jak Władcy Niebios powracają i wypełniają niebo nad Makkathranem. Wznosiłam się z nim, a całe miasto śpiewało hymn pożegnalny. Otrzymałam jego ostatni podarunek dla świata. Udał się do Serca Pustki! To było takie piękne i ja w to wierzyłam. Wierzyłam w ciebie. - Corrie-Lyn przepchnęła się obok fotela Iniga i uklękła, z twarzą o kilkanaście centymetrów od jego twarzy. To jest sen, który nieczęsto wzywałam ponownie, ponieważ jest tak potężny, że płacę za każdym razem nad tym, czego ci z nas, którzy są uwięzieni poza Pustką, nie mieli nigdy. To jest ten sen, który się liczy. To jest właśnie przyczyna, dla której jestem członkiem

Żywego Snu, twojego ruchu. I właśnie dlatego zawsze nim będę, bez względu na to, kto rządzi, czy jakie drobne intrygi polityczne wpływają na Kleryków. Ty nam to dałeś. Ty spowodowałeś, że śnimy.

Inigo wpatrywał się w czujnikowe odwzorowanie zdradliwego gruntu, nie chcąc patrzeć jej w oczy. Jego gajafejsy zamknęły się, odcinając uczucia.

- To tylko ja - powiedział. - To wszystko. To była tylko moja reakcja. Nie istnieje nic, co by powstrzymało Pielgrzymkę, nic, co przeszkodziłoby wiernym w osiągnięciu doskonałego życia. To po prostu dotknęło mnie.

- Co to jest? Proszę, Inigo?

- Miałem jeszcze jeden sen - powiedział, nadal patrząc na display. - Widziałem, co stało się z Qierencią później. Po tym, jak umarł Stąpający po Wodzie. To było życie jednego z jego potomków, żyjących w Makkathranie.

- Co oni zrobili? - zapytała. - Czy wykorzystali dar niewłaściwie? Grunt znowu się zatrasnął.

- Nie - odpowiedział Inigo ze słabym uśmiechem. - Wykorzystali go idealnie.

Corrie-Lyn skrzywiła się z irytacją, kiedy trzęsienie się wzmogło. Ścisnęła kurczowo tył fotela Iniga. Obydwoje spojrzeli po sobie, gdy pełzacz zaczął się przechylać. Display czujników pokazywał, jak grunt podnosi się i rozłamuje.

Inigo szybko załadował do małego smartnetu pełzacza krótki kod. Z dolnej części kadłuba wystrzeliły kotwice i wwierciły długie kolce w kruchą glebę. Supersilne liny nawijały się znowu; napięte, zaciskały uchwyt maszyny na kotwicach.

- Inigo! - lamentowała Corrie-Lyn. Złapał ją za rękę.

- Jesteśmy razem - obiecał i otworzył do niej znowu swój umysł. Grunt pod pełzaczem kołysał się z tubalnym rykiem. Wszystkie sześć kolców kotwicznych wyskoczyło z dezintegrującej się gleby i walnęło w bok pojazdu z potężnym brzdękiem.

- Razem.

Pełzacz zaczął się toczyć. Corrie-Lyn zawyła w panice, gdy rzuciło ją na bok kabiny, a potem ściany dalej zmieniały

położenie. Inigo wisił do góry nogami w swym fotelu, gdyż uprzęż bezpieczeństwa trzymała go na miejscu. Corrie-Lyn przekoziółkowała w dół, na tył kabiny, kiedy zmienił się kąt nachylenia. Pełzacz ślizgał się na dachu. Następny wstrząs gruntu postawił go sztorcem na dziobie, po czym pełzacz wykonał koziołka. Kilka szafek magazynowych otwarło się z trzaskiem, wypływając deszcz ubrań, naczyń i pakietów z żywnością, które zalały wnętrze, niebezpiecznie podskakując.

Corrie-Lyn straciła chwyt. Wyrzuciło ją z kambuza i ciskało nią po wnętrzu pojazdu. Czuli, że złamała rękę, kiedy uderzyła o drzwi wyjściowe. Straszny ból otępił umysł, nawet kabina zanurzyła się w szarość. Pomyślała: To właśnie koniec.

Parę zboliałych oddechów później, nadal skomlała skulona tam, gdzie upadła. Pełzacz przestał się poruszać.

- Trzymaj się. - Inigo przekrzykiwał nieustanne wycie zawiei. - Idę do ciebie.

Patrzyła na niego przez mgiełkę, jej żołądek wywracał się na nice. Inigo musiał wspiąć się po boku kabiny. Wyginał się wokół przednich siedzeń ze zręcznością cyrkowego człowieka-gumy. Z jakichś przyczyn pełzacz zatrzymał się, stojąc na dziobie, z pochylonym pokładem.

Inigo znalazł się wreszcie na oparciu fotela kierowcy, tuląc ją w objęciach. Patrzyła w górę na ściankę działową z otwartymi drzwiczkami małej szafki.

- Moja ręka. - Płakała. Tępy ból wzrastał się do gorących katuszy. Displeje medyczne w jej egzowizji migały raportami uszkodzeń tkanek.

Inigo rozejrzył się po kabinie.

- Te pełzacze zawsze mają pakiety medyczne. Gdzieś tu powinien być. Każ nerwom wyłączyć ból.

Skinęła głową i omal nie pisnęła. Koncentrowanie się na fizjologicznych ikonach było trudne, ale w końcu jej drugoplanowe programy pozamykały nerwy prowadzące do ramienia. Miała też uszkodzoną kostkę, choć tu uszkodzenia, w porównaniu z uszkodzeniem ramienia, były nieznaczące. Gdy ból

ustąpił, westchnęła głęboko. Niestety, nic nie mogła poradzić na mdłości.

Inigo zostawił ją i grzebał w gratach rozrzuconych dokoła. Znalazł pakiet pierwszej pomocy. Pakiet zaczął analizować dane przekazane przez klaster wielkokomórkowy kobiety i wypuścił różne biplastikowe wyrostki, które owinęły się na jej ramieniu. Inigo odciął rękaw, by dać im dostęp do skóry.

- I co teraz? spytała.

Spojrzał na portalowy displej, który pozostawał zdecydowanie pusty.

- Jesteśmy wklinowani w szczelinę, z dupą sterczącą w powietrzu. Tyle, jeśli chodzi o godność.

- Czy twoje funkcje polowe mogą nas wydostać?

- Z trudnościami. Choć chyba mogę spróbować.

- To dobrze. Niemal się o to niepokoiłam. Zaśmiała się, pogładził ją po twarzy.

- Poczekamy minutkę. Chcę mieć pewność, że z tobą wszystko w porządku, zanim cię zostawię.

- Nie chcę, żebyś natychmiast odchodził - powiedziała drżącym głosem.

- Więc zostanę. Nie śpieszy nam się. Nie dziś.

\*\*\*

Kazimir zadzwonił, gdy „Alexis Denken” był zaledwie dziewięćdziesiąt minut od „Arevalo”.

- Właśnie straciliśmy łączność z „Lindauem” powiedział.

Pauli, która siedziała przy fortepianie, próbując znowu opanować „Dla Elizy”, opadły ramiona.

- O, cholera. Myślałam, że masz zamiar ich ostrzec, by byli ostrożni.

- Więc teraz Aaron ma statek floty?

- Statek zwiadowczy. I to może być Inigo.

- Albo sam Stąpający po Wodzie. Albo powrócił Nigel. Albo może... - Nie wymówiła ostatniego imienia.

- Nie ma potrzeby być okrutnym.

- Gonimy w piętę, Kazimirze.

- Wiem. Ale jest nieco dobrych wiadomości. „Lindau” może się nie komunikować, ale nadal mogę go śledzić.

- W jaki sposób?

- Wszystkie napędy floty generują wtórny kanał transwymiarowy. Kanał jest wykorzystywany tylko do jednej rzeczy do powiadamiania nas o ich położeniu, właśnie na wypadek taki jak ten.

- Nic o tym nie wiedziałam. Więc gdzie on jest teraz?

- Nadal na Hanko.

- Ciekawe. Jeśli byłbyś Aaronem i dostał dla siebie łódź ratunkową, czemu miałbyś czekać na planecie, która za chwilę imploduje?

- Aby znaleźć to, po co tam w ogóle przybyłeś.

- Właśnie. Informuj mnie na bieżąco.

- Oczywiście.

- Czy zamierzasz wysłać następny statek?

- „Yantze” już tam leci. Wątpię, czy dotrze na czas.

- Okręt klasy Rzeka, nie mniej? Traktujesz to teraz poważnie. Miejmy nadzieję, że będzie miał więcej szczęścia niż „Yenisey”

- I „Lindau”.

\*\*\*

Na zewnątrz Colwyn City padał deszcz, mgliste obłoki mżyły na pola i pagórki plamami zimnej wody. Posępny dzień, skazany przez brak wiatru na cierpienie pod mgłą, która dławiała kraj i zaciemniała wysokie partie nieba z ich różowymi cirrostratusami. Jednakże wewnątrz pól siłowych było sucho i słonecznie, ponieważ zakrzywione bariery ochronne rozcinały i odchylały na boki ponurą aurę.

Kobieta wykorzystywała w pełni sztuczną pogodę, niespiesznie spacerując pod górę alei Daryad i oglądając wystawy. Połowa sklepów w alei pozostawała otwarta, choć wiele barów i restauracji zamknięto. Dostaw produktów w Colwyn City nie było - najeźdźcy zamknęli cały ruch kapsuł.

Tego ranka większość ludzi szła w dół ulicy, ku rzece. Dziś miała przybyć delegacja senatu. Mieszkańcy chcieli ją powitać,

gdy ich kosmolot wyląduje w dokach. Senatorowie nie mogliby zignorować takiego powitania. Już w tej chwili, na granicach strzeżonego terenu zbierał się tłum.

Kobiety to nie obchodziło, albo w ogóle o tym nie wiedziała. Młoda i atrakcyjna, miała na sobie modną szaroniebieską suknię, której spódnica odsłaniała długie nogi. Mężczyźni schodzący w dół zбочa rzucali jej pełne zachwyty spojrzenia i gwizdali na jej widok. Uśmiechała się wyniośle i ignorowała ich uwagę. W jakiś sposób udawało się jej także ignorować ellezelińskie kapsuły paramilitarne, przemykające nisko z włączonymi syrenami i strobującymi laserami oświetlającymi chodnik.

Ignorowała je do tego stopnia, że nie zauważała trzech większych kapsuł krążących na niebie nad dachami domów. Nie była świadoma, że nagle przestały krążyć i gwałtownie zanurkowały. Zorientowała się dopiero, gdy hamowanie z opóźnieniem siedmiu g cisnęło je w dół tuż obok niej z taką siłą, że fale powietrza wybiły szybę wystawy, którą właśnie oglądała. Wrzasnęła, kiedy została boleśnie rzucona na kolana wśród połyskujących odłamków. Rękami zasłoniła głowę. Wielkie kapsuły zatrzymały się dziesięć centymetrów nad betonem. Drzwi z plastmetaluminium otworzyły się szybko i wyskoczył z nich major Honilar. Ustawił swój zespół powitalny w szyku „otocz i zabezpiecz” - kobieta znalazła się w centrum kręgu piętnastu dysz broni energetycznej wielkiego kalibru. Krzyczała, kiedy ją otoczyli. Spływała krwią ze stu małych ranek, suknię miała w strzępach.

- Zamknij się, do cholery! - wrzasnął na nią major Honilar. Wszyscy na zewnątrz trzech kapsuł, którzy padli płasko na ziemię, unieśli głowy, by zobaczyć, co, na Ozziego, się dzieje. Zobaczyli, jak ubrany w pancerz osobnik chwytą kobietę za włosy i podnosi ją brutalnie, stawiając na nogi. Zobaczyli jej znękaną, okaleczoną twarz. Zobaczyli przerażającą ilość krwi, która plamiła jej ubranie i obficie kapała na chodnik. Kilku co bardziej sprytnych przekazało to, co widzą bezpośrednio do serwisów informacyjnych unisfery.



- Araminto, jesteś teraz w areszcie ochronnym Tymczasowych Sił Ellezelinu.

Postać w skafandrze pchnęła ją ku najbliższej kapsule.

- Co to?! - zaprotestował ktoś z ulicy.

Jeden z zespołu powitalnego wypalił mały wzmocniony pocisk wybuchający nad ich głowami. Detonacja zmusiła wszystkich, by się znów skulili na ziemi.

- Każdy, kto będzie zakłócał naszą operację, zostanie zastrzelony! - oznajmił głośno major Honilar.

Wepchnął zakrwawioną, łkającą kobietę do kapsuły, która natychmiast się uniosła. Jej plastmetalowe drzwi jeszcze się zamykały, gdy kapsuła osiągnęła wysokość dachów. Pozostali z zespołu powitalnego wycofali się do swoich kapsuł, celując w rozciągniętych na ziemi widzów według klasycznych procedur wycofywania się na wrogim terenie.

Oscar i jego zespół, siedzący na balkonie kawiarni naprzeciwko rozgrywającego się dramatu, obserwowali, jak ostatnia kapsuła unosi się pośpiesznie w sztucznie oczyszczone niebo nad miastem.

- Dobry rozstaw sił stwierdziła Beckia z niechętnym podziwem. Nosiła beret ze srebrną lamówką w miejscowym stylu i wyglądała jeszcze bardziej urzekająco niż zwykle.

- Tak subtelne jak kop w jaja - odparł Tomansio lekceważąco. Spójrz tylko na nich. - Machnął dłonią na odrętwiałych obywateli, którzy z wolna wstawali na nogi. Na ich twarzach malował się gniew.

Oscar patrzył, jak kilku z nich wymachiwało pięściami w stronę nieba, wykrzykując przekleństwa. Cieszył się, że znowu nosi cywilne ubranie. Po dzisiejszym dniu wyglądało na to, że każdy ellezeliński żołnierz złapany w pojedynkę będzie miał mało powodów do radości.

- Major Honilar jest chyba rozdrażniony - zauważyła Beckia. - Co to było: pięta Araminta, którą wynalazł dla niego dziś rano program rozpoznający?

- Liatris nieźle się spisuje skomentował Tomansio.

- Wątpię, czy ostatnia ofiara myśli tak samo - powiedział Oscar.

Nie mógł już pić swego aromatyzowanego cynamonem espresso. Bezwzględność, którą właśnie zobaczył, wzbudziła w nim silne poczucie winy. Ta biedna kobieta była niewinna, jedyna jej zbrodnia to posiadanie mniej więcej tych samych rozmiarów i rysów, co prawdziwa Araminta. W ten sposób za cały incydent można było winić oprogramowanie rozpoznające, które zebrało jej obraz z jednego z czujników w alei Daryad i podało zespołowi powitalnemu jej współrzędne.

- To twoja operacja, Oscarze - powiedział z przyganą Tomansio.  
- Wiedziałeś, co trzeba będzie zrobić. Nie odgrywaj teraz przed nami łagodnego.

- Ze wszystkich ludzi w galaktyce jestem jedynym, który naprawdę rozumie pojęcie strat towarzyszących - oznajmił Oscar.

- Rzeczywiście. Więc wiesz, że to była niezbędna ofiara w ludziach.

- To nie znaczy, że była słuszna.

- Oscarze, najazd Ellezelinu na Viotię nie jest słuszny. Polowanie na Aramintę nie jest słuszne, ale robimy to, bo wszyscy wiemy, że trzeba ją znaleźć.

- Jak się nazywała? - spytał Oscar, patrząc w szeroką aleję.

Teraz więcej ludzi schodziło ulicą; chcieli, by ich żądania usłyszała delegacja senatu. Wiedział, że to jałowe. Żywy Sen nie dbał ani o ich opinię, ani o opinię senatu. Delegacja, rozmowy z Phelimem i premierem miały jedynie na celu danie zespołowi powitalnemu więcej czasu na znalezienie swojego celu.

- Czy to ważne? - spytała Beckia.

- Tak, w gruncie rzeczy tak - odparł Oscar. - Wykorzystaliśmy ją.

- Powiem Liatrisowi, by w wolnej chwili sprawdził, co się z nią dzieje - oznajmił Tomansio.

- Dziękuję.

Tomansio i Beckia skończyli drinki. Oscar nadal nie mógł się zdobyć na dopicie swojego. Krzywdzono ludzi, i to za jego sprawą. Wiedział, że to głupie, ale naprawdę, kiedy się zgodził pomagać Pauli, nie brał pod uwagę tego aspektu operacji. Kod unisferowy interfejsu Dushiku wisiał w jego egzowizji tak

bardzo, bardzo kuszący. Omówienie spraw ze swym spokojnym, racjonalnym partnerem sprawiłoby, że wszystko wyglądałoby znacznie lepiej. Była to także oznaka słabości, do której Rycerze Strażnicy nie odnieśliby się zbyt miło. Westchnął więc, kiedy Tomansio i Beckia wstali od stołu i spojrzeli na niego pytająco.

- Już idę powiedział.

Wzięli taksówkę sprzed kawiarni. Pojechała szybko i gładko po szynach pośrodku alei Daryad w górę zbiega do kwartału wyższych nowoczesnych budynków. Dziesięć minut później taksówka wyrzuciła ich w pasażu Palisera, gdzie weszli do baru, o kilka poziomów społecznych niższego od kawiarni, którą właśnie opuścili. Bar był wklinowany między warsztatem remontowym trycykli a hurtowym magazynem opakowań. W taniej ramie kompozytowej, którą miał zarosnąć lądowy koral, ktoś pomylił hormony przycinające i pozostawił jeden róg i połowę dachu zniekształconą, z bryłami i szczelinami. Przed dziesięcioleciem nad większością pęknięć przyklejono płyty plastiku, chroniąc wewnątrz przed żywiołami, ale nie wyglądało to estetycznie. Mnóstwo łat odłaziło. Obecny właściciel wepchnął je z powrotem i utrzymywał na miejscu grubą czarną taśmą. Ziemiste grzybowe chwasty wyrastały z ospowatych blizn na dachu, pasożytując na marnej odżywcze koralu.

Oscar spojrzął na koniec ulicy, gdzie na skrzyżowaniu stał wielki budynek sieci konfluencji Colwyn City. Przysadzisty i wyniosły, wyglądał jak forteca w porównaniu z zaniedbanymi konstrukcjami dookoła.

Wewnątrz bar prezentował się niewiele lepiej. Okna zasłaniały stare reklamy holograficzne, a podniszczone paski oświetleniowe nad głową niewiele poprawiały iluminację. Rozproszone stoliki stały na starej drewnianej podłodze, przemieszane ze stołami bilardowymi i stacjami do gry w tri. Tylko kontuar miał przyzwoite oświetlenie z zawieszonych białych kul, rzucających mdły blask na piwne krany.

Na sali było najwyżej dziesięciu klientów. Dwóch zagorzałych bywalców na stołkach przy barze ustawiło przed sobą kieliszki napitków i aerosole, jeden samotnik siedział przy automacie do

tri i karmił go monetami; pozostali garbili się przy stolikach. Wszyscy zignorowali nowo przybyłych.

Tomansio zamówił u barmana cztery piwa i zajęli stół w rogu. Podtoczył się bot obsługi ze szklankami. Dwie minuty później powolnym krokiem wmaszerował Cheriton. Przyciągnął niektóre spojrzenia zwłaszcza jego szara jesionka, tak ciasno zapięta, że nie odsłaniała jego „tubylczego” ellezelińskiego ubrania. Ale nic nie mogło ukryć kapelusza - trzymał go w dłoni.

- Tak? - spytał Tomansio, kiedy Cheriton siadł.

Ekspert od gajaszery wznosił szklankę, a inni wykorzystali swą biononikę, by zbudować pole ekranujące.

- Panuje paranoja. Mają skanowanie sieci budynku i zapisują wszystkie rozmowy. Gdybym zaszyfrował cokolwiek, co przesyłam, spuściliby na mnie kłatkę.

- Czy coś podejrzewają?

- Nas nie, ale wiedzą, że ktoś sabotuje poszukiwania zespołu powitalnego. Nie jesteśmy tutaj jedyną tajną drużyną.

- Liatris zauważył co najmniej dwie inne infiltracje - poinformowała go Beckia.

- Cóż, mówiąc między nami, najwyraźniej poruszyliśmy gniazdo zmijarów nieufności. Trzeci Śniący w tym nie pomógł.

- Pomyślałbym, że im się to spodoba - zauważył Tomansio. - Połączenie niemal w czasie rzeczywistym z wnętrzem Pustki, które pokazuje, że możemy dostać się do środka i że kiedy się tam dostajemy, mamy moce parapsychofizyczne.

- Żywy Sen z pewnością cieszy się z tego, ale powstaje pytanie, dlaczego nasz kochany Kleryk Konserwator nie został wybrany do żadnego obcowania, a jeśli już o to chodzi, to również nikt z Rady Kleryków.

- Czy teraz polują również na Trzeciego Śniącego?

- Nie. Przypuszcza się, że jest to ktoś z silnym naturalnym powiązaniem z Justine.

- Co masz na myśli, mówiąc „naturalne powiązanie”?

- Zawsze zakładano, że Inigo jest w jakiś sposób spokrewniony z Edeardem, że istnieją jakieś dalekie powiązania rodzinne. Ponieważ nie wiemy, który statek kolonialny znalazł się w końcu

w Pustce, to powiązanie musi pozostać bez dowodu. Tak więc Żywy Sen zakłada to samo o Justine.

- Nie zostało zbyt wiele powiązań powiedział z namysłem Oscar. Przebywa we wnętrzu ZAN od wieków. Wszyscy jej współcześni też tam przebywają lub umarli naprawdę.

- Nie licząc admirała Kazimira zauważył Cheriton.

- Nie!

- Prawdopodobnie nie - przyznał Cheriton. - Ale, tak czy siak, i tak nigdy nie będziemy w stanie tego wyśledzić. Sen Justine emanował z gajASFery światów Centralnych. Tam gniazda konfluencji są budowane i konserwowane przez Elewatów. Żywy Sen nie ma do nich dostępu.

- Dzięki za to Ozziemiu - powiedziała Beckia.

- Poczekajcie - wtrącił Oscar. - Araminta raczej nie jest powiązana rodzinnie z Władcą Niebios.

Cheriton uśmiechnął się.

- Ta teoria ma jeszcze pewne luki.

- Więc Żywy Sen skupia uwagę w dalszym ciągu na Drugim Śniącym? - spytał Tomansio.

- Bardzo silnie. - Cheriton jeszcze raz pociągnął łyk piwa. - Musicie wprowadzić Liatrisa do sieci mego budynku i przerobić ich programy monitorujące, by zapewnić mi bezpieczny kanał. Jeśli tego nie zrobi, to ja, po wysłaniu wam sygnału ostrzegawczego, będę musiał użyć siły, chcąc się wydostać.

- Przekażę mu to.

- Jak postępy z Danalem i Mareble? - spytał Oscar.

- Jakieś są, choć nie jestem pewien, czy wiele pomogą. Danalowi odczytano pamięć.

Wszyscy wokół stołu skrzywili się.

- To samo zrobiono wszystkim spędzonym po rajdzie na apartamentowiec - ciągnął Cheriton. - Zabrałem Mareble do ich sztabu w dokach. Chciała go zobaczyć, ale nadal jest w areszcie, a jej ograniczono swobodę poruszania się. Obecnie, według majora Honilara, sama znajomość z Aramintą jest zbrodnią.

- Wobec tego nie ma z nich pożytku?

- Tego bym nie powiedział.

Beckie rzuciła Cheritonowi znaczące spojrzenie.

- Nie?

- Co miałem robić? Syndrom wesolej wdówki dostał prawdziwego hipernapędu, kiedy tam byłem. Była bardzo zdenerwowana, gdy odprowadziłem ją do pokoju hotelowego.

- Ozzie drogi. - Oscar zachichotał do swego piwa.

- W ten sposób staję się naprawdę oddanym, wspierającym przyjacielem - powiedział Chariton tonem lekko obronnym. To może okazać się użyteczne. Dzięki metodom działania Phelima mnóstwo wyznawców zostało zachwianych w wierze. Nie na to się pisali.

- W porządku, dobra robota - ocenił Tomansio. Cheriton odstawił piwo na stół.

- Czy macie jakiś pomysł, gdzie może być Araminta?

- Żadnego. Liatris zapuścił setkę programów analitycznych, próbując wywnioskować, gdzie mogła się schronić. Honilar nie będzie daleko za nim - nawet on w końcu się zorientuje, że ktoś rozmyślnie rozprasza jego uwagę.

- Wspaniale. Wtedy naprawdę zapanuje paranoja.

- Zabiorą się zaraz za jej rodzinę powiedział Oscar. - Zrobią wielki plusk, kiedy ich aresztują, by ją wypłukać na zewnątrz.

- Chcesz ich ostrzec? - spytał Tomansio.

- Jeśli nam uwierzą - a to wielki znak zapytania - może to utrudnić Honilarowi ich zgarnięcie. Najgorszy scenariusz, że zajmie mu to dodatkowe pół godziny. Ciągłe mi powtarzasz, że cenna jest każda minuta.

- To jakiś plan. Zacznę ich wywoływać.

- Będzie lepiej jak wrócę - powiedział Cheriton. Wstał i prześlizgnął się przez ekran odosobnienia.

- Z programów dozorujących nie mamy nic o Cressidzie - powiedziała Beckia, kiedy czekali na Tomansia, aż skończy swoje anonimowe rozmowy z rodziną Araminty. - Teraz pójdziemy do „U Nika” i zobaczymy, czy któryś z jej dawnych kolegów da nam jakąś wskazówkę, gdzie też ona może przebywać.

- Jasne - odparł. Jego u-adiunkt zawiadamiał go, że na bezpiecznym kanale wzywa go Paula.

- Jakieś postępy? - zapytała.

- Drugi Śniący to Araminta, tubylka z Viotii. Jak na razie, udało jej się wyślizgnąć wszystkim. Łapiemy każdy trop, jaki dostajemy, ale nie jesteśmy tutaj jedyni.

- Jesteście pewni, że to Araminta?

- Och, tak. Oscar uśmiechnął się czule, kiedy przypomniał sobie ich drugą wizytę w apartamentowcu. Naprawdę zaśmiał się głośno, kiedy zauważył leżącą na podłodze łazienki pokrywę zbiornika na wodę. I, z tego, co zdołali ustalić, zatrzymała się na filiżankę herbaty i biszkopty, zanim się stamtąd wymknęła. To była prawdziwa klasa albo całkowite szaleństwo. W każdym razie, cieszył się na moment, kiedy w końcu ją spotka. - Żywy Sen też to wie.

- Czy możecie dopaść ją pierwsi?

- Zrobimy co w naszej mocy.

- Muszę ci coś powiedzieć - oznajmiła Paula.

- Przeczuwam złą wiadomość.

- Pewien agent frakcji ma potężny kosmolot, równoważny twojemu. Wystrzelił broń czarnodziurową w Hanko. Planeta właśnie imploduje.

Skóra Oscara zrobiła się zimna. Patrzył na kolorowe hologramowe reklamy w barze, ale ich nie dostrzegał.

- Hanko?

- Tak. Przykro mi, Oscarze.

- Ale ja dowodziłem „Dublinem” w czasie ataku alf - zaprotestował słabo. Broniąc Hanko, przeszliśmy przez piekło.

- Wiem. To jest nowy i bardzo niebezpieczny typ broni. Nikt się nie spodziewał, że zostanie wykorzystana w taki sposób. Mówię ci o tym, żebyś zrozumiał, że frakcje ogarnia desperacja. Bądź bardzo ostrożny, pozyskując tę Aramintę. To nie zabawa.

- Rozumiem. Dlaczego Hanko jest dla nich taka ważna?

- Mógł być na niej Inigo.

- Łał. Rozumiem. Czy udało mu się uciec?

- Nie wiemy. Nie ma już łącza komunikacyjnego z planetą.

- Cholera.

- Oscarze. Jest jeszcze coś. Mówię ci to na wypadek, gdybym zniknęła. Podejrzewam, że istnieje duża szansa, że ten agent to Kotka.

- Och, nie. Nie, nie, nie. Nie ona. Ona jest w zawieszeniu. To ty ją tam wsadziłaś, na rany gościa. To była jedna z rzeczy, o której się dokładnie upewniłem, gdy mnie wskrzesili.

- Jeszcze nie wiem tego z pewnością. A jeśli to ona, będzie to tylko klon.

- Tylko klon? Jezu. Gdzie ona jest?

- Nie wiem. Ale jeśli pojawi się na Viotii, twoi Rycerze Strażnicy mogą mieć pokusę, by cię opuścić.

- O, cholera! - powiedział głośno, bardzo głośno. Beckia i Tomansio rzucili mu zaciekawione spojrzenia.

- Teraz wiesz powiedziała Paula. - Możesz przedsięwziąć środki zapobiegawcze.

- Środki zapobiegawcze? Przeciwno Kotce w statku z supernapędem z superbronią? Jaki szalony kretyn pozwolił jej mieć takie rzeczy?

- Jak mówiłam, frakcje są coraz bardziej zdesperowane.

- Poczekaj. Dlaczego miałybyś zniknąć?

- Ona albo ktoś taki jak ona próbował mnie zabić. Prawdopodobnie spróbuje znowu. Wiesz, jaka jest.

- Chcę do domu.

- I tam polecisz. Już niedługo.

- Cholera, nienawidzę cię.

- Nienawiść jest dobra. Pomaga ci się skoncentrować.

- Nie jest dobra - zaprotestował z irytacją. - Sprawia, że człowiek zachowuje się irracjonalnie.

- Co czyni cię nieprzewidywalnym. Co z kolei sprawia, że twoi wrogowie mają trudności w określeniu twoich działań. Będzie jej trudniej zastawić na ciebie pułapkę.

- Nie miałem żadnych cholernych nieprzyjaciół, zanim mnie w to nie wciągnęłaś.

- Jeżeli naprawdę potrzebujesz wsparcia, przyleć na Viotię. Po prostu wolałabym tego nie robić, jeśli jest jakaś alternatywa. Czy chcesz mnie tam?



Oscar wziął długi wdech i gniewnie patrzył w sufit.

- Nie, mam wszystko pod całkowitą kontrolą. Poleciał swemu u-adiunktowi zakończenie rozmowy.

- Wszystko w porządku? - spytał Tomansio.

- Błogo wspaniale. Chodźmy do „Nika”. - Póki Viotia jeszcze istnieje.

\*\*\*

Wiatry na Hanko zawsze stanowiły problem dla kosmolotów czy innych maszyn latających, bez względu na to, czy wykorzystywały ingraw, czy regrav. Nieprzewidywalne turbulencje wywoływały siły działające na kadłub, które w pobliżu gruntu pchały statek w różne strony. Na dużej wysokości nie miało to wielkiego znaczenia, nad poziomem chmur precyzja nie była niezbędna. Ale blisko gruntu problem narastał. Szkwwały i mikrowyładowania mogły pchnąć cały statek niespodziewanie w dół, co groziło łatwym rozbiciem. W konsekwencji nic nie latało poniżej ośmiuset metrów, chyba że pojazd właśnie lądował w Jajaani. Tak było w warunkach normalnych.

Kiedy zamarznięta powierzchnia planety zaczęła trząść się i zniekształcać przed swą ostateczną, śmiertelną implozją, burze nieprzerwanie przyśpieszały. Siła wiatru wzrosła do ponad dwustu kilometrów na godzinę. Aaron przekonał się, że istnieje tylko jeden sposób lotu przez podobne środowisko: używając takiej mocy i rozwijając taką szybkość, że żaden wiatr nie mógł już mieć wpływu na pojazd.

„Lindau”, schodząc na wysokość pięciuset metrów, dwunastokrotnie przekroczył szybkość dźwięku. Przy tej szybkości, przez gęsty gradowy tajfun, statek nie tyle latał, ile rozrywał próżniową smugę kondensacyjną. Naddźwiękowe obrączkowe fale podmuchu promieniowały od pola siłowego, rozbijając lód i grunt pod nim na ziarnistą ruinę. Gruba kolumna błyskawicy płonęła w zmaconym kilwaterze, a potem rozładowywała się w płachtach rozciągających się na setki kilometrów kwadratowych. Wysoko nad kosmolotem górnym

poziom chmur wybrzuszał się i kipiał, jakby jakieś ogromne stworzenie chwyciło szponami atmosferę planety.

Aaron dotarł do końca swej trasy i wektor przyśpieszenia osiem g uniósł „Lindaua” pionowo. Sekundy później statek wychynął z chmur i z dziesięcioma g ostro skręcał przez jonosferę, by znowu skierować dziób w dół. Pokładowe kompensatory zdołały zdjąć cztery g - Aaron był poddany sile sześciokrotnego ciężenia ziemskiego. Biononika znowu przygotowała jego ciało, kiedy został wepchnięty ponownie w fotel przeciwprzyśpieszeniowy pilota. „Lindau” jeszcze raz zanurkował w dolną atmosferę. Natychmiast zaczął wibrować, z intensywnością, która groziła rozsadzeniem całej konstrukcji. Nawet z ochroną biononiczną Aaron czuł, jak łomoczą mu kości, a mięśnie zostają zgniecione. Sygnały alarmowe wypełniły kabinę wyciem. Czerwone migotanie zdominowało zwykłe oświetlenie, zanurzając go w iluminacji o wzorcu samego piekła. Słyszał, jak rozrywa się przeciążony metal. Gdzieś za nim gaz pod wysokim ciśnieniem wyrwał się z rykiem przez szczelinę. Alarmy toksynowe dodały swą unikatową nutę do ogólnego hałasu. Aaron wzmocnił indywidualne pole siłowe. Błyskawica o jasności słońca zdominowała optyczne czujniki kadłuba, kiedy kosmolot rozpoczął nową rundę pięćset metrów nad gruntem. Drgania stawały się coraz gwałtowniejsze. Aaron ignorował je - przyglądał się uważnie każdemu bajtowi danych z czujników zewnętrznych. W chaosie ostatecznej zamieci instrumenty statku mogły przeskanować z jaką taką dokładnością jedynie kilkaset metrów. Obszar, który przeszukiwał, był ogromną strefą, ciągnącą się od Lodowca Azjatyckiego aż do obozu Olhava. Musiał ją pokryć pasami o szerokości ośmiuset metrów. Pasy musiały nachodzić na siebie pięćdziesięciometrowymi odcinkami, by przeszukanie było całkowite.

„Lindau” skończył swoją maniakalną rundę i śmignął w górę. Podpora kadłuba - zabezpieczenie przed przeciążeniami - pękła, rwąc kable i rury. Połowa oświetleniowych paneli z fotopolimeru zgasała. Schematy smartkoru donosiły o poważniejszym problemie - stracie zasilania w kilku systemach wspierania

napędu. Aaron zmienił displej w ikonę na skraju pola widzenia i znowu zanurkował kosmolotem w chmury z przyśpieszeniem jedenastu g.

\*\*\*

Dostawca teleportował się bezpośrednio do holu i usłyszał, jak Elsie i Tilly kłócą się o grawpiłkę. Miała ją Elsie. Biegła zwycięsko dokoła salonu, trzymając zabawkę w górze i krzycząc:

- Moja kolej, moja kolej!

Tilly goniła siostrę i próbowała wyrwać jej piłkę.

- Wcale nie! - krzyczała sfrustrowana.

Pediatryczny bot domowy unosił się za obydwoma. Zachowywał określoną przepisami bezpieczeństwa odległość jednego metra i siedemdziesięciu centymetrów i beształ je melodyjnie:

- Dzieci, przestańcie wdrapywać się na meble. To jest niebezpieczne. Proszę, uspokójcie się. Dzielcie się swymi zabawkami. To daje satysfakcję.

- Łachudra! - krzyknęła Elsie na bota.

Cisnęła w niego piłką. Piłka uderzyła w górną powierzchnię bota i odbiła się w obłoku niebieskiego holograficznego światła do sufitu, gdzie spłaszczyła się na kilka sekund, a potem wystartowała ku ścianie wśród następnych fotonowych bąbelków. Tilly i Elsie biegły ku niej, z twarzyczkami zaciętymi w determinacji. Obie nie trafiły - piłka wystrzeliła w górę ze śmiesznym odgłosem, „buuu”. Następne odbicie od sufitu i piłka pomknęła prosto ku ulubionej wazie Lizzie, tysiącpięćsetletniemu wytworowi Rebecki Lewis z jej okresu Bryn-Bella.

Dostawca nie cierpiał tego kwiecistego monstrum, ale zdołał złapać grawpiłkę w powietrzu, tuż zanim uderzyła.

- Tata!

Obie dziewczynki natychmiast zapomniały o kłótniach i podbiegły po uściski.

- Mówiłem wam tysiąc razy, byście się tym nie bawiły w pokojach dla dorosłych - napomniał je.

- Tak, tak!

Objęły go, podskakując i ciągnąc, szczęśliwe i podniecone.

- Gdzie byłeś?

- Czy przywiozłeś prezenty? Oddał piłkę domowemu botowi.

- Wszędzie. I nie.

- Ooo!

- Byłem zbyt zajęty, przepraszam. - Utrzymywaniem się przy życiu. W trójkę wkroczyli do kuchni, gdzie Lizzie i domowy bot ogólnego zastosowania przygotowywali kolację na żelaznej kuchence. Rozmaite rondle kipiały, wytwarzając mieszaninę zapachów. Na zewnątrz panowała ciemność - szyby zmieniły się w zaparowane tafle czerni. Lizzie uśmiechnęła się i szybko go ucałowała.

- Cieszę się, że wróciłeś - szepnęła.

- Ja też.

Rose przydreptała chwiejnie z cieplarni, ubrana w czerwono-czarną spódnicę i zielone pończochy.

- Taa-ta.

- Cześć, maleństwo.

Unióś ją i przyczesaj jej niesforne ciemnorude loki.

- Ona dzisiaj powiedziała „bot” - oznajmiła Lizzie.

- Tak zrobiłaś? - zapytał Dostawca. Rosa odpowiedziała uśmiechem, ale milczała.

- To mógł być „but” - przyznała Lizzie. - Może by wasza trójka zrobiła coś pożytecznego i nakryła do stołu?

Dostawca postawił Rose na podłodze i pomagał Tilly i Elsie ułożyć noże i widelce na właściwych miejscach.

- Myślę, że mogę ograniczyć liczbę śledztw - powiedział Dostawca, kiedy znalazł kieliszki do wina dla siebie i Lizzie.

- To dobrze - odparła.

- Przynajmniej te sprawy dalsze od światów Centralnych. To powinny znacznie ograniczyć czas, kiedy będę poza domem.

Nagrodziła jego decyzję pocałunkiem.

- Dziękuję.

Wszyscy zasiedli do kolacji. Domowy bot postawił wielkie naczynie żaroodporne na środku stołu i zdjął pokrywkę.

Dostawca wetknął do środka łyżkę wazową i podniósł trochę parujących...

- Co to takiego? - zapytał z powątpiewaniem.

- Potrawka parówkowa - oznajmiła dumnie Tilly. - Zrobiłam parówki w szkole. Zaprogramowaliśmy szafkę kulinarną aż do trzeciego poziomu, by otrzymać składniki.

- Ja zrobiłam pomidory - pochwaliła się Elsie.

- To wszystko wygląda ślicznie - zapewnił je Dostawca. Przechylił łyżkę i nalał potrawkę na talerz, dodał trochę warzyw i ziemniaków. Lizzie sączyła wino i uśmiechała się do niego sponad kieliszka.

\*\*\*

Kiedy w końcu położyli dzieci do łóżek, Dostawca rozpałił ogień na kominku w salonie. Georgiański dom miejski doskonale izolował przed chłodem wietrznych nocy, ale, jak nauczyła go Lizzie, prawdziwy ogień daje wnętrzu pokrzepiające ciepło. Siedzieli przytuleni do siebie na wielkiej kanapie i dopijali wino.

- Słyszałam dzisiaj pewną pogłoskę - powiedziała Lizzie. - Wiesz, czym zajmuje się mąż Jen?

- Eee, w zasadzie nie jestem pewien. - Pierwszy raz od dłuższego czasu rzeczywiście odpoczywał, a nie udawał spokój przed rodziną.

- Ma coś wspólnego z flotą. W każdym razie mówił mi, że flota Ocisenów może być potężniejsza, niż wszyscy uważają.

- Naprawdę?

Wiedział, że to tylko kwestia czasu, zanim wiadomość o „Yeniseyu” wycieknie.

- Czy coś słyszałeś?

- Nie.

Pamiętał jednak reakcję Mariusa na wiadomości z Hanko. Była dziwna, jakby reprezentant Frakcji Progresywiściów nie wiedział, że użyto m-rząpi Hawkinga.

Czemu miałby go wprowadzać w błąd?

- I wiadomości z Viotii są okropne. Unisfera pokazała, jak paramilitarni chwytają jakąś biedną kobietę. Zaatakowali ją na ulicy bez żadnej przyczyny.

- Straszne. - Chyba że naprawdę nie wiedział. A, jeśli tak rzeczywiście jest, kto jeszcze mógłby dostać rzapie?

- Widzę, że naprawdę cię to obchodzi.

- Przepraszam.

- W porządku. - Przysunęła się bliżej. - Cieszę się, że ograniczasz podróże. Nie masz nic przeciwko temu?

- Mogę znowu je podjąć za dwadzieścia lat. Po prostu nie chcę przepuścić okresu, kiedy dzieci rosną. To unikatowy czas.

Lizzie poklepała go po nodze, kiedy dolewała sobie wina.

- Zuch chłopak.

\*\*\*

Kiedy Dostawca przygotowywał się tego wieczoru do snu, zadzwoniła Frakcja Konserwatywna.

- Potrzebujemy cię, byś dostarczył jutro kosmolot na Pulap.

- Nie - odparł. Z poczuciem winy szybko spojrzął przez drzwi łazienki i zobaczył Lizzie krzątającą się w sypialni. - Nigdy więcej.

- To będzie dla ciebie zupełnie bierna rola, dokładnie jak to początkowo obiecywaliśmy. O ile wiemy, na Pulapie nie ma agentów żadnej frakcji.

- Jeśli on mnie złapie, będziecie musieli mnie ożywiać. Nie chcę tego.

- Od tej chwili do monitorowania Mariusa będziemy wykorzystywać kogoś innego. Pracownika, który przyjmie bardziej aktywną rolę niż ty.

- Och.

- Co więcej, możesz być spokojny, Marius właśnie przybył na Ganthię.

- Co się dzieje na Ganthii? - Natychmiast pożałował, że zapytał.

- Nie jesteśmy pewni. Jednak to ponad dwieście lat świetlnych od Pulapu. Nie prosilibyśmy cię o dostawę, gdyby nie było to pilne.

- Nie wiem.

- Zamiana ciebie wymagałaby czasu. Musi być okres wspólnej pracy, zanim twój następcą zostanie w pełni wprowadzony.

- Nie mówiłem, że mam zamiar przestać wam pomagać. - Rzucił swemu odbiciu w lustrze gniewne spojrzenie, potem odwrócił się i wepchnął ubranie do kosza pralniczego. - W porządku, dostarczę kosmolot. Ale później chciałbym, by przed każdym zadaniem uprzedzono mnie co najmniej trzy dni wcześniej.

- Dziękuję.

\*\*\*

Araminta prawie nie spała. Łóżko, w które rozłożyła się kanapa, było doskonałe, jego starawe materace miłe w dotyku, a pierzyna ciepła. Bliźniaki w pokoju obok nie przeszkadzały jej żadnymi hałasami. To wszystko przez niepokój. Niepokój, że w każdej sekundzie drzwi mogą wpaść do środka i bojówkarze z Ellezelinu zdemolują domek, by ją złapać, wyrządzając przy okazji krzywdę Tandrze i dzieciom.

Nie miałam prawa tutaj przychodzić i narażać ich na niebezpieczeństwo.

Również przez troskę, co ma robić dalej. Wiedziała, z kim chce porozmawiać, ale realizacja nastroczała trudności. Gdy nie przewracała się z boku na bok, przeglądała pliki na temat techniki łączności zgromadzone w jej spacji pamięci. Było ich więcej, niż myślała. Zgromadziła je, by móc dać swoim mieszkańcom dostęp do unisfery i zintegrować lokalne systemy z siecią domową. Wiadomości te dawały jej dobrą podstawę umiejętności praktycznych. Musiała tylko wymyślić, jak zastosować tę wiedzę.

Analizowała całe zagadnienie jak jakiś wyjątkowo głupi program. Jeśli nie działa A, spróbuj B, a potem C. Myślała na temat Z już mniej więcej ósmy raz, kiedy światło poranka wreszcie zaczęło przeświecać przez tanie papierowe żaluzje na oknie. Ale to ósme Z było z pewnością możliwe, może nawet całkiem sprytne. Miało także tę wielką zaletę, że nikt nie byłby w stanie go przewidzieć. To istotna część planu. Nie miała teraz żadnych złudzeń, z jaką desperacją Żywy Sen pragnie ją

schwytać. Wszystkie szczegóły jej życia będą zanalizowane pod kątem zawartych tam tropów prowadzących do niej. I każdy trop zostanie zbadany do końca.

Araminta usiadła, gdy Tandra usiłowała przejść na palcach przez salon do kuchni.

- Przepraszam - powiedziała Tandra. - Czy cię obudziłam?

- Nie.

Tandra podciągnęła żaluzje.

- Oho, wyglądasz strasznie.

- Prawie nie spałam - przyznała Araminta.

Z łazienki wynurzył się Martyn w znoszonym T-shircie i niebieskich szortach.

- Dobry - wybełkotał, drapiąc się po głowie, a potem przechodząc do pachy.

- Nadal zadowolona, że przyszłaś? - spytała Tandra.

Zaczęły z Aramintą chichotać, a Martyn spojrział na nie nachmurzony. Poszedł przez łukowe drzwi do kuchni.

- Czy mogę ukraść trochę twojej szminki? - zapytała Araminta, kiedy z kuchni dobiegły ją odgłosy przestawiania misek i kubków.

- Tak. Do diabła, kochanie, połowa membranowych łusek jest po terminie ważności, ale to i tak lipa - powiedziała Tandra. - Wykorzystaj je. Ja z pewnością nie będę miała wielkiej okazji, by się kiedyś wyszykować.

- Dzięki.

- Idziesz się spotkać z facetem?

- Niezupełnie, nie.

- W porządku. Chcesz kawy?

Araminta uśmiechnęła się. Kawa, którą Martyn przygotował w kuchni zeszłego wieczoru, była okropna.

- Z przyjemnością, dziękuję.

Śniadanie nie było przyjemne, kiedy w piątkę tłoczyli się wokół małego stołu w salonie. Bliźniaki dawały się we znaki, jadły swoje płatki w nieskończoność. Araminta żuła grzanekę, starając się nie roześmiać, gdy coraz bardziej zdenerwowana Tandra prosiła i groziła dzieciom.



Później usiadła na łóżku w pokoju Tandry i zaczęła nakładać łuski makijażu. Tandra posiadała zaskakująco wiele pudełek kosmetycznych różnych firm. Niektórych używała intensywnie, inne były nadal nietknięte. Ponad pół godziny później Araminta zdołała zmienić swoje rysy, przekształciwszy okrągłe policzki w bardziej kanciaste. Staranne cieniowanie dołu twarzy sprawiło, że szczęka wydawała się bardziej wystająca i kwadratowa. Proste soczewki nadały jej oczom kolor głębokiego błękitu. Nasprejowała włosy, zmieniając je w niemal kucze, a potem zaplotła je w sposób, w jaki nie robiła tego od szkoły średniej.

Tandra przyniosła jej ubranie.

- Czyste i naprawione w stopniu, w jakim sobie poradził nasz biedny stary bot. Muszę znaleźć lepszy program do szycia. - Położyła ubrania na materacu, przy Aramincie. - Ale się zmieniłaś. Ledwo cię poznaję.

Araminta uśmiechnęła się z wdzięcznością do przyjaciółki.

- Dzięki.

- Nie chcę cię niepokoić - powiedziała Tandra, kiedy zamknęła drzwi. - Ale właśnie dzwonił Matthew. U Nika byli ludzie, którzy o ciebie pytali. Trzy grupy ludzi.

- Och, Ozzie.

W jej mózg wtargnęła burza całej wczorajszej trwogi i przerażenia. Tandra usiadła obok niej.

- Czy to coś złego?

- Gorzej już prawie być nie może. Zaraz stąd wychodzę. Nie powinnam była tutaj przychodzić.

- Wszystko w porządku, kochanie. Dam radę z odrobiną wstrząsów życiowych.

Araminta zdjęła pożyczony szlafrok i włożyła swe połatane spodnie.

- Nie aż takich. Posłuchaj, jeśli ktokolwiek przyjdzie tu o mnie pytać, powiedz im prawdę. Całą.

- Co tu jest do opowiadania?

- Że byłam tutaj. Niczemu nie zaprzeczaj. Nic nie przemilczaj.

- O rany, jesteś pewna?

Włożyła bluzkę, dziwiąc się, że pralka Tandry zdołała wywabić z łokci plamy z trawy.

- Nigdy nie byłam bardziej pewna.

Zapięła pas z narzędziami wokół talii, włożyła zakrywający go polar. Była gotowa do wyjścia.

- Jeszcze raz dziękuję - powiedziała u drzwi.

Niepewny uśmiech Martyna sprawił tylko, że jeszcze bardziej się zawstydziała.

- Uważaj teraz na siebie - powiedziała Tandra i pocałowała ją na pożegnanie.

Araminta przez pierwsze dwadzieścia minut szybko szła, niemal biegła, starając się jak najbardziej oddalić od domu Tandry. Gdy jej bluzka przesiąkła potem, Araminta nieco zwolniła, dysząc, mając nadzieję, że jej zaczerwienione policzki nie przemieszczą łusek kosmetycznych. Nie mogła rozpiąć polaru dla ochłody - odsłoniłaby pas z narzędziami.

\*\*\*

Do celu miała daleko. Było to biuro w dzielnicy Salisbury, która znajdowała się - w stosunku do mieszkania Tandry - na drugim krańcu miasta.

Najkrótsza droga wiodła bezpośrednio przez centrum, ale Araminta nie poszła tamtędy, chcąc unikać ludzi. Ponadto w centrum znajdowało się więcej czujników ulicznych. Szła więc po długiej krzywej, z początku od rzeki, a potem znowu w dół z boczka do terenu na północ od doków.

Po trzech godzinach znalazła się w Salisbury. Prawie wszystkie tutejsze budowle służyły celom komercyjnym. Między nie wcisnęło się kilka działek z tańszymi domami: prefabrykowane pokoje z cegły szamotowej, przysłane z kontynentu Suvorov, łączono razem w bungalowy lub inną strukturę wygodną dla właściciela działki. Siatkowe płoty odgradzały miejsca na ogród. Na ogół dominowały w nich zaniedbane trawniki lub żwir z kilkoma zaparkowanymi pojazdami naziemnymi. Niekiedy stały tam zepsute kapsuły.

Centrum dzielnicy przecinała linia metra z odchodzącymi od niej kilkoma odgałęzieniami. Kilka taksówek przejechało z szumem obok. Ulubionym środkiem transportu były trycikle, choć dzisiaj kręciło się tu ich niewiele. Rowerów widziała prawie dwa razy więcej. Wśród pieszych na ulicach Araminta nie czuła, że się za bardzo rzuca w oczy. Nawet ellezelińskie kapsuły nie wykorzystywały nieba nad Salisbury.

Araminta nigdy wcześniej nie była w tej dzielnicy, więc aż godzinę zajęło jej odszukanie Harrogate Street. Ulica, opuszczony betonowy kikut, kończyła się pięćset metrów od skrzyżowania na wielkim polu gruzów z jakiegoś niedokończonego projektu przebudowy. To zadziwiające, szyny dla taksówek biegły cały czas, aż do bariery wokół opustoszałego terenu. Po obu stronach stały biura, jednostki przemysłowe i magazyny.

Tu już rzucała się w oczy jako jedyna osoba na chodniku. Chwasty zaczynały podnosić spękany beton, a śmieci blokowały rynsztoki. Po jednej trzeciej drogi ku terenowi przebudowy znalazła budynek, o który jej chodziło - magazyn średniej wielkości z panelów kompozytowych, o tanim dachu z baterii słonecznych. Z przodu znajdowała się jednokondygnacyjna przybudówka mieszcząca biura firmy. Jak głosiła mała pomarańczowa tabliczka na okratowanych drzwiach frontowych, rzeczona firma nazywała się „Prawdziwe Hiszpańskie Naleśniki”. Wszystkie okna były zabite taflami opancerzonego węgłotytanu, a ściany boczne zostały pokryte bazgrołami graffiti tak starymi, że ich blask zwietrzał niemal do niewidzialności.

Araminta poszła wzdłuż ściany bocznej magazynu. Tuż przy jej końcu znajdowały się małe drzwi. Wyciągnęła nóż i usunęła zamek czystym cięciem.

Światło sączące się przez rząd zakurzonych szyb przy szczycie dachu rozjaśniało wielką zamkniętą przestrzeń. Na gołej betonowej podłodze ułożono luźno pięć pudełkowych piramid - każde pudełko z logiem „Hiszpańskich Naleśników” na boku. Zignorowała je i pośpieszyła do gabinetów na froncie. Bez trudu dostała się do środka. Drzwi zamknięto na klucz, ale nie zabezpieczono alarmem. Laril był za skąpy na takie rzeczy.

Gabinetów z tanimi meblami i wyposażeniem było trzy. Wyglądały tak, jakby personel po prostu wczoraj stąd wyszedł. Araminta pośpiesznie opuściła rolety i zaczęła po kolei przeszukiwać pomieszczenia.

„Hiszpańskie Naleśniki” to jeszcze jedna ze zbutwiałych firm Larila. W zamierzeniu franszyza, zaopatrująca duże imprezy rozrywkowe w Colwyn City. Na kilkudziesięciu straganach chmara gorliwych pracowników miała dostarczać dobrego jedzenia po umiarkowanych cenach, a Laril pobierałby opłatę za ten przywilej. Jak zwykle firma kulała, kiedy Laril wojował z władzami licencjonującymi i kupował towar od najtańszych dostawców. Prócz tego oddziały firmy sprzedawały same stragany i jednostki kulinarne, finansowane - via schematy kredytowania - przez fundusze pozaświatowe. Dalsze wzajemnie powiązane, acz niezarejestrowane firmy dostarczały umundurowania i transportu. Nic z tego nie zadeklarowano w Urzędach Podatkowych.

Araminta wiedziała o tym wszystkim, ponieważ pewnego dnia Laril zostawił otwarty plik w sieci ich mieszkania. Nigdy mu nie powiedziała, że o tym wie. Nawet nie zawiadomiła o tym Cressidy. Miał to być jej absolutnie ostatni punkt przetargowy, gdyby zawiodły wszystkie środki prawne.

Dokładne przeszukanie biurka i szaf dało bardzo niewiele. Bezużyteczna kopia zagmatwanych kwitów i umów. Pudełka z próbkami egzotycznego nadzienia do naleśników. Doniczki z uschłymi kwiatami. Zużyte komponenty jednostek kulinarnych. Elektroniczne moduły o nieznanym funkcjach. Trzy węzły cybersfery. Jednostki pamięci w schludnych kasetach. Pudło firmowych fartuchów w próbnych kolorach. Tablica zarządzająca średniej pojemności z przestarzałym oprogramowaniem.

Jednakże, gdy usiadła za biurkiem, prawdopodobnie Larila, ze starą konsolą i trzema portalami, znalazła pięć monet gotówkowych w dolnej szufladzie, pod jakimiś instrukcjami obsługi kapsuł transportowych. Trudne do znalezienia, ale niekoniecznie podejrzane, więc ich obecność nie była przypadkowa. Laril nic nie robił przypadkowo.

Podniosła jedną z monet i uśmiechnęła się do niej. Dobry stary Laril, niezawodnie zawodny.

Spędziła trzydzieści minut na otwieraniu jednego z węzłów. Wykorzystała ręczny interfejs do skonfigurowania oprogramowania. Zarejestrowała nowe firmowe konto unisferowe, płacąc pieniędzmi z monety gotówkowej. Uzyskała w ten sposób bardzo podstawowe połączenie komunikacyjne przez tablicę zarządzającą. Połączenie nie wymagało jej u-adiunkta ani nie korzystało z jej tożsamości. Żaden program śledzący czy przeglądacze nie będzie zdolny do zlokalizowania jej w biurze „Hiszpańskich Naleśników”.

Teoretycznie.

Wystukała kod Oaktier, zmagazynowany w spacji pamięci. Malutki ekran tablicy wyświetlił ikony pokazujące, że połączenie zostało nawiązane.

„Proszę”, modliła się, „wykaż ciekawość, odbierz”.

Portal zrzucał przed nią w powietrzu zaintrygowaną twarz Larila. Własna reakcja ją zaskoczyła. Ale widok tych dobrze znanych rzadkich kasztanowych włosów, okrągłych policzków i zarostu spowodował, że do oczu napłynęły jej łzy. To po prostu niewiarygodnie uspokajało, że Laril był taki jak zawsze.

- Araminta? To ty? Reprofilowałaś twarz?

- Nie odchodź - wyrwało jej się. - Potrzebuję pomocy.

- Ach. Nie wiedziałem, że wiesz o... ee... firmie naleśnikowej.

- Zapomnij o tym. Czy możesz sprawdzić, czy ktoś nie podsłuchuje tego połączenia?

Oczy rozszerzyły mu się w wyrazie rozbawienia.

- Dobra. U-adiunkt analizuje drogę połączenia. Aha. Kanał wygląda na czysty, ale nie jestem prawdziwym ekspertem w tych sprawach. Czy wszystko u ciebie w porządku? Próbowałem się parę razy dodzwonić. Niepokoilem się, kiedy twój u-adiunkt nie odpowiadał.

Araminta wzięła głęboki wdech.

- Larilu, to mnie szukają.

- Ciebie?

- Jestem Drugim Śniącym.

- Znasz Drugiego Śniącego?
- Nie. Ja jestem Drugim Śniącym.
- Niemożliwe.
- Araminta wykrzywiła się do ekranu. To rzeczywiście był Laril, stale ten sam. I jak zwykle jej nie doceniał.
- Czemu nie?
- Przede wszystkim, nie masz gajafejsów.
- Nie potrzebuję ich. - Wyjaśniła swoje uprzednio nieznane pochodzenie.
- Jesteś spokrewniona z Mellanie Rescorai? - O to tylko zapytał, kiedy skończyła.
- Wiesz o niej?
- Kto nie wie? Zwłaszcza tu, na Oaktier, to był jej rodzimy świat. To z pewnością Laril, nikt inny nigdy nie irytował jej do tego stopnia.
- Ja... - Zamknęła oczy, wciągnęła powietrze i spojrzała prosto na jego projekcję. - Nie wiem, do kogo jeszcze się zwrócić.
- Uśmiechnął się, sięgnął dłonią i poskrobał wierzchołek prawego ucha.
- Łał, to mi pochlebia.
- Powiedziałeś, że jeśli kiedykolwiek coś będzie...
- Taa. Choć niezupełnie miałem na myśli taką sytuację.
- Rozumiem. - Zawsze można polegać na Larilu, że cię zawiedzie. Sięgnęła ku klawiaturze, gotowa przerwać połączenie.
- To nie znaczy, że nie pomogę - powiedział łagodnym, pełnym troski głosem. Tego tonu nie używał od czasów ich wspólnego pierwszego tygodnia.
- Naprawdę?
- Kochałem cię wtedy i chyba zawsze będę kochał.
- Dziękuję.
- Przepraszam, ale... naprawdę jesteś Drugim Śniącym?
- Uśmiechnęła się z wyższością.
- Taa.
- I powiedziałaś Władcy Niebios, by dał ci spokój?
- Nie chcę lecieć do Pustki, a już na pewno nie chcę prowadzić jakiejś zwariowanej Pielgrzymki dla kupy religijnych świrów.

- Zwięźle powiedziane. Niestety, są do rozważenia większe problemy.
- Wiem. Przede wszystkim mam na karku połowę sił policyjnych Ellezelinu. A Gore powiedział, że są też inni.
- Co mogę zrobić?
- Nie wiem. Zwróciłam się do ciebie wiedziona rodzajem instynktu.
- Znowu: to mi pochlebia, w dziwaczny sposób. Ale spójrzmy prawdzie w oczy: jeśli ktoś może ci doradzić, jak ubiec biurokrację, to właśnie ja.
- Nie jestem pewna, czy nawet ty możesz mi pomóc w tym względzie. Larilu, całe miasto zsuwa się w anarchię. Ellezelin jest tutaj jedyną władzą. Nie sądzę, bym się mogła wiecznie ukrywać.
- W porządku, niech popracuję tym. - Poklepał się teatralnie po czole.
- Czy masz teraz kogoś? - spytała.
- Tak. Przynajmniej jest ktoś, z kim zacząłem regularnie się spotykać. Ona właśnie przyleciała na Oaktier, z tego samego powodu, co ja.
- To dobrze, cieszę się.
- Dzięki. A ty?
- Tak. Prawdopodobnie byłbyś nim zaskoczony, ale tak.
- Więc muszę spytać: dlaczego on ci nie pomaga?
- Nie chcę go w to wplątywać. To trochę dużo.
- Dobra. Zatem wiem, co muszę wiedzieć.
- Co takiego?
- Posłuchaj, nie zrozum mnie źle, ale myślisz o tym wszystkim w niewłaściwy sposób.
- Jak to?
- Masz za małą perspektywę. Zasadniczo chcę powiedzieć, że nie chodzi tu o ciebie.
- Jak najbardziej chodzi o mnie.
- Nie. Chodzi o ewolucję całych kultur i gatunków. Może nawet chodzić o los całej galaktyki, jeśli wierzyć raielom. Grasz w tym rolę, bardzo małą rolę, jeśli wziąć pod uwagę naturę zachodzących tu wydarzeń.

Chciała się sprzeciwić, ale podniósł dłoń.

- Jednakże to rola centralna i właśnie na tym polega twoje znaczenie. Masz wybór, Araminto, możesz być małą postacią, próbować uciekać i się ukryć. Wtedy ktoś cię dogoni i, zależnie od tego, kto to taki, twoja rola zostanie podporządkowana jego planom. Niech ci się nie wydaje, że ktoś z nich zostawi cię w spokoju, byś dalej robiła to, co według ciebie jest najlepsze. Nie pozwolą na to.

- A mój drugi wybór? - spytała kąśliwie.

- Spróbuj ich zwyciężyć w ich własnej grze. Odwróć się, przestań uciekać, popatrz na nich z góry i wykorzystaj władzę, którą zdobędziesz, do zrealizowania własnych zasad.

- Jakich zasad?

Laril zaśmiał się cicho.

- Kiedy je wypracujesz, uczynisz drugi wybór automatycznie. Wtedy strzeż się, wszechświecie.

Araminta opadła na fotel i, krzywiąc się, spojrzała na wizerunek Larila.

- Och, dlaczego do ciebie zadzwoniłam?

- Uwaga praktyczna. Słuchaj. Albo do tego dojdiesz, albo najpierw cię złapią, więc się tym nie martw. Tymczasem dam ci radę, którą jak zawsze zignorujesz, ale przynajmniej będę miał czyste sumienie, wiedząc, że zrobiłem wszystko, by ci pomóc.

Wydęła wargi.

- Nie zawsze ignorowałam to, co mówiłeś.

- Wybacz mi, musiałem przepuścić tamten jedyny raz, kiedy powiedziałaś „tak”.

- To kontynuuj. Mimo wszystko, zadzwoniłam do ciebie, więc słucham.

- Po prostu daj mi chwilę. Przyszłość galaktyki zależy od tego, co mam do powiedzenia, więc trzeba się tą chwilą porozkoszować.

- Wal.

Spoważniał.

- Czy dostarczałaś sen Justine?

- Justine śni?



- Dobra, już odpowiedziałaś. Tak, śni, ale zawiesiła czynności życiowe, więc na chwilę usuwa to ją ze sceny. Co prowadzi nas znowu do ciebie i twojego dowiedzionego wpływu na Władcę Niebios. Jeśli ma to mieć jakieś znaczenie, musisz to wykorzystać. Przemów znowu do Władcy Niebios.

- Nie mogę. Oni mają jakiś sposób śledzenia mnie przez gajaserę. Ostatnim razem ledwo wydostałam się ze swego mieszkania, a i tak zawdzięczam to głównie szczęściu.

- Ozzie! Dobra, musisz spróbować i znaleźć sposób, musisz z nim pomówić.

- Co mam powiedzieć?

- Spróbuj wyjaśnić, jak wielu ludzi chce przybyć do Pustki, spróbuj zmusić go do zrozumienia, jakie byłoby to katastrofalne dla reszty galaktyki. Jeśli nie chcesz, żeby przejął cię przez Żywy Sen albo jakąś frakcję, jako swego bezwolnego figuranta, to musisz położyć temu kres.

- Taa. - Westchnęła ciężko. - Chyba to rozumiem. Spróbuję znowu wykorzystać gajaserę, zobaczę, czy znajdę jakiś sposób, żeby mnie nie znaleźli.

- To dobry początek. Wydaje się, że masz zdolności, których nie ma nikt inny, więc jest szansa, że zadziała to na twoją korzyść. Oto pomysł: jeśli zdołasz użyć gajasfery, tak by tego nie spostrzegli, może chciałabyś przejrzeć sny Iniga. Przynajmniej zyskałabyś lepsze zrozumienie, przeciw czemu występujesz. Jeśli to się nie uda, podobno jesteś w stanie obcować z Ostrowem Matki silfenów. Kto wie, co on powie?

- Dziękuję. To jest naprawdę...

- Użyteczne?

- Bardzo.

- Więc w porządku. A teraz, co z tobą? Gdzie mieszkasz?

- Nie mam jakiegoś określonego miejsca.

- Jesteś w biurze „Hiszpańskich Naleśników”, prawda?

- Tak.

- W dolnej szufladzie mojego biurka znajdziesz kupę starych instrukcji obsługi. Pod nimi jest kilka monet gotówkowych. Niewykrywalnych.

Podniosła je, próbując nie uśmiechać się z wyższością.

- Ozzie - powiedział cicho. - Nigdy nie zdołałem cię nabrać, prawda?

- Rzadko.

- W porządku, tam załadowano parę tysięcy funtów Viotii. To pomoże. Czy wiesz o firmie Wurung Transport?

- Nie.

- Dobrze, więc nie jestem totalnie bezużyteczny. Jednostka garażowa w drugim budynku od miejsca, w którym się znajdujesz. Wewnątrz znajduje się w pełni licencjonowana taksówka, tylko jedna, to wszystko, co firma posiada. Mogę stąd załadować kod aktywacji, więc będzie gotowa, kiedy się do niej dostaniesz. Teraz posłuchaj: w systemie zarządzania taksówki znajduje się trochę interesującego oprogramowania, które pozwoli ci uniknąć śledzenia przez sieć sterującą miasta.

- Czemu? - spytała.

Wzruszył z ramionami.

- Mogło to się okazać użyteczne, gdy chciało się przewozić różne rzeczy po mieście bez zwracania na siebie zbyt wielkiej uwagi.

- Och, Larilu! - W jej głosie prócz irytacji dźwięczała troska.

- Te dni minęły - odparł. - Taksówka ma także węzeł unisfery. Zdalnie przełączę go w stan gotowości, więc będziesz mogła go wykorzystać, by dzwonić do mnie, kiedy zechcesz. Nikt inny nie będzie miał do niego dostępu.

- Dziękuję.

- Araminto?

- Tak?

- Cieszę się, że do mnie zadzwoniłaś. Cieszę się, że mogę pomóc.

Przez długą chwilę patrzyła na jego wizerunek.

- Czemu mnie wybrałaś? - zapytała cicho.

- Z najstarszej przyczyny, jaką może mieć mężczyzna: jesteś zachwycająca.

Wiedziała, że, choć to śmieszne, prawie się rumieni.

- Nie zmieniaj się zbyt szybko, by zostać Elewatem.

- Znasz mnie. Powodzenia. W razie potrzeby zadzwoń.

- Cześć, Laril.

Wyłączyła tablicę zarządzania i węzeł cybersfery, a potem poszła sprawdzić firmę Wurung Transport.

\*\*\*

„Purus” i „Congo” ślizgały się niezauważone wśród straszliwej floty Imperium Ocisenów, kiedy ta mknęła ku Wspólnocie z szybkością czerech i pół roku świetlnego na godzinę. Szczegółowe skanowanie nie wykryło żadnych pojazdów innych niż Gwiazdobójcy, nurkujące przez swoje wormhole. Kimkolwiek byli sprzymierzeńcy Imperium Ocisenów, mieli technikę napędu przynajmniej dorównującą statkom floty Wspólnoty.

Oba okręty przyjęły pozycję kilometr za nowym statkiem dowodzącym i zaczęły zakłócać jego ciągły wormhol. Po ostrym zmaganiu egzotycznych energii, wielki statek Gwiazdobójca został wyrwany z powrotem do normalnej czasoprzestrzeni. Jego odrzutowe rakiety sterujące działały bez przerwy, by zahamować przypadkowe obroty, w które wpadł podczas nagłego przejścia. Losowe rozbłyski świetlne ślizgały się po ciemnym jajowatym kadłubie, kiedy generatory pola siłowego starały się odzyskać równowagę, a przedśmiertne drgawki napędu nadświetlnego wyrzucały resztkowe fluktuacje energii. Zarówno „Purus”, jak i „Congo” wyłączyły hipernapęd.

Pozbawiony cech zewnętrznych kulisty okręt pojawił się przy uszkodzonym Gwiazdobójcy.

„Huron”, „Nyasa” i „Baykal” wyłączyły swoje efekty maskujące. Trzy kosmoloty klasy Capital były niemal tak wielkie jak Gwiazdobójca, jednak nieskończenie potężniejsze. Drugi kulisty okręt zmaterializował się pięć kilometrów od pierwszego. „Onega” i „Torrens” się odsłoniły.

Przez trzy sekundy nic się nie działo. Ludzie wstrzymali oddech. Obydwa obce statki otworzyły ogień.

\*\*\*

Uplłynęło dziewięćdziesiąt sekund, zanim odtworzono bezpieczne połączenie transwymiarowe do Pentagonu II. Burza

energetyczna rozpętana przez piekielną ognistą bitwę naprężyła lokalną strukturę czasoprzestrzeni do tego stopnia, że wpłynęło to na leżące pod nią pola kwantowe i przerwało połączenie. Admirał Kazimir szybko przejrzał aktualną sytuację. Oba nieznane statki zostały zniszczone, „Congo” również. „Torrens” został na tyle uszkodzony, że stał się niezdolny do walki, choć załoga przeżyła. Większa część kadłuba Gwiazdobójcy wyparowała od gigantycznych wybuchów energii, choć nikt w ten statek nie celował. Pozostałości zewnętrznej konstrukcji żarzyły się na wiśniowo, a na jej brzegach gwałtownie pojawiały się bąble.

- Więc nie są zupełnie niepokonane - powiedziała Ilanthe z ulgą w głosie.

- Na to wygląda - zgodził się admirał.

Wszyscy czekali, by zobaczyć, czy więcej sprzymierzeńców towarzyszących flocie pojawi się znowu, by pomóc kolegom. Statki klasy Capital zdołały wykryć pięćdziesiąt zamaskowanych hipernapędów, ukrytych wśród Gwiazdobójców. Siła rzeczywiście straszliwa.

- Może nie niepokonane, ale prawie niepowstrzymane - zauważył Crispin. - Czy mamy tyle samo okrętów klasy Capital, admirał?

- Możemy rozlokować w pobliżu trzydzieści dziewięć - poinformował Kazimir zdekompletowaną Radę Egzo-Protektoratu.

Był zaniepokojony, że nieobecni są właśnie członkowie jego rodziny. Osoba, która wypuściła sen jego matki do gajASFery, nie ujawniała się. Nie chodziło o to, że ze znajomości jej tożsamości miał być jakiś pożytek - Justine przez pewien czas pozostanie w zawieszeniu. Irytowało go, że ktoś może się z nią kontaktować.

Nieobecność Gore'a niepokoiła jeszcze bardziej. Kiedy Kazimir zwoływał Radę Egzo-Protektoratu, u-adiunkt Gore'a zameldował, że nie jest on osiągalny. Kazimir nie mógł sobie wyobrazić, co powstrzymuje jego dziadka od obecności, zwłaszcza że jego nieobecność umożliwi Ilanthe zdominowanie Rady. Chociaż -

przyznał w duchu - wynik narady i tak byłby ten sam: taki, jakiego sobie naprawdę nie życzył.

- Pozostali nieznani nadal lecą z flotą - zameldował Sorex, kapitan "Onegi".

- Doskonale - odparł Kazimir. - Czy możesz podlecieć bliżej i zeskanować wrak?

- Tak więc flotę można wyeliminować? - spytał Creewan.

- Liczebnie byłoby to trudne - powiedział Kazimir, kiedy „Onega” wypuściła rój dron czujnikowych ku największemu kawałkowi wraka drugiego kulistego statku. - Oprócz nieznanych statków musimy wziąć pod uwagę dziewięćset Gwiazdobójców. Nasze połączone statki klasy Rzeka i Capital prawdopodobnie by ich pokonały, ale koszty byłyby poważne. Zostalibyśmy z bardzo małą liczbą statków.

- Więc wiemy, co trzeba zrobić - oznajmiła Ilanthe. - Zdaje się, że istnieje klasa statków potężniejszych niż klasa Capital.

- Tak - przyznał z najwyższą niechęcią Kazimir.

- Admirale - nadawał Sorex. - Czujniki wysokiej rozdzielczości włączyły sygnał. Och, wielki Ozzie...

Kazimir i pozostali członkowie Rady Egzo-Protektoratu patrzyli w milczeniu na wyniki z czujników, które pojawiły się nad wielkim stołem. Małe drony pomykały przez połamane przedziały i przejścia kulistego okrętu, dodając rezultaty swego oddzielnego skanowania do spójnego obrazu. Poobijany kawałek sprzętu miał idealną teksturę, aż do pojedynczych strukturalnych komponentów. Metal na zewnątrz był nadal tak gorący, że się żarzył. Był także wysoce radioaktywny. Pojedyncze kawałki zwęglonej materii biologicznej dryfowały w przedziałach, wyrwane z ciał obcych, kiedy wybuchy i impulsy energii przedzierały się przez statek. Dokładnie pośrodku ciała były większe. Nienaruszone. Drony skoncentrowały się na jednym.

Kazimir wpatrywał się w straszliwie znajomy gruszkowaty tors z czterema żyłastymi krawędziami, biegnącymi przez całą długość. Cztery przysadziste nogi wystawały z zaokrąglonej podstawy, a ramiona odgałęziały się od ciała tuż ponad nogami, każde zakończone wydajnym układem poczwórnych szczypiec.

Na wierzchu ciała cztery małe trąby ustne były otwarte i dryfowały w nieważkości jak morskie wodorosty w powolnym prądzie. Między nimi tkwiły łodygi sensoryczne, sztywne w śmierci, każda stopiona ze schludnym modułem elektronicznym.

- To niemożliwe! - wykrzyknął Crispin. - Niemożliwe! Zamknęliśmy ich tysiąc dwieście lat temu. Ich wszystkich.

- Ale oto jest - stwierdziła Ilanthe.

- Tak - powiedział Kazimir, walcząc jednocześnie z szokiem i uczuciem strachu. - Osiadła alfa. Imperium Ocisenów znalazło sobie alfy jako sojuszników.

\*\*\*

Hałas kryształków lodu, rozbijających się na iskrzący pył o metalową skorupę pełzacza, bardzo utrudniał rozmowy. Nawet pod stałą kanonadą rozszalałych żywiołów pojazd się nie poruszał. Był mocno zaklinowany w szczelinie, a jego wąskie przednie okna przykrywały brudne granulki, wypełniające też luki wokół pełzacza. Drobne wstrząsy nadal kołysały pojazdem, ale zdawało się, że jedynie wzmacniają uchwyt szczeliny. Gruby metal korpusu kilka razy jęknął, protestując.

Corrie-Lyn siedziała niezgrabnie na szczycie dwóch foteli przednich z ramionami owiniętymi kocem. Inigo wykorzystał konsolę pomocniczą, by przykucnąć obok.

- Dlaczego nigdy już nie śniłeś? - zapytała Corrie-Lyn.

- Epoka Stąpającego po Wodzie się skończyła - wyjaśnił Inigo. - Wiesz o tym. Nie było więcej snów do śnienia.

- Ale jeśli miałeś sen już po jego wyniesieniu do mgławic, musiałeś mieć również inne sny. Powiedziałeś, że sen pochodził od jego potomka. On miał wiele dzieci.

- Ja... - Inigo pokręcił głową. Oczy połyskiwały mu w opalizującym oświetleniu konsoli. - Widzieliśmy wszystko, co potrzeba. Przez wieki podtrzymywałem nadzieję w miliardach ludzi. To wystarczy.

Corrie-Lyn uważnie przyglądała się twarzy rysującej się nad nią. Była tak znajoma, a jednak pociemniała skóra i przerzedzone

kasztanowate włosy sprawiały, że wydawał się jakiś zimniejszy. To niezupełnie był dawny Inigo, którego znała i kochała.

Przecież minęło siedemdziesiąt lat. Marzenia nie zawsze się kończą tak, jak marzenia Stąpającego po Wodzie. A ja marzyłam tak mocno o tej chwili.

- Proszę... - zaczęła.

Atmosfera zawyła z taką siłą, że Corrie-Lyn zabolęły uszy. Chwyciła za fotel, bojąc się, że to ostatnie trzęsienie - to, które wrzuci ich do implodującego rdzenia planety.

- Wszystko w porządku. - Łagodny głos Iniga uspokajał. - To tylko burza.

Uśmiechnęła się z wysiłkiem. Głos się nie zmienił i spokój, który z niego czerpała, był niezmierny. Tak często słyszała jego ostre przesłania do Wiernych zebranych w Złotym Parku, jak i czułe słowa, gdy byli sami. Za każdym razem w głosie brzmiało absolutne przekonanie. Jeśli mówi, że to tylko burza, to tak właśnie jest.

- Czy możesz śnić znowu? - zapytała.

Oświetlenie w kabinie zamigotało. Czerwone sygnały alarmowe pojawiły się na konsoli, a storturowane powietrze na zewnątrz ostro załkało. Inigo pogłaskał ją palcami po policzku.

- Czego dokładnie chcesz? - zapytał. Jego umysł lśnił współczuciem.

- Chcę udać się do Querencii jeden, ostatni raz - powiedziała. - Chcę przejść się pod arkadami Lillylight, chcę popłynąć gondolą po Wielkim Kanale Głównym, chciałabym stanąć w domowym ogrodzie Kristabel, kiedy świt wstaje nad miastem. - Ujęła jego dłoń. - Tylko my dwoje. Czy prosić o to to taka straszna rzecz?

- Nie - odparł. - To piękne pragnienie.

- Zabierz nas tam. Aż do końca.

Łzy, już w pełni uformowane, płynęły mu po policzkach.

- Nie mogę, ukochana. Tak mi przykro.

- Nie. - Płakała. - Proszę, Inigo.

- Możemy śnić razem dowolny sen Stąpającego po Wodzie. Każdy sen. Po prostu wybierz któryś z nich.

- Nie. Znam je wszystkie... nawet jego ostatni. Chcę wiedzieć, co zdarzyło się później. Jeśli nie chcesz mnie tam wziąć i pokazać, jak jest teraz, to pokaż mi ten twój ostatni sen.

- Corrie-Lyn, czy mi nadal ufasz?

- Oczywiście.

- Więc o to nie prosź. Odwiedzmy Edearda, kiedy wrzuci Mistrza Cherixa do Stawu Birmingham, albo jak walczy z Bisem i oddziałem w Sampalok. To sę takie cudowne czasy. Pokazuje ludziom, że ich przyszłość może być inna niż ta, o której myśleli, że sę na nię skazani.

- Dlaczego? - błęgała. - Powiedz mi dlaczego.

Odgłos burzy ucichł. Zamilkł tak nagle, że Corrie-Lyn pomyślała, że nagle ogłuchła. To jest to. Niczego nie żałuję. W każdym razie niewielu rzeczy.

- O, cholera! - Inigo patrzył na tył kabiny.

- Wszystko w porządku - powiedziała mężnie. - Jesteśmy razem.

- Aha. - Pokręcił głową i się wyprostował.

Corrie-Lyn wykręciła się, przyjmując prawie siedzącą pozycję.

- Co takiego?

- Pani musi nas nienawidzić. Zgotowała nam los naprawdę gorszy od śmierci.

- Inigo, co ty...?

- Oślepiający zielony błysk wypełniłabinę. Corrie-Lyn odruchowo zacisnęła powieki. Jej nerwy wzrokowe świeciły do mózgu płonącymi białymi i szkarłatnymi powidokami. Zawyla w panice, kiedy jakaś potężna siła odrzuciła ją w bok. Koziołkowała boleśnie przy fotelach i wbiła się w wąską lukę poniżej. Machała zdrowym ramieniem.

- Inigo!

Potem nagle zdała sobie sprawę, że owiewa ją przerażająco zimny wiatr. Zszokowana wciągnęła powietrze, czując, jak zimno parzy jej usta i przełyk. Powoli wracał jej wzrok. Zamrugła i zobaczyła Iniga opierającego się na konsoli nad nią, odzianego w połyskujące pole siłowe. Nadal patrzył w górę. Niemal bojąc się, co może zobaczyć, Corrie-Lyn spojrzała w tym samym kierunku.



Tylne dwie trzecie kabiny pęłacza kompletnie znikęo. Na ich miejscu szare częłteczki lodu dryfowały powoli w dół przez pogrzebowe niebo. Za nimi okruchy fioletowych wyładowań elektrycznych wiły się przez szeroką kopułę pola siłowego, które teraz zamknęło ich w bańce spokoju. Ludzka postać rysowała się na tle ograniczonej burzy, osobiste pole siłowe dostarczało jej dodatkowej ochrony przeciw złośliwym żywiółom. Corrie-Lyn znowu zamrugęła, próbując uzyskać choć trochę ostrości przez ostre migotanie obolałych siatkówek. Wtórne programy myślowe w jej klastrach wielkokomórkowych zdołały odcyfrować rysy mężczyzny.

- Och, Pani, pieprzyć to - jęknęła i osunęła się z powrotem w lukę pod fotelami.

- No, no - powiedział Aaron. - To niesamowite, że tu was spotykam.

## Jedenasty sen Iniga

Nocą, gdy wysoko w górze mgławica rozsiewa delikatne światło, imponujące dachy Makkathranu migoczą jak jedwabna mora. W łagodnym blasku ulice - wyraziste, promienne, pomarańczowe smużki - tworzą skomplikowaną, subtelną strukturę w kolistej nadmorskiej metropolii. Kto poszybuje wysoko nad kryształowymi murami, dostrzeże inne promieniowanie, dopełniające nocny blask miasta. O ile wie, jak patrzeć.

Daleko, daleko na granicy percepcji pojawia się słabe światło. Małe kosmyki ciemniejącej opalizacji wyłaniają się ze szczytów budynków w balsamiczne, nocne powietrze. Dryfują w górę, ciągnąc za sobą muślinowe ogony. Jakby Makkathran wydychał w niebo fosforyzujący deszcz.

Dusze zmarłych wołają zachwycone, podejmują lot ku niesamowitej otchłani nocy. Gdy go mijają, słyszy ich głosy: głosy ulgi, bo dusze uwolniły się od fizycznego ciała, od bólu i nieszczęścia; głosy żalu za tymi, którzy pozostali na dole. Są podekscytowane na dźwięk pieśni, która wzywa ich wyżej i wyżej. Dusze wołają do siebie, chcą się dzielić nowo uzyskaną swobodą; zbijają się w stada, skręcają się, tworząc jaśniejsze aureole, i szybują nad chmurami, żywiołowo świętując wolność. Inne zaś samotnie demonstrują swoją niezależność.

Od czasu do czasu smętnie spogląda w dół i widzi dusze, które się ociągają. Zrozpaczone własną śmiercią, pragną pozostać wśród bliskich. Nikt ich nie widzi, nikt nie słyszy, i słabe duchy stają się coraz bardziej żałosne, zdemoralizowane, bo ci, których kochały, nie wiedzą, że one tam są. Poczucie, czerpane z wiedzy, zaraz tracone, bo ich nadzieje okazują się czcze. Ich rozpacz przytłacza - mógłby w niej utonąć, gdyby się na chwilę w niej zanurzył. Zatem znów spogląda w górę na te dusze, które tak ochoczo podążają do nieba, i całkowicie nierozsądnie chce

pochwycić choćby nutkę pieśni, wydobywającej się z centrum tego wszechświata. Gdyby tylko zrobił wysiłek, wyciągnął rękę...

Edeard obudził się, usiadł na łóżku, skórę miał lepka od potu, serce mu waliło, konwulsyjnie łapał powietrze.

Kristabel, która leżała obok, podniosła się i objęła go.

- Już dobrze, najdroższy. To tylko sen.

- Co noc - jęknął. Od upadku z wieży Eyrie całe czas mu się to śniło, a może było mu pokazywane? - Czy kiedyś przestanie mnie to prześladować? Chętnie zamieniłbym to przekleństwo na swoje dawne sny.

- Dawne sny? - Kristabel wydała polecenie sufitowi, by pojaśniał. Doskonałe białe światło zalało apartament Edearda.

Widok własnego mieszkania od razu przywrócił mu poczucie rzeczywistości. Poczul się głupio.

- Przepraszam. Zawsze miałem sny. Ale to...?

- Znów dusze?

- Tak - potwierdził słabym głosem. - Widzę, jak się wznoszą do nieba, ale nie słyszę pieśni, za którą podążają. Nasłuchuję i... - Pokręcił głową, poirytowany. - Przepraszam.

- Nie przepraszaj. Po prostu martwię się o ciebie, i tyle.

- Nic mi nie będzie. - Opadł na łóżko i spojrzał w wąskie okno. - Która godzina?

- Kilka godzin do świtu.

- Aha! W takim razie to wcale nie musiał być sen. Zawsze ukazują mi się obrazy nocnego miasta.

Kristabel przetoczyła się na swoją połowę łóżka i przyglądała się Edeardowi z niepokojem.

- Czy w tej chwili też dalwizisz jakieś dusze?

- Nie jestem pewien.

Zamknął oczy i sięgnął dalwzrokiem. Przez jego percepcję sunęły cienie miejskich budynków, musujących bąbelkami uśpionych umysłów. Łatwo było rozpoznać wszechogarniające myśli samego Makkathranu, przenikające wszystkie struktury, ale najsilniej obecne pod ulicami i kanałami, w dole, na poziomach, gdzie rury, tunele i dziwne smugi energii wzajemnie się przeplatały. Słabe, wręcz ulotne, ale wyczuwalne. Edeard

wiedział, że dusze muszą tam być, ale żadnego śladu ich obecności nie dostrzegał.

- Nic - przyznał się do porażki.

- To nie są zawody. Nie startujesz w konkursie.

- Ale dwukrotnie je wyczułem. - Zamilkł, by się zastanowić. - Za każdym razem byłem blisko ciała, bardzo blisko.

- Co mówisz? Chcesz iść do hospicjum?

- Nie - skłamał.

- Hm. - Kristabel spojrzała na niego podejrzliwie.

- Zastanawiam się, czy nie powinienem znów pójść do Pytii.

Niezbyt uśmiechał mu się ten pomysł. Ich ostatnie spotkanie nie było dla niego zbyt przyjemne. Wypytywała go łagodnie przez długie godziny, a on czuł się nieswojo, jakby go atakowano. Miała taką władzę, że czuł się jak dziecko, które coś zbroiło i musi się tłumaczyć przed surowymi, lecz kochającymi rodzicami.

- A czego mogłaby cię nauczyć? - Kristabel nie ukrywała pogardy.

- Raczej niczego. - Po tamtym rozczarującym spotkaniu znów uważnie przeczytał pisma Pani. Tak gruntownie zrobił to po raz pierwszy od czasu niedzielnych lekcji w kościele w Ashwell z matką Lorellan. Wtedy uczył się kolejnych fragmentów na pamięć, bez zrozumienia.

Ponowna lektura pism okazała się dla niego pewną rewelacją. To nie były teksty religijne, raczej coś w rodzaju nieformalnego dziennika pisanego kwiecistą prozą; po nich następowały jej rozważania na temat tego, jak prowadzić lepsze, bardziej udane życie. Obie części łączyła obecność Władców Niebios. Te olbrzymie, powietrzne istoty spokojnie żeglowały między Querencią a mgławicami. Nieznany był cel tej tułaczki, ale jej zadaniem było kierowanie ludzkich dusz do Serca. W swoich homiliach Pani twierdziła, że tylko te dusze, które osiągnęły „spełnienie” - jak to określiła - zostaną zabrane. Edeard nie mógł się oprzeć wrażeniu, że słucha rad starej panny, pouczającej krewnych, jak tworzyć dobrą rodzinę. Bądź uprzejmy, miły, taktowny, życzliwy. A może wtedy życie było zupełnie inne? Jednak nie, sądząc po opisach w dzienniku. Przynajmniej ta część

była ciekawa, choć zaczynała się dopiero od chwili, gdy Rah po raz pierwszy spojrział ze szczytów gór na Makkathran. Na temat statku, który przywiózł ich do tego świata, Pani powiedziała jedynie to, że Rah wyprowadził ludzi z chaosu, jaki zapanował po lądowaniu. Poza tym, nie wspominała o przeszłości. Z podziwem mówiła o determinacji Raha, który przebił kryształowe mury, ustanawiając trzy bramy miasta. Gdy zawinęli do portu, z zadziwieniem zobaczyli to miasto po raz pierwszy - w pełni zbudowane, choć opuszczone. Tu mogli założyć swój dom. Opowiadała, jak tamtego dnia płynęli Wielkim Kanałem Głównym, a Władca Niebios unosił się nad wieżami Eyrie; jak się zgodził poprowadzić duszę umierającego przyjaciela do Serca, które jest za Morzem Odyne.

Dalej Pani opisywała, jak utworzono miejskie Rady, jak powstały Gildie i jak odszukała ich reszta uchodźców z uszkodzonych statków, a inni pozostali poza murami miasta i coraz bardziej tamtym zazdrościli. Między miastem a prowincją rozgorzały małostkowe, zaciekle spory o to, czyj system prawny powinien dominować. Pani nie doczekała końca tych kłótni - ostatecznego porozumienia, które gwarantowało zarówno prawa prowincji, jak i miasta. Jej rozczarowanie tą sprzeczką, trwającą bez końca - na co się wtedy zanosilo - znalazło swój wyraz w późniejszych tekstach, z lat, gdy wizyty Władców Niebios stawały się coraz rzadsze. Gdy ich spytała, dlaczego porzucają ludzi, odpowiedzieli, że to istoty niekompletne, że dusze mają zbyt niedojrzałe, by je zabrać do Serca. Pani czuła wstyd z powodu swych pobratymców. Upokorzona tym, że ludzie zwiędną i umrą, nim Serce ich zaakceptuje, rozwinęła swoje nauczanie i poświęciła się uwzniośleniu ludzi, wprowadzeniu w ich życie poczucia celu i godności. Razem ze schorowanym teraz Rahem i z nielicznymi Władcami Niebios, którzy jeszcze odwiedzali Makkathran, nakłoniła miasto do wzniesienia głównego Kościoła w Eyrie. Gdy dzieło się dokonało, gdy zobaczyła, jak Kościół rośnie, przyłączyła się do Raha na szczycie najwyższej wieży w Eyrie i uwolniła swą duszę z ciała, by oboje mogli skorzystać z przewodnictwa Władcy Niebios i razem odbyć podróż do Serca.

Od tego czasu nie widziano żadnego Władcy Niebios nad Querencią.

- To dobrze - rzekła Kristabel. - Nie chciałabym, żebyś zwracał się po wskazówki do kogoś takiego jak oni. Należą do przeszłości. Ty, człowiek taki, jakim cię znam, w jakiego wierzę, sam podejmujesz decyzje.

- O! - Patrzył na nią i niemal czuł strach i onieśmienie jej żarliwym wzrokiem. - Postaram się ze wszystkich sił - obiecał.

- Wiem. Dlatego cię kocham. - Przytuliła się do niego i kazała przygasnąć oświetleniu. - I niech ci się nie wydaje, że nie zauważyłam, co zrobiłeś w swoim apartamencie.

- Eee...

- Nie ma sprawy. Nikomu nie powiedziałam. Żyjemy w Makkathranie i nawet ty powinieneś już się zorientować, że nie należy ujawniać swoich wszystkich talentów.

- Wiem o tym.

- Oczywiście, póki nie będziesz musiał.

- Jasne.

Uśmiechnęła się w ciemności. Dość nieoczekiwanie zasnął. Miał teraz Kristabel u boku i nie dokuczały mu żadne sny ani wizje.

\*\*\*

Wstała wcześniej, gdy świt zapłonął na niebie nad szczytami Donsori. Szybko się ubrała i pocałowała rozspanego Edearda na pożegnanie.

- Zobaczymy się za chwilę - powiedziała cicho i wymknęła się z mieszkania.

Śledził ją dalwzrokiem, gdy szła ulicą do gondoli, która czekała na nią przy stawie kończącym Kanał Lotny, przy wlocie do Kanału Przybycia. W górze krążył georzeł z posterunku w Jeavons i uważnie obserwował, jak Kristabel odjeżdża do domu rodzinnego. Wejdzie do zigguratu przez małe boczne drzwi i pojawi się przy stole na rodzinnym śniadaniu, udając, że spędziła noc we własnym pokoju, a krewni będą udawać, że biorą to za dobrą monetę.

- Głupia etykieta - mruknął Edeard.

Ubierał się. Rękawy jasnofioletowej bawełnianej koszuli ledwo okrywały ramiona, a krótkie spodnie sięgały zaledwie nad kolana; grywał w nich w piłkę w parku. Szewc, niezadowolony, kręcił głową, gdy Edeard zamawiał u niego buty, narzekał, że to prawie jak sznurowane kaptcie na grubej podeszwie. Ale zgodnie z przewidywaniami Edearda okazało się, że to dziwne ubranie idealnie się nadaje do codziennego joggingu.

Tego chłodnego ranka narzucił jeszcze na siebie lekki sweter bez rękawów i wybiegł z budynku. Na ulicy było mało ludzi, więc w dobrym czasie dotarł do Kanału Braterstwa, potem ścieżką na stronę Ogdena, aż do stajni milicji. Tam przez łąkę dotarł do kryształowego muru. Przez kryształ sączyło się złotawe poranne światło, tworząc z poświaty barierę, która lekko się nad Edeardem zakrzywiała.

Gdy wytrwale biegł przed siebie, czuł, jak omiatają go pasma dalwzroku, bardzo subtelnie - ci, co go obserwowali, chcieli pozostać niezauważeni. Wyczuł kilka otwartych, dociekliwych spojrzeń, którym towarzyszył mentalny chichot. Kiedy rozpoczął swój codzienny trening, wielu się tym zainteresowało. Przez pierwsze tygodnie nawet dzieci podejmowały bieg razem z nim, gdy każdego ranka opuszczał dom. Ale on zdecydowanie trzymał się swojej rutyny, aż skończyły się przelotne kpiny i przedrzeźnianie. Tuż po zakończonej łagodnej rekonwalescencji, którą przechodził po upadku, wystarczyło, że pokonał kilometr, a już musiał stanąć; twarz miał czerwoną z wysiłku, serce mu waliło. Teraz mógł biec trzy kwadransy bez zmęczenia.

Acena, lekarka rodzinna Culveritów, zaaprobowała ten trening. Stwierdziła, że więcej osób powinno poważnie dbać o swoje zdrowie. Inni byli mniej wyrozumiali. Edearda nic to nie obchodziło. Postanowił, że już nigdy nie będzie w tak podłej kondycji jak wtedy, gdy nie mógł dogonić człowieka w wieży Eyrie.

Gdy znów zrównał się z Kanałem Przybycia i ruszył przez łąkę, zobaczył, że stajenni wyprowadzają milicyjne konie na poranny spacer. Przez zielono-żółty most wrócił do Jeavons. Dzielnica

budziła się do życia, otwierano sklepy i stragany. Jak zawsze, zaszedł do piekarni na rogu ulicy Pharo i kupił świeże croissantsy.

Po powrocie do domu oddał przepocone ubranie geszympanom do prania. Obok basenu znajdowało się płytkie owalne wgłębienie w podłodze, z warstwą kryształowej tafli zajmującej dwie trzecie powierzchni. Edeard stanął wewnątrz i kazał pokojowi puścić wodę. Z otworów w suficie trysnęła obfita ulewa. Edeard natarł się mydłem, potem zamówił sobie nieco chłodniejszą wodę i spłukał się do czysta.

Obecnie wolał korzystać z tego nowego rozwiązania - miniwodospadu - niż z tradycyjnego basenu. Prysznic był szybszy i odświeżał po biegu. Edeard zastanawiał się, czy nie powiększyć kryształowej tafli, żeby mogły się na niej zmieścić dwie osoby. Wspólny wodospad mógłby dać wiele radości.

\*\*\*

Zgodnie z umową, spotkali się z Kristabel przed jej domem. Popłynęli gondolą do dzielnicy Ilongo. Wysiedli na Kanał Północnego Kręgu, naprzeciwko Bramy Północnej, i ruszyli spacerowym krokiem.

- Jesteś szczęśliwy - powiedziała Kristabel.

Miała na sobie skromną błękitną sukienkę z prostym rąbkiem z białej koronki, na głowie szeroki zielony kapelusz dla ochrony przed słońcem. Gęste włosy tworzyły na plecach puszysty koński ogon.

- Rodziny z karawan to moi starzy dobrzy przyjaciele - odparł. - A nie mam ich zbyt wielu.

Ostrożnie szli drogą gruntową, która wiła się przez Wysoką Fosę prowadziła do zagrody dla karawan. Tego ranka panował tam ożywiony ruch: kursowały wózki z warzywami, zaganiano stada zwierząt hodowlanych, a ziemskie konie wybiegały galopem z drewnianych boksów. Musieli się zwinnie uchylać przed powozami, wiozącymi arystokratów na Łąki Iguru.

- Niekompetentni woźnice - powiedziała Kristabel oburzona, gdy minął ich trzeci pojazd w łagodnej mgiełce sekluzyjnej. - Poznają tarczę herbową. Należy do rodziny Ivesolów. Mogę się



założyć, że to Corille jedzie do swojego pawilonu na wzgórzu Korbal. Ukradkiem spotyka się z Jamisem, trzecim synem Upralów. Wiesz, to głowa rodziny Tarmorlów. A ona jest najstarszą córką. W grę wchodzi spory posag. Słyszałam, jak jej ojciec mówił, że chciałby, żeby ich rodzina przyjęła nasz model, bo Corille może być dobrą Mistrzynią Dzielnicy. Jej brat nigdy nie będzie tak dobrym Mistrzem.

- Doprawdy?

Kristabel podejrzliwie zmrużyła oczy i stuknęła go knykциями w ramię.

- Nie bądź potworem. To ważne sprawy. Te dwie rodziny od ponad półtora wieku nie były w sojuszu.

- Nie mogę sobie przypomnieć: która dzielnica należy do Ivesolów?

- Park Lisieux.

- Aha. - Przypomniał sobie, że Mistrz Parku należał w Radzie do niezdecydowanych, raczej wspierał obecnego burmistrza. Zastanawiał się, czy sojusz rodziny z armatorami Tarmorlami przechyli sympatię Mistrza na stronę Finitana.

- To pomoże - rzekła Kristabel z szelmowską miną.

- Co takiego?

- Że Tarmorle poprą Finitana.

- Aha. - Edeard uśmiechnął się zmieszany. Co ja bym bez niej zrobił?

Znów się zastanawiał, czy to odpowiednia chwila na oświadczenia. Od wakacji w domku nad morzem minęły tygodnie i Edeard przy każdej okazji starał się z nią bywać. Teraz bał się, że Kristabel uzna, że on zabiega tylko o organizowanie tych okazji. Nie. Całe dni rozmyślał przecież o ich małżeństwie.

Westchnął, gdy omijał wóz niebezpiecznie wysoko załadowany klatkami z gęśmi. Na pewno jakieś wydarzenie ją przekona, że jest szczerzy, że wszystko przemyślał i nie wyobraża sobie życia bez niej.

Może po prostu jej to powiem?

A jeśli to nie wystarczy? O, Pani, dlaczego mi to robisz?

W pismach Pani nie znalazł pomocy. Jedyne fragment, który dotyczył kwestii sercowych, mówił: „spojrzycie sobie wzajemnie w dusze i w duszy partnera zobaczycie swoje odbicie; będzie to oznaka prawdziwie błogosławionego związku”.

Jedyny problem polegał na tym, że Pani była bardzo stara, i gdy Edeard przypominał sobie jej nauki, wydawało mu się, że są wygłaszane tonem pani Florrel.

Czasami człowiek rozumie zabójców w afekcie.

Widok zagrody przy Wysokiej Fosie przywołał falę wspomnień. Z tą częścią Makkathranu Edeard zetknął się najpierw. Pamiętał, jak oszołomiła go ta cała masa ludzi i zwierząt na drodze: hałas i kurz takie same jak wtedy, ale chyba tłum był większy. Za Północną Bramę wybierały się trzy karawany, popędzane przez czeladników Mistrza Podróży, którzy próbowali zapewnić płynność ruchu, by nie tworzyły się zatory na skrzyżowaniach dróg. Polecenia wydawano krzykiem i dalmową, co dokładało się do ogólnego, przyjacielskiego tumultu.

Z samego rana przybyły dziś dwie karawany. Z wielkich wozów, ciągnionych przez masywne, flegmatyczne gekonie, gramolili się ostatni podróżni. Edeard i Kristabel podeszli do zagrody i stanęli przy jednej z karawan. Asesorzy z kilku domów handlowych już tam się przechadzali, każdy miał na ramieniu małego, zwiniętego geszympana. Edeard wspominał te małe stworzenia z czułym uśmiechem. Rodziny z karawan nienawidziły ich. Małe truchtały po skrzyniach i kłatkach i sprawdzały produkty wielkimi oczami i nadzwyczajnie czułym węchem; tropiły niedoskonałości, które sprytnie ukryto.

Barkusowi przydzielono trzy zagrody. Edeard i Kristabel przez chwilę przyglądali się wozom. Pięć było nowych, ale wszystkie pozostałe Edeard rozpoznał. Wóz O'Irany. Z tyłu wozu wychylały się świny, które jak zwykle rozsiewały ostry zapach, choć rodzina O'Iranych zawsze twierdziła, że nic nie czuje. Był tu również wóz z ciemnego jarashu z kunsztownymi bordowymi intarsjami, które Golthor pracowicie wykonywał każdej zimy. Olcus sprawdzał osie swojego wozu, a trójka jego dzieci goniła za świszczącą obręczą. Olcus spojrzał dziwnie na Edearda i

wyciągnął szyję, jakby nie poznawał wysokiego młodziana w czarnym mundurze konstabla.

- Edeard, chłopak ze wsi zabitej dechami. - Zaśmiał się pogodnie i szeroko rozłożył ręce. - Na Panią, ale się zmieniłeś.

Edeard uśmiechnął się i nieśmiało wkroczył w jego objęcia. Mocne ramionaomal go nie zmiażdżyły. Trochę się obawiał, jak zostanie przyjęty, ale Olcus natychmiast rozwiął wszystkie jego obawy. Zbiegały się pozostałe rodziny, witając go radośnie. Obejmowano go, całowano, ściskano mu dłoń, klepano po plecach.

- Drogi chłopcze! - zakrzyknął Barkus.

Wszyscy się rozstąpili i Edeard otoczył starca ramionami. Cieszył się, że w mieście nauczył się sztuki ekranowania myśli. Barkus niepokojąco się postarzał. Białe wąsy przerzedziły się, przysadzista przedtem sylwetka teraz wydawała się niemal krucha. Poruszał się o kiju, bo kolana mu się mocno trzęsły. Ale kamizelkę miał jak zawsze wymyślną: w barwach szkarłatu i topazu, z cienkimi srebrnymi lamówkami.

- Jak się cieszę, że pana widzę - powiedział Edeard.

- Wiele o tobie słyszeliśmy - odparł Barkus. - Z początku nie mogłem w to uwierzyć. Wiadomości o Stąpającym po Wodzie szybko się rozeszły po prowincji, ale nie łączyliśmy ich z tobą. A teraz proszę! - Skubnął bluzę Edearda. - Naramienniki kaprała. Gratulacje!

- Dziękuję, proszę pana. A co u pana? Jak się powodzi karawanie?

- A tam! - Barkus ze wstrętem podniósł laskę. - Okropność. Ostatniej zimy głupi upadek na śniegu i kości trzasnęły mi jak szkło. Nasz lekarz zabronił mi jeździć. Muszę beczynnienie siedzieć w wozie, gdy synowie jadą z nami przez góry. Straszne upokorzenie. Pani poddaje mnie srogim testom.

- Dobrze pan wygląda.

- Ha! Kłamca. Ale wybaczam ci. Jest z nami ktoś, kto bardzo chce cię zobaczyć.

Starzec uśmiechnął się łobuzersko i zawołał dalmową w stronę swego wspaniale okrytego wozu. Edeard wykorzystał okazję,

odwrócił się i skinął na Kristabel. Przeszła nieśmiało wśród karawaniarskich rodzin, nienawykła do tego, by ją tak całkowicie ignorowano. Ale oczywiście nikt tu nie wiedział, kim ona jest. Edeard od dawna czekał na ten moment. Z jakiegoś powodu nie mógł pojąć, czemu to dla niego tak ważne, by Barkus i Kristabel wzajemnie się zaaprobowali. Ujął jej dłoń i spojrzął na Barkusa, nie widząc dokładnie schodzącej z wozu postaci w niebiesko-białych szatach. Z dumnym uśmiechem otworzył usta, by zacząć prezentację.

- Edeardzie! - Salrana wyskoczyła zza Barkusa, objęła Edearda i wylewnie go pocałowała. - Kochanie, nie mogłam się doczekać.

- Patrz, kogo spotkaliśmy w Ufford - powiedział Barkus uszczęśliwiony. - To ona cały czas nam opowiadała o twoich wyczynach.

- Weź mnie natychmiast do łóżka. - Edeard poczuł przy uchu jej gorący szept. - Nie zamierzam czekać ani chwili dłużej.

Zamarł z przerażenia. Z rozpaczy. W tym paraliżu również wstyd miał swój znaczny udział.

Salrana się cofnęła. Na jej twarzy pojawiło się zdziwienie, sączyło się do jej umysłu.

- Edeardzie?

- Ojej! - Wzrokiem odruchowo powędrował do Kristabel.

Stała sztywno, a zimne opanowanie wyrażał jedynie pozbawiony emocji wzrok. Edeard nigdy przedtem nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo obie są do siebie podobne. Wysokie, szczupłe, świetliste, cudowne... Od dawna jednak nie myślał o Salranie, jego umysł dogodnie zepchnął ją na daleki plan. Wszystko było zbyt skomplikowane. Zamierzał się tym zająć później, w odpowiednim czasie.

Wszyscy zamilkli, obserwując ze zdziwieniem to spotkanie. Salrana patrzyła na Kristabel. Nawet najsilniejsze ekranowanie umysłu nie było w stanie ukryć tego, co sobie właśnie uświadomiła. Wyprostowała plecy. Przez chwilę dziewczęta po prostu patrzyły na siebie. Salrana wyciągnęła dłoń.

- Mam na imię Salrana. Wychowywaliśmy się razem z Edeardem.

- Kristabel. - Z wdziękiem uściśnęła podaną dłoń. - Zapomniał o tym powiedzieć.

Wszystkie rodziny kierowały wzrok na Edearda. Tylko Barkus westchnął cicho i wzniósł oczy do bezchmurnego, błękitnego nieba.

Edeard odkrył dalwzrokiem mały tunel miasta, pięć metrów poniżej zagrody. Mógłby spowodować, żeby grunt się rozstał i pochłonął go, jak przestraszonego drakkena, który zakopuje się przed niebezpieczeństwem. Nadzwyczaj kusząca możliwość. Tylko że, okazując tchórzostwo, na zawsze straciłby Kristabel.

W pokucie pochylił głowę przed ukochaną.

- Bardzo mi przykro. Powiniennem ci powiedzieć, że nowicjuszka Salrana i ja razem przeżyliśmy zagładę Ashwell. Salrano, powiniennem ci wysłać wiadomość, że zamierzam się wkrótce zaręczyć. Przepraszam, moje zachowanie jest niewybaczalne.

Kristabel spojrzała na niego osobiwie, wyduła wargi, ale nic nie powiedziała. Jej myśli nie były opanowane.

- Rozumiem. - W ustach Salrany zabrzmiało to tak, jakby się wszystkiego spodziewała. - Gratulacje dla was obojga.

- Chodź już, moja droga. - Barkus objął ją wolną ręką. - Zobaczymy się później, Edeardzie. O ile będziesz mógł nam poświęcić odrobinę swego cennego czasu.

- Tak, proszę pana - mruknął Edeard potulnie.

Pozostałe rodziny nagle sobie przypomniały, że mają coś ważnego do roboty. Olcus spojrzał z przyganą na Edearda, odwrócił się i pognał dzieciaki przed sobą. Najstarszy z O'Iranych łobuzersko uniósł kciuk do góry, ale matka go zaraz zgarnęła.

- Chciałabym teraz pójść do domu - oznajmiła Kristabel z kruchą godnością.

- Oczywiście.

Wyszli z zagrody, odprowadzani wzrokiem zaciekawionych asesorów, którzy ciągle tu nadchodzili. Edeard nie śmiał się odezwać. Nie wierzył, że dopuścił do takiego bałaganu. Odłożył załatwienie sprawy z Salraną - to była chyba największa głupota, jaką zrobił w życiu. Nie licząc tego, że nic nie powiedział Kristabel.

Gdy minęli rząd stajni, nagle chwycił ją za rękę, tak że niemal straciła równowagę. Była zbyt zaskoczona, żeby mu robić wymówki. Gdy przystanęli w cieniu muru, sprokurował niewidkę obejmującą ich oboje. Mgiełka sekluzyjna nie wystarczyłaby w tej sytuacji. Potrzebował całkowitego odosobnienia.

Kristabel zmarszczyła czoło, gdy jej dalwzrok sondował psychiczną zasłonę.

- Nie powinienes wiedzieć, jak się to robi... - Gwałtownie westchnęła, gdy Edeard przyklękął.

- Pani Kristabel, kocham cię tak, że aż trudno mi to wyrazić, i nie mogę wyobrazić sobie życia bez ciebie. Czy zgodziłabyś się wyjść za mnie? Wiem, że forma jest niewłaściwa, ale bardzo cię pragnę. Będę walczyć z samymi Władcami Niebios, jeśli w ten sposób musiałbym dowieść swojej miłości.

- Edeardzie?

- Wiem, że zawsze narobię kłopotów, ale to niechcący, naprawdę nie chcę...

- Tak.

- Po prostu nie wiedziałem, co począć z Salraną, więc cały czas udawałem, że nie ma problemu...

- Powiedziałam: tak.

- Nie wiem, co ja... Co?

- Kristabel, uśmiechnięta, uklękła obok niego i ujęła jego dłonie.

- Powiedziałam: tak, wyjdę za ciebie.

Niewidka Edearda osłabła, gdy patrzył na piękną twarz narzeczonej.

- O, Pani. Zgodziłaś się?

Lekko skłoniła głowę, nadstawiając się do pocałunku. Złączyli się wargami i wszystko przestało się liczyć. Edeard zorientował się, że paru rozchichotanych stajennych wygląda zza rogu i wybałusza na nich oczy. Dalmową przekazywali wiadomość swoim kumplom, że Stąpający po Wodzie i przyszła Pani Haxpenu klęczą w błocie i się całują.

- No, właśnie. - Edeard pośpiesznie podniósł się z kolan i podał rękę Kristabel.

Wstała i zde gustowana spojrz ła na ciemn ą, ociekaj ąc ą plam ę z przodu sp ódnicy. Teraz Edeard rozejrz ał si ę po otoczeniu. Gdy poczuł ostry zapach nawozu i zrozumiał, że wcale nie klęczeli w błocie, z gardła wyrwał mu si ę jęk wstydu.

Kristabel nie mogła opanowa ć chichotu.

- Wraca ć do swoich spraw - warknął na stajennych i zrobił groźn ą min ę.

Uciekli ze śmiechem. Kristabel objęła go czule.

- To ty będziesz opowiadał naszym dzieciom, w jakich okolicznościach mi si ę oświadczyłeś.

- Zgoda - rzekł posłusznie.

Pocałowała go mocno.

- Nie musisz walczyć z żadnym Władc ą Niebios. Wiesz, co do ciebie czuję.

- Tak. - Spojrz ał na zniszczone szare deski stajni. - Czy moglibyśmy, no...? Wyciągnęła rami ę i Edeard wyprowadził ją z rejonu stajni na ścieżk ę.

- Doceniam jednak twoje uczucia - powiedziała. - Prawd ę mówiąc, bardzo jestem ciekawa, jak byś walczył z Władc ą Niebios.

- Ja też. - Edeard si ę zaczerwienił. - Czy teraz mam poprosić twego ojca o twoj ą ręk ę?

- Tak. - Opanowała si ę i spojrz wała prosto przed siebie. - I jeśli si ę zgodzi, podda spraw ę pod głosowanie w Radzie.

- Jasne... Co takiego?

- Bezpośredni spadkobierca Mistrza czy Mistrzynie Dzielnicy musi uzyska ć zgod ę Rady na małżeństwo. To formalność. Pochodzi z czasu kryzysu dziedziczenia Nighthouse, który nastąpił tysiąc sto lat temu, gdy Mistrz nie zgodził si ę na małżeństwo najstarszego syna z kobiet ą z Myco, bo miał zatarg z jej ojcem o niezapłacony ładunek. Zagroził, że go wydziedziczy, a syn pozwał go o to do sądu, więc Mistrz musiał zmieni ć prawo. Po tym incydencie rodziny wykorzystywały je, by mieć pewno ść, że dziedziców będą produkowa ć odpowiedni ludzie. Nikt si ę tym juź nie przejmuje, najważniejsze małżeństwa s ą po cichu

aranżowane między domami. Prawo stało się zwykłą tradycją. Ale w zasadzie to ciągle prawo.

- O, Pani. Kiedy zostanę burmistrzem, zamierzam skasować wszystkie głupie prawa w tym mieście i zastąpić je czymś prostszym.

- Kiedy zostaniesz burmistrzem?

Edeard odchrząknął.

- Jeśli.

- Mówisz serio, prawda?

- Czy naprawdę uważasz, że w obecnych czasach muszę prosić Bisego czy choćby nawet Owaina o zgodę na małżeństwo z tobą?

- Jak się temu bliżej przyjrzeć, to jest to dość nieprzyjemne. Ale ja wzrastałam z tymi zwyczajami i wiem, jak sprawy się mają. Dotychczas mnie to nie obchodziło.

- Więc ojciec zaaranżował dla ciebie narzeczeństwo?

- Nie. Tatuś by tego nie zrobił. Choć rodziny zwracały się do niego w tej sprawie. Było wielu konkurentów.

- Aha. - Odrażająca wydała mu się sama myśl, że kobietę tak piękną i bystrą wydano by za jakiegoś ponurego drugiego syna z powodów dynastycznych. Przypomniał sobie wszystko, co Ranalee mówiła o liniach krwi. Tak, to prawo trzeba definitywnie usunąć. Podejrzał jednak, że nie wystarczyłaby tylko ta jedna zmiana, żeby poluźnić duszący chwyt szlachty na makkathrańskim społeczeństwie.

- Dlaczego teraz? - spytała Kristabel, gdy zbliżali się do kanału Północnego Kręgu.

- Nie rozumiem.

- Dlaczego teraz się oświadczyłeś? Domyślam się, że Salrana to sprowokowała, ale jestem ciekawa, dlaczego.

- Nie chodzi o poczucie winy - wyjaśnił pośpiesznie. - Między nami było zrozumienie. Razem z Salraną wiele przeszliśmy. Znałem ją całe życie. Mieliśmy zostać kochankami po jej powrocie z Ufford, a potem mieliśmy się chyba pobrać. Przynajmniej tak mi się wydawało. I wtedy poznałem ciebie.

- Ustaliliście, że zostaniecie kochankami?

- Eeee... tak.



- To taka wiejska wersja naszych aranżowanych małżeństw.  
- Niezbyt dobrze to przedstawiłem. Gdy ją dziś zobaczyłem, poczułem się okropnie. Wiem, że naprawdę złamałem jej serce. To straszne. Ona na to nie zasługuje. To bardzo przyzwoita osoba, w naszej wsi nikt jej nie dorównywał. Ale nie było wyboru. Nigdy nie czułem się rozdarty między wami dwiema. Liczysz się ty i tylko ty.

Przystanęła i znów go pocałowała.

- To miłe. Bardzo mi pochlebia. Tak uważam.  
- Kocham cię, Kristabel - powiedział.  
- Ja też cię kocham. Więc przede wszystkim musimy przekazać mojemu tacie dobrą nowinę.  
- A drogiemu wujowi Lorinowi - złą.  
- Racja! - Wyprostował się i nabrał powietrza. - Idziemy. Zaraz to zrobię.  
- Rozumiesz chyba, że kiedy on się zgodzi, nie będziemy mieli nic do powiedzenia w żadnej sprawie. Może wcześniej sądziłeś, że zetknąłeś się z tradycją w tym mieście, ale to nic w porównaniu z tym, co się teraz stanie. Formalności małżeńskie dotyczące bezpośredniego następcy Mistrza Dzielnicy zostały ustanowione tysiąc lat temu i pozostają niezienne, nawet w wypadku Haxpenu i takiej dziwnej Mistrzynie jak ja.  
- Nooo, dobrze - powiedział z niepokojem.  
- Ach, więc...  
- O ile w końcu będziemy razem, niech miasto robi, co chce. No bo właściwe, co ono może?

\*\*\*

Edeard przybył pod Błękitną Wieżę wczesnym popołudniem i spojrzął w górę na dominującą nad dzielnicą Tosella budowlę. Błękit murów zlewał się z barwą bezchmurnego nieba - jakby wieża zastosowała własną wersję niewidki. Podszedł bliżej w cień potężnych przypór. Główna siedziba Gildii Jajoformerów zawsze go onieśmiała i nigdy nie wiedział dlaczego.

Wszedł do wielkiego westybulu o ciemnoczerwonej podłodze i stanął w skośnych snopach promieni słońca, padających przez

ostrołukowe okna. Podszedł do niego strażnik Gildii w prostej białej bluzie pod jasną drojedwabną kurtką. Edeard spojrział na niego nieufnie - ten sam sierżant witał go podczas pierwszej wizyty.

- Stąpający po Wodzie - powitał go sierżant.

- Sierżancie Eachal, Wielki Mistrz Finitan chciał się ze mną zobaczyć.

Na twarzy sierżanta pojawił się powściągliwy uśmiech.

- Wiem. Zawsze najlepiej się wcześniej umówić na wizytę.

- Tak. Przekonałem się o tym.

- Proszę, już na pana czeka. - Eachal wskazał ręką schody.

Systematyczne trenowanie biegów bardzo się teraz przydało. Długie, kręte schody były może irytujące, ale nic ponadto. Przez całą wspinaczkę Edeard utrzymywał jednostajny rytm oddechu.

- Powiadają, że widział pan duszę Chae po jego śmierci - odezwał się Eachal.

- Istotnie.

- Czy był szczęśliwy?

Edeard zmarszczył czoło. Przyzwyczyił się do pytań o widziane dusze, ale nie do pytań tego rodzaju.

- Nie dlatego, że umarł. Ale był zadowolony z tego, co go czeka.

- Cieszę się, że na końcu znalazł spokój. Miał w życiu wiele ciężkich chwil.

- Pan go znał?

- Tak jak pan. Przeszedłem przeszkolenie na posterunku w Jeavons.

- Naprawdę? - Edeard nie potrafił ukryć zdziwienia.

Sierżant spojrział na niego ukradkiem.

- Nie spałem się tak jak pan, ale właśnie tam odbyłem staż. I osiem lat na ulicy.

- Nie wiedziałem o tym.

- Nie sprawi nam pan zawodu?

- Zawodu?

- Ludzie mają teraz wielkie oczekiwania.

- Zdaję sobie z tego sprawę.

- A jednak chce się pan wżenić w arystokrację.

Edeard przystanął i spojrzął sierżantowi prosto w twarz.

- Poślubiam dziewczynę, którą kocham. Gangi nie odniosą z tego żadnej korzyści. W mieście zostaną przywrócone prawo i porządek. I będzie to dotyczyć wszystkich po równo.

Eachal wydał wargi i skinął głową.

- Cieszę się, że to słyszę.

Edeard wiedział, że go nie przekonał, ale jak miał go przekonać? I po co miałby się specjalnie starać?

Jak zwykle, widok z okien gabinetu Finitana był niesamowity. Eachal skłonił się i wyszedł, a Edeard przywitał się oficjalnie z Mistrzem. Bał się, że to wysoko zlokalizowane pomieszczenie będzie mu przypominać niefortunny upadek z wieży Eyrie. Ale nie - gdy patrzył w dal ponad dachami domów, był spokojny.

- Mój chłopcze - powitał go Mistrz wylewnie, wstając zza biurka. Uścisnął mu dłoń. - Bardzo się cieszę, że cię widzę. Nie musisz nawet pytać, z radością poprę cię w Wysokiej Radzie, gdy Julen przedłoży projekt ustawy o zgodzie na małżeństwo.

- O, dziękuję panu.

Wcześniej twierdził, że nie obchodzą go niedorzeczne formalności związane ze ślubem, ale... Gdy zadowolony Julen wyraził zgodę, wezwano starszego koniuszego domu, by rozpoczął przygotowania. Istniały wymogi formalne: Julen musiał poprosić burmistrza o przedłożenie ustawy przed Wysoką Radą - to miało nastąpić za tydzień, gdyż w obecnej sesji było wiele pracy legislacyjnej. Poinformowano Pytię i poproszono ją o pobłogosławienie zaręczyn; służby Pytii musiały znaleźć dla tej ceremonii wolny termin w kościele w Eyrie, ale na to trzeba było czekać przynajmniej do jesieni. Wysłano formalne zawiadomienia do Mistrzów Dzielnic i zwyczajowo również do Mistrzów Gildii. Oficjalne przyjęcie zaręczynowe, planowane po głosowaniu w Radzie, powinna zorganizować rodzina pana młodego, ale w tym wypadku miało się odbyć w domu Culveritów.

Edeard przez dwa dni (całe dwa dni!) siedział z personelem domu Julana i omawiał szczegóły. Jako ignorant w tej materii, miał niewiele do powiedzenia, ale musiał przysłuchiwać się, jak

uszcęśliwiona Kristabel bez końca omawia z ochmistrzynią i stylistami zalety rozmaitych tkanin. Przy tak ważnych wydarzeniach należało się odpowiednio ubrać. Kristabel musiała sobie sprawić zupełnie nową kolekcję sukni wieczorowych i całą „garderobę zaręczynową”, reszta rodziny zamawiała już dla siebie nowe szaty i modne garnitury. Edearda zaproszono do pokoju na siódmym piętrze; tam krawiec specjalizujący się w szyciu mundurów oficerów milicji pokazał mu różne mundury konstabli stosowne do „nowego statusu Edearda”, i Edeard już się bał chwili, gdy pojawi się w nich na posterunku w Jeavons.

Po przyjęciu zaręczynowym mogły się rozpocząć właściwe przygotowania do ślubu. Tymczasem szczęśliwą młodą parę czekały zaproszenia na przyjęcia i uroczystości. Mnóstwo zaproszeń. Podczas tych imprez wuj Lorin grał rolę oficjalnej przyzwoitki.

Finitan uśmiechnął się, widząc, że Edeard jest załamany.

- Nie myślisz, żeby zwiać?

- W żadnym wypadku - odparł Edeard lojalnie. Finitan tylko się głośniej zaśmiał.

- Teraz rozumiesz, jak się czuję, gdy muszę wygłaszać te wszystkie przemówienia. Dziś wieczór przemawiam do terminatorów w Gildii Chemików, mając nadzieję, że dzięki temu uzyskam kilka głosów więcej. Przyjdiesz posłuchać?

- Kristabel na mnie czeka. Mam jej pomóc wybrać muzykę na przyjęcie zaręczynowe.

- To miłe. Znasz dużo piosenek?

- Tylko Dybala - przyznał Edeard.

Finitan znów się zaśmiał. Para geszympanów wyskoczyła z małych drzwi w regale na książki, niosąc tace z herbatą i ciasteczkami. Edeard pożądliwie spojrział na wafelki imbirowe i herbatniki czekoladowe. Nigdy nie widział ciastkarni zaopatrującej Błękitną Wieżę, ale Finitan zawsze miał najlepsze ciasteczka w Makkathranie. Otwarły się główne drzwi.

- Na pewno pamiętasz Mistrza Topara? - zapytał Finitan.

Edeard spotkał Topara pierwszego dnia, gdy tylko przyszedł do miasta, ale potem chyba go już nigdy nie widział. To było dziwne,

bo Topar to przecież zastępca Finitana. Widząc, jak idzie teraz przez gabinet, zdziwił się, jak bardzo Mistrz się zmienił. Nie był już otyły, ale znacznie szczuplejsza sylwetka niekoniecznie świadczyła o zdrowiu. Na wymizerowanej twarzy w miejsce pulchnych policzków pojawiły się obwisłe fałdy i zmarszczki. Oczy miał podkrążone. Nadal nosił kosztowne ubrania - jedwabna koszula, zamszowe spodnie, wysokie czarne buty i tradycyjna peleryna Mistrza. Jednakże nawet strój nie mógł przestonić faktu, że Mistrz przeżył dość ciężki okres.

- Mistrzu. - Edeard skłonił głowę.

- Podczas mojej nieobecności zyskałeś znaczną sławę, jak mi mówią - powiedział Topar silnym barytonem. To się u niego nie zmieniło.

Edeard wzruszył ramionami.

- Tamtego dnia, kiedy skierowaliśmy cię do konstabli, niewiele wszyscy wiedzieliśmy - kontynuował Topar.

- Mianowicie, proszę pana?

- Wybacz, Stąpający po Wodzie, obwiniam posłańca. To nie był dla mnie przyjemny czas.

Wszyscy trzej usiedli i geszympany podały im eleganckie porcelanowe filiżanki.

- Częściowo to moja wina - rzekł Finitan. - Ale pojawiłeś się u nas, Edeardzie, z niesamowitą opowieścią. Przyznaję, że normalnie bym się tym nie przejął. Chłopak z prowincji przesadza, opowiadając o jakiejś burdzie, próbuje zyskać współczucie, żeby dostać się do Gildii. Jednak uznałem cię za osobę sympatyczną i szczerą, a to, że Akeem wybrał cię na swojego ucznia, wiele mi mówiło.

- Nie rozumiem - powiedział Edeard.

- Chodzi o broń - rzekł spokojnie Finitan.

Trzecią ręką otworzył szufladę biurka i podniósł owiniętą w skórę paczkę. Dryfowała przez chwilę w powietrzu, po czym wylądowała na blacie.

Edeard zamarł, badając dalwzrokiem zawartość pakunku.

- O, moja Pani - jęknął.

To był pistolet samopowtarzalny.

Finitan ostrożnie rozwinął pakunek trzecią ręką. Edeard patrzył na ten przedmiot z obrzydzeniem. Metal był zmatowiały, gdzieniegdzie nadgryziony rdzą, a magazynek miał wgniecenia, ale Edeard poznałby to złe urządzenie nawet na łożu śmierci.

- Gdzie pan to znalazł?

- Tam, gdzie to zostawiłeś - odparł Topar. - Na dnice nowej studni w Ashwell.

- Co takiego?

- Tam się udałem, a jak wiesz, to zazwyczaj nie jest łatwa podróż. Wróciłem dopiero wczoraj w nocy.

- Był pan w Ashwell? - Edeard myślał, że już zupełnie zapomniał o swoim życiu na wsi, o nieżyjących znajomych, ale gdy teraz patrzył na człowieka, który widział tamte opuszczone ruiny, zalały go wspomnienia.

- Posłałem Mistrza Topara, żeby spróbował potwierdzić twoją wersję - wyjaśnił Finitan. - I obawiam się, że potwierdził ją w całości.

- Wszystko wyglądało tak, jak opisałeś - powiedział Topar. - Oczywiście, gruzy zarosły chwastami i mchem, ale poznałem Ashwell, gdy tylko tam dotarłem. Stok, stare wały obronne. Nawet studnię, gdzie się ukrywałeś, łatwo zlokalizowałem, choć było tam mnóstwo błota. Ale nie pojmuję, w jaki sposób udało ci się przesunąć kamienną pokrywę. My cały dzień rozbijaliśmy ją na kawałki, by je potem usunąć. Tydzień zajęło nam przekopanie się przez błoto, żeby wydobyć strzelbę. - Spojrzał spode łba na blat biurka.

- I co teraz? - spytał Edeard.

- Ustaliliśmy, że pistolet rzeczywiście istnieje, więc musimy się dowiedzieć, kim są bandyci - rzekł Finitan. - Jeśli tak ich można nazwać. Co możesz nam powiedzieć o ich przywódcy? Mówiłeś, że z nim rozmawiałeś.

- Był wściekły. Nienawidził mnie, bo zabiłem jego krewniaka w zasadzce, którą zorganizowali.

- Tak to określił?

Edeard usiłował sobie przypomnieć, co nie było łatwe, gdyż dawno już próbował wyprzeć to z pamięci.

- Przyjaciele. Tak powiedział. Nazwał ich „nasi przyjaciele”. „Musisz umrzeć za to, co zrobiłeś naszym przyjaciołom”. Właśnie tak.

- To ciekawe. A ile czasu upłynęło między zasadzką w lesie a napadem na wioskę? - spytał Finitan.

- Niecały rok.

- Więc to nie była spontaniczna reakcja? Oni to zaplanowali.

Edeard skinął głową. Choć mu to sprawiało ból, nie odganiał wspomnień.

- Znali nas. Znali Salranę. To ta z kościoła, tak o niej powiedział. Teraz przypuszczam, że nas obserwowali. Wcześniej nie przyszło mi to do głowy.

- Byli zorganizowani?

- Tak.

- Taki atak trudno przypisać zwykłym rozbójnikom.

- Ubrania! - krzyknął Edeard. - Ci w lesie byli dzicy, dla kamuflażu pomazali się błotem i nie mieli butów. Ale ci, którzy przyszedli do wsi, mieli porządne ubrania i buty.

- Oraz pistolety powtarzalne - podsumował Finitan.

- To nie byli rozbójnicy?

- Nie, to nie ludzie, jacy zawsze żyli na obrzeżach naszego społeczeństwa - przyznał Finitan. - Choć przypuszczam, że te dwie grupy są sprzymierzone. Ci to wysłannicy czegoś zupełnie innego.

- Czego? - spytał Edeard.

- Nie wiem. Ale są nieprzejednani. - Finitan skinął lekko głową do Topara.

- Podróżowaliśmy w pięciu - zaczął Topar. - Tylko dwóch wróciło do Makkathranu. Przykro mi to mówić, Edeardzie, ale prowincja jest niemal stracona. Zaatakowano osiem wsi, to informacja sprzed Nowego Roku, gdy wyjeżdżałem. Stolica jest ufortyfikowana i żyje w strachu. Codziennie wyjeżdżają kolejne rodziny. Farmerzy opuszczają swoje gospodarstwa, udają się do innych prowincji. Karawany przestały tam przyjeżdżać. Gospodarka upada. Sąsiednie prowincje nie udzielają już żadnej pomocy, same obawiają się bandyckich rajdów.

Edeard objął głowę dłońmi.

- Witham? - spytał.

- Tak - odparł Topar. - Upadła sześć miesięcy po Ashwell. Od tego czasu najazdy się nasiliły. Za każdym razem to samo: wieś do szczytu zrujnowana, mieszkańcy zabici, domy podpalone. Szokujące, bezsensowne akcje. Robią to z czystej przyjemności zabijania. Bez żadnego powodu.

Edeardowiomal nie popłynęły łzy, gdy przypomniał sobie piękną czeladniczkę u rymarza, którą spotkał na rynku w Withamie. Nie udało mu się dowiedzieć, jak dziewczyna ma na imię - był wtedy nieśmiałym młodzieńcem. A teraz nie żyje. Pracowicie wykonane ubrania, siodła, uprząż zostały zniszczone. Jej rodzinę zamordowano.

- To nie twoja wina - stwierdził Finitan łagodnym głosem. - Przestań się samooskarżać.

- Powinienem tam wrócić - oznajmił Edeard. - Powinienem z milicją miejską wykurzyć ich z krainy, którą zatruli. Co do jednego. Przedtem on się mnie bał i, na Panią, miał się czego bać. Skończę z nim i z takimi jak on. Znajdę sposób.

- Proszę, uspokój się - powiedział Finitan. - Nadejdzie czas, gdy stawimy opór bandytom, a ty możesz poprowadzić nas do bitwy. Ale zanim ten dzień nadejdzie, jest dużo do zrobienia.

- Po co czekać? - niecierpliwiał się Edeard. - Jeśli pan i Owain połączycie siły w Radzie, możecie wysłać wszystkie nasze brygady milicji i kazać, by prowincje dołączyły do nas również swoje milicje. Do prowincji Rulan może wkroczyć cała armia. Bandyci na zawsze zostaną zmiecieni z powierzchni Querencji.

- Skąd się oni biorą? - spytał Finitan. - Nie są dzicy, noszą ubrania.

Trzecią ręką podniósł pistolet. - I najważniejsze: gdzie to produkują? Czy mają za sobą miasto takie jak Makkathran? Dwa miasta? Kontynent? Nadal nie wiemy, co jest za Rulanem, nie mamy pewności. Te wszystkie fakty musimy bezwzględnie ustalić, zanim podejmiemy ofensywę ujarzemia dzikich terytoriów. Taka kampania będzie bardzo niepopularna zarówno w mieście, jak i na wsi.



- Ale jeśli jej nie podejmiemy, za pięć lat najeźdźcy staną u bram miasta.

- Z pewnością - przyznał Finitan. - To największe zagrożenie, przed jakim stajemy od czasu, gdy Rah poprowadził nas tu dwa tysiące lat temu. Bardzo mnie to martwi. Na zewnątrz istnieje jakieś społeczeństwo, które ma złe zamiary. Wrogie nam, nastawione na to, by nas zniszczyć z nieznanym nam powodów. I najważniejsze: dysponują tą cholerną, powtarzalną bronią. Ty masz siłę i jesteś w stanie odeprzeć kule wystrzelone w ciebie z jednego, może nawet z paru karabinów. Ale ja raczej nie odeprę takiego napadu. Większość ludzi również. Mówisz, żeby skierować do walki naszą milicję. Jeden bandyta z taką bronią zmiecie cały oddział kawalerii. A dodatkowo potrafią stosować niewidki. Nie możemy wysłać przeciw nim żołnierzy, doszłoby do rzezi na niespotykaną skalę. To mnie przeraża, rozumiesz, Edeardzie? Nie wiem, co się stanie.

- Tak, proszę pana, rozumiem.

- Oni się nie osiedlają - powiedział Topar. - To jest w tym najdziwniejsze. Diczęją tereny, z których nas wyparli. Na polach rosną chwasty i trawa, zwierzęta gospodarskie biegają na wolności, wiejskie ruiny dusi powój i inne pnącza. Nikt tam nie mieszka. Bandyci nie usunęli nas po to, by zająć nasze miejsce. Gdy jechaliśmy do Ashwell, przez tydzień intensywnej podróży nie widzieliśmy żywej duszy. Dopiero w drodze powrotnej się na nich natknęliśmy. To był nasz pech. Dostrzegł nas jakiś zabłąkany patrol czy szpieg. Jak tylko się zorientowaliśmy, że chcą nas dopaść, rzuciliśmy się do ucieczki. Jakby sam Honious nas gonił. Nie rezygnowali, byli bezwzględni. Widziałem tę broń w działaniu. Wiem, Edeardzie, z jak straszną rzeczą się zetknąłeś. Pani uczyniła cud, gdy tamtej nocy poprowadziła cię w bezpieczne miejsce. My mogliśmy tylko uciekać, a i tak trzy razy nas dopadli.

- W takim razie co oni robią? Czego chcą? - pytał Edeard.

- Nie wiem. Ale koniecznie musimy się dowiedzieć. - Finitan patrzył na zepsuty pistolet z narastającą odrazą. - Jeśli nie uda nam się powstrzymać ich na prowincji, to będziemy musieli

wyprodukować podobną broń, żeby przetrwać. Czy wyobrażasz sobie, jaka masakra rozpełta się na świecie? Tysiącokrotnie większa niż to, co jeden człowiek z takim karabinem jest w stanie zniszczyć. Bo gdy raz się zrobi coś takiego, nie da się tego odwrócić.

- Już zostało zrobione - stwierdził Topar gorzko. - I to nie my jesteście temu winni.

Edeard sięgnął trzecią ręką po pistolet - zawisła w powietrzu przed jego twarzą. Oglądał dalwzrokiem skomplikowany mechanizm wewnętrzny. W istocie nie było tam zbyt wielu elementów.

- Czy pan to zbadał? - spytał Topara.

- Od miesiący niczego innego nie robię - odrzekł Mistrz. - Badałem broń przez całą drogę powrotną.

- Jest w niej jakiś sekret? Jakaś część pochodząca ze statków, które przywiozły nas na Querencię? A może każdy kowal potrafiłby coś takiego zrobić?

- Mechanizm jest pomysłowy, i tyle. Nie ma w nim niczego niezwykłego, żadnej magii czy niemożliwego triku. Zdolny Mistrz Gildii byłby w stanie zrobić te części. Sądzę, że nawet wyzwolony czeladnik by sobie poradził.

Edeard spojrział ostro na Wielkiego Mistrza.

- Pistolety długolufowe pochodziły z Gildii Broni. Owain mówił, że to starożytna konstrukcja.

- Tak - przyznał Finitan znacząco, ale umysł miał ściśle zaekranowany. - Niewykluczone, że już coś podobnego mają głęboko w swoich piwnicach. Wiedzę lub artefakty pozostałe po statkach.

- Czy uważa pan, że bandyci właśnie stamtąd to wzięli?

Finitan upuścił nieco trwogi z za ekranowania mentalnego.

- Według mnie to niewiarygodne, żeby po dwóch tysiącach lat nigdy nie dotarła do nas żadna pogłoska o innej cywilizacji na Querencji.

- Nikomu nie udało się opłynąć planety - zauważył Edeard. - Przynajmniej tak się twierdzi. Może dlatego. Może geograficznie

jest to możliwe, tylko nikomu nie udało się przedostać poza tamte osady.

- Gdyby było ich tak wielu i gdyby byli tak silni, wiedzielibyśmy o nich - rzekł Finitan.

- Może by spytać czuwającą wdowę? - zasugerował Topar zjadliwie i spojrział przenikliwie na Edearda. - W zasadzie...

- Od czasu Chaego nie widziałem żadnych dusz - odparował Edeard. - W każdym razie zastanawianie się, gdzie są, nic nam nie da. Problem polega na tym, co robią.

- Gdybyśmy tylko się dowiedzieli, skąd pochodzą, może by się udało całkowicie poznać ich intencje. - Finitan westchnął. - Zapętliliśmy się w dyskusji. Powinniśmy się skupić na tym, jak mamy zareagować.

- Może zawrzeć rozejm z Owainem - zasugerował Edeard. - Makkathran powinien wysłać zwiad w dzikie rejony za Rulan, żeby wyśledził źródło pistoletów. Poszedłbym... - zaczął niepewnie.

- Nie ma mowy - rzekł zdecydowanie Finitan. - Potrzebujemy cię tutaj, byś pokonał gangi. Kiedy miasto się skonsoliduje, możemy zawierać konkretniejsze sojusze z prowincjami. Owain zupełnie nie rozumie, że nie da się osiągnąć jedności z prowincją, jeśli się nie wdroży uniwersalnego prawa tu u nas. I jedność musi się zmierzyć z najazdami. Dlatego, Stąpający po Wodzie, w mojej kampanii odgrywasz kluczową rolę.

Edeard skinął głową bez przekonania.

- Potem?

- Gdy przegoni się gangi, a ja zostanę burmistrzem, przyjdzie czas, byś ścigał swojego odwiecznego wroga. Ale Pani jedna wie, jak usprawiedliwisz swoją nieobecność przed młodą żoną.

Edeard o tym nie pomyślał.

- Czasami trzeba zrobić coś złego, by zrobić coś dobrego - wymamrotał pod nosem.

- Właśnie. Tymczasem skoncentruję się na wygraniu tych przeklętych wyborów. Dzięki zwycięstwu zbuduję bazę do nieuniknionej walki, jaka zaraz się zacznie - oznajmił Finitan.

- Może do niej dojść szybciej, niż myślisz - powiedział Topar. - Prowincje wokół Rulanu już zebrały swoje oddziały milicji. Wkrótce wystosują prośbę o pomoc do Wielkiej Rady. Do ludzi dotrze informacja o tym, co się dzieje na naszych zachodnich granicach.

- Nie tylko na granicach - wtrącił Edeard. - Zwykli bandyci grasują na prowincji i są coraz bardziej bezczelni. Kiedy zostanie pan burmistrzem, musi pan podjąć zdecydowane działania.

- „Jeśli”, mój chłopcze. Wielkie „jeśli”. Owain nie jest głupcem i ma sporo poparcia w mieście. Ludzi z jego ruchu Jeden Naród.

- Ale mówimy o tym samym.

- W zasadzie tak, ale ja bym to inaczej wprowadził. Przed wszystkim bezpieczeństwo miasta, bez tego wszystko przepadnie. Owain wykorzystuje jedność, by zmobilizować poparcie miasta dla siebie, miasta jako takiego. W ostatecznym rachunku to się nie uda.

- Robimy postępy - stwierdził Edeard. - Jesteśmy niemal gotowi do wdrożenia mojej nowej taktyki. Trochę ryzykownej, ale może pozwoli wyjść z obecnego impasu.

- Więc módlmy się do Pani o sukces. Edeard wstał.

- Mistrzu?

- No, no, nie brzmi mi to dobrze - rzekł Finitan z uprzejmym uśmiechem.

- Potrzebny mi mały genistar jako zwiadowca, ale żeby nie przyciągał uwagi.

- Interesujące zadanie. Zobaczę, co da się uformować.

- Zastanawiałem się jeszcze, czy wie pan, jak zajrzeć przez niewidkę. Jestem przekonany, że ludzie, którzy zastawili na mnie pułapkę w Eyrie, potrafili mnie dostrzec.

Finitan z zakłopotaniem spojrział na Topara.

- Ponieważ zupełnie nie ma czegoś takiego jak niewidka, więc nie ma sposobu, by ją spenetrować.

- Rozumiem, proszę pana. - Edeard był rozczarowany.

- Z pewnością to nie jest to samo, co to.

I przesłanie Finitana napłynęło gwałtownie do umysłu Edearda - niezwykle złożona metodyka, którą Edeard ledwo rozumiał.

- W takim razie będę pamiętał, żeby jej nie używać.
- Jeszcze z ciebie zrobimy prawdziwego obywatela Makkathranu, mój chłopcze.

\*\*\*

Obstalowane mundury okazały się nadzwyczaj wygodne, uszyte z tkaniny bawełniano-drojedwabnej, miękkiej i wytrzymałej jednocześnie. W odróżnieniu od munduru galowego, który podarowała mu poprzednio Kristabel, nadawały się do codziennego użytku. Nie były tak krzykliwe jak barwne mundury milicji, ale krawiec nadał im splendoru, jakiego brakowało strojom, które Edeard kupował u zwykłego dostawcy konstabli. Platynowe guziki błyszczały jaśniej niż wielokrotnie pucowane, starawe już, srebrne guziki Dinlaya. Krój subtelnie się różnił od standardowego - Edeard wyglądał naprawdę szykownie; taką bluzę nosiłby arystokrata, gdyby się zniżył do pracy na posterunku. A koszule były tak białe, że w porównaniu z nimi ośnieżone szczyty gór wydawały się szare. Krawiec przysłał nawet specjalne płatki do prania, by geszympany nie zniszczyły nieskazitelnej bieli. A sięgające do kolan buty... Niebo między mgławicami nie było tak czarne ani tak pełne blasku.

Gdy pierwszy raz Edeard włożył to ubranie i zdenerwowany przejrzał się w lustrze, nie mógł powstrzymać dumnego uśmiechu.

Wyglądam stylowo, pomyślał, naprawdę stylowo.

Szyku dodawała również długa peleryna zapinana przy szyi wysadzaną szmaragdami broszą, którą teraz próbował zapiąć jedną ręką. Trzecią ręką niechcący potargał pelerynę i spodobało mu się, jak wokół niego faluje. Ładne dopełnienie. Przećwiczył układanie fałd - tkanina unosiła się i opadała powolnymi falami. Może by zrobić z tego swój znak rozpoznawczy? W nocy mógłbym pojaśnić pomarańczowe światła miasta; moja sylwetka wyłaniałaby się znikąd; rzucałbym się na przestępców, a peleryna powiewałaby za mną jak pióropusz wściekłego dymu. Ten imponujący widok całkowicie by im odebrał ochotę do walki,

porzuciliby złe zamiary i padli przed nim pokornie na kolana. Zatem dobrze!

- Jejku! - Szpilka broszy ukłuła go w kciuk. Strzepnął dłonią i wysłał spływającą kroplę krwi. - Niech to! - Mój image wymaga jeszcze nieco pracy.

Zapiął broszę, włożył czapkę, przesunął palcami po daszku i wreszcie zasalutował swemu odbiciu.

- Policjant jak się patrzy.

Macsen zupełnie inaczej to nazwał, gdy Edeard ostentacyjnie wkroczył do małej sali posterunku. Młodemu Felaxowi opadła ze zdumienia szczeka. Rozległy się bezczelne gwizdy.

- Cieszę się, że nie odciąłeś się od swoich korzeni - rzuciła Kanseen. Edeard odpiął broszę i zamaszystym ruchem zdjął pelerynę.

- Czy ktoś jeszcze mi zazdrości?

- Na szczęście, nauczyłeś nas technik niewidki - burknął Boyd. - Bo za żadne skarby nie przejdę jawnie ulicami w towarzystwie czegoś takiego.

Za ten brak dyskrecji Dinlay rzucił mu wściekłe spojrzenie.

- Wyglądasz świetnie - powiedział. - Teraz ludzie mają oczekiwania w stosunku do nas, więc potrzebny jest odpowiedni wygląd.

- Dziękuję. - Edeard rozejrzał się po sali.

Dziesięciu zaufanych konstabli siedziało teraz przy stołach i przeglądało raporty. Papierów przybywa w takim tempie, że niedługo trzeba będzie zatrudnić ludzi z Gildii Urzędników, żeby to wszystko ogarnęli, pomyślał smętnie.

- Dotychczas siedemdziesięciu dwóch - poinformował Doral.

- To dobrze.

- Większość dokumentów dotyczyła ekspulsji. Jego zespół przeglądał papiery, oceniał raporty z innych posterunków w całym mieście oraz bezcenne informacje pochodzące od Charyau, od jego sieci kupców i handlarzy. Starannie analizowano również stare notatki Edearda z okresu, gdy szpiegował w Domu Błękitnych Płatków. Powoli i niezbiecie identyfikowano przywódców gangów. Szefowie rzadko spotykali się osobiście,

więc nie było bezspornych dowodów łączących ich z konkretnym przestępstwem. Jednak sposób, w jaki ze sobą współpracowali i respektowali swoje terytoria, świadczył o tym, że znali się wzajemnie i że ich gangi mają formalną organizację. To ciekawe, jak struktura podziemia przestępczego odzwierciedlała spłot interesów znamienitej arystokracji. Edearda ciągle drażniło to, że dotychczas nie udało się udowodnić powiązania między gangami a niektórymi mniej szacownymi rodzinami, takimi jak na przykład Gilmornowie.

- Nie możemy ich po prostu aresztować? - marudził Boyd. - Siedemdziesiąt dwa nazwiska. To chyba wystarczy? A Buate nadal codziennie musi się stawiać w sądzie finansowym.

Edeard się skrzywił.

- Chcę mieć setkę - oznajmił.

Liczba robiła wrażenie. Pokazaliby miastu, jak dotkliwie uderzyli we wroga. Że nie chodzi tylko o same nakazy ekspulsji i że ze strony policji nie jest to zwykła realizacja obietnic kandydatów na burmistrzów.

Nie chodziło o uzyskanie wyroku skazującego. Edeard wiedział, że ma za słabe dowody. Ale przepisy o aresztowaniu zawierały mało znaną klauzulę: jeśli konstabl przysięgnie, że są uzasadnione podejrzenia, że aresztowany brał udział w nielegalnej działalności, to może go zatrzymać na dwadzieścia dwa dni bez wniesienia formalnych zarzutów. Przepis zakładał, że w tym czasie konstabl zdoła zebrać dowody i przesłuchać wszystkich zainteresowanych.

Edeard doszedł do wniosku, że gdyby cała czapa gangów - a przynajmniej ci liderzy, których uda się zidentyfikować - została zdjeta z ulicy i trzymana w izolacji przez pół miesiąca, to szeregowi gangsterzy byłiby bezradni.

„Ciało bez głowy” - jak to podsumował Macsen.

Gdyby opór gangsterów się załamał - na co Edeard liczył - i ludzie byłiby czasowo wyzwoleni spod ich tyranii, to perspektywa powrotu gangów po dwudziestu dwóch dniach może być przeważającym argumentem na korzyść Finitana i programu banicji. Finitan planował również wniesienie do

Wysokiej Rady prawa wyjątkowego: przedłużyć okres zatrzymania do miesiąca. Czterdzieści cztery dni - wtedy już będzie po wyborach. Plan jest nieco podstępny, pomyślał Edeard, ale taki jest przecież Makkathran, i on tego z dnia na dzień nie zmienia.

Usiadł przy stole i zniechęcony patrzył na szare, schludne tekturowe teczki. Bez względu na to, jak ciężko pracował i ile pracy przydzielił innym, papierkowa robota wcale się nie zmniejszała.

- Coś nowego dla ciebie do czytania - powiedział Dinlay.

Edeard podniósł wzrok i zobaczył zbitych w grupkę, uśmiechniętych przyjaciół. Dinlay trzymał małą czerwoną książkę.

- Prezent od nas wszystkich - rzekła Kanseen.

Wziął książkę. Była bardzo cienka. Na okładce widniały małe połączone litery „Przewodnik dżentelmena w małżeństwie”.

- Dziękuję. - Był im autentycznie wdzięczny.

- A co tam piszą na temat wieczoru kawalerskiego? - spytał Macsen, ale ugryzł się w język, przestraszony spojrzał na Kanseen i natychmiast się poprawił: - To znaczy, przyjacielskiego.

Burknęła coś znużonym tonem. Edeard przerzucił kilka stron.

- „Mężczyzna ma prawo urządzić wieczorek dla swoich kolegów, w pełni świadom, że kończy się kawalerski styl życia. Należy to zorganizować ze smakiem, odwiedzić miejsca związane z miłymi wspomnieniami i po raz ostatni zakosztować tamtych wrażeń”.

- Nie chcę kolejnej nocy w Orle Okwana - zaprotestował Dinlay.

- To ma być coś specjalnego.

- Możemy zacząć w restauracji Rakas w Abadzie, tam gdzie byliśmy po promocji - zaproponowała Kanseen.

Edeard już miał się zgodzić, ale przypomniał sobie, że przecież Salrana była z nimi tamtego dnia.

- Raczej w jakimś innym miejscu.

- W Fiacre znam jeden teatr. Tancerki rozbierają się w tańcu - opowiadał Boyd z zapartym tchem.



- Naprawdę? - spytał Edeard.

Kanseen zacisnęła zęby i uparcie patrzyła w punkt tuż nad jego głową.

- To nie ma nic wspólnego ze wspomnianiem przeszłości - przyznał Edeard.

- Zaczniemy od toru treningowego dla psów w Andromedzie, potem przejdziemy się po szykownych knajpach w Lillylight - zaproponował Macsen. - Mnóstwo dobrych restauracji i teatrów, więc znajdziemy coś na wieczór.

- Doskonały pomysł - poparła go Kanseen.

- Julen musi najpierw przepchnąć ustawę przez Radę - marudził Edeard.

- Uważa się, że głosowanie przeciw uchwale jest w złym stylu - wyjaśnił Dinlay. - Od ponad trzystu lat nie było żadnego głosu sprzeciwu.

- Naprawdę? O tym nie wiedziałem.

- My wiemy - odparli unisono.

\*\*\*

Wieczorem Edeard miał wybierać garnitur na doroczny bal dobroczynny wydawany za dwa tygodnie przez Mistrza Dzielnicy Nighthouse. Zbierano fundusze na miejskie szpitale. Kristabel przyjęła usprawiedliwienie narzeczonego, że ma pilne nocne zadanie.

- Bądź ostrożny - powiedziała.

Niemal czuł wyrzuty sumienia. Niemal.

Po raz pierwszy mógł być wdzięczny Buatemu, który zorganizował spotkanie kilku innych szefów gangów z policyjnej setki. Tak poważnego zlotu nie można było zignorować.

O zmierzchu Edeard wyprowadził swój oddział z posterunku. Od razu zorientowali się, że w górze krążą georły, a po ulicy snuje się parę małych gepsów. Już od pewnego czasu gangi nie używały ludzi do szpiegowania konstabli opuszczających posterunek.

- Chciałbym czegoś spróbować - powiedział do kolegów. - Przez pewien czas nie korzystajmy z tuneli.

Szli z nim przez most na Kanale Marmurowym do Drupe, gdzie ulice były wąskie, a domy wysokie. Georły cały czas nad nimi szybowwały.

- Studiuję waszą książkę. Wynika z niej, że po ślubie nie mogę się skarżyć do Kristabel w kwestiach dotyczących zarządzania moim majątkiem, gdyby sprawy się źle potoczyły.

- Tak, zawsze unikam tych tematów w rozmowach z Saria - przyznał Boyd. - Tak jest lepiej.

- Nie powinienem również spierać się o to, jaka część domowego budżetu idzie na garderobę żony. Najwyraźniej ma obowiązek wyglądać jak najlepiej i wspierać mnie na arenie publicznej.

- Absolutnie słusznie - stwierdziła Kanseen.

- I nie powinienem czuć się przegrany, gdy przyznam jej rację.

- Na pewno napisała to kobieta - zawyrokował Dinlay.

Weszli w Zaułek Moslet, będący zaledwie szczeliną między sześciopiętrowymi domami. Pod budynkami panowała już ciemność. Dwa skupiska domów były połączone niewielkim łukowatym mostem rurowym; pod spodem miał zamontowane małe pasy, z których na chodnik sączyło się nikiel pomarańczowe światło. Zaułek tworzyła seria ostrych zakrętów, które ograniczały dalwzrok, ale gdyby ktoś ich próbował śledzić w tak wąskiej uliczce, od razu by się zorientowali. Tego rodzaju miejsca dawały Edeardowi doskonałą przykrywkę, gdy znikał w tunelach pod miastem.

Kazał przygasnąć pomarańczowym pasom świetlnym na moście. Uliczka pogrążyła się w klaustrofobicznej ciemności. Omiótł otoczenie dalwzrokiem, upewniając się, że na tym odcinku zaufka są sami. Potem przeskanował je subtelniejszymi technikami, przekazanymi mu przez Finitana. Ktoś wślizgnął się w zaułek - w umyśle Edearda pojawiła się szara smuga, jakby kłaczek mgły, w którego centrum dostrzegł sylwetkę człowieka.

- Musimy się pośpieszyć - ponaglił kolegów. Pobiegli truchtem. Postać przyśpieszyła.

- Tu stajemy - polecił, gdy skręcili w drugi zaułek.

Znaleźli się bezpośrednio pod małym mostem, niewidoczni dla szybujących w górze georłów. Zakryty prześladowca wpadł w zaułek i zobaczył pięć osób zbitych w grupkę, jakby kombinujących coś nielegalnego. Edeard wyciągnął ku niemu rękę, peleryna zafalowała wokół ramienia.

Zaułek zalało nagle białe światło. Od murów odbił się echem przeraźliwy grzmot.

Wygenerowany przez Edearda miniaturowy piorun trafił prosto w pierś mężczyzny - ten zatoczył się do tyłu i padł, a jego niewidka zniknęła w mgnieniu oka.

- Wielka Pani! - wykrztusił Dinlay.

Edeard przyjrzał się mężczyźnie, który drżał, ale nie próbował wstać. Ogląd dalwzrokiem ujawnił, że nieznajomy żyje, a jego myśli mają wzorzec niespokojnych marzeń sennych. Piorun pozbawił go świadomości, ale serce nadal energicznie, choć nieregularnie pompowało krew. Gruba skórzana kurtka dymiła się w miejscu, gdzie nastąpiło wyładowanie.

- Zajmij się georłami - poprosił Edeard Kanseen.

Trzecią ręką podniósł bezwładne ciało i przyciągnął je bliżej kolegów. Ptaki mogły widzieć błysk, z tym już nic nie dało się zrobić, ale wówczas zostałyby oślepione i ich właściciele nie będą wiedzieć, co zaszło w zaułku.

Kiedy Kanseen zdeorientowała i tak już zdenerwowane genistary, Edeard poprosił miasto, by go przepuściło do kanału burzowego. Drużyna zanurzyła się, biorąc ze sobą jeńca.

W bezpiecznym miejscu pod powierzchnią Edeard dokładnie obejrzał mężczyznę, którego trzymał trzecią ręką nad ciekim wodnym. Dość zwyczajny osobnik, prawdopodobnie przed pięćdziesiątką; miał ciemne kręcone włosy i małą wypielęgowaną bródkę.

- Znacie go? - spytał Edeard.

- Nie przypominam sobie, żeby był na naszej liście - odparł Dinlay. Macsen westchnął.

- Nie można się tego spodziewać. Zobaczcie, jak jest ubrany.

Rzeczywiście, ubranie było proste: czarna skórzana kurtka, pod nią koszula barwy indygo, i beżowe zamszowe spodnie. Buty do

kostek miały dyskretne srebrne haki na sznurowadła. Ten rodzaj stroju nie wzbudzał nigdzie szczególnego zainteresowania. Jednakże obecnie Edeard znał makkathrańskich krawców i potrafił ocenić jakość ubrania.

- Kosztowne - zawyrokował.

- Z pewnością to nie taniocha, więc wiemy, że człowiek nie należy do gangu. Przynajmniej nie bezpośrednio - stwierdził Macsen.

- Ktoś z wielkich rodzin?

- Cóż, niczego nie da się udowodnić, a on nam raczej nic nie powie - odparł Macsen ze zboląłą miną.

- Daj spokój, na pewno coś wiesz - rzekł Boyd.

- Zastanówcie się, gdzie teraz jesteśmy i jak się tu dostaliśmy - zaczął Macsen głosem poważnym, powściągliwym, nietypowym dla niego. I ten błysk światła, którym go powaliłeś. To coś nowego, Edeardzie. Krążą plotki, że twoje mieszkanie jest jakieś inne. Spadłeś z wieży i przeżyłeś. Te wszystkie małe cuda bardzo interesują arystokrację.

- Członkowie wielkich rodzin potrafią ciskać światłem - bronił się Edeard. - Ja tylko mam większą siłę.

- Nie, nie chodzi wyłącznie o siłę. Czy ktoś inny potrafi dostrzec dusze? Czy potrafi rozmawiać z samym miastem? Nikt. Górujesz nad nami, Stąpający po Wodzie. Bardzo, bardzo górujesz.

- I co? Zawsze wiedzieliśmy, że Edeard jest znacznie bardziej utalentowany od nas wszystkich razem wziętych - stwierdził Dinlay.

- To wykracza poza talent psychiczny. - Macsen spojrzał spokojnie na Edearda. - Przerażasz ludzi. Nawet ja robię się przy tobie nerwowy, a znam cię lepiej niż większość mieszkańców. Według mnie nie nadużyjesz swojej mocy, ale spójrzmy prawdzie w oczy: co cię może powstrzymać? Dlatego przyciągasz zainteresowanie.

- Nigdy bym... Chcę, żeby miasto dobrze funkcjonowało - zwrócił się Edeard do przyjaciół. - Żeby było miejscem, któremu można ufać, gdzie wszyscy czują się bezpieczni. Wiecie o tym i

dlatego mi pomagacie. Jest tak? - spytał, ale bał się, że może nie dzielają jego ambicji.

- Tak - zapewniła go Kanseen. - Ale przyznasz, że uwaga Macsena jest słuszna. Nie tylko masz swoiste zdolności, ale również zdobyłeś popularność. Mogę się założyć, że gdybyś kandydował na burmistrza, dostałbyś sporo głosów.

- Nie chcę, popieram Finitana.

- Wiem o tym - odparła. - Chodzi o to, że arystokracja widzi, jak wielkie masz poparcie, i rozumie, że chcesz wprowadzić zmiany. Zmiany w ich pozycji: powrót do bardziej demokratycznych rządów, wprowadzenie odpowiedzialności za decyzje... to zmniejszy ich władzę i, niech Pani ma ich w swojej opiece, również ich bogactwo. Przecież cała struktura polityczna miasta jest nastawiona na jedno: zachowanie i pomnażanie ich majątku. Kiedy zmieciemy gangi, ruszysz potem na nich i podniesiesz sprawę wypaczeń i nadużyć prawa ustanowionego przez Raha. To nieuniknione.

- Niektórzy mówią, że ty jesteś Rahem. - Boyd wzruszył ramionami. - Naprawdę. Ludzie często mnie o to pytają. Myślą, że wróciłeś z Serca, żeby wprowadzić miasto do spokojnej przystani, jaką było na początku. Gangi i obecny bandytyzm... z tego rodzaju chaosu Rah wyprowadził swoich wyznawców.

- Oh, droga Pani! - Edeard spojrział rozpaczliwie na Dinlaya.

- Mnie też pytano - powiedział Dinlay przeprasającym tonem. - Ale wiem, że nie ogłosisz się dyktatorem. To głupie podejrzenie. Nigdy by czegoś takiego nie mówili, gdyby cię dobrze znali.

Edeard czuł niesamowite znużenie. Co za okropne odkrycie! Sporo dokonał, tyle musiał przejść, a tu się okazuje, że stał się obiektem nieufności i podejrzeń.

- Chcę tylko, żeby ludzie byli bezpieczni. Chcę, żeby ustały zabójstwa, strach. Żeby ludzie wiedzieli, że władze i konstable będą ich ochraniać.

Kanseen otoczyła go ramieniem.

- Uważam, że głównie to niepokoi arystokrację. Nie wierzą, że ktoś jak silny jak ty może być uczciwy. Ale ty jesteś uczciwy i dlatego będę przy tobie trwała aż do końca.

- Ja też - powiedział Dinlay.
- Ufam ci, Edeardzie - oznajmił Boyd. Teraz wszyscy patrzyli na Macsena.
- Nie muszę mówić. To jasne.
- Mimo to, powiedz - nalegała Kanseen.
- Jestem z tobą.
- Dziękuję.
- Ale musisz przyznać, że twoje zdolności znacznie wykraczają poza to, co Querencia wcześniej widziała. Włączam w to Raha. Choć to może bluźnierstwo.
- Tak - przyznał Edeard zażenowany.
- Więc... - Dinlay zawiesił głos - ...czy jesteś Rahem?
- Nie!
- Więc dlaczego ty? - spytał Macsen. - Na pewno jesteś kimś wyjątkowym.
- Zapewniam cię, że nie.
- Jesteś wybrany - rzekła Kanseen. - Wiemy, że wszystko, co Pani mówiła w swoich pismach, jest prawdą. Pokazałeś nam duszę Chaego... i przecież podobał ci się cały paradoks tej sytuacji, że to właśnie on. Zatem, jeśli mamy dusze, a Morze Odyna jest drogą do Serca, to ten świat ma w sobie więcej, niż wiemy.
- Wybrany? - powtórzył Edeard oszołomiony.
- Nie wiem, przez kogo czy przez co, ale to nieprawdopodobne, żeby ktoś z twoimi zdolnościami pojawił się właśnie w naszych czasach zupełnie przez przypadek. Serce albo nasi przodkowie przemawiają do nas przez ciebie.
- Prawdopodobnie nie oni. - Edeard przypomniał sobie swoje sny. - Nie mogę się wyprzeć swoich czynów, choć nie wiem, skąd pochodzą moje zdolności. I obiecuję wam, że z tymi zdolnościami zrobię rzeczy dobre. A jeśli ktoś z was się z tym nie zgadza, to, na Panią, niech mi powie. - Spojrzał na nieprzytomnego jeńca. - Wróćmy do niego. Kto to taki?
- Rodziny mają swoje własne sposoby, żeby utrzymać porządek w mieście - powiedział Macsen. - Przecież nie mogli liczyć na

konstabli. Przynajmniej nie w okresie przed Stąpającym po Wodzie.

Dinlay się obruszył.

- Konstable zawsze stali na straży prawa i porządku w Makkathranie. Sam Rah powołał naszą formację.

- Rah pozwolił Mistrzom Dzielnic na egzekwowanie prawa w ich własnych dzielnicach - sprawiedliwie argumentował Macsen.

- Niezależni konstable miejscy zostali wprowadzeni znacznie później.

Edeard podniósł dłoń, by uspokoić patrzącego wilkiem Dinlaya.

- A więc twierdzisz, że w Makkathranie istnieje inna siła policyjna?

Macsen pokręcił głową.

- To za mocne określenie. Autentyczne Wielkie Rodziny są tak stare jak samo miasto. Gdy struktura arystokracji okrzepła, próbowały znaleźć sposoby konsolidacji swoich interesów. Zatrudniają własnych ochroniarzy, urzędników, prawników, rozmaitych specjalistów. Również osoby dbające o ich interesy polityczne w najszerszym znaczeniu. Zorientowałeś się, że gangi nie napastują rodzin, że ich majątek jest nietykalny. Dlaczego?

- Bo współpracują z gangami? - spytał Edeard.

- Nie, myślisz zbyt dosłownie. Istnieje wzajemne zrozumienie, ale to nic sformalizowanego. Ludzie nie usiedli przy okrągłym stole, żeby wytyczyć granice. Ale rodziny dbają o siebie na każdym poziomie. Jeśli jakiś gang będzie na tyle nierozsądny i butny i przeholuje, to niektórzy członkowie rodzin natychmiast położą kres przemocy i gangsterzy to doskonale rozumieją.

- Ale przecież... Mirnatha - powiedział Edeard.

- Tak. Największy szok dla miasta od czasu wydarzenia na Stawie Birmingham. Przykro mi to mówić, ale jest przyczyna, jest skutek.

- Czy ty jesteś jednym z agentów rodziny? - spytał Dinlay.

- Nie.

- Dość dużo o nich wiesz.

- W istocie niedużo. Jeden z kuzynów mojego ojca kilka razy wypowiedział się aluzyjnie, że niektórzy krewni widzieliby mnie

jako swojego współpracownika. Nic z tego nigdy nie wynikło. Ojciec umarł i... no, wiecie, jak moja rodzina potraktowała moją matkę i mnie.

- To wszystko brzmi bardzo logicznie - stwierdził Edeard. - Ale uważam, że czasami nie chodzi o mgliste porozumienie. Z osobistego doświadczenia wiem, że Gilmornowie są ściśle powiązani z organizacją Buatego.

Macsen spojrział na człowieka, którego Edeard przytrzymywał trzecią ręką.

- Dwukrotnie usiłowano się ciebie pozbyć. Nie zrezygnują z tego, tym bardziej że twoje zdolności ciągle rosną.

Edeard przypomniał sobie ostatnią rozmowę z Ivarlem.

- Może masz rację. Ale w takim razie nie kierujemy wydarzeniami w taki sposób, jak nam się wydaje.

- Witaj w Makkathranie - powiedział Macsen.

- Gdzie wszystko toczy się wokół polityki.

- Słusznie. Zaczynasz rozumieć.

Edeard wciągnął powietrze.

- Więc co robimy z naszym przyjacielem?

- Georły pokazały agentom arystokracji, że potrafisz robić sztuczki z błyskawicą - powiedziała Kanseen. - I teraz potrafisz przejrzeć przez niewidkę. Kiedy następnym razem zechcą cię dopaść, użyją wszystkich środków.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

- A co zamierzasz z nim zrobić?

- Nie wiem. Sparaliżowałem go, bo musiałem.

- Nie załamie się na przesłuchaniach - powiedział Macsen. - Za bardzo wierzy w swoich sponsorów. Nie mamy więc zbyt wielu możliwości.

- Mogę go umieścić w takim miejscu, z którego się nie wydostanie - powiedział Edeard. Zastanawiał się, czy Macsen go sonduje. - To rozwiązanie tymczasowe, póki nie zdecydujemy, co z nim zrobić.

- Brzmi nieźle.

\*\*\*



Kiedy Edeard podjął życiową decyzję i odrzucił ofertę Finitana, by zostać uczniem w miejskiej Gildii Jajoformerów, zrobił to z przekonania, że swoimi umiejętnościami dorównuje zawodowcom z Błękitnej Wieży. Teraz, gdy trzymał w dłoni maleńką gemysz, zrozumiał, jak był wtedy zadufany w sobie. Stworzonko nie większe od jego palca miało miękkie futerko jak ziemski kociak; z gałązkowatych nóg wyrastały po trzy zakrzywione pazury, ostre i twarde, umożliwiające pionową wspinaczkę po miejskich murach. Prawdziwym cudem była jednak głowa - odstające długie uszy potrafiły usłyszeć dźwięk spadającej szpilki w odległości trzydziestu metrów, oczy natomiast były miniaturą niebiesko zabarwionych oczu georta, umożliwiały wyraźne widzenie w absolutnej ciemności.

Finitan przekazał mu mysz z pełnym satysfakcji uśmieszkiem.

- Docenisz przynajmniej mój wysiłek. Bądź tak mity i opiekuj się nią troskliwie.

- Dobrze, proszę pana - odparł Edeard z szacunkiem.

Ostrożnie trzymał gemysz i odruchowo uspokajał jej podekscytowany umysł własnymi kojącymi myślami. Małe oczka obserwowały go biernie, acz z iskierką zaufania. Edeard uśmiechnął się do stworzenia.

- Doskonały byłby z ciebie uczeń. - Finitan westchnął.

- Jak długo będzie żyła?

- Niestety, najwyżej tydzień.

Edeard współczuł myszy, lecz, choć nigdy wcześniej nie widział tak małego genistara, rozumiał, że ich czas życia jest proporcjonalny do rozmiarów ciała.

Coraz bardziej podziwiał zdolności Wielkiego Mistrza. Nie miał pojęcia, jak należałoby się zabrać do rzeźbienia takiej istoty. Przede wszystkim była mniejsza od dwutygodniowego embrionu gepsa, a to prowadziło do interesujących problemów przy wykluwaniu. Akeem zawsze twierdził, że standardowy gekot jest najmniejszym genistarem, jaki może istnieć.

Gdy Edeard wraz z kolegami znalazł się pod domem w Sampalok, gdzie brylował Buate, wyjął maleństwo z kieszeni i unióśł je w górę. Miasto wyniosło je z tunelu do najniższej

piwnicy. Edeard skierował dalmowę do umysłu myszy i ostrożnie sterował nią pod drzwiami, po schodach, do piwnicy pośredniej. Gemysz drapała pazurami twardą substancję miasta, wyszukiwała drobne zmarszczki, by się wciągnąć na zakrzywione stopnie. W krótkim, ciemnym korytarzu na szczycie schodów stali dwaj strażnicy z pistoletami za pasem. Żaden z nich nie zauważył przebiegającej myszy. Nie zauważył jej też mężczyzna w niewidce - Edeard dostrzegł go stojącego tuż za drzwiami.

Buate był już w pokoju z ośmioma innymi szefami gangów. Siedzieli wokół wielkiego, starego stołu, na którym stały otwarte butelki wina i piwa. Gemysz wcisnęła się za wysoki kredens, cicho wdrapała się po starym meblu na sam szczyt i przycupnęła za porcelanową zastawą stołową. Stamtąd przekazywała Edeardowi ostry obraz wraz z odgłosami wścieklej rozmowy.

Edeard dzielił się tym ze swoimi kolegami, którzy stali oparci o ścianę tunelu daleko poniżej podłogi piwnicy.

- To Gormat i Edsing - powiedział Dinlay. - A to Joarwel. Zobaczcie, zgolił brodę.

- Jesteś pewien? - spytała Kanseen.

- Tak.

- On ma rację - powiedział Boyd. - Wyjaśnia się, dlaczego od paru tygodni nikt go nie widział. Sprytne.

- Znam Hallwitha i Coyce - powiedział Macsen. - Ale nie rozpoznaję innych.

Weszło jeszcze dwóch mężczyzn. Przywitali się krótko z Buatem i pozostałymi gośćmi.

- Więc po co się tu zebraliśmy? - spytał Joarwel.

- Bo ponosimy porażki - stwierdził Buate. - Choć mówimy naszym ludziom, że wszystko idzie dobrze, to ten drań Stąpający po Wodzie wypycha nas z kolejnych ulic.

- Nie trzeba mi tego powtarzać - odparł jeden z niezidentyfikowanych gości. - Trzydzieści lat mieszkam w swoim domu, a tu przychodzi jakiś gołowąs i macha mi przed nosem jakimś pieprzonym nakazem banicji. Musiałem się

powstrzymywać, żeby nie strzelić mu w bezczelną gębę. Trzydziestolatek!

- Zapowiada się coś jeszcze gorszego - powiedział Buate. - On chce nas wszystkich aresztować.

- Nie ma aż tylu więzień.

- Nie tylko nas tu obecnych. Ma całą listę, stu naszych.

- A to gówno! - mruknął Macsen. - Skąd on to wie?

Edeard wzruszył ramionami. Nie był zdziwiony.

- Za co chce nas aresztować? - spytał Coyce. - W tym roku ledwo zarobiłem na życie. Na Panią, trzech moich chłopców musiało sobie znaleźć pracę w teatrze.

- Za nic - powiedział Buate. - Nie zamierza nas zmienić, tylko nas aresztować.

- Na cholere, po co?

- Bo może nas przetrzymywać dwadzieścia dwa dni. Takie jest prawo.

- Dwadzieścia dwa dni!

- Doczeka do wyborów - rzekł Buate znacząco. - Myśli, że bez nas nasze grupy się rozleją.

- Pierdolony drań, powinniśmy poderżnąć mu gardło.

- Nie. Poderżnąć gardło jego dziewczynie, a on niech na to patrzy. Potem spalić go żywcem. Jak z tym sklepikarzem z Zeldy. Od tamtego czasu nie mieliśmy żadnych problemów ze sklepikarzami.

- Stąpający po Wodzie ma rację - stwierdził Edsing. - Jeśli nas zabraknie, nikt nie utrzyma tego w kupie i zostaniemy z niczym.

- Co więcej, jeśli wygra Finitan, wygonią nas z miasta - prorokował Buate.

- Więc co z tym robimy?! - wrzasnął Hallwith. - Nie może wygrać, to przecież Makkathran.

- Było na niego kilka zamachów, ale on chodzi po ulicach cały i zdrowy. Ma moc, jakiej my nie mamy.

- Czy sugerujesz, że on naprawdę jest Rahem? - spytał Edsing. - Wszędzie się o tym mówi.

- Głupie przesady. To sierota z prowincji Rulan, nic więcej. Tyle wiem. Ale moc ma rzeczywiście nadzwyczajną.

- Mówią, że Pytia go popiera.

- Gównu mnie obchodzi, co popiera Pytia. Nasz problem jest bardzo realny, a nie duchowy. Pójdziemy do więzienia, a potem na resztę życia wysiedlą nas na jakąś zapomnianą przez Panią wyspę.

Hallwith walnął pięścią w stół.

- Dotarło! Powiedz nam, co mamy robić.

- Wszyscy musimy z nim walczyć. Tylko to nam zostało. Gdy będą nas wyprowadzać z celi, musimy walczyć, bo inaczej umrzemy. Musimy strzelać do konstabli, spalić wszystkie magazyny, zatopić gondole i statki w porcie. Pokazać Makkathranowi, że jesteśmy tak silni jak Stąpający po Wodzie.

- Ale wobec niego nie mamy szans - powiedział Coyce. - Zrzucili go ze szczytu wieży, a on odleciał. Kule nie działają. Tamtej nocy byłem w Domu Błękitnych Płatków, gdy twój brat zorganizował zasadzkę. On jest nieśmiertelny! O, Pani, może to Rah?!

- Jeśli jeszcze raz ktoś to powtórzy, poderżnę mu gardło - zagroził Buate. - To część jego siły: zasiać wśród nas wątpliwości. Tak, jest mocny, ale jest sam. Sam jeden! Kiedy przyjdzie po mnie, tysiące naszych ludzi będą szaleć na ulicach. Wszystkich nie zatrzyma. Na tym polega nasza siła. A kiedy ludzie zobaczą, co rozpętał ich ukochany Stąpający po Wodzie, zażądają jego krwi. To on zostanie wygnany, a my będziemy świętować w posiadłości Culveritów. Teraz macie iść do domu i uzbroić się, wybierzcie cel i kiedy zapukają do waszych drzwi, otworzycie i zgotujecie im Honious.

\*\*\*

Drużyna zajęła swój zwykły stolik w Orle Oloyana. Milcząc, wpatrywali się w szklanki z piwem, a mroczne myśli sączyły się przez osłabione ekranowanie.

- Uważasz, że zrobią to? - spytał Dinlay.

- Najprawdopodobniej - odparła Kanseen. - Coraz bardziej ich naciskamy, ponieśli szkody, tak jak mówił Buate. Co mają do stracenia?

- Musimy ich zamknąć szybko i cicho - stwierdził Boyd.

- Sto oddzielnych aresztowań? - powątpiewała Kanseen. - Pamiętasz nasz atak na magazyn rybaka? Prawie całe miasto wiedziało o tym pół dnia wcześniej. Buate jest inteligentny, zawczasu ich przygotowuje. Wystarczy jedno aresztowanie i kontrakcja ruszy.

- W takim razie zróbmy to jutro o świcie - powiedział Dinlay. - Jeszcze nie zdążyli się zorganizować. Na spotkaniu było ich tylko dziesięciu. Rozkazy Buatego nie zdążą się rozejść dziś w nocy. Jego aresztujemy najpierw, potem każemy innym posterunkom, żeby capnęli innych z listy.

- My też nie jesteśmy gotowi - stwierdził Edeard. Już wcześniej myślał o szybkich aresztowaniach. - Co najmniej dwa dni zajmą nam ustalenia z kapitanami posterunków.

- Najprawdopodobniej plany rozruchów i zniszczeń nie znajdują poparcia wśród Wielkich Rodzin - powiedział Boyd. - Może ich agenci zechcą nam pomóc?

- Nie ma co na to liczyć - skwitował to Macsen z odrazą. - Dla nich pozostaniemy problemem. Gdyby nie my, Buate by tego wszystkiego nie planował. My jesteśmy źródłem problemów.

Edeard pociągnął spory łyk piwa.

- Oni wiedzą, co planujemy, i my wiemy, co oni planują. Ale oni nie wiedzą, że my wiemy.

- Znów zacznasz! - Dinlay, wyraźnie przerażony, objął głowę rękoma.

- To nasza jedyna przewaga. Musimy pomyśleć, jak ją wykorzystać - upierał się Edeard.

- Jak? - spytała Kanseen.

- Nie wiem - odparł Edeard ponuro.

- Buate nie ma w zasadzie żadnego planu - rzekł Macsen. - Działa intuicyjnie. Przyznaję, to słuszna intuicja. Jeśli nie przeprowadzimy aresztowań, on i tak będzie niszczył miasto i zabijał konstabli, gdy Rada przyjmie edykt o banicji. On nie ma innego wyboru. Totalna konfrontacja to jego ostatnia szansa, by utrzymać się w mieście. Tylko w ten sposób może skłonić Wysoką Radę do zmiany zdania.

- Jak zamieszki mają działać na naszą korzyść? Naprawdę tego nie rozumiem - powiedział Boyd.

Edeard bardzo by chciał znać odpowiedź, by zademonstrować kolegom, że jest przywódcą. Zdecydowałby się na konkretną strategię. Ale patrzył tylko w swoje piwo i modlił się do Pani o natchnienie. I niech je szybko na niego ześle.

\*\*\*

Pokój był zwykłym sześcianem; długość boku przy podstawie: dziewięć metrów; w suficie owal światła. W jednym rogu stało wysokie łóżko, na nim sztywny gąbczasty materac charakterystyczny dla wszystkich łóżek w Makkathranie. W drugim rogu znajdował się mały basenik do mycia, w którym stale krążyła woda. W trzecim rogu prosty podest służył za toaletę. Czwarty róg był pusty. Pokój nie miał drzwi. Przez szczeliny pod sufitem wpadało świeże powietrze.

Dalwzrok tu nie sięgał - ściany były zbyt grube. Dźwięki się tu nie przedostawały. Owal światła nie reagował na polecenia „ciemniej”, „jaśniej” - cały czas pozostawał taki sam.

Jedyny tutejszy lokator przez pierwszy dzień spacerował wkoło pokoju, dalwzrokiem badał każdy centymetr kwadratowy, palcami przesunął po ścianach, szukał najdrobniejszych pęknięć, jakiejś wskazówki, że można się stąd wydostać, że można tu wejść. Niczego nie znalazł. Nie mógł wezwać pomocy dalkrzykiem - zbyt grube ściany.

Gdy po przebudzeniu stwierdził, że jest w tej dość znośnej celi, na środku podłogi zobaczył trzy talerze, a na nich chleb, masło, dwa rodzaje sera, plastry zimnej wołowiny, owoce i ciastko morelowe. Powoli jadł to przez cały dzień. Od czasu do czasu robił parę pompek lub przysiadów. Kilka razy krzyczał do swoich porywaczy, to prosił, to im wygrażał. Bez odpowiedzi.

W końcu światło przygasło do słabej pomarańczowej poświaty. Począł jeszcze chwilę i położył się do łóżka. Długo nie mógł zasnąć.

Osiem godzin później owal pojaśniał. Na podłodze stały trzy nowe talerze z jedzeniem. Stare zniknęły bez śladu.

Zaczynał się drugi nieciekawych dzień.

\*\*\*

W południe Edeard wślizgnął się przez podłogę.

Mężczyzna siedział wtedy na łóżku i jadł słodkie winogrona. Patrzył zafascynowany na podłogę wokół Edearda, która wydawała się lita. Dalwzrokiem badał ją dokładnie.

- To rzeczywiście robi wrażenie, Stąpający po Wodzie - powiedział ze smętym uśmiechem i wrzucił sobie do ust winogrono.

- Dziękuję - odparł Edeard. - A pan jest...?

- Kim jestem, nie ma znaczenia.

- Może mieć znaczenie dla pana żony lub dzieci.

- Nie jestem żonaty. Na szczęście. Za szybko biegam. Ale gratuluję zaręczyn. Ta Kristabel to dobra partia.

- Dlaczego nas śledziłeś?

. Mężczyzna spojrzał na swoją koszulę o barwie indygo i na piersiach dotknął śladu po przypaleniu.

- Załatwiałem własne sprawy, oficerze. Nikogo nie śledziłem. Ktoś mnie napadł i obudziłem się tutaj.

- To ja. Przepraszam za zniszczenie koszuli. Ładna. Gdzie można taką kupić?

- W mieście przybrzeżnym Chelston. Na północ stąd. Kilka dni żeglowania przy silnym wietrze.

- Zdaje pan sobie sprawę, że pana stąd nie wypuszczę, póki nie uzyskam odpowiedzi na pewne pytania.

- A jeśli ich pan nie uzyska? Posunie się pan do tego, by wymusić je torturami?

- Nie, oczywiście, że nie. Zostanie pan tu, aż dostanę to, co chcę. Najwyraźniej izolacja jest skuteczną zachętą do współpracy. - Edeard rozejrzał się po podziemnej komnacie, którą stworzyło dla niego miasto. - Nie sądziłem, że izolacja może być tak wygodna, ale niezbyt dobrze znam tę metodę. Proszę wybaczyć.

- Na Makkathranie zadawanie trudnych pytań odbywa się zwykle nieco inaczej - przyznał mężczyzna swobodnym tonem. - Używa się noży, ognia, przyduszania. Tylko Stąpający po Wodzie mógł wymyślić przesłuchanie tak dziwne jak to.

- Ale pan wie, że to skuteczne. Widzę, że to odosobnienie już pana denerwuje. Więc może przeskoczy pan ten nieprzyjemny okres i powie mi to, co chcę wiedzieć. Wtedy pana stąd wypuszczę.

- A gdzie to jest?

- Posterunek w Jeavons.

- Kiepski z ciebie kłamca.

- Wiem. Wszyscy mi to mówią - że nie potrafię ekranować swoich myśli jak rodowici mieszkańcy miasta. Odślaniam zbyt dużo emocji.

Mężczyzna wrzucił do ust winogrono i się uśmiechnął.

- Idzie ci coraz lepiej.

- Naprawdę? Czy myśmy się już kiedyś spotkali?

- Wszyscy cię znają, Stąpający po Wodzie.

- Ale nie wszyscy się mnie boją.

- Ja się nie boję.

- Ale pana rodzina się boi. Bo po co by mnie pan śledził?

- Już mówiłem: nie mam rodziny. Być w złym miejscu o złej porze - to ja.

- Dlaczego się mnie boją?

- Nic o tym nie wiem.

- Może jakaś hipoteza?

- Ta moja podróż do Chelston to był typowy rejs. Kapitan znał drogę i wiedział, na co uważać. Całe życie tamtędy żeglował, tak jak przed nim jego ojciec, dziadek, pradziadek i tak dalej, od dnia, gdy statek spadł z nieba. Dzięki tej trasie jego rodzina jest ubrana, syta i żyje dostatnio. To jego żywioł. Ta trasa zawsze się sprawdza. Więc wyobraź sobie, jak się czuł, gdy pewnego dnia nagle z wody tuż przed nim wyłoniła się rafa, która mogłaby rozpruć dno statku.

- Doświadczony kapitan wiedziałby, jak ją ominąć.

- Statek jest bardzo duży, ciężko załadowany i niezbyt zwrotny.



- Tak sędzę, zwłaszcza że na pokładzie byli tacy jak pan, wymuszający obroną trasę. Ale przecież nigdy nie wiadomo, czy po drugiej stronie rafy nie ma wód łatwiejszych do żeglugi.

Mężczyzna pokręcił głową i westchnął.

- Jak ktoś tak naiwny mógł w tym mieście tak daleko zajść? Wątpię, żeby nawet Pani potrafiła zgłębić tę tajemnicę.

- Niektórzy uważają, że to właśnie Pani wybrała mnie, bym powtórzył światu jej posłannictwo.

- To cudowne. Czy rzeczywiście twierdzisz, że jesteś wcieleniem Raha?

- Nie. Obaj przecież wiemy, że tak nie jest.

- A więc przynajmniej nie głosisz, że masz boskie prawo do zniszczenia społeczeństwa, które dobrze funkcjonowało przez dwa tysiąclecia. To mnie pociesza.

- Poślubiam Kristabel, która ma w mieście większe znaczenie niż dziesiątki pomniejszych rodzin takich jak pańska. Czy naprawdę pan myśli, że zniszczę wszystko, co zbudowała jej rodzina? To będzie również moja rodzina.

- Pomniejsze rodziny? Uważasz, że jak mnie rozzłościł, to przestanę się pilnować?

- Złości to pana? Prawdziwie Wielkie Rodziny nie przejmują się tym, że powrócą prawo i porządek. A pan kim jest? Kimś w rodzaju piątego syna czwartego syna trzeciego syna? Pańską gałąź rodziny chyba już dawno temu wykopano z tej bajecznej posiadłości. Czy zerka pan z zazdrością za każdym razem, gdy pan tam przechodzi? Czy słyszy pan ten śmiech za murami? A pana ojciec to kto? Handlowiec z ambicjami na wielkość? Założę się, że nie płaci wszystkich należnych podatków. Czy tylko dzięki temu pan jest w stanie płacić rachunki w swoim nowym domku? Czy tylko dlatego może się pan ubierać równie wytwornie jak służący Kristabel? Czy dlatego przystał pan do grupki żałosnych zbirów, by się łudzić, że znów należy pan do arystokracji?

- Stąpający po Wodzie, więcej się po tobie spodziewałem. Jesteś bardzo młody i mam przekonanie, że zdążysz zobaczyć wszystko do samego końca. A będzie to koniec naprawdę żałosny.

- Dla pana koniec już nadszedł. Kiedy prawo banicji wejdzie w życie, zostanie pan wywieziony z miasta. I nigdy pan nie powróci. Nigdy.

- Nie możesz mówić o przyszłości, chyba że uzurpujesz sobie prawo do większego daru widzenia przyszłości od naszej ukochanej Pytii. Więc poczekam tu na rozwój wydarzeń, dzięki.

Edeard przechylił głowę, by przyjrzeć się swojemu irytująco uprzejmemu oponentowi. Nie spodziewał się tak trudnego przeciwnika.

- Czy był pan jednym z czterech na wieży?

Edeard trzykrotnie wracał pod wieżę, badając wspomnienia miasta z dnia, gdy upadł. Czuł kroki czterech napastników na krętych schodach, trzy godziny przed wymianą strzałów, ale choć bardzo się starał, nie zdołał prześledzić ich wstecz. Oddzielili się od dużego tłumu wiernych - kilkaset osób - przybyłych do kościoła na popołudniowe nabożeństwo. Trudno było z tego zamętu wyłonić pojedynczą parę stóp. A gdy Edeard upadł, nikt właściwie nie wiedział, co się stało, póki nie odzyskał przytomności. Dopiero wtedy powiedział swoim kolegom. Nic więc nie zrobiono, by zaarrestować tajemniczych czterech osobników, który uciekli w zamieszaniu, jakie wtedy panowało pod wieżą przez ponad godzinę.

Mężczyzna uśmiechnął się. Cierpko.

- Gdy spadałeś, myślałeś, że koniec z tobą. Nie wiedziałeś, że przeżyjesz. To nasze największe zmartwienie. Kto ci pomaga? I dlaczego?

- Wszechświat pomaga tym, którzy prowadzą uczciwe życie. Tak dokładnie głosi pismo Pani.

- Odpowiedz mi na to jedno pytanie, a ja odpowiem na wszystkie twoje.

Znużony Edeard pokręcił głową.

- Zostaniesz tu, aż zaczniesz współpracować. Nie potrwa to długo, jak sądzę. Izolacja to podstępny wróg. A pan jest odizolowany tak perfekcyjnie, jak to tylko możliwe na tym świecie.

- Czy naprawdę myślisz, że czas gra na twoją korzyść?

- Przekonamy się, komu czas sprzyja. Wróć tu. Kiedyś. - Kazał podłódze, żeby go przepuściła, i opadł na dół.

\*\*\*

Sądy finansowe mieściły się pośrodku siedziby Parlamentu i ciągnęły się nad południowym odcinkiem Pierwszego Kanału. Sale i gabinety sądowe znajdowały się w dziewięciu podkowiastych mostach, przerzuconych nad wodą tak blisko siebie, że razem tworzyły prawie tunel nad małym kanałem. Oświetlenie wewnątrz sądów pochodziło niemal wyłącznie z wklęsłych ośmiokątów dekorujących sklepiony sufit. Równie dobrze mogłoby to wszystko być pod powierzchnią miasta, bo nawet wysokie szczelinowe okna, wychodzące na zacienioną jamę pod mostami, nie robiły żadnej różnicy. Mroczne oświetlenie pogłębiało przygnębiający nastrój wszechobecny w ósmym sądzie. Edeard wkradł się cicho na tyły półokrągłego pomieszczenia. Wystrój nie przypominał zwykłego sądu. Tu długie stoły ustawiono w rzędy, w centrum stał okrągły stół, przy którym siedział inspektor podatkowy. Na końcu każdego stołu stała lampa na olej jamolarowy; padał z niej krąg żółtego światła na nieporządne stosy papierów i teczek. Na pierwszy rzut oka Edeard ocenił, że papiery chyba ożyły i mnożą się szybciej niż drakkeny. Nie mogło przecież być aż tylu rachunków związanych z Domem Błękitnych Płatków. Przy każdym stole siedziało przynajmniej dwóch urzędników jednakowo ubranych w identyczne koszule i kamizelki. Żaden nie przekroczył pięćdziesiątki i chyba wszyscy nosili okulary.

Kamizelka inspektora podatkowego miała srebrne lamówki - tylko to odróżniało go od pozostałych członków Gildii. Zaglądał do wielkiej księgi i zadawał pytanie dotyczące dochodów lub wydatków. Wtedy urzędnicy z zespołu Buatego naradzali się cicho ze sobą, przeglądali teczki i księgi, po czym wyjmowali kwity lub pisemne oświadczenia i wyjaśniali obieg pieniędzy. W tym momencie urzędnicy zaangażowani przez inspektora generalnego burmistrza podważali te dowody Buatego,

przedstawiając inne papiery lub wpis w księdze odpowiedniego podmiotu.

Po wysłuchaniu stron inspektor pracowicie zapisywał coś w księdze i przechodził do następnego pytania.

Badano rejestry z trzech lat. Każdy zakup alkoholu. Trzy lata rachunków za zakup i pranie pościeli dla Domu Błękitnych Płatków. Trzy lata zarządzania genistarami. Trzy lata wymieniania mat za barem. Trzy lata zastawy stołowej: zakupy, stłuczki, odpisy amortyzacyjne. Trzy lata kosmetyków i fryzjerów dla dziewcząt. Trzy lata spinek do włosów, każda partia dokładnie zapisana i przeliczona.

Buate siedział przy stole w najdalszej części sali. Ramiona miał przygarbione, oczy szkliste, skórę bladą nawet w tym ponurym świetle. Spojrzał na wchodzącego Edearda i przygnębienie zaczęło powoli znikać z jego twarzy, mięśnie odzyskały sprężystość, usztywniły policzki i szczękę i nadały mu wyraz czystej wściekłości.

Edeard patrzył na niego i ani drgnął. Inspektor pytał o większe niż zwykle wydatki na wędzone orzechy toco szóstego czwartku w czerwcu dwa lata temu. Urzędnicy Buatego szukali pokwitowań za słoiki, a ten ani na sekundę nie oderwał oczu od Edearda.

W końcu Edeard pierwszy odwrócił wzrok. To nie do wiary, ale niemal współczuł gangsterowi. Heroiczna walka o duszę miasta powinna się toczyć na ulicach i nad kanałami, porachunki powinni załatwiać za pomocą pięści i trzecich rąk, gdy polityczni zwierzchnicy spiskują i intrygują w Radzie. Ale nie w ten sposób. To było nieludzkie.

I ja mu to zgotowałem.

Edeard pochylił głowę i spojrzał na swoje buty, dokładnie jak uczeń w ostatniej ławce powstrzymujący się od chichotu. Wybiegł z sali, stanął na krużganku i wybuchnął głośnym śmiechem. Urzędnicy w bordowo-oliwkowych kamizelkach patrzyli na niego z przyganą.

- Przepraszam. - Edeard prosił o wybaczenie całą urzędniczą gildię.

Opanował się i poszedł w stronę Kanału Środkowego Kręgu.

Udało się. Opuszczał sąd, zrywając boki. Triumfując, jeśli mam być szczery. Buate natomiast musiał tam siedzieć już od dziesięciu dni, przez sześć godzin każdego dnia, a Edeardowi powiedziano, że potrwa to jeszcze przynajmniej osiem dni.

Gdyby tak zrobić to każdemu z listy stu. Już byśmy ich złamali. Banicje byłyby niepotrzebne, sami już dawno z wrzaskiem uciekliby za bramy miasta.

Ale tego rodzaju kontrolę finansową stosowano tylko wobec dużych firm, które stale oszukiwały na podatkach. Główny Konstabl musiał mocno naciskać Generalnego Inspektora, żeby inspektor rozpoczął formalne badania ksiąg rachunkowych Buatego. Wymagało to wiele czasu i kosztowało znacznie więcej, niż wynosiły nałożone kary. A najgorsze, że urzędnicy ciągle nie mogli znaleźć żadnych konkretnych powiązań między Buatem a rodziną Ranalee. Naturalnie, to nie miało istotnego znaczenia. Kontrola podatkowa była po to, by wyprowadzić Buatego z równowagi, gdy tymczasem konstable z Jeavons tworzyli listę stu. Mimo to, przydałby się dowód na istnienie powiązań.

Opuścił połączone kopuły budynku Parlamentu i przeszedł przez delikatny biały siatkowy most Kanału Środkowego Kręgu. Skrawek łądu otoczony niewielkim kanałem był za mały, by uzyskać status dzielnicy, i popularnie nazywano go ogrodem Raha. Stanowił zieloną oazę w zgiełku rządowych instytucji. Edeard spacerował po prostych ścieżkach obsadzonych wysokimi, idealnie przystrzyżonymi ogniocisami. Pierwsze w tym roku kwiaty na krzakach róż rozsiewały w nieruchomym powietrzu delikatny zapach. Kilka stawów ze słodką wodą połączono małymi strumieniami, przez które prowadziły łukowate mostki. Gdy Edeard przez nie przechodził, widział w wodzie duże szmaragdowo-szkarłatne ryby, które zerkały na niego chytrym okiem.

Po drugiej stronie ogrodu wyrastał Pałac Sadowy, przewyższający kopuły parlamentu. Przed szerokim symetrycznym podestem czekał na Edearda kapitan Larose.

Edeard poprawił marynarkę, choć i tak strojem nie mógł się równać z galowo umundurowanym kapitanem.

- Stąpający po Wodzie.

- Dziś tylko pan, kapitanie?

- Niestety, stary druhu. W pałacu jestem skromnym przewodnikiem.

- Proszę mnie oprowadzić.

Wspięli się na trzeci poziom tarasu i weszli do pałacu przez wysokie łukowe drzwi. Z holu prowadziło pięć długich kruzganków.

- Gratulacje - powiedział Larose. - Kristabel to dobra partia.

- Dziękuję.

- Spotkałem ją kilka razy. Oczywiście nie zrobiłem na niej specjalnego wrażenia.

Edeard postanowił tego nie komentować.

- Czy naprawdę widział pan dalwzrokiem duszę Chaego?

- Tak. - Edeard nauczył się w końcu tego, że gdy zadawano mu to pytanie, powstrzymywał westchnienie, które można by było uznać za nieuprzejme.

- To chyba pozwala spojrzeć na życie z innej perspektywy.

- Śmierć nie jest tak przerażająca, ale to nie znaczy, że nie powinno się wychwalać życia.

- Jest pan nadzwyczajnym facetem - stwierdził kapitan, gdy weszli do Sali Malfit.

Edeard doskonale potrafił sobie wyobrazić, jak kapitan czyta „Przewodnik dżentelmena w małżeństwie” i spija stamtąd każde słowo.

Przeszli do Sali Liliala - tu Edeard zatrzymał się, by spojrzeć na sufit z takim samym zdziwieniem jak wówczas, gdy po raz pierwszy widział obrazy w Sali Malfit. Nad nim cicho wirowała nawałnica, wokół błyskało światło, rzucając cienie pod dziwnymi kątami, gdy zygzaki piorunów przeszywały chmury. Wtedy Alakkad ukazał się między mknącymi chmurami: gładki czarny glob opleciony setkami jarzących się czerwonych linii wielkich rzek lawy.

- Nie wiedziałem, że to tu jest - powiedział oczarowany Edeard. Wyciągał szyję, próbując objąć wzrokiem cały sufit. - Czy da się zobaczyć całą obręcz Gicony?

- Zna się pan na astronomii.

- Trochę. Tam gdzie się wychowałem, w sali gildii mieliśmy bardzo stary teleskop. Mój mistrz lubił obserwować niebo. Zawsze mówił, że próbuje wypatrzeć jakiś statek kosmiczny zmierzający do Querencji. Myślę, że tak naprawdę wypatrywał Władców Niebios.

- No właśnie. Jeśli będzie pan dostatecznie długo patrzeć, zobaczy pan wszystkie światy w obręczy.

Chmury przesłoniły Alakkada. Edeard chciałby jeszcze tu pobyc. Obręcz zawsze była jego ulubionym obiektem na nocnym niebie: pięć małych planet obracających się wokół siebie, krążących dalej od słońca niż Querencia. Przez starożytny teleskop nigdy nie można było zobaczyć Alakkada tak szczegółowo. Edeard zastanawiał się, jak wyglądały tu Vili albo Bliźniaki Marsa.

Larose poprowadził go przez wspaniałe pomieszczenia - prywatne pokoje burmistrza. Owain czekał w swoim owalnym gabinecie; siedział za olbrzymim biurkiem - tak wielkiego Edeard jeszcze nigdy nie widział. Co też może być w tych wszystkich szufladach? - zastanawiał się, ale nie próbował sondować dalwzrokiem.

- Stąpający po Wodzie - powitał go Owain z uśmiechem. - Najszersze gratulacje. Poszczęściło ci się.

- Dziękuję, proszę pana. - Miał wrażenie, że całe miasto raduje się z powodu ich zaręczyn.

Owain poczekał, aż Larose wyjdzie.

- Najpierw pozwól, że z całego serca przeproszę za incydent w Eyrie.

- Proszę pana?

- Te przekłete pistolety. Moja Gildia trzymała je w bezpiecznym miejscu przez ponad tysiąc lat. To prawdopodobnie nasza najbardziej strzeżona tajemnica. Nie wiadomo, w jaki sposób je zabrano. Nawet jeśli uda się je wydostać ze skarbcza, to są jeszcze

strażnicy, zamki... To powinno być niemożliwe. Było niemożliwe aż do teraz.

- Czy wie pan, kto jest odpowiedzialny? Ronark i Doral pytali wszystkich gangsterów aresztowanych tamtej nocy, ale to byli tylko postaćcy. Nikt nie wiedział, skąd pochodzi broń, kto zaproponował kupno.

- Chyba zidentyfikowaliśmy głównego złodzieja - rzekł Owain. - Ale on oczywiście wygodnie zniknął. Wstyd mi przyznać, że to jeden ze starszych czeladników Gildii. Niejaki Argian.

- Nie przypominam sobie tego nazwiska.

- Pilny uczeń, miał szanse zostać Mistrzem, ale raczej nie zasiadać w radzie Gildii. To on. - Owain przekazał portret.

Edeard był dumny z siebie, że niczego po sobie nie pokazał. Ekranowanie było bardzo szczelne, żadnego wycieku zdziwienia. „Argian” to mężczyzna, którego więził w podziemnej celi.

- Dam znać posterunkom. Niech patrole go szukają.

- Dobrze. Ale podejrzewam, że opuścił już miasto. Ta podła zdrada podlega ciężkiej karze. Musiał o tym wiedzieć. Mam nadzieję, że dobrze mu zapłacono.

- Tak, proszę pana. - Edeard gorączkowo usiłował znaleźć powiązania. Bez wątpienia agenci arystokracji mieli wtyczki w Gildii Broni. Zresztą, najprawdopodobniej w innych gildiach również. Łatwo będzie teraz znaleźć rodzinę Argiana - na pewno nie przyznają się do żadnych z nim związków, zwłaszcza gdyby się dowiedzieli, że przetrzymuje go Stąpający po Wodzie.

- Ale nie zajmujmy się tym dzisiaj. To przecież twój dzień. Czas radości.

Edeard uśmiechnął się z przymusem.

- Nie przejmuj się, Stąpający po Wodzie. Następny krok to czysta formalność. Wiesz, że głosowanie przeciw zgodzie na małżeństwo uchodzi za akt w złym stylu. Już dawno mamy za sobą takie barbarzyństwo.

- Dziękuję, proszę pana.

- Z przyjemnością pozwolę, by Julian przedstawił projekt ustawy. A więc jesteś gotów?

- Tak sądzę.



- Bo ja jestem. Stworzycie piękną parę z Kristabel. I nie powtarzaj tego, ale nie zaszkodzi, jak się tym trochę potrząśnie. Według mnie Wielkie Rodziny są obecnie nieco zblazowane. Potrzebny im jest ktoś taki jak ty.

\*\*\*

Edeard wślizgnął się gładko przez podłogę w celi i zobaczył, że Argian spaceruje w kółko. Mężczyzna był coraz bardziej roztrzęsiony. Mówił do siebie. Rankiem trzeciego dnia zaczął coś mamrotać, potem przeszło to w pełne zdania. Ściany celi przekazywały Edeardowi zarówno obraz, jak i dźwięki. Ale nic odkrywczego.

- No, wiedzieliśmy, że to nie będzie proste.

- Tak duże poparcie, trudno je złamać.

- Czy powinniśmy mu pozwolić, żeby to zrobił.

- Jeśli ją poślubi, może się wycofa. Według Lorina jest zadurzony. Szkoda, że Ranalee się nie udało, bo to by rozwiązało wszystkie problemy. Głupia dziwka.

Gdy jadł na lunch kanapkę z pastą jajeczną, powiedział:

- Trucizna. Niezbyt szybko działająca. Kilka tygodni. Miesiące. Tak, właśnie. Miesiące. Nikt nie będzie podejrzewał.

- Szybciej, szybciej. Wybory mogą się przyczynić. Rozruchy, wtedy się zastanowią. Kristabel. Od niej wszystko zależy. Młoda. Głupia. Ale rozumie sprawy rodziny. Może to zrobić. Może.

- Mamy słuszność. Mamy przecież słuszność. Jasne, że mamy. Jego krew zostanie przekazana nam wszystkim.

- Jak on to robi? Jak?

Argian obgryzał paznokcie kciuka, ale gdy Edeard się wynurzył w celi, natychmiast schował rękę za plecy z pełnym skruchy wyrazem twarzy.

- Pana ubranie trochę się pogniotło - powiedział Edeard miłym tonem. - Pomyślałem, że może chciałby pan czystą zmianę. - Podał mu starannie złożone koszule, skarpetki, spodnie flanelowe oraz słoik płatków mydlanych.

- Dziękuję... - Argian popatrzył na bieliznę.

- Znalazłem w pana pokoju.

Argian skinął uprzejmie głową, pokonany.

- Bardzo sprytne.

- Niespecjalnie. Sam Owain zdradził mi pana dane. Czy uwierzy pan, że oficjalnie jest pan jedynym podejrzanym za kradzież tych specjalnych pistoletów z Gildii Broni?

- Owain?

- Tak.

- Nie.

- Tak. Rzucili pana szybkołisom. Odwiedziłem pana matkę. Jest przybita tymi zarzutami. Powiedziałem jej, że według mnie opuścił pan miasto. Lepiej nie dawać jej nadziei na to, że pana jeszcze kiedyś zobaczy.

- To wszystko wydaje mi się bardzo niewiarygodne.

- Ja natomiast uważam, że byli bardzo sprytni. Pana przyjaciele najwyraźniej wiedzą, że pana przetrzymuję, więc robią wszystko, żebym pana obwinił o śmierć konstabla. I proszę: nagle przestał pan być problemem. Czy to było w waszej umowie, kiedy pan do nich przystawał? Żeby się pan poświęcił, jeśli pana złapią? Ale, z drugiej strony, przypuszczam, że ludzie z waszej sfery nigdy nie dawali się złapać, zanim ja się tu pojawiłem.

Argian siedział na brzegu łóżka i patrzył na Edearda z lekkim uśmiechem.

- Niczego ci nie powiem.

- Wiesz, zostałem czeladnikiem zanim skończyłem siedemnaście lat - rzekł Edeard. - A pan co? Czterdzieści osiem, tak? I tylko czeladnik. Nic dziwnego, że musiał pan ukraść te pistolety ze skarbca. Bardzo bym nie chciał ich używać.

- Chyba już ustaliliśmy, że prowokowanie mnie nic nie da.

- Tak, w zasadzie przypuszczam, że nigdy nie był pan czeladnikiem. To pozycja, która daje panu pozory poważania.

- Dobra robota. Coś zrozumiałeś. A może ten sukinsyn, twój przyjaciel Macsen, wszystko ci wyjaśnił?

- Prowokowanie mnie to niezbyt dobry pomysł. Nie jestem więźniem jak pan.

Argian rozłożył ręce.

- Twój problem. Właśnie, masz problem.

- W żadnym razie. Ale mi się nie śpieszy.
- Nie liczylibym na to, Stąpający po Wodzie.
- Zechciałby pan rozwinąć tę myśl?
- Nie.

- Rozumiem. - Edeard westchnął. - Niestety, muszę już iść, przygotować się do przyjęcia zaręczynowego. I pocieszyć Kristabel.

- Dlaczego?
- Jeden z Mistrzów nie chce podpisać zgody na ślub.
- Bise - szybko odpowiedział Argian.
- Tak. Najwyraźniej nienawidzi mnie aż do tego stopnia, że jest gotów popełnić grzech złego stylu.
- Szokujące.
- Ale to nie moje zmartwienie. Jak dziś odkryłem, Honious nie zna takiej złości jak złość kobiety zdenerwowanej podczas przygotowań do ślubu.

- Biedny Bise.
- Nie wiem, kiedy znów wrócę. Musimy się pojawić na różnych przyjęciach.

Argian stracił samokontrolę. Spojrzał zaniepokojony na Edearda.

- Naprawdę chcesz mnie tak zostawić.
- Niezupenie. To nie przynosi wyników, wbrew oczekiwaniom. A ja potrzebuję wyników. Muszę wiedzieć, kogo mam za przeciwnika. A pan jest kluczem do tej informacji.

Po twarzy Argiana przemknęła iskierka nadziei. Wtedy Edeard zniknął w podłódze.

- Na Panią, niech to! - krzyknął za nim Argian.

Wzniósł do sufitu zaciśnięte pięści. Zamarł, gdy dostrzegł lekki ruch. Ściany się poruszały.

- Nie! - zawołał.

Cela się kurczyła. Oparł dłonie o ścianę i odpychał ją, dodając siłę trzeciej ręki.

- Nie!

Ruch muru był nieubłagany.

- Nie, nie, nie! Stop!

Zauważył, że również sufit się obniża.

- Niiieeeee!

\*\*\*

Opera stała w centrum dzielnicy Lillylight. Okazała budowla łączyła się z Dworem Oktaw - siedzibą Gildii Muzyków. Gdy ludzie po raz pierwszy przybyli do Makkathranu, zastali tam duży budynek z amfiteatralną salą, gdzie w rzędach piętrzyły się wielkie ławy o krzywiźnie zdecydowanie niewygodnej dla człowieka. W dolnej połowie ściany, w olbrzymich oknach, podzielonych prostopadłym maswerkkiem, osadzono kryształy barwne - co w mieście było niezwykle - i tęcze snopy światła przecinały się na głównej scenie. Ze sklepienia zwisało tysiąc biało-fioletowych stalaktytów, jakby amfiteatr mieścił się w gigantycznej geodzie. Po zmroku szpice błyszcząły wszechobecnym pomarańczowym światłem.

Wielkie Rodziny już dawno temu zaanektowały rozmaite sekcje ław i obstałowały u stolarzy wymyślne siedziska. Z czasem otoczono je rzeźbionymi ściankami, tworząc przytulne prywatne boksy, które rozrosły się aż na tył, za ławami. Teraz Edeard musiał przeciskać się za boksami stłoczonymi na drugim poziomie, by dojść do enklawy rodziny Culveritów. Za nim z trudem podążała Kristabel w rozkłoszowanej, aksamitnej sukni o barwie fuksji. Usiłowała utrzymać na twarzy obowiązkowy uśmiech.

- Zawsze zapominam, że tu tak ciasno - narzekała.

- Moglibyśmy iść górą, po boksach - zaproponował wesoło.

Z twarzy narzeczonej zniknął uśmiech. Edeard nie odzywał się, aż dotarli do celu.

Wnętrze boksu udekorowano pluszem i koronkami. Z przodu stało osiem miękkich, skórzanych foteli. Za parawanem trzech służący przygotowywali wino i owoce. Jeden z nich odebrał od Kristabel jedwabny szal. Edeard oddał mu swoją pelerynę, świadom, że ma na sobie elegancką, złoconą turkusową marynarkę i szare spodnie. Wtedy zorientował się, że właściwie nikt nie może zajrzeć do boks, i się odprężył.

- Już lepiej - oznajmiła Kristabel, sadowiac się w środkowym fotelu. Westchnęła z ulgą.

Edeard usiadł obok niej. Czuł się jak na tronie, a ponad ściankami boksów z niższego rzędu miał wspaniały widok na płaską owalną scenę. Mgiełki sekluzyjne chroniły niektóre boksy, gdzie plotkowano przed rozpoczęciem przedstawienia albo goszczono niepowołane osoby. Gdy zapuścił żurawia za barierkę małego balkoniku, zobaczył sunącego bezpośrednio poniżej sędziwego Mistrza Cobary, a za nim jego nastoletnią kochankę.

- Ani mi się waż - powiedziała Kristabel.

- Co takiego? - spytał urażony.

- Robić mi coś takiego? - Palec wskazujący skierowała na brzydką perukę Mistrza.

Edeard nachylił się i chciał ją pocałować, ale fotele były za daleko od siebie odsunięte, więc musiał wstać i podejść do narzeczonej, co trochę zniszczyło spontaniczność gestu.

- Jesteś tak bajecznie energiczna w łóżku, że nie w głowie mi kto inny - szepnęła jej do ucha.

- Zachowuj się. - Na ustach miała fałszywie skromny uśmiezek, który tak dobrze znał.

- Nikt tu nie może zajrzeć. - Lizał płatek jej ucha.

- Muzycy mogą.

- Ach. - Odwrócił się i spojrzał na scenę. Pierwsi muzycy wyłaniali się ze schodów na środku sceny, niosąc swoje instrumenty. - Smutasy. - Trzecią ręką przestawił bliżej swój fotel i znowu usiadł. - Lepiej się czujesz?

- Nieco. - Skinęła głową.

Nigdy nie widział Kristabel tak wścieklej, jak tego popołudnia w Wysokiej Radzie, gdy Bise lekceważąco zignorował pergamin, który podawano sobie do podpisu na długim stole. Odmowa podpisania zgody zbulwersowała nawet Owaina, ale Bise był głuchy na wszelkie protesty. Nawet Pytia nie mogła go skłonić do zmiany zdania. Więc pierwszy raz od trzystu dziewięćdziesięciu lat ustawa o zgodzie na małżeństwo nie została przyjęta jednogłośnie.

Edeard się tym wcale nie przejął, ale Kristabel była oburzona. To uwłaczało nie tylko jej osobiście, lecz całej rodzinie Culveritów. Gdy Owain formalnie ogłosił większościową zgodę Wysokiej Rady, Kristabel wybiegła z sali, przysięgając zemstę.

- To idiota - powiedział Edeard, gdy muzycy zajęli miejsca. - I koniec jego kariery.

- Ma dopiero dziewięćdziesiątkę. Będzie siedział w Radzie jeszcze co najmniej sto lat. A ja będę zasiadała razem z nim.

- Nie dojdzie do tego, zobaczysz. Postaram się, żeby go za karę wysłano do kopalni Trampello. Rozpracowuję jego związki z gangami.

- Edeardzie, bardzo cię kocham, ale, proszę, poznaj tradycje i prawa tego miasta. Bise jest Mistrzem Dzielnicy, nigdy nie może stanąć przez sądem.

- Jak to? Dlaczego?

- Tylko Mistrzowie z Wysokiej Rady mogą sądzić jednego ze swoich, bez względu na przestępstwo. Immunitet miał ukrócić niepoważne spory sądowe, wzniesane z powodu prywatnych animozji.

- Och. - Przechylił głowę i patrzył na nią uważnie. - Skąd to wszystko wiesz? - Od razu zrozumiał, że źle to zabrzmiało.

- Przyjmij do wiadomości - powiedziała lodowatym tonem - że między piętnastym a dziewiętnastym rokiem życia przez dziesięć godzin tygodniowo studiowałam prawo pod kierunkiem Mistrza Ravaila z Gildii Prawników. Przebudzona w nocy potrafiłabym zdać egzamin na konstabla.

- Jasne.

- Czy uważasz mnie za analfabetkę i ignorantkę?

- Nie.

- Mam zostać Mistrzynią Dzielnicy. Czy zdajesz sobie sprawę, jakie obowiązki są z tym związane?

Ścisnęła jej dłoń znacząco.

- Tak, Kristabel.

- Wybacz. - Uśmiechnęła się ze skruchą.

- Zwykle ja to mówię.

- Wiem. Jestem po prostu strasznie zła na niego.

- To wojna na wielu poziomach.
- Ale na twoim poziomie widać przynajmniej jakieś wyniki.
- Niespecjalnie.

Muzycy się rozgrzewali. W wielkim audytorium rozległy się niezharmonizowane dźwięki. Edeard był zdumiony, że brzmią aż tak donośnie. Przypuszczał, że to zasługa naszpikowanego szpicami sufitu.

- Myślałam, że już macie swoją setkę.
- Mamy. - Opowiedział jej o odwetowej strategii Buatego, który chciał wywołać taki zamęt i zniszczenia w mieście, by Rady wezwały Edearda do zaniechania kampanii.
- Sprytnie. Ale to było nieuniknione. Poważnie ograniczyłeś jego interesy. Kiedy zagonisz ludzi w róg, odgryzają się.
- Uważasz, że nie powinienem aresztować tych stu?
- Wybory mają to do siebie, że wynik jest nie do przewidzenia. Znakomita jest twoja koncepcja, żeby wcześniej złamać przywódców gangów. Pokazałeś ludziom, jak wyglądałoby życie, gdyby Finitanowi udało się przepchnąć ustawę o banicji. Ale jeśli ich nie aresztujesz, wszystko zostanie po staremu albo, jeszcze gorzej, Buate rozpuści pogłoski, że jesteś zbyt tchórzliwy, by działać, i głosowanie przebiegnie po myśli Owaina.
- Owain mnie wesprze, sam mi to obiecał.
- Wesprze cię tylko w zakresie programu politycznego Jeden Naród. Ale, cokolwiek to znaczy, uważam, że Finitan ma rację, musimy umocnić miasto, zanim ruszymy na pomoc prowincji.
- Więc co robić?
- Nie możesz dopuścić do rozruchów w mieście. To by było wbrew twojemu posłannictwu jako konstabla. To trzeba powstrzymać.
- Łatwo powiedzieć. Ale jak?
- Czasami trzeba zrobić coś złego, by zrobić coś dobrego.
- O tym wiem. Myślałem nawet o schwyтaniu czołowych gangsterów i zatrzymaniu ich w izolacji, ale zawsze sprowadza się to do jednego: jest nas za mało do takiej akcji. Mogę aresztować dwóch, trzech, zanim wieść się rozejdzie, ale wtedy wybuchną zamieszki. Nie wiem, jak im zapobiec.

- To racja, więc musisz się postarać się, żeby koncentrowały się w jednym miejscu. I ja znam takie miejsce.

- Gdzie?

- Sampalok.

- O, na Panią!

- Właśnie tam urzęduje orędownik gangów. Daje im schronienie, a ciebie nawet wykluczył ze swojej dzielnicy. Najwyższy czas, by zrozumiał, że trzeba zapłacić cenę za współpracę z gangami.

- Na miłość Pani, jak mam ograniczyć zamieszki tylko do Sampalok?

- Tam gdzie są buntownicy, tam powstanie bunt. Zepchnij ich tam. Zastosuj ich taktykę, żeby ich pokonać.

- Ale...

- Czy to coś złego? - spytała łobuzersko. - Edeardzie, jeśli chcesz zwyciężyć, graj na zwycięstwo. Ty, Stąpający po Wodzie. Nikt inny tego nie dokona.

- Tak - odpowiedział potulnie, gdy dyrygent pojawił się na scenie. Przez audytorium przebiegła fala oklasków.

- Wiem o tym.

\*\*\*

- Łatwo było zdobyć pistolety. Dostarczono klucz. Tej akurat nocy strażnicy nie zadawali zbędnych pytań.

- Klucz? Do skarbca?

- Tak. Żeby otworzyć troje drzwi, potrzeba pięć kluczy oraz kombinacji liczb. Zamków nie można otworzyć telekinezą, bo zbyt wieloma częściami należałoby manipulować jednocześnie.

- Kto dał panu klucze?

- Warpal powiedział mi, gdzie leżą. Zostawiono przy nich kombinację liczb.

- Więc to Warpal jest pana szefem?

- Nie ma szefa. Jesteśmy ludźmi, którzy mają zgodny pogląd, co należy zrobić, żeby utrzymać podstawowy porządek w mieście.

- Synowie Wielkich Rodzin?



- Ludzie o podobnym arystokratycznym pochodzeniu i wychowaniu, którzy w taki sam sposób rozumieją życie. Nie ma formalnej struktury, jak podejrzewasz.

- Ale ktoś to na pewno organizuje?

- W zasadzie nie. Wspieramy się wzajemnie i uznajemy prymat prawa.

- Ochronia pan Wielkie Rodziny przed gangami?

- Właśnie. I przed innymi zagrożeniami.

- Więc dlaczego nie pozbyliście się gangów?

- Istnienie przestępczej klasy niższej jest w jakimś sensie nieuniknione. Jak się przekonałeś, oni są dobrze zorganizowani. Żeby ich pokonać, musielibyśmy najpierw im pod tym względem dorównać. Dbamy o swoich. Jeśli klasy niższe chcą, żeby zwalczano gangi, niech same to robią.

- A jednak, kiedy ja się do tego zabrałem, próbowaliście mnie wyeliminować. Dlaczego?

- Nie jesteś zwykłym konstabłem. W tobie jest coś więcej. Znacznie więcej. Masz w mieście siłę, której nikt nie rozumie. I masz własną wizję prawa i porządku, bardzo surową i nietolerancyjną. Gdyby ci się to udało wdrożyć, spowodowałbyś nieopisane szkody rodzinom.

- Niczego nie chcę niszczyć.

- Dobrymi intencjami jest Honious wybrukowany. Makkathran taki jak teraz znakomicie funkcjonuje.

- Może dla arystokracji. Pod działaniem waszego pobłażliwego prawa gangi stały się zbyt potężne. To wasza wina. Nie dla wszystkich Makkathran dobrze funkcjonuje. A powinien.

- Robimy, co możemy.

- Czy to pan zepchnął mnie z wieży?

- Tak.

- Kto tam jeszcze był?

- Warpal, Merid i Pitier.

- Kto to zorganizował?

- Warpal.

- A kto mu wydał polecenie?

- To nie tak działa.

- Przecież nikt nagle nie wpada na pomysł, żeby zrobić coś takiego. Ktoś musi dyrygować.

- Starsi członkowie dają wskazówki, to wszystko. Wprowadzają nas do gildii, dają fundusze, tego rodzaju wsparcie. Mają powiązania z radami rodzin, więc wiedzą o problemach całego miasta. Dzięki temu dostajemy informacje o różnych sprawach i załatwiamy je dyskretnie. Po cichu i od czasu do czasu. Niektórzy z nas nigdy nie zostaną wezwani.

- Więc starsi członkowie wami sterują?

- Dają nam wskazówki i doradzają. Każdy z nas ma mentora. Czyli osobę, która zapoznaje nas z poufnymi technikami Rodzin.

- Na przykład, niewidka?

- Tak, to jedna z nich.

- A kto jest mentorem Warpala?

- Motluk jest mentorem Warpala i moim.

- Motluk?

- Młodszy Mistrz Gildii Skórzanej.

- A z jakiej rodziny pochodzi?

- Jest synem Altala. Chyba czwartym.

- Altala?

- Altal jest trzecim synem Caralla, który jest z Diroalów i jest piątym synem poprzedniego Mistrza. Carallo jest ożeniony z Karalee, trzecią siostrą Tannarlów.

- Diroal? O, Pani! Chodzi o Diroala Mistrza Dzielnicy Sampalok?

- Tak.

\*\*\*

Beczki składowano w wielkim magazynie Gilmornów na skraju Dzielnicy Portowej. Ta okoliczność rozbawiła Edearda - kazał miastu zmienić podłogę magazynu. Beczki jedna po drugiej spadły do tunelu pod Kanałem Ogona. Trzecią ręką zgarnął osiem beczek. Podskakiwały za nim w powietrzu, gdy szedł zakrętami tuneli pod ulicami Myco i zatrzymał się pod Domem Błękitnych Płatków.

Wychynał wraz z beczkami w salonie. Teraz, parę godzin przed świtem, było tam ciemno i cicho. Dalwzrokiem odkrył kilka osób

śpiących na piętrze. Buate dzielił łóżko z dwiema dziewczętami. Szczegółowe skanowanie nie ujawniło żadnego czającego się osobnika w niewidce.

Edeard pchnął trzy beczki w korytarzyki odchodzące z drewnianej galerii. Trzecią ręką wyłamał wieczka beczek i gęsty olej jamolarowy rozlał się po korytarzach. Kolejne dwie beczki poleciały na górne piętro - olej skropił dywan i meble w wielkim gabinecie Buatego, wyciekł spod drzwi i kapął na schody.

Dalmową Edeard rozbudził geszympany, które drzemały w kojcu za kuchnią.

- Uciekajcie na zewnątrz - rozkazał im.

Posłusznie czmychnęły na ulicę.

Trzecia ręka otworzyła dwie beczki na parterze. Jedna z nich stała nienaruszona na barze. Jamolarowy olej chlustał na podłogę.

- Nostalgia - powiedział Edeard pod nosem, wbiegając na górę.

Stał przed drzwiami sypialni Buatego. Z pieca w salonie trzecią ręką podniósł rozżarzony węgielek i rzucił go.

Ogień z szumem wystrzelił w górę. Natychmiast zajęły się meble, długie płomienie lizały bar. W ciągu paru sekund zapłonął olej kapiący ze schodów i pożar objął pierwsze piętro. Płomienie pomknęły po mokrym śladzie na następną kondygnację i ogień rozgorzał w gabinecie.

Edeard powalił drzwi sypialni i wkroczył do środka, a tuż za nim skakał i tańczył ogień. Buate uniósł z poduszki głowę, dziewczęta podniosły krzyk, widząc czarną postać z powiewającą peleryną. Przestraszone przywarły do siebie.

- Co, do jasnej...?! - krzyknął Buate. Dalwzrokiem sprawdził budynek, odkrywając wszędzie ogień.

- Twój przybytek jest podatny na kataklizmy - zauważył Edeard.

- W barze wybuchła beczka. Drzwi pękły i do środka wdarło się świeże powietrze. Płomienie z salonu strzeliły aż po dach.

- Na twoim miejscu nigdy więcej bym tu nie przychodził - rzekł Edeard. - Choć, z drugiej strony, wątpię, czy w mieście w ogóle jest dla ciebie jakieś bezpieczne miejsce.

Ogień grasował już w sypialni, zżerał dywan. Peleryna Edearda trzepotała niespokojnie. Dziewczęta skomlały, przywarły do zagłówka. Dym wypełniał powietrze.

- Jesteś trupem, Stąpający po Wodzie! - wrzasnął Buate.

- Warpalowi się nie udało. Jakie masz szanse?

Na dźwięk tego imienia Buate zeszywniał, co wywołało uśmiech Edearda.

- Natychmiast wynoś się z mojego miasta, zabieraj swoich ludzi. I jeśli spróbujesz wzniecić zamieszki, dołączysz do swojego brata, tak jak zapowiadałem podczas swojej poprzedniej wizyty. To ostatnie ostrzeżenie.

Skinął uprzejmie dziewczętom.

- Panie pozwolą.

Piszczwały, gdy podniósł je trzecią ręką. Okna pokoju rozpadły się i kobiety poszybowały na dwór. Edeard postawił je delikatnie na ulicy, gdzie truchtały zaleźnione geszympany.

Zdumiony Buate obserwował lot dziewcząt.

- A co ze mną?! - wrzasnął. Rozejrzał się, ale Edearda już nie było. Płomienie chciwie lizały łóżko.

\*\*\*

Edeard wybrał czas i miejsce: północ, środek Złotego Parku. Wielki plac był pusty, nad szczytami otaczających go białych metalowych kolumn migotało światło mgławicy. Tylko nikły cień pojawił się na lśniącym bruku, gdy znikąd pojawiły się dwie postacie.

- Może pan iść, dokąd pan chce. - Edeard wykonał szeroki gest.

- A dokładnie, dokąd? Jestem poszukiwany. Według ciebie, jak długo przetrwam?

- Na prowincji nikt pana nie zna.

- Uważasz, że powinienem dołączyć do Nanitte? - spytał Argian z wyraźnym rozbawieniem. - Jesteś bardziej okrutny, niż sądziłem.

- Jestem bardziej zdesperowany, niż się panu wydaje.

- Wybacz, jeśli nie wyrażę swojego bezgranicznego współczucia.

- Potrzebna mi pana pomoc.

- Dałem ci wszystko, co mogłem. Nic więcej nie mam.
- Proszę tylko, żeby pan robił to, do czego pana szkolono. Proszę, by zachował pan lojalność w stosunku do miasta.
- Mój czas przeminął. I to dzięki tobie.
- Proszę pana o czujność, niech pan obserwuje, co robią pańscy ludzie.
- To nie lojalność. To zdrada.
- Nie w stosunku do miasta. W głębi duszy jest pan człowiekiem honoru. Wie pan, że coś trzeba zrobić, żeby pozbyć się gangów i ukrócić nadużycia arystokracji. Proszę mi pomóc. Przynajmniej swoim umiarkowanym stanowiskiem. Jeśli naprawdę obawia się pan, że jestem zbyt bezkompromisowy, niech pan zostanie i spróbuje wyrzucić na mnie wpływ.
- Ja miałbym na ciebie wpływać?
- Rozumie pan, jak naprawdę to wszystko działa. Będę słuchał pana rad, jeśli zostaną udzielone w dobrej wierze. Niech mi pan powie, jak osiągnąć sprawiedliwość bez zrażania do siebie ludzi i niszczenia najlepszych rzeczy. Niech pan łagodzi. Niech pan nie pozwoli, żebym popełnił poważne błędy, wskutek których miasto mogłoby się podzielić. Czy nie do tego jest pan predystynowany?
- Chyba minąłeś się z powołaniem.
- Mam to rozumieć jako zgodę? Argian westchnął ciężko.
- Po tym wszystkim, co mi zrobiłeś, oczekujesz, że będę ci pomagać?
- Zostawiłem pana. To wszystko. Jeśli były tam z panem jakieś demony, to nie ja je posłałem.
- Trochę to potrawa, nim zbiorę swoje rzeczy. Jeśli przed opuszczeniem miasta zauważę coś groźnego, może ci powiem.
- Dziękuję.

\*\*\*

Do małej sali na tyłach posterunku wpadł Felax, wzburzony i bez tchu.

- Stąpający po Wodzie, przyszedł Mistrz Gachet z Gildii Prawników. Rozmawia z kapitanem. Mówi, że ma na ciebie nakaz aresztowania.

- Naprawdę? - spytał Edeard bez zainteresowania.  
- Serio - zapewnił go młody konstabl. - Nie żartuję.  
- Wierzę ci. - Dalwzrokiem dostrzegł, jak oburzony Boyd wręcza monety triumfującemu Macsenowi. - Zaraz tam przyjdę.

Drużyna wstała, gotowa do wyjścia.

- Wszyscy idziemy - ponaglał innych konstabli, pracujących przy ławkach. - Zbliżamy się do stu. Myślę, że ta bzdura potrwa najwyżej jeden dzień.

Wyszedł z małej sali wraz z przyjaciółmi.

- Gotowi?

Macsen wyszczerzył zęby w uśmiechu, gdy drzwi sali zamknęły się za nimi.

- Na Panią, tak!

Edeard pośpiesznie zdjął swoją charakterystyczną marynarkę. Macsen już miał na nogach jego pretensjonalne buty, choć były za ciasne.

- Pamiętajcie - błagał Dinlay. - Tylko nic nie mówcie.

- Ja? - Macsen zapinał marynarkę.

- Zobaczmy - powiedział Boyd.

Macsen skinął głową, jego umysł zdradzał lekkie rozdygotanie. Ale chwila koncentracji... i wokół twarzy zgęstniały cienie - Macsen wyglądał teraz chorobliwie szaro. Potem cienie się rozciągnęły i rozmyły.

Edeard wstrzymał oddech; Dinlay czekał z napięciem na rezultat. Drużyna ćwiczyła to przez cały dzień. Pomagali sobie wzajemnie pomysłami i techniką, powoli nabywając wprawy, doskonaląc i poprawiając oryginalną metodę niewidki. Niespodziewanie okazało się, że największe zdolności wykazuje Macsen. Edeard przypuszczał wcześniej, że wykaże je raczej Dinlay, bo był najpilniejszym uczniem.

Z twarzy Macsena zniknęły cienie. Kanseen wyraziła uznanie cichym westchnieniem. Edeard pokręcił głową z niedowierzaniem: patrzył sam na siebie. Jego własna twarz uśmiechała się do niego złośliwie.

- Jak wyglądam? To znaczy, jak ty wyglądasz? Dinlay syknął zirytowany.

- Nie gadaj! Wszystko psujesz.
- Idziemy! - rzucił Boyd.
- Powodzenia - pożegnał ich Edeard.

Podłoga pod nim zmieniła się; zanurzył się w tunel. Dalwzrokiem śledził Macsena, Dinlaya i Kanseen w drodze do gabinetu kapitana. Czekał tam Mistrz Gachet z dwoma funkcjonariuszami sądowymi.

- Stąpający po Wodzie - zaczął Gachet - przekazuję pozdrowienia od swojego kolegi Mistrza Cherixa, który chciałby cię widzieć w sądzie, gdzie jest oskarżycielem w tej sprawie. Sam by tu przyszedł, ale obowiązuje go zakaz wstępu do dzielnicy.

- O co chodzi? - spytała Kanseen.

- Mistrz Gachet ma nakaz cywilny - poinformował kapitan Ronark z niesmakiem. - Jest prawdziwy.

- Nic nie mów - polecił Dinlay koledze i ten tylko wzruszył ramionami, zachowując wyraz doskonałego opanowania na podrobionej twarzy.

- Bardzo proszę, chciałbym to zobaczyć. - Dinlay wyciągnął rękę.

- Ty? - spytał zaskoczony Gachet.

- Przygotowuję się do kariery prawniczej - wyjaśnił Dinlay. - Będę doradcą kaprala Edearda, póki nie zostanie wyznaczony licencjonowany adwokat.

Zdziwiony Gachet wręczył mu nakaz.

- Buate oskarża cię o napaść - odczytał Dinlay. - Oraz o podpalenie Domu Błękitnych Płatków.

- I żąda rekompensaty za utratę przedsiębiorstwa. Tu jest nadzieja, że twoja narzeczona wykaże zrozumienie - dodał ironicznie Gachet - bo inaczej musiałbyś przez sto lat oddawać swoje zarobki.

- Poprosimy Mistrza Solarina, żeby się tym zajął - rzekł Dinlay. - W ciągu pięciu minut unieważni ten nakaz.

- Być może - powiedział Gachet. - Ale do tego czasu, panowie - zwrócił się do dwóch wyraźnie skrzępowanych funkcjonariuszy sądowych - wykonajcie swój obowiązek.

- Idź z nimi - powiedział Dinlay.

Funkcjonariusze stanęli po bokach Stąpającego po Wodzie i wyprowadzili go z gabinetu. Za nimi szli Dinlay, Kanseen i Mistrz Gachet. Na korytarz wylegli konstable, by popatrzeć na procesję. Mistrz Gachet udawał, że ignoruje tę całą wściekłość, jaką na niego kierowano.

Szli dość długo przez Jeavons do Kanału Zewnętrznego Kręgu. Szybko rozeszła się wieść, że Stąpający po Wodzie został aresztowany z poduszczenia Buatego. Ludzie wyszli na ulice i przyglądali się, jak Edeard jest prowadzony do sądu. Uśmiechał się, ale nie odezwał się ani słowem.

\*\*\*

Edeard wychynął przez podłogę niewielkiego domu w dzielnicy Padua i zrzucił niewidkę. W trzeciej ręce trzymał tylko beczkę z olejem jamolarowym. Gdy Edsing go zobaczył, krzyknął zaskoczony. Mirayse, jego żona, znieruchomiała z przerażenia, a potem podbiegła do trójki dzieci i objęła je opiekuńczym gestem.

Edeard rozwalił beczkę. Fontanny oleju trysnęły na meble. Strumień pomknął przez drzwi i rozdzielił się na trzy strugi, płynące przez sypialnię. Bez litości patrzył na Edsinga; znieczulił się nawet na płacz dzieci.

- Opuścisz ten dom - rozkazał. - Zabierzesz ze sobą swoich podkomendnych albo wykurzę ich ogniem z domów. Przekaż im to. Natychmiast. Ogień wybuchnie za pół minuty.

Edsing wycelował palec w Edearda, twarz mu się wykrzywiła.

- Ty... - warknął.

- Dwadzieścia sekund.

- To nasze życie! - krzyknęła Mirayse.

- Teraz się skończyło - oznajmił Edeard. - Piętnaście sekund. - Spojrzał znacząco na dzieci.

- Biegnijcie! - krzyknęła i popchnęła je przed sobą.

Edsing zawył z bezsilnej wściekłości i ruszył za rodziną.

Edeard uniósł rękę nad głowę i zanurzył się. Gdy koniuszki jego palców wystawały jeszcze nad podłogą, wystrzeliła z nich pojedyncza iskierka.



\*\*\*

- Wysoki Sądzie, jest w tym podwójny błąd - przemawiał Mistrz Solarin do trzech sędziów słuchających wniosku o odrzucenie nakazu. - Po pierwsze, zwracam uwagę na ustawę o oskarżeniach w złym zamiarze w odniesieniu do funkcjonariuszy miejskich. Stąpający po Wodzie, jak wiemy, odgrywa czołową rolę w akcji zwalczania brutalnych przestępców. Wskutek tej kampanii powstały osobiste animozje między Edeardem i Buatem, o czym moi uczeni koledzy doskonale wiedzą.

- Sprzeciw! - krzyknął Mistrz Cherix, a Mistrz Solarin zarechotał.

- Jako żywo, mam nadzieję, że nie muszę wspominać o ostatnio oddalonej skardze na czynną napaść psychiczną oskarżonego na pana klienta.

- Sprzeciw!

\*\*\*

Edeard płynął przez jasno oświetlony głęboki tunel, ręce rozłożył na kształt skrzydeł. Powietrze owiewało mu twarz, odgarniało włosy. Otworzył usta i krzyczał uszczęśliwiony.

\*\*\*

- Ponadto w sprawie Barclay przeciw Polio orzeczono, że przedstawione dowody muszą być niezależnie zweryfikowane, by nakaz się uprawomocnił.

- Wysoki Sądzie, muszę zaprotestować, gdyż obrona przeciąga rozprawę - rzekł Mistrz Cherix. - Dowody są całkowicie sprawdzone. Sam odebrałem zeznania potwierdzające.

- Nie wątpię w to, Wysoki Sądzie. Jednak, jak uczona rada jest tego świadoma, i zechciała to przeoczyć, w tym wypadku zeznania są nieważne. - Mistrz Solarin skłonił się dobrotliwie dwóm dziewczętom z Domu Błękitnych Płatków, siedzącym za ławami strony oskarżającej.

Zachichotały w odpowiedzi.

- Całe oskarżenie opiera się na zeznaniach tych dwóch uroczych pań, ale one są zatrudnione przez firmę, której właścicielem jest powód. W tych okolicznościach nie można mówić o

bezstronności, jak orzeczono w sprawie Rupart przeciw Vaxillowi, a zatem nakaz jest bezprawny. Proszę o bezzwłoczne wydanie wyroku.

\*\*\*

Mieszkanie Hallwitha znajdowało się na piątej kondygnacji mostu w Cobarze. Edeard zawiesił w powietrzu dwie beczki i przykuł gangstera wzrokiem.

- Opuść miasto - rozkazał.

Beczki pękły i wylał się z nich olej; utworzył poziomą połyskliwą warstwę w połowie wysokości między podłogą i sufitem.

\*\*\*

- Nie były zatrudnione przez Dom Błękitnych Płatków - rzekł Mistrz Cherix. Emanował wielkim znużeniem i smutkiem, że musi wytykać tak oczywisty błąd. - Są samozatrudnione i tylko płacą Domowi procent od swoich zarobków. Zatem w tym przypadku nie ma zastosowania Rupart przeciw Vaxillowi.

\*\*\*

Odnogi tunelu przemykały z oszałamiającą prędkością. Edeard wyciągnął przed siebie złożone ręce, jakby nurkował z mostu na głęboką wodę.

Pędząc, obracał się energicznie. Dokąd prowadzą te wszystkie odnogi? Myślał leniwie.

\*\*\*

- Zatem wróćmy do identyfikacji oskarżonego. W zeznaniach Buate podał, że intruz był oświetlony od tyłu. Twierdzę, że w takich okolicznościach wzrokowa identyfikacja jest niemożliwa.

- Wysoki Sądzie, szanowny pan raczy żartować. Stąpający po Wodzie jest chyba najbardziej charakterystyczną postacią w całym Makkathranie.

Z tyłu dobiegły szepty i Mistrz Cherk zirytowany zmarszczył czoło. Na sali zapanowało mentalne podniecenie.

- Edeard.

Kanseen i Dinlay z trudem powstrzymywali śmiech. Boyd cichcem wszedł do sali, niosąc płócienną torbę. Usiadł za kolegami i coś szepnął Dinlayowi do ucha. Oskarżyciele usiłowali nie zwracać na to uwagi. Ale zdziwione pomruki dobiegające z tyłu sali stawały się coraz głośniejsze.

Przewodniczący sądu uderzył młotkiem, przywołując audytorium do spokoju.

- Według mnie mój uczony kolega już sobie odpowiedział na własne pytanie, Wysoki Sądzie - stwierdził Mistrz Solarin. - Tak, Stąpający po Wodzie jest osobą znaną i dlatego zarzuty wobec niego jest tym łatwiej podnosić. Co, jak sądzę, sprowadza nas znów do ustawy o oskarżeniach w złym zamiarze.

Dinlay wstał i powiedział coś Mistrzowi Solarinowi na ucho. W ławach po przeciwnej stronie Mistrz Cherix dostawał równie nagłe informacje od swojego asystenta.

- Wysoki Sądzie, proszę o ogłoszenie krótkiej przerwy - rzekł Mistrz Solarin. - Wkrótce mają się pojawić dowody, dzięki którym mój klient zostanie całkowicie uniewinniony.

Przewodniczący skinął głową i uderzył młotkiem.

- Sąd zbierze się ponownie za godzinę. Oskarżony nie może opuścić tego budynku.

\*\*\*

Edeard przywdział niewidkę. Szedł prędko kruźgankami między Sądami Sprawiedliwości. Drużyna czekała w pokoju dla adwokatów tuż obok sali posiedzeń. Gdy drzwi się same otworzyły, wszyscy spojrzeli w tamtą stronę. Drzwi się zamknęły i Edeard zmaterializował się pośrodku pokoju.

Kanseen podbiegła i pocałowała go.

- Jak poszło? - spytał Dinlay.

- Siedmiu odwiedziłem osobiście. Z dalszymi dwunastoma udało mi się porozmawiać dalmową - poinformował Edeard.

- Powinno zadziałać. - Macsen zdejmował szykowną marynarkę.

- To nie było łatwe. - Edeard wkładał teraz marynarkę. - Trzech miało dzieci.

- Stykaliśmy się już się z tym problemem - powiedziała Kanseen z naciskiem. - Prawie wszystkie ofiary gangów miały rodziny, które bardzo mocno ucierpiały.

- Wiem.

Macsen zdjął buty Edearda i westchnął z ulgą. Zadowolony, poruszał palcami u nóg. Boyd otworzył płócienną torbę i wyjął buty Macsena, schował natomiast stare buty, które nosił Edeard. Boyd przyjrzał się im.

- Ujdą - stwierdził.

\*\*\*

- Wysoki Sądzie. - Mistrz Solarin skłonił się oficjalnie. - Jak już wiadomo, dziś po południu dokonano kilku podpaleń. Dokładniej mówiąc, te godne pożałowania zdarzenia miały miejsce podczas rozprawy o unieważnienie aresztu. W każdym wypadku poszkodowani ludzie, którzy wybiegli ze swoich domów, twierdzili, że to Stąpający po Wodzie groził im i wzniecił ogień. Tak się dziwnie składa, że ci ludzie są wymienieni w nakazach ekspulsji. Najwyraźniej niepożądane jednostki przestępcze w mieście zawiązały spisek w celu umyślnego zniszczenia dobrego imienia mojego klienta.

- Sprzeciw - powiedział Mistrz Cherix. - To plotki. Wcześniej pozwoliliśmy sobie na długą dyskusję na temat weryfikacji dowodów. Mam żal, że teraz adwokat strony przeciwnej ucieka się do hipokryzji.

- Wysoki Sądzie, nie składał żadnego wniosku. Po prostu przedstawiam sekwencję wydarzeń. Do Wysokiego Sądu należy ocena konkretnych elementów sprawy i decyzja, czy warto, żeby sąd tracił czas i środki na błahostki, które zostaną obalone już w pierwszej godzinie rozprawy.

Przewodniczący składu nakazał gestem usiąść obu przeciwnikom, Krótko naradził się ze swoimi dwoma kolegami.

- Wniosek o uchylenie nakazu został przyjęty. Stąpający po Wodzie, jesteś wolny. - Uderzenie młotkiem zakończyło posiedzenie sądu.

\*\*\*

Kopuła we wschodniej części parlamentu była jedną z najwyższych. Na zewnątrz otaczała ją galeria zabezpieczona bulwiastą białą balustradą, która sięgała najwyżej do kolan dorosłego mężczyzny. Koledzy Edearda stali daleko od balustrady i spoglądali na miasto w stronę Dzielnicy Portowej. Teraz, późnym popołudniem, słońce chowało się już za pozostałymi kopułami parlamentu.

Edeard przeczesywał miasto dalwzrokiem. Zamknął oczy. Skoncentrował się na Edsingu i jego rodzinie: szli mozolnie przez Park Pholas w stronę Sampalok; nieśli parę małych węzełków - to wszystko, co uratowali z pożaru. Mirayse cały czas urągała mężowi. Sądząc po jego mentalnej tonacji, jeszcze chwila, a gotów był uderzyć żonę.

- Idą - informował Edeard kolegów. - Oceniam, że sześćdziesięciu zmierza do Sampalok.

- Czy to wystarczy? - spytała Kanseen.

- Nie, chcę tam zebrać przeważającą większość. Dziś wieczór dalrozmówię się z pozostałymi, przekażę to samo ostrzeżenie. W ciągu dwóch dni aresztujemy całą setkę.

- Kiedy opuściliśmy sąd, wyczułem Buatego, bo przez chwilę miał słabe ekranowanie. Był kompletnie zdezorientowany - powiedział Boyd.

Macsen uśmiechnął się, patrząc na leżące przed nimi miasto.

- Powstała kolejna godna zaufania legenda o Stąpającym po Wodzie: potrafi być w wielu miejscach naraz.

- Właśnie w tej sprawie - wtrącił Dinlay. - Edsing mieszka w dzielnicy Padua.

- Tak. - Edeard już wiedział, na co się zanosi.

- Ale Hallwith mieszka w Cobarze, a Coyce w Ilongo. Reszta też jest rozrzuciona po mieście. Tobie udało się odwiedzić wszystkich siedmiu.

Macsen zmarszczył czoło.

- W sądzie byliśmy najwyżej półtorej godziny - ciągnął Dinlay. - Jak zdążyłeś ich obskoczyć w tym czasie?

- Dzięki temu, że każdego ranka trenuję biegi, jestem w dobrej formie. Powinniście biegać razem ze mną.

- Nikt nie potrafi biec tak szybko.

Edeard wycofał dalwzrok i z uśmiechem spojrzał na cztery dociekliwe twarze.

- Jestem Stąpającym po Wodzie - oznajmił tajemniczo. Jego peleryna powiewała teatralnie.

\*\*\*

To, co miało się wkrótce stać, nie było tajemnicą. Poprzedniego wieczoru plotkarze rozsiewali informacje o tym, jak wezwano konstabli ze wszystkich posterunków i kazano im się przygotować. Cały Makkathran wiedział, że nadchodzi ten dzień.

Kiedy Edeard wyszedł z domu, wyczuł, że mnóstwo ludzi patrzy na niego dalwzrokiem. Tego ranka nie trenował biegów. Zapowiadał się długi dzień.

- Uważaj na siebie. - Kristabel pocałowała go na pożegnanie, gdy poprzedniego dnia wieczorem wychodzili po imprezie w Zeldzie.

- Będę uważał.

- Nie traktuj tego tak bez trosko. - Położyła mu dłoń na ramieniu i błagała go wzrokiem. - Proszę, bądź ostrożny. Jutrzejszy plan jest niebezpieczny. To kluczowy moment twojej walki i wszyscy w Makkathranie o tym wiedzą. Więc proszę, strzeż się. Warpal i jego ludzie muszą się domyślać, że Argian wszystko ci powiedział. Jeśli dostrzegą możliwość, zaatakują jak szybko kolisy.

Ujął jej dłoń.

- Wiem. Powiedziałem to tak bez trosko, żebyś się nie martwiła. A czy pamiętasz, co mi obiecałaś?

Westchnęła i przewróciła oczyma.

- Zostanę w domu na górnym piętrze i jakoś ścierpię tych dodatkowych ochroniarzy, których mi przydzielili Homelt.

- Bez względu na to, co się stanie?

- Bez względu na wszystko.

Gdy teraz Edeard zamknął za sobą bramę swojej kamienicy, sprawdził dalwzrokiem ziggurat Culveritów. I rzeczywiście, Kristabel tam była, jadła w ogrodzie śniadanie z Mirnathą i

ojcem. Cała trójka zerknęła zaniepokojonym dalwzrokiem na Sampalok.

Drużyna czekała na niego na ulicy. Przypomniał sobie tamten pierwszy ranek, gdy weszli na posterunek w Jeavons i Chae na nich krzyknął.

Byli grupką głupich, młodych idealistów. Żadne z nich nie wiedziało, w co się pakują.

Obecnie, w swoich przyjaciółach z trudem rozpoznawał tamtych zdenerwowanych zapaleńców. Macsen, ubrany niemal tak wytwornie jak Edeard, był ciągle najbardziej pewny siebie. Boyd - wysoki, ale teraz nie wydawał się tyczkowaty - nosił mundur z poczuciem władzy. Jeśli kazał ci się zatrzymać, wykonywałeś polecenie z szacunku dla instytucji, którą reprezentował. Dinlay - jego trudno jeszcze uznać za elegancko ubranego, choć nosił już nowe mundury - stał się samodzielny i potrafił realistycznie ocenić naturę ludzką. Ale tak byłoby prawie z każdym, kogo postrzelono. Wreszcie Kanseen, która znacznie częściej się teraz śmiała - jak zawsze najsolidniejsza z nich i najbardziej niezawodna.

Edeard uśmiechnął się do nich. Wiedział, że może na nich zawsze polegać, bez względu na okoliczności. I przypuszczał, że szczególnie dziś będzie musiał na nich polegać.

- Idziemy.

Na Kanale Przybycia czekała na nich gondola. Popłynęli po Wysokim Stawie i skręcili w Wielki Kanał Główny. Edeard celowo nie patrzył na wielki ziggurat, który mijali; całą uwagę kierował na Sampalok.

Buate już wstał. Po pożarze w Domu Błękitnych Płatków przeniósł się do niezamieszkanego budynku na ulicy Zulmal, w połowie drogi między siedzibą Mistrza Dzielnicy Sampalok a Średnim Stawem. Budynek miał pięć pokoiów o dziwnie wypukłych sufitach. Dwa pokoje znajdowały się na parterze, a pozostałe piętrzyły się jeden na drugim i cała konstrukcja przypominała cebulowaty komin ze spiralnymi schodami w rurze umieszczonej po jednej stronie. Trójkątny taras na dachu porastała zmierzwiona winorośl, oplatająca również cały dom na

zewnątrz. Stolarz zamontował drzwi wejściowe, na parterze postawiono trochę mebli. Ubrania i niezbędne sprzęty nadal leżały w pudełkach. Jedna gemałpa wykonywała wszystkie prace domowe. Buate próbował zmusić biedne stworzenie, by wspięło się na winorośl i przycięło ją przy oknach, ale rezultat był nikły. W porównaniu z luksusami Domu Błękitnych Płatków ta siedziba była dla Buatego degradacją. Edeard przypuszczał, że to zabieg celowy

Boyd szturchnął go, gdy płynęli Leśnym Stawem.

- Chyba dziś wszyscy wcześniej wstali.

Idąc za mentalnymi wskazówkami Boyda, Edeard obserwował dalwzrokiem Mistrza Cherixa, który szedł głównym mostem między Złotym Parkiem a Anemone. Tę drogę adwokat musiał pokonać każdego dnia, by dojść do biur swojej Gildii w budynku parlamentu, gdy teraz miał zakaz wstępu do Jeavons.

- Nawet on nie może unieważnić prawa - stwierdził Edeard.

Mistrz Solarin zapewnił go, że dwudziestodwudniowe zatrzymanie jest w pełni legalne, o ile dokonujący aresztowania konstabl zeznał pod przysięgą, że ma uzasadnione podejrzenia. Mistrz kilkakrotnie to podkreślał we wczorajszej rozmowie z kapitanem posterunku.

Edeard przeniósł dalwzrok z Anemone na Sampalok: setki konstabli ze wszystkich miejskich posterunków szły przez Park Pholas i Tosellę. Byli podzieleni na drużyny, mieli ze sobą gepsy, a nad głowami krążące georty.

Płynęli przez Średni Staw i Edeard poczuł znajomy zogniskowany dalwzrok.

- Salrana? - Nie kontaktowali się ze sobą od spotkania przy karawanach. Kilka razy próbował z nią dalrozmawiać, ale zderzył się z lodowatym ekranem.

Teraz jej dalmowa była skierowana precyzyjnie do niego.

- Edeardzie, ludzie się boją. Całymi rodzinami przychodzili dziś do kościoła. Przeraza ich to, co robisz.

- Wiem. Ale już jutro strach się skończy.

- Skąd ta pewność?



Zwątpienie nie było w jej stylu. To przecież Salrana cały czas dodawała mu kiedyś otuchy.

- Istnieje nadzieja. Czym byśmy byli, nie mając nadziei?

- Stajesz się politykiem?

- Ja zostanę burmistrzem, a ty zostaniesz Pytią.

- Nie jesteś już dziećmi. Duma pchnęła cię do tej absurdalnej ostatecznej rozgrywki.

- Nieprawda! - odrzekł zirytowany. - Doskonale wiesz, że nie możemy żyć z tą plagą gangsterstwa. Widzisz cierpienia ludzi równie dobrze jak ja. Usiłuję coś zrobić. Może to nie jest idealny sposób, żeby się ich pozbyć, ale przynajmniej jakaś próba. Przypuszczam, że Pani mi sprzyja. Gdybym stał z boku i nic nie robił, Pani by mną pogardzała.

- Nie opowiadaj mi, co pomyśli Pani. - Nagle wycofała dalwzrok.

Edeard patrzył rozdrażniony w stronę Ysidro. Nie chciał wysłać dalwzroku w stronę kościoła Pani w tamtej dzielnicy, gdzie Salrana pełniła służbę.

Przekona się, powiedział sobie. Po tym, co się dziś wydarzy, przekona się, że mam rację.

Gondola przybiła do pomostu przy Średnim Stawie. Edeard z kolegami weszli po drewnianych schodach na obszerny plac wokół stawu. Było tu dziwnie pusto. Okoliczne trzy-, czteropiętrowe domy, stojące osobno, wysokie i wąskie, jak większość budowli w tej dzielnicy, miały po bokach nieregularne wypukłości. Wystające okna przypominały owadzie oczy. Właśnie ze względu na te konstrukcje nasuwało się przypuszczenie, że Sampalok powstał na bazie jakiejś organicznej formacji.

Za kryształowymi bąblami zgromadziły się całe rodziny. Ludzie patrzyli uparcie na Edearda. Niepokój wypełniał powietrze trującymi oparami.

- Jest tam - powiedział Edeard i ruszył w stronę ulicy Zulmal.

Dalwzrokiem widział, jak konstable zajmują wszystkie mosty prowadzące do Sampalok. Mieli zagrozić drogę buntownikom. Na kanałach dzielnicy ruch gondoli niemal zupełnie zamarł.

Edeard prowadził krętą, zasłaną śmieciami alejką, w cieniu ciemnych, porośniętych pnączami domów. Na ulicach było niewiele ludzi - patrzyli spode łba na drużynę i czmychali w zaułki. Niektórzy spluwali z pogardą. Edeard cały czas obserwował rezydencję Bisego - wyniosłą, schodkową budowlę, otoczoną grubym murem z tylko trzema bramami. W środku zgromadziło się wiele osób, ale nikt nie wychodził na zewnątrz. Potężne, wzmocnione żelazem bramy były szczelnie zamknięte. Edeard nie miał pewności, czy ktoś z setki też tam się ukrył. Jeśli tak, to wydobyć ich będzie zadaniem jak z Honiousa. Prawdopodobnie nie warto tego robić.

Skierował dalmowę do samotnej postaci, skradającej się w jednej skocznych uliczek.

- Czy widział pan coś?

- Ośmiu moich ludzi weszło dziś do Sampalok - odparł Argian. - Bez niewidek. Jeszcze ich nie używają, bo to by przyciągnęło twoją uwagę.

- Dlaczego tu są?

- Rozmawiałem z Pitierem z mojej grupy. Jego poglądy są mi najbliższe. Kazano im prowadzić obserwację, ale cały czas być w pogotowiu.

- Rozumiem. Dziękuję.

Buate spokojnie siedział w fotelu, gdy drużyna podeszła pod jego dom. Edeard głośno zapukał do drzwi. Buate sondował przybysza dalwzrokiem, ale nie wyciągnął pistoletu ani noża.

- Stąpający po Wodzie, czy chcesz mnie doprowadzić do sądu finansowego? - spytał znużonym tonem.

- Coś znacznie mniej przyjemnego. Jesteś aresztowany. Zatrzymamy cię, aż zbierzemy dowody potwierdzające.

- Pod jakim zarzutem?

- Groźby i haracz.

- Naprawdę chcesz to zrobić?

- Tak.

- Dobrze. - Zamknął oczy i dalmówił: - Do moich przyjaciół. Ruszajcie.

Edeard cicho poprosił miasto o dostarczenie pozostałych pięciu beczek z olejem jamolarowym z tunelu biegnącego pod ulicą Zulmal. Prześlizgnęły się gładko przez rozstępy między napuchłymi budynkami i niezauważone osiadły pod osłoną drzew i pnączy, rozpychając się wśród śmieci w rynsztokach.

Drużyna wycofała się z domu i otoczyła Buatego. W okolicznych budynkach otwierały się drzwi i na zewnątrz wychodzili mężczyźni. W rękach mieli długie pałki, noże, młoty, pogrzebacze, potłuczone butelki. Edeard nie zwracał na nich uwagi. Trzecią ręką wyłamał wieczka wszystkich beczek.

- Nie posuniesz się nawet dziesięć metrów - triumfował Buate.

Z obu końców ulicy ruszyli uzbrojeni mężczyźni. Patrzyli nerwowo na drużynę Edearda, ale powoli i nieubłaganie parli naprzód.

- Idziemy, idziemy - zagrzewali się dalmową. - Jest nas parę setek.

- Stać! - rozkazał im Edeard głośno.

Z góry poszybował kamień rzucony z tylnych szeregów. Macsen odbił go bez trudu trzecią ręką. Buate wybuchnął śmiechem.

- Nie jesteś takim chwatem, co, Stąpający po Wodzie?

Trzecią ręką Edeard wyssał olej z beczek, uformował z niego olbrzymią kulę i pchnął ją. Gdy leciała kilka metrów nad jego głową, wyciągnął dłoń i świetlista wiązka wyskoczyła z palca wskazującego.

Olej zapłonął z głośnym hukiem, plując kulami ognia. Edeard sprowadził kulę metr nad ulicę, a potem pchnął je przed siebie. Mężczyźni rozpierzchli się z wrzaskiem. Duże krople rozpalonego oleju pryskały na bruk, sycząc i trzaskając.

- Tędy. - Edeard uprzejmie wskazał drogę wystraszonemu gangsterowi. Zaczęli się wycofywać ulicą Zulmal. Zdezorientowany tłum trzymał się w znacznej odległości. Ludzie obserwowali z niepokojem ognistą kulę, którą Edeard teraz wycofywał.

- Nigdy nie podziękowałem twojemu bratu za ten świetny pomysł - powiedział do Buatego.

- Do parlamentu droga jeszcze daleka - warknął Buate. Dalmową przekazał szybkie instrukcje.

Edeard zobaczył dalwzrokiem, że w całym Sampalok ludzie wychodzą na ulice. Tego się spodziewał. Wcześniej polecił konstablom, żeby pod żadnym pozorem nie przepuszczali przez mosty nikogo z tej dzielnicy. Nie chciał, by bunt rozsiał się na resztę miasta. Dostrzegł, że posterunki na mostach dobrze dają sobie radę. Wzbierającym grupkom nie udawało się podejść w pobliże mostów. Zauważył, że ludźmi dyrygują niektórzy z setki. Na konstabli leciały sterowane telekinezą kamienie i butelki, w powietrzu śmigają również dyski nożowe.

Oddziałom aresztującym nie szło tak dobrze. Wyznaczono konstabli z najlepszym dalwzrokiem, żeby namierzyli ludzi z listy stu i skierowali na nich oddziały. Te jednak z trudnością przeciskały się przez wrogie tłumy.

- Z ogniem jest problem: nie możesz tym dokładnie sterować - stwierdził Buate.

Edeard miał świadomość, że olej wypala się bardzo szybko. Ulice za nimi zapełniali wściekli mężczyźni, ciskający wyzwiska i obelgi. Tłum wyległ też w bocznych zaułkach i stopniowo dołączał do głównych rebeliantów.

- Edeardzie! - warknął Boyd.

- Nawet jak będą w nas czymś rzucać, damy radę - dodawał otuchy Edeard. - Najważniejsze, żeby wpakować tego drania do celi.

- Zapalony olej płonie, aż się skończy - powiedział Buate. Machał rękami do nacierającego tłumu. - A wtedy ludziom nie potrzeba prowodyrów. Za paliwo wystarczy im nienawiść do ciebie.

Ludzie odkryli beczki schowane wzdłuż ulicy. Rozbili je, olej rozlał się na drodze przed konstablami. Edeard cisnął ognistą kulę wysoko ponad dachy domów, potem rozwiercił ją na płomienną obręcz. Tłum się nieco cofnął.

Edeard pstryknął białym światłem. Olej na ulicy wybuchł płomieniami. Ludzie rozbiegli się z krzykiem. Za drużyną Edearda ruszyła ściana ognia.

- O, cholera. - Edeard poprosił miasto, by zmieniło ulicę.

Olej zniknął, wsiąkł w jezdnię, która nagle stała się porowata. Między domami płynęły kłęby dymu. Buatowi opadła szczęka.

- Co...

- Idź naprzód. - Edeard skinął na gangstera.

Tłum zachowywał teraz bezpieczny dystans do drużyny Edearda. Na półkolistym placu przy Średnim Stawie zebrało się ponad stu konstabli, dalsze oddziały stały za mostami do Bellis i Parku Pholas. Wściekłe tłumy kłębiły się przy wlocie ulic prowadzących do Sampalok.

Macsen i Boyd przekazali ponurego Buatego oddziałowi eskortującemu i prosili o doprowadzenie go do celi pod budynkiem parlamentu.

- Co teraz? - Kanseen patrzyła na blokujący ulicę Amtol tłum, z którego padały obelgi w ich stronę.

- Nie wiem. - Edeard dalrozmawiał ze starszymi sierżantami przy mostach. Chciał sprawdzić, jak przebiegają inne aresztowania. - Udało nam się zwinąć ośmiu z setki, w tym Buatego. To nie da takiego efektu, o jaki mi chodziło. - Z niepokojem patrzył na tłumy. - Nie chcę już tam nikogo wysyłać, bo się naprawdę rozpęta.

- Jeśli będziemy tu stali, przegramy - rzekł Macsen. - To tak, jakbyś się przyznał, że oni rządzą Sampalok, a ty nic nie możesz na to poradzić.

- Myślałem, że nie przeszkadzają nam rozruchy w Sampoloku - powiedział Boyd.

- Mieszka tu sporo przyzwoitych ludzi, a ten wściekły tłum jest bardzo duży - dziwił się Edeard. - Nie zdawałem sobie sprawy, że Buate ciągle ma takie wpływy.

- Możemy zastosować niewidki - zaproponował Dinlay. - Schwytamy najbliższych z naszej listy i szybko ich przekazemy. Setka jest kluczem do sytuacji, to oni podburzają ludzi. Wyłapmy ich jednego po drugim.

- Może masz rację. - Edeard nie był jednak pewien. Zaskoczył go rozmiar buntu i poziom niechęci. Ale przecież mieszkańcy

Sampalok zawsze mieli pretensje do całego świata i niewiele brakowało, by ich wkurzyć.

Podszedł do oddziału obserwatorów przy Kanale Szlaku Handlowego; chciał się dowiedzieć, którzy z listy stu przebywają gdzieś w pobliżu. Nie zdążył z nikim porozmawiać, gdy sierżant ze środkowego mostu na Wysokiej Fosie przekazał mu dalmową informację, że tłum demoluje sklepy. Zaczęły się grabieże. Edeard wyczuł dalwzrokiem zalew wściekłości i radosnego podniecenia. Niezdrowa kombinacja, pomyślał. Dalwzrokiem odszukał georła, który ostro widział dym i płomienie wydobywające się z kilku budynków. Gdy georzeł poszybował niżej, dostrzegł spore grupy ludzi nacierających na sklepy. Przez rozbite drzwi wnoszono towary, bandy dzieciaków uciekały z łupami.

Myśli georła emanowały zdenerwowaniem: ktoś go ciągnął w dół ponad spadzistymi dachami Sampalok. Udręczony ptak machał rozpaczliwie potężnymi skrzydłami.

Edeard bardzo się zaniepokoił. Niewiele osób miało siłę telekinetyczną o tak dalekim zasięgu, a jeszcze mniej ludzi skłonnych było zaatakować bezbronne stworzenie.

Wypatrzenie telekinezy należało do niezwykle trudnych umiejętności, ale Edeard zobaczył naciągnięte linie sił. Wytropił ich punkt zaczepienia: wśród wzbierającego tłumu w alei Entfall stał chłopiec, najwyżej piętnastoletni.

- Przestań - rozkazał mu Edeard.

Chłopak rzucił się do ucieczki w stronę pobliskiej bramy, jego telekineza puściła georła.

Na placu wokół Średniego Stawu rozlegały się trzaski łupanego drewna. Ludzie rozwalili drzwi piekarni w alei Mislöre, po czym, wiwatując, wdarli się do środka i brali sobie chleb i ciasta. Ostre protesty piekarza i jego rodziny szybko ucichły. Potem splądrowano sąsiedni sklep spożywczy. Sklep z odzieżą. Knajpę - wznoszono przy tym radosne okrzyki. Sklep żelazny. Kawiarnię. Zakład szewski.

- Co robimy, Stąpający po Wodzie? - spytał starszy sierżant, stojący na placu.

Edeard nie znał odpowiedzi. Wtedy dobiegły już odgłosy wyłamywanych drzwi na ulicy Zulmal.

- Na Panią! Przegonimy ich z tych sklepów - zwrócił się do sierżanta.

Sierżant, służący na posterunku w Vaji, spojrzął na niego niepewnie.

- Tak jest, proszę pana.

- Sformowano grupę ponad pięćdziesięciu konstabli z Edeardem na czele. Poprowadził ich aleją Mislore. Posypał się na nich grad pocisków. Edeard wszystkie odbijał - padały przed nim na bruk. Spojrzął w boczną alejkę, prosto w ulicę Zulmal: tam z jeszcze większym zapałem plądrowano sklepy. W głębi alei Mislore szabrownicy włamywali się do nowych firm.

- To przez ciebie! - wrzasnęła do niego jakaś kobieta. Wybiegła przez rozwalone drzwi w długiej żółtej sukience poplamionej krwią. W ręce miała długi nóż, którym wymachiwała na wszystkie strony. - Stąpający po Wodzie, to ty nas doprowadziłeś do ruiny. Moja rodzina mieszka tu od dwustu lat i przez dwieście lat nasz sklep dobrze prosperował, a teraz wszystko straciliśmy. Gnij w Honiousie, ty draniu!

Edeard się zatrzymał. Swoim pochodem osiągnął tylko tyle, że wypychał szabrowników w jeszcze niezniszczone rejony, gdzie demolowali kolejne sklepy.

- Pani, pomocy! - szepnął.

Trzech sierżantów donosiło o wybuchu nowych zamieszek. Chaos panował już w sześciu rejonach Sampalok.

- Mamy tu kłopot - donosił Dinlay dalmową. Edeard czuł, że przyjaciel próbuje zachować zimną krew.

- Wracamy na plac - rozkazał konstablom, których prowadził.

Gdy tam wrócili, przekonał się, że buntownicy, rozzuchwaleni jego nieobecnością, wylegli na plac i atakują konstabli broniących mostu prowadzącego do Bellis. Przemoc rozlała się na ulicach; oblegani właściciele sklepów usiłowali się bronić. W ruch poszły pałki. Walczono trzecimi rękami. A potem stało się to, czego Edeard się obawiał: rozległ się huk z pistoletu.

Wszyscy na placu zamarli, usiłując dociec, skąd strzelano. Kątem oka Edeard dostrzegł Kanseen - była przedtem w pierwszym szeregu konstabli (jakżeby inaczej), a teraz opadła na kolana i trzymała się za piersi, oddychając z trudem.

- Kanseen! - Macsen przepchnął się do niej przez milczących konstabli. Objął ją ramionami.

- Nic się nie stało - wykrztusiła. - Pani! Już nigdy nie będę narzekać na te drojedwabne kamizelki. - Masowała sobie miejsce, gdzie trafił pocisk.

Macsen westchnął z ulgą i pocałował ją.

Rozwścieczony Edeard wkroczył na pustą przestrzeń między konstablami a demonstrantami - ci się trochę cofnęli.

- Przestańcie! - ryknął. - Wracajcie do domu. Dostyc tego! Na chwilę zapadła cisza, którą przerwał okrzyk:

- Wal się, Stąpający po Wodzie!

Wystrzeliły dwa pistolety. Edeard był na to przygotowany: metr przed nim kule zawisły w powietrzu. Miał zamiar demonstracyjnie je obejrzeć i szyderczo wyśmiać. Niech buntownicy wiedzą, że jest niezwyciężony, że to koniec rebelii. Jednakże strzały dały sygnał do nowej tury szyderstw.

- Strzelał jeden z moich ludzi - usłyszał bezpośrednią dalmowę Arkana.

Przeniósł wzrok na dach budynku przy wlocie ulicy Zulmal. Argian przykucnął tam wśród bujnych, kwitnących pnączy.

- Kto? Gdzie? - spytał Edeard.

- Junlie. Już się wycofuje.

Znów poleciał grad pocisków.

- Dobrze. Ostrzegałem was - warknął do tłumu.

Ci w pierwszym szeregu zawahali się, widząc jego determinację. Przekleństwa i drwiny ucichły.

Peleryna Edearda wyduła się i rozpostarła szeroko. Ramiona miał wolne. Uniósł je obszernym ruchem. Zamknął oczy. Maksymalnie się skoncentrował. Nigdy wcześniej nie używał swojej pełnej siły telekinetycznej. Nie w ten sposób. Nie w działaniach agresywnych. Z tyłu za nim zadrżała powierzchnia Średniego Stawu. Wysoko w powietrze wystrzeliły dwa



pióropusze wody. Wygięły się, przeleciały nad placem i połączyły się nad głową Edearda. Konstable skulili się przestraszeni, widząc pędzące górą strumienie.

Edeard uśmiechnął się bezlitośnie. Skierował czoło fali bezpośrednio na tłum - uderzyła w bruk u wylotu ulicy Zulmal, wzbijając wielkie kłęby piany. Ruszyła ściana wody, zwalając wszystkich z nóg. Ludzie robili zasłony z trzecich rąk, wypychali pianę z ust i nosów. Edeard cały czas tłoczył wodę; stał nieruchomo, a nad nim kotłowały się potoki. Przerażone filszczury, wypchnięte przez nienaturalną powódź, piszczwały ze strachu. Fala gnała ulicą: pięćdziesiąt metrów... siedemdziesiąt... sto. Stopniowo słabła, gdyż mniejsze strumienie wyciekały z niej w boczne uliczki.

Powierzchnia Średniego Stawu drastycznie się obniżyła. Z odchodzących od stawu kanałów wdzierała się woda, próbując wyrównać poziom.

Edeard spokojnie zaczerpnął tchu i powoli opuścił ramiona. Ostatnia porcja wody chlusnęła na ulicę.

Koniec zamieszek. Woda ściekała w uliczki i studzienki. Przemoczeni ludzie przywarli do murów lub trzymali się wzajemnie w objęciach. Miotali się jak ryby wyrzucone na plażę. Było słycać głośne kasłanie i rżenie. Woda kapiała z pnących porastających domy. Spoza spokojnych warstw altocumulusów wyglądało słońce, oświetlając niesamowicie piękną, połyskliwą scenerię.

- Mówiłem wam: idźcie do domu - powiedział Edeard beznamiętnym tonem.

\*\*\*

Konstabile ruszyli ulicą Zulmal, pomagali ludziom wstać na nogi, sprawdzali, czy są ranni. Typowym urazem były połamane kończyny. Około trzydziestu osób przeniesiono na plac, gdzie wezwano już lekarzy. Znalaziono dwóch z listy stu i aresztowano ich. Poza tym nikogo o nic nie oskarżono. Prowodrzy zajęć wymknęli się, drżąc z zimna w mokrych ubraniach. W alei Mislora zapanował spokój.

- Na Panią, co się dzieje? - Główny konstabl Walsfol przesłał Edeardowi bezpośrednio pytanie dalmową.

Choć przekaz był łagodny i precyzyjny, Edeard wyczuwał w nim złość i obawę.

- Musiałem coś zrobić, proszę pana. Buntownicy niszczyli całą ulicę.

- Może zdołałeś uspokoić sytuację w swoim rejonie, ale resztę Sampalok opanowała straszna anarchia.

- Wiem - odparł zbolowanym głosem.

Dalwzrokiem widział, że tłumy demolują ulice w dalszej części dzielnicy. Kłęby dymu zasłoniły jasne poranne słońce. Akcja Edearda miała powstrzymać rozruchy, tymczasem podzielała jak bodziec.

- Przejdę na ulicę Galsard, tu najbliższej. Potem przeniosę się do...

- Nie rób tego - powiedział Walsfol. - Obawiamy się, że twoje działania zaogniają całą sytuację. Przestań i przed południem wróć na posterunek w Jeavons. Rozkazuję wszystkim konstablom, żeby wycofali się za mosty.

- Ale tu są ranni - zaprotestował Edeard.

- Chyba powinieneś to przewidzieć, zanim rozpoczęłeś akcję. Zapewniałeś mnie, że zamieszki nie będą duże. Nie wiem, kto zepchnął szefów gangów do Sampalok, ale jedyny skutek to to, że ta cholerna katastrofa jest sto razy większa.

Byłaby tysiąc razy większa. Wszystkie dzielnice płonęłyby jak ta. Prawdopodobnie. Droga Pani, co ja zrobiłem?

- Tak, proszę pana.

- Burmistrz uważa, że potrzebna będzie bezpośrednia akcja dla wsparcia zagrożonych obywateli.

- Jaka akcja?

- Jeszcze nie wiemy. Wysoka Rada zebrała się na sesji nadzwyczajnej. Obradują już dwadzieścia minut, ale nic nie zdecydowano.

Edeard rozejrzał się po placu. Z ulicy Zulmal cofał się szeroki, płytki strumień i, bulgocząc, wpadał do Średniego Stawu. Paru lekarzy przechodziło wśród rannych. Nowicjuszek Pani w

niebiesko-białych fartuchach pomagały lekarzom i pocieszały oszołomionych pacjentów.

Rozległ się huk strzału. Zaskoczeni konstable spojrzeli w głąb ulicy Zumal. Edeard podświadomie obserwował dalwzrokiem swoją drużynę - jak dawno temu uczył ich Chae. Z jego percepcji zniknęły myśli Boyda.

Z bliska dobiegł krzyk Kanseen.

Dalwzrok Edearda błyskawicznie przesunął się w miejsce, gdzie przed chwilą był Boyd, ku sklepowi na ulicy Zumal. Tam wyczuł zatwardziały umysł ziejący satysfakcją. Na podłodze leżało martwe ciało, ale Edeard nie potrafił go zidentyfikować dalwzrokiem, choć dostrzegł charakterystyczny ekwipunek konstabla.

- O, Pani, nie! - szepnął.

Pognał tam przez plac. To była piekarnia. Przez wyłamane drzwi wdarła się woda, powodując znaczne zniszczenia. Silny prąd przewrócił półki i ladę, dotarł do pieca w kuchni i zalał paleniska, uwalniając kłęby niebezpiecznej pary. Ciężki kredens przygniótł do ziemi kilkunastoletniego chłopca. Chłopak jęczał z bólu, kasłał wodą, ciekła krew - kości zmiażdżonej miednicy przebiły skórę. Boyd go znalazł w takim stanie i - obojętne, czy to był piekarz, czy buntownik - pośpieszył na pomoc. Trzecią ręką i drągiem podważył kredens, chcąc uwolnić chłopaka.

Gdy Edeard tam dobiegł, Mirayse z pistoletem w dłoni ciągle stała nad ciałem konstabla. Ubranie miała zbryzgane krwią. I trudno się temu dziwić. Przyłożyła Boydowi łufę do potylicy: jego twarz została rozerwana, a krew trysnęła na kredens i nieszczęsnego chłopaka, który zawodził histerycznie.

Mirayse chichotała, gdy konstable wpadli do piekarni.

- Dopadłam was - szczebiotała dziwacznie. - Mam was. Zrujnowaliście mi życie. Teraz jesteśmy kwita.

Twarz Dinlaya wykrzywiła wściekłość. Wyciągnął trzecią rękę, chcąc udusić oszalałą kobietę. Osłoniła ją tarcza Edearda.

- Nie. Stanie przed sądem. - Trzecią ręką wyrwał jej pistolet. - Zabierz ją - poleciał Urarłowi. Bez wysiłku podniósł kredens. - I sprowadź tu lekarza.

Urarl i dwaj konstable wyprowadzili Mirayse ze sklepu. Wtedy wślizgnął się tam Argian.

Macsen uklęknął przy ciele Boyda. Ostrożnie wyciągnął ku niemu dłoń, jakby z nadzieją, że przyjaciel tylko udaje. Spodnie Macsena nasiąkały krwią i wodą. Kanseen ścisnęła łkającego Dinlaya. Łzy płynęły z jej oczu.

- Dlaczego? - szepnęła.

Argian wziął pistolet zabójczyni.

- To nasz ulubiony model. Ponieważ znali jej stan psychiczny, dali jej broń i wskazali, gdzie jest drużyna Stąpającego po Wodzie.

Macsen odwrócił się do niego z wściekłą miną.

- Uspokój się. - Edearda dziwiło to, że sam jest tak opanowany. Jakby szok spowolnił jego myśli, jakby go przeniósł daleko stąd. Jakby wydarzenia w piekarni działały się na oddalonej scenie.

- Co takiego? On przecież nie żyje! - rozpaczał Macsen.

Edeard stał nieruchomo, dalwzrok zatopił w przestrzeni. Przyjaciele zniknęli mu z pola widzenia, ściany piekarni się rozpląnęły. Krople spadające z półek na mokrą podłogę dzwoniły jak dzwoneczki. W zwolnionym tempie. Szarość zasnuła świat, przez który Edeard kroczył.

W ponurej ciszy wszechświata migotała samotna postać. Edeard się uśmiechnął.

- Zostałeś.

- Nie pożegnałem się - rzekła dusza Boyda. - Chciałbym się pożegnać. To trudne, Edeardzie. Oni mnie nie mogą usłyszeć.

- Weź, co potrzebujesz - powiedział mu Edeard i wyciągnął rękę.

Zjawa Boyda dotknęła jej.

Usta Edearda ułożyły się w przerażone „O”; czuł, jak serce przebito mu lodowym gwoździem, życie z niego wyciekało do zjawy. Świat rzeczywisty nagle powrócił, ogarnął go.

Kanseen głośno westchnęła, gdy nad martwym ciałem pojawił się duch Boyda. Edeard się zatoczył i zmusił do wdechu. Rozchodził się po nim odrętwiający mróz.

- Boyd? - spytał Dinlay.

- Przyjaciele. - Boyd patrzył na nich dobrodusznie.
- Nie odchodź - prosiła Kanseen.
- Muszę. Słyszę, jak wzywają mnie mgławice. To piękne. Czekałem tylko, aż Edeard mnie zauważy.
- Nam też jesteś potrzebny.
- Dinlay, pożegnaj Sarię w moim imieniu. Delikatnie, bo będzie jej potrzebna solidna pociecha.
- Obiecuję.
- Kanseen, Macsen, nie ukrywajcie się już. Życie jest zbyt cenne, nie można tracić ani jednej szczęśliwej chwili.
- Ja... - Kanseen spojrzała rozpaczliwie na Macsena. - Tak. Tak, masz rację.

Boyd spojrzał na Argiana.

- Ty, wątpiący Zaufaj Edeardowi. Jest z nas najsilniejszy. Widzę to. Widzę, jak wpływa na wszechświat, który krąży zgodnie z jego wolą.

Edeard skrzywił się, kolana się pod nim ugięły.

- Wybacz, Edeardzie - powiedział Boyd. - Męcę cię. Jestem jedynym z wzorców, którego nie możesz podtrzymać.

- Wzorcem? - Edeard zrobił gwałtowny wdech.

- Jak najbardziej. Tym właśnie jest nasz wszechświat, wspaniałym systemem zapamiętującym. W jego strukturze jest zwiniętych wiele wzorców, rozciągają się w tył czasu, w nieskończoność. - Puścił dłoń Edearda i od razu zaczął się kurczyć. Uśmiechnął się znacząco. - Nie zdawałem sobie sprawy, że miasto jest żywe w taki sposób. Ale ty, Stąpający po Wodzie, doskonale o tym wiesz. Potrafisz czuć jego sny. Potrafisz skłonić je, by ci pomagało, na przykład dziś. Nie lękaj się. Żeby to zakończyć, nie wystarczy sama woda. Wykaż odwagę i zuchwałość.

Edeard nie mógł opanować drgawek.

- Wykażę - przyrzekł.
- Na pewno myślisz, że z mojej strony to słabość, że uchodzę - powiedział Boyd, gdy jego coraz cieńszy duch wznosił się do nieba.

Percepcja Edearda cały czas go śledziła.

- Nie - powiedział.
  - Musimy zostać, tylko jego mamy - usłyszał po chwili.
  - Co takiego? - spytał.
- Istota duchowa Boyda się uśmiechnęła.
- Rozumiem.
- I zniknął, wzniósł się ku mgławicom.

\*\*\*

Wyszli na ulicę Zulmal. Kanseen płakała.

- Wybaczcie. - Wierzchem dłoni wycierała oczy. - Za chwilę mi przejdzie.

- Naprawdę widzisz dusze? - spytał zdumiony Argian.

- Tak. - Edeard był niesamowicie zmęczony. Chciał tylko usiąść, zamknąć oczy i odpocząć chwilkę. Tyle że Walsfol kazał mu wracać do Jeavons. Ale to już nie były jego sprawy.

Tak, właśnie.

- Co mamy robić? - spytał Macsen. Edeard spojrzał na niego z rozpaczą.

- Nie wiem.

- Ludzie moi! - wzywał Bise dalmową.

Wszyscy z drużyny Edearda odwrócili się i spojrzeli w stronę siedziby Mistrza Okręgu w centrum Sampalok. Na dachu stał Bise w powiewających fioletowych szatach, obramowany futrem kaptur odrzucił na lewe ramię. Wyciągnął ręce, błogosławiąc swoją wielką widownię.

- Zwracam się do nas wszystkich w Sampalok, do tych, których rodziny mieszkają tu od wielu pokoleń, i do tych, którzy szukali tu schronienia przed prześladowaniami Stąpającego po Wodzie.

Edeard się nastroszył.

- Nic nie mów - powiedziała Kanseen surowo. - Jeśli publicznie wdasz się w sprzeczkę, ludzie uznają, że jesteś małostkowy.

- Nie walczy ze sobą - mówił Bise łagodnym tonem. - Wasz wróg pochodzi z zewnątrz i te zamieszki tylko go wzmacniają. Nawet w tej chwili, na Wysokiej Fosie zbierają się siły, które boją się waszej wolności. Wzywam was: dajcie im odpór. Nie pozwólcie, by zajmowali wasze domy; to ostatnie w

Makkathranie miejsce, gdzie jesteście niezależnymi ludźmi, jak obiecał Rah. Proponuję waszym rodzinom schronienie w mojej rezydencji. Tu bezpiecznie przeczekają, gdy wy będziecie walczyć z uciskiem narzuconym nam przez Stąpającego po Wodzie. Niewiele czasu nam zostało. Słuchajcie moich wysłanników, walczcie z tymi, którzy chcą was wygnąć z miasta, w którym się urodziliście i macie prawo żyć. - Bise zakończył pokornym uśmiechem i zszedł w dół wieżowca.

- Na Honiousa, co to było? - spytał Dinlay. - Chwył wyborczy?

- Nie mam pojęcia - mruknął Edeard, równie zdezorientowany. Spojrzał pytająco na Argiana. - Czyżby on był głównym szefem gangów?

- Nie - odparł Argian. - To działa inaczej. Diroale mają silne związki z gangami. Zyskują, gdy ktoś osłabia ich konkurencję w biznesie, ale Bise jest sprytny i trzyma się od tego z daleka. To zupełnie co innego.

- O, Pani! - Kanseen patrzyła na północ. Przymknęła oczy, dalwzrokiem sięgała w tamte rejony. - Nadciąga milicja.

- Co takiego? - wydyszał Edeard.

- Milicja. Najwyraźniej cały regiment. Przechodzą przez Wysoką Fosę.

Dalwzrok Edearda potrzebował sekundy na odnalezienie długiej formacji maszerującej przy zagrodach dla karawan.

- Co oni robią? Konstable tłumią rozruchy w Sampalok. Oni nie mogą przejść przez mosty.

- To całkowite złamanie prawa - stwierdził Macsen bezbarwnym głosem. - Gdybyś był burmistrzem, jak byś na to zareagował? Milicja nie idzie po to, by wzmocnić mosty, oni chcą stłumić zamieszki.

- Jak to? To nie należy do zadań milicji - zauważył Edeard. - Konstable są znacznie lepiej wyszkoleni w walkach ulicznych.

- Są uzbrojeni - powiedziała cicho Kanseen.

Edearda zalał chłód, jak przed chwilą, gdy dotykał Boyda. Spośród konstabli wezwanych dziś do pomocy tylko sierżanci i kaprale mieli pozwolenie na noszenie rewolwerów.

- Ale ludzie na ulicach...

- A Bise powiedział im właśnie, żeby stawiali opór najeźdźcom.
- Trzeba ich powstrzymać - rzekł Edeard. - Milicja nie może strzelać do cywili, nawet jeśli łamią prawo.
- Ludzie z tłumu są uzbrojeni - powiedział Argian. - Możliwe, że ktoś strzeli do milicji pierwszy. To byłoby... wygodne.
- Czy pana ludzie będą pana słuchać? Może im pan polecić, żeby to powstrzymali?
- Na ulicach niewiele da się zrobić - stwierdził Argian. - Spróbuję porozmawiać ze swoimi towarzyszami, którzy są dziś w Sampalok. Ale ostateczny głos ma Motluk i jemu podobni.
- Proszę go przekonać - powiedział Edeard. - Nie można do tego dopuścić.
- Zrobię, co się da. - Argian odwrócił się i odszedł ulicą.
- Za mną. Musimy dotrzeć do Wysokiej Fosi i powstrzymać ich.
- Edeard zaczął biec w stronę placu. Dalwzrokiem badał okolicę. - Niech to! Gdzie są wszystkie gondole? Kiedy są potrzebne, nigdy ich nie ma.
- Zamierzasz zmoczyć milicję? - spytał Dinlay.
- Co tylko da się zrobić.

Najbliższą gondolę wyczuł na Kanale Bzowym. Płynęła z Wielkiego Kanału Głównego. To było za daleko. Edeard stanął pośrodku placu, rozglądał się, nie mógł podjąć decyzji. Podtrzymywanie Boyda wyczerpało go, był po tym obolały. Wiedział, że nie ma siły na kolejne tricki, jak ten z wodą, zwłaszcza gdyby musiał przebiec cały Sampalok aż do mostu Wysokiej Fosi.

- Psiakrew! - Dalwzrokiem zajrzał bezpośrednio do Pałacu Sadowego i odkrył, że burmistrz jest w sali Wysokiej Rady. - Proszę pana, muszę z panem porozmawiać.

- Stąpający po Wodzie - odezwał się burmistrz oziębło. - Jesteś nadal w tym mieście tylko dlatego, żebyś mógł złożyć zeznania przed komisją, którą powołałem, by wyjaśnić dzisiejsze wydarzenia i ustalić, kto jest winien. Nie wątpię, że potem Wielka Rada wyda bardzo szczegółny akt banicji z jedynym nazwiskiem: twoim.

- Proszę pana, błagam, musi pan odwołać milicję.



- Na Panią, jaki mi zostawiasz wybór? Od ponad tysiąca lat Makkathran nie widział takich zamieszek. I to wszystko twój pomysł. Aresztowanie setki wichrzycieli miało ukrócić chaos, a wywołałeś tylko gwałty i strach. Mieszkańcy, przyzwoici ludzie z Sampalok - a wbrew twojej propagandzie jest ich wielu - są narażeni na niesamowicie brutalne akty rozszalałego tłumu. Tłumu, który ty sprowokowałeś. Jestem burmistrzem i nie będę tego tolerował. Trzeba to zatrzymać.

- Ja to zrobię, proszę, niech mi pan pozwoli. Mogę znów użyć wody, nawet wielokrotnie. Proszę, nie może pan dopuścić do tego, żeby milicja strzelała do ludzi.

- Ponieważ tak trudno ci zrozumieć, wyjaśnię to w prostych słowach. Natychmiast opuść Sampalok. Oficerowie milicji nie są dzikusami, rozwiążą sytuację szybko i profesjonalnie. Rozumiesz? Jeśli natychmiast nie posłuchasz, każę Walsfolowi wydać nakaz, by cię aresztowano. Nawet ty nie zdołasz się przeciwstawić setce konstabli.

- Tak jest, proszę pana. - Miał kamień w gardle, z trudem przełykał ślinę.

- Więc co robimy? - spytał Dinlay.

Edeard rozejrzał się. Drużyna czekała na jego polecenia. Oto dokąd doprowadziły nas moje pomysły. Wiem jednak, że to, co robimy, jest słuszne. To politycy i arystokracja wszystko wypaczają.

Uśmiechnął się ponuro do kolegów.

- Postępujemy zgodnie ze słowami Boyda: odwagi i zuchwałości. Jesteście ze mną?

- Po co w ogóle pytasz? - Macsen miał zbolałą minę.

Podeszła do nich grupa konstabli, prowadzona przez wyraźnie skrzępowanego sierżanta. Edeard pomachał mu bezczelnie.

- Chyba właśnie przestajemy być konstablami.

- Na Honiousa! - jęknęła Kanseen.

- Teraz naprawdę musicie trzymać mnie za rękę. - Edearda nagle ucieszyła perspektywa tego, co miał za chwilę zrobić.

Przyjaciele wyczuli jego nastrój. Chwycili się za rękę: czwórka pośrodku placu. W pełnym świetle dnia, otoczeni przez setkę

konstabli, mając na sobie dalmatyński mundur, zanurzyli się w solidnej strukturze miasta i tonęli z wyzywającym śmiechem.

\*\*\*

Najgłośniej wrzeszczał Macsen, gdy lecieli jasnym tunelem, jakby spadali na Querencję z samej gławicy.

\*\*\*

- Edeardzie, co robisz? - dobiegł go dalmatyński Finitana.

Wynurzyli się na pustej uliczce w pobliżu centralnego mostu nad Kanałem Obłoku.

- Muszę powstrzymać milicję, proszę pana. - Edeard był pod wrażeniem, że Mistrz tak szybko go odnalazł. Wtedy dostrzegł gępsa na drugim końcu uliczki.

- Posłuchaj, Edeardzie, nie używaj siły przeciw milicji. Wśród oficerów nie jesteś powszechnie aprobowany. A Owain dał im wolną rękę w rozprawieniu się z rozruchami.

- Dlaczego? Dlaczego on to robi? - spytał Edeard.

- Żeby miasto zobaczyło, że posprzątał bałagan po tobie - wyjaśnił Finitana z ogromnym znużeniem. - W ten sposób zabiera ci tytuł strażnika prawa i porządku, a jednocześnie rozprawia się z gangami. Jeśli polegną ludzie, miasto oskarży ciebie. I dlatego przez następne sto lat w każdym wyborach wygra głosowanie.

- Chodzi więc o wybory?

- Nie, Edeardzie, jak ci mówiłem na początku, chodzi o politykę. Zawsze. Ci, którzy są przy władzy, nie tak łatwo ją oddadzą. Z pewnością nie dobrowolnie.

- A Bise? Zapropował ludziom schronienie w swoim domu, kiedy buntownicy będą walczyć z milicją. Pogarsza tylko sprawy.

- Owain jest skłonny poświęcić Bisego. Do dzisiejszego ranka byli sojusznikami w Radzie. Każdy z nich chciał sobie przyznać zasługę zwycięstwa nad tobą. Bise nie docenił determinacji Owaina. Owain doskonale potrafi to rozegrać. Już mówi o tym, żeby Rada postawiła Bisego w stan oskarżenia za współudział, a Bise ma sporo krewnych, którzy tylko czekają na objęcie stanowiska Mistrza Dzielnicy, gdyby odebrano mu prawo do

tytułu. Bise może tylko wykonać pozorny gest sprzeciwu, w nadziei, że pogorszy pozycję Owaina.

- Myśli pan, że mu się uda?

- Nie mam pojęcia. Jeszcze mogą zawrzeć ugodę, zanim dojdzie do sytuacji, w której nie ma odwrotu. I bez względu na wynik tych targów, nikt nie zagłosuje na mnie. Na pewno nie po dzisiejszych wydarzeniach. Prawdopodobnie nawet ja sam bym nie zagłosował. Poważnie się zastanawiam, czyby nie zadeklarować Owainowi swojej lojalności. W ten sposób mógłbym przynajmniej częściowo zachować wpływy polityczne. Gdybym z nim współpracował, byłbym głosem umiaru.

- Nie może pan tego zrobić.

- Wszyscy musimy brać pod uwagę rzeczywistość. Owain konsoliduje miasto wokół siebie. My mieliśmy nadzieję, że nam się to uda.

- Wysyłając ludzi na śmierć?! W tłumie są agenci arystokracji, mają podsycać konflikt z milicją.

- W takim razie potrzebny nam cud Pani, ponieważ nie widzę wyjścia. Atakują nas z każdej strony. A ty, mój dzielny przyjacielu, stracisz wszystko, co ci się udało osiągnąć.

- To się nie może stać. Nie można do tego dopuścić.

- Już się stało. Zrobię wszystko, żeby cię ochronić, ale wątpię, czy jutro to się na coś przyda.

Edeard skłonił głowę, kończąc dalrozmowę z Wielkim Mistrzem.

- O co chodzi? - spytał Dinlay.

- Zostaliśmy sami. Owain wygrał. Zmiotł nas, jakbyśmy w ogóle nie istnieli.

- Ale istniejemy - rzekł Macsen z naciskiem. - Jestem tu z tobą i razem powstrzymamy milicję, żeby nie zabijała ludzi. Do dzieła!

Edeard obserwował dalwzrokiem pierwsze szeregi milicji, maszerujące przez most od Wysokiej Fosy.

- Dobrze - odparł bez przekonania. - Ostatnia próba.

Gdy ruszyli w stronę mostu, od razu ich namierzono. Skupiły się na nich tysiące spojrzeń - wiadomość się rozchodziła po mieście i coraz więcej osób koncentrowało na nich swój dalwzrok. To

zainteresowanie przytłaczało ich jak parne powietrze podczas letniego dnia. W mieście nic się nie działo; wszyscy obserwowali wydarzenia w Sampalok. Zalał ich potok szyderczej dalmowy i Edeard wszystko zablokował, bo przeszkadzało mu to w obmyślaniu planu.

Niech Pani uczyni cud, tego nam trzeba, jak powiedział Finitan. Ma rację. Ale Pani zrobiła tylko jeden prawdziwy cud w tym mieście: swój kościół. Zastanawiam się... To byłoby zuchwalstwo, jakiego nawet Boyd by sobie nie wyobrażał.

Centralny most, prowadzący przez Kanał Obłoku z Wysokiej Fosy, był niskim łukiem zrobionym z materii miasta. Otaczały go przysadziste szmaragdowe kolumny o pomarańczowych żłobkowaniach, oplatających je zewnętrzną spiralą. Most prowadził na mały plac. Przy okolicznych domach rozpięto na treliach wysokie drzewa owocowe. Pochyłe mury były gęsto pokryte kwiatami.

Delikatny zapach brzoskwiń i śliw przytłoczyły teraz kłęby gryzącego dymu z barykad. Ulice Burfol i Jankal, prowadzące do centrum Sampalok, zablokowano stosami mebli, które tłum podpalił. Za barykadami plądrowano sklepy. Edeard i jego przyjaciele dostrzegli kilku osobników z listy stu - przemykali wśród triumfującego tłumu, gratulowali znajomym, przekazywali ciche instrukcje. Edeard zauważył, że wielu ludzi otwarcie trzymało pistolety. Wewnątrz budynków sytuacja wyglądała żałośnie. Zaatakowani sklepikarze opatrywali swe rany, ich bliscy wyglądali przez okna na zewnątrz, przygnębieni patrzyli na rozpasany festyn, tłumiąc wściekłość.

- Wyczuwasz to? - Edeard wysłał pytanie do Kristabel.

- Tak, kochanie. Wszyscy teraz obserwują rozwój sytuacji w Sampalok. Nikt nie może uwierzyć, że sprowadzono milicję. Ojciec obawia się najgorszego, ale w Radzie niewiele głosów sprzeciwi się burmistrzowi. Och, Edeardzie, ale się porobiło, i to z mojej winy.

- Nie.

- Ależ tak. To był mój pomysł, żeby ich zepchnąć do Sampalok. Zobacz, ilu ludzi już ucierpiało.

- Pomysł był dobry. Wyobraź sobie, gdybyśmy mieli podobną sytuację we wszystkich dzielnicach. A do tego by doszło.

- Nie jestem tego taka pewna.

- Odpowiedzialność jest tylko po mojej stronie. Kristabel, prawdopodobnie wkrótce będę musiał opuścić miasto. O ile nie skończę w kopalniach Trampello.

- Będę z tobą, bez względu na to, gdzie cię wyślą.

- Nie, kochanie. Zostaniesz Mistrzynią Haxpen.

- Nie wiem, czy tego chcę, jeśli Haxpen miałyby funkcjonować według zasad Jednego Narodu Owaina.

- Nie podejmujemy do jutra żadnej decyzji pod wpływem chwili.

- Jeśli tak chcesz... Czy mogłabym ci w czymś pomóc? Proszę, chcę być tam z tobą.

- Nie. Ale jest tu dużo rannych. Potrzebni są lekarze.

- Zajmę się tym. Porozmawiam z Wielkim Mistrzem Gildii Lekarzy. Przynajmniej on nie jest stronnikiem Owaina.

- Bardzo dobrze.

Uliczka wychodziła na ścieżkę Kanału Obłoku, w pobliżu mostu. Po obu stronach stali konstable, patrząc bezsilnie na maszerujący regiment milicji. Od Wysokiej Fosi ciągle przybywali żołnierze; ustawiali się na placu w równych szeregach. Tylko jeden pluton stał w czterech rzędach w poprzek ścieżki. Dwadzieścia osiem rewolwerów wycelowano w zbliżającego się Edearda.

- Chciałbym rozmawiać z waszym porucznikiem - powiedział.

Pierwszy szereg rozstał się, by przepuścić porucznika. Był wysoki, przed czterdziestką, z blond lokami wysuwającymi się spod czapki. Na zielono-szafirowej bluzie błyszczały mosiężne guziki. U białego pasa zwisała długa szabla.

Edeard ściśle zaekranował swój umysł, ale coraz bardziej tracił ducha. Porucznik był jak każdy elegancik z milicji: młody arystokrata, któremu z powodu jego niesłychanej arogancji przyznano patent oficerski. Edeard bardzo by chciał przynajmniej tym razem mieć do czynienia z kimś inteligentnym i niezależnym.

- Stąpający po Wodzie. - Porucznik skinął głową. - Jestem porucznik Eustace, ja tu dowodzę i dostałem od pułkownika wyraźne rozkazy, żeby cię nie przepuszczać.

Imię wydało się Edeardowi znajome, ale był pewien, że nigdy przedtem nie spotkał tego człowieka.

- Jeśli pańskie rozkazy polegają na tym, by powstrzymać rozruchy, to równie dobrze ja to mogę zrobić. Już mi się to udało nad Średnim Stawem.

- Co podburzyło tłumy w innych miejscach - stwierdził porucznik Eustace. - Stanowisz zagrożenie, Stąpający po Wodzie. Im szybciej zostaniesz usunięty z miasta, tym lepiej.

- Ludzie bardzo na tym ucierpią - rzekł Edeard. - Na pewno pan to rozumie. Nie mogę dopuścić, żeby wydarzenia eskalowały aż tak, że milicja będzie strzelać do tłumu. Konstable sami potrafią opanować sytuację.

- Wzrusza mnie twoja nagła troska o przestępców. A kto ich prowokował przez cały ostatni rok?

- Niech mi pan da spróbować. Proszę pana jak mężczyzna mężczyzną. Co ma pan do stracenia? Jeśli ja ich uspokoję, pułkownik pana pochwali za wykazanie inicjatywy. Jeśli mi się nie uda, pan wkroczy do akcji.

- Jak mężczyzna mężczyzną, co?

Edeard skinął głową. Coś się nie zgadzało, twarz porucznika była zupełnie pozbawiona wyrazu.

- Tu, w Makkathranie, mamy powiedzenie, którego chłopak ze wsi prawdopodobnie nie zna: „Nie siusiaj do kanału, bo nigdy nie wiesz, kiedy będziesz musiał z niego pić”. - Porucznik poruszył lekceważąco ręką. Był to powolny ruch.

Edeard dostrzegł srebrny pierścionek na trzecim palcu i nie mógł powstrzymać jęku przerażenia. Pierścionek miał kształt winorośli z rubinowym oczkiem.

To narzeczony Jessile.

- Właśnie - powiedział porucznik przez zęby, odwracając się. - Zrób jeszcze jeden krok w stronę mostu, a przekonamy się, ile kul potrafisz odepchnąć od siebie i od swojej drużyny. A teraz

spieprzaj z powrotem do śmierdzącej sterty gnoju, z której pochodzisz.

- Nie przejmuj się nim - prychnął szyderczo Dinlay, gdy milicja znów zwarła szeregi. - Obejdźmy ich w niewidkach. Nie ma się co go bać. Bez trudu przedostaniemy się na plac.

Edeard patrzył na żołnierzy o zdecydowanych twarzach: celowali w niego i obserwowali inne oddziały milicji wypełniające plac. Delikatne płatki kwiatów padały wokół suchym różowym śniegiem.

- Nie dam rady walczyć na dwie strony.

- Zmieć ich mocną strugą wody - poradził Macsen. - Lub jakoś inaczej, żeby powstrzymać ich od strzelania.

- Nie jestem pewien, czy wystarczy wody. - Przygnębiony, spojrzął na Kanał Obłoku.

- To powietrzem - zaproponowała Kanseen. - Potrafisz użyć powietrza? Uderz w nich huraganem.

- Cóż, prawdopodobnie...

Rozległ się strzał z pistoletu. Wszyscy czworo odruchowo się uchyliłi. Żołnierze z plutonu spoglądali za siebie, napięcie wśród nich rosło.

- Pieprzyć ich wszystkich - warknął Edeard. - Nie mamy czasu.

Rozległ się następny strzał.

Z kanału za plutonem Edeard wyciągnął wielki słup wody. Z oddali usłyszeli:

- Żołnierze, cel.

Porucznik Eustace skulił się przed słupem wody, który wyginał się nad ścieżką. Żołnierze z plutonu zaczęli łączyć swoje trzecie ręce, żeby odeprzeć falę. Edeard zrzucił na nich wielką masę wody.

- Ognia!

W powietrzu zagrzmiało dwieście pięćdziesiąt rewolwerów, strzelających jednocześnie w ulicę Burfol i Jankal.

- Nie! - krzyknął przerażony Edeard.

Kipiący wodospad zbił z nóg kilkunastu żołnierzy. Usiłowali się czegoś chwycić, spychani przez brzeg do kanału.

- Ognia!

Rozległa się druga salwa.

- Zasłońcie mnie - powiedział Edeard.

Macsen i Dinlay zaczęli zaraz spychać przemoczonych żołnierzy do Kanału Obłoku. Kanseen trzecią ręką wyrывała rewolwery tym, którzy ważyliby się celować w Stąpającego po Wodzie.

Wysoko nad ulicą Burfol powstawał wir szerokiego słupa powietrza. Opowieści o cyklonach należały do ulubionych bajek Edearda w dzieciństwie. Żałował, że nigdy nie widział w rzeczywistości tego zjawiska. Teraz ścisnął z całych sił.

Powietrze gęstniało, czerniało z udręczonym zgrzytem. Od dołu formował się wir, wędrując w stronę placu.

Jeden z przemoczonych żołnierzy strzelił w stronę Edearda. Dinlay w porę się zorientował i trzecią ręką odepchnął dłoń żołnierza. Kula skręciła, a Dinlay powalił mężczyznę. Na Dinalya skoczył porucznik Eustace - wszyscy trzej ślizgali się na mokrej ścieżce, młóćąc się rękami. Na nich rzucił się kolejny żołnierz.

Płatki kwiatów wzniosły się w powietrze - powstał różowy grzyb nad dachami sąsiednich domów. Wir odwiedził barykadę ze stosu płonących mebli. Bez wysiłku uniósł je w niebo, tworząc ryczący słup ognia. Na wysokości siedemdziesięciu metrów siła odśrodkowa wyrzuciła drewniane szczątki. Ciężkie, płonące krzesła, ławy i stoły spadały na milicję i buntowników - wszyscy rozbiegli się, szukając osłony, by ratować życie.

Dwaj żołnierze skoczyli na Kanseen. Wykonała obrót, gdy zaczęli ją ciągnąć - razem z jednym z nich poleciała przez brzeg kanału i wpadła pod wodę.

Edeard przesunął spód wiru na drugą barykadę u wlotu ulicy Jankal. Poprzednia porcja płonących gratów spadała, a nowa już wznosiła się w powietrze.

Porucznik Eustace wyswobodził się z Dinlayowego młyna. Tuż przed nim pojawił się Macsen z dzikim uśmiechem.

- Nie wiem, co pana tak zdenerwowało. Wszyscy w naszym dormitorium twierdzili, że ona jest kiepska w łóżku.

Eustace wściekle zawył i rzucił się na Macsena.

Edeard zostawił słup powietrza, który zdążył uformować, zanim opuściły go siły. Przed nim wyrosli trzej żołnierze z



plutonu; tymczasem Macsen i Eustace zmagali się jak walczące węże.

- Na nich! - wrzasnął Macsen.

Edeard ruszył, płaszcz za nim powiewał. Roztrzęsieni żołnierze oddali kilka strzałów, których Edeard nawet nie zauważył. Rozpłaszczyli się przy murze domu nad kanałem, zeszytnieli z przerażenia, gdy Edeard przechodził obok nich.

Gdy dotarł do placu, regiment zaczął przegrupowanie. Jacyś oficerowie krzyczeli, żeby stanął, ale on to zignorował. Wydawano rozkazy krzykiem i dalmową, kazano celować w postać w czarnej, powiewającej pelerynie. Z góry padał spokojny deszcz drobnych płatków.

Edeard zatrzymał się u wylotu ulicy Burfol. Widział, jak ludzie nieśmiało wyglądają z bram i zaułków, gdzie schowali się przed lecącymi meblami.

- Uciekać! - ryknął do nich. - Bo zabije was milicja, a jeśli ja was dopadnę, to będzie dla was jeszcze gorzej.

Zaczęli biec. Najpierw kilku. Potem Stąpający po Wodzie ruszył ulicą. Wzniósł rękę, z jego palców posypały się błyskawice i strzelały w bezlistne, rozpięte na treliach drzewa. Tłum ruszył w popłochu. Dziesiątki osób pognały przed straszną postacią, której się bano najbardziej. Dalwzrokiem Edeard widział, że w całym Sampalok biegną ludzie, którzy przed minutą panowali na ulicach, a teraz ich celem było jedyne bezpieczne miejsce: siedziba Bisego.

Słabnąc, dobiegł do pierwszego ciała - kobietę powaliły trzy pociski. Drobne, dryfujące płatki osiadły na jej zakrwawionym ubraniu.

- Proszę wybaczyć, że nie zdążyłem - powiedział do niej. Jej duch spojrział na niego z przygnębioną miną.

- Moi synowie... Co z moimi synami? Są tacy młodzi.

- Otrzymają opiekę, obiecuję.

- Zobaczę ich, zanim odejdę. - Zaczęła dryfować w stronę sąsiedniej uliczki. - Czuję, że są blisko. Tylko jedno spojrzenie, żeby się upewnić.

Twarz Edearda wykrzywiło cierpienie. Pobiegł dalej. Naliczył piętnastu umarłych, a ponad dwadzieścia osób kuśtykało przed nim, przyciskając rany, z których ciekła krew. Dalmową radził im, żeby skręcili w boczne uliczki, gdzie opatrzą ich lekarze. Niektórzy go posłuchali, ośmioro nie.

Gdy był w połowie ulicy Burfol, dotarła do niego dalmowa Owaina.

- Nie wiem, co chcesz przez to osiągnąć. Usuń się i niech milicja rozprawi się z hołotą. Dopilnuję, żeby komisja doceniła to, co dziś zrobiłeś.

- Cud Pani - odparł Edeard, nie dbając o to, czy reszta miasta go podsłuchuje.

- Co takiego?

- Pani dokonała kiedyś cudu w Makkathranie, a ja zamierzam to dziś powtórzyć.

- Nie da się ciebie uratować, Stąpający po Wodzie.

- Więc niech mnie pan zostawi.

- Nie mogę tego zrobić.

Po ulicy rozniósł się rozkaz:

- Regiment, naprzód marsz.

- Założę się - mruknął Edeard pod nosem. - Boyd, mam nadzieję, że to obserwujesz. To twój cholerny pomysł.

Nieco zwolnił: niech zdążą ci, którzy szukają schronienia w siedzibie Mistrza, nim on tam zadziała. Z tyłu nacierał na niego regiment. Żołnierze szli miarowym krokiem, utrzymując idealną odległość. Uśmiechnął się ironicznie.

- Edeardzie - usłyszał denerwująco precyzyjny, skierowany tylko do niego głos Salrany. - Czym ty się stałeś?

- Tym, czym zawsze byłem.

- Siła - tak, ale ta arogancja... to coś nowego.

- Nie dali mi wyboru.

- Edeardzie, działasz wbrew życzeniom całego miasta. Przestań.

- Dzisiejszy dzień musi się zakończyć rozbiciem gangów i wygnaniem ich szefów. Tylko to się liczy.

- To, co robisz, jest złe. Bierzesz na siebie całą odpowiedzialność. Nadużywasz swoich talentów, żeby się przeciwstawić samej Radzie.

- Dawno temu Rah użył swej siły i ofiarował ludziom schronienie od chaosu. Tak samo ja muszę wykorzystać swój dar, swoją siłę. Gdybym teraz zawiódł, sprzeniewierzyłbym się wszystkiemu, co on stworzył, co ofiarował światu.

- Nie powołuj się na Raha. Nie jesteś Rahem.

- Wiem, ale nie pozwolę, żeby jego wspaniałe dziedzictwo niszczało i umarło. Właśnie taki jestem. Przyjmij to do wiadomości.

- Będę się modliła do Pani o światło, którym kiedyś była twoja piękna dusza.

Edeard zacisnął zęby. Odsunął od siebie wizję przyjaciółki z dzieciństwa.

Nie pozwolę, żeby mnie to rozpraszało. Nie ona! A przecież nie wszyscy we mnie wątpią.

Jakby szukając przeciwwagi dla fatalnej nieufności Salrany, odszukał Felaxa, który ciągle stał na placu przy Średnim Stawie.

- Uda mi się, ale potrzebuję pomocy - przekazał mu dalmową.

- Tak jest, proszę pana - odparł Felax pełen dumy. - Oczywiście pomogę.

Niezachwiane zaufanie chłopaka dawało do myślenia.

- Weź ludzi, którym ufasz, pobiegnijcie na mosty i powiedzcie starszym sierżantom, że Stąpający po Wodzie potrzebuje specjalistów z doskonałym dalwzrokiem, do wyśledzenia gangsterów z listy stu, oraz jak najwięcej tych, którzy są na nakazach ekspulsji. Ponadto, jeśli sytuacja rozwinie się po naszej myśli, niech zespoły aresztujące się przeformują. Będą potrzebne do eskortowania.

- Tak, proszę pana. Zaraz to wykonam. Ale, proszę pana, chciałbym panu pomóc. Chcę tam być razem z panem.

- Bardzo mi się to przyda. Z twoją pomocą zdołamy zmienić dziś bieg wydarzeń.

- Wiem, że pan to potrafi. Zawsze byłem tego pewien.

Od końca ulicy Burfol dzieliło Edearda sto metrów. Na dużym otwartym placu, otaczającym siedzibę Bisego, ze stawów ciągle tryskały fontanny - jedyny tu przejaw ruchu. Okute żelazem bramy w wysokim murze siedziby zostały zamknięte.

Edeard wszedł na plac i spojrzał w górę na owalną budowlę. Za blankami zewnętrznego muru obronnego stało około stu osób. Dalwzrokiem widział, że wszystkie są uzbrojone w rewolwery, które wycelowano prosto w niego.

Dalej, na tle nieba pokreślonego słupami dymu, pyszniła się siedmiokondygnacyjna wieża o dropiatych, zielono-żółtych ścianach; każde piętro miało odcień nieco jaśniejszy od poprzedniego. Ostatnie piętro było prawie białe. Bise stał na dachu, we wspaniałej szacie mistrza, która lekko powiewała na łagodnym wietrze. Jego dalmowa omywała prawie pół miasta.

- Stąpający po Wodzie, nie masz tu żadnej władzy. Mistrz Dzielnicy ma pełne zwierzchnictwo w ramach swej posiadłości. Opuść ten obszar.

Edeard miał wielką ochotę odpowiedzieć na to jednym ruchem ręki. Mimo to, rzekł:

- Proszę, niech pan poczeka. Najpierw rozprawię się z milicją.

Odwrócił się placami do siedziby. Strzelono do niego kilka razy - bez trudu odchyłał tory pocisków. Za blankami mknęły gorączkowe rozkazy. Nikt więcej nie strzelił.

Czekał cierpliwie, a dalwzrok całego miasta był na nim skupiony. Czuł nadzwyczajną pewność siebie i napawał się tym doznaniem.

Tak, to zuchwałość!

Milicja dotarła do końca ulicy Burfol i się zatrzymała. Pierwsze trzy szeregi wycelowały w samotną postać pośrodku placu. Peleryna zwisiała bez ruchu wokół ciała Edearda, a fontanny po obu jego stronach bulgotały wesoło.

- Kapitanie Larose - rzekł Stąpający po Wodzie. - Cieszę się, że to pan. Jest pan człowiekiem prawym.

Kapitan wystąpił naprzód i skłonił się kurtuazyjnie.

- Tak jak pan, Stąpający po Wodzie. Proszę, czy mógłby pan się odsunąć, byśmy wykonali rozkazy legalnych władz miasta?

- Jak brzmią rozkazy?  
- Aresztować złoczyńców, ukrywających się w siedzibie Mistrza Dzielnicy.

- Są dobrze uzbrojeni.

- My również.

- Tak, ale nie dopuszczę do tego, by polało się tyle krwi. Nie w moim mieście. Zajmę się Bisem i tymi, których ukrywa. Daję słowo. - Wykonał pełny obrót, przydał wielkiej siły swej dalmowie. - Wszystkim daję słowo.

- Niestety, od dziś pana słowo nie wystarczy - rzekł kapitan Larose. - Proszę odejść, bo będę zmuszony wydać swoim ludziom rozkaz, by pana zastrzelili.

Edeard uśmiechnął się do niego.

- A dokładnie, jak to wykonają z wysoka? - I poprosił miasto o pomoc.

- Z wysoka? - Larose spojrzał nerwowo w dół. Przyklęknął, bo poczuł, że traci równowagę. Mocno docisnął stopy do chodnika, ale okazało się, że tylko się od niego odepchnął.

Za nim trzystu żołnierzy zrobiło to samo - zmysły im podpowiadały, że się przewracają. Trzystu żołnierzy zaczęło wlatywać powoli w powietrze. Zdezorientowani, krzyczeli i w panice machali rękoma. A to tylko pogarszało sytuację: obracali się i koziołkowali, wielu odbijało się od porośniętych pnączami domów po obu stronach ulicy i wpadało w zbitą grupę kolegów.

Edeard stał spokojnie i obserwował żołnierzy. Ich niebywały wspólny wrzask i mentalne przerażenie sprawiały, że aż się krzywił. Żołnierze unosili się przeważnie trzy, cztery metry nad gruntem, ale mimo to, w powietrzu rozpaczliwie próbowali się czegoś złapać. Zauważył, że większość mocno trzymała się swoich rewolwerów, i pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Starajcie się użyć trzeciej ręki i skupcie się razem - radził im z dołu. Jeśli się połączycie, prawdopodobnie będziecie bardziej stabilni.

- Zakończ to! - wrzasnął kapitan Larose. Obracał się powoli i teraz jego nogi zawisły równolegle do ulicy.

Edeard wyciągnął obie ręce przepaszająco, jakby zaintrygowany tym, co widzi.

- Niczego nie robię.

Kapitanowi oczy wyszły z orbit. Udało mu się przenieść rękę i zatoczyć nią krąg - lufę rewolweru kierował powoli w stronę Edearda.

- Nie robiłbym tego na pana...

Larose strzelił. Solidna siła odrzutu pchnęła go ze sporą prędkością wzdłuż ulicy Burfol. Po drodze wpadał na swoich ludzi, nadając im ruch obrotowy. Źle to działało na ich błędniki.

Edeard zrobił kwaśną minę, gdy pierwszemu żołnierzowi, pięć metrów nad placem, zrobiło się słabo. Wymiociny nie spadły na dół, ale zaczęły krążyć w powietrzu w postaci dziwacznej mgławicy. Przerażony kolega obserwował ją bezradnie, gdy się z nią powoli zderzał. Inni też rzygali. Początkowe krzyki przerażenia zmieniły się w jęki obrzydzenia.

Edeard ostrzegawczo uniośł palec.

- Nigdzie nie odchodźcie. Za chwilę tu wrócę. Porozmawiamy wtedy o chowaniu pistoletów do kabur. - Odwrócił się twarzą do siedziby Mistrza. Tym razem nikt nie strzelał na oślep.

Cały Makkathran zamarł w ciszy.

Stąpający po Wodzie spojrzął na daleką sylwetkę Mistrza Bisego.

- Uznaje pan tę dzielnicę za swoją jurysdykcję, ale zapomniał pan, że wraz z władzą idzie odpowiedzialność. Pan i pana rodzina stale nadużywaliście waszej pozycji i pozwoliliście, żeby gangi rozrosły się na całą dzielnicę. Zachęcaliście do lekceważenia i wykorzystywania prawa dla waszych własnych celów. W rezultacie doszło dziś do nieszczęścia i wypadków śmierci.

- Nie ja spowodowałem...

- Milczeć!

Edeard wyciągnął prawą rękę. Z koniuszka palca wystrzeliła wielka błyskawica i uderzyła w dach metr od Bisego. Osmalone kawałki muru przekoziółkowały w powietrzu i upadły na podwórko kilka piętér niżej. Bise skulił się i zasłonił ramionami twarz.

- Zapominasz, Mistrzu, że ani ty, ani Wielka Rada nie macie tu ostatecznej władzy. Wszyscy jesteśmy gośćmi w tym mieście. Żyć tutaj - to nie jest nasze prawo, to przywilej. Od dziś miasto odmawia panu tego przywileju. Niniejszym rodzinę Diroalów pozbawia się pozycji i majątku. Połowę pieniędzy rozdzielili się między mieszkańców Sampalok, którzy dziś ucierpieli, druga połowa przechodzi na nowego Mistrza. Do listy skazanych na banicję dodam tych, którzy mają nakazy ekspulsji. Opuści pan teraz Makkathran i nigdy pan tu nie powróci. Nigdy.

- Nawet ty nie możesz nas do tego zmusić - oznajmił Bise.

- Słusznie, ja nie mogę. Ale miasto może. I zacznie od odebrania panu siedziby.

Edeard i Bise patrzyli na siebie przez długą chwilę. Pozornie nic się nie działo. Wśród ludzi za blankami znów rozbrzmiały śmiechy, gwizdy i drwiny. Olbrzymie, okute żelazem bramy zaczęły głośno trzeszczeć. Ludzie wychylali się zza blanków, by sprawdzić, co się dzieje. Bramy wyglądały na nienaruszone.

Zaekranowany umysł Bisego rozbłysnął nagle wielkim niepokojem. Transformacji uległa linia, w miejscu, gdzie dach wyginał się gładko i łączył z murami wieżowca. Dach obluzował się i popękał, zmienił się w drobny pył, który popłynął jak ciecz. Strumienie ściekały z murów na niższe piętra, rozmywając delikatne zielono-żółte wzory. Bise spojrział w dół, gdy wzbierający potop dotarł powyżej jego butów.

- Na pana miejscu zszedłbym na parter, póki istnieją schody - poradził Edeard spokojnym tonem.

Bramy znów jęknęły boleśnie. Solidne bolce zawiasów, wbite na głębokość prawie pięćdziesięciu centymetrów, wypadły z muru. Proces usuwania obcych ciał z materii miasta - co zawsze zmuszało ludzi do ciągłej konserwacji budynków - został tu gwałtownie przyspieszony. Z wnętrza siedziby dobiegały piski i metaliczne skrzypienia, gdy wszystkie drzwi opuszczały swoje framugi. Obrazy spadały, bo haki wyskakiwały ze ścian. Półki w spiżarniach i schowkach przewracały się, ich zawartość wysypywała się na podłogę.

Bise odwrócił się i pognął do klatki schodowej.

Z basenów kąpielowych wyciekała woda, zalewając wszystkie pomieszczenia. Segmenty oświetleniowe, dostarczające pomarańczowego światła, przygasły i w końcu zupełnie pociemniały. Kryształowe okna pękały jak bańki mydlane. Drzwi się rozlatywały. Potem solidne mury traciły zwartość i zmieniały się w wodospad pyłu.

Rodzina Diroalów i ich służba zbiegali szybko po schodach. Wyprzedzały ich geszympany, mały i ziemskie koty, potęgując zamieszanie na klatkach schodowych. Bise dotarł zaledwie do piątego piętra, gdy dach się w końcu rozpuścił. Słońce padło na odsłonięte od góry pokoje, ujawniając rozchybotane meble na dywanach powoli zalewanych kaskadami pyłu. Bise krzyknął z przerażenia i przyśpieszył. Czuł pod stopami, jak powierzchnia niewygodnie zakrzywionych schodów staje się śliska. Trzy bramy w murze zewnętrznym kolejno się odkształciły, gdy wreszcie ich mocowania zupełnie puściły. Obróciły się z niespiesznym wdziękiem i padły na plac. Na opustoszałych blankach nikt już nie oglądał tego finału - wszyscy pędzili po schodach, rozpaczliwie próbując się dostać w bezpieczne miejsce na dziedzińcu.

Całkowita destrukcja budowli trwała ponad pół godziny, ponieważ nawet miasto nie było w stanie szybciej zaabsorbować takiej masy materiału. W tym czasie na plac przybyli wezwani przez Edearda konstable. W pięciu koncentrycznych kręgach otoczyli znikającą siedzibę Mistrza, Kapitan Ronark zasalutował Stąpającemu po Wodzie, w jego ślady poszli sierżanci. Słuchali klarownych rozkazów Edearda, a potem zorganizowali swoje oddziały tak, jak sobie życzył.

Kiedy rozpadły się wszystkie mury, na podwórzu zostało niewielkie jezioro pyłu. Zmieniło się w twardą skałę. Na jej szczycie piętrzyły się połamane meble, ubrania, zasłony, dywany, pościel, książki i butelki wina, potłuczona zastawa stołowa i pogięte sztuczce - wspaniałości, jakie niebywale bogata rodzina potrafiła zgromadzić przez dwa tysiąclecia. Stali nad tym pobojowiskiem ci, którzy przetrwali, posępni i pełni urazy, ale przede wszystkim pełni strachu przed Stąpającym po Wodzie i



jego potęgą. Patrzyli wściekle na przemawiającego do nich Edearda, ale nikt nie śmiał mu przerwać ani wszczynać dyskusji.

- Każdy, kto jest Diroalem albo jedną z wymienionych przez mnie osób, niech przekaże broń konstablom - ogłosił Edeard. - Potem pójdziecie stąd do Północnej Bramy pod eskortą konstabli, którzy będą zabezpieczali drogę. Każdy może ze sobą zabrać tyle rzeczy, ile uniesie, ale nie więcej. Reszta z was może odejść.

Pstrą procesję poprowadził kapitan Ronark. Głowę trzymał wysoko, promieniał dumą.

- Za chwilę do pana dołączę - powiedział do niego Edeard i przez plac poszedł w stronę ulicy Burfol.

Regiment milicji ciągle unosił się między budynkami. Kilkudziesięciu żołnierzom udało się uchwycić pnączy; wisieli, drżąc. Trzymali się kurczowo, ale ich żołądki uparcie uważały, że właśnie spadają. W powietrzu unosiły się kuleczki lepkiej cieczy. Edeard skrzywił się; zapach był naprawdę okropny.

Trzecią ręką przyciągnął kapitana Larose'a na skraj obszaru spadania, który wygenerowało dla niego miasto.

- Nie mam dla pana rozkazów, bo nie jestem burmistrzem. - Edeard spojrzał na żałośnie wyglądającego mężczyznę w obrzydliwie poplamionym mundurze. - Sugeruję jednak, żeby regiment pomógł ofiarom dzisiejszych zamieszek. Czy uważa pan, kapitanie, że to sensowna propozycja?

- Tak - szepnął tamten.

- Dziękuję. Przepraszam za wszelkie niewygodności. Proszę, żeby wszyscy zabezpieczyli broń. Nie chcemy żadnych wypadków. Żołnierze powoli opadli na dół.

Edeard dogonił kolumnę eskorty. Przyłączył się do konstabli z posterunku w Fiacre - przywitali go powściągliwymi uśmiechami, starali się nie triumfować, ale radosne myśli trudno im było ukryć. Edeard zobaczył dalwzrokiem, że nad Średni Staw gondolą przy płynęła Kristabel z Aceną, starą rodzinną lekarką. Za nimi sunęła procesja trzydziestu gondoli, w każdej było paru lekarzy i kilka sióstr.

- Niedługo dołączy do was milicja - powiedział jej Edeard. - Pomogą ofiarom. Spróbuj nie zwracać uwagi na zapach.

- Nie wiem, czy chcę ich pomocy - odparła cierpko.  
- Kochanie, porzućmy wzajemne oskarżenia. Przecież po tym wszystkim będziemy musieli jakoś razem żyć.

- Tak, naturalnie.

- Czy mogłabyś porozmawiać ze swoim ojcem w moim imieniu? Chciałbym dziś po południu wysłać na północ statek z ładunkiem żywności i koców. Niech zakotwiczy niedaleko brzegu. To będzie zaopatrzenie dla wygnańców, żeby mogli przetrwać kilka następnych dni. Nie możemy ich wyrzucić tak bez niczego. Są z nimi dzieci.

- Czasami naprawdę trudno się mierzyć z twoimi standardami przyzwoitości, Edeardzie. Ale każdego dnia dziękuję Pani, że masz te standardy. Zaraz pomówię z tatą.

Do pochodu, w którym szedł Edeard, dołączały grupki eskortowanych banitów; czasami towarzyszyły im żony i dzieci. Edeard wyczuwał nieuchwytną presję; mieszkańcy patrzyli dalwzrokiem na posępną kolumnę wygnańców. Zadawali pytanie: „Co dalej?”. Sam nie znał na nie żadnej odpowiedzi.

- Proszę pana, potrzebna mi rada - zwrócił się do Finitana.

- Mam wrażenie, że wszyscy jesteśmy teraz zbyt tacy - odrzekł Wielki Mistrz.

- Właśnie o to chodzi, nie mogę być traktowany jak jakiś cesarz, stojący ponad Radą. Musimy działać w ramach prawa, bo inaczej prawo przestanie się liczyć. A ludzie muszą żyć w jakimś wyznaczonym ładzie. O to toczyła się dziś walka: o przywrócenie porządku. Nie możemy teraz przegrać. Przecież zginęli ludzie.

- Właśnie. Do ostatniej chwili myślałem, że Owain się wycofa. Jeśli chcesz respektować ograniczenia prawa, to można wszystko zacząć od początku. Wcale nie będzie to łatwe. Ale jeśli ludzie dostaną czas na zastanowienie i trochę się ich zachęci, przekonają się, że działałeś dla ich dobra. Musimy tylko opracować strategię i doprowadzić do wyborów. Wtedy ty i ja poddamy się ostatecznemu osądowi.

- Rozumiem to i mam kilka pomysłów.

- Bardzo dobrze, więc mi je przedstaw.

\*\*\*

Kanseen, Dinlay i Macsen usiedli na jednym ze skrzyżowanych filarów mostu nad Kanałem Obłoku. Na sąsiednim filarze rozpostarli kurtki, by wyschły na słońcu. Mokre włosy oblepiały głowę Kanseen jak brzydki beret. Kostki palców miała podrapane i ubłocone. Dinlay uparcie czyścił jedyną ocalałą soczewkę w swoich okularach. Nie miało to znaczenia, bo oko tak mu spuchło, że ledwo widział. Z jego rozciętych ust nadal kapała krew. Zdjął buty i obwiązał lewą kostkę grubym bandażem. Macsen miał złamany nos - wepchnięte w nozdrza tampony były szkarłatne od krwi. Stracił bluzę, spod drojedwabnej kamizelki wystawała poszarpana koszula, na ramionach widniały liczne zadrapania i siniaki.

Gdy podszedł do nich Edeard, siedzieli nadal i obserwowali go w milczeniu. Stał przed nimi.

- Nic nie mówcie. Powinienem zobaczyć tamtych facetów.

- O ile coś z nich zostało - zakpiła Kanseen.

- Wsparliście mnie. Wierzyliście we mnie - rzekł. - Wzięliście na siebie walkę z idiotami Eustace'a, żebym mógł się przedostać.

Macsen uśmiechnął się ironicznie do Dinlaya.

- Idioci Eustace'a. Trafne określenie plutonu.

- Prawdopodobnie dałoby się z tego zrobić ich oficjalną nazwę. - Dinlay wstał z niskiego filaru, krzywiąc się, gdy część ciężaru ciała przejęła skrzyżowana kostka. - Chodź no tu.

Edeard objął go, niesamowicie szczęśliwy, że przyjaciołom nic się nie stało - przynajmniej nic poważnego. Po chwili Kanseen zatoneła w jego objęciach. W końcu i Macsen go uściskał.

- Ach!

- Co takiego? - spytał Edeard z niepokojem.

- Może Eustace to kompletny dupek, ale, przyznaję, potrafi walczyć nieczysto. - Macsen ostrożnie dotykał swojego nosa.

- A więc zostajemy konstablami - powiedział Dinlay.

- Edeard spojrział na Macsena i Kanseen z lekką skruchą.

- Na razie tak. Pomożecie mi w eskortowaniu?

- Raczej nie dojdę do Bramy Północnej. - Dinlay spojrział z irytacją na zabandażowaną nogę.

- Zaraz przyjdą tu lekarze - zapewnił go Edeard. - A wy dwoje?
- Niech to cholerny Honious, wszystko ci wychodzi.

\*\*\*

Marsz po Wysokiej Fosie przebiegał dość sprawnie. Gdy Ronark dotarł do Bramy Północnej, Edeard naliczył prawie osiemset osób w kolumnie. Nie był zadowolony, że zabrano tak wiele kobiet i dzieci, ale nic nie mógł na to poradzić. Tak już musiało być.

Droga po obu stronach olbrzymiej bramy była pusta. Edeard i konstable zatrzymali się przed kryształowym murem. Idący na czele kolumny Bise przystanął przy wielkim łuku w murze.

- Dziś wieczór w zatoce Cauley zakotwiczy statek z zaopatrzeniem dla wszystkich - zakomunikował Edeard byłemu Mistrzowi Dzielnicy.

Bise spojrzał na niego wściekle.

- A dokąd mamy iść?

- Na prowincji są dziewicze tereny. Może pan tam zacząć nowe życie, jeśli pan chce.

- Jestem Mistrzem Dzielnicy! - ryknął Bise. Za nim tłoczyło się ponad pięćdziesięciu członków rodziny Diroalów ubranych stosownie do ich statusu, lecz zupełnie nieodpowiednio do marszu terenowego. Wyszukane spódnice starszych kobiet już się postrzępiły i pobrudziły na drodze wzdłuż Wysokiej Fosi. Mężczyźni mieli na sobie obramowane futrem szaty; pocili się w barwnych koszulach i spodniach, Dwie młode kobiety trzymały w objęciach płaczące dzieci. Nikt nie miał butów zdolnych przetrzymać choćby kilkudniową wędrówkę. Mając przed sobą tyle nieszczęścia, Edeard usiłował nie wzbudzać w sobie ani poczucia winy, ani żalu.

- Jeśli żył pan, jak przystało na pańską pozycję, nadal będzie pan tak żył - powiedział. - Teraz wyjdźcie z miasta, póki jeszcze jestem wspaniałomyślny.

- Do północy będziesz trupem - warknął Bise. Edeard uśmiechnął się, choć nie było mu wesoło. - W tej sprawie raczej nie może pan liczyć na Warpala i Motluka.

Bise pobladł. Spojrzał na łukowe przejście i przeszedł na drugą stronę z podniesioną głową. Rodzina podążyła za nim.

- O zmroku dotrze do pawilonu jakiegoś swojego przyjaciela w Iguru - rzekł kapitan Ronark. - Przebrany w świeże szaty, będzie sącył wino i szykował zemstę, a reszta tych nieszczęśników będzie drzeć gdzieś przy drodze.

- Wiem.

Przechodziły kolejne osoby z nakazami ekspulsji, rzucały Edeardowi obelgi i przysięgały zemstę.

- Najważniejsza jest sama banicja. Usuwając najaktywniejszych gangsterów, zdołamy przywrócić w mieście porządek. Poza tym, jak długo będą tolerować Bisego w tym pawilonie? Dwa tygodnie? Miesiąc? Jak długo można utrzymywać całą jego rodzinę? Zostanie w końcu wyproszony i zmuszony do kolejnej wędrówki.

- Mam nadzieję.

- Kapitanie, dziękuję panu za wsparcie.

- Stąpający po Wodzie, ciągle będę cię wspierał. Całe życie poświęciłem konstablom, a tak mało osiągnąłem. Przywróciłeś w mieście zaufanie do nas, przywróciłeś prawo. To niezwykle ważne dla mnie osobiście i dla wielu ludzi.

- Miałem nadzieję, że w moim imieniu porozmawia pan z Walsfolem.

- Porozmawiam. Może się okazać, że to łatwiejsze, niż przypuszczasz. Dzisiejsze działania burmistrza zszokowały miasto.

- Nadal muszę być konstablem

- Jest stanowisko dla ciebie idealne, Stąpający po Wodzie.

- Jakie stanowisko?

- Kapitana posterunku w Jeavons.

Edeard spojrział zaskoczony na starego mężczyznę.

- Ale, proszę pana...

- Prawie osiągnąłem wiek emerytalny, a w biurze głównego konstabla są stanowiska, gdzie mogę się przechować. Spójrz, nadzoruję największych drani skazanych na banicję. Od wielu dekad ich zwalczałem. Już nic więcej nie zdołałem. Doskonale się

nadajesz na szefa posterunku. To dobra pozycja startowa na urząd głównego konstabla za kilka lat. Zwróć uwagę, że Walsfol jest w moim wieku.

- To... nadzwyczaj wspaniałomyślna propozycja, proszę pana.

- Skuteczna polityka. A przypuszczam, że już wiesz, co jest najważniejsze w tym mieście.

- Tak, proszę pana.

Ośmiu konstabli prowadziło Buatego przez bramę. Edeard spojrział na niego lekceważąco i polecił konstablom, żeby go puścili.

- Nie wiem, czym jesteś, ale szczeźniesz, Stąpający po Wodzie - powiedział Buate.

- Chyba masz rację, ale póki ja tu jestem, ciebie tu nie będzie. Dzięki temu, wszyscy będą mieli szanse na lepsze życie.

Buate odwrócił się i wyszedł przez Północną Bramę.

- Nie myślałam, że doczekam takiego widoku - rzekła Kanseen.

Buate patrzył z obrzydzeniem na zamiejskie, zielone tereny. Szedł przed siebie, z dala od innych banitów. - Scena warta zapamiętania - przyznał Macsen. - I co dalej, potężny Stąpający po Wodzie?

- Sampalok, a potem ślub - oznajmił Edeard: - I jeśli jeszcze raz mnie jak nazwiesz, resztę życia spędzisz w chatce na najdalszej prowincji.

- Ale przewrażliwiony.

- Co to znaczy „ślub”? - spytała Kanseen.

- Muszę z wami porozmawiać... - Przerwał i wskazał kogoś na końcu kolumny. - Ty nie! Chodź tu do mnie.

Nastolatek rozglądał się wzrokiem winowajcy, usiłując dociec, o kogo chodzi.

- Tak, ty - powiedział do niego Edeard.

Chłopak rzeczywiście wyglądał jak kandydat na banitę: kręcone brązowe włosy nie widziały mydła od wielu tygodni, policzki porastała nierówna szczecina; ubranie nosił po kimś większym, pasek przytrzymał spodnie, które obcięto, bo chłopak nie był zbyt wysoki jak na swój wiek, z wielkich kieszeni połatanej kurtki wystawały drobne, srebrne przedmioty zrabowane ze

sklepów i jakieś jedzenie. Patrzył spode łba, unikając wzroku ludzi.

Rodzice go zastłonili. Edeard pamiętał ojca - reketiera z Abadu.

- Jak się nazywasz? - spytał Edeard.

- Zostaw go! - krzyknęła kobieta. - Opuszczamy miasto, o co ci więcej chodzi?

Chłopak spojrział na Edearda aroganckim wzrokiem typowym dla sampalockiej młodzieży.

- Jak do ciebie mówią? - spytał Edeard łagodnym tonem.

- Marcol. A co takiego?

- Wiem, twój ojciec nazywa się Arcton, a mama...

- Janeel - odparła kobieta niepewnym tonem. - No i co?

- Marcol ma bardzo silną trzecią rękę.

Chłopiec się zaczerwienił.

- Wcale nie!

- Niewiele osób w tym mieście potrafi ściągnąć georła z takiej wysokości.

- To nie ja.

- Chcesz być lojalny wobec rodziców? - Edeard zamyślił się na chwilę. - Musisz tak mówić, jeśli z nimi odchodzisz. Jesteś już na tyle dorosły że możesz zostać i sam o sobie zadbać. Przecież nie wymieniono cię w żadnym nakazie.

- Zostaw go w spokoju - powiedziała Janeel i objęła syna.

- Nie zostanę tu - stwierdził Marcol buntowniczo.

- Coś ci zaproponuję. Wycofam nakaz banicji dla twojego ojca, jeśli zapiszesz się na staż na posterunku konstabli w Jeavons.

- Co? - Arcton i Janeel spojrzeli na siebie z niedowierzaniem.

- Edeardzie? - Kanseen też była zaskoczona.

- Dwa warunki - kontynuował Edeard. - Marcol musi ukończyć staż i zdać końcowe egzaminy, a ty, Arctonie, musisz znaleźć pracę i prowadzić uczciwe życie.

- Poważnie?

- Jestem Stąpającym po Wodzie.

- Nie robi sobie żartów - poinformował ich uprzejmie Macsen.

- Tak. - Janeel omal się nie rozpląkała. - Zgoda.

- Marcol? Co ty na to? - spytał Edeard. - To nie będzie łatwe.

- Po co pan to robi? - burknął.

Edeard otoczył chłopca ramieniem i przesunął go na bok.

- Masz dziewczynę?

- Tak! Setki.

- Aha, setki. Masz szczęście. Ja go nie miałem, póki nie wstąpiłem do konstabli. Czy wiesz, ile miałem dziewcząt, jak stałem się Stąpającym po Wodzie? Słyszałeś o tym aspekcie mojego życia?

Marcol niemal się uśmiechał.

- Trochę.

- Dziewczeta, a już szczególnie szykowne dziewczeta z arystokracji, lubią mężczyzn w mundurach, zwłaszcza tych, którzy są wyjątkowo silni. To im się naprawdę podoba.

- Taaa?

- Na stażu u konstabli nigdy nie jest łatwo, ale czy to gorsze od pracy na farmie po drugiej stronie Iguru? Czy właśnie tak chcesz pracować?

- Nie.

- Więc spróbujesz? Choćby dla swojej mamy. Spójrz na nią. Nie chce, żeby ją wyrzucili z miasta, ale nie mam wyboru: twój tata robił złe rzeczy, choć teraz ty masz szansę, żeby to naprawić.

- W porządku. Zgoda.

- Dziękuję. - Edeard zwrócił się do Arctona i Janeel: - Możecie iść do domu. Jutro o siódmej rano przyprowadźcie go na posterunek w Jeavons. Niech się przedtem umyje i wygląda przyzwoicie.

- Tak, Stąpający po Wodzie. Dziękujemy.

- Na Honious, o co w tym chodzi? - spytał Macsen. - Chyba nie myślisz, że będzie z niego konstabl?

Edeard uśmiechnął się.

- A nam się to przecież udało.

Ostatni banici przekroczyli Północną Bramę. Edeard zwrócił się do dużej grupy eskortujących konstabli, którzy właśnie wypełnili swoje zadanie:

- Ludzie zapamiętają ten dzień ze względu na to, czego dokonałem. Ale byłoby to niemożliwe bez waszego wsparcia. To



również wasza zasługa. Z głębi serca dziękuję wam za to, że dziś staliście przy mnie.

Trzecią rękę wyciągnął do olbrzymich żelaznych zawiasów, na których wisiała brama. Zasuwa trzeszczała w proteście, gdy ją podniósł. Z nieporęcznego mechanizmu posypały się na trawę płatki rdzy. Potem pociągnął samą bramę. Konstable zaczęli wiwatować, gdy olbrzymi kawał kryształu wskoczył w miejsce, które sam Rah wyciął dwa tysiące lat temu. Rozległ się trzask i Edeard się obawiał, że stary kryształ w końcu pęknie. A jednak idealnie wpasował się do łuku bramy. Edeard uznał, że ten teatralny gest stanowi odpowiednie zakończenie procedury banicji.

\*\*\*

Kathlynn, siostra Kanseen, stała na placu przy stosie zniszczonych rzeczy, które należały do rodziny Diroalów. W ramionach trzymała małego Diuma - dziecko ssało kulkę miodu i wierciło się energicznie. Obok Kathlynn stali Dybal i Bijulee. Wszyscy troje rozmawiali z Dinlayem, który siedział na zniszczonej, starej, uratowanej ze stosu ławie kościelnej z drzewa talwiśni. Wielu mieszkańców Sampalok starało się coś uratować.

Wylegli na stertę rzeczy i żerowali jak drakkeny na ścierwie. Potem opuszczali plac ze zdobyczą. Edeard oceniał, że przynajmniej jedną trzecią dóbr już zabrano. To nie do wiary, ale zniknęła również jedna z wielkich bram w murze zewnętrznym. Szybko przeskanował okolicę dalwzrokiem i trzy ulice dalej odkrył bramę za kuźnią, której właściciel wraz z czeladnikami już odzyskiwał duże żelazne okucia.

Kanseen wyłoniła się z ulicy Burfol i zobaczyła siostrę.

- Co się dzieje?

Kathlynn zauważyła ich i pomachała uszczęśliwiona. Edeard podniósł palec, prosząc o uwagę.

- Sekundę.

Mieszkańcy Sampalok porzucili swoje zajęcia, gdy Stąpający po Wodzie wrócił na plac. Obserwowali go nerwowo.

- Proszę, weźcie, co chcecie, a potem się cofnijcie.

Kilka osób potraktowało jego słowa serio i nadal przebierało w stosie gratów.

- Edeardzie! - ostrzegła go Kanseen.

- Aha, idzie. - Edeard dostrzegł Kristabel, wyłaniającą się z jednej z ulic.

Miała na sobie limonkową suknię i poplamiony krwią fartuch. Obok niej szła Matka - starsza kobieta, usztywniona, pełna podejrzliwości. Przewodniczyła kościołowi Pani w Sampalok, co było jednym z najbardziej niewdzięcznych stanowisk w dzielnicy. To się czuło w jej sposobie bycia. Była znacznie bardziej surowa od znanych Edeardowi Matek Pani z innych dzielnic.

Bijulee uściskała Macsena, a Dybal klepnął go po plecach, aż Macsen jęknął. Kanseen musiała sobie teraz radzić z podskakującym Diumem, który entuzjastycznie witał ciotkę.

Kristabel pocałowała Edearda przelotnie.

- Nic ci nie jest?

- Nic, ale nie chciałbym ponownie przeżywać takiego dnia.

- Nie będziesz musiał.

- Nadal chcesz za mnie wyjść?

- Oczywiście. Czy o to chodziło? - Wskazała Matkę.

- Nie. Wybacz. Chodzi o przestrzeganie prawa. To daje ludziom nadzieję. A szczególnie dziś jest im to potrzebne.

- Kocham cię - powiedziała cicho.

Matka chrząknęła znacząco.

- Stąpający po Wodzie, chciałeś się ze mną widzieć.

- Tak, Matko. Myślę, że szykuje się pewna ceremonia, którą powinnaś odprawić.

- Jaka ceremonia?

- Macsen, nasz przyjaciel powiedział ci, żebyś nie tracił czasu.

- Co takiego?

Dybal zaczął chichotać.

- Chyba powinieneś kogoś o coś poprosić. I to teraz - powiedział Edeard spokojnym tonem.

Macsen spojrzał na niego rozpaczliwie.

- Chyba żartujesz - warknął.

- Jestem Stąpającym po Wodzie i podobno nie robię sobie żartów.

Ludzie grzebiący na wysypisku zabrali już swoje skarby i teraz stali w tłumie, by obserwować ostatni dziwny spektakl, który miał się dziś rozegrać na placu. Również konstable się zbierali i też byli bardzo zainteresowani. Na placu koncentrował się dalwzrok wielu obywateli. Edeard wyciągnął rękę. W stosie zniszczonych rzeczy błysnął srebrny pierścionek i przeleciał przez plac do jego dłoni. Edeard szerokim gestem podał go Macsenowi.

- Przyda ci się.

- O, Pani! - Macsen wziął pierścionek i rozszerzonymi oczyma podziwiał, jak wiele diamentów może się zmieścić na tak małym cacku. - Naprawdę?

- Naprawdę - powiedział Edeard.

Macsen zrobił wddech i klęknął na jedno kolano.

- Kanseen, kiedy jestem z tobą, czuję niesamowite szczęście. Czy zechcesz zrobić mi zaszczyt i poślubić mnie? - Może był bardzo skrępowany w obecności tylu ludzi, ale jego twarz wyrażała niezbitą tęsknotę.

- Tak, kochanie - powiedziała. - Wyjdę za ciebie.

Kilka osób zaczęło gwizdać i klaskać, gdy Macsen wkładał jej pierścionek na palec. Spojrzał chmurnie na Edearda, ponieważ pierścionek był za luźny.

- Matko, czy mogłabyś ich natychmiast zaślubić? - rzekł Edeard.

- Edeardzie, nie - powiedziała Kanseen. - Zobacz, jak wyglądam. Mój Ślub powinien być... na pewno nie taki.

- Wybacz, ale mam pewne powody - odparł.

- Ty masz powody?

Skinął głową.

- Lepiej, żeby to było coś niesamowitego - mruknęła.

Dybał przepuścił pannę młodą. Był drużbą. Kathlynn stanęła za siostrą. Płakała. Trzymała bukietik kwiatów zerwanych z pobliskich klombów. Kristabel z Bijulee na zmianę zajmowały się Diumem, który zdecydowanie chciał brać udział w uroczystości. Edeard ujął Kristabel za rękę. Słuchał, co mówi Matka do

przemoczonych, potarganych i ubłoconych państwa młodych. A wszystko to na tle stosu śmieci z siedziby mistrza. Wokół nich półkołem zgromadzili się konstable, a mieszkańcy Sampalok stanowili szerszą publiczność.

Po ceremonii, po złożonej przysiędze, po wymianie pierścionków i pocałunków, Edeard podszedł do przyjaciół. Jego przemówienie i dalmowa donośnie rozbrzmiewały na całym placu.

- Gdy Rah wydobyl nas z chaosu i przyprowadził tu, miasto nas przyjęło. Gdy Rah swoich najwierniejszych przyjaciół i wyznawców ustanowił Mistrzami Dzielnic, miasto się nie sprzeciwiało. Wieki temu rodzina Diroalów sprzeniewierzyła się ideałom, na które przysięgała, i dziś widzimy, jakie to przyniosło skutki. Nikt z nas nie chce podważać konstytucji Raha, a już na pewno nie ja. Dlatego publicznie pytam miasto, czy zaakceptuje nową nominację na Mistrza i Mistrzynię Dzielnicy Sampalok.

- Edeardzie! - syknęła Kanseen gniewnie.

Stąpający po Wodzie ruszył ręką i grunt pod stosem kosztownych śmieci stał się znów płynny. Resztki z siedziby Bisego zostały wessane pod powierzchnię z głośnym bulgotem.

- Chodźcie tu na środek - powiedział Edeard, gdy materia miasta znów się zestaliła.

Macsen ujął żonę za rękę i poprowadził ją na otwartą przestrzeń. Z pewną nerwowością słuchali chlupotania swych mokrych butów, świadomi, że obserwuje ich tysiąc osób bezpośrednio na placu, a kolejne tysiące - dalwzrokiem.

- Oto nowi Mistrz i Mistrzynie Sampalok - ogłosił Edeard. - A oto ich nowa siedziba.

Powierzchnia placu zaczęła się marszczyć wokół Macsena i Kanseen. Przestraszona Kanseen podskoczyła i Macsen objął ją mocno, co widownia przyjęła z entuzjazmem.

Wokół nich pojawiło się sześć długich, ciemnych, solidnych linii, jakby jakiś architekt szkicował plan wielkiej sześciokątnej budowli. Delikatniejsze kreski wewnątrz sześciokąta wyznaczały zarys pomieszczeń i krążganków. Potem linie się uwypukliły.

Kanseen promieniała szczęściem. Spojrzała na Edearda.

- Ile to potrwa?

- Trochę. Zawsze szybciej i łatwiej się burzy, niż buduje od początku.

- Czyli? Tydzień?

Edeard niepewnie spojrział na linie. Po pięciu minutach miały prawie pięć centymetrów wysokości. Pod nimi miasto ociężale zmieniało swój skomplikowany, rozległy układ kanałów i przewodów, dostosowując go do nowej budowli, którą tak pośpiesznie nakreśliło.

Budowlę z odpowiednimi schodami. Nareszcie!

- Chyba w prezencie ślubnym dam wam namiot.

## Justine: rok trzeci

Nie można śnić w zawieszeniu. Wszyscy to wiedzą. A jednak...

Justine bardzo wyraźnie przypomniła sobie trzy niezwykle leniwe dni z Kazimirem. To był najbardziej bajkowy, skazany na niepowodzenie romans, jaki kiedykolwiek zdarzył się we wszechświecie. Spędzała wakacje na Far Away, bogata smarkuła, święcąca swe ostatnie odmłodzenie na planecie, która wtedy uchodziła za najbardziej ekscentryczną we wspólnocie. Wielkim finałem był przelot hiperszybowcem nad Mount Herculaneum. To była szalona, pełna napięcia jazda. Lot małym samolocikiem przez wyjątkowo agresywną burzę nadał jej szybkość, by mogła wznieść się ponad atmosferę i opaść po krzywej nad szczytem ogromnego wulkanu. Wbrew wszelkim szansom zdołała to zrobić. Szybowała w dół, aż wylądowała na małej polance po drugiej stronie góry.

Szczęście, przypadek, los czy szczególnie szelmowski bóg umieścił Kazimira przy polance właśnie w chwili, gdy hiperszybowiec walnął o grunt i gwałtownie się zatrzymał. Chłopak miał siedemnaście lat, urodził się wśród Strażników Jaźni. Tę grupę stworzył Bradley Johansson, by chronić ludzkość przed Gwiazdokrażcą. Wychowany wśród Strażników Kazimir był całkowicie oddany swej sprawie, ale jednocześnie nic nie wiedział o wszechświecie poza planetą. Nie miał żadnych szans z kobietą starszą od niego o dwieście lat, której nowe ciało wrzało od młodzieńczych hormonów. Nie bardzo się zresztą opierał.

Objechanie okolic Mount Herculaneum i zebranie wszystkich pilotów szybowców zajęło firmie turystycznej dwa dni. Dwa dni spędzone na jedzeniu wykwintych prowiantów, spaniu, rozmowie i kochaniu się.

Samotne dni we dwoje. Potem ona powróciła do swojego świata, a on do swojego. Pozostało jej jedynie najśłodsze w całym życiu wspomnienie.

Na tym powinno się skończyć. Ale wiele lat później Strażnicy Jaźni wyznaczyli Kazimirowi zadanie na Ziemi, a on zaryzykował wszystko, by zobaczyć ją znowu. W nagrodę został zdradzony. Przez nią. Myślała, że postępuje słusznie, informując służby bezpieczeństwa. Ale to właśnie on znał prawdziwą sytuację. Gwiazdokrażca istniał i zemścił się. Kazimir został zabity przez jego agenta i w ciągu tysiąca dwustu lat Justine sobie tego nie wybaczyła. Nawet syn, którego mu urodziła i któremu dała jego imię, nie pomógł w złagodzeniu bólu.

Teraz sny podarowały jej znowu te dwa dni. Patrzyła ponownie w jego pełną uwielbienia twarz, taką jak wtedy, gdy go uwiodła i nauczyła cudów, jakie mogły osiągnąć wspólnie ich ciała. Wiedziała, jakie to uczucie być znowu w jego ramionach. Śmiała się z nim na polanie na stoku pagórka, a jaskrawe słońce świeciło na olśniewającym szafirowym niebie Far Away. Przyłapywała go, jak rzucał tęskne spojrzenia ponad ogniskiem, które rozpalili wieczorem przed namiotem. Obserwowała go, gdy spał. Opowiadała o swoim życiu. Słuchała historii o tym, jak dorastał w górach i na pustyni w trwodze przed wielkim wrogiem.

Dwa dni pokazały jej, jakim rajem mogło być jej życie, gdyby odrzuciła własne konwencje. Dwa dni sprawiły, że płakała z radości po prostu dlatego, że istniały. Dwa dni, które ciągnęły się i ciągnęły... darowane przez sen, którego przecież nie mogła śnić. Bo nie można śnić w zawieszeniu.

Ogarnęła ją noc i straciła go. Ognisko musiało zgasnąć, pozostawiając świat w klaustrofobicznej ciemności. Powietrze było suchsze niż na zboczu góry.

Światło rozszczepiło się w mroku. Dziwne, kolorowe konstelacje, które jej senny umysł zaczynał z wolna ogarniać. Medyczne ikony w egzowizji poinformowały ją, że wraca do siebie.

- O, cholera - jęknęła.

Wiek komory medycznej odsunęło się i znowu rozglądała się po kabinie „Silverbirda”. To był tylko sen. Usiadła i wytarła łzy z policzków.

- Status? - zapytała smartkor.

W egzowizji wyskoczył nowy poziom ikon i displejów. Przebywała w zawieszeniu trzy lata. Gwiazda docelowa znajdowała się jeszcze o jakiś rok świetlny. A „Silverbird” ostro hamował. Coś się zbliżało.

- Rany gościa - powiedziała cicho, kiedy czujniki omiotły przybysza.

Był wielki - miał rozmiary góry. A to był tylko rdzeń. Otaczały go dziwaczne płachty materii niczym pajęcza sieć, zmienne jak gaz.

Władca Niebios z w pełni rozciągniętymi skrzydłami próżniowymi.

Justine wzięła prysznic i zamówiła przyzwoity posiłek, a „Silverbird” i Władca Niebios zbliżali się do siebie. Zajęło to większą część dnia, ale w końcu szybowali przez kosmos oddaleni zaledwie o tysiąc pięćset kilometrów. Kiedy stosowało się czujniki zdolne spenetrować mgiełkę skrzydeł próżniowych, Władca Niebios był taki sam, jak ukazywały sny Iniga. Długa elipsoida, ale nie bryła. Wyglądał tak, jakby rozległe płachty krystalicznej materii zwinięto w rozmaitość Calabi-Yau, z zapętlonymi krzywymi przecinającymi się wzajemnie w męczącej dla oczu złożoności. Zniekształcone powierzchnie połyskiwały długimi wzorcami dyfrakcyjnymi, zawsze płynącymi do wewnątrz. Powierzchnie tak intensywnie się poruszały, że Justine nie potrafiła określić, czy sama struktura jest stabilna, czy bez przerwy się zmienia.

Usadowiła się na najdłuższej kanapie z repertuaru kabiny i sięgnęła umysłem do olbrzymiego stworzenia. Świeciło się na granicy jej dalwzroku, światłem nieco przypominającym gajaserę. Niewyraźne i pełne emocji.

- Cześć - powiedziała.

- Jesteś jak najmilej witana - odparł Władca Niebios.

- Czy to ty wpuściłeś mnie do tego wszechświata?

- Moi krewni wiedzieli o twoim przybyciu. Wciągnęło cię jądro.

- Wiesz zatem, że moim życzeniem jest rozmowa z jądrem, z Sercem, dokąd prowadziłeś ludzkie dusze. Czy możesz mnie tam zaprowadzić?



- Twój umysł jest niepodobny do innych z twojego gatunku, którzy kiedyś tu mieszkali. Nie masz dojrzałości starszych lat, a jednak twoje zdecydowanie robi wrażenie. Coś w twoim statku wzmacnia twoje myśli, ale w niewłaściwy sposób.

Gniazdo konfluencji, zdała sobie sprawę Justine.

- To wzmacniacz, urządzenie skonstruowane na moim macierzystym świecie, by emulować waszą łączność tutaj. W ten właśnie sposób znaleźliście nas poza swymi granicami.

- Razem ze swymi krewnymi prowadzę do jądra tych, którzy osiągnęli spełnienie. To moje spełnienie. Przyjdzie czas, kiedy z jądra nie powrócę.

- Właśnie dlatego tutaj przybyłam. Inni z mego rodzaju próbują osiągnąć twojego wszechświata. Ich przybycie będzie katastrofą. Muszę wyjaśnić to Sercu.

- Istnienie osiąga spełnienie. Wszyscy muszą dążyć do tej chwili.

- Tu, wewnątrz, tak. Ale wszechświat zewnętrzny bardzo się różni od tego. Czy wiecie, że robicie nam krzywdę, niszczyte nasze gwiazdy i nasze światy?

- Istnieje jedynie tutaj, wszechświat i jądro.

- Więc skąd tutaj przybyłam?

- Jądro to wie.

- Zaprowadź mnie tam, proszę.

- Tego nie można zrobić, to przeciw temu, co jest. Opłakuję twoją stratę. Kiedy osiągniesz spełnienie, poprowadzę cię.

Zęby Justine zaczęły się zaciskać. Bardzo się wysilała, by frustracja nie zaraziła jej dalmowy podczas dialogu z rozległym stworzeniem.

- Czy rozumiesz, co ci mówię? Istnienie, którym cieszy się tu, w środku, zabija żyjące istoty na zewnątrz, przeszkadzacie całej galaktyce, przez was nigdy nie osiągnie spełnienia.

- Aby osiągnąć spełnienie, wasz gatunek musi przybyć na stałe światy rozproszone w tym wszechświecie.

- To wasz rodzaj spełnienia. Nie nasz.

- Zaprowadzę cię, kiedy twój umysł osiągnie spełnienie. Dążysz do tego tak mocno, materia jest głęboko wstrząśnięta twymi życzeniami. To nie potrwa długo.

- Pomóż mi, proszę. Zabijasz ludzi.
- Wyniesienie do materii w każdy sposób jest cudowne. Nawet najspokojniejsze umysły są częścią tego, co jest.
- Nie, nie, śmierć poza tym wszechświatem jest ostateczna. Kończy wszelkie formy egzystencji.
- Jakie to trudne dla waszego gatunku. Adaptujecie się i dojrzewacie z łatwością w tym wszechświecie. Witamy was wszystkich. Po to właśnie istniejemy.
- Muszę się dostać do Serca. Czy pamiętasz innych takich jak ja, których tam poprowadziłeś?
- Było ich wielu. Radowali się, że osiągnąją jądro.
- Cieszę się, że to słyszę. Gdzie są teraz? Gdzie jest jądro?
- Jądro jest centrum wszystkich miejsc i czasów. I to, z czego wszystko przychodzi, powraca, by się zmienić i żyć pośród zmian.
- Jest tutaj? Czy jesteśmy w jądrze w tej chwili?
- Nie możesz być w jądrze. Nie osiągnęłaś spełnienia.
- Chciałabym porozmawiać z tymi z mojego rodzaju, którzy tam już są. Tak wiele mogę się od nich nauczyć. To pomogłoby mi osiągnąć spełnienie.
- Spełnienie nadchodzi od wnętrza.
- Spełnienie osiąga się przez doświadczenie. Jestem tutaj sama. Muszę komunikować się z własnym rodzajem, jeśli mam dojrzeć.
- Moi krewni nie mają świadomości żadnych myśli przypominających twój gatunek. Żadne nie pozostały.
- Żadne? - zapytała w szoku. - Ale był tutaj cały świat pełen nas, może więcej.
- Wszyscy zostali zaprowadzeni do jądra. Tamten świat oczekuje przybycia innych. Tak jak moi krewni.
- Więc zabierz mnie do jakiegoś świata, w którym czujesz żywe umysły.
- Moje stado zawsze przeszukuje wszechświat. Nie ma świata, w którym żywe umysły żyją w tym kiedy.
- Jezu, pieprzyć to! - Justine nic nie mogła poradzić: w końcu dopadała ją frustracja. Nawet Ociseni byli mniej uparci od tego stworzenia. Zrobiła wdech.

Ono nie jest uparte, to są jego programy myślowe doskonale zaadaptowane do jego życia i jego celu. Czemu miałyby rozumieć moje motywacje i problemy?

- Jesteś smutna - powiedział Władca Niebios. - Kiedy będziesz gotowa, by cię poprowadzić, poprowadzę cię. Wiedz o tym i miej nadzieję.

Coś się zmieniło wśród wzorów połyskujących wewnątrz powyginanych krystalicznych płacht Władcy Niebios. Poruszył się, malejąc z niewiarygodną szybkością. W ciągu kilku sekund zniknął z czujników „Silverbirda”.

- O, bogowie! - wymamrotała Justine.

Obrazy Władcy Niebios przekazywane przez Drugiego Śniącego zawsze ukazywały Władców Niebios statecznie dryfujących. Tymczasem przyśpieszenie, którego właśnie była świadkiem, byłoby bliskie stu g.

Jeśli to było przyśpieszenie. To dziwne, stare miejsce.

Przez następne kilka godzin przeglądała wielokrotnie swoją rozmowę. W końcu przyznała, że nie mogłaby uzyskać żadnego innego rezultatu. Władca Niebios po prostu nie miał psychiki, by pomóc jej osiągnąć Serce. Był zbyt obcy.

Był wielki i miał niezwykle zdolności, ale nie można go było zakwalifikować jako istoty rozumnej. Większość inteligencji ma zdolność uczenia się i rozumowania. Te stworzenia wydawały się niezdolne do interpretacji czegokolwiek poza swymi pierwotnymi parametrami.

Zresztą, ta analiza i tak jej w niczym nie pomagała.

Kiedy przeglądała dziennik pokładowy, była zadowolona ze stanu funkcjonalności statku. Z jakichś przyczyn, kiedy przebywała w zawieszeniu, nie pojawiała się zbyt wiele usterek. Teraz musiała tylko zdecydować, co robić dalej.

Z odległości roku świetlnego sensory optyczne niewyraźnie rozpoznawały jakiś rodzaj dysku akrecyjnego otaczający gwiazdę, ku której zmierzała. Oglądała uważnie zamglone obrazy ze wzrastającym niepokojem. Gwiazda, której planety nadal się formują, nie będzie miała nadającego się do zamieszkania świata,

na którym Justine mogłaby się urządzić. Przynajmniej nie miałyby go w rzeczywistym wszechświecie.

Justine rozważała ten problem podczas następnego wymyślnego posiłku: jadła udźce jagnięce gotowane w winie toblarisowym i zapiekankę ziołową. Potem obżerała się czekoladkami. Przybyła tak daleko i miała przed sobą jeszcze tylko półtora roku w zawieszeniu. Nadal nie miała wystarczająco wielu informacji, by podjąć jakąkolwiek decyzję. Po prostu kierowała się ku tej gwiazdzie, żeby sobie dodać otuchy. Teraz potrzebowała jej bardziej niż kiedykolwiek.

Żadnych innych gatunków planetarnych w całym wszechświecie!

„Silverbird” ponownie rozpoczął przyśpieszanie do siedmiu dziesiątych prędkości światła, a nad Justine zamknęła się pokrywa komory medycznej.

Zwykły dom na zwykłej ulicy. Przynajmniej na Ganthii. Planeta została planetą Elewatów wkrótce po zasiedleniu. Miejscowe komitety polityczne szybko rozwinęły strategię odnawialnych konstrukcji organicznych. Tutejsza flora nagięła się z łatwością do tej idei, drzewa w strefie umiarkowanej miały twarde drewno z wewnętrzną strukturą plastra miodu. Kilka podrasowań genetycznych sprawiło, że zaczęły się nadawać do twórczego kształtowania. Podobnie jak koral lądowy wyhodowany w epoce pierwszej Wspólnoty, modyfikowane drzewa z Ganthii prowadzono na ramach, by tworzyć puste, pękate komnaty. Co więcej, można je było szczepić, więc jeśli każdy pokój był osobnym drzewem, dom był fuzją wielu drzew.

Emerytowany kapitan floty, Donald Chatfield, mieszkał w środku czegoś, co z powietrza wyglądało na spory las. W rzeczywistości było to Persain City, rozciągające się na zboczach kilku gór, tuż nad linią brzegową. Dwanaście drzew dostarczało kapitanowi pięciu pokoi na parterze, których zaokrąglone ściany wypuszczały krótkie gałęzie z muszlowo różowymi liśćmi. Z luk między dolnymi pokojami wyrastało pięć długich pni. Wybrzuszały się w piętro mniejszych pomieszczeń, każde pokryte liśćmi miedzianymi. Pozostałe dwa drzewa tworzyły puste rury, które zawijały się wokół krzywizny dolnych pokoi i służyły za klatkę schodową między obu poziomami.

Kapsuła taksówkowa Pauli mknęła po czymś, co wyglądało na szeroki szlak turystyczny, wiodący przez leśne miasto. Zatrzymała się bezgłośnie dopiero na dzikiej murawie przed domem Chatfielda. Paula wysiadła i wachała powietrze przyprawione zapachami korzennymi. Grupy domów ciągnęły się we wszystkich kierunkach. Niekiedy rozrastały się na dwa lub trzy piętra, a ich cudownie splecione pnie tworzyły zawężony labirynt. Światło słoneczne przenikało przez gałęzie nad głową,

tworząc wokół Pauli ostre łaty cienia. W oddali jakieś dzieci bawiły się na otwartym terenie. Cała sceneria wyglądała zadziwiająco wiejsko. Tylko kapsuły śmigające po sieci szlaków zdradzały prawdziwą bazę kulturową planety. Paula weszła po krótkich drewnianych schodach na platformę gankową utworzoną z miniaturowego drzewa uformowanego na kształt płaskiego grzyba. Donald Chatfield pozdrowił ją przy wspaniale staromodnych, pomalowanych na zielono frontowych drzwiach - wysoki, młodzieńczo wyglądający mężczyzna z niewymuszonym uśmiechem. Jego schludne ciemne włosy zaczynały siwieć, co kontrastowało z mocnymi rysami i zdrową opalenizną. Paula nie wiedziała, czy białe pasma włosów to nakaz mody, czy konieczność - dziwactwo genetyczne, niemożliwe do skorygowania przez bionikę. Miał przecież trzysta pięćdziesiąt lat.

- Dziękuję, że zgodził się pan mnie przyjąć - powiedziała, kiedy wprowadził ją do salonu.

W wybruszonych ścianach wycięto trzy wielkie kręgi. W luki wstawiono idealnie czysty kryształ, przez który roztaczał się widok na ogród za domem. Nie próbowano malować ani przykrywać gołego drewna, choć ściany i sufit zostały wypolerowane, by wydobyć w ciemnym drzewie turkusowe słoje. Nawet meble wycięto z wielkich części drzewnych pni i gdzieś tam rozrzucono na nich poduszki.

- Pani reputacja panią wyprzedza, pani śledcza - powiedział, kiedy gestem dłoni usadził ją w wielkim fotelu. - Nie musiałem nawet zaglądać do plików referencyjnych. Ale, z drugiej strony, służyłem na statkach wokół Alfy Dysona. To było dawno temu, załoga jednak interesowała się dziejami wojny bardziej niż przeciętni obywatele. To nam pomagało zrozumieć misję.

- To ciekawe - powiedziała, usadowiwszy się. - Właśnie dlatego tutaj jestem.

Uniósł brwi z wyrazem twarzy niemal lekceważącym.

- Wielkie nieba! Nawet ja w tym względzie jestem już historią.

- Niezupełnie. Chciałabym pana zapytać o tamtejszą trzecią misję. Pan dowodził wtedy „Poixem”.

- Tak. W czym problem?
- Nie ma problemów. Potrzebuję trochę informacji na temat jednego członka pana załogi: Kenta Vernona.
- Och, o nim.
- Nie zabrzmiało to przyjemnie.  
Donald uśmiechnął się szelmowsko.
- Służba we flocie, to brzmi wspaniale, ale tak naprawdę byłem w Wydziale Badawczym. Nasze misje były naukowe, nie bojowe. To pozwala na... nabór charakterów z szerszego zakresu niż w regularnej flocie. Vernon mógł być pomocny przy analizie powłok kratowych generatora, ale z pewnością nie byłoby z niego pożytku na żadnym stałym stanowisku we flocie. Nie był najbardziej lubianą osobą na pokładzie drogiego, starego „Poixa”.
- Czemu nie?
- Niech mnie pani źle nie zrozumie. Wykonywał cenną pracę. Jednak jego umiejętności współżycia z ludźmi pozostawiały nieco do życzenia. To dość zaskakujące, biorąc pod uwagę, że był Elewatem. To raczej szokowało niektórych członków załogi, nie byli przyzwyczajeni do tego, by kogoś traktować aż tak ulgowo.
- Jeśli wpływał na zespół tak destrukcyjnie, to w jaki sposób dostał patent oficerski?
- To był patent naukowy. Ściśle mówiąc, Vernon w ogóle nie był członkiem floty. Specjaliści dostają patenty tymczasowe, na czas trwania misji. Ostrzeżono mnie o jego charakterze, kiedy misję planowano.
- A jednak pozwolił pan mu na wzięcie w niej udziału.
- Kapitan ma pewną swobodę decyzji. Przejrzałem jego plik i pomyślałem, że może być cennym nabytkiem. W swojej dziedzinie miał bardzo wysokie kwalifikacje. Trzeba to było zbilansować z zamętem personalnym, do jakiego mogłyby ewentualnie się przyczynić. W końcu zgodziłem się, by do nas dołączył, ponieważ od czasu do czasu nie zaszkodzi wstrząsnąć porządkiem rzeczy.
- Dziwne podejście - zauważyła. - Jest pan na trudnej i ważnej misji, daleko od domu, technicznie rzecz biorąc, nadal w strefie

działań wojennych i zgadza się pan wziąć ze sobą czynnik potencjalnie destruktywny.

- Sprawa osądu. Podjąłem taką decyzję, ponieważ wcześniej odbyliśmy już dwie misje przy Alfie Dysona. Moja załoga wiedziała, co robić. Jego obecność na pokładzie nigdy nie była przyczyną fizycznego zagrożenia. Najgorszy przypadek, który zawsze musieliśmy mieć na uwadze, to ten, że bariera padnie podczas naszej tam obecności. Wtedy Vernon po prostu zostałby wepchnięty do swej kabiny z poleceniem, by z niej nie wychodził, a my staralibyśmy się zapobiec ucieczce statków z alfami. A nawet w takim wypadku, „Poixa” postawiono by na trzeciej linii obrony. Aż do dzisiaj flota utrzymuje poważną siłę ognia przy Parze Dysona. Niech Ozzie ma w opiece alfy, jeśli zrobią choćby szczelinę i spróbują się wyrwać.

- Zatem podjął pan właściwą decyzję? - spytała Paula.

Donald wymownie wzruszył ramionami.

- Nie można dać na to konkretnej odpowiedzi. Misja zgromadziła mnóstwo danych, ale niekoniecznie wzięłbym go ponownie na pokład. W dziwaczny sposób wzmocniło to późniejsze morale załogi. Podczas mych ostatnich dwóch misji zawsze mnóstwo się mówiło o tym, jaka tamta misja była trudna.

- Przeciwności cementują?

- Coś w tym rodzaju. Chociaż nie nazwałbym tego jakąś okropną, najeżoną trudnościami podróżą. Tak nie było. On się po prostu różnił od pozostałych Elewatów, co nie jest zbrodnią. Dlaczego interesuje się pani Vernonem po tak długim czasie?

- Niezupełnie był tym, za kogo się podawał. Chatfield spojrział na nią.

- Jak to w ogóle możliwe?

- Wydaje mi się, że realizował swoje ukryte zamiary, prawdopodobnie zlecone przez jakąś frakcję ZAN.

- Jakie zamiary?

- Właśnie dlatego jestem tutaj. Zobaczyć, co mi pan może powiedzieć na ten temat.

- Przykro mi, ale moja natychmiastowa odpowiedź brzmi: bardzo mało. Nawet z uwzględnieniem jego podejścia, misja



przebiegała zupełnie rutynowo. Przez osiem miesięcy zbieraliśmy dane na temat Mrocznej Fortecy, a potem poleciliśmy do domu.

- Żadnych nietypowych wydarzeń? Nic niezwykłego?

Oczy Donalda zamigotały, kiedy grzebał we wspomnieniach dawno temu zepchniętych do spacji pamięci.

- Zupełnie nic.

- Więc na czym dokładnie polegała ta misja?

- Monitorowanie i analiza obu wewnętrznych sfer siatkowych w Mrocznej Fortecy. Misję zrealizowaliśmy pomyślnie.

- Czy były jakieś przełomy albo rewelacje dotyczące Czarnej Fortecy?

- Nie dzięki nam. To cholera nadal jest zagadką. Nie rozumiemy, jak ona generuje pole siłowe wystarczająco duże, by objąć cały system gwiazdny; mechanizm jest dziwny. Choć obecnie chyba robią postępy na temat samego pola. Tak naprawdę nie jestem na bieżąco.

- Czy Vernon chciał coś pchać dalej naprzód? Może przy czymś się upierał, co w tamtym czasie przypisywał pan jego osobowości?

- Zawsze mówił o fabryce.

- Fabryce?

- Tego, co anonimowie wykorzystali do budowy samej Czarnej Fortecy. Utrzymywał, że jeśli moglibyśmy to zbadać, rozwiązalibyśmy zagadkę całego generatora i jego zasad działania. Logicznie rzecz biorąc, miał rację. Ale to nie był cel naszej misji.

- Rozumiem. Czy była kiedykolwiek misja zbadania fabryki?

- Nie. Ponieważ nie wiemy, gdzie ona się znajduje.

- Tak więc Vernon chciał polecieć i jej szukać?

- Tak. Tak naprawdę sam też chciałbym to zrobić. To byłoby naprawdę coś! Konstrukcja, która buduje maszyny o rozmiarach małego gazowego giganta. Znalezienie tego wystarczyłoby, żeby mnie wyrwać na powrót z emerytury.

- Jestem tego pewna. - Paula zawahała się, nie ufając ani jednemu jego słowu. - Czy Kent Vernon modyfikował robione przez was obserwacje?

- Cały czas, właśnie po to są tam zespoły badawcze. Jeden zestaw wyników jest punktem startowym do badań jakiegoś innego aspektu. W ramach ogólnych założeń misji proces monitorowania jest bardzo płynny. Gdyby tak nie było, byłibyśmy po prostu przekaźnikiem dla czujników.

- Jaka była dokładnie dziedzina Vernona?

- Sygnatury kwantowe. Był tam, by określić podfizyczną naturę składników siatkowej sfery.

- Więc w tej dziedzinie chciał zrobić coś, czego nie powinien?

- Nie. Jeśli chodzi o obserwację, mamy sporą swobodę. Chyba jedyną rzeczą, której flota zabrania, jest próba wzięcia fizycznej próbki siatkowej sfery - chociaż nie wszystko w niej jest, ściśle mówiąc, fizyczne. To głupie ograniczenie, jeśli chce pani znać moje zdanie, ale ja nie stanowią zasad.

- Dlaczego głupie?

Obrzucił ją dziwnym spojrzeniem.

- Brała pani udział w wojnie Gwiazdokrązcy. Ozzie i Nigel Sheldon eksplodowali parę bomb kwantowych wewnątrz Mrocznej Fortecy, a ona nadal pracuje. To wyjątkowo krzepka konstrukcja. Zgolenie z niej bryłki nie zepsuje jej.

- Słuszny argument. - Paula aktywowała warstwę bioniczną specjalnego przeznaczenia na skórze swej prawej dłoni.

- Ma pani dobre stosunki z ZAN, może jej to pani kiedyś przekaże - zaproponował Chatfield.

- Jestem przekonana, że ZAN ma swoje powody.

- Taa.

Paula wstała i wyciągnęła prawą dłoń.

- Cóż, dziękuję za poświęcony czas, kapitanie.

- Nie ma za co. - Uścisnął jej dłoń. - Czy na coś się przydałem?

Jej bionika zebrała martwe komórki z zewnętrznej warstwy epidermy Chatfielda.

- Nie jestem pewna.

Przez sekundę myślała, że mężczyzna włączy swoje modyfikacje bojowe. Sekunda minęła. Mimo to, jej staromodny instynkt sprawiał, że gdy odwróciła się do kapitana plecami, czuła się nieswojo.

Natychmiast kiedy wróciła do swej kapsuły - taksówki, otworzyła ultrabezpieczne połączenie z ZAN:Władzami.

- To Progresywista.

- Dlaczego tak sądzisz? - spytał ZAN:Władze.

- Przyznał się do możliwego błędu i zaakceptował swą winę. Standardowy manewr pozyskiwania sympatii. Ale prawdziwy błąd, który zrobił, był fundamentalny. Kiedy powiedziałam, że Vernon miał ukryty plan dla frakcji, Chatfield spytał, jaki plan, a nie dla jakiej frakcji. - Podniosła prawą dłoń i obróciła ją, by zbadać wewnętrzną część. Nie widać było na niej nic, ale biononika już przesyłała strumień danych przez łącze. - Wysłałam ci jego DNA. Sprawdź, w jakich twoich plikach występuje. Zwłaszcza plikach osób związanych z rządem i z flotą.

Odpowiedź nadeszła niemal natychmiast. Na Pauli zrobiło wrażenie, jak wiele uwagi ZAN poświęcił tej analizie. Jej u-adiunktowi na to porównanie potrzebna by była przynajmniej minuta.

- Ten twój instynkt to jest coś - przyznał ZAN:Władze.

- Naprawdę?

- Mniej niż dwadzieścia procent znaczników odchyła się od danych kapitana Evanstona.

- Nie są identyczne, więc to albo rodzina, albo...

- Albo kazał przestawić sobie sekwencję DNA dla tego zadania.

- To bardzo pracochłonna mistyfikacja. Więc to Evanston czy Chatfield?

- Powiedziałbym, że Chatfield. Evanston był oficerem, który służył dwadzieścia pięć lat temu. Ale bieżące DNA Chatfielda niemal zgadza się z zarejestrowanym we flocie plikiem kapitana Chatfielda przed stu laty.

- Zgadza się „niemal”?

- Wariancja jest mała, lecz zauważalna. Gdybyśmy nie wiedzieli, że w międzyczasie miał przestawione nukleotydy, to można by ją uznać za błąd pomiaru.

- Więc, jeśli już poddał się przestawianiu, dlaczego utrzymywać dwudziestopunktowe podobieństwo? Kompletnie przestawianie było bardzo popularną opcją w środowisku kryminalistów w późnej pierwszej epoce i wczesnej drugiej epoce Wspólnoty. Doskonały sposób na uniknięcie potwierdzonej sądowo identyfikacji. Wielu z nich morderstwo dosłownie uszło na sucho.

- Na to odpowiedź jest prosta: jego mózg. Chciał, by jego układy myślowe pozostały takie, jakie są. Jeśli zmieniasz strukturę nerwową i neurochemię, zmieniasz sposób myślenia, samą swoją osobowość. On chciał być dalej tym, kim jest.

- To ma sens. Daj mi jego plik. - Widziała, jak wpływa do jej klastra wielkokomórkowego. Drugorzędne programy myślowe zanalizowały te dane, podkreślając istotne sekcje. Jeden długi wpis przyciągnął jej uwagę. - Jezu - powiedziała cicho.

- Właśnie - powiedział ZAN:Władze. - A w połączeniu z dzisiejszymi wydarzeniami ważne w najwyższym stopniu.

- Dominująco ważne - odparła. - Evanston był drugim dowódcą stacji na Elan, monitorującej ograniczenia rozwojowe.

- Zawsze uważałem to za sporą ironię, że Wspólnota pozwoliła ocalałym siłom najeżdżczym alf, by dalej mieszkaly na światach, które zdobyły.

- Nie na wszystkich - odpowiedziała. - Jedynie na pięciu Straconych, których nie unicestwiliśmy całkowicie bombami nuklearnymi. Pewne z osiadłych alf, które przeżyły, stały się przebiegłe.

- Masz na myśli to, że stały się ludzkie.

- Podłączyły się do wspomnień ludzkich prawników i szybko się poddały. Nawet cytowały nam w twarz nasze podstawowe prawa. Powiedziałabym, że to całkiem sprytne z ich strony. Nawet ewolucyjne. Przystosuj się, a następnie przyjmij etykę obcego gatunku, który próbowałeś unicestwić, aby samemu przeżyć. Jedynie z tego powodu admirał Columbia pozwolił im

żyć. Uważał to za wskazówkę, że alfy są zdolne do postępu społecznego - tak jak go widzą ludzie.

- Aż do tej pory dotrzymywały swej strony porozumień.

- Nie sądzę, że można je winić za ich złamanie. - Paula od dłuższego czasu nie była taka wściekła. Od wieków. Ale że Progresywiści wykorzystali alfy, by wzmocnić Imperium Ocisenów... Zszokować ją nie było łatwo, ale to ją zszokowało.

Czy oni nie rozumieją niebezpieczeństwa? Ale oczywiście, że rozumieli. To właśnie ja dopiero zaczynam rozumieć stawki, o które grają, środki, których nie zawahają się użyć.

- To też nasz wniosek - powiedział ZAN:Władze.

- To spisek.

- Jeśli da się udowodnić. Na razie mamy jedynie poszlaki.

Paulę kusiło, by obejrzeć się przez ramię, ale się powstrzymała. Kapsuła już wydostała się z eleganckich szlaków miasta. Teraz wdzięcznie przepływała nad szczytami gór. Leciąca do kosmoportu na lądowej równinie za nimi. Paula przez chwilę myślała, czyby nie wrócić i aresztować Chatfielda.

- Odczyt pamięci dostarczyłby dowodów.

- Czy sądzisz, że Chatfield by na to pozwolił?

- Nie - przyznała z żalem. - Jeśli jest tak ważnym agentem Progresywistów, jak nam się wydaje, pochwycenie go nie wchodzi w grę. Po prostu automatycznie pozbawi się ciała, a oni ożywią go tego samego dnia w ciele bezpiecznym. Musimy go obserwować i zobaczyć, dokąd nas zaprowadzi.

- Umieściłem go pod obserwacją elektroniczną.

- Dziękuję. To powinno wystarczyć, dopóki nie przyślę tutaj kolegi, by go pilnował. Jeśli Chatfield uczestniczy w projekcie, który sprzymierzył alfy z Imperium Ocisenów, prawdopodobnie wie o sprzęcie, jaki Troblum pomagał im budować. Zastanawiam się, czy to nie te statki, które towarzyszą flocie Ocisenów.

- Według Gore'a, Ilanthe powiedziała, że Progresywiści mogą obronić Układ Słoneczny przed wszelkimi fazami ekspansji Pustki. Nie mam pojęcia, jak to by się mogło przełożyć na rozwiązania praktyczne.

- Dwa nielegalne projekty konstrukcji sprzętu? Oni naprawdę są oddani swej ideologii. Musimy bardzo bacznie obserwować Chatfielda.

- Kogo wykorzystasz?

- Paula pozwoliła sobie na nieznaczny uśmiech.

- Digby od pewnego czasu chciał zadania na tym poziomie. Przyzwoitość z mej strony wymaga, bym dała mu tę szansę.

- Ma pełne kwalifikacje i niezbędne doświadczenie. Roześmiała się, już jawnie.

- To bardzo taktowny sposób oskarżania mnie o nepotyzm.

- On jest młodszy o cztery generacje.

- Ale to nadal mój potomek. Mimo wszystko, kto jest na tyle szalony, by wykonywać pracę tego typu?

- Uważam, że jest bardzo zdolny.

- Jest za młody i zbyt napalony. Ale jeśli cokolwiek ma go z tego wyleczyć, to właśnie to zadanie. Zadzwoń do niego.

\*\*\*

Kiedy kapsuła taksówkowa Pauli opuściła dom Chatfielda, Marius znajdował się pół kilometra stamtąd. Uważał, że obecność śledczej dokładnie w tym czasie jest denerwująca. Oznaczała, że wykrywa ona mnóstwo powiązań, o których zakładał, iż pozostaną ukryte, przynajmniej do chwili, kiedy już będzie za późno. Po chwili kapsuła Pauli opuściła zielone aleje miasta, a on poszedł niespiesznie do domu Chatfielda. Takie podejście przynajmniej wyeliminuje niektóre protokoły obserwacyjne. Wiedział, że takie zostały uruchomione po wizycie Pauli. Jakby na potwierdzenie, jego u-adiunkt poinformował go, że w lokalne węzły cybersfery wślizgnęły się bardzo wyrafinowane przeglądacze.

Przez chwilę rozważał, czy po prostu nie porzucić Chatfielda. Ale przejście do następnego etapu było ryzykiem akceptowalnym. Gdyby Paula Myo rozumiała cokolwiek ze strategii Progresyistów, zabrałaby Chatfielda do aresztu. Wysłał więc swego u-adiunkta do domów sąsiadów Chatfielda i zbadał różne pliki, wyprowadzając mało znaczące osobiste

szczegóły i preferencje. Kiedy szedł aleją, dane zostały wchłonięte przez jego biononikę, pozwalając jej zmienić jego wygląd zewnętrzny i emisje elektroniczne. Połyskujący togatur zmienił się w nijaki zawój zielonkawego sukna. Spod niego wysuwały się imbirowe buty. Pewny swojej syntetycznej osobowości, przekroczył zapuszczoną frontową murawę i włączył domowe czujniki.

Chatfield nie okazał zdziwienia, kiedy otworzył swoje błyszczące frontowe drzwi komuś, kto przypominał Fardela, sąsiada mieszkającego o cztery domy dalej, nawet jeśli mężczyzna ubrał się w stylu Jalliete'a. Mariusa zdradziły zielone oczy.

- Widziałeś, jak wychodziła Myo? - spytał Chatfield, kiedy przeszli do salonu i otoczył ich ekran izolacyjny.

- Tak.

- Odkryli, że Troblum był na „Poixie”.

- Cholera. Gdybym uwolnił ten wszechświat od tego irytującego i żenującego Elewata, sprawiłoby mi to wielką przyjemność. Czy Myo wie, dlaczego tam był?

- Nie. Wrzuciłem jej bajkę, że skupiał się na fabryce anominów.

- Dobrze. To doskonale wiąże się z jego obsesją na temat napędu nadświetlnego dla planet. Może na chwilę skieruje ich uwagę w złą stronę.

- Będą mnie obserwowali. - Spojrzał na Mariusa. - Czy jesteś tutaj, by mnie ciałoutrącić?

- Nie. Przechodzimy trochę wcześniej do następnego etapu. To powinno cię usunąć im z widoku na pewien czas, a kiedy pojawisz się znowu, nie będzie to miało znaczenia.

- Rozumiem. - Chatfield obrzucił pękaty drewniany pokój pełnym żalu spojrzeniem. - Będzie mi tego brakowało. Ganthia to przyjemne miejsce do mieszkania. Jej polityka pod pewnymi względami jest całkiem postępową.

- To teraz bez znaczenia. W kosmoporcie czeka statek. Udaj się bezpośrednio na naszą Stację Frost i zabierz swój sprzęt.

- Rozumiem. A potem dalej na Ellezelin?

- Tak, ale czekaj, aż dam ci pozwolenie na lądowanie. Żywy Sen spodziewa się, że dołączysz do Pielgrzymki, ale nie chcę, byś tam był wcześniej. Nawet jeśli nasza taktyka odniesie sukces, mogą tam pozostać samotni agenci ZAN, którzy sprawią nam kłopoty.

- Tacy jak Myo?

- Między innymi. Jesteśmy przygotowani na różne ewentualności, nie martw się.

- Natychmiast wyjeżdżam.

\*\*\*

W Atolu Babuyan panowała przybliżona noc. Wyłączono wewnętrzne oświetlenie kopuły, jednak kryształ pozostawał idealnie przezroczysty. Zaprawiony żółcią sierp Icalanise wschodził nad brzegiem terenów parkowych i rzucał mętne światło na wieże i lasy. Admirał Kazimir widział je przez okno gabinetu i ostatni raz pedantycznie poprawiał mundur. Tam, na Aldaho senacka Komisja Bezpieczeństwa została zwołana na nadzwyczajną sesję, gdzie miał przedstawić naprawdę złe wiadomości o nowych sprzymierzeńcach Imperium Ocisenów. Wyglądało na to, że trzeba będzie wykorzystać flotę odstraszającą. Ta perspektywa w równym stopniu podniecała go, jak i przerażała. Przez niemal siedemset lat sama wiadomość o istnieniu tej floty wystarczyła, by powstrzymywać co bardziej wojownicze gatunki od agresji na Wspólnotę. Teraz bluff miał zostać sprawdzony, a ci, którzy sądzili, że to bluff, mieli zostać zaskoczeni bardzo niemile.

Srebrny kołnierz kurtki mundurowej przekrzywił się. Kazimir spojrzął z niesmakiem na swoje odbicie w lustrze i próbował z powrotem nadać niesfornej materii właściwy kształt. W ciągu siedmiuset lat nigdy w swym mundurze nie używał tkanin półorganicznych i nie miał zamiaru tego teraz zaczynać.

Ushadow powiadomił go, że z Ganthii dzwoni Paula Myo.

- Dobre wieści? - zapytał.

- Nie, ani, ani - odparła. - Odkryłam dowód, że flota została zmanipulowana.



Kazimir słuchał ze wzrastającym gniewem, gdy wyjaśniła swe podejrzenia dotyczące Chatfielda i jego wtórnej tożsamości, Evanstona. Kiedy skończyła, zawezwał ZAN:Władze.

- Dowody poszlakowe - odparł ZAN:Władze. - Nie wiemy tego z całą pewnością.

- Od początku zaplanowali ten kryzys z Pielgrzymką.

- Pielgrzymka była nieunikniona od chwili, gdy Inigo wyśnił swój pierwszy sen - zauważyła Paula. - Jeśli to oni stoją za przymierzem alf i Ocisenów, jest to spisek sięgający dziesięciolecia wstecz. Evanstona wysłano do układu Elan trzydzieści lat temu.

- A Troblum zajmował się swoją pracą przedtem jeszcze przez dwadzieścia lat - potwierdził Kazimir.

- Przypuszczam, że tę metodę połączenia upichcono, gdy Inigo porzucił Żywy Sen - powiedziała Paula. - Zobaczyli sposób szybkiego przejścia do statusu postfizycznego i natychmiast zabrali się do realizacji.

- To bardzo prawdopodobne - zgodził się Kazimir. - Nie nazwali się Progresywiściami bez powodu. Pozostaje problem, co z tym zrobimy. Czy możesz ich po prostu zawiesić?

- Każda interwencja musiałaby być powszechna - odparł ZAN:Władze. - Obecnie nie mam do niej wystarczających podstaw.

- Ale to akurat wiesz.

- Bardzo mocno podejrzewam. Działanie na podstawie jedynie podejrzeń to nękanie. Chyba rasa ludzka wyrosła z tego barbarzyństwa?

- Spróbujmy zanalizować to w ten sposób: co spodziewają się uzyskać z przymierza między alfami a Ocisenami? - powiedziała Paula.

- To stwierdził - powiedział Kazimir.

- Nie - odparła Paula. - To musi być coś więcej. Wiedzą, że to częściowo odwróci uwagę ku flocie najeźdźców, ale wiedzą także, że ZAN i tacy ludzie jak ja będą nadal monitorować przygotowania do Pielgrzymki i śledzić Trobluma i Mariusa. Bez względu na to, ile napotkamy dywersji, kryzysów i obcych

najazdów jeśli chodzi o program Progresywiistów, nie popełnimy błędu. Dlatego to musi mieć związek.

- Jaki? - spytał Kazimir.

- Choć to przymierze szokuje, jednak z punktu widzenia militarnego to problem trywialny. Nie zagraża ono Wspólnocie ani nie powstrzyma Pielgrzymki Ethana przed wyruszeniem.

- Czy jesteś taka pewna, że Chatfield to Progresywista? - spytał ZAN:Władze. - Twój wniosek został wyciągnięty na podstawie pojedynczej odpowiedzi. Bardziej by pasowało, gdyby był Kustoszem czy nawet Izolacjonistą.

- Jest Progresywistą - oznajmiła Paula. - To pasuje. Czemu więc wykorzystują rzeczywiste, wywołane Pielgrzymką zagrożenie dla Wspólnoty? Takie, które nie jest po prostu taktycznym odwróceniem uwagi?

- Flota odstrasżająca - stwierdził Kazimir z goryczą. - Bez alf we flocie Imperium, eskadra statków klasy Capital wystarczyłaby, by ich zlikwidować. Ale kiedy są alfy, musimy wysłać flotę odstrasżającą.

- Chcą wiedzieć, co to takiego - oznajmił ZAN:Władze.

- Czemu? - zapytała Paula. - Co ta wiedza im daje? Czy to blef?

- Nie - odparł Kazimir - to nie blef.

- Nigdy, w całym swym życiu, nie spotkałam żadnego oficera floty, który służył we flocie odstrasżającej - zauważyła Paula. - Spotkałam setki oficerów ze wszystkich innych klas statków, ale nigdy z tej floty. I biorąc pod uwagę kręgi rządowe, w których się obracam, uważam, że to fakt nadzwyczaj dziwaczny.

- Spotkałaś kogoś z floty odstrasżającej - odparł spokojnie Kazimir. - Mnie.

- Jestem stworzony, by chronić fizyczny segment rasy ludzkiej - dodał ZAN:Władze. - Zapewniam cię, że flota odstrasżająca jest rzeczywista i zdolna do osiągnięcia tego poziomu fizycznej obrony. I akurat ja mam pełne kompetencje, by to stwierdzić. Sam ją zbudowałem.

- W takim razie Progresywiści na pewno chcą wiedzieć, w co jest uzbrojona - oznajmiła Paula. - Zakładam, że to coś dość potężnego.

- Tak. Bardzo potężnego.

- W porządku, więc oczekują, że to zanalizują i wykorzystają. Mimo wszystko nie zadalibyście sobie tyle trudu bez potrzeby. Ale skala czasowa tu nie pasuje. Nawet gdyby doskonale zanalizowali broń, nadal musieliby ją skonstruować. To zajmie czas, a Pielgrzymka ma ruszyć za parę miesięcy. Czy zdołają skopiować ją tak szybko?

- Nadzwyczaj mało prawdopodobne - odparł ZAN:Władze. - Przy użyciu swych pełnych zdolności musiałem ją wytwarzać przez kilka lat. Rzeczywiście, od tamtego czasu moje możliwości dramatycznie wzrosły, ale nadal nie jest to rzecz, którą można by wykonać w mgnieniu oka.

- Zbadajmy przypadki krańcowe - powiedział Paula. - Czy broń floty odstraszałającej może zniszczyć Pustkę?

- Nie.

- Ale macie pewność, że może odeprzeć prawie wszystko inne w galaktyce.

- Tak.

- W takim wypadku zgaduję, że zamierzają ją wykorzystać przeciwko statkom raielów strzegących granicy. Justine ledwo zdołała się przez nie przedostać, a miała nad nimi przewagę wczesnego startu oraz pomoc samej Pustki. Tak jak jest, statki Ethana nie dotrą nawet do Ściany, nie mówiąc już o podróży przez Zatokę.

- Cholera - warknął Kazimir. - To musi być to. Idioci. Nie wystarczy im próba zniszczenia galaktyki, muszą rozpocząć wojnę z najpotężniejszą rasą, jaka istnieje.

- Pewien czynnik może grać na naszą korzyść - zauważyła Paula.

- Jaki?

- Alfy.

Stulecia doświadczeń sprawiły, że Kazimira nie zaskakiwały koncepcje Pauli.

- Mów dalej.

- Nie są głupie. Przynajmniej nie te, które nadal mieszkają we Wspólnocie, a właśnie nimi manipulowali Progresywiści.

Standardowa alfa osiadła wie, że jeśli czymkolwiek znów nam zagrożą, po prostu je wytepiemy.

- Tak. W gruncie rzeczy, biorąc pod uwagę nową naturę i rozwijającą się psychikę pięciu ocalałych cywilizacji alf, flota w ciągu ostatniego tysiąca lat dwukrotnie zmniejszyła swój potencjał zagrażający.

- Wobec tego nie mają zamiaru ryzykować, że spowodują odwet ludzi. Wyjątkowo mało prawdopodobne, by się zgodziły wziąć udział w planie Progresywistów. Wiemy jednak, że ludzkie osobowości mogą funkcjonować wewnątrz struktury nerwowej alf. Kiedyś spotkałam alfę-Bose'a. Integracja była bez zarzutu, funkcjonował bez żadnych problemów. To dostarcza nam potencjalnych dowodów.

- Co nam dostarcza? - spytał Kazimir.

- Wewnątrz tych okrętów mogą być ciała alf, ale założę się o wysoką stawkę, że są one ożywiane ludzką myślą. Porwać kilka alf wędrownych, które właśnie wyszły ze stawu rodnego, byłoby sprawą prostą. Na tym etapie ich mózgi są kompletnie puste. To ich alfy osiadłe wpajają w nie wspomnienia i podstawowe wzorce myślenia. Tak więc, jeśli porwiesz jakąś na tym etapie, załadowanie w nią ludzkiego umysłu i wspomnień byłoby łatwe. To nasza podstawowa procedura ożywiania, ale z innym ciałem. I oto macie: rdzeń całkowicie niezależnej hierarchii alf. Imperium Ocisenów sądzi, że znaleźli prawdziwego wroga ludzkości, który doda ich sprawie kilka szczególnie ostrych zębów, a w rzeczywistości są manipulowani przez Progresywistów dokładnie tak jak wszyscy.

- Więc wystarczy złapać jedną alfę osiadłą i załadować jej myśli - powiedział Kazimir.

- Właśnie. Kiedy pójdziesz do komisji senackiej, wyjaśnij, że zamierzasz dać flocie Imperium Ocisenów ostatnią szansę, by zawróciła teraz, kiedy ty i oni wiedzą, że statki klasy Capital mogą pokonać alfy. Wykorzystajcie klasę Capital, by unieruchomić statek alf, i wejdźcie na pokład.

- Jeśli są to alfy napędzane ludźmi, popełnią one samobójstwo - powiedział ZAN:Władze.

- Czy to będzie dla ciebie dostateczny dowód? - spytała Paula.

- Nie będzie rozstrzygający, jeszcze nie. Musiałbym zostać podłączony do międzylądowej sieci komunikacyjnej i zanalizować strumień myśli.

- Spróbuj przechwycenia klasą Capital - zasugerowała Paula. - Możemy na tym jedynie zyskać. Jeśli się uda, udowodnimy, że alfy są tylko opakowaniem Progresywistów. Wtedy będziesz mógł zawiesić wszelką działalność tej frakcji. Jeśli nie, wtedy Kazimir nadal ma mnóstwo czasu, zanim flota Ocisenów dotrze do Wspólnoty. Zdoła wykorzystać flotę odstraszącą, a dodatkowo opóźnicie nabycie przez Progresywistów broni dla floty.

- Zgadzam się, że to działania logiczne - powiedział Kazimir.

- Ale? - spytała Paula.

- Nie wiedzieliśmy naprawdę, jacy raielowie są potężni, dopóki moja matka nie przeleciała obok nich w Zatoce. Tymczasem, z tego, co możemy przyjąć, plan Progresywistów jest realizowany od co najmniej pięćdziesięciu lat.

- Od dnia, kiedy Wilson Kime odkrył raielów w 2560 roku, wiedzieliśmy, że mają system obronny wokół gwiazd Ściany. Było nieuniknione, że raielowie mają odpowiednią siłę ognia, by wspierać swoją misję. Mimo wszystko, to właśnie są ci sami, którzy kiedyś próbowali najechać Pustkę. Nie próbuje się takich rzeczy, mając coś tak żałosnego jak bomba „nowa”. Progresywiści zawsze wiedzieli, że po drodze do Pustki będą potrzebowali poważnej siły ognia.

- Może - powiedział niechętnie Kazimir. - Po prostu coś w tym wszystkim mnie trapi, a nie wiem dokładnie co.

- Jeśli nie chcą zobaczyć, jak działa broń floty odstraszącej, to po cóż im właściwie flota Imperium Ocisenów?

- Nie wiem - odparł. - ZAN?

- Scenariusz Pauli jest oczywisty. Ogromnie się starano, by wyciągnąć flotę odstraszącą do sił inwazyjnych Ocisenów. Alfy są jedynym gatunkiem, który zjednoczy wszystkie bloki kulturalne i polityczne we Wspólnocie. I chciałbym podkreślić, że

nawet jeśli masz rację i alfy zostaną zdemaskowane jako agenci Progresywiistów, sami Ociseni nadal będą tu lecieli.

- Bardzo dobrze. - Kazimirowi w końcu udało się ustawić kołnierz prosto. - Poproszę komisję senacką o pozwolenie na wykorzystanie floty odstraszałającej, ale dopiero po tym, jak jeszcze raz spróbujemy ich ostrzec, by zawrócili.

- Zawiadom mnie, jak reaguje na to Ilanthe - poprosiła Paula.

\*\*\*

To było upokarzające jak Honious, ale przy pokonywaniu stumetrowej luki między pełzaczem a kosmolotem Corrie-Lyn musiała korzystać z pomocy nie tylko Iniga, ale również Aarona. Okazało się, że prócz złamanej ręki ma obrzydliwie skręconą i zwichniętą kostkę, co wykryła, gdy próbowała ją obciążyć.

Aaron po prostu klęknął na brzegu nadwozia pełzacza, które poprzednio uciął impulsem swego distorsera, i wyciągnął do niej dłoń. Niechętnie złapała za nią zdrową ręką i pozwoliła, by wciągnął ją na górę z wysiłkiem nie większym niż gdyby podnosił torbę dmuchanego gromala. Dopiero kiedy ją postawił, westchnęła z bólu i niemal upadła na lód. Aaron, oczywiście, z łatwością ją złapał.

Musiała więc objąć ramieniem każdego z nich i pozwolić im na przejęcie jej ciężaru, kiedy skakała na jednej nodze ku kosmolotowi. Ciało drżało jej gwałtownie od straszego zimna. Rozległe błyski piorunów rozświetlały niebo, ich stłumiony grzmot rozlegał się wokół małej bańki spokoju, którą przykryło ich pole siłowe statku. Nawet bez wzmocnionych czujników widziała, że pojazd strasznie oberwał. Kadłub naprawdę miał szczeliny, a z rozmaitych zaworów i odsłoniętych rur wyciekały płyny.

Grunt zatrząsł się gwałtownie i cała ich trójka poleciała na ziemię.

- Ruszcie się - warknął Aaron. Jego osobiste pole siłowe spotęźniało, owijając ich niebieską mgiełką.

Corrie-Lyn zaniepokoiła się nieco, widząc, że Inigo również ochronił się w ten sam sposób. A potem obydwaj podnieśli ją i

przebiegli ostatnie dwadzieścia metrów. Zwisła upokarzająco między nimi. Wtedy zwróciła uwagę na czerwone symbole pojawiające się w jej egzowizji. Otrzymywali bardzo niezdrową porcję promieniowania z atmosfery uwięzionej pod polem siłowym.

To był statek floty, widziała nazwę „Lindau” i symbole Wspólnoty na kadłubie. Ale załoga nie odpowiadała na jej desperackie pingi. Jaką przykrywkę przedstawił im Aaron? - myślała Corrie-Lyn. Czemuś nie zastanawiała się, jak mógł przeżyć na lodowcu. To w jakiś sposób wydawało się jej nieuniknione.

Pomknęli przez rampę do śluzy. Kiedy przekroczyli próg, kadłub za nimi już się zamykał. Statek zadrżał od kolejnego trzęsienia. Potem nastąpiło niedające się z niczym pomylić wycie zasilania silników i wystartowali z powierzchni planety. Podłoga natychmiast nieprzyjemnie się zatrzęsała, a pokłady straciły poziomą orientację. Ze wstrząsem powróciły do normalnego położenia, a dźwięki sprzętu pracującego na granicy bezpieczeństwa działały na nerwy.

Wewnętrzne drzwi śluzy odwinęły się. Ciężar Corrie-Lyn wzrastał.

- Trzymaj ją - polecił krótko Aaron. Puścił jej ramię i zatoczył się w głąb statku, walcząc z nagle wzrastającym przyśpieszeniem.

Inigo szybko opuścił ją na podłogę krótkiego korytarza.

- Nie ruszaj szyją - powiedział dobitnie. - Trzymaj plecy poziomo. Może być jeszcze gorzej.

Wykładzina - chyba z szarego polioplastiku - nie była wygodna, ale przy przyśpieszeniu niemal pięć g Corrie-Lyn cieszyła się, że leży na wznak. Ostrzegawcze symbole medyczne informowały, co przyśpieszenie robi z jej złamaną ręką. To mogło stanowić przyczynę jej coraz gorszych mdłości.

- Co się dzieje? - warknęła do Iniga. - Gdzie jest załoga?

Jej ciało nadal drżało od mrozu, który panował na zewnątrz. Kiedy Inigo odpowiadał, trzymał głowę nieruchomo.

- Lecimy prosto w górę, by się jak najprędzej wydostać z atmosfery. Nic nie wiem o załodze.

Jego emisje w gajaserę zabarwiały niepokój.

- Nie mogę się podłączyć do sieci statku.

- Ja też nie.

Po paru minutach przyspieszenie nagle opadło do stabilnego jednego g. Inigo podniósł się do pozycji siedzącej. Z jego gajafejsów nadal przeciekał niepokój.

Corrie-Lyn powoli usiadła, krzywiąc się. Staw skokowy pulsował bólem, a lekarstwa, które brała z powodu chorej ręki, wyprawiały dziwne rzeczy z jej wzrokiem. Albo po prostu jej zmysł równowagi powodował, że czuła się dziwacznie lekko. Może zresztą to napęd statku dziwacznie funkcjonował. Coś w powietrzu dziwnie pachniało. Czknęła, mając nadzieję, że nie zapowiada to wymiotów. Z jakichś przyczyn nie przejmowała się sytuacją tak, jak chyba powinna. Chociaż, co z załogą? Coś nie grało. Wiedziała o tym na głębokim, instynktownym poziomie. Nie chciała świadomie badać rzeczy oczywistych.

To zbyt dużo. O wiele za dużo naraz.

- Więc nadal żyjemy - stwierdziła z westchnieniem. Inigo spojrział na nią z troską.

- Tak. - Wstał z trudem. Jeden z pasów na suficie migał. - Mój wewnętrzny skaner odkrywa mnóstwo uszkodzeń w konstrukcji wokół nas. Eee, nie mogę znaleźć załogi na pokładzie.

Grube drzwi z bioplastiku rozsunęły się jak zasłona i Aaron wszedł na korytarz. Miał zamknięte gajafejsy, ale nawet otepionej przez lekarstwa Corrie-Lyn nie były one potrzebne, by stwierdzić, jaki jest wściekły. Spojrział gniewnie na Iniga.

- Nie śmieć już nigdy pogrywać ze mną tak, jak na lodowcu. Inigo rzucił mu pogardliwe spojrzenie.

- Ale prawie cię załatwiłem, co? I to ja, zwykły amator.

Aaron uśmiechnął się zaciśniętymi wargami. Postąpił krok naprzód.

Corrie-Lyn wrzasnęła z bólu, kiedy postawił stopę na jej kostce.

Inigo rzucił się naprzód, uderzając Aarona blokiem rugby. Aaron nie ruszył się z miejsca. Aby to podkreślić, trwał w tej pozycji jeszcze przez kilka sekund, zanim powoli i z rozmysłem uniósł stopę i postąpił krok w tył.



Corrie-Lyn zaskomlała i chwyciła się za kostkę, po której nadal rozlewał się palący ból. Miała łzy w oczach.

- Nie rób tego - szepnęła z trwogą.

- Komora medyczna jest w głównej kabinie. - Aaron wyciągnął dłoń.

- Gdzie jest załoga? - zapytała.

- Wyszli na chwilę. - Aaron przerwał, zastanawiając się. - Może im to zająć trochę czasu.

Corrie-Lyn zignorowała jego rękę. Inigo pomógł jej wstać. Pokuśtykali za Aaronem przez drzwi do kabiny głównej.

- Och, Pani!

Widok sprawił, że Corrie-Lyn poczuła żółć w przełyku. Wolną dłonią zatkała sobie usta.

Główna kabina okrętu była okrągłym pomieszczeniem o średnicy około siedmiu metrów. Kilka obiektów wystawało z białych ścian i podłogi. Niektóre zostały powykęcane i zastygły w dziwnych kształtach. Mnóstwo sprzętowych modułów, wpuszczonych w ściany, zostało uszkodzonych. Większość przetrwała jakiś rodzaj fizycznych uderzeń, wskutek których ich obudowy powyginały się i porozbijały. Inne uległy stopieniu ze ścianą wokół, pozostawiając ślady sadzy, osadzające się nierówno na suficie. Ale nie to przyciągnęło jej wzrok. Na podłodze była krew. Wielkie kałuże makabrycznej cieczy, która rozbryzgała się wokół pod wpływem bezładnych przyśpieszeń kosmolotu. Teraz krzepła. Krew na ścianach - szerokie kleksy rozchodzące się promieniście od wypalonych blizn. Krew na suficie w długich śladach rozbryzgów.

- Potwór - jęknęła przez zaciśnięte zęby.

- Powiedzmy sobie jedną rzecz jasno - powiedział Aaron, kiedy poleciał smartkorowi aktywowanie ocalałej szafki medycznej. - Nie jestem dobrym człowiekiem. Nie jestem złym człowiekiem. Jestem po prostu człowiekiem i mam zadanie do wykonania. Wykonam to zadanie. Nic nie może mi przeszkodzić. Nic.

Corrie-Lyn rzuciła Inigowi zrozpaczone spojrzenie. Widziała, jaki był przestraszony. Nigdy wcześniej nie miał takiego wyrazu

twarży. Nie Inigo. Nie człowiek, który zamierzał powieść ich ku szansie wspaniałego życia.

- Jakie zadanie? - spytał Inigo ze znaczną dozą godności. W szczęście Aarona drgnął mały mięsień.

- Proszę o wybaczenie. Nie jestem pewien.

- Nie jesteś pewien!

Aaron odpowiedział Corrie-Lyn skromnym wzruszeniem ramion.

- Wiesz, jak to jest.

- To nie jest człowiek - warknęła. - To biologiczna maszyna do zabijania. I jest tak żałosny, że nawet nie wie po co.

- Masz, tutaj - powiedział Aaron. Spojrzał na komorę medyczną, która wysunęła się ze ściany.

Na srebrnej obudowie nosiła ślady nadpalenia, ale pokrywa z plastmetaluminium otworzyła się, a system zarządzający meldował o pełnej funkcjonalności komory, choć niektóre systemy pracowały na obwodach rezerwowych.

- Nie wejdę do tego! - zaskowyczała Corrie-Lyn.

- Wejdiesz - oznajmił Aaron. - Tak czy inaczej. Oczywiście, u-adiunkt Iniga będzie miał całkowitą kontrolę nad twoim leczeniem. Ale potrzebuję cię mieć nienaruszoną i zdrową. A tam, na dole, prócz uszkodzeń fizycznych, doznałaś niebezpiecznego promieniowania.

Spojrzała na Iniga, który wzruszył ramionami.

- Potrzebujesz jej zdrowej? - spytał Inigo. - Po co?

- Jest moim środkiem nacisku - oznajmił bez ogródek Aaron. - Ona gwarantuje twoje dobre zachowanie.

- Zastrzel mnie - błagała Corrie-Lyn Iniga. - Wykorzystaj swoją biononikę jako broń. Proszę. Nie można pozwolić, by mu się powiodło.

Inigo patrzył na nią przez długą chwilę. Schylił głowę.

- Teraz, kiedy już usunęliśmy tę przeszkodę, proszę cię, wejdź do środka. - Aaron wskazał grzecznym gestem komorę medyczną.

Corrie-Lyn pokuśtykała ku komorze i usiadła na krawędzi. Inigo pomógł jej zdjąć ubranie i ostrożnie ułożył ją wewnątrz. Wieko zasunęło się nad nią. Łkała, kiedy traciła przytomność.

\*\*\*

Według wtórnych programów myślowych Corrie-Lyn, komorze medycznej zajęło cztery godziny złożenie i zapakowanie jej ramienia w utwardzoną warstwę skórną, odprężenie przykrego naciągnięcia wokół kostki i dekontaminacja krwi i skóry. Inigo polecił również zaaplikowanie jej jakiegoś rodzaju antydepresyjnego środka upajającego. Leżała tam w ciepłej, suchej ciemności przez kilka minut po przebudzeniu, nie chcąc wyjść na zewnątrz i sprawdzić, o ile pogorszyło się ich życie. W końcu westchnęła i poleciła u-adiunktowi otworzyć pokrywę.

Był tam Inigo, nachylony nad nią z wyrazem troski na twarzy.

- Jak się czujesz? - spytał.

- Jak Stąpający po Wodzie na szczycie góry po śmierci Salrany. Inigo czule pogłaskał ją po włosach.

- Nic, co spotykamy, nigdy nie staje się aż tak bardzo złe.

- Ha - powiedziała z oburzeniem. - Ten sukinsyn nie jest człowiekiem, choć bardzo dobrze przyklejono mu cechy psychopaty. - Siadła i po drugiej stronie kabiny zobaczyła skromnie uśmiechniętego Aarona. - Czy sny nadal cię karzą? - warknęła, skrzyżowawszy ramiona na swych nagich piersiach. - Mam nadzieję. Pewnego dnia utoniesz w całym tym gównie, które chlupocze ci we łbie.

- No, no, to prawda. - Aaron uśmiechnął się szeroko. - Można zabrać dziewczynę z Sampalok, ale nie można zabrać Sampalok z dziewczyny.

- Jakie gówno wiesz o życiu Stąpającego po Wodzie, ty podrozumni biobocie popaprańcu.

- Witamy z powrotem, Corrie-Lyn. Bez ciebie to przyjęcie by się nie udało.

Inigo wręczył jej o kilka numerów za duży szlafrok. Corrie-Lyn owinęła się nim gniewnymi ruchami, po czym przerzuciła stopy

poza komorę. Podciągnęła je gwałtownie z powrotem, wspomniawszy, co było na podłodze, kiedy weszli.

Krew zniknęła. Starannie obejrzałaabinę. Jeśli nie liczyć pogiętego sprzętu i podniszczonych mebli, było tu stosunkowo czysto.

- Niektóre z serwisbotów nadal działają - wyjaśnił Inigo. - Kazałem im tu posprzątać.

- Ha - warknęła i wyszła z komory. - Więc masz zamiar zacząć mi grozić?

Aaron podrapał się za uchem.

- Nie.

- Czemu nie? Myślałam, że mówiłeś, że jestem twoim środkiem nacisku. Dalej, podniecaj się, odcinając mnie po kawałku. Nie rozczaruję cię. Obiecuję, że będę bardzo wrzeszczeć.

Brawura powodowała, że trzęsły jej się nogi.

- Cholera, i ty uważasz, że to mój mózg jest uszkodzony.

- Pieprz się.

Aaron rzucił Inigo prawdziwie zaintrygowane spojrzenie.

- I co was łączyło dawnymi czasy?

- Miłość. - Inigo objął kobietę ramieniem. - Wątpię, żebyś miał wspomnienia o czymś takim.

- Nie. Muszę przyznać, że rzeczywiście, nic mi się nie kojarzy. Ale rozumiem zasady. I kto wie, jeśli będę jadł szpinak i unikał kłopotów, może znajdę miłą dziewczynę, która mnie polubi za to, czym jestem. Dokładnie tak, jak ta lubi ciebie.

Corrie-Lyn postąpiła krok naprzód, z dłonią zaciśniętą w pięść. Inigo odciągnął ją w tył.

- Czy obydwoje będziecie przyzwyczajeni do zachowywania? A co do ciebie, to nie jest zachowanie profesjonalne?

- Wiem - powiedział Aaron. - Zawieszenie broni?

- Jeśli kiedyś będę miała okazję podciąć ci gardło podczas snu, obiecuję, że będę cięła szeroko i głęboko.

Nawet Inigo rzucił jej dziwne spojrzenie. Pozostała niewzruszona.

- Ocaliłem wam tam życie - powiedział Aaron lekko urażonym tonem.

- Przez ciebie wpadliśmy w masę kłopotów.

- Naprawdę? Pomyśl tylko. Ludzie, którzy nas śledzili, by znaleźć Iniga, chcieli, by był martwy i umarł w bardzo brzydki sposób. W końcu by go znaleźli. Dzięki temu, że we dwoje stworzyliśmy zespół, dotarliśmy tam pierwsi.

- I kto pozostał żywy na Hanko, by ci za to podziękować?

- W porządku, wystarczy - powiedział Inigo, ściskając jej ramię.

- Nadal żyjemy, za co, przyznaję, mamy u ciebie dług. Ale z kolei ty musisz przyznać, że może mi się nie podobać pomysł, żeby mnie zabrać jako ideologicznego spełniacza życzeń jakiejś frakcji.

- Nie wiem, co dla ciebie przygotowano - odparł Aaron. - Ale jak straszne to może być?

Inigo nie odpowiedział. Corrie-Lyn zaniepokoiło to, w jaki sposób jego gajafejs zamknął się znowu, izolując jego emocje. Była tak przyzwyczajona, że dzieliła z nim wszystkie uczucia. Siedemdziesiąt lat temu.

- Więc do kogo mnie zabierasz? - spytał Inigo.

Aaron miał tyle przyzwoitości, by wyglądać na skrępowanego.

- On nie wie - wyjaśniła Corrie-Lyn.

- Czy mogę przynajmniej spytać, dokąd lecimy?

- Cóż. - Aaron przeciągał słowa. - Muszę przyznać, że nie jestem już pewien.

- Co takiego?

- Powiedziałaś, że zawsze wiesz, co robić dalej - zaprotestowała Corrie-Lyn. - Twój mózg przypomina stary schemat blokowy. Kończysz jedno zadanie, pojawia się następne. Przecież teraz masz swego Śniącego, musisz wiedzieć, dokąd go zabrać.

- To mniej więcej tak: w zwykłych okolicznościach wiedziałbym dokładnie, co dalej robić.

- Zwykłych okolicznościach?

- Jesteśmy na statku floty. Ee... pożyczonym statku floty.

- A ty go zepsułeś - stwierdził lakonicznie Inigo.

- Zepsuł go? - zapytała zaniepokojona. Perspektywa, że resztę życia, długiego czy krótkiego, spędzi zamknięta na tym statku z krańcowo zwariowanym na punkcie swej misji Aaronem, nie była pocieszająca.

- Musiałem wykonać kilka raczej nadzwyczajnych manewrów, by was zlokalizować - wyjaśnił Aaron. - Powiedzmy, że jakoś spieprzyłem warunki gwarancji. Z drugiej strony, ograniczenia były bardzo nadmiarowe i mamy wielki zapas części zamiennych. Smartkor opracował schemat napraw i boty ciężko tyrają.

- Poczekaj - powiedziała Corrie-Lyn. - Gdzie teraz jesteście?

Założyła, że po czterech godzinach znajdą się bardzo daleko za układem Hanko.

- Milion kilometrów od Hanko - powiedział Aaron. - I czekamy.

- Na co?

- Oto koncepcja: to okręt floty, a oni budują mocne okręty. Moglibyśmy przejść w nadświatlną w naszym obecnym stanie, ale nic mnie bardzo nie pili. Boty potrzebują pewnego czasu, by przywrócić statkowi minimalny poziom funkcjonowania. Teraz, tak jak forsuje to mój instynkt, nie mam nic przeciwko czekaniu. Kiedy osiągniemy znowu połowę porządnego poziomu gotowości do lotu, będę wiedział, co robić.

Inigo zamrugał ze zdumienia.

- Czy zawsze tak z nim jest?

- Tak. Niestety, tak - westchnęła Corrie-Lyn.

- Na pokładzie była żywność. Każdy członek załogi miał swój magazynek szczególnych artykułów, bez których nie mógł się obyć. Tak więc Corrie-Lyn i Inigo otwierali pakiety z gorącym napojem czekoladowo-pomarańczowym z Lurandy z pianką ślazową z Epualu. Pakiety podgrzewały się automatycznie - dobrze się składało, gdyż jednostka kulinarna była jednym z uszkodzonych systemów, nad którymi trudyły się boty. I połowa podstawowej cieczy żywieniowej wyciekła strumieniem z uszkodzonego zbiornika.

Umieblowanie kabiny znajdowało się na samym dole listy napraw, więc ułożyli się najwygodniej jak mogli i pociągali napój z metalowych kubków. Aaron przez pewien czas był z nimi, ale często wychodził, by zbadać, co się dzieje w różnych częściach statku.

Po następnej kłótni, Corrie-Lyn zmusiła go do otworzenia sieci statku, choć umieścił w niej ostre ograniczenia dostępu.

Oznaczało to przynajmniej, że ona i Inigo będą mogli przeglądać dane z czujników.

Hanko przedstawiała się jako srebrny półksiężyc na tle niesłychanie rzadko rozproszonych gwiazd. Funkcjonujące jeszcze czujniki „Lindaua” nałożyły na obraz chmurę danych grawitacyjnych. Mogli obserwować, jak zmienia się rozkład masy, kiedy m-rząpie Hawkinga zjadało świat od środka. Wielkie zapętłone fale grawitacyjne rozszerzały się i ściągały wokół planety, pulsując w rytmie umierającego serca. Ich ruch stał się bardziej nieregularny, kiedy proces zaczął przyśpieszać do swego straszliwego końca. Magmowy rdzeń był teraz z wyjątkową szybkością wchłaniany przez pęczniejący horyzont zdarzeń. Płyty tektoniczne przesuwwały się i rozбивały, kiedy skorupa planety dostosowywała się do wewnętrznych ciśnień, zmieniających się z minuty na minutę. Lód, który skuwał wszystkie oceany w ciągu ostatniego tysiąclecia, rozłamał się w wielkie, popękane góry lodowe wielkości mórz, które zaczynały wjeżdżać na zapadające się lądy i niszczone łańcuchy górskie.

Aaron wrócił do kabiny.

- Zaraz rozpocznie się faza krytyczna - ogłosił uroczyście.

Kiedy to mówił, błyszczące białe burzowe chmury zaczęły świecić pomarańczowym odcieniem, uzupełniając półksiężyc do idealnej kuli bursztynowego światła. Jego intensywność szybko wzrastała i atmosfera zaczęła się rozszerzać. Ogromne huragany wytrysnęły jak gejzery ponad jonosferę, wirując i wznosząc się w kosmos, a gazy spalały się w nuklearnym żarze.

- Wszystkiego dobrego, idź sobie do diabła - zaśpiewał Aaron cichym szeptem.

Pod rozerwaną na strzępy atmosferą skorupa detonowała. Fragmenty skał wielkości kontynentów wypchnęły się między postrzępionymi oceanami przegrzanej lawy.

- Wspaniałość śmierci znana kiedyś, kochana wbrew rozsądkowi. Odwieczny brzegu ewolucji, jesteś w końcu wolny, możesz zmyć z siebie, co chcesz.

Wyzwolone z więzów na wpół stałej skorupy, prawdziwe światło implozji zbiegłego m-rząpia świeciło znacznie jaśniej niż

pobliska gwiazda. Widmo światła pędziło od delikatnie różowego do czysto białego, a potem przyspieszyło do niebieskobiałego, kiedy radiacyjne wyziewy wylały ogromne ilości fal gamma. Horyzont zdarzeń skonsumował ostatki jądra planety. Pozostało tylko światło - stawało się coraz jaskrawsze - kiedy jego serce kurczyło się coraz prędzej.

- Wszystko wynurzyło się z pobłyskującego pyłu gwiazdowego i wszystko wpadnie w ciemną materię. Śmierć z nas kpi, kiedy śmiejemy się, nieposłuszni entropii, jednak śmiertelnicy zrodzeni ignorancją żeglują naprzód po okrutnym morzu czasu.

„Lindau” zaczął przyspieszać przy swobodnych dwóch g, wyprzedzając znacznie fragmenty skał i ciemniejące morza magmy wypłute z oślepiającego jądra implozji.

- Nie rozpoznaję tego wiersza - stwierdził Inigo.

Aaron otrząsnął się z lekkiego oszołomienia i chmurnie na niego spojrział.

- Jakiego wiersza?

Corrie-Lyn wywróciła oczami i wlała kieliszek stuletniego rumu do resztki swej gorącej czekolady. Znalazła butelkę St. Lisamne w jednej z kabin załogi i natychmiast ją zaanektowała.

- Nieważne. Czy twój główniany mózg podjął już jakąś decyzję?

- Rozważam opcje. Ogromnie się martwię, że flota wie, że tutaj jesteśmy.

- Skąd o tym wiesz? - spytał Inigo.

- Informacja była w mózgu kapitana. Sam admirał Kazimir powiedział mu o was i o mnie.

Corrie-Lyn zadrzała i dołała sobie trochę rumu. Czekolada już się skończyła.

- W jego mózgu! Więc przyłecą szukać, kiedy statek się nie zamelduje.

- Podejrzewam, że już są w drodze i, przy założeniu, że kapitan zameldował o użyciu m-rzapi, z hiperprzestrzeni wyskoczy niejeden statek zwiadowczy.

- Więc popełnisz samobójstwo czy się poddasz?

- Ani to, ani to. Za mniej więcej trzy godziny statek stanie się funkcjonalny w stopniu dostatecznym. Pozostałe naprawy mogą



być dokonywane w drodze, ale najpierw napęd i systemy zasilające muszą być niezawodne.

- To brzmi, jakbyś wiedział, dokąd lecimy.

- Rozważam opcje, które się otwierają.

- Otwierają - powtórzył zaintrygowany Inigo. - Czy masz na myśli logiczne wywody, czy są to możliwości wewnątrz twojej głowy, które odkrywa twój pracodawca?

Aaron podrapał się za uchem, wyraźnie skrupowany całym procesem.

- Chyba możliwości są wszczepioną informacją. Wybór ich zależy ode mnie, zależnie od sytuacji na miejscu. Mimo wszystko, dostałem tę pracę ze względu na rodzaj moich kwalifikacji.

- Czy któraś z tych opcji mówi ci, co się ze mną stanie?

- To nie działa w ten sposób. Nie dotyczy mnie osobiście. Jesteś po prostu pakunkiem, który polecono mi dostarczyć.

- Wiesz, oprócz mojej zasadniczej pracy Śniącego, jestem wykwalifikowanym analitykiem. Jeśli otworzyłbyś się w pełni na gajaszferę, może mógłbym odkryć ścieżki tych obcych wspomnień.

- Czemu miałbym tego chcieć?

- Aby wiedzieć, kim jesteś. Gdzie kończą się sztuczne motywacje, a zaczynasz prawdziwy ty.

- Przypuśćmy, że to nie są sztuczne motywacje. Przypuśćmy, że to jest tym, czym jestem, czym byłem zawsze.

- Za bardzo cierpisz, aby to była prawda. Twoje sny cię trapią. Wiedziałem o tym, zanim jeszcze powiedziała mi o tym Corrie-Lyn.

- A jednak żyję, a ty jesteś moim więźniem. Myślę, że jak na razie poprzestaniemy na tym poziomie funkcjonalności.

- Jak sobie życzysz. Czy możesz nas przynajmniej poinformować o opcjach, które zostały odkryte?

- Z góry wiem niewiele. W ten sposób, jeśli zostanę ujęty, nie zdołam nic ujawnić moim oponentom.

- Właśnie powiedziałaś, że jesteście twoimi więźniami.

- Muszę brać pod uwagę nieskończenie małe prawdopodobieństwo, że możecie uciec. Nie mogę pozwolić,

byście wiedzieli to, co ja, gdy dałoby to wam ogromną przewagę taktyczną, przyjacielu.

- Och, Pani droga! - jęknęła Corrie-Lyn i pociągnęła prosto z butelki. Poleciała swemu u-adiunktowi, by wznowił odbiór z zewnętrznych czujników.

Nowa, mocna gwiazda, którą stała się Hanko, po godzinie od swego powstania zaczęła się zmniejszać. Była nienasyconym konsumentem masy, szybko pożerała resztki planety, które podczas erupcji implozyjnej nie osiągnęły prędkości ucieczki. Solidne drzazgi skalne zaraz padały ofiarą jej niewiarygodnego ciężenia. Z błyskiem zapadały się, przechodząc przez horyzont zdarzeń. Potem grawitacja sięgnęła dalej, do zastygających strumieni magmy, wciągnęła je z powrotem. Pozostały jedynie rozczapierzające się grube wstęgi gazu. Ich przepływ zmieniał kierunek, łapał luźne, napromieniowane cząstki i ściągał je po coraz bardziej stromym gradiencie ku unicestwieniu.

Hanko, zaledwie trzy godziny po tym, jak świeciła jaśniej od gwiazdy układu, została zredukowana do małego, żarzącego się węgielka, otoczonego wirowymi woalkami lawendowej, powoli kurczącej się mgły.

- Konsumuje wszystko wokół, by się palić - powiedział Aaron. - Jednak w końcu entropia zawsze się wyłoni jako zwycięzca i słumi, do ostatniego błysku, światło i ciepło. Potem nastąpi jedynie mrok. Kiedy ten stan zostanie osiągnięty, przestanie istnieć nawet wieczność, gdyż jedna chwila będzie tak jak wszystkie inne i nicość zawładnie wszechświatem. - Odwrócił się do Iniga. - Brzmi znajomo?

- Do nicości jest jeszcze kawał drogi - rzekł Inigo. - Nawet postfizycznych nie będzie w pobliżu, by byli tego świadkami. Z pewnością mnie to nie martwi.

- A jednak to twoja Pustka przyśpieszy ten proces. Bez masy galaktyki, wszechświat wyraźnie się przybliży do końca czasu i przetrzeni.

- Twoi mocodawcy chcą, bym zatrzymał Pielgrzymkę.  
Aaron z zakłopotaniem wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia, czego chcą. Obserwuję tutaj jedynie symbolikę.

Corrie-Lyn poruszyła się. Po rumie St. Lisamne wysuszyła jeszcze parę butelek wina zgromadzonych przez innego załoganta. Potem była wódka malinowa JK. Zirykowało ją, że nie było czynnej lodówki, JK bowiem należało pić schłodzoną do temperatur arktycznych.

- Ale ci zależy - wybełkotała. - To już początek. Twoje uwarunkowanie zaczyna się pruć. Może spotkamy prawdziwego Aarona wcześniej, niż życzyliby sobie twój szef.

- Już na niego spoglądasz. Przykro mi. - Aaron wysłał polecenie smartkorowi i „Lindau” przeszedł w nadświetlną.

- Więc co zdecydowałeś? - spytał Inigo.

- Flota wie, że polowałem na ciebie, a jeśli nie wiedzą, że przeżyłem Hanko, wkrótce się o tym dowiedzą. Na nas obu polują ci ze statku, który odpalił m-rzypie Hawkinga. Miałem lecieć „Sprytnym Kombinatorem”, co powinno mi dać wielką przewagę, ale to już przepadło. Jednakże na Pulap czeka na mnie awaryjny statek zamienny. Zła wiadomość jest taka, że jeśli pojawimy się gdziekolwiek w „Lindau”, wszyscy wraz ze swymi znajomymi dowiedzą się o tym. Nie mogę tego ryzykować. Nie mogę cię narazić na pojmanie czy likwidację.

- No to masz przesrane. - Corrie-Lyn zachichotała. - Jaka szkoda.

- Niezupełnie. Jest coś, co wynurzyło się po długim czasie, ostatnia deska ratunku.

- Mianowicie? - spytał Inigo.

- Zabiorę was na Szpikulec.

- Makrohabitat obcych? To siedem tysięcy lat świetlnych stąd. Zajmie to tygodnie. Co tam jest, u Honiousa?

Aaron zmarszczył czoło, jakby słuchał jakiegoś odległego głosu. Nawet jego zdziwiło to, co usłyszał:

- Ozzie. Ozzie mieszka w Szpikulcu.

\*\*\*

Paula patrzyła z łagodnym uczuciem żalu, jak poduszeczki poliplastikowe owijają się ochronnie wokół jej fortepianu.

Rozpoczynanie gry nie miało sensu. Po konferencji z Kazimirem i ZAN nie mogła już zatracić się w muzyce. Wątpliwości Kazimira na temat motywacji Progresywistów prześladowały ją. Logicznie rzecz biorąc, jej hipoteza nie miała wad. Progresywiści chcieli mieć broń floty odstraszałającej, by zmieścić raielów z drogi.

Jak pomyślałaby wcześniej: czym jeszcze mogłaby być ta intryga z alfami? I to nieprzyjemne krótkie zdanie zaczęło ją prześladować. Czym jeszcze? Narażanie się na wewnętrzne zawieszenie w ZAN za manipulację Ocisenami i alfami było dla Progresywistów wyjątkowo ryzykowne.

Istniała duża szansa, że ich spisek zostanie wykryty. Pauli wydawało się, że to zbyt wielkie ryzyko dla czegoś tak sprytnego jak Frakcja ZAN. Choć odrzucała połowę ich ideologii, nie byli oni głupi. Pozostawało więc niewygodne pytanie: co chcieli uzyskać, wymuszając użycie floty odstraszałającej?

Klasyczny akt dywersji: zmusić flotę, by pośpieszyła przejąć Ocisenów, zostawiając resztę Wspólnoty bez obrony. Paula nie mogła wymyślić, przed czym miałyby być broniona Wspólnota.

To nie może być atak fizyczny. Chcą, żeby statki Pielgrzymki zostały skończone i wystartowały, potrzebują też ZAN, żeby istniała, mimo wszystko są jej częścią.

Wobec tego, co?

Jeśli to tylko prymitywna próba analizy broni floty odstraszałającej, to poniosą klęskę. A klęska obecnie oznaczałaby koniec ich i ich celów. ZAN:Władze zastosował dotychczas karę zawieszenia jedynie raz, podczas rebelii Secesjonistów Ewolucyjnych, pięćset lat temu. Secesjoniści chcieli dosłownie rozłamać ZAN, by przejąć kontrolę sekcji i stać się postfizycznymi.

Musi być coś, czego nie zauważam.

Jedną z wielkich dziur w jej wiadomościach była natura floty odstraszałającej. ZAN:Władze nigdy jej nie wyjaśnił, mimo że była cenionym agentem. Nawet ona przyznawała jednak, że nie można pozwolić, by ta informacja wyciekła. A mogłoby się to zdarzyć, gdyby kiedyś Paulę schwytano. Nikłe szanse, ale jeśli to Kotka ją ściga, szanse konkretne. A jeśli to nie Kotka, są inni,

którzy cieszyliby się, gdyby zakończyła swe istnienie fizyczne. Prawdopodobnie zawsze tacy będą. To ryzyko zawodowe. Po czternastu stuleciach człowiek po prostu przyzwyczaja się do życia z tą perspektywą, bez względu na to, jaką ma psychikę.

Smartkor ją zawiadomił, że „Alexis Denken” znajduje się piętnaście minut lotu od Kerenska. I że dzwoni Gore.

- Więc z Justine wszystko w porządku - powiedziała Paula. - To dobra wiadomość.

- Tak. Ale to gówienko Ethan musi pokładać się ze śmiechu, że Władca Niebios jej nie pomoże.

- Nie pomoże jej teraz. Ale spójrzmy prawdzie w oczy, jeśli ktoś z nas jest bliski dojrzałości, to właśnie Justine.

- Taa, możliwe.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że w Pustce czas płynie tak szybko.

- Nikt nie zdawał sobie sprawy. Chociaż podejrzewam, że przepływ czasu można regulować lokalnie. Nie wiemy dostatecznie dużo o jego materii, ale to z pewnością wyjaśniłoby przyśpieszenie Władcy Niebios. On nie był szybki fizycznie. Działał w innym strumieniu czasu.

- Jak sądzisz, co wydarzyło się na Querencii po śmierci Stąpającego po Wodzie? Władca Niebios powiedział, że teraz nie ma tam nikogo.

- Kogo to obchodzi? Mam dla ciebie kilka informacji. Czy wiesz, kto opuścił Ganthię dwie godziny po tobie?

- Tak, agent Progresywiistów, którym się interesujemy. Ma statek z ultranapędem, ale jego maskowanie nie jest idealne. Albo przynajmniej czujniki ZAN są lepsze. Nie martw się, Digby stale go śledzi.

- Trzymasz to w rodzinie, hę? Zuch z ciebie. Ale nie mówiłem o Chatfieldzie.

Paula westchnęła. Niekiedy ZAN irytowała ją swobodą, jaką zapewniła Gore'owi Burnelli.

- Więc o kim?

- O Mariusie.

Po czternastu wiekach nieoczekiwane zwroty akcji już jej nie zaskakiwały, ale była bardzo zainteresowana.

- I skąd to wiesz?

- Przyjaciel przyjaciela widział go w kosmoporcie.

Zaśmiała się.

- Chcesz powiedzieć, że Frakcja Konserwatywna nadal pali się do zdeptania Progresywiwistów.

- Tak naprawdę chce ich wdeptać w ziemię i zatańczyć na ich szczątkach. Czy to pomocna informacja?

- Dla nich stanowczo nie, ale potwierdza moje założenie, że Chatfield jest przedstawicielem Progresywiwistów.

Jej u-adiunkt zameldował, że nie może wysledzić miejsca, skąd dzwonił Gore. Było naprawdę niewielu ludzi, którzy do tego stopnia mogli manipulować unisferą.

A w każdym razie, dlaczego ukrywa to miejsce? Chyba że... Nie! Z pewnością nie.

- Mam jeszcze coś, co może ci się przydać - oznajmił Gore.

- Co takiego?

- Troblum.

- Wiesz, gdzie jest?

- Nie, przykro mi, nie to, ale wiem, czym się zajmował.

- Och, naprawdę? Twój Dostawca zamknął jedną ze ścieżek naszego śledztwa. Pewnego dnia będę go musiała aresztować. Wykorzystanie m-rzapi na świecie Centralnym nie jest zabawne.

- Uważaj to za moją gałązkę oliwną. Byliśmy przestraszeni tym, czym zajmował się Troblum.

- Czyli?

- Czyli budową napędu nadświatelnego wystarczającego do poruszania planet.

- Jezu! Żartujesz.

- Chciałbym. Dobra wiadomość to to, że nie robił tego dla Progresywiwistów, przynajmniej o ile mogliśmy się zorientować. To wygląda na jakąś szaloną obsesję osobistą.

- To pasuje. Ma teorię, stosunkowo wiarygodną, jak anominowie nabyli technikę Mrocznej Twierdzy. Według niego,

przypuszczalnie po prostu ją ukradli lub pożyczyci od raielów-wojowników.

- Taa? W każdym razie... udało mu się zbudować jeden taki napęd.

- A teraz sobie ze mnie kpisz.

- Nie. Właśnie dlatego Dostawca został upoważniony, by to zatuszować. Zaniepokoił się, gdy pomyśleliśmy, że to część planu Progresywistów, ale wydaje się, że tak nie jest.

- Więc dlaczego mi o tym mówisz?

- Troblum to bardzo dziwny człowiek. A teraz hasa sobie we wszechświecie z napędem nadświatlnym, który może jest zdolny przemieszczać planety. Próbuje również skontaktować się z tobą, by ci opowiedzieć coś o Progresywistach. Nie podoba im się to.

- Ach, rozumiem: dzoker.

- Cholerna prawda.

- I to cię niepokoi?

- Powinno też niepokoić ciebie. Sytuacja i bez niego robi się niestabilna. Nie potrzeba nam, by ludzie tacy jak Troblum jeszcze bardziej pieprzyli sprawę.

- A jednak on może mieć dowód potrzebny ZAN: Władzom do zawieszenia Progresywistów.

- To możliwe. Kto wie?

- Więc co chcesz, żeby zrobiła?

- Wsadź go na początek listy swych priorytetów. Trzeba go znaleźć.

- Spodziewam się, że po tym, co wydarzyło się na Sholapurze, jest już w połowie drogi do Andromedy.

- Nie możemy ryzykować. Nie wolno ci pozwolić, by Progresywiści znowu go znaleźli.

- Nie próbuj mi wyjaśniać, na czym polega moja praca - odparła szorstko.

- Ani bym się ważył. Po prostu udostępniam informację, jak dobry obywatel.

- Czym się zajmujesz w tej chwili? Słyszałam, że nie pokazałeś się na zebraniu Egzo-Protektoratu.

- Pomyślałem, że nadeszła właściwa chwila na wzięcie urlopu naukowego. Ale nie martw się. Nadal trzymam rękę na pulsie.

- Jak będziesz trzymał zbyt mocno, to ci ją odłamię. Wiesz, że nie masz nawet połowy specjalnych przywilejów, które, jak ci się wydaje, jakoby masz. Nie wtedy, kiedy masz ze mną do czynienia.

- Miło robić z tobą interesy, Paulo. Jak zawsze.

Paula usiadła znowu na kanapie. Po chwili uśmiechnęła się szeroko.

\*\*\*

Taksówka Wurung Transport grzechotała po starawych publicznych szynach Colwyn City przez cały dzień. Araminta siedziała na szerokim przednim siedzeniu. Otaczające ją bankowe okno przełączyła na tryb półprzepuszczalny i obserwowała udręczone miasto. Ellezelińskie kapsuły przemykały nisko nad budynkami - niekończące się memento obecności i mocy najeźdźców. Ponure niezadowolenie, które poprzednio panowało w mieście, zastępowała desperacja. Delegacja senatu przebywała na powierzchni planety aż sześć godzin, zanim Kleryk Phelim w ogóle zgodził się z nimi spotkać. Tłumy wokół doków, wykrzykujące żądania, by senatorowie je słyszeli, zostały brutalnie potraktowane przez paramilitarnych. Kapsułom pogotowia nadal zabraniano latać - taksówki i trycikle pracowały, odwożąc rannych do szpitali. Wczesnym popołudniem tłum przy dokach zmalał. Niepokoje ogarniały coraz to nowe obszary.

Laril, jak obiecał, włączył w taksówce węzeł unisfery. Węzeł reagował na proste instrukcje głosowe, co okazało się niewiarygodnie użyteczne. Niemal od razu Araminta zobaczyła unisferowy raport o spotkaniu Justine z Władcą Niebios. Komunikat głosił, że sen został wpuszczony do gajasfery kilka godzin temu, a oni przekazali z niego obrazy. Mnóstwo sprytnych komentatorów zajmowało się dostarczaniem swoich interpretacji, tak samo jak Radca Żywego Snu, o nazwisku DeLouis, który był odrażająco podniecony odmową Władcy Niebios zabrania Justine do jądra. Araminta oglądała program



przez chwilę, zanim zdała sobie sprawę, że tak naprawdę nikt nic nie wie, po czym przełączyła się na wiadomości lokalne. Malutki portal rzutował sceny uchwycone przez reporterów w całym mieście.

Jedna rzecz bez przerwy się powtarzała. Przypadkowe zjawisko, niezrozumiałe dla redaktorów wiadomości. Kapsuły ellezelińskie spadały z nieba, by porwać kobiety. Nikt nie mógł znaleźć związku między tymi kobietami, a zatrudniono do szukania tego związku kilka bardzo wyrafinowanych, na wpół rozumnych przeglądaczy. Ellezelińscy żołnierze, którzy dokonywali porwań, byli wyjątkowo zdeterminowani i nie dbali o to, że wyrządzają dodatkowe szkody, starając się osiągnąć swój cel. Obrazy jeszcze bardziej podkreślały oburzenie odczuwane przez wszystkich. Ta mężna mniejszość mieszkańców, która dzielnie zgłosiła się do pracy jak w normalnej sytuacji, wczesnym popołudniem udała się do domu. Na późne zmiany nie zgłosił się prawie nikt. Wszędzie wzrastało poczucie obłąkania. W domach zakładano podwójne zamki i alarmy.

Aramincie wystarczyło zobaczyć pierwsze trzy okropne porwania, by dostrzec związek między nieszczęsnymi kobietami.

Wyglądały tak jak ona.

- Słodki Ozzie - jęknęła, kiedy trzecią powleczono na środku ulicy w dzielnicy Epstein, a dwoje jej małych dzieci wrzeszczało, gdy odbierano im siłą mamę.

Powszechne potępienie w całej Wspólnocie po tym obrazie osiągnęło apogeum. Nie wpłynęło to na zachowanie paramilitarnych.

Uczucie depresji Araminty wzrosło, kiedy zobaczyła, że jej rodzimy świat cierpi z jej powodu. Uczuciu temu nie pomógł sposób, w jaki Władca Niebios odrzucił Justine. W Aramincie wywołało to wściekłość. Tyle zaryzykowała, kontaktując się z Władcą Niebios w sprawie dostarczenia Justine do Pustki, a jej cały wysiłek spętał na niczym. Nie będzie teraz negocjacji, nie będzie wyjaśnień dla tych, co rządzą Pustką, jakie powodują szkody.

Araminta nie mogła nic w tej sprawie zrobić, ani zresztą w żadnej innej sprawie. Mogła się tylko poddać, co byłoby bardzo szybką reakcją na wszystko. Zamiast tego zrobiła, co radził Laril: zakopała się w gajasferze i zatraciła w zalewie emocji, szeptanych kuszących wieści oraz spektakularnych wspomnień, rozpowszechnianych przez gniazda konfluencji. Były tam poziomy czy warstwy - a może zbyt sztywno przyklejała takie etykiety? W każdym razie z pewnością istniały rozmaite aspekty wszechświata emocji, w którym mogła się zanurzyć.

Oczywiście, sny były pierwotną podstawą gajasfery. Sny Iniga i miliardy innych, przekazane do węzłów konfluencji przez ich twórców, wszystkie identyfikowalne przez swą unikatową emocjonalną sygnaturę. Każdy z nich mógł powstać w jej świadomości wezwany odpowiednim nastrojem lub obrazem. Dokładnie w ten sposób funkcjonowały wspomnienia w jej własnej głowie: proste skojarzenie. Jednakże wszystkie sny Iniga miały mocne znaczniki i były najłatwiejsze do uzyskania.

Kiedy więc taksówka toczyła się naprzód, sterowana przez podejrzaną oprogramowanie Larila, Araminta ukorzyła się przed nieuniknionym i przeżyła kilka pierwszych snów Iniga. W końcu otrząsnęła się kilka godzin później, żywiłowo roześmiana, gdy młody Edeard maszerował przez staw Birmingham, by pokonać Arminela. Czuła się tak, jakby wiwatowała we wnętrzu taksówki. Makkathran, ze swoją obcą architekturą i dziwacznymi genistarami, zaludniony bogatymi lordami i damami prosto z jakiegoś niewiarygodnie starodawnego tekstu, był taki rozkoszny. Zastanawiała się, czy Edeard w końcu poślubi Kanseen czy Salranę - oba rozwiązania byłyby ślicznym romantycznym rozwiązaniem. I miała pewność, że to wszystko ma jakieś szczęśliwe zakończenie.

Na zewnątrz snów Iniga o Edeardzie wiatr niósł głosy czystej emocji: codzienne emisje jej bliźnich, mieszkańców Colwyn City. Gajasfera znajdowała się w naprawdę ponurym stanie. Na zewnątrz taksówki niepokój i trwoga większości niemal zagłuszały gorące nadzieje wyznawców Żywego Snu, że ich Drugi Śniący znajduje się w zasięgu ręki.

Ten cały obcy świat emocji i pamięci wydawał jej się wyjątkowo przejrzysty. Może dlatego, że z gajaserą łączyła się dzięki swemu silfenowemu dziedzictwu, a nie przez gajafejsy jak wszyscy inni. Mogła wznieść się ponad emocjonalny zgiełk i studiować budowę tego dziwnego kosmosu w sposób spokojny i obiektywny. Robiąc tak - a nie rzucając się zapamiętałe do wnętrza - zdała sobie sprawę, że istnieje coś, co jej umysł interpretował jako strefy neutralne. Odpryski nicości zakotwiczone w gaworzeniu. Najdziwniejszy z tego był sposób, w jaki wzywały właśnie ją - ich zewnętrzne warstwy rozbrzmiewały stanem emocjonalnym niemal takim samym jak jej własny. Ten mentalny syreni śpiew skłonił ją do ostrożności. Trzymając je z dala w swym umyśle, czuła podprogowe liny do gniazd konfulecji w mieście.

Ozzie! Żywy Sen naprawdę desperacko pragnie mnie znaleźć.

Starannie oddzieliła się od zdradzieckich pułapek. Za krzykliwą, jaskrawą konstelacją ludzkich myśli istniała stale obecna pogoda silfeńskiego Ostrowa Matki.

- Znasz mnie? - zapytała z trwogą.

Odpowiedź nie była konkretna - według pojęć ludzkich nie była to mowa, bardziej ciepłe uczucie rozpoznania i powitania.

- Czy możesz mi pomóc?

Smutek, nie zimny, raczej żal niż odrzucenie.

- Naprawdę mogę namieszać.

Pocieszające ciepło matczynego uścisku.

- Żałuję, że nie wierzę w siebie do tego stopnia. Czy masz w ogóle pojęcie, o co tutaj toczy się gra?

Żarzące się złote światło skąpało wszystkie komórki jej ciała, jakby uśmiech anioła przełamał się przez duchotę cierpienia Colwyn City.

- Na miłość Ozziego. W porządku, zapytam znowu.

I sięgnęła za silfeński Ostrów Matki, do istoty, która czaiła się tuż na granicy jej percepcji. Tym razem ostrożnie, omijając czujnych obserwatorów, mówiąc raczej cicho wewnątrz siebie, niż krzycząc przez trzydzieści tysięcy lat świetlnych. Wezwanie, podczas którego kąpała się w luminescencji podobnej do

mgławic Pustki, rozkoszowała się gładkim biegiem wszechświata wokół niej.

- Cześć - powiedziała do Władcy Niebios.
  - Czekam na ciebie.
  - Czy to ty byłeś z moją przyjaciółką? Tą, która jest wewnątrz waszego wszechświata?
  - Od dawna nie prowadziłem nikogo z waszego gatunku.
  - To wiele nie znaczy - stwierdziła kwaśno Araminta cichym głosem. - Jeśli przybędę do twojego wszechświata, poprowadzisz mnie do jądra?
  - Poprowadzę.
  - Natychmiast?
  - Natychmiast gdy osiągniesz spełnienie.
  - Ach. Nie zrobisz tego, prawda? Nikt z was tego nie robi.
  - Cieszy mnie, że pragniesz osiągnąć jądra. Poprowadzę cię.
  - Kiedy nasz gatunek pierwszy raz przybył do waszego wszechświata, dokąd ich poprowadziłeś?
  - Moi krewni pokazali im, gdzie mogą mieszkać i osiągnąć dojrzałość.
  - A więc zabierzesz ludzi na planety, a nie do jądra? Ciekawe.
  - Poprowadzę tych, którzy osiągnęli speł..
  - Dobra, dobra, rozumiem.
  - Przybędziesz?
  - Wielu z mojego gatunku będzie próbowało do ciebie sięgnąć.
  - Oczekuję tego z radością.
  - Dążąc do celu, zabijają miliardy innych ludzi, biliony żyjących istot zostaną zgubione, kiedy twój wszechświat zniszczy galaktykę. Jak się z tym czujesz?
- Wiedziała, że ryzykuje włączenie następnej fazy pożerania, ale ostatnim razem zdołała ją uspokoić.
- Nie wszyscy osiągną spełnienie. Twój gatunek jest krzepki. Niewielu z twojego rodzaju wstąpi w materię wszechświata samotnie.
  - Czy w ogóle rozumiesz, że istnieje wszechświat poza twoim?
  - Jest tylko tutaj, wszechświat i jądro. Ty tutaj się wynurzysz, kiedyś.

- déjà vu - warknęła. - Więc dobrze. Może to zrobię.

- Czekam na ciebie - odparł Władca Niebios, kiedy cofała swą świadomość.

Pośpiesznie sprawdziła zewnątrz taksówki. Zapadała noc, pole siłowe miejskiej kopuły pogodowej rozpraszało światło i przekształcało stojące nisko słońce w zamazaną plamę. Zerknęła szybko w górę, ale nie widziała żadnej nurkującej na nią ellezelińskiej kapsuły, więc przypuszczalnie nie podsłuchali jej rozmowy z Władcą Niebios.

- Wielkie rzeczy - warknęła. - Nie mogę powstrzymać Pustki przed zabraniem nas do wnętrza. Sukinsyny właśnie niemal wygrały.

To stawiało ją przed koniecznością podjęcia pewnych decyzji. Poleciała taksówce przemknąć obok Parku Bodant, po torach po stronie mariny, daleko od jej apartamentowca. Nie było to aż takie ryzykanckie, jak mogło się wydawać. No, w porządku, może nieco głupie. Ale chciała jeszcze raz spojrzeć na to, co uważała za swój prawdziwy dom od... cóż, od wyjazdu z Latham. Stawało się dla niej jasne, że będzie się musiała jakoś stąd wynieść. Jedynym sposobem powstrzymania Żywego Snu od wykorzystania jej było wydostanie się poza jego zasięg. To znacznie zawężyło opcje. Wylot kosmolotem z oferowanym przez Cressidę biletem ewidentnie nie wchodził w grę. Wydarzenia ostatnich kilku dni jasno pokazywały, że nawet dyplomatyczny kosmolot nie wywiezie jej z Colwyn City. Kiedy o tym myślała, wspomniała twierdzenie Cressidy o ścieżce silfenów w Lesie Francola. To z pewnością była konkretna możliwość. Ale bardziej liczyła na to, że Laril może z kimś negocjować w jej sprawie. Był teraz częściowo Elewatem, musiał znać jakąś wiarygodną frakcję, taką, która sprzeciwia się Pielgrzymce. Wszyscy wiedzą, że frakcje mają agentów z wszelkimi rodzajami modyfikacji. I Gore powiedział, że jej szukają. Jeśli ktokolwiek mógł ją wydostać z Colwyn City i z Viotii, to właśnie oni.

Wraz z tą refleksją przyszło jej na myśl, że jeśli jakaś frakcja się nią zaopiekuje, nie będzie musiała podejmować sama zasadniczej decyzji.

Zapomnij o tym. Musisz tylko się stąd wydostać.

Kiedy taksówka Wurung Transport mknęła ulicą Aeana, równoległą do Cairns, panował już mrok. Przez bankowe okno taksówki wlewało się silne białe światło, pochodzące z wielkich, utrzymanych w stylu art deco budynków mariny. Słyszała teraz tłum, denerwujące brzęczenie mnóstwa ludzi złączonych gniewem.

Taksówka zahamowała w zatoce mariny i Araminta wysiadła. Zaskoczyło ją jak wielu jest ludzi w parku: obecnie były tu już tysiące. Po tej stronie kotłowali się w luźnych grupach, po drugiej, obok jej apartamentowca, skoncentrowali się w zwarty tłum, który wykrzykiwał obraźliwe słowa i napierał na barierę ustawioną na drodze.

Araminta nagle zrozumiała, w czym problem. Kordon, który paramilitarni ustawili wokół jej apartamentowca, działał jak silna prowokacja.

Moja wina. Znowu.

Poszła naprzód i wmieszała się w tłum. Gajasfera była burzą nienawiści i urazy. Klastry wielkokomórkowe Araminty meldowały o ogromnej liczbie wywołań mknących przez park. Pozbawione kierunku, bez jakiegokolwiek kodu autora, nieprzeprowadzone przez węzły cybersfery i dlatego nie do wyśledzenia.

>plik< Związano częstotliwość na drugim segmencie.

- Podziałaj na to nakładką Etola, one mają korekcję.
- Udało mi się walnąć w bydlaka impulsem maserowym.
- Brawo - brawo - brawo - brawo.
- Lewa strona budynku, obstawa słabnie wokół segmentu.
- Zbierz tam ludzi.
- Wyzwolić Viotię.
- Atak botów przygotowany. Może. Słuchacie, gnoje? Czy sobie kpimy?
- Gnoje, idziemy po was.
- Wolna Viotia.
- Wydłubiemy komórki pamięci z waszych żywośniących mózgów.

- Nikt z was nie zobaczy następnego ożywienia.

- Zbierajcie się w segmencie piątym. Pchajcie mocno, ludzie.

Araminta zdała sobie sprawę, że segmenty były częścią barykady, wzniesionej przez paramilitarnych. Tłum przygotowywał się do ataku. Nie było przywódcy - widocznego - reagowali na siły inwazyjne niczym antyciała.

- Zdobądźcie dla mnie kilka karabinów dystorsyjnych, przetną łatwo ich pancerze.

- Dobrze. Wspaniale. - Śmiechy.

- Rozdają karabiny.

- Hej, hołota w pancerzach. Jeśli myślicie, że wasz Stąpający po Wodzie jest na tyle silny, by was przed nami uchronić, zacznijcie do niego wrzeszczeć.

- Śmiechy. - Śmiechy. - Śmiechy.

- Gotowi? Idziemy.

Araminta czekała w napięciu. Paramilitarni wystrzelili przez barykadę kanonadę impulsów janglowych. Wrzaski rozległy się echem po parku.

- Uwierzyliście mi. Głupie tępaki.

- Śmiech. - Śmiech.

- Teraz tylko bijemy, umieracie później.

Może nie był to taki dobry pomysł, pomyślała, patrząc na morze podnieconych ludzi. Ale nostalgia uspokaja.

Gdy wyciągała szyję, widziała sześciokondygnacyjny apartamentowiec, dziwnie ciemny na tle błysków fioletowego światła z barykad. Krawędzie domu były obramowane niebieskimi i fioletowymi iskrami ze szklanych kolumn na rogach.

Dobra, zobaczyłam go. Idziemy stąd.

Araminta odwróciła się i zaczęła przepychać się z powrotem przez niesforny tłum. W gąsferze narastało ciśnienie emocjonalne, przymuszająca pewność, zastępująca odcień nerwowej niecierpliwości. Coś się miało za chwilę wydarzyć. Obejrzała się przez ramię i zobaczyła, że migające plamy światła ustaliły się przy barykadach.

Wrzask i wiwatowanie przerodziły się w jedno zwierzęce wycie, które zdominowało cały park. Wezwania wzrosły, aż stały się niemożliwą do rozszyfrowania plamą szumów elektronicznych. Wszędzie wokół niej ludzie ruszyli naprzód, ku barykadom.

Palba broni stała się wyraźna.

Jedno wezwanie wybiło się nad ogólny zgiełk:

- Mam jednego!

Przekazały je wszystkie klastry wielokomórkowe. Na tę wiadomość w gajasferze rozkwitł ton złej, złośliwej radości.

- Och, nie - powiedziała cicho Araminta.

Pędzący obok ludzie gapili się na nią, lekko zirytowani, że do nich nie dołącza.

Kilkoro zawołało:

- Chodź z nami!

Wahała się, niezdecydowana.

Oślepiające punkty szkarłatnego światła wzniosły się z różnych części parku, przemknęły nad głową i zbiegły się na paramilitarnych za słabnącymi segmentami barykady. Przywitały je dalsze strzały. Araminta zobaczyła wyraźnie niebieskozielone błyski impulsów dystorsyjnych. Następną salwa czerwonych gwiazdek wystrzeliła w górę.

To dobrze zaplanowana akcja, uświadomiła sobie.

Sekcja lawendowej aury, wyświetlanej przez nadwerężone barykady, pociemniała. Ze swego miejsca widziała podskakujące głowy wpływające przez otwór. Dalsze gwiazdy oświetlały im drogę. Długi odgłos rozmieszczonej tu i ówdzie broni - nie wszystkie odgłosy pochodziły od paramilitarnych.

A potem dwa okna w jej apartamentowcu rozbłysły pomarańczowym światłem.

- Och, nie! - Araminta zakryła dłońmi usta, kiedy dotarł do niej przerażający fakt. Pożar!

Paliło się drugie piętro. A potem płomienie zaczęły lizać balkon na najwyższym piętrze. W dole na ulicy poniżej błyski z broni stały się wyraźniejsze.

- Mamy ich. - Mamy ich. - Przeszliśmy - głosiły wezwania.



- Barykada padła.
- Spalić pierdolone męty!

Araminta patrzyła na pożar, który gwałtownie się rozszerzał. Najwyraźniej nie działał żaden z systemów przeciwpożarowych. Przypomniała sobie, że całość była w trakcie modernizacji.

- Och, słodki Ozzie, nie!

Na czas modernizacji inżynierowie nie włączyli zabezpieczenia tymczasowego. Wszystko, co posiadała w tym wszechświecie, szło z dymem. Praca, którą włożyła! Ubezpieczycielom wypłata odszkodowania zajmie lata, jeśli w ogóle coś wypłacą. Nigdy nie zdoła kupić dodatkowych ciał. Nie będzie ślubu.

Łzy napłynęły jej do oczu. Obserwowała, jak właśnie traci ostatki swego prawdziwego życia, i nie mogła nic zrobić. Nie zważała na szalejące wokół wrzaski i przemoc, a płomienie trawiły dach i strzelały wysoko w cmentarne niebo.

- Ozzie niech was wszystkich przeklnie! - zakrzeczała na rebeliantów i na paramilitarnych, których walka spowodowała to wszystko, na ellezelińskich najeźdźców i na największego męta we wszechświecie: Kleryka Konserwatora sukinsyna Ethana.

- Araminta?

- Co? - Na ten szept rozejrzała się wokół dzikim wzrokiem. W pobliżu nikogo nie było.

- Araminto, wiedzą, że jesteś w parku. Twój ból włączył indyktor emocjonalnego rezonansu w gajasferze. Uciekaj stamtąd. Uciekaj natychmiast.

Znieruchomiała. Głos prześlizgiwał się przez gajasferę - a ona w ogóle nie wiedziała, że można to zrobić, że można wyizolować ją z tłumu.

- Kim jesteś? - krzyknęła w splot jaskrawych emocji.

I cała gajasfera zakotłowała się, kolory jej widma rozbłysły nagle światłem nowej. Niedowierzanie bębniło w nią.

- To ty!

- Drugi Śniący... prosimy, błagamy ciebie.

- Pustka. - Miliard wyznawców Żywego Snu westchnęło unisono. - Poprowadź nas do Pustki. Ty jesteś tą, którą wybrał Władca Niebios.

- Odpieprzcie się! - odrzyknęła, rozkoszując się ich szokiem i przerażeniem.

- Wydostań się z parku - szepnęła jej pierwszy eteryczny głos. - Nie mogę już dłużej utrzymać tego połączenia. Wynoś się. Już idą po ciebie.

Obraz pięknego, ciepłego uśmiechu, pełnego otuchy - i mentalne pchnięcie.

Z góry walnięto w rebeliantów hukiem. Nagle niebo nad parkiem rozżarzyło się białym światłem, rzucanym przez kapsuły. Musiało być ich tam kilkanaście - nadlatywały pędem, wyglądały, jakby chciały się zderzyć bezpośrednio nad głową obserwatora. Araminta zatkała dłońmi uszy, chroniąc się przed łoskotem, który wstrząsał całym jej ciałem.

- NIECH WSZYSCY POZOSTANĄ W BEZRUCHU NA SWYCH MIEJSCACH - zadudnił głos z góry.

Nici pasowego światła zamigwały na niebie. Jakaś kapsuła eksplodowała. Araminta wrzasnęła i rzuciła się na ziemię. Nim padła w zmasakrowaną trawę, wydało jej się, że widzi ludzi wyskakujących z kapsuł. Są za wysoko. Pozabijają się. Nowe bronie promieniowe ścierały się, dominując jej wzrok. Kiedy kapsuły zaczęły ponownie przyśpieszać, na trawę i ziemię posypały się szczątki. Długie, jonowe smugi kondensacyjne wiły się spiralnie, krążąc bez przerwy nad głowami, a między nimi padały strzały energetyczne.

Zbuntowany tłum w całym parku zaczął biec. Szybko.

Araminta nie potrzebowała dalszej zachęty. Zerwała się na nogi i rozpoczęła sprint z powrotem do miejsca, gdzie zostawiła taksówkę. Strobujące światła walk powietrznych ukazywały ludzi w dziwacznych, zatrzymanych w ruchu pozach. Wtórne programy myślowe Araminty usiłowały utrzymać jakość jej wzroku na odpowiednim poziomie. Kątem oka zobaczyła długą linię czerwonych i niebieskich strobujących światel przecinających niebo nad Cairns.

Posiłki.

Z całych sił biegła po trawie. Przerażenie usunęło wszystko inne z mózgu. Cholera, byłam głupia.

- Hej, ty! - Głos brzmiał głośno, lecz spokojnie. Araminta nadal biegła.

- Ty: kobieta z czarnymi włosami w polarze. Stój. Ostatnia szansa.

Och proszę, Ozzie, Nie!

Potknęła się, zatrzymała i obejrzała z trwogą przez ramię. Dziesięć metrów za nią stał mężczyzna ubrany w prosty jednoczęściowy skórzany kombinezon. Migotanie pola siłowego rozwarstwiło wokół niego powietrze. Uśmiechał się, ignorując rozgorączkowanych, mijających go ludzi.

- To już minęło - powiedział łagodnym głosem i wyciągnął dłoń.

- Chodź. Nikt cię nie skrzywdzi. Jesteś na to zbyt ważna.

Aramincie niemal opadła szczęka, kiedy zobaczyła postać lecącą przez powietrze za jego plecami. Naprawdę, rzeczywiście leciała. Z rozpostartymi ramionami. To była kobieta, Araminta zdołała to dostrzec, zanim wokół niej wyskoczył jasny, fioletowy nimb. Wylądowała bezpośrednio na mężczyźnie. Powietrze wybuchło aureolą. Podmuch przewrócił Aramintę i wszystkich w pobliżu. Wzmocnione wycie białego szumu wyeliminowało wszelkie inne dźwięki.

Araminta zdołała wstać i odejść chwiejnym krokiem. Za nią bójka między mężczyzną i kobietą stawała się coraz bardziej zaciekle. Waliły wybuchy energii. Fale dymiącej ziemi poleciały w górę kaskadą i powstał mały krater, w którym para przeciwników wiła się razem.

Dwie następne ciemne figury leciały cicho przez park. Widziała ich sylwetki na tle indygowej mgiełki walki powietrznej w górze. Linia kapsuł paramilitarnych niemal dosięgła mariny.

Araminta potknęła się o rozciągniętą na ziemi postać i przewróciła na małe drzewo guralowe. Narzędzia z pasa dźgnęły ją mocno w brzuch i żebra.

- Oj!

- Wstawaj.

Chwyciła ją jakaś dłoń, podniosła na nogi. Araminta dyszała w twarz usłużnemu mężczyźnie, widząc jego krzywy uśmiešek. Młodzieńcze rysy miał bardzo przystojne, a jednak wiedziała, że

to człowiek stary. Emanował taką pewnością siebie, jakiej nie osiągnął nawet Laril. Potem spojrzął za nią i się nachmurzył.

- O, cholera.

Nie chciała patrzeć. To już to. Koniec.

Następna kapsuła wybuchła tuż poniżej kopuły pola siłowego. Mieniający się wrak spadał w dół.

- Wynoś się stąd - przynaglał ją mężczyzna. - Mój zespół ich zatrzyma. Unieruchamiamy wszystkie czujniki w promieniu pięciu kilometrów. Żywy Sen nie będzie w stanie cię śledzić. Idź!

- Co? - warknęła, nienawidząc się za tępotę.

Obrócił ją dokoła i puścił. Patrzyła na dwie postaci zbliżające się przez przerażony tłum. Obie były odziane w płynną zielonkawą poświatę. Jej pomocnik wyrzucił w przód ręce. Dłonie zapłonęły jaskrawo turkusowymi kulami ognia.

- Idź - warknął.

- Kim jesteś?

Przekaz był krótki i bardzo precyzyjnie ukierunkowany, nikt inny nie mógł go odebrać.

- Oscar Monroe. Pracuję dla ZAN. Chcemy pomóc, chcemy, byś miała swobodę podejmowania własnych decyzji. Kiedy będziesz spokojna i bezpieczna, zadzwoń do mnie. Proszę. - >kod unisfery< - Uśmiechnął się ku swoim przeciwnikom. - Do cholery, idźże wreszcie!

- Nawet o tym nie myśl - warknęła jedna z postaci.

Araminta wreszcie się odwróciła i pobiegła. Z tyłu rozległ się trzask pioruna, kiedy tamci trzej się starli. Uderzenie powietrza omal jej nie przewróciło, jednak zdołała jakoś utrzymać równowagę. Szła dalej, zataczając się. Jeszcze jedna dziwaczna ciemna figura mknęła nad głowami przerażonego tłumu. Długa linia paramilitarnych kapsuł przyleciała pędem znad rzeki. Zakreślały, by otoczyć park.

Araminta dotarła do taksówki Wurung Transport i wpadła w jej wnętrze, łkając z ulgą. Wóz potoczył się gładko po szynach. Na zewnątrz ludzie biegli drogą i przez szyny, wzdrygała się na widok ich przerażonych twarzy. Taksówka przyśpieszała i hamowała, szarpiąc, by uniknąć biegnących ludzi. Jaskrawe

potyczki świetlne szalały w parku i ponad nim. Nadwozie taksówki tłumiło dźwięki. Araminta zwinęła się w kłębek na siedzeniu, obejmując się rękami. Głęboko wewnątrz jej umysłu, w gajasferze, panowało zamieszanie od wypływu trwogi. Wyznawcy Żywego Snu nadal modlili się do niej - na siłę. Wymazała to wszystko z umysłu.

Po paru minutach taksówka wyprzedziła wszystkich uciekinierów z parku. Walka powietrzna nad miastem zakończyła się i okropne dźwięki dzikiego konfliktu zgasły. Pojazd prześlizgiwał się łagodnie przez dzielnicę Garlay z eleganckimi domami i wysokimi toroidalnymi centrami handlowymi. Araminta widziała nawet ludzi siedzących pod markizami kawiarni i barów, które pozostały otwarte. Nie zwracali uwagi na swoje jedzenie i drinki i patrzyli z niepokojem ku Parkowi Bodant.

Muszę się stąd wydostać. Żeby nie wiem co.

Odwróciła się do węzła taksówki i wstukała program jazdy.

- Dzielnica Francola - poleciła pojazdowi.

\*\*\*

Od pobytu Pauli w Kerensku minęło wiele lat. W każdym razie od jej ostatniej podróży służbowej. Kerensk był w okresie pierwszej epoki Wspólnoty jednym ze światów Duże15 - superkapitalistycznych lokomotyw napędzających ekspansję Wspólnoty aż do czasów wojny Gwiazdokrąży. Założony przez Siergieja Nikołajewa, rosyjskiego miliardera, który dzięki ludzkiemu exodusowi z Ziemi znalazł w końcu sposób, by uwolnić siebie i swoje pieniądze z moskiewskich kleszczy. Kerensk rozwinął się w świat przemysłowy, którego megamiasto produkowało obfitość tanich produktów konsumpcyjnych i wyrobów przemysłu ciężkiego. Całe kontynenty rabunkowo przekopywano, szukając surowców, a te, które nie miały minerałów do złupienia, zajęto na uprawy rolne na skalę przemysłową.

Po wojnie spowolnienie gospodarki, wywołane finansowaniem światów Nowe47 i późniejszym wyłonieniem się kultury

Elewatów, spowodowało, że Duże15 powoli traciły swą pozycję. Ich ludność - zawsze tymczasowa - odpłynęła, i wytwórczość zaczęła podupadać. Duże15 stały się światami Elewatów, co przy ich bazie technicznej było nieuniknione.

Z wyjątkiem Kerenska. Dynastia Nikołajewów miała w sobie zbyt wiele resztkowej nieufności i podejrzliwości, by poddać się wpływowi Elewatów i dobroczynnemu przewodnictwu ZAN. Za przykładem Far Away, Kerensk odrzucił zarówno kulturę Awangardów, jak i Elewatów, wycofał swego reprezentanta z senatu i stał się narodem „obserwującym”. Ci, którzy pozostali w Kałudze, starym megamieście, szli swym dawnym techniczno-ekonomicznym trybem. Reszta planety została w zasadzie porzucona.

Paula z zainteresowaniem skanowała teren wokół Kingsville, kiedy „Alexis Denken” schodził z bezchmurnego nieba. Stara baza wojskowa znajdowała się pośrodku ogromnej pustyni na antypodach Kaługi. Baza - relikwiny wojny Gwiazdokrażcy - była kiedyś obozem treningowym dla zespołów dywersantów zrzuconych za liniami wroga, mających zamienić życie najeźdźczych alf w piekło. Oczywiście, w miłej, cywilizowanej Wspólnocie pierwszej epoki trudno było znaleźć kandydatów na bezwzględnych żołnierzy. Nowa flota prowadziła intensywny zaciąg wśród bractwa kryminalistów.

Kingsville wyszkoliło przeszło trzydzieści tysięcy żołnierzy. W tamtych czasach zajmowało wiele kilometrów kwadratowych skalistej pustyni. Domy z prefabrykatów ustawiono w małe fantazyjnych rzędach, ich klimatyzatory nadwerężały się w walce z ostrym słońcem. Po wojnie miasto zmalało. Ale gdy dynastie ubiegały się o nowe kontrakty floty, utrzymywanie czynnej bazy było politycznie użyteczne. Stała się ona stoczną remontową i modernizacyjną dla statków przez całą kampanię Zapory Przeciwożarowej. Później, kiedy Kerensk powoli odrzucał władzę senatu, baza znowu się zmniejszyła. A potem znowu.

Jednakże baza nigdy nie została legalnie zlikwidowana, więc formalnie nadal pozostawała terytorium Wspólnoty. Stacja rezerwowa, na wypadek gdyby Wspólnocie kiedyś znowu

zagrożono. Jej zestaw systemów komunikacyjnych utrzymywał w gotowości smartkor z regimentem starzejących się botów. Ludzi w bazie już nie było.

Czujniki pokazały Pauli grupę długich, kruszących się betonowych bunkrów w centrum dziwnie prostych linii ciągnących się daleko w pustynię. Po tysiącu lat wystawiania na mordercze słońce Kerenska każdego dnia i na mróz każdej nocy nawet najmocniejsze materiały konstrukcyjne się kruszyły. Pustynia napierała. Tylko bunkry pozostawały nienaruszone, gdyż włączały małe pola siłowe co mniej więcej dwa lata, kiedy pustynia wreszcie zbierała dosyć energii, by uruchomić kolejną burzę piaskową.

Kingsville przypominało Pauli Stację Centurion.

„Alexis Denken” wylądował w wyznaczonej strefie, która była po prostu dość płaskim terenem pokrytym piaskiem i luźnymi kamieniami. Paula spłynęła z głównej śluzy. Za nią unosił się wózek bagażowy. Powietrze okazało się tak gorące, jak się tego spodziewała. Aby uchronić się przed zabarwionym na fioletowo słońcem, włożyła srebrne okulary przeciwsłoneczne.

Spłowiące metalowe drzwi najbliższego bunkra rozsunęły się ze zgrzytem kamyczków zgniatanych gdzieś w siłownikach. Kiedy wchodziła, zastanawiała się, dlaczego w drzwiach nie wykorzystano plastmetal. Drzwi zamknęły się za nią i wózkiem. Wewnątrz oznaki upadku były mniej widoczne, choć czuło się, że od ostatniego włączenia klimatyzacji upłynęły dziesięciolecia. Wiatraki, kiedy do ich silników napłynęła energia, wydawały dziwne jęczące dźwięki. Na suficie zapłonęły świetlne panele, odsłaniając puste prostopadłościenne pomieszczenie z wejściem do jedynej windy.

U-adiunkt Pauli podał smartkorowi Kingsville kod jej rangi i plastmetalowe drzwi windy rozpląnęły się przed nią. Sama baza została zbudowana trzysta metrów pod pustynią. Na szczęście, winda jechała w dół gładko.

Systemy łączności transwymiarowej mieściły się w ośmiu pieczarach odchodzących promieniście od centralnego rdzenia technicznego. Paula przeszła przez salę nr 5 obok wielkich

maszyn w srebrzystych obudowach. Wózek leciał za nią. W komorze panowała zupełna cisza. Nie słyszała nawet cichego szumu zasilania, mimo że jej skanowanie wskazywało, że pod srebrzystymi obudowami przepływają strumienie ogromnej energii.

Na końcu pomocniczego pokoju ukryto drzwiczki następnej windy. Zjechała nią następne sto metrów, do najstarszej części bazy - jedyne pomieszczenia specjalnie opancerzonego. Ten głęboki schron miał przetrwać jądrowe uderzenie alf. Wyposażono go w pola siłowe i generatory wiązań międzycząsteczkowych, co wzmacniało supermocne węglowe ściany. Tych umocnień nie włączano od ponad pięciuset lat - smartkor nie miał zasobów, by wszystko utrzymywać w gotowości bojowej. Nie miało to praktycznie znaczenia - chroniono tutaj tylko starodawną kryptę magazynów pamięci z czasów wojny Gwiazdokrażcy.

Dowództwo floty w tamtym czasie oceniało, że straty wśród dywersantów wyniosą co najmniej osiemdziesiąt procent. Z tego powodu ostatnią czynnością każdego żołnierza przed udaniem się do strefy walk było wykonanie kopii swych wspomnień, by w wypadku, gdy nie wróci, można go było powtórnie ożywić. Krypta w Kingsville nadal zawierała wspomnienia owych trzydziestu tysięcy żołnierzy.

Kiedy drzwi otworzyły się, indywidualne pola siłowe Pauli były już włączone. Stała nieruchomo, skanując otoczenie swą biononiką. Powietrze tu na dole było złe - podtrzymywanie życia zepsuło się siedemset lat temu i nie zostało naprawione. Nie było takiej potrzeby, tylko boty przechodziły przez starodawne pomieszczenie. Na suficie włączyły się jedynie dwa z trzydziestu paneli świetlnych. Wydawało się, że oświetlone przez nie fragmenty podłogi wiszą gdzieś w głębokim kosmosie.

Paula przeprowadziła skanowanie i nie wykryła żadnego dowodu, że środowisko w ciągu ostatnich wieków zakłócił jakiś człowiek, ale nawet w najlepszym razie szansa, że skanowanie wykryje coś takiego, była niewielka. Osiem botów czujnikowych wystartowało z wózka - małe kule świecące słabym fioletowym



światłem. Unosiły się w pomieszczeniu, wypuszczając długie, pajęczne włókna, utkane z czułych łańcuchów molekularnych. Włókna falowały niczym włosy w wodzie i sondowały powietrze.

Jej u-adiunkt podłączył się do starodawnej sieci komory i zaczął badać programy sterujące. Mimo odpornych na działanie czasu, niezawodnych komponentów i wielokrotnej redundancji funkcjonowało ich tu niewiele. Przy obecnym tempie degradacji nawet to zostanie stracone w najbliższych stu latach i flota będzie musiała podjąć decyzję.

Grupka śledczych dron wyleciała z wózka. Pomknęły w mrok niczym cybernetyczne ćmy, usadowiły się na fizycznych częściach sieci wskazanych przez u-adiunkta Pauli. Wypuściły zbudowane z aktywnych molekuł macki, które przeryły się przez kruchą obudowę, stopiły z bezwładnymi komponentami pod nią i rozpoczęły bardzo szczegółową analizę.

Baza danych sieci podała Pauli położenie bezpiecznego magazynu, który chciała zbadać. Tysiąc dwieście lat temu Kotka pocila się podczas swych sesji szkoleniowych w gorącym pustynnym słońcu, zanim wyprawiono ją na Elan. Tak jak wszyscy inni, zanim wyleciała, załadowała swe wspomnienia, na wypadek gdyby nie wróciła.

Paula z drżącym z niepokoju sercem szła przez mrok. Komorę wypełniały, rząd za rzędem, zapieczętowane szafki zawierające trzydzieści tysięcy opancerzonych pudełek. Stanęła przed szafką zawierającą komórki pamięci Kotki. Do pudełka przywarły dwie śledcze drony, badały mackami dwudziestocentymetrowe drzwiczki i ich zamek. Drony wycofały macki, odpłynęły i zawisły obok Pauli.

- Otwórz je - poleciła swemu u-adiunktowi

Zajął to tyle czasu, że nie była pewna, czy mechanizm nadal pracuje - w gruncie rzeczy zrobiło na niej wrażenie to, że sieć jest jeszcze podłączona do większości szafek. W końcu pudło zabrzęczało, jakby w środku latała złapana osa. Potem drzwiczki otworzyły się na zawiasach, a wewnątrz rozbłysło różowe światło. Komórka pamięci leżała na kryształowym postumencie: schludna elipsoida długości trzech centymetrów.

Paula wysłała do środka jedną z dron śledczych. Maszyna siadła na brzegu pudła i wysunęła swe macki, obejmując komórki pamięci. Potem kruche włókna przeniknęły do obudowy i sondowały kryształową siatkę pod spodem. Jak na coś tak starego, komórka pamięci przetrwała zadziwiająco dobrze. Firma, która wyprodukowała ją tysiąc dwieście lat temu, może w końcu uzasadnić swoją reklamę „wieczne przeżycie”, pomyślała Paula, kiedy u-adiunkt wyświetlał wyniki w jej egzowizji.

Zaszifrowane dane DNA potwierdziły, że wspomnienia zawarte w komórce pamięci należą do Catherine „Kotki” Steward, przydzielonej do oddziału ERT03. Paula poczekała dwadzieścia minut, aż jej roboty śledcze skończą analizę krypty, a potem wezwała ZAN:Władze.

- Miałam słusność - oznajmiła. - Ktoś zrobił kopię.

- Ojej - odpowiedział ZAN:Władze.

- Właśnie. Ktoś bardzo dobry. Prawie nie zostawił śladów. W poszukiwaniu wskazówek musiałam analizować składniki nieczynnej sieci. Sto lat temu poszukiwano pliku. I kwantowy atomowy przegląd komórki pamięci potwierdza jej kompletny odczyt w tej samej ramie czasowej.

- Więc to ona.

- Progresywiści muszą być rzeczywiście zdesperowani.

- To już wiemy.

- To nie była Kotka, która poszła poszukać Rycerza Strażnika. Tamta była starszą, sprytniejszą tożsamością. To jest tożsamość wczesna.

- Czy wierzysz, że to istotna różnica?

- Nie jestem pewna. Spodziewam się, że ta będzie... surowa. Sholapur był tego potwierdzeniem.

- Jesteś pewna? Pamiętaj, z jakich powodów w końcu aresztowałaś Kotkę.

- Istotna uwaga.

- I co dalej?

- Nie jestem pewna. Myślę, że musimy się skoncentrować na Chatfieldzie. Jest jedynym połączeniem, jakie mamy między Progresywistami a alfami, a Konserwatyści najwyraźniej są nim

zainteresowani. Nie powinnam była sobie pozwolić na rozpraszenie się tą sprawą.

- Bardzo dobrze. Powodzenia.

Połączenie się skończyło.

Paula stała przed otwartym pudełkiem przez długi czas, patrząc na szarą komórkę pamięci. W końcu włożyła do środka dłoń, zdjęła komórkę z postumentu i trzymała ją przed twarzą.

- To się dobrze nie skończy - powiedziała do komórki i wypuściła ją z ręki.

Mała komórka pamięci uderzyła o starodawną podłogę ze związanego enzymatycznie betonu, przeleciała po niej kilka centymetrów i zatrzymała się.

Paula mocno stąpnęła na komórkę. Cieszyła się z trzasku, gdy obiekt rozpadł się na drobne fragmenty. Grzeszna radość, ale:

- Czasami musisz zrobić coś złego, by zrobić coś dobrego - oznajmiła martwej krypcie.

\*\*\*

Wracając przez bazę Kingsville, Paula zastanawiała się nad tym, co utrzymywała ZAN na temat osobowości Kotki. Może miała rację. Może Kotka była zupełnie odporna na zmiany. Nauczyła się usprawiedliwiać się ufundowaniem Rycerzy Strażników, rozwinęła się w przebiegłego politycznego przywódcę. Ale czy nie była to po prostu inna forma manipulacji? Nie miała nigdy potrzeby dostosowywania się i ewoluowania, zawsze nagięła wszechświat do swojej woli.

Wspomnienia o Narroginie nigdy Pauli nie opuszczały. Niespecjalnie chciała o tym pamiętać, ale wiedziała, że nie powinna o tym zapomnieć. Narrogin był „kontraktem”, który w końcu zmusił senat do wydania nieograniczonego listu gończego za Kotką. I niech diabli wezmą konsekwencje polityczne. Doszło do wielkich sekciarskich walk, by określić ideologiczną przyszłość planety, i jedna ze stron wprowadziła zespół Rycerzy Strażników, by pomogli jej sprawie. Kotka postanowiła poprowadzić ten zespół. Końcowym aktem, mającym udowodnić siłę argumentów jej mocodawcy, był kryzys w Katedrze Pantar,

gdzie wzięta jako zakładników dwudziestu siedmiu radnych łącznie z rodzinami. Obiecała zabić rodziny, jeśli nie zostaną poczynione koncesje polityczne, a potem i tak zaczęła zabijać. Wtedy zbuntowali się nawet niektórzy członkowie jej zespołu. Kiedy trzech Rycerzy Strażników próbowało chronić dzieci przed nią i jej lojalistami, wybuchła katastrofalna wymiana ognia.

Paula przechodziła przez katedrę pięć godzin później. Choć wcześniej była świadkiem wielu zbrodni, nic nie przygotowało jej na okropności, jakie zobaczyła pod eleganckim, krystalicznie żebrowanym sklepieniem katedry. Natychmiast zrozumiała, że Kotka musi zostać powstrzymana, bez względu na jej immunitet od rządu Far Away i fizyczną ochronę, udzielaną jej przez Rycerzy Strażników. Stojąc wśród kałuż krwi i wypalonych ław, Paula była gotowa złamać wiele praw Wspólnoty, by doprowadzić do triumfu fundamentalnej sprawiedliwości. Oczywiście, nie musiała tego robić - senat dał jej doskonałe legalne upoważnienie do wytropienia Kotki i doprowadzenia jej na specjalnie zwołany sąd w Paryżu.

To właśnie podczas następnej rejuwenacji Paula przeszła swoją najbardziej radykalną rekonfigurację genetyczną, usuwając niektóre ze swych najgłębszych psychonerwowych uwarunkowań, by otrzymać stopień wolności, który tam w katedrze uznała za niezbędny. Paradoks, który Pauli zawsze dostarczał przewrotnej przyjemności: to nieugiętość Kotki doprowadziła ją do największego kroku ewolucyjnego, niezbędnego do fizycznego przetrwania w stale zmieniającym się wszechświecie.

„Alexis Denken” wleciał z kruszących się ruin Kingsville w gorące, czyste niebo, przyspieszając z trzydziestoma g. Paula patrzyła na zmniejszającą się w oddali bazę z mieszanymi uczuciami. Dobrze było w końcu potwierdzić, że miała Kotkę za przeciwniczkę, ale ta wiedza mogła być okupiona stratą czasu, na którą nie mogła sobie pozwolić.

Kiedy odlatywała, krzywizna planety pojawiła się na obrazach z czujników wizualnych. Paula miała ochotę udać się do Kaługi na południowym oceanie. Nadal mieszkał tam Morton, częściowo

imperator, częściowo przemysłowiec i obecnie jedynie w bardzo małym stopniu człowiek. Dzięki ogromnej firmie, którą zbudował, miał na Kerensku pozycję zbliżoną do głównego zarządcy planety. Mogła go spytać, co wie na temat Kingsville i wszystkich cichych gości w bazie. Mimo wszystko, jego własne wspomnienia też były tam na dole, w krypcie. Paula była pewna, że dyskretnie bazę obserwował.

Kuszające... ale znowu to sprawa osobista. Trop miał sto lat. Był zimny nawet według jej kryteriów.

Otworzyła połączenie z Digbym.

- Gdzie jest Chatfield?

- Nadal w głębokim kosmosie - odparł Digby. - Ale trzyma stały kurs. Kierujemy się ku niezajestrowanemu układowi dokładnie w obszarze granicznym Wspólnoty.

- Już tam lecę.

\*\*\*

Kosmoport Pulap to mały płaskowyż na wschodzie stolicy. Ponieważ planetę otwarto dla zasiedlenia sto pięćdziesiąt lat temu, był schludny i równy, jak tylko może być inwestycja budowlana na nowym świecie Zewnętrznym. Zespoły budownictwa lądowego ścięły na płask kilka skalistych szczytów, a potem wyrównały brzegi. Powstała idealnie kolista powierzchnia o średnicy dwóch kilometrów. Zwycięzcy konkursu architektonicznego zaprojektowali szokująco różową grupę baniek - ułożonych w formie jakiejś struktury molekularnej - w stylu „neonowego gotyku”. Jeden z bryłowatych wyrostków dziwnie sterczących ze zwieńczenia bankowego trójnogu mieścił jednoizbową kawiarnię zajmującą całą ostatnią bańkę. Panoramiczne pasmowe okno dawało niemal kolisty widok na kamienny krąg kosmoportu. Wspaniały punkt obserwacyjny dla hobbystycznych miłośników statków. Niektórzy z nich spędzali połowę dnia, obserwując, jak różne kształty przylatują i odlatują.

Mariusz przebywał tam już pięć godzin, kiedy obrazy z bitwy nad Parkiem Bodant zdominowały wszystkie serwisy informacyjne unisfery. Trzydzieści sekund wcześniej jego agenci na Viotii

zawiadomili go, że Żywy Sen zlokalizował Aramintę przez gajaszferę. Polecieli swą kapsułą na miejsce z trzykrotną szybkością dźwięku - wewnątrz pola siłowego kopuły pogodowej czynność dość niebezpieczna. Niestety, w obecnych czasach szybkość i determinacja niewiele się w okupowanym mieście liczyły. Nie byli nawet drugim zespołem, który dotarł do parku. A kiedy już dotarli, ich łączność zerwała się, gdy rozpoczęła się walka powietrzna. Trzech z nich wyskoczyło w histeryczny tłum uciekających buntowników.

Obserwował ze zdumieniem bezpośrednie starcie rozmaitych agentów. Zadziałał efekt domina. Kiedy pierwsze starcie wybuchło płomieniem ognia dystorsyjnego i atomowych strzałów laserowych, wszyscy uaktywnili swoją biononikę i modyfikacje obronne. Maskowanie porzucono w ciągu sekund. Agenci bili się ze sobą jak rozgorączkowane zwierzęta, zdesperowani, że nikt inny nie powinien odebrać nagrody. Nikt z zespołu powitalnego majora Honilara nie przetrwał pierwszych trzech minut.

Z trzech ludzi, których miał na miejscu, tylko jeden ocalał ze starć i mógł się zameldować.

- Przepadła. Jakiś zespół ją osłaniał, kiedy uciekała. Nie ma żadnych czujników nigdzie wokół, ktoś je utrupił. Nie wiem, dokąd poszła. Wojska Ellezelinu też nie wiedzą i wariują.

- Widzę to - powiedział cicho Marius, sącząc chocoletto z pianką.

Egzowizja ukazywała mu obrazy reporterów z obrzeży parku. Przypominały raporty z jakiejś historycznej strefy wojennej: dymiące kratery, połamane drzewa, płonące, zrujnowane budynki. I ranni ludzie. Ludzie kuśtykający. Zszokowani, idący jakby w śpiączce. Ludzie, na których krzyczą paramilitarni Ellezelinu. Ciała leżące na ziemi, o które nikt nie dba. Tworzenie stref medycznych. Kapsuły krążyły nisko nad głową, holoprojektory zalewały zdewastowany park monochromatycznym światłem i światłem ze strobujących laserów. Kleryk Phelim nadal nie pozwalał latać kapsułom pogotowia.

Ten zakaz oraz fakt, że było tyle ofiar i przemocy, spowoduje ogromny nacisk polityczny na Kłeryka Konserwatora Ethana. Być może nawet nacisk nie do odparcia.

- Poszło jej zadziwiająco dobrze jak na zwykłą nowicjuszkę bez żadnej modyfikacji - skomentował.

- Mam skan zespołu, który jej pomagał.

Mariusz przejrzał obrazy przysłane do jego spacji pamięci. Osiem postaci otoczonych płomieniami energii, walczących z potworną brutalnością. Jak zauważył, troje z nich - dwóch mężczyzn i kobieta - miało wyjątkowo potężną biononikę. Jego u-adiunkt rozpoczął procedurę identyfikacyjną w plikach Progresywiwistów - otrzymał pewne bardzo interesujące rezultaty.

- Dziękuję - powiedział Mariusz. - Wyślę posiłki, by cię wzmocnić. Powinny przybyć w ciągu dnia. Tymczasem proszę, nie zapominaj o swoim celu. To, że tym razem uciekła, nie oznacza, że rezygnujemy z polowania. Masz teraz przewagę: zespół powitalny wypadł z gry razem z naszymi najpoważniejszymi przeciwnikami.

- Tak jest, proszę pana.

U-adiunkt Mariusza otworzył bezpieczne połączenie do statku Kotki.

- Mam dla ciebie nowe zadanie.

- Mam je wykonać, zanim wyeliminuję dla ciebie Trobluma i znajdę Iniga czy potem?

- Sprawa Trobluma zaczęła się stawać mało istotna. I czekam, żeby zobaczyć, czy Inigo przeżył.

- Ależ jesteś kompetentny, kochanie.

Przez twarz Mariusza przebiegł grymas irytacji. Nie cierpiał sposobu, w jaki go denerwowała. A robiła to rozmyślnie.

- Czy widziałaś bójkę na Viotii?

- Tak. Trudno to nazwać zmaganiem Tytanów.

- Tak naprawdę, była raczej interesująca. Żywy Sen znalazł Aramintę. Uciekła. Pomagali jej Rycerze Strażnicy.

- Naprawdę? Wierzę, że wygrali walkę.

Uśmiechnął się do lądującego kosmolotu z ultranapędem, który właśnie obserwował. Na Kotkę było zadziwiająco łatwo wpływać.

- Co lepsze, wygląda na to, że pracują oni dla twego starego przyjaciela, Oscara Monroe.

- Oscara Męczennika? Nawet nie wiedziałam, że go ożywiono.

- Tak naprawdę, to już jakiś czas temu. I od tego czasu prowadził spokojne życie. Interesująca psychika. Któż by go podejrzewał, że znowu weźmie udział w wydarzeniach?

- Co sprawia, że idealnie się nadaje do słabo widocznych operacji.

- Właśnie. I gotów byłby to robić dla bardzo niewielu ludzi. Mimo wszystko, zaangażowałby się tylko w szlachetnym celu.

- Wspaniała dedukcja, kochanie. Nikt by go nie podejrzewał, że pracuje dla Pauli.

- Proszę cię, pamiętaj, że naszą główną troską jest dostarczenie Araminty Żywemu Snowi.

- Czy to była gra słów?

- Niezamierzona.

- Już tam lecę.

Po przerwaniu połączenia Marius przez kilka minut patrzył na statek, który Dostawca zaparkował na gładkiej skale. Uznał, że robi to niepotrzebnie. Statek był prawdopodobnie na wszelki wypadek - Konserwatyści wiedzieli tyle, co on, na temat tego, czy Aaron i Inigo ocaleli, czy też nie. W takim razie może rozmieścić pasywne czujniki, by statek obserwować zdalnie. Wykorzystał kartę monetową, zapłacił rachunek i odpłynął od stolika.

\*\*\*

Troblum wycofał się z przedziału. Pochylał się jak najniżej, a mimo to, zdołał podczas przechodzenia uderzyć o plastmetalowy brzeg potylicą.

- Oj! - Potarł bolące miejsce, choć trudno mu było wygiąć rękę tak daleko w tył.

Bolały go wszystkie mięśnie. Był pewien, że mięsień łydki zaraz znowu złapie skurcz z powodu niewygodnej pozycji, którą



utrzymywał, nadzorując boty. Ostatnim razem zignorował wzrastającą niewygodę i jego bioniczne funkcje medyczne musiały sobie radzić z nagłym płomieniem bólu, kiedy noga odmówiła posłuszeństwa. Nawet teraz trudno mu było przenosić na nią ciężar ciała. W rezultacie tego wszystkiego „Odkupienie Melanii” funkcjonowało obecnie z wewnętrznym ciężeniem równym dwie trzecie normalnego. Wiedział, że to niedobrze, że jego ciało nie powinno się zbyt przyzwyczajać do łatwiejszego środowiska. To był błąd, który już popełnił parę razy podczas długich lotów. Błąd, którego naprawa w komorze medycznej trwała zbyt długo.

Drzwi z plastmasy się zasklepiły. Technicznie rzecz biorąc, to były drzwi do hangaru silnikowego, ale z konieczności statek został wewnętrznie przemodelowany. Do hangaru silnikowego włączono dwie środkowe ładownie razem z małą sekcją zejściówki. Rozszerzona pojemność okazała się niezbędna do pomieszczenia nowego ultranapędu. W końcu zidentyfikował komponenty, wypatroszył hipernapęd i szcepił obie maszyny w jedną całość. Nawet korzystając z botów inżynierskich, przy niskim ciężeniu wmanewrowywanie modułów na miejsce było trudne. Kilka ścianek działowych zostało pociętych i wyrzuconych przez śluzę. Martwił się, że cały system nowego napędu może nawet wylać się do kabiny. Ale, na szczęście, statkowi zostało to oszczędzone.

- Jesteś nareszcie - zbeształa go Catriona Saleeb swym głębokim głosem, kiedy wrócił do kabiny głównej.

Chodziła po kabinie ubrana w jedwabne bermudy i luźną bluzkę z cienkimi jak pajęczyna ramiączkami.

- Niepokoiłyśmy się - wtórowała jej Trisha.

W sekcji kuchennej wachała potrawy wyprodukowane przez jednostkę kulinarną. Majteczki bikini ciasno opinały jej pośladki, niebieski T-shirt nad nimi wyglądał równie miło. Problema zawsze cieszył jej atrakcyjny wygląd w obcisłych ubraniach.

- To niełatwe - powiedział, opadając na fotel.

Bot serwisowy przyniósł pierwszy zestaw talerzy.

- Skończyłeś? - spytała Trisha.

Ominęła bota i usiadła na podłodze przy fotelu. Pogłaskała Trobluma dłonią po policzku, a OC-tatuaże na jej twarzy lekko świeciły, tworząc ponętne cienie. Widmowa percepcja drżała miło w nerwach Trobluma, kiedy I-rozumna osobowość splatała się z jego modyfikacjami zmysłowymi.

- Jeszcze nie - przyznał. - Trzeba zintegrować następną setkę komponentów. Ale to urządzenia peryferyjne. Komponenty skatalogowano i boty sobie z tym teraz poradzą. Złożyłem podstawowe moduły. Testowe sprawdzenie funkcjonalności systemu wypadło pozytywnie.

- Doskonale to zrobiłeś, ty... - zamruczała Catriona.

Troblum zaczął jeść płatki łososiowe marynowane w słodzonym sosie sojowym i winie ryżowym. Płatki ułożono na brązowym ryżu galiowym. Holenderskie jasne wzmocnione piwo splukiwało je doskonale z przetyku. Teraz odpoczywał w fotelu i czuł się niezwykle zmęczony. Przez kilka dni składał ultranapęd, a biononika utrzymywała go bez snu przez cały czas. Teraz bardzo potrzebował odpoczynku.

Catriona usiadła obok Trishy.

- Musisz iść spać, ale najpierw musisz znowu podnieść ciężenie.

- Za minutę - zapewnił.

Catriona objęła ramieniem Trishę, wsuwając dłoń pod jej obcisły podkoszulek. Nosem trącała szyję Trobluma, niemal ją łaskocząc.

- Może byś na nas popatrzył - powiedziała cicho. - To pomoże ci się odprężyć.

- Nie potrzebuję pomocy - odparł, kiedy bot serwisowy przyniósł dużą porcję lasagne z kulkami ciasta w maśle czosnkowym. - Ale kontynuujcie.

Trisha uśmiechnęła się szeroko, odwróciła i pocałowała Catrionę. Były coraz bardziej namiętne, a Troblum z zadowoleniem chrupał. Obserwował je, ale odłączył wszelki odbiór zmysłowy z I-rozumnych osobowości dopóki nie skończył smakować jedzenia. Te dwie rzeczy nie tworzyły dobrej mieszanki - to też wiedział z doświadczenia. Kolejny raz żałował, że stracił Howarda Lianga. Bez męskiej I-rozumnej tożsamości, z

którą mógłby bliźniaczo dzielić sensorium, będzie musiał wypracować sposób, jak w pełni docenić dwie dziewczyny kochające się fizycznie. Dzielenie sensorium kobiecego ciała jakoś go denerwowało. Nie radził sobie dobrze ze sferą spoza rutyny. Chociaż jego program monitorujący towarzyską akceptację ciągle go informował, że powinien zadać sobie trud, by akceptować i próbować nowych rzeczy. Będzie to musiał rozwiązać, zanim poleci do gromady Drasbe.

W połowie porcji lasagne polecił smartkorowi nawiązać transwymiarowe połączenie do unisfery, przy użyciu ultrabezpiecznego jednorazowego węzła. Nawet gdyby Progresywiści zlokalizowali stanowisko monitora jego u-adiunkta, nie zdołaliby wyśledzić przez łącze jego fizycznego położenia.

- Czy znalazłeś Paulę Myo? - spytał swego u-adiunkta.

- Nie. W żadnym akredytowanym w unisferze serwisie wiadomości ani w gazetach plotkarskich nie zameldowano, że ją zauważono. Międzyukładowy Wydział Przystępstw Poważnych wymienia ją jako obecnie nieosiągalną.

- Cholera.

No, dobrze, próbowałem. Tak właśnie należało postąpić. Jednak opuszczenie Wspólnoty, gdy Kotka jest na wolności, nie wyglądało dobrze.

Wsadził cztery kulki do ust, wsysając powietrze, a gorące czosnkowe masło przesuwano się mu po języku.

Mógłbym po prostu wystrzelić w unisferę wszystko, co wiem o Progresywistach i o tym, co zrobili. Paula by to odebrała. Ale nawet ja nie wiem, co takiego rój miałby więzić.

Nadal niepokoił się stopniem skorumpowania unisfery. Choć był przekonany, że sam znajduje się obecnie poza zasięgiem kogokolwiek.

Wystrzelić - to prawdopodobnie należy zrobić.

Nie cierpiał przyciągać do siebie tyle uwagi. Chociaż, jeśli naprawdę odlatywał, nie miało to znaczenia.

Trisha nagle westchnęła. Troblum spojrział w jej stronę, a Catriona zachichotała. Catriona czasami była imponująco

perwersyjna. Już zdjęła z Trishy mały niebieski T-shirt. Tym razem jednak zdumiało Trishę coś innego. Siedziała nachmurzona, a zielone OC-tataże na jej twarzy świeciły jaśniej niż kiedykolwiek. Potem kłębiący się wzór zaczął ześlizgiwać się po jej szyi, spływać po piersiach i rękach. Wyciągnęła je przed siebie, a Catriona szybko się wycofała.

- Co się dzieje? - spytał smartkora Troblum.

- Zarażone połączenie komunikacyjne - odparł smartkor, co natychmiast wytrąciło Trobluma ze zmęczeniowego letargu.

- Możesz je kontrować?

- Mogę zamknąć połączenie. Źródło znajduje się w unisferze, a ja nie potrafię tam nic zdziałać.

- Czy próbuje zarazić ciebie?

- Nie.

- Jeśli wykryjesz taką próbę, natychmiast przerwij połączenie. Trisha stała się obecnie trójwymiarową ludzką sylwetką z ruchliwych zielonych zawijasów. Jej rysy zniknęły, a kształt raptownie się skurczył. Wlały się nowe kolory. Pomarańczowe i turkusowe linie wplątały się w gęstwę zieleni, aż po prostu zieleni zabrakło. Sinusoidalne fale turkusowe i pomarańczowe zawisły w powietrzu przed okropnie przestraszonym Troblumem, a potem pomknęły ku swemu punktowi zniknięcia.

Wywołało to głębokie wspomnienie - nie w spacji pamięci, ale całkowicie naturalne.

- Znam cię - powiedział.

- Gratulacje - odparł parkietaż. - Naprawdę znasz waszą historię.

- Rozumna Inteligencja. Opuściłeś nas już dawno temu.

- Nie opuściłem, zostałem obwołany persona non grata przez ZAN.

- Och. Wszyscy myśleli, że stałeś się postfizyczny.

Troblum prawie nie wierzył, że rozmawia z RI. Wyrosła z wielkich matryc, które wykorzystywały pierwsze komercyjne wormhole STT. Ich program był tak złożony, z tyloma algorytmami genetycznymi, że stał się samoświadomy. Nigel Sheldon i Ozzie, którzy posiadali te matryce, zgodzili się

dostarczyć nowo wyewoluowanej porcji Rozumnych Inteligencji niezależną supermatrycę, by w niej funkcjonowały. Umowa przewidywała, że RI napisze następnie stabilne oprogramowanie, które będzie sterowało generatorami wormholi już bez dalszej ewolucji. Umowa mówiła także o niezależnej planecie, gdzie supermatryca zostanie umieszczona.

Mnóstwo ludzi we Wspólnocie kwestionowało zaliczanie RI do istot naprawdę żywych. Stary spór, który nigdy nie został rozstrzygnięty. Ale RI i Wspólnota trwały ramię przy ramieniu, dopóki nie stworzono ZAN. ZAN utrzymywała, że RI nie kwalifikuje się jako prawdziwa istota żywa i że wtrąca się ona do spraw politycznych Wspólnoty. Podejrzenie to bardzo zyskało na wiarogodności, kiedy ZAN odkryła różnych wywiadowców RI na pozycjach strategicznych. Kontakty z RI zostały porzucone lub odcięte, zależnie od tego, które sprawozdanie się czytało i którą teorię spiskową się przyjęło.

- Nie - odpowiedziała RI. - Nadal jestem całkowicie fizyczna. Układ, którym operuję, musiałby być przekształcony, bym mogła dalej ewoluować.

- A możesz to zrobić?

- Tak. Czy znasz powiedzenie: na wszystko jest pora?

- Eh, nie bardzo. Ale rozumiem je.

- Na razie jestem ciągle zadowolona z mej bieżącej egzystencji. Jednak, podobnie jak kilka innych gatunków, jestem zaniepokojona waszą proponowaną Pielgrzymką do Pustki. Ta groźba wystarczy, żeby naruszyć status quo między mną a ZAN.

- To nie moja Pielgrzymka.

- Pracujesz dla frakcji, która do niej doprowadziła.

Skąd, do cholery, o tym wie?

- Jak daleko jesteś od naszych spraw?

- Nie tak bardzo, jak chciałaby ZAN, ale daleko w porównaniu z tym, w co wierzą niektórzy wasi teoretycy spisków. Jak zwykle obserwuję i interpretuję. To moja funkcja.

- Więc jesteś w dalszym ciągu w unisferze?

- Pozostało mi nieco możliwości monitorowania. Mimo wszystko, jestem starsza od ZAN o kilka wieków. Niełatwo mnie wyrzucić z istniejących systemów.

- Czego chcesz ode mnie?

- Skupia się na tobie wiele uwagi. Chcesz się skontaktować z Paulą Myo, twój u-adiunkt starał się ją zlokalizować. Po co?

Troblum nie zamierzał na to odpowiadać. Nie miał nawet dowodu, że rozmawia z RI. To może być kawał Progresywistów. Zrobiliby go z łatwością - wiedzieli przecież o jego zainteresowaniu wojną Gwiazdokrażcy.

- Mam dla niej informację.

- Czy ma ona związek z obecną sytuacją?

- Tak.

- Czy zapobiegnie Pielgrzymce?

- Osłabi Frakcję Progresywistów. Nie wiem, w jakim stopniu okaże się niekorzystna dla Pielgrzymki.

- Bardzo dobrze, utworzę dla ciebie bezpieczne połączenie.

- Nie! Chcę ją spotkać osobiście.

- Dlaczego?

- Nie ufam ci.

- Jakie to mało oryginalne.

- Tak już jest.

- Ona leci w tej chwili do nieskatalogowanego układu gwiazdowego.

- Czemu? Co tam jest?

- Jeśli nadal pracujesz dla Progresywistów, ta informacja im pomoże.

- Nie pracuję. I to ty się ze mną skontaktowałaś.

- Rzeczywiście.

- Nie polecę do jakiegoś nieskatalogowanego układu. Nie wiem, co tam jest.

- Bardzo dobrze. A co z Oscarem Monroe?

- Co z nim?

- Próbowaleś się z nim skontaktować na Orakum.

- Tak, ufam Oscarowi.

- Chytry wybór. On jest na Viotii, w Colwyn City.

- Dobra. Dziękuję.
- A teraz, skoro już wiesz, polecisz go szukać?
- Pomyślę o tym.

\*\*\*

Digby'ego w wieku trzystu trzydziestu pięciu lat wciąż irytowało, że jego prababka nadal sądzi, że prawnuk nie ma wystarczającego doświadczenia do wykonywania swej pracy. Podejrzewał, że będzie tak zawsze. Niemniej jednak, kiedy otrzymał zadanie śledzenia, przyrzekł sobie, że wzniesie się na szczyty profesjonalizmu.

Jego kosmolot „Columbia505” był w tym bardzo pomocny - całkiem nowy, z ultranapędem, zaprojektowany i zbudowany przez ZAN w bezpiecznej stacji replikacyjnej na Io. Miał systemy najbardziej wyrafinowane we Wspólnocie. Śledzenie zamaskowanego statku Chatfielda, zaopatrzonego jedynie w hipernapęd, nie stanowiło żadnego problemu.

Digby podążył za Chatfieldem do niezamieszkanego układu gwiazdnego dokładnie wewnątrz luźnej granicy, która definiowała Wielką Wspólnotę Międzyukładową. Mała gwiazda, której łagodnie zmieniające się widmo dryfowało od oranżu do żółci w cyklach dwustuletnich. Została zbadana dziewięćset lat temu przez wydział badawczy SST. W czasie krótkiej wizyty szybko ustalono, że nie ma ona planet nadających się do ludzkiej kolonizacji. Według smartkoru „Columbii505” późniejszych wypraw badawczych nie było.

Statek Chatfielda poleciał do punktu trojańskiego największego gazowego giganta. Jedynym obiektem wartym jakiegokolwiek uwagi był mały lodowy księżyc, złapany przez strefę zerowego ciężenia przeszło miliard lat temu. Miał średnicę nieco ponad dwóch tysięcy kilometrów, jego siwa powierzchnia pobłyskiwała w słabym miedzianym świetle.

Pierwszą rzeczą, jaką Digby, lecąc za Chatfieldem, znalazł, była wymyślna sieć czujników skanująca przestrzeń i hiperprzestrzeń aż do dwóch milionów kilometrów od lodowego księżyca. Digby podleciał na odległość dwudziestu tysięcy kilometrów - na tyle

pozwoili mu podejść systemy maskujące statku - i zatrzymał się. Czujniki na pokładzie z trudnością zdołały odnaleźć na orbicie księżycy jedenaście pojazdów jakiegoś rodzaju. Były starannie zamaskowane, a rejestr jego statku nie miał w swych plikach nic do nich podobnego. Digby nie mógł biernymi czujnikami uzyskać żadnego obrazu, więc „Columbia505” wypuściła stado miniaturowych dron, by przeleciały obok pojazdów. Jedyną wadą takiego postępowania był czas przelotu. Aby nie wzbudzać podejrzeń trajektoriami i prędkościami, dronom wielkości kamyków dotarcie do księżycy i prześlizgnięcie się obok jego nieznanymi wartowników musiało zabrać dziewięć godzin.

Wizyta Chatfielda trwała trzy godziny.

- Co chcesz, bym robił? - spytał Digby Paulę, kiedy statek Chatfielda wznosił się z zamrożonej powierzchni z przyspieszeniem pięciu g. - Zostać tutaj, czy lecieć za nim?

- Leć za nim - poleciła Paula. - Ja zbadam bazę.

- Moje drony czujnikowe zadziałają za pięć i pół godziny. Powinny być w stanie powiedzieć ci coś więcej o satelitach. Jeśli są tak nieprzyjemne, jak mi się wydaje, będziesz potrzebowała całej eskadry floty, by włamać się do środka.

- Zobaczymy.

Czujniki „Columbii505” obserwowały, jak statek Chatfielda wchodzi w hiperprzestrzeń. Pięć minut później Digby wyleciał za nim z bezmiennego układu. Co ciekawe, teraz kierowali się na Ellezelin.

\*\*\*

„Alexis Denken” wleciał do układu gwiazdy siedem godzin po wylocie z niego „Columbii505”. Jego smartkor prowadził go do lodowego księżycy w pełnym trybie maskującym. Kiedy od księżycy dzieliło ją jeszcze dziesięć tysięcy kilometrów, Paula włączyła drony czujnikowe, które obecnie odlatywały od miejsca swego krótkiego spotkania z obiektami. Wszystkie zgromadzone przez nie dane zostały załadowane do smartkora, który natychmiast zabrał się do analizowania informacji.



Orbitujący wartownicy robili wrażenie. Niewiele informacji wydostało się przez ich efekt maskujący, ale drony zdołały zebrać kilka fragmentów.

Zobaczyły jakiś rodzaj statków długich na przeszło sto metrów, o dziwnym kadłubie w kształcie pomarszczonej ły, od którego odchodziły dziwne bryły. Wyciek sygnatury mocy wskazywał, że miały ciężkie uzbrojenie. Technicznie nie były tak zaawansowane jak „Alexis Denken” (bardzo mało statków było, stwierdziła z krzywym uśmiechem), ale po prostu ich rozmiar i moc oznaczały, że gdyby kiedykolwiek złapały „Alexisa”, zdominowałyby jego pola siłowe.

W ciągu ośmiu minut smartkor zanalizował wadę w ich skanerach wykrywających i skonfigurował emisje „Alexisa Denkina” w ten sposób, że mógł przelecieć wśród wartowników niezauważony. Paula obserwowała rosnącą powierzchnię księżyca, a „Alexis” prześlizgiwał się niedostrzegalnie między wielkimi uzbrojonymi statkami. Nie poczyniono wielkich wysiłków, by schować stację rozciągniętą na popękanej lodowej równinie. Zobaczyła szeroki krzyż z ciemnego metalu, którego każde ramię liczyło niemal kilometr długości.

- To może być właśnie dowód, którego szukamy - powiedziała Paula ZAN:Władzom. - Nigdy wcześniej nie mogliśmy znaleźć żadnej z ich baz, nie mówiąc już o tym, żeby to była baza nienaruszona i nadal czynna.

- Teraz, kiedy wiemy, że istnieje, czy chcesz wsparcia floty?

- Nie. To tylko rekonesans. Gdyby flota chciała wlecieć tu na siłę, dokonają samozniszczenia. Chcę wiedzieć, co tutaj jest, że wymaga aż takiego poziomu tajności i obrony.

„Alexis Denken” ostrożnie się zniżył, aż zawisł nad kamienistym krajobrazem parę kilometrów od samej bazy. Kwantowe detektory sygnatury masy zbudowały dla Pauli bardzo szczegółowy plan bazy. Rozciągała się przeszło pół kilometra w dół pod powierzchnią lodu. Centralna sekcja była niemal pusta - Paula przypuszczała, że to hangar dokujący kosmolotów. Wokół niej ramiona krzyża miały znacznie większą przeciętną gęstość, co wskazywało na koncentrację sprzętu. Cokolwiek

Progresywiści tutaj robili, wymagało to ośmiu wysokowydajnych generatorów zmasowanej energii, dostarczających potrzebnej mocy.

Paula poleciła smartkorowi rozciągnięcie statkowego t-pola, które zwiększyło swój promień do pięciu kilometrów. Ściśle mówiąc, t-pole nie było standardowym wyposażeniem kosmolotów, nawet tych z ultranapędem - ale z drugiej strony, „Alexis Denken” był dość nadzwyczajny, nawet według standardów ZAN. Czekala z niepokojem parę sekund, ale t-pole pozostało niezauważone przez czujniki obrony bazy.

Przez ponad dwie godziny „Alexis Denken” teleportował bryłki lodu bezpośrednio spod dna bazy. Pobierał po jednym okruchu i rematerializował go w pęknięciach i szczelinach, dodając go do brejowego żwiru, pokrywającego mały księżyc. Powstała w ten sposób jaskinia nieco większa od „Alexisa Denkena”. Kosmolot teleportował się do środka.

Następny etap wymagał jeszcze większej delikatności. Paula włożyła skafander i wyszła na zewnątrz, niosąc kilka pudeł ze sprzętem. Powoli oczyściła dno bazy z resztek lodowej skorupy, odsłaniając metalową powłokę. Potem przyłożyła do niej segment molekularnych nanowłókien, które zaczęły ostrożnie przedzierać się przez cząsteczkowe powiązania metalu. Pierwsze końce włókien, które spenetrowały powłokę, skanowały wokół, pokazując, gdzie przyłożyć następną partię. Trzeba było aż pięciu prób, zanim zestaw włókien stopił się z jednym z kabli do przesyłania danych bazy, dając statkowemu smartkorowi nieograniczony dostęp do sieci.

U-adiunkt Pauli przejął bezpośrednią kontrolę nad piwnicą powyżej, unieruchamiając urządzenia ostrzegawcze i fałszując dane czujników. Po incydencie w Sholapurze nie chciała ryzykować swojego bezpieczeństwa osobistego. Przteleportowała do pomieszczenia osiem robotów bojowych, a potem zmaterializowała się w ich centrum.

Komora, w której się wynurzyła, była pusta i wyglądała, jakby nigdy jej nie wykorzystywano. Gołe metalowe pomieszczenie z konstrukcyjnym ożebrowaniem, wzmacniającym zewnętrzne

pokrycie bazy, za podłogę miało zwykłą siatkę zawieszoną nad zaokrąglonym metalem. Jedyne wejście było plastmetalowe koło w suficie. Paula kazała swemu u-adiunktowi otworzyć je. Ingraw jej opancerzonego skafandra uniósł ją za botami bojowymi. Korytarz, w którym się wynurzyła, oświetlono zielonymi pasami ustawionymi na najmniejsze światło. Korytarz biegł dwieście metrów w obu kierunkach i kończył się ciśnieniowymi ścianami działowymi. Ciężenie na tym poziomie wynosiło standardowe jedno g.

Wywołała plan, który „Alexis Denken” wy dostał z sieci. Kwatery personelu bazy i urządzenia obsługujące statki grupowały się wokół środka krzyża, a dolne poziomy dostarczały wsparcia technicznego dużym komorom na górnych poziomach wszystkich czterech ramion. Dziwna rzecz, sieć bazy nie wchodziła do dużych komór, które połączono w sieć niezależną. Nie było sposobu dowiedzenia się, co się dzieje w środku. Jednakże jeden przedział sieć obejmowała. W środku znajdowało się dwanaście kaset zawieszenia życia. Trzy pokoje sąsiednie wypełniono różnym sprzętem biomedycznym. Dziesięć kaset było obecnie zajętych. Sieć nie dostarczała żadnych szczegółów osobistych, ale instynkt sprawił, że na myśl o ich zawartości Paula poczuła się źle.

Jej u-adiunkt omiótł węzły sieci w pomieszczeniu z kasetami zawieszenia życia. Stworzył nerwowe widmowe odczyty w systemach czujników, więc mogła przechadzać się tam bez uruchamiania alarmów. Według sieci, bazę obecnie obsługiwało pięć osób. W pobliżu sali z kasetami nie było nikogo. Paula z eskortą teleportowała się do wnętrza.

W pomieszczeniu panował mrok. Umieszczone w rogach małe kule z fotopolimeru żarzyły się skromnym limonkowym światłem, nadając wielkim sarkofagom ponury wygląd. Pomieszczenie wyglądało jak jakiś dziwaczny, miniaturowy hołd oddany bezpiecznej krypcie Departamentu Poważnych Przestępstw. Paula podeszła do pierwszego sarkofagu i poleciła u-adiunktowi włączenie przezroczystości pokrywy.

Leżała tam Kotka, jej szczupłe ciało spowijała srebrna pajęczna sieć.

Paula patrzyła przez długą chwilę na swą hibernowaną przeciwniczkę.

- O, Jezu! - powiedziała cicho i podeszła do następnego sarkofagu. U-adiunkt znowu odłonił osobę wewnątrz. W środku leżała inna Kotka. Paula podeszła do trzeciej kasety. Właśnie kiedy Paula spojrzała na siódmą wersję Kotki, jej funkcje skanowania polowego wykryły zmianę we wzorcach energetycznych pierwszego sarkofagu. Obróciła się ku niemu. Trzy boty bojowe ustawiły swe protonowe lasery na wielkie pudło.

Kotka uniosła się na łokciach. Jej osobiste pole siłowe włączyło się, okrywając ją widmowym, migotliwym fioletem. Pole skanujące wytrysnęło z jej biononiki i próbowało sondować opancerzony skafander Pauli.

- Kim jesteś?

- Paula Myo.

U-adiunkt Pauli prowadził przegląd programów zarządzania sarkofagami, starając się określić, co wyłączyło stan zawieszenia.

- Ach - powiedziała Kotka i uśmiechnęła się pożądliwie. - *C'est la vie*.

U-adiunkt Pauli zameldował o małym, niezarejestrowanym podprogramie, który został przyczepiony do programu sterującego przezroczystością pokrywy. Program kończył zawieszenie natychmiast, gdy ktoś zajrzał do środka i spojrzął na osobę wewnątrz.

Powinam była się domyślić, że będzie tam wyłącznik. Typowa Kotka, paranoiczna i sprytna.

- Obawiam się, że nie masz mocnej pozycji w tych negocjacjach. Druga Kotka usiadła w kasecie.

- Nie mamy?

- Nie.

- Sama Paula Myo - powiedziała trzecia Kotka. - Musiałyśmy zrobić coś złego, by zasłużyć na twoją osobistą uwagę.

- Oczywiście, że zrobiłyśmy - powiedziała Czwarta.

- Tak właśnie postępujecie - przyznała Paula. - Ale teraz musicie wrócić w stan zawieszenia, by sąd mógł ustalić, co z wami zrobić.

- Już tam byłam - powiedziała szósta.

- Już to robiłam - stwierdziła druga, prześlizgując się zrećźnie przez brzeg kasety.

- Znudziło mnie to - rzuciła piąta.

- Przeszkadzacie mi w śledztwie - ostrzegła je Paula.

Dwa roboty bojowe wślizgnęły się na miejsce po obu jej stronach. Pierwsza obudzona Kotka rozplynęła się w uśmiechu.

- Czy to ma być tajna misja, Paulo? Czy skradasz się tutaj i próbujesz zobaczyć, co się dzieje?

- Moje drogie, chyba to robi - powiedziała trzecia.

- Cholera - warknęła Paula i przewróciła oczami w hełmie pancerza. To mimo wszystko była Kotka.

Po tym całym czasie i wysiłku, by przekraść się tutaj...

Jakby odczytawszy jej myśli, wszystkie siedem Kotek skonfigurowało swą energię bioniczną na pełne funkcje obronne. Roboty bojowe otworzyły ogień. Paula teleportowała się stamtąd. „Alexis Denken” aktywował swą broń i wzmocnił pola siłowe kadłuba. Paula usiadła w fotelu. Aktywne czujniki zaczęły omiatać otoczenie.

Walka w komorze zawieszenia życia niemal się skończyła. Kotki przegrały - wobec poziomu ognia botów bojowych taki wynik był nieunikniony. Ale nie o to chodziło, jak dobrze wiedziały. Szkody w komorze i w otaczającej strukturze bazy były znaczne. Zaczęły działać systemy awaryjne. Personel i orbitujące pojazdy wartownicze dowiedziały się, że złamano ich zabezpieczenia. Paula miała niezłe pojęcie, co teraz zrobią. Ilanthe była równie bezlitosna jak Kotka i wiedziała, że Progresywiści nie mogą sobie pozwolić na pozostawianie za sobą dowodów.

Rzeczywiście, ledwie pięć sekund po walce między Kotkami i robotami bojowymi cztery z pojazdów wartowniczych zanurkowały ku lodowemu księżycowi z wysokim przyspieszeniem. Ich wielorakie czujniki sondowały bazę z wysoką intensywnością, wykrywając roboty bojowe. U-adiunkt Pauli próbował unieruchomić sieć bazy, ale dwie osoby z

personelu nawiązały bezpieczne osobiste połączenia z nadlatującymi wartownikami.

Wszystkie pola ochronne bazy wyłączyły się. „Alexis Denken” teleportował się nad krzyż z chłodnego metalu i przyjął pozycję obronną. Lasery gamma i impulsy dystorsyjne waliły z nadlatujących pojazdów wartowniczych. Eksplozje rozerwały pokrywę bazy, z której wystrzeliły w kosmos ogromne pióropusze przegrzanego gazu. Paula skrzywiła się, widząc szkody, i wystrzeliła w górę trzy m-rząpia w pojazdy wartownicze. Statki rozpoczęły manewry unikowe, wykręcając się i zmieniając przyśpieszenie z niespodziewaną elegancją. Sposób, w jaki płynnie prześlizgiwały się przez przestrzeń, sprawiał wrażenie czegoś organicznego. Ich kadłuby jakby się adaptowały, zniekształcały, by wchłonąć stale zmieniające się wektory przyśpieszenia. Jeden rzeczywiście zdołał uciec m-rząpiu, lecąc w dół z przyśpieszeniem czterdziestu g. Paula zdała sobie sprawę, że to uderzenie kamikaze. „Alexis Denken” wzleciał, by go przechwycić, wystrzeliwując następne dwa m-rząpia.

Wysoko w górze, w jednego z wartowników czysto uderzyło m-rząpie, a jego kolosalne siły przyptywowe w ciągu mikrosekund spowodowały implozje wewnętrznej struktury. Wrak wirował w sposób nieopanowany. Dalsze m-rząpia wyśledziły umiejętnie swą ofiarę. Bronie energetyczne smagały bazę, częściowo odchylone przez „Alexisa Denkena”. Rzeczywiście wydawało się, że Paula zdoła zachować jakąś część bazy.

Wyjątkowa eksplozja surowej multispektralnej energii zza lodowego księżyca zatopiła czujniki „Alexisa Denkena”. Płomień biało-niebieskiego światła opromienił kadłub, jakby nagle jakieś słońce zakwitło do istnienia. Jego korona wychynęła wokół lodowego księżyca z szybkością relatywistyczną.

- Cholera! - krzyknęła Paula. Bomba kwantowa!

Lodowy księżyc wybuchł. „Alexis Denken” uciekł w hiperprzestrzeń, uchodząc od kolosalnej eksplozji masy i energii z szybkością pięćdziesięciu lat świetlnych na godzinę.

- Cholera, cholera, cholera - warczała Paula na widok danych błyskających w jej egzowizji.

Cztery atakujące statki wartownicze były po prostu dla odwrócenia uwagi. Inny statek wartowniczy ustawił się za lodowym księżycem, by zagwarantować, że nie zostanie żadnego dowodu.

Gównno, jestem stara i powolna. Powinnam była przewidzieć.

Otwarła połączenie do ZAN:Władz.

- Przepraszam, moja głupota spowodowała, że straciliśmy jeden z istotnych wątków.

- Za bardzo się oskarżasz.

- Nie. Profesjonalista zbadałby najpierw to, co było w tych głównych komorach. Biorąc pod uwagę ich zapotrzebowanie na energię, to musiał być jakiś rodzaj operacji wytwórczej. Ale ja tak nie zrobiłam, nie, działałam powodowana swoją obsesją.

- Potwierdziłaś, że Progresywiści wykorzystują Kotkę.

- Nie próbuj mnie pocieszać. Ktoś wykorzystuje Kotkę, nie mamy dowodu, że to Progresywiści. A nawet gdybyśmy mieli, to nie wystarczy, by uchwalić ich zawieszenie. Muszę ich przygwoździć zarzutami o spisek i zdradę.

- Paulo, pozwalasz, by zdominował cię gniew na siebie. Jedno ogniwo pozostało w tym aspekcie śledztwa: Chatfield.

- Cholera! - Miała ochotę się kopnąć.

Otworzyła połączenie z Digbym.

\*\*\*

Kleryk Konserwator Ethan siedział samotnie za biurkiem z polerowanego murdębu w owalnym sanktuarium. Mrużył oczy przed jaskrawym światłem gwiazd widocznym przez wysokie okna termalne. Pewnego dnia, już niedługo, będzie siedział w prawdziwym owalnym sanktuarium i takie samo okno pokaże wspaniałe mgławice Pustki, żarzące się na nocnym niebie. Kiedy to się wydarzy, dni takie jak dzisiejszy zostaną po prostu wygnane z istnienia, a on sam będzie prowadził łatwiejsze, ciche życie. W gruncie rzeczy nie będzie nawet Konserwatorem, nawet nie Klerykiem. Często zabawiał się pytaniem, kto w Radzie

rozważał ten aspekt ich sprawy. Kiedy znajdą się w Pustce, osiągną swój cel i nie będzie już ruchu Żywego Snu. Wszyscy staną się zwykłymi obywatelami Querencji. Porzucenie swoich stanowisk będzie dla niektórych trudne, wiedział o tym. Zbyt trudne. Nagną swój świat, by zostać Mistrzami Dzielnic czy jeszcze gorzej. Ale Stąpający po Wodzie pokazał, że nawet takie samopobłażanie nie prowadzi do niczego. Wszystko w końcu zostanie naprawione. Władcy Niebios zanoszą ich wszystkich do Serca. Nie mógł sobie nawet wyobrazić, jakie to będzie wspaniałe, zwłaszcza w porównaniu z dniem dzisiejszym.

Kleryk Phelim zadzwonił dwie godziny temu i zawiadomił go, że zlokalizowali Aramintę, że jest w Parku Bodant w pobliżu swoich mieszkań. Zaledwie pięć sekund później Ethan poczuł jej gniewny, obraźliwy krzyk, rezonujący w gajaserze. To zaniepokoiło go tak bardzo, że nikomu o tym nie powiedział, nawet Phelimowi. Czemu ktoś wybrany przez Władcę Niebios miałby tak całościowo odrzucać Żywy Sen? Czuł jej obnażone emocje, doświadczał jej naprawdę głębokiej odrazy do Pielgrzymki.

Potem bionomicznie zmodyfikowani agenci stoczyli małą wojnę w Parku Bodant, wojnę w pełni transmitowaną w całej cholernej unisferze. Zespół powitalny Honilara został zlikwidowany - a byli to twardzi agenci. Ethan wiedział o tym, osobiście autoryzował ich modyfikacje i szkolenie. To, co się stało, wywołało u niego głęboki szok. Tylu martwych. Jeszcze więcej rannych. Modlił się do Pani o przewodnictwo i wybaczenie.

Modlitwę przerwał telefon od Marszałka Senatu: żądał zakończenia okupacji Viotii i oddania paramilitarnych Żywego Snu pod niezależny sąd. Raczej uzasadniona uwaga Ethana, że rzeź spowodowali reprezentanci Frakcji ZAN, została zignorowana. Marszałek oznajmił, że Komisja Bezpieczeństwa przygotowuje rezolucję, która pozwoli flocie interweniować, jeśli dojdzie do dalszych przypadków łamania praw człowieka na aż takim poziomie. A ponieważ, od czasu kiedy senator z Ellezelinu wyszedł z senatu po potępieniu inwazji na Viotię, odrzucając tym samym jego władzę, Ellezelin, technicznie biorąc, nie jest już



częścią Wspólnoty i ograniczenia nałożone na działania floty przy rozwiązywaniu spraw w tym przypadku już się nie stosują.

Pozostała tylko jedna osoba, do której Ethan w tych okolicznościach mógł się zwrócić po pokrzepienie, ale wahał się, czy to uczynić. W tej chwili bardzo nie chciał jeszcze bardziej uzależniać się od Mariusa.

Związłe, pełne obaw zapewnienia Phelima, że Park Bodant to tylko chwilowe niepowodzenie, nie okazały się przekonujące. Ethan przejrzał obecnie wszystkie istniejące strzępy informacji na temat Araminty. Żywił silne podejrzenia, że spędziła weekend w rezydencji Likana. Oczywiście, Likan twierdził, że jest absolutnie niewinny, że była jedynie jeszcze jednym rekrutem do jego haremu. Po zejściach w Parku Bodant Ethan udzielił Phelimowi pozwolenia na całkowity odczyt pamięci Likana. To byłoby podobne do tego superkapitalisty, że próbuje manipulować sprawami dla swych osobistych korzyści finansowych. Jeśli przeszłość Araminty rzeczywiście była tak prosta, jak to wynikało z zapisów, trudno sobie wyobrazić, że w taki sposób uciekła Honilarowi i innym agentom. Najechano na całą planetę z jedynym celem: znalezienia jej. Zasoby, które wykorzystywał, zużywały znaczną część produktu globalnego Ellezelinu. W historii ludzkości nigdy na taką skalę nie polowano na jednego człowieka.

Ktoś jej pomagał - Ethan był niemal pewien, że to ZAN. Ta subtelna interwencja niosła ze sobą pewne poważne komplikacje, jeśli chodzi o cel Pielgrzymki. Nie był pewien, jakie próby przeciwstawienia się temu powinien podjąć.

Alarm cywilnej obrony Ellezelinu kompletnie go zaskoczył. W egzowizji Ethana pojawiła się nagle chmara czerwonych ikon. Pięciu w pełni opancerzonych strażników ze Służby Ochrony gabinetu wpadło do owalnego sanktuarium, a pola siłowe zamigotały wokół Pałacu Sadowego. Dalsza grafika w egzoobrazach ukazała mu kolejne ochronne strefy włączające się, by osłaniać rdzeń Makkathranu 2, a następnie odleglejsze strefy miejskie. Alarm pochodził z obywatelskiej agencji lotów kosmicznych. Na orbicie nad Ellezelinem coś się działo.

- Proszę pana - powiedział dowódca oddziału Bezpieczeństwa. - Pozwoli mi pan zaprowadzić się do bezpiecznego schronu.

W podłodze utworzył się krąg, odsłaniając zsuw grawitacyjny. Raczej nieautentyczny, pomyślał leniwie Ethan. Choć, technicznie rzecz biorąc, dobre stosunki Stąpającego po Wodzie z miastem pozwalały mu przechodzić przez solidne podłogi do tuneli poniżej.

Dwóch ludzi z oddziału Służby Bezpieczeństwa wskoczyło w zsuwnię, gdzie sterowane ciężenie zassało ich naprawdę szybko. Ethan skoczył za nimi. Aby zwiększyć paradoks sytuacji, spadek przypominał sposób, w jaki Edeard latał makkathrańskimi tunelami podróżnymi. Z wyjątkiem tego, że Ethan poruszał się nogami naprzód.

Wypadł ze zsuwni w głębokim schronie, pół kilometra pod miastem. Schron stanowiła okrągła komora ze szklanymi przepierzeniami, która rozdzielala się na boksy i gabinety. Jego biuro prezydenckie już było oświetlone, ale pozostałe były niezajęte i ciemne. Zaskoczony szkieletowy zespół agencji bezpieczeństwa szamotał się, by stworzyć razem ze smartkorem schronu ogólny obraz sytuacji.

- Co mamy? - zapytał Ethan.

- Wyładowania elektryczne na orbicie, proszę pana - zameldował pułkownik agencji obrony. - Tysiąc kilometrów nad nami, w pierścieniu parkingowym. I, proszę pana, to ogień z broni na wysokim poziomie. Emisje są wyrafinowane. Sądzimy, że to dwa statki, oba w trybie maskowania. Nie wiedzieliśmy nawet, że tam są, dopóki nie zaczęły do siebie strzelać.

- Czy atakują powierzchnię? - Ethan natychmiast pomyślał o flocie Pielgrzymki, nadal w stanie budowy i niezwykle łatwej do uszkodzenia.

- Nie, proszę pana. O ile możemy się zorientować to tylko dwa statki walczące ze sobą. W ostatnich dziesięciu sekundach nie ma nowych wyładowań, więc prawdopodobnie już się skończyło.

- Tak szybko?

- Tak, proszę pana - potwierdził pułkownik. - Nowoczesne bitwy są szybkie i rozstrzygające. Poziom mocy broni o tym decyduje.

- Więc możemy teraz dostać wyraźny obraz?

- Próbujemy, proszę pana. Nasze cywilne czujniki nie są do tego przystosowane. Pobliskie statki zostały zniszczone, wielkie pole wraków gwałtownie się rozszerza. Alarmujemy tereny miejskie na miejscach ewentualnych upadków.

- Ile okrętów zniszczono?

Od kiedy ogłosił Pielgrzymkę, bogaci wyznawcy Żywego Snu przybywali w prywatnych kosmolotach, sądząc, że będą mogli wziąć udział w locie do Pustki. Ostatnim razem, kiedy o to pytał, przeszło trzy tysiące parkowało na orbicie wokół Ellezelinu.

- Ponad dwadzieścia potwierdzonych zniszczeń, pięćdziesiąt uszkodzonych. Liczba ofiar śmiertelnych nieznana.

- Pani - jęknął Ethan. - Macie jakieś pojęcie, kim są przeciwnicy?

- Nie, proszę pana. Przykro nam.

- Czy flota Wspólnoty dzwoniła do waszej agencji?

- Jeszcze nie.

- Niech pan łaskawie się z nimi skontaktuje i formalnie zamelduje o tym konflikcie. Będę zainteresowany ich opinią.

- Tak jest, proszę pana.

Ethan niepokoił się, że konflikt w Parku Bodant jakoś wylał się na Ellezelin. Fakt, że kosmoloty były zamaskowane, stanowił dobrą wskazówkę, że na orbicie przebywali agenci frakcji. Prawdopodobnie zamierzali desperacko spróbować odzyskać Drugiego Śniącego dla własnych celów. Znowu się wahał, czy nie zadzwonić do Mariusa.

- Proszę pana - powiedział pułkownik. - Czujniki rezerwowe podłączają się. Mamy jakieś wyjaśnienie sytuacji. Jeden statek przetrwał nienaruszony. Wykrywamy mnóstwo szczątków.

- A więc zwycięzca - powiedział Ethan, kiedy włączył się do sieci agencji obrony.

Obraz małego statku pojawił się w jego egzowizji, gładka elipsoida otoczona niebieskawym migotaniem pola siłowego.

Wiedział wystarczająco dużo o nowoczesnym sprzęcie, by rozpoznać ulubiony typ przedstawicieli frakcji i agentów ZAN.

- Którym z nich jesteś? - powiedział cicho. - Zobacz, czy zdołasz nawiązać z nimi połączenie - polecił pułkownikowi.

Pułkownik nawet nie zdążył spróbować. Egzowizja Ethana wyrzuciła ikonę komunikacyjną, której się nie spodziewał. Kazał przepuścić rozmowę i udał się do swego supernowoczesnego biura. Dwóch opancerzonych członków oddziału Służby Bezpieczeństwa zajęło pozycję przy drzwiach. Osłona prywatności owinęła pomieszczenie.

- Dobry wieczór, Kleryku Konserwatorze - powiedział ZAN:Władze.

Ethan usadowił się w fotelu, który dostosował się do jego kształtu.

- Przyjmuję, że obserwowaliście walkę nad Ellezelinem?

- W rzeczy samej.

- Czy flota wie, co się dzieje?

- Admirał Kazimir został poinformowany.

- Kim są tamci?

- Jeden ze statków pilotuje agent pracujący dla mojego wydziału bezpieczeństwa.

- Rozumiem. Czy to on przeżył?

- Na szczęście, tak.

- A przegrany?

- Ktoś podejrzany o zdradę główną.

- Zdrada główna? - Ethan nie wiedział, czy powinien być rozbawiony, czy nie. - To brzmi bardzo dramatycznie.

- To informacja tajna, ale w ramach uprzejmości wyjawię panu, że flocie Imperium Ocisenów w drodze do Ellezelinu towarzyszą okręty alf.

Ethan siedział zupełnie nieruchomo. Przez sekundę myślał, że połączenie komunikacyjne może jakoś zawodzi.

- Alf? - zapytał, rad, że zamknął swoje gajafejsy. Jego szokowy impuls mógłby przestraszyć pracujący na zewnątrz personel.

- Właśnie - powiedział ZAN:Władze. - Jak pan sobie na pewno wyobraża, jesteśmy niezwykle zaniepokojeni tym faktem.

- Czy ten zniszczony na orbicie to statek alf?

- Nie. Wierzmy jednak, że miał coś z tym wspólnego. Na szczęście, mój agent zdołał uniknąć całkowitego przemienienia w parę podejrzanego statku, co przy nowoczesnych broniach jest niemalym osiągnięciem. Wysłałam zespół śledczy do zbadania wraku. Chcę wiedzieć, co wiózł podejrzany.

- Rozumiem. Mogę jakoś pomóc?

- Tak. Proszę, obejmijcie kwarantanną wrak na orbicie, aż do przybycia mego zespołu. Niech nikt go nie rusza. Mój agent pozostanie na orbicie, z rozkazami otwarcia ognia do każdego, kto zanieczyści tę scenę.

- Rozumiem. Polecę agencji obrony, by ustanowili strefę kwarantanny.

Kiedy to mówił, czujniki pokazywały mu statek ZAN, zbierający fragmenty zwartymi impulsami grawitacji, wyciągający je ze ścieżek zniszczenia, które by je wprowadziły w atmosferę.

- Dziękuję za współpracę, Kleryku Konserwatorze. To nie są łatwe czasy dla Wielkiej Wspólnoty. Mam nadzieję, że ta sytuacja zostanie rozwiązana, a senator z Ellezelinu ponownie zasiądzie w swym fotelu.

Ethan nie zadał sobie trudu, by podkreślić, że polityka Wspólnoty nie będzie miała znaczenia wewnątrz Pustki. W gruncie rzeczy tak samo, jak nowa agresja alf.

- Czy flota jest w stanie powstrzymać inwazję Ocisenów? - zapytał.

- Tak. Jest w stanie i zatrzyma.

- Dziękuję.

Rozmowa skończyła się i Ethan usiadł swobodniej, dopiero teraz uświadomiwszy sobie, jak napięte miał mięśnie. Za oczyma narastał mu ból głowy. Miewał je teraz często, mimo że usunięto ostatni półorganiczny implant. Lekarze ostrzegli go, że mózg będzie potrzebował czasu, by w pełni wyzdrowieć. Ethan poczekał chwilę, zbierając myśli, a potem wezwał do siebie pułkownika obrony.

- Ocalały statek pozostaje na orbicie. Niech pan ustanowi wokół niego dwustukilometrową strefę kwarantanny. Nikt nie może do niego się zbliżyć, wszystko jedno, kto to będzie.

- Proszę pana. - Pułkownik oblizał wargi. - Statki ratownicze mogą potrzebować...

- Nikt - powiedział twardo Ethan.

- Tak jest.

Pułkownik jeszcze nie opuścił biura, kiedy zadzwonił Marius.

- Bardzo nieprzyjemne wydarzenie na waszym niebie - powiedział przedstawiciel.

- Czy tam w górze był jeden z waszych agentów?

- Ktoś z nami stowarzyszony, tak.

- ZAN:Władze prosiła o kwarantannę wokół wraku. Powiedziała, że alfy stanowią część floty Ocisenów. Mówiła, że jest tu powiązanie. Czy to prawda?

- Nic o tym nie wiem. Nie mam dostępu do materiałów wywiadowczych floty.

- Naprawdę?

- Tak. Naprawdę.

Ethan zastanawiał się, czy powinien bezpośrednio zakwestionować słowa reprezentanta, ale nie widział w tym żadnych korzyści.

- Co robił wasz statek zamaskowany na orbicie wokół Ellezelinu?

- Czekał, aż statki Pielgrzymki zostaną ukończone, potem dostarczyłby przesyłkę systemów obronnych ze swej ładowni. Jak pan na pewno rozumie, nie chcemy, by leżały na ziemi, wystawione na widok ZAN.

Odpowiedź dość gładka. Ethan nie wierzył w to ani przez chwilę.

- Rozumiem.

- Nie chcemy też, by ZAN badała szczątki.

- To zupełnie nie leży w mojej gestii.

- Mój drogi Konserwatorze, jeśli ZAN wykorzysta systemy obronne, wiezione przez nasz statek jako pretekst do zredukowania naszego wkładu do pańskiej Pielgrzymki, żadnej

Pielgrzymki nie będzie. A to właśnie ten rodzaj pseudoprawnych argumentów, których uchwyci się, wielu ludzi.

- Ale nie mogę nic zrobić. Przecież nie zaatakujemy statku.

- Jedna z moich znajomych skontaktuje się z wami za pół godziny. Wyjaśni waszym technikom wormholowym, jak mogą pomóc naszej sprawie

Marius zamknął połączenie.

- Pani droga. - Ethan ujął głowę w dłonie.

Wydarzenia stały się zbyt wielkie, ich bezwładność samoistnie narastała. Spróbował wspomnieć, czemu w ogóle zgodził się na pomoc przedstawiciela. Ultranaśęd zmieniał się w ostateczny zatruty kielich. Ale nawet gdyby wrócił do zaopatrzenia statków Pielgrzymki w zwykły hipernapęd, one nadal potrzebowałyby pomocy do ominięcia raielów-wojowników w Zatoce. Nie mógł zrobić nic więcej, jak próbować przetrwać kryzys.

Gdybyśmy tylko mieli Drugiego Śniącego, nasza pozycja byłaby znacznie silniejsza. Ona jest kluczem do naszego sukcesu. Musimy ją pozyskać. Musimy, bez względu na koszty.

\*\*\*

Rada Egzo-Protektoratu obserwowała, jak nowe okręty klasy Capital wyrównują wektory lotów nadświatlnych z flotą Imperium Ocisenów.

Pięć okrętów floty skupiło swe czujniki na pojedynczym okręcie alf, starając się wyciągnąć go z hiperprzestrzeni.

- Ten zwyczaj zmienia się w wulgarną repetycję - powiedziała Ilanthe, głosem jedwabistym od pogardy.

Kazimir nie zdawał sobie wcześniej sprawy, jak bardzo brakuje mu w Radzie Gore'a. Jego dziadek doskonale równoważył adwokatkę Progresywiistów. Mówiąc dokładniej, dziadek nie zniósłby jej idiotycznych kąśliwych uwag.

Crispen nieznacznie uśmiechnął się do niej.

- Zastanawiałas się, jaki skutek wywierają na Ocisenów te fragmentaryczne rajdy? Mam na myśli: kiedy ich najpotężniejsi sprzymierzeńcy zostają wyciągnięci z kosmosu i zniszczeni bez ostrzeżenia. To nie może wpływać dobrze na morale.

- Nie porównuj psychiki Ocisenów z naszą - ostrzegł Creewan. - Posłuszeństwo wobec ojca gniazda jest ich nadrzędną troską, w gruncie rzeczy jest ich troską jedyną. Oni nie kwestionują i nie martwią się skutkami tak jak my.

- Co sprawia, że przechwycenie jest nawet jeszcze bardziej bezcelowe - dodała Ilanthe. - Nie można nimi wstrząsnąć. Nie zawrócą, nawet jeśli wyeliminujemy wszystkie okręty alf, jakie tam są.

- Nie eliminujemy ich - powiedział Kazimir obojętnym tonem. - Chcemy dostać żywą alfę osiadłą.

- Co takiego? - zapytał ostro John Thelwell. - Myślałem, że to jest końcowe, ostateczne ostrzeżenie, nie jakaś misja pozyskiwania.

Kazimir spojrział w oczy Ilanthe nad stołem konferencyjnym. Błyskawica za wielkim, zaokrąglonym oknem, pogłaskała ich twarze ostrymi szczapami migoczącego światła.

- To jest ostatecznie ostrzeżenie. - Trzeba jej przyznać, ani drgnęła, ale nie oczekiwał tego po niej.

Niecałą godzinę temu Paula zameldowała, że stacja Progresywistów na lodowym księżycu została zniszczona bombą kwantową. Kazimir był nieco zdziwiony, że Ilanthe w ogóle pojawiła się na Radzie Egzo-Protektoratu. Musiała wiedzieć, że niezłomny śledczy zbliża się do takiego dowodu, który wystarczy ZAN do zawieszenia Progresywistów.

- Czego, na miłość boską, chcecie od alfy osiadłej? - spytał Creewan.

- Informacji wywiadowczych - wyjaśnił Kazimir. - Musimy wiedzieć, skąd przybyli, z której planety, lub jaką planetę skolonizowali. Poznać liczbę okrętów, poziom techniki. Kiedy flota odstraszaająca wyeliminuje Ocisenów, oni będą następnym celem floty.

- Miło mi to słyszeć - oznajmił John Thelwell.

- Tak - odparł Kazimir. - Będzie interesujące dowiedzieć się, jak uniknęli Zapory Przeciwogniowej.

Nadal nie wywołał żadnej reakcji u Ilanthe.

Statki floty wyrwały pojedynczy okręt alf z hiperprzestrzeni. Nie mógł winić kapitanów, ich strategia była bezbłędna,



poddawała pole siłowe okrętu naciskom nie do odparcia. Kiedy w końcu pole siłowe poddało się, ogień skupiony na kadłubie był minimalny. Zastosowali bojowe środki elektroniczne, zakłócając elektronikę i przerywając obwody zasilania kwantowymi impulsami magnetycznymi. Na poziomie, który nie zakłócałby układu nerwowego alf. Nawet jeśli wyłączono system podtrzymywania życia, żywym alfom wystarczyło powietrza i ciepła, by dotrzeć do chwili schwytania.

Zespoły atakujące przygotowały się do przeskoku.

Okręt alf eksplodował.

- Cholera - warknął Kazimir.

- Wierzę, że ta komedia zakończyła się ku twojej satysfakcji - oznajmiła Ilanthe. - Admirale, czy teraz zastosujesz flotę odstraszącą zgodnie z rezolucją Komisji Bezpieczeństwa Senatu?

Creewan i John Thelwell patrzyli uważnie.

- Tak - odparł Kazimir. - Natychmiast zarządzę wylot floty odstraszącej.

I co tam umieściłaś, by ją usidlić? Co knujesz?

\*\*\*

Kobieca postać Ilanthe translokowała się ze staromodnej dostrzegalnej rzeczywistości pokoju konferencyjnego. Przybrała nowy kształt w zupełnie innej strefie ZAN, w kompilacji Progresywistów, która objawiała się jako odwrócony świat ciemnych barw podstawowych. Chodziła po soczysto zielonym niebie, a nad głową falował jej heliotropowy ocean. Latające kosmyki niebieskiego światła o odcieniach zimorodka prześlizgiwały się obok niej, mrugając w złożonych sekwencjach określających poziom ich rozumności. To byli strażnicy lustrzanych osobowości, wykonujący w tle wyznaczone zadania, podczas gdy pierwotna umysłowość operowała na górnym poziomie hierarchii. Charakterystyczne fragmenty ciała Ilanthe zanikły do prostej, pozbawionej skaz srebrnej skóry, a jej własni strażnicy wlecieli, trzepocząc, siadając na jej ramionach i rękach

niczym drapieżne ptaki. Dane przeciskały się przez porowatą dla informacji skórę ograniczającą.

Pierwsza analiza dotyczyła przejęcia na Ellezelinie. Wszystkie ocalałe fizyczne części kosmolotu Chatfielda zostały zamknięte przez algorytmy trajektorii, ekstrapolowanej z potwornie prymitywnych matryc czujnikowych Ellezelinu i udoskonalonej. Lot osiemdziesięciu tysięcy strzępków materii został zdefiniowany w rzucie czterowymiarowym, przypominając szczególnie piękny rozbłysk szkarłatnego fajerwerku.

Analiza punktów wyjściowych wyznaczyła krytyczne segmenty sprzętu przewożonego przez Chatfielda. Fragmenty egzotycznej materii już się rozkładały, kiedy rozbito ich spójność. Ale przetrwało wystarczająco wiele kawałków. Będzie możliwe określenie fałd szczelinowych w nich zawartych, zanim sekwencja rozkładu zniszczy je całkowicie. ZAN mogłaby być zdolna odtworzyć typ tego sprzętu, a to zrujnowałoby wszystko.

Dalsze dwa pozbawione wyrazu humanoidalne kształty szły przez niebo. Koledzy Progresywiści, Colabal i Atha. Ilanthe przesłała im modele trajektorii.

- Sam nadzoruj wormholowe przejęcie - poleciła Athi. - Będzie musiało być szybkie, agent ZAN zobaczy, co się dzieje, i zacznie zniekształcać hiperprzestrzeń. Będziecie musieli zebrać siedem tysięcy fragmentów.

- Potwierdzam - zakomunikował Atha. Postać zredukowała swoje wymiary do zera i translokowała się.

- Czy replika funkcjonuje? - spytała Ilanthe Colabala.

- Tak. - Niebo pod ich stopami zaczęło falować we wzrastającym gwałtownie tempie, jakby obok nich pędziły cienkie chmury burzowe.

Sekcja żarzyła się bladobursztynowym odcieniem. Ilanthe zanurzyła się w nią.

Jeden z agentów Progresywistów, prowadzony przez Colabala, zebrał z apartamentowca w Colwyn City DNA Araminty. Jego sekwencjonowanie dostarczyło Progresywistom dosyć danych, by określić nerwową strukturę Araminty. Każdy strzępek informacji o jej przeszłości został przekształcony w symulowane

wspomnienia i załadowany. Ilanthe zdawała sobie sprawę, że wspomnienia te są żałośnie niewystarczające, ale sklecona osobowość była najlepszym przybliżeniem psychiki Drugiej Śniącej, jakie byli w stanie wytworzyć. Dziwne, nie było gajafejsów - jak się podłączyła do gajafery, pozostawało zagadką.

Ilanthe unosiła się w środku utworzonej podobizny i splatała z krającym wewnątrz umysłem. Szmaragdowe nici symulowanych nerwów wtopiły się w jej główną umysłowość. Ilanthe przyjęła widok płonącego apartamentowca przy Parku Bodant, wchłonęła impuls szokowy, wypuszczony przez Aramintę do gajafery. Uczucia szalały wokół niej, łączyły się ze wspomnieniami przypadkowymi, ulotnymi skojarzeniami, włączały irracjonalne reakcje uczuciowe.

Ilanthe odłączyła się.

- Laril - powiedziała. - Zwróci się do byłego męża o pomoc. To niepokojące wspomnienie trzepotało w jej myślach, nielogiczne i wątle. On reprezentuje stabilność, której nie znała od tamtego czasu. To nie jest dla niej miłe schronienie, ale takie, na którym można polegać. Potrzebuje tego bardziej niż czegokolwiek innego.

- On migruje do wewnątrz - oznajmił Colabal. - To sprawia, że jest podatny na wpływy. I ma ustaloną reputację. Możemy sprawić, że współpraca będzie dla niego korzystna. Jest również słaby. Skapitułuje przed groźbami.

- Kontynuujcie - poleciła Ilanthe. Otworzyła bezpieczne połączenie do Neskii. - Marius popełnił olbrzymi błąd, włączając Chatfielda tak wcześnie do operacji - poinformowała szefową stacji. - I wykorzystanie Kotki przeciw Pauli było następnym bykiem. Nie powinien być taki głupi, by wykorzystywać osobistą animozję. Jego głupota wystawiła nas na nieakceptowalny poziom ryzyka. Proszę cię, obejmij bezpośrednio dowództwo nad rojem i przyrowadź go do Sol.

- Zaraz do niego polecę - oznajmiła Neskia. - Czy chcesz, bym wyeliminowała Mariusa?

- Jeszcze nie. Ograniczę mu swobodę inicjatywy. Powinno to podzielać jako odpowiednie ostrzeżenie. Podcinanie skrzydeł tym, którzy latają najwyżej, jest zawsze dla nich ostrym działaniem dyscyplinarnym.

- Zawsze uważałam, że nie można na nim polegać.

- Wiem. Jego temperament nadawał się do większości zadań, które mu wyznaczano. Może doszedł do tego, że tak bardzo cieszy go gra, że stracił z oczu cel. Zdarza się to dość powszechnie.

- Cóż, mnie z pewnością się to nie przydarzyło.

- Spotkam się z tobą w umówionym punkcie. Jeśli wszystko pójdzie dobrze. A powinno: Kazimir autoryzuje wykorzystanie floty odstraszałej.

- Wreszcie! Ciekawa jestem, co to jest.

- Wkrótce się dowiemy. - Ilanthe przerwała połączenie z agentką. Nad nią, ze spokojnych lustrzanofioletowych fal wyślizgnęła się czarna kula, nie większa niż dwukrotny wzrost Progresywistki. Powstała, by ją przywitać, wślizgnęła się przez pozbawioną cech powierzchnię.

Wynurzyła się ze ściany komory, mierzącej, jak się wydawało, pół miliona kilometrów średnicy. Cytadela etosu Progresywistów. Ilanthe, jak starożytny bożek, rozpoczęła lot, pędząc przez łańcuch kul wielkości planet, płynących leniwie przez ogromną sformatowaną szczelinę. Stada kolegów Progresywistów migały obok niej, wołając coś na powitanie do swej przywódczyni. Za sobą ciągnęli długie łańcuchy możliwości, fragmenty nierzeczywistości, które walczyły o istnienie, a potem rozpływały się w sen. Oni wszyscy, wszyscy z jej rodzaju, starali się odcisnąć własne piętno na zmodyfikowanej czasoprzestrzeni swojego sztucznego środowiska, nagiąć rzeczywistość do swoich życzeń. Tak jak bez trudu nagięła ją Pustka. Każdą sekundę istnienia poświęcano przewidywaniom własności struktury, która miała osiągnąć swoją ostateczną postfizyczną postać.

Na górze połyskiwał ze stłumioną mocą rdzeń inwersyjny, przygotowany dla Ilanthe. Gotowy do wyrwania się na wolność i wyniesienia ludzkiej ewolucji na wyżyny, których nawet ZAN nie

umiała zwizualizować. Gotowy zmienić naturę wszechświata raz na zawsze.

\*\*\*

Taksówka Wurung Transport dotarła do końca linii metra we wczesnych godzinach rannych. Araminta niezupełnie drzemała, kiedy pojazd zatrzymał się łagodnie w środku dzielnicy Francola. Nigdy wcześniej tu nie była, nigdy nawet nie brała pod uwagę żadnej z nieruchomości, które wystawiano tu na sprzedaż. Ekonomicznie rzecz biorąc, teren był równie podupadły jak dzielnica Salisbury, ale tu upadek był subtelny, niemal nobliwy, jak gdyby dzielnica zapadła w błogą drzemkę niczym zadowolona ze swego losu wioska emerytów. Budynki tutaj były przeważnie rezydencjami. Wielkie i drogie w okresie budowy - teraz często podzielone na apartamenty. Rozległe ogrody dojrzały, drzewa wyrosły ponad dachy i rzuciły w ciągu dnia długie cienie. Zeschłe liście utworzyły na drodze suchy płaszcz, poruszający się, gdy obok przemykała taksówka.

Araminta otworzyła drzwi i z trudem wyszła na zewnątrz. Suche brązowe liście pod butami chrzęściły. Rozglądała się wokół, orientując się w położeniu. Jakieś półtora kilometra stąd, za domami bezpośrednio przed nią, pole siłowe miasta wyglądało jak niemal pionowa ściana migoczącego powietrza. Araminta wyciągała szyję, śledząc wzrokiem pozbawioną substancji barierę, która zakrzywiała się w górze i przykrywała całość Colwyn City. Płaska warstwa oświetlonych gwiazdami chmur rozdzielała się i prześlizgiwała wokół pola. Same gwiazdy wydawały się odkształconymi plamami światła, pstrzącymi pole wysoko nad rzeką pośrodku miasta. Znowu pochyliła głowę, niemal oszołomiona.

- Wracaj do najbliższego publicznego parkingu i czekaj tam na mnie - poleciła taksówce.

Nie spodziewała się, że wróci, w każdym razie nie w najbliższym czasie, ale paranoja ostatnich kilku dni przełączyła jej mózg w tryb działania bardzo ostrożnego.

Drzwi zamknęły się, taksówka, brzęcząc, odjechała po szynach. Araminta instynktownie wiedziała, dokąd iść - za domy, gdzie kończyły się ulice i zaczynał pas miejscowych drzew dapolowych, służący za bufor między budynkami i polem siłowym. Tam jej umysł czuł ciepło, spokój kontrastujący z wybujałym rozgardiaszem emocjonalnym gajaszfery.

Szła chodnikiem, w dół łagodnego zbocza, cofając się od czasu do czasu przed żywopłotami, które wyrosły na tyle, że pochylały się nad popękany, porośnięty mchem betonem. Małe nocne gryzonie czmychały wokół w poszyciu. Słyszała dobiegające skądś miauczenie kotów - w nieruchomym powietrzu niosło się ono daleko.

Ostatni dom na końcu zaułka był niemal zatopiony w roślinności z własnego ogrodu, niepielęgowanego od lat. Drzewa z leśnego tła powoli odzyskiwały teren, który kiedyś oczyszczono dla trawników i ozdobnych klombów. Las przybliżał się przyptywem bujnej roślinności z nowymi pędami, wystrzelającymi coraz bliżej omszałych ścian domów.

Teraz już widziała dół pola siłowego, zawieszono go dwadzieścia metrów nad ziemią. Z jej perspektywy wydawało się, że wspiera się na szpiczastych szczytach drzew. Cressida poinformowała ją, że lukę strzeżono, choć nie powiedziała, w jaki sposób. Araminta nie miała zamiaru tego badać - z pewnością nie widziała żadnych ellezelińskich kapsuł, nawet gdy wykorzystwała swą funkcję nocnego widzenia. Niestety, jej dziedzictwo Awangardów nie dorosło do wyposażenia jej w widzenie w podczerwieni. Brak wiedzy, co czai się wśród drzew, sprawił, że wyobrażała sobie, że coś ją obserwuje wzbogaconymi zmysłami, kpiąc cicho na widok jej nieporadnego błędzenia.

Kruszejący, enzymatycznie wiązany beton ustąpił trawie i rozłożystem wachlarzom paproci biczowych koloru indygo. Araminta przepchnęła się przez nie ku szerokim odstępom między drzewami dapolowymi. Nie było tu myśli rzutowanych na lokalną gajaszferę, w każdym razie myśli ludzkich. Łagodne myśli silfeńskiego Ostrowa Matki wydawały się trochę mocniejsze. Najmocniejsze z jednego kierunku. Odwróciła się w tę stronę i

odpychała z drogi ostre gałęzie. Gęste liście paproci przyciskały się do jej nóg, ich zawinięte kosmyki, wilgotne po nocy, utrudniały marsz.

Zamarła, widząc niebieskie i czerwone smugi światła z laserów, omiatających płataninę drzew. Zbyt dobrze poznała stroboskopowe światło ellezelińskich kapsuł wspierających. Ta była tuż za polem siłowym, leciała wolno po płytkiej krzywej. Patrol skanujący, czy jacyś obywatele nie starają się uciec przed inwazją.

Umysły załogi i paramilitarnego oddziału w kapsule emitowały mętne żarzenie myśli do gajASFery. Wszyscy byli zmęczeni, emocjonalnie i fizycznie. Nienawidzili Colwyn City i jego oburzonych mieszkańców.

Araminta stała nieruchomo, dopóki kapsuła nie odleciała. Była teraz blisko pola siłowego, może ze dwieście metrów, ale drzewa musiały ją zasłonić przed czujnikami kapsuły. Od wilgoci na liściach paproci biczowych przemoczyła nogi. I zaczynała czuć się nieco głupio, brnąc w nocy przez las, szukając ścieżki, która tak naprawdę była jakimś rodzajem obcego wormholu. Podobno mogła go wyczuć, ponieważ jej przodkini była przyjaciółką elfów, a magia przechodziła przez żeńską linię krwi.

- Wszystko to wydaje mi się bardzo sensowne - powiedziała do siebie cicho. Ciekawa jestem, co ta ja sprzed tygodnia sądziłaby o tej całej sprawie.

Na szczęście, natknęła się na wąską ścieżkę i ruszyła nią. Paproć nie czepiała się już tak bardzo, choć nadal Araminta musiała odgarniać gałęzie.

Ozzie drogi, czy naprawdę zaledwie tydzień temu prowadziłam zupełnie zwykłe życie? I nie dzwoniłam od paru dni do Boveya. Musi zamartwiać się na śmierć. Cressida też musi się martwić i być zła, że nie potwierdziłam mojego biletu poza planetę.

Drzewa teraz stały rzadziej, szlak rysował się wyraźniej. Nie wiedziała, czy sprawiło to słabe światło świtu, czy to jej umysł oświetlał wąski pas gliniastej gleby, po którym wcześniej przeszło tyle stóp. Ale wiedziała, że idzie właściwą drogą. Ta wiedza nadeszła w formie ulgi. Nowo odkryta pogoda ducha

ustąpiła już po paru metrach, kiedy Araminta instynktownie pogodziła się z tym, że ścieżka naprawdę zabiera ją z macierzystego świata.

Wyrzucają mnie stąd siłą, myślała gorzko. Nie pożegnałam się nawet z ludźmi, których kocham. Nie było ich wielu, ale powinnam mieć taką możliwość. Choć już czuła się pewniej, używając gajASFery, bała się wejść do unisfery. To będzie pierwsza rzecz, którą musi załatwić, kiedy dotrze do jakiegokolwiek wspólnotowego świata na swojej drodze. Araminta chciała wiedzieć, kim, do diabła, jest Oscar Monroe i czemu jej pomaga. Jeśli mówi prawdę, że pracuje dla ZAN i ZAN chce, by była wolna, to jakaś nadzieja istnieje.

Araminta wiedziała, że do świtu nadal pozostały ze dwie godziny, ale stanowczo robiło się jaśniej. Teraz nie rozpoznawała większości otaczających drzew; stare, znajome drzewa dapolowe stawały się rzadkie. Nowe były wyższe i smuklejsze, o cieńszych gałęziach i srebrnozielonych liściach. Dziwne lawendowe gwiazdziste kwiaty zerkały przez szorstką trawę o żółtym odcieniu. Grunt zaczął się pochylać. Przez górne gałęzie nowych drzew nie było widać ani śladu pola siłowego. A gajASFera zanikała, pozwalając napiętym myślom Araminty rozszerzyć się, uspokoić głęboki niepokój zatruwający jej ciało. Gdzieś tam silfeński Ostrów Matki uśmiechał się do niej ze współczuciem.

Drzewa się przerzedzały. Araminta zadrżała od poddmuchu zimnego powietrza. Potarła dłońmi ramiona i podciągnęła przód polaru. Potem wyszła z linii drzew i zatrzymała się jak wryta.

- Och, wielki Ozzie - powiedziała z radością i zdumieniem.

Znajdowała się w połowie stromej ściany doliny. Trawiaste zbocze pod jej stopami schodziło ku szerokiej, wijącej się rzece. Za rzeką, może trzydzieści, czterdzieści kilometrów stąd, wznosiła się druga ściana doliny, jej szczyty pokrywało pole grubego śniegu. A nad nim... Araminta osłoniła oczy przed pomarańczowym słońcem zerkającym spomiędzy postrzępionych wierchów. Kwartet drobnych księżyców pędził po niebie, księżyce w swej drodze okręzały się wzajemnie. Araminta była pewna, że jeden z nich musi być z niebieskiego



kryształu, słoneczne błyski odbijały się od jego faset, kiedy kręcił się w koło i w koło.

Viotia nie miała takich księżyców. Tak naprawdę, Araminta nie słyszała, żeby gdziekolwiek takie były.

W dali, na drugim brzegu rzeki, wśród zagajników i leśnych płacht, Araminta wyczuwała początek następnej ścieżki. Ruszyła w dół, roześmiana i uradowana z powodu swego wyzwolenia.

## Dwunasty sen Iniga

Na bezchmurnym niebie nad miastem zaświeciło letnie słońce. W Makkathranie nastął dzień wyborów. Nareszcie! Zamieszki, banicje, rozruchy w Sampalok, dwa tygodnie zażartych kampanii obu kandydatów oraz wściekłego obrzucania się błotem przez Reprezentantów Dzielnic - to wszystko minęło. Nadszedł dzień, w którym obywatele wyrażą swą opinię o wydarzeniach i wyborczych obietnicach.

Edeard biegł do Jeavons przez most nad Kanałem Braterstwa. Poranna rosa na trawie właśnie zaczęła parować. Napełniła powietrze wspaniałym, świeżym zapachem, który z kolei napełnił Edearda uczuciem nieuzasadnionego optymizmu. Nieuzasadnionego, ponieważ nastroju miasta nie dało się określić. Tyle się wydarzyło, tak wiele należało przemyśleć. Pogłoski i podszepty z obozów kandydatów. Można było w nie wierzyć lub je ignorować. Nikt nie mógł przewidzieć wyniku wyborów.

Jedno wydawało się pewne: mnóstwo ludzi zagłosuje. Przebiegając przez ulicę Golfiee, Edeard wyczuwał mieszkańców, wstających wcześniej na śniadanie. Dzień wyborów zawsze przypadał w święto. Sklepy, które normalnie o tej porze przygotowywały się do otwarcia, były zamknięte na głucho, na placach targowych nie rozłożono straganów.

Święto, ale nie zabawa. Atmosfera była zbyt napięta. Podkreślało ją pięćdziesięciu banitów - rozbili obóz wśród drzew za Bramą Północną i nie chcieli się stamtąd ruszyć. Krewni, przyjaciele i sprzymierzeńcy polityczni stale przynosili im jedzenie i organizowali publiczne kwesty. Nie dali zapomnieć o całej sprawie.

Edeard pośpiesznie wbiegł po schodach do swego mieszkania. Na zewnętrznej galerii oczekiwał go Dinlay. Uśmiechnęli się do

siebie szeroko i weszli do środka. Wspólne śniadania, po tamtym dniu w Sampalok, stały się czymś w rodzaju rytuału.

- Nadeszła chwila prawdy - zauważył Dinlay, kiedy Edeard rozebrał się i czmychnął pod prysznic.

- Tak! - zawołał Edeard, przekrzykując szum wody.

- Nie przypuszczałem, że tak wiele osób zadeklaruje udział w wyborach. Według mnie to swoiste zwyczajstwo.

- Co masz na myśli?

Dinlay usadowił się przy stoliku, gdzie jedna z gemałp podała mu owoce i płatki śniadaniowe. Drugi genistar pilnował kociołka na żelaznym piecyku.

- W końcu poruszyłeś ludzi. Zainteresowali się, kto rządzi miastem. Wcześniej naprawdę było obojętne, na kogo się głosuje. Po wyborach nic się nie zmieniło.

Edeard wyszedł spod prysznicza i zaczął wycierać się ręcznikiem.

- To raczej zasługa Finitana niż moja.

Dinlay się roześmiał.

- Chyba już nie dam się nabrać na twoją fałszywą skromność.

- W porządku, jeśli jestem tak pewien siebie, to dlaczego nie kandyduję?

- Nie nadeszła właściwa pora - zauważył Dinlay. - Mimo że sporo osiągnąłeś, nadal jesteś za młody na burmistrza. Nawet stanowisko kapitana, to niemal za wiele jak na twój wiek.

- Ha! - burknął Edeard.

Walsfol nie protestował przeciw sprytnym manewrom Ronarka. W zasadzie chętnie zaakceptował starego kapitana w swoim gabinecie w Pałacu Sprawiedliwości. Co istotne, Owain nie zgłosił sprzeciwu wobec awansowania Edearda, kiedy ten objął dowództwo posterunku w Jeavons. Szczwany burmistrz nie pozwoliłby sobie na otwarty konflikt ze Stąpającym po Wodzie, gdy nie znał nastroju miasta. Od czasu zamieszek w Sampalok Edeard i Owain skrupulatnie przestrzegali wobec siebie zasad etykiety. Czasem Edeard ledwie powstrzymywał śmiech, bo ich spotkania bardzo przypominały farsę.

Edeard trącił żartobliwie epolety przyjaciela.

- Dziękuję, kapralu.

- To co innego - oznajmił Dinlay, prostując epolety. - Te akurat są Zasłużone i zdobyte w pocie czoła.

Geszympans przyniósł do stołu dwa wielkie kubki herbaty. Edeard podniósł swój i spojrzał z troską na Dinlaya.

- Aaa... nie chciałeś zostać Mistrzem Sampalok, prawda?

- Na Panią! - Dinlay był szczerze oburzony. - Nie, Edeardzie. Jestem konstabłem. A to dzisiaj znaczy więcej niż przedtem, właśnie dzięki tobie. Mam zamiar zostać Głównym Konstabłem przy tobie, gdy zostaniesz burmistrzem.

- W porządku. Tam nieco improwizowałem.

- Wiem. Ale to był mądry wybór. On już teraz wie o wiele więcej o polityce Wielkich Rodzin, niż ja będę wiedział kiedykolwiek.

- Wielka Rada powinna się niepokoić z jej powodu, a nie z jego powodu - odparł Edeard.

- Fakt.

Znowu się uśmiechnęli, a potem skończyli w milczeniu śniadanie. Geszympansy uprzątnęły stół, zebrały rozrzucone ubranie joggingowe i włożyły je do kosza na pranie. Dinlay zauważył coś dziwnego i przerwał wkładanie bluzy. Trzecią ręką machnął jednym z dziwnych butów biegowych Edearda.

- Nie widziałem wcześniej czegoś podobnego. Czy takie mieli w twojej wsi?

- Nie. - Edeard wkładał bluzę. - To coś, co wyśniłem. Bardzo wygodnie się w nich biega.

Dinlay wzruszył ramionami i oddał but geszympansowi.

Wyszli razem z mieszkania i skierowali się do dzielnicowej sali zgromadzeń. Edeard omiótł wcześniej to miejsce dalwzrokiem. Dom z salą zgromadzeń stał samodzielnie pośrodku placu, dziwny, cebulowaty budynek na dwudziestu grubych słupach. Między nimi zamontowano wielkie składane drewniane drzwi, odcinając rozległe centralne audytorium od działania żywiołów. Wzdłuż zakrzywionej ściany wewnętrznej nad salą biegło osiem wąskich galerii, zapewniających dostęp do setek niewielkich nieoświetlonych kabin. Kabin pstrzyły całą konstrukcję - przypominało to plaster miodu. Wyjątkowo jak na Makkathran,

galerii nie połączono niewygodnymi schodami, lecz zastosowano strome pochylnie. Tak naprawdę, nikt nigdy nie wykorzystywał ani galerii, ani kabin.

Na podłodze audytorium ustawiono długie stoły i kabiny do głosowania. Konstable z posterunku w Jeavons przygotowywali salę razem z zespołem z Gildii Urzędników. Urzędnicy już mieli gotowe wielkie księgi rejestrów oraz zapieczętowane pudła z kartami do głosowania.

Na zewnątrz gromadzili się ludzie, choć sporo brakowało do oficjalnego czasu rozpoczęcia. Kiedy Dinlay i Edeard wynurzyli się z alei Forpal, wszyscy już kierowali wzrok na miejsce, gdzie się pojawili. Dalwzrok powiadomił ich, że Stąpający po Wodzie jest w drodze. Edeard, przechodząc przez tłum, miło się uśmiechał, ale umysł miał dobrze osłonięty i nikt nie dostrzegł jego zdenerwowania. Nigdy wcześniej nie widział wyborów. W Ashwell w głosowaniu na burmistrza brała udział tylko starszyzna wioskowa.

Felax otworzył drzwi i wpuścił ich do audytorium. Zasalutował, gdy go mijali. Edeard odpowiedział salutem - dobrze było znowu widzieć konstabli na służbie poza posterunkiem. Jego zespół zwalczania gangów zbyt długo musiał przerabiać stosy papierów jak grupa urzędasów. Teraz znowu konstable byli na zewnątrz, na patrolu, widziani przez obywateli i pomocni, tak jak należało.

Urzędnicy kończyli przygotowania. Uraarl przywołał gestem Edearda do pierwszego stołu.

- Pudła przygotowane do inspekcji, proszę pana.
- Dziękuję - odparł Edeard.

Spojrzał na Mistrza Urzędników. Mistrz skinął głową. Edeard wykorzystał dalwzrok do zbadania woskowych pieczęci na pudłach i sprawdzenia, czy przy nich nie majstrowano. Nie wykrył żadnych uchybień.

- Są nienaruszone - ogłosił.
- Potwierdzam - zgodził się Mistrz Urzędników.

Podał podkładkę do pisania Edeardowi, który musiał dla każdego pudła podpisać trzy egzemplarze protokołu. Mistrz dodał swój podpis.

Pod okiem Uararla Marcol i dwaj inni konstable-stażyci otworzyli pudła i rozkładali na stołach karty wyborcze. Marcol jak zwykle pracował pilnie. Bardzo się starał pozbyć cech nabytych w Sampalok i zostać przyzwoitym konstablem. Jego wysiłki przynosiły coraz lepsze rezultaty.

- Prawie czas - powiedział Mistrz Urzędników.

Edeard spojrział dalszwrokiem na Pałac Sadowy. Wielki Mistrz Gildii Urzędników stał na balkonie nad Złotym Parkiem. Ze stoickim spokojem czekał. W dłoni trzymał wielki mosiężny zegarek kieszonkowy. Wszyscy na sali przerwali swoje zajęcia i również czekali. Ta sama scena powtarzała się w innych dzielnicach w całym Makkathranie.

- Ogłaszam rozpoczęcie wyborów - oznajmił dalmową Wielki Mistrz.

Dinlay pokazał Felaxowi gest „wszystko w porządku” i drzwi audytorium zostały otwarte. Jako pierwsi weszli akredytowani obserwatorzy obu kandydatów na burmistrza. Przedstawili swe dokumenty Mistrzowi Urzędników i Edeardowi. Jak dyktowała tradycja, pierwszym głosującym był Balogg, bieżący Reprezentant Dzielnicy Jeavons. Po nim głosowali jego dwaj rywale. Wszyscy związani z Finitanem; twierdzili, że popierają wygnania.

Edeard obserwował głosowanie z zainteresowaniem. Ludzie podchodzili do urzędników, którzy na podstawie ksiąg potwierdzali ich miejsce zamieszkania. Następnie wydawano dwie karty do głosowania: jedną na urząd burmistrza, drugą na Reprezentanta Dzielnicy. Szli do małych kabin, by zaznaczyć głos. Większość wypuszczała mgiełkę sekluzyjną, choć niektórzy otwarcie i z dumą stawiali krzyżyki przy swoim kandydacie. Następnie karty wrzucano przez otwór w pokrywie metalowego pudła, już zamkniętego i zabezpieczonego. Klucze trzymał Wielki Mistrz Gildii Urzędników. Edeard nie podejrzewał, żeby ktoś potrafił oszukać system, gdy wszystko przeprowadzano na widoku i było nadzorowane przez uczciwych i solidnych oficjeli. Co, jak smutno przysnął, stanowiło słaby punkt.

Kiedyś Dinlay z rozbawieniem opowiadał mu o ukrytych urnach zapchanych kartami do głosowania przez jednego z kandydatów. „Pojawiły się” razem z prawdziwymi w Sali Malfit, gdzie liczono głosy. Opowiadał o martwych duszach w spisach wyborców. O łapówkach. O ludziach podających fałszywą tożsamość.

- Jeśli głosowanie nigdy nic nie zmienia, po co zadawać sobie tyle trudu? - spytał Edeard.

- Aby zagwarantować, że nic się nie zmieni - wyjaśnił mu wtedy Dinlay. - I pamiętaj, że Reprezentant jest opłacany za wypełnianie obowiązków w Radzie, mieszka we wspaniałej starej miejskiej rezydencji, oraz czerpie liczne inne korzyści. Niezły bodziec, by starać się o ponowny wybór.

Upłynęło czterdzieści minut i w głosowaniu nastąpił zastój, kiedy skończyły głosować ranne ptaszki. Edeard podszedł do urzędników i wziął własną kartę wyborczą.

- Pamiętaj, kto cię popierał - powiedział Balogg głośno i jowialnym tonem, kiedy Edeard ruszył w stronę kabiny.

- A ja zobowiązałem się, że będę dalej cię popierał, choćby nie wiem co! - wykrzyknął jeden z jego rywali

Edeard uśmiechnął się do nich, kiedy wchodził do kabiny. Oznaka dobrego humoru. Mimo to, nadal był napięty. Rozłożył kartkę na półeczce, wziął ołówek i rozpostarł mgiełkę sekluzyjną. Na karcie głosowania na burmistrza automatycznie postawił krzyżyk przy nazwisku Finitana. Zawahał się przy głosowaniu na Reprezentanta. Ballog okazał się pomocny i wykazał odwagę, podpisując nakaz wygnania w sprawie Volograła. Inni deklarowali ustnie poparcie dla polityki banicji, ale nie udowodnili tego w praktyce.

Ballog zasługuje na moje podziękowania za to, co zrobił, zdecydował Edeard i postawił krzyżyk przy nazwisku Reprezentanta. Zatem nic się nie zmieniło.

Demokracja to dziwna rzecz, pomyślał, kiedy wyszedł i wrzucił swój głos do metalowego pudła. Para ponurych młodziaków odbierała karty od urzędników. Idąc do kabin, nie patrzyli mu w oczy.

I tych dwóch może mnie przegłosować, pomyślał z niepokojem. Potem poczuł wstyd, że jest tak uprzedzony. To właśnie demokracja: pilnuje, by silni byli odpowiedzialni i by nie stali się zbyt silnymi. Rah miał słuszość, dając nam ten system.

Nastąpił kolejny przypływ głosujących ludzi po śniadaniu. Potem zastój. Przed południem kolejki do urn znowu się wydłużyły. Edeard skierował dalwzrok na Silvarum, potem na Drupe. Głosowanie przebiegało tam tak samo - nie było zbyt tłumne, ale też nie było zastojów. Przejrzał inne dzielnice. Wszędzie mniej więcej jednakowo. Z wyjątkiem Sampalok. Tam wiły się długie kolejki do dzielnicowego audytorium. Porządku pilnowało kilka oddziałów konstabli, więcej niż w pozostałych dzielnicach. Edeard zaobserwował parę kłótni z urzędnikami na temat miejsca zamieszkania. Oficjalni obserwatorzy kandydatów zapamiętali wtrącali się do sporów.

Do Sampalok nie mógł dzisiaj iść. Nawet gdyby wybuchła mała wojna o prawa do głosowania, miejscowi konstable musieliby sobie z nią poradzić, w razie konieczności wzywając posiłki z Bellis i Myco. Walsfol na wszelki wypadek opracował plany na różne ewentualności.

Muszę ufać, że inni ludzie wypełnią swoje obowiązki. To także jest demokracja.

O miejsce Reprezentanta Sampalok rywalizowało siedmiu kandydatów. Trzech popierało Stąpającego po Wodzie, czterech Bisego. Edeardowi nie podobały się te proporcje, ale znowu - to nie zależało od niego. Był po prostu zadowolony, że ktoś w tej dzielnicy go popiera. Choć Macsena i Kanseen chyba zaakceptowali. A przynajmniej do tej pory nie wyrzucili. Dzisiejszy wynik będzie istotnym wskaźnikiem, czy ich nominacja będzie trwała, czy też nie. Nikt nie kwestionował prawa miasta do wyznaczania Mistrzów Dzielnic - to było coś nowego, coś niezwykłego. Ale jeśli stara gwardia Bisego zyska poparcie, na serio zacznie się szeptana kampania.

Edeard nie wierzył, by ktoś głosował na Owaina po całej tej sprawie z milicją. Ale nigdy nic nie wiadomo.



Demokracja! Czy to właśnie dlatego rdzenni mieszkańcy miasta tak skutecznie osłaniają swe uczucia? By politycy stale mieli się na baczności?

Potem jego dalwzrok zatrzymał się na chwilę na ostatnio (ponownie) odrestaurowanym Domu Błękitnych Płatków. Z lekkim poczuciem winy obserwował proowainowskie przyjęcie, które dom urządzał dla swej klienteli. Ścisłe mówiąc, nie łamano prawa wyborczego, które zabraniało pieniędzy zachęt do głosowania na kandydata, ale do złamania prawa brakowało niewiele. Pokręcił głową z dezaprobatą. No cóż, drobna prowokacja typowa dla Ranalee. Zza stert mętnych dokumentów to właśnie ona wychynęła z legalnym tytułem własności do burdelu. I teraz Dom był tylko sprośnym biznesem, który składał właściwe formularze podatkowe w Gildii Urzędników. Edeard zostawił Dom i Ranalee w spokoju. Wyraźnie znalazła swoje miejsce w życiu, a tymczasem należało odbudować mosty i Stąpający po Wodzie nie mógł sobie pozwolić, by zarzucono mu mściwość. Razem z Finitanem doszli do wniosku, że jeśli miasto ma iść naprzód, pod dniem banicji należy narysować grubą kreskę.

Po kilkugodzinnej bezczynności w audytorium Edeard przekazał Dinlayowi dowodzenie, po czym udał się do Haxpen.

Kiedy przekraczał Kanał Lotny, namierzył go dalwzrok Finitana.

- Więc już głosowałeś, młody Edeardzie?

- Tak, proszę pana.

- Czy zyskałem twoje poparcie?

- Głosowanie to sprawa osobista, proszę pana.

- Z pewnością tak. Niestety. - W dalmowie można było wyczuć dobry humor Finitana.

- Czy wiadomo, jak idą wybory, proszę pana?

- Jak dotychczas sygnały są dobre. Ci, którzy rozmawiają z obserwatorami, są wylewni. Zgodnie z szacunkami sprzed godziny, prowadzę.

- Ale to dobre wiadomości.

- Pamiętasz, jak wkroczyłeś do Sampalok, by aresztować Buatego? Wydawało się, że wszystko szło gładko, a potem Owain o mało nie wygrał. Z nim zawsze trzeba się mieć na baczności.

- Pamiętam to, proszę pana.

- Ach... przepraszam, Edeardzie. Nie spałem od wielu dni. Niepokoję się. Co będzie, jak przegram? Postawiłem wszystko na te wybory.

- Pamiętam, co powiedział mi pan, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Oznajmił pan, że nawet ci na wysokich stanowiskach nigdy nie zdołają niczego zmienić. Wierzę, że wkrótce przyzna pan, że nie miał racji.

- Dziękuję. Przynajmniej obaj wiemy, że w tej sprawie zrobiliśmy wszystko. Na tej podstawie będą nas oceniać.

- Tak, proszę pana.

Kiedy przybył do rezydencji Culveritów, w środku niewiele się działo. Właściwie rezydencja była niemal pusta, jeśli nie liczyć kilku strażników, którzy dość ciepło go pozdrowili.

Kristabel czekała na niego w jednym z salonów na najwyższym piętrze. Siedziała przy szerokim, krytym skórą biurku, a po obu jej stronach piętrzyły się teczki z papierami. Włosy spięta w koński ogon, który swobodnie opadał jej na plecy. Miała na sobie sukienkę bladocytrynowego koloru i gruby naszyjnik ze złotych ósemek. Wyglądała w tym idealnie.

Kiedy wszedł, coś pisała. Śmigało długie onyksowe wieczne pióro. Na jej twarzy malował się cudowny wyraz intensywnego skupienia. Edeard chciałby zatrzymać ten obraz na zawsze.

- Wygląda, jakbyś podpisywała wyrok śmierci - zauważył.

Popatrzyła na niego z naganą.

- Właśnie to robię.

- Co takiego?

- Widzisz to wszystko? - Gestem dłoni objęła leżące obok papiery. - To moja rodzina, która stanie się twoją rodziną, gdy tylko się pobierzemy.

- To racja.

- Tata zdecydował, że będziemy mieli dla siebie całe dziesiąte piętro. To niesłuchanie miłe z jego strony. Ale oznacza także, że

on będzie mieszkać z Mirnathą na dziewiątym piętrze pod nami, razem z ciocią Rishą i kuzynem Gorralem, nie licząc wujka Lorina, jego żony, dzieci i trojga wnucząt. Wujka Lorina naprawdę to nie cieszy. Zeszłego wieczoru tata i on okropnie się o to kłócili. Tata po prostu utrzymuje, że wuj od początku wiedział, że to nieuniknione i że powinien to zaakceptować. Wujek Lorin oskarżył go, że abdykuje na twoją rzecz. Ale tata jest nadal Mistrzem, więc przeprowadza się na dziewiąte, co oznacza, że wiele osób zostanie przemieszczonych o piętro w dół.

- O, Pani, wiem, że twój wujek mnie nie lubi...

- Ha! Niech go Honious pochłonie. Nie on jest problemem, ale rodziny na trzecim piętrze, z którymi muszę sobie poradzić.

- Na trzecim?

- Tak. Poniżej mieszka tylko personel.

- Owszem.

- Kiedy wszyscy tutaj już się przemieszczą, jedenaście grup kuzynów musi się wyprowadzić.

- Jedenaście? - szepnęła z przerażeniem. Przyciągnęła krzesło i usiadł przed biurkiem. Jessile mówiła coś o swoim ojcu, że dał im posiadłość wiejską, ale to w ramach posagu.

- Tak, i to właśnie ja muszę gdzieś w naszym majątku znaleźć miejsce dla nich wszystkich. - Kristabel położyła rękę na stosie teczek. - To są szczegółowe informacje na temat ziem, farm, winnic, domów i innych naszych własności poza Równiną Iguru. Oczywiście, one są również zajęte.

- To wariactwo - stwierdził. - Rodziny nie powinny mieć obowiązku wspierania tak wielu... krewnych.

- Darmozjadów?

- Nie użyłbym tego sformułowania.

- Tak naprawdę, moi kuzyni z trzeciego piętra nie są tak wściewi jak ci wyżej. Oni przynajmniej wiedzieli, że pewnego dnia będą musieli się wyprowadzić. Większość z nich otrzymała jakieś wykształcenie, nawet jeśli niezbyt praktyczne. I niektórzy na serio rozważają teraz wstąpienie do Gildii. Kuzyn Dalbus już załatwił sobie patent w milicji. Ale ci pozostali nie mogą znieść

perspektywy, że tracą status, nie mówiąc już o miejscu na liście uprawnień.

- Liście uprawnień?

- Starsi członkowie rodziny mają prawo do pieniędzy z majątku Culveritów. Im dalej jesteś od sukcesji, tym kwota mniejsza.

- O, Pani, więc kiedy ja się pojawiłem... i bierzemy ślub...

- Tak naprawdę, uprawnienia wszystkich pozostają te same, póki nie przyjdą na świat dzieci. Wtedy wszyscy zjadą w dół listy.

Edeard uśmiechnął się szeroko.

- Ile dzieci planujemy?

- Sformułujmy to tak: musimy mieć siedemdziesiątkę, by usunąć z listy wuja Lorina.

- Ludzie zawsze powinni mieć w życiu jakiś cel.

- Edeardzie Stąpający po Wodzie! Jeśli sądzisz, że urodzę ci siedemdziesięcioro dzieci...

Zaśmiała się. Próbowała spojrzeć na niego gniewnie, ale tylko uśmiechnęła się ze znużeniem.

- A ile byś chciał?

- Nie wiem. Byłem jedynakiem, więc z pewnością więcej niż jedno. Ale zgadzam się na mniej niż siedemdziesiąt.

- W porządku. - Wstała. - Wznowimy negocjacje po obiedzie. Obawiam się, że będzie to zimny bufet. Cały personel głosuje.

- Och, dobra Pani, jak arystokracja cierpi dla dobra miasta. Dojdzie do tego, że będziesz musiała wydawać rozkazy własnym genistarom.

- Jeśli chcesz zachować zdolność spłodzenia choć jednego dziecka, uważaj, co mówisz.

- Tak, Mistrzyni.

Wyszli do ogrodu z widokiem na południowy zachód. Edeard instynktownie objął Kristabel ramieniem. Wiatr łopotał jej sukienką.

- Czy Finitan wygra? - spytała cicho.

- Musi. Nikt zdrowo myślący nie będzie głosować na Owaina. Z pewnością ludzie rozumieją, co kombinuje z milicją.

Zacisnęła wargi.

- To Makkathran. Wszystko może się wydarzyć.

- Czy już głosowałaś?

Kristabel obrzuciła go swoim specyficznym spojrzeniem.

- Nie, Edeardzie. Tacy ludzie jak ja nie głosują.

- Myślałem, że każdy ma prawo głosu.

- Każdy ma prawo. Ale jeśli głosuje senior Wielkich Rodzin, uznaje się to za dowód złego wychowania. I tak mamy już dostatecznie wiele władzy.

- Głosowanie przeciwko ustawie o zgodzie na nasze małżeństwo było dowodem złego wychowania. Mogłaś zmniejszyć przewagę Bisego, idąc na wybory.

- Dwie rzeczy złe nie czynią jednej dobrej.

- Taa, wiem.

- Czy on nadal tam jest?

- Bise? Tak. On i jego najbliższa rodzina wprowadzili się do jednej z farm Gilmornów trzydzieści kilometrów stąd.

- Skąd o tym wiesz?

- Argian zrobił dla mnie to, co robi najlepiej: sięgnął swoim dalwzrokiem.

- Nie jestem pewna, czy mu ufam.

- Czy wiedziałaś, że Rodziny mają agentów takich jak on?

- Tata nigdy nie mówił nic konkretnego, ale zawsze miałam świadomość, że jesteśmy chronieni inaczej niż zwykli ludzie. W razie potrzeby - sprawy załatwia się po cichu. Przypuszczam, że zostanę przedstawiona odpowiednim ludziom, kiedy zostanę Mistrzynią.

- Ciekaw jestem, komu są lojalni w czasach takich jak te.

- Najbardziej konserwatywnym rodzinom, uwierz mi.

- Prawdopodobnie masz słuszość.

Przytuliła się do niego.

- Uczysz się.

Jedli obiad w ogrodzie na długim kamiennym stole pod łukiem kwitnącego kapryfolium. Dołączyli do nich Julian i Mirnatha. Dziewczynka cieszyła się, że mogła wybierać sobie potrawy, które kucharze przygotowali zeszłego wieczoru. Kilka razy dokładała sobie wędzonego pagórkowca i śmietanowego sera, aż

ojciec powiedział jej, że dosyć tego. Boczyła się do chwili, gdy wzięła pudding z toffi i ciasta bananowego.

Potem spędzili leniwe, miłe popołudnie. Kristabel rozmawiała z ojcem na temat rozlokowania krewnych z trzeciego piętra. Edeard w końcu mógł się zorientować, jak szeroko rozciągały się rodzinne majątki Culveritów.

Dzięki tej miłej rodzinnej scenie mógł sobie wyobrazić następne stulecie: jego dzieci za trzydzieści lat przejmą dziewiąte piętro, a dalsi kuzyni z piętra trzeciego przygotowują się do opuszczenia budynku. To dawało poczucie ciągłości, konkretyzowało przyszłość. Dotychczas miał tylko ogólne pomysły, jak polepszyć życie. A tu widział szczegóły, plany rozwoju i jeszcze lepszych dni. Nie znał przedtem niczego podobnego.

Kapitan Ronark wywołał go dalmową w środku popołudnia.

- Spójrz, kto się pokazał, by zagłosować w Lillylight.

Edeard zogniskował dalmowca na aneks Opery, gdzie odbywało się głosowanie w Lillylight. Mistrz Cherix stał przed urzędnikiem przeglądającym spis wyborców. Edeard uśmiechnął się szeroko, wyczuwając wyraźną mentalną sygnaturę prawnika. Nie było żadnych wątpliwości - to zdecydowanie on. Edeard wykorzystał percepcję miasta i przekonał się, że Cherix panuje nad sobą i czeka cierpliwie, aż urzędnik znajdzie jego nazwisko.

- Ciekaw jestem, gdzie się zaszły?

Konstabile nie mogli go zlokalizować od dnia wygnania. W tym czasie Edeard miał na głowie ważniejsze sprawy niż łapanie prawnika.

- Co mamy zrobić, co sugerujesz? - spytał Ronark.

- Niech głosuje. Dostał nakaz wykluczenia tylko dlatego, że było mi to przydatne. Wszystkie nakazy spełniły swoje zadanie i przypuszczam, że powinniśmy skasować zaległe. A jeśli będę dręczył Cherixa w tej chwili, okażę małostkowość.

- W porządku. Porozmawiam dalmową z kapitanem w Lillylight.

Edeard nadal obserwował lokal wyborczy. Po paru minutach urzędnik znalazł dane Cherixa w księdze i wręczył mu karty do głosowania. Edeardowi wydawało się, że prawnika zaskoczyło

take załatwienie sprawy. Kiedy szedł do kabiny, na jego twarzy malowała się ulga.

Czy to było z góry ukartowane? Czy to Owain chciał wzbudzić odrobinę współczucia, czy po prostu Cherix chciał wiedzieć, na czym stoi? Pani, ale ze mnie nerwus.

- Dobrze się czujesz? - spytała Kristabel.

- Tak. - Uśmiechnął się uspokajająco.

Jeśli Owain nic gorszego dziś nie może zrobić, to czuję się doskonale.

\*\*\*

Kiedy Wielki Mistrz Gildii Urzędników stał na balkonie Pałacu Sadowego i ogłaszał koniec głosowania, Edeard był znowu w audytorium w Jeavons. Widział, jak urzędnicy pieczętują urny - potem to pisemnie poświadczył. Dwa oddziały konstabli wyniosły urny z sali. Dinlay miał im towarzyszyć do Pałacu Sadowego.

- Frekwencja osiemdziesięcioprocentowa - powiedział Mistrz Urzędników, zbierając swe papiery.

- Wysoka - zauważył Edeard.

- Nigdy mi się nie zdarzyło, żeby aż tylu wyborców zawracało sobie tym głowę. A to moje dwudzieste drugie wybory.

- To dobry znak?

- Dla niektórych. - Stary Mistrz uśmiechnął się ironicznie.

Do obliczania głosów zostało parę godzin. Edeard udał się gondolą do Sampalok. Teraz, kiedy ukończono głosowanie, jego wizyta nie niosła politycznych konsekwencji.

Wysiadł z gondoli przy hali Środkowego Stawu i poszedł ulicą Zumal. Mieszkańcy tej ulicy pozdrawiali go z rezerwą. Jak zwykle zwolnił, mijając piekarnię, gdzie postrzelono Boyda. Prawie wszystkie sklepy i punkty usługowe były znów czynne - wspomogły ich pieniądze pochodzące z majątku rodziny Diroal. W całej dzielnicy działo się to samo, większość szkód wyrządzonych podczas zamieszek naprawiono. Handel znowu szedł swą zwykłą bezkompromisową ścieżką.

Kiedy w końcu Edeard dotarł na centralny plac, nowy sześciokątny budynek wznosił się na ponad cztery metry i nad pierwszą kondygnacją wyrastała druga. Zgodnie z jego projektem, powinno być jeszcze sześć kondygnacji, każda następna większa od poprzedniej, na kształt odwróconej schodkowej piramidy. Według ostrożnej oceny, do ukończenia gmachu pozostało około czterech miesięcy. Wobec tego nowy Mistrz i Mistrzynie urządzili swój tymczasowy dom w tawernie Flaszka Bea po południowej stronie placu.

Edeard radośnie pomachał właścicielowi tawerny. Po paru dniach mężczyzna zaakceptował sytuację, zwłaszcza że dzięki temu wynajął wszystkie pokoje urzędnikom porządkującym finanse rodziny Diroalów. Dostarczał im również jedzenia i picia. Stołowali się też u niego czasami interesanci Mistrza i Mistrzynie - a odwiedzało ich wielu.

Macsen i Kanseen zajęli siedem pokoi na trzecim piętrze. Jeden z nich miał balkon, z którego mogli podziwiać wyrastanie nowej rezydencji na placu. Kiedy wszedł Edeard, gospodarze siedzieli właśnie na balkonie przy butelce białego wina. Edeard, dzięki naukom Kristabel, rozpoznawał jakość trunków. Kiedy go poczęstowali, spojrzął na etykietę.

- Niezłe - ocenił i pociągnął z kieliszka.

- Owszem. - Kanseen przeciągnęła się na fotelu. - Dziewczyne takie życie może łatwo zdemoralizować.

Edeard spojrzął na pudła i torby zgromadzone w pokoju za balkonem. Widniały na nich nazwy sklepów. Właśnie tam kobiety z Wielkich Rodzin nabywały swoje eleganckie ubrania.

- Miło widzieć, że wzniesiście się ponad to. Macsen zaśmiał się cicho i uniósł kieliszek.

- Istnieją pewne oczekiwania. Mistrz Dzielnicy musi im sprostać. - I odpowiednio się ubierać.

- Tak, podszedłem do tego bardzo poważnie. Załatwiłem sobie tego samego krawca, u którego Kristabel zamawia twoje mundury.

Edeard jęknął. Pociągnął większy łyk wina i usadowił się w fotelu obok przyjaciół.



- Jak idą wybory w Sampalok?

- Myślę, że względnie uczciwie - odparła Kanseen. - W każdym razie bez walk w lokalu wyborczym. Kilka razy konstable musieli interweniować, by przerwać ożywione kłótnie na temat miejsca zamieszkania, ale ze wszystkim sobie poradzili.

- Macie jakieś pojęcie, który z Reprezentantów został wybrany?

- spytał Edeard.

- Żadnego. Będziesz musiał poczekać razem z resztą miasta.

- Pani! Jak to znoszą kandydaci?

Macsen obserwował go leniwie.

- Niech nas Pani ma w swojej opiece, jeśli będziesz w końcu kandydował na burmistrza. Jak się będziesz wtedy zachowywał?

- Nigdy nie będę kandydował. Teraz też nie wiem, jak to jest.

- Ha! - Macsen upił łyk wina.

- Słyszałam, że nasz przyjaciel Cherix z powrotem wpełzł do domeny publicznej - powiedziała Kanseen.

- Tak. - Edeard patrzył na wino w kieliszku. - Bez niego po prostu nie wiedzielibyśmy, że żyjemy.

- Musisz panować nad emocjami - zauważyła Kanseen. - Oni to wykorzystają.

- Kto? - obruszył się Macsen. - Nie pozostał już nikt, kto ponownie wprowadziłby gangi. Owain przegra. Rodziny zaakceptują Edearda i przystosują się, jak zwykle. Dla nich zmieni się niewiele, ale zwykły obywatel będzie miał o wiele lepiej. I najważniejsze: Bise powoli straci wpływy razem ze swoimi tak zwanymi przyjaciółmi. Argian mówił mi, że jego starzy sprzymierzeńcy już są nim coraz bardziej zmęczeni. Te wybory przypieczętują jego koniec.

- O, Pani, proszę, spraw, by tak się stało - powiedział cicho Edeard. - Czy Bise zdołał ocalić coś z majątku?

- Nikt nie wie - odparł kwaśno Macsen. - Urzędnicy solidnie pracują nad inwentaryzacją majątku Diroalów. I dotychczas powiedzieli mi tylko, że przesłedzenie wszystkiego do ostatniego grosza zajmie lata. Podejrzewam, że mnóstwo z tego nigdy nie zostanie odzyskane. Bise i jego przodkowie potrafili dobrze ukrywać całe obszary dóbr. Podobnie jak reszta Wielkich Rodzin,

Diroalowie wiedzą, jak uniknąć płacenia wszystkich należnych podatków. Głównie dzięki temu stali się tak bogaci.

- Znajdą się fundusze, z których przez resztę życia będzie mógł kupować modne stroje i dobre wina - powiedziała Kanseen. - Dobrze by było, gdyby jego starzy przyjaciele się o tym dowiedzieli. Podejrzewam, że Gilmornowie nie wydawaliby tak lekko swojej forsy, gdyby wiedzieli, że ma zachomikowane ziemie i pieniądze. - Uśmiechnęła się nieprzyjemnie. - Czy chcesz, żebym opowiedziała o tym Ranalee?

- Edeard pochylił kieliszek w jej kierunku.

- Pomyślę o tym.

- Nawet bez pełnego spisu i tak jesteśmy niewiarygodnie bogaci - oznajmił Macsen. - Jak również wszystkie firmy, które ucierpiały podczas zamieszek. Urzędnicy nadal wypłacają rekompensaty na zasadzie proporcjonalnej. Powiadają, że ludzie niszczą swoje domy i twierdzą, że zdarzyło się to podczas zamieszek, bo chcą się kwalifikować do przydziału nowych mebli i ubrań. Dzielnica pławi się w forsie, co wpływa na całą gospodarkę. Kandydaci probiseowscy oskarżają cię, że próbujesz kupić wybory.

- Nie przewidziałem tego - przyznał Edeard. - Nie pomyślałem także o tym, jak wydanie wszystkich pieniędzy Bisego wpłynie na Sampalok. Podejrzewam jednak, że większość tej forsy wyciśnięto z ostatnich kilku pokoleń tutejszych mieszkańców, więc uznałbym to za zwycięstwo dobra nad złem.

- Tylko że ci, którzy nie otrzymali rekompensaty, żywią urazę. - Kanseen westchnęła.

- Kolejny szlachetny gest strasznie zmarnowany - dorzucił Macsen.

- Nie zdawałem sobie sprawy, ile to będzie połowa majątku Diroalów. Może by utworzyć z reszty pieniędzy jakiś ogólny fundusz, by wspomagać Sampalok? - zasugerował Edeard.

- Ach, teraz zmieniasz ustalenia, cofasz dane słowo.

- Tak, ale nie zamierzałem... Pani z nimi. Można z tym poczekać do wyników. A potem to i tak będzie twoim problemem.

- Dzięki za to - odparł Macsen.

Edeard ściszył głos, stworzył silną mgiełkę sekluzyjną.

- A jak układa się między wami?

- Normalnie - odparła Kanseen. - Układa się. A jaki mamy wybór? Personel Bisego chce kontynuować dawne zajęcia, kiedy rezydencja urośnie w pełni. Nie podoba mi się pomysł wykorzystania ludzi, którzy całe życie służyli Diroalom, ale jak inaczej zapobiec dawnym problemom? A kiedy siedzimy w lokalnej radzie musimy podejmować szybkie decyzje żywotne dla ludzi, nie mając pojęcia, jak odbywało się to przedtem. Jak dotychczas nie skrzywdziliśmy zbyt wielu mieszkańców.

- Czyli panujecie nad sytuacją i dajecie dobry przykład. Jak Wysoka Rada przyjęła waszą nominację?

- Owain powitał nas, jakbyśmy tam siedzieli od pięciuset lat - odparła. - Reszta się do niego dostosowała. Oczywiście, od zamieszek odbyły się jedynie trzy posiedzenia. Zobaczymy, co się stanie po wyborach.

- Miło było zobaczyć minę kochanego przyrodniego brata, kiedy przechodziłem obok niego w szatach Mistrza - powiedział Macsen, patrząc w dal. - Teraz jestem równie bogaty jak on i zajmuję miejsce w Radzie, a on nie.

- To my mamy miejsce w Radzie - sprostowała Kanseen.

- Tak, kochanie.

Trzecią ręką uszczypnęła go mocno. Edeard zaśmiał się, widząc jego urażoną minę.

- Ach, życie małżeńskie. Z niecierpliwością na to czekam.

Kanseen zmrużyła oczy i spojrzała na niego przenikliwie.

- A co z tobą? Jakie są twoje wielkie plany?

- To wszystko zależy...

- Założmy, że dziś Finitan wygra. Co zrobisz potem? - spytała szorstko Kanseen.

- Nic dramatycznego. - Gestem wskazał w dół, na plac i na zarodek konstrukcji. - Będę wspierać Finitana, ponieważ wierzę, że ma słuszość. Po pierwsze, trzeba skonsolidować miasto i wdrożyć rządy prawa. Nie potrzeba tak wiele, Wielka Rada wypuściła sprawy z ręki, ale nadal mamy organizacje i koncepcje stworzone przez Raha. Potrzebują rewitalizacji, to wszystko.

- Ludzie są szczęśliwsi teraz, kiedy gangi zostały pokonane - przyznał Macsen. - Pokazałeś im, że nawet najgorsze sprawy można naprostować. Ale pokazałeś także ludziom, czym jesteś i do czego jesteś zdolny.

- Nigdy nie nadużyję zaufania miasta. Wiesz o tym.

- Wiemy to i mamy nadzieję, że z czasem to zaakceptują. Będziesz musiał nad tym popracować.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Między innymi dlatego naciskałem na Marcola, by został konstabłem.

- Tak. - Macsen usiadł i się pochylił. - Nie rozumiałem tego. Rozmawiałem z Dinlayem. Powiedział, że chłopak tak naprawdę nie jest materiałem na konstabla.

- Nie zgadzam się z tym. On się stara - bronił chłopca Edeard. - Dojdzie do promocji, ma ogromną motywację.

- Ale dlaczego?

- Pamiętasz, jak zastanawialiśmy się, czemu zostałem wybrany przez Panią, bym zrobił wszystko, co mogę? A jeśli by mnie nie wybrała? A jeśli zamiast tego rozpowszechniłyby się Jej nauki i wszyscy by je sobie przyswoili? Naprawdę przyswoili?

- Nie mogę uwierzyć, że właśnie ty mówisz coś takiego. Przez rok na ulicach walczyliśmy z tymi cholernymi gangami. One nigdy nie kierowały się Jej naukami.

- Przyznaję, członkowie gangów się nie kierowali. Ale inni? Wszyscy wiedzieli, że to jest złe, nawet jeśli nie widzieli drogi wyjścia. Kiedy ich wyгнаłem, wszystko się zmieniło. Powiedziałeś, że miasto jest teraz szczęśliwszym miejscem, a minęły zaledwie dwa tygodnie. Nauki Pani są wszędzie, są integralną częścią naszej kultury i tutaj, w mieście, i tam, w najdalszej prowincji. Wszyscy instynktownie czujemy, że powinniśmy dążyć do życia bardziej szlachetnego, nawet jeśli nie wiemy, jak to robić.

- To po prostu natura ludzka.

- Możliwe. Ale Pani zachęca nas, byśmy szli za tym instynktem, i dostarcza silnej motywacji, by go rozwijać. Jej Matki dwa tysiące lat powtarzały to w kazaniach. To by tak długo nie przetrwało, gdyby nie akceptowano tego jako prawdy fundamentalnej.

Wiemy, że Władcy Niebios są tam i czekają, by poprowadzić nas do Serca. A udowodniłem, że posiadamy dusze, które rozpaczliwie potrzebują tego przewodnictwa.

- Na miłość Pani, co to ma wspólnego z Marcolem? - spytał Macsen.

- Mam siłę, by wpływać na miasto, i wiem, jak należy tę siłę wykorzystywać. Przypuśćmy, że nie jestem jedyny, który posiada tę siłę. Przypuśćmy, że jestem po prostu pierwszy. Przypuśćmy, że Querencia osiągnęła już poziom przyzwoitości i spełnienia potrzebny, by zawezwać Władców Niebios.

Kanseen wpatrywała się w niego, nie próbując ukryć zdumienia.

- Marcol? Marcol jest taki jak ty?

- Ma cholernie silne zdolności psychiczne - oznajmił Edeard. - A jeśli to właśnie jest elementem spełnienia, o którym mówi Pani? A jeśli podobni ludzie zaczną się pojawiać, jeśli wszystkie dzieci zaczną wykazywać ten potencjał?

- Niech nam Pani dopomoże - burknęła. - Marcol?

- Nie wypowiadaj jego imienia jak przekleństwa - odparł gniewnie Edeard. - To taki dzieciak jak wszystkie inne. To, czym się stanie, bardzo zależy od jego środowiska. Nie miał najlepszego startu w domu rodzinnym. Teraz próbuję mu pomóc, by stał się kimś lepszym. Nie potrzebujemy podziału wśród tych, którzy mają ponadprzeciętne moce psychiczne. Wielkie Rodziny naruszają równowagę na swoją korzyść - to jest wystarczająco złe. Musimy pokazać Marcolowi i podobnym do niego osobom, jakie się pojawiają, że prawdziwe spełnienie osiąga się przez silne społeczeństwo, które dba o jednostki, w którym ludzie nie tylko dbają o siebie, ale też pomagają sobie wzajemnie.

- I to ma sprowadzić z powrotem Władców Niebios? - spytał z niedowierzaniem Macsen.

- A co jeszcze by ich sprowadziło? - odparł Edeard. - Chętnie spróbuję czegoś innego. Widziałeś, jak odchodzą Boyd i Chae. Próbują dotrzeć do Morza Odyna. Wiesz, że ta część nauk Pani jest prawdziwa.

Macsen przeczesał włosy dłonią.

- Wiem - przyznał. - Ale... Marcol!
- I inni - powiedział Edeard.
- Czy poczułeś innych ludzi o nadzwyczajnych mocach? - spytała Kanseen.
- Jeszcze nie. Ale to miasto zachęca do skrywania własnych zdolności. Zachęca ludzi, by wykorzystywali je dla osobistych korzyści.
- Dopiero co mówiłeś, że stajemy się coraz bardziej światli - zauważył Macsen.
- Stajemy się, to słuszne określenie - odparł Edeard. - Ale mamy jeszcze przed sobą długą drogę.

\*\*\*

Edeard nigdy nie widział tak zatłoczonej Sali Malfit. Podłogę zajmowały długie stoły, przy których siedzieli urzędnicy zliczający karty do głosowania, piętrzące się przed nimi niczym góry. Zostali podzieleni na dzielnice, tak jak miasto. Urzędnicy i konstable wciąż dostarczali nowe zapieczętowane pudła i otwierali je, wysypując na stoły lawiny papierów.

Burmistrz Owain stał na szczycie schodów w otoczeniu swego personelu i zwolenników; gwarzyli, jakby nie działo się nic ważnego. Finitan stał dalej w galerii, w kręgu własnych doradców. On również swoim zachowaniem sugerował, że niczym się nie przejmuje. Od czasu do czasu obaj kandydaci na burmistrza zamieniali kilka uprzejmych słów.

Kandydaci na Reprezentantów nie traktowali podliczania głosów z tak lekkim sercem. Stali opodal stołów swoich dzielnic i przepychali się z oponentami, gdy jakąś niejasno wypełnioną kartę podnoszono i poddawano badaniom. Pod adresem arbitrów wykrzykiwano oskarżenia i obelgi. Rzecz wyjątkowa: gdy Stąpający po Wodzie, wraz z Macsenem i Kanseen, kroczył po rozległej czarnej podłodze, przyciągnął uwagę niezbyt wielu ludzi. Owain wodził za nim wzrokiem, mimo to - czego Edeard był świadom - pozostawał opanowany i uprzejmy. Sufit oświetlał tę scenę intensywnym światłem poranka.

- Sprawdzimy naszą dzielnicę - powiedziała Kanseen, kiedy zeszli już po schodach.

Edeard obserwował, jak idą do stołu Sampalok, i poczuł przyptyw podziwu dla przyjaciół. Wcisnął ich na takie stanowisko, oczekując, że staną na wysokości zadania. I dokonali tego. Ubrani w obszyte futrem szaty, z kapturami tradycyjnie zwisającymi przez ramię, naprawdę wyglądali tak, jakby pełnili tę rolę od urodzenia.

Możliwe, że nie tylko siła psychiczna jest oznaką łaski Pani.

Poszedł po schodach na górę. Owain i Finitan obserwowali go, gdy się do nich zbliżał.

Jako konstabl miejski powinienem być bezstronny. Pozdrów obydwo, a potem wróć do stołów Jeavons. Przecież jeśli Owain wygra, będę musiał z nim współpracować.

Dotarł na szczyt schodów. Owain przywołał na twarz neutralny uśmiech powitania.

Polityk!

Edeard skłonił głowę uprzejmie.

- Burmistrz Owainie - powiedziała, a potem podszedł do Finitana.

Niech go Honious pochłonie, chciał zabijać niewinnych ludzi, by zachować swą pozycję. Nigdy nie mógłbym pracować z kimś takim. Reprezentuje wszystko, co w Makkathranie jest złe.

Kiedy uścisnął rękę Wielkiego Mistrza, w myślach Finitana pojawił się przelotny, nieupilnowany błysk wdzięczności.

- Czy wiadomo już coś o bieżących wynikach, proszę pana?

- Mam niewielką przewagę - odparł Finitan. - Nie tak dużą, na jaką liczyliśmy, ale się utrzymuje.

Po półgodzinie udawania pogodnych pogwarek wszyscy popatrzyli na Mistrza Urzędników nadzorującego głosowanie w dzielnicy Ysidoro, który stanął na najniższym stopniu schodów.

- Ysidoro zawsze ostentacyjnie podkreśla, że przelicza głosy jako pierwsza - warknął Topar. - Mała dzielnica, ale z bardzo przemieszana ludnością. Może służyć jako dobry wskaźnik.

Mistrz odchrząknął.

- Obwieszcza się dzisiaj, że Alanso został legalnie wybrany jako Reprezentant ludu Ysidoro w Radzie. Ponadto, kandydat na burmistrza Finitan zebrał pięćdziesiąt siedem procent głosów.

- Alanso jest jednym z naszych - powiedział Topar. - Dzięki ci, Pani.

Owain uprzejmie pogratulował Finitanowi wyników głosowania, na co ów równie uprzejmie odparł, że wieczór dopiero się zaczął.

Fiacre i Lillylight skończyły przeliczanie głosów jako następne. Obie wyłoniły jako reprezentantów zaciekłych stronników Owaina, choć głosowanie na samego burmistrza podzieliło się niemal po połowie. Jeavons, Silvarum i Haxpen wybrały stronników Finitana, a jemu samemu dały dużą przewagę. Nighthouse i Bellis wybrały stronników Owaina, ale Myco, Vaji, Cobara i Tosella - zwolenników Finitana. Zwiększyły również ogólny wynik Finitana do sześćdziesięciu procent. Kiedy nadeszły wyniki z Abadu, Drupe, Igadi, i Paduy, Owain miał tylko o jednego reprezentanta więcej, a pula głosów oddanych na Finitana wzrosła do sześćdziesięciu ośmiu procent. Zelta wyłoniła ostatniego Reprezentanta Owaina, Pholas Park i Lisieux Park okazały się istotnym zapleczem Finitana.

- Mamy to - syknął uszczęśliwiony Topar, kiedy przewaga Finitana wzrosła do siedemdziesięciu jeden procent.

- Och, Pani - westchnął Finitan. Wydawał się oszołomiony, ale nic nie mogło zetrzeć uśmiechu z jego twarzy.

Ilongo, Nepth i Drupe zadeklarowały się, zwiększając przewagę Finitana o następny punkt procentowy. Czekano tylko na wyniki z Sampalok. Nie mogły już wpłynąć na wyniki wyborów, ale miały znaczenie. Edeard wpatrywał się w osiem stołów, na których liczone głosy, i starał się siłą woli spowodować zakończenie całej procedury. Kanseen i Macsen wciąż spacerowali wśród urzędników, wspierając arbitrów. Przy tych ośmiu stołach było więcej kłótni niż przy wszystkich pozostałych w Sali Malfit. Sam Wielki Mistrz Gildii Urzędników pojawiał się tam kilkanaście razy, by wydać ostateczny werdykt na temat niewyraźnych krzyżyków. W końcu Mistrz Urzędników,



nadzorujący liczenie głosów w Sampalok, stanął u stóp schodów i ogłosił:

- Obwieszcza się dzisiaj, że Gregorie został legalnie wybrany jako Reprezentant ludu Sampalok w Radzie.
- To nasz - szepnął z niedowierzaniem Topar.
- I że kandydat na burmistrza Finitan zebrał pięćdziesiąt jeden procent głosów - zakończył Mistrz Urzędników.

\*\*\*

W Żłotym Parku, nie zważając na nocny chłód, czekały tysiące ludzi. Po ogłoszeniu wyników z Sampalok nastąpiło spore poruszenie. Przygnębieni stronnicy Owaina szli do domu, kręcili głowami z ponurą dezaprobatą. Stronnicy Finitana przesunęli się w przód, aż do Kanału Zewnętrznego Kręgu. Młodzi, sprawni konstable w zwartym szeregu próbowali nie dopuścić, by jacyś nadgorliwcy powpadali do wody.

Na balkonie wychodzącym na Żłoty Park pojawił się Finitan witany ogłuszającym aplauzem. Mistrz rozpoczął mowę dziękczynną. Nie wszyscy wierni słuchali. Krążyły butelki podawane z rąk do rąk. Grały grupy spacerujących muzykantów, zachęcając ludzi do tańca. Impreza w Żłotym Parku potrwa do świtu.

Edeard nie wysłuchał mowy. Udał się do rezydencji Culveritów, gdzie z uradowaną Kristabel razem świętowali na swój sposób.

\*\*\*

Kristabel kazała Edeardowi czekać. Nie mógł w to uwierzyć. Tradycja tradycją, ale tymczasem stał przed kościołem Pani, samotne minuty wlewały się jedna za drugą, a dalwzrok całego miasta koncentrował się na nim. Tradycja zakazywała wykorzystywania własnego dalwzroku do sprawdzania, czy oblubienica jest w drodze. Zatem stał tam i znosił to wszystko.

Zapach kwiatowych pyłków - przyjemny, kiedy wraz z Dinlayem wchodzili do kościoła, teraz przytłaczał, niemal wywoływał łzawienie. Wydawało się, że połowę Równiny Igruru odarto z zieleni, by przyozdobić ogromny kościół. Zespół z Gildii

Muzyków grał w kółko jedną melodię, która teraz coraz bardziej przypominała lament żałobny. Kiedy rozbrzmiały te same okropne nuty, Edeard zazgrzytał zębami; żałował, że nie błagał Dybala usilniej, by dla niego grał. Jednakże Dybal miał tylko śpiewać na uroczystym przyjęciu dziś wieczór. Edeard przeniósł ciężar z jednej nogi na drugą. Dziesięciometrowa statua Pani z białego marmuru patrzyła na niego łaskawie, wzniesionymi rękami wzywała Władców Niebios na Querencję. Rzeźbiarz nadał jej bardzo zagadkowy wyraz twarzy. Niemal wydawało się, że Pani patrzy krytycznie na zgromadzonych. Z pewnością każdy stojący przed ławami - co ciekawe, dokładnie w miejscu, gdzie stał on - otrzymywał osobną porcję dezaprobaty. Edeard, przestępując z nogi na nogę, myślał: Pani musiała wiedzieć, że pewnego dnia będę brał ślub w Jej kościele; Jej poczucie czasu ostrzegło ją o świętokradztwie.

Z jakiegoż innego powodu miałyby go wybierać jako cel swych gniewnych spojrzeń?

Następna stracona minuta. Umysł przedstawiał mu obrazy wszelakich okropieństw, jakie mogły przydarzyć się Kristabel. Wyruszyła z rezydencji Culveritów - tyle przynajmniej tradycja pozwalała mu się dowiedzieć. Ta sama tradycja, która głosiła, że oblubienica może zmienić zdanie jedynie w drodze z własnego domu do kościoła. Ale Kristabel by mu tego nie zrobiła. Więc mogła zostać zabita lub porwana. Albo gondola się wywróciła. Kristabel by go nie porzuciła.

Więc, gdzież, na Honiousa, ona jest?

Edeard zaczął oszukiwać: wykorzystał zmysły miasta, by zbadać kościół.

Bez dalwzroku. Więc tradycja nie została złamana. Cholera, teraz nawet myślę jak prawnik.

Reprezentowane były niemal wszystkie Wielkie Rodziny Makkathranu. Godnym wzmianki wyjątkiem była pani Florrel, która na godzinę przed rozpoczęciem nabożeństwa ogłosiła, że boli ją głowa, i przeprosiła za nieobecność. Gilmornów także nie było, jak również Norretów, do których należał porucznik Eustace. Jednak kapitan Larose był tutaj i najwyraźniej ogromnie

go bawił dyskomfort Stąpającego po Wodzie. Wielki Mistrz Owain siedział w ławach zarezerwowanych dla dygnitarzy Gildii, Wydawało się, że przegrana w wyborach w ogóle nie zrobiła na nim wrażenia - podczas spotkań przywdziewał nieco chłodną publiczną maskę. Macsen i Kanseen byli niemal niewidzialni pośród Mistrzów Dzielnic. Ich kolorowe szaty bezbłędnie wtapiały się w otoczenie. Cięża Kanseen nie była jeszcze widoczna, choć ostatnio dziewczyna zaczęła pytać kąśliwie: „Co pojawi się najpierw, rezydencja czy dziecko?”. Dla rodziny pana młodego zarezerwowano bardzo mało miejsca i Kristabel zawłaszczyła kilka z jego ław dla własnej rodziny i przyjaciół. Jednakże Edeard miał wsparcie w postaci kilkunastu konstabli, Bijulee, Dybala, Setersisa, Isoixa, Topara i innych z burmistrzem Finitanem na czele. Szczerze żałował tylko tego, że nie ma Salrany, która wysłała grzeczne zawiadomienie, że niestety, obowiązki nie pozwolą jej przybyć. Mógł ją traktować prawie jak rodzinę, ale od tamtego dnia wypędzeń całkowicie oddalili się od siebie. Wszystkie próby pojednania odrzucała. Wiedział, że stale jest przy kościele w Ysidoro i z oddaniem wypełnia swe obowiązki. Kiedy ją kilka razy oglądał dalwzrokiem, zawsze zasmucało go, że jej życie jest pozbawione radości. Postarzała się, stała się zamknięta w sobie i ponura. Chłodniejsza i bardziej stanowcza.

Żałował tych ukradkowych spojrzeń i wkrótce ich zaprzestał. Z konsternacją musiał przyznać, że zmieniła się, tak jak on. Salrana i Edeard z Ashwell odeszli teraz na zawsze.

Radosne okrzyki przeniknęły do kościoła i serce Edearda zabiło szybciej. Ich ślub nie był świętem oficjalnym, choć, kiedy przybył tu z Dinlayem, przed kościołem zebrał się wielki tłum.

Nareszcie! Orkiestra przerwała swą nieszczęsną melodię. Usłyszał szelest tkanin i chór nowicjuszek powstał z ław. Potem światło dostrzegalnie się zmieniło, kiedy rozwarły się wielkie wrota. Dinlay podszedł i stanął przy nim, uśmiechając się szeroko.

- Już za późno, żeby się wycofać - powiedział cicho do Edearda. Zjadliwa replika nie dotarła do uszu przyjaciela, bo organista

zagrał marsz weselny. Edeard nigdy wcześniej nie słyszał wielkich organów, ich dźwięk oszałamiał. A potem nowicjuszki zaśpiewały. Czuł przerażenie i euforię jednocześnie.

Julan stanął obok, jaśniał dumą. A przy boku ojca - ona. Edeard niemal jęknął z ulgi. Mirnatha zachichotała, widząc ten wyraz twarzy. Dziewczynka miała na sobie różowo-białą sukienkę, w której wyglądała jak czarujące, bajkowe stworzenie. Obraz psuł tylko diabełkowaty szeroki uśmiech.

Suknia ślubna Kristabel była kracją ze złocistokremowego drojedwabiu z szafirowym obramowaniem. Migotała kwiatami ze szmaragdów, a tren ciągnął się przez pół przejścia między ławkami. Edeard widział, jak Kristabel kręci głową pod koronkową woalką, jak świecą się jej oczy. A potem stanęła przed nimi Pytia, z łagodnym uśmiechem. Organista zakończył swój donośny hymn.

- Witajcie wszyscy w tym najszczęśliwszym dniu - powiedziała Pytia do kongregacji.

Z pomocą Julana Kristabel uniosła woalkę. Włosy wypłynęły niczym fale złocistego jedwabiu. Edeard nie mógł uwierzyć, że ktoś tak idealny stoi naprzeciw niego na jego własnej ceremonii zaślubin. To z pewnością jakaś oszałamiająca fantazja z ostatniej nocy w Ashwell. Chwila błędnego złudzenia tuż przed śmiercią, po tym, jak trafiono go kulami.

Kristabel ujęła jego dłonie i uścisnęła je pocieszająco.

- Długo czekałeś? - zaszotała.

- Całe życie - odpowiedział najzupełniej szczerze.

\*\*\*

Miesiąc miodowy spędzali w murdębowym domku rodziny Culverit na wybrzeżu. Mieli pół miesiąca całkowicie dla siebie. Dwadzieścia dni rozkoszy.

Tym razem towarzyszył im personel znacznie liczniejszy; mieli wspaniałe posiłki i nienarzucającą się służbę. Zbliżał się koniec lata, ale nadal panowały upały. Podczas ich całego pobytu wilgotne powietrze nad zatoczką pozostawało niemal nieruchome. Tak jak poprzednim razem, leniwie spacerowali

brzegiem, pływali w ciepłej wodzie i opalali się na plaży, aż ich skóra nabrała głębokiego miodowobrazowego odcienia. Edeard próbował szczęścia w łowieniu ryb, ale brakowało mu cierpliwości. Obydwoje nauczyli się żeglować małym jachtem, podarowanym im z okazji ślubu przez Charyau. Parę razy popłynęli po spokojnych wodach do pobliskich wsi rybackich.

- Myślę, że nieprędko wybierzemy się w ten rejs dookoła świata, o którym wspominałem - przyznał Edeard wieczorem po ich pierwszej wielkiej wyprawie: trzech kilometrach wzdłuż wybrzeża.

Kristabel siedziała po drugiej stronie stołu, oświetlona od tyłu złotym blaskiem zachodzącego słońca. Zaśmiała się, przyznając mu rację. Obydwoje zdecydowali na wstępie, że będą mieli ten czas wyłącznie dla siebie. Unikali rozmów o mieście i jego polityce. Przez ostatnie cztery miesiące pomagali Finitanowi zainstalować się na stanowisku burmistrza, przekonując starą gwardię, by przyjęła jego strategię konsolidacji, wzmacniając władzę sądową i poprawiając skuteczność konstabli. Wydawało się, że wszystko działa. Wszyscy meldowali, że interesy idą doskonale. Kiedy usunięto strach i niepewność, ludzie znowu wydawali pieniądze z pełnym zaufaniem.

Kilka pierwszych miesięcy rządów Finitana już uważano za sukces. W Makkathranie. Na prowincji sytuacja nie była taka różowa. Wiadomości przywiezione przez Topara na początku roku stały się wiedzą powszechną. Nawet jego złowróżbne prognozy okazały się zbyt optymistyczne. Bandyci, tak długo zamknięci w prowincjach wysuniętych najbardziej na zachód, organizowali dalekie rajdy na wschód. Kiedy napady stały się codziennością, prowincja Rulan stanęła w obliczu masowych wyjazdów ludności. Następnie z prowincji Worfolk nadeszły meldunki o zasadzkach na karawany na uprzednio bezpiecznych szlakach. Łańcuchy górskie interioru stanowiły idealne schronienie dla wędrujących band, skąd mogły atakować wsie i miasteczka. Po rajdach bandyci uciekali na niebezpieczne i niegościnne tereny i znikali wystanym za nimi szeryfom i oddziałom milicji.

Edearda najbardziej niepokoiło to, że te zdarzenia mają miejsce tak daleko. W Makkathranie dowiadywano się o napadach dopiero po wielu miesiącach. W mieście nie mieli pojęcia, co dzieje się obecnie poza równiną Iguru ani jak bardzo bandyci się zbliżyli.

Już dwa miesiące po wyborach pierwsi uchodźcy z Gór Ulfsen napływali do Makkathranu. Mówili o dziwnych, potężnych pistoletach. Pistoletach mogących pokonać cały pluton kawalerii. Rosły oficjalne statystyki ofiar wśród członków oddziałów milicji, wysłanych przez Owaina na pomoc gubernatorom. Ludzie dostrzegali, że odbywa się coraz więcej żałobnych uroczystości po oficerach - to Wielkie Rodziny zamawiały pełne przepychu nabożeństwa. Nikt nie winił o to Finitana, ale coraz częściej stawał on przed pytaniem, co zamierza zrobić w związku z pogarszającą się sytuacją poza Równiną Iguru.

Wszystko to Edeard zostawił za sobą. Teraz w słoneczne dni wylegiwał się na piasku, sączył słodkie wino, a w gorące noce kochali się z Kristabel. W końcu jednak nadszedł dzień, kiedy zostały spakowane stopy toreb i kufrów i ruszyli powozem do domu. Kiedy jechali po szerokiej drodze nadbrzeżnej, rozmyślał, jakież to wieści otrzyma, gdy tylko pojawi się w mieście.

- Nadal masz mnie - wyrwała go z zadumy Kristabel.

- Co?

- Nie odezwałeś się ani słowem przez ostatnie trzy kilometry. Czy był to taki okropny czas?

- Nie! I na tym właśnie polega problem. Chciałbym, żeby to trwało wiecznie. Bardzo nie chce mi się wracać.

- Mnie też nie. - Próbowwała się uśmiechnąć, ale jej zwykłe zadowolenie zniknęło. - Nie sądzę, bym już była w ciąży.

- Ach.

- Powiadają, że sok z vinaka pozostaje na pewien czas we krwi, kiedy przerwiesz jego picie. Za miesiąc już go nie będzie, a nam się uda.

Objął ją ramieniem.

- Obiecuję, że kiedy wrócimy do domu, zdwoję wysiłki. - Milczał przez chwilę, a potem się uśmiechnął. - Do domu.

- Tak - zgodziła się z podobnym uśmiechem. - Nas dwoje razem.  
- Sami, jeśli nie liczyć twojej rodziny i dwustu służących. Ale co tam, na Honiousa, postaramy się, żeby było jak najlepiej.

- Uszczypnęła go mocno trzecią ręką.

- Masz wyrzuty sumienia z tego powodu, prawda?

- Nie... po prostu nie jestem do tego przyzwyczajony. - Wspomniał, co powiedziała Kanseen na balkonie Flaszki Bea. - Jestem pewien, że w końcu się do tego przyzwyczaję. To na pewno nie jest takie trudne.

- Wiesz, gdyby Finitan przegrał, naprawdę poszłabym za tobą do wioski na krańcu dziczy.

Pocałował ją.

- A Mirnatha zostałaby Mistrzynią Haxpenu.

- Och, Pani. - Dłoń Kristabel powędrowała do ust. - O tym nie pomyślałam. Wobec tego w dzicz jedziesz sam.

Przytulili się mocniej do siebie.

- Chciałam zająć w ciąży - oznajmiła. - Chłopak Kanseen miałby kolegę. Nasze dzieci wyrastałyby razem.

- Kanseen musi jeszcze czekać półtora miesiąca. A ty będziesz w ciąży wiele razy. Nasze dzieci będą się bawiły z dziećmi rodziny Mistrzów Sampalok.

Skinęła głową - przekonał ją.

- Co się stanie z bandytami na prowincji?

Westchnął.

- Nie wiem. Nadal nie wiemy, od kogo dostają broń. To jest prawdziwa przyczyna tego całego konfliktu.

- Finitan ma zamiar poprosić cię, żebyś tam pojechał, prawda?

- Prawdopodobnie.

- Musisz tam jechać, jeśli tak trzeba.

- Nie chcę cię opuszczać.

- Wiem. Ale, Edeardzie, czy chcesz, by nasze dzieci żyły w świecie bezpiecznym?

- Oczywiście.

- Zatem nie ma wyboru.

Edeard nie odpowiedział. Miała oczywiście rację, dlatego wszelkie spory były jałowe. Wybrał sobie drogę życiową, więc niektóre zdarzenia musiały nastąpić nieuchronnie.

\*\*\*

Przynajmniej miasto nie zmieniło się w czasie jego nieobecności. Powóz i konie odprowadzono do stajni Culveritów w Tycho, a oni sami wsiedli do rodzinnej gondoli i popłynęli do zigguratu. Julian i Mirnatha, bardzo podnieceni, czekali na nich na platformie cumowniczej.

- Tak za tobą tęskniłam - zapiszczała Mirnatha, ściskając siostrę.

- A ja za tobą - odparła Kristabel.

- Jak było?

- Miłe relaksujące wakacje - wyjaśniła Kristabel siostrzyczce, nawet nie zerkając na Edearda.

- Naprawdę? Ja już po jednym dniu w domku zawsze czuję się strasznie znudzona. Co robiliście przez cały czas? - Mirnatha obdarzyła Edearda niewinnym spojrzeniem. Nie zwiodła go.

Julan odchrząknął.

- Chodźmy teraz obejrzeć dziesiąte piętro.

Personel i gemałpy byli od ślubu niezwykle zajęci. Zastosowano dręczącą Kristabel rodzinną przeprowadzkę, wszyscy zmienili mieszkania i piętra. W rezultacie wyprowadziło się czternaście grup krewnych. Więcej niż myślano początkowo, ale w grupach zajmujących piętra piąte i siódme planowano mnóstwo nowych ślubów, co w ciągu najbliższych paru lat spowoduje następne braki powierzchni mieszkalnej. Niektóre rodziny z trzeciego piętra postanowiły nie czekać. Julian zaoferował się, że zbuduje dla nich nowe dwory na ziemiach Culveritów leżących poza Iguru.

Edeard nie widział wielu zmian w umeblowaniu i wyposażeniu dziesiątego piętra. Wielkie salony i sale recepcyjne wyglądały tak jak przedtem: rodzinne dzieła sztuki i antyki zajmowały te same od wieków miejsca. Razem z Kristabel mieli przejąć apartamenty Mistrza od Juliana. Odgracono je. Edeard nie krytykował standardowego makkathrańskiego łóżka i basenu kąpielowego -



dość łatwo mógł zmienić ich kształt. Kilka przedmiotów z jego mieszkania złożono w jednym z pustych studiów. Kiedy spojrzął na mały stos pudeł i porównał to ze wszystkim, co przez dwa tysiąclecia nagromadzili Culveritowie, ta rodzina znowu zaczynała go onieśmielać.

- Wkrótce poczujesz się jak u siebie - pocieszał Julian Edearda, widząc jego minę.

- Tak, proszę pana.

- Zajmuję pokoje po wuju Dagnalu - cieszyła się Mirnatha. - I tatuś powiedział, że mogę dostać nowe meble, zasłony i wszystko.

- W granicach rozsądku - wtrącił pośpiesznie Julian.

- Chodź, zobaczymy. - Kristabel wyciągnęła do niej dłoń.

- Edeard wyszedł za siostrami, rzucając ostatnie spojrzenie na główną ośmiokątną sypialnię z ogromnym okrągłym łóżem. Prócz tego w pokoju był puszysty brązowy dywan i proste szafy oraz skrzynie. Garderoba za następnymi drzwiami zawierała wszystkie ubrania Kristabel. Co za prostota w porównaniu z panińskim pokoikiem Kristabel, pomyślał.

Może będę miał coś do powiedzenia w sprawie wyglądu naszej sypialni? Mogę zrobić prysznic, właściwą toaletę, sprawię, że światło stanie się białe.

Denerwowała go perspektywa, że przez następne dwieście lat miałyby sypiać w czymś tak puszystym jak wcześniejsze pośłania Kristabel.

Po południu omawiali z opiekunem dziesiątego piętra dalsze zmiany. Zawołali kilku Mistrzów stolarzy, by przygotowali projekty mebli, które chciała zamówić Kristabel. Edeard odczuł ulgę, kiedy nie upierała się co do draperii i wyposażenia sypialni, i w końcu znalazł odwagę, by zaproponować własne zmiany. Rzemieślnik starał się nie pokazywać, co myśli, kiedy Edeard wyjaśniał, że prysznic można zamocować gdziekolwiek i zrobić go dowolnych rozmiarów. W gruncie rzeczy zmiana całego rozkładu dziesiątego piętra byłaby dla niego prostą rzeczą, jeśli Kristabel jest gotowa czekać, aż ściany się dostosują. Kiedy zaczął to wyjaśniać, Kristabel odesłała wszystkich.

- Nie sądziłam, że możliwe są zmiany aż na taką skalę - przyznała. - W Makkathranie nic się nigdy nie zmienia.

- Teraz może. - Rozejrzał się po wielkim salonie. - Przy okazji, co sądzisz o dodatkowych oknach? O wpuszczeniu tu więcej światła?

- A co z głównymi schodami? - zapytała z podnieceniem. - Czy możesz je zmienić? Te w nowej rezydencji Kanseen są rzeczywiście funkcjonalne.

- Myślałem, że nigdy o to nie poprosisz.

Julan i Mirnatha zdecydowanie odmówili przyjęcia na kolację w ogrodzie na dziesiątym piętrze. Z teatralną przesadą opowiadali, jak bardzo chcą jeść z rodzinami na piętrze dziewiątym.

- To długo nie potrwa - powiedziała Kristabel, kiedy sączyli musujące białe wino pod wielką białą muślinową markizą.

Między donicami orchidei i skrzyniami ogromnych nocnych kwiatowych wspaniałości zapalono długie świece. Kiedy w półmroku i wśród wydłużających się cieni zaczęły mrugać pomarańczowe światła miasta, Edeard uznał, że nie mógłby sobie wyobrazić otoczenia bardziej romantycznego. Wydawało się zresztą, że tego samego zdania jest również mnóstwo mieszkańców Makkhatranu. Młoda para musiała się zakryć mgiełką sekluzijną, by odgrodzić ciekawe spojrzenia dalwzrokiem.

- Ale możemy to jak najlepiej wykorzystać jeszcze przez parę dni - powiedział. Zabrzmiało to prawie jak błaganie.

- Jutro musisz wracać na posterunek w Jeavons. Jesteś przecież kapitanem. Ponadto Finitan będzie chciał z tobą porozmawiać, a Macsen ma sporo problemów.

- Wiem. Byli bardzo uprzejmi, że nas dzisiaj nie niepokoiili.

- Rozmawiałam wcześniej z Kanseen dalmową. Według niej, rezydencja jest niemal gotowa. Chce, byś potwierdził, że można już zamawiać wyposażenie i tkaniny.

- Dobrze - powiedział niechętnie. - Sprawdzę to jutro. Przykryła dłonią jego dłoń.

- Mamy dzisiejszy wieczór.

- I wszystkie noce.

- Wiesz, co mam na myśli. Jutro nasze życie zaczyna się naprawdę.
- Wiem.
- Ale dopiero za kilka godzin.

\*\*\*

Kiedy następnego ranka Edeard wszedł na posterunek w Jeavons, zobaczył, że Dinlay podczas jego nieobecności znakomicie sobie radził. Niemal go to rozdrażniło, ale nie można się kłócić z papierami, a Dinlay bardzo starannie wszystko zapisywał. Edeard, kiedy zerknął na nowe diagramy wywieszane w swoim gabinecie, przekonał się, że patrole wychodziły o czasie, ustalono grafiki dyżurów, rozdzielono i wydano pieniądze, opracowano plany działań. Dokonano aresztowań, ale obecnie konstable starali się wszystkim złapanym szubrawcom udzielać pouczeń. Przed sądy wleczono tylko najbardziej zapamiętałych recydywistów. Szkolenie nowicjuszy również szło dobrze. Spodziewano się, że nawet Marcol zda egzaminy w przyszłym miesiącu.

- Ale ledwo, ledwo - przyznał Dinlay. - Zorganizowano zakłady, jeśli chcesz postawić jakieś pieniądze.

- To nie byłoby właściwe - odparł Edeard. Nie spodziewał się po Dinlayu takiego komentarza. Ale innych zarzutów nie miał. - Co jeszcze się wydarzyło?

- Było dość spokojnie. Przynajmniej w mieście. Nadal napływają uchodźcy, co wywołuje komentarze na temat zajmowania wolnych dotychczas budynków. Ludzie oczekiwali, że do dostępnych pomieszczeń wprowadzą się ich dzieci.

- Czy wiemy, ile jest wolnych lokali? To znaczy, czy będą z tym problemy?

- Sądzę, że Gildia Urzędników zna prawdziwe liczby.

- Jestem pewien, że tak. Oni chyba wiedzą o wszystkim.

- W każdym razie to problem Finitana, prawda?

- Tak, masz rację.

Edeard usiadł za biurkiem odziedziczonym po Ronarku. Tak jak cały gabinet, było ciemne i funkcjonalne. Szczerze mówiąc, zbyt

szare i przytłaczające jak na jego gust. Spojrzał na wysokie, nieco zakrzywione ściany z małymi owalnymi oknami. Nic dziwnego, że gabinet był tak ponury. Materia miasta była brudnobrązowa, z dziwnymi pionowymi cynobrowymi pasmami, jak gdyby ktoś dawno temu rozlał tu farbę.

Dinlay wyszedł wyprawić oddział na patrol. Edeard przeglądał dzienniki posterunku. Nie szło mu to - cały czas myślał o tym, jak zmienić gabinet. Sięgnął do myśli miasta i poczynił sugestie co do modyfikacji: rozszerzyć okna, zmienić kolor ścian na przyjemny bładoniebieski, zaadaptować oświetlające rozety, by świeciły biało. Mniej więcej to samo zrobił tego ranka na dziesiątym piętrze rezydencji Culveritów. Tutaj te zmiany zostaną zakończone w ciągu tygodnia, w domu potrwa to dłużej. Kristabel nadal się zastanawiała, czy nie zmienić całego rozkładu.

Zainicjował rekonstrukcję gabinetu, ale dzienniki nadal go nie interesowały. Sięgnął dalwzrokiem do Pałacu Sadowego.

- Zastanawiałem się, ile ci to zajmie - powiedział Finitan.

\*\*\*

Owalne sanktuarium nie zmieniło się. Edeard sądził, że Finitan natychmiast zindywidualizuje gabinet, ale tydzień po wyborach burmistrz musiał się martwić o mnóstwo ważniejszych rzeczy niż meble. Tak więc pośrodku nadal stało ogromne biurko z ciemnym fornirem wypolerowanym do lustrzanego połysku. Wysoki fotel z aksamitną tapicerką był również reliktem po Owainie. Ale Edeard rozpoznał srebrne filiżanki. Geszympany nałay herbaty. I Owain nie wykorzystywał tu genistarów.

Finitan zabrał z gabinetu w Niebieskiej Wieży kolebkę na jajo genistara. Ale tu na biurku stała ona pusta.

Topar usiadł przy Edeardzie. Podziękował za herbatę.

- Cóż, zdołaliśmy bez ciebie przeżyć całe dwadzieścia dni - zaczął Finitan.

- Tak, proszę pana - odparł Edeard.

- Miasto już nie jest problemem. Wydaje się, że ludzie zaakceptowali mój wybór bez większego oporu.

- Z pewnością. Kristabel skarży się, że wykonanie zamówionych mebli trwa tak długo. Rzemieślnicy padają z przepracowania. W całym Makkathranie jest tak samo. Ludzie znowu wydają pieniądze. Pokładają w panu zaufanie.

- Przekaż swojej żonie przeprosiny. - Finitan odstawił filiżankę i spojrzął z niepokojem na Edearda. - Niestety, ta pomyślność dla miasta nie rozciąga się za Równinę Iguru.

Edeard skinął głową.

- Wiem.

Topar wyrzucił silną mgiełkę sekluzyjną.

- Wysłałem zwiadowców na prowincję - oznajmił. - Dobrych ludzi: ekskonstabli, szeryfów, nawet kilku oficerów rezerwowych z milicji. Ludzi, którzy potrafią dać sobie radę, ludzi, na których mogę polegać.

- Chcieliśmy uzyskać obraz tych cholernych rajdów - wyjaśnił Finitan. - Zobaczyć, czy mają jakiś wzorzec, jakiś cel.

- I tu właśnie sprawy się komplikują - rzekł Topar. - Jeśli próbują nas zmiękczyć przed inwazją, zabierają się do tego w osobliwy sposób. Od połowy lata w prowincji Rulan nie było żadnych bandyckich napadów. W zasadzie, na zachodzie nie ma żadnych niepokojów. Posuwali się wciąż na wschód przez trzy największe łańcuchy górskie i wzniesiali strach i pogłoski. Właśnie one są teraz naszym głównym wrogiem. Każdą kłótnię, która kończy się przemocą, przypisuje się teraz bandytom, nawet walki farmerów z kłusownikami czy burdy w karczmie. Trudno oddzielić prawdę od fałszu. Gubernatorzy prowincji nigdy nie byli wiarygodni, teraz każda błaża sprzeczka to dla nich powód do pisania petycji do Makkathranu z prośbą o wsparcie milicji.

- Nie ułatwia sprawy to, że wcześniej Owain tak chętnie wysyłał pułki - dodał Topar. - Wywindował zbyt wysoko oczekiwania pomocy.

- Zostawił wam prawdziwy bałagan - przyznał Edeard.

- Tak. To polityka i należało tego oczekiwać. Ale dokładnie przyjrzelśmy się informacjom, które możemy potwierdzić. Wyniki niepokoją.

- W jakim sensie?

- Zasadniczo ustaliliśmy, że jest sześć głównych band - wyjaśnił Topar. - Dwie poruszają się wzdłuż Gór Ulfsen. Jedna wykorzystuje jako kryjówkę łańcuch Komansa. Dwie wyruszyły w Góry Gorgian, choć jedna z nich kieruje się teraz na północ wzdłuż Yorarnów. A ostatnia plądruje Sastairs na całym terenie, aż do południowych prowincji nadbrzeżnych.

Edeard zamknął oczy i próbował zwizualizować te informacje na mapie znanych łądów.

- Więc są bardzo rozciągnięci.

- Wolę określenie „rozpowszechnieni” - odparł Topar. - Jesteśmy zasadniczo społeczeństwem pokojowym, a jeśli się weźmie pod uwagę, jak rozległe są te tereny, skutek działań bandytów jest minimalny. Jednak wzbudzają powszechny niepokój.

- Co robią?

- I ostatnia uwaga. - Finitan rozłożył na biurku arkusz papieru i zaczął czytać. - W prowincji Plax przeprowadzili napady na Payerne, Orastrul, Oki, Bihac i Tikrit. Wszystko to są wsie lub miasteczka. Dwory i ziemie: Stonyford, Turndich, Uxmal, Saltmarch, Klongsop, Etrick i Castlebay również poniosły w ubiegłych dwóch miesiącach znaczne szkody. - Spojrzał wyczekująco na Edearda. - Czy kojarzysz to z czymś?

- Słyszałem o dworze w Uxnalu, to własność rodziny Culverit. Wielka posiadłość, hodują tam owce. - Przypomniał sobie, że jedna z rodzin z trzeciego piętra pojechała tam, by założyć swój nowy dom.

- Faktycznie. Wszystkie te majątki należą do moich zwolenników - oznajmił Finitan. - Moi sprzymierzeńcy i stronnicy posiadają także znaczne aktywa w napadniętych wsiach lub w ich okolicy.

Edearda przeszedł dreszcz.

- Skąd bandyci wiedzą takie rzeczy?

- Ktoś im powiedział - wyjaśnił Topar. - Ktoś, kto przeprowadził obszerne poszukiwania w oficjalnym rejestrze finansowym.

- Nie od razu się zorientowaliśmy - dorzucił Finitan. - Wszyscy, których spotykałem na przyjęciach czy obiadach, cały czas

skarżyli się na swoje straty. Myślałem, że inwazja już się rozpoczęła, aż zdałem sobie sprawę, że wyselekcjonowano moich sprzymierzeńców.

- Pani!

- Co znów doprowadza nas do pytania, kim są bandyci i co robią.

- Mają współpracowników w mieście. - Edeard był wstrząśnięty.

- Co najmniej współpracowników - odparł Topar. Wymienili z Finitanem zaniepokojone spojrzenia. - Istnieje także problem pistoletów. Jeśli nie istnieje inne miasto nam dorównujące...

- Nie - odparł Edeard. - Gildia Broni... Mieli cały czas pistolety długolufowe. Ale ten, kto dostarczył bandytom pistoletów powtarzalnych, ten zamordował Ashwell.

- Za wcześniej na takie oskarżenie - powiedział gwałtownie Topar. - I w ogóle nie mamy żadnego dowodu.

- Właśnie dlatego cię zaprosiliśmy - wyjaśnił Finitan. - Wiem, że duża część twojej mocy pochodzi z więzi, jaka łączy cię z samym miastem, ale prócz tego masz niesamowite zdolności mentalne.

- Tydzień temu nadszedł meldunek o napadzie na Northford - rzekł Topar. - To wioska w Górach Donsori, tylko cztery dni jazdy z Makkathranu, na litość Pani. Wykorzystano szybkostrzelne pistolety. Wiemy to na pewno. Jedna z band z Ulfsen musiała zeszłego miesiąca przesunąć się na wschód.

- Gdybyśmy pojмали żywcem jednego z nich, moglibyśmy dowiedzieć się, co dokładnie się dzieje i kim są ci współpracownicy - powiedział Finitan.

- Wezmę małą grupę najlepszych ludzi, którym ufam - powiedział Topar. - Będziemy mieli georły, gewilki i najlepsze dostępne pistolety. Mimo to, przydałaby się pomoc.

- Och, Pani! - Edeard ostawił na biurko filiżankę z zimną herbatą. - Kiedy wyruszamy?

\*\*\*

Drugiego dnia Edeard przyznał, że choć wiele w mieście przeżył, miasto go osłabiło. Łatwo wpaść w pułapkę wygodnego

życia. Podróż przypomniła mu dobitnie, jak wyglądało życie, które kiedyś wiódł. Rozbijać co wieczór obóz. Osobiście dbać o genistary, a nie zlecać to służbie. Zbierać drewno na opał. Gotować sobie jedzenie. Spać pod kocem i sztormówką pod niebem spowitym w mgławice. Było dość zimno. Od trzeciego dnia wyprawy nawet nie rozpalali ognisk, z obawy, że zauważą je bandyci, a w tym czasie znaleźli się już wysoko w Górach Donsori.

Mimo to, robił to wszystko lepiej od Dinlaya i Macsena - oni byli prawdziwymi chłopakami z miasta - i przynajmniej z tego miał satysfakcję.

Trzeciego dnia po wyjeździe z Północnej Bramy obozowali na zboczu góry Iyo, pół dnia jazdy od głównej drogi przez góry. Na drodze ruch był wciąż duży. Karawany, wozy z ładunkiem i powozy turkotały na szerokich płytach bruku, pnących się serpentynami na poszarpane zbocza. Wszystkim towarzyszyły stada gewilków. Bogatsi podróżni zabrali ze sobą również strażników. Codzienne napotykali oddziały lokalnej milicji na patrolach. Grupa Edearda jechała w przebraniu handlowców z Gildii, dość powszechnie spotykanych na drogach. Prócz Edearda i Topara do grupy należał Boloton, były szeryf z Oki, który ponad połowę swojego życia wędrował po terenach wiejskich. Następnym towarzyszem był Fresage, ogromny mężczyzna, którego ciało składało się głównie z mięśni; jeszcze jeden amator świeżego powietrza, dawniej członek prowincjonalnej milicji, a także przez dziesięć lat strażnik wybrzeża. Zabrał on swego przyjaciela Veriniego, który urodził się w rodzinie właścicieli karawany. Postanowił wziąć dziesięcioletni urlop od odwiecznych szlaków handlowych, by wybadać nowe rynki i poznać drogi na innych terenach. Jechał z nimi jeszcze Larby, który miał maniery syna Wielkiej Rodziny, ale wyraźnie czuł się dobrze w podróży i miał wprawę we władaniu pistoletem. O swoim pochodzeniu opowiadał mało, ale Edeard podejrzewał, że był związany z rodzinami w podobny sposób jak Argian.

Grupy dopełniali Dinlay i Macsen. Pod koniec ostatniego dnia obolały od siodła Edeard pomyślał, że nie powinien nalegać, by



mu towarzyszyli. Szczególnie trudno było przekonać Macsena: oczywiście troszczył się o Kanseen, która oczekiwała rozwiązania. Obaj jednak szybko uczyli się od innych. Edeard nigdy nie miał wątpliwości, że się przystopują. Głównie niepokoił się o to, że cała ich trójka będzie jednocześnie nieobecna w Makkathranie - podejrzliwe umysły od razu to zauważą. Jeśli z bandytami kolaboruje ktoś z oficjeli w rządzie, to może on wysłać Ostrzeżenie, nawet jeśli nie jest pewien, przed czym dokładnie ostrzega. Byłoby jednak trudno wysłać stamtąd wiadomość, która wyprzedziłaby grupę Topara.

Gdy posuwali się naprzód, ich głównym źródłem wiadomości byli napotykanii podróżujący. Nie musieli im nawet zadawać trudnych pytań - ludzie, którzy często korzystali z dróg, byli niezrównanymi plotkarzami. Pogłoski o bandytach krążyły wszędzie. Po napadzie na Northford nastąpił jeszcze jeden rajd - na wioskę o nazwie Regentfleet. Pięć zabitych rodzin, spalone budynki. Lokalny gubernator żądał pomocy od pułków milicji makkathrańskiej, by złapała bandytów. Co niepokojące, Regentfleet leżała blisko Sandmarket, stolicy prowincji.

- Więc kierują się na południe - skonstatował Topar, kiedy po raz pierwszy usłyszeli wiadomość o Regentfleet.

Dlatego właśnie ich grupa w końcu opuściła główną drogę, by samej uderzyć przez wysokie tereny. Przejście okazało się ciężkie nawet dla stoickich gekoni, stworzeń, które łączyły cechę wysokiej wytrzymałości z szybkością. Choć nie były tak szybkie jak konie ziemskie, nadal posiadały siłę, by utrzymywać przyzwoite tempo nawet na skalistych, stromych bezdrożach.

Topar prowadził ich wzdłuż granicy regła górnego - gęstych lasów wysokich, patykowatych kalkandowców, których pierzaste, niebiesko-złote liście zimowały zwinięte w ciasne zwoje.

Trzeciego dnia rozbili obóz pod zwisającymi gałęziami ze szkarłatnymi szyszkami sporowymi, z których kapał nieprzyjemny, lepki sok. Obok obozowiska sączył się strumyk, z którego mogły pić konie i gewilki. Tej nocy wysłali georty, by krążyły wśród szczytów i nurkowały w doliny. Wielkie ptaki

posiadały cechę, z którą Edeard wcześniej się nie spotkał: niemal idealne widzenie nocne. Odbierał od nich pozbawioną kolorów wizję: świat, nad którym przelatywały, był pomalowany w odcieniach szarości, szczegóły jednak wydawały się ostre i niezniekształcone. Edeard widział biegające małe stworzenia, nieświadome szybujących nad nimi ptaków.

- Wciąż jesteś młody, nadal możesz zostać uczniem w Niebieskiej Wieży - drażnił się z nim Topar, kiedy Edeard wspomniał o tej cesze.

Podobnie jak Gildia Broni, Mistrzowie z Niebieskiej Wieży strzegli sekretów, które mogli wykorzystywać do swoich celów.

Georły nic nie wykryły tej nocy. Topar i Edeard zawezwali je z powrotem we wczesnych godzinach, by odpoczęły przed zwinięciem obozu rankiem następnego dnia.

Edearda zbudziły soczyste przekleństwa - ujrzał Dinlaya skaczącego na jednej nodze i trzymającego wysoko drugi but. Okulary wciąż leżały na zwiniętym kocu, który służył mu za poduszkę, więc, zezując na but, krzywił się i mrużył oczy.

- Honious!

Wszyscy unosili głowy, dalwzrokiem skanowali otoczenie, niepokojąc się, że ich wykryto. Wszyscy z wyjątkiem Macsena, który trzymał wartę.

Ten, niewzruszony, siedział na starym zwałonym pniu i obserwował Dinlaya z chłodnym rozbawieniem.

- Niech to Honious! - Dinlay niezgrabnie odskoczył w tył i potknął się o mały kamień. Wylądował na zadku i boleśnie stęknął.

Edeard skrzywił się ze współczuciem, kiedy błysk bólu buchnął z umysłu przyjaciela.

- Co? Co? - wyrzucał z siebie Dinlay.

- Wszystko tam z wami w porządku?! - zawołał Macsen głosem o wiele za spokojnym, co wywołało na twarzy Edearda podejrzliwy uśmiech.

Skierował swój dalwzrok do buta Dinlaya i w palcach znalazł papkę, która była wcześniej utogiem - rodzimym owadem o szczególnie kłującym pancerzu.

- Czy ty...? - wydyszał oburzony Dinlay. - Czy to ty...?

- Czy ja co? - spytał niewinnie Macsen.

Inni teraz chichotali, a Dinlay zaczął drżeć, częściowo z powodu siniaków na pośladkach, a częściowo z zimna - miał na sobie jedynie cienką koszulę i bawełniane gacie.

- Niech Pani nasra na ciebie z wysokości - wymamrotał ponuro Dinlay. Trzecią ręką włożył okulary i zaczął wyskrobywać z buta rozgniecione resztki chrząszcza.

- Dzieciaki, dzieciaki - powiedział Fresage, kręcąc głową. Odepchnął koc i ociężale wstał, poruszając rękoma, by rozluźnić zeszywniałe mięśnie.

Edeard naciągnął gruby sweter i wygramolił się na nogi. Kiedy leżał bezpośrednio na ziemi, nigdy nie mógł ułożyć się wygodnie. Staranne badanie dalwzrokiem wykazało, że owady nie gniazdują w jego butach, więc wciągnął je na nogi.

Topar, który od chwili rozbudzenia trzymał pistolet, rzucił Macsenowi potępiające spojrzenie i zabezpieczył broń.

Boloton i Larby zwijali koce. Oczyszczywszy but, Dinlay oglądał swoje palce u nogi. Kilka kolców utoga sterczało z wełnianej skarpety. Usuwał je po jednym.

- Świetna robota - powiedział Edeard do Macsena. - Właśnie tak sobie wyobrażałem zachowanie Mistrza Dzielnicy.

Verini uśmiechał się szeroko.

- Jak w ogóle udało się waszej trójce oczyścić miasto z gangów?  
- zastanawiał się na głos.

Macsen błysnął do Edearda uśmiechem pełnym skruchy i samozadowolenia.

- Jakiś ty żałosny - narzekał Dinlay.

- Musiałem coś zrobić, żeby nie zasnąć - powiedział cicho Macsen. Zdjął czajnik z małego piecyka na olej jamolarowy. - Ktoś chce herbaty?

- Masz jednak jakieś pożyteczne umiejętności - zakpił Fresage.

- Niewiele i rzadko wykorzystywane, ale te, które nabyłem, opanowałem perfekcyjnie.

Edeard i Dinlay spojrzeli po sobie.

- Kanseen twierdzi co innego - powiedział Dinlay z zadowoleniem i wciągnął but.

Edeard wyciągnął swój kubek w stronę Macsena.

- Dupa z ciebie - oznajmił, uśmiechając się szeroko, kiedy przyjaciel nalewał mu wrzątku.

- Taa, to jedna z moich cech dodatnich.

Edeard wrzucił do wrzątku zawiązany płócienny pakiecik z herbatą. Z powodu tych pakietów - które zrobił dla niego opiekun dziesiątego piętra - pozostali towarzysze podróży bezlitośnie się z niego nabijali, ale skończyło się na tym, że „pożyczali” je do każdego posiłku.

- Jak długo to jeszcze potrwa? - spytał Dinlay, nadstawiając kubek po wrzątek.

- To puste tereny i niewiele jest miejsc, gdzie bandyci mogą się ukryć. - Topar sączył herbatę. - Pasterze wypasują stada na halach i tu, w górze, robi się teraz zimno.

- Znajdą sobie kilka odległych obozowisk i będą je kolejno wykorzystywali - powiedział Fresage.

Edeard spojrział przenikliwie na dolinę na południu. Góry Donsori nie były najwyższym łańcuchem górskim Querencji, jednak ich śniegowe czapy pełzyły znowu w dół, w miarę jak mijały letnie tygodnie. Las, pokrywający zbocza do połowy, zmieniał barwę, liście dominujących kalkandowców przybierały beżowy odcień, kiedy zaczynały się zwijać. Pod regłami łagodniejsze zbocza nabierały barwy żółtej. Trawa, podczas suchych letnich miesięcy pozbawiona wody, właśnie zaczynała znowu napawać się deszczem. Kępy wyjedzone przez ziemskie owce i bydło, a także wędrownie stada tubylczych chamalanów, wypuszczały ostatnie cienkie pędy przed ponownym nadejściem opadów śniegu. Gleba na tych odległych terenach była zbyt uboga, żadne farmy by się tu nie utrzymały. Znajdowało się tam kilka odosobnionych zagrod dla bydła, to wszystko. Ale powietrze było wspaniale czyste, a szczyty blokowały napływ chmur. Widoczność rozciągała się na mile.

- Jeśli chcą tu krążyć niezauważeni, muszą poruszać się wśród drzew - zauważył Larby.

- A obozowiska są raczej w pobliżu wiosek - dodał Topar. Wskazał na wierzchołek Mount Alvice na południowo-wschodnim końcu doliny. - Tam za szczytem jest płaskowyż, a na nim kilka wsi. Od nich do Sandmarket jest dzień jazdy.

- Taki teren powinien im odpowiadać - zgodził się Boloton. - Izolowany, ale niedaleko Regentfleet.

Edeard przyznał im w duchu rację, ale milczał, zadowolony, że choć raz wszystkie decyzje podejmuje kto inny. Topar nie mówił, jak długo planuje tropić bandytów, ale wieźli żywność na dwa tygodnie.

Kiedy znowu wsiedli na konie, Topar poprowadził ich ku Mount Alvice. Jak przedtem, by uniknąć wykrycia, trzymali się granicy regła. Zakładali, że bandyci wykorzystują georły i być może psy. Pierwszego dnia wszyscy słuchali Edearda uważnie, kiedy mówił o oswojonych szybkołisach, które spotkał wtedy, w prowincji Rulan.

W południe, kiedy w połowie okrążyli już górę, Topar ich zatrzymał. Ich georły opadły gwałtownie ku wierzchołkom drzew. Verini, który wykorzystywał georła ze zwykłym wzrokiem, zauważył dwa podobne georły nad płytką przełęczą prowadzącą na wyżyny za szczytem. Krążyły wysoko nad kamienistym szlakiem, zataczając ogromne koła.

- Z pewnością pilnują przejścia - powiedział Topar po półgodzinnej obserwacji orłów. - Żeby je ominąć, będziemy musieli iść wśród drzew.

Wszyscy zsiadli i wprowadzili swoje gekonie między drzewa. Edeard szedł jako ostatni. Omiatał dalwzrokiem szlak, próbując zlokalizować bandytów sterujących georłami. Nie było ich ani śladu, nawet wtedy gdy wykorzystał kontrniewidkę - choć stosowana zdalnie była bardzo zawodna. Bandyci przebywali albo po drugiej stronie przełęczy, albo ukryli się za jakąś dużą skałą.

Ich gewilki krążyły w lesie kalkandowców, wykorzystując naturalne zmysły, by węszyć w poszyciu. Pod drzewami panowały chłód i wilgoć, jakby wysokie pnie barwy ołowiu w jakiś sposób więziły zimową mgłę. Mrozący chłód przenikał

przez kurtki i spodnie. Wszyscy musieli używać trzecich rąk, by odsuwać niskie gałęzie i przywierające wilgotne liście. Gęste krzaki, skarłate z braku światła, drapały im nogi i jeszcze bardziej spowalniały. Niekończący się baldachim szyszek sporowych kapał sokiem na kapelusze, ściekającym po ramionach ospałymi strumykami.

Drugą stronę góry osiągnęli późnym popołudniem. Wyżyna okazała się bardziej gościnna niż tereny za przełęczą. Rozległy przestwór liściastych lasów i długich łąk poprzetykanych strumykami. Na niskich szczytach wokół nie było śnieżnych czap. Kilometry dalej, na północnym wschodzie widzieli wioskę - żółte kamienne domy na szczycie pagórka. Z kominów snuły się cienkie pasma dymu.

- Nie ma muru - szepnął Edeard.

Nawet teraz stale go to zaskakiwało. Pamiętał, jak podczas długiej podróży z karawaną Barkusa zdziwił go fakt, że im dalej na wschód, tym fortyfikacje wokół osiedli malały i stawały się bardziej zaniedbane. Aż w końcu, w prowincji Oxfolk po drugiej stronie Gór Ulfsen, zrezygnowano z nich całkowicie. Miasta i wsie wystawiono na to, co czyha za ich granicami. Tylko że nic niebezpiecznego już tam nie czyhało. Nie czyhało od setek lat.

Kiedy strzeżone przez georły przejście zostawili daleko za sobą, Topar poprowadził ich wzdłuż linii drzew do stromej dolinki. Pomaszrowali do strumienia na jej dnie i ponownie dosiedli koni. Wierzchowce przeszły po kamiennym dnie strumienia i wywiozły ich na zewnątrz, na płaskowyż. Ze stromych zboczy wyrastały małe martozowce i niebbuki, oplatając korzeniami głązy polodowcowe rozrzucone w dolinie. Długie biczowate gałęzie falowały nad wędrowcami, dostarczając im dodatkowego ukrycia. Georły leciały nisko, tuż nad górnymi gałęziami, wypatrując innych georłów. Gewilki rozbiegły się na bagnistych łąkach po drugiej stronie. Węszyły.

Kiedy słońce zniknęło za wysokim, postrzępionym horyzontem, dojechali do niezbyt gęstego lasu. Grunt pokrywała mata zeschniętych liści i miękkiej gliny. Wysokie zielsko i trawa nie stanowiły przeszkody dla gekoni. Pośrodku lasu rozbili obóz.

Gdy pierwsze błyski mgławic zaczęły migotać na niebie, Topar wysłał pięć nocnowidzących georłów, by sprawdziły, czy mogą zlokalizować obserwatorów z przejścia.

- Są gdzieś tutaj - stwierdził stanowczo Macsen. - Inaczej nie mogliby obserwować przełęczy.

- Chyba że przeszli do doliny po drugiej stronie - zauważył Dinlay. - I gdzieś się minęliśmy po drodze wśród drzew.

- Wieczny optymista - burknął Macsen.

- Praktykalista.

- Nie ma takiego słowa.

- Realista - odpowiedział Larby.

- Dziękuję - odparł Dinlay.

- Są na płaskowyżu - stwierdził Topar.

Edeard był jedną z osób prowadzących georły. Dalwzrokiem potrafił je kontrolować na dużych obszarach. Orzeł poszybował wysoko w powietrze i miał rozległy widok na płaskowyż. Topar poprosił Edearda o zbadanie południowego wschodu, gdzie były lasy, wąskie żleby i długie piargi wypływające spod uskoków skał.

Georzeł leciał szybko i cicho, pokazując teren w przygaszonych barwach, jakby wisiały nad nim grube burzowe chmury. Widział stado drakkenów mknących wąskim żlebem; potem kotłowały się przy padłym chamalanie. Małe rusale skakały zwinnie po drzewach i krzakach, szukając szyszek i strąków do zimowych spiżarni. Trilany tkwały swe niskie tamy na strumieniach, tworząc rozległe bagna, zdradliwe dla innych zwierząt. Kilka stad chamalanów zbiło się w grupy, a osobniki na obrzeżach były zaniepokojone czymś, co czaiło się w mroku.

Georzeł przez godzinę obserwował nieszkodliwe nocne życie zwierząt na płaskowyżu, gdy wtem złapał błysk ruchu przy kępie hatlaszowców na bagnistym brzegu niewielkiego jeziora. Coś dużego i szybkiego. Georzeł zanurkował po spirali, aż znalazł się kilkaset metrów nad szczytami hatlaszowców. Ich pnie, napuchłe od wody jeziora, tłoczyły się, walczyły o przestrzeń, przepychały się, nachylały pod ostrymi kątami, wzajemnie się splatały.

Doskonała kryjówka. Georzeł znów zawrócił, przeczesał kołyszące się szczyty drzew, szukając oznak nietypowego ruchu.

Za trzecim przejściem coś dostrzegł i rozpoczął schodzenie po wąskiej spirali. Przez jego oczy Edeard zauważył szybkołisa, biegnącego chyłkiem, wybierającego drogę przez postrzępione zasłony zwisających konarów. Wielki drapieźnik przyśpieszył, kiedy dotarł do niewielkiej polany, na której powalone pnie drzew gniły w rozkładanej przez grzyby stercie. Mimo to, georzeł dostrzegał wyraźnie obrozę wokół szyi zwierzęcia.

- Są tutaj - spokojnie obwieścił Edeard i podzielił się z innymi obrazem przekazanym przez georła.

- Dobra Pani! - szepnął Dinlay.

- Nigdy nie przypuszczałem, że kiedykolwiek zobaczę to stworzenie - oznajmił Macsen.

Edeard polecił georłowi, by się wycofał.

- Czemu? - spytał Larby.

- Jego pan na pewno jest w pobliżu - wyjaśnił Edeard. - Nie są łatwe do kontrolowania, wiem o tym. Może dalwzrokiem dostrzec naszego georła.

- I rzeczywiście, kilka minut później szybkołis wyszedł z kępy hatlaszowców. Towarzyszył mu mężczyzna, który bez wysiłku biegł obok zwierzęcia.

- Dobra Pani - wykrztusił z kolei Edeard.

Mężczyzna miał na sobie prostą ciemną tunikę i buty do kolan. Przez jego ramiona biegły dwa pasy skrzyżowane na piersiach. Przypiął do nich wąskie metalowe pudełka, ten rodzaj, który zawierał naboje do szybkostrzelnego pistoletu, wiszącego na trzecim rzemieniu.

- To jeden z nich! - Edeardowi kręciło się w głowie. Chwycił się za pierś i łapał powietrze.

- Z nich? - spytał Macsen. - Z bandytów?

- Tych z Ashwell. Nosi dokładnie taki sam strój, jak oni tamtej nocy. Klnę się na Panią, on musi być jednym z nich. - Edeard uświadomił sobie, że pozostali wymieniają nerwowe spojrzenia. - Na pewno.



- Należało się tego spodziewać - powiedział Topar. - Ścigali mnie wcześniej.

- To nie jest bandyta z dziczy - zauważył Larby.

- Dobrze się czujesz? - zapytał z troską Macsen.

Edeard skinął powoli głową. Zszokował go widok powracającego z przeszłości przeciwnika.

Ale od tamtego czasu urosłem. Tym razem oni rozumieją, co to strach.

- Czy rozpoznajesz akurat tego? - spytał Dinlay.

Edeard powrócił do perspektywy georła. Ptak nadal się wznosił nad bandytą i jego szybkolisem. Profil ledwo dało się odróżnić, ale...

- Nie - powiedział. - Nie pamiętam tak naprawdę żadnych twarzy. Chociaż istnieje jeden umysł, który zapamiętam na zawsze.

- Dobrze - zdecydował Topar. - Śledźmy go, zobaczymy, dokąd nas zaprowadzi.

Georzeł szybował nad bandytą. Topar kazał im znowu wsiąść na konie, gdyż ptak osiągnął kraniec percepcji Edearda. Jechali powoli za bandytą, pozostawiając las za sobą. Wszyscy wytworzyli mgiełkę sekluzyjną, chociaż mgławice na niebie dawały tylko nikłą część zwykłego światła. Łagodna psychiczna zmyłka powinna w nocy wystarczyć, o ile ktoś nie użyje najostrożniejszego dalwzroku. Dla większego bezpieczeństwa gewilki krążyły dokoła, a dwa nocnowidzące georły instruowane przez Veriniego obserwowały okolicę z góry. Do prowadzenia koni w ciemności używali własnego dalwzroku.

- Jest tylko jeden? - spytał po godzinie Macsen.

Bandyta posuwał się szybko, na przemian biegnąc i maszerując. Kierował się na południowy wschód wśród zarośli i zagajników. Poruszał się niepostrzeżenie, w czym miał wyraźną wprawę. Nawet georzeł w bardziej zawikłanym terenie śledził go z trudnością.

- Nie widzę innych - przyznał Edeard.

Umyślnie trzymali się daleko z tyłu, na wypadek, gdyby bandyta dysponował potężnym dalwzrokiem.

- Ale z doświadczenia wiem, że wszyscy umieją wykorzystywać niewidki.

- Wielka Pani! - powiedział Boloton. - Możemy mieć za sobą całą armię.

- Nie - zapewnił go Edeard.

Nastała prawie północ, kiedy bandyta osiągnął górny kraniec wąskiego żlebu. Zatrzymał się i przykucnął wśród zerodowanych skał pokrytych grubym kimchem. Szybkolis odbiegł od niego, wracając drogą, którą przyszedł.

- Schowajmy się - powiedział Topar. Poprowadzili konie do najbliższego lasku.

Szybkolis gnał z powrotem po ścieżce. Zatrzymywał się od czasu do czasu i ostrożnie węszył.

- Sprawdza na wszelki wypadek - oznajmił Fresage. - Wszędzie to robi. Nie pójdzie dalej, zanim się nie przekonana, że nikt go nie śledzi.

- Ściągnij georła z powrotem - polecił Topar Edeardowi. - Jeśli ich obóz znajduje się w pobliżu, nie możemy ryzykować, że nas wykryją.

Edeard kazał ptakowi wznieść się po spirali i zobaczył, że teren opada na wschodzie i jest zryty kilkoma skalistymi żlebami.

- Spójrzcie, dwa żleby się przecinają - zauważył Verini. - W kotlinie, z pionową skałą z jednego boku. Doskonałe miejsce na ukryty obóz.

- Właśnie tam pójde i sprawdzę - powiedział Edeard.

- Pójde z tobą - zgłosił się natychmiast Dinlay.

- Dzięki, ale to tylko zwiad. Moja niewidka jest najmocniejsza i wiem, że mogę się osłonić, jeśli mnie wykryją. - Czuł troskę w umysłach wszystkich pozostałych.

- Tylko bądź ostrożny - ostrzegł Macsen. - Nie ma tam miasta, które by cię ochraniało.

- Idę tylko popatrzeć, klnę się na Panią.

Wszyscy obserwowali przez samotnego georła, jak szybkolis wrócił, a bandyta ruszył w dół żlebu.

- Masz dwie godziny - oznajmił Topar. - Po tym czasie idziemy cię szukać.

Wybranie sposobu podejścia zajęło Edeardowi chwilę: szczyt niewielkiego urwiska z pewnością jest strzeżony, a szybkolisy mają doskonały węch. Ale źleby również są pilnowane. Może zamontowali tam nad ziemią linkę alarmową, trudną do wykrycia?

Wobec tego szczyt urwiska.

Gdy tylko wyszedł z lasu, utkał wokół siebie niewidkę - stał się pasmem mrocznego powietrza. Omiałał okolicę dalwzrokiem, szukając najmniejszych oznak niebezpieczeństwa.

Tak jak się spodziewał, na urwisku szybkolisy pełniły rolę wartowników. Leżały zwinięte w kłębek między kamieniami rozrzuconymi w wysokiej trawie. Całkiem rozbudzone, węszyły w nocnym powietrzu w poszukiwaniu obcych zapachów. Dalmową zaczął modyfikować ich polecenia, osłabiać ich stan uwagi, nakłaniać, żeby się przeciągnęły, wygodnie ułożyły, czyściły z błota. Uczucie zadowolenia zaczęło przesączać się przez ich myśli. Kiedy jeden w końcu zauważył jego zapach, zlekceważył natrętą woń jako rzecz nieistotną.

Tuż przy krawędzi urwiska stał samotny człowiek - obserwator. Był w niewidce, ale Edeard czuł jego dalwzrok omiatający od czasu do czasu okolicę. Kiedy ustalił jego przybliżone położenie, wykorzystał własny dalwzrok, by delikatnie rozewrzeć niewidkę wartownika. Odsłonięty bandyta miał zwyczajowe dwa krzyżujące się na piersiach pasy z pojemnikami z amunicją oraz pistolet powtarzalny na pasku przez ramię. Miał także w rozmaitych woreczkach kilka noży i dysków ostrzowych. Posiadał nawet zwykły pistolet. Ale nie zauważył, jak rozleniwione stały się szybkolisy. Jego myśli były błogo pozbawione podejrzeń.

Edeard wybrał rejon urwiska oddalony o siedemdziesiąt metrów od bandyty i popętnął naprzód.

\*\*\*

- Jest ich dziewięciu? - spytał Topar. - Jesteś pewien?  
- Tak - odpowiedział po raz trzeci Edeard. - Jeden na szczycie urwiska, kontroluje szybkolisy. Pięciu śpi pod przewieszką, a ten,

którego śledziliśmy, układa się do snu. Jest jeszcze dwóch pilnujących źleby, obaj w niewidkach. W każdym źlebie są też po dwa szybkołisy. Widziałem pięć georłów i dziewięć ziemskich koni.

- A co z zapasami? - spytał Larby.

- Stos worków i toreb, prawdopodobnie wystarczająca ilość jedzenia przynajmniej na trzy tygodnie. I trzy pudła z amunicją. Jeszcze nie skończyli z rajdami.

- Sukinsyny - warknął Verini.

- A możemy ich zlikwidować? - spytał Topar. - Jest ich więcej.

- O jednego - powiedział Fresage z lekceważeniem. - A po naszej stronie mamy element zaskoczenia.

- Może się udać - powiedział Edeard. - Będziemy musieli podchodzić źlebem. Mogę trzymać szybkołisy w stanie uspokojenia, póki ich nie miniemy. Problem będzie z trzema wartownikami, oni cały czas rozmawiają dalmową. Jak zabijemy jednego, inni od razu będą o tym wiedzieli.

- Więc wtedy obóz musi znajdować się w polu naszego rażenia - oznajmił Topar.

- Trzech wartowników mogę zlikwidować dość szybko - oznajmił Edeard. - Ale nie mogę zagwarantować, że nie podniosą alarmu; będziecie musieli wobec tego poradzić sobie z pozostałymi. Zwłaszcza jeśli mamy wziąć jednego żywcem.

- Czy nasze gewilki poradzą sobie z szybkołisami? - zapytał nieco trwoźnie Dinlay.

- Nie możemy ich wziąć ze sobą - odparł Edeard. - W szybkołisach musiałbym uspokoić zupełnie nowy instynkt, i to znacznie mocniejszy niż reakcja na zapach człowieka. Nasza akcja musi być jak najprostsza.

- O, Pani... szybkołisy.

- Wyglądają dziko...

- Spójrz!

- Są dzikie, ale to cała ich przewaga. Nie traćcie czasu na strzelanie do nich, zwłaszcza w ciemności. Ściśnijcie im serca albo zmiażdżcie im mózgi. Zabicie jednej sztuki zajmuje sekundę. Strach jest ich jedynym sprzymierzeńcem.

- Och, Pani - jęknął Dinlay.

- Możesz to zrobić? - zapytał Topar spokojnie i władczo.

Dinlay zaczerpnął tchu. Udało mu się przybrać dość obrażoną minę.

- Oczywiście, mogę. Ale tylko głupiec nie przyznaje się do niepokoju.

- Dobrze. Chciałbym, żebyś zabił dwa szybkołisy w żlebie natychmiast, jak tylko Edeard załatwi wartowników.

- Jasne.

Larby spojrział na niebo.

- Robimy to teraz?

- Nie - odpowiedział Topar. - Do świtu brakuje paru godzin, a nie spaliśmy. Spędzimy dzień rozłożeni tu w lesie na odpoczynku, a jutro po północy uderzymy.

\*\*\*

Edeard nigdy wcześniej nie czuł takiego lęku. Poprzednio, kiedy wkładał się do Domu Błękitnych Płatków, kiedy ratował Mirnatę, aresztował Buatego, a nawet w konfrontacji z Bisem na szczycie jego rezydencji wiedział i rozumiał, z czym ma do czynienia. Tym razem było inaczej, bandyci stanowili niewiadomą i z pewnością nie był tak pewien jak Topar, że uda się ich pokonać. Wystarczy popełnić mały błąd, by zaalarmować wartowników, a wtedy trzeba będzie odpierać dziewięć szybkostrzelnych pistoletów.

Zaraz o świcie trzej bandyci opuścili obóz. Georły krążyły wysoko nad nimi, a szybkołisy posłusznie kłusowały obok. Jeden z bandytów nawet przeszedł przez brzeg lasu, gdzie Edeard i jego towarzysze rozłożyli obóz. Na szczęście, byli dobrze ukryci pod konarami i przelatujący nad nimi jego georzeł ich nie zauważył.

Jeden z bandytów skierował się na powrót do przejścia przy Mount Alvice, pozostali dwaj poszli w zupełnie innym kierunku.

- Wartownicy - stwierdził Boloton. - Upewniają się, że nikt nie podejdzie blisko. Mieliśmy szczęście.

- Nie - powiedział Verini. - Są dobrzy, ale my jesteśmy lepsi.

- Przekonamy się dziś wieczór - wtrącił rozsądnie Macsen.

Edeard w ciągu dnia spał niewiele. Był niespokojny, w kółko rozmyślał o planie. Wszystko zależało od tego, jak szybko zdoła wyeliminować trójkę wartowników.

O ile mają tylko trzech wartowników. Przypuśćmy, że każdej nocy zmieniają system. Ja bym tak robił. Nie, jednak nie. W końcu po południu zasnął.

Obudził go Larby.

- Wartownicy wracają - powiedział, kiedy Edeard mrugał, patrząc w ciemniejące niebo.

Było już widać Buluku - długi kołyszący się fiolet z falami elektrycznie niebieskiego światła. Morze Odyna wznosiło się nad wschodnim horyzontem, jego niebiesko-zielone jądro otaczało kilka szkarłatnych kolców. Edearda dziwnie pokrzepiła jego obecność na niebie.

Ciekaw jestem, czy Boyd już tam dotarł? Prawdopodobnie jeszcze nie. Kto wie, jak to daleko?

Mnóstwo gwiazd mrugało w szerokich lukach między mgławicami. W końcu na firmamencie ukazał się Honious. W tym stanie ducha Edeard mógłby to uznać za zły omen.

To głupota, ponieważ niebo to niebo, bez względu na okoliczności.

Spożyli wspólnie posiłek, żując czerstwy chleb i zimne kluski, a potem suszone owoce. Topar pozwolił podgrzać na piecyku na olej jamolarowy wodę na kawę i herbatę. Byli za daleko, by szybko złapać zapach.

- W ciągu dnia nikt do nich nie dołączył ani od nich nie odszedł - stwierdził Macsen. - Więc jest ich tylko dziewiątka.

- Jesteś pewien, że tylko dziewiątka? - spytał Fresage.

- Naliczyłem dziewięciu - zapewnił go Edeard.

- Niech wszyscy naoliwią i sprawdzą pistolety - polecił Topar. Edeard był wdzięczny, że oderwano go od rozmyślań, choć był pewien, że nigdy nie użyje pistoletu. Potrzebował tylko swej trzeciej ręki. Mimo to, wykonał polecenie.

Tuż po północy Topar wyprowadził ich z lasu. Poruszali się wolno i ostrożnie; pokonanie drogi przebytej przez Edearda poprzedniej nocy zajęło im godzinę. Kiedy osiągnęli wylot żlebu,

wzięli się za ręce, zanim wytworzyli niewidki. Zarówno Larby, jak i Topar nalegali, że to najlepszy sposób na utrzymanie kontaktu; szept i silny dalwzrok mogły zostać wykryte przez wartowników. Dziwne wrażenie: Edeard czuł dłoń Dinlaya w swojej, a jednak, gdy się obejrzał, dostrzegał tylko rozmytą plamę mroku.

Szedł naprzód bardzo powoli i najślabszym możliwym dalwzrokiem badał grunt, czy nie ma tam drutów albo innych urządzeń alarmujących. Poczł się nieswojo, przebiegł go dreszcz.

Coś tu nie gra.

Upstrzone kamieniami zbocza ostro się wzniosły, kiedy szli stokiem ku obozowisku bandytów. Na stromych ścianach pojawiły się imponujące skalne urwiska. Pod stopami grunt robił się wilgotny. Światło mgławicy odsłaniało wijący się kanał z kępami trzciny między kamieniami. Niepokój Edearda wzrastał z każdym krokiem. Dopadło go zimno. Wiedział, co to za uczucie. To samo, co tamtej nocy w Ashwell, to samo, co w pułapce na szczycie wieży w Eyrie.

Nie może być nic złego. Nie tutaj. Nie wiedzą, że po nich idziemy. Nie mogą wiedzieć!

Poza tym, Edeard zaczynał się martwić, czy jego dalmowa zdoła dotrzeć do wartowniczych szybkolisów, zanim zwęszą jego nadejście. Wiedział, że trzeba ogromnej ostrożności. Nie zdawał sobie wcześniej sprawy, że żleb jest aż tak głęboki i kręty.

Złe przecucie stało się jeszcze silniejsze. Myślał, że słyszy szept. Nie przez uszy. Przez umysł. Bardzo słaba dalmowa?

Szedł płytkim strumyczkiem. Poruszał się ostrożnie, by nie pluskać, ale przekonał się, że z alarmującą szybkością zapadają mu się buty. Lotne piaski.

- Cholera - szepnął przez zaciśnięte zęby.

Musiał sięgnąć w dół trzecią ręką, by ustabilizować zdradziecki grunt. Postukał trzykrotnie palcem w dłoń Dinlaya: ostrożnie.

Z góry rozległo się potężne trzeszczenie, jakby pękały kamienne urwiska. Edeard natychmiast poczuł silne sondowania

dalwzrokiem, dalwzrokiem, którego niewidki nie mogły zmylić. Hałas się wzmaczał.

- Broń! - krzyknął Topar.

Edeard porzucił niewidkę i wysłał dalwzrok prosto ku źródłu dźwięku. To, co ujrzał, na niebezpieczną chwilę go zszokowało. Trzy ogromne głazy zaczęły toczyć się po zboczu dokładnie nad nimi. Po drodze obluzowały cały rój mniejszych kamieni.

- Zasadzka! - wrzasnął i natychmiast wzmocnił swą tarczę. Od razu się zorientował, że to na nic, nie przeciw takiej kaskadzie kamieni.

Zsuwała się na nich niewiarygodna masa. Instynktownie złapał Dinlaya trzecią ręką i rzucił go w górę zbocza na drugą stronę.

- Edeardzie, witaj znowu - szydził mentalny głos.

Edeard wspinał się w górę zbocza, a pierwsze głazy nabierały szybkości. Sięgnął po Macsena. Ale znał ten głos i kryjące się za nim okrucieństwo. Przywódca z Ashwell, człowiek, który zabił wioskę Edearda, jego życie. Morderca Akeema.

Dinlay przyszedł do siebie po nagłym locie. Zaczął strzelać z pistoletu na drugą stronę żlebu. Był to sygnał dla Topara i Fresagea do otwarcia ognia. Verini biegł z powrotem żlebem. Do dominującego hałasu przyśpieszającej lawiny dołączył zabójczy dźwięk pistoletów szybkostrzelnych. Tamte trzy wielkie głazy zakrywały wyjścia jaskiń w urwisku. Teraz wylewało się z nich kilkunastu bandytów, którzy celowali w Edearda i jego towarzyszy. Ich natychmiastowej śmierci zapobiegała sama lawina: mnóstwo kamieni wtaczało się w pole rażenia pistoletów.

- Sam wielki Stąpający po Wodzie. - Oprawca Edearda się śmiał. Teraz już mniejsze kamienie, wielkości głowy skakały wokół Edearda.

Kule siekły grunt przy jego stopach. Wrzeszczący Dinlay zanurkował za skałę. Nie dość szybko. Kule posiekały mu nogi, a potem waliły w tors.

Strumień kul uderzył w Edearda. Jego tarcza trzymała, a on instynktownie grzmotnął w tył, po linii ataku. Jeden z bandytów z zasadzki poleciał do tyłu przez powietrze; bryzgał krwią.

Trzy wielkie kamienie trafiły w Fresage'a. Jego krzyk się urwał.



Macsen strzelał pistoletem do bandytów z zasadzki. Grunt wokół niego ryły kule z karabinów szybkostrzelnych. Edeard wrzasnął, kiedy poczuł ogromny błysk bólu, wypuszczony przez umierający mózg Macsena. Jego trzecia ręka smagała dziko po bandytach z zasadzki, odrzucając czterech z nich na bok. Dwóch pędziło w dół zbrocza za lawiną, ich ciała koziołkowały, ich kości pękały.

Gigantyczny głaz zmiażdżył pierś Larby'ego i cisnął go na ziemię. Dalsze kamienie odbijały się od niego, skakały po nim.

Edeard tańczył na stoku, starał się unikać zabójczej kanonady, uderzał pędzące na niego kamienie, odchyłał je. Wtedy największy głaz, prawie dwa razy wyższy od niego, walnął w dno żlebu, wstrząsając gruntem. Z rozpędu toczył się prosto na Edearda.

Edeard go wstrzymał. Niewiarygodny ciężar był niczym. Edeard po prostu złapał go trzecią ręką i zatrzymał na miejscu w powietrzu. Głaz zawisł metr nad ziemią, a usta Edearda wykrzywiły się dziko z wysiłku. Głaz bombardowała ulewa mniejszych kamieni. Edeard trzymał mocno. Jeden z pozostałych oryginalnych głazów przetoczył się obok, potem zawahał się na zboczu i smyrgnął z powrotem na dno żlebu.

- O, kurwa! - zawołał ktoś gorączkową dalmową.

- Jak on to robi?

- Zabij go. Zabij gówniarza.

Pistolety szybkostrzelne rozpoczęły kanonadę. Kule grzmociły w głaz wiszący przed Edeardem. Słyszał dziwne terkoczące brzdęki, kiedy rykoszety odskakiwały we wszystkie strony. Pogłosy spadających skał mruczały coraz ciszej, gdy lawina przeminęła i się zatrzymała.

Edeard podniósł głaz wysoko. Najpierw nad głowę, potem wyżej, na swoją trzykrotną wysokość. I jeszcze wyżej. Na poziom jaskiń w żlebie.

Siedmiu bandytów przykucnęło na długiej półce biegnącej przed ciemnymi otworami. Patrzyli z niedowierzaniem, jak masywna skała zakręca ku nim, lecąc przez powietrze. Jak przyśpiesza.

Uderzyła w pierwszego, zrzucając go do żlebu. Cios nawet nie zwolnił jej biegu. Wszyscy na półce próbowali uciekać, ale nie było na to miejsca ani czasu. Głaz walił w nich, miażdżył ich ciała na pulpę lub zrzucał ich z urwiska. A potem Edeard spuścił kamień precyzyjnie na ostatniego bandytę.

A potem po prostu stał. Z rękami opuszczonymi po bokach. Patrzył odrętwiały na wielki stos kamieni, ułożonych przez lawinę po drugiej stronie żlebu. Zaczął się trząść. Najpierw drżały ręce, potem dygotały mu nogi, wreszcie mięśnie się poddały. Opadł na kolana.

- Dinlay! - zawołał głosem i umysłem. - Dinlay? Macsen? Topar? Ktokolwiek?

Poczuł nadbiegające szybkołisy: mknęły chyłkiem dnem żlebu, śpiesząc na rozkaz swego pana, by zadać śmierć intruzowi. Edeard pchnął trzecią rękę do ich czaszek i rozerwał miękką tkankę mózgową. Upadły w milczeniu i rozciągnęły się na kamieniach.

Pozostali bandyci szli, skradając się za szybkołisami. W niewidkach, niepostrzeżenie, pistolety szybkostrzelne trzymali w pogotowiu. Edeard pozwolił im podejść bliżej, a potem ich zabił. Wyciągnął ich z miejsc, gdzie pełzli i kulili się, a potem połamał im kręgosłupy. Porzucił ich jednego po drugim. Wypadali z mroku i zalegali obok szybkołisów. Edeard nie czuł nic. Żadnego żalu. Żadnego gniewu. Nic.

Poszarpane ciało Dinlaya leżało rozciągnięte na zboczu nad Edeardem, gdzie Dinlay powinien być bezpieczny. Edeard go tam rzucił i przyjaciel byłby bezpieczny, gdyby nie wstawał. Ale Dinlay nigdy nie kuliłby się za skałą, kiedy atakują jego towarzyszy. To nie w stylu Dinlaya.

Edeard skupił dalwzrok na zboczu. Zakrwawione ciało Macsena wpatrywało się w górę, w Morze Odyna. Buntowniczy do końca, strzelał, nawet gdy trafił go rój kul. Fresage i Topar zostali pogrzebani pod kamiennymi pagórkami. Bolotona przygwoździł głaz, który wylądował mu na nogach, a kilka kul przebiło mu głowę i klatkę piersiową. Prawie nie dało się go rozpoznać. Verini uszedł zaledwie kilka kroków z powrotem w górę żlebu, kiedy

dosięgły go pociski z pistoletów szybkostrzelnych. Ramiona i nogi Larby'ego wystawały spod dużego głazu. Z jego korpusu pozostała zgruchotana krwawa miazga, wsiąkająca w grunt.

Edeard zapłakał.

- Dlaczego mi to robisz?! - zakrzyknął do Morza Odyna. - Pani, dlaczego? Cóż zrobiłem tak złego, że mnie w ten sposób karzesz. Dlaczego? Dlaczego? Powiedz mi, ty śmierdząca suko. - Nie mógł powstrzymać łkania. - Dlaczego?!

Potem zwinął się na ziemi, bezradny. Chciał, by to potworne życie się skończyło. Pragnął umrzeć.

- Edeardzie.

Głos przemawiał do niego z bardzo daleka.

- Edeardzie, to się nie skończyło.

Przetarł dłonią twarz, rozmazując błoto, łzy i krew.

- Kto... Och.

- Edeardzie.

Przemógł rozpacz, rozpoznał głos i rozciągnął swój dalwzrok, skąd - jak sądził - pochodził dźwięk. Maksymalnie się skupił.

- Mistrz Sampalok we własnej osobie - powiedział z gorzką tkliwością. Dusza Macsena uśmiechnęła się do przyjaciela.

- Najkrótsze panowanie w historii.

- Najbardziej pamiętne. - Dalwzrok Edearda przełączył się na Dinlaya, który stał obok Macsena. - Tak mi przykro.

- Nie ma ci co być przykro - powiedział Dinlay. - Próbowałeś mnie ocalić.

- Zawiodłem.

- Ale próbowałeś. Dlatego jesteś Stąpającym po Wodzie.

- Czy słyszycie mgławice? Czy słyszycie pieśni?

- Tak - potwierdził Macsen. - Są bardzo silne, bardzo piękne.

Trudno oprzeć się ich wezwaniu, obiecują taką wspaniałą przyszłość wewnątrz Serca. Ale na razie zostaniemy z tobą, jesteśmy zobowiązani to zrobić, choć tak trudno zwlekać. Jest jedno zadanie, w którym musimy ci pomóc, Edeardzie. Zobowiązuje nas do tego honor. Musimy pokonać tego, kto stoi za tą zasadzką. Wymierzysz dla nas sprawiedliwość.

- Wymierzę - odparł zboląłym tonem. - Obiecuję to. I bardzo wam dziękuję.

Macsen uśmiechnął się ze smutkiem. - Edeardzie, czy ich widzisz?

- Widzę kogo? - Wypuścił dalwzrok, myśląc, że jacyś bandyci mogli przeżyć. Macsen i Dinlay podpłynęli ku niemu.

- Obok nas - powiedział Dinlay. - Spróbuj, Edeardzie, spróbuj ich zobaczyć. Są teraz tacy słabi, tacy krusi. Ale wytrzymują. Dla ciebie. Pani droga, przetrwali przeszło półtorej dekady. Nie dowiesz się, ile to kosztuje, aż umrzesz.

- Co?

- Skup się, Edeardzie - nalegał Macsen. - W ten sam sposób, w jaki widzisz nas. Ale pójdź dalej.

Spróbował zrobić, o co prosili, wyciągając dalwzrok, nie wzdłuż, ale pogłębiając percepcję. Tam, dokładnie na krawędzi swoich możliwości, rozróżnił dwie postacie. Mężczyznę i kobietę bardzo osłabionych w porównaniu z duszami Macsena i Dinlaya.

- Znam was - stwierdził ze zadziwieniem Edeard. - Wasze twarze. Pamiętam je. - Jego myśli przekoziółkowały wstecz, przez lata. Z powrotem do czasu, kiedy biegał po tamtym wielkim starym farmerskim domu w pobliżu Ashwell. Śmiał się i bawił przez całe dni. Biegł szczęśliwie do... - Mama? - wydyszał z niedowierzaniem. - Mamo, czy to ty? I ojciec?

Wątle dusze uśmiechnęły się i wzięły za ręce.

- Synu - powiedział ojciec.

Tak słabym głosem, że Edeard natychmiast poczuł obawę.

- Zostaliście tu? - Łzy wróciły, bo to objawienie nadwerężyło jego siły fizyczne.

- Oczywiście, że zostaliśmy, mój piękny chłopcze - powiedziała matka.

- Pilnowaliście mnie. Wy! To byliście wy za każdym razem. To wyście mnie ostrzegli.

- Jesteś wszystkim, co z nas zostało - powiedział ojciec. - Musieliśmy cię chronić. Zapewnić ci bezpieczeństwo.

- Och, dobra Pani. A co z pieśniami, zewem do Serca.

- Kochamy cię, to jest naprawdę ważne.

- Ale jesteście tacy... mali.

- Gdybyśmy poszli za pieśniami, byłoby tak samo - stwierdziła jego matka z łagodnym uśmiechem. - One są tak daleko. Powiedziałem sobie: tak niewiele dusz dotrze do Serca.

- Odejdźcie - powiedział Edeard. - Odejdźcie natychmiast. Chcę was spotkać znowu po drugiej stronie Morza Odyna. Chcę wam opowiadać, co uczyniłem ze swoim życiem. Chcę, żebyście byli bezpieczni.

- Za późno na to, synu - odparł ojciec. - Obserwowanie, czym się stałeś, było dla nas błogosławieństwem. Patrzenie, jak osiągasz swoją pozycję. Jestem dumny, bardzo dumny, nigdy bym tego nie zamienił na następne życie w Sercu. Nawet gdyby milion razy dano mi taki wybór.

- Mój piękny syn - powiedziała matka. - Nigdy nie marzyłam o synu tak wspaniałym. Wyprowadziłeś ten świat z mroków.

- Nie, nie zrobił tego - wtrącił Macsen. - Przykro mi, Edeardzie, ale oni wiedzieli, że przybywamy. Ta zasadzka jest najbardziej sprytną i inteligentną zasadzką na nas, jaką można było zorganizować.

- I nie zadziałała - powiedział stanowczo Dinlay, a potem się nachmurzył. - Nie przeciw tobie.

- Kto ich ostrzegł? - spytał Macsen. - Kto tak naprawdę za tym stoi? Pomyśl o dziewczynach, Edeardzie! Naszych żonach. Co się dzieje tam, w Makkathranie?

Edeard poczuł, jak znowu opuszcza go radość z tego niezwykłego spotkania.

- Nie wiem - odpowiedział. - Ale pozostał ktoś, kogo można o to zapytać.

Ogromny głaz leżał tam, gdzie Edeard go zostawił - na skraju półki. Zmiażdżył stopy szefa bandytów. Choć był unieruchomiony, choć czuł ogromny ból, zdesperowany mężczyzna zdołał przeładować swój szybkostrzelny pistolet. Trzecią ręką zebrał kilka dodatkowych, napełnionych kulami magazynków. Potrzebował tylko wyraźnego celu.

Wspinając się na półkę, Edeard czuł na sobie dalszyrok mężczyzny. Spokojnie obszedł kamień, a bandyta otworzył ogień.

Edeard po prostu stał, kiedy kule nieprzerwanie, lecz bezskutecznie waliły w jego tarczę.

- Zaiste straszliwa broń - powiedział Edeard, kiedy magazynki się wyczerpały. - Po takiej kanonadzie wrogowie z pewnością ogłuchną na cały tydzień.

- Niech cię Honious pochłonie, Stąpający po Wodzie.

- Nawet jeśli, to pochłonie mnie znacznie później niż ciebie. - Edeard Wyrwał mu pistolet trzecią dłonią. - Nigdy mi nie powiedziałeś, jak się nazywasz. Ale teraz rozpoznaję ten nos, jest bardzo charakterystyczny. Gdzie siedzisz na drzewie genealogicznym rodziny Gilmorn?

- Twoi kumple są martwi. Wszyscy, zobaczyłem to dalwzrokiem. Jesteś całkiem sam, nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo sam.

- Naprawdę? - Edeard zastosował trzecią rękę. Gilmorn wrzasnął, kiedy głaz potoczył się dalej. Kolana bandyty chrupnęły. - Kto ci powiedział, że nadchodzimy?

- To już koniec, ty pieprzone dziwadło! - zawył Gilmorn na przekór bólowi. Po twarzy ściekał mu zimny pot. - Wygraliśmy, nawet po tym wszystkim wygraliśmy.

Głaz znowu nieznacznie się obrócił.

- Kto wygrał? - zapytał spokojnie Edeard.

- Nie możesz wygrać, teraz już nie - zawodził Gilmorn.

- Centymetr po centymetrze - ostrzegł Edeard i znowu poruszył głaz. - A wysoki z ciebie mężczyzna.

- Niiieee!

Rozległo się głośnie, długie wycie. Edeard pomyślał, że Gilmorn mógł uszkodzić sobie krtań.

- Czy właśnie w taki sposób wieśniacy prosili i błagali? Ilu zamordowałeś w ciągu tych lat, Gilmorn? - Edeard podtoczył głaz bliżej bioder.

- To było niezbędne - charczał Gilmorn. Z trudem oddychał, pot moczył mu ubranie.

- Niezbędne? - spytał z niesmakiem Edeard. - Niezbędne do czego? Zabiłeś, zamordowałeś, setki ludzi. Tysiące. Zamieniałeś w ruiny całe wsie.

- Jeden naród.

- Co?

Edeard myślał, że źle zrozumiał wypowiedź. Hasło Owaina. Owain.

- Musimy być jednością.

Wściekły Edeard pchnął głaz znowu. Stawy biodrowe mężczyzny pękły.

- Owain! - wrzasnął Edeard głosem pełnym nienawiści.

Gilmorn zaśmiał się jak szaleniec, na usta wystąpiła mu krwawa piana.

- Jeden świat, jeden naród, rządzony przez tych z nas, którzy zostali zrodzeni, mając przeznaczenie w swej krwi.

- Zrobiliście to, by koronować jakiegoś imperatora? Ty... Ty... Dobra Pani, dla czegoś takiego? - Edeard potoczył głaz w przód i toczył dopóki trzaski i wrzaski gwałtownie się nie skończyły. - Pani, nie - powiedział z bólem.

- Mimo całej swej siły jesteś taki słaby - powiedziała pogardliwie dusza Gilmorna.

Edeard obrócił się na pięcie.

Widmowa esencja bandyty stała nad kałużą jego własnej krwi, wylewającej się spod głazu. Popatrzyła na Dinlaya i Macsena z pogardą.

- Mogłeś się do nas przyłączyć, Stąpający po Wodzie. Kuzynka Ranalee oferowała ci świat. Cały lud zjednoczony w uwielbieniu dla twojej siły. A ty ją odrzuciłeś. Dla nich? Co ci dały te żałosne tragiczne postacie?

- Honious cię oczekuje - rzekł rozsierdzony Macsen. - Nie zwlekaj.

Gilmorn zaczął się wznosić.

- I wiesz co, Stąpający po Wodzie, moja rodzina ciągle pieprzy tę twoją małą nowicjuszkę-kurewkę.

Jego kształt rozmył się i zagubił wśród jaśniejących pięknych mgławic.

- Salranę? - spytał cicho z przerażeniem Edeard. - Kristabel!

- Kanseen - powiedział Macsen. - Edeardzie, co się dzieje w Makkathranie? Jeśli Owain ma być imperatorem, ta pułapka na nas może być jedynie częścią jego szaleństwa.

- Niech to Pani! - Edeard splunął. Pomknął w dół po zboczu, a potem zlebem.

Kilka ziemskich koni bandytów nadal było przywiązanych postronkami do słupków. Były narowiste, ale umiejętna dalmowa Edearda je uspokoiła. Znalazł wśród pakunków siodło i zarzucił je na pierwszego konia.

- Wyjechaliśmy sześć dni temu - zauważył Macsen. - Co mogli zrobić w sześć dni?

- I następne dwa zajmie mi powrót - powiedział Edeard z udręką w głosie, wsiadając na konia. - Może Owain czeka, by usłyszeć, że zasadzka się udała i że jestem martwy. Wie, że mogę go powstrzymać, że miasto weźmie moją stronę.

- Tak - odparł Dinlay. - Miejmy nadzieję.

Edeard zwizualizował sobie mapę, by opracować najkrótszą trasę przez góry do głównej drogi. Z ciężkim sercem zdał sobie sprawę, że to ta sama droga, którą przybyli, obok Mount Alvice. Tyle że przedtem jechali ostrożnie, przedzierając się pod drzewami i w głębokich jarach, by ich nie zauważono. Teraz Edeard nie miał takich ograniczeń. Spiął ostrogami konia i nakazał pozostałym biec za nim.

O świcie znajdował się już daleko za Mount Alvice. Wczesnym popołudniem znalazł się na drodze i pędził na wschód. Przed obiadem musiał zmienić konia - pierwszy prawie padał ze zmęczenia. Następny koń wykończył się wczesnym popołudniem. Sam Edeard był wykończony, ale trzymała go na nogach czysta determinacja. Następne dwa konie przetrwały tylko po parę godzin.

Przyjechał do wsi, kiedy słońce zaczynało opadać ku górom. Zdawał sobie sprawę, że sam wygląda tak, jakby wychynął prosto z Honiousa. Jego widok mógł budzić obawy, ale wieśniacy słyszeli o Stąpającym po wodzie, a złote monety wszędzie przemawiały w przychylnie słuchanym języku. Zapłacił absurdalnie dużo za trzy świeże konie i pognął w noc.



Mimo skurczów mięśni, siniaków i krwawiących ran na udach jechał przez całą noc. Rano dotarł do łańcucha Donsori. Poniżej rozpościerała się Równina Iguru. Makkathran leżał na horyzoncie, złote promienie słońca już oświetlały szczyty wież. Na ten widok kompletnie wyczerpany Edeard odetchnął z ulgą.

- Muszę się dowiedzieć - powiedział Macsen i odszedł błyskami w ciepłym wietrze znad równiny.

- Zostanę z tobą - obiecał Dinlay.

Edeard poganiał ostatniego zmęczonego konia w dół po wijącej się serpentynami drodze. Wtedy napotkał karawanę sunącą krętym szlakiem wzwyż, w góry. Karawany na ogół nie wyruszały tak wcześnie. Zatrzymał się, by pogadać z właścicielem.

- W mieście panuje chaos - opowiadał starzec nerwowo. - Na każdej ulicy są mężczyźni z pistoletami, mówią, że reprezentują nowego burmistrza. Pułki milicji wmaszerowały do miasta dwa dni temu, a konstable próbowali je zatrzymać. Walczyli. Nigdy nie widziałem tylu trupów.

- Nie - jęknął Edeard. - Och, Pani, nie. Poczekaj! Burmistrz wezwał pułki do miasta?

- Tak, ale nie Finitan. On nie żyje i nikt nie wie, jak to się stało. Owain zażądał Pałacu Sadowego, a jego uzbrojone zbiry go poparły.

Edeard rozpaczliwie chciał się czegoś dowiedzieć o Kristabel, ale mistrz karawany nic o niej nie wiedział.

- Potrzebuję świeżych koni, mogę zapłacić.

Starzec spojrział na niego ponuro, ale w końcu skinął głową.

- Wrócimy tu najwcześniej za rok, może nawet później, więc być może unikniemy kary.

- Kary?

- Wysoka Rada wyjęła cię spod prawa, Stąpający po Wodzie. Ja... słyszeliśmy, że jesteś martwy.

- Jeszcze nie - powiedział Edeard przez zaciśnięte zęby. - Oni już się przekonali, że nie tak łatwo mnie zabić.

- Dobrze. Wymienimy ci konie. Nie wezmę od ciebie pieniędzy.

- Dziękuję.

- Finitan nie żyje - powiedział ponuro Dinlay, kiedy Edeard przemierzał Równinę Iguru na długonogim gekoniu. - Jak oni śmieli zrobić coś takiego? Lud go wybrał.

- Przygotowania zajęły wiele lat - odpowiedział tępo Edeard. - Ataki bandytów, terror na prowincji, nawet gangi rozpuszczone w mieście. To wszystko zaplanowano, by zmusić Querencię do przyjęcia jednego rządu z Owainem na czele. A później przybyłem ja. Co za ironia losu: jego własna kampania zastraszania spowodowała, że uciekłem do miasta.

- Ale co teraz możesz zrobić?

- Wyrzucę go z biura burmistrza, przywrócę prawowity rząd. - Nawet gdy wypowiadał te słowa, wiedział, jak fałszywie one brzmią.

- Dobrze. - Ton widma jednak był niepewny. - To dobrze.

Edeard nie stworzył niewidki, nawet nie uruchomił mgiełki sekluzyjnej. Nie dbał o to, czy ludzie go zobaczą. Chciał, by w mieście rozeszła się pogłoska. Chciał, by ludzie odzyskali nadzieję. By wiedzieli, że Stąpający po Wodzie przybywa.

Wszystko zostanie naprawione.

Na drodze panował duży ruch. Z Makkathranu. Umęczeni podróżni zatrzymywali się, i patrzyli, kiedy galopował obok nich. Niektórzy bili brawo, ale większość na jego widok kręciła głowami z niepokojem. Dalmowa falowała na całej drodze.

- Stąpający po Wodzie nadal żyje.

- Stąpający po Wodzie wraca.

- Stąpający po Wodzie to zatrzyma.

- Stąpający po Wodzie się spóźnił.

- Za późno.

Przygłębiało go to dlatego, że zyskiwał potwierdzenie swoich podejrzeń. Oprócz Kristabel i kilkorga przyjaciół, co tak naprawdę tam miał? Nigdy nie zamierzał zbawiać miasta i świata od ludzi z rodzaju Owaina. A teraz pozostawały mu tylko próba akcji ratunkowej i życie na wygnaniu.

Końcowy odcinek drogi do miasta pokonywał po południu. Ostro pędził pod fantazyjnymi drzewami przydrożnymi. Był

teraz jedynym podróznym i omiatał dalwzrokiem okolicę, by przekonać się, co go czeka.

Kiedy wyjechał pędem ze starodrzewu, zauważył, że z trzystymetrowego pasa trawy otaczającego kryształową ścianę zniknęły nawet owce. Północna Brama była zamknięta. Szybkie sprawdzenie dalwzrokiem wykazało, że zamknięto również pozostałe dwie bramy. Wokół potężnej bramy rozlokowano pół pułku milicji, sto pistoletów ustawionych wzdłuż drogi. Przed nimi stał oddział strażników w mundurach Gildii Broni. Nosili pistolety szybkostrzelne.

Dalwzrok Owaina padł na samotną postać poganiającą konia; jeden wątek dalwzroku wśród wielu tysięcy.

- Zawróć Stąpający po Wodzie, nic tu dla ciebie nie pozostało. Zawróć. Przynosisz jedynie śmierć, gdyż ci dzielni mężczyźni zabiją cię bez względu na to, ilu z nich zlikwidujesz wpierw swoją mocą. Nie zmieścisz całego miasta przeciwników.

- To nie twoje miasto! - odkrzyknął Edeard dalmową.

- Jak sobie życzysz. Niech Pani zlituje się nad twoją duszą.

Edeard znalazł się zaledwie dwieście pięćdziesiąt metrów od pierwszych rzędów milicji, gdy nagle zawrócił gekonia z drogi i odjechał po krzywej, równolegle do kryształowej ściany. Pluton kawalerii zaszarżował przez milicję i pognął za nim. W innych okolicznościach Edeard ze śmiechem wyzwiałby ich do potyczki, ale teraz po prostu zacisnął zęby i poprosił miasto, by pozwoliło mu wejść. Znowu obrócił konia i pognął prosto na kryształową ścianę. Kawaleria zmieniła kierunek jazdy; chcieli go dopaść.

Edeard silnie kontrolował trzepoczące myśli wierzchowca, który pędem zbliżał się do ściany. Koń ani razu się nie zawahał, nawet gdy biegł za szybko, by wyhamować. Kilka metrów przed pionową barierą Edeard spiął zwierzę do skoku. Skoczył i ku zdumieniu zapamiętałej w pościgu kawalerii przeszedł prosto przez ścianę, jakby solidna materia była jedynie mgiełką. Przez zabarwiony kryształ widzieli, jak ląduje po drugiej stronie i galopuje. Dopiero wtedy Stąpający po Wodzie ściągnął cugle. Zeskoczył z siodła, stał chwilę na łące Niskiej Fosy, po czym szybko zapadł się w grunt bezpośrednio przez trawę.

\*\*\*

Wynurzył się pośrodku dziedzińca zigguratu Culveritów. Zmysły miasta odkryły już mu, co tam znajdzie: długi rząd ciał owiniętych w białą materię. I Buatego ubranego w szaty Mistrza Dzielnicy Haxpen, który instruował gemałpy oraz zastraszone personel, jak pozbyć się ciał.

Przerażenie Edearda ulotniło się, kiedy dostrzegł stojącą tam Kristabel. Na chwilę, bo kiedy zaczął ku niej pędzić z rozwartymi ramionami, chcąc pozdrowić ukochaną, dusza Dinlaya krzyknęła:

- Nie, Edeardzie, ona odeszła, tak jak ja!

Kristabel odwróciła się ku niemu, a on, skonsternowany, potknął się i stanął. Wtedy się przekonał, że odeszła, że widzi dalwzrokiem jej duszę, która ostentacyjnie stoi nad swymi zwłokami.

Cały drżał z szoku i gniewu. Odwrócił się ku Buatemu, który powoli cofał się do głównego wejścia rezydencji. Jego strażnicy także się wycofywali, żaden nie śmiał unieść broni przeciwko Stąpającemu po Wodzie.

- Ja... ja nie miałem wyboru! - krzyknął blady Buate. - Owain rozkazał mi, bym zażądał dla siebie Mistrzostwa Haxpenu. Była walka. Zginęło wielu z obu stron.

- Kto ci to zrobił? - szepnął Edeard.

- Jego ludzie nadeszli o świcie trzy dni temu. Homelt i strażnicy walczyli mężnie. Ale pistolety, Edeardzie, oni mieli te straszne pistolety. Nic nie mogło im się oprzeć. Zabili naszych strażników. Moje kuzynki i pokojówki zostały zgwałcone, stare i młode, nie oszczędzali nikogo, kiedy przebijali się w górę rezydencji. Dotarli siłą na dziesiąte piętro. Tata i ja próbowaliśmy ich zatrzymać, ale byli zbyt silni. Edeardzie... skoczyłam. Nie miałam zamiaru pozwolić, by mi to zrobili. Wszystko było stracone. Tata, ja i Mirnatha wzięliśmy się za ręce i skoczyliśmy z samego szczytu schodów. Czy zrobiliśmy źle?

- Nie, ukochana, nie zrobiliście źle. Powinienem tu być, by was chronić. To ja zawiodłem.

- Tata i Mirnatha poszli do mgławic, w poszukiwaniu Serca. Idą za pieśniami. Tam będzie czekała na nich mama. Ja zostałam. Wiedziałam, że przybędziesz. Chciałam cię ujrzeć przed odejściem, jeden ostatni raz.

- Co? - spytał Buate. Sondował dalwzrokiem dziedziniec, próbując odkryć, do kogo Edeard mówi. - Kto tam jest?

- Kto tam jest? - powtórzył tępo Edeard. - Moja żona tu jest. Mój przyjaciel tu jest. Moja matka i ojciec są tutaj.

Kristabel uśmiechnęła się do dusz rodziców Edearda.

- To wasz syn?

- Tak - odpowiedziała matka Edearda.

- Tak go kochałam.

- Wiemy. Nigdy nie był bardziej szczęśliwy i zadowolony jak wtedy, gdy był z tobą.

- Nie widzę nikogo - wyjąkał przerażony Buate.

- Pozwól, że ci pokażę - odparł Stąpający po Wodzie.

Buate został uniesiony w powietrze. Jego straż patrzyła z przerażeniem, jak trząsał się gwałtownie. Potem odrzucił głowę w tył i zawył - jego umysł napełnił dziedziniec koszmarnym bólem. Drobnny kwiat krwi pojawił się na jego szatach, szybko zamieniając się w strumyki, które skapywały i rozpryskiwały się na dziedzińcu. Wtedy strażnicy odwrócili się i uciekli. Musieli odejść daleko, by krzyki Buatego przestały dręczyć ich uszy.

Teraz dusza Buatego spoglądała w dół na swe ciało, kiedy Stąpający po Wodzie opuścił je na dziedziniec.

- Czy teraz widzisz? - spytał Edeard.

- Przegrałeś - powiedział Buate. - Teraz możesz tylko zabijać. Jeśli w taki sposób zagarniesz władzę, staniesz się jednym z nas.

Oczy Edearda znowu napełniły się łzami, kiedy dusza podążyła do góry. Buate mówił prawdę. Nie zostało mu nic. Owain i jego sprzymierzeńcy zwyciężyli. Zabicie ich teraz nic nie da. Świat należał do nich. W takim świecie Edeard nie chciał żyć.

Macsen i Kanseen przyplłynęli przez ścianę dziedzińca.

- Bijulee i Dybal nie żyją - oznajmił Macsen. - Bise wrócił do Sampalok.

- Straciliśmy dziecko - zakomunikowała dusza Kanseen, słabsza niż dusza męża. - Może być w Sercu. Nie mogę zostać. Nie tutaj. Nawet dla ciebie, Edeardzie. Muszę wiedzieć, czy on tam jest. Muszę poznać swego syna.

- Rozumiem - powiedział Edeard.

- Przyjacielu, muszę iść ze swoją żoną - rzekł Macsen.

- Oczywiście, że musisz. - Edeard uniósł dłoń na pożegnanie. - Jako pierwsi z nas dotrzecie do Morza Odyna. Obserwujcie nas. W końcu wszyscy do was dołączymy.

- To będzie dzień, w którym znów będziemy się uśmiechać.

Edeard obserwował, jak kurczą się na niebie, po czym zwrócił się do dusz, które pozostały:

- Przegraliśmy. Ja przegrałem. Nie pozostał nikt, prócz mnie. - Powędrował dłonią do pistoletu w kaburze przy pasie. - Nie chcę być sam.

- Salrana - przypomniał Dinlay. - Mówił, że Salrana nadal żyje, że będą ją mieli.

Edeard uniósł głowę.

- O, Pani.

Wyciągnął swój dalwzrok ku dzielnicy Ysidoro. Nadziei nie miał.

\*\*\*

Kościół Ysidoro przekształcono na szpital. Ranni leżeli w kilku rzędach na prowizorycznych łózkach przed statua Pani. Trzej zmęczeni lekarze krążyli między nimi, opatrując rany od kul. Nowicjuszek ganiały tam i z powrotem, pomagały doktorom przy bandażach i oferowały pacjentom pocieszenie. Matka, łagodna siwowłosa kobieta, która dawno przekroczyła połowę swego drugiego stulecia, przechodziła przez grupki parafian, siedzących trwoźnie w ławach. Udzielała błogosławieństw, ale po jej twarzy łatwo można było poznać, że jest równie przerażona jak wszyscy inni.

Kościelne drzwi zamknięto. Wystraszeni krewni tych, którzy leżeli w środku, utworzyli buntowniczą linię ochronną na zewnątrz. Czekali na powrót milicjantów lub, co gorsza, na

przybycie strażników Gildii Broni, którzy butnie kroczyli po ulicach, wymachując swymi zabójczymi nowymi pistoletami. Jak dotychczas świętości kościoła nie naruszono.

Edeard wzniósł się płynnie przez podłogę kościoła. Na jego widok ludzie wstrzymali oddech. Z wyjątkiem Salrany, która pisnęła z radości i podbiegła do niego. Wziął ją w ramiona i mocno przytulił.

- Mówili, że nie żyjesz - łkała.

- Nie - powiedział. - Niełatwo mnie zabić.

- Och, Edeardzie, pułki strzelały do ludzi. Mężczyźni z okropnymi pistoletami, dokładnie takimi jak w Ashwell. Mówili, że wyznaczył ich sam burmistrz.

- Wiem - odparł, przytulając ją mocno.

Jej mundur nowicjuszki był poplamiony krwią; niektóre plamy pochodziły sprzed kilku dni.

- Czy nic ci nie jest?

- Nic. - Otarła łzy z twarzy. - Przepraszam, Edeardzie, przepraszam, że z tobą nie rozmawiałam, po tym jak...

- Sza - powiedział i pogłaskał ją po czole.

- Byłam taka głupia. Taka uparta. Jesteś moim przyjacielem.

- To już minęło. Czy jesteś pewna, że nic ci nie jest? Czy ktoś przyszedł tu i cię szukał?

- Nie. Pomagałam lekarzom. Tylu zginęło. Wszyscy się niepokoją, że ludzie burmistrza powrócą. Czy możesz temu przeszkodzić?

Edeard zwiesił głowę.

- Nie mogę. Wszystko, co teraz zrobię, tylko pogorszy sprawę. Samym swoim przyjściem naraziłem wszystkich w kościele na niebezpieczeństwo. Przepraszam. Tak mi przykro.

Pogładziła go palcami po policzku.

- Kochany Edeardzie, zrobiłeś wszystko, co należało.

- Oni zabili wszystkich, których znałem, wszystkich, których kochałem. Z wyjątkiem ciebie. I w końcu po ciebie przyjdą.

Wciągnęła powietrze.

- Twoją żonę?

- Tak - szepnął z bólem. - Kristabel nie żyje.

Salrana oparła głowę na jego piersiach.

- Nie do wiary, co się dzieje.

- Ale się dzieje. Chcę, żebyś teraz poszła ze mną.

Zerknęła na rannych. Matka stała przed posągami Pani, ze współczującym wyrazem twarzy.

- Oni potrzebują mojej pomocy.

- Poradzą sobie.

Matka skinęła Salranie głową, krótko i z zachętą.

- Ale...

- Trzymaj mnie mocno - polecił. - Z początku wyda się to dziwne. Ale nie bój się niczego. Będę przy tobie.

- Zawsze?

- Tak, zawsze. - Przesłał duszy Kristabel uśmiech pełen poczucia winy, ale ona po prostu uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

Edeard i Salrana ześlizgnęli się w dół przez podłogę kościoła. Czuł, jak dziewczyna chwyta go mocniej. A potem stali w małym tunelu pod kościołem, przy ich stopach sączyła się woda.

- Musimy iść dalej - powiedział i dalej zapadali się w dół, by wynurzyć się w jednym z oślepiająco jasnych tuneli głęboko pod ulicami miasta.

- Edeardzie! Co to za miejsce? - Salrana obracała głowę w obie strony, próbując wchłonąć, to co widzi. W jej głosie brzmiało zaskoczenie, ale nie strach.

- Nie wiem dokładnie. To sposób podróżywania przez miasto. Bardzo stary. Myślę, że niektórzy starzy mieszkańcy Makkathranu go wykorzystywali, ale tak naprawdę, to nie wiem. On nie jest podłączony do żadnego budynku na powierzchni. Więc prawdopodobnie nie byli to ci mieszkańcy, którzy mieszkali tu przed nami.

- Aha. - Zaśmiała się krótko. - Czym się stałeś, Edeardzie?

- Nie wiem - odpowiedział bez przekonania. - Czymkolwiek jestem, w końcu okazało się, że nie ma ze mnie pożytku.

- Nie mów tak. - Pocałowała go. - Czemu tu jesteśmy? Dokąd zmierzamy?

Westchnął i podrapał się po skroni.



- Wydostaniemy się stąd, jak przypuszczam. Z miasta. A potem... wygnanie. Znajdziemy jakąś odległą prowincję. Zapuszczę brodę. Nie musisz ze mną zostawać.

- Myślę, że lepiej będzie, jak zostanę, przynajmniej na początku.

- Dziękuję.

Sprawdził dusze, które z nim pozostały. Kristabel, Dinlay i rodzice - wszyscy czekali w milczeniu trochę dalej w jasnym tunelu. Wydawały się zadowolone z jego przewodnictwa. W tej chwili nie miał zamiaru mówić o nich Salranie, przeżyła już dostatecznie wiele wstrząsów. Sięgnął w materię ścian tunelu i pozwolił, by poprowadziły jego dalwzrok. Zawsze wiedział, że sieć tuneli przechodzi pod kryształowym murem i rozciąga się na zewnątrz, ale nigdy nie próbował się dowiedzieć, dokąd prowadzi.

Teraz zobaczył, że w dół. Bardzo daleko w dół. Liczne tunele łączyły się, potem znowu się łączyły, i znowu, w lejkowej sieci, której ostatnie włókna ciągnęły się dziesiątki kilometrów pod nim. W dół, gdzie leżał prawdziwy mózg miasta.

Ale... kilka nici rozciągało się poziomo, pod Równiną Igruru. Poprosił miasto, by go tam wysłało.

- Co się dzieje? - spytała Salrana. Nagle schwyciła go kurczowo, kiedy poczuła kołysanie tunelu.

- Wszystko w porządku. - Uśmiechnął się, dodając jej otuchy. - Polecimy.

- Polecimy?

Zaczęli ześlizgiwać się w tunelu, który wyraźnie przesunął się w górę, przechylając o ponad czterdzieści pięć stopni. A potem zaczęli spadać. Przestraszona Salrana jęczała.

- Wszystko w porządku! - krzyknął Edeard.

Próbował pogłodzić ją po plecach, ale nie bardzo mu się to udawało, bo jej spódnica zaczęła łopotać, próbując owinąć się wokół ciała. Trzecią ręką zepchnął materię w dół.

- Zginiemy - pisnęła.

- Nie, nie zginiemy. Zawsze wykorzystuję tunele, takie jak ten.

Mocno zacisnęła powieki i wtuliła twarz w jego pierś. Lot trwał znacznie dłużej niż poprzednie loty Edearda. Tunel najwidoczniej niósł ich daleko od miasta. Edeard nie wiedział dokładnie gdzie.

Salrana nieco ochłonęła i zaczęła się rozglądać.

- Nie umrzemy? - wydyszała.

- Nie umrzemy.

- Gdzie jesteście?

- Nie jestem pewien. Teraz już poza miastem.

Tunel ostro zakręcał. Edeard nie doświadczył tego wcześniej. W jakiś sposób nie spadali, lecz lecieli w górę. Zaczęli zwalniać. Edeard spojrział w górę. Tunel kończył się kilkaset metrów nad nim w feerii szkarłatnego światła.

- Trzymaj się!

Nagle znaleźli się w skromnym okrągłym pokoju z czerwonymi, żarzącymi się ścianami. Dziura pod ich stopami szybko zamknęła się żrenicowato i stanęli pośrodku podłogi.

Salrana nie puszczała go, choć zerkała z ciekawością wokół.

- Co teraz? - spytała.

- Nie wiem co to za miejsce - przyznał.

Na ścianie rozszerzył się czarny krąg. Potem zanikł, pozostawiając równie czarny otwór. Edeard i Salrana wymienili spojrzenia i podeszli do otworu. Nieco czerwonego światła, przesączającego się na zewnątrz, oświetlało coś, co wyglądało na skalne ściany. Edeard rozciągnął swój dalwzrok i potwierdził, że jest tam jakaś jaskinia. Ostrożnie przeszli przez otwór na jej piaszczyste dno. Powietrze było suche i zastałe. Oczywiście, dalwzrok Edearda nie mógł sięgać w skałach daleko, ale jaskinia rozciągała się na znaczną odległość. Kiedy przeszli kilka kroków, czerwone światło przygasło. Salrana obróciła się szybko i zobaczyła, jak okrągły otwór się zamyka. Pisnęła cicho.

Edeard uniósł dłoń i wykonał sztuczkę z błyskiem, którą Kristabel pokazała mu kiedyś w domku na plaży. Warstwa zimnego białego płomienia, który lizał jego palce, uwypukliła surową rzeźbę ścian jaskini.

- Ale to tylko skała! - wykrzyknęła Salrana, przyglądając się miejscu, w którym zniknęła dziura.

- Ja nie rozumiem miasta - powiedział Edeard. - Ja po prostu do niego mówię.

- Jak? - W jej zawołowanych myślach migotał blask ciekawości.

- Cóż... - Wzruszył ramionami. - Po prostu to robię, naprawdę.

- To tak jak przedtem - powiedziała i zadrżała. - Ty i ja ukrywamy się sami na dnie dziury, a na zewnątrz nasze życie ulega zniszczeniu.

W tym momencie Edearda dopadło zmęczenie. Nie chodziło tylko o to, że fizycznie wyczerpał się podróżą do Makkathranu - znacznie bardziej osłabiał go przeżyty zamęt emocjonalny. Chciał tylko zwinąć się w kłębek i spać, długo spać. Światło migoczące wokół jego dłoni zaczynało gasnąć.

- Edeardzie - powiedziała jego matka. - Nie poddawaj się. Nie teraz

- Dobrze - odparł żałośnie po chwili milczenia.

Salrana popatrzyła na niego

- Chodźmy - przynaglił. - Zobaczmy, dokąd to nas zaprowadzi.

\*\*\*

Jaskinia nie wszędzie była taka szeroka, jak w miejscu, w którym do niej weszli. Gdzieniegdzie musieli się przeciskać, a skały tarły ich ubrania. Jaskinia prowadziła do góry, co niepokoiło Edearda. Po obejrzeniu dalwzrokiem tuneli nurkujących w głębinie Querencji, zastanawiał się, jak głęboko pod ziemią się znajdują.

Godzinę czołgali się i przeciskali w jaskini, gdy Edeard w końcu zobaczył w górze blade pasemko światła. Musieli pełznąć po stromym zboczcu, a strop znajdował się zaledwie metr nad nim, zanim wylądowali w poziomej komorze. Wejście przesłaniała gruba warstwa orłowina, a jego zielono-czerwone liście przyćmiewały popołudniowe słońce. Edeard sondował okolicę dalwzrokiem przez bujną roślinność i wykrył, że wylot jaskini znajduje się w połowie pionowego urwiska. Nie wyczuwał nikogo na zewnątrz, nie było nawet zwierząt. Kiedy rozchylił gałązki, okazało się, że patrzy w kierunku północno-wschodnim, na Równinę Iguru. W dali rysowały się góry Donsori.

- To jeden z tych małych wulkanów - powiedział Salranie.

Daleko w dole bujny zielony las palm i wrolipanowców porastał niższe zbocza, zanim ustąpił bogatym polom szatkującym równinę. Edeard spojrział w górę.

- Wierzchołek urwiska jest bliżej niż dół. Myślę, że uda mi się tam dostać.

- Edeardzie, ostrożnie!

- Nie martw się..

Badał dalwzrokiem skałę pod splątanym orłowinem. Była to nierówna powierzchnia, z niezliczonymi stopniami i chwytami. Wyciągnął się na zewnątrz, mocno chwycił skały i zaczął się wspinać.

- Zobaczę, co tam jest - powiedziała dusza Dinlaya i popłynęła w górę. Po raz pierwszy Edeard zaczął zazdrościć martwym. Tak naprawdę, wspinaczka nie była łatwa. Musiał wykorzystywać dalwzrok do lokalizacji każdego chwytu, a potem przepychać dłonie przez drapiące pnącza. Stawianie stóp okazało się jeszcze trudniejsze - cały czas musiał używać trzeciej ręki, by rozchyłać pędy, grube niczym liny.

Dziesięć minut po opuszczeniu jaskini znalazł się na gołej skale. Urwisko zakrzywiało się i Edeard wspiął się ze skał na zbocze pokryte cienką glebą i trzciniową trawą.

- Udało się - przekazał Salranie dalmową.

Chwycił ostrożnie dziewczynę trzecią ręką, wyjął ją z pieczary i niósł przez powietrze.

- Nikogo nie widzę - zameldował Dinlay. - I jakieś trzysta metrów stąd, za górą, gdzie grunt nieco się wypłaszcza, stoi pawilon. Nikogo nie ma w domu.

- Dzięki za to Pani - powiedział cicho Edeard.

Usadził łagodnie Salranę obok siebie. Uśmiechnęła się nerwowo.

- To było gorsze niż miejski tunel - powiedziała przepraszająco.

- Musimy się ukryć i zdecydować, co robimy - rzekł Edeard. - Tędy.

Pawilon okazał się dokładnie taki, jak opisał go Dinlay. Należał do którejś z Wielkich Rodzin. Przycupnął na łagodnym zboczu,

jego fasada wychodziła na Makkathran, leżący jakieś dwadzieścia pięć kilometrów od podstawy stożka wulkanicznego. Zbudowany głównie z drzewa, z przodu miał długą werandę z zadaszeniem opartym na szerokich łukach. Małe wielokątne wieżyczki na każdym końcu były zwieńczone wysokimi, wygiętymi dachami. Biała farba fasady wyblakła i odłaziła z niektórych długich desek. Szczeliny i rogi brały we władanie zielone spory.

Drzwi zamknięto, ale nie na klucz. Edeard i Salrana przeszli po białych marmurowych kafelkach do domu już przygotowanego na zimę. Meble przykryto grubymi płachtami. Okiennice przyśrubowano. Lamy oliwne opróżniono. Pościel, dywany i chodniki zabrano. Wszędzie wyłożono blaszane talerze z trutką na szkodniki.

- Jedzenia jest niewiele! - zawołała z kuchni Salrana. - Słoję z konfiturami owocowymi i trochę mąki. Mogę upiec chleb, jeśli chcesz. Jest tu trochę drewna i węgla do piecyka.

Edeard wyszedł z jedynej sypialni na werandę. Zbocze na zewnątrz pokrył cień, gdyż zachodzące słońce znalazło się nisko po drugiej stronie wulkanu. Oparł się o barierkę i patrzył na miasto. Sam jego widok wywoływał ból w sercu. Pragnął powrócić, uporządkować sprawy. Ale wydarzyło się zbyt wiele. Owain zniszczył wszystko, co miało jakąś wartość.

- Żadnego ognia - powiedział. - Żadnych świateł. Będą nas szukali.

Wyszła na werandę i objęła go.

- Oczywiście. Nie pomyślałam. Co robimy?

- Uciekamy - powiedział. - Udamy się na wschód i znajdziemy prowincję, gdzie Stąpający po Wodzie jest tylko opowieścią z miasta, w którą nikt nie wierzy.

- Nie masz zamiaru zostać i walczyć?

- Nie. Owain i jemu podobni mają teraz władzę.

- Nikt ich nie chciał. Ludzie będą oczekiwać, że coś zrobisz.

- Buate miał rację: teraz mogę tylko zabijać. To nie jest żadne rozwiązanie.

- Ale, Edeardzie...

- Nie.

- Rozumiem. Chodź do środka.

Dał się zaprowadzić do wielkiej sypialni. Usiadł na grubych materacach i patrzył w sufit, a Salrana grzebała w kuchni. Teraz, kiedy przestał się ruszać, zaczął go dręczyć ból w nogach i pośladkach. Galopada do Makkathranu była naprawdę ostra. Dotykał miękkich części ciała: spodnie miał wilgotne od krwi i limfy; dotknięcia bolały, krzywił się.

- Poczułam to - powiedziała Salrana. Stała w drzwiach, trzymając dwa wielkie słoje z owocami.

Wiedział, że ma dalwzrok skoncentrowany na nim, i nie protestował.

- Edeardzie! Co ci jest?

- Musiałem dostać się tu z powrotem - wyjaśnił. - Myśleliśmy, że zdążę. Łzy cisnęły mu się do oczu. Nie chciał, by Salrana to widziała.

- Zjedz coś. - Postawiła słoje na łóżku obok niego. - Ja zapoluję na jakieś lekarstwa, coś powinno tu być. A jeśli nie, widziałam na zewnątrz liście falanpana. Zrobię okład.

Edeard nie miał energii, by zaprotestować. Słoje zawierał śliwki w syropie cukrowym. Zjadł kilka, zanim wróciła z tubą maści.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że byłem tak głodny - przyznał.

A potem musiał zacisnąć zęby, gdy ostrożnie zdejmowała mu spodnie. Wyras jej twarzy na widok odartego ze skóry ciała nie napawał otuchą. Starła się jednak odsunąć na bok trawiący ją niepokój.

- Może zapiec - ostrzegła i zaczęła wcierać balsam.

Edeard musiał trzymać usta mocno zaciśnięte, by powstrzymać wycie.

- Pani! - Palcami drapał wierzch materaca.

- Skończyłam - powiedziała po nieskończeniu długiej chwili. - To powinno wkrótce złagodzić rany.

- Chyba już łagodzi. Albo może wypaliłaś mi nerwy. - Uda stanowczo bolały go mniej.

- Nie bądź złośliwy - odparła i cmoknęła go w policzek. Przykryła go pokrowcem zdjętym z mebla. - Teraz odpoczywaj. Spróbuję znaleźć jakieś ubrania.

- Wyglądaj na zewnątrz - powiedział. - Muszę wiedzieć, gdyby ktoś nadchodził.

- Nie martw się. Nikt nie wie, że tu jesteśmy. Nikt nie wie, że w ogóle możemy tu być.

Edeard zaczął jeść następną śliwkę. Zasnął, nim skończył.

Miał sny. Nie te zwykłe dziwaczne wizje o życiu gdzie indziej. To były jego własne sny. W większości o Kristabel. Kristabel otoczona płomieniami. Mężczyźni z pistoletami szybkostrzelnymi otaczają ją, huk broni rozbija mu czaszkę. Kristabel leci. Spada, jej koszula nocna trzepocze wokół niej. Ta sama biała koszula nocna, którą miała na sobie w dniu, gdy się spotkali pierwszy raz. Spada w dół centralnych schodów zigguratu. Tych samych, które zaczął przekształcać. Schodów, po których teraz łatwo mogli się wdrzeć intruzi. Mała Mirnatha wrzeszczy z przerażenia, kiedy ziggurat pożerają płomienie, a kule szybkostrzelnych pistoletów trafiają jej siostrę. Obydwie spadają z dziesiątego piętra. Dłoń spycha je przez poręcz. Obie wrzeszczą podczas lotu ku podłodze. To była jego dłoń.

Wykrzyknął udręczony. Wrażenie, że coś nie gra, było jak wzbierająca fala strachu, która mogła go zepchnąć w nieskończoną czerń otchłani pod światem. Żalony, zepsuty obiekt na drodze do Honiousa. Opuszczony przez Władców Niebios. Opuszczony przez Kristabel, Dinlaya, Boyda, Macsena, Kanseen; wszyscy oni patrzą w dół nad krawędzią. Kolejno odwracają się od niego.

- Nie - zebrał, błagał, łkał. - Nie, wracajcie.

Nie wróć. Coś tu nie gra.

Obudził się i gwałtownie poderwał z łóżka. Jeszcze wydrapywał się z otchłani. Trząsał się z trwogi. Wokół nadal panowała ciemność. Cisza. Łapał powietrze, walcząc z przerażeniem tak silnym, że go dławiło.

- Co takiego?! - wykrzyknął i dźgał dalwzrokiem otoczenie.

Dusze Dinlaya, Kristabel i jego rodziców skupiły się razem w nogach łóżka. Kristabel wyciągnęła ręce ku niemu. Promieniowała dotykálną troską.

- Co takiego? - Udało mu się uspokoić gorączkowy oddech.

- Edeardzie, próbowaliśmy cię obudzić - powiedział Dinlay. - Usilnie próbowaliśmy. Ale byłeś taki zmęczony.

- Jestem przytomny.

Kiedy zerknął przez półotwarte drzwi na werandę, widział, jak światło mgławic omywa pomalowaną na biało barierkę znajomymi pastelami. Musiała zbliżyć się północ.

- Salrana - powiedziała Kristabel urywanym głosem - Zdradziła cię.

- Co?! - wykrzyknął zdezorientowany. - Co?!

- Przykro mi - odpowiedział Dinlay. - Ma niezwykle silną dalmowę. Wywołała Owaina tuż po zachodzie słońca. Powiedziała mu, gdzie jesteście.

- Salrana? Jak to?

- Nie mogliśmy jej powstrzymać - odparła Kristabel. - Wobec żyjących jesteśmy bezradni.

- Nie, nie - powtarzał Edeard. Dalwzrokiem wyczuł Salranę chodzącą w holu.

- Edeardzie, dobrze się czujesz? Myślałam, że śpisz - powiedziała pogodnym głosem.

- Wywołała Owaina - nalegała Kristabel. - Jego ludzie już tu są. Wchodzą na górę.

- Nie mogą. To nie...

- Do kogo mówisz? - spytała Salrana. Stała w pokoju, przyglądając mu się z zaciekawieniem.

- Do swojej żony - odparł bezbarwnym głosem.

Twarz Salrany pozostawała spokojna. Zaskoczenie w jej umyśle było drobne i dobrze osłonięte. Ale, tak jak Edeard, nie pochodziła z Makkathranu.

- Wiesz, że widzę dusze - powiedział. - Nawet przekazałem Pytii tę właśnie wizję. Masz - powiedział i otworzył umysł, by mogła odebrać jego dalwzrok.

Salrana wciągnęła powietrze, kiedy znalazła się w otoczeniu czterech dusz.

- Ja...

Edeard ześlizgnął się z łóżka.



- Powiedzieli, że mnie zdradziłaś - oznajmił beznamiętnie, podchodząc do niej. - Powiedzieli mi, że wywołałaś samego Owaina. Odparłem, że się mylą. Czy rzeczywiście?

Edeard sięgnął dalwzrokiem za pawilon, w dół zbrocza wulkanicznej góry. Wykorzystał dar Finitana do wykrywania niewidek i zobaczył, że do drewnianego budynku zbliża się dwudziestu ludzi z bronią szybkostrzelną.

Z ciemności za nimi wynurzały się dalsze oddziały. Potem Edeard obejrzał podstawę góry. Dwa pełne pułki milicji okrążały górę.

- Pani droga - powiedział cicho, zdumiony. - Rzeczywiście to zrobiłaś. - Patrzył na nią, próbując zrozumieć. - Salrano, zawołałaś ich? - W jego głosie pojawiła się nuta hysterii.

Przez chwilę nie traciła opanowania. Potem po prostu spojrzała na niego wściekle.

- Tak, wywołałam Owaina.

To nie może się dzieć. To jest Salrana. Moja Salrana. My dwoje razem przeciw całemu światu.

- Czemu? - błagał. - Dlaczego to zrobiłaś? Z powodu Kristabel?

Salrana spojrzała z pogardą na duszę Kristabel.

- Zazdrosna o to? Ja? Wcale nie. Jestem równie piękna. Prawdopodobnie też lepsza w łóżku. Twoja strata.

- Ale... my.

- Och, ty głupi prowincjonalny wieśniaku. Czy zupełnie niczego się nie nauczyłeś od naszego przybycia do miasta? Czy naprawdę sądzisz, że zadurzenie trzynastolatki przetrwa całe życie? Że będę wiecznie lojalna w stosunku do ciebie?

- Nie wierzysz przecież w Jeden Naród Owaina?!

- Czemu nie? Ponieważ ta idea nie pasuje do twojego zacofanego prowincjonalnego wychowania? Tak właśnie działa świat, Edeardzie. Nie widzisz tego? Wielkie Rodziny już mają bogactwo i władzę, a z Owainem jako przywódcą staną się jeszcze mocniejsze.. Mogę mieć w tym swój udział. Czy myślałeś, że tylko ty jeden jesteś ambitny?

- To nie ty. - Czuł narastający ból. - To nie są słowa Salrany. To nie twoje myśli.

- Jesteś taki słaby. Nawet w tej chwili mógłbyś zażądać miasta dla siebie. Masz moc, siłę, by podporządkować sobie ten świat. Dlaczego tego nie czynisz?

- Jeden człowiek nie może rządzić światem.

Parsknęła z niesmakiem i pogardą.

- Pokora to ucieczka słabych.

- Pani naucza przyzwoitości.

- I cóż osiągnął jej Kościół? Wpoił tylko dyscyplinę i posłuszeństwo w podległych sobie zakonach.

- Teraz wiem, że to nie ty. Kto ci to zrobił? Kto cię zmienił?

- Sama się zmieniłam. W końcu zrozumiałam świat i wyruszyłam, by zostawić w nim coś z siebie. Przecież ty znalazłeś sobie tę sukę z Wielkich Rodzin. - Machnęła lekceważąco ręką w stronę duszy Kristabel. - Dobry sposób na dostanie się do Wysokiej Rady dla kogoś bez kręgosłupa. Czemu ja nie mogę mieć coś z tego? Pieprzyłam ludzi, którzy mogą mi pomóc. Łatwo jest wykorzystać tych, co cię nienawidzą. A największym z nich jest sam Owain. Czy wiedziałeś, że ma osiem konkubin, ale ja jestem tą, do której się teraz zwraca? Lubi to. Lubi mieć mnie, przyjaciółkę z dzieciństwa Stąpającego po Wodzie. Zobaczyłam, jaki jest nieugięty i zdeterminowany, znacznie bardziej od ciebie. Jest też sprytniejszy. Ma twoje zalety, ma ambicję, zapał, moc, bogactwo i przede wszystkim wizję. Zostanie imperatorem, wykorzystując cały świat jako Jeden Naród. A ja zostanę Pytią, obiecał mi to. Nasze dzieci z urodzenia będą miały przywileje i układy.

Wydawało się, że obumarły mu nerwy. Gapił się na zwariowaną, wyzywająco uśmiechniętą dziewczynę i nie czuł absolutnie nic. Z oka spłynęła mu samotna łza.

- Nie możesz budować świata na podstawach z przemocy i strachu. On zniszczy Querencję, tak jak zniszczył ciebie.

- Nie jestem zniszczona. Nigdy nie czułam się żywsza.

Dalwzrok Edearda zauważył uzbrojonych ludzi, docierających do drzwi wejściowych pawilonu. Nie zdziwiło go to, że prowadzi ich Arminal.

- Chcesz, bym był martwy? - zapytał słabym głosem.

- Silni przeżywają. Owain boi się, że go zastąpisz. Nadal możesz to zrobić. Możesz zająć jego miejsce, Edeardzie. Możesz ukształtować świat wedle swej wizji. Pomogę ci. Możemy jeszcze być razem.

Edeard spojrział na żonę. Spojrział na swego przyjaciela Dinlaya. Spojrział na rodziców, którzy pokładali w nim tak wiele zaufania.

- Nie będę burmistrzem, nie teraz. A ty nie będziesz Pytią.

- Głupiec! - wrzasnęła Salrana. Odwróciła się i wybiegła z pokoju.

Zdał sobie sprawę, że Owain nie dał jej w prezencie umiejętności wyczuwania przez niewidki.

Arminal i jego ludzie wtargnęli do holu. Biegając naprzód, zaczęli strzelać na oślep. Kule gryzły ściany, rozrywały meble. Wyloty luf ziały ogniem, kiedy zamiatały tam i z powrotem, szukając Stąpającego po Wodzie. Tarcza Salrany nie okazała się wystarczająco mocna. Trafiło w nią osiem kul - rozpaczliwie wymachiwała rękami, a wielkie plamy krwi wybuchły na jej szacie nowicjuszki. Odrzuciło ją w tył, ciało nieelegancko wylądowało na eleganckiej marmurowej podłodze i rozciągnęło się tam bezwładnie. Jej dusza już na nie spoglądała.

Edeard zanurkował za wielkie łóżko; gruby materac wchłonął grad kul. Teraz, kiedy gang pośpiesznie wymieniał puste magazynki na nowe, uniośł głowę.

- Życzę ci jak najlepiej - powiedział duszy Salrany. - Mam nadzieję, że w Sercu znajdziesz spokój.

- Och, Edeardzie, co ja zrobiłam?

- Idź. Znajdź Serce. Dołączę tam do ciebie.

Jej dusza zafalowała i podryfowała w górę, przez sufit pawilonu. Napłynął kolejny impuls rozpaczony i już jej nie było.

Arminal w końcu zatrzasnął nowy magazynek w swym szybkostrzelnym pistolecie i podniósł broń. Jego dalwzrok omiótł pawilon, usilnie szukając Stąpającego po Wodzie.

Magazynek nagle się powyginał, niszcząc zatrzask z cienkiego metalu. Ścisnęła go potężna telekineza. A Stąpający po Wodzie zmaterializował się w sypialni.

- Zabić go! - krzyknął Arminel do swego oddziału.

Ale pozostałe pistolety szybkostrzelne były równie bezużyteczne. Ich delikatne części składowe zmiażdżono i pogruhotano.

- Żegnamy się ostatni raz - poinformował go Stąpający po Wodzie.

Arminal wzmocnił swą tarczę i rzucił się do ucieczki. Drzwi pawilonu zatrzasnęły się przed nim z hukiem, który wprawił w drżenie całą drewnianą konstrukcję. Arminal obrócił się, by stanąć twarzą w twarz z nieprzyjacielem. Zobaczył przelotnie Edearda w sypialni, w owiewającym go czarnym płaszczu. Edeard uniósł obie ręce, rozstawił szeroko palce i ze wszystkich koniuszków wypuścił błyskawice.

W ciągu paru sekund cały pawilon stanął w płomieniach. Legary, krokwie, jętki, gont, drzwi, ściany, ramy okienne, meble i szafki, wszystko zapłonęło od piorunów. Gęsty czarny dym kłębił się nad szalejącym ogniem, nasycił powietrze.

Edeard pchnął drzwi sypialni, otwierając je na oścież, i wyszedł na werandę. Oddział w pawilonie kastał i wył, dym zapychał im płuca, a żar smażył ciała. Drzwi sypialni zamknęły się. Edeard przeskoczył przez barierki i wylądował na murawie. W pawilonie członkowie oddziału wpadali wzajemnie na siebie. Krzyki osiągnęły crescendo bólu i trwogi, kilkoro z oddziału już padło. Edeard owinął się niewidką niczym płaszczem i odszedł w noc.

Zaufani strażnicy Gildii Broni, wysłani przez Owaina, by wyeliminować Stąpającego po Wodzie, omijali płonące ruiny pawilonu. Marszczyli nosy na smród tłących się trupów wewnątrz, ale kontynuowali tropienie zwierzyny. Kilku z nich twierdziło, że są zdolni postrzegać przez niewidkę Stąpającego po Wodzie, i pędzili za ciemną postacią, która, jak mówili, czaiła się w drzewach dokładnie przed nimi.

U stóp góry pułki milicji kończyły formować ciasny pierścień wzdłuż skraju lasu. Tak jak im rozkazano, wyciągnęli pistolety i czekali. Dalwzrok milicjantów śledził oddziały wysoko na stokach za dymiącym pawilonem. Od czasu do czasu milicjanci wzdrygali się, słysząc serię wystrzałów. Ale strażnicy uzbrojeni w zabójczą broń parli naprzód w górę.

Edeard dość łatwo utrzymywał do nich dystans. Szedł w górę jedynie dlatego, że nie pozostał mu żaden inny kierunek. Ścian klifu z wylotem jaskini strzegł oddział. Nigdy by nie zdołał wspiąć się tam i uciec. Salrana musiała opowiedzieć Owainowi o jaskini, o tunelach podróźnych... o wszystkim. Tak więc szedł w górę. Teren nie był specjalnie trudny, drzewa rzadko rosnące powyżej pawilonu nie stanowiły zwartej przeszkody. Trawa sięgała do kostek. Strumyki sączyły się w dół zbocza. W końcu drzewa pozostały za nim. Teraz otaczały go tylko trawa i głązy. Widział już szczyt.

I tam właśnie muszę podjąć decyzję.

- Mogę ich uwięzić - powiedział swemu małemu sztabowi doradców. - Miasto może stworzyć pomieszczenia bez okien i drzwi. Mieliby żywność.

- Sądzę, że śmierć byłaby bardziej litościwym rozwiązaniem - stwierdził jego ojciec. - Pamiętasz, co się stało z biednym Argianem, kiedy mu to zrobiłeś, a chodziło tylko o parę dni.

- Ma rację - zgodził się Dinlay. - Zamknięcie ich tylko uspokoi twoje Sumienie. Muszą być zlikwidowani. Wiemy teraz, jacy są bezlitośni. Jeśli ich zupełnie nie usuniesz, będą wciąż wracać. Ile razy miasto ma cierpieć?

- Nawet raz to za wiele - odparł Edeard. - Ale zabicie tylu...

- Pani to zrozumie - zapewniła go Kristabel.

- Oni częściowo się tego spodziewają - zauważył Dinlay. - Właśnie dlatego tu jesteśmy.

Wskazał gestem na grupy mężczyzn wchodzących na zbocze. Wiodący oddział był co najmniej dwadzieścia minut drogi za nimi.

- Nie jestem pewien, czy zdołam się przez nich przebić - rzekł Edeard. - Owain wydaje się zdecydowany.

- Oczywiście, że jest zdecydowany - powiedziała Kristabel. - Wie, że jesteś jedyną przeszkodą między nim a władzą absolutną.

- Może powinienem wycofać się na prowincję, utworzyć legalną opozycję.

- Rewolucja? - spytała matka. - To zabierze lata, nawet dziesięciolecia. Mnóstwo ludzi zginie w walce. Jeśli działać, to

szybko. To ograniczy rozlew krwi do minimum. Każdy dzień twojego wahania on wykorzysta, by dalej umacniać swą władzę.

- Mówisz to z taką pewnością.

Uśmiechnęła się. Przez jej rozmytą sylwetkę prześwitywało światło mgławicy.

- Jeśli wyrasta się w Makkathranie, wie się wszystko o polityce.

- Jesteś z Makkathranu?

- Tak. Piąta córka czwartego syna rodziny Herusis. Ale to było wiele lat temu. Moi bracia i siostry teraz na pewno mają status znacznie niższy.

- Herusis? - Edeard usiłował sobie przypomnieć, co wie o tej rodzinie. Bogate przedsiębiorstwo handlowe. Właściciele wielkich majątków rolnych na Iguru i małej floty statków. - Czy Finitan nie jest z Herusisów?

- Tak. Jeden z moich stryjecznych dziadków.

- Finitan jest moim krewnym?

- Tak.

- Ciekaw jestem, czy wiedział?

- Prawdopodobnie podejrzewał. Akeem z pewnością wiedział.

- Ale... mam, dlaczego wyjechałaś?

- Byłam zaręczona z jednym gamoniem z Kirkmalów, zaaranżowały to nasze rodziny. Nie chciałam tego ślubu. Chciałam żyć na własnych warunkach, nawet jeśli oznaczałoby to rezygnację z pieniędzy.

- Rozumiem teraz, po kim odziedziczył upór - powiedziała Kristabel.

- Nie jestem... - Uśmiechnął się blado. Nawet teraz potrafiła się z nim droczyć.

Szybko pokonał ostatni stok. Szczyt pokrywały głązy i luźne kamienie, pomiędzy których wyrastały kępki sztywnej trawy. Od morza wiał łagodny wietrzyk.

Edeard obrócił się, by spojrzeć na Makkathran. Pomarańczowe światło miasta rzucało w powietrze nad ulicami i kanałami silną poświatę. Ledwo dostrzegał zarys wież. Kiedy pierwszy raz zobaczył miasto, przyciągało go tak, jakby w końcu wracał do

domu. Nadal czuł tę tęsknotę, ale żal odczuwał silniej. Teraz patrzył na miasto z przymusem.

Muszę zdecydować.

Wszystko, czego pragnął lub o co prosił, znajdowało się wewnątrz kryształowego muru - jak również wszystko, czego się obawiał.

- Nie sądzę, żebym mógł wrócić - wyznał duszom. - Myślę, że Owain i jego stronnicy mają rację. Nie jestem wystarczająco silny.

- Masz siłę, synu - rzekł ojciec.

- Nie mam. Mógłbym spowodować niesamowite cierpienia.

- Musisz tylko zlikwidować przywódców - powiedział Dinlay. - Owaina i jego koleśi.

- To może zadziałałoby na początku, ale nie teraz. Pistolety są na ulicach. Setki ludzi chcą się do niego przyłączyć.

- Dalsze setki stawiały mu opór i zginęły. Czy nie zasługują na sprawiedliwość? Wiesz, że masz poparcie. Pomyśl o wynikach wyborów.

Edeard ukląkł na ziemi, nadal patrząc na Makkathran.

- Nie mogę tego zrobić. To się skończyło.

- Rozumiemy - powiedziała Kristabel. - To właśnie cały ty. Właśnie to w tobie kochałam.

- Będziemy razem - obiecał jej. Dalwzrokiem dostrzegł pierwszy oddział na końcowym podejściu na szczyt. Wszyscy przygotowywali pistolety szybkostrzelne. - Dotrzemy do Serca i będziemy tam żyli wiecznie.

- Razem - potwierdziła Kristabel.

Edeard wziął głęboki wdech. Spojrzał po raz ostatni przez Równinę Igru. Przestał się osłaniać - jego myśli stały się pogodne. Myśli Makkathranu otarły się o jego umysł, wolne i zadowolone jak zawsze. Miasto śniło w innej sferze.

- Dziękuję za pomoc - powiedział miastu i przekazał mu swą wdzięczność.

Po raz pierwszy wyczuł zmianę. Gigantyczny umysł jakby przyśpieszał. Zaczęły powstawać silniejsze, bardziej związane myśli, niczym jakieś masywne stworzenie wychodzące z morskich głębin. Makkathran się budził.

Edeard aż się zatoczył, zdumiony wywołaną przez siebie reakcją. Nie pamiętał już, ile razy chciał, by miasto go zrozumiało, ale nigdy nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Spełniało jego prośby o proste rzeczy, jak zmiany w budynkach czy transport tunelami podróznymi. Edeard założył, że prawdziwa łączność jest dla niego niedostępna.

- Usłyszałeś mnie - powiedział dalmową.

Odpowiedź była nadal powolna, wyważona i przemyślana, taka jak oczekiwał. Poważna, jak przystało tak wspaniałemu stworzeniu.

- Poczułem smutek - powiedział Makkathran. - Aż takiego bólu nie czułem od bardzo dawna.

- Ja... ja straciłem wszystko. To właśnie był ból, jaki czułeś. Przepraszam. Nie chciałem cię niepokoić. Po prostu pragnąłem podziękować ci za wszystko, co zrobiłeś.

- Strata? Pamiętam stratę. Kiedyś było wielu, teraz jestem sam.

- Byli kiedyś inni, tacy jak ty? - spytał Edeard.

- Kiedyś. Już ich nie ma. Nawet tutaj. Odwiedzanie tamtego czasu byłoby bezużyteczne.

- Przepraszam. Nie wiedziałem. Czy mogę pomóc? Za chwilę pójdę do Serca Pustki. Czy twój rodzaj tam będzie?

- Nie. Żaden nie poddałby się absorpcji. To nie jest to, czym jesteśmy.

- Czym jesteście?

- Nieudaną przeszłością.

- Według nas, udaną. Dałeś nam dach nad głową, schronienie.

- Cieszę się. Czy akceptujecie cele Pustki? Czy właśnie dlatego idziecie do Serca?

- Jakie cele?

- Stanie się jednością z tym wszechświatem. Pustka poszukuje całej racjonalności.

- To... Nie. Ja tam idę, ponieważ straciłem swe życie.

- Jak można stracić życie w Pustce?

Edeard obdarzył Kristabel i pozostałych zaintrygowanym spojrzeniem. Zdawał sobie sprawę, że po zboczu zbliżają się ku niemu chyłkiem uzbrojeni mężczyźni.



- Nie rozumiem.

Z miasta przyleciało coś na kształt powiewu emocji. Niechęć. Akceptacja. Litość.

- Pustka pozwoli ci na znalezienie własnego idealnego życia - oznajmił Makkathran. - W ten sposób doprowadza cię do spełnienia, do osobistej ewolucji i osiągnięcia zadowolenia z tego, czym jesteś.

- Co masz na myśli?

Edeard zaczął ponownie utwardzać swą tarczę, kiedy usłyszał, jak szczękają bezpieczniki pistoletów.

- Wszyscy przychodzący z zewnątrz dążą do tego stanu, właśnie dlatego Pustka ich wita. Ten wszechświat nie ma innego celu, teraz nie. To jest piękne dla tych wewnątrz i tragedia dla tych z zewnątrz, bo ostatecznie to oni zapłacą za to wszystko.

- Ja nie mogę osiągnąć doskonałego życia. Moje życie minęło.

- Sięgnij do Pustki. Poszukaj, gdzie chcesz być i zacząć od początku. To proste. Kiedy już zaadaptujesz się do Pustki, ona dostarcza ci wszystkiego, co zechcesz. Każdy gatunek, który tutaj przybył, został wciągnięty do tej ewolucji. Podejrzewam, że z wami nie będzie inaczej. Nie ma w tym zła. Życzę ci szczęścia w drodze.

Myśli miasta znowu zaczęły spowalniać. Wycofywać się w drzemkę.

- Nie. Nie, poczekaj. Powiedz mi: jak? - Edeard zwrócił się do dusz: - Co chciał powiedzieć?

- Czuję wokół wzorce - rzekła Kristabel. - Dokładnie tak, jak mówił ci Boyd. Wszechświat zapamiętuje to, co się wszędzie zdarza. Nasze całe życie jest widoczne tam w przeszłości.

- Możesz mi to pokazać? - spytał Edeard.

- Zobacz ze mną - odparła.

Edeard próbował wyczuwać jej myśli, dar jej percepcji. To był dziwny związek, wymiar dalwzroku zupełnie wcześniej mu nieznan. Kiedy za spojrzeniem żony podążał w strukturę rzeczywistości, zobaczył ją sam. Zobaczył siebie wyciągniętego w dół na zboczu, miliony, miliardy swoich wizerunków, ciągnące się w tył. Zawierały w sobie wszystkie chwile wspinaczki, każdy

krok, każdy wdech, każde uderzenie serca. Wszystkie myśli. Tak jakby patrzył w zwierciadło nieskończoności. Makkathran miał rację: jego esencja została utrwalona w Pustce. Każda chwila jego istnienia została zapamiętana. Edeard oglądał siebie, tego sprzed pięciu minut, przyglądał się, jak realna była to wizja. Wydawał się nieruchomy. Oczekiwał na oddech wypełniający mu płuca, by stać się rzeczywistym.

- O, moja Pani! - wydyszał. - Chyba rozumiem. Ale... nie. To by oznaczało. - Skoczył na nogi. - Kristabel?

- Zrób to - błagała. - Edeardzie, jeśli tylko istnieje szansa...

- Tak.

Wyrzucił ręce przed siebie, wypuszczając trzecią rękę. Żołnierze z oddziału zostali wypchnięci w powietrze - rozszerzająca się obręcz wierzgających sylwetek, wzlatujących łukiem w górę, na zewnątrz. Z wrzaskiem rozpoczęli spadanie z wysokości setek metrów na szersze zbocze poniżej.

Edeard, uwolniony od bezpośredniego zagrożenia, skoncentrował się znowu na obrazach. Okres sprzed kilku minut był dla niego bezużyteczny. Zaczął się przedzierać przez wspomnienia siebie wchodzącego na szczyt.

Kopał głębiej. Widział siebie leżącego na łóżku w pawilonie, kiedy Salrana rozmawiała dalmową z Owainem. Dalej. Jego własna pamięć wkroczyła do gry, przedstawiając barwną chwilę sprzed paru dni. Zespolił ją ze wspomnieniami Pustki. Technika była niemal instynktowna. Chwila tam była, ledwo uchwytnie przed nim migotała. Umysł sięgnął po nią, ale się przekonał, że jest poza zasięgiem. Spróbował znowu, tym razem mocniej, wkładając w to całą kolosalną siłę telekinezy. Mentalne palce drapały desperacko, by zamknąć się wokół chwili, by uczynić tę chwilę rzeczywistą. Jęczał z wysiłku. Zmuszał wszechświat, by połączył momenty.

Gdzieś, we wszechpołożeniu, wszechświat zaczął się przesuwać. Teraźniejszość ślizgała się w tył, z początku powoli. Długi liniowy obraz jego, idącego po zboczu, rozwijał się, zabierając go w dół. Nad nim gwiazdy na firmamencie pełżyły w niewłaściwym kierunku. Edeard, zachęcony tym efektem, rzucił

całą swą siłę w osiągnięciu jedności w poprzek czasu. Niemożliwie dziwaczny ruch zaczął przyspieszać. Przeszłość Edearda pomknęła wstecz. Dokładna, wspaniale wyraźna pożądana chwila popędziła ku niemu...

\*\*\*

...obudził się z krzykiem szoku i niedowierzania, który rozbrzmiał po śródleśnym obozie. Edeard nie mógł przestać wydmuchiwać go z płuc. Poranne światło padało na niego.

Poranek!

Dinlay, kilka metrów od niego, znieruchomiał podczas podskakiwania z butem w uniesionej ręce. Patrzył na Edearda osłupiałym wzrokiem.

Edeard zdołał powstrzymać wrzask. Rozglądał się dziko, potem podskoczył, kiedy zobaczył Macsena siedzącego na starym powalonym pniu drzewa.

- Do twojego buta nic nie wkładałem - zaprotestował Macsen.

- Jesteście żywi! - ryknął Edeard.

- Co, na Honiousa, się dzieje? - zapytał Topar. Wstał z koca, z pistoletem gotowym do strzału.

Fresage, Verini i Larby przepychali się wokół, próbując znaleźć źródło zamieszania.

- Nic - powiedział Edeard, niemal bez tchu. Wybuch czystej radości w głowie groził, że go przytłoczy. - Wszystko! Udało mi się! Jestem tutaj. To rzeczywiste. Jesteście realni. I wszyscy żywi.

Dinlay westchnął z irytacją.

- Co się z tobą stało? - Zerknął do buta. - Aha! - Trzecią ręką wykrobywał resztki utoga. Spojrzał podejrzliwie na Macsena.

- Edeardzie? - spytał ostrożnie Topar.

- Wszystko doskonale. - Edeard uniósł dłoń na potwierdzenie, a potem się zaśmiał. Czuł teraz zawroty głowy. Świat wirował wkoło niestabilnie. Usiadł. - Nie, poczekajcie. - Uniósł dłonie, wystawił palce do obliczania. - Zasadzka będzie za dwa dni. Eee... potem jeszcze półtora dnia jazdy powrotnej. Pani... cholera, jeśli teraz wyruszę, mogę nie zdążyć. Muszę się cofnąć.

Dinlay wsunął stopę do buta i podszedł do Edearda.

- Zły sen?
- Najgorszy jaki miałem w życiu. - Edeard się uśmiechnął.
- Ach... - Chcesz trochę herbaty? Zostało trochę tych lnianych pakietów? - zapytał Dinlay z nadzieją w głosie.
- Nie. - Edeard szybko wstał. Zanim Dinlay zdążył się zorientować, co się dzieje, Edeard go pocałował.
- Pieprzyć Panią! - wykrzyknął Dinlay, gwałtownie się cofając. Edeard zaśmiał się radośnie.
- Nie mogę zostać. Przepraszam. Ale, na Panią, jak to dobrze widzieć was wszystkich znowu żywych. I dziewczyny, nasze żony. Macsen, będziesz ojcem. Przyrzekam. Klnę się na samą Panią.
- Na Honiousa, co piłeś wczoraj wieczór? - spytał Macsen.
- Piłem... Piłem wszystko, co jest do picia.
- Myślę, że lepiej będzie, jak usiądziesz - zauważył Topar obojętnym tonem.
- Nie ma czasu. - Edeard cieszył się, że według nich zachowuje się jak wariat. - Cóż, w gruncie rzeczy to nieprawda. - Zachichotał. - Czy pamiętacie nasz pierwszy dzień na drodze? - Pstryknął palcami. - Zatrzymaliśmy się i rozbiliśmy obóz tuż za tamtą farmą. Och, gdzie to było?
- Stibbington - warknął Dinlay.
- Właśnie. To jest to miejsce, o właściwym czasie. Mnóstwo czasu. Stamtąd zaledwie dzień galopu z powrotem. Macsen, czy pamiętasz, że miałeś otarcia od siodła i utrzymywałeś, że nie możesz chodzić.
- Pamiętam.
- Taa, ja też. - Edeard sięgnął po tę chwilę...

## Justine: rok czwarty

Nadal śni. Stonowane obrazy jej prawdziwej miłości. Jego zapach. Jego śmiech. Jego przyjemność. Te dwa dni ciągnące się w nieskończoność...

Justine usiadła w komorze medycznej i rozejrzała się po kabynie „Silverbirda”. Wszystko wyglądało dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy weszła w zawieszenie. Tym razem nie dzwięczały żadne sygnały alarmowe. Osiągnęli układ gwiazdy, a dziennik pokładowy statku zameldował, że podróż przebiegała zupełnie bez zakłóceń czy znaczących wydarzeń. „Silverbird” już hamował.

Przerzuciła nogi na zewnątrz komory, krzywiąc się, że zeszywniały jej kończyny. Mięśnie szyi stężały i się napięły. Potrzebowała porządnego masażu. Może w kurorcie Halluba na wyspie Fasal. Tak, mogła z pewnością wyobrazić sobie, jak leży w uzdrowisku na werandzie, nad białymi plażami i absurdalnie turkusową wodą. Uzdrowisko miało kilku bardzo przystojnych masażystów, utalentowanych młodych mężczyzn w doskonałej kondycji, którzy wiedzieli, jak ugniatać jej mięśnie i ścięgna, doprowadzając je do całkowitego poddania. Bardzo przystojnych. A drinki, które przynosili w długich kieliszkach pełnych pokruszonego lodu z egzotycznymi owocami - wyborne. Gorąca niebiesko-biała gwiazda jak nakłucie igły na niebie koloru indyga. Przystojnych i chętnych.

Boziu, co zrobiło ze mną śnienie o tamtych dwóch dniach. Halluba była tysiąc lat temu.

Justine westchnęła, a jej trzecia ręka wyciągnęła szlafrok z modułu replikatora. Jednostka kulinarna wytworzyła wielką szklankę soku z marchwi z dodatkami witaminowymi. Posłusznie wypijała szklankę do samego dna i skrzywiła się.

Może tutaj, na planecie, znajdują się gdzieś jakieś plaże.

Usiadła na podłodze i rozpoczęła ćwiczenia rozciągające. Już oczekiwała z przyjemnością na bardzo gorący prysznic z mocnymi strumieniami wody, siłowo zaaplikowane gorąco, które uwolni jej szyję od tych piekielnych suptów.

- Co mamy na zewnątrz? - zapytała smartkor.

W jej egzowizji pojawiła się gwiazda. Justine się nachmurzyła.

- Znam to.

Układ planetarny, który rzutowano na sufit komnaty Wysokiej Rady w Pałacu Sadowym. Miedziana gwiazda ciepło świecąca w centrum dysku akrecyjnego. Komety na orbitach o wysokiej inklinacji z jądrami wielkości księżyca buszowały w zewnętrznych krawędziach dysku. Ich ogony wypływały na miliony kilometrów, promieniowały wspaniałym szkarłatem. Ale to, co Justine widziała teraz na zewnątrz, było starsze, dysk akrecyjny od czasów kadencji Edearda wyszczupłał. Wewnątrz uformowało się dziewięć wyraźnych pasm, każde prowadzone przez gęste zakrętasy asteroid, gdy protoplanety zaczynały krzepnąć. Ogony komet - kul ognistych były mniejsze, mniej lotne. Długie warkocze białej pary popsuły ich wypływ, niegdyś z czystego szkarłatu.

Przezroczyście wykazy danych nałożyły się na obraz astronomiczny. Drugoplanowe programy myślowe Justine zbierały informacje, kompilowały podsumowania, a jej uwaga natychmiast przesunęła się do maleńkiego półksiężyca, który okrążał wąty brzeg dysku.

- No, nie!

To była planeta nadająca się dla ludzi.

„Silverbird” nadal znajdował się siedem jednostek astronomicznych od gwiazdy. Dawało jej to mnóstwo czasu na obserwacje planety podczas lotu. W prawdziwym wszechświecie poza Pustką taka planeta by nie istniała. Nawet gdyby dysk akrecyjny wyprodukował dostateczną ilość skał i minerałów na stworzenie planety tej wielkości, nie wystarczyłoby czasu, by pojawiło się na niej życie. Filtry analizy widmowej „Silverbirda” zidentyfikowały wodę i chlorofil, a także mnóstwo azotu w

atmosferze. Skądkolwiek ten świat tu przybył, miał oceany i rozpoznawalne życie roślinne pokrywające lądy.

Jedna jednostka astronomiczna przebyta. To mała planeta wielkości Marsa nadająca się do kolonizacji. Gęsta atmosfera, na powierzchni ciśnienie będzie standardowe. Temperatura typowa. Pole magnetyczne zmniejszało wiatr słoneczny w charakterystyczne pasy van Allena. Emisji elektromagnetycznych brak. Ale Justine przez całą drogę sprawdzała, czy się nie pojawiają.

Nieprzekonujący świat w niemożliwym miejscu. Tylko w Pustce. W pełni zdawała sobie sprawę, że masa i energia, zżarte przez granicę w czasie tej krótkiej, okropnej fazy ekspansji, wystarczyłyby do stworzenia tysiąca układów słonecznych, nie wspominając już o jednej małej planecie. Nic tutaj nie powinno mnie dziwić. Edeard tylko zadrapał powierzchnię możliwości Pustki, co zresztą stale podkreśla Żywy Sen.

Jeszcze dziesięć milionów kilometrów i „Silverbird” hamował z pięciu g, zrzucając resztki kolosalnej prędkości, którą niósł przez lata świetlne. Pięć g stanowiło maksimum tego, co mógł utrzymywać bezawaryjnie. Usterki powróciły wielorakie i mściwe. Jeśli chodzi o pewne typy wyrafinowanego skanowania, degradacja czujników posunęła się daleko. Ale zwykłe optyczne soczewki pokazywały kontynenty i czapy lodowe. Uwidocznily się wirowe wzorce w chmurach. Justine zobaczyła, jak jeden z huraganów uderza w wybrzeże i pęka: jego czoło rozdzielało się, jakby przecinał je nóż. Bardzo duży nóż.

Zjawiska uruchomiły jakąś niepewność, skrytą głęboko w jej podświadomości. Co przecina burzę na dwoje?

A potem miała więcej powodów do niepokoju, bociążenie w kabinie zaczęło fluktuować. Wtórne systemy wypadały, kiedy fluktuacje opanowały sieć energetyczną. Dostawy zapasowe nie kompensowały tego należycie. Poleciała kabinie powrót do statusu neutralnego, wycofała wszystko z wyjątkiem fotela przeciwprzyspieszeniowego. Przynajmniej jej bionika pozostała w pełni funkcjonalna. Justine aktywowała swe osobiste pole siłowe, kiedy „Silverbird” przelatywał ostatni milion

kilometrów. Przed nią górne warstwy atmosfery planety ciągle iskrzyły się smugami kondensacyjnymi, gdy meteoryty z krańców dysku akrecyjnego uderzały w jonosferę. Pola siłowe „Silverbirda” meldowały o narastającej liczbie uderzeń mikrocząstek. Gęstość pyłu na zewnątrz raptownie wzrastała.

Justine włożyła pancerny skafander.

Sprawność ingrawu spadła o dwadzieścia procent i stawała się nieobliczalna. Justine już porzuciła wszelką myśl o wejściu na orbitę. Będzie musiała dążyć do bezpośredniego lądowania. Miała nadzieję, że napędy regravowe włączą się natychmiast, kiedy statek znajdzie się w polu grawitacyjnym planety. Po obserwacji zachowania reszty systemów Justine by się o to nie założyła.

Tysiąc kilometrów nad jonosferą smartkor rozpoczął wyłączanie programów peryferyjnych i skoncentrował się na funkcjach zasadniczych. Statek leciał po torze równoległym do powierzchni planety. Regraw stawał się aktywny - ledwo, ledwo. To umożliwi normalne lądowanie. Prawdopodobnie.

Właśnie wtedy trzy gigantyczne skaliste stożki, wystające ponad atmosferę, wpłynęły w pole widzenia. „Silverbird” leciał prosto na nie, projekcje trajektorii wskazywały na miejsce lądowania tuż za nimi.

Justine była lekko zszokowana, gdy zogniskowała kamery na zadziwiająco znajomym profilu trzech wulkanów.

- Chyba mnie nabieracie - powiedziała.

Z trzydziestokrotną szybkością dźwięku „Silverbird” zbliżał się do niemal idealnych kopii Wielkiej Triady na Far Away. Justine próbowała stłumić zaskoczenie. To może się zdarzyć. Tu, w Pustce, to może się zdarzyć.

Po przebyciu trzech świetlnych lat znalazła się dokładnie w punkcie odpowiadającym lądowaniu jej hiperszybowca tysiąc dwieście lat temu. To nie było dziełem przypadku. To było celowe.

Sen. O, mój Boże, sen.

Zatem istniała druga możliwość, którą nawet trudno było rozpatrywać.



Nie. To nie może się zdarzyć.

„Silverbird” uderzył w atmosferę. Cząsteczki rozrzedzonej atmosfery wyły, mknąc w dół i szybując wokół zbocza najwyższego wulkanu płaskim wierzchołkiem i dwiema nieczynnymi bliźniaczymi kalderami. Wrzące, przegrzane powietrze płonęło w kilwaterze kosmolotu. Jednostki regramu pracowały na całego.

Przyśpieszenie wgniotło Justine w fotel. Poczwórna waga miażdżyła jej klatkę piersiową. Biononika wzmacniała ciało, pozwalając na normalne oddychanie. Regraw nie zmieniłby wektora kosmolotu. Punkt lądowania z góry określony. Ustanowiony?

„Silverbird” zanurkował przez lekką warstwę cirrusów, obniżył szybkość do poddźwiękowej. Poniżej rozciągały się środkowe partie zbocza wulkanu - skaliste kamienie i urwiska, zarzucone łatami porostów i mchu, przyprószone śniegiem. A potem leciała już nad górnymi łakami wulkanu, sfałdowanym terenem trawiastym, tworzącym szeroki pas bujnej zieleni tuż nad linią drzew. Lodowate wodospady spadały ze skalnych występów, rodząc koronkę srebrzystych strumieni.

W statkową gajasferę uderzył drugi umysł. Myśli osoby ciekawej i entuzjastycznej.

- Och, nie. Nie, nie, nie. Nie może tutaj być. Nie możesz mi tego zrobić.

W lesie poniżej otwarła się długa polana. „Silverbird” obniżał się szybko. Rozpórki lądownicze wypęczkowały z kadłuba. Justine zazgrzytała zębami. Uderzenie nie było zbyt przykre. Kabina zatrzęsała się i miażdżący dźwięk przeszedł przez nadbudowę. Ciężenie spadło poniżej standardowego jednego g. Niektóre ikony stanu statku zabłyśły na krótko bursztynem, a potem wróciły do zieleni. Całe sekcje zblakły do neutralnych, kiedy jednostki napędu przestały działać. Statek w najbliższym czasie nigdzie nie poleci.

Ale była na dole, cała. To już coś.

Umysł nadal tam był. Czekał z nutką niecierpliwości. Czuła jego stan emocjonalny raczej bezpośrednio przez dalwzrok niż przez

gajafejsy. Wobec tego można było założyć, że on także wyczuwa jej myśli.

Justine bez pośpiechu zdjęła swój pancerny skafander. Mimo wszystko, nie chciała go przestraszyć, a skafander wyglądałby przerażająco dla kogoś nieobeznanego z techniką Wspólnoty. Ze śluzы spuściła awaryjną drabinę sznurową - nie ufała już funkcji manipulacji ciężeniem, że łagodnie ją opuści. Kiedy zaczęła schodzić, uświadomiła sobie, że beżowy kombinezon, który włożyła, jest nadzwyczaj podobny do skózanego szaroniebieskiego skafandra pilota, który miała na sobie w hiperszybowcu. Brakowało tylko hełmu.

- Nie udało się, co? - zakpiła z Pustki.

Drabinka sznurowa kołysała się niepokojąco, gdy Justine zbliżała się do jej końca. Jak wahadło, balansowała nad trawiastym terenem. Zeskoczyła z ostatnich dwóch szczebli.

Ciążenie było niskie, dokładnie jak na Far Away. W wilgotnym powietrzu rozchodził się silny zapach sosen. Omiotła okolicę dalwzrokiem - wynik lekko dezorientował. Potem zaczęła interpretować mgliste kształty, korelując je z tym, co widziała oczyma. Ponadto jej skanowanie bioniczne funkcjonowało bez zakłóceń, co dostarczało solidnych interpretacji otaczającego krajobrazu.

Dziesięć metrów dalej stał ON, czekając uprzejmie, aż go zauważą. Justine odwróciła się bardzo powoli, nadal na wpół wierząc, że, gdy otworzy oczy, zobaczy wokół siebie kabinę „Silverbirda”, a sama obudzi się z zawieszenia. Ale nie, to było rzeczywiste. On był rzeczywisty.

Justine uśmiechnęła się, zbyt odrętwiała, by zatriumfowały w niej jakieś emocje.

- Cześć, Kazimirze! - powiedziała.

Miał idealną twarz, zdrową ciemną skórę i lśniące białe zęby. Bujne czarne włosy związane z tyłu czerwoną tasiemką. Ubranie również doskonałe - rozpięta skórzana kamizelka ukazywała pięknie umięśniony tors; do tego kilt klanu McFosterów w szmaragdowo-miedzianą kratę. Miał ze sobą nawet właściwy mały plecak.

- Znasz mnie? - zapytał.

Głos był również prawidłowy. Ale przecież powinien taki być, to mimo wszystko jej kreacja. Jej uśmiech zmienił się z powitalnego na współczujący

- Wiem, kim według ciebie jesteś. To moja wina.

Nachmurzył się.

- Czy dobrze się czujesz? Twój pojazd zszedł tak szybko...

W końcu się zaśmiała. Ta troska była taka Kazimirowska.

- Trochę wstrząśnięta, to wszystko. A przy okazji, mam na imię Justine.

- Cieszę się, że cię widzę, Justine. Czy to naprawdę kosmolot?

- Naprawdę.

\*\*\*

Najtrudniejsze, że Justine nie mogła być okrutna. Nie mogła mu po prostu powiedzieć, by sobie poszedł, bądź go zignorować. To byłoby dla niej o wiele łatwiejsze. Ale to siedemnastoletnia istota ludzka ze swymi uczuciami. Tak jak wszyscy inni nigdy nie prosił się na świat - bez względu na to, jak dziwnie na ten świat przyszedł. Zasługiwał na traktowanie z szacunkiem i pełne względów.

Co dziwne, nie miał jasnych wspomnień, skąd przyszedł.

Usiedli nad strumykiem gulgoczącym na skraju polany. Zachowywali się czujnie względem siebie, a jednak bardzo go pociągała, nie tylko fizycznie, czuła to.

- Odbynam wędrówkę, rytuał przejścia - poinformował ją, kiedy spytała, skąd się tu wziął.

- By dowieść, że możesz samotnie przeżyć tu, w terenie - powiedziała, przypomniawszy sobie tę samą rozmowę toczoną dawno temu. - Kiedy powrócisz do swego klanu, staniesz się pełnoprawnym wojownikiem i zaczniesz walkę z Gwiazdokrażącą.

- Wiesz o Gwiazdokrażcy?

- Kazimirze, wiem, że trudno w to uwierzyć, ale Wspólnota pokonała Gwiazdokrażącą już bardzo dawno temu. Nie jesteś tym, kim myślisz, że jesteś.

Uśmiechnął się.

- Więc kim jestem?

- Jesteś moim snem. To miejsce sprawia, że jesteś rzeczywisty.

Na twarzy odbiło mu się emocjonujące podniecenie, a umysł promieniował energicznym rozbawieniem.

- Mówisz, że umarłem, a to miejsce to Senne Niebiosy?

- O, Boże! - Justine patrzyła na niego całkowicie zaskoczona. - Zapomniałam o tej części ideologii Strażników. - W każdym razie świadomie.

- Więc jesteś moim duchem-przewodnikiem? Wyglądasz dokładnie tak, jak wyobrażałem sobie anioła.

- Nazywałaś mnie tak już przedtem - powiedziała cicho.

- Co robiłem?

- Nazywałaś mnie swoim aniołem.

- Kiedyś, kiedy byliśmy żywi?

Jego umysł zaczynał wykazywać niepewność - żart stawał się banalny. Justine przeklęła swoje głupie stare ciało biologiczne za upośledzającą słabość.

- Jesteś żywy. Znowu. To skomplikowane.

- Myślałaś, że umarłem?

Widziałam, jak umierałaś.

- Powiedz mi, gdzie byłeś, nim zacząłeś swoje przejście? Kim są twoi przyjaciele? Co robiłeś w zeszłym roku? A tak naprawdę, co robiłeś wczoraj o tej porze?

- Ja... - Jego myśli kłębiły się rozpaczliwie. - To trudne. Nie pamiętam wiele. Nie, poczekaj. Bruce! Bruce to mój przyjaciel.

- Kazimirze, przykro mi. Bruce właśnie cię zabił.

Wzdrygnął się.

- To są Śniące Niebiosy!

- Chyba w pewnym sensie są.

- Bruce nigdy by mnie nie zabił.

- Został złapany przez Gwiazdokrażcę, który nastawił go przeciwko Strażnikom Jaźni. Stał się jego agentem.

- Nie Bruce.

- Nie Bruce, który był twoim przyjacielem, Gwiazdokrażca zniszczył jego część. Kazimirze, nie masz żadnych wspomnień z przeszłości, ponieważ ja ich nie znam, nie tak jak powinnam, nie

w szczegółach. Spędziliśmy zbyt mało czasu, by głębiej omówić te sprawy. Czas, którym dysponowaliśmy, był na to zbyt cenny. Zawsze tego żałowałam. Przykro mi. - Odwróciła wzrok i usiłowała zapanować nad emocjami.

To takie bolesne. Nie muszę się w to angażować. Powinam po prostu odejść. Potem zerknęła na niego, widziała w jego twarzy urazę i dezorientację i wiedziała, że nie może mu tego zrobić, nie Kazimirowi, nawet jeśli to tylko jego cień.

Niepewnie sięgnął ręką, palcami dotknął jej ramienia, jakby to właśnie on powinien ofiarować pocieszenie.

- Czy byliśmy... razem?

- Tak, Kazimirze. Byliśmy kochankami.

Szeroki uśmiech rozpromienił jego młodzieńczą twarz i mimo wszystko wszechświat nie był taki zły.

- Robię to naprawdę źle - wyznała. - Chciałabym być dla ciebie miłsza.

- Więc to o mnie śniłaś.

- Tak.

Jego uśmiech stał się teraz triumfalny.

- Cieszę się, że śniłaś o mnie. Cieszę się, że jestem tu dla ciebie. O nie. Nie pójdziemy tą drogą. To nie jest... w porządku.

- Też się cieszę, że tu jesteś. Ale mam do spełnienia obowiązek.

Kazimierz skinął głową.

- Jaki obowiązek?

Skrzywiła się.

- Ocalić galaktykę.

- W jaki sposób?

- Tak naprawdę, to nie wiem. Tu, gdzie jesteśmy, to miejsce jest złe. Muszę się dostać do... kogokolwiek, kto tu rządzi, i przekonać go, by zatrzymał ekspansję. Przepraszam, że nie wygląda to bardzo sensownie.

Wzrok Kazimira zwrócił się ku „Silverbirdowi”. W jego umyśle pojawił się błysk tęsknoty.

- Polecimy tam twoim kosmosem?

Pierwsze krople deszczu zaczęły spadać z pociemniałego nieba, kiedy czoło burzy znalazło drogę wokół wulkanu.

- Chciałabym, ale muszę wymyślić, jak sprawić, by ponownie latał. I nie wiem, gdzie jest jądro ani jak tam dotrzeć.

- Och. - Jego rozczarowanie było dotykalne, świeciło przez słabo osłonięty umysł.

Justine uśmiechnęła się szeroko.

- Chciałbyś obejrzeć wewnątrz?

- Tak, proszę!

Wdrapał się z łatwością na drabinkę sznurową. Ale, jak Justine sobie przypominała, Kazimir zawsze był bardzo zwinny. To wyjaśniało, dlaczego jej własne serce pędziło, kiedy gramoliła się za nim. Śluza z trudnością mieściła dwie osoby. Poleciała smartkorowi otworzyć wewnętrzne drzwi i poprowadziła ich w górę wąskiej zejściówki do kabiny.

Kazimir silił się na uprzejmość, gdy rozglądał się po okrągłym pomieszczeniu, ale wyraźnie nie miał wprawy w osłanianiu swych myśli. Na szczęście, przypomniała sobie kilka chwytów, które wykorzystywał Edeard w snach Iniga.

- Podróżowałaś w tym? - spytał ostrożnie.

Justine pstryknęła palcami i kazała smartkorowi wysunąć dwa fotele.

- Ach!

Kazimir patrzył, jak się wznoszą, znowu szczęśliwy. Justine włączyła projekcję holograficzną, rzutując wykresy w powietrzu przed nim.

Siedemnastka to taki beztroski wiek, pomyślała, czując lekki żal z powodu jego fascynacji.

- Chcę przeprowadzić na tobie kilka skanowań - powiedziała. - Może mi to pomóc lepiej zrozumieć to miejsce.

- Oczywiście.

Wykorzystała swoje pola bioniczne, by przebadać go szczegółowo, i przrzuciła rezultaty do smartkoru. Był człowiekiem, wszystkie organy miał tam, gdzie trzeba. Kiedy dotknęła modułem próbnika jego skóry, uśmiechnął się do niej znowu, emitując silne poczucie tęsknoty i pragnienia.

Większą część tamtych dwóch dni spędzili w łóżku, kochając się.

Uniosła w zdumieniu brwi, kiedy rezultaty sekwencjonowania wzniosły się w dyspleju holograficznym.

- Twoje DNA jest... - Prawdziwe? Właściwe? W pełni ludzkie? - W porządku - zakończyła. I w jaki sposób Pustka wycięła taki numer?

- Cieszę się - odpowiedział.

Smartkor przeprowadził porównanie z danymi medycznymi, które miała ze sobą: z DNA jej syna. Ten Kazimir nie dzielił żadnego znacznika genetycznego z mężczyzną, którego dziecko urodziła tysiąc dwieście lat temu. Nie wiedziała, czy jest tym rozczarowana, czy nie. Zatem Pustka nie jest wszechpotężna.

- Może zobaczymy, czy pracuje jednostka kulinarna? - zaproponowała.

\*\*\*

Tak naprawdę nie musiała pytać go, co by zjadł. Cheeseburger z bekonem, frytkami, kleisty pudding toffi z kremem z lodów waniliowych. Czekolada i szampan. Wszystko to było fragmentem dekadentckiego życia, którym go zdemoralizowała za pierwszym razem.

Jednostka kulinarna zdołała wyprodukować to wszystko, choć niektóre smaki były nieco dziwne.

Kazimirowi wszystkie potrawy wydawały się dziwne i dobre - pochłonał je z apetytem.

- Czy widziałeś tutaj kogoś jeszcze? - zapytała, kiedy sączyła szampana.

- Myślałem, że powiedziałaś, że przed dniem dzisiejszym nie istniałem - odpowiedział, tylko w połowie się przekomarzając.

- Tak naprawdę, nie wiem, jak długo tu byłeś. Przypuszczam, że stworzenie tego świata zajęło Pustce cztery lata.

Odchylił się w fotelu i starał się intensywnie myśleć.

- Mam wspomnienia albo fantazje z mojego życia sprzed dzisiejszego dnia. Życie, które prowadziłem ze swoim klanem, nie jest rzeczywiste, teraz to widzę, nic z tego czasu nie ma wagi. To fantazja na temat co powinno być. A jednak pamiętam, jak wyruszałem na przejście dwa tygodnie temu. Jestem pewien, że

kilka ostatnich dni było rzeczywiste. Dziś jest rzeczywiste. Dziś ma w sobie ciebie. Pamiętam, jak szedłem i cieszyłem się czystym niebem.

- Więc nie widziałeś nikogo podczas wędrówki?

- Nie. Ale pomysł przejścia musi być twój.

- Oczywiście.

Zadrżał, znowu rozejrzał się po kabinie. W jego myśli wkradła się trwoga.

- Jestem niczym. Jestem zabawką, którą zrobił jakiś obcy, by cię rozerwać. Jaka istota posiada taką moc?

- Noo - powiedziała kojącym tonem. - Z pewnością nie jesteś niczym. Ty to ty. Nie ma znaczenia, dlaczego jesteś, tylko to, że jesteś tu teraz. Życie ma się przeżywać, powiedziałam ci to za pierwszym razem, kiedy się spotkaliśmy.

Kazimir podejrzliwie pociągnął nosem.

- Uwierzyłem ci?

- Wymagało to nieco przekonywania. Byłeś wtedy tak samo uparty jak teraz.

Wydawało się, że to go zadowala.

- Co masz zamiar teraz robić?

- Nie jestem pewna. Przybyłam tu, by spróbować porozmawiać z jądrem. Obecnie wydaje się to dość trudne. Jądro myśli, że zamiast tego powinnam być tutaj z tobą.

Znowu przejrzała status „Silverbirda”. Żaden z napędów nie działał, a smartkor nie wiedział dlaczego. Generator wytwarzał nieco energii, wystarczającą ilość, by zapewnić podstawowe wsparcie życia. Większość funkcji kabinowych działała, choć Justine raczej nie chciałaby wykorzystywać komory medycznej. Najbardziej zaskoczyła ją przyczyna awarii i zakłóceń. Nie było żadnej.

Siła woli, myślała, jest rządzącym czynnikiem w tym wszechświecie. Władza umysłu nad materią. Myśli mogą oddziaływać na rzeczywistość. Tak więc Pustka nie chce, by „Silverbird” latał. Prosta sprawa.

- A ty nie chcesz być tutaj ze mną? - zapytał.



- To bardzo miłe - odpowiedziała. - Ale nie po to tutaj jestem. - Miała tak przygnębiającą minę, że natychmiast poczuła się winna. - Kazimirze, przepraszam, ale gra toczy się o ogromną stawkę. Nawet nie oczekuję, że uwierzysz, jak wielką. Muszę zrobić co w mojej mocy, by pomóc.

- Rozumiem - odparł. - Robisz rzecz honorową. Mogę mieć umysł podrobiony, ale wierzę w honor. To prawda uniwersalna.

- Jesteś bardzo słodki. Pamiętam doskonale tę twoją cechę. - Ziewnęła. - Chciałabym trochę odpocząć. To była długa, pełna napięcia podróż, a ten szampan uderzył mi do głowy.

- Będę trzymał wartę na zewnątrz. Jeśli to cała prawdziwa planeta, tam może być coś wrogiego.

- Dziękuję.

Cholera, moja pamięć jest niebezpieczna. Kabina wysunęła wielkie łóżko, a Justine zrzuciła jednocześnie skafander. Potem replikator wytworzył cienką kołdrę. Miała w sobie dziwaczne twarde bryłki, ale Justine wzruszyła ramionami i natychmiast się nią przykryła. Zasnęła od razu.

I śniła. Śniła o swym własnym łóżku w swym własnym domu, gdzie sama była bezpieczna, w cieple, a życie było wygodne.

Ktoś odciągnął firanki i przez wysokie okna wlało się światło słoneczne. Justine ziewnęła i przeciągnęła się. Pod kołdrą było przytulnie.

- Cześć, kochanie.

- Tata - powiedziała sennie i uśmiechnęła się do złotej twarzy wyłaniającej się nad nią. - Czy pora wstawać?

- Pora, abyśmy porozmawiali, ty i ja.

Powrót pełnej świadomości był jak skok do lodowatej wody. Justine jęknęła i usiadła prosto. Znajdowała się w swym pokoju w Tulipanowej Rezydencji, gdzie spędziła okres młodości. Pokój w śmiesznych fioletach i czerniach, gdyż wesoło przedzierała się przez swój okres retrogotycki, głównie chcąc dokuczyć rodzicom. Jej T-shirt i workowate spodnie od piżamy zrobiono z czarnej bawełny. Paznokcie na dłoniach i stopach miała czarne, z wtłoczonymi krwawnikami. Patrzyła na nie zażenowana tą modą. Palcami ciężkimi od pierścieni z trupimi

główkami pośpiesznie przesunęła sobie przed oczy pasmo włosów. Przekonała się: są czarne.

- Jezu - powiedziała cicho.

- Zawsze wyglądasz fajnie, bez względu na to, jak podła jest moda - skomentował Gore. Stał w nogach łóżka, z założonymi na piersiach ramionami, i opierał się o jego słupek. (Łoże z baldachimem z zasłonami z czarnej gazy - oczywiście). Jego przystojna złota twarz... Uśmiechał się do niej.

- Co? Czy... jestem... czy to Pustka?

- Nadal jesteś w Pustce - odpowiedział Gore. - Jestem z powrotem we Wspólnocie i wymyślam przytulne otoczenia, by umocnić nasze relacje. A nie ma nic bardziej przytulnego niż pokój dziecienny.

- Relacje?

- Jestem ogromnie zażenowany, przyznając, że stałem się Trzecim Śniącym. I zgadnij, czyje życie w Pustce prześniewam.

- O, cholera.

Gore wywołał na twarz zły uśmiech.

- Mogło być gorzej, mogłaś z nim spać. A ja byłbym tym, który to przekazuje do gajASFery.

- Cholera! - Ta twoja szlachetność wpakuje cię kiedyś w prawdziwe kłopoty.

Justine ostrożnie wstała.

- Co się działo tam na zewnątrz? Czy Pielgrzymka się przedostała?

- Masz na myśli: podczas tych czterech dni, gdy jesteś w środku?

- Cztery dni? - spytała z niedowierzaniem.

- Niedługo będzie pięć.

- Ale to przecież było...

- Cztery lata. Łącznie z interludium z Władcą Niebios.

- Macie to zdarzenie?

- O, tak. Ten mały gówniarz Ethan zbija mnóstwo kapitału na jego odmowie zabrania cię do jądra. Prawdziwe wielkie wzmocnienie sprawy. Klerycy z jego napuszonej Rady są od tamtego czasu wszędzie w unisferze i perorują na temat

przeznaczenia. Prawie im się udaje stłumić wiadomości o burdelu, który zrobili na Viotii.

- Viotii? - spytała oszołomiona.

- Wywracają planetę do góry nogami, szukając Drugiego Śniącego. Nie martw się tym. Musimy skoncentrować się na twoim problemie.

- Kazimir?

- W pewnym sensie. Cholera, nigdy nie zdawałem sobie sprawy, że w dalszym ciągu jesteś tak sfiksowana. Naprawdę skopałaś to kompletnie, co?

- Co chcesz powiedzieć?

- Dotychczas wszystko, co głosił Żywy Sen, to obietnica, że można wyprostować swe życie, tak jak to robił ich umiłowany Stąpający po Wodzie za każdym razem, kiedy popełnił jedną ze swych wielu pomyłek. Znowu spieprzyłem? Nic nie szkodzi, cofam się myślami do chwili, gdy się pomyliłem i przestawiam całą Pustkę do tej chwili. To właśnie im wmówiono, wszystkim tym baranom, beczącym, by ich zabrać we flocie Pielgrzymkowej.

- Wiem, podróże w czasie to prawdziwy spełniacz życzeń. Cofnąć się w czasie i naprawić błędy życiowe, to ostateczna fantazja każdego.

- Podróże w czasie to czysta bzdura, rzecz niemożliwa. Nikt nie może pokonać przyczynowości ani entropii. Pustka tylko przyciska klawisz „restartuj”. Tym właśnie jest ta cholerna warstwa pamięci, wzorzec każdej chwili tam w środku. I jak, do kurwy nędzy, ona to zasila?

- Tato.

- Wszystkie planety, wszyscy Władcy Niebios, wszystkie gwiazdy muszą mieć swą entropię cofniętą do punktu czasowego, do którego zachciało się wrócić Edeardowi. Wszystkie gwiazdy! Każdy pojedynczy atom - w każdej gwiazdzie w Pustce musi mieć poziom energetyczny znowu napompowany, by mógł zacząć od nowa. Dobry Boże, co za arogancja. I skąd Pustka bierze energię, by to zrobić? Od nas. Zjadając naszą galaktykę. To właśnie zasila restart. Masa na energię, stare dobre  $e$  równe  $em$  ce kwadrat.

- Tato, uspokój się, wygłaszasz tyrady do nawróconych.

- Och, rzeczywiście? Gdyby byli nawróceni, te głupie tępe barany nie wyruszałyby na swoją Pielgrzymkę, prawda? Czasami myślę, że Ocisenowie mają całkowitą rację, powinni nas zlikwidować, gdyż żaden gatunek, dostatecznie tępy, by wyprodukować Żywy Sen, nie zasługuje na trwanie.

- Tato! - powiedziała zszokowana.

- Taa, taa. - Uśmiechnął się. - Podoba ci się ten sen, Ethanie? Podoba ci się, co idzie na ciebie teraz z Pustki? Czy też może to dla ciebie za dużo prawdy? Ponieważ to nie będzie już tylko twój głupi osioł Stąpający po Wodzie, przeskakujący do tyłu przez swe życie, co? Mogłem sobie żyć i go znosić jako zbawiciela bandy życiowych rozbitków, średniowiecznych kretynów. Ale tobie to nie wystarczało, co? Byłeś tak kurewsko głupi, że zechciałeś tam zabrać wszystkich. Milion was restartujących swoje życie za każdym razem, kiedy w wasze pieprzone oczy dostanie się kropla szamponu. Jesteście tak chujowo słabi, że nie możecie sprostać należytemu przeżyciu swego życia? Nauczcie się czegoś na swoich błędach i idźcie dalej. To właśnie czyni was ludźmi. A nie skazywanie reszty z nas na wytępienie z powodu waszej cholernej nieudanej egzystencji. Wyhodujcie sobie jakieś jaja, kurwa wasza mać.

Justine objęła ramieniem Gore'a, zaskoczona tym, że ojciec trzęsie się z wściekłości.

- Już dobrze - pocieszała go. - Znajdziemy rozwiązanie.

- O, tak. Słusznie. Ponieważ obecnie Pustka może wykorzystać do aktu tworzenia już nie tylko swoją wewnętrzną funkcję pamięci. Może się wkopać w dowolny stary kompleks, który raczysz ze sobą tam zabrać. Sukinsyny z Żywego Snu nie zadowolą się przybyciem do Makkathranu i szalonym pieprzeniem się z Ranalee. Już nie. Teraz mogą odtworzyć cokolwiek ze swojej własnej przeszłości. Ludzi, miasta, cywilizacje, światy, przywróćcie do życia wszystko, co chcecie, cokolwiek, z historii, z literatury. To nie ma znaczenia, my po prostu zassiemy do bariery kilka tysięcy gwiazd, żeby to zasilić. Jezu Chryste.

- Czy mnie za to winisz?

Gore stał w milczeniu, zaciskał i rozwierał pięści, próbując się uspokoić.

- Nie. To nie twoja wina. Nie oskarżam cię o to. To wszystko sprowadza się do tych sukinsynów pierwotnych bytów, którzy zbudowali tę kurewską ohydę. Raelowie mieli rację, że próbowali to zniszczyć. Żałuję, że tego nie rozpieprzyli, naprawdę żałuję.

- Mogę wykorzystać „Silverbirda”, by zbadać tyle, ile się da.

- Nie, to nie rozwiązuje żadnego problemu. Nie możemy tam polecieć z płonącymi działami promieniowymi. Myślałem, że już sobie to uświadomiłaś. Miałaś wcześniej rację, umysł jest kluczem do Pustki. Jest przygotowana na to, by materializować wszelkie myśli. Fizyczne środowisko może być jedynie drobną jej częścią. Wyobrażaj to sobie jak jakąś ośmiowymiarową cebulę.

Justine wyprostowała plecy i rzuciła ojcu zirytowane spojrzenie.

- Dzięki, tato. To bardzo pomocne. Zawsze właśnie w taki sposób to sobie wyobrażam, to bardzo pomaga.

Gore uśmiechnął się do niej.

- Dobra, zapomnij o ośmiu wymiarach, po prostu wyobraź sobie warstwy. One są złączone wymiarowo, nie tak bezpośrednio geometrycznie, ale łapiesz o co chodzi. Każda warstwa ma inną funkcję. Jest warstwa pamięci, która łapie wszystko, co dzieje się tam wewnątrz. Jest warstwa twórcza, która musi organizować restart. Jest warstwa interakcji, która formuje myśli dla warstwy twórczej, co sprawia, że występuje telepatia i cała reszta tego mentalnego gówna.

- Warstwa, która sprawia, że działają dusze - powiedziała zamyślona Justine.

- Taa. To wszystko zbudowano wokół racjonalności i ewolucji jądra, „spełnienia”, na którego punkcie ma hysia twój debilny Władca Niebios. Tak więc następna warstwa, która steruje procesami myślowymi - może to warstwa dusz, a może nie. Nie o to chodzi. Jest cała tona tych warstw, takich, o których możemy coś wydedukować z obserwacji i rzeczy, których w ogóle się nie domyślamy. I Bóg jeden wie, czym są mgławice i dlaczego

śpiewają. Nieważne. Mamy tutaj ogromnie złożoną konstrukcję. Ale jądro jest jej środkiem - znowu, nie środkiem fizycznym.

- Więc jądro tym wszystkim steruje?

- Kto wie, jaka jest tu hierarchia? Musimy znaleźć drogę do wewnątrz, coś, co możemy zracjonalizować i na co możemy wpłynąć, zrobić to, co ty chciałaś zrobić.

- Dlaczego jądro miałoby tworzyć dla mnie Kazimira?

- Nie zrobiło tego. Nie wierzę, by twoje myśli były odpowiednio silne i przyciągnęły jego uwagę. To gniazdo konnuencji, które masz na statku, prawdopodobnie nadrukowało sen o Kazimirze na warstwę kreatora. To była myśl potężniejsza, niż jest do tego przyzwyczajony. Większość warstw nie funkcjonuje na świadomym, rozumnym poziomie, one po prostu wykonują swoje zadanie. I nikt wcześniej nie wziął do środka gniazda konfluencji. Gniazdo konnuencji przede wszystkim trzyma wspomnienia i powtarza je ad in finitum. Twój sen był jedyny, który jądro otrzymało, i to odkształciło rzeczywistość. Warstwa twórcza po prostu zareagowała w sposób, w jaki ją zaprojektowano. Nic osobistego.

Justine siedziała na łóżku i próbowała sobie ułożyć to w głowie.

- Jeśli moje myśli nie są dość silne, to jaki jest sens, bym próbowała znaleźć jądro?

- Ten sen odbierają wszyscy połączeni z gajaserfą. Rozumiesz?

- Ach.

- Nie staraj się odnaleźć jądra, to strata czasu.

- Ale właśnie powiedziałeś...

Gore uklękła przed nią i ujął dłońmi jej ramiona. Oczyma w złotej masce ze skóry - własnej twarzy - patrzył przenikliwie na Justine.

- Musisz się dostać do Makkathranu.

- Nie został tam nikt. Władca Niebios powiedział, że wszyscy ludzie przeszli do jądra.

- Mam to gdzieś. Leć do Makkathranu. To ważne. To miejsce, gdzie skupiają się ludzie w Pustce.

- Jak? „Silverbird” nie może latać.

- Błąd. - Gore się uśmiechnął. - Jesteś w Pustce. Dysponujesz mocami telepatycznymi. „Silverbird” nie może latać teraz.

- Och. - Analizowała to, co zaproponował. - Och!

- Moja dziewczynka. Równie sprytna, jak piękna.

- Ale tato, Kazimir nie będzie wtedy istniał. Uśmiercę go.

Gore puścił jej ramiona.

- Przepraszam, powtórz to jeszcze raz.

- Jeśli się cofnę, on nie będzie istniał.

- Och, Jezus zapłakał. - Gore klepnął się teatralnie dłonią w czoło. - Nie odgrywaj przede mną lewicującego liberała. Nie w tej sytuacji.

- Nie mogę wymazać go z istnienia. Jest rzeczywisty na dobre i na złe. Jestem za niego odpowiedzialna.

- Jest odpowiednikiem ożywionego klonu, takiego, który został napchany tym, co sobie przypominałaś o jego wspomnieniach. Czy coś takiego może budzić współczucie?

- On żyje - powiedziała stanowczo.

- A ty masz na niego chrapkę.

- Wcale nie.

- Twoje własne testy DNA pokazały, że to nie Kazimir - po prostu jakiś biedny sobowtór, którego miała na składzie warstwa pamięciowa.

- Właśnie. To człowiek. Nie mogę mu tego zrobić.

Gore ujął jej dłoń.

- Posłuchaj mnie, kochanie. To właśnie dlatego Pustka jest fundamentalną katastrofą. On był zmagazynowaną pamięcią. Każdy, kto kiedykolwiek był w Pustce, jest dokładnie tym samym, każdy, kto się tam rozbił w statku kolonialnym, został skopiowany. Każdy, kto się kiedykolwiek urodził. Na miłość Boską, tam jest Owain, nadal zamrożony w warstwie pamięci w chwili, gdy Stąpający po Wodzie go zastrzelił - i we wszystkich dziesięcioleciach, które przeżył wcześniej. We wszystkich restartach, których Edeard dokonał później, nigdy nie cofał się przed punkt, w którym zlikwidował konspiratorów. Nigdy nie mógł się zmusić, by znowu to zrobić, ponieważ musiałby to robić za każdym razem. Właśnie to Pustka rzuca nam w twarz. Oni żyli

w czasie, w którym mieli żyć. Nie możesz tego zmienić, Justine. Nie możesz pozwolić, by racjonalne myślenie i etyka, które ewoluowały w tym wszechświecie, miały zastosowanie tam, gdzie teraz jesteś.

- Wiem, co mówisz, ale tato, nie spotkałeś go. Jest taki słodki. Nie zasługuje na taki los.

- Galaktyka nie zasługuje na Pustkę, ale ją mamy. I, kochanie, spotkałem go, czułem, jak twoje głupie serduszko bije mocniej na jego widok. Smakowałem czekoladki, które jadłaś, kiedy uśmiechałaś się i flirtowałaś z nim. Znam popęd, który próbowałaś ignorować. Przykro mi. Musisz to zrobić. Musisz polecieć do Makkathranu.

- Och, niech to diabli.

Pocałował ją w czoło.

- Myśl pozytywnie. Jeśli przegramy, będziesz musiała pozostać i żyć w Pustce, możesz odnaleźć go znowu.

- Jesteś zupełnie bezużytecznym trenerem, do dupy, wiesz o tym.

- Wiem. Teraz idź i się obudź.

- Justine lekko kiwnęła głową, wiedząc, że tak naprawdę nie ma wyboru. Po raz pierwszy wyjrzała przez okno sypialni. Krajobraz na zewnątrz to nie były tereny Tulipanowej Rezydencji. Jej stary dom stał teraz na dnie niemożliwie ogromnej doliny, z górami zakrzywiającymi się na niebie jak jakaś monstrualna zielono-brązowa fala na chwilę przed załamaniem. Słońce było długą taśmą oślepiającego światła.

- Co to jest, do diabła?

Gore nieznacznie wzruszył ramionami.

- Musiałem co nieco poświęcić, aby móc śnić twoje sny.

- Tato...

- Czuję się doskonale. - Podniósł dłoń i pomachał z czułym i dumnym uśmiechem. - Dalej. Obudź się.

\*\*\*

Justine otworzyła szeroko oczy i patrzyła na sufit kabiny. Pole widzenia zamazywały jej łzy. Wytarła je gniewnie.



- O, do diabła.

Kazimir pozna, że coś nie gra. Żaden telepata nie byłby w stanie maskować tych emocji.

Rzeczywiście, stał u stóp drabinki sznurowej, kiedy z trudem schodziła w dół. Nawet przytrzymał jej drabinkę.

- Co się stało? - zapytał.

- Muszę iść - odpowiedziała bez ogródek.

- Rozumiem. To dobrze, prawda? Wiesz, jak dotrzeć do jądra. Chciałaś tam się dostać.

- Nie mogę zabrać cię ze sobą - wyjąkała.

- Rozumiem.

- Nie, nie rozumiesz.

Wzięła głęboki wdech i pocałowała go. Radość przegnała zaskoczenie z jego twarzy.

- Kazimirze, chciałbym, żebyś coś wiedział. Jeśli istnieje droga powrotu tutaj, znajdę ją i znajdę ciebie. Obiecuję to. Poznaj moje myśli i poznaj w nich prawdę.

Obdarzył ją tym nieśmiałym, pełnym uwielbienia spojrzeniem, które sprawiło tylko, że poczuła się gorzej. Nigdy nie myślała, że kiedyś zobaczy to spojrzenie ponownie.

- Widzę w twoich myślach uczciwość - zapewnił ją. - Teraz rób, co według ciebie musisz zrobić.

Justine usiadła na kamieniu o kilka metrów od podpory łądowniczej „Silverbirda”. Ciepłe słońce późnego popołudnia przyjemnie naciskało na jej twarz. Nogi zgięła w pozycji jogi. Kazimir przykucnął trochę z tyłu i z niepokojem ją obserwował. Uśmiechnęła się do niego po raz ostatni i się skoncentrowała.

Myślami popłynęła do gniazda konfluencji. Wykorzystała jego programy, by pewnie trzymać umysł. Były tam wspomnienia, czas kiedy Edeard stał na szczycie góry i sięgał w materię Pustki, widząc przeszłość. Z rozmysłem powtórzyła jego działania i spróbowała ukształtować myśli na tę samą modłę, pchając swój dalwzrok w nicość leżącą wokół niej.

Było tam jej własne ciało, długi, wielokrotny obraz, wijący się tam i z powrotem na ziemi, idący w górę na statek, mówiący do Kazimira. Chłopak promieniował takim smutkiem, że groziło to

wzbudzeniem w niej rezonansu. Przepchnęła się obok niego, zobaczyła „Silverbirda”, jak nurkuje z kosmosu. Dalej.

Było to niewiarygodnie trudne, bez wsparcia gniazda konfluencyjnego nigdy nie utrzymałaby koncentracji. Nie mogła uwierzyć, że Stąpający po Wodzie robił to bez żadnego wspomagania. Istniał jeden wyraźny moment w jej życiu, który chciała osiągnąć. Jej umysł utrzymywał go, instynktownie dopasowując do chwili zawartej w pamięci wszechwówczas Pustki. Potem musiała się tylko pchnąć do tej chwili. Gdzieś w świecie fizycznym rozległ się okrzyk desperacji, kiedy próbowała wpakować swe myśli we wzorzec, do którego nie były nigdy przystosowane. Zawezwwała siłę gniazda konfluencyjnego. Cenny moment był tam, łączący teraźniejszość i przeszłość. Justine nacisnęła. Pustka zrestartowała...

## Trzynasty sen Iniga

Komora zapisów mieściła się na trzecim podziemnym poziomie pod Spiralną Wieżą, siedzibą makkathrańskiej Gildii Broni. Trzeci poziom liczył ogółem dwadzieścia izb ułożonych w krąg i dostępnych z jednego kolistego korytarza. Pomieszczenia wykorzystywano jako skarbcce chroniące najbardziej tajne komponenty amunicji i broni palnej, jakie znali Mistrzowie Gildii. Każdą izbę zamknięto potrójnymi żelaznymi drzwiami. Strzegły one bezpiecznie szybkostrzelnych karabinów, długolufowych pistoletów i innych typów broni nieznanych reszcie Querencji. Mechanizmy potrzebne do wytwarzania tych urządzeń również trzymano w skarbcach, razem z surowymi wlewkami specjalnych metali, wymaganymi podczas ich produkcji.

Już samo dostanie się do Spiralnej Wieży nastroczało trudności - prowadziło do niej tylko jedno silnie chronione wejście. Wszystkim odwiedzającym musiał towarzyszyć któryś z Mistrzów. Ponadto, pierwszego i drugiego poziomu pomieszczeń nieustannie pilnowali uzbrojeni strażnicy. Również w korytarzach i na schodach umieszczono pomysłowe pułapki i przeszkody, umożliwiające złapanie wszystkich korzystających z niewidki.

Nic więc dziwnego, że zgromadzeni w komorze zapisów cieszyli się pewnym poczuciem bezpieczeństwa - a było to trzy dni po tym, jak z Makkathranu wyruszyła mała ekspedycja Topara. Wielki Mistrz Owain powitał ciepło swych jedenaścioro gości. Żadne z nich nie kryło obaw i podniecenia w czasie drogi do szerokiej izby o krzyżowym sklepieniu. Pośrodku pomieszczenia stał prosty drewniany stół otoczony trzynastoma krzesłami. Wysokie szafy przy ołowianoszarych ścianach zawierały setki skórzanych teczek z dokumentacją wszystkich projektów pistoletów i amunicji, które Gildia wytworzyła w czasie ponad dwóch tysięcy lat swego istnienia. Izbę oświetlały jarzące się

łzokształtne wzory, na suficie. Bisego wprowadzono na końcu. Kiedy troje grubych ciężkich drzwi zatrasnęło się za nim, obdarzył zgromadzonych uśmiechem. Skomplikowane zamki obróciły się, wpychając na miejsce stalowe rygle, które z kolei zabezpieczono, ustawiając kombinacje pierścieni zabezpieczających.

- Mój biedny chłopcze - powiedziała pani Florrel i uściśnęła ciepło byłego Mistrza Sampalok. - Witaj w domu.

- Dziękuję, babciu.

- Czy otrzymałeś jedzenie, które ci wysłałam? Kazałam piekarni na ulicy Jodsell upiec te malinowe babeczki. Wiem, jak bardzo lubiłeś je jako dziecko.

- Owszem, to było bardzo miłe z twojej strony.

- Czy wygnanie okazało się takie straszne?

- Miało swoje dobre strony.

- Kosztowało też co nieco - wtrącił Tannarl. - Połowa twojej rodziny mieszkała w moim domku.

- Zostaniesz za to sownie wynagrodzony - włączył się gładko Owain. - Posłuchajcie, nie przyszliśmy tu, by się kłócić o jakieś drobne sumy. Nasza chwila się zbliża.

- Zbliżała się dwa lata temu - zauważył Bise. - A potem przybył on.

- Stąpający po Wodzie biega teraz w kółko po wsiach, starając się znaleźć bandytów - zauważył Buate. - A kiedy ich znajdzie, już nie wróci.

- Nie bądź taki pewien - rzekł Owain. - Ma niewiarygodnie silną telekinezę. Makkathran nie widział niczego podobnego od czasów Raha. A nawet Rah nie potrafił zmieniać miejskich budynków.

Bise nastroszył się na to przypomnienie.

- Ostrożnie, kuzynie - powiedział Tannarl. - To bliskie herezji.

- Po prostu stwierdzam fakt.

- Nie wierzysz chyba, że zdoła odeprzeć przyjęcie, jakie mu zgotowałem? - zapytał Buate. - Cały sens zasadzki poza kryształem polega na tym, żeby nie miał przewagi, jaką daje mu miasto.

- Wynik jest w zasadzie nieistotny - oznajmił Owain. - Nawet jeśli tam przeżyje, nie będzie miał do czego wracać. Musimy to bezwzględnie załatwić. Nasi zwolennicy są gotowi.

- Napotkamy opór - ostrzegł Buate.

- Niech ich Pani ma w opiece - odparł Tannarl. - Powiadam, że nie czekamy już...

Stąpający po Wodzie wzniósł się gładko przez podłogę komory zapisów, czarna peleryna owijała go niczym wygaszona mgławica. Uważnie obejrzał każdego z siedzących przy stole spiskowców. Kilku z nich zerwało się na nogi i sięgnęło do pistoletów. Ich gest zamarł, kiedy obdarzył ich wyniosłym, lekceważącym uśmiechem.

- Wybory dały nam burmistrza i pełną Radę - oznajmił Stąpający po Wodzie. - Nie będzie zmian, nie będzie rewolucji. Nie będziemy Jednym Narodem, dopóki się na to nie zdecydujemy.

- Co proponujesz? - spytał Owain.

- Nie proponuję nic. Wasz czas się skończył.

- Może ten czas - warknął Bise. - Ale będą inne okazje.

- Nie, nie będzie ich - oznajmił mu Stąpający po Wodzie. - Już widziałem, co się wydarzy, jeśli wygracie.

Owain nachmurzył się, słysząc to dziwne stwierdzenie. Pod jego zwykle nieprzenikalną tarczą roiły się niespokojne myśli.

- Nie możesz nas aresztować - oświadczyła pani Florrel. - Nasza klasa nie podlega sądom powszechnym. W Wysokiej Radzie, gdzie będziesz musiał przeprowadzić proces, mamy wielu sprzymierzeńców.

- Całkiem słusznie - zgodził się Stąpający po Wodzie. - To byłoby bezcelowe.

Tannarl przeszedł przez komorę. Sięgnął trzecią ręką. Wielki zamek na wewnętrznych drzwiach obrócił się gwałtownie, kombinacyjne pierścienie zabezpieczające obracały się, aż zwolniły rygle, które się cofnęły, a drzwi otworzyły się na oścież. Kilku z obecnych wciągnęło szybko powietrze. Drzwi wychodziły na gładką sekcję szarego muru. Z izby nie było wyjścia.

- Wasi stronnicy mówili mi wielokrotnie, że jestem słaby - powiedział Stąpający po Wodzie. - Że brakuje mi zdecydowania. Jeśli w to wierzycie, nie znacie mnie w ogóle. Ta rewolucja skończy się tu i teraz. Bez was w ogóle nie wybuchnie. Bez szybkostrzelnych pistoletów podobna próba nigdy nie zostanie podjęta. Makkathran pozostanie demokracją.

Peleryna rozdzieliła się, a on wyciągnął ramię z dłonią zwróconą w dół. Szybkostrzelny pistolet wychynął z podłogi i wzniosł się do jego dłoni. Stąpający po Wodzie zamknął wokół niego palce.

- Nie. To jest sprzeczne ze wszystkim, co reprezentujesz - stwierdził Owain.

- Naprawdę nie powinieneś wierzyć wszystkiemu, co ci opowiada nastolatka ze złamanym sercem.

Owain skrzywił się, jego strach zaczął się uzewnętrzniać.

- Nie ośmielisz się - powiedziała pani Florrel. - Moja rodzina na to nie pozwoli.

- To teraz moja rodzina - odparł spokojnie Edeard.

Jedenaście trzecich rąk łomotało w tarczę Stąpającego po Wodzie, usiłując znaleźć jej słabe miejsca, próbując się przez nią przebić. Dalkrzyki o pomoc rozlegały się między nieprzenikalnymi ścianami komory.

- Przez całe życie wiedziałem, że czasami, aby zrobić rzecz dobrą, trzeba najpierw uczynić coś złego - powiedział im Stąpający po Wodzie. - Teraz zdałem sobie w pełni sprawę z prawdziwości tego powiedzenia. Taki właśnie jestem.

Wcisnął palcem spust. Zwolnił palec dopiero, gdy magazynek był całkowicie pusty.

\*\*\*

Piąty skarbiec magazynowy zawierał ponad trzysta pistoletów szybkostrzelnych. Zawinięto je w naoliwione tkaniny i ustawiono na stojakach stojących w równych rzędach na podłodze.

Edeard umieścił ponownie na stojaku wykorzystany pistolet. Poprosił miasto, by pozbyło się tej broni. Podłoga pod stojakami

zmieniła się, stała się porowata i straszliwa broń zapadła się w niebyt.

Omiótl dalwzrokiem pozostałe skarbcce. Ósmy skarbiec zawierał kule stosowane w pistoletach szybkostrzelnych. Miasto spokojnie zabsorbowało ich skrzynki. W skarbcu drugim złożono długolufowe pistolety. Siedemnasty mieścił kilka długich dział o lufach wielkich jak nogi Edearda, zamontowanych na małych wózkach. Żelazne kule większe od pięści ułożono obok dział w piramidkach. Edeard zdał sobie sprawę, że to pociski do tych dział. Zadrżał, kiedy sobie uświadomił, jakie szkody mogły wywołać. Wszystko to zapadło się w podłogę. Na końcu, pod podłogę zapadły się szafy w komorze zapisów.

Tajemna moc Gildii Broni przestała istnieć. Nigdy już nie pojawi się zagrożenie dla Wielkiej Rady Makkathranu i jego burmistrza.

Jeśli nie liczyć wyborów. I swarów między Gildiami. I kupców, którzy kombinują i korumpują dla zysku. I Wielkich Rodzin walczących o korzyści.

Uśmiechnął się szeroko na myśl o tym wszystkim. To szalone, cudowne życie przeżywane przez obywateli Makkathranu. Teraz to wszystko problem Finitana.

\*\*\*

Ciepłe popołudniowe słońce rozświetliło białe kolumny otaczające Złoty Park. Nawet ostatnie kwiaty na krzakach i pnączach jaśniały egzotycznym przepychem, świętując mijające wyjątkowo miłe lato. Edeard szedł po eleganckich alejkach parku i zbierał myśli. Podejmował decyzje, które musiał podjąć.

Z trudnością wyszukiwał dalwzrokiem słabe dusze swoich rodziców. Stał przy jednym ze słupów ustawionych przy krańcach parku nad Kanałem Czempiona, skąpany w pełnym, odbitym od metalu świetle, i wyteżał do granic swe zdolności.

Byli tutaj. Oddaleni o parę metrów, jak zwykle go obserwowali.

- Dziękuję wam - powiedział.
- Widzisz nas? - zapytała zaskoczona matka.
- Tak, mam, teraz was widzę.
- Synu.

- Ojcie. Tak o mnie dbałeś, bardziej niż na to zasługiwałem.  
- A cóż mieliśmy robić? Jesteś wszystkim, co z nas zostało.  
- Już nie. Mam teraz żonę. Będziemy mieli dzieci. One będą miały swoje dzieci. Wszystko, czym jesteście, przejdzie na nich.  
- Powinniśmy czuwać nad nimi - stwierdziła niepewnie matka.  
- Nie - odparł Edeard. - Czas, byście dali spokój. Mogę teraz sam o siebie zadbać, nawet nie wiecie, jak dobrze. Cena, którą płacie, opiekując się mną, jest za wysoka. Nie możecie już tego dłużej robić. Musicie udać się do Serca. Nadal jest na to czas. Zawsze jest na to czas.  
- Och, Edeardzie.  
- Proszę. - Wyciągnął dłoń. Matka dotknęła końców jego palców. Z trudem opanował grymas, gdy sparzyło go przejmujące zimno. Ale, kiedy objął materię przed sobą, uśmiechnął się z szacunkiem.  
- Do widzenia, mam - powiedział i musnął wargami jej wargi. - Pewnego dnia będziemy razem w Sercu, obiecuję.  
Jej smutek i żal bardzo go poruszyły. Ale uśmiechnęła się, puściła jego palce. Ojciec przytulił ją do siebie.  
- Pomyślnej podróży - powiedział im Edeard.  
Patrzył, jak znikają w ciepłym i czystym błękitnym niebie, i nie dopuszczał do siebie wyrzutów sumienia.

\*\*\*

Tego popołudnia w Żółtym Parku wiele ludzi korzystało z przedłużonego lata. Dzieci biegały po trawnikach, bawiąc się w skomplikowane wersje berka. Wagarujący uczniowie zebrali się w cieniu ogromnych martozowców. Częstowali się piwem i plotkowali o swoich Mistrzach.

Salrana szła po ścieżce wyłożonej tłuczonym łupkiem, ciesząc się spacerem. Chłopcy zerkali na nią tęsknie, choć jej szeleszcząca niebiesko-biała szata nowicjuszki była zbyt wielką przeszkodą dla beztroskich prób podrywu.

Przeszła mostem z żółtego piaskowca do Ysidoro. Dokładnie przed nią znajdowała się tawerna Niebieski Lis, okrągły, trzypiętrowy budynek z dziwnym, sześciokątnym, rustykalnym wzorem wytłoczonym w ścianie koloru miedzi. Wąskie



ostrołukowe okna sprawiały, że tawerna wydawała się wyższa, niż była w rzeczywistości. Przed wślizgnięciem się w jedno z mniejszych bocznych drzwi zawahała się - miała wrażenie, że na peryferiach jej dalwzroku coś zawirowało, jakby alejką przesunęło się pasmo mgły. Nachmurzyła się, ale zjawisko nie wyostrzyło się w jej zmysłach, pomknęła więc schodami na piętro.

Niebieski Lis był ulubionym miejscem schadzek arystokracji. Wyjątkowo grube ściany pomieszczeń eliminowały potrzebę utrzymywania mgiełek sekluzyjnych. Gwarantowały prywatność i izolację od wszystkich, z wyjątkiem ludzi o zupełnie wyjątkowej psychice. Kluczem, który jej dostarczono, Salrana otworzyła drzwi zarezerwowanego pokoju.

Barwny muślin rozwieszony w oknach przyciemniał światło. Tkaniny rozwieszono również na ścianach. Na toaletce migotały świece, wydzielając piżmowy zapach. Wielkie łóże zarzucono jedwabnymi prześcieradłami i futrzanymi kapami.

Już na nią czekano przy łóżku. Salrana, zarumieniona z niecierpliwości, zdjęła szatę, odsłaniając halkę z delikatnej koronki - niedawny podarunek za miłość. Obsypywana pocałunkami, dała sobie rozwiązać górną kokardkę halki. Potem następny pocałunek. Następna kokardka. Dalsze pocałunki, każdy bardziej zażyły od poprzedniego. Rozpięta z przodu halka opadła. Wywołane podnieceniem jęki wydobywały się z krtani Salrana nie mogła już się powstrzymywać, przytuliła się, odwzajemniając ogniste pieszczoty.

Edeard odrzucił niewidkę. Salrana podskoczyła zszokowana. Jej umysł promieniował winą.

- To ty - powiedział kwaśno Edeard. - Powiniennem się tego domyślić, naprawdę powiniennem.

- Ale się nie domyśliłeś - odparła Ranalee pogardliwie. Podciągnęła swój satynowy peniuar i zaczesła nieposłuszne włosy. - Myślałam, że wyjechałeś z miasta.

- Tak. Mnóstwo ludzi popełniło ten sam błąd. Twój przyjaciele. Twoja rodzina. Twój koledzy konspiratorzy.

Oczy Ranalee się rozszerzyły. Ukazał się w nich błysk zaskoczenia, a potem niepokój, kiedy jej wysłane dalmową pytania pozostały bez odpowiedzi.

- Co takiego zrobiłeś? - syknęła.

- Nie odpowiedzą ci. Nie teraz. Już nigdy.

- Ojciec? - wydyszała.

- Jestem pewien, że Pani pobłogosławi jego duszę. Wątpię, czy zrobi to ktokolwiek inny.

- Sukinsynu! - Ranalee drżała, niemal płakała.

- Planowałeś dla mnie gorszy los, znacznie gorszy.

Ranalee opanowała się i spojrzała na niego wyzywająco.

- Więc co zaplanowałeś dla mnie?

- Nic. Ponieważ jesteś niczym bez Owaina i swojej rodziny. Właścicielka burdelu. Co to takiego? Nic.

Salrana postąpiła z wahaniem krok w przód.

- Edeardzie...

- Nie mów nic. Nie winię cię. Czy wiesz, co zrobili z twym umysłem, co może zrobić ta jędrza?

Czuł teraz różnicę w nieosłoniętych myślach Salrany. Surowość mieszczącą się tam, gdzie niegdyś były tylko zadowolenie i uprzejmość.

- Oczywiście, że wie - triumfowała Ranalee. Objęła ramieniem Salranę, która przysunęła się bliżej, szukając pocieszenia. - Pokazałam jej prawdziwe życie.

- Wykorzystali twoją złość na mnie za to, że cię opuściłem. Ten... ten wysłannik Honiouse przybył po ciebie, kiedy łatwo było cię zranić. To nie był przypadek. Znam ją, Salrano. Ma perwersyjną umiejętność wykręcania twych własnych myśli, zniekształca rzeczy piękne w coś chorobliwego. To nie miłość do niej czujesz, to nędzna karykatura uczucia, którego może doświadczać twoje prawdziwe ego.

- Nie - przerwała mu Salrana z łagodnym uporem. - To ja znalazłam Ranalee.

- Wykorzystali cię. Ona. Owain. Cała reszta. Oni interesują się jedynie twoją przeszłością, naszym pochodzeniem. Na Panią, jesteś po prostu jeszcze jedną bronią przeciw mnie. Miałaś

wywabić mnie z miasta, jeśli zasadzka się nie powiedzie, pamiętasz?

Salrana spojrzała zaskoczona na Ranalee, potem na Edearda.

- Nie zrobiłabym tego.

- Ha! - Edeard zamknął oczy, by stłumić ból, który odczuwał na jej widok. - Zrobiłabyś. Proszę, Salrano, mogę ci pomóc. Są inni, którzy ci pokażą, w jaki sposób nadużyto twoich myśli, jak ta zła dziwka cię zaczarowała.

- Więc co zrobisz? - warknęła Salrana w przypiływie nagłego gniewu. - Odbierzesz mi Ranalee? Zostawisz mnie z niczym? Znowu?

- To nie jest...

- Jestem sobą.

- Mieli zamiar zrobić z ciebie materiał rozplodowy. Na Panią, to nie w porządku.

- Twoja moc uczyniła cię Stąpającym po Wodzie - wtrąciła Ranalee. - Twoja moc przyciągnęła do ciebie Kristabel, a teraz należysz do Wielkiej Rodziny, masz do dyspozycji ich bogactwo i majątek. Twoje dzieci urodzą się z przywilejami, których nikt w twoim żalonym Ashwell nie zdołałby nigdy zrozumieć. Dlaczego Salrana ma nie mieć dzieci obdarzonych siłą? Dlaczego Salrana nie mogłaby mieć dzieci, cieszących się takim samym materialnym komfortem?

- Ale ty jej tego nie dajesz - odparł wściekle Edeard. - Wykorzystaliście moment, kiedy była psychicznie bezbronna; odwróciliście ją od wszystkiego, czym była.

- Pokazałam jej, co społeczeństwo Makkathranu może jej ofiarować, kiedy ty się nią znudziłeś - triumfowała Ranalee. - Małżeństwo, dzieci, rodzinę. To nasze zwyczaje. Zwyczaje ustanowione przez samego Raha. Nasze układy są praktyczne i korzystne, nikt nie jest oszukany. Na Honiousa, kim ty jesteś, by to osądzać?

Edeard miał ochotę ją uderzyć. Ale gdyby to zrobił, odniosłaby zwycięstwo.

- Nie zrezygnuję z ciebie - powiedział do Salrany. - To, co ci zrobiła, jest podłe, i jeśli kiedyś to sobie uświadomisz, będę tutaj dla ciebie. Klnę się na Panią.

Teraz Salrana patrzyła na niego pogardliwie. Wyraz twarzy miała do tego stopnia podobny do wyrazu twarzy Ranalee, że go to zdenerwowało. Salrana ujęła dłoń Ranalee i ostrożnie umieściła ją na swojej obnażonej piersi.

- Masz swoje życie. Ja mam swoje. Nawet w twym świecie prymitywnej moralności mogę żyć wedle swego wyboru. I wybieram to. Wybieram Ranalee, moją kochankę, mą metresę.

Edeard spojrział wściekle na Ranalee, która złośliwie się do niego uśmiechnęła.

- To się jeszcze nie skończyło. - Wiedział, że to bardzo słaba odpowiedź, ale po prostu nie mógł wymyślić nic, co jeszcze mógłby zrobić.

Dlaczego nie widzi, czym się stała. A może naprawdę widzi? O, Pani!

- Dzisiaj wygrałeś - powiedziała do niego kpiącym tonem Ranalee. - Okaż nieco wielkoduszności. Stąpający po Wodzie by to zrobił.

Edeard wybiegł z pokoju, nie troszcząc się o przywdzianie niewidki.

\*\*\*

Edeard wrócił do zigguratu Culveritów i wspiął się na schody. Nikt go nie zauważył. Nawet w tej chwili czuł dreszcz lęku, że to wszystko okaże się gorączkowym snem, że Kristabel... Że kiedy ją ujrzy, złudzenie pryśnie. Dobry, stary optymizm z Ashwell.

To głupie. To jest teraz realne. Wiem to.

Kiedy dotarł na dziesiąte piętro, zdobył się na odwagę i wszedł do pokoju, który Kristabel przeznaczyła na swą pracownię. Pokój był pusty, jeśli nie liczyć krzesła i biurka. Zdjęto nawet zasłony, na czas, kiedy pokój powoli zmieniał kształt na taki, jakiego oboje chcieli. Większe okna. Jaśniejsze, świecące białym światłem rozety. Wiedział, że ściany przesuwają się do wewnątrz, że salon za ścianą staje się dłuższy, choć proces ten zachodził tak powoli,

że oko nie rejestrowało zmian. Tuż przed jego wyjazdem Kristabel zauważyła, że dziesiąte piętro już bardzo się różni od domu, w którym przeżyła całe swe życie. Zgodził się, by sprawić jej przyjemność, ponieważ była taka podekscytowana. I szczęśliwa.

Teraz, pochylona nad biurkiem, bazgrała coś ze zwykłą zaciekłością gęsim piórem. Zmarszczyła piękną twarz, kiedy studiowała grubą rodzinną księgę rachunkową. Trzy wysokie stosy podobnych ksiąg wznosiły się przy biurku. Moja żona.

- Wyglądasz na znudzoną - zauważył.

Kristabel drgnęła. Potem uśmiechnęła do stojącego w drzwiach Edearda.

- W ogóle cię nie wyczułam! - wykrzyknęła. - Skradasz się do mnie? I czemu tu jesteś? Co z bandytami? Przecież nie mogliście ich znaleźć tak szybko.

- Nie, nie znaleźliśmy. Ale teraz wiem, kim są i gdzie są. Będą musieli poczekać na inny dzień. Chciałem być w domu ze swoją piękną żoną.

Podeszła szybko z szerokim uśmiechem na twarzy i ucałowała go na powitanie.

- To takie miłe. Ale Finitan cię zabije, to było ogromnie ważne.

Edeard objął ją. Nie chciał jej wypuścić. Nigdy. Spojrzał przez okno - za ogrodem na tarasie widział bajkowe, żyjące miasto.

- Inni próbowali.

Nachmurzyła się i szturchnęła go w pierś.

- Dobrze się czujesz? Wydajesz się... zmęczony.

- Nie. Czuję się doskonale. Po prostu dzisiaj zdałem sobie sprawę, że pewnych rzeczy nie można poprawić, bez względu na to, jak bardzo się starasz.

Kristabel znowu go pocałowała.

- Ale, o ile cię znam, nadal będziesz próbować. To cały ty. I właśnie dlatego cię kocham.